

ALIBI

Wciągający, inteligentny, dobrze napisany – rzadkość w świecie thrillerów. Nie żałuję dwóch zarwanych nocy z *Aną*.

Katarzyna Bonda

ROBERTO
SANTIAGO

ROBERTO
SANTIAGO

ANW

przełożyli
Joanna Ostrowska
Grzegorz Ostrowski



WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału: **Ana**

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Marta Szafrńska-Brandt*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Katarzyna Głowińska, Barbara Milanowska/Lingventa*

Zdjęcie wykorzystane na okładce

© Roy Bishop/Arcangel Images

© Roberto Santiago, 2017

Translation rights arranged by DOS PASSOS

Agencia Literaria and Planeta Editorial

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2018

© for the Polish translation by Joanna Ostrowska
and Grzegorz Ostrowski

ISBN 978-83-287-1021-4

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2018

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA OCZY

1

2

3

4

5

6

7

8

9

CZĘŚĆ DRUGA DŁONIE

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

CZĘŚĆ TRZECIA DUCHY PRZESZŁOŚCI

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

CZĘŚĆ CZWARTA ŚCIEŻKA ZDRADY

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

CZĘŚĆ PIĄTA I OSTATNIA MOWA KOŃCOWA

84

85

86

87

88

89

EPILOG 30 LISTOPADA

90

91

PODZIĘKOWANIA

CZĘŚĆ PIERWSZA
OCZY

1

Pierwsza tego ranka porcja płynu w organizmie.

Łyk ginu.

Poczułam, jak pali mi gardło. Spływa do żołądka. Rozgrzewa – co było do przewidzenia. Dobra wiadomość: żyję.

Moje źrenice zaczęły powoli badać otoczenie. Promienie światła przedzierały się przez szczeliny w białych żaluzjach. W półmroku dostrzegłam zarys szafy ściennej, regał, a w kącie coś, co przypominało stojak na parasole.

Musiało być jeszcze bardzo wcześnie.

A może nie.

Prawdę mówiąc, miałam to w nosie.

Spuściłam wzrok i spojrzałam na swoje ciało.

Miałam na sobie cielisty stanik. Od pasa w dół byłam naga. To mogło oznaczać tylko jedno.

Bingo!

Oto i on.

Z trudem uniosłam prześcieradło.

Obok mnie leżał jakiś młodzian, całkiem nagi. Miał najwyżej dwadzieścia pięć lat. Góra trzydzieści. Spał na brzuchu. To nie znaczy, że się pomyliłam. Stałam się ekspertką w ocenianiu wieku nieznajomych, których znajduję o świcie gołych, leżących obok mnie na brzuchu.

Pociągnęłam jeszcze jeden łyk z butelki z matowego (a może zielonego) szkła. Drugie uderzenie ginu, który trafił do mojego żołądka, było jeszcze bardziej brutalne. Dopadły mnie mdłości. Powstrzymałam je. Nie miałam zamiaru wyrzygać się do łóżka młodego.

Spróbowałam się na czymś skoncentrować.

Przed sobą dostrzegłam otwarte drzwi prowadzące prawdopodobnie do łazienki. Gdybym miała siłę, żeby do niej dojść, mogłabym zrobić tam wiele rzeczy, które być może poprawiłyby moje samopoczucie.

Postanowiłam zostawić to na później. Zbiorę siły, a potem zobaczymy.

Wolałam skupić się na czymś, co było bardziej w zasięgu moich możliwości umysłowych i fizycznych. Od razu znalazłam doskonały sposób, żeby oprzytomnieć: zaczęłam liczyć palce u nogi wystającej spod pościeli na skraju materaca i ruszać nimi po kolei. Paluch, następny, którego nazwy nigdy nie pamiętam, trzeci, czwarty...

Na szafce nocnej zaczęło mrugać jakieś światełko, odrywając mnie od mojego zajęcia. Będę musiała zacząć od początku: paluch, następny, który u ręki określa się jako wskazujący, no proszę, robię postępy, ale nie wiem, jak się nazywa drugi palec u nogi. Mogłabym wymyślić dla niego jakąś nazwę, nie sądzę, żeby miał coś przeciwko. Zastanowiłam się przez moment, pierwsze, co przyszło mi do głowy, to drugol. Niezbyt oryginalne, ale proste. I łatwe do zapamiętania. Paluch, drugol...

Znowu przerwało mi światełko mrugające od strony szafki.

Obróciłam się o kilka centymetrów, próbując ustalić jego źródło.

Leżał tam jeden z tych wielkich telefonów komórkowych o superpłaskim ekranie. Nienawidzę tych bestii. Nie pytajcie dlaczego. Po prostu ich nie cierpię.

Światełko nadal mrugało.

Odstawiłam butelkę z matowego szkła, którą ciągle trzymałam w dłoni, i wzięłam komórkę do ręki. Patrzyłam, jak podświetla się ekran. Pojawiło się na nim jakieś słowo. „Brother”. Przyglądałam się siedmiu pulsującym literom. Raz i drugi. Raz i drugi. Brother. Brother. Przyszło mi do głowy, że można by w ten sposób kogoś zahipnotyzować, każąc mu patrzeć w ekran bez odrywania wzroku. Albo nawet zahipnotyzować kilka osób. Ujrzałam samą siebie, jak trzymam wielką mrugającą komórkę najnowszej generacji w sali konferencyjnej kancelarii, tuzin wpatrzonych w światło oczu, które nie mogą się od niego oderwać. Było oczywiste, że nie czułam się zdolna do głębszych przemyśleń. Za jakiś czas będzie lepiej. W końcu światełko zgasło.

Na ekranie pojawiła się inna wiadomość: siedemnaście nieodebranych

połączeń od... „Brother”.

Gdybym była w lepszym stanie, trzeźwa, nieskacowana, gdybym siedziała u siebie w domu albo w swoim gabinecie czy w jakimkolwiek innym znanym miejscu, poczułabym niepokój. Może nawet wpadłabym w panikę.

Od lat nie miałam od niego wiadomości. To akurat pamiętałam.

Gdzie ja się obudziłam? Czyja to sypialnia? Założyłam, że młodziana.

Zgięłam lewą nogę i delikatnie kopnęłam w tyłek mojego łóżkowego towarzysza.

Podniósł głowę i wydał z siebie niezrozumiały gardłowy dźwięk. Przypominał ranne dzikie zwierzę, które nie wie, dlaczego ktoś je trąca.

Widok jego twarzy potwierdził moją hipotezę: mimo worków pod oczami i nieciekawego wyglądu miał nie więcej niż dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat.

Natychmiast uraczyłam go drugim kopniakiem. Ten tyłek głośno domagał się klapsa.

– Gdzie jestem? – zapytałam.

– Eee? Uhm? – odpowiedział.

Kurwa. Młody był niezwykle elokwentny. Mam nadzieję, że w łóżku spisywał się lepiej niż w rozmowie. Niczego nie pamiętałam, ale doskonale wiedziałam, że z czasem przyjdą wspomnienia, króciutkie przebłyski z nocy, którą spędziłam z tym facetem. I chciałam wierzyć, że będą to wspomnienia przyjemne.

– Pytam, gdzie jestem. W jakiej dzielnicy. W jakim mieście.

Chłopak popatrzył na mnie. Widziałam, jak jego umysł zaczyna łączyć elementy układanki. Aha, jestem tutaj, w łóżku, z jakąś starszą ode mnie nieznajomą, którą kilka godzin wcześniej zaczepiłem w barze. Wyglądało na to, że jego neurony zaczęły reagować.

– Ulica Embajadores sześćdziesiąt osiem. Pierwsze piętro, mieszkanie C. Madryt, kod pocztowy dwadzieścia osiem, zero, dwanaście. – Uśmiechnął się, jakby powiedział coś zabawnego.

Odwzajemniłam uśmiech.

Ekran komórki znów zaczął mrugać. Spojrzałam na niego, choć

wiedziałam, co zobaczę: „Brother”.

Zebrałam się na odwagę. Przysunęłam komórkę do ucha. Odebrałam.

– Tak? – wymamrotałam.

Po drugiej stronie dał się słyszeć hałas, którego nie zdołałam rozpoznać. Może mojemu rozmówcy wypadła komórka. Albo podał ją komuś innemu.

– Tak? – powtórzyłam.

– Ana? – powiedział w końcu ochryply głos.

Natychmiast go rozpoznałam.

– Cześć – przywitałam się oschle.

– Ano, posłuchaj, nie dzwoniłbym do ciebie, gdyby sprawa nie była poważna.

Kątem oka zauważyłam, że mój towarzysz bacznie mi się przygląda.

– To twój mąż? – szepnął.

Zignorowałam go. Nie drgnęła mi nawet powieka.

Całą uwagę, na jaką było mnie stać, skoncentrowałam na przyłożonej do ucha komórce.

– Ano, słyszysz mnie? – zapytał z pewnym niepokojem ochryply głos.

– Dobrze i wyraźnie.

– Jestem w koszarach Gwardii Cywilnej w Robredo. Zatrzymano mnie za morderstwo.

Pomimo stanu, w jakim się znajdowałam, zarejestrowałam całe zdanie. Każdy wyraz. Koszary. Gwardia Cywilna. Robredo. Morderstwo. Zarejestrowałam też ogólny sens: mojego brata, z którym nie rozmawiałam od lat, zatrzymano za morderstwo.

Mogłam zapytać go o mnóstwo rzeczy. Na początek, o jakim morderstwie mówi. Ale o wiele bardziej zaciekało mnie coś innego. Nie było to oczywiście najważniejsze, ale, jak mówię, bardzo mnie zaciekało. Od dziecka jestem strasznie dociekliwa.

– Dlaczego pozwolili ci zadzwonić siedemnaście razy?

– To nie ja dzwoniłem. Dałem komórkę gwardzistom, a oni próbowali, dopóki nie odebrałaś. Są bardzo mili.

W myślach zobaczyłam dwóch funkcjonariuszy, którzy z pewnością w tym momencie wbijali wzrok w mojego brata. Nie wiedzieć czemu, w mojej fantazji obaj mieli bujne wąsy, a twarz jednego z nich była podziobana przez ospę. Ludzka wyobraźnia to prawdziwa zagadka.

– Ano, jesteś tam?

– Powiedz mi, dlaczego dzwonisz?

– Chcę, żebyś była moim adwokatem.

Poczułam pieczenie, które zaczęło się przemieszczać od żołądka w górę. Intensywniejsze od tego wywoływanego przez gin. Był tylko jeden sposób, by je złagodzić.

Przytrzymałam komórkę między policzkiem i ramieniem. Znowu sięgnęłam po butelkę. Pociągnęłam łyk. Długi i solidny. Zgodnie z moimi przewidywaniami płyn wywołał reakcję fizyczną. Zabolało. Gdzieś w bliżej nieokreślonym miejscu między jelitem cienkim, wątrobą i okrężnicą.

– Już się tym nie zajmuję – powiedziałam.

– Chyba do ciebie nie dotarło: jestem oskarżony o morderstwo.

– O zabicie kogo?

– Bernarda Menendezza Ponsa.

Gdzieś już słyszałam to nazwisko. Ale chwilowo nie zdołałam przypisać go do żadnej konkretnej osoby. Wymówił je tak, jakbym powinna je znać. Możliwe, że później skojarzę, dopasuję do niego twarz... Mogło mi to jednak zająć trochę czasu.

Brat zdawał się czytać w moich myślach.

– Dyrektora kasyna Gran Castilla.

– Jasne – odparłam.

Materac pod moim ciałem poruszył się. Młody podnosił się z łóżka. Zdumiewająco szybko stanął na nogach i podrapał się w tyłek. Idealny, dwudziestopięcioletni tyłek. Podszedł do drzwi łazienki i zniknął w jej wnętrzu.

– Ano, musisz mi pomóc.

Jego głos nie brzmiał już tak ochryple.

– Nie chcę być nieuprzejma, ale zadzwoniłeś w nieodpowiednim momencie. Skontaktuj się lepiej z innym adwokatem.

– Nie znam żadnego innego adwokata – odpowiedział szybko.

Ta sytuacja źle wpływała na moje samopoczucie. Oczyma wyobraźni zobaczyłam przyszłość pełną lęku i cierpienia dzielonych z bratem. Zdarzało mi się to dość często: zawczasu przewidywałam nieprzyjemne odczucia. Dlatego niespecjalnie się tym przejęłam.

– Uprzejmi gwardziści na pewno pomogą ci znaleźć innego adwokata – powiedziałam.

– Ano, proszę! Nie mam nikogo innego. Tylko tobie mogę zaufać. Proszę. Mówił drżącym, słabym głosem.

Wzruszyłam ramionami, ale trzy sekundy później zmieniłam zdanie. W końcu to mój brat. Od dawna z nim nie rozmawiałam, ale go kochałam. Poza tym nagłe zmienianie zdania to jedna z moich specjalności. Jestem w tym lepsza niż w prawie karnym.

– Posłuchaj uważnie. Od pięciu lat pracuję w kancelarii, która zajmuje się składaniem odwołań od mandatów drogowych. Od dawna nie prowadziłam żadnej normalnej sprawy, tym bardziej sprawy o zabójstwo. Sądzę, że to fatalny pomysł. Ale jeśli mimo wszystko jesteś zdecydowany, spróbuję ci pomóc.

– Dziękuję ci, Ano. Liczę na ciebie.

Najwyraźniej brat usłyszał tylko koniec ostatniego zdania.

Drzwi łazienki otworzyły się, młody wrócił do pokoju. Wciąż był nagi. Szybko przebiegłam wzrokiem po jego ciele. Bądźmy szczerzy: gdyby założyć mu worek na głowę, mógłby wziąć udział w konkursie piękności i zająć więcej niż godne miejsce.

– Co mam teraz robić? – spytał mój brat.

Nic. To ja muszę zakasać rękawy. Pojechać do Robredo. I zająć się formalnościami. Już na samą myśl o tym poczułam ogromne znużenie.

– Wkrótce tam będę, wtedy przystąpimy do odpowiednich czynności – powiedziałam. – Najważniejsze, żebyś z nikim nie rozmawiał. Nic nie mów. Nawet tym miłym gwardzistom. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Bardzo dobrze. Już ci powiedziałam, że moim zdaniem to nie jest dobry pomysł, ale obiecuję, że zrobię, co będzie możliwe.

– Jesteś najlepszym prawnikiem, jakiego kiedykolwiek widziałem w sądzie. – Mój brat powiedział to z takim przekonaniem, że sama w to uwierzyłam. – Dziękuję ci, Ano. Naprawdę.

– Muszę teraz załatwić pewną pilną sprawę – przerwałam, nie chcąc popadać w sentymentalizm. – Pamiętaj: z nikim nie rozmawiaj.

Rozłączyłam się.

Młody przyglądał mi się badawczo. Stał, jakby czekał, że ktoś powie mu, co ma robić.

Spojrzałam na niego uważnie.

Nie w oczy.

Patrzyłam na jedyną część jego ciała, która w tym momencie zdawała się budzić zainteresowanie mojego mózgu. Daję słowo, że próbowałam podnieść wzrok. Na próżno. Utkwiłam spojrzenie w jego członku. Nic nie mogłam na to poradzić. Przypatrywałam mu się spokojnie, nie okazując żadnych emocji. To był normalny, zwyczajny członek, nie za duży, nie za mały. W sam raz.

Sytuacja przedstawiała się następująco: mój brat będzie musiał poczekać chwilę w towarzystwie uprzejmych gwardzistów, dopóki nie załatwię pilnej sprawy, którą wzięłam w swoje ręce.

Odkąd pamiętam, zawsze chciałam być adwokatem.

Z jakiegoś powodu przez całe życie pragnęłam czynić sprawiedliwość. Od dzieciństwa miałam to wypalone gorącym żelazem. Zmieniać świat, robić z niego bardziej przyjazne miejsce do życia. Bronić biedaków, toczyć niemożliwe do wygrania batalie, stawać przed sędzią oraz członkami ławy przysięgłych i wygłaszać błyskotliwe mowy, które ich poruszają i pozwolą im odkryć prawdę.

Nie było to związane z pieniędzmi ani z robieniem kariery. Jeszcze mniej z tradycją rodzinną: jestem pierwszym prawnikiem na długiej liście restauratorów.

Nic z tych rzeczy.

Tysiące razy oglądałam Atticusa Fincha w *Zabić drozda*, sir Wilfrida Robertsa w *Świadku oskarżenia*, Franka Galvina w *Werdykcie*, Arthura Kirklanda w *...I sprawiedliwość dla wszystkich*. To oni byli moimi bohaterami, najlepszymi i najbardziej błyskotliwymi adwokatami wszech czasów. Każdy z nich nieustrudzenie czynił zadość sprawiedliwości, na przekór wszystkiemu. I jak by tego było mało, zawsze stawiał na swoim.

Ja też chciałam stawiać na swoim.

Uważałam, że zostanie adwokatem jest najlepszym sposobem, by to osiągnąć.

Pamiętam doskonale, że kiedy powiedziałam ojcu, że chcę studiować prawo, odparł:

– Przydałby nam się jakiś kauzyperda w naszym biznesie.

To wszystko.

Ojciec nigdy publicznie nie okazywał uczuć. Nawet przede mną czy przed bratem. I nigdy nie używał przymiotników. Mawiał, że przymiotniki są jak fałszywe banknoty.

– Nigdy nie ufaj przymiotnikom, Ano – powtarzał często.

Zdaję sobie sprawę, że te dyrdymały o uczuciach i przymiotnikach zostały zapisane w moim DNA. Odziedziczyłam je po ojcu. Odziedziczyłam również starego seata toledo w zielonym kolorze. Tyle zostawił mi w spadku mój stary. Nie licząc wrodzonych zmian nastroju i kilku innych wad. Samochód sprzedawałam, gdy tylko nadarzyła się okazja. Jeśli chodzi o uczucia, przymiotniki i wady, powiedzmy, że też próbowałam się ich pozbyć, ale bez rezultatu.

Popatrzyłam na zegarek na desce rozdzielczej samochodu.

Dwunasta dwadzieścia. Od rozmowy telefonicznej z bratem minęły prawie dwie godziny. Jechałam moją mazdą 6 w kolorze jesiennej czerwieni autostradą A-6 w kierunku Robredo. Znałam drogę na pamięć; jako dziecko spędzałam często weekendy w Monte Pico, w małym domku w górach należącym do przyjaciół rodziców, kilka kilometrów dalej.

Wybrałam numer i podłączyłam telefon do zestawu głośnomówiącego. Po paru sygnałach usłyszałam głos:

– Promultas, słucham.

– Cześć, Rondo. To ja.

– Ana? Dzień dobry. Jedziesz do biura?

– Niezupełnie – powiedziałam, nie mając ochoty na wyjaśnienia. – Posłuchaj, chcę, żebyś ściągnęła Sofię i Francisca, i jeszcze... tego nowego chłopaka, który nosi te okropne krawaty, jak on się, do licha, nazywa?

– Gerardo?

– Gerarda. Chcę, żeby zebrali się w moim gabinecie po lunchu.

– Czyli o której?

Ronda dobrze mnie знаła. Wiedziała, że pory moich posiłków, tak jak cały rozkład dnia, nie są sztywne. Równie dobrze mogłam przyjść do pracy o trzeciej po południu, jak i o świcie. Szybko obliczyłam w pamięci, ile zajmie mi wizyta w Robredo i jeszcze jedna ważna sprawa, którą powinnam załatwić przed powrotem do biura.

– O czwartej? – zapytałam.

– O czwartej – powtórzyła Ronda.

– Powiedz im, żeby zebrali informacje o Menendzie Ponsie, wszystko, co zdołają.

– To nowy klient?

– Przekaż im to i niech punktualnie o czwartej będą w moim gabinecie.

– Jak sobie życzysz – odparła niezbyt zadowolona z mojej odpowiedzi. – Jeszcze jedna rzecz, Ano. Szuka cię Concha. Kilka razy o ciebie pytała. Chyba jest w złym humorze.

Wyobraziłam sobie, jak Concha przemierza korytarze, pomstując na co popadnie z byle powodu. Promultas było wielką kancelarią zajmującą się wyłącznie składaniem odwołań od kar administracyjnych, przede wszystkim od mandatów drogowych. W dobrych czasach pracowała tu nawet setka adwokatów, w większości młodych, świeżo po studiach. Potem radziło sobie z osiemnastoma, w tym Conchą i mną w roli kierowniczkii działu odwołań w postępowaniu administracyjnym. Ten eufemizm oznacza, że nadzorowałam wszystkie apelacje, zwłaszcza te wnoszone przez nowych pracowników. Ona była założycielką i głównym udziałowcem. Szefową. Moją przyjaciółką ze studiów, która pewnego zimowego wieczoru posadziła mnie w holu podmiejskiego hotelu i zmusiła do podjęcia pracy w swojej kancelarii. Uratowała mnie w takim okresie życia, w którym – oględnie rzecz ujmując – interesowało mnie jedynie znieczulanie się alkoholem. Ale, jak to mówią, to już całkiem inna historia.

Concha akceptowała moją niepunktualność, dziwaczne godziny pracy, nieszablonowe podejście do służbowych obowiązków. Dlatego, że byliśmy przyjaciółkami. A także dlatego – nie oszukujmy się – że byłam w jej biurze gwiazdą: prawniczka z moim doświadczeniem na czele kancelarii takiej jak Promultas to coś, na co w innych okolicznościach nie mogłaby sobie pozwolić. Jestem bardzo dobra w tym, co robię. Ale robię to po swojemu. Wiedziała o tym od samego początku. Płaciła mi mało jak na moje kwalifikacje, jedną czwartą tego, co zarabiałam u szczytu kariery, kiedy byłam biczem na sędziów i prokuratorów. Ale nie potrzebowałam więcej. Tak naprawdę nie chciałam więcej. Fakt, iż tamtego ranka Concha była zdenerwowana i kilkakrotnie o mnie pytała, musiał oznaczać, że wydarzyło się coś niezwykłego.

– Nie przejmuj się, Rondo – odparłam w końcu. – Powiedz Conchy, że

zobaczymy się po południu.

– Jak sobie życzysz. Coś jeszcze?

– Tak, jedna bardzo ważna rzecz. Chcę, żebyś wysłała skany mojego dowodu osobistego i legitymacji członka Izby Adwokackiej.

Nigdzie nie mogłam znaleźć portfela. Nie pierwszy raz mi się to zdarzało po takiej nocy jak ostatnia. Podróż przez życie bez dokumentów stała się moim znakiem rozpoznawczym. Sekretarka powstrzymała się od komentarzy, przywykła.

– Gdzie mam wysłać? – zapytała.

– Do koszar Gwardii Cywilnej w Robredo – odparłam.

Zapadła cisza. Tak, to było coś nowego. Od kiedy zaczęłam pracować w Promultas, moja noga nie postąpiła w żadnym sądzie, komisariacie czy na posterunku. Całą pracę wykonywałam w biurze. To jeden z powodów, dla których przyjąłam propozycję Conchy. Musiałam odgrodzić się murem od wszelkich instytucji w jakikolwiek sposób związanych z wymiarem sprawiedliwości. Tego ranka, po ponad pięciu latach, miałam zerwać z tą zasadą. Niemniej zjawienie się w koszarach Gwardii Cywilnej bez jakiegokolwiek dokumentu tożsamości nie wydawało się dobrym początkiem.

– To pilne.

– Tak, oczywiście, zaraz to zrobię – powiedziała trochę zdezorientowana.
– Coś się stało?

Wiedziałam, że Ronda opowie o tym w biurze, gdy tylko odłoży słuchawkę. Wolałabym osobiście poinformować Conchę, co się dzieje. Ale nie miałam czasu. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak poprosić o dokumenty sekretarkę.

– Nic się nie stało – odparłam. – Proszę, nie mów o tym w biurze, dopóki nie przyjadę. Możesz?

– Oczywiście – odpowiedziała natychmiast. – Będę milczeć jak grób. Znasz mnie.

Ronda ma wiele zalet. Ale dyskrecja do nich nie należy. Obie wiedziałyśmy, że w ciągu niespełna godziny osiemnastu adwokatów, cztery sekretarki i trzech praktykantów Promultas dowiedzą się, że jestem

w koszarach Gwardii Cywilnej w Robredo.

Zobaczyłam zjazd z szosy w kierunku celu mojej podróży. Włączyłam kierunkowskaz i zjechałam na prawy pas.

– Proszę cię, pospiesz się – powiedziałam, po czym się rozłączyłam.

Nienawidzę pożegnań. Mam na myśli nie tylko długie, wzruszające, niekończące się pożegnania na dworcach kolejowych, lotniskach czy w drzwiach domu. Chodzi mi o każde pożegnanie. Do zobaczenia. Na razie. Ciao. Widzimy się później. Buziak. Buziaki. Uściski, jeszcze więcej uścisków. Tysiące uścisków. I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Od takich słów i takich gestów robi mi się niedobrze. To nie na moje siły. Na Boga, powiedz, co masz do powiedzenia, i odłóż słuchawkę.

Uspokojona zjechałam na drogę dojazdową. Nie było się czego bać. Miałam się zobaczyć z bratem, od którego od wielu lat nie miałam żadnych wiadomości. Ostatnim razem, kiedy go widziałam, powiedziałam mu dosłownie: „Idź do diabła”. I tyle. Potem się już nie widzieliśmy. Czasami miałam jakiś nieodebrany telefon. Esemes bez odpowiedzi. To wszystko. O ile pamiętam, w tamtym okresie powiedziałam to samo: „Idź do diabła” kilku innym osobom z mojego otoczenia, nawet (albo zwłaszcza) tym, które najbardziej kochałam.

Teraz mój brat był oskarżony o zabójstwo. Zwrócił się do mnie. Poczułam słaby ucisk w piersi. Nic poważnego. Niepokój. Czasami taki ucisk uniemożliwiał mi oddychanie. Ale nie tego ranka. To był tylko lekki atak. Na wszelki wypadek postanowiłam jednak podjąć odpowiednie kroki. Minęłam stary kamienny most. Kilka kilometrów dalej zatrzymałam samochód na poboczu.

Wysiadłam i otworzyłam bagażnik. Podniosłam ciemnoniebieski koc, który najlepsze lata miał już za sobą, i znalazłam to, czego szukałam. Pudełko z dwiema buteleczkami. W pierwszej – ładnej, z długą szyjką – znajdował się rum Flor de Caña. Na awaryjne sytuacje. Zdjęłam nakrętkę. I pociągnęłam łyk. Natychmiast poczułam, że ucisk w piersi zaczyna ustępować. Dla pewności pociągnęłam jeszcze raz. Może ktoś pomyśli: gin i rum z rana, w dodatku na czczo, to nie najlepszy zestaw pomagający zwalczyć niepokój. Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że moje ciało, mój niepokój i ja sama już dawno przestaliśmy się przejmować tym, co myślą

inni.

Mimo wszystko nie powinno ode mnie jechać alkoholem, kiedy będę wchodzić na posterunek. Wyjęłam więc z pudełka drugą butelkę, zdjęłam nakrętkę i przepłukałam gardło zielonkawym płynem. Listerine ekstramocny, mój najlepszy przyjaciel przed ważnymi spotkaniami. Przepłukałam usta, po czym pochyliłam się i przejrzałam w bocznym lusterku. Krótkie czarne włosy, ciemne oczy, które prawie mi się teraz zamykały, i ostre rysy może akurat nie wyglądały najlepiej, ale ku mojemu zdziwieniu twarz nie prezentowała się tak źle, jak podejrzewałam, zważywszy na okoliczności. W środku byłam wrakiem, ale w świetle słonecznym wyglądałam stosunkowo dobrze jak na zniszczoną czterdziestotrzyletnią prawniczkę, alkoholiczkę uzależnioną od środków uspokajających, której jedyny żyjący krewny został właśnie oskarżony o morderstwo. Jeśli nie zrobią mi badania krwi czy testu psychologicznego, mogę udawać, że wszystko jest OK.

Wsiadłam do samochodu i wjechałam z powrotem na szosę. Miałam czas, żeby wykonać jeszcze jeden telefon. Wybrałam numer i przełączyłam komórkę na zestaw głośnomówiący.

Sygnał rozległ się kilka razy, zanim odezwała się poczta głosowa. Nikt nie zachęcił mnie do zostawienia wiadomości ani niczego w tym rodzaju. Był jedynie sygnał. Przez chwilę rozważałam, czy się rozłączyć. To ważny telefon, nie chciałam opowiadać mojego życia poczcie głosowej. Dwie sekundy później zmieniłam zdanie i zostawiłam krótką wiadomość. Jak już wspomniałam, zmienianie zdania to jedna z moich specjalności. Ciągłe to robię. I dobrze mi z tym.

Poczcie głosowej powiedziałam:

– Mówi Ana. Zadzwoń.

Wiem, że to niezbyt błyskotliwa wiadomość, że nie dostanę nagrody za przemówienie roku. Ale tylko tyle miałam do powiedzenia.

Zjechałam w stronę Robredo Urbanizaciones. Minęłam duże centrum handlowe po prawej stronie, potem rondo.

Tu znajdował się cel mojej podróży.

Koszary Gwardii Cywilnej.

Spojrzałam na nie przez szybę mazdy. W pierwszym odruchu chciałam

zawrócić. Po co mi to? Wiedziałam, że kiedy tam wejść, czekają mnie same kłopoty. W najlepszym razie tygodnie dochodzenia, ciężkiej pracy, walki z policją, prokuratorem, sędzią, po to, by na końcu mój brat został uniewinniony. W najlepszym razie. W najgorszym – emocjonalny ekshibicjonizm, ludzie opowiadający swoje życie w sali sądowej. Nawet nie chciałam o tym myśleć. Nie musiałam i zresztą wcale nie miałam ochoty przez to przechodzić.

Wystarczyło wykonać obrót kierownicą. Zakręcić. Wrócić do mojego spokojnego życia, do wolnej od wstrząsów rutyny postępowań administracyjnych i do nieznanym młodzieńców.

Rozmyślając o tym wszystkim, wjechałam na parking koszar.

Zaparkowałam obok jeepa Gwardii Cywilnej.

I wyłączyłam silnik.

3

– Chciałabym się zobaczyć z Alejandrem Tramelem. Jestem jego adwokatem – powiedziałam neutralnym tonem.

– Dokumenty – odparł gwardzista po drugiej stronie lady. Nawet nie podniósł wzroku.

– Czekają na mnie – dodałam, zmuszając się do uśmiechu. – Jeden z pańskich kolegów niedawno do mnie dzwonił.

– Dokumenty – powtórzył gwardzista.

Popatrzyłam na niego. Bardzo młody chłopak. Może świeżo po szkole. Nie wyglądał na zadowolonego z pracy w recepcji. Pewnie marzył o zamykaniu niebezpiecznych handlarzy narkotyków i międzynarodowych terrorystów albo czymś w tym rodzaju. A tymczasem siedział w recepcji koszar w małym miasteczku i wypełniał papierki.

Postanowiłam spróbować dyplomacji.

– Przepraszam, wiem, że jest pan zajęty. Miałam mały problem z portfelem... Gdyby był pan tak miły i sprawdził pocztę elektroniczną, przekonałby się pan, że sekretarka wysłała moje dokumenty.

Chłopak popatrzył na mnie, próbując zrozumieć, o czym, do licha, mówię.

– Niestety, zdarzył się drobny wypadek, nie mam przy sobie dokumentów, ale – jak już mówiłam – jeśli otworzy pan na sekundę pocztę, znajdzie pan tam skan mojego dowodu osobistego i legitymacji. Na pewno się pan czegoś takiego nie spodziewał. Prawdę mówiąc, ja też nie. Dzwonił do mnie jeden z pańskich kolegów. To bardzo poważna sprawa, muszę tam wejść i zobaczyć się z Alejandrem Tramelem.

Mężczyzna przygryzł lekko górną wargę, jakby to wszystko go męczyło.

– Nie tak to się odbywa, proszę pani – odparł. – Jeśli nie ma pani ze sobą dowodu, nie może pani wejść. Pomijam już fakt, że jeśli przyjechała tu pani bez dokumentów, dopuściła się pani poważnego wykroczenia, za które grozi

kara.

Widziałam to mnóstwo razy. Najgłupszego sadzali w recepcji, bo nie wiedzieli, co z nim zrobić.

Dyplomacja nie przyniosła efektów. Przeszłam do następnej fazy.

– Powiem to tylko raz, proszę więc wysłuchać mnie uważnie – oznajmiłam spokojnie. – Nie jestem tu dla przyjemności. Przychodzi mi na myśl cała masa ciekawszych miejsc, w których mogłabym się teraz znajdować. Ale z jakiegoś powodu przetrzymujecie tu Alejandra Tramela, któremu kilka godzin temu postawiono zarzut morderstwa. O ile nie zastosowano wobec niego ustawy antyterrorystycznej, mój klient ma prawo do pomocy prawnej. Ma też prawo do tego, żeby ta pomoc została mu udzielona natychmiast, w tej chwili. Jeśli w ciągu kilku najbliższych minut nie umożliwi mi pan rozmowy z moim klientem, zanim przejdę przez te drzwi, oskarżę pana o utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości, nadużycie władzy i co tylko przyjdzie mi do głowy. Pracuje dla mnie osiemnastu prawników. I zapewniam pana, że kiedy z panem skończymy, będzie pan wdzięczny, jeśli zaproponują panu pracę ochroniarza w centrum handlowym naprzeciwko. Życie potrafi być czasami bardzo niesprawiedliwe. Niech pan teraz weźmie do ręki telefon i powie przełożonym, którzy przed chwilą osobiście do mnie dzwoniли, jak mówiłam już panu trzy razy, że przyszła adwokat pana Tramela.

Przez chwilę mi się przyglądał. Zapewne zastanawiał się, czy nie dać mi nauczki. Co ona sobie myśli? Wchodzi do koszar i mówi mu, co ma zrobić! Ten chłopak nie cierpiał adwokatów i ich pustosłowa. Ale w jego oczach dostrzegłam również, że nie chce więcej kłopotów niż te, których prawdopodobnie już sobie narobił. I że jeśli miałby mi się postawić, wolał nie robić tego w pojedynkę. Podniósł słuchawkę i wybrał numer wewnętrzny.

Nie spuszczaając ze mnie wzroku, powiedział:

– Przyszła adwokatka Tramela. Nie ma przy sobie dokumentów, mówi, że wysłała je mailem...

Ktoś musiał mu przerwać, bo chłopak zamilkł. Słuchał przez chwilę. Potem się rozłączył.

– Trzecie drzwi po lewej, porucznik czeka na panią – powiedział bez przekonania. – Nie mogę pani zaprowadzić, na pewno da pani sobie radę

sama.

– Bardzo dziękuję panu za współpracę – odparłam.

Minęłam go, zerkając nań kątem oka. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Wiem, że to nie była odpowiednia chwila ani miejsce, ale nie mogłam nie wyobrazić go sobie... w łóżku. Nagiego. Spoconego. Mozolącego się, by spełnić swój obowiązek. Uwielbiam tych, którzy wywiązują się ze swoich zadań, nie oczekując niczego w zamian, chcą tylko, byś krzyczała i sprawiła, że poczują się jak panowie świata. Spróbowałam oddalić od siebie te wizje.

Ruszyłam korytarzem. W zasięgu wzroku nie było żywego ducha. Budynek wydawał się pusty, jakby porzucony. To częsty widok w koszarach i na posterunkach w małych miejscowościach. Każdy wyobraża sobie komisariaty z seriali telewizyjnych, wypełnione kręcącymi się policjantami i złoczyńcami, gdzie rozwiązuje się zagadki, prowadzi przesłuchania, miota przekleństwa... Rzeczywistość jest jednak dużo bardziej nudna. Zwłaszcza w miejscowościach takich jak ta posterunki są źle wyposażone, niewielu w nich funkcjonariuszy i równie niewielu przestępców. Większą część pracy policjanci wykonują na ulicach albo na drogach. Pracy, w której – nawiasem mówiąc – też brakuje fajerwerków. Patrowanie drogi krajowej to jedno z najnudniejszych zajęć. Dobrze wiem, co mówię. Mój pierwszy eks był policjantem. Jeśli będę miała czas, może opowiem o nim więcej. W zasadzie mój pierwszy były mąż jest również moim jedynym byłym mężem. Po rozstaniu nie miałam ochoty na kolejne małżeństwo, ale lubię go tak nazywać: mój pierwszy eks. Nie wiem dlaczego. Gdybym miała płacić po pięćdziesiąt euro za każdą rzecz, jaką robię albo mówię bez sensownego powodu, zbankrutowałabym już kilkakrotnie.

Po przejściu przez strefę ogólnodostępną dotarłam do trzecich drzwi, o których mówił funkcjonariusz. Ze środka nie dobiegał żaden odgłos. Zastukałam.

Nikt nie otworzył, nic też nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek był w środku. Może pomyliłam drzwi. Albo chłopak z recepcji zażartował sobie ze mnie i pokój był pusty.

Zapukałam ponownie. Nic.

Kiedy zastanawiałam się, co powinnam teraz zrobić, poczułam wibrację telefonu w kieszeni marynarki. Wyjęłam go i rzuciłam okiem na wiadomość

wyświetloną na ekranie.

Wysłała ją Ronda: „Francisco, Sofía i Gerardo. 16 w twoim gabinecie ok. Concha jest wściekła. Nic jej nie powiedziałam. Buźka”.

Oczywiście nie odpisałam. Nigdy nie odpowiadam na esemesy. Ani na telefony z nieznanymi numerów. To rodzaj protokołu przeciwlękowego. Nie jest zbyt przydatny, ale i tak nadal go przestrzegam.

Już miałam zawrócić, żeby zapytać chłopaka z recepcji, gdzie dokładnie jest mój brat, kiedy drzwi się otworzyły.

– Dzień dobry, pani Tramel.

Przede mną stał zwalisty chłop z gęstą brodą w mundurze Gwardii Cywilnej; wyglądał na odprężonego.

– Porucznik Santiago Moncada – powiedział. – To ja dzwoniłem do pani przeszło dwie godziny temu.

Wyczułam pretensję w jego głosie, jakby beształ małą dziewczynkę za to, że spóźniła się do szkoły.

– Miło mi – odparłam. – Zakładam, że to również pan powiedział chłopakowi przy wejściu, żeby mnie wpuścić.

Moncada się uśmiechnął.

– Pani brat jest bardzo lubiany w tych koszarach. Ale dziś wczesnym rankiem zamordował Bernarda Menendezza Ponsa, dlatego musieliśmy go zatrzymać, sama pani rozumie.

Mój brat bardzo lubiany w tych koszarach?

Później przyjdzie czas na wyjaśnienia. W tym momencie były pilniejsze sprawy.

– Pozwoli pan, panie Moncada, że zapytam – starałam się zachowywać uprzejmie – skąd pan wie, że mój brat zabił Menendezza Ponsa?

– To bardzo proste – odparł. – Potwierdziło to kilkunastu świadków. I sam się przyznał.

Protokół nie trzymał się kupy. Z niewytłumaczalnych dla mnie względów – choć miałam już opinię na ten temat – porucznik był tak miły, że pozwolił mi rzucić na niego okiem. Zdziwiło mnie to, a nie należę do osób, które dziwią się z byle powodu. Ostatnie zmiany w prawie nakazywały udostępnić adwokatowi raport, ale na ogół przesuwano ten moment w czasie, grano na zwłokę. Fakt, że pokazano mi go, zanim zobaczyłam się z bratem, mógł okazać się bardzo pomocny i oszczędzić mi wielu niewygodnych i jałowych pytań.

Usiadłam przy stole przed trzystronicowym raportem i szybko go przejrzałam. Moncada stał za moimi plecami.

Wszystko sprowadzało się do następujących faktów.

O godzinie 6.45 odebrano w koszarach Gwardii Cywilnej w Robredo telefon z informacją, że w prywatnej sali kasyna Gran Castilla leży martwy mężczyzna. Dzwonił niejaki Aarón Freire, szef ochrony.

O 7.05 w tejże sali zjawiło się czterech funkcjonariuszy. Przeczytałam nazwiska, nie było wśród nich porucznika Moncady. Po przybyciu na miejsce zastali w środku piętnaście osób, które wymieniono z imienia i nazwiska wraz z numerami dowodów osobistych. Sześć z nich to pracownicy kasyna. Dziewięć pozostałych figurowało jako „osoby prywatne”, z czego wniosłam, że chodzi o klientów. Wśród nich był Alejandro Tramel (to nazwisko podkreślono). Kiedy przyjechała Gwardia Cywilna, Ale siedział już na krześle zakuty w kajdanki. Założył mu je prawdopodobnie szef ochrony kasyna, ten, który wykonał telefon, wszystko bowiem wskazywało na to, że to mój brat odpowiada za śmierć ofiary. Jak później sprawdziłam, Aarón Freire przez dwadzieścia lat był komisarzem policji i choć teraz pracował w prywatnej firmie, nadal uważał się za miejscowego szeryfa, który wszystko robi po swojemu. Fakt, że mojemu bratu założono kajdanki, zanim przyjechała Gwardia Cywilna, mógł okazać się dla nas korzystny.

O 7.10 przeprowadzono pierwsze oględziny martwego ciała Bernarda Menendezza Ponsa leżącego w wielofunkcyjnym pomieszczeniu biurowym sąsiadującym z salą gier; wymiary, umeblowanie i wygląd pomieszczenia również zostały opisane w raporcie. Na górnej części głowy denata widać było ślady trzech uderzeń zadanych tępym narzędziem. Wszystkie trzy wskazywały na użycie dużej siły. Górna część potylicy została głęboko wgnieciona, co prawdopodobnie było przyczyną śmierci. Na podłodze wokół ciała widniały rozległe plamy krwi.

Z pierwszych oględzin, przeprowadzonych na polecenie lekarza sądowego, wynikało, że zgon nastąpił między 6.20, kiedy kilku świadków po raz ostatni widziało ofiarę żywą, jak wchodziła do pomieszczenia przylegającego do prywatnej sali gier (w którym najprawdopodobniej dokonano morderstwa), i 6.43, kiedy to Aarón Freire znalazł Menendezza Ponsa martwego.

O 7.15 funkcjonariusz nazwiskiem Pastor odkrył pod głównym biurkiem ciężką hinduską statuetkę szarego koloru o wymiarach trzydzieści na trzydzieści centymetrów ze śladami krwi. Mogła stanowić narzędzie zbrodni.

O 7.18 na scenie pojawia się Moncada. Nakazuje odgrodzenie taśmą miejsca, w którym leży ciało, i poleca Luisowi Pastorowi pilnować zwłok i prawdopodobnego narzędzia zbrodni, tak aby nikt nie zbliżał się do nich do czasu przybycia lekarza sądowego i spisania protokołu.

Między 7.30 i 8.45 odbywa się pierwsza runda przesłuchań świadków. Wstępne rozpoznanie ma w wielu przypadkach decydujące znaczenie i choć mój umysł nie funkcjonował w tym momencie najsprawniej, wiedziałam, że w tym może się kryć istota rzeczy. Generalnie rzecz biorąc, przesłuchiwanie zgadzali się co do faktów, które doprowadziły do incydentu i które zostały opisane w dalszej części protokołu. Około 23.00 w sali głównej kasyna zaczyna się partia pokera (odmiana hold'em no limit z blindami 5/10), w której przez kilka godzin uczestniczą liczni gracze. Alejandro Tramel od początku bierze udział w grze, obstawia wysoko ze zmiennym szczęściem i przegrywa dziesięć tysięcy euro. Wysokość zakładów rośnie. Gracze i ich liczba zmieniają się, jak zwykle w takich przypadkach. Ze względu na obrót, jaki przyjęła gra, około trzeciej nad ranem kierownik sali, pan Morenilla, zaprasza Trameła i innych, by kontynuowali partię w prywatnej sali, z dala od niedyskretnych świadków. W pierwszej chwili gracze, z Tramelem na

czele, odrzucają propozycję, argumentując, że dobrze im tu, gdzie są. Chwilę później do stołu podchodzi dyrektor kasyna, Menéndez Pons, i ponawia zaproszenie. Dochodzi do pierwszej wymiany wrogich spojrzeń między Tramelem, Ponsem i jednym z krupierów, niejakim Sebastianem Kowalczykiem. Menéndez Pons i Alejandro Tramel rozmawiają w cztery oczy i ten ostatni godzi się, by przenieść partię do prywatnej sali. Pozostali gracze idą w jego ślady, nie zgłaszając już żadnych zastrzeżeń. Kilku kelnerów i krupierów pomaga przenieść żetony, po tym jak zostaje uzgodnione, że nie będzie nowego rozdania i partia będzie kontynuowana z zachowaniem miejsc graczy i stawek na stole. Tramel nadal przegrywa spore sumy i wyklóca się z kilkoma osobami. Raport wspomina o kolejnej wymianie inwektyw z Kowalczykiem, któremu Tramel zarzuca, że przynosi mu pecha. Żądanie zmiany krupiera zostaje oczywiście zignorowane. O 5.50 do prywatnej sali wkracza Morenilla w towarzystwie Menendez Ponsa, by poinformować obecnych, że w ciągu dziesięciu minut muszą zakończyć partię, bo kasyno zostanie zamknięte. Tramel, wspierany przez jednego z graczy, nalega, by Pons wydłużył czas gry o dwie, trzy godziny. Prośba zostaje stanowczo odrzucona przez krupiera, kierownika sali i samego dyrektora. Koncesja na prowadzenie kasyna nakazuje zakończenie gry o 6.00. Tramel zarzuca wszystkim, w szczególności Menendezowi Ponsowi, że go oszukali, zwabili w pułapkę, i nalega na przedłużenie partii, by mieć szansę się odegrać. Podnosi głos, wymyślając im. W sali pojawia się szef ochrony, Freire, i upomina Tramela, żeby zachował spokój i dobre maniery, w przeciwnym razie on będzie musiał zawiadomić policję. Napięcie wydaje się opadać. Podczas końcowego podliczania żetonów Morenilla w imieniu kasyna zaprasza wszystkich obecnych na poczęstunek, na co większość z ochotą przystaje. Atmosfera staje się luźniejsza. Pons prosi Tramela, by przeszedł z nim do sąsiadującego z salką biura (co do tego punktu istnieją pewne rozbieżności: trzech świadkowie zeznają, że to ofiara poprosiła Tramela, by jej towarzyszył, dwóch innych zaś twierdzi coś zupełnie przeciwnego, że to Tramel chciał pójść do gabinetu z Menendezem Ponsem; pozostali nie są pewni albo w ogóle tego nie słyszeli). Kilka minut później, około 6.40, Alejandro Tramel wychodzi z gabinetu zmieniony na twarzy, do nikogo się nie odzywa i idzie do toalety. Widząc jego dziwne zachowanie, Freire natychmiast wchodzi do biura i znajduje na podłodze martwego dyrektora kasyna. Freire i inni pracownicy zatrzymują Tramela i dzwonią po

Gwardię Cywilną.

Sprawa nie wyglądała dobrze. Czułam obecność Moncady za plecami, ale postanowiłam niczego nie komentować i czytać dalej.

O 9.00 zatrzymano Alejandra Tramela jako głównego podejrzanego o zabicie Bernarda Menendezza Ponsa i przewieziono go do koszar Gwardii Cywilnej w Robredo. Pozostałych uprzedzono, że w ciągu najbliższych dni zostaną wezwani do złożenia zeznań w charakterze świadków i że w żadnym wypadku nie wolno im opuszczać Madrytu.

Między 9.30 i 10.30 odczytano zatrzymanemu formułkę o przysługujących mu prawach i wyznaczono adwokata z urzędu, który jednak nie pojawił się w koszarach, ponieważ Alejandro Tramel, korzystając z możliwości użycia telefonu, zatrudnił własnego prawnika. W międzyczasie podano zatrzymanemu kawę i wodę. Pan Tramel powtórzył czterokrotnie, z własnej woli, nie będąc o nic pytany ani poddawany przesłuchaniu: „Pons zasłużył sobie na śmierć”. Stwierdzenie to padło w obecności funkcjonariuszy Pastora, Segury i Moncady.

Bez wątpienia nie było to przyznanie się do winy, a tym bardziej próba samooskarżenia, którą można by wykorzystać przeciwko niemu w trakcie rozprawy.

Na tym wstępny raport się kończył.

– Czy mogę zrobić sobie kopię?

Moncada uśmiechnął się i delikatnie wziął ode mnie kartki.

– Dostanie pani kopię w odpowiednim czasie – powiedział.

Kiwnęłam głową i wstałam.

Popatrzyłam na Moncadę. Znów próbowałam odgadnąć powody, dla których był dla mnie taki uprzejmy, pozwolił mi wejść bez dokumentów i od razu przeczytać raport. Może chciał, żebym miała wobec niego dług. Może polubił mojego brata. Może on też grywał w pokera i spędził z moim bratem niejedną bezsenną noc. A może – i to wydało mi się najmniej prawdopodobne – po prostu był z natury życzliwy.

Z raportu wynikało kilka rzeczy.

Po pierwsze, mój brat się nie przyznał. Przynajmniej nie wprost. Zdanie: „Pons zasłużył sobie na śmierć” nie oznaczało przyznania się do morderstwa

i porucznik doskonale o tym wiedział.

Po drugie, wszyscy ci świadkowie tak naprawdę nie byli świadkami, bo morderstwa dokonano w biurze przylegającym do pomieszczenia, w którym się znajdowali. Byli przypadkowymi osobami, które widziały, jak oskarżony wchodzi do biura, gdzie przypuszczalnie popełniono zbrodnię. Mimo że przez pięć lat pisałam odwołania od mandatów drogowych, wiem doskonale, że różnica między świadkiem naocznym i pośrednim jest bardzo duża.

Wciągnęłam głęboko powietrze.

– Teraz chciałabym się zobaczyć z Alejandrem Tramelem – powiedziałam.

– Oczywiście – odparł porucznik. – Po to pani przyjechała.

Przeszliśmy przez drzwi, którymi wcześniej wszedł Moncada. Za nimi były drugie, węższe. Pilnował ich funkcjonariusz.

– Otwórz – polecił Moncada.

Chłopak wyciągnął pęk kluczy i zaczął manipulować przy zamku.

– Dziękuję za współpracę, panie poruczniku – odparłam krótko, starając się nie dorzucić żadnego niepotrzebnego słowa. Trochę dlatego, że nigdy nie wychodziło mi dziękowanie (nawiasem mówiąc, mówienie „przykro mi” też nie), a trochę dlatego, że nie chciałam powiedzieć za dużo.

– Nie ma za co. W końcu wszystkim nam zależy na tym samym: żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Właśnie.

Spojrzałam kątem oka na Moncadę. Nie wiedzieć czemu moją uwagę przyciągnęła jego siwiejąca broda. Podobała mi się, działała na mnie kojąco, miałam ochotę za nią złapać, zanurzyć w niej dłonie i przez chwilę po prostu ją głaskać. Niestety nie było na to czasu, nie mówiąc już o tym, że nie wypadało, by prawniczka broniąca oskarżonego o morderstwo postępowała w taki sposób z porucznikiem prowadzącym śledztwo w tej sprawie; mój gest na pewno zostałby źle zinterpretowany i wszystko obróciłoby się przeciwko mnie. Robienie i mówienie tego, co obraca się potem przeciwko mnie, to moja kolejna specjalność. Jeśli ktoś się jeszcze nie zorientował, moimi specjalnościami nie są rzeczy, które ludzie zwykle sobie cenią.

Drzwi się otworzyły. Ze środka padł snop niebieskobiałego światła.

W pokoju znajdował się mój brat, którego dawno nie widziałam i którego, szczerze mówiąc, miałam ochotę zobaczyć, przytulić, a może nawet przeprosić za to, że zniknęłam z jego życia. Ale nie w takich okolicznościach, nie kiedy ciążył na nim zarzut zabójstwa. Za chwilę miałam stanąć z nim twarzą w twarz i nie wiedziałam, jak tego uniknąć. Zrobiłam krok naprzód.

– Aha, jeszcze jedno – powiedział porucznik, zanim mnie przepuścił.

Zatrzymałam się.

– Wszystko jest nagrane, łącznie z samym zabójstwem – mruknął obojętnie. – Jak pani wiadomo, w kasynie są kamery monitoringu, które wszystko nagrywają. To dobrze, dzięki temu będziemy mogli potwierdzić każde słowo świadków, prawda?

– Wyglądasz fatalnie.

Były to pierwsze słowa, które brat wypowiedział na mój widok. Akurat ostatnimi czasy moje poczucie własnej wartości wystawiano na znacznie cięższe próby.

– Mam za sobą straszną noc. Przede wszystkim z powodu alkoholu – odpowiedziałam. – Skoro już szczerze rozmawiamy, powinieneś przejrzeć się w lustrze, Ale. Wyglądasz, jakby przejechał po tobie walec.

Skinął głową.

Od dziecka, kiedy to byliśmy nierozłączni, nazywałam go Ale. Nie inaczej. Ani Alejandro, ani Álex, ani Jandro. Po prostu Ale. Z tego, co wiem, tylko dwie osoby tak do niego mówiły. Ja i ojciec. Jak już wspomniałam, mój stary nie żyje, więc od dawna nikt nie zwracał się do niego w ten sposób.

Poczułam w środku coś w rodzaju wzruszenia, kiedy zobaczyłam go tam, zatrzymanego za morderstwo. Mój młodszy brat. Kochałam go. I chociaż od lat nie miałam o nim żadnych wiadomości, gdy tylko przekroczyłam próg, obudził się we mnie instynkt opiekuńczy.

– Nie śpię od siedemdziesięciu dwóch godzin – powiedział, może próbując wytłumaczyć swój wygląd, a może starając się zasygnalizować coś, co miało związek ze stawianymi mu zarzutami.

– Posłuchaj. Prawdopodobnie nie nagrywają tej rozmowy, nie mają pozwolenia. Ale nigdy nie wiadomo. Lepiej, żebyś nic nie mówił. Mimo że nie mogliby wykorzystać tego jako dowodu, nie chcemy im pomagać ani dawać wskazówek. Radzę ci, żebyś w ogóle nic nie mówił, przyjdzie jeszcze na to czas.

Rozejrzał się dookoła rozbawiony, jakby możliwość, że nas nagrywają, wydała mu się śmieszna. Powiedział ściszym głosem:

– Grałem siedemdziesiąt dwie godziny.

Cmoknęłam zniecierpliwiona.

– Może nie dosłyszałeś, więc powtórzę jeszcze raz – powiedziałam, starając się nie tracić cierpliwości. – Niczego nie mów. Odpowiadaj wyłącznie na moje pytania. Nic więcej.

Pokręcił głową zrezygnowany. Wzrok miał jakby zagubiony. Jego zielone oczy – zdaniem niektórych tak zniewalające, że kiedy spojrzał na ciebie uważnie, mógł cię rozbroić i zrobić z tobą, co tylko chciał – straciły nieco ze swojego blasku. Na twarzy wyskoczyły mu czerwone plamy, nic poważnego, pomyślałam, brak snu, niedawno skończona czterdziestka, oskarżenie o zabójstwo na karku, tego rodzaju sprawy. Niechlujny dwu-, trzydniowy zarost, wory pod oczami i blada cera nadawały mu szczególnie niepokojący wygląd. Mimo to nadal miał w sobie urok niegrzecznego chłopca, niepoprawnego uwodziciela.

– Jak już wiesz, jesteś oskarżony o zamordowanie Bernarda Menendez Ponsa. Porucznik twierdzi, że przyznałeś się do popełnienia zabójstwa – powiedziałam.

Potem wyjęłam teczkę z dokumentami, którą zabrałam z samochodu.

– Skurwiel. To nieprawda. Zastawili na mnie pułapkę. Te sukinsyny robią to od lat.

Spojrzałam na niego znad papierów. Nie wiedziałam, czy ma na myśli Gwardię Cywilną, czy ludzi z kasyna, w tym Ponsa. Tak czy inaczej, nie powinien wyrażać się źle o nikim.

– Nie mówię ci o tym po to, żebyś mi powiedział, czy to prawda, czy nie – zareagowałam szybko, nim zdążył dodać coś więcej. – Musisz zrozumieć jedno, raz na zawsze: nie rozmawiaj z nikim o tym, co przydarzyło się Menendezowi Ponsowi, ani o niczym, co ma jakikolwiek związek z tą sprawą. Nie rozmawiaj o tym nawet ze mną, dopóki cię o to nie poproszę.

– Przecież ty jesteś moim adwokatem.

– Na to wygląda.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. Odłożyłam dokumenty na stół. Ale zrobił głupkowatą minę, jak zawsze, kiedy był z czegoś zadowolony, co w zaistniałej sytuacji wydawało się paradoksalne.

Nie jestem jasnowidzką ani telepatką, nie wierzę też w komunikację, która

pozwała ludziom porozumiewać się bez słów, jednak łatwo było odczytać jego myśli: rodzeństwo Tramelów znowu razem, wplątane w niezłą aferę jak za starych dobrych czasów. Mój brat mnie potrzebował, a ja pospieszyłam mu z pomocą. Łzawa historia. Wzruszająca scena, jak w programach telewizyjnych, w których krewni spotykają się po latach rozłąki.

– Chcesz, żebym cię przytulił? – zapytał Ale.

– Jeżeli tylko spróbujesz, kopnę cię w jaja – odpowiedziałam. – Mówię poważnie.

Wy tłumaczyłam mu dalsze kroki. Najpierw musi podpisać ze mną standardową umowę jako ze swoim adwokatem. Po to wzięłam teczkę z samochodu. Były w niej druki z mojej kancelarii, które mogły się przydać. Następnie udzieli mi oficjalnego pełnomocnictwa przed sądem. Bez tego będę miała związane ręce. Do załatwienia było mnóstwo formalności i to, że jesteśmy rodzeństwem i podpisaliśmy umowę, na nic się nie zda, jeżeli sekretarz sądowy nie poświadczy i nie opieczętuje upoważnienia.

Co do umowy, powiem wprost: nie ufam Alemu w niczym, co dotyczy pieniędzy. Wiem, to mój młodszy brat. Kocham go, o ile to cokolwiek znaczy (wyjaśnianie, co tak naprawdę myślę o miłości, zabrałoby dużo czasu). Dla niego byłam gotowa wyjść z trwającego pięć lat stanu hibernacji, ale to nie znaczy, że mu ufam. Oględnie mówiąc, nigdy nie miał szczęścia do pieniędzy. A co gorsza, miał kompulsywny charakter. Skąpe informacje na jego temat, jakie w ostatnich latach do mnie docierały, wskazywały, że jest uzależniony od hazardu. Jeżeli to prawda, mieliśmy do czynienia z bombą, która w każdej chwili mogła wybuchnąć. Wszystko za tym przemawiało. Grał bez przerwy przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny, a potem sprzątnął dyrektora jednego z najważniejszych kasyn w kraju (w każdym razie był o to oskarżony, co na jedno wychodzi). Będę potrzebowała przy tej sprawie różnego rodzaju pomocy. Co najmniej dwóch czy trzech dodatkowych prawników, sekretarki, detektywa, analiz, powtórzonych analiz, ekspertów od wszystkiego, sama nie wiem, czego jeszcze; na pewno wyniknie z tego masa nieprzewidzianych wydatków. Będę musiała skorzystać z zasobów kancelarii. Wszystko to wymagało góry banknotów. Dlatego chciałam, żeby honorarium zostało zapisane czarno na białym.

Ale wyglądał na znudzonego, kiedy objaśniałam mu kolejne punkty

umowy. Zainteresowała go dopiero kwestia pieniędzy.

– Bierzesz trzydzieści tysięcy euro za taką sprawę? – zapytał zdumiony. – Znaczący śpisz na forsie.

– Nie ja – powiedziałam. – Moja kancelaria. Zresztą to promocyjna cena. Oczywiście prokurator i notariusz są opłacani osobno.

Położyłam przed nim odpowiednie formularze. Mój brat spojrzął na logo widniejące w nagłówku każdej z kartek.

– Nadal zajmujesz się mandatami?

Chociaż od dawna się nie widzieliśmy ani nie rozmawialiśmy, najwyraźniej znał kilka faktów z mojego życia, tak jak do mnie dotarły informacje o jego zamiłowaniu do pokera.

Skinęłam głową.

– Musisz podpisać, Ale. Teraz – odpowiedziałam. – W przeciwnym razie nie będę mogła cię bronić.

– A jeżeli nie dam rady zapłacić?

– Coś wymyślimy.

Kiedy skończyliśmy z umową, przeszłam do kolejnej sprawy.

– Posiedzisz trochę w areszcie – oznajmiłam.

Zmarszczył nos.

– Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Będę się starała załatwić ci zwolnienie warunkowe, kiedy sąd podejmie już decyzję o tymczasowym aresztowaniu, co wkrótce nastąpi, ale od razu uprzedzam, że nie będzie łatwo: jesteś oskarżony o morderstwo. Chociaż nie znamy szczegółów, niemal na sto procent cię nie wypuszczą. Wytrzymasz?

– Dam radę – stwierdził bez większego przekonania.

Alejandro Tramel nie był specjalnie dobry w „wytrzymywaniu”. W całym swoim życiu nie miał żadnego konwencjonalnego zajęcia. Już od wczesnej młodości wiedział, że stała praca, osiem godzin dziennie od poniedziałku do piątku, nie jest dla niego. Próbował studiować prawo, marketing, filologię angielską i hotelarstwo. Po śmierci ojca wydał niewielkie pieniądze, które

dostał w spadku, na podróżowanie po świecie. Kiedy wrócił, przez pewien czas pracował jako kucharz w supernowoczesnej restauracji w centrum. Szło mu całkiem nieźle, ale – jak było do przewidzenia – szybko się znudził. Zatrudnił się nawet w telewizji jako scenarzysta. W talk-show. Podobno przyjaźnił się z jednym z producentów. Nie wytrwał tam długo. Wyrzucili go, kiedy odkryli, że zrzynał pytania ze starych wywiadów z CNN. Był kelnerem w hawajskim drink-barze, współwłaścicielem baru na plaży, stróżem nocnym, a nawet czytaczem na godziny. Nie wiedziałam, że taka praca w ogóle istnieje – polega na czytaniu książek osobom starszym, chorym i niepełnosprawnym. Jego moment chwały nadszedł, kiedy zaczął grać w pokera online, zarobił sporo pieniędzy w okresie bańki internetowej. Już widział się w roli Steve’a Jobsa pokera czy kogoś w tym rodzaju. Ale i to mu przeszło, jak wszystko. Nie osądzam go, nie mam prawa. Chcę tylko powiedzieć, że nie był człowiekiem, który łatwo przystosowuje się do przyjętych norm. Miał rozliczne talenty i jeżeli coś go interesowało, konsekwentnie realizował swoją pasję. Nie sądzę jednak, żeby miał poradzić sobie w więzieniu. Nie taki facet jak on. Na razie nie widziałam jednak innej możliwości.

Trzecia sprawa: domniemanie niewinności.

– Gdybyś tego nie wiedział, w tym kraju każdy pozostaje niewinny, dopóki nie zostanie udowodnione, że jest inaczej – powiedziałam.

– Kocham ten kraj – odparł z ironią.

– Co oznacza, że to oni będą musieli udowodnić, że jesteś winny – ciągnęłam. – To oni będą musieli znaleźć dowody. My będziemy grać w obronie. Zbijemy ich argumenty, podważymy ich dowody, zakwestionujemy każdą ich poszlakę. Taką przyjmujemy taktykę. Nasz wymiar sprawiedliwości wyraża się w tej kwestii jasno: wina musi zostać udowodniona ponad wszelką wątpliwość.

Brat patrzył na mnie, jakby przestał mnie słuchać albo jeszcze gorzej: jakby to, co mówiłam, nie było takie ważne. Miałam ochotę zapytać go o monitoring w kasynie, wiedziałam, że w salach gier są kamery, ale czy znajdują się także w biurze, w którym popełniono zbrodnię? To zmieniłoby postać rzeczy. Co innego widzieć, jak ktoś wchodzi do pomieszczenia, w którym zabito człowieka, i z niego wychodzi, a co innego zobaczyć na

własne oczy, jak ten ktoś wali ofiarę w głowę.

Postanowiłam go nie pytać. Wolałam dowiedzieć się tego w inny sposób. Samo zadanie pytania sprawiłoby, że Ale by się zdenerwował. I tak był już niespokojny, choć bardzo starał się to ukryć. Poza tym nie chciałam, żeby gwardziści, którzy być może słuchali naszej rozmowy, wiedzieli, w jakim kierunku zmierzają moje przemyślenia i wątpliwości; nie miałam zamiaru już na początku zdradzać swoich słabych stron. Moncada i reszta powinni widzieć we mnie świetną, wyjątkowo skuteczną prawniczkę: wszystko wiem i nawet gdyby istniało nagranie, na którym byłoby widać, jak mój klient z wściekłością rozłupuje czaszkę dyrektorowi kasyna, sprawię, że sędzia albo, jeśli dopisze mi szczęście, ława przysięgłych uznają go za niewinnego. Jak? Nie miałam jeszcze zielonego pojęcia. Ale to właśnie zamierzałam zrobić. Nie chcę się przechwalać, kiedyś dokonywałam w sądzie większych wyczynów, a to wiele o mnie mówi. Fakt, wtedy miałam coś, co potem utraciłam: bezgraniczną wiarę w siebie. Chociaż już nigdy jej nie odzyskam, mogę spróbować zachowywać się tak, jakbym ją miała. Myślę, że jeżeli się postaram, może uda mi się uwierzyć (pewnie tylko na jakiś czas), że znów jestem Aną Tramel, prawniczką, która może wszystko. Byłam gotowa zaryzykować i założyć tę maskę, nawet jeśli miałyby zostawić ślady na mojej twarzy.

W tym momencie mój brat podrapał się po brodzie i powiedział akurat ostatnią rzecz, którą chciałam usłyszeć:

– Jestem niewinny – oznajmił z powagą. – To jest najważniejsze, Ano.

Zamierzałam mu odpowiedzieć, że wszystko zostało nagrane i żeby lepiej trzymał gębę na kłódkę. Pomyślałam jednak, że nie powinnam, w każdym razie w taki sposób.

– Tu akurat się mylisz, mój drogi – powiedziałam. – Nie będę cię bronić dlatego, że jesteś niewinny. Będę cię bronić tylko i wyłącznie dlatego, że jestem twoim adwokatem. Chcę, żebyś to zrozumiał. A najważniejsze nie jest wcale to, co powiedziałeś, najważniejsze jest to, że unikniesz kary – jeśli rzeczywiście jej unikniesz, co wcale nie jest takie pewne – nie dlatego, że jesteś niewinny, ale dlatego, że ja wykonam dobrze swoją pracę. Wyłącznie dlatego. Proszę cię więc – żądam od ciebie – żebyś nie mówił mi więcej, że jesteś niewinny; to nie pomoże żadnemu z nas w wygraniu sprawy.

Rozparł się na krześle. Wydawało się, że walczy sam ze sobą, ze swoim naturalnym instynktem. Było oczywiste, że to nie jest dobry okres w jego życiu, jeżeli w ogóle kiedykolwiek taki miał. Mój brat należał do osób, które zawsze ktoś (w jego wypadku starsza siostra) ratuje z tarapatów, a wpadał w nie często. Chociaż różnica wieku między nami wynosiła zaledwie trzy lata, zastąpiłam mu w pewnym sensie matkę, która zmarła, kiedy byliśmy mali. Pomagałam mu, doradzałam, pozwalałam u siebie mieszkać, pożyczalam pieniądze i wiele innych rzeczy, podnosiłam go na duchu i robiłam to wszystko z głębi serca, szczęśliwa, że mogę wyświadczyć mu przysługę. Do czasu, aż pięć lat temu moje życie wywróciło się do góry nogami i posłałam go do diabła. Zresztą tak naprawdę wszystkich. Może i życie nie głaskało Alego po głowie. Jednak nie tylko jego.

– W porządku – szepnęła.

Ktoś zapukał do drzwi.

Do środka zajrzał umundurowany funkcjonariusz.

– Dwie minuty – uprzedził.

– Dziękuję – odpowiedziałam.

Poczekalam, aż zamknie drzwi.

– Zdaje mi się, że z jakiegoś dziwnego powodu darzą cię tu szacunkiem – stwierdziłam, zbierając ze stołu papiery.

– Nie wszyscy – odparł tajemniczo Ale. – Moncada mi pomógł.

– Znałeś go wcześniej?

Odniosłam wrażenie, że Ale zastanawia się nad odpowiedzią, jakbym zadała mu trudne pytanie. Mruknął coś pod nosem. Jednak w końcu powiedział:

– Tak.

– Ostatnia rzecz. Chociaż byli dla ciebie tacy mili, oczywiście lepiej będzie, jeżeli skorzystasz z przysługującego ci prawa do odmowy składania zeznań. Zgadzasz się ze mną?

Niemal niedostrzegalnie pokiwał głową. Schowałam do teczek dokumenty, w tym podpisaną przez niego umowę.

– Będziemy w kontakcie, Ale.

– Mogę cię jeszcze o coś prosić? – zapytał.

Spojrzałam na niego.

– Musisz mi pożyczyć pieniędzy – powiedział z powagą. – Nie mogę siedzieć w więzieniu bez jednego euro w kieszeni. Obiecuję, że oddam.

Miał rację. Czekwały go trudne godziny i dni. Trochę gotówki mogło nieco ułatwić mu życie. Z drugiej strony, obietnice mojego brata dotyczące pieniędzy były bezwartościowe, nie miały absolutnie żadnego znaczenia, tyle już razy nie dotrzymał słowa, że najprawdopodobniej sam w nie nie wierzył.

– Nie mogę dać ci pieniędzy, dopóki nie trafisz do aresztu. I żeby było jasne: powinnam je przelać na więzienne konto. To nie wymówka, takie są przepisy. Wykonam potem kilka telefonów; zobaczymy, czy da się jakoś je obejść.

Wstaliśmy. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Jak już mówiłam, nie znoszę pożegnań, są ponad moje siły.

– Z nikim nie rozmawiaj – powiedziałam. – Od tego może zależeć dalszy bieg sprawy.

– Rozumiem, pani mecenas – odparł.

– Wkrótce dostaniesz wezwanie do sądu. To czysta formalność, chodzi jedynie o to, by sędzia zdecydował, czy przyjmie zgłoszenie o popełnieniu przestępstwa i czy wyśle cię do aresztu. Od razu mogę cię uprzedzić, że tak zrobi. Będę z tobą, kiedy za kilka godzin stawisz się w sądzie. Jeżeli będziesz potrzebował mnie wcześniej, poproś, żeby mnie zawiadomiono.

To były moje ostatnie słowa. Podeszłam do drzwi. Zapukałam dwa razy i czekałam, aż otworzą. Czułam na plecach wzrok Alego. Jeżeli liczył na to, że przed wyjściem powiem coś, żeby dodać mu otuchy, albo pocałuję go czy uściskam na pożegnanie, to się przeliczył.

Przeszłam przez posterunek i wróciłam na parking.

Kiedy znalazłam się na zewnątrz, słońce wydawało się świecić mocniej. Wsiadłam do samochodu. Położyłam dokumenty na fotelu pasażera. Zapięłam pasy. I zacisnęłam dłonie na kierownicy. Nagle poczułam się wyczerpana. A to był dopiero początek dnia.

Będę musiała spotkać się jeszcze z zespołem prawników z mojej kancelarii, prawników nawykłych do odwoływania się od mandatów

drogowych, którzy pierwszy raz w życiu poprowadzą sprawę o morderstwo. Będę musiała odszukać osobę, której zostawiłam wiadomość głosową i która jeszcze do mnie nie oddzwoniła: potrzebowałam jej pomocy. Prawdopodobnie będę musiała odbyć kolejną rozmowę z porucznikiem Moncadą, kiedy pojawią się nowe informacje w sprawie. Będę musiała sprawdzić, gdzie znajdują się kamery monitoringu (moja główna zagwozdzka). Będę musiała wysłać kogoś zaufanego, żeby upewnił się, czy Ale dostał pieniądze, które mu obiecałam. Będę musiała odtworzyć z pomocą mojego zespołu wydarzenia, do których doszło tego ranka i które doprowadziły do śmierci Menendeza Ponsa. Będę musiała zmierzyć się z Conchą, Ronda powiedziała, że jest w złym humorze, a to oznaczało, że albo dostała wyniki za pierwszy kwartał, albo jeden z dzieciaków, które niedawno dołączyły do kancelarii, znowu palnął jakieś głupstwo. Będę musiała zrobić to wszystko i jeszcze więcej, zanim zrobię to, czego naprawdę potrzebuję.

Zanim położę się i zamknę oczy.

Po prostu zamknę oczy.

6

– Jesteś zwolniona – powiedziała, nie mrugnawszy okiem.

Bez wątpienia był to dzień pełen silnych wrażeń, kilka lat temu może nawet by mnie to ekscytowało. Pamiętam jeszcze, co odpowiedziałam, kiedy moja koleżanka z roku, Concha – ta sama Concha, która stała teraz przede mną – zapytała po skończeniu studiów, czego chcę od życia: „Silnych wrażeń, tego chcę”. Byłam młoda. Byłam idiotką. I rzecz jasna, życie nie przejechało jeszcze po mnie walcem. Gdyby zadano mi to samo pytanie dzisiaj, pewnie odpowiedziałabym: „Spać”.

Concha powtórzyła, na wypadek gdybym jej nie usłyszała.

– Zwalniam cię, Ano – powiedziała. – Jesteś zwolniona.

Staralam się zrozumieć konsekwencje jej słów.

– Nie mogłaś wybrać gorszego momentu – stwierdziłam.

Spojrzałam na zegar wiszący na ścianie gabinetu: 16.22. Troje prawników kancelarii czekało w sali konferencyjnej na wyjaśnienia, o co chodzi z Menendezem Ponsem i co ma wspólnego Promultas ze sprawą o morderstwo. Nie mogłam tracić czasu z Conchą. A tym bardziej nie mogłam dopuścić do tego, żeby mnie zwolniła. Potrzebowałam środków, którymi dysponowała kancelaria, choćby były znikome (w rzeczywistości wcale takie nie były), potrzebowałam jej zespołu, potrzebowałam kserokopiarek, ekspresu do kawy, tych czterech ścian, w których się teraz znajdowałyśmy. Potrzebowałam tego wszystkiego, żeby poprowadzić sprawę brata.

– Właśnie słyszałam – powiedziała z westchnieniem. – Ponoć zajmujesz się teraz sprawami o morderstwo. Ekscytujące.

Jak było do przewidzenia, Ronda nie zdołała utrzymać języka za zębami. Pokręciłam głową.

– To nie są „sprawy” o morderstwo – odpowiedziałam. – Dziś rano

zatrzymano Alego. Jest oskarżony o zabicie dyrektora kasyna Gran Castilla.

Z miny Conchy wywnioskowałam, że to dla niej nowa informacja. Odniosłam nawet wrażenie, że kiedy ją usłyszała, lekko zakręciło jej się w głowie.

– Alego? – zapytała zbita z tropu. – Naszego Alego?

Faktycznie. Zapomniałam, że Concha jest trzecią osobą, która tak nazywa mojego brata. Na drugim roku studiów miała z nim krótki romans. Sama tak to określiła: „Krótki romans”. Ja powiedziałabym raczej, że po prostu przez kilka tygodni się bzykali. Nie była pierwszą moją koleżanką, którą Ale zaciągnął do łóżka. Już wspominałam, że mój brat zawsze był uwodzicielem pierwszej klasy. Jego elokwencja, zielone oczy, nieodłączny uśmiech i udręczona dusza stanowiły połączenie, któremu nie sposób było się oprzeć. Zasadniczo nie obchodziło mnie, co wyrabiał z moimi koleżankami czy innymi dziewczynami. Wszyscy byliśmy dorośli, wiedzieliśmy, co robimy, poza tym byliśmy o trzy lata od niego starsze, a w przypadku dwudziestolatków to prawdziwa przepaść. Przygotowywał się wtedy do egzaminów wstępnych, my już studiowałyśmy. Zakończenie tej historii było łatwe do przewidzenia: po dwóch miesiącach Ale się znudził i złamał serce mojej koleżance. Żadna nowość. Chociaż tym razem zanosilo się na coś poważnego. Miałam wrażenie, że Concha straciła dla niego głowę. O ile dobrze pamiętam, po studiach jeszcze kilka razy poszła z nim do łóżka, kiedy była już zaręczona ze swoim obecnym mężem. Pewnie musiała powetować sobie tę stratę. O ile wiem, później widzieli się już tylko podczas kilku uroczystości, jak mój ślub czy inne okazje, o których wolałabym teraz nie wspominać. Mimo to nazwała go „nasz Ale”. Albo o czymś nie wiedziałam, albo tamta młodzięcza miłość znaczyła dla niej więcej, niż przypuszczałam.

– Zatrzymała go Gwardia Cywilna, zapewne wkrótce zostanie przewieziony do aresztu – powiedziałam. – Zarzuty są poważne. Jest kilku świadków. Rzekome przyznanie się do winy. I prawdopodobnie również nagranie z monitoringu. Nie mogłam powiedzieć ci wcześniej; wszystko wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin.

– Widziałaś się z nim? – spytała Concha zdenerwowana. Choć próbowała nad sobą zapanować, widać było, że ta wiadomość nią wstrząsnęła.

Lekko skinęłam głową.

– Jak się trzyma?

Odniosłam wrażenie, że Concha odtwarza w głowie obraz mojego brata: jego zielone oczy, jego potargane włosy, jego kruchość, niemal bezbronność, jego chód.

– Znośnie – odpowiedziałam, najzwyczajniej jak potrafiłam, starając się oddalić obraz atrakcyjnego nieudacznika zbuntowanego przeciwko całemu światu, jakim wciąż był Ale. – Sądzę, że uzależnił się od hazardu. Bez względu na to, czy popełnił to morderstwo, czy nie, doskonale nadaje się na oskarżonego.

– Wiesz, że zawsze bardzo ceniłam twojego brata – powiedziała Concha takim tonem, jakby Ale był co najmniej Sekretarzem Generalnym ONZ.

– Wszyscy bardzo kochają Alego – odparłam. – W koszarach, w których byłam dziś rano, pewnie powieszą na ścianie jego zdjęcie: „Morderca miesiąca”. Proszę cię, Concho, nie mów, że on wciąż cię kręci; ten dzieciak ma czterdzieści lat.

Wzruszyła ramionami, co z grubsza oznaczało przyznanie się do winy. Concha Andújar od lat była żoną mężczyzny, który nie wiem, czy ją uszczęśliwił, ale przynajmniej zapewniał jej jako taką stabilizację, a to (stabilizacja) zawsze bardzo się dla niej liczyło. Miała trzy śliczne, bystre córeczki w wieku trzynastu, dziewięciu i siedmiu lat: Jimenę, Rosę i Aitanę. Była właścicielką, szefową i menedżerką dobrze prosperującego interesu zatrudniającego kilkudziesięciu pracowników. Znalazła się na okładce pisma Izby Adwokackiej. Mieszkała w willi z osiemsetmetrowym ogrodem i basenem. Jeździła bmw wartym ponad sześćdziesiąt tysięcy euro. A jednak... nadal czuła coś do owego niedojrzałego gościa, który sto lat temu złamał jej serce. Natura ludzka nieustannie mnie zadziwia.

– Nie jest tak, jak myślisz – zapewniała.

Nie, oczywiście. Mogłam to wyczytać w jej oczach. Nie żeby była gotowa rozwalić swoje małżeństwo dla szybkiego numerku z Alejandrem Tramelem. Nic z tych rzeczy. Chodziło o coś innego. O miłość. Wielką. Prawdziwą. On był jej księciem z bajki. Któregoś dnia zda sobie z tego sprawę i odjadą razem na białym rumaku.

– Nie wkurwiał mnie, Concha – wycedziłam.

– Nie jesteśmy tu po to, żeby rozmawiać o moim życiu uczuciowym, o twoim bracie czy o moich problemach małżeńskich – powiedziała stanowczo, zmieniając ton.

– Masz problemy małżeńskie? – zapytałam, żeby trochę się z nią podrażnić.

– Ano, proszę cię, mówię poważnie.

– Ja też – odpowiedziałam.

Concha wyjęła gruby segregator, rozpięła go i teatralnym gestem wytrząsnęła na stół masę papierów, które rozsypały się na blacie.

– Wyniki za ostatni kwartał – oznajmiła.

– Czuję, że nie są dobre – przepowiedziałam z właściwą sobie przenikliwością.

– Jesteśmy bankrutami – odparła. – Nie w przerośni. Dosłownie. Bankrutami. Liczba wygranych apelacji poszła w dół, odkąd wszedł w życie nowy kodeks. Ale nie to jest najgorsze. Problem w tym, że nasze i tak skromne zyski z wygranych spraw spadły o osiemdziesiąt dwa procent. Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? Osiemdziesiąt dwa procent! A z jakiego powodu? Z powodu agresywnej polityki cenowej konkurencji, tych supermarketów z przecenami, które bezwstydnie określają siebie mianem kancelarii. Z powodu tych, którzy stali się niewypłacalni w związku z kryzysem. Z powodu coraz większych wydatków na marketing, reklamę bezpośrednią, utrzymanie. I oczywiście z powodu zbyt dużych kosztów stałych. Przeklętych, nieszczęsnych i zawsze niedoszacowanych kosztów stałych.

Concha wiecznie narzekała, ale tym razem to było coś zupełnie innego. Rozrzuciła wszystkie dokumenty z ostatniego kwartału na stole i podłodze gabinetu! A w przypadku tej maniaczki porządku mogło to oznaczać tylko jedno: mówiła poważnie.

– Toniemy, Ano.

Postanowiłam być szczerą. Prawdopodobnie była to moja ostatnia szansa. Znałyśmy się zbyt dobrze, żeby się bawić w podchody.

– Nie możesz mnie zwolnić – powiedziała. – Potrzebuję środków, jakimi dysponuje Promultas, do obrony Alego. Proces będzie bardzo ciężki, sama

nie dam rady. Może z waszą pomocą będę miała jakieś szanse, nie wiem. Nieraz udzielałaś mi wsparcia. W pewnym sensie kiedyś ocaliłaś mi życie. I jestem ci za to wdzięczna z całego serca. Ale nie prosiłam cię o to. Zrobiłaś to z własnej inicjatywy. Teraz cię proszę. Zaczekaj do końca procesu mojego brata, a potem zwolnij mnie albo zrób, co będziesz chciała. Podpiszę, że dobrowolnie odchodzę z pracy, żebyś nie musiała wypłacać mi odprawy.

Wyglądało na to, że wzmianka o odprawie dała jej do myślenia.

– No i Ale zaakceptował honorarium i podpisał umowę z Promultas – ciągnęłam. – Wiem, że nie będzie łatwo, ale w końcu nam zapłaci.

– Jak długi to może być okres? – zapytała.

– Nie wiem – powiedziałam, starając się szybko policzyć w myślach. – Kilka tygodni, może miesięcy, góra rok.

Concha opadła na krzesło przygnębiona.

– Nie rozumiesz – powiedziała poważnie. – Zamierzam zamknąć tę budę.

To dopiero bomba. Nie chodziło o mnie. Chodziło o zwolnienie wszystkich pracowników i zamknięcie kancelarii. Koniec i kropka.

– Pierwszego listopada, dokładnie za jedenaście dni, ani wcześniej, ani później, Promultas przejdzie do historii – dodała. – Firmy nie da się utrzymać. Jesteś drugą osobą, która się o tym dowiaduje, po Felipe. To przemyślana i nieodwołalna decyzja.

Felipe był jej mężem, ojcem jej córek. Prokuratorem pracującym dla korporacji, z którym nigdy się nie rozumieliśmy. Prostym mężczyzną starej daty, z wielkim brzuchem i – jak opowiadała moja przyjaciółka, a także on sam, kiedy za dużo wypił – dużym kutasem. Wyobraziłam sobie, jak Felipe z zaangażowaniem udziela Conchy rad. Na pewno to on powiedział, żeby zamknęła kancelarię, że ostatnio firma przysparza jej samych problemów, że powinna przystopować. Zarobiła wystarczająco dużo; może przez dłuższy czas nie pracować, nie zmieniając dotychczasowego stylu życia.

Sytuacja wyglądała znacznie gorzej, niż przypuszczałam.

Nadeszła pora, by wyłożyć dzokera. Dzokera, o którego istnieniu podświadomie wiedziałam, a który teraz wyraźnie pojawił się w mojej głowie. Do dzieła!

– Zróbmy to – oznajmiłam.

– Co? – zapytała, udając roztargnienie, chociaż powiedziałam to w taki sposób, że musiała wiedzieć, o czym mówię.

– To, co zawsze chciałaś – odparłam. – Otwórzmy kancelarię. Prawdziwą kancelarię prowadzącą grube sprawy, sprawy życia i śmierci. Ty i ja.

Od czasu studiów Concha próbowała mnie przekonać, żebyśmy otworzyły razem kancelarię. Na początku w ogóle nie brałam pod uwagę takiej możliwości. Źle to zabrzmiało, ale uważałam, że z racji talentu, przygotowania i wielu innych rzeczy mogę mierzyć znacznie wyżej jako prawniczka. Zresztą szybko to udowodniłam. Skończyłam studia z najlepszymi wynikami – co nikogo nie zdziwiło. Od razu zaczęłam pracować dla jednej z najlepszych kancelarii w mieście. Nie będę się rozwodzić; tamten okres mojego życia mnie nie interesuje, ale w skrócie mogę powiedzieć, że przez kilka lat ja wybierałam sprawy, ja wybierałam kancelarie i ja decydowałam, ile i jak chcę zarabiać. Byłam u szczytu kariery zawodowej. Potem wszystko się zmieniło. Postanowiłam się wycofać, nie chciałam mieć nic wspólnego z sądami. Właśnie wtedy przyszła mi z pomocą Concha. Wcześniej, w tym okresie, i potem, czasami bezpośrednio, kiedy indziej nie wprost, starała się mnie namówić, żebyśmy połączyły siły i zdecydowały się na ten krok. Temat był delikatny, więc nie mogłam beztrąsko żartować. Skoro jej to zaproponowałam, będę musiała dotrzymać słowa.

– Mówisz poważnie? – zapytała.

– Zawrzyjmy umowę – wymyśliłam na poczekaniu. – Ty jeszcze przez rok utrzymasz Promultas, prowadząc działalność w minimalnym zakresie. Ja będę mogła wykorzystać zespół i środki kancelarii do obrony Alego. Po zakończeniu procesu zamkniesz interes. I zaczniemy od zera. Ty i ja. Razem.

Concha nie wahała się nawet przez sekundę.

– Rok to bardzo długo – powiedziała zamyślona. – Ani dnia więcej. Będę musiała zwolnić kilku pracowników, zrestrukturyzować firmę, zrobić trochę nieprzyjemnych rzeczy. A ty będziesz musiała znaleźć czas, żeby pilnować mandatów; czym innym jest bankructwo, a czym innym bankructwo do kwadratu.

Podpisywałam na siebie wyrok. Decydowałam o swojej osobistej i zawodowej przyszłości, będąc w sytuacji podbramkowej, kierując się zaufaniem koleżanki i potrzebami brata. Obiektywnie rzecz biorąc, każdy

headhunter skrzyczałby mnie już za to, że w ogóle uwzględniam te dwa czynniki. Ale jako że od dawna żaden z tych bydlaków do mnie nie dzwonił, uścisnęłam dłoń Conchy.

W mojej kieszeni zaczęła wibrować komórka.

– Przepraszam – powiedziałam – muszę odebrać.

Wyjęłam aparat i spojrzałam na wyświetlacz: M. Telefon, na który czekałam od kilku godzin. Odebrałam dopiero po chwili.

– Halo?

Concha przyglądała mi się zaintrygowana. Pewnie moja twarz zdradzała, że się denerwuję. W pewnym sensie przywoływałam ducha z przeszłości.

– Witaj, Ano – usłyszałam męski głos po drugiej stronie.

Przez kilka sekund oboje milczeliśmy. Do diabła, nie mogłam bawić się w grzeczności, nie miałam na to czasu.

– Posłuchaj, potrzebuję detektywa do sprawy o morderstwo – oznajmiłam.
– Jesteś zainteresowany?

– Myślałem, że zajmujesz się mandatami – powiedział głos niezmiennym tonem.

– Pełny etat przez sześć miesięcy, do przedłużenia o kolejne sześć – dodałam obojętnie, jakbym starała się go zniechęcić, choć tak naprawdę chodziło mi o coś wręcz przeciwnego. – Od zaraz, a kiedy mówię „od zaraz”, mam na myśli „w tej chwili”. Płaci Promultas.

Concha chciała coś powiedzieć, ale powstrzymałam ją ruchem dłoni.

– Zgoda.

– Doskonale – odparłam. – Zaczynasz dzisiaj. Podjedź do koszar Gwardii Cywilnej w Robredo i sprawdź, co się dzieje z Alejandrem Tramelem. Został dziś rano zatrzymany za zabójstwo; powinien wciąż tam być, chyba że bez wiedzy jego adwokata został przewieziony gdzie indziej. Kiedy upewnisz się, że wszystko w porządku, zrobisz trzy rzeczy: po pierwsze poinformujesz mnie o tym, po drugie porozmawiasz z kimś, kogo znasz w koszarach, żeby zapewnił mu wsparcie w tych pierwszych godzinach, nie chcę, żeby się załamał, i wreszcie przekażesz mu trzysta, czterysta euro; na pewno znajdziesz jakiś sposób. Daruj sobie formalności i sam sprawdź, czy dostał

pieniądze. Potem zobaczymy się w moim biurze w Promultas. Jeżeli będziesz chciał wcześniej przyjechać po pieniądze, recepcjonistka przekaże ci kopertę z twoim nazwiskiem.

– Wracamy do starych zwyczajów – powiedział.

– Daruj sobie frazesy i zabieraj się do roboty – odparłam. – Aha, jeszcze jedno. Porozmawiaj z kimś dyskretnie i dowiedz się, proszę, czy w biurach kasyna w Robredo jest monitoring. Konkretnie, byłoby super, gdybyś ustalił, czy są kamery w biurze sąsiadującym z prywatną salą do pokera. Jak już mówiłam, postaraj się nie robić za dużo hałasu, kiedy będziesz zasięgał informacji.

M. jest najlepszym detektywem, jakiego znam. Stary wyjadacz. W lot wszystko rozumie. Wiele przeszedł i doskonale wie, jak wykonywać swoją robotę.

– Kiedy skończysz, przyjeźdź tutaj – dodałam. I rozłączyłam się.

Chociaż mogłoby się wydawać, że jest na odwrót, M. należy do osób, które mnie onieśmielają.

Spojrzałam na zegar na ścianie: 16.48. Pora zapędzić do roboty mój zespół niedoświadczonych, początkujących, wystraszonych prawników.

– Przepraszam – wtrąciła Concha. – Czy Promultas właśnie zatrudniło detektywa?

– Jednego z najlepszych – odpowiedziałam. – Od razu uprzedzam, że nie jest tani. Odwdzięczę ci się, Concho, obiecuję, że ci się odwdzięczę. Jeżeli nie w tym życiu, to w przyszłym.

– Jeśli to nie problem, wolałabym w tym.

Nie wiem, czy Concha przystała na moją propozycję ze względu na dawne młodzieńcze marzenie o otwarciu wspólnej kancelarii. Bo nadal we mnie wierzyła. Czy zrobiła to dla Alego (coś mi mówiło, że właśnie tym się kierowała). Zresztą wszystko jedno: najważniejsze, że zaczęłyśmy działać i że miałam dwanaście miesięcy. Potem – jak mawiał mój ojciec – jeden diabeł wie, co nas czeka.

Poprosiłam Rondę, żeby nikt mi nie przeszkadzał, chyba że miałyby to ścisły związek ze sprawą Alejandra Tramela.

Resztę popołudnia spędziłam w sali konferencyjnej, z której postanowiłam zrobić swoją kwaterę główną na czas trwania sprawy.

Moi trzej asystenci okazali się skuteczniejsi, niż przypuszczałam. Najmłodszy z nich, Gerardo, ten od jaskrawych krawatów, którego ledwo znałam i którego zaprosiłam do zespołu, bo zawsze, kiedy mijaliśmy się w biurze, witał mnie szerokim uśmiechem i pytał, czy chcę kawy, był akurat doświadczonym pokerzystą (a przynajmniej tak twierdził) i znał nie tylko wszystkie zawiłości tej gry, ale również mojego brata. Osobiście.

– Alejandro Tramel – powiedział z podziwem – zajął drugie miejsce w World Poker Tour w Barcelonie w dwa tysiące piętnastym i trzecie w europejskich rozgrywkach w Cannes w dwa tysiące szesnastym.

Równie dobrze mógł mówić po chińsku. Wygląda na to, że chodziło o ważne turnieje pokerowe, a mój brat uzyskał w nich wyniki osiągalne dla nielicznych.

– Alejandro Tramel rzadko uczestniczy w turniejach; zwykle bierze udział w grach cashowych – dodał chłopak. Na widok naszych min zdecydował się udzielić bardziej szczegółowych wyjaśnień. – W pokerze istnieją dwa warianty: turnieje i gry cashowe. Na turniejach, tak samo jak podczas rozgrywek szachowych czy tenisowych, gra się dopóty, dopóki nie zostanie tylko jeden zawodnik. Płaci się wpisowe i później nie trzeba już wykładać więcej pieniędzy. Na wielkich turniejach, jak World Poker Tour, zwycięzca może zgarnąć olbrzymie sumy, dwieście albo trzysta tysięcy euro, nawet więcej.

Zauważyłam, że na twarzach Sofii i Francisca, dwójki pozostałych asystentów, odmalowały się zdziwienie i zazdrość.

– Podczas partii cashowych gra się natomiast bez ograniczeń czasowych

i pieniężnych – ciągnął Gerardo. – Wszystko zależy od zasad ustanowionych przez samych graczy albo przez kasyno. Partie cashowe to na przykład te, które zawsze oglądamy w filmach. Można w nich wygrać olbrzymie kwoty, choć oczywiście można je także stracić. Takie partie bywają rozgrywane nielegalnie.

– Wybacz, że ci przerwę – powiedziałam. – Mówisz o partiach nielegalnych... Co to w zasadzie jest partia nielegalna?

– Każda rozgrywana poza kasynem. Kasyno jest jedynym miejscem posiadającym koncesję na organizowanie gier w pokera – odpowiedział szybko. – O ile wiem, Alejandro często uczestniczył w takich nielegalnych rozgrywkach. W słynnej partii u Argentyńczyka. I tej u Wymiatacza. Sam zająłem kilka razy do takich miejsc. Gra się o duże stawki; za samo wejście trzeba wpłacić sporą zaliczkę, na co oczywiście nie pozwala mi moja skromna pensja. Jeśli chcesz, mogę wykonać parę telefonów, porozmawiać z kilkoma osobami i może uda mi się dowiedzieć, jak często i z jaką gotówką uczestniczył w tych partiach Alejandro Tramel; hazardziści to tak naprawdę mały, zamknięty światek.

– Widzę, że czujesz się w tym małym światku jak ryba w wodzie – powiedziałam.

– Przecież... ja nie... To tylko hobby... – próbował się tłumaczyć.

– Wykonaj te telefony – poleciłam. – Któregoś wieczoru musisz zorganizować partyjkę tu, w kancelarii, żeby nauczyć nas grać. To może nam się przydać.

Gerardo wymienił spojrzenia z Franciskiem i skinął głową.

Z ich spojrzeń wyczytałam wyraźnie, że partia pokera będzie organizowana w Promultas nie po raz pierwszy. Postanowiłam tego nie komentować. Nie obchodzi mnie, co te żółtodzioby robią w wolnym czasie.

Po wyjaśnieniu podstawowych kwestii związanych z pokerem i jego odmianami przeszliśmy do informacji o ofierze, Bernardzie Menendezie Ponsie. Dzieciaki odrobiły pracę domową.

Pons miał czterdzieści dziewięć lat, żonę i czternastoletnią córkę. Pochodził z Burgos, skończył zarządzanie w ICADE Business School Uniwersytetu Papieskiego Comillas w Nawarze. Wychowanek jezuitów.

Pracował w kilku firmach z branży rozrywkowej, przez cztery lata zarządzał kompleksem hotelowym Stella Maris Ciudad de Vacaciones w Castellonie. Potem objął stanowisko zastępcy dyrektora kasyna Creonte w Maladze. Najwyraźniej zyskał sobie uznanie w sektorze gier, bo dwa lata później został dyrektorem, a w 2012 wybrano go na prezesa Hiszpańskiego Związku Kasyn i funkcję tę pełnił do chwili śmierci. W 2013 roku zaproponowano mu, żeby przeniósł się do Madrytu i ożywił na nowo perłę w koronie: kasyno Gran Castilla.

Wyglądało na to, że cieszył się opinią perfekcjonisty, ale też człowieka elastycznego, który dopasowywał styl zarządzania do istniejących potrzeb i utrzymywał dobre stosunki zarówno z pracownikami (siedmiuset dziewięćdziesięcioma dwoma w dniu zabójstwa), jak i ze stałymi bywalcami (w ciągu ostatniego roku kasyno odwiedziło pięćset dwadzieścia osiem tysięcy osób). Za jego rządów firma przeprowadziła zwolnienia grupowe (redukcja zatrudnienia) i gruntowną modernizację obiektu. Za obie te decyzje Pons był krytykowany przez związki zawodowe i część państwowych mediów, które oskarżały go o kierowanie się własnymi interesami. Kilkakrotnie ścierał się nawet publicznie z radą pracowniczą.

Innym ważnym polem działalności – a także polem walki – był dla niego właśnie poker. Poprzednie kierownictwo uważało pokera za grę potrzebną, ale uciążliwą, wymagającą zbyt wiele przestrzeni i niezbyt dochodową – w ciągu ostatnich pięciu lat przyniósł zaledwie siedem procent ogółu zysków, podczas gdy ruletka pięćdziesiąt dwa, a blackjack dwadzieścia trzy. Pons był jednak wielkim zwolennikiem pokera. Twierdził, że to gra przyszłości z wielu powodów, między innymi dlatego, że nie jest czysto losowa, a to coraz bardziej pociąga klientów, zwłaszcza młodych, a także dlatego, że jest jedyną, której uczestnicy nie występują przeciwko bankowi, ale stają przeciwko sobie, a kasyno jedynie pobiera prowizję od zysków. Jego zdaniem wpływało to na nastawienie klientów, którzy podświadomie sądzili, iż mają większe szanse na wygraną. Poza tym poker był najpopularniejszą grą wśród osób przed trzydziestym piątym rokiem życia. Pons powtarzał każdemu, kto chciał go słuchać, że jest grą przyszłości. Stąd pomysł rozbudowy poker roomu, jednego z największych i najlepiej wyposażonych w Europie. Jak również zaangażowanie w organizację wielkich imprez (turniejów), które przyciągałyby graczy nie tylko z Hiszpanii, ale z całego

świata, a wraz z nimi telewizję, prasę i inne środki przekazu. Pons stał się wielkim orędownikiem pokera, skonfliktowanym ze starą gwardią, która broniła klasycznych gier i dress code'u. To on pierwszy zniósł wymóg posiadania marynarki i butów wyjściowych, obowiązujący gości kasyna Gran Castilla.

Wszystkie te informacje były dostępne w internecie dla każdego, kto poświęciłby trochę czasu i wiedział, gdzie ich szukać. Ku mojemu zaskoczeniu Sofía zrobiła jednak coś więcej.

– Rozmawiałam z kolegą, który pracuje jako podinspektor w Generalnej Dyrekcji Gier Losowych w Madrycie i nadzoruje przestrzeganie norm ustalonych przez władze autonomiczne w kasynach i innych salonach gier – powiedziała. – Wyjaśnił mi w skrócie, że Pons był oczkiem w głowie i protegowanym starego Czyngis-chana, czyli Emiliana Santonjy, właściciela kasyna w Robredo. Mówił też, że krążyły pogłoski o kolejnych zwolnieniach grupowych, którym Pons był kategorycznie przeciwny; zagroził nawet, że poda się do dymisji, jeżeli do nich dojdzie. Wreszcie ten mój kolega, który zastrzegł sobie anonimowość, zdradził mi, że jedyną słabością Ponsa – przynajmniej z tego, co wie – były Azjatki. Miał bzika na punkcie skośnookich dziewczyn; często widywano go w towarzystwie Japonek, Chinek, Koreanek czy Wietnamek, zazwyczaj wynajętych. Nie wiem, czy na coś się to przyda, ale tego się dowiedziałam.

Sofía naprawdę mnie zaskoczyła. Okazuje się, że ta skromna, potulna blondynka, która dotychczas przynosiła akta z Generalnej Dyrekcji Zarządzania Ruchem i robiła ksero, potrafi także wykazać inicjatywę i uprzedzić moje prośby, jak przystało na dobrą prawniczkę.

– Zapytałam go też o monitoring w kasynie, który w sprawie takiej jak ta może mieć fundamentalne znaczenie – dodała, przykuwając całą moją uwagę. – Byłam tam dwa razy i pamiętam, że wszędzie widziałam kamery. Kolega potwierdził, że są we wszystkich salach gier, skierowane na stoły. Jego zdaniem w zasadzie obejmują wszystkie pomieszczenia. Jest jednak kilka martwych punktów i miejsc, których ustawa o ochronie prywatności nie pozwala monitorować, jak toalety. Tylko tyle mi powiedział, jeśli chcesz, mogę go jeszcze dopytać.

Sofía zauważyła, że ta kwestia budzi moje wielkie zainteresowanie.

Pomyślałam, że zaczekam na M. Tak czy inaczej, wkrótce dowiemy się, czy morderstwo zostało nagrane.

– Dobra robota, Sofío – powiedziałam. – Gdyby wiały pomyslnie wiatry i gdybym to ja podejmowała decyzje, natychmiast mianowałabym cię moją współpracowniczką i dała ci podwyżkę. Niestety sytuacja jest taka sobie, a ja nie podejmuję żadnych kadrowych decyzji. Niemniej informacje, których udzielił nam twój kolega, twój były chłopak czy kim tam on jest, są bardzo cenne, więc nie trać z nim kontaktu; jestem pewna, że w przyszłości może nam się przydać, w pewnym sensie może zostać naszym osobistym Głębokim Gardłem.

Cała trójka spojrzała na mnie tak, jakby nigdy nie słyszała tego pseudonimu.

– No wiecie, Głębokie Gardło, Woodward i Bernstein, Watergate – próbowałam wyjaśnić. – Zresztą nieważne.

Nie ma nic żałośniejszego niż czterdziestolatka próbująca doksztąpić dwudziestolatków, którzy patrzą na nią, jakby przybyła z czwartorzędu.

– Na pewno już to wiecie, ale na wszelki wypadek wyjaśnię: Alejandro Tramel jest moim bratem – powiedziałam. – Co nie musi być ani dobre, ani złe. Będę go broniła jako jego adwokat, nie jako siostra. Chcę, żeby od początku było to dla was jasne. Moje osobiste relacje z podejrzanym nie mają związku ze sprawą. Obiecuję, że będę się tego trzymać. Proszę was, żebyście wy postępowali tak samo.

Wszyscy troje przytaknęli. Co innego mieli zrobić?

Powiedziałam im prawdę: od pięciu lat nie utrzymywałam żadnych kontaktów z bratem, nie miałam pojęcia, jak wyglądało jego życie. Gerardo najwyraźniej wiedział o nim więcej niż ja. Nie ulegało wątpliwości, że będziemy musieli dogłębnie to życie zbadać. Byłam przekonana, że natrafimy na wiele spraw, które okażą się dla nas niekorzystne. Liczyłam tylko na dwie rzeczy: po pierwsze i najważniejsze, że będę miała o naszym kliencie te same informacje co sędzia i policja (albo zdobędę ich więcej), po drugie, że przy odrobinie szczęścia znajdziemy w jego życiorysie coś, co nam pomoże. Wiedziałam na pewno, że mój brat nigdy nie przejawiał agresji. Gdyby udało nam się udowodnić, że pod tym względem był bez zarzutu, zrobilibyśmy mały krok w stronę naszego celu.

Przerwałam, żeby odebrać telefon od mojego fantastycznego detektywa.

Powiedział, że jest przed koszarami w Robredo. Pierwsze spotkanie oskarżonego z sędzią zostało wyznaczone na jedenastą następnego dnia, dwadzieścia cztery godziny po zatrzymaniu. W sądzie śledczym w Collado Villalba. Wkrótce miałam dostać oficjalne powiadomienie, ale M. chciał mnie o tym poinformować, gdy tylko się dowiedział. Zajął się też pieniędzmi; strażnicy nie robili większych problemów.

Potem przeszedł do tematu nagrań. Potwierdził się najgorszy scenariusz.

– Dowiedziałem się z zaufanego źródła: monitoring jest we wszystkich pomieszczeniach kasyna bez wyjątku – powiedział M. – W salach gier, w restauracjach, w recepcji, na korytarzach... i w biurach. Wszędzie, poza toaletami.

Nie było nic więcej do dodania, toteż rozłączyłam się, jak zwykle wykazując całkowity brak dyplomacji.

Zamyśliłam się na moment – próbując przetrwać to, co powiedział mój detektyw, i błędząc wzrokiem po podłodze. Spojrzałam na swoje buty. Balerinki Clarksa kupione na wyprzedaży na stronie centrum handlowego. Nigdy nie przejmowałam się butami ani innymi częściami garderoby. Ale z jakiegoś powodu na widok balerinek nagle popadłam w coś na kształt lekkiej depresji. Były koszmarnie brzydkie; do tej pory nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Francisco odchrząknął.

– Wszystko w porządku, Ano?

– W najlepszym – odparłam.

Gerardo podniósł rękę.

– Przepraszam – powiedział. – Czy my mamy detektywa? Takiego prawdziwego?

Podniosłam wzrok i zorientowałam się w czym rzecz. Musiałam wziąć się w garść i poświęcić chwilę na wyjaśnienie trojgu małych wszystko od początku. Powiedzieć im, co jest tak naprawdę grane. Przyjrzałam im się. Przez całe popołudnie słuchali moich wywodów, nieświadomi, w co się pakują. Nie wiedzieli też oczywiście, że przed chwilą omal nie stracili pracy i że to ja załatwiłam im kilka miesięcy odroczenia oraz emocjonującą sprawę

o morderstwo. Chciałam powiedzieć im także o monitoringu; czym innym jest obrona domniemanego niewinnego, a czym innym kogoś, kto został nagrany w chwili popełniania zbrodni. Choć wmawiałam sobie, że jest inaczej, nawet dla mnie było tego za wiele. Na moment błysnęła mi nadzieja, że mojemu zespołowi uda się znaleźć jakąś lukę prawną, dzięki której nagrania zostaną odrzucone jako dowód w sprawie, może błąd formalny. Jaki? Znow ta sama odpowiedź: nie mam pojęcia.

Ponownie skoncentrowałam się na trójce obiecujących prawników, których miałam przed sobą. Byli młodzi i wygłodniali. To plus. Brakowało im jednak doświadczenia, nigdy nie prowadzili prawdziwej sprawy, a już na pewno nie o morderstwo. To był oczywiście minus, miałam tego świadomość. Ale kiedy możesz przewidzieć czekające cię problemy, oszczędzasz sobie wielu zmartwień.

Tak czy owak, musiałam im wyjaśnić, czego od nich oczekuję. Czym będą się musieli zająć przez najbliższe tygodnie. Nie dostaną więcej pieniędzy. Nie zdobędą żadnego medalu. W zamian na jakiś czas będą mogli zapomnieć o mandatach. Miałam nadzieję, że to okaże się wystarczającą przynętą.

A jeśli nie, zawsze mogę im zagrozić. Chyba jeszcze nie wspominałam, ale jestem świetna w grożeniu. Właśnie: skuteczne grożenie to moja kolejna specjalność.

To nie był jeszcze koniec niespodzianek na ten dzień. Drzwi sali konferencyjnej otworzyły się i stanęła w nich uśmiechnięta od ucha do ucha Ronda.

– Wybacz, ale jakaś dziewczyna chce się z tobą widzieć – poinformowała mnie, spoglądając na trzymaną w dłoni żółtą samoprzylepną karteczkę. – Helena Kowalczyk.

To nazwisko brzmiało znajomo; widziałam je dziś rano w raporcie Gwardii Cywilnej.

– Jeśli wolno wiedzieć: czy ta Helena Kowalczyk wyjaśniła, czego chce?

Ronda wzruszyła ramionami, jakby sprawa jej nie dotyczyła.

– Mówi, że jest żoną Alejandra Tramela – odpowiedziała. – Przeprowadziła ze sobą ślicznego dwuletniego chłopczyka.

Helena Kowalczyk miała dwadzieścia dwa lata i musiałabym być ślepa, żeby nie przyznać, że była prawdziwą piękną. Blondynka, elegancka (miała na sobie dzinsy i biały T-shirt, noszone jednak z taką gracją, że wyglądała, jakby zaraz miała wziąć udział w pokazie mody *haute couture*), wydatne usta, wielkie oczy, niekończące się rzęsy, oczywiście szczupła i zgrabna.

Przyjęłam ją w swoim gabinecie, dzieliło nas duże mahoniowe biurko zawalone papierami.

Helena bez przerwy powtarzała dwa słowa: „dziękuję” i „przepraszam”.

– Dziękuję, że przyjął – powiedziała z silnym polskim akcentem. – Ja nie mogę uprzedzić o moja wizyta, bardzo się martwić, przepraszam.

Jasnowłosy dwulatek stał uczepony jej nogi.

Nie mogłam przestać o tym myśleć: ten chłopczyk jest może moim bratankiem. Jeśli tak, mój brat musiał się czuć bardzo urażony, skoro nie zadzwonił do mnie, kiedy urodził mu się syn. Zaczęłam się zastanawiać, co jeszcze ominęło mnie w ciągu tych lat. Pewnie sobie na to zasłużyłam; podczas naszych ostatnich spotkań traktowałam Alego w bardzo nieprzyjemny, despotyczny sposób.

Moja przyjaciółka Concha, która tak dobrze mnie znała, latami kładła mi do głowy, na próżno, żeby nie obwiniała się automatycznie o wszystko, co mi się przytrafia. Podobnie jak w innych kwestiach, i tutaj poniosła porażkę, ale dzięki niej, obwiniając się, przynajmniej byłam świadoma, że to robię.

– Wybacz, Heleno, że przejdę od razu do rzeczy, ale mam mnóstwo roboty – powiedziałam. – Jesteś formalnie żoną Alejandra Tramela?

Dziewczyna wyjęła z torebki książeczkę rodzinną i położyła ją na biurku. Wzięłam ją nie dlatego, że wątpiałam w jej autentyczność, ale z ciekawości: pragnęłam zobaczyć dokument, w którym stało jasno napisane, że mój brat

jest żonaty. Poza tym chciałam poznać datę.

Otworzyłam książeczkę, i proszę: Helena Kowalczyk i Alejandro Tramel, pozostający w związku małżeńskim, rodzice Martina Tramela. Ślub odbył się dokładnie trzy lata temu w sądzie pierwszej instancji w Robredo. Martín urodził się siedem miesięcy później w szpitalu La Paz. Albo był wcześniakiem, albo mój brat ożenił się z musu.

Spojrzałam na chłopca, który czując na sobie mój wzrok, spuścił oczy i jeszcze mocniej uczeplił się matki. Miałam wrażenie, że rozpoznaję w tym gościu nieśmiałość, typową dla Alego przez całe dzieciństwo i większość okresu dojrzewania. Może to tylko moje wrażenie, ale mały Martín wyglądał wypisz, wymaluj jak mój brat.

Następnie Helena opowiedziała mi historię swojej znajomości z Alejandro. Spotkali się w kasynie, jakżeby inaczej. Jej brat był tam krupierem. Nazwisko Kowalczyk pojawiało się kilkakrotnie we wstępnym raporcie, który pokazał mi Moncada. Ucieszyło mnie, że Helena od razu przyznała się do pokrewieństwa. Jak widać, wszystko zostawało w rodzinie.

– Ja najpierw nie chciałam nic z Alejandro – powiedziała Polka. – Mój brat ostrzegał: ja nie zadawać się z graczami, oni zły wpływ.

– Dobra rada – mruknęłam.

– Ale Alejandro inny – ciągnęła; wydawało się, że oczy jej błyszczą, kiedy mówi o moim bracie. – On nie być jak reszta, on być dobry osoba i być bardzo dobry dla mnie... i poza tym bardzo przystojny.

Połączenie, któremu nie sposób się oprzeć: przystojniak i dżentelmen.

– Ja pracować w weekendy w klub i on zawsze przychodzić – dorzuciła Helena.

– Klub? – zapytałam.

– Disco klub Szalony Kapelusznik – uściśliła, choć tak naprawdę powiedziała „kapielusnik”. – Ja tańczyć i podawać drinki.

Na miłość boską, Ale, co ty sobie wyobrażałaś? Dziecko młodsze od ciebie o dwadzieścia lat, i do tego tancerka w klubie! No dobrze, wiem, ale ja nie hajtałam się z moimi chłopczkami, o ile sobie przypominam.

– Jeden wieczór on wygrać dużo, przyjść po mnie do klub – kontynuowała Helena – i my iść na impreza, i ja na koniec do domu do Alejandro, i już

nigdy nie pracować, on przekonać, Alejandro bardzo dobry dla mnie.

Zaczynałam się niecierpliwić. Kiedy minęło początkowe zaskoczenie, myśl o czekającej mnie nazajutrz wizycie w sądzie znów przesłoniła mi wszystko inne.

– Czego chcesz, Heleno? – zapytałam.

– Alejandro chory – wypaliła.

Jeżeli powie mi teraz, że mój brat ma raka albo jakąś inną nieuleczalną chorobę, obiecuję, że wyciągnę butelkę b Buchanan, którą trzymam w szafce w gabinecie, i opróżnię ją jednym łykiem. W sumie nawet jeśli mi niczego takiego nie powie, może i tak to zrobię. Im wcześniej chłopiec zobaczy, czego może się spodziewać po swojej ciotce Anie, tym lepiej.

Po obliczonej na efekt dramatycznej przerwie Helena uściśliła:

– Chory na granie.

– Ach! – zawołałam niemal z ulgą.

– On grać codziennie – powiedziała. – Poker, ruletka, bakarat. On mówić, że praca, ale to kłamstwo. Nie praca. Choroba.

Przypuszczałam, że mój brat przeholował, że grał więcej, niż powinien. Przecież wcześniej też przesadzał z innymi rzeczami.

– Posłuchaj, Heleno – zaczęłam. – Może masz rację i Ale ma poważne problemy z hazardem, teraz jednak jest oskarżony o morderstwo. To najpilniejsza sprawa.

– Ja wiem – zapewniła.

Po czym powiedziała ostatnią rzecz, jakiej mogłam się spodziewać:

– Mój mąż zabić Menéndez Pons. Łajdak zasługiwać na śmierć.

Kurwa!

Będę musiała porządnie popracować nad na pozór słodką Heleną, zanim wezwę ją na świadka – jeżeli w ogóle to zrobię. Co gorsza, teraz już wiedziałam, że dla niej Alejandro jest winny, a to mi nie pomagało jako adwokatowi i zmuszało mnie do przemilczenia kluczowej informacji podczas rozmowy z policją czy z sędzią. Wszystko szło nie tak, jak powinno.

– Ty pomóc Alejandro, proszę – zwróciła się do mnie.

– Tak, jasne, ja pomóc – odparłam – ale nie możesz tego powtórzyć, kiedy będzie cię przesłuchiwać Gwardia Cywilna. Na szczęście najbliżsi krewni oskarżonego są zwolnieni ze składania zeznań. Rozumiesz?

Skinęła głową. Oczy jakby się jej zaczerwieniły. Dobrze przynajmniej, że zdołała powstrzymać łzy.

Moja komórka zawibrowała. Na wyświetlaczu znowu pojawiło się imię mojego detektywa.

Odebrałam bez zastanowienia.

– Mów – powiedziałam.

– Nie mam dobrych wiadomości – uprzedził.

– Nie wiem dlaczego, ale mnie to nie dziwi – odparłam.

Kiedy rozmawiałam przez telefon, Helena podniosła chłopca i posadziła go sobie na kolanach. Malec wyciągnął rączkę i ostrożnie dotknął długich włosów matki. Może – mówię tylko „może” – jeżeli dwoje pechowców takich jak mój brat i ta dziewczyna mogło sprowadzić na świat coś tak delikatnego jak ten chłopczyk, to znaczy, że jest jeszcze jakaś nadzieja. Od czasu do czasu miewam takie napady wiary w istotę ludzką. Krótkie. Podczas mojej rozmowy dziewczyna wyjęła swoją komórkę i wbiła w nią wzrok, jakby na coś czekała.

– Jestem w kasynie Gran Castilla – powiedział M. – Rozmawiałem z paroma osobami. Reasumując: Alejandro Tramel jest winien kasynu dużą kwotę pieniędzy, pożyczanych w ciągu ostatnich dwóch lat na grę.

– Ile? – zapytałam.

– Na dzień dzisiejszy dług wynosi osiemset szesnaście tysięcy euro – odpowiedział M., starając się dodatkowo nie akcentować tej i tak już astronomicznej kwoty.

Spróbowałam przyswoić sobie tę informację.

– Weksle zostały podpisane osobiście przez Menendezę Ponsa i właściciela kasyna, Emiliana Santonję – dodał M.

– Rozumiem.

Mój brat sprzątnął osobę, której był winien nieprzyzwoitą sumę pieniędzy. A morderstwo zostało zarejestrowane przez kamerę monitoringu.

Pomyślałam, że gdybym była sędzią, zakończyłabym tę sprawę w ciągu kilku godzin.

Ale nie byłam sędzią. Byłam adwokatem, który musi bronić kogoś, kto prawdopodobnie do końca życia pozostanie bankrutem. I kto był winny popełnienia morderstwa, w co najwyraźniej nie wątpił nikt, łącznie z jego śliczną, kochającą żoną.

– Coś jeszcze? – zapytałam M.

– Sprawdzam dalej – powiedział.

Rozłączyłam się.

Ponownie skupiłam uwagę na bratowej i bratanku.

– Najprawdopodobniej jutro Alejandro trafi do aresztu – poinformowałam.
– Będzie potrzebował pomocy, Heleno. Ważne, żebyś ty się nie załamała. Musisz mu pokazać, że jesteś silna. Na pewno jesteś silną kobietą, która wiele przeszła. Na pewno i tym razem dasz sobie radę.

– Ja dać sobie radę – powtórzyła, jakby to była mantra, po czym schowała komórkę.

– Ważne też, żebyś powiedziała, że Alejandro jest niewinny, kiedy zapyta cię o to Gwardia Cywilna albo policja – ciągnęłam. – Musisz sprawiać wrażenie przekonanej, że twój mąż jest niewinny, niezależnie od tego, co ci powiedzą i co zobaczysz.

– Co ja zobaczę? – zapytała zaniepokojona Helena.

Uznałam, że to nie jest odpowiedni moment, by mówić jej o nagraniu z monitoringu. Wzruszyłam więc ramionami i postanowiłam zakończyć spotkanie.

– Mam teraz dużo pracy – powiedziałam. – Jutro rano Alejandro stawi się u sędziego. Będę się starała o zwolnienie warunkowe, ale to praktycznie niemożliwe. O wszystkim cię poinformuję. Lepiej, żebyś nie przychodziła do sądu; nie wpuszczą dziecka na salę. A widok blond seksbomby, która czeka, żeby pocieszyć oskarżonego o morderstwo, raczej nie zmiękczy serca sędziego, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Ja rozumiem – odparła krótko.

Wyszliśmy z gabinetu i odprowadziłam ją do wyjścia.

– Alejandro często mówić o siostra – powiedziała, kiedy przechodziłyśmy przez recepcję. – On kocha bardzo ciebie.

Czułam na sobie wzrok Rondy, która udawała, że pisze coś na komputerze, ale, rzecz jasna, nie umknął jej żaden szczegół naszej rozmowy.

– Mnie bardzo wstyd – powiedziała Polka sekundę później.

Od razu odgadłam, co się święci. Nie mogłam jednak zrobić nic, żeby temu zapobiec.

– Alejandro mówić, że ty dać pieniądze dla dziecko – wypaliła Helena. – Nie mieć nic. Przepraszam.

– Oczywiście, ja dać pieniądze dla dziecko – powtórzyłam, odwracając się w stronę Rondy. Na pewno była przeszczęśliwa; będzie miała o czym plotkować w biurze przez najbliższe dni: bezduszna, zimna, sarkastyczna Ana Tramel, buldożer, jeśli chodzi o apelacje w postępowaniu administracyjnym, pożyczka pieniądze biednej dziewczynie z Polski, żeby ona i jej dwuletni synek mieli co jeść.

Poprosiłam sekretarkę, by wyjęła pieniądze z funduszu rezerwowego i dała Helenie pięćset euro.

– Co wpisać na rachunku? – zapytała Ronda.

– Wpisz, kurwa, co chcesz – powiedziałam, po czym zdałam sobie sprawę, że mały Martín spogląda na mnie wystraszony. Zbita z tropu dodałam: – Heleno, zostaw, proszę, swoje zamiary. Skontaktuję się z tobą.

Nie czekając, aż odpowie, odwróciłam się i ruszyłam w stronę sali konferencyjnej.

Weszłam, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Piegowata dziewczynka weszła na kilka pierwszych stopni zjeżdżalni. Zatrzymała się i spojrzała w górę. Miała około czterech latek. Na jej twarzyczce widać było niepewność. Mimo to wdrapała się na kolejny stopień. Ze szczytu zjeżdżalni jakiś starszy chłopiec o ciemnej karnacji i kręconych włosach dawał jej znaki, żeby szła dalej, żeby kontynuowała wspinaczkę. Dziewczynka nie wyglądała na przekonaną. Popatrzyła w dół, jakby szacowała odległość dzielącą ją od ziemi. Pewnie stwierdziła, że jest już dość wysoko, a będzie jeszcze wyżej, jeżeli wejdzie na kolejny stopień. Pomyślałam, że może pierwszy raz wspina się sama na drabinkę zjeżdżalni. I pomyślałam też, że może według dziewczynki wspinanie się wyżej nie jest dobrym pomysłem.

– Byłem przekonany, że sędziowie nie czekają na nikogo – powiedział jakiś głos za moimi plecami.

Odwróciłam się i zobaczyłam Gerarda w pomarańczowo-zielonym krawacie oraz moich pozostałych pomocników. Ich wygląd mógł mylić: troje naiwniaków w sądzie. Nie pofatygowałam się, żeby odpowiedzieć.

Sędzia siedział za biurkiem, dwa metry przed nami. Przerzucał papiery. Był drobnej budowy, niemal łysy, miał na nosie małe niemodne okulary, choć to ostatnie określenie niekoniecznie musi być trafne, jako że pochodzi od osoby, która kupuje ubrania przez internet w supermarketach.

Tym, którzy nie byli nigdy w sądzie śledczym, powiem tylko, że to jedno z najmniej eleganckich miejsc, jakie można sobie wyobrazić. Coś pomiędzy poczekalnią przychodni rejonowej a zakładem golibrody z okresu powojennego. Stoły przypominające szkolne ławki z odzysku, blade światło jarzeniówek, łososiowa farba strukturalna na gołych ścianach, poziome żaluzje – absolutnie wszystko wygląda tak, jakby zostało wybrane tylko w jednym celu: dla uświadomienia zbitemu z tropu gościowi, że nie wydarzy się tu nic ciekawego, że jeśli oczekuje widowiska w stylu amerykańskich

procesów, to się rozczaruje.

Jedyną rzeczą, jakiej można się tu spodziewać, jest urzędowa paplanina, jeszcze bardziej nudna i szara niż towarzysząca jej sceneria. Wszystko to nasunęło mi głęboką refleksję: koniec końców, tak naprawdę liczy się forma. Albo innymi słowy: jeżeli jesteś wrażliwy na estetykę i piękno, nie studiuj prawa w tym kraju.

Wiszący na honorowym miejscu zegar wskazywał kwadrans po jedenastej. Siedzący za mną Gerardo nigdy wcześniej nie uczestniczył w sprawie o morderstwo, ale niepokój, który skłonił go do rzucenia tej uwagi, wydawał się uzasadniony: było dziwne, że sędzia musiał czekać na oskarżonego dłużej niż piętnaście minut, zwłaszcza jeżeli oskarżonego przywoziła w kajdankach policja albo Gwardia Cywilna; osoba taka powinna była zjawić się w sądzie odpowiednio wcześniej.

Przez całą noc planowaliśmy przebieg tego posiedzenia. I byliśmy mniej więcej przygotowani. Przynajmniej na tyle, na ile mogliśmy, zważywszy, że oskarżony nie miał najmniejszej szansy uniknąć tymczasowego aresztowania. Zamierzałam powołać się na dotychczasową niekaralność, niekonfliktowy charakter i brak skłonności do przemocy; zaapelować do człowieczeństwa Wysokiego Sądu i poprosić, by nie zamykał w więzieniu kogoś, kto nie został jeszcze skazany i w przypadku kogo dłuższe (i niepotrzebne, a może nawet niesprawiedliwe) pozbawienie wolności mogło pociągnąć za sobą poważne konsekwencje psychiczne, nie wspominając już o tym, że oskarżony jest potrzebny rodzinie, biednej bezrobotnej żonie i małemu synkowi; miałam uzasadnić, że istnieją inne środki mniej obciążające podatników niż aresztowanie, takie jak obowiązek cotygodniowego albo nawet codziennego stawiania się w sądzie; i oczywiście planowałam przekonywać do upadłego, że Alejandro Tramel nie ucieknie, jeśli pozostanie na wolności podczas procesu, a to z trzech powodów: bo jest przykładnym obywatelem, który pragnie współpracować z wymiarem sprawiedliwości, by oczyścić swoje nazwisko ze straszliwej plamy, jaką jest to haniebne oskarżenie; bo nie zostawi swojej rodziny; i co najważniejsze, bo biedaczyna nie ma dokąd się udać, jest bez pieniędzy i nikt mu ich nie pożyczy.

Poza tym Sofía znalazła coś, co mogło nam pomóc. Lukę w ustawie o ochronie prawa do godności, prywatności i własnego wizerunku. W skrócie: materiały nagrane bez wiedzy wszystkich stron w prywatnym

miejscu, jakim jest pomieszczenie biurowe (w odróżnieniu od miejsc publicznych jak sale gier czy restauracje), oznaczają złamanie tego prawa. Zamierzałam wskazać, że oskarżony nie wiedział, że jest nagrywany, czego dowodzi fakt, że gdyby miał tego świadomość, z całą pewnością nie uderzyłby w głowę Menendezza Ponsa, a to z kolei oznaczało, że nagranie jest nielegalne i nie może zostać wykorzystane jako dowód podczas procesu ani wstępnego przesłuchania.

Zamierzałam przedstawić wszystkie te argumenty z pokorą, ale też z niezachwianym przekonaniem.

Wiedziałam, że pewnie na nic się to nie zda.

Jeżeli sędzia nie widział rzekomego nagrania z gabinetu, najprawdopodobniej zobaczy je podczas tego przesłuchania, chociaż miałam zamiar raz i drugi zaprotestować i przytoczyć swoje argumenty. Czułam jednak, że wkrótce wszyscy będziemy je oglądać.

Nie jestem szczególnie wrażliwa, ale nie wiem, czy byłam przygotowana, by zobaczyć, jak mój brat rozłupuje głowę drugiemu człowiekowi. Modliłam się, żeby coś się wydarzyło, żeby nagranie samo się wykasowało, żeby ci sympatyczni, uczynni funkcjonariusze Gwardii Cywilnej gdzieś je zapodziali, żeby sędzia nie dopuścił go jako dowodu podczas przesłuchania, dopóki biegły nie potwierdzi jego autentyczności. Cokolwiek.

Może wydarzy się cud. Może uda mi się uzyskać zwolnienie za kaucją. Wiedziałam jednak, że byłaby to kaucja tak wysoka, tak wygórowana, że mój brat nie zdołałby jej zapłacić.

Wskazówka zegara przesuwiała się do przodu. A oskarżonego jak nie było, tak nie było.

Rozparłam się na ławce i wyjrzałam przez okno po prawej stronie. Znów zobaczyłam przez żaluzje plac zabaw znajdujący się kilka metrów dalej. Znów skupiłam uwagę na zjeżdżalni. Na górze ciągle stał chłopiec z kręconymi włosami, trzymając się pod boki. Dziewczynka zniknęła. Może zawróciła. Albo weszła po drabince i beztróska zjechała ze zjeżdżalni; chociaż nie sądzę, żeby zdążyła. Ogarnął mnie niepokój. A jeśli chłopiec ją popchnął? A jeśli ten mały dupek po prostu ją uderzył? A jeśli ją kopnął i spadła na plecy? Wstałam wystraszona i podeszłam do okna, żeby mieć lepszy widok na plac zabaw. Nic. Piegowatej dziewczynki nigdzie nie było.

Gęsty krzak zasłaniał niemal całą piaskownicę. Spojrzałam na chłopca stojącego na szczycie zjeżdżalni. Dlaczego się uśmiecha? Trzeba coś zrobić. Muszę wysłać kogoś, żeby sprawdził, czy dziewczynka nie leży pod krzakiem, płacząc albo nawet wykrwawiając się, podczas gdy chłopiec z kręconymi włosami uśmiecha się, dumny ze swojego makabrycznego wyczynu. Przysięgam, że byłam bliska poproszenia któregoś z moich pomocników, żeby natychmiast pobiegł na plac zabaw i wyjaśnił tę sprawę. Ale nie zdołałam. Nie miałam czasu.

Drzwi sali otworzyły się gwałtownie, wydając głośny, nieprzyjemny dźwięk.

Weszli porucznik Moncada, a za nim jakiś inny funkcjonariusz. Z poważną miną zbliżył się do sędziego. Zaczął szeptać mu coś do ucha. Sędzia słuchał z kamienną twarzą.

Porucznik mówił przez dłuższą chwilę. Z miejsca, w którym stałam, nie mogłam niczego usłyszeć. Troje naiwniaków spojrzało w moją stronę.

Zaczął wibrować mój telefon. Na wyświetlaczu pojawiło się imię: M.

Moncada oddalił się o kilka kroków od sędziego i poszukał mnie wzrokiem. Na jego twarzy pojawił się niemal niedostrzegalny grymas, którego nie potrafiłam zinterpretować.

Sędzia zdjął okulary. On także na mnie spojrzał.

– Pani Tramel – powiedział – właśnie zostałem poinformowany, że pani klienta, Alejandra Tramela, znaleziono martwego w celi w koszarach Gwardii Cywilnej w Robredo. Powieszono. Wszystko wskazuje na samobójstwo.

Poczułam, że nagle brakuje mi powietrza.

Wiem, że niektóre z obecnych w sali osób coś zrobiły i powiedziały. Wiem, że ktoś złapał mnie za rękę. Wiem, że ledwo starczyło mi sił, żeby się odwrócić. Przez szparę w żaluzjach zobaczyłam zjeżdżalnię, teraz pustą. Była ostatnią rzeczą, jaką ujrzałam. Ani śladu po piegowatej dziewczynce. Ani śladu po smagłym chłopcu z kręconymi włosami.

Potem już nic więcej.

Tylko cisza.

CZĘŚĆ DRUGA
DŁONIE

Po śmierci brata przez trzydzieści dwa dni myłam dłonie mydłem dziegciowym. W łazience w swoim domu. Zapewne wykonywałam w tym czasie także inne ważne czynności, ale w moich wspomnieniach z tego okresu są luki.

Rankiem trzydziestego trzeciego dnia p. A. (post Alejandro) wstałam z łóżka, powłócząc nogami, przeszłam pogrążonym w mroku przedpokojem i kolejnym raz zamknęłam się w łazience.

Otworzyłam białą szafkę wiszącą za drzwiami. Znajdowały się w niej dziesiątki paczuszek ułożonych jedna na drugiej. Sięgnęłam po pierwszą z brzegu i zdarłam papierowe opakowanie. Zgodnie z rytuałem ostatnich dni rzuciłam okiem na napis: „Naturalny dziegieć węglowy, olejek z drzewa herbacianego, nagietek lekarski, jojoba, rącznik pospolity, marchew, eukaliptus, cytryna i lecznicze substancje zmiękczające”. Przeczytałam jeszcze raz. Na głos. Niczym akt strzelisty. Potem powoli zgmiotłam opakowanie w dłoni i wyrzuciłam do śmieci. Odkręciłam kran i zaczęłam nacierać ręce mydłem, jakbym nigdy wcześniej ich nie myła, jakbym mogła znaleźć w tej czynności sens tego, co działo się wokół mnie, jakby moje życie nie waliło się na moich oczach akurat w tym momencie. Poczułam lekką ulgę, kiedy szorowałam miejsca między palcami, kiedy mydliłam dłonie z jednej i drugiej strony. Może nie było to jakieś wielkie pocieszenie, ale jeżeli udałoby mi się całkowicie uwolnić skórę od wszelkich bakterii i zanieczyszczeń, jeżeli naprawdę by mi się to udało, może wtedy stałoby się coś dobrego. Czynność ta zajęła mi dłuższą chwilę.

Spojrzałam na swoją twarz w lustrze. Nie poznałam siebie, ale to żadna nowość. Czułam, że mój oddech przyspiesza w okolicach gardła. Od samobójstwa Alejandra minął ponad miesiąc, wciąż jednak nie mogłam się z tym pogodzić. Świadomość, że nie pierwszy raz nagle tracę ukochaną osobę, wcale nie sprawiała, że czułam się lepiej.

Idealnie, nieskazitelnie czyste dłonie, przekrwione gałki, wory pod oczami, przyspieszony oddech, brak emocji. Całe nagromadzone cierpienie znów odezwało się w uchu wewnętrznym: odkąd usłyszałam w sądzie wiadomość, raz po raz wracały moje kłopoty z równowagą.

Chwyciłam się marmurowego blatu umywalki, zacisnęłam palce na zimnej, szorstkiej, wilgotnej powierzchni i spróbowałam utrzymać się w pionie. Czułam, że jeśli upadnę, jeżeli po prostu się załamie, przez długi czas nie zdołam się podnieść.

Kiedy tak stałam, trzymając się krawędzi umywalki, usłyszałam zniekształcony dźwięk dzwonka. Wydawało mi się, że dobiega z jakiegoś dalekiego wymiaru. Niczego nie zakładałam, nie snułam żadnych domysłów, nie zastanawiałam się, kto to może być, nie tylko dlatego, że było mi absolutnie wszystko jedno, ale przede wszystkim dlatego, że całą moją uwagę skupiłam na marmurze, którego się uczepliłam. Bałam się, że jeśli oderwę od niego ręce, zwalę się na podłogę. Miałam wrażenie, że coraz bardziej kręci mi się w głowie, że od ścian odbija się jakieś wewnętrzne echo i wraca ze zdwojoną siłą. Przyczyną mogły być połączenie tabletek i alkoholu, bezsenność, całkowity bezruch i brak porządných posiłków. Kto to może wiedzieć. Znów usłyszałam dzwonek do drzwi. Doskonale wiedziałam, co powinnam zrobić. Wzięłam mydło dziegiowe i ponownie potarłam nim ręce. Poczułam, jak węgiel i jojoba – cokolwiek to jest – przenikają przez pory mojej skóry, a raczej wyobraziłam sobie, że coś takiego się dzieje, o ile to w ogóle możliwe. Zamknęłam oczy i mocno szorowałam dłonie, starając się usunąć za pomocą tej kostki mydła zawrót w głowie, hałas dzwonka, brak równowagi, złe samopoczucie, wszystko.

Dobiegający z przedpokoju szmer sprawił, że otworzyłam oczy.

Wypowiedziane głośno słowa mogły oznaczać tylko jedno: ludzi, istoty ludzkie w moim domu, w przedpokoju, podchodzące do drzwi wejściowych, pewnie przyciągnięte rozlegającym się co chwila dzwonkiem. Przerwałam to, co robiłam. Odgłos otwieranych drzwi rozbudził we mnie pewną ciekawość: może do mojego mieszkania wchodzi więcej istot ludzkich, może nawet (miałam nadzieję, że wszystko, tylko nie to) te osoby będą chciały się ze mną zobaczyć, przeprowadzić rzeczową rozmowę.

Z przedpokoju dobiegły mnie jeszcze inne słowa, których nie zdołałam

rozszyfrować. Jeden z mówiących wypowiedział sześć głosek; dotarły do łazienki, do mnie, przytłumione szumem wody, ale wystarczająco wyraźne, by je zrozumieć. „Tramel”, to były te głoski. Po kilku sekundach ktoś inny powtórzył to samo słowo: „Tramel”. Jakby tego było mało, za chwilę rozległo się ono po raz trzeci. Taka natarczywość zaczynała być nieprzyjemna. Wolałabym tego nie słyszeć, cofnąć taśmę do momentu, w którym byliśmy tylko we dwoje, mydło dziegiowe i ja. Wolałabym również, żeby w moim mieszkaniu nie było ludzi, takich, którzy chodzą, rozmawiają, otwierają drzwi na dźwięk dzwonka. Wolałabym, żeby stało się wiele rzeczy, niemożliwych, które się nie zdarzą, niezależnie od tego, jak bardzo bym ich pragnęła.

Trzymałam w dłoniach mydło; przyjemnie wyślizgiwało mi się z rąk, niezauważalnie tracąc na objętości.

Po chwili umilkły hałasy, słowa, kroki, odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi, dzwonki. Dochodził do mnie tylko dźwięk płynącej z kranu wody. Poczulałam się pokrzepiona; codzienne złe samopoczucie wracało na swoje miejsce, bez zakłóceń.

Nie wiem, jak długo stałam nad umywalką, trąc dłonie. Kiedy odzyskałam poczucie czasu, kostka mydła była znacznie mniejsza.

Po wyjściu upewniłam się, że w zasięgu wzroku nie ma nikogo. Dyskretnie przemknęłam przedpokojem w stronę sypialni. Przestraszyłam się: na wprost drzwi stały dwie osoby. Wyglądało, jakby na mnie czekały. Trzymały się za ręce i patrzyły na mnie – ich twarze nie wyrażały żadnych emocji.

– Ana, ja przynieść to z sądu – powiedziała jedna z nich, pokazując mi trzymaną w prawej ręce kopertę.

Pokręciłam głową. Nie chciałam o niczym wiedzieć. Nie chciałam, by do mnie mówiono. A przede wszystkim, żeby oczekiwano ode mnie choćby jednego słowa.

Pomyślałam, że wrócę do łazienki. Tak, to było najlepsze wyjście. Rozważałam, w jaki sposób skutecznie to zrobić – może cofając się o kilka kroków, a potem zawracając bez uprzedzenia, nieoczekiwanie, tak by tamci nie mieli czasu zareagować. Tyle że musiałabym uważać, żeby się nie potknąć. Wydawało mi się, że kilka dni wcześniej poślizgnęłam się na tym

samym zakręcie przedpokoju; zobaczyłam rozmazany obraz swojego ciała: leżałam na podłodze, bezwładna, może zaśliniona, nie miałam nawet ochoty prosić o pomoc. Powinnam unikać niepotrzebnego ryzyka. Lepiej byłoby odwrócić się do nich plecami, bez pośpiechu, bardzo wolno, usunąć się powoli, dać im wyraźnie do zrozumienia, że zamierzam się oddalić.

Podczas kiedy układałam w głowie plan ucieczki, druga postać nagle do mnie podeszła i bez uprzedzenia chwyciła mnie za nogę. Byłam zaskoczona, wydałam z siebie cichy jęk niczym bezbronne zwierzę. Opuściłam wzrok: za nogę trzymało mnie mocno jakieś dziecko.

– Chodź tutaj – powiedziała do niego surowym tonem druga osoba, którą powoli zaczęłam rozpoznawać.

To była ta blondynka, która szwendała się po moim domu i którą od czasu do czasu widziałam albo słyszałam w głębi przedpokoju czy w kuchni. Pewnie to ona parę razy włączyła wieczorem telewizor i prawie na pewno to ona przed chwilą otworzyła drzwi. Teraz stała przede mną z brązową kopertą w dłoni i mówiła do dziecka – wyglądała na zmartwioną.

Pomyślałam, że zemdleję, trochę z powodu ucisku na kolano, a trochę z powodu nieoczekiwanego kontaktu z brudnymi i na pewno pełnymi bakterii rączkami.

– Chodź – nalegała kobieta.

Popatrzyłam lękliwie na chłopca.

Dlaczego tak się mnie uczeplił? Tak robią wszystkie dzieci w jego wieku czy też chciał ode mnie czegoś konkretnego? Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Poczułam chęć, żeby wypowiedzieć pierwsze od wielu dni słowa: „Spadaj, gówniarzu!”.

Ale nic nie powiedziałam. Nie byłam gotowa. Zresztą pewnie nic by to nie dało.

Wybrałam język gestów, poruszyłam ręką w przód i w tył, raz czy dwa, dość energicznie, pokazując dobitnie, że nie podoba mi się to, co robi.

Chyba nie zrozumiał, bo ścisnął mnie jeszcze mocniej.

Kobieta postanowiła zareagować bardziej stanowczo: podniesionym głosem wypowiedziała kilka dziwnych słów w sekretnym języku, znanym tylko jej i dziecku. Ono odpowiedziało krzykiem, a kobieta jeszcze bardziej

podniosła głos.

To, co mówiła w tym dziwnym języku, nie miało dla mnie żadnego sensu i przez to brzmiało nieprzyjemnie dla ucha. Kobieta podeszła do chłopca i oderwała go brutalnie od mojej nogi. On krzyknął i stawiał opór. Wyglądało na to, że nie chce mnie puścić, mimo słów, mimo gestów, mimo ciągłego poszturchiwania przez kobietę.

Pomyślałam sobie: teraz już na pewno się przewrócę. Bez dwóch zdań.

– Przepraszając, Ana, my przepraszając – powiedziała kobieta, bardzo rozgniewana.

W końcu jednym klapssem oderwała chłopca od mojej nogi i uniósłszy go za ramię, przytrzymała w powietrzu. Dalej protestował i wyciągał do mnie rączkę. Widziałam, że dziecko też ma blond włosy i duże oczy, które bez przerwy się we mnie wpatrywały. Znienacka opadły mnie wspomnienia z ostatnich tygodni; przypomniałam sobie, jak chłopiec leżał w nogach mojego łóżka albo głaskał mnie po włosach na kanapie. Wszystko to było niewyraźne, ale te przebłyski zamieniły się w końcu w jedno słowo.

W imię, które pojawiło się w mojej głowie.

– Martín – powiedziałam.

Chłopczyk przestał wierzgać.

Kobieta też się uspokoiła, znieruchomiała.

Oboje patrzyli na mnie oniemiałi – zdumieni, że przemówiłam.

Było to może moje pierwsze słowo od wielu dni. A nawet moje pierwsze słowo post A.

Wszyscy troje staliśmy w przedpokoju, ciesząc się tą chwilą. W milczeniu, starając się nie zepsuć pełnej napięcia harmonii – że tak to nazwę – jaka nagle zapanowała. Kobieta postawiła dziecko na podłodze. Miało nie więcej niż trzy lata, ale było chyba świadome, że to, co się dzieje, jest ważne, że być może stanowi punkt zwrotny w jego relacjach ze mną, niezależnie od ich rodzaju.

Zebrawszy się na odwagę, zrobiłam jedyną rzecz, na jaką potrafiłam się zdobyć.

Powtórzyłam:

– Martín.

Na dźwięk swojego imienia chłopiec ponownie przywarł do mojej nogi niczym przyssawka.

Znowu? Nie potrafił robić nic innego?

Pożałowałam, że otworzyłam usta. Ogarnęła mnie nagła niemoc, powieki zaczęły mi ciążyć, przed moimi oczami pojawiło się kilka świecących punkcików, powróciły zawroty głowy. Czułam się komfortowo w tym początkowym stadium wegetacji, tak dobrze mi znanej. Nie ruszając się z miejsca, nie wiem który już raz zaczęłam odrywać się od rzeczywistości. Ta podróż miała mnie zaprowadzić daleko stąd.

Kobieta musiała to zauważyć, bo podeszła do mnie zmieniona na twarzy i uniosła dłoń z kopertą. Podstawiła mi ją pod nos.

– Ana, proszę, ty patrz – powiedziała.

I powtórzyła:

– Proszę.

Jeśli chciała mnie skłonić, żebym przeczytała jakiś dokument, to znaczy, że mieszkanie ze mną niczego jej nie nauczyło. Ostatnie neurony w mojej głowie, które jeszcze zachowywały czujność, miały się za chwilę rozłączyć.

Blondynka westchnęła i znowu wypowiedziała kilka słów w swoim dziwnym języku. Wydawało mi się, że widzę łzę spływającą po jej twarzy. W jakiś magiczny sposób wyczułam, że ta ściekająca łza jest decydującym sygnałem.

Klik!

Zamknęłam oczy, mój mózg na dobre się wyłączył.

Strumień zimnej wody brutalnie uderzył w moje ciało.

– Lodowata! – zaprotestowałam.

– O to właśnie chodzi – odparła Concha i ponownie skierowała na mnie słuchawkę prysznicą.

Kiedy tak siedziałam naga w wannie, a przyjaciółka polewała lodowatą wodą poszczególne części mojego ciała, poczułam, że stoczyłam się na samo dno. Nie pierwszy i na pewno nie ostatni raz miałam takie wrażenie. Choć zabrzmiało to paradoksalnie, sięganie dna jest kolejną z moich specjalności.

– Co ty, kurwa, wzięłaś? – zapytała Concha.

– Kiedy? – wybełkotałam pod strumieniem wody.

– Wszystko jedno, do cholery! Wczoraj, dzisiaj, w zeszłym tygodniu. Co tu robiłaś zamknięta i co brałaś?

Wyciągnęłam ręce, próbując osłonić twarz przed wodą, ale udało mi się tylko częściowo.

– Tranxilium, lexatin, orfidal, lorazepam, diazepam, propranolol, doksepina – wymamrotałam. – Gin, whisky, burbon, batoniki zbożowe... uch... Chyba jadłam jeszcze jakąś zupę...

– Matko kochana, przechodzisz samą siebie! – wykrzyknęła moja najdroższa przyjaciółka. – Ratowanie ci życia staje się bardzo nudnym zwyczajem.

– Aaa... jeszcze fluoksetynę, ale skończyła się po kilku dniach – dodałam.

Pokręciła głową, co wyrażało chyba coś w rodzaju rozpaczliwej połączonej z rezygnacją.

– Myślisz, że depresja jest dziedziczna? – zapytałam bez większego przekonania. – Moja matka zawsze była smutna, przez wszystkie dni swojego życia. Czasem myślę, że mnie tym zaraziła.

– Przesuń się – rozkazała tak stanowczo, że nie miałam innego wyboru, jak natychmiast wypełnić jej polecenie. – Masz żel albo szampon?

Pokazałam ręką białą szafeczkę, jakby tam było moje zbawienie. Concha otworzyła ją i bez ceregieli wyjęła kostkę mydła, co wywołało we mnie pewien niepokój. Nie przeczytała składu, nie odgięła rogów, by otworzyć opakowanie, nie zgmiotła go powoli w zaciśniętej dłoni.

– Już dawno takich nie widziałam – powiedziała i zaczęła nacierać mi plecy mydłem dziegciowym.

– Czy mogłabyś puścić ciepłą wodę? – zapytałam nieśmiało.

– Lepsza jest zimna – odparła i dalej mnie namydłała.

Mniej więcej godzinę później siedzieliśmy w kuchni. Pachniało świeżo zaparzoną kawą – zbyt intensywnie jak na mój gust.

– Opiekuj się tobą od ponad miesiąca – powiedziała Concha, zdejmując z półki duże filizanki. – Ta dziewczyna nawet cię nie zna, a jednak po pogrzebie zamieszkała tu z tobą. Wszyscy odeszliśmy, ona została. Gdyby nie jej pomoc, pewnie byś już nie żyła.

– Przyszła do mnie z dzieckiem, bo nie miała gdzie się podziać – powiedziałam szorstko. W mojej głowie znowu zaczęły się układać jakieś wspomnienia: chyba sama ją zaprosiłam, może nawet gorąco ją namawiałam, chociaż nie miałam pewności. – Oboje są bardzo ładni i mają bardzo jasne włosy.

– Chłopiec jest podobny do Alejandra – powiedziała Concha, stawiając na stoliczku parującą filizankę. – Po pogrzebie nie nadawałaś się do niczego, więc zaproponowałam jej trochę pieniędzy, żeby mogła wrócić do Polski. Pomyślałam, że później mi zwrócisz. Ale ona powiedziała, że w kraju nie ma nikogo, że jej rodzina jest tutaj. Miała na myśli ciebie. Kiedy mówiła o rodzinie, mówiła o tobie. Zdaje się, że ma jeszcze brata, z którym nie rozmawia, więc on się nie liczy. Pij.

– Nie znam tej dziewczyny i nie mam najmniejszej ochoty jej poznawać.

Po krótkiej przerwie będącej próbą sił dałam za wygraną: uniosłam filizankę z kawą do ust i pociągnęłam mały łyk.

– Ma na imię Helena, jest matką syna Alejandra, zaprosiłaś ją, żeby zamieszkała w twoim domu – powiedziała Concha. – Słusznie mówi, że

jesteście czymś na kształt rodziny.

Poczułam lekkie pieczenie w żołądku.

– Chcesz mleka? – zapytała.

Wzruszyłam ramionami. Wiedziałam, że z mlekiem czy bez ta filiżanka kawy wywoła w moim układzie pokarmowym rewolucję.

– Pij – poleciła ponownie.

– Po co przysłaś?

– Bo jestem twoją przyjaciółką – odpowiedziała. – Bo leżałaś nieprzytomna na środku przedpokoju. I dlatego, że słodka wdówka miała tylko mój numer telefonu. Gdyby jej tu nie było, na pewno byś umarła.

– Już to mówiłaś – wymamrotałam i uprzedzając jej kolejną zachętę, pociągnęłam znowu mały łyk.

Zauważyłam, że przez okno nie wpada światło. Musiała być noc, a może świt. Nie miałam zielonego pojęcia, która jest godzina. Ani, prawdę mówiąc, jaki jest dzień. Ani jaki miesiąc, skoro już o tym mowa.

– Mamy listopad, Concho? – zapytałam.

Wydała z siebie dźwięk przypominający śmiech.

– Jest dwudziesty szósty listopada, dwunasta w nocy, siedzisz zamknięta w swoim mieszkaniu od trzydziestu czterech dni, bez wychodzenia, jedziesz na środkach uspokajających, antydepresantach, alkoholu i batonach zbożowych.

– I zupie.

– I zupie – dodała. Wyraźnie się rozkręcała. – Poprzednio, po tym, co się stało, wyciągnęłam cię z rozpaczysię, bo tak robią przyjaciółki. Tym razem nie wiedziałam, czy powinnam przyjść. Podejrzewałam, że nie będziesz chciała mnie słuchać i że na pewno będziesz w złym stanie. Możliwe, że gdyby ta dziewczyna do mnie nie zadzwoniła, zwlekałabym jeszcze kilka tygodni. Ano, kocham cię, wiesz o tym. Tyle że ja też jestem rozbita po śmierci Alego. Boli mnie, że skończył w taki sposób, możesz mi wierzyć. Nie mówię, że nie masz prawa tego tak przeżywać ani że nie możesz niszczyć samej siebie, jeśli tego właśnie pragniesz. Rozumiem, że nie pierwszy raz ci się to przytrafia. Można nawet zrozumieć, że nie masz siły,

żeby dalej żyć. Ale – i nie jest to groźba ani ostrzeżenie, tylko fakt – jeśli będziesz ciągnąć to dalej, nie wrócę. Nie chcę cię oglądać w takim stanie, rozumiesz? Nie będę ci teraz mówić o swoich problemach. I mam prawo się wycofać, tak jak ty masz prawo zrobić ze swoim życiem, co tylko zechcesz. Niańczyłam cię przez ponad pięć lat. To się skończyło. Dziś, dokładnie w tym momencie, to się skończyło. Bardzo mi przykro, ale dłużej nie mogę. Jeśli zechcesz walczyć, pomogę ci. Jeśli zamierzasz zniszczyć samą siebie, zrób to beze mnie.

Nie drgnęłam, nie mrugnęłam okiem. Nie chciałam, żeby dostrzegła u mnie jakąkolwiek oznakę słabości. Starłam się zachować twarz bez wyrazu.

Pociągnęłam jeszcze jeden łyk kawy. O jeden za dużo. Przyskoczyłam do zlewu i wszystko zwymiotowałam.

Wyrzuciłam z siebie żółtawy płyn – jak sądzę, mieszanek żółci i różnych substancji chemicznych. Gdyby ktoś przeprowadził analizę cieczy, która ze mnie chlustała i spływała przez otwór zlewu, być może odkryłby jakąś nową, nieznaną formułę. Niedyspozycja przechodziła, w miarę jak wymiotowałam. Po pięciu takich falach trochę się uspokoiłam. Nie prostując pleców, wzięłam do ręki kuchenną ścierkę, przeciągnęłam nią po twarzy i starłam przyklepione resztki.

– Jeszcze jedno – powiedziała Concha, nie czekając na moją odpowiedź, jakby uznała, że wymioty były nie tylko czymś normalnym, ale wręcz zbawiennym. – Helena dała mi kopertę z sądu. Pismo przyszło dziś rano, chyba na krótko przed tym jak zemdlałaś. To wezwanie do sądu Capitán Haya, do wydziału do spraw zawiadomień. Sprawa z powództwa cywilnego.

– Zostałam pozwana? – zapytałam odruchowo, wycierając ścierką płytę vitroceramiczną, gdzie trafiła część wyciekłego ze mnie płynu.

– Ty nie – odparła przyjaciółka. – Ona.

– Ona?

– Helena, do cholery, twoja bratowa, blondynka, która przed kilkoma godzinami uratowała ci życie, słodka wdówka. Ma się stawić w poniedziałek w wydziale do spraw zawiadomień sądowych; przed chwilą ci mówiłam.

– Aha – powiedziałam bez większego zainteresowania.

Jeśli Concha miała nadzieję, że mnie tym zaskoczy albo zaciekawi, to się trochę zawiodła.

Zrobiłam dwa kroki i ponownie opadłam na krzesło, opierając się prawym ramieniem o nieskazitelne kafelki. Kuchnia błyszczała, z wyjątkiem zlewu, który sama przed chwilą zabrudziłam. Ktoś ją niedawno wysprzątał; była bardziej wypucowana niż przed kilkoma miesiącami, kiedy teoretycznie raz w tygodniu przychodziła dziewczyna do sprzątnięcia i kiedy ja byłam – również teoretycznie – względnie normalną prawniczką, prowadzącą względnie zwyczajne życie towarzyskie i względnie dbającą o higienę.

Concha znowu popatrzyła na mnie tymi swoimi oczami, w których malowało się raczej zniecierpliwienie niż wyrozumiałość.

Pokręciła głową. Przypuszczam, że moje zachowanie ją irytowało.

– Kasyno w Robredo pozwało Helenę Kowalczyk.

Wyprostowałam się nieco. Zaledwie kilka centymetrów. Teraz owszem, przykuła całą moją uwagę. Concha musiała to dostrzec, bo wyraz jej twarzy uległ zmianie.

– Dlaczego ją pozwano?

– Chcą, żeby spłaciła dług Alejandra, ponad osiemset tysięcy euro – wyjaśniła.

– Skurwysyny – wymamrotałam.

Spróbowałam połączyć fakty: mój brat był winien kasynu dużo pieniędzy. Kasyno na niego naciskało. Mój brat zamordował dyrektora kasyna. Potem mój brat popełnił samobójstwo. A teraz kasyno żąda spłaty długu od wdowy.

Zaciekawiło mnie, jakie będzie następne ogniwo w tym łańcuchu.

Może kolejne morderstwo.

Albo nowe samobójstwo.

Zaczęłam widzieć wszystko w ciemnych barwach.

Oddaliłam te myśli i ponownie skoncentrowałam się na tym, co powiedziała moja przyjaciółka. Jakimś cudownym trafem na chwilę oprzytomniałam.

– W świetle prawa ona nie jest spadkobierczynią – zaczęłam dowodzić. – Ona jedynie reprezentuje Martina, jedyne legalne spadkobiercę. Poza

tym niczego nie podpisała; byłoby głupotą przyjęcie spadku, który sprowadza się do długu.

Concha miała już coś powiedzieć, ale nie zdołała, bo przerwał jej czyjś głos dobiegający od strony kuchennych drzwi.

– Tak, ja podpisać.

Obie odwróciłyśmy głowy.

To była ona. Wspomniana blondynka. Polska wdówka. Podobało mi się połączenie tych dwóch słów, powtórzyłam je w myśli: polska wdówka.

– Ja podpisać papier – powtórzyła. – Alejandro zostawić wszystko dla mnie. Mieć van i dwa bardzo dobre zegarek. Jak ja nie podpisać, te rzeczy zostaje państwo hiszpańskie.

Helena wyjęła jakieś pudełeczko i położyła na stole. W środku znajdowały się dwa zegarki. Od razu poznałam jeden z nich. To było stare casio z czarnym plastikowym paskiem, które Ale nosił na studiach. Obok leżała seryjna posrebrzana omega, trochę nowsza niż pierwszy zegarek. Oba nie miały żadnej wartości materialnej, w przeciwnym razie mój brat by ich nie zachował. Podobnie musiało być z vanem, na pewno chodziło o bezużytecznego grata. Podsumowując: polska wdówka przyjęła spadek po bankrucie składający się przede wszystkim z gigantycznego długu, którego nigdy nie będzie zdolna spłacić. Nawet gdyby niczego nie podpisała, a prawomocność długu zostałaby udowodniona, i tak musiałaby wziąć go na siebie. Podpis jedynie jeszcze bardziej wszystko komplikował.

– Skąd ci przyszło do głowy, żeby podpisać jakieś papiery bez skonsultowania się z kimkolwiek? – zapytała Concha.

– Już powiedzieć: dwa zegarki i van Alejandra – wyjaśniła, jakby chodziło o coś oczywistego. – Nie ma nikogo, żeby konsultować. Ana spać. Ja nie znać nikt. Ja mieć teraz problem?

– Tak, ty masz teraz wielki problem – powiedziała Concha, coraz bardziej zdenerwowana. – Kasyno twierdzi, że jesteś mu winna osiemset tysięcy euro.

– Ja nigdy nie grać kasyno – próbowała się bronić. – Ja nienawidzić kasyno.

– To bez znaczenia – odparła Concha; wydawała się naprawdę zła na dziewczynę. – W ogóle nie myślisz, zanim podpiszesz jakiś dokument? Nie

rozumiesz, że masz małe dziecko, że jesteś za nie odpowiedzialna? Życie to nie tylko tańczenie w klubie i rodzenie! Nie rozumiesz, że nic nie jest takie proste, że możesz mieć poważne problemy z tego powodu? Kto będzie się opiekował dzieckiem, jeśli ciebie zabraknie, co? Możesz mi powiedzieć?

– Ja opiekować Martín – broniła się przestraszona.

– To nie takie proste! Będziesz opiekowała się synem, dopóki pewnego dnia nie okaże się, że nie dajesz rady, bo duszą cię długi, bo nie możesz złapać oddechu, bo zajmują ci tych parę euro, które zarabiasz... To jest bardzo poważna sprawa, ci ludzie nie żartują, zależy im wyłącznie na pieniądzach! – wrzasnęła Concha z wściekłością. – Trzeba używać głowy! Osiemset szesnaście tysięcy euro, na miły Bóg! Co się dzieje w tym domu? Czy nie ma tu kogoś, kto miałby choć odrobinę oleju w głowie? Myślicie, że przyjdzie Concha wybawicielka i wszystko załatwi? Wiecie, co wam powiem? Że to wasz problem.

Złapała swoją torbę i marynarkę leżące na stołku, chcąc wyjść. Nabrała głęboko powietrza.

– A ty – wskazała mnie – przemyśl moje słowa. Nie zawsze będę przy tobie.

Zrobiła trzy długie kroki i wyszła z kuchni. Jej obcasy zastukały w przedpokoju. Kilka sekund później usłyszałyśmy trzaśnięcie drzwi.

Polska wdówka stanęła przygnębiona na środku kuchni.

– Ja iść do więzienia? – zapytała.

– Jasne, że nie, w tym kraju nikogo się nie wsadza za długi – powiedziałam, zamykając temat. Tak naprawdę tego wieczoru nie miałam ochoty ani siły na dalsze melodramaty. – Concha już ci to powiedziała: mogą bardzo skomplikować ci życie, mogą zajmować wszystko, co zarobisz w ciągu najbliższych lat, mogą nawet domagać się spłacenia długu od Martina, kiedy osiągnie pełnoletność. Ale nikt nie wsadzi cię za kratki, to tak nie działa.

– Dlaczego Concha złości na mnie? – nie dawała za wygraną. Jej pytanie niespodziewanie mnie zaciekawiło.

Dlaczego moja dobra, kochana przyjaciółka, szefowa i oficjalna wybawicielka tak bardzo rozzłościła się na tę niczego nieświadomą

blondynkę? Co ona jej zrobiła?

No właśnie. Teraz rozumiałam. Jasne jak słońce.

Helena była śliczna, młoda... a przede wszystkim to ją wybrał Alejandro. Postawiłam się na chwilę na miejscu Conchy (co nie było takie trudne) i zadałam sobie pytanie, które zadawała sobie ona: jak to możliwe, że Alejandro ożenił się z tą smarkulą? Jak to możliwe, że wolał dzielić życie z tym dzieckiem, a nie z nią?

– Nie przejmuj się. Jest zazdrosna.

– Zazdrosna Concha? Nie rozumiem.

– Nie musisz – dodałam i spojrzałam na nią z ciekawością.

Jeśli to, co mówiła Concha, było prawdą, blondynka opiekowała się mną przez ostatnie tygodnie. Wiem, że to nic przyjemnego być przy mnie, kiedy wchodzę w fazę, którą właśnie przeszłam. Poza tym to ona była wdową; jeśli ktoś miał prawo przeżywać żałobę, to właśnie Helena. Jednak w żaden sposób nie okazywała na zewnątrz, że niedawno straciła bliską osobę: jej mąż, ojciec jej syna, powiesił się w celi. Żadnej rysy, żadnej widocznej oznaki słabości, a przy tym wydawała się szczerą. Było oczywiste, że cierpi, choć nie pozwalała, by inni o tym wiedzieli. Nie znałam nikogo takiego jak ona – z jednej strony sprawiała wrażenie osoby, która się nie poddaje, i nie okazywała cierpienia, ale z drugiej (pewnie dlatego, że wyglądała jak uosobienie szczerości) można się było domyślić, że coś w niej pękło. Uznałam, że jako świadek w sądzie ta dziewczyna to skarb. Budziła zaufanie, była ładna i udzielała prostych odpowiedzi. Świadek niemal doskonały. Szkoda tylko, że mówiła z takim akcentem. Ludzkie uprzedzenia i doświadczony prokurator mogły zrobić z niej wiedźmę.

– Powiedz mi prawdę, Heleno. Dlaczego podpisałaś ten papier o spadku?
– zapytałam cicho. – Z powodu zegarków i vana?

Pokręciła głową.

– Ja podpisać, bo Alejandro być mój mąż, tak trzeba – odparła. – Tak robić rodzina.

Prostota jej rozumowania wzbudziła we mnie zazdrość.

Nieświadomie postanowiłam wykorzystać wzajemną sympatię i nić porozumienia, jaka powstała między nami. Nie przemyślałam tego, ale nie

mogłam się powstrzymać.

– Heleno, czy możesz wyświadczyć mi przysługę? – zapytałam, jeszcze bardziej ścisząc głos, co zmusiło ją, by podejść bliżej.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Widzisz to metalowe pudełko na lodówce? – zapytałam.

– Ja widzieć.

– Chciałabym, żebyś wzięła wszystkie recepty, które są w środku, i poszła do apteki, żeby je dla mnie wykupić – rzuciłam od niechcena. – Teraz.

Helena popatrzyła na pudełko, jakby miała podjąć jakąś życiową decyzję.

– Apteka zamknięta – odparła. Niezła próba.

– Nie wiem, jak to działa w Polsce, ale tutaj mamy cudowny wynalazek nazywany „apteki dyżurne” – powiedziałam. – Otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Zdumiewające, ale prawdziwe.

– Leki niedobre dla Ana – zaprotestowała.

– Wiem, dziękuję za radę – powiedziałam bardzo spokojnie. – Ale ponieważ już jesteśmy rodziną, powiem ci prawdę i mam nadzieję, że docenisz ten przypływ szczerości i nie będziesz małostkowa: mam w dupie twoje zdanie. Teraz idę do mojego pokoju po pieniądze; te świństwa kosztują kupę kasy.

Wstałam. Już prawie czułam skutki działania diazepamu połączonego z oksykodonem. Za niecałą godzinę będę w siódmym niebie.

Ostatecznie na coś się przydały prysznic i wizyta Conchy. Odzyskałam przytomność umysłu na tyle, by z powrotem zaopatrzyć się na dłuższy czas.

Uważnie wysłuchałam kategoriycznych słów Conchy, oceniłam je, tak jak na to zasługiwały, rozważyłam fatalne skutki, jakie mogłyby mieć mój upór, i po przerobieniu tego wszystkiego podjęłam dojrzałą, przemyślaną i logiczną decyzję: tej nocy urządzię sobie ucztę ze środków uspokajających i z alkoholu.

Rzuciłam opakowania na łóżko. Helena przyniosła mi duży zapas różnych leków. Nie zadając więcej pytań, wyszła z domu w środku nocy z garścią fałszywych recept i zdobyła dla mnie prawie wszystko, o co ją prosiłam. Sama nie zrobiłabym tego lepiej.

Teraz miałam tylko jedną wątpliwość: od czego zacząć. Lorazepam był dobrym rozwiązaniem. Klasyk. Choć z drugiej strony byłby lepszy w połączeniu z czymś trochę mocniejszym. Albo doksepina z whisky na obiecujący początek. Wzięłam spod okna butelkę grant'sa i przez chwilę kontemplowałam to, co przygotowałam sobie na ucztę.

Słowa Conchy zabrzmiały w mojej głowie niczym alarm ostrzegawczy. Zobaczyłam również zaniepokojoną twarz Heleny. Na koniec pojawił się obraz mojego brata, patrzącego na mnie z niedowierzaniem. Na długo przed telefonem z koszar Ale dwa czy trzy razy prosił mnie o pomoc, a ja zwyczajnie go olałam. Miałam dość jego niedojrzałości, byłam zmęczona ciągłym rozwiązywaniem jego problemów, przytłoczona własnymi zmartwieniami. Nie poświęciłam mu ani odrobiny uwagi. W ciągu ostatnich pięciu lat próbował się do mnie zbliżyć, ale ja zawsze go odpychałam, a nawet potępiałam za jego nieodpowiedzialne zachowania – jakbym sama świeciła przykładem.

Kiedy to sobie przypomniałam, ogarnął mnie straszny smutek. Nie czułam się winna tego, co się stało, a może w jakiejś mierze tak, sama nie wiem. Mój brat był chory, a ja nie chciałam albo nie umiałam tego dostrzec. Po kilku sekundach w piersi zaczął mi narastać ból, z niepokoju, a może z lęku. Doskonale wiedziałam, jak go pokonać. Usiadłam na brzegu łóżka i wyjęłam z opakowania dwie tabletki doksepiny. Przyglądałam się im, kiedy tak leżały na mojej dłoni. Naprawdę odczuwałam ból w klatce piersiowej, nie był wytworem mojej wyobraźni ani skutkiem zamętu w głowie.

Nadeszła chwila, by podjąć decyzję.

Zobaczyłam oczyma wyobraźni, jak mały Martín wchodzi do pokoju i widząc mnie z tabletkami i whisky w rękę, głaszcze mnie po włosach, może nawet całuje, a ja się rozczulam, mięknę, postanawiam nie brać żadnego środka uspokajającego i stawić czoło losowi i cierpieniu jak osoba dorosła.

W innej fantazji, jeszcze bardziej zwariowanej, w pokoju pojawiał się duch mojej zmarłej matki i prosił mnie, bym wybaczyła jej wieczny smutek, ciągłą depresję, to, że niszczyła mi dzieciństwo bezustannym szantażem emocjonalnym, aż umarła, kiedy miałam dziewięć lat, bym wybaczyła jej to, że zostawiła mnie i mojego brata. Tym razem zamiast jak zwykle płakać, była silna i pełna nadziei; przekazywała mi swoją energię.

Żadna z moich wizji się nie urzeczywistniła. Tej nocy nikt, żywy czy martwy, nie wszedł do mojego pokoju.

Byłam sama. Z moimi lękami. Z bólem w piersi i w wielu innych częściach ciała, w głowie i, za przeproszeniem, w duszy. Wiedziałam, że muszę podjąć jakąś decyzję.

Powiedziałam sobie: nigdy więcej skrótów ani półśrodków.

Powiedziałam sobie: skończ z tym raz na zawsze, weź nie jedną, dwie czy trzy pastylki, ale wszystkie naraz. Myśl o samobójstwie (nazwijmy rzecz po imieniu) nie była mi obca. Przeciwnie, w mojej rodzinie był to niemal zwyczaj, makabryczny, najwyraźniej przekazywany z pokolenia na pokolenie.

Powiedziałam sobie: nikt nie przyjdzie cię uratować.

Powiedziałam sobie: wybieraj, podejmij decyzję sama, nie myśl o innych.

Nie jestem pewna, ale przypuszczam, że przecinając tak brutalnie łączącą nas nić, Concha wstrząsnęła mną bardziej, niż w pierwszej chwili sądziłam.

Mogłam zażyć wszystkie tabletki i wreszcie odpocząć. Tak jak zrobiła nasza matka, kiedy byliśmy dziećmi. Dokładnie tak jak zrobił Ale. Mogłam ulec impulsowi. Byłam tego bliska. Ale zrobiłam coś przeciwnego. Nie ze względu na bezradne dziecko i bezradną wdowę, którzy twierdzili, że są moją rodziną, ani ze względu na przyjaciółkę, ani na nieżyjącą matkę, ani nawet nie ze względu na brata. Zrobiłam to tylko i wyłącznie dla siebie. Nieporadnie zgarnęłam naraz wszystkie opakowania i wyszłam z pokoju z całym ich naręczem. Włożyłam je do plastikowej torby z supermarketu,

zawiązałam ją i wrzuciłam do kosza na śmieci. Wiedziałam, że to nie wystarczy. Wyciągnęłam niebieski worek z kubła i pchana nieznanym mi instynktem otworzyłam drzwi. Zeszłam po schodach, myśląc tylko o jednym: żeby pozbyć się torby, wynieść ją gdzieś daleko, do miejsca, z którego nie będę mogła jej odzyskać, w którym na zawsze ulegnie zniszczeniu. Nie traciłam nawet czasu na zapalenie światła na schodach, działałam szybko, z determinacją. Wyszłam z domu stanowczym krokiem, po ciemku wpadłam na jeden z filarów przy drzwiach. Kiedy dotarłam do bramy w ogrodzeniu, nacisnęłam przycisk i czekałam na znajomy dźwięk napędu. Brama się otworzyła. Wyszłam na ulicę w poszukiwaniu kontenera na śmieci. Rozglądałam się na boki zdezorientowana; nie przypominałam sobie, żeby jakiś był w pobliżu. Po kilku sekundach dostrzegłam w oddali zielony pojemnik stojący przed remontowanym budynkiem. Bez wahania przeszłam przez ulicę i wrzuciłam torbę do środka, zagrzebałam ją pod gruzem, pogniecionymi kartonami, resztkami gipsu i cementu. Poczułam, że uwolniłam się od niej na zawsze.

Wróciłam do bramy zdyszana.

Wysiłek fizyczny – o ile można tak nazwać zejście po schodach i przejście na drugą stronę ulicy – dał mi się we znaki.

Kiedy byłam na środku ulicy, wydało mi się, że ktoś obserwuje mnie z samochodu zaparkowanego przy chodniku, ale nie zatrzymałam się, by to sprawdzić. Doszłam do bramy. Była zamknięta, a ja nie wzięłam ze sobą kluczy ani komórki, niczego. Zdałam sobie sprawę, że wyszłam na ulicę w spodniach od dresu i T-shircie. Popatrzyłam na dół. Byłam na bosaka. Kiedy przyglądałam się swoim gołym stopom na ulicznym bruku, poczułam chłód. Nagle uświadomiłam sobie, że wieje wiatr, że jest zimno, że to koniec wyjątkowo chłodnej jesieni.

Popatrzyłam na domofon: numery zdawały się zlewać w jedno. Nie pamiętałam piętra.

Moje położenie było żałosne.

Wielka Ana Tramel, bicz na sądy, stała na bosaka na ulicy, o świcie, przed swoim domem, niezdolna przypomnieć sobie nawet, na którym piętrze mieszka.

Objęłam się ramionami i zaczęłam płakać. Początkowo były to lekkie

spazmy, które jak zwykle starałam się powstrzymać. Ale szloch wzmagał się w niekontrolowany sposób i w końcu dałam mu upust. Wybuchnęłam płaczem. I to jakim. Płakałam nad zmarłym bratem. Nad całą masą rzeczy i osób, które straciłam i po których aż do tej nocy nie uroniłam ani jednej łzy; ale przede wszystkim nad sobą. Zrobiło mi się siebie żal: stałam w środku nocy na bosaka, skostniała z zimna, i przyglądałam się cyfrom domofonu, jakby to było sudoku.

Jak do tego doszło?

Co się pokręciło, że tak skończyłam?

Płakałam dłuższą chwilę.

Łzy spływały po mojej twarzy niehamowane. Było to nieznane mi doświadczenie, bolesne, ale w ostatecznym rozrachunku pokrzepiające.

Kiedy przestałam, poczułam się wyczerpana, pozbawiona energii. Ale czułam również, że uwolniłam się od części wielkiego ciężaru. Zniknął ucisk w piersi. Na pewno wróci, ale będę na niego przygotowana.

Podmuch zimnego wiatru uderzył mnie w twarz.

Kto by pomyślał, że sterczenie na ulicy w środku nocy, w przenikliwym zimnie, bez możliwości wejścia do domu, i zanoszenie się płaczem jest najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła mi się w ciągu ostatnich lat.

W normalnych warunkach nienawidzę czekania. Był to jednak – że tak powiem – pierwszy dzień mojego nowego życia, dlatego zacisnęłam zęby i postanowiłam podejść do wszystkiego ze spokojem.

Doskonale znałam tego rodzaju miejsca: kremowe, idealnie gładkie ściany, cicha, niemal niesłyszalna muzyka, fotele jeszcze pachnące nową skórą, ostatnie numery pism Izby Adwokackiej i publikacje po angielsku ułożone starannie na stoliczku, dyskretna recepcjonistka pasująca do klasycznego umeblowania, duże okna z widokiem na śródmieście. Wszystkie te szczegóły mówiły jedno: znajdujemy się w centrum świata prawa.

I z pewnością tak było.

Kiedyś pracowałam w bardzo podobnym miejscu: wielkiej kancelarii adwokackiej, jednej z tych, które figurują na liście „dwudziestu największych kancelarii Hiszpanii” albo „piętnastu najlepiej zarabiających firm prawniczych w naszym kraju”. Byłam niezmordowana, obsługiwałam klientów czternaście godzin na dobę, przez sześć dni w tygodniu, czułam się częścią dobrze naoliwionej, doskonale funkcjonującej maszyny. W tamtych czasach to ja kazałam czekać innym.

Kątem oka widziałam Helenę i Martina. Chłopiec siedział matce na kolanach. Ona nie ruszała się z krzesła, patrzyła przed siebie, niemal nie mrugając, czujnie, jakby wkroczyła w jakiś nieznany wymiar, gdzie wszystko, co zrobi, mogło się obrócić przeciwko niej. Nie była daleka od prawdy.

Za to Martín wyglądał na zrelaksowanego, raz po raz zapinał i odpinał suwak kurtki, z różną prędkością i godnym pozazdroszczenia skupieniem.

Jakaś dziewczyna w długiej spódnicy i ciemnym żakiecie weszła do sali bez drzwi, w której siedzieliśmy (pewnie w tym sezonie drzwi nie były w modzie; do prawdziwie nowoczesnego i awangardowego biura, takiego jak to, bardziej pasowały panele przesuwne). Podeszła do mnie i powiedziała

miłym, ale stanowczym tonem:

– Pan Arias spóźni się kilka minut. Przykry incydent zatrzymał go poza biurem; ma nadzieję, że wkrótce dotrze. Bardzo mi przykro.

– Aha – powiedziałam, powstrzymując się, żeby nie rzucić przekleństwa pod adresem tej nadętej smarkuli.

Spotkanie wyznaczyła sekretarka Ariasa. To znaczy, że oni wybrali dzień i godzinę. Czekaliśmy już trzydzieści pięć minut. A teraz oznajmiają, że spóźnienie będzie jeszcze większe.

– Zaczekamy, aż pan Arias dotrze – dodałam z uśmiechem.

– Oczywiście – odpowiedziała z uśmiechem dużo szerszym niż mój. I wyszła, poruszając się między panelami, tak jakby po to się urodziła.

Nie miałam zamiaru się irytować. Nie miałam zamiaru tracić nerwów. Nie miałam zamiaru obrzucać nikogo obelgami. Nie miałam zamiaru stąd wychodzić.

Wymieniłam z daleka spojrzenia z siedzącą w głębi recepcjonistką meblem. Jej wzrok mówił wyraźnie, że opóźnienie nie jest przypadkowe, że to dość powszechnie stosowana praktyka.

– Jest problem? – zapytała Helena.

– Żadnego problemu – odparłam, starając się zachować spokój. – Musimy jeszcze trochę poczekać, to wszystko.

– Miło tu czekać, wszystko bardzo ładne i bardzo drogie.

Polska wdówka zawsze zaskakiwała mnie swoimi odpowiedziami. Nie ulegało wątpliwości, że pochodzimy z różnych światów; nasze wychowanie i nasze zwyczaje były tak odmienne, że często wydawało się, że żyjemy w dwóch równoległych rzeczywistościach. Tyle że, choć na to nie wyglądało, byłyśmy teraz rodziną. Powtarzałam to sobie przy każdej okazji. Nie chciałam o tym zapominać. A na dodatek zostałam również jej adwokatem.

Postanowiłam jeszcze raz rzucić okiem na pozew. Znałam go na pamięć, ale ostrożności nigdy za wiele, zawsze mogę znaleźć jakiś szczegół, który umknął mojej uwadze, coś na pierwszy rzut oka nieistotnego, co przyda mi się jednak w czasie spotkania. Wyciągnęłam z aktówki brązową kartonową teczkę. Otworzyłam ją i zatrzymałam wzrok na nagłówku:

Do sądu pierwszej instancji według właściwości

Jacinto García Redondo, pełnomocnik procesowy przed sądem w Madrycie (numer wpisu do Izby Adwokackiej 2389) w imieniu Grupy Spółek Gran Castilla S.A., spółki kapitałowej, NIP 55003224A, z siedzibą w Madrycie, adres: Paseo de los Olmos 191, 28049, co poświadczam załączoną kopią pełnomocnictwa ogólnego i szczególnego (dokument nr 1), staję przed sądem i oświadczam...

Grupa Gran Castilla była olbrzymim konsorcjum, właścicielem licznych kasyn stacjonarnych, między innymi Creonte, kasyna w Pirenejach czy perły w koronie – kasyna w Robredo. Od jakiegoś czasu posiadała również trzy kasyna internetowe – jako pierwsza spółka w naszym kraju uzyskała koncesje na ich prowadzenie. Zarabiała miliony euro rocznie. Należała jednak do niewielkiej grupy akcjonariuszy; można wręcz powiedzieć, że pomimo rozmiarów było to przedsiębiorstwo rodzinne. Grupą kierował żelazną ręką Emiliano Santonja.

Przeczytawszy zwyczajowe zwroty, przeszłam do trzeciego akapitu pozwu i ponownie natrafiłam na nazwisko prawnika, który zaprosił mnie na spotkanie i który reprezentował firmę wnoszącą pozew, czyli jej adwokata.

Adwokat zrzeszony w madryckiej Izbie Adwokackiej p. Francisco Arias Martinez, numer wpisu taki a taki, telefon numer taki a taki.

Nie wiedziałam, kim jest Arias; nazwisko nic mi nie mówiło. Szybko sprawdziłam i znalazłam co najmniej trzy ciekawe informacje. Pierwsza i najważniejsza to ta, że pracował dla Barver & Ambrosía. Niezorientowanym w temacie powiem tylko, że chodzi o najlepszą kancelarię adwokacką w całej Hiszpanii, kancelarię numer jeden. Żadna inna nie może się z nią równać, czy to pod względem wielkości, czy obecności w mediach. Nie pomylę się, jeśli stwierdzę, że w każdym z procesów, które śledziliśmy ostatnio w telewizji, którąś ze stron reprezentował co najmniej jeden przedstawiciel Barver & Ambrosía. To monstrum prawa. Gigant.

Drugą rzeczą, jakiej się dowiedziałam, było to, że Arias ma dwadzieścia dziewięć lat i dopiero od niedawna pracuje w kancelarii. Zatem do naszej sprawy przywiązywano niewielką wagę. Chociaż mogli podstawić go dla

zmyłki. Albo mimo braku doświadczenia i niskiej szarży Arias to geniusz – rzecz mało prawdopodobna, ale nie do wykluczenia. Trzecią ciekawą informacją było to, że mówiło się o fuzji Barver & Ambrosía z jakąś niemiecką kancelarią. Jeśliby do niej doszło, staliby się trzecią kancelarią pod względem obrotów w Unii Europejskiej i ósmą na świecie. Wyglądało więc na to, że wspólnicy są bardzo zajęci, a także bardzo zadowoleni z niepoahamowanego rozrostu firmy, co na krótką metę mogło być dla mnie bez znaczenia, ale przynajmniej miałam ogólne pojęcie, z kim muszę się zmierzyć.

Czytałam dalej. Od tego ciągłego studiowania pozwu byłam bliska nauczenia się go na pamięć. Może to nie był taki zły pomysł? A nuż dzięki temu zrobiłabym na kimś wrażenie? Problem w tym, że nie bardzo wiedziałam na kim.

Przebiegłam wzrokiem nazwisko i szczegółowe dane pozwanej, Heleny Kowalczyk. Moją uwagę zwróciło tylko to, że w rubryce „miejsce zamieszkania” figurował wpisany odręcznie mój adres. Widać zlokalizowanie jej nie zajęło im dużo czasu. Istniało jednak proste wytłumaczenie. Z tego, co powiedziała mi sama Helena, zostawiła kartkę z nowym adresem tam, gdzie wcześniej mieszkała, w przydrożnym hostelu położonym cztery kilometry od kasyna. Nie wiem, czy bardziej zdziwiło mnie to, że mój brat mieszkał z żoną i synkiem w hostelu, czy to, że chciał być jak najbliżej miejsca, które doprowadziło go do ruiny. Zawsze miał beznadziejne pomysły. Nie myślałam jednak, że posunie się tak daleko.

Czytałam dalej. Pozew przytaczał masę faktów, dat, dokumentów i świadków potwierdzających wysokość długów, które Alejandro Tramel zaciągnął w firmie Gran Castilla będącej właścicielem kasyna, i wymieniał liczne weksle, podpisane przez niego w ostatnich latach. Przerzuciłam kartki i przeszłam do sedna sprawy, do końcowej części, najbardziej smakowitej ze wszystkich dwudziestu siedmiu stron.

Wnoszę,

aby Wysoki Sąd, przyjąwszy niniejsze pismo oraz dołączone do niego dokumenty i wymagane kopie, rozpatrzył je pozytywnie: uznał mnie jako pełnomocnika strony i zezwolił na mój udział w kolejnych czynnościach, uznał za wniesiony POZEW W POSTĘPOWANIU ZWYKŁYM

przeciwko HELENIE KOWALCZYK, pełnoprawnej spadkobierczyni po zmarłym ALEJANDRZE TRAMELU HIDALGO, którego dane osobowe podano wyżej, uznał za złożone wnioski zawarte w petitum...

I na zakończenie wielkie bum:

...po całościowym rozpatrzeniu niniejszego pozwu wydał wyrok stwierdzający, że pozwana jest winna mojemu mocodawcy kwotę w wysokości 816000 EUR (OŚMIUSET SZESNASTU TYSIĘCY EURO) stanowiącą sumę kwoty głównej i odsetek naliczonych do dnia wniesienia niniejszego pozwu, i NAKAZAŁ pozwanej jej spłatę oraz zasądził koszty postępowania.

Dalej widniało kilka innych formalnych wniosków skierowanych do sądu, a na końcu data i podpis.

Kiedy pierwszy raz usłyszałam sumę, na jaką zadłużył się mój brat, osłupiałam. Teraz, gdy poznałam Helenę i Martina, gdy mogłam przypisać im obojgu konkretne twarze, głosy, ciała, już samo zestawienie ich z tą kwotą budziło we mnie odrazę. To skandaliczne, że ktoś potrafił stracić głowę do tego stopnia, by grać w kasynie takimi pieniędzmi, zwłaszcza jeśli ich nie miał i nie zanosilo się, żeby kiedykolwiek mógł nimi dysponować. Ale jeszcze bardziej skandaliczne było to, że teraz próbowano ściągnąć ten dług od wdowy, imigrantki bez wykształcenia i bez środków do życia, matki małego dziecka, która cudem tylko mogła się utrzymać i wykarmić syna.

– Ciocia Ana zła – odezwał się siedzący przy mnie Martín.

Spojrzałam na niego.

Odkąd wróciłam do świata żywych, zaczął mnie nazywać ciocią Aną. Czułam się przez to stara, a poza tym odnosiłam wrażenie, że chce mi w ten sposób dokuczyć – co było przypuszczeniem absurdalnym w odniesieniu do dziecka mającego niewiele ponad dwa lata. Kiedy używał tego określenia, nie od razu orientowałam się, że mówi do mnie; zawsze wydawało mi się, że odpowie mu ktoś inny.

– Ciocia Ana nie jest zła – odpowiedziałam z powagą. – I ciocia Ana nie lubi, żeby ją tak nazywano, wszystko, tylko nie to. Możesz mówić do mnie po prostu Ana.

Martín spojrział na mnie i zmarszczył brwi.

– Tak, ciocia Ana zła – powiedział, wskazując palcem moją prawą dłoń.

Nieświadomie miałam teczkę, zaginając jej górny róg. Szybko rozkurczyłam palce, rozluźniłam mięśnie, jakbym została przyłapana na kłamstwie.

Helena powiedziała do Martina coś po polsku; chyba go strofowała. Zawsze robiła to w swoim ojczystym języku.

Zamknęłam teczkę i już miałam zamiar włożyć ją z powrotem do aktówki, kiedy pojawił się jakiś chłopak o bezmyślnym wyrazie twarzy. Miał na sobie garnitur i krawat wyglądające tak, jakby ukradł je z hipermarketu.

– Dzień dobry – powiedział, zwracając się do mnie; w dłoni trzymał tablet. – Jestem asystentem w wydziale do spraw postępowania sądowego. Niestety pan Arias nie będzie mógł pań dzisiaj przyjąć. Przeprasza i prosi, żebym, jeśli taka jest pani wola, wyznaczył inny termin spotkania.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

Powtórzyłam w myślach swoją mantrę: nie krzyczeć, nie tracić opanowania, nie robić niczego, czego mogłabym później żałować.

Wstałam powoli, starając się nie przybierać zbyt surowego wyrazu twarzy.

– Dzień dobry, asystencie z wydziału do spraw postępowania sądowego – powiedziałam uprzejmie. – Jak panu wiadomo, nazywam się Ana Tramel i jestem adwokatem obecnej tu Heleny Kowalczyk. Pan Arias sam umówił się z nami na dzisiaj. Czekamy od pięćdziesięciu dwóch minut.

Przerwałam. Na pewno spodziewał się, że będę mówić dalej, dlatego właśnie zrobiłam dokładnie na odwrót: zamilkłam, po tym jak podkreśliłam, ile czasu czekamy.

Chłopak trochę się speszył. Ponieważ nadal milczałam, nie miał innego wyjścia, jak przejąć inicjatywę.

– Jak już wyjaśniłem, pan Arias nie będzie mógł pań dzisiaj przyjąć. Bardzo mi przykro.

Odblokował tablet i mówił dalej, przeglądając najprawdopodobniej terminarz.

– Jeżeli to pani odpowiada, moglibyśmy od razu wyznaczyć nowy termin

– powiedział skwapliwie. – Może w przyszły czwartek późnym popołudniem albo najlepiej w poniedziałek za dwa tygodnie, dwunastego, tyle że wcześniej rano, bo w poniedziałki o dziewiątej pan Arias ma spotkania zarządu i...

– Proszę wybaczyć – przerwałam. – Zdaje się, że pan mnie nie zrozumiał. Powtórzę: od pięćdziesięciu trzech minut czekamy cierpliwie na pana Ariasa. Stawiliśmy się w jego biurze. W wyznaczonym przez niego dniu. Punktualnie o godzinie, którą sam zaproponował. We wszystkim poszliśmy panu Ariasowi na rękę. Czekamy.

Chłopak wyraźnie się zdenerwował. Spojrzał kątem oka na recepcjonistkę, jakby prosił ją o pomoc.

– Rozumiem panią, pani Tramel, i naprawdę bardzo mi przykro. Panu Ariasowi wypadła nieprzewidziana sprawa. Jest człowiekiem niezwykle zajęтым – powiedział, nie odrywając wzroku od tabletu. – Dlatego też dla wszystkich będzie prościej, jeżeli od razu umówimy następne spotkanie. Pozwolę sobie zaproponować poniedziałek dwunastego o siódmej trzydzieści rano. Tak byłoby najlepiej; będą panie pierwsze na liście, nie możemy ryzykować, że znów przeszkodzą nam jakieś nieprzewidziane okoliczności. Pasuje pani?

Zobaczyłam, że Helena także wstała. Wyglądała na zaniepokojoną obrotem spraw.

– Ja móc dwunastego, Ana – powiedziała z jeszcze silniejszym polskim akcentem niż zwykle; przynajmniej takie odniosłam wrażenie.

– Ja móc – potwierdził Martín, powtarzając słowa matki. Gestem nakazałam Helenie i chłopcu milczenie.

Mój rozmówca wykorzystał sytuację, żeby dopiąć swego.

– Doskonale, poniedziałek dwunastego o siódmej trzydzieści – podsumował zadowolony i z uśmiechem pochylił się nad Martinem. – Chcesz czekoladowego cukierka, młody człowieku?

Chłopiec schował się za Heleną i pokręcił głową.

– Wolisz cytrynowo-miętowego? – drążył asystent, uśmiechając się tak szeroko, jak tylko potrafił.

– Proszę posłuchać, byłabym panu niezmiernie wdzięczna, gdyby nie zwracał się pan do moich klientów – wtrąciłam, starając się nie okazywać

zdeenerwowania ani pogardy. – Chyba się nie zrozumieliśmy: powtórzę to panu trzeci i ostatni raz, żeby miał pan jasność. Spotkanie zostało umówione przez sekretarkę pana Ariasa. Pan Arias osobiście o nie zabiegał. Poprosił, żebyśmy przyjechały do jego biura, wyznaczył dzień, godzinę i miejsce. To pan Arias nalegał, żebyśmy się spotkali, on, nie ja. Mimo to czekamy od pięćdziesięciu pięciu minut, a teraz pan mi mówi, pan, którego nie miałam przyjemności wcześniej poznać, że pan Arias nas nie przyjmie, że nas wystawił.

– Rozumiem panią, pani Tramel, ale nie użyłbym określenia „wystawił” – wybełkotał. – Wynikła nieprzewidziana okoliczność i...

– I nas wystawił – powtórzyłam, podkreślając ostatnie słowo. – W porządku, w takim razie zrobmy tak: ja i moi klienci udamy się teraz do garażu po samochód i odjedziemy. Jeżeli pan Arias pojawi się, zanim opuścimy ten budynek, co według moich obliczeń nastąpi w ciągu pięciu minut, nie później, to z nim porozmawiam. Jeżeli jednak wyjedziemy z garażu na ulicę, nie otrzymawszy żadnej wiadomości, nie będzie więcej spotkań z panem Ariasem. Ani dzisiaj, ani w poniedziałek dwunastego, ani żadnego innego dnia. Zobaczymy się w sądzie. Do widzenia.

– Ale nie... – zaczął chłopak. Był tylko posłańcem, nie prowadził sprawy, jeżeli jednak pozwoliliby nam odejść w takich okolicznościach, musiałby się potem tłumaczyć szefowi. – Pana Ariasa nie ma... nie może państwa przyjąć... Pani Tramel, proszę...

Nie pozwoliłam mu dokończyć – co nie sprawiło mi szczególnej satysfakcji – i wraz z Heleną i Martinem opuściłam biuro. Budynek należał w całości do Barver & Ambrosía. Była to dziewiętnastowieczna kamienica stojąca na rogu dwóch alej za parkiem Retiro, w najdroższej dzielnicy Madrytu (w każdym razie w obrębie obwodnicy M-30), niedaleko tak zwanej Złotej Mili, strefy, w której mieściły się siedziby kilku najbardziej prestiżowych kancelarii w mieście. Na dwóch głównych fasadach na wysokości ostatniego piętra widniał widoczny z daleka monogram wykuty w kamieniu: B&A. Nie był to szczyt dobrego smaku, ale najwidoczniej ktoś musiał uznać, że zarówno pracownicy, jak i klienci nie powinni mieć wątpliwości, że ta majestatyczna budowla należy do najważniejszej i najbardziej elitarnej firmy adwokackiej w naszym kraju.

Nie pożegnawszy się z recepcjonistką, wsiedliśmy do windy. Przyłożyłam do czytnika magnetyczny identyfikator, który dostaliśmy przy wejściu, i wcisnęłam guzik: -1. Nim zamknęły się drzwi, dostrzegłam, że zarówno asystent z wydziału do spraw postępowania sądowego, jak i dziewczyna z recepcji pospiesznie chwytają za telefony.

– My idziemy i nie wrócić? – zapytała Helena.

– Musisz zrozumieć jedną rzecz – powiedziałam, opanowując złość. – Nigdy, przenigdy nie rozmawiaj bezpośrednio z drugą stroną. Nigdy. Rozmawiaj tylko ze mną.

– Ale...

– To bardzo ważne. Zrozumiałaś?

Skinęła głową bez większego przekonania. Będę musiała na spokojnie porozmawiać ze słodką polską wdówką, jeżeli nasze stosunki mają się dobrze układać. Co innego pomoc prawna bez oczekiwania na honorarium, a co innego wolna amerykanka. Nasz przeciwnik był gigantem. Każdy szczegół, bez względu na to, jak nieistotny się wydawał, mógł zaważyć na całej sprawie.

Gdy tylko wyszliśmy z windy, Martín powiedział:

– Ciocia Ana zła.

Miał rację. Byłam bardzo zła. Firma, która obracała setkami milionów, oskubując frajerów takich jak mój brat, firma, która zrujnowała mu życie, pozwała bezbronną kobietę, żeby ściągnąć odziedziczony przez nią dług. Ta firma miała niewyczerpane środki i zatrudniała największą kancelarię prawną w Hiszpanii, kancelarię, która wkrótce miała stać się także jedną z największych na świecie. Jakiś karierowicz z tej kancelarii umówił się ze mną, a potem wystawił mnie do wiatru. W moim rozumieniu oznaczało to, że albo postanowili nas poniżyć, żebyśmy wiedziały, z kim mamy do czynienia, albo po prostu nas olali, nie przejmowali się nami, uważali za naturalne, że mogą robić wszystko, na co przyjdzie im ochota. Bez względu na powód czułam się jak idiotka.

– Owszem, teraz jestem zła – odpowiedziałam, otwierając drzwi mazdy. – I przestań mnie tak nazywać, bardzo cię proszę.

Wsiedliśmy do samochodu – Helena i Martín zajęli tylne siedzenie, gdzie

był fotelik dla dziecka, który matka najwyraźniej zawsze ze sobą zabierała. Chciałam się stąd wydostać. Wcisnęłam blokadę drzwi i uruchomiłam silnik. Staralam się zapanować nad nerwami.

Powoli wyjechałam na wstecznym biegu i ruszyłam w stronę podjazdu. Milczeliśmy wszyscy troje. Znaleźliśmy się na wyższym poziomie: w głębi zobaczyłam szlaban. Zatrzymałam się przy budce ochroniarza, opuściłam szybę i podałam identyfikator.

Mężczyzna pokazał, że mam jechać dalej.

Pogłaskałam dźwignię zmiany biegów i już miałam wyjechać z budynku, kiedy nagle rozległ się głuchy dźwięk: ktoś stukał w tył samochodu.

– Przepraszam! – usłyszałam czyjś głos. – Proszę wybaczyć, ale zasza chyba pomyłka.

Osobą, która zastukała w samochód, okazał się chłopak o starannie przystrzyżonej brodzie, w designerskich okularach i garniturze za jakieś trzy tysiące euro albo i więcej. Próbował złapać oddech, zdyszany biegiem.

– Przepraszam – powtórzył, podchodząc bliżej – nazywam się Francisco Arias, bardzo mi miło.

– No proszę – powiedziała nieporuszona, nie wysiadając z samochodu.

– Musiała zajść fatalna pomyłka – wymamrotał niewinnym głosem. – Prosiłem asystenta, żeby panią przeprosił i spróbował zatrzymać; właśnie wróciłem ze spotkania... Naprawdę bardzo mi przykro.

– Powiedziano mi co innego – mruknęłam.

– Asystenci, sama pani rozumie – ciągnął. – Proszę przyjąć moje przeprosiny, zapraszam do mojego gabinetu, zaraz panie przyjmę. Mam pewną propozycję. Gwarantuję, że to korzystna oferta.

Spojrzałam na otwarty szlaban. Zerknęłam też we wsteczne lustro: Helena patrzyła na mnie zaniepokojona. Wreszcie odwróciłam się w stronę chłopaka, Ariasa. Jak na dwudziestodwuletniaka musiał zarabiać niezłą kasę; razem z dodatkami motywacyjnymi i prowizjami na pewno wyciągał ponad sto tysięcy rocznie, jeśli nie więcej. Zastanowiłam się, co zrobić.

– Proszę mi przedstawić ofertę – rzuciłam.

– Tutaj? – zapytał zdezorientowany. – Chce pani, żebym referował sprawę

tutaj, przy wyjeździe z garażu?

– Dokładnie tak.

– Wolałbym, żebyśmy przenieśli się do mojego gabinetu, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu – powtórzył. – Przeprosiłem już panie za spóźnienie.

– A ja wolałabym, żeby nie robił pan ze mnie idiotki – odpowiedziałam. – Nie wrócił pan z żadnego spotkania, siedział pan w swoim gabinecie, każąc nam czekać, wystawiając na próbę naszą determinację. Jeżeli to prawda, że chce pan nam złożyć jakąś korzystną ofertę, w co wątpię, teraz ma pan szansę. W tym momencie. Tutaj.

Za nami zatrzymały się dwa samochody. Ochroniarz zaczynał się niecierpliwić. Z tyłu dobiegł dźwięk klaksonu. Nie dawała mi spokoju pewna myśl. Wciąż nie wiedziałam, co tu robimy. Po co tak naprawdę wezwał nas ten adwokat? Rzeczywiście miał nam coś do zaproponowania czy po prostu chciał nas poznać, wy badać? Co więcej, ta wątpliwość od początku spędzała mi sen z powiek: po co kasyno w ogóle pozwało Helenę? To nie miało żadnego sensu. Czysty sadyzm? Wiedzieli doskonale, że dziewczyna nie ma pieniędzy – a już na pewno nie tyle, ile żądano w pozwie – i że nie zdoła w żaden sposób ich zdobyć.

Do kolejki dołączył trzeci samochód i także zatrąbił. Jeżeli któryś z kierowców był klientem kancelarii, nie wyniesie stąd dobrego wrażenia. Jeden z zatrudnionych w niej szczeniaków odbywa spotkanie przy wyjeździe z garażu, blokując drogę innym samochodom. To nie pasowało do wizerunku Barver & Ambrosía.

Arias dał za wygraną. Przysunął się do szyby, by zyskać odrobinę prywatności.

– W porządku, oto nasza oferta – powiedział, pochyliwszy się w moją stronę. – Pani klientka uzna w całości dług i weźmie na siebie jego spłatę. My w zamian odliczymy siedemdziesiąt pięć procent kwoty wyjściowej i odsetek oraz rozłożymy spłatę reszty na trzydzieści lat. Jeżeli pani policzy, wychodzi zaledwie pięćset euro miesięcznie, które w naturalny sposób za kilka lat straci sporo na wartości. Do tego, mając na uwadze sytuację, w jakiej znajduje się pani Kowalczyk, Gran Castilla rozważy możliwość znalezienia pańskiej klientce pracy adekwatnej do jej kwalifikacji i będzie

potrącać z pensji ustalone raty. Ta ostatnia propozycja jest oczywiście nieoficjalna i nie zostanie uwzględniona w żadnym dokumencie, ale może pani na nią liczyć.

Arias dotknął palcem szyi; jego broda była starannie wymodelowana, odważę się powiedzieć, że co do milimetra. O co tu chodzi? Co jest grane? Coś mi umykało.

– Moim zdaniem oferta jest bardzo atrakcyjna – powiedział. – Pan Barver osobiście naciskał na kwestię zatrudnienia.

Barver? Jordi Barver interesował się tym pozwem? Stary Barver, właściciel tego budynku i wielu innych na terenie kraju, człowiek, który zniszczył przed sądem Bank Centralny Hiszpanii, Ministerstwo Obrony, Komisję Europejską, interesował się szczegółami tej sprawy?

Błysk w oczach Ariasa i malujące się na jego twarzy napięcie jedynie potwierdziły moje podejrzenia.

Nie chodziło o Helenę. Ani o dług.

Teraz wszystko stało się dla mnie jasne: tak naprawdę nie zależało im na tym, żeby zapłaciła. Było im wszystko jedno. Doskonale wiedzieli, że nie zdoła tego zrobić. Chcieli stworzyć precedens, podstawę prawną, na której mogliby się opierać podczas następnych procesów o spłatę dużych długów zaciągniętych w kasynie. Chcieli zdobyć publiczne uznanie, udzielić przestrogi, postawić sprawę jasno: nikt się nie wywinie, nawet zmarli. A jednocześnie przygotować teren na przyszłość. O to chodziło.

– Przekażę ofertę mojej klientce – odpowiedziałam.

Arias spojrzał na tylne siedzenie, szukając wzroku Heleny.

– Ma pani dokładnie dwadzieścia cztery godziny na zastanowienie, potem oferta przestanie obowiązywać – powiedział głośno, żeby usłyszała go Helena. – Jeżeli sprawa trafi do sądu, zażądamy spłaty całości długu w trybie natychmiastowym; nie przedstawimy też żadnej nowej oferty ani nie podejmiemy negocjacji.

– Jak powiedziałam, poinformuję moją klientkę o możliwych rozwiązaniach – odparłam, uznając temat za zamknięty.

– Dwadzieścia cztery godziny – powtórzył – ani minuty dłużej; musi to pani zrozumieć.

– Do widzenia panu.

Wcisnęłam pedał gazu i wyrwałam do przodu, nie pozwalając mu dodać nic więcej.

Kiedy mazda wyjechała wreszcie na ulicę, na przednią szybę spadło kilka dużych nieprzyjemnych kropel.

Zaczęło padać.

Jedzenie w samotności jest jedną z najbardziej ryzykownych intymnych czynności, jakie może podjąć człowiek. Zwłaszcza jeżeli wykonuje ją publicznie, na oczach innych.

Ci, którzy sądzą, że przesadzam, powinni sami spróbować. Nie mówię o jedzeniu w towarzystwie jakiegoś urządzenia elektronicznego, książki, gazety czy grającego w tle telewizora. Mówię o samotnym spożywaniu posiłku bez równoczesnego wykonywania żadnej innej czynności. Praktykuję to od czasu do czasu, wystawiając na próbę swoje poczucie równowagi, intymności i własnej wartości.

Po drugiej stronie placu Trinidad, dwieście metrów od mojego domu, znajdowała się restauracja o nazwie Czerwona Pochodnia. Początkowo była tanim lokalem z chińszczyzną, oferującym zestawy dnia. Później stała się modną japońską restauracją – co ciekawe, nie zmieniając nazwy ani wystroju, a tylko jadłospis. Kilka miesięcy temu znów przeszła metamorfozę i przeistoczyła się w azjatycką restaurację serwującą dania wietnamskie, tajskie, koreańskie i oczywiście japońskie. Prowadziła ją zawsze ta sama para: Haruo i Reiko, małżeństwo Japończyków, którzy przybyli do Madrytu pod koniec lat osiemdziesiątych i których zawsze widziałam uśmiechniętych od ucha do ucha, zwłaszcza jego. Podobno kiedy przylecieli do naszego kraju, odkryli ze zdziwieniem, że ludzie nie chcą nawet słyszeć o japońskiej kuchni, więc mimo swoich korzeni musieli nauczyć się robić sajgonki, smażony ryż, sos słodko-kwaśny i inne chińsko-zachodnie potrawy tolerowane przez madrytczyków. Z biegiem czasu gusta się zmieniły i po drobnym liftingu lokalu utworzyli prawdziwą japońską restaurację. Stali bywalcy dziwili się, dlaczego dwoje rodowitych „Chińczyków” zdecydowało się na taki krok. Ci zaś przestali się tłumaczyć i zaczęli robić to, co wychodziło im najlepiej: sushi i sashimi, tak perfekcyjnie pokrojone, że szybko zyskali popularność i otrzymywali doskonałe recenzje. Mimo to tradycyjna dzielnica nie do końca akceptowała wschodnią kuchnię, toteż

restauracja tylko zarabiała na siebie. Teraz byli na trzecim etapie: azjatycka mieszanka, od nudli z kurczakiem, przez zupę miso, po kaczkę po pekińsku i oczywiście maki, uramaki oraz sushi. Jednym słowem: wszystkiego po trochu. Liczyli na to, że przyciągną największych sceptyków i po niemal trzydziestu latach prób i błędów zaczną wreszcie dobrze prosperować.

Tego wieczoru siedziałam na swoim stałym miejscu, przy oknie z żaluzjami. Przy czteroosobowym stoliku, który zajęłam sama z racji braku klientów, choć nie potrzebowałam aż tyle miejsca. Nikomu to nie przeszkadzało, a już na pewno nie Haruo ani jego uroczej żonie Reiko. Maczałam japońskie pierożki w sosie z orzeszków ziemnych – co według znawców niezbyt do siebie pasowało, ale co tam, żyje się raz. Oczywiście kiedy człowiek już podejmie decyzję o samotnym posiłku, musi go spożyć przy stoliku, z pełnym ceremoniałem, a nie przy barze, szybko i ukradkiem. Tak więc siedziałam sama, bezbronna, wystawiona na widok publiczny.

Jeżeli samotne spożywanie obiadu w miejscu publicznym jest czynnością wysoce ryzykowną społecznie (naprawdę samotne, bez żadnych rekwizytów ani zewnętrznych elementów, za którymi można by się ukryć), to samotne jedzenie kolacji można uznać za wyczyn niemal heroiczny. Pary, grupy przyjaciół, koledzy z pracy i reszta biesiadników rzucają ci współczujące spojrzenia, niektórzy nawet spanikowane, jakby bali się, że oni kiedyś też tak skończą.

Potem przeszłam do tuńczyka teppanyaki, korzystając z pałeczek, którymi mimo niezliczonych posiłków spożytych w japońskich, chińskich i innych azjatyckich restauracjach nie do końca wprawnie się posługiwałam – to raczej one posługiwały się mną.

Nie mogłam przestać myśleć o ofercie kasyna przedstawionej przez Ariasa. Po dłuższym zastanowieniu odkryłam w niej pewną zaletę, której początkowo nie dostrzegłam: jeżeli dotrzymają obietnicy i zatrudnią Helenę, pozbędę się mojej drogiej bratowej i bratanka. Zgoda na spłatę ogromnego długu paradoksalnie mogła oznaczać, że dziewczyna będzie radzić sobie sama, bez mojej pomocy. Nie chodzi o to, że rozważałam przyjęcie tej oferty czy kombinowałam, jak pozbyć się Heleny, co to, to nie. No, może tak. Chociaż wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, perspektywa mieszkania pod jednym dachem z dwiema osobami na moim utrzymaniu przez kilka miesięcy, a może nawet lat, nie była specjalnie atrakcyjna dla kogoś takiego

jak ja. Co innego pomóc Helenie, a co innego mieć ją na głowie Bóg wie jak długo. Zdaję sobie sprawę, że jestem okrutna, ale tak właśnie pomyślałam tamtego wieczoru. Że Helena też na tym zyska: trochę zarobi, odbuduje swoje życie. Jeśli ich przycisnę, może nawet dostanę swoje honorarium.

– Gorącej sake? – zapytał Haruo, trzymając w dłoni gliniany dzbanuszek.

– Dzisiaj nie, dziękuję – odpowiedziałam.

Nie wiedziałam, jak długo wytrzymam bez alkoholu, ale postanowiłam spróbować. Zamierzałam wytrwać. Była to pierwsza rzecz, jaką powiedziałam Conchy, gdy do niej zadzwoniłam po jej wizycie; chciałam zachować trzeźwość bez względu na to, co się wydarzy. Przyjaciółka dość chłodno zareagowała na moją deklarację, nie okazała entuzjazmu ani wzruszenia, których się po niej spodziewałam. Nie znoszę przesadnego demonstrowania uczuć, ale – choć się do tego przed sobą nie przyznawałam – kiedy wybierałam numer Conchy, w wyobraźni słyszałam już słowa zachęty, gratulacje, a nawet brawa. W końcu wbrew wszelkim rokowaniom wyszłam ze stanu wegetatywnego, wzięłam byka za rogi i, co najbardziej zaskakujące, byłam gotowa odstawić na długo tabletki i alkohol. Concha jednak tylko mnie wysłuchiwała, uprzejmie, aczkolwiek z niedowierzaniem, i powiedziała, żebym dała jej znać, jeżeli będę czegoś potrzebować, i żebym wpadła do biura, kiedy będę już gotowa. Odpowiedziałam, że wolę poczekać kilka dni. Wszyscy w Promultas znali ze szczegółami ostatnie wydarzenia z mojego życia; chciałam spotkać się z ludźmi, kiedy będę trochę silniejsza. Poza tym zamierzałam poświęcić cały swój czas sprawie Heleny, a wygodniej było zajmować się nią z domu, gdzie miałam więcej spokoju. Pożegnaliśmy się, obiecawszy sobie, że wkrótce się zdzwonimy, jutro albo pojutrze.

Minął jednak ponad tydzień, a żadna z nas nie próbowała nawiązać kontaktu. Concha miała pewnie dużo roboty; interesy nie szły najlepiej, poza tym (choć czasem wydawało mi się, że ona sama o tym zapomina) była matką trzech dziewczynek, które także wymagały jej uwagi. Nie przypisywałam większego znaczenia pozornej obojętności; zamierzałam zadzwonić do niej jutro albo pojutrze. Tak sobie obiecywałam.

Oprócz tuńczyka zamówiłam smażony ryż i małą porcję warzyw w tempurze. Nadal próbowałam uporządkować myśli. Wprawdzie decyzję w sprawie oferty, jaką nam złożono, miała podjąć Helena, obie jednak

wiedziałyśmy doskonale, że to ja popchnę ją w tym czy innym kierunku. Odłożyć na bok dumę i publicznie uznać dług w zamian za odrobinę spokoju (i wygodne raty do spłacania przez najbliższe trzydzieści lat). Albo procesować się i narażać na surowszy wyrok, a także na prawdopodobne zajęcie każdego rachunku bankowego i wszelkich dóbr, jakie kiedykolwiek by posiadała.

Niezależnie od moich mizantropijnych przemyśleń czułam, że powrót na rynek pracy dzięki grupie Gran Castilla był dla słodkiej, bezbronnej Heleny dobrym rozwiązaniem.

Chociaż z drugiej strony nie uśmiechało mi się podpisywanie ugody, która miałaby pomóc w ściąganiu przyszłych długów hazardowych, dużych i małych. Alemu pewnie też by się to nie spodobało. To było szemrane towarzystwo. Żyli z cudzych nieszczęść. Im więcej tracili klienci, w im większą ruinę popadali, tym więcej zarabiali oni. Pewnie z moralnego punktu widzenia akurat ja nie miałam prawa nikogo osądzać, zwłaszcza że to samo można by powiedzieć o firmach produkujących i sprzedających alkohol, nie wspominając już o przemyśle zbrojeniowym, a w pewnym sensie także o większości koncernów farmaceutycznych. Co by się z nimi stało, gdyby reszta śmiertelników nie upadała raz po raz, gdybyśmy nie mieli słabości i nałogów, co by się stało z tymi wszystkimi międzynarodowymi potworami, gdyby z dnia na dzień cała ludzkość nagle ozdrowiała i powiedziała: „Basta”?

Umoczyłam swoją tanią pogadankę o etyce w sosie sojowym, dzięki czemu mogłam ją łatwiej przełknąć. Spostrzegłam, że jakaś para dwudziestolatków zerka na mnie kątem oka, pochłaniając łapczywie olbrzymią tacę surowych ryb w jaskrawych kolorach. Pewnie ta dziewczyna ubrana w markowy czerwony kostium, pełna marzeń i ambicji, nigdy nie była sama w restauracji. Już sama myśl, że miałaby to zrobić, budziła w niej straszliwą zgrozę, była synonimem frustracji i towarzyskiej porażki, bardzo dalekich od jej stylu życia i planów na przyszłość.

Z jakiegoś powodu kilka minut później to ja poczułam dyskomfort, spoglądając na tę parę gołąbków, która miała przed sobą całe życie, jakby sama ich obecność wywołała u mnie uczucie nieznośnego zmęczenia. Włożyłam do ust kawałek tuńczyka i odwróciłam głowę w stronę okna. Przez żaluzje dostrzegłam, że ulica jest niemal pusta. Wciąż kropił deszcz. Była to

spokojna dzielnica, w której panował niewielki ruch. W środku tygodnia, jak w tamtą środę o dziesiątej wieczorem, ulice były praktycznie wyludnione. Przez kilka lat mieszkałam w centrum, potem wiodłam dostatnie, wygodne życie w Pozuelo (wspomnienia z tamtego okresu nadal otacza swego rodzaju mgła), ale już jakiś czas temu wróciłam do swojej starej dzielnicy. Czułam się tak, jakbym wróciła do domu, w najszerszym i najgłębszym znaczeniu tego słowa. Wszystko wyglądało niemal tak samo jak wówczas, kiedy byłam nastolatką; zamknięto tylko dwa ostatnie kina i dawne sklepiki zostały zastąpione przez minimarkety i warzywniaki prowadzone przez Chińczyków. Poza tym ta sama spokojna rutyna i wrażenie, że wszystko działa jak w zegarku. Banalny widok opustoszałych ulic, drobnego deszczu i dobrze znanych budynków podniósł mnie na duchu.

Nagle coś zwróciło moją uwagę. Kilka metrów dalej, po drugiej stronie przejścia dla pieszych, stał zaparkowany ciemny samochód, chyba volvo, ze zgaszonymi światłami. W środku ktoś siedział. Nie wiem, a przynajmniej nie za często, ale już chyba trzeci raz widziałam wieczorem ten samochód w okolicach mojego domu. Choć nie przychodził mi do głowy żaden powód, dla którego ktoś miałby mnie śledzić albo za mną jeździć, wolałam się upewnić.

Wstałam i pozornie spokojnym krokiem ruszyłam w stronę toalet. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, zostawiłam na krześle płaszcz. Minęłam główną salę restauracji, ale zamiast udać się do łazienki, pchnęłam wahadłowe drzwi i weszłam do kuchni. Zobaczyłam, że Reiko stoi oparta o szafkę i wpatruje się w mały telewizor, w którym leciał jakiś azjatycki film z gromadą konnych wojowników, nie wiedzieć czemu z japońskimi napisami. Wystraszyła się na mój widok.

– Przepraszam, Reiko, muszę wyjść tylnymi drzwiami – powiedziałam, wskazując przeciwny koniec pomieszczenia, za kuchenkami.

– Osoby klienci nie wchodzi do kuchni – odpowiedziała, jakbym nakryła ją na czymś nieprzyzwoitym.

Fakt, nie spodziewałam się, że przyłapię ją na oglądaniu filmu o samurajach, ale nie było to coś, czego musiałaby się wstydzić. Może nie chciała, żeby ktoś zobaczył, jak obija się w godzinach pracy zamiast czymś się zająć.

– Przepraszam, ale to ważne, wyjdę od tyłu – powtórzyłam.

Rozejrzałam się i po chwili namysłu chwyciłam solidny metalowy wałek leżący na blacie, po czym ruszyłam w stronę drzwi.

– Powiedz Haruo, żeby wyszedł od frontu – poprosiłam. – Może będzie mi potrzebna wasza pomoc.

– Dzwonić policja? – zapytała Reiko wystraszona.

– Jak chcesz – odparłam – ale proszę was, wyjdźcie na ulicę.

Nie tracąc więcej czasu, dotarłam do wyjścia. Czułam wzrok Reiko wbity w mój kark. Kiedy opuszczałam kuchnię, towarzyszył mi dźwięk telewizora, głosy mówiące po chińsku, koreańsku czy w innym podobnym języku.

Tylne drzwi Czerwonej Pochodni wychodziły na uliczkę, na którą wyjeżdżało się z garażu pod tym samym budynkiem. Stało tam kilka kartonów i dwa kontenery na śmieci. Przyspieszyłam kroku, częściowo z powodu nocnego chłodu i deszczu, a częściowo po to, żeby gość, który mnie obserwował, nie uznał za podejrzaną mojej nieobecności przy stoliku.

Wyszłam z zaułka energicznym krokiem. Zastanawiałam się, kto to może być. Ktoś z Barver & Ambrosía albo z samej Gran Castilli? Tak ważny jest dla nich ten pozew? Może śledzą nie mnie, ale Helenę, szukając informacji, które mogliby wykorzystać przeciwko niej, w razie gdyby doszło do procesu. Ale dziś ten facet obserwował nie dom (gdzie znajdowali się Helena i Martín), tylko restaurację, czyli mnie.

Skręciłam za róg, przeszłam przez ulicę; chciałam podejść do zaparkowanego volvo od tyłu. Ścisnęłam w dłoni zimny metalowy wałek. Pomyślałam, że może ten mężczyzna nie ma ze mną absolutnie nic wspólnego, że wcale mnie nie obserwuje, że nikt mnie nie śledzi, a to, że trzy razy widziałam podobny samochód zaparkowany w okolicy z jakimś gościem w środku, jest czystym przypadkiem. W miarę jak się zbliżałam, taka możliwość wydawała mi się coraz bardziej prawdopodobna. Mimo to wolałam rozwiązać swoje wątpliwości, nawet jeśli miałabym wyjść na idiotkę, napędzając strachu jakiemuś zabłąkanemu kierowcy.

Nie jestem człowiekiem czynu. Jestem prawniczką przywykłą do siedzenia z nosem w papierach, zdolną zaatakować kogoś najwyżej celnym argumentem, aktem oskarżenia, pozwem, odwołaniem czy adwokackim

kruczkim, jeśli zajdzie potrzeba. To moja broń. Może powinnam była wezwać policję, zanim przystąpię do dzieła, jak proponowała Reiko, zamiast sama stawiać czoło temu facetowi. Nie znałam jego zamiarów, nie wiedziałam, czy jest uzbrojony, nie miałam zielonego pojęcia, co tu robi ani jak zareaguje.

Było za późno na zmianę zdania. Znajdowałam się zaledwie dwa metry od samochodu. Sprawdziłam, że Haruo i Reiko stoją przed restauracją; on rozmawiał przez telefon, ona coś mu mówiła. Na szczęście żadne z nich nie patrzyło w moim kierunku, na drugą stronę ulicy.

Minęłam ostatni samochód osobowy dzielący mnie od volvo i bez zastanowienia stanęłam przed drzwiami kierowcy. Walnęłam dłonią w szybę.

– Co pan robi? Dlaczego mnie pan obserwuje? – zapytałam podniesionym głosem.

Dwukrotnie kopnęłam w drzwi i jeszcze raz uderzyłam w szybę.

– Kto panu płaci? O co chodzi? – krzyknęłam i podniosłam wałek, starając się napędzić mu strachu większego niż ten, który sama czułam, a przy okazji zwrócić na siebie uwagę nielicznych przechodniów i pary Japończyków.

Już miałam ponownie walnąć w drzwi, kiedy szyba zaczęła się powoli opuszczać. Groźnie uniosłam wałek. Mokra szyba opadła o kilka centymetrów, zobaczyłam twarz mężczyzny, który przyglądał mi się osłupiały.

– Zamierza mnie pani tym uderzyć? – zapytał, wskazując uniesiony wałek. Od razu go poznałam.

Chociaż widziałam go tylko dwa razy, tej brody i tych oczu nie sposób było zapomnieć.

– Porucznik Moncada – szepnęłam. – Ale mnie pan wystraszył.

– Mogę powiedzieć to samo.

– Dlaczego śledzi mnie Gwardia Cywilna z Robredo? – zapytałam prosto z mostu.

Moncada pokręcił głową.

– Jestem tu prywatnie – powiedział. Ochłonawszy, porucznik przeprosił mnie, po czym weszliśmy razem do Czerwonej Pochodni. Pozostali klienci nie spuszczała z nas wzroku. Haruo i Reiko osobiście zaprowadzili nas do mojego stolika. Usiedliśmy naprzeciwko siebie, mając się cały czas na oku.

– Jest mi pan winien wyczerpujące wyjaśnienie – rzuciłam.

Pokiwał głową, przyznając mi rację. Czułam przez skórę, że to zwaliste chłopisko chce się przede mną wywnętrzyć.

– Przykro mi, że panią wystraszyłem, nie miałem takiego zamiaru – powiedział, przeciągając słowa. – Chciałem się tylko upewnić, że wszystko u pani w porządku.

– Dziękuję za troskę, ale prawie się nie znamy – odpowiedziałam ostrożnie. – Jeżeli chce mi pan wmówić, że szpiegował mnie pan po to, żeby sprawdzić, jak się czuję, to przykro mi, ale tego nie kupuję.

– Mieliśmy z pani bratem wiele wspólnego – wyznał niespodziewanie. – Ja też grałem w pokera. Czasami.

Uznałam, że te słowa zasługują na kawę. Podniosłam rękę, Haruo podszedł do stolika jak zwykle szeroko uśmiechnięty.

– Espresso z mlekiem, gorące.

– Dla mnie to samo – powiedział Moncada.

Haruo pokręcił głową.

– Ja mówić policja nie przyjeżdżać – oznajmił. – Mówić, że zły człowiek teraz przyjaciel.

– Bardzo dziękuję, Haruo – powiedziałam. – Okazuje się, że zły człowiek

też jest policjantem, więc wszystko zostaje w rodzinie, nie ma problemu.

Japończyk zmierzył Moncadę wzrokiem, starając się znaleźć jakiś szczegół, który potwierdziłby albo podważył moje słowa. Na pierwszy rzut oka porucznik przypominał raczej gajowego niż policjanta czy wojskowego.

– Przynieść kawę – zdecydował szef restauracji i przezornie się wycofał.

Zobaczyłam, że dziewczyna w czerwonym kostiumie patrzy na nas i szepcze coś swojemu chłopakowi. Pewnie teraz wzbudziłam jej zainteresowanie: samotna, ponura czterdziestolatka siedząca w głębi sali okazała się dziwaczką, którą warto obgadać. Zachowywała się w osobliwy sposób, wyszła z restauracji na deszcz tylnymi drzwiami i wróciła z jakimś obcym typem.

Ponownie skoncentrowałam uwagę na swoim rozmówcy.

– Nigdy w życiu nie grałam w pokera, poruczniku – powiedziałam. – Jestem kompletnie zielona w tej materii.

– Możesz mówić do mnie Santiago – zaproponował. – Tak w ogóle, jeśli chcesz, możemy przejść na ty.

Moją uwagę zwróciły jego zapuszczona broda i kanciaste ruchy. Kiedyś ktoś taki wydałby mi się zapewne pociągający. Bardzo pociągający. Chociaż mój radar nie był w najlepszej formie, czułam, że za sprawą tego wielkiego mężczyzny gdzieś głęboko budzi się we mnie coś w rodzaju popędu seksualnego. Potwierdziło się to, kiedy spojrzałam na jego duże, pewne, nieco toporne dłonie.

– W porządku, Santiago, przejdźmy na ty – ustąpiłam. – Śledziłeś mnie, żeby sprawdzić, jak sobie radzę po śmierci Alejandra.

– Byłem ciekawy.

– Mówisz też, że łączyło cię z moim bratem zamiłowanie do hazardu.

– Można to tak nazwać – potwierdził. – Nigdy nie graliśmy na tym samym poziomie; on uczestniczył w wielkich turniejach, ja zadowalałem się partiami drugiej ligi. Ale jak to zwykle bywa w tym światku, często się spotykaliśmy i w pewnym sensie zostaliśmy przyjaciółmi. Alejandro był przyzwoitym gościem, kimś, komu można zaufać.

– Tak, prawdziwy święty – powiedziałam.

Widać było, że mój ton go zaskoczył. Odchylił się do tyłu, przywierając plecami do oparcia krzesła.

– Nie twierdzę, że postępował właściwie – ciągnął. – To prawda, że zaniedbał rodzinę, ale uwierz mi, był muchą zaplątaną w pajęczą sieć. Mimo że otaczały go rekiny, do samego końca zachował jakąś godność.

– Dopóki nie rozwalił głowy dyrektorowi kasyna i nie powiesił się w celi.

– Powiniennem być się tego spodziewać – powiedział Moncada tonem winowajcy. – Alex był inny, nie był kombinatorem, nie uważał, że cel uświęca środki. Kiedy te sukinsyny dokręcały mu śrubę, a robiły to codziennie, było wyraźnie widać, że jest jak szybkar, który zaraz eksploduje. Możesz mi wierzyć, ostatnio wyglądał jak zjawa, niemal nie spał, wstawał z łóżka wyłącznie po to, żeby grać, we wszystko, nie tylko w karty.

– Jeżeli pozwolisz, mam jedno pytanie – powiedziałam. – Kiedy mówisz „te sukinsyny”, kogo dokładnie masz na myśli?

Moncada zastanawiał się nad odpowiedzią.

Pojawienie się Reiko z kawą wybawiło go z opresji. Szkoda, wolałabym spontaniczną odpowiedź, bez lukru. Japonka i jej mąż postanowili na zmianę obsługiwać nasz stolik, jakbyśmy byli atrakcją, którą warto zobaczyć.

– Espresso z mlekiem – szepnęła właścicielka lokalu.

Czasami zatrudniali kelnerów, ale przez większość czasu sami się wszystkim zajmowali, zmieniając się w kuchni, na sali, przy kasie, a nawet (tak mi się wydawało) przy sprzątnięciu.

Reiko odeszła, nie spuszczać ze mnie wzroku. Przybrałam wyraz twarzy wskazujący, że wszystko jest w porządku.

Moncada pociągnął łyżeczek kawy. Odsunął filiżankę od ust i wreszcie odpowiedział.

– Mam na myśli wszystkich tych pozbawionych skrupułów sukinsynów kierujących kasynem. A także graczy, którzy spędzają tam całe dnie i są jak pijawki. Wierzycieli. Bukmacherów. Wszystkich, którzy widzą, co się dzieje, i przyzymkają na to oko. Mógłbym wymieniać w nieskończoność.

– Jeżeli dobrze cię rozumiem, mówisz, że Ale był ofiarą, nie nałogowym graczem i mordercą.

Pod jego brodą zarysował się uśmiech.

– Oczywiście, że grał nałogowo, ale to nie jest sprzeczne z obiektywnie niezaprzeczalnym faktem, że był ofiarą – odpowiedział z zaskakującym przekonaniem. – Przypuszczam, że ofiarą własnego charakteru i samego siebie. Przede wszystkim jednak ofiarą maszyny stworzonej wyłącznie po to, by wysysać krew z tych, którzy zajrzą do świata hazardu. Możesz mi wierzyć. Całe to pieprzenie o bezpiecznej grze, kampanie społeczne ministerstwa, ograniczenia, to wszystko ściema. Gdyby naprawdę chcieli powstrzymać ludzi, żeby nie robili sobie krzywdy, grając o stawki przekraczające ich możliwości, zakazaliby tego gówna.

– Zaczekaj, nie rozumiem do końca, co chcesz powiedzieć – przerwałam.
– To tak, jakby oskarżać producentów whisky o to, że istnieją alkoholicy. Zostało przecież udowodnione, że zabranianie nie jest najlepszym sposobem na uniknięcie szkód; wręcz przeciwnie, spójrz na mafie powstające wokół zakazanych produktów. Jesteśmy przecież dorośli. Nikt nie każe nam pić i z tego, co wiem, nikt nie kazał Alemu przegrać wszystkich pieniędzy.

– Wyobraź sobie, że jesteś alcoholiczką – tłumaczył Moncada wyraźnie zniecierpliwiony.

Prawdę mówiąc, przyszło mi to z łatwością.

– A teraz wyobraź sobie, że co wieczór dzwonią do ciebie z fabryki twojego ulubionego ginu. Wyobraź sobie, że jakiś sympatyczny koleś mówi, że za darmo wyśle ci do domu cały karton, albo jeszcze lepiej: że przyśle po ciebie samochód, który przywiezie cię do fabryki, żebyś mogła spróbować gratis ich nowych produktów. Kiedy przyjeżdżasz, traktują cię jak królową, sprawiają, że czujesz się kimś, umiesz docenić dobry gin, odróżnić dobrej jakości alkohol od sików, które sprzedają gdzie indziej, w końcu jeden drink od czasu do czasu jeszcze nikomu nie zaszkodził. Wyobraź sobie, że ten koleś dzwoni do ciebie codziennie. Że z czasem telefony stają się coraz bardziej natarczywe, że miły głos zaczyna ci grozić, jesteś winna mnóstwo pieniędzy za te wszystkie butelki, które wypijaś, i musisz spłacić dług, jeśli nie chcesz wpakować się w poważne kłopoty.

– Chwileczkę – zaprotestowałam, przystając na jego grę – koleś z fabryki powiedział, że gin jest za darmo.

– Oczywiście, pierwszy drink na koszt firmy, nawet pierwsza butelka,

nawet trzy pierwsze butelki, tyle że sto następnych, sto tysięcy następnych nie jest już za darmo, moja droga. Za te trzeba zapłacić – ciągnął. – Najlepsze w tym wszystkim jest to, że jeśli nie masz pieniędzy, nic nie szkodzi, fabryka pożyczy ci tyle, ile potrzebujesz. Pod jednym małym warunkiem: musisz pomóc ściągnąć nowych klientów, być miła, oczywiście sama nie możesz przestać pić; pamiętaj, że jesteś królową ginu, co pomyślą ludzie, jeżeli nie dasz im dobrego przykładu. Poza tym jeśli przestaniesz pić, będziesz musiała spłacić swój dług. Ale dopóki będziesz chlać i od czasu do czasu postawisz kolejkę, nie zabraknie ci dobrego ginu z tonikiem, zimnego, przyrządzonego specjalnie dla ciebie.

Moim oczom ukazała się wyraźnie fabryka ginu. Przykład podany przez Moncadę był przerażająco dobitny. Zrobiło mi się zimno.

Pociągnęłam długi łyk kawy, której do tej pory nie tknęłam. Czułam, jak spływa mi po gardle, a w tym czasie starałam się przetrwać słowa porucznika.

– Czego chcesz, Santiago? – wypaliłam bez ogródek. – Chcesz uspokoić swoje sumienie? Udzielić mi jakiejś lekcji? Czy po prostu szukasz pocieszenia? Jeżeli chodzi o to ostatnie, obawiam się, że źle trafiłeś.

Moncada chwycił filiżankę w dłonie. Nie wyglądało na to, żeby stosował jakąś taktykę. Gorzej, wydawał się szczery. W całym swoim życiu miałam do czynienia z tyloma kłamcami, że kiedy spotykam jednego z tych optymistów, którzy mówią prawdę, czuję się rozbrojona.

– Chcę ci po prostu o czymś powiedzieć – bąknął.

Wreszcie przechodziliśmy do rzeczy.

– Śmiało – powiedziałam.

– Nie tutaj – zaprotestował. – Możemy pójść do ciebie?

W dawnych czasach, gdyby mężczyzna taki jak porucznik zadał mi to pytanie przy wieczornej kawie, mogłoby chodzić tylko o jedno. Jednak słowa Moncady niczego nie sugerowały. Fakt, rozmawialiśmy o delikatnej sprawie, a ja nie wyglądałam specjalnie olśniewająco, ale rozczarował mnie ten brak pożądania z jego strony. Nie było wątpliwości: starzałam się.

Plastikową folię chroniącą biurko pokrywała gruba warstwa kurzu. Nie zadałam sobie trudu, żeby go wytrzeć. Po prostu zdjęłam ją i rzuciłam w kąt.

Od dawna nikt nie wchodził do tego pomieszczenia, nawet ja sama. Od kilku lat drzwi były zamknięte na klucz.

Mój gabinet. Pokój o powierzchni prawie trzydziestu metrów kwadratowych zavalony książkami, papierami i ustawionymi na regałach segregatorami. Swego rodzaju jaskinia z wielkimi oknami z białego drewna naznaczonego zębem czasu, dość spora, pełna dokumentów i innych rekwizytów prawniczych, piętrzących się na krzesłach i biurkach albo po prostu rozrzuconych na podłodze. To właśnie tutaj swego czasu rozwiązałam wiele ważnych spraw. Jakby nie wystarczyły mi godziny spędzone w kancelarii i sądach, po powrocie do domu zamykałam się w swojej prywatnej jaskini. Wiele nocy (prawdopodobnie ponad połowę w tygodniu) przesypiałam w niewygodnej pozycji na tym starym szezlongu, który miałam teraz przed sobą. Mój pierwszy były mąż zazwyczaj składał mi krótką wizytę ze szklanką ciepłego mleka i kanapką. Trzeba przyznać, że Ramiro, niezależnie od tego, jak okrutnie potraktował mnie pod koniec naszego związku, musiał mnie wtedy bardzo kochać, skoro nie zraził go taki rytm pracy. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, kiedy byliśmy razem, ale teraz wydaje mi się to oczywiste.

Santiago Moncada rozejrzał się niepewnie. Wszystko okrywała gruba plastikowa folia, nadając gabinetowi zimny, przygnębiający wygląd. Na szczęście, jak to ja, nie pofatygowałam się nawet, żeby zakręcić kaloryfer, więc przynajmniej było ciepło. Zabrałam teczki leżące na obrotowym fotelu i wskazałam porucznikowi miejsce.

Sama oparłam się o biurko. Zadałam sobie pytanie, dlaczego tu go przyprowadziłam zamiast zaprosić do kuchni czy do salonu. Pomijając względy praktyczne (nie chciałam obudzić Martina, a ten pokój był

najbardziej oddalony od jego sypialni), decyzja, by porozmawiać z Moncadą właśnie w gabinecie, stanowiła element jakiegoś instynktownego rytuału.

– No to jesteśmy – powiedziałam.

– Na to wygląda – odparł.

– Byłabym ci wdzięczna, gdybyśmy przeszli do rzeczy, Santiago.

Odepchnął się na fotelu i odjechał kilka centymetrów w tył. Wyjął z kurtki smartfona i zaczął czegoś szukać. Kiedy to znalazł, położył komórkę na biurku, przed moim nosem.

Dotknął wyświetlacza.

Rozległ się głos, którego początkowo nie rozpoznałam.

Tak...? Halo...?

Nagrana była rozmowa albo jakiś jej fragment.

Głos powtórzył:

Halo...?

Teraz poznałam, to był Ale.

Wreszcie rozmówca odpowiedział.

Nie przyszedłeś wczoraj.

Tak, to prawda, byłem zajęty.

[Cisza]

Dzisiaj udostępniamy dwa stoły pięć na dziesięć, może nawet jeden dziesięć na dwadzieścia, jeżeli zjawi się Portugalczyk.

Będzie Portugalczyk?

Prawie na pewno, dzisiaj ma partię w domu, a wiesz, co to oznacza.

[Cisza]

Nie jestem w formie, Bernardo, muszę odpocząć, wczoraj znowu poszedłem na spotkanie tych debili... Nachodzą mnie dziwne myśli, naprawdę sędzę, że powinienem na jakiś czas przystopować.

Dzisiaj musisz przyjść.

Moncada wcisnęła pauzę i spojrzał na mnie.

– Kiedy odbyła się ta rozmowa? – zapytałam.

– W dniu poprzedzającym morderstwo – odpowiedział beznamiętnie porucznik.

– Mój brat rozmawiał z dyrektorem kasyna kilka godzin przed tym, zanim go zabił – powiedziałam, ujmując myśli w słowa.

– Nie jest to raczej przyjacielska pogaduszka. Oni nie tyle „rozmawiają”, ile negocjują – sprecyzował Moncada. – Jak wynika z dalszej części, dzwoniący chce nakłonić Alejandra, żeby przyszedł grać do kasyna. Gdyby nagranie trafiło w ręce Komisji do spraw Hazardu, firmie groziłaby za to co najmniej wysoka grzywna.

Poufały ton wskazywał, że Bernardo Menéndez Pons nie pierwszy raz dzwonił do mojego brata. Nie znałam praktyk obowiązujących w świecie hazardu, ale zdziwiło mnie, że rozmawiali w ten sposób.

– Jedno pytanie – powiedziałam. – Kim są debile?

– Alejandro zaczął chodzić na spotkania grupy wsparcia dla nałogowych hazardzistów – odparł Santiago nieporuszony. – Zaczął terapię odwykową czy jak to się tam nazywa. Chciał z tym zerwać. Nie powiedział ci?

Pomyślałam, że Ale nie miał okazji powiedzieć mi niczego podczas naszego jedyne go spotkania. Sama do tego nie dopuściłam. Poza krótkim widzeniem na posterunku od bardzo dawna nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Za każdym razem, kiedy się do mnie odzywał, odprawiałam go z kwitkiem. Nie, oczywiście, że nie wiedziałam, że Ale chodzi na spotkania grupy wsparcia dla nałogowych hazardzistów. Nie wiedziałam nawet, że gra.

– Nazywał ich tak od pierwszego dnia: debile – ciągnął Moncada. – Moim zdaniem darzył ich dużym szacunkiem, to był jego sposób na oddramatyzowanie sytuacji, w jakiej się znajdował.

– Możemy kontynuować? – zapytałam.

– Oczywiście.

Porucznik znowu wcisnął *play*.

Rozległ się drżący głos mojego brata. Nie rozpoznałam Alego, w rozmowie zawsze pewnego siebie, czarującego, uwodzicielskiego.

Raczej nie przyjdę na dzisiejszą partię, Bernardo.

Jasne, doskonale cię rozumiem... Czasem trzeba trochę odpocząć.

[Cisza]

Coś ci zaproponuję, Alex, przyjdź dziś wieczorem do kasyna na kolację ze swoją żoną, ja zapraszam... Wyciągniesz ją na trochę z domu... A potem może się do nas przyłączysz, jeżeli partia okaże się ciekawa. Jeśli nie, wypijesz kilka drinków i wrócisz do domu. Dzięki temu nie będziesz się zadręczał, zastanawiał, czy nie omija cię coś fajnego. W końcu co masz innego do roboty...

Nie wiem.

Postanowione, zarezerwuję ci stolik na dwudziestą trzydzieści, lepiej wcześniej, nie wiadomo, co się wydarzy.

Muszę pogadać z Heleną.

Oczywiście, skonsultuj to z nią.

[Cisza]

Nie mam gotówki na dzisiejszy wieczór.

To się da załatwić, przecież wiesz.

Może lepiej, żebym nie przychodził; łysy powiedział, że zamknął mi kredyt.

Ja się tym zajmę... Poproś tych twoich znajomych Galisyjczyków, żeby pożyczyli ci ze dwa tysiące... Żeby zamknąć usta szefowi... Wtedy będę miał wolną rękę. Będę mógł dać ci tyle, ile potrzebujesz.

Jeżeli otworzy się stół dziesięć na dwadzieścia, będę potrzebował co najmniej dziesięciu tysięcy.

Mówiłem ci już, że się tym zajmę. Widzimy się później. Masz rezerwację na dwudziestą trzydzieści.

[Cisza]

Nie czuję się najlepiej, Bernardo.

To tak jak ja, przestań chrzanić.

Debile powiedzieli mi wczoraj, że mogę to rzucić, że może mi się udać.

Posłuchaj, ty i ja jesteśmy ulepieni z innej gliny. My lubimy ryzyko, wiele bym, kurwa, dał, żeby mieć twój talent. Wcale nie chcesz tego rzucić, chcesz po prostu skończyć ze złą passą i zacząć wygrywać. Dzisiejsza partia z Portugalczykiem to może być początek, czuję to.

Nie wiem, czy przyjdę.

[Cisza]

Wiesz, co będzie, jeżeli nie przyjdiesz. Ostrzegam cię jako przyjaciel. Widzimy się wieczorem.

Tym razem to ja zatrzymałam nagranie. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

– Dyrektor kasyna grozi czymś klientowi, jeśli ten nie przyjdzie grać? – zapytałam.

– Wyciągnij własne wnioski.

– To ten telefon z fabryki ginu, prawda? – skojarzyłam fakty. – Właśnie o tym przed chwilą mi mówiłeś.

– W pewnym sensie tak – przyznał Moncada. Wydawał się mniej zbulwersowany niż ja. – To byłby ostatni etap rozmów. Ton nie jest już tak miły jak na początku.

– Mój brat próbował z tym zerwać – zaprotestowałam wzburzona.

– Hazard jest nałogiem, podobnie jak narkotyki – podkreślił porucznik z naciskiem, jakby dobrze wiedział, o czym mówi. – Nawet w idealnych warunkach trudno wyjść z zaklętego kręgu. Przerwanie go graniczy z cudem. Znam zaledwie pojedyncze przypadki graczy, którzy naprawdę zerwali z hazardem. Oczywiście zawsze były skutki uboczne. Jeżeli w dodatku ktoś wywiera na ciebie presję, zmusza cię, a nawet ci grozi, to staje się to po prostu niemożliwe.

Zapraǳnęłam mieć przy sobie Alego, żeby spojrzeć mu w oczy, mocno go przytulić, powiedzieć, że go rozumiem, że może na mnie liczyć, że będę przy nim. Robiłam się sentymentalna. Brakowało tylko, żebym wybuchnęła płaczem przy Moncadzie. Nie róǳ tego, mazgaju, powiedziałam sobie. Postarałam się skupić uwagę na innym aspekcie nagrania.

– Ten szef to... – zaczęłam.

Porucznik zwlekał z odpowiedzią. Jego spojrzenie zdawało się mówić: już i tak wiele zrobiłem. Nie przyjął jednak jego milczenia; chciałam usłyszeć nazwisko z jego ust.

– No dobra – dał za wygraną. – Szefem jest Santonja.

Emiliano Santonja, wielki Czyngis-chan.

– To on zatwierdza kredyty dla graczy?

– Tak, kiedy przekroczą pewną sumę.

– Dużo graczy jest w takiej sytuacji jak Ale?

– Kilku, jeżeli masz na myśli długi.

– Ilu?

– Nie mam pojęcia.

– Ty też jesteś winien kasynu pieniądze? – wypaliłam, przekraczając cienką, niewidoczną granicę. Moncadzie nie bardzo się to spodobało.

– Nie twoja sprawa.

Potraktowałam to jako odpowiedź twierdzącą. Może porucznik kierował się własnym interesem. Przyszło mi do głowy, że planuje wykorzystać mnie jako broń przeciwko kasynu, żeby poprawić swoje położenie, choć nie wiedziałam, w jaki sposób zamierza to osiągnąć. Niezależnie od wszystkiego chciałam wysłuchać nagrania do końca.

Sama wcisnęłam *play*.

Jeszcze jedno, Bernardo: dzwonisz do mnie prywatnie czy w imieniu kasyna?

[Cisza]

O co ty, kurwa, pytasz?

Po prostu chcę wiedzieć, czy rozmawiam z przyjacielem, czy z dyrektorem kasyna w Robredo.

Ty skurwielu. Nagrywasz to?

Jesteś teraz w biurze kasyna...? Bernardo? Słyszysz mnie?

Rozległo się kliknięcie.

Nic więcej. Nagranie się skończyło.

– Co się stało? – zapytałam zdezorientowana.

– To się stało, Ano, że po tym telefonie, kiedy się spotkali, twój brat rozłupał czaszkę swojemu rozmówcy.

– Dlaczego Ale go zapytał, czy dzwoni we własnym imieniu? Dlaczego Pons go zwymyślał? Dlaczego się rozłączył?

– Moim zdaniem twój brat starał się nakłonić dyrektora kasyna, żeby potwierdził swoją tożsamość, ale popełnił błąd. Bernardo nie był głupi. Od razu nabrał podejrzeń, że rozmowa jest nagrywana.

– Ale dlaczego Ale chciał, żeby tamten potwierdził swoją tożsamość?

– Prawdopodobnie czuł, że te telefony śmierzą, że dyrektor kasyna nie powinien dzwonić pod jego prywatny numer. Dlatego nagrywał rozmowy i dlatego potrzebował potwierdzenia, kim jest rozmówca i skąd do niego dzwoni. Może zamierzał wykorzystać je w przyszłości przeciwko Ponsowi, zażądać czegoś w zamian, nie wiem.

Starałam się zachować spokój.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam: dyrektor kasyna Gran Castilla groził mojemu bratu, że pożałuje, jeżeli nie przyjdzie grać.

Moncada wziął swojego smartfona i schował do kieszeni. Przeciągnął dłonią po brodzie. W padającym pionowo świetle siwe włosy jeszcze bardziej rzucały się w oczy.

– Naciskał na niego, osaczał go, groził mu. Nazwij to, jak chcesz – burknął na zakończenie, po czym wstał z krzesła. – Muszę iść. Wybacz, nie czuję się najlepiej.

Nie miałam powodu do zadowolenia. Współczucie dla Alego zamieniło się w złość, a złość w gniew. Wolałam nie wyobrazać sobie, ile podobnych

albo jeszcze gorszych rozmów przeprowadził Ale w ostatnich miesiącach życia. Szybko prześwieciłam w myślach jego sytuację: żona i małe dziecko mieszkający w hostelu, spotkania grupy wsparcia dla nałogowych graczy, przerażający dług, którego był więźniem, a do tego telefony, próby zastraszenia, groźby, szantaże, naciski. Tak, zdecydowanie ogarniał mnie gniew, torował sobie drogę, prąc naprzód wielkimi krokami.

Ja także wstałam.

– Możesz przegrać mi tę rozmowę? – zapytałam, wiedząc doskonale, jaka będzie odpowiedź.

– Oczywiście, że nie – odparł bez najmniejszego wahania. – Nie możesz też o niej nigdzie oficjalnie wspomnieć.

– Co mam twoim zdaniem zrobić z tymi informacjami?

Pytanie odbiło się od ścian mojego starego gabinetu. Na twarzy Moncady malowała się empatia połączona z nieufnością. Odniosłam też wrażenie, że poczuł lekką ulgę, jak zadowoleni, wykończeni żołnierze, którzy dopuścili się straszliwych rzeczy na polu bitwy, ale wypełnili swoją misję.

– To ty jesteś prawniczką – powiedział. – Dobranoc.

Wyszedł z gabinetu. Widziałam, jak idzie przez przedpokój. Byłam pewna, że jeszcze się zobaczymy.

Piłka była teraz po mojej stronie boiska.

Chociaż zapytałam go o to głośno, sama wiedziałam doskonale, co powinnam zrobić. Nie będzie łatwo, ale zamierzałam zaryzykować.

Robotnik w niebieskim kombinezonie ciągnął ciężkie pudło. Odsunęłam się, żeby go przepuścić, i weszłam do recepcji.

Ku mojemu zdziwieniu nikogo w niej nie było. Pod ścianą piętrzyły się inne kartony. Zniknęły bliźniacze komputery Rondy, a także sama sekretarka, zostało tylko logo Promultas za ladą. Usłyszałam hałasy i głosy dobiegające z kancelarii. Nie chciałam wchodzić. Wolałam poczekać na Rondę i zapytać, co jest grane.

– Przepraszam – powiedział sucho robotnik.

Wszedł za ladę, wyjął elektryczną wkrętarce i przyłożył ją do dolnej części litery S. Zaboląła mnie bezduszość, z jaką to zrobił. Odgłos narzędzia sprawił, że cofnęłam się o kilka kroków. Mężczyzna wyglądał tak, jakby bawiło go rozmontowywanie logo, które przez lata witało licznych klientów i wierzycieli. Nietrudno było mi wyobrazić sobie, jak ten sam robotnik wali młotkiem w ścianki działowe i regipsową ladę, jak z brutalną bezwzględnością wyważa drzwi. Miałam ochotę poprosić go, żeby przestał. Nie dość, że przewiercał mi błony bębenkowe, to jeszcze to, co robił, było z estetycznego punktu widzenia nie do zniesienia. Na pewno mógł wykonywać swoje zadanie w jakiś inny, mniej destrukcyjny sposób, skoro już istniała taka konieczność. Moje najgorsze podejrzenia potwierdziły się, kiedy zobaczyłam Rondę pchającą biurowy wózek wypełniony segregatorami.

– Ach, Ano – powiedziała sekretarka na mój widok – tylko ty możesz powstrzymać to szaleństwo.

– Przeprowadzamy się? – zapytałam, dobrze wiedząc, że wcale nie o to chodzi.

Ronda obejrzała się za siebie i nie odrywając dłoni od wózka, powiedziała:

– Mówią, że zamykamy kancelarię, ale ja w to nie wierzę. To na pewno

tylko podstęp, żeby nie płacić fiskusowi. Myślisz, że firma mogłaby działać dalej pod inną nazwą? Mnie się podobało Promultas.

– Czyli to koniec – szepnęłam.

Ponownie rozległ się świdrujący dźwięk wkrętarki. Ronda pokazała na migi, że mnie nie słyszy.

– Porozmawiam z Conchą – powiedziałam, wyęzając głos.

– Co?

– Mówię, że porozmawiam z Conchą! – krzyknęłam i wskazałam korytarz.

Robotnik na pewno rozkoszował się tym ogłuszającym hałasem. Jego praca fizyczna znalazła się wyżej w hierarchii ważności niż jakakolwiek inna czynność wykonywana w kancelarii.

Minęłam Rondę i korytarzem po prawej stronie poszłam w stronę głównego gabinetu. Za szybami open space'ów roztaczał się przygnębiający widok: młodzi prawnicy i prawniczki kończyli zbieranie swoich rzeczy, wkładali je do kartonów i aktówek, pakowali swoją najbliższą przyszłość z powagą, bez teatralnych gestów. Jakiś inny robotnik w niebieskim kombinezonie wiozł na metalowym wózku ekspres do kawy. Znak, że to już definitywny koniec. W głębi korytarza zobaczyłam osobę odpowiedzialną za ten demontaż: moją dobrą przyjaciółkę Conchę. Rozmawiała w drzwiach swojego gabinetu z kobietą o blond włosach. Kiedy podeszłam bliżej, rozpoznałam Sofię. Trzymały segregator i oglądały z uwagą jakiś dokument.

– Widzę, że zjawiam się w dobrym momencie – powiedziałam.

Dyskretnie, ale wystarczająco czytelnie, żebym zrozumiała, że jest to gest zamierzony, Concha zamknęła segregator.

– Cześć, Ano, nie spodziewałam się tu ciebie tak szybko. Przybrała ton pełen patosu, stosownie do okoliczności.

– Postanowiłam przyspieszyć nieco powrót do pracy – odparłam, pomijając milczeniem to, co oczywiste – i uznałam, że osobiście cię o tym poinformuję. No i muszę porozmawiać z tobą o czymś ważnym.

– Ja już skończyłam – powiedziała Sofia, niepostrzeżenie wyjmując z rąk Conchy segregator.

– Wolalabym, żebyś została, jeżeli to nie problem – oznajmiłam. – Ta sprawa dotyczy was obu. W każdym razie tak mi się wydaje.

Sofía popatrzyła na mnie, potem pytająco na Conchę, nie wiedząc, co robić. Szefowa zignorowała mój komentarz, podobnie jak spojrzenie podwładnej, jakby miała do załatwienia jakąś pilniejszą sprawę.

– Może później, Ano – odpowiedziała, dając mi jasno do zrozumienia, że nie ma czasu na moje problemy. – Jak sama widzisz, mamy teraz mnóstwo pracy. Muszę pozamykać przed siedemnastą masę spraw, łącznie z samym biurem. Każdy dodatkowy dzień będzie nas kosztował majątek. A właśnie, już tu nie pracujesz, podobnie jak wszyscy pozostali. Ponieważ byłaś na zwolnieniu, nie mam pod ręką twoich papierów, ale nie martw się, w ciągu najbliższych godzin ktoś ci je dostarczy do domu. Na razie nie ma odpraw, to techniczne bankructwo. Niewykluczone, że znajdujemy się w sytuacji przejściowej, tak przynajmniej głosi oficjalny komunikat, ale na twoim miejscu nie spodziewałabym się za wiele. Sama widzisz, jak to wygląda...

Concha odwróciła się na pięcie i weszła do gabinetu. Wyglądała na przybitą. Nie chodziło tylko o zamknięcie kancelarii. Dobrze ją znam. Wiedziałam, że za jej pozornym stoickim spokojem kryje się coś więcej. Spojrzałam pytająco na Sofię. Pokręciła głową, dając mi do zrozumienia, że nie może niczego powiedzieć w obecności szefowej.

Postanowiłam zlekceważyć ostrzeżenie przyjaciółki i weszłam za nią do gabinetu. Pomyślałam, że gdyby naprawdę chciała się mnie pozbyć, zamknęłaby mi drzwi przed nosem, tymczasem zostawiła je otwarte.

– Mam wiadomości dotyczące pozwu, który Gran Castilla złożyła przeciwko wdowie po Alem. – Celowo powiedziałam „wdowa po Alem” zamiast „Helena”, jednocześnie zapraszając do gabinetu Sofię. Praktycznie ją tam wciągnęłam, przeczuwałam, że może stać się moją sojuszniczką, jeżeli rozmowa z Conchą przybierze zły obrót. Przyjaciółka nic nie powiedziała, kiedy zobaczyła, że zamknęłyśmy za sobą drzwi. To mnie ośmieliło, mogłam mówić dalej: – Proponuję ugodę, redukcję długu i spłatę rozłożoną na lata w zamian za uznanie pełnej sumy. Poza tym oferuję jakąś bliżej nieokreśloną pracę; część pensji szłaby na pokrycie rat.

– Brzmi sensownie – powiedziała Concha. Wciąż była w złym humorze, ale przynajmniej, jak mi się wydawało, była skłonna mnie wysłuchać. –

Domyślam się, że złożysz kontrofertę.

– Nie – powiedziałam stanowczo.

– Nie?

– Nie zgodzimy się na to ani nie przedstawimy żadnej kontroferty.

– Masz jakiś lepszy pomysł?

– Znacznie lepszy – oznajmiłam najbardziej obojętnie jak potrafiłam, w nadziei że już samo wyliczenie faktów wywoła spodziewany efekt. – Wniesiemy pozew karny przeciwko kasynu Gran Castilla.

Spojrzały na mnie jednocześnie. Odczekałam, aż przetrawią moje słowa. Sama potrzebowałam chwili, żeby przyjąć to do wiadomości. Nie każdego dnia wnosi się pozew karny przeciwko kasynu. Chociaż zastanawiałam się nad tym przez całą noc, dopiero teraz sformułowałam swoje przemyślenia głośno. Nie wiem, jak zabrzmiało to dla nich obu, wiem natomiast, jak zabrzmiało dla mnie: fantastycznie. Prawdę mówiąc, poczułam nawet, że lepiej mi się oddycha.

Sofía chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język. Wolała zachować ostrożność i zdobyć więcej informacji, nim się odezwie.

– Kto dokładnie będzie się procesował z kasynem? – zapytała Concha, najwyraźniej coraz bardziej poirytowana.

– Helena Kowalczyk i Martín Tramel, pełnoprawni spadkobiercy Alejandra Tramela – odpowiedziałam, jakby to było oczywiste.

– Z jakiegoś konkretnego zarzutu? – ciągnęła Concha, dodając do swojego przesłuchania trochę sarkazmu.

– Przymus, groźby karalne, nakłanianie do hazardu i wreszcie nakłanianie do samobójstwa – wyrecytowałam.

– Dobrze wiesz, że nakłanianie do samobójstwa to przestępstwo, za które rzadko uzyskuje się wyrok skazujący – odparowała moje argumenty Concha, jakbyśmy już były na sali sądowej. – Musi zakładać chęć doprowadzenia do śmierci nakłanianej osoby. Nie wystarczy kogoś prześladować albo wpędzić w depresję określonym zachowaniem. Zapadło wiele wyroków, które jasno wskazywały, jak trudno jest udowodnić bezpośredni związek przyczynowo-skutkowy w przypadku samobójstwa.

– To prawda – przyznałam wyzywająco – ale zamierzam wykazać, że firma Gran Castilla działała w złej wierze. Wiedzieli, że Ale jest chory i poddaje się leczeniu, mimo to grozili mu i kazali dalej grać tylko po to, żeby wycisnąć go jak cytrynę. Co więcej, wiedzieli też, że poważnie rozważa odebranie sobie życia z powodu hazardu i długów, i dalej go naciskali. To ostatnie może okazać się kluczowe.

– Masz dowody? – odważyła się zapytać Sofía. – Wybacz. Chodzi mi o to, czy masz dowody na to, że wiedzieli, iż pan Tramel rozważa popełnienie samobójstwa z powodu ich nacisków.

– Trzeba będzie udowodnić trzy różne rzeczy – oświadczyłam, dając do zrozumienia, że byłam przygotowana na to pytanie. – Po pierwsze, że Ale poważnie zastanawiał się, czy nie odebrać sobie życia. Z łatwością powinnam zdobyć dowody dzięki bezpośrednim świadectwom, przynajmniej taką mam nadzieję. Po drugie, że kierownictwo kasyna o wszystkim wiedziało. Mogę to potwierdzić z całkowitą pewnością. Nie dysponuję jeszcze dowodami, ale słyszałam poufną rozmowę, która dobitnie o tym świadczy. I po trzecie, że zarządcy kasyna mieli świadomość, że jego depresja i myśli samobójcze są wynikiem zastraszania, które sami praktykowali, a mimo to nie przestali go nękać. Naciskali coraz bardziej, ile się da, wykorzystując jego słabość; jak mówiłam, ta kwestia może okazać się decydująca... Chociaż i na to nie mam jeszcze dowodów.

– Jednym słowem, nie masz niczego – podsumowała Concha.

Moja euforia zaczynała opadać. Jeżeli nie mogłam przekonać nawet ich dwóch, że warto spróbować, to co dopiero będzie z sędzią. Przypomniało mi się jednak ukłucie w żołądku, które poczułam poprzedniej nocy po wysłuchaniu nagrania, i znów zapaliło się we mnie światełko.

– Wiesz, co mam? – zapytałam. – Powiem ci: mam czterdziestoletniego mężczyznę, chorego, zniszczonego przez hazard, tonącego w długach, który pukał do wielu drzwi, prosząc o pomoc, także do swojej starszej siostry, ale wszędzie słyszał tylko: „Radź sobie sam”. Mam ojca rodziny, człowieka o słabym charakterze, łatwo ulegającego nałogom i podatnego na wpływy, który chodził na terapię, walczył, by pokonać swoją chorobę. A po drugiej stronie mam firmę, która zarabia setki milionów euro kosztem ludzi takich jak on i która na wieść o jego problemach jeszcze nasiliła szantaż i groźby,

żeby grał dalej. Aż wybuchł, pękł od środka i na zewnątrz, zabił jedną z osób, które kierowały tą kampanią nacisków, a potem odebrał sobie życie. To właśnie mam. Raz możemy zrobić to, co trzeba, choćbyśmy mieli przegrać.

Nieźła przemowa. Wyszła z moich wnętrzności, każde słowo, każda głoska. Wyrzuciłam ją z siebie niemal bez zastanowienia.

– To jak, będziecie się dalej gapić czy mi pomożecie? – zapytałam.

Sofía podniosła rękę.

– Możesz na mnie liczyć – powiedziała. – I tak jestem bezrobotna.

Sprawa nabierała rozpędu, Sofía była cennym nabytkiem. Natomiast Concha nie wyglądała na przekonaną.

– Przykro mi, Promultas to przeszłość, nieodwołalnie. Nie możesz liczyć na zasoby kancelarii, i tak mam już wystarczająco dużo problemów – powiedziała. – Też miałabym ochotę skopać tyłki tym łajdakom z Gran Castilli, ale powiem ci prawdę: nie będzie żadnej sprawy, żaden sędzia przy zdrowych zmysłach nie przyjmie takiego pozwu.

– Nie chcę się chwalić, ale jestem bardzo dobra w uzasadnianiu pozwów, doskonale o tym wiesz – odparowałam. Nie zamierzałam się poddać, tym bardziej teraz, kiedy miałam po swojej stronie skórą do pomocy Sofię. – Nie zrobię tego sama. Będę musiała się zmierzyć z najlepszymi prawnikami w tym kraju, dysponującymi nieograniczonymi środkami. Pewnie wiesz, jaka kancelaria obsługuje Gran Castillę: Barver & Ambrosía.

Wymieniłam tę nazwę, licząc, że okaże się wystarczającą zachętą. Ponieważ widziałam, że Concha wciąż się waha, kolejny raz użyłam dzokera, którego wykorzystałam już, kiedy zatrzymano Alego. Wtedy poskutkowało.

– Nadszedł ten moment, Concho, teraz, przecież zawsze tego chciałaś – powiedziałam. – To idealna okazja: ty i ja przeciwko całemu światu. Zróbmy to.

– Nie wyskakuj mi z tym znowu – ucięła. – Ponad miesiąc temu wygłosiłaś mi tę samą gadkę, a ja ci uwierzyłam. O ile wiem, od tamtej pory nie zrobiłaś nic poza piciem i faszzerowaniem się tabletkami. Jak na mój gust, to trochę dziwna forma dotrzymywania umowy.

– To cios poniżej pasa, nawet jak na ciebie – odpowiedziałam.

Ciężyła nad nami śmierć Alego. Atmosferę zdominowały złe emocje.

– Masz rację – przyznała. – Przepraszam.

Odwróciła się do mnie plecami i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę drzwi. Zanim je otworzyła, wyjęła z rąk Sofii segregator, jakby zmieniała zdanie w jakiejś kwestii, i zabrała go ze sobą. Co prawda nie trzasnęła drzwiami, ale można powiedzieć, że zamknęła je mocniej, niż było trzeba.

Dziwna sytuacja: Concha wyszła, my zostałyśmy w jej gabinecie.

Spojrzałam na Sofię, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

– Co, do diabła, jest w tym segregatorze? – zapytałam.

– Nie mogę ci powiedzieć – odparła lojalnie.

– Jeżeli to nie są tajne dokumenty służb wywiadu, a ty nie jesteś międzynarodowym szpiegiem, natychmiast wszystko mi wyśpiewasz – odparłam. – Jeśli Concha ma problemy, muszę o tym wiedzieć. Jest zbyt dumna, by mi się zwierzyć. Myśli, że nie jestem gotowa na kolejne zmartwienia.

Wydawało się, że słowa uwięzły młodej prawniczce w gardle.

Zachęciłam ją gestem, żeby wreszcie je z siebie wykrztusiła.

– To pozew rozwodowy – wymamrotała. – Conchę zostawił mąż.

Przejechałam ściereczką po szybie. Kilka minut wcześniej przez chmury przedarło się słońce. Spojrzałam na zegarek: pokazywał 16.48.

Na drugim końcu pokoju Helena energicznie czyściła mopem podłogę w okolicach szezlonga. Rozejrzałam się: moja jaskinia była gotowa, by znów w niej pracować. Plastikowe płachty zniknęły. Pod prawą ścianą stały jedno przy drugim trzy biurka, a naprzeciwko, przy dużym oknie, które myłam – kolejne dwa. Połowa regałów i szafek na dokumenty była pusta. Miałam nadzieję, że ten nadmiar wolnej przestrzeni zniknie stopniowo w najbliższych dniach i tygodniach. Ogołociłam ścianę przy drzwiach i powiesiłam na niej olbrzymią korkową tablicę usianą pinezkami – aż się prosiło, żeby pojawiły się tu nazwiska, informacje o powiązaniach, zdjęcia i inne tropy, które warto mieć przed oczami – a obok białą tablicę z markerem. Do siedzenia, nie licząc kanapy, były tylko dwa stare krzesła i taboret. Pomyślałam, że będę musiała wybrać się jutro do któregoś z pobliskich sklepów z artykułami biurowymi. Nie mam nic przeciwko Ikei, ale jeśli można było tego uniknąć, wolałam nie urządzać gabinetu sprzętami z wielkich sieciówek. Miałam do dyspozycji trzydzieści metrów kwadratowych niemal pustej przestrzeni z osobną małą łazienką i wysokimi oknami. Nie było to może biuro jak z katalogu, ale doskonale nadawało się do realizacji czekającego nas zadania: ta jaskinia będzie naszą bazą. Zresztą nie spodziewaliśmy się przyjmować w najbliższym czasie żadnych klientów. Prowadziliśmy tylko jedną sprawę: Kowalczyk kontra Gran Castilla. Nasza klientka mieszkała w tym samym mieszkaniu. Pomogła mi posprzątać gabinet i doprowadzić go do porządku. Spojrzałam na Helenę. Musiałam jasno wyłożyć jej sprawę.

– Termin upływa za pięć minut – powiedziałam, chowając ściereczkę i płyn do mycia szyb do plastikowego kubła obok innych szmat.

– Jaki termin? – zapytała z roztargnieniem, wyżymając mopa.

Helena nie tylko gotowała, zmywała, sprzątała i zajmowała się dzieckiem

nieodmiennie z uśmiechem na ustach, ale poza tym w szczególny, milczący sposób okazywała swoim zachowaniem wdzięczność, a na dodatek cechowało ją coś w rodzaju życiowej mądrości, jakby zawsze wiedziała, co należy zrobić. W końcu polubiłam tę dziewczynę. Nie miała nic wspólnego z pierwszym wrażeniem, jakie na mnie wywarła, ze stereotypem ślicznej dwudziestodwuletniej blondynki, która zarabia na życie w klubie. Uprzedzona do niej, przedwcześnie ją osądziłam. Obiecałam sobie, że już więcej tego nie zrobię. Może była to jedna z obietnic, których nigdy nie dotrzymywałam, w każdym razie najważniejsze było to, że Ale mimo wszystko nie miał złego gustu.

– Punktualnie o piątej miną dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy Arias przedstawił nam ofertę – powiedziałam. – Jeżeli nie zadzwonię do niego teraz, nie będzie ugody.

– Ja rozumiem – odparła, marszcząc nos.

Powtarzałam jej to już trzeci raz, chciałam mieć pewność, że wszystko jest dla niej jasne. Ostatnie słowo w sprawie jakiegokolwiek porozumienia zawsze należy do klienta. Nie chciałam, żeby czuła presję z mojej strony, choć było to chyba po części nieuniknione.

– Jeszcze mamy czas – nalegałam. – Mogę zaraz do nich zadzwonić i powiedzieć, że przyjmujemy ofertę.

– Jeżeli nie przyjmować, co robimy? – zapytała, choć tak naprawdę doskonale знаła odpowiedź.

Myślę, że chciała jeszcze raz to usłyszeć, upewnić się, że postępujemy właściwie. A może zastanawiała się, czy nie zmienić zdania. Miała w końcu prawo się wahać. To ona mogła bardzo źle na tym wyjść. Co było raczej mało prawdopodobne, jeśli pozew zostanie przyjęty, ale nie niemożliwe.

– Nasza strategia polega na przejściu do ataku – odpowiedziałam. – Pozwiemy kasyno za popełnienie przestępstwa. Musisz zrozumieć, że ja jestem twoim adwokatem, ale to ty wnosisz pozew, to ty procesujesz się z właścicielami kasyna.

Moje słowa chyba ją wystraszyły.

– Co potem? – zapytała drżącym głosem.

– Trzeba poczekać, aż sędzia przyjmie pozew. To może trochę potrwać.

Kiedy już to zrobi, automatycznie zostanie wstrzymany pozew cywilny, który kasyno złożyło przeciwko tobie. Powiedzmy, że pozew karny to dla sądu priorytet. W ten sposób upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu: zablokujemy pozew kasyna i postawimy ich w trudnej sytuacji. Potem czeka nas drugi etap. Odbędzie się proces – jeśli dopisze nam szczęście, to z udziałem ławy przysięgłych. Będziemy o to zabiegać. Sąd rozstrzygnie, czy kasyno zniszczyło Alemu życie, czy mu groziło, czy pchnęło go do samobójstwa. A także na jaką karę za to zasługuje, jeżeli zapadnie wyrok skazujący. Będziemy domagać się kary więzienia, zażądamy też dużo pieniędzy, ogromnej sumy za to, że ukradziono mu życie i wzbogacono się jego kosztem.

Wzmianka o pieniądzach obudziła zainteresowanie Heleny.

– Ile prosić?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziałam szczerze. – Będziemy musieli dokładnie to przestudiować. W naszym kraju, w odróżnieniu na przykład od systemu anglosaskiego, sądy nie odnoszą się przychylnie do gigantycznych rekompensat finansowych. Jeśli chodzi o odszkodowania retorsyjne, jesteśmy jeszcze w powijakach, ale na pewno zażądamy bardzo, bardzo dużo pieniędzy, kwoty, która porządnie uderzy ich po kieszeni. Będziemy musieli zastanowić się nad sumą, tak żeby była ona do przyjęcia dla sądu, a jednocześnie groźna dla firmy takiej jak Gran Castilla.

Helena uniosła brwi. Odstawiła mopa i spojrzała na zegarek. Czas płynął. Jeżeli ciągle zastanawiała się, czy nie przystać na porozumienie, należało się pospieszyć.

– Ale jeżeli sędzia nie przyjmie nasz pozew, nie ma drugi etap, prawda? – zauważyła słusznie. – Co być, jeśli sędzia mówi pozew zły?

Dobre pytanie. Jeżeli tak się stanie, będziemy mieli przesrane. Taka była prawda. Podjęlibyśmy publicznie wrogie działania względem drugiej strony (na darmo), przypuszczam więc, że poszliby na całość.

– W takim wypadku skoncentrowalibyśmy się na obronie ciebie – złagodziłam swoją odpowiedź. – Ale jeśli mam być szczerą, byłoby ciężko. Postaramy się, żeby do tego nie doszło, żeby zapłacili za to, co zrobili.

– Ja mieć ostatnie pytanie – powiedziała z wielką powagą, spoglądając na zegarek. Była za dwie piąta. – Jeśli wszystko iść źle i ja mieć duże

problemy... ty opiekujesz się Martín?

Wzięła mnie z zaskoczenia.

W tym momencie zrozumiałam, że ostateczna decyzja Heleny będzie zależać od tego, co powiem. Nie mogłam rzucać słów na wiatr. Nie mogłam udzielić jej odpowiedzi, jaką chciała usłyszeć. Musiałam powiedzieć jej prawdę. Pożałowałam, że zapędziłam się w ten ślepy zaułek. Najgorsze było to, że rozumiałam położenie Heleny. Jeśli miała postawić wszystko na jedną kartę, chciała wiedzieć, że w najgorszym wypadku przynajmniej jej syn będzie miał opiekę. Rozumiałam ją. Co wcale nie oznaczało, że nagle obudził się we mnie instynkt macierzyński wobec małego Martina. Zobowiązanie do opieki nad dzieckiem to poważna sprawa.

Czułam, jak przesuwiają się wskazówki zegara.

Musiałam coś powiedzieć. Nie mogłam tak stać bez słowa. Milczenie mnie zdradzało. Skoro zobowiązanie tyle mnie kosztowało, to znaczy, że miałam wątpliwości.

– Liczę, że do tego nie dojdzie. Będę zażarcie walczyć, aby tak się nie stało. Ale jeśli coś się wydarzy i nie będziesz mogła zająć się Martinem, ja się nim zaopiekuję. Zapewniam cię, że się nim zaopiekuję.

Odetchnęłam z ulgą po udzieleniu tej odpowiedzi. Wydawało mi się, że nie będę zdolna wydobyć z siebie tych słów. Ale kiedy już je wypowiedziałam, byłam gotowa dotrzymać obietnicy.

Helena wyglądała na usatysfakcjonowaną.

Proszę, proszę. Kiedy przyszło co do czego, słodka wdówka potrafiła przyprzeć człowieka do muru.

– Wycisnęłaś ze mnie siódme poty – przyznałam. – To ty powinnaś zająć się przesłuchiwaniami świadków w sądzie.

Uśmiechnęła się. Wskazała na swój zegarek, jakby to był decydujący znak. Minuta po piątej. Nie było już odwrotu.

Minęły dwadzieścia cztery godziny. Szłyśmy na całość.

Dzwonek do drzwi sprawił, że obie podskoczyłyśmy. To mogło znaczyć tylko jedno: nadchodziła odsiecz.

Zanim dotarliśmy do drzwi, wyprzedził nas Martín, stanął na palcach i ku

naszemu zdumieniu bez większego problemu odsunął zasuwkę. Jak na niewiele ponaddwuletnie dziecko był to wielki wyczyn. Tak sędzę. Martín otworzył więc drzwi członkom nowego oddziału szturmowego, z którym mieliśmy stanąć przeciwko jednej z największych hiszpańskich firm, reprezentowanej przez jedną z największych kancelarii prawniczych na świecie. Oprócz Sofii zwerbowałam do naszej sprawy młodego, pracowitego Gerarda, którego krzykliwe krawaty połączone ze znajomością pokera mogły się okazać bardzo przydatne. Każda pomoc była mile widziana. Zwłaszcza jeśli towarzyszyła jej spora dawka entuzjazmu, jak w jego przypadku.

– Przepraszamy, przychodzimy z dwuminutowym opóźnieniem, ale w tym domu jest tylko jedna winda. Była zajęta przez jakąś kobietę, która zatrzymała ją na szóstym piętrze i robiła coś przy otwartych drzwiach, co nie tylko jest złamaniem najbardziej elementarnych zasad współżycia, ale z pewnością mogłoby zostać uznane za naruszenie regulaminu wspólnoty, oczywiście przy założeniu, że ja sam albo ktoś doświadczony zredagowałby taki regulamin – powiedział Gerardo, gdy tylko przekroczył próg. – Czy to tu powstaje kancelaria przynosząca największe dochody w mieście?

– Proszę, proszę... A cóż to za śliczny odźwierny? – zapytała Sofía, która weszła prawie równocześnie z Gerardem i schyliła się, żeby pocałować Martina w policzki.

Chłopczyk pozwolił się wyściskać. Obecność obcej osoby nie wydawała się go krępować.

Ucieszyłam się, widząc ich w dobrych humorach. Bardzo szybko im przejdzie. Sofía i Gerardo byli młodzi, ale nie głupi.

Trzecia osoba, na którą postawiłam, odrzuciła moją propozycję. Francisco był najbardziej doświadczonym prawnikiem z całej trójki, którą próbowałam zwerbować do obrony Alego. Doskonale rozumiałam, co nim powodowało: w wieku trzydziestu pięciu lat miał trochę większe ambicje niż dzielić pokój z trójką bezrobotnych adwokatów, których jedyna klientka nie mogła im zapłacić.

Wszystkim złożyłam taką samą ofertę: dziesięć procent netto z tego, co bym dostała, gdybyśmy wygrali proces, a do tego dziesięć procent od innych ewentualnych zysków. Zobowiązałam się, że poszukam im nowych klientów, kiedy tylko uporządkujemy naszą główną sprawę i upewnimy się, że

zeglujemy w dobrym kierunku. Inaczej mówiąc: zaoferowałam im rozpoczęcie wszystkiego od zera. Bez pensji. Bez ubezpieczenia zdrowotnego. Bez urlopu. Bez miejsca do parkowania i służbowego samochodu. Bez własnego biura. Bez marnej wizytówki. Sofii i Gerardowi najwyraźniej tyle wystarczyło albo – jak słusznie zauważyła dziewczyna – nie mieli innych widoków na przyszłość.

Ku mojemu zdziwieniu ktoś jeszcze dołączył do naszej grupy.

– Gdzie postawić doniczki? – rozległ się czyjś wysoki głos.

Jako trzecia nadeszła Ronda. Niosła dwa ogromne fikusy, wykonując ruchy ekwilibrysty, które jednak nie pomagały jej w utrzymaniu równowagi. Mimo to nikt z obecnych nie pospieszył jej z pomocą.

Z Rondą było inaczej. Sama zaoferowała, że do mnie przyjdzie, nie na odwrót. Nie liczyłam na możliwość posiadania sekretarki, przynajmniej nie na początku. Ale ona nalegała, wyliczając swoje atuty: zdolności organizacyjne, orientacja w księgowości, umiejętność zarządzania ludźmi. A do tego miała gruby notes z adresami – sieć kontaktów, które mogły być dla nas bardzo użyteczne. Kiedy ją uprzedziłam, że nie mam pieniędzy na jej pensję, uszła z niej część energii, ale z jakiegoś powodu zamiast się wycofać, powiedziała, że wierzy we mnie i będzie pracować za darmo w zamian za godziwą prowizję, pod warunkiem że dostanie stanowisko kierowniczkę biura. Wszyscy mieli wiedzieć, że jest kierowniczką. Uznałam, że to doskonała umowa. Zyskałam zaufaną kierowniczkę biura, sekretarkę, księgową i administratorkę w jednej osobie, a wszystko to za przystępną sumę wysokości zero euro. Zaproponowałam jej pięć procent od dochodów netto, ale utargowała siedem. Oceniałam, że siedem procent od niczego to niewiele; potem się zobaczy, pomyślałam. Uścisnęłyśmy sobie ręce. I oto gadatliwa Ronda stała w przedpokoju mojego mieszkania z dwiema roślinami, które prawie całkowicie ją zasłaniały.

I to wszystko.

Niestety, nie było więcej niespodzianek. Zagadnęłam M., czy mógłby pracować za prowizję, ale udzielił mi lakonicznej odpowiedzi: „Bez sardynek foka nie skacze”. Rozumiałam jego podejście, więc postanowiłam nie nalegać. Byłoby znakomicie, gdyby w grupie znalazł się detektyw, wolałam jednak zostawić uchyloną furtkę i poczekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Gdyby nie było innego wyjścia, zrobię zbiórkę wśród moich nowych wspólników, żeby zdobyć pieniądze na opłacenie M.

Bo tak właśnie miała się sprawa: Sofía, Gerardo, Ronda i ja byliśmy teraz wspólnikami czegoś na kształt kancelarii. Z dnia na dzień niemal bezwiednie zostałam większościovym udziałowcem kiepskiego interesu. Jednak pasja, jaką okazywali od samego początku moi młodzi wspólnicy, rozwiała czarne chmury gromadzące się nad moją głową. Widok tych ludzi wchodzących do przedpokoju i zdążających w stronę nieznannej przyszłości, pełnych wiary w to, co im powiedziałam, mógłby mnie niemal wzruszyć, gdybym należała do osób, które się wzruszają. Przypuszczam, że plotki i opowieści o dokonaniach Any Tramel, legendy prawa karnego i procesowego, bicza na sądy, także miały wpływ na ich decyzję wzięcia udziału w tej przygodzie.

– Niektórzy z was znają już Helenę – powiedziałam, wskazując ją ręką. – Jest naszą klientką, zasługuje na nasz szacunek i uznanie; jako jedyna z obecnych tu osób naprawdę ryzykuje własną skórę. Poza tym będzie naszą współlokatorką, w szerokim tego słowa znaczeniu. Zaznaczam, że znakomicie gotuje. Jeśli będziemy dla niej mili, może od czasu do czasu zrobi nam swój słynny gulasz.

– Cześć, kochana – powitała ją Ronda. – Gdzie mam postawić fikusy? To nie są pierwsze lepsze fikusy, tylko *Ficus lyrata*, nigdzie nie zobaczysz takich mięsistych liści jak te. Prawda, że są cudne?

Helena przytaknęła lekko oszołomiona.

– W głębi, Rondo, biuro jest w głębi. – Pokazałam jej drogę.

– Właśnie, wejdźmy do środka – powiedział Gerardo, wygładzając dłońmi swój doskonały krawat w pomarańczowym kolorze. – Nie tłoczmy się w przedpokoju. Jesteśmy biedni, ale mamy styl.

Zwróciłam uwagę na jego włoskie buty i torbę od Versace; nie mógł pozwolić sobie na takie rzeczy z pensji, którą dostawał w Promultas. Może mu się poszczęściło w grze. Będę musiała z nim porozmawiać. Zamierałam jak najlepiej wykorzystać jego wiedzę o pokerze, ale nie mogłam pozwolić mu grać podczas zajmowania się sprawą.

Ostatnia próg naszego skromnego biura przekroczyła Sofía z Martinem na barana.

– Jesteśmy jak drużyna A, tyle że w przystojniejszej wersji – powiedział Gerardo, wchodząc do gabinetu.

– Ja chcę być Świrem Murdockiem – zastrzegła bez wahania Sofia, przekazawszy Martina matce.

– Ja jestem Bużką, to jasne; ekspert od inżynierii społecznej, do usług – dorzucił Gerardo.

– Nie wiem, o czym mówicie, ale jeśli nie pomożecie mi z tymi fikusami, będzie źle – oświadczyła Ronda. – Mamy już nazwę? Teraz, kiedy jestem współniczką, byłoby miło, gdyby moje nazwisko również pojawiało się w nagłówkach druków kancelarii. Tak będzie sprawiedliwie, nie sądzisz?

– Myślałam o Tramel i Wspólnicy – odpowiedziałam, nie przywiązując większej wagi do tematu.

Ronda miała jednak rację: niezależnie od tego, jak skromny był nasz budżet, musieliśmy zainwestować choćby minimalną sumę w artykuły papiernicze, domenę internetową i inne rzeczy, które wymagały natychmiastowych rozwiązań.

Cała trójka wymieniała uwagi na temat umeblowania *vintage*, a raczej jego braku, na temat konieczności zakupu zasłon albo kotar do moich pięknych, wielkich okien (tyle światła było błogosławieństwem, a jednocześnie problemem) i oczywiście przydziału biurka. Natychmiast kwestia, kto gdzie będzie siedział, stała się głównym przedmiotem sporu.

– Szefowo, wytłumacz Rondzie, że kierowniczką nie ma pierwszeństwa przy wyborze biurka! – wrzasnął Gerardo.

Stałam w przedpokoju. Nasza nowa kancelaria działała zaledwie od kilku minut, a ja już zaczynałam żałować. Naszła mnie niepoohamowana ochota, żeby wybiec z mieszkania. Myślę, że kiedy umawiałam się z nimi na siedemnastą, miałam jeszcze nadzieję, że Helena zmieni zdanie i zaakceptuje ugodę z Gran Castillą. Wtedy odesłałabym ich do domu i nie musiałabym zajmować się teraz całą trójką.

Znowu ogarnął mnie niepokój. Wiedziałam, że będą nawroty, ale nie myślałam, że tak szybko. Mogłam go kontrolować, musiałam tylko skupić uwagę na czymś pozytywnym, a gdybym niczego takiego nie znalazła, na jakimś konkretnym zadaniu, bardzo konkretnym, takim, które pochłonęłyby

całą moją uwagę.

Poczułam na ramieniu czyjąś dłoń. To była Helena z Martinem na rękach. Wyglądała na zmartwioną, co wcale mnie nie zdziwiło.

– Wszystko będzie dobrze? – zapytała niemal doskonałą hiszpańszczyzną.

Jej wątpliwości uderzyły we mnie bezlitośnie. Nie było odwrotu; pozostawała tylko jedna możliwość: przejść na następne pole planszy.

– Oczywiście, że będzie dobrze – próbowałam ją uspokoić, a także i przede wszystkim uspokoić samą siebie. – Zobaczysz. Zostaw to mnie.

Wypowiadając te słowa, zrobiłam krok w tył.

Sama w nie nie wierzyłam. Co mnie napadło, żeby się w to pakować? Za kogo się uważałam? Od lat nie zajmowałam się na poważnie prawem, a od jeszcze dłuższego czasu moja noga nie przestąpiła progu sądu. Byłam rozbita, splukana, zaledwie od kilku dni trzeźwa. Do pomocy miałam tylko krzykliwą sekretarkę i dwójkę małolatów bez żadnego doświadczenia w sądzie. To było prawdziwe życie, nie sen. Jak znalazłam się w tym miejscu?

Cofałam się, aż dotarłam do drzwi głównej łazienki.

Helena patrzyła na mnie przerażona. Doskonale wiedziała, co się ze mną dzieje.

Weszłam do łazienki, zamknęłam drzwi na zasuwkę i otworzyłam największą szafkę. Musiałam coś znaleźć, cokolwiek, nędzne resztki oksykodonu albo przynajmniej listek trankimazinu. Przewróciłam wszystko. Nic. Naprawdę wyrzuciłam wszystkie opakowania. A nawet recepty. Ach, te nieszczęsne napady świadomości. Serce zaczęło mi bić mocniej; widziałam niemal, jak pompuje krew. Miałam ochotę w coś walnąć. Zawładnął mną niepokój, lęk czy jak to nazwać. Tym, którzy nie wiedzą, o czym mówię, mogę tylko powinszować: to znaczy, że są zdrowi, że nigdy nie doświadczyli takich ataków. Moje gratulacje, mam nadzieję, że nigdy nie znajdziecie się w podobnej sytuacji.

Usiadłam na brzegu wanny i spróbowałam głęboko oddychać. Mogłam to robić. Potrzebowałam tylko trochę powietrza, trochę czasu, coś, czego mogłabym się ucześcić. Właśnie. Oddech. Powietrze przechodziło przez moje trzewia, piersi i wreszcie przez gardło albo na odwrót, wszystko jedno, pełny

głęboki oddech, potem następny i jeszcze jeden.

Uklękałam i otworzyłam białą szafkę. Tego potrzebowałam! Były tam! Opakowania mydła dziegiowego! Wzięłam ostrożnie jedno z nich i przeczytałam: „Naturalny dziegieć węglowy, olejek z drzewa herbacianego, nagietek lekarski, jojoba, rącznik pospolity, marchew, eukaliptus, cytryna i lecznicze substancje zmiękczające”. Stopniowo zaczynałam czuć, że jestem w znanym sobie, przyjaznym miejscu. Niespiesznie rozwinęłam papier i podniosłam się z kolan, stając przy umywalce. Odkręciłam kurek i przystąpiłam do mycia dłoni. Tak. Tego mi było trzeba. Może nie byłam zrównoważona, może to nie miało żadnego sensu, ale daję słowo, mydło dziegiowe wykazywało właściwości lecznicze. Dalej tarłam dłonie.

Przez kilka minut szorowałam ręce. Straciłam poczucie czasu. Byliśmy tylko ja, mydło i woda. Panika powoli ustępowała. W miarę jak kostka mydła malała, moje odczucia stawały się coraz bardziej normalne.

W końcu zakręciłam kurek. Wytarłam ręce ręcznikiem, osuszając delikatnie każdy zakamarek. Potem wzięłam jeszcze dwa głębokie oddechy. I powtórzyłam swoją mantrę: wszystko będzie dobrze.

Zdecydowanym ruchem otworzyłam drzwi.

Kiedy tylko postawiłam stopę w przedpokoju, zobaczyłam pięć wpatrzonych we mnie par oczu. Sofía, Gerardo, Ronda, Helena, nawet Martín stali przed drzwiami łazienki. Nie wiem, od jak dawna czekali tu w milczeniu. Zachowałam spokój, moja postawa wyrażała całą godność, na jaką było mnie stać.

– Potrzebujesz czegoś, Ano? – zapytała Ronda.

Musiałam coś powiedzieć, wymówić kilka słów, które podziałałyby jak egzorcyzm.

– Ta łazienka jest wyłącznie do użytku tych, którzy tu mieszkają – powiedziałam pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy. – Pozostali będą musieli korzystać z małej ubikacji przy biurze. Czy to jasne?

– Jak słońce.

– Tak.

– Oczywiście.

– Doskonale – powiedziałam i ruszyłam w stronę gabinetu.

Ponieważ widziałam, że stoją w miejscu i patrzą za mną, jakby spodziewali się, że za chwilę runę na podłogę albo coś w tym rodzaju, ryknęłam:

– Będziecie tu stać przez cały wieczór jak gamonie? Może jeszcze się nie zorientowaliście, ale mamy sporo roboty.

Przez następne dni nastawiałam budzik na wpół do szóstej. Ten zwyczaj pozostał mi z moich bojowych czasów i powrót do niego nie kosztował mnie wiele wysiłku. Kiedy inni przychodzili do biura, miałam nad nimi ponad dwie godziny przewagi. Poświęcałam ten czas przede wszystkim na studiowanie związanych z naszą sprawą pozwów i wyroków, które podzieliłam na trzy główne grupy: nakłanianie do samobójstwa, wysokie odszkodowania pieniężne oraz procesy sądowe wytaczane przedsiębiorstwom – rzecz stosunkowo nowa w naszym kraju.

Dzięki tym lekturom nie tylko odświeżyłam sobie skomplikowany, pełnokrwisty język prawniczy, nieco przeze mnie zapomniany, ale też wyciągnęłam kilka wniosków, które mogły się nam w przyszłości przydać.

Pierwszy był taki, że – jak zauważyła na samym początku Concha – będzie nam bardzo trudno wykazać nakłanianie do samobójstwa, jeśli nie zdobędziemy bezpośrednich dowodów potwierdzających zamiar doprowadzenia Alego do śmierci. Nie liczyły się dowody poszlakowe, nawet świadkowie, którzy mogliby potwierdzić nękanie. Należało pójść krok dalej. Rozpocząć poszukiwania idące w wielu kierunkach, jeśli chcieliśmy znaleźć coś solidnego. Na wszelki wypadek zaczęłam obmyślać alternatywny plan polegający na oskarżeniu o wyłudzenie. Zakładał on, że chodziło o spiskowanie na różnych płaszczyznach, którego jedynym celem było doprowadzenie kogoś do ruiny, w dodatku osoby chorej. Miałam nadzieję, że nie będę musiała iść tą drogą, słabszą jako punkt wyjścia, ale nie wiedziałam jeszcze, jakie dowody zdołamy zgromadzić.

Następny wniosek był taki, że powinnam współdziałać z prokuraturą, która przy tego rodzaju pozwie obowiązkowo musiała wystąpić jako strona. Wiedziałam, że jeśli nasze argumenty nie zostaną uzasadnione w sposób zgodny z ich oczekiwaniami, mogą opóźnić rozpoczęcie procesu, a nawet go zamrozić, jak zwykło się mówić w naszym żargonie, kiedy przyjęcie pozwu w sprawie karnej jest odwlekane z powodu uchybień formalnych.

I ostatnia rzecz, nie mniej ważna: uznałam, że aby przekonać sędziego do przyjęcia wniosku o rekompensatę finansową, najrozsądniej będzie wypalić z grubej rury; w przeciwnym razie nie potraktuje nas poważnie. W ten sposób gwarantowałam sobie, że przyciągnę jego uwagę, chociaż niekoniecznie z korzyścią dla nas. Sędziowie, których znałam, bynajmniej nie byli zwolennikami ubiegania się o rekompensaty finansowe w trybie karnym. Byłam gotowa podjąć to ryzyko, ale czas działał na naszą niekorzyść. Zważywszy na ograniczone środki, jakimi dysponowaliśmy, każdy wybieg przyspieszający proces był mile widziany.

Zazwyczaj adwokaci z dużych kancelarii zlecali asystentom albo niedawno zatrudnionym pracownikom studiowanie wszystkich możliwych orzeczeń, a sami tylko rzucali okiem na streszczenia. Ja jednak wolałam zajmować się tym osobiście, nie tylko przy tej sprawie. Był to zwyczaj, którego trzymałam się od początku swojej działalności zawodowej. Podobnie z redagowaniem pozwów w sprawach karnych i cywilnych. Jestem przekonana, że przygotowanie i napisanie takiego dokumentu to sztuka wymagająca pełnego zaangażowania, ponieważ forma, w jakiej zostaną zaprezentowane argumenty, jest równie istotna jak meritum sprawy. Robiłam to sama nie dlatego, że nie ufałam innym (choć to również mogło mieć jakiś wpływ), ale dlatego, że to ja byłam głównym prawnikiem w danej sprawie, ja ponosiłam ostateczną odpowiedzialność. Takie formalności są kluczowe na początkowym etapie procesu, co nie oznacza oczywiście, że należało lekceważyć pracę w terenie. W każdym razie tak to widziałam.

Punktualnie o ósmej zjawiała się reszta zespołu. Pierwsza niemal zawsze przychodziła Ronda. Jako kierowniczka okazała się bardzo przydatna. Nie tylko kupiła po bardzo korzystnej cenie trochę używanych mebli i artykułów biurowych, ale także znakomicie koordynowała to, co każdy z nas wnosił do sprawy. Żelazną ręką prowadziła nasze rachunki. Stworzyliśmy wspólny fundusz, z którego mieliśmy pokrywać niezbędne wydatki: na początek pięć tysięcy euro. Każdy wniósł swój procent tej sumy. Ja dałam najwięcej: trzy tysiące sześćset, Sofia i Gerardo po pięćset, a Ronda czterysta. Nie było tego dużo, ale przynajmniej mieliśmy za co kupić kilka krzeseł, robić fotokopie i założyć nową linię telefoniczną. Szczodrość moich kolegów nieustannie mnie zadziwiała. Nikt nie protestował, że musi z własnej kieszeni płacić za benzynę, komórkę, a nawet posiłki w pracy, od poniedziałku do soboty.

Świadomi tego, że ścigamy się z czasem, uzgodniliśmy, że przynajmniej do chwili wniesienia pozwu będziemy pracować sześć dni w tygodniu. Na szczęście nikt z nas nie miał dzieci, chociaż Sofía i Ronda mieszkały z partnerami, którym chyba nie bardzo podobały się nowe warunki pracy oparte na zasadzie: więcej godzin, mniej zarobków.

– Cześć, szefowo, przyniosłam ciepłe churros, masz ochotę? – powitała mnie Ronda rankiem jedenastego dnia. Był ciemny grudniowy piątek, przewidywano temperaturę w okolicach zera.

W odpowiedzi wydałam z siebie pomruk niezadowolenia. Kończyłam czytać wyrok Sądu Najwyższego: skazywał filię pewnej firmy świadczącej usługi finansowe na zapłacenie sporej sumy i zasądzał rozwiązanie spółki, która stworzyła strukturę zajmującą się praniem brudnych pieniędzy. Tak jak podejrzewałam, zasądzone siedemset pięćdziesiąt tysięcy euro nie stanowiło odszkodowania, lecz grzywnę, jaką przedsiębiorstwo miało zapłacić państwu. Przypadek ten bardzo różnił się od naszej sprawy.

– Dzwoniła do mnie Sofía. Będzie później, chyba dowiedziała się czegoś ciekawego od jednego z gwardzistów, którzy wynosili ciało Alejandra z celi – dodała Ronda.

Jedną z największych niewygód związanych z dzieleniem przez wszystkich tej samej przestrzeni był całkowity brak prywatności. Kilkakrotnie kusilo mnie, żeby zamknąć się w sypialni i tam przeczytać notatki. Wystarczyło tylko przejść przedpokojem i zatrzasnąć drzwi. Ale nigdy tego nie zrobiłam. Taka asymetria wydawała mi się niewłaściwa. Poza tym czułam, że powinnam świecić przykładem. Poczucie winy, nakaz przykładowego zachowania i pokorę wyniosłam ze szkoły zakonnice. Te pozostałości katolickiego wychowania od czasu do czasu wychodziły ze mnie na zasadzie odruchu warunkowego.

– Naprawdę nie chcesz? Świeżo smażone – nalegała Ronda, nadgryzając jeden z ociekających tłuszczem churros, przyniesionych w papierowym rożku.

– Przyszedł już pełny raport z autopsji? – zapytałam szorstko.

– Hm... – odparła, udając urażoną moim brakiem zainteresowania churros. – Jeśli chcesz, wyślę ci go mailem, chociaż nie ma w nim żadnych rewelacji. Sofía mówi, że możesz go sobie darować.

Sofía była odpowiedzialna za zbadanie wszystkich materialnych aspektów śmierci mojego brata. Zgodnie uznaliśmy, że to ona, a nie ja powinna dogłębnie przeanalizować najbardziej makabryczne fakty. Nie oznaczało to jednak, że nie miałam prawa przejrzeć raportu z autopsji, niezależnie od tego, jak bolesne mogły się dla mnie okazać zawarte w nim szczegóły. Byłam na to przygotowana. W końcu chodziło o fakt, wokół którego obracała się cała reszta: mój brat powiesił się w celi na własnym pasku. Często zapominamy o istocie sprawy, kiedy jej odgałęzienia są tak liczne i sięgają tak daleko jak w tym przypadku. Powinniśmy pamiętać, że człowiek odebrał sobie życie. To właśnie liczyło się w tej sprawie, a nie wielka, zachłanna korporacja, pieniądze, gracje, kłamstwa, prawnicze wybiegi. To tylko szum. Najważniejsza była śmierć Alego.

– Prześlij mi wyniki sekcji zwłok; później rzucę na nie okiem – odparłam, ignorując jej rady.

Sofía dobrze radziła sobie w terenie. Sprawdziała minuta po minucie wszystko, co przytrafiło się Alemu w nocy i rankiem w dniu, kiedy odebrał sobie życie. Kierowała się raportem policyjnym, ale to oczywiście nie wystarczało.

Starła się zdobyć informacje od znajomego z Brygady do Walki z Hazardem. Bezskutecznie. Facet zniknął w tajemniczych okolicznościach, jak powiedziała Sofía, przy czym nie zgodziła się absolutnie na ujawnienie jego tożsamości. Wyglądało na to, że od miesiąca był na zwolnieniu. Mogło chodzić o zwykły zbieg okoliczności. Wolałam nie snuć teorii spiskowych. Przynajmniej na razie.

Od strony przedpokoju dobiegł odgłos mocnych kroków i po chwili naszym oczom ukazał się Gerardo. Tego ranka miał krawat w kolorze pistacji.

– Dzień dobry – powiedział, podchodząc do jednego z ustawionych wzdłuż ściany biurek. – Lista się wydłuża, teraz mamy trzydziestu czterech graczy, szesnastu krupierów i dwudziestu trzech innych pracowników kasyna: kelnerów, ochroniarzy i kierowników sali. Rozmawiałem ze wszystkimi przez telefon, z niektórymi też osobiście. Helena bardzo mi pomogła, zna większość z nich. Właściwie niemal wszyscy wyrazili chęć współpracy. Wygląda na to, że Alejandro był lubiany. Jestem pewien, że lista

będzie się wydłużać. Każdy z moich rozmówców wymienia nowe nazwiska, rośnie to lawinowo i prawdę mówiąc, nie wiem, kiedy się skończy. Przydałaby mi się jakaś pomoc, szefowo.

Gerardo podjął się opracowania wyczerpującej listy zeznań od wszystkich osób mających kontakt z Alem w świecie hazardu, w szczególności tych z mikroświata, jakim było kasyno w Robredo. Przesłuchanie graczy i pracowników nie powinno stawiać w stan pogotowia prawników Gran Castilli; stanowiło element obrony w odpowiedzi na ich pozew przeciwko Helenie. Wolałam, żeby nie podejrzewali, że zamierzamy wnieść pozew karny. Lepiej, żeby dowiedzieli się dopiero po fakcie. W przeciwnym razie mogliby zamknąć usta wielu osobom, a tego nie chcieliśmy. Miałam nadzieję, że podczas zadawania pytań Gerardo wykaże się wystarczającą dyskrecją (jednocześnie niczego nie zanedbując), by nie wzbudzić podejrzeń.

– Rondo, przejmij od młodego trochę rozmów – powiedziałam przymilnie.
– Trzeba to przyspieszyć, a przy okazji będziesz mogła zademonstrować nam swój dar przekonywania przez telefon.

– Z przyjemnością – odparła natychmiast. – Potrafię wyciągać ze świadków ważne informacje. Jestem obdarzona szóstym zmysłem.

– Ogranicz się do pytań, które przekaze ci Gerardo.

– Dzięki, szefowo – powiedział chłopak.

Nie byłam niczyją szefową, a jedynie większościowym udziałowcem. Nie miałam jednak zamiaru ich poprawiać, byli już duzi.

Telefon na biurku zadzwonił kilka razy. Ronda podniosła słuchawkę i powiedziała ochotczo:

– Tramel i Wspólnicy, słucham.

Ostatecznie wybrałam dla kancelarii tę nazwę. Była prosta, jasna, dawała możliwość powiększenia liczby wspólników, gdyby zaszła taka potrzeba (i gdybyśmy znaleźli jeszcze jakąś dobrą duszę, która zechciałaby nam pomóc).

Poprzedniego dnia po południu napomknęłam Gerardowi, że dobrze byłoby, gdyby na jakiś czas zrezygnował z pokera. Nie chodziło o matczyną radę. To było polecenie. Nie chciałam, żeby w czasie trwania procesu

okazało się, że moi współnicy są uwikłani w jakiegokolwiek osobiste relacje ze światem hazardu. Nieśmiało zaprotestował, argumentował, że może powinien trochę powęszyć, włączając się w rozgrywki, w których brał udział Alejandro. Błysk w jego oczach mówił, że nie zrezygnuje z grania bez względu na to, jak stanowczo mu tego zabronię. Będę musiała go pilnować, żeby nie ściągnął na nas kłopotów. Podobały mi się jego krótkie lekcje dotyczące gry w karty („Poker jest sumą trzech umiejętności: strategii psychologicznej, wyliczeń matematycznych i ryzykowania” albo „Jeśli po dwudziestu minutach od rozdania nie wiesz, kto będzie łatwym do oskubania frajerem, to znaczy, że będziesz nim ty”, albo moja ulubiona: „Nikt nie mówi ani jednego słowa prawdy, kiedy siedzi za stołem do gry w pokera”), ale nie chciałam mieć w naszej małej grupie nałogowca. Pewność siebie, zapamiętanie, z jakim oddawał się sprawie, oraz brak inteligencji emocjonalnej czyniły z niego idealnego kandydata. W tym biurze to ja byłam oficjalnym nałogowcem, nikt więcej.

Zebrałam swoje rzeczy, zamierzając wyjść. Tego ranka miałam dwa spotkania. Kiedy opuszczałam mieszkanie, usłyszałam, że Gerardo i Ronda spierają się co do możliwie najlepszego formularza dla świadków. Słyszałam też, że Helena i Martín jedzą śniadanie w kuchni. Chociaż mieszkaliśmy pod jednym dachem, od kiedy zaczęliśmy pracować nad sprawą, nasze kontakty ograniczały się do rzadkich spotkań w przedpokoju i wymiany grzecznościowych uwag. Słyszałam, jak Helena zwraca się do syna po polsku. Tym razem go nie besztła. Przeciwnie, mówiła niemal szeptem, jakby recytowała mu tekst kołysanki albo jakiś wiersz ze swojego kraju, w każdym razie to, co dobiegało do przedpokoju, brzmiało przyjemnie, harmonijnie. Zważywszy jednak na moją znajomość jej języka, równie dobrze mogłaby recytować listę zakupów – wydałaby mi się tak samo melodyjna. Pomyślałam, że Helena nie byłaby zachwycona, gdyby wiedziała, z kim mam umówione pierwsze spotkanie tego dnia. Nie musiałam jej tego mówić – niczego by to nie wniosło. Zostawiłam więc ją i jej poranną deklamację – czegokolwiek dotyczyła – i wyszłam z domu.

Niebo było w dalszym ciągu całkowicie zasnuwane chmurami. Wjechałam moją mazdą na obwodnicę M-50 i skręciłam w stronę Alcorconu. Dni mijały szybko, a ja zamierzałam złożyć pozew jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Nie powinnam tego odkładać, jeśli chciałam zablokować postępowanie

cywilne. Choć mieliśmy jeszcze do zrobienia wiele rzeczy, z jakiegoś powodu byłam umiarkowaną optymistką. W ciągu ostatnich dwóch tygodni kilkakrotnie walczyłam z pokusą, by zadzwonić do Moncady. Gdybym tylko oficjalnie dysponowała tym nagraniem... Mogło okazać się bardzo pomocne, a nawet decydujące dla przyjęcia naszego pozwu. Ale porucznik jasno powiedział, że nie mogę na nie liczyć. Jak on to ujął? Ach, tak: „To ty jesteś prawniczką”. Muszę przyznać, że Moncada mi się podobał: był opanowany, nikogo nie udawał, a na dodatek miał te swoje toporne dłonie drwala. Byłam niemal pewna, że w innych okolicznościach i w innym momencie mojego życia nie ograniczylibyśmy się tylko do słów. Był typem mężczyzny, który budzi we mnie pierwotne instynkty.

W ciągu tych dni myślałam również nieraz o Conchy. Brakowało mi jej. Ale nie odpowiadała na moje telefony. Po zamknięciu Promultas zniknęła. Postanowiłam, że w najbliższą niedzielę ją odszukam, gdziekolwiek by była.

Zgodnie ze wskazówkami GPS-u skręciłam w prawo w starą drogę gruntową. Świadek, z którym miałam się spotkać, znajdował się na liście Gerarda, ale pewien szczegół wyróżniał go spośród pozostałych i dlatego zasługiwał na moją uwagę: jego nazwisko. Sebastian Kowalczyk był starszym bratem Heleny. Kolejny przypadek rodzeństwa, które ze sobą nie rozmawia. Pewnie na świecie jest takich pełno, ale akurat oni w nieunikniony sposób przypominali mi Alego i mnie mimo pewnych znaczących różnic. Nigdy nie byli ze sobą blisko związani. Sebastian był starszy od siostry o czternaście lat, przyjechał do Hiszpanii, kiedy Helena miała zaledwie cztery. Ich kontakty, wcześniej sporadyczne, odnowiły się dopiero po jej przyjeździe. Przeprowadziła się do naszego kraju przede wszystkim skuszona wygodnym życiem, jakie wiódł tu jej brat. Sebastian przedstawił jej kilku przyjaciół, wśród nich właścicieli klubu, w którym Helena zaczęła w końcu pracować jako tancerka. Nawiasem mówiąc, zaczynał mnie męczyć eufemizm „tancerka”. Wiedziałam, że prędzej czy później wyjdzie na jaw, co ta dziewczyna naprawdę robiła w klubie. Byłoby lepiej, gdybym to ja ujawniła prawdę, niż gdyby miały to zrobić chłopaki z Barver & Ambrosia. Przyjmijmy, że w końcu staniemy przed sądem i ławą przysięgłych: nie chciałam patrzeć, jak niszczą Helenę, przedstawiając ją jako emigrantkę ze wschodniej Europy, która przyjechała do naszego kraju sprzedawać własne ciało za pieniądze – o ile rzeczywiście to robiła. Bardzo trudno nie mieć

uprzedzeń. Jestem kobietą o otwartym umyśle, przynajmniej za taką siebie uważam, a mimo to nie potrafiłam uniknąć podejrzliwości. Wolałam nie myśleć, co przejdzie przez głowę sędziemu i członkom ławy przysięgłych, kiedy zobaczą, że powódka nie jest biedną wdową i matką, tylko blondwłosą seksbombą, która zarabiała na życie w nocnym klubie. Kolejny raz zakonotowałam, że muszę poważnie porozmawiać z naszą klientką o jej znoej pracy.

Niedługo po przyjeździe do Hiszpanii poznała Alejandra. Pewnego wieczoru przedstawił go jej Sebastian. Z moich informacji wynikało, że poznał mojego brata w kasynie, gdzie pracował jako krupier. Ich stosunki wykraczały jednak poza grę. Często widywano ich razem w okolicznych dyskotekach i klubach. Potem pojawiła się Helena i coś musiało się wydarzyć, bo Sebastian zerwał nagle kontakty z obojgiem.

Zostawiłam mazdę na dzikim parkingu naprzeciwko zaoranego pola, obok innych samochodów, przeszłam przez bramę w metalowym płocie otaczającym Klub Motocross Alcorcón i okrążyłam błotnisty plac. Wokół wyły silniki yamah, hond i innych motocykli. Kilka wspinało się na niewielkie wzniesienie w oddali. Podeszłam pod halę pokrytą azbestowym dachem i zapytałam rudego chłopaka, który naprawiał starą aprilę, o Sebastiana Kowalczyka. To Ronda zorganizowała spotkanie. Nie miałam zielonego pojęcia, gdzie dokładnie zostaliśmy umówieni, a teren był olbrzymi. Kiedy chłopak usłyszał nazwisko, wskazał ręką grupkę jadących przez pole motocyklistów i powiedział:

– To ten gruby, który jedzie pierwszy.

Popatrzyłam na motory: jakoś mnie nie zdziwiło, że Sebastian nie wita mnie bukietem kwiatów i uśmiechem. Patrząc, jak oddala się od klubu, poczułam pewien niepokój.

– Myślisz, że długo mu zejdzie? – zapytałam.

– Nie mam pojęcia, nie jestem jego sekretarką – odparł pogardliwie, dokręcając kluczem francuskim świecę swojego motoru.

Była to czerwona aprilia 450 – dobry sprzęt dla takiego cherlawego młodzika jak rudzielec.

– Ścigasz się? – zapytałam, udając zainteresowanie. Nie jestem ekspertem, ale był okres, kiedy okazywałam pewną, można powiedzieć, słabość do

motocykli, zwłaszcza zaś do motocyklistów.

– Czasami – odparł zaczepnie i posłał mi uśmiech.

Rudzielec miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Na pokrytej smarem i potem twarzy malowały się typowa dla jego wieku porywczosć i bezmyślność. Wyobraziłam go sobie na jego aprilii, wymazanego olejem. To był tylko króciutki przebłysk. Zdarzało mi się to coraz rzadziej. Natychmiast wróciłam na ziemię. Przyjechałam tam, żeby spotkać się ze świadkiem i uciąć z nim sobie owocną pogawędkę, a nie po to, żeby polować na młodzieniaszków na motorze.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zaczekam w środku – powiedziałam.

– Jak chcesz.

Weszłam do hali i oparłam się o coś w rodzaju barierki. Dla zabicia czasu sprawdziłam pocztę na telefonie. W skrzynce zebrało się sporo e-maili, wśród nich niedawno wysłana przez Rondę wiadomość o tytule „Seksja zwłok”. Po kilku sekundach wahania otworzyłam załącznik.

W nagłówku figurowało pełne imię i nazwisko Alejandra oraz podpis Heleny jako upoważnionego członka rodziny. Niżej znajdowały się szczegóły dotyczące wyglądu zmarłego: wzrost, waga, budowa ciała, kolor włosów i inne cechy fizyczne.

Następnie autor raportu przechodził do rzeczy, przedstawiając wyniki autopsji. Przyznam, że niełatwo mi było przez to przebrnąć. Szczerze mówiąc, jedynie przebiegłam wzrokiem dokument, zachowując bezpieczną odległość od ekranu i zatrzymując się tylko przy niektórych punktach.

Na szyi widnieją wyraźne krwiaki. Paznokcie palców obu rąk są połamane [...] Wybroczyny (popękane naczynka krwionośne) na gałkach ocznych świadczą jednoznacznie o uduszeniu lub zadławieniu [...] Nie stwierdzono obrażeń ani pęknięć w obrębie czaszki i innych części ciała [...] Badanie organów wewnętrznych ujawniło przerwanie tkanki chrzęstnej u podstawy szyi [...] Brak resztek pokarmowych w jelitach [...]

Była również mowa o zapaleniu gałek ocznych, o kolorze i grubości języka, ale tę część pominęłam.

Do dokumentu dołączono wyniki analizy krwi, moczu i DNA oraz opis

i wyniki pomiaru wagi organów wewnętrznych.

No i oczywiście orzeczenie wydane przez lekarza sądowego.

Przybliżony czas zgonu: 5.45 rano.

Uduszenie przez zadzierzgnięcie. Zaciśnięcie na szyi pętli przymocowanej do punktu stałego, spowodowane ciężarem ciała. Etiologia: samobójstwo. Klasyfikacja: niepełna (część ciała mogła pozostawać w kontakcie z podłogą). Położenie węzła: tylne. Anoksemia z powodu ucisku na drogi oddechowe.

Dalej było najgorsze: zdjęcia. Nie spodziewałam się ich.

Szybko zjechałam kursorem w dół, ale nie uniknęłam widoku dokładnych ujęć nieruchomej twarzy, wybałuszonych oczu, zsiniałej, obrzmiałej szyi, odkrytych dłoni z połamanymi, zakrwawionymi paznokciami...

– Słynna Ana Tramel we własnej osobie – przerwał mi czyjś głos, wrywając mnie z zamyślenia i w pewnym sensie ratując przed czarnymi myślami, które naszły mnie na widok tych zdjęć.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam przed sobą faceta przy kości, niemal łysego, wciśniętego w szary skórzany strój motocyklisty z ochraniaczami. Miał rękawice, w rękę kask z wymalowanymi skrzydłami. Zamknęłam aplikację w telefonie i skupiłam całą uwagę na człowieku, który spoglądał na mnie z niezbyt przyjazną miną.

– Sebastian Kowalczyk, jak przypuszczam. Miło mi – przywitałam się, wyciągając rękę.

– Mnie również – odparł, ściskając moją rękę spoconą dłonią. – Będę z panią szczerzy: pracuję do późna, dziś jest mój jedyny wolny dzień. Nie będę tracił z panią czasu, przykro mi, za chwilę muszę wyjechać z chłopakami na tor.

– Oczywiście. Mam tylko kilka pytań odnośnie do pańskich relacji z Alejandrem.

– Już powiedziałem to pani sekretarce, ale powtórzę: nie jestem po pani stronie.

– Słucham?

– Pracuję dla kasyna. Ono mnie żywi. Jeśli będę musiał zeznawać, zeznam na korzyść firmy, powiem, co będą chcieli, zafałszuję rzeczywistość, przekręcę fakty, wszystko mi jedno.

Niezły początek. Widocznie więzy krwi nie znaczyły dla Sebastiana zbyt wiele. Byłam mu wdzięczna, że powiedział to jasno i oszczędził nam zabawy w ciuciubabkę. Moją uwagę zwrócił całkowity brak polskiego akcentu. Po codziennym obcowaniu z Heleną spodziewałam się czegoś zupełnie innego.

– Nie zabiorę panu dużo czasu – powiedziałam, nie rezygnując z przyjaznego tonu. – Może usiadzimy w jakimś spokojnym miejscu i wypijemy kawę?

– Nie, dziękuję, tu jest mi dobrze – odparł.

Staliśmy przed otwartymi drzwiami do hali, otoczeni miłośnikami motocrossu, którzy wchodzili i wychodzili przy akompaniamencie ryku silników.

– To bardzo męski świat, nie sądzi pan? – zapytałam. – Nie widzę tu żadnej kobiety.

Wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza. Ale oczywiście są też motocyklistki. Jeśli zostanie pani trochę dłużej, na pewno niejedną pani zobaczy.

– To ciekawe, bo tak samo jest z pokerem – odparłam. – Przy stołach prawie nie ma kobiet.

– Pani jest feministką? Żeby było jasne: nie jestem przeciwko feministkom. Za nimi też nie.

– Dobrze znał pan Alejandra Tramela, panie Sebastianie?

– Przychodził grać do kasyna. Podawałem mu karty, kiedy spotykaliśmy się przy stole, jak wszystkim. Czasami wygrywał i był dla mnie miły, kiedy indziej przegrywał i wtedy mi wymyślał, jak wszyscy.

– Pan mu przedstawił swoją siostrę Helenę.

– Została pani źle poinformowana. Sami poznali się w Kapeluszniku, no wie pani, w tym klubie za kasynem.

Na moment wytrącił mi broń z ręki.

– To nie pan ich sobie przedstawił?

– Powiedziałem już, że nie. Będę z panią szczerzy: Helena jest moją siostrą, ale prawie jej nie znam. Któregoś dnia zjawiała się w moim domu, chociaż od wielu lat nie miałem od niej żadnych wiadomości. Przyjechała z Poznania, naszego rodzinnego miasta. Nie miała gdzie się podziać, nawet nie znała hiszpańskiego. Ja tylko przedstawiłem jej kilka osób, żeby mogła się jakoś urządzić. Nic poza tym.

Braterska miłość w czystej postaci.

– Alejandro był pańskim przyjacielem?

– Nie mam przyjaciół. To moja polityka: żadnych przyjaciół, żadnej rodziny, mniej kłopotów. Alejandro potrafił się bawić, kiedy był w dobrym humorze. Rozśmieszał mnie, parę razy poszliśmy wieczorem na drinka, to wszystko. Potem wdał się w romans z moją siostrą, uznałem, że lepiej będzie zejść im z drogi. Wie pani, dwie osoby to dobrane towarzystwo, trzy to już tłum.

– Wiadomo panu, czy ktoś z kasyna nękał Alejandra albo groził mu, żeby go nakłonić do gry?

– Ludzie z kasyna, których znam, to święci czuwający nad komfortem swoich klientów – odparł bez zastanowienia. – Nic mi o tym nie wiadomo, nie mam pojęcia.

– Dlaczego nie chce pan współpracować? – nalegałam. – Musi pan tylko powiedzieć prawdę.

– To kolejne przereklamowane pojęcie. Już trzecie w czasie naszej rozmowy: przyjaźń, rodzina i prawda. Cóż, spodziewałem się po pani więcej. Pani brat mówił, że jest pani geniuszem. Dużo o pani opowiadał. Mam na myśli te nieliczne okazje, kiedy rozmawialiśmy prywatnie. Nawiasem mówiąc, nie widziałem pani na pogrzebie. Szkoda, na pewno by tego chciał. Był sentymentalny.

– Przepraszam, że zapytam wprost. Był pan z Alejandrem Tramelem tej nocy, kiedy zginął Menéndez Pons. Zapamiętał pan coś z tamtej partii, jakiś znaczący szczegół?

– Powiedziałem już wszystko Gwardii Cywilnej. Proszę ich zapytać, przeczytać raporty, tam są odpowiedzi. Nie powiem pani niczego więcej.

– W protokole jest informacja, że tamtej nocy pan i Alejandro pokłóciliście się przy stole.

– Nie pokłóciliśmy się, po prostu szukał ze mną zwady. Gracze często wyzywają się na krupierze, kiedy nie idzie im karta.

– Menéndez Pons naciskał na Alejandra tamtego wieczoru?

– Nie wiem.

– A kiedy indziej? Widział pan, jak nagabuje Alejandra w kasynie albo poza nim?

– Mówi się, że upór to cnota. Ale ze mną się pani nie uda. Powiedziałem już i powtórzę: jestem po stronie kasyna, nie pomogę pani, choćby nie wiem jak pani naciskała.

– Mogę pana wezwać do złożenia zeznań jako świadka wrogo nastawionego do powołującej go strony.

Najwyraźniej go to rozśmieszyło.

– Bardzo wątpię, żeby chciała mnie pani zobaczyć w stanie wrogiego nastawienia, pani Tramel.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem.

Coś ukrywał. Oboje to wiedzieliśmy.

Nie miałam nic do stracenia, spróbowałam zablefować.

– Ile pieniędzy pożyczył pan Alejandrowi Tramelowi?

– Co?

– Ile dał pan Alejandrowi, żeby mógł dalej grać? Ile tego było?

Pokręcił głową, nawet lekko przygryzł wargę. Myślę, że miał ochotę przyłożyć mi kaskiem. Na dobrą sprawę to, że tak go zdenerwowałam, nie było dla mnie niekorzystne.

– Wiedział pan, że Alejandro próbował zerwać z hazardem? Wiedział pan, że był chory?

– Posłuchaj, cwaniaro – powiedział. – Wszyscy hazardziści świata próbują z tym zerwać. Wszyscy. Alejandro był tylko jednym z wielu. Ani bardziej inteligentnym, ani bardziej wrażliwym, ani bardziej nieszczęśliwym niż którykolwiek inny. Był dużym chłopcem. Wiedział, co robi. A ja tylko

wykonywałem swoją pracę. Czego pani ode mnie chce?

– Żeby mi pan opowiedział wszystko, co wie.

– Niech pani idzie do diabła! – wybuchnął.

Odwrócił się, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

W gruncie rzeczy jego gniew nie różnił się wcale tak bardzo od mojego. Musiałam tylko znaleźć sposób, żeby mu to uświadomić. Inaczej mówiąc: musiałam dopóty na niego naciskać, dopóki nie stanie po naszej stronie. Albo dopóki nie wybuchnie. W obu wypadkach mogliśmy coś zyskać.

Czasami na tym właśnie polega praca adwokata.

Bywa naprawdę czymś obrzydliwym.

Przypominałam sobie, że gram po stronie tych dobrych. Od czasu do czasu musiałam to sobie przypominać. Łatwo było o tym zapomnieć.

Zielony plakat na ścianie przedstawiał ruletkę w znaku zakazu i wydrukowane wielkimi literami hasło: „POSTAW NA ŻYCIE”.

Nie czułam się tu komfortowo, chociaż początkowo nie umiałam tego wyjaśnić. To miejsce przypominało siłownię.

– Dużo też ćwiczymy – wyjaśnił mój rozmówca, jakby czytał w moich myślach. – To ważne dla terapii.

– Wspaniale – powiedziałam bez entuzjazmu.

Jakaś część mojego mózgu wyłącza się, kiedy rozmowa schodzi na pewne tematy, takie jak pogoda, wskaźniki giełdowe czy sport. Nie interesują mnie, nie docierają do mnie, nie słucham ich. To niezależne ode mnie, mój mózg sam podejmuje decyzję.

– Tutaj ma pani program na najbliższy kwartał – powiedziała towarzysząca mu kobieta. – Jest w nim oferta zajęć otwartych. Może pani zajrzeć któregoś dnia, żeby lepiej nas poznać, wystarczy zadzwonić i się zapisać.

Podawała mi ulotkę. Na pierwszej stronie widniało to samo hasło co na ścianie: „Postaw na życie”. Popatrzyłam na jej kręcone włosy, do ramion, i szczery uśmiech. Nie była specjalnie wymalowana, ale sprawiała wrażenie schludnej i sympatycznej. Wzięłam od niej ulotkę. W tym czasie mężczyzna, który kierował ośrodkiem, związał włosy w kucyk czarną frotką. Oboje wyglądali na osoby prowadzące zdrowy tryb życia, może nawet byli parą i mieli gromadkę dzieci z długimi kręconymi włosami i rumianymi buźkami.

– Jesteście państwo psychologami klinicznymi? – zapytałam.

– I tak, i nie – odpowiedział on. – Ja na przykład mam dyplom psychologa i uprawnienia do wykonywania zawodu. Od dawna jednak tego nie robię. Skupiam się na, że tak powiem, podtrzymywaniu ducha stowarzyszenia.

– Mamy bardzo dobrych psychologów z dużym doświadczeniem. To oni

prowadzą terapię – dodała ona. – Ja jestem wicedyrektorką ośrodka i koordynatorką warsztatów grupowych. Aha, prowadzę też zajęcia z jogi. Nawet nie potrafi sobie pani wyobrazić, jak bardzo joga może pomóc naszym pacjentom.

Potrafiłam. Rozejrzałam się i wyobraziłam sobie ogromną pustą salę, w której się znajdowaliśmy, wypełnioną mężczyznami i kobietami ćwiczącymi powitanie słońca, oddającymi się medytacji i dziękującymi Patańdziali, twórcy jogi. No dobrze, przyznaję, byłam kiedyś joginką, dawno temu. Zaraz po studiach poznałam niesamowitego gościa, Danila, który wprowadził mnie w tajniki „tu i teraz”. Nigdy wcześniej ani nigdy później z żadnym partnerem nie przetestowałam tylu różnych łóżkowych pozycji. Było to bardzo pouczające doświadczenie i miło je wspominam, choć na pewno z innych powodów niż te, o których mówiła kobieta.

Postanowiłam skoncentrować się na mężczyźnie, którego miałam przed sobą. Uznałam, że od niego wyciągnę więcej informacji.

– Żona Alejandra przekazała nam, że był pan psychologiem jej męża – powiedziałam, patrząc mu w oczy.

– Byłem jego łącznikiem ze światem zewnętrznym, nic poza tym.

– Światem zewnętrznym?

– Niełatwo to zrozumieć, ale kiedy hazardzista znajduje się w ostrej fazie choroby, jak Alejandro, żyje wewnątrz bańki: gra czy nie gra, myśli wyłącznie o grze, to jego jedyny cel, nie jest zdolny dostrzec niczego więcej. Nie wiem, czy mnie pani rozumie. To tak, jakby żył w zamkniętym, nierealnym świecie i nawet nie brał pod uwagę jego opuszczenia. My przypominamy hazardzistom, że istnieje inne życie, że jest mnóstwo świetnych zajęć, które nie mają związku z grą. To właśnie nazywamy światem zewnętrznym.

Mężczyzna emanował stoickim spokojem. Nie podobały mi się jego obcisłe spodnie, ale ton jego głosu był, owszem, naturalny. Nie było w tym człowieku krztyny sztuczności, nie starał mi się przypodobać; robił i mówił to, co uważał za stosowne, ot tak, po prostu, a to rzadkość. Gabriel Brandariz był dyrektorem Almy, madryckiego Stowarzyszenia Osób Uzależnionych od Hazardu, w którym szukał pomocy mój brat. Znajdowaliśmy się w siedzibie instytucji, olbrzymiej hali niedaleko stacji metra Campo de las Naciones.

Gabriel i jego towarzyszka, Lorena, oprowadzili mnie po salach, pracowniach i biurach, poczęstowali szklanką domowej lemoniady i zaproponowali, żebyśmy na chwilę usiedli i porozmawiali, wskazując drewniane składane krzesła stojące w świetlicy, którą Gabriel nazwał „ogrodem rekreacyjnym”, chociaż w zasięgu wzroku nie było żadnego ogrodu. Zauważyłam, że lubują się tu w metaforach.

– Mają państwo dużo pacjentów?

– Bardzo dużo – odpowiedział Gabriel. – Według najnowszych badań od dwóch do trzech procent mieszkańców Hiszpanii cierpi na jakieś zaburzenie związane z uzależnieniem od hazardu. Jeżeli pani policzy, wychodzi ponad milion nałogowych hazardzistów o różnym stopniu uzależnienia.

– To rzeczywiście dużo – przyznałam mu rację zamyślona. – Zapytam z czystej ciekawości: wśród pacjentów jest tyle samo kobiet co mężczyzn?

– Około sześćdziesięciu procent członków stowarzyszenia stanowią mężczyźni – powiedziała Lorena. – Jednak to nie oznacza, że kobiety rzadziej grają na pieniądze. Po prostu trudniej im się przyznać, że mają problem z hazardem. W przypadku kobiet nałogowy hazard wygląda nieco inaczej: zazwyczaj stawiają mniejsze sumy i wybierają gry o mniej grupowym charakterze jak bingo czy automaty. Mężczyźni wolą zakłady bukmacherskie, pokera i inne gry w karty. Paradoksalnie szacuje się, że hazard uprawia więcej kobiet niż mężczyzn, ale nie dotyczy to ludzi młodych i nastolatków. Tutaj w ostatnich latach panowie biją panie na głowę, zwłaszcza z powodu gier online. Jeżeli to panią interesuje, dysponujemy licznymi statystykami i badaniami na ten temat.

– Tak, chętnie bym je przejrzała, jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu – powiedziałam, pochylając się do przodu. – Przypuszczam, że istnieje wiele powodów i nie można udzielić jednoznacznej odpowiedzi, ale dlaczego ludzie grają? Co ich do tego pcha?

– Rzeczywiście istnieje wiele powodów – odpowiedział tym razem Gabriel. Nawet sposób, w jaki zmieniali się podczas rozmowy, harmonijnie, nie przerywając jedno drugiemu, wskazywał, że królują tutaj spokój i zgoda. – Można powiedzieć, że jest to forma ucieczki od problemów osobistych, jak samotność, niepowodzenia w pracy czy w życiu uczuciowym, albo że ludziom brakuje po prostu innych bodźców. Często kojarzy się uzależnienie

od hazardu z patologiami w rodzinie, jak alkoholizm czy narkomania, albo po prostu z brakiem stabilnego otoczenia; ale jeśli mam być szczery, nie do końca się z tym zgadzam. Tak naprawdę każde wydarzenie może sprawić, że zaczniemy grać: utrata pracy, rozwód, śmierć bliskiej osoby, a nawet traumatyczna przeprowadzka. Zdziwiłoby panią, ile spośród osób, które do nas przychodzą i które wcześniej nie miały styczności z tym światem, zaczęło grać z na pozór błahego powodu. Oczywiście niektórzy mają większe predyspozycje do każdego rodzaju uzależnień, są bardziej skłonni do rywalizacji (pod tym względem prym wiodą mężczyźni), trudniej im stawić czoło nastrojom dysforycznym.

– Słucham?

– Mam na myśli smutek, przygnębienie, rozdrażnienie czy nawet depresję. Nieumiejętność radzenia sobie z tymi uczuciami często może doprowadzić do uzależnienia od hazardu.

– Wcześniej wspomniał pan, że macie również nastoletnich pacjentów...

– To smutna i bardzo niepokojąca tendencja. Hiszpańskie ustawodawstwo zmieniło się znacznie w ciągu ostatnich lat, zwłaszcza jeśli chodzi o gry online, zakłady bukmacherskie na żywo czy przyzwolenie na reklamowanie hazardu. Doprowadziło to do powstania całkiem nowego zjawiska: osoby niepełnoletnie grają teraz na pieniądze – albo za pośrednictwem kolegów, którzy skończyli już osiemnaście lat, albo w lokalach, gdzie przymyka się na to oko. Instytucje odwracają wzrok z bardzo prostego powodu: dzięki tym firmom do państwowego skarbcza trafiają olbrzymie sumy pieniędzy, stały się na przykład głównym reklamodawcą, prześcigając tradycyjne sektory, takie jak samochody czy napoje. To niemoralne, ale całkowicie legalne, zarówno w telewizji, jak i w radiu czy internecie: każdy, niezależnie od wieku, jest bombardowany reklamami zachęcającymi do hazardu. Najprzystojniejsi sportowcy i aktorzy użyczają swoich twarzy w tych kampaniach, drużyny piłkarskie są sponsorowane przez dostawców gier. Bardzo trudno uciec z tego kręgu. Zależy to w dużej mierze od wieku i stanu psychiki danej osoby.

Od tego, co opowiadał, włos jeżył się na głowie. Musiałam jednak przejść do konkretów.

– Kiedy poznali państwo Alejandra?

– Osiemnastego czerwca tego roku – odpowiedział Gabriel, jakby ta data była dla niego ważna. – Nigdy tego nie zapomnę. Osiemnastego czerwca.

– Przyproceedził go i zachęcił inny pacjent, który znał nas z zajęć. Zwykle tak bywa – dodała Lorena.

– Może mi pani podać nazwisko tego pacjenta?

Nie przypominałam sobie, żeby figurował w naszym dossier. Także Helena nic o nim nie wspominała.

Gabriel i Lorena wymienili spojrzenia, po czym udzielili mi ostrożnej odpowiedzi, jakbym wkraczała na grząski grunt.

– Przykro mi, na pewno pani rozumie, że dane członków stowarzyszenia są całkowicie poufne – odparł w końcu Gabriel. – Łączy nas święta, nierozzerwalna więź, tak jak adwokata z klientem.

– Ta wcale nie jest znowu taka święta – sprecyzowałam z uśmiechem, starając się zbagatelizować ich odmowę. – W takim razie wróćmy do Alejandra. Ile razy przyszedł do ośrodka po osiemnastym czerwca?

Gabriel poruszył się na krześle.

– Nie możemy ujawniać danych członków Almy, są poufne.

– Ludzie, którzy tu przychodzą, wierzą w naszą pełną dyskrecję – dodała Lorena. – To ważna część pracy, którą wykonuje stowarzyszenie.

Tego się nie spodziewałam.

Czym innym była powściągliwość Sebastiana – w końcu bał się o posadę. Teraz jednak sądziłam, że znajduję się na terytorium sojusznika. Może z początku nie przedstawiłam właściwie swojej sprawy.

– Alejandro nie żyje, a ja jestem jego adwokatem, ale też jego siostrą. Przyszłam tutaj, żeby pomóc Alejandrowi, jego żonie, ich synowi. Dzięki państwu członek stowarzyszenia może mieć szansę na sprawiedliwość.

– O ile dobrze mi wiadomo, nie jest pani adwokatem Alejandra. Przestała nim pani być po jego śmierci, teraz reprezentuje pani interesy wdowy, Heleny Kowalczyk, a to – z całym szacunkiem – nie to samo.

– Proszę posłuchać, sprawa jest bardzo delikatna – zauważyła Lorena. – Nie było pani przy Alejandrze, kiedy potrzebował pomocy. Absolutnie tego pani nie wypominam, na pewno miała pani swoje powody, nie mnie panią

osądzać. Teraz przychodzi tu pani po to, żeby odkryć, co naprawdę spotkało pani brata. Przychodzi pani dlatego, że kasyno żąda od Heleny astronomicznej sumy. To są dwie różne rzeczy. Prosi nas pani, żebyśmy zawiedli zaufanie, jakim obdarzyli nas ludzie, i robi to jako adwokat w sprawie o odzyskanie długu, która – bardzo mi przykro – nie ma nic wspólnego z naszym stowarzyszeniem. Spodziewaliśmy się, że coś takiego niestety może się wydarzyć. Jesteśmy zmuszeni odesłać panią do oficjalnych informacji stowarzyszenia, z którymi może się pani zapoznać na naszej stronie internetowej.

Pomyślałam, że skoro ta kobieta zaostrzyła ton, może ja też powinnam.

– Mogę wniesić o wydanie sądowego nakazu, który umożliwi mi wgląd w kartotekę i przesłuchanie wszystkich psychologów i członków stowarzyszenia. Mogę przysłać do państwa mój zespół i bardzo utrudnić państwu życie.

– Oczywiście, że pani może – odparła Lorena wyzywająco. – Proszę to zrobić. Pewnie zajmie to pani trochę czasu, nasi adwokaci złożą odwołanie. Jednak ma pani rację: jeżeli zdobędzie pani nakaz sądowy, udostępniemy kartoteki. Lubimy postępować zgodnie z prawem. Ale gdybyśmy się zgodzili złamać prawo do prywatności jednego z naszych pacjentów? Stracilibyśmy wiarygodność. Jak już powiedziałam, dyskrecja jest jedną z głównych wartości stowarzyszenia.

Zaczynałam tracić nadzieję. To przypominało walenie głową w mur. Teraz, kiedy sprawy potoczyły się w mniej miłym kierunku, Lorena przejęła ster rozmowy. Postanowiłam zwrócić się ponownie do Gabriela. Czułam, że łączyła go z Alejandrem większa zażyłość.

– Dlaczego nie chce mi pan pomóc? Pan akurat z bliska obserwował piekło, jakie przechodził Alejandro. Wie pan, że pozew wniesiony przez kasyno przeciwko wdowie jest niemoralny.

– Ja nie osądzam ludzi, przykro mi; nie mogę sobie na to pozwolić. Nie chcę wyjść na obłudnika, choć na pewno właśnie tak pani o nas myśli, jeśli nie gorzej. Jestem niemal pewien, że chce pani zrobić coś dobrego, ale nie skłoni mnie pani swoimi argumentami do tego, bym naruszył zasadę poufności i postąpił wbrew własnym przekonaniom.

– W odróżnieniu od prawników my nie uważamy, że cel uświęca środki,

pani Tramel. – Lorena próbowała z przekonaniem bronić dyrektora stowarzyszenia.

– Doskonale. – Westchnęłam głęboko. – Nie ma sensu, żebyśmy się dłużej spierali. Proszę powiedzieć mi tylko jedno, obiecuję, że nie będę się więcej naprzykrzać. Wiecie państwo, czy kasyno groziło Alejandrowi albo naciskało na niego, żeby dalej grał?

Chudy jak patyk mężczyzna spojrział na mnie z uwagą. Lorena z kolei spojrzała na niego. W tym równoramiennym trójkącie spojrzeń doszło do dziwnej, milczącej wymiany energii, przerwanej przez spokojne, wyważone słowa Gabriela.

– Przypomina mi pani bardzo swojego brata – powiedział. – Wielokrotnie siadał właśnie na tym krześle. Był dobrym, wartościowym człowiekiem, emanował zaraźliwą wesołością. Ale cierpiał. Bardzo. Nie potrafił wytrzymać sam ze sobą choćby minuty, nie mógł zaznać spokoju. Miała pani kiedykolwiek jakiś nałóg? Ja tak. Okradałem rodzinę, żeby grać, okłamywałem osoby, które najbardziej kochałem, zrujnowałem sobie życie, poniżałem się, przekraczając granicę ludzkiej godności za kilka żetonów do kasyna. Wie pani, o czym mówię?

Prawił mi kazanie o nałogach. Tylko tego mi brakowało.

Przez dłuższą chwilę on i Lorena opowiadali mi o własnych doświadczeniach, o tym, co znaczy być odrzuconym przez społeczeństwo, kiedy wszyscy z twojego otoczenia, znajomi z pracy i koledzy zamykają przed tobą drzwi. Wysłuchałam ich z uwagą. Łudziłam się, że ich słowa mnie nie poruszą, że ten dyskomfort, który mną zawładnął, jest spowodowany wyłącznie tym, że nie chcą dać mi tego, po co przyszłam. To było jednak coś więcej. Mimo chronicznego sceptycyzmu, pozornych kpin z ich stylu bycia, mimo że zasłaniałam się cynizmem, by nie musieć stawiać czoła niektórym kwestiom (zamierzałam dalej to robić), poruszyli we mnie jakąś nieznaną strunę. Coś we mnie uwolnili. Wprawdzie nie czułam się jeszcze najlepiej, byłam w okresie przejściowym, okresie – tak to nazwijmy – powrotu do zdrowia, ale nie dopuszczałam do siebie myśli, że mogłabym mieć teraz kolejny napad lęku.

Wrócił ucisk w piersi. Jak zawsze bez uprzedzenia. Nie chciałam dostać ataku paniki przy tych ludziach. Wstałam i nieporadnie podałam każdemu po

wizytówce. Chyba pierwszy raz wręczałam komuś wizytówkę Tramel i Wspólnicy.

– Jeżeli zmienią państwo zdanie i uznają, że mogą dostarczyć mi jakichś przydatnych informacji o Alejandrze, będę niezmiernie wdzięczna – powiedziałam z trudem. – Muszę już iść, proszę mi wybaczyć, mam coś pilnego do załatwienia.

Nie zaczekałam, aż się pożegnają czy odprowadzą mnie do drzwi, nie mogłam wytrzymać ani sekundy dłużej. Musieli coś zauważyć, ale żadne o nic nie zapytało. W końcu byli dyskretni. Dali mi to jasno do zrozumienia.

Odeszłam, najszybciej jak potrafiłam, powstrzymując się, żeby stamtąd nie wybiec. Nie oglądając się za siebie. Czując rosnący ucisk w piersi.

Kiedy opuściłam halę, ogarnęły mnie straszliwe wątpliwości. Chociaż z trudem oddychałam, musiałam je rozwiązać. Nie mogłam czekać. Nie zatrzymując się, wybrałam numer Gerarda. Zajęte. Przeszłam kilka metrów, nie chciałam stawać. Zadzwoiłam jeszcze raz. Znowu zajęte. Myślę, że puściłam się biegiem, że przystanęłam, żeby złapać oddech, że znowu kawałek podbiegłam i szybko znalazłam się przy samochodzie. Choć tak naprawdę nie wiem, ile zajęło mi przejście przez parking. Podczas ataków traciłam poczucie czasu. Zobaczyłam w głębi dużo zaparkowanych rowerów, wyobraziłam sobie, jak Gabriel i spółka przemierzają się na nich po mieście.

Zawroty głowy i ucisk w piersi narastały. Poczułam, że pulsują mi skronie, wali serce, brakuje powietrza.

Wybrałam numer biura.

Po dwóch sygnałach rozległ się głos Rondy:

– Tramel i Wspólnicy, w czym mogę pomóc?

– Rondo, posłuchaj, powiedz mi, proszę, jedną rzecz: czy któryś ze świadków z listy potwierdził wprost, że kasyno groziło Alejandrowi i zmuszało go do grania?

– Dobrze się czujesz, Ano?

– Znakomicie. Odpowiedz tylko na moje pytanie: mamy jakieś potwierdzenie?

Usłyszałam, jak Ronda przerzuca papiery, może stuka w klawisze

komputera, słyszałam, jak oddycha, próbowałam zsynchronizować z nią własny oddech, bezskutecznie, powietrze gwałtownie wpadało do moich płuc i gwałtownie je opuszczało, jak u znarowionego konia, nie potrafiłam nad tym zapanować. Oparłam się o dach mazdy. Ten samochód był przyjazną przestrzenią. Jeżeli będę trzymać się blisko niego, nic się nie stanie.

– Jesteś tam, Rondo?

– Tak, tak, wybacz... po prostu nie jestem pewna... Wiem, że kilku świadków potwierdziło, że Alejandro miał problem z hazardem, może nawet to, że grał nałogowo... ale to drugie... chyba nie, ale to jeszcze bardzo wczesny etap, działamy dopiero od półtora tygodnia, sama nie wiem. Zapytam Gerarda, kiedy wróci, poszedł z kimś porozmawiać, to on ma wszystkie informacje.

– Żadnego?

Chwila milczenia, a potem tylko jedno słowo w odpowiedzi:

– Nie.

Czułam, że zaraz zemdleję. Jak mogłam być taka ślepa?

Nie mieliśmy niczego.

Kompletnie niczego.

Żadnego bezpośredniego świadka.

Nawet informator Sofii jakby się zapadł.

Wypuściłam komórkę, torebka upadła na ziemię.

Musiałam pilnie skontaktować się z Ariasem. Zaproponować mu nową ugodę. Jeżeli się postaram, może się udać. Jestem dobra w negocjacjach. Jestem Aną Tramel. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będę go błagać. Zaszantażuję go. Zrobię cokolwiek. Potem przeproszę Sofię, Gerarda, Rondę, Helenę, wszystkich. Pomyliłam się. Nie damy rady: nikt nie będzie zeznawał przeciwko kasynu. Nikt ich nie oskarży. Nikt nie potwierdzi wprost grózb, nawet jeśli przyjmimy, że o nich wiedział. Przecież rozmowy odbywały się między kierownictwem kasyna a moim bratem, bez świadków. Nikt nam nie pomoże. To przekonanie stopniowo we mnie narastało, ale starałam się nie stracić nad sobą kontroli.

Musiałam oddychać.

Ucisk w piersi stał się nie do zniesienia.

Zrozumiałam wyraźnie, że poniosłam porażkę.

Miałam ochotę krzyczeć, płakać, ale nie potrafiłam. Stałam jak sparaliżowana, wystraszona. Jak mogłam się w coś takiego wpakować?

Nie wiedziałam, czy to stan lękowy, atak paniki czy obie te rzeczy naraz.

Zobaczyłam w myślach Helenę, na zawsze rujnąjącą sobie życie.

Zobaczyłam także twarzyczkę Martina, zdezorientowanego, pytającego mnie wzrokiem, co teraz.

Wreszcie zobaczyłam mojego brata, jak wisi w celi i próbuje uwolnić się od paska, który sam zacisnął sobie wokół szyi, usłyszałam, jak skóra trze o ciało.

Ból się wzmacniał, czułam, że brakuje mi powietrza. Pomyślałam, że stracę przytomność, że zwalę się na ziemię przy samochodzie. Z jakiegoś dziwnego powodu ta perspektywa mnie uspokoiła. To tak, jakbym była na łodzi ratunkowej pośród sztormu: jeżeli jedna z fal pochłonie mnie na zawsze, będę mogła przestać walczyć, będę mogła odpocząć, dać się ponieść.

Przyłożyłam do żeber dwa złączone palce i mocno je ucisnęłam, tak jak mnie uczono. Przywołałam w myślach obraz pielęgniarki, którą pamiętałam jak przez mgłę, pokazującej mi, jak najlepiej to zrobić. To było wiele lat temu, podczas jednego z pierwszych nawrotów, na oddziale ratunkowym kliniki San Antonio.

Spróbowałam oczyścić umysł z myśli.

Sto jeden, sto dwa, sto trzy, sto cztery...

Byłam tylko ja, nie istniało nic więcej, ani przeszłość, ani przyszłość.

Poczułam, jak stopniowo dociera do mnie powietrze.

Trzeba oddychać przez nos.

Powoli wdychać i wydychać powietrze, nic na siłę.

To jedno z najprzyjemniejszych wrażeń w życiu. Powietrze dostające się po prostu do twoich płuc.

Ucisk nie zniknął, ale przynajmniej przestał się wzmacniać, a to już dużo. Przeanalizowałam stan swojego ciała, bez pośpiechu badając w myślach każdą jego część, od stóp (które stały twardo zakotwiczone na ziemi – przez

podeszwy czułam żwir) po czubek głowy, poprzez tak kluczowe strefy jak żołądek, klatka piersiowa i gardło.

Wiedziałam, że nie zemdleję. Alarm odwołany.

Kolejny raz wciągnęłam powietrze, głęboko i powoli.

Nie wiem, jakie zdanie miałby na ten temat Sebastian Kowalczyk, ale według mnie oddychanie wcale nie jest przereklamowane.

Obiecałam sobie, że do końca życia codziennie będę poświęcać kilka minut na gloryfikację własnego oddechu.

– Wstawaj.

– He?

– Teraz chodzisz spać o dziewiątej? Co ty jesteś, kura?

Uchyliłam powieki i dostrzegłam znajomą twarz: Concha.

– Uhm – odpowiedziałam.

Miała rację, było jeszcze za wcześnie na pójście do łóżka. Odkąd zaczęliśmy przygotowywać pozew, kładłam się spać około wpół do jedenastej. Miałam jednak za sobą wyczerpujący dzień.

Kiedy już doszłam do siebie po tym, co przytrafiło mi się po opuszczeniu siedziby stowarzyszenia do walki z uzależnieniem od hazardu, spróbowałam umówić się na spotkanie z Barver & Ambrosía. Wydzwaniałam przez całe popołudnie, w końcu udało mi się złapać Ariasa, który bez większego przekonania przeprosił, że nie odbierał, bardzo mu przykro, ale polecono mu, by się ze mną nie spotykał, zobaczymy się dopiero w sądzie, przepuściłam okazję, żadna ugoda nie wchodzi już w grę, pójdą na całość, to ma być proces pokazowy. Nie zgodził się nawet na nieformalne spotkanie w celu uzgodnienia terminów.

Tak naprawdę nie chciałam uzgadniać żadnych terminów, chciałam stanąć z nim twarzą w twarz i zaproponować uczciwe porozumienie, na przykład ponowne rozważenie oferty, którą wcześniej mi złożył. Nie dał mi jednak takiej możliwości. Powtórzył, że jego klient nie jest już zainteresowany żadnego rodzaju ugodą. Straciłam szansę. Życzył mi miłego dnia i się rozłączył.

Potem dokładnie przejrzałam z Gerardem i Rondą zeznania wszystkich świadków, każde słowo, każde zdanie, a nawet to, czego nie powiedzieli, a co można było wywnioskować z ich odpowiedzi. Moje podejrzenia okazały się uzasadnione: mnóstwo ciepłych słów pod adresem Alejandra, całe potoki

empatii i solidarności, ale żadnego potwierdzenia, że kasyno groziło mojemu bratu, zastraszało go czy nakłaniało, by dalej grał. Sytuacja malowała się w tak ciemnych barwach, że nie potrafiłam ukryć prawdy przed moimi młodymi współnikami: pozew był nie do utrzymania. Mieliśmy jedynie zeznania samej Heleny, która zresztą też nie słyszała pogrózek bezpośrednio z ust nikogo z dyrekcji kasyna; wiedziała o nich z opowieści męża. Nie chodziło o to, że konstrukcja się chwiała. Po prostu nie było żadnej konstrukcji. Musiałam wymyślić coś zupełnie innego. Nie mieliśmy punktu zaczepienia do planu A ani do planu B. Mieliśmy tylko balon wypełniony moim pragnieniem zemsty. Albo odkupienia, nie byłam do końca pewna. Nic takiego nie przytrafiłoby mi się dawniej, nigdy nie poszłabym za samym instynktem. Zachowałam się jak amatorka; jeśli się nad tym dobrze zastanowić, rzeczywiście nią byłam. Prawniczka, która wypadła z obiegu na pięć lat i uwierzyła, że może wrócić na scenę, żeby dać nauczkę gigantycznej korporacji, że może pokonać najlepszą kancelarię adwokacką w kraju. Oni na pewno zabezpieczyli się na wszystkie ewentualności, wzięli pod uwagę wszystkie scenariusze, nie umknął im żaden szczegół.

Byłam tak wyczerpana, że tuż przed dziewiątą rzuciłam się na łóżko, nie po to, żeby spać, ale żeby jeszcze raz przejrzeć raporty z zatrzymania i samobójstwa Alego oraz notatki Sofii. Nie dawała mi spokoju jedna myśl. Kiedy dokładnie mój brat postanowił odebrać sobie życie? Musiał to być splot okoliczności, byłam jednak przekonana, że kluczowe dla sprawy będzie odkrycie, co stało się ostatecznym detonatorem. Gdybym miała bronić kasyna, utrzymywałabym, że przyczyną było morderstwo, które oskarżony popełnił kilka godzin wcześniej, wyrzuty sumienia, horror, jakim jest odebranie życia drugiemu człowiekowi, nieznośnie przeświadczenie, że nie ma dla niego żadnej ucieczki, że czeka go co najmniej dwadzieścia lat więzienia. Uważałam, że z całą pewnością na tym będzie polegała linia obrony. Jednak nie sądziłam, że właśnie tak stało się w przypadku Alego. Widziałam go po dokonaniu zbrodni, rozmawiałam z nim i chociaż nie wyglądał najlepiej, nie wydawał się załamany. Przeciwnie, odniosłam wrażenie, że jest przekonany, iż postąpił słusznie. Potwierdziła to Helena, kiedy zjawiała się w moim gabinecie: „Ten łajdak zasługiwał na śmierć”, sama tak powiedziała, i najwyraźniej oboje byli w tej kwestii zgodni. Jeśli chodzi o karę, która czekała Alego, to faktycznie mógł się spodziewać kilku lat

pozbawienia wolności, ale nic nie było jeszcze przesądzone. Znałam go, nie poddałby się tak szybko. Musiało być coś jeszcze. Przyczyna leżała w jego problemach z hazardem, w jego gigantycznych długach, w jego beznadziejnej sytuacji i – niech będzie – w jego depresji. Ale co przepełniło czarę?

Trzeci raz uważnie przeczytałam policyjny raport, sprawdzając wszystkie adnotacje, godzina po godzinie. Zaprowadzono go do celi niedługo po rozmowie ze mną. Nie opuścił jej przed popełnieniem samobójstwa. Chociaż zatrzymanie było tymczasowe i nie odesłano go jeszcze do więzienia, jak to możliwe, że nie zabrano mu paska? Jak zostało udowodnione, był on potencjalnym narzędziem zbrodni. Będę musiała sprawdzić protokół postępowania Gwardii Cywilnej w takich przypadkach, dowiedzieć się, czy doszło do złamania zasad. Co, do diabła, mogło chodzić Alemu po głowie podczas tych samotnie spędzonych godzin? Przynieśli mu coś do jedzenia? Wychodził z celi, choćby tylko za potrzebą? Rozmawiał z kimś? W którym momencie i dlaczego postanowił się powiesić?

Te pytania bez odpowiedzi nie dawały mi spokoju. Niewykluczone, że za moją obsesją kryło się poczucie ewidentnej porażki, towarzyszące mi przez cały dzień przekonanie, że zabrnęłam w ślepy zaułek. Leżałam na łóżku, czytając i robiąc notatki. Nie chciałam się mierzyć ze spojrzeniem Heleny, kiedy jak co wieczór zapyta, jak minął mi dzień. Darowałam więc sobie rodzinną kolację i zostałam w pokoju z papierami. Planowałam poświęcić dwie, trzy godziny na ponowne studiowanie raportów i zeznań świadków, wałkowanie wszystkiego od początku i zadreęczanie się tym, co czeka mnie w najbliższych dniach. O dziwo, kiedy Concha weszła do pokoju, spałam głębokim snem, oderwana od rzeczywistości. Zasnęłam w ubraniu, z teczkami i notatnikami na brzuchu.

– Uhm – powtórzyłam. – Lubię kłaść się wcześniej i wstawać o świcie. Co tu robisz?

– Nudziłam się i postanowiłam odwiedzić koleżankę ze studiów, jest piątkowy wieczór, pomyślałam, że mogłybyśmy gdzieś wyskoczyć, porozmawiać. Zapraszam cię na drinka.

Uniosłam się na łokciu, próbując dojść do siebie.

– Po pierwsze, już nie piję. O tej porze możesz zaprosić mnie najwyżej na wodę gazowaną – powiedziałam. – A po drugie, jutro pracuję. W firmie

Tramel i Wspólnicy wprowadziliśmy nowy zwyczaj: w soboty pracujemy do piętnastej.

– Niezła nazwa, Tramel i Wspólnicy. Chociaż jeżeli chcesz znać moje zdanie, Tramel i Andújar brzmiałoby znacznie lepiej.

– Cóż za niespodzianka – mruknęłam. – Zgodziłabyś się, żeby moje nazwisko było pierwsze?

– Nawet o tym nie marz. Tylko tak powiedziałam.

Concha nadal stała przy łóżku. Odsunęłam teczkę i usiadłam, przeciągając się.

– Dlaczego nie odbierasz moich telefonów? – zapytałam.

– Miałam do załatwienia kilka spraw, Felipe zabrał dziewczynki i nie pozwala mi ich widywać.

– Jak to nie pozwala ci ich widywać? Nie ma prawa – zaprotestowałam.

– Sąd przyznał mu opiekę nad dziećmi do czasu rozprawy.

Coś mi tu nie pasowało. Niemal we wszystkich sprawach rozwodowych prawo do opieki nad nieletnimi dostaje matka, tym bardziej jeśli chodzi o środki tymczasowe albo prewencyjne. Concha coś przede mną ukrywała.

– Kiedy rozprawa?

– Na przyszły tydzień wyznaczono posiedzenie pojednawcze. Musiałam stanąć na głowie, żeby przyspieszyć. Chcę, żeby jak najszybciej było po wszystkim, nie mogę być rozdzielona z córkami.

– Kto prowadzi twoją sprawę?

– Ja sama – odparła zawstydzona. – Tak, wiem, to abecadło adwokata: nigdy nie prowadź własnej sprawy, ale nie chciałam, żeby ktokolwiek wtykał nos w moje prywatne życie.

Jej sytuacja nie wyglądała najlepiej. Moja przyjaciółka zasługiwała na porządną rozmowę.

– Trzymam cię za słowo: dam się zaprosić na tę butelkę wody gazowanej.

Dwadzieścia minut później siedziałyśmy z Conchą w pobliskim barze, nowoczesnym, względnie spokojnym lokalu urządzonym w stylu retro, z kuchnią otwartą bez przerwy. O tej porze bawiły tu głównie grupki trzydziestolatków świętujących początek weekendu.

Usiadłyśmy przy wysokim stoliku w kącie. Kiedy czekałyśmy na talerz minihamburgerów, gin z ginger ale i butelkę wody Vichy, Concha wyjaśniła, że otworzyła jej Helena; od niej dowiedziała się, że dużo pracujemy. Wolałam nie wdawać się w szczegóły. Kiedy już oddalił się kelner – chłopak w czarnym fartuchu o lekko azjatyckich rysach – uważnie spojrzałam na przyjaciółkę.

– Opowiadaj.

– Oszalał – wyrzuciła z siebie. – Felipe. Chce wszystko: dom, akcje, samochody... dziewczynki.

Felipe, jakiego znałam, łagodny, wąsaty, z wielkim brzuchem, smażący steki na grillu, nie wyglądał na osobę działającą pod wpływem impulsu, która może bez powodu oszaleć. Wręcz przeciwnie, wiedziałam, że jego gnuśność, jego – że tak powiem – brak silnych emocji, doprowadzały Conchę do rozpacz i często narzekała na nudę w małżeństwie. Z tego, co się orientowałam, Felipe był dobrym ojcem, człowiekiem nieco zamkniętym, miał niezbyt ekscytującą pracę i nie szczędził czasu i wysiłków, żeby w rodzinie wszystko grało. Choć oboje byli aktywni zawodowo, to ona miała więcej obowiązków poza domem. Starłam się zrozumieć, co mogło wywołać u niego to szaleństwo. Pociągnęłam łyk wody, by dać Conchy trochę czasu.

– Ja nie... nie miałam pojęcia, że to się tak skończy. To były tylko trzy razy. Cztery, jeśli policzyć pierwszy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Zdradziłam go. A on się dowiedział.

– Jak rozumiem, mówiąc, że go zdradziłaś, masz na myśli to, że przespałaś się z innym.

– Posłuchaj, nie rozmawiaj ze mną tym tonem – zaprotestowała. – Oczywiście, że to mam na myśli. Każdy to robi po piętnastu latach małżeństwa. To znaczy każdy sypia z kimś innym. A ci, co tego nie robią, po prostu dali za wygraną.

– Skoro tak twierdzisz. Kto to jest?

– To dobry chłopak, żonaty – odparła niepewnie.

Akurat ja nie miałam prawa uczyć jej moralności.

– Chcesz powiedzieć mi coś jeszcze?

– No bo, kurwa, z Felipe żyliśmy już tylko jak współlokatorzy, przestaliśmy być prawdziwą parą. Najbardziej emocjonująca rozmowa, jaką przeprowadziliśmy w ciągu ostatniego roku, dotyczyła grypy i podwyższonej temperatury Aitany. Jakbyś zapomniała, to nasza najmłodsza córka. Biedaczka ma przewlekłe zapalenie zatok. Wczoraj były jej urodziny, skończyła sześć lat, a ja nie mogłam się z nią zobaczyć, musiałam złożyć jej życzenia przez telefon, nie myślałam, że kiedykolwiek do tego dojdzie. W końcu wyprosiłam, żeby w niedzielę pozwolił mi się z nimi na chwilę spotkać. To niesprawiedliwe. Spierdoliłam sprawę, Ano. Musisz mi pomóc. Nie jest dobrze.

Poczułam leciutkie, mikroskopijne ukłucie satysfakcji. Wreszcie to Concha straciła kontrolę, nie ja.

Choć jeśli miałabym być szczerą, sama też straciłam całkowicie kontrolę nad swoim życiem, a także nad sprawą, którą prowadziłam. Ale to nie miało nic do rzeczy. Teraz chodziło o to, że perfekcjonistka Concha zrujnowała swoje małżeństwo, przyprawiła rogi mężowi i była przerażona.

– Wyrzucił mnie z domu. Któregoś wieczoru wróciłam z kancelarii i okazało się, że wymienił zamki i zostawił u dozorca dwie walizki z moimi rzeczami. Wymienił zamki! To podłe zagranie, nieczyste i... Zamierzam wykorzystać to przeciwko niemu w sądzie. Jego adwokat powiedziała mi, że zrobił to prewencyjnie, w trosce o bezpieczeństwo dziewczynek. Małpa rzuciła mi w twarz to, co wydarzyło się podczas długiego weekendu w październiku. Mówiłam ci, co się stało?

– Chyba nie.

– Tym lepiej, zachowam to dla siebie, w przeciwnym razie pomyślisz, że jestem wyrodną matką.

– Wiesz, że ja nic nie myślę.

– Zostawiłam je same. Dziewczynki. Tylko na kilka godzin, najstarsza zajęła się siostrami, ma trzynaście lat, na Boga, nie jest już dzieckiem. Felipe pojechał do Berna załatwić jakąś fuzję, a ja chodziłam po ścianach przez cały weekend, więc w sobotę rano pojechałam się z nim zobaczyć, to znaczy z moim kochankiem, rany, jak to brzmi, mój kochanek, tak naprawdę wcale

nim nie był, spotkaliśmy się tylko cztery razy, już ci mówiłam, góra pięć... Umówiliśmy się w hotelu, dostałam porządną dawkę seksu i wróciłam do domu w porze obiadu, zrobiłam dziewczynkom przepyszną lazanię, chyba nic takiego się nie stało, nikt nie ucierpiał, nie naraziłam ich na żadne niebezpieczeństwo.

– Jak długo były same?

– Nie wiem, nie mierzyłam stoperem. Wyszłam z domu o dziesiątej, byłam z powrotem przed obiadem. Najwyżej cztery godziny.

– Umówiłaś się na bzykanie o dziesiątej rano?

Concha wzruszyła ramionami.

– Wiem, nie powinnam była zostawiać ich samych. To był tylko ten jeden raz. Przysięgam. Jeden.

Wystarczy, żeby odebrano jej opiekę nad dziećmi. Tak pomyślałam. Nie powiedziałam jednak tego na głos. Concha była dobrą matką, kochała swoje córki najbardziej na świecie. Zrezygnowała z wielu zawodowych możliwości, żeby być blisko nich; pomysł z otwarciem Promultas w dużej mierze wynikał z chęci stworzenia dobrze prosperującej, bezpiecznej firmy w pobliżu domu. Macierzyństwo to najlepsza rzecz, jaka ją kiedykolwiek spotkała. Wielokrotnie słyszałam to z jej ust i wiedziałam, że mówi szczerze. Nie będę jej osądzać tylko dlatego, że popełniła błąd.

Jeśli chodzi o zdradę, nie byłam specjalnie zdziwiona. Nigdy jej o to nie pytałam, ale brałam pod uwagę taką możliwość. Kobieta taka jak ona miała mnóstwo okazji. Potrafiłam zrozumieć, że skoro nie była do końca szczęśliwa z Felipe, wykorzystała którąś z nich. Nie żebym to pochwalała, ale nie zamierzałam jej też potępiać. Sfera seksualności i pożądania obejmuje zawsze wachlarz skomplikowanych ukrytych przycisków, których nawet my sami do końca nie znamy.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co robić – powtórzyła Concha.

– Myślisz, że da się to jakoś naprawić? – zapytałam. – Może to tylko chwilowy kryzys małżeński. Felipe ma prawo być zły, ale jeżeli porozmawiacie, jeżeli go przeprosisz, na pewno się dogadacie. Wybacz, że się wtrącam, może się mylę, ale czasami, kiedy ktoś znajdzie się pod ścianą, nie jest zdolny jasno ocenić sytuacji.

– Nie będę go przepraszać. I nie chcę niczego naprawiać. Chcę odzyskać córki, to wszystko. I chcę skopać tyłek tej pretensjonalnej adwokatce.

– Kto broni twojego męża?

– Palmira Jiménez, z Dos Torres.

– Palmira, Palmira? Prezeska?

– We własnej osobie.

– Co jest nie tak z tymi facetami?

Palmira Jiménez, postrach sądów, bezlitosna, pozbawiona skrupułów, inteligentna, doświadczona, miała masę przyjaciół w środowisku prawniczym i była prawdopodobnie najbardziej renomowanym adwokatem rodzinnym w całym mieście. Dobrze ją znałam. Reprezentowała Ramira, mojego pierwszego byłego męża, podczas sprawy separacyjnej i rozwodowej. To na pewno on ich ze sobą skontaktował. Jej przydomek nie był specjalnie oryginalny. Nazywano ją tak, bo w wolnych chwilach, kiedy akurat nie niszczyła niczyjego małżeństwa, bawiła się we właścicielkę trzecioligowego klubu piłkarskiego Madrileño, który przypadł jej po rozwodzie z trzecim mężem, znanym biznesmenem z sektora budowlanego. Rozstali się, bo miał romans z młodą sekretarką. Palmira wpadła w szal i wydarła mu znaczną część majątku, między innymi odebrała ukochaną drużynę, pewnie tylko po to, żeby zrobić mu na złość, bo sama nie miała pojęcia o sporcie. W niedziele często można było ją zobaczyć na boisku, czasami nawet towarzyszyła drużynie podczas wyjazdów. Prawdopodobnie spodobało jej się kierowanie tą męską instytucją, klubem złożonym wyłącznie z samców. Mówiono, że dobrze sobie radzi, dzięki niej drużyna awansowała do wyższej ligi. Od tamtej pory wszyscy mówili o niej Prezeska. Nie zdziwiłoby mnie, gdybym za kilka lat zobaczyła ją na lunchu w siedzibie Związku Piłki Nożnej z resztą bossów hiszpańskiego futbolu.

To, że zgodziła się poprowadzić sprawę Felipe, oznaczało, że spodziewała się sporo na niej ugrać. Brała tylko rozwody z najwyższej półki. Konfrontacja z Palmirą gwarantowała ból zębów. Grała ostro i nieczysto. I dobrze jej to wychodziło. Ja sama skapitulowałam, kiedy reprezentowała mojego byłego, zmęczona jej intrygami. Potrafiła być wytrwała i dokuczliwa jak nikt inny. Nie chcę usprawiedliwiać swojej porażki, ale w tamtym okresie odciąłem się od świata i marzyłam tylko o jednym: żeby wszyscy dali mi spokój.

– Chcę ci powiedzieć coś, czego nigdy nikomu nie mówiłam, ale najpierw musimy zawrzeć umowę – rzuciła Concha.

– Jakiego rodzaju umowę?

– Zatrudnię Tramel i Wspólników do poprowadzenia mojej sprawy rozwodowej. Ufam ci. Sofii także. Nawet Rondzie. Nie macie dochodów, przyda wam się trochę pieniędzy. Na początek dam wam dziesięć tysięcy zaliczki.

– Nie musisz mi niczego dawać, wiesz, że z przyjemnością ci pomogę. Poza tym chętnie przykróćę cugli Prezesce.

– Wiem. Ale chcę zapłacić. Chcę też zostać twoją współpracowniczką. Potrzebujecie zastrzyku kapitału, kogoś, kto zainwestuje w porządne biuro, w detektywa i tak dalej.

– Przedyskutujemy twoją propozycję na zebraniu zarządu – odparłam z uśmiechem.

To była dobra wiadomość. Niestety nie mieliśmy podstaw, by wnieść pozew przeciwko kasynu. Musiałam powiedzieć o tym Conchy, zanim zainwestuje swoje oszczędności w naszą upadającą kancelarię; pociągnęłam za sobą już zbyt wiele osób. Zostawiłam to jednak na później. Teraz powinniśmy się skupić na jej rozwodzie. I na umowie, którą chciała mi zaproponować.

– Umowa polega na tym, że poprowadzicie mój rozwód. Wiem, że w takich sprawach liczy się zażyłość i że decydujące jest nie tyle doświadczenie, ile zaangażowanie i życzliwość.

– Możesz liczyć na naszą życzliwość.

– Jak już wyjaśniłam, chcę także zostać twoją współpracowniczką. Mówię bardzo poważnie. Zabiegam o to od ponad dwudziestu lat. Teraz nie ma już powodu do wymówek. Ja daję pieniądze. Ty – talent. Pracą, kontaktami i resztą zajmiemy się obie. Ale zanim zawrzemy umowę, mam jeden warunek.

Tego się obawiałam. Wszystko brzmiało zbyt pięknie. Dobre rzeczy zawsze mają swoją mroczną drugą stronę medalu. Pociągnęłam kolejny łyk wody, poczułam na podniebieniu delikatnie drapiący, gazowany smak.

– Chcę, żebyś mi obiecała, że się nie poddasz, niezależnie od tego, co się wydarzy – powiedziała Concha. – Oto mój warunek.

– Wiesz, że jestem uparta.

– Mówię poważnie. Jesteś uparta i dzielna, ale jesteś też uzależniona. Kiedy ktoś cię zawodzi, stajesz się swoim największym wrogiem. Wiem, że wcześniej czy później pojawią się problemy, trudności, przeciwności. Wiem, że oszukają nas ci, którym ufamy, że wbiją nam nóż w plecy, że nas popchną, żebyśmy upadły. Możliwe, że jeszcze tej nocy, jutro albo już zaraz pogrążymy się po szyję w gównie. Wiem, że przyjdą dni, kiedy wszystko będzie malować się w czarnych barwach, kiedy będziemy mieć wrażenie, że wali nam się na głowy niebo. Ale mimo to się nie poddasz. Chcę, żebyś mi przysięgła, że nie wrócisz do tabletek i alkoholu, bez względu na to, jak straszna będzie sytuacja, jak duża będzie presja, a obie wiemy, że będzie ogromna. Chcę, żebyś zaczęła leczenie. Sama nie możesz tego kontrolować, znalazłam ci sprawdzoną terapeutkę. Będiesz chodziła do niej raz w tygodniu, bez wykrętów. Chcę, żebyś tu i teraz przysięgła mi, że się nie poddasz, że nie zostawisz mnie na lodzie, że kiedy zaczną się kłopoty, nie damy za wygraną. Nie wystarczy mi obietnica ani deklaracja zamiarów. Chcę, żebyś mi to przysięgła. Chcę, żebyś mi przysięgła, że kiedy wszystko zacznie się walić, przypomnisz sobie ten moment i się nie poddasz. Jeżeli przysięgniesz, umowa stoi.

Mówiła poważnie. Przypomniałam sobie, co powtarzały zawsze siostry od Najświętszego Serca: nigdy nie należy składać przysięg, bo obrażają Pana. Nie sądzę jednak, żebym wzbraniała się przed przysięganiem właśnie z tego powodu.

– Może mogłybyśmy wykreślić z umowy tę terapię, o której wspomniałaś – mruknęłam.

– Wszystko albo nic, łącznie z terapią. Pełny pakiet. Jeżeli nie jesteś przekonana, zapomnijmy o tym. Ale jeżeli przysięgniesz, nie będzie odwrotu.

Ten bar w stylu *after work lounge* czy inne bla, bla, bla nie wydawał mi się najlepszym miejscem na składanie uroczystych przysięg jak ta, której domagała się ode mnie Concha. Ale akurat tam byliśmy. Trzydziestolatkowie wyglądali na coraz bardziej ożywionych; dodali sobie animuszu shotami. Odczekałam kilka sekund, może liczyłam na to, że znów poczuję ucisk w piersi – trudno o lepszy moment na atak paniki. Nic z tego, żadnych oznak stanu lękowego. Skoro raz w życiu go wzywałam, że tak

powiem, mógłby pospieszyć mi z pomocą. Zamiast tego ogarnęła mnie irracjonalna pewność: muszę złożyć tę przekłętą przysięgę. I nie tylko to. Muszę jej dotrzymać. Istoty ludzkie są specjalistami od oszukiwania samych siebie, ale kiedy pojawia się jakaś prawdziwa, autentyczna myśl, w głębi duszy potrafimy ją rozpoznać.

Postanowiłam wreszcie zdjąć maskę – nie należy uznawać tego za precedens – i spojrzałam uważnie na Conchę.

– Przysięgam.

Spojrzałam na siebie z boku. Nigdy wcześniej nie wymówiłam tych słów na głos. Nawet w sądzie. Uważam, że nieczęsto znajdujemy się w podobnej sytuacji. Że mówimy coś pierwszy raz. Więc powtórzyłam, chciałam się nacieszyć tą chwilą:

– Przysięgam.

– Tamci panowie stawiają – powiedział z dumą kelner, jakby przypisywał sobie część zasługi.

Wskazał miejsce przy barze kilka metrów dalej, gdzie siedziało dwóch chłopaków w garniturach, bez krawatów, w stanie wskazującym na spożycie dużych ilości alkoholu. Uśmiechnęli się do nas i podnieśli kieliszki wypełnione jakimś przezroczystym płynem, pewnie tequilą albo wódką. Kelner postawił na naszym wysokim stoliku identyczne shoty.

Spojrzałam na nich z zainteresowaniem, chyba byli przed trzydziestką, wyglądali niczego sobie, zwłaszcza ten wysoki przy kości. Zawsze miałam słabość do tęższych mężczyzn, czułam się przy nich swobodnie, pozbawiona kompleksów, poza tym uwielbiałam łapać ich za oponki i podszczypywać – hobby równie dobre jak każde inne. Pochlebiało mi to, nie jest ze mną tak źle, skoro z tymi workami pod oczami i niewyszykowana zwróciłam uwagę trzydziestolatków. Może mogłybyśmy uczcić naszą umowę, bawiąc się w towarzystwie tych dwóch chłopaków; o ile pamiętam, przysięga nie mówiła nic o mężczyznach i seksie.

– Niech pan zabierze te shoty – rzuciła Concha, marszcząc czoło. – Przykro mi, jesteśmy w trakcie rozmowy.

– Tak, proszę je zabrać – potwierdziłam, odzyskując władzę nad sobą.

Kelner bez słowa zabrał kieliszki i odszedł.

– Biedacy – mruknęłam. – Wyglądali na pełnych nadziei.

Spojrzałam na drinka, którego zamówiła Concha, kiedy przyszłyśmy – gin z ginger ale. Stał nietknięty. Nawet go nie spróbowała. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, ale poczułam lekki dyskomfort. Wróciło wrażenie, że przyjaciółka coś przede mną zataja i że chodzi raczej o coś niedobrego.

– Nie jest mi łatwo – powiedziała, jakby próbowała wydusić z siebie coś, co ciężko jej było wyznać.

– Zamieniam się w słuch – spróbowałam ją zachęcić.

– Raz kozie śmierć – stwierdziła. – Zawarliśmy już umowę. Teraz jesteś moim adwokatem i wszystko, co ci powiem, jest objęte tajemnicą.

– Przede wszystkim jesteśmy przyjaciółkami, a teraz także współpracownikami. Ale nie martw się. Jeżeli wolisz, wysłucham cię jako twój adwokat. Nie wykorzystam żadnej informacji wbrew twojej woli.

Z twarzy Conchy zniknęło napięcie.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłam, Ano. Nie wiem, jak to się stało, ale wierz mi, że się stało. Pięć i pół roku temu. Po urodzeniu Aitany, kiedy już wróciłam do kancelarii po urlopie macierzyńskim. Byłam w świetnej formie. Mieliliśmy trzy śliczne córeczki, w naszym małżeństwie dobrze się układało. Ale Felipe stracił pracę i wszystko zaczęło się zmieniać. Przesiadawał w domu, rozmyślał, mało się odzywał, przeklinał swój los, kryzys zniszczył firmę, dla której pracował, została zamknięta. Z dnia na dzień człowiek o wysokiej pozycji zawodowej, zarabiający duże pieniądze, wyładował na bruku. Zrobił się zgorzkniały. Wykorzystał swoje kontakty do szukania nowej pracy, ale nic nie odpowiadało jego ambicjom. Ja też próbowałam mu pomóc, zaproponowałam nawet, żeby dołączył do zespołu Promultas, ale chyba nawet nie wziął pod uwagę tej możliwości.

– Wtedy przynajmniej nie mieliście problemów finansowych...

– Nawet nie o to chodziło, byliśmy zabezpieczeni na tak długo, jak byłoby trzeba, chodziło raczej o poczucie własnej wartości, co mnie trochę zdziwiło. Nagle okazało się, że Felipe nie ma już nic wspólnego z tym spokojnym, pewnym siebie mężczyzną, jakiego znałam. Sytuacja się przedłużała, po kilku miesiącach spędzonych w domu znalazł się w kolejnej fazie. Ze wszystkimi się wyklócał, z rodziną, przyjaciółmi, nawet z dziewczynkami. Któregoś dnia po powrocie z kancelarii zobaczyłam przed drzwiami dziewczynę, która przychodziła do nas sprzątać. Płakała. Podobno Felipe zrobił jej awanturę i wyrzucił ją z domu. Próbowałam z nim rozmawiać, ale powiedział, że nie chce jej więcej widzieć na oczy, jest pewien, że nas okrada, zresztą to jego dom i nie musi się tłumaczyć. Jeżeli chce kogoś wyrzucić, to zrobi to, koniec, kropka. Nie wierzyłam, że mówi poważnie, roześmiałam się. To, co powiedział, było tak niedorzeczne, że uznałam to za żart. Mój śmiech wyprowadził go z równowagi. Kazał mi się zamknąć.

Oczywiście odpowiedziałam mu, że będę się śmiać, kiedy tylko przyjdzie mi ochota. Podszedł do mnie i to zrobił. Kompletnie mnie zaskoczył. Uderzył mnie w twarz. Oniemiałam, nie wiedziałam, jak zareagować. Popchnął mnie i zaczął na mnie krzyczeć, powiedział, że zawsze uważałam się za lepszą, mądrzejszą, bardziej wartościową. Popychał mnie dalej w stronę ściany. Cisnął na podłogę kilka przedmiotów i odszedł.

Concha przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza. Otaczające nas hałas, muzyka, głosy, wszystko zniknęło. Byłyśmy tylko my dwie.

– Kiedy sobie poszedł, sprzątnęłam skorupy talerzy, byłam wystraszona, nie wiedziałam, co powinnam czuć. Zastanawiałam się, czy nie zabrać dziewczynek i nie odejść. Chciałam też zgłosić to na policję. Ale stopniowo odzyskiwałam spokój. Powiedziałam sobie, że coś takiego zdarzyło się pierwszy raz, że Felipe potrzebuje mojej pomocy, przechodzi ciężki okres, nie mogę wszystkiego przekreślić z powodu pojedynczego incydentu, który trwał zaledwie dwie minuty. Tamtej nocy wrócił późno. Byłam już w łóżku, choć oczywiście nie spałam. Położył się obok i rozpłakał, przeprosił mnie, błagał, żebym mu wybaczyła, obiecał, że to się więcej nie powtórzy, że kocha mnie najbardziej na świecie i że nie wie, co się z nim dzieje, nigdy się tak nie czuł. Przytuliłam go bez większego przekonania i postanowiłam, że nie będę taką formalistką jak zwykle. Felipe zawsze był dobrym ojcem i dobrym towarzyszem podróży. Ale w ciągu kolejnych tygodni zrobiło się jeszcze gorzej. Krzyczał na mnie przy każdej okazji z byle powodu, wszystko mu przeszkadzało. Dom zamienił się w pole minowe, chodziłam na palcach ze strachu przed jego gwałtowną reakcją. Dziewczynki czegoś się domyślały, chociaż były jeszcze bardzo małe. Czułam się sterroryzowana. Nie wiem, jak to wytrzymałam ani dlaczego nie odeszłam. Myślę, że po prostu codziennie przekonywałam samą siebie, że to już ostatni dzień, że albo coś się zmieni, albo odejdę i wreszcie go zostawię. Powtarzałam też sobie, że dziewczynki uwielbiają ojca, że nie odbiorę im go z powodu przejściowych problemów.

– Uderzył cię jeszcze?

Nie musiała nic mówić, zobaczyłam odpowiedź w jej oczach.

– Najczęściej na mnie krzyczał, wybuchał gniewem. Nie postępował według żadnego konkretnego schematu. Czasem zachowywał się po prostu bardziej agresywnie. Aż w końcu przekroczył granicę, jakieś sześć miesięcy

później. Była sobota rano. Wrócił zasepiony ze spotkania w klubie tenisowym z dwoma dawnymi kolegami z pracy, spotkania, po którym wiele sobie obiecywał. Gdy tylko go zobaczyłam, od razu wiedziałam, że źle mu poszło i że nadciąga burza. Dziewczynki leżały na dywanie w salonie i oglądały telewizję. Minął je, nawet się nie przywitał, warknął coś i praktycznie odepchnął witające go Rosę i Jimenę. Przez dwie godziny siedział zamknięty w sypialni. Jak wyszedł, zapytał, o której będzie obiad. Odpowiedziałam, że dziewczynki już jadły, a my możemy zjeść, kiedy będzie chciał. Jimena wtrąciła, że ja zjadłam z nimi. To była prawda, nie chciałam mu mówić, żeby się nie rozgniewał. Wtedy wybuchnął. Zaczął pytać, dlaczego go okłamałam, czy się go boję, czy uważam go za tyrana. Uderzył mnie. Dwa ciosy pięścią w twarz, przy dziewczynkach. Potknęłam się o dywan i upadłam na podłogę. Jedyna rzecz, jaką pamiętam wyraźnie, to to, że małe wybuchnęły płaczem, a ja próbowałam je pocieszyć. Felipe zniknął. Zaraz potem spakowałam walizki i przeniosłyśmy się do mojej matki. O nic mnie nie pytała. Pomyślałam, że to już koniec naszego małżeństwa, postanowiłam zgłosić sprawę na policję, ale wciąż to odwlekałam. Czułam się po części winna, zadawałam sobie pytanie, jak coś takiego mogło mi się przydarzyć, wmawiałam sobie, że przemoc domowa to problem innych ludzi, biednych, niewykształconych, że nie może dotyczyć mnie.

– Nie doniosłaś na niego?

Przyjaciółka pokręciła głową.

– Kilka tygodni później Felipe zjawił się u mojej matki z prezentami dla dziewczynek. Zastałam go tam, kiedy wróciłam z pracy, i chociaż chciałam mu powiedzieć, żeby się wynosił, jeśli nie chce, żebym zadzwoniła na policję, nie potrafiłam tego zrobić. Gdybyś widziała, jak się z nimi bawił tamtego popołudnia. Były takie szczęśliwe; wszystko inne przestało się liczyć. Wieczorem poszliśmy we dwoje na kolację. Przepraszał mnie na wszystkie możliwe sposoby, powiedział, że znalazł pracę w dużej firmie konsultingowej, że koszmar się skończył, przysiągł, że żałuje, że sam jest przerażony tym wszystkim, co się stało, zachowywał się jak zwierzę, jakby coś go opętało, przez ostatnie miesiące nie był sobą. Wiem, że źle zrobiłam, ale postanowiłam mu uwierzyć. Dać mu kolejną szansę. Wszystko wróciło do normy, Felipe znów stał się czułym ojcem, troskliwym partnerem, jakim

zawsze był. Wróciła rutyna. Jakby nigdy nie było tych sześciu miesięcy piekła. Żadne z nas więcej o tym nie wspomniało. Oczywiście coś głęboko w nas na zawsze pękło, na przykład seks stał się czymś sporadycznym, niemal obowiązkiem, który wypełnialiśmy, jakbyśmy odbijali kartę zegarową w biurze. Wiele innych rzeczy też było już nie do naprawienia. Staralam się na nowo go pokochać, przysięgam ci, że starałam się ze wszystkich sił.

– Wierzę ci.

Jak to możliwe, że o niczym nie wiedziałam? Dokonałam w myślach szybkich obliczeń. Daty zgadzały się z moją roczną izolacją, z miesiącami znieczulenia i odcięcia od świata, podczas których najwyraźniej umknęło mi kilka spraw. Jak już wspominałam, to właśnie Concha wyciągnęła mnie z tego letargu, pamiętam dzień, kiedy zjawiła się w moim domu i kazała mi pracować dla Promultas. Dosłownie zwlokła mnie z kanapy. Teraz, kiedy wiedziałam, przez co sama przechodziła, jeszcze bardziej doceniłam to, co dla mnie zrobiła. Kochałam tę kobietę. Ocaliła mi życie, w wielu znaczeniach tego słowa. Szczerze ją podziwiałam i było mi jej żal.

– W ciągu tych lat nic więcej się nie wydarzyło, żadnego incydentu, żadnego słowa rzuconego podniesionym tonem, żadnego groźnego spojrzenia. Nic. Nasze stosunki układały się dobrze albo raczej poprawnie. Aż do tamtego dnia. Kiedy odkrył, że go zdradzam, kolejny raz wyszedł z siebie.

Przykłady bliskich mi osób wskazują, że brutale stosujący przemoc prędzej czy później znowu zaatakują. Kiedy już raz przekroczą granicę, jest niemal pewne, że zrobią to ponownie. Zwłaszcza kiedy im się upiekło jak mężowi Conchy. Powinien całować ziemię, po której stąpa jego żona. Zamiast tego znowu ją uderzył. Nie jestem agresywna, ale gdybym wtedy miała go przed sobą, chyba roztrzaskałabym mu na głowie butelkę Vichy. Byłabym do tego zdolna, bez wyrzutów sumienia. Nie uważam, żeby ludzie mieli sami wymierzać sprawiedliwość, przede wszystkim dlatego że gdybyśmy wszyscy to robili, świat zamieniłby się w dżunglę. Ale nie mówię o wszystkich. Mówię o sobie. Jeden mocny cios. Może dwa. Albo trzy. Oczywiście wyobraźni widziałam drobne odłamki szkła odpryskujące od jego głowy.

Wróciłam do Conchy. Znalazłam się z powrotem na ziemi.

– Dwa miesiące temu, kiedy wyszłam wieczorem spod prysznic, zobaczyłam go z moim telefonem w dłoni. Zapytałam, co robi. Poprosiłam, żeby natychmiast go odłożył. Ale było już za późno. Znalazł w mojej skrzynce kilka jednoznacznych wiadomości od mężczyzny, z którym się przespałam. Z jakiegoś powodu ich nie wykasowałam. Dostrzegłam w jego oczach, że zwierzę wróciło, od razu to zauważyłam.

– Co się stało?

– Zaczęliśmy się szarpać, zerwał ze mnie ręcznik, którym byłam owinięta, popchnął mnie, zwymyślał, powiedział, że jestem zdrajczynią, szmata, że mnie zabije. Stałam naga, bezbronna. Brutalnie mnie uderzył. Błagałam go, żeby przestał, ale bił mnie dalej, aż się zmęczył. Miał na nogach swoje brązowe wysokie buty. Skopał mnie po nogach, żebrach, brzuchu. Myślałam, że mnie zabije. Kiedy się znudził, zostawił mnie i wyszedł, zabierając ze sobą moją komórkę. Krzyknął, żebym posprzątała i że jeśli powiem komukolwiek, co się stało, nie zobaczę więcej córek. Otworzył drzwi, słyszałam, jak woła dziewczynki, chciał zabrać je na pizzę. Podskoczyły z radości. Przed wyjściem Jimena zapytała go, czy idę z nimi. Felipe odpowiedział, że mama źle się czuje i że tym razem zostanie. To wszystko. Wyszli. Zostawił mnie tam, na podłodze, posiniaczoną, nagą. Czułam się tak, jakby to był koniec świata. Ale nie. Nie wiem, skąd wzięłam siły. Z trudem się ubrałam. Chciałam jedynie zdążyć przed jego powrotem. Pojechałam na oddział ratunkowy szpitala Virgen de la Luz, gdzie szybko przyjął mnie lekarz dyżurny. Powiedziałam, że spadłam ze schodów. Nie uwierzył mi, powiedział, że muszę zgłosić to na policję. Obejrzał mnie, zrobił prześwietlenie, potem jakieś dwie dziewczyny z pomocy społecznej wygłosiły mi pogadankę, ale uparłam się przy swojej wersji wydarzeń i na tym się skończyło.

– Wróciłaś do niego?

– Przez kilka godzin siedziałam w samochodzie, rozmyślając o tym, co się stało. Uważał, żeby nie uderzyć mnie w twarz, nie miałam więc widocznych śladów. O świcie pojechałam do kancelarii, odwołałam wszystkie spotkania i spędziłam resztę dnia w gabinecie. Zastanawiając się, co będzie najlepsze dla mnie i dla dziewczynek. Postanowiłam zamknąć firmę. Powinnam była zrobić to już dawno. I może wyjechać gdzieś z córkami. Daleko od wszystkiego. Nie wiem. Nie byłam zdolna racjonalnie myśleć.

– Nie zgłosiłaś tego na policję?

– Nie chciałam, żeby dziewczynki dowiedziały się, jakim człowiekiem jest ich ojciec, nie chciałam, żeby musiały przez to przechodzić. Proszę, nie mów mi, że powinnam była to zrobić. Zrobiłam, co mogłam.

– Widzieliście się później?

– Wróciłam do domu prawie dzień po całym zajściu. Wtedy właśnie natknęłam się na wymienione zamki i walizki w portierni. Potem dowiedziałam się, że on przez ten czas zatrudnił Palmirę i zaczął załatwiać formalności wymagane do złożenia pozwu rozwodowego. Zatrzymał moją komórkę z wiadomościami; podejrzewam, że jako dowód mojej niewierności.

– Kiedy doszło do tego pobicia?

– Kilka dni po śmierci Alego.

Znowu to samo. Nie było mnie, kiedy najbardziej mnie potrzebowała. Miałam wobec niej dług. I nie tylko z powodu tego, co wydarzyło się w ciągu ostatniego miesiąca.

– Posłuchaj mnie, proszę – powiedziałam, starając się, by mój głos brzmiał jak najbardziej przekonująco. – Świetnie rozumiem, jak trudne jest dla ciebie to wszystko, o czym mi przed chwilą opowiedziałaś. Nie da się tego oczywiście porównać, ale mój ojciec też miał gwałtowny charakter, był despotyczny. I chociaż nigdy nie stosował przemocy fizycznej – przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo – moja matka bała się go przez całe małżeństwo, a ja i mój brat wychowywaliśmy się w strasznej atmosferze. Wiem doskonale, o czym mówisz. Pozwól sobie pomóc, błagam cię. Złożymy doniesienie na tego łajdaka. Przesłanki sprzed pięciu i pół roku uległy już przedawnieniu, ale musi zapłacić za to ostatnie. Nieważne, co powiedziałaś lekarzowi i pomocy społecznej. Byłaś przerażona i nie miałaś odwagi na niego donieść. Masz kopię wypisu z oddziału ratunkowego?

– Chyba tak.

– Świetnie. Wiem, że nie będzie ci łatwo, ale musisz opowiedzieć o wszystkim policji i sędziemu. Dokładnie o wszystkim.

– Zrobię, co mi każesz, poza jednym – powiedziała stanowczym tonem. – Nie pozwolę, żeby zeznawały dziewczynki. One o niczym nie wiedzą.

– Owszem, wiedzą, widziały, jak uderzył cię kilka lat temu, czegoś takiego się nie zapomina. Ale nie martw się, zrobimy wszystko, żeby nie musiały zeznawać. To nie będzie konieczne. Jeśli już, sędzia spotka się na osobności z najstarszą. Rozumiesz, taka przyjacielska, prywatna pogawędka.

– Jimena jest bardzo wrażliwa, jest teraz w trudnym wieku. Bardzo to przeżyje.

– Posłuchaj, Concho, nie możesz wymazać tego, co się stało. Twój mąż to straszny łajdak. Wolałabym, żeby tak nie było, ale niestety jest. Możesz jednak sprawić, żeby już nigdy więcej nie zrobił nikomu krzywdy, ani tobie, ani żadnej innej kobiecie, ani oczywiście twoim córkom. Powtarzam ci: musisz o wszystkim opowiedzieć. To jedyny sposób. Nie będziesz przechodzić przez to sama.

Wyczytałam z twarzy przyjaciółki, że się ze mną zgadza. Czekają ją trudne zadanie.

– Chcecie coś jeszcze?

Wystraszył mnie głos kelnera. Lokal opustoszał. Zniknęli nawet trzydziestoletni podrywacze.

– Poprosimy o rachunek – odparłam.

Odprowadziłam Conchę do samochodu. Powiedziała, że nocuje w hotelu. Należało to jak najszybciej zmienić. To ona powinna zapewnić córkom bezpieczeństwo i stabilizację, nie jej mąż. Wyjaśniła mi, że dom jest wspólny. Nie miał żadnego prawa wyrzucać jej na bruk i zmieniać zamków. Należało jak najszybciej doprowadzić do tego, aby Concha wróciła, a sędzia wydał tymczasowy zakaz zbliżania się dla jej męża. To było najpilniejsze. Jeżeli chce grać ostro, bardzo proszę. Miałam ochotę skonfrontować tego sukinsyna z rzeczywistością. Nim się pożegnaliśmy, Concha odwróciła się do mnie.

– Nie wiem, co o mnie myślisz, Ano. Jest mi wstyd. Zachowałam się jak tchórz, powinnam była powstrzymać to wszystko dawno temu.

– Jediną osobą, która powinna się wstydić, jest twój mąż. Ale skoro już o tym mowa, powiem ci, co o tobie myślę: że jesteś wspaniałą matką, dzielną kobietą i najlepszą przyjaciółką, jaką można sobie wyobrazić. Mówię ci to z ręką na sercu. Wiesz, że nie lubię ckliwości, więc już ci tego nie powtórzę.

– A właśnie że lubisz. W głębi duszy jesteś sentymentalna.

– Odwal się.

Concha otworzyła drzwi samochodu. To były dobre słowa na zakończenie tego wieczoru. Moim zdaniem wręcz doskonałe. Ale niestety, najgorsze miałyśmy jeszcze przed sobą.

– Mówiłaś, że będę musiała opowiedzieć o wszystkim policji i sędziemu – szepnęła Concha. – Wiem, że masz rację. Ale jest jedna rzecz, o której ci nie powiedziałam. Przypominam ci, co mi przysięgłaś. Nie możesz się wycofać. Bez względu na to, co się stanie.

– Zaczynam się bać.

– Chodzi o tego mężczyznę. Z którym przespałam się cztery razy. Z którym zdradziłam Felipe.

– Co z tym mężczyzną?

– Znasz go. Nie miałam odwagi ci powiedzieć.

Robiło się coraz zimniej. Spoglądałam na obłoczek pary, wydobywający się z ust Conchy. Od dziecka było to dla mnie zagadkowe zjawisko.

– Kto to?

– Ale. Twój brat.

Mówi się, że pieniądze szczęścia nie dają. Całkowicie się z tym zgadzam. Mówi się też, że szczęście jest stanem umysłu i inne podobne rzeczy. Niestety, zdrowy umysł i pusty portfel nie pozwalały mi na opłacenie prywatnego detektywa. Za to dziesięć tysięcy euro owszem. I to jednego z najlepszych.

– Stęskniłam się za tobą, M.

– Wiesz, że praca dla ciebie to czysta przyjemność – odparł.

Pod warunkiem, że zapłacisz z góry. Tego nie powiedział, ale rozumiało się samo przez się.

Był przedświąteczny poniedziałek pełną gębą. Zimno. Na ulicach już od kilku tygodni wisiały ozdoby i światełka. Rozświetlone wystawy, markizy i neony w całym mieście krzyczały, żebyś nie zapomniał o prezentach i szykujących się ucztach. Nawet tuż po ósmej rano nie sposób było uciec przed bożonarodzeniowym tsunami. Umówiliśmy się z M. na Pío XII, tuż przy zjeździe na A-1. Jechałam na ważne spotkanie w sądzie przy Manuel Tovar, ale zatrzymałam się po drodze, żeby porozmawiać z moim świeżo zatrudnionym prywatnym detektywem. Pracowaliśmy razem od czterdziestu ośmiu godzin, a już miał dla mnie informacje.

– Chciałem powiedzieć ci o tym osobiście.

– Wal.

M. był mężczyzną w nieokreślonym wieku; dałabym mu jakieś sześćdziesiąt parę lat. A to z braku włosów, które stracił dawno temu wskutek załamania nerwowego. Była to tak zwana *alopecia areata*, łysienie plackowate. M. lubił powtarzać te słowa, chyba podobało mu się ich brzmienie, *alopecia areata*, a może myślał, że dodają jego łysinie nieco dystynkcji. Kiedy go poznałam, już tak wyglądał. Uwagę przyciągały zwłaszcza brwi, a raczej ich brak. Jego powierzchowność bynajmniej mnie nie odrzucała. Przeciwnie, M. wydawał mi się interesujący, a w pewnym

sensie nawet przystojny. Między nami nigdy do niczego nie doszło ani nie dojdzie, łączyła nas innego rodzaju relacja, szanowaliśmy się jako profesjonaliści i pracowaliśmy razem mnóstwo razy, nic poza tym. Można by wręcz powiedzieć, że traktował mnie po ojcowsku, opiekuńczo. Nie protestowałam. Dobrze było choć raz mieć poczucie, że to ktoś mnie chroni, a nie że ja chronię innych. Co nie znaczy, że nie pociągało mnie jego krzepkie, umięśnione ciało i totalny brak włosów. Nic więcej.

– Łagodnie mówiąc, wygląda na to, że w koszarach w Robredo protokół postępowania z aresztowanymi jest raczej elastyczny – powiedział. – Zwłaszcza jeśli zatrzymane osoby są przyjaciółmi lub znajomymi. Moją uwagę zwróciły dwie rzeczy, które nie figurują w żadnym raporcie. Dość łatwo było je odkryć, nie wiem, czy okażą się pomocne, ale na wszelki wypadek ci o nich powiem.

To również podobało mi się u M. Nie puszył się, nie próbował dodawać sobie ważności. Mówił szczerze, czy musiał się dużo napracować, czy nie.

– Po pierwsze, rzeczy osobiste Alejandra Tramela nadal tam są, oczywiście poza paskiem, na którym się powiesił. Trafił do laboratorium – ciągnął. – Ale cała reszta została w koszarach Gwardii Cywilnej, czeka w szafce, w plastikowej torbie, aż ktoś się zgłosi. Ponieważ to było samobójstwo, nie morderstwo, dowody nie zostały zatrzymane. To, że nadal są w koszarach, oznacza jedynie tyle, że nie przyszedł po nie nikt z rodziny. Przyniosłem ci formularz dla Heleny, mogę je odebrać. Nie wiem, czy czegoś się z nich dowiemy, ale nie zaszkodzi rzucić okiem.

– Mówisz, że naturalnie nie ma wśród nich paska – odpowiedziałam. – Ja z kolei nie rozumiem, dlaczego wpuścili go do celi z paskiem. To bez sensu.

– Też się nad tym zastanawiałem. Obawiam się jednak, że teoria spiskowa: zostawili mu pasek, by odebrał sobie życie, jest nie do obrony. Pozwolili mu mieć w celi dużo innych przedmiotów osobistych poza paskiem: notatnik i długopisy, własne buty, a nawet zegarek. Moim zdaniem zrobili to przez grzeczność. Znali go i nie uważali, że jest niebezpieczny. Nie przywiązywali do tego większej wagi. Powtarzam ci: zależnie od okoliczności procedura podczas tych pierwszych godzin może być bardzo elastyczna. Zresztą to nie więzienie, tylko areszt, a jak sama wiesz, to dwa różne światy.

– Mimo to chcę jeszcze raz porozmawiać ze wszystkimi funkcjonariuszami, którzy przewinęli się przez koszary od chwili przywiezienia Alego do momentu znalezienia zwłok. Sofía przepytала kilku, ale wolę przesłuchać ich osobiście. Wszystkich, od funkcjonariusza z recepcji po tych, którzy tamtego dnia dowodzili akcją.

– Tak przypuszczałem. Tu masz pełną listę gwardzistów, którzy byli tamtego dnia na służbie.

Skuteczność M. nieustannie mnie zaskakiwała.

– Trzeba będzie złożyć oficjalny wniosek – powiedziałam. – Nie sądzę, żeby chcieli dobrowolnie współpracować. Sofía mimo jej siły perswazji ma duże problemy z wyciąganiem zeznań.

Sofía była inteligentna, bystra i nie poddawała się po pierwszej porażce. Do tego była jeszcze ładna. Miała wszystko, czego potrzeba, żeby zdobyć wszystko, na czym jej zależało. Mimo to jeszcze nie nauczyła się należycie dokręcać śruby krnąbrnym świadkom, zwłaszcza jeśli byli nimi doświadczeni policjanci. Postanowiłam sama się tym zająć. Przesłuchania mogą być wyczerpujące, ale wystarczy odpowiednia dawka cierpliwości i uporów, żeby wygrzebać ukryte szczegóły albo to, co po prostu umknęło naszej uwadze. Może poproszę o pomoc M. Moglibyśmy zabawić się w dobrego i złego gliniarza (ze wszystkimi wariantami) jak za dawnych czasów. Niech inni mówią, co chcą – przesłuchanie, przeprowadzone łagodnie i jednocześnie w złej wierze, pozostaje najlepszym sposobem zdobycia informacji o sprawie. Ja wezmę na siebie łagodność; przepytywanie w złej wierze zostawię mojemu współpracownikowi, to prawdziwy ekspert.

W oddali rozległ się klakson, przypominając mi, że zaparkowaliśmy na drugiego, kilka metrów od miejsca, w którym staliśmy. Powinnam się zbierać; nie mogłam spóźnić się na spotkanie w sądzie.

– Powiedziałaś, że odkryłeś dwie rzeczy – rzuciłam, spoglądając na M.

– Tak. Myślę, że ta druga bardzo cię zainteresuje.

Detektyw podał mi brązową teczkę. Kiedy ją otworzyłam, zobaczyłam dwustronną czarno-białą kserówkę. W nagłówku, pod pieczętką Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, figurowały logo Gwardii Cywilnej i napis wydrukowany wielkimi literami: KOSZARY GWARDII CYWILNEJ. Niżej data, a dalej lista wpisanych odręcznie godzin, nazwisk i numerów dowodów

osobistych.

– To wszystkie osoby, które złożyły wizytę w koszarach w Robredo w dniu, kiedy zatrzymano Alego – powiedział.

Szybko przebiegłam wzrokiem listę. Była długa, niektórych nazwisk nie dało się odczytać. Przypomniałam sobie chłopaka z recepcji, pewnie sam je wpisał. Nie dość, że był zarozumiały i tępy, to jeszcze miał okropny charakter pisma. Jedną osobę rozpoznałam: Anę Tramel. Dziwnie było zobaczyć własne nazwisko na dokumencie, o którego istnieniu nawet nie wiedziałam. Nagle zaczęłam się zastanawiać, w ilu archiwach i dokumentach na całym świecie, elektronicznych i papierowych, się pojawia. W kilkudziesięciu, kilkuset, kilku tysiącach? Ile osób, które nie mają ze mną żadnego związku i które w ogromnej większości przypadków nigdy nie będą go miały, zna mnie z nazwiska i paru cyfr? Była to refleksja z rodzaju tych, które do niczego nie prowadzą, ale których czasami nie mogę uniknąć.

– Przejdź do dwudziestej drugiej czterdzieści dziewięć – wskazał M., sprowadzając mnie z powrotem na ziemię.

Zjeżdżałam wzrokiem w dół kserówki. Mniej więcej w połowie zaczynał się inny charakter pisma. Pewnie w recepcji zmienili się gwardziści. Nazwiska z listy musiały należeć do prawników, krewnych, przyjaciół. Zatrzymani przyjmowali różnego rodzaju wizyty. 21.28, Raúl López Calles. 22.16, Carmen Casares. 22.23, Armando Longares. Kiedy dotarłam do rubryki, którą wskazał mi M. – 22.49 – musiałam kilkakrotnie przeczytać nazwisko. Nie wierzyłam własnym oczom.

– Emiliano Santonja – powiedziałam wreszcie na głos.

Właściciel kasyna i całego holdingu Gran Castilla odwiedził koszary tamtej nocy.

– Nie pytaj, co tam robił – uprzedził mnie M. – Jeszcze tego nie sprawdziłem. Nie wiem, czy przyszedł załatwić jakieś formalności w sprawie Alejandra, czy chciał go odwiedzić. Nigdzie nie figuruje powód wizyty. Raczej wątpię, żeby wypełniał jakieś papiery, więc wszystko będzie zależeć od tego, co będą mogli albo chcieli wyjawić funkcjonariusze, i oczywiście sam Santonja.

– Skoncentrujmy się na tym. Musimy sprawdzić, czy rozmawiał z moim bratem.

– Może przyszedł w innej sprawie i jest to zwykły zbieg okoliczności.

– Jasne, na pewno przyszedł do koszar, w których siedział główny podejrzany o morderstwo dyrektora kasyna, żeby odwołać się od mandatu drogowego. Powiedz mi jedno, M.: dlaczego nie dostałam kopii tej listy?

– Przypuszczam, że nikt o nią nie zapytał.

Tak po prostu: nikt nie poprosił o tę informację.

Wyglądało na to, że podczas zatrzymania Alego w koszarach wydarzyło się wiele rzeczy, o których nie mieliśmy pojęcia. Oczywiście pomyślałam o Moncadzie. Musiałam z nim jak najszybciej porozmawiać. On będzie mógł mi to wyjaśnić. Jeżeli rzeczywiście choć trochę przejmował się moim bratem, pomoże mi rozwiązać niektóre z tych zagadek. Zdziwiło mnie, że nie powiedział o wizycie Santonjy, kiedy rozmawialiśmy. Pozwolił mi wysłuchać obciążającego nagrania, ale zataił przede mną, że wielki szef kasyna złożył wizytę w koszarach. Przeanalizowałam sytuację. Nie było sensu wątpić w intencje Moncady. To rozmowa z porucznikiem, a właściwie nagranie, na którym słychać, jak Pons grozi Alemu, sprawiła, że postanowiłam wytoczyć kasynu proces. Ona była zapalnikiem. Postanowiłam mu zaufać. Skoro nie przekazał mi tej czy jakiejś innej ważnej informacji, to pewnie dlatego że nie mógł, bał się o własną posadę. Ale i tak zamierzałam zapytać go o to przy najbliższej okazji.

– Możesz jeszcze trochę powęszyć, zanim oficjalnie przesłuchamy funkcjonariuszy? – zapytałam.

– Wiesz, że uwielbiam węszyć.

– W porządku. Ja złożę wniosek o ponowne przesłuchanie bezpośrednich i pośrednich świadków, czyli wszystkich funkcjonariuszy, którzy byli tamtego dnia w koszarach. Umówię się też na spotkanie z Santonją. Nie chcę, żeby się dowiedział, co zamierzam. Nadal uważam, że nasz pozew przejdzie wyłącznie wtedy, jeśli wniesiemy go z zaskoczenia, ale to nie znaczy, że nie mogę trochę potrząsnąć prezesem pod pretekstem pozwu wniesionego przeciwko Helenie. Dla niego jestem tylko adwokatem, siostrą wzburzoną po stracie brata. Jeśli możesz, potraktuj priorytetowo wizytę wielkiego szefa w koszarach. Aha, i może sam zajrzyj do biura. Niech Helena podpisze wniosek o odebranie rzeczy osobistych Alego. Pojedź po nie jak najszybciej. Bądź cały czas pod telefonem, niewykluczone, że poproszę, żebyś pojechał

ze mną później do Mirasierry.

– Na pewno nie chcesz, żebym jechał z tobą do sądu?

Jego słowa sprawiły, że na moment się zawahałam. Nie będę ukrywać, że o tym myślałam. W zasadzie byłam bliska poproszenia go, by mi towarzyszył. Nie zrobiłam tego z jednego powodu: nie chciałam pojawiać się tam z ochroniarzem. Nie zamierzałam dać się zastraszyć takiemu wybuchowemu, agresywnemu typowi jak Felipe. Nigdy nie należałam do osób, które sądzą, że przemoc należy zwalczać przemocą – chciałam, żeby to były nie tylko puste słowa, ale sposób postępowania, sposób na życie. Za chwilę miałam stanąć twarzą w twarz z mężczyzną, który znęcał się nad Conchą. Wiedziałam, że to będzie ciężki moment, nie jestem naiwna. Może gdyby był przy mnie M., czułabym się pewniej. Ale to byłoby równoznaczne z przyznaniem, że dwie kobiety nie są zdolne same się bronić. Nie wiem, jakie zdanie miałyby na ten temat Concha, wiedziałam za to doskonale, co sama czuję: chciałam załatwić to bez pomocy osiłka, który by nas bronił. Jediną osobą, którą poprosiłam o wsparcie, była Sofía.

– Nie ma takiej potrzeby – burknęłam.

– Jak chcesz. Ale jakby co, daj znać z wyprzedzeniem, pewnie będę w Robredo.

Pożegnałam się z M. skinieniem głowy. Czułam się dobrze. Interes znów się kręcił. Podeszłam do mazdy i zobaczyłam, że M. wsiada do swojego samochodu, starego chevroleta 4×4. Patrząc na niego, pomyślałam, ile to już razy wyciągał mnie z kłopotów. Straciłam rachubę. Jeśli mam być szczerą, ja też nieraz mu pomagałam, gdy miał problemy z prawem. M. niekiedy trudno było powściągnąć gniew w obliczu niesprawiedliwości. Zdarzało się to częściej, niż powinno. W sumie niemal wszyscy względnie przyzwoici ludzie reagują w ten sposób, tyle że nie wszyscy mogą sobie pozwolić na występowanie w roli bezwzględnych mścicieli, nie daliby rady. A przede wszystkim nie są zbudowani tak jak ten mężczyzna. M. miał na koncie kilka aresztowań, w większości niesprawiedliwych, ale nawet wtedy, kiedy na nie zasłużył, zawsze przy nim byłam. I zawsze będę. Lojalność to dobra cecha, która w dzisiejszych czasach powoli zanika. To także dwukierunkowa droga, która moim zdaniem zawsze powinna być przejezdna. Oczywiście wystawiałam mu rachunek za każdą pomoc prawną, jakiej mu udzieliłam.

Tak samo jak on mnie. W tej kwestii byliśmy zgodni. Dzięki temu unikaliśmy nieporozumień.

Pojechałam na obrzeża miasta, do sądu do spraw przemocy wobec kobiet numer sześć przy ulicy Manuel Tovar. Wydawało mi się makabryczne, że dokładnie naprzeciwko mieści się dom pogrzebowy (osoba, która wpadła na pomysł postawienia budynków tak blisko siebie, zasłużyła na tytuł mistrza czarnego humoru), jakby z jednego miejsca przechodziło się prosto do drugiego, tyle że nie wiem, w jakiej kolejności. Nie polecam nikomu, by wybierał się w tę okolicę, jeśli nie musi. Nie jest przyjazna: wąskie szare ulice, funkcjonalne budynki, mało miejsca do parkowania. Jednym słowem, lepiej jej unikać. Dawno tam nie byłam, ale tego ranka miałam ważne spotkanie.

– Resano, María Dolores Resano – powiedziała stanowczym tonem, żeby pracowniczka ochrony wyraźnie mnie usłyszała. – Mam o dziewiątej wysłuchanie stron.

– Proszę włożyć wszystkie metalowe przedmioty do pojemnika i przejść przez bramkę – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od komputera, do którego pewnie wstukiwiała moje dane.

Prawnicy prowadzący sprawy nie muszą być badani wykrywaczem metali, ale najwyraźniej ta kobieta postanowiła zastosować własne reguły. Nie zamierzałam marnować energii, zanim jeszcze zaczęłam, więc bez szemrania przeszłam przez bramkę. Kilka sekund później odzyskałam torebkę i ruszyłam w stronę schodów. Wysłuchanie stron miało odbyć się na pierwszym piętrze.

W odróżnieniu od wielu innych sądów budynek znajdował się w dobrym stanie. Powstał już w tym tysiącleciu i nie zdążył jeszcze ulec zniszczeniu. Przemoc wobec kobiet nie była niczym nowym, za to nowe były wyspecjalizowane sądy. Po tysiącach lat agresji wreszcie pojawiło się kilka miejsc przeznaczonych do tego, by z nią walczyć. Ich powstanie stanowiło krok naprzód, choć oczywiście niewystarczający i nie dość energiczny.

Sędzia Resano była pracowitą, nudną i drobiazgową profesjonalistką. Znałyśmy się jeszcze z czasów, kiedy pracowała w sądzie przy placu Castilla. Prowadziła tam kilka spraw karnych, w których występowałam jako obrońca. Zawsze dość dobrze się dogadywałyśmy i chociaż różniły nas metody działania i charaktery, w razie potrzeby potrafiłyśmy ze sobą współpracować. Z tego, co pamiętałam, starłyśmy się tylko raz – w związku ze sprawą seryjnego mordercy, która odbiła się szerokim echem w mediach ze względu na zamieszanych w nią kilku celebrytów. Odblokowałam sprawę, a ona, zamiast mi podziękować, miała do mnie pretensje. Ale na tym się skończyło. Ogólnie biorąc, z zawodowego punktu widzenia darzyłam tę kobietę

szacunkiem i byłam pewna, że z wzajemnością. Co innego prywatnie: powiedzmy, że nie byłyśmy przyjaciółkami ani nie zamierzałyśmy nimi zostać.

Ważne było to, że kiedy dostała mój wniosek o pilne wysłuchanie stron wraz z pozwem i prośbą o zapewnienie ochrony, przyjęła go bez żadnych zastrzeżeń. Niestety przemoc wobec kobiet ma pewną szczególną cechę, która czyni ją przestępstwem jedynym w swoim rodzaju: napastnik i ofiara się znają, łączy ich silna więź emocjonalna, a do tego razem mieszkają, często mają dzieci i wiele wspólnych dóbr, jak dom. Dlatego sędziowie zazwyczaj nie podejmują ryzyka.

Kiedy skręciłam korytarzem, poczułam skurcz w żołądku. Miała to być pierwsza prawdziwa rozprawa, w jakiej uczestniczyłam po pięciu latach, ośmiu miesiącach i dwunastu dniach przerwy. Nie chodzi o to, żebym mierzyła czas, jaki upłynął od mojego ostatniego wystąpienia w sądzie. Po prostu nie mogłam przestać o tym myśleć. Zobaczyłam Conchę siedzącą na ławce przy drzwiach. Opierała się o ścianę z szeroko otwartymi oczami, jakby bała się, że zaśnie i coś ją ominie. Obok niej Sofía przeglądała papiery. Na mój widok obie wstały.

– Jak dokładnie wygląda procedura? – zapytała wprost Concha, nawet się nie witając.

– Już jej to tłumaczyłam – wtrąciła Sofía. Pokiwałam głową z serdecznością, starając się uspokoić przyjaciółkę.

– To stawiennictwo w trybie natychmiastowym – powiedziałam powoli. – Oboje składacie zeznania, a sędzia rozważa podjęcie szeregu środków zabezpieczających, w tym przyspieszenie rozprawy. Nic dramatycznego ani teatralnego.

– Tyle sama wiem – odpowiedziała Concha zdenerwowana. – Jestem lepszą prawniczką niż wy obie razem wzięte. Chodzi mi o to, czy jest jakiś sposób, żeby złożyć zeznania bez konieczności konfrontacji z Felipe. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej mi się robi niedobrze na myśl, że będę musiała opowiadać o wszystkim w jego obecności.

Wymieniłyśmy z Sofią spojrzenia. Normalne, że Concha się bała. Ja też bym się bała na jej miejscu. Ale celem tego wysłuchania stron była właśnie konfrontacja między domniemanym napastnikiem i ofiarą. Bez tego sędzi

trudniej byłoby podjąć jakiegokolwiek środki.

– Pójdzie szybko – odpowiedziałam jedynie.

Usłyszałam buty na szpilkach stukające pospiesznie na schodach. Choć o tej porze w sądzie panowało spore zamieszanie, stukanie rozlegało się wyraźnie, przebijało przez zalewający budynek hałas kroków, rozmów, dzwoniących telefonów i szeleszczących papierów. Czekaliśmy we trzy w milczeniu, aż obcasy dojdą do nas. Nie musiałam się odwracać, żeby wiedzieć, do kogo należą ani co się dzieje kilka metrów za moimi plecami. Po wyrazie napięcia na twarzy Conchy poznałam, kto się zbliża do sali: Felipe. W towarzystwie swojej adwokatki, właścicielki obcasów.

– Dzień dobry paniom – powiedział niski kobiecy głos, który słyszałam wielokrotnie w najgorszym okresie swojego życia: w czasie rozwodu. – Jeżeli są panie gotowe, wejdźmy do środka. Może uda się zaoszczędzić trochę czasu.

– Jeszcze nie zostałyśmy wezwane – odpowiedziała skwapliwie Sofía. – Brakuje kilku minut do dziewiątej.

– No cóż – odparła. – O ile mi wiadomo, nigdy nie ukarano adwokata grzywną za zbytnią punktualność.

Palmira Jiménez, jedna z najlepszych w kraju specjalistek od rozwodów i prawa rodzinnego, otworzyła oburącz drzwi do sali rozpraw i weszła do środka, a za nią jej klient. Nie wolno wchodzić do sali rozpraw bez wezwania, każdy to wie. Ale zasady tego świata nie obowiązywały Palmiry. Stałam odwrócona plecami, widziałam ich tylko kątem oka. Mignął mi płaszcz Felipe w kolorze marengo, który kiedyś wydawał mi się elegancki, ale tego ranka wyglądał jak przebranie mające podkreślić wystudiowaną skromność.

Choć nieoficjalnie, wysłuchanie stron (a przynajmniej ruch pierwszych pionków) już się zaczęło.

Musiałam wziąć głęboki oddech, żeby nad sobą zapanować i nie powiedzieć Felipe prosto w twarz, co myślę o jego zachowaniu, nie pchnąć go na ścianę przy schodach, gdzie wisiała tablica wypełniona gęsto fiszkami z numerami spraw, które miały być tego dnia rozpatrywane w tej sali. Musiałam się siłą powstrzymać, żeby nie fuknąć, kiedy poczułam jego obecność. Jestem specjalistką od fukania, gdy zachodzi taka potrzeba, ale to

nie była chyba dobra strategia na początek dnia. Powiedziałam sobie, że Felipe nie jest mężem mojej przyjaciółki ani ojcem trzech dziewczynek, które znam od małości i uwielbiam, ani nawet mężczyzną, który smażył smakowite steki, a potem cierpliwie szorował grilla. Nic z tych rzeczy. Był po prostu dupkiem, który znęcał się nad moją klientką. Zapłaci za to.

Ignorując triumfalne wejście Palmiry, która już w pierwszej sekundzie oznaczyła swoje terytorium, dałam znak Sofii, że my też powinniśmy się ruszyć.

Nasza sprawa była tego dnia pierwsza na wokandzie. Sekretarz i woźny sądowy dopiero zajmowali miejsca. Czekają również krzesła dla policjanta, na razie puste. Przystanęłam na kilka sekund w drzwiach, przyglądając się sali, bez wyrazu, jak każda sala sądowa w tym kraju. Ustawione w rzędach ławki, wysokie wąskie okna, puste stoły, słabe oświetlenie. Ciasnymi drzwiami w głębi weszła sędzia Resano. Poznałam ją od razu, choć zestarzała się bardziej, niż przypuszczałam. Może ona pomyślała to samo na mój widok – nie miałam zamiaru o to pytać. Towarzyszył jej młody blondyn w garniturze. Uśmiechał się i szeptał jej coś do ucha. Równie dobrze mógłby być jej synem. Ona słuchała go i lekko potakiwała głową. Krótkie siwe włosy przydawały jej – że tak to ujmę – dostojeństwa. Mimo to nadal była tą samą zgorzkniałą kobietą, co zawsze, tyle że o kilka lat starszą.

Podeszłam do stołu po lewej stronie i stanęłam obok Sofii i Conchy. Nie usiadłam, tylko bez pośpiechu, ostrożnie wyjęłam z aktówki dokumenty i czekałam na odpowiedni moment, żeby przywitać się z Resano. Nie chciałam łamać protokołu, ale nie chciałam też, by po tylu latach nieobecności w sądzie uznano mnie za źle wychowaną. Sędzia nie dała mi takiej szansy – nawet nie podniosła wzroku, kiedy zajmowała miejsce na krześle. Najzwyczajniej w świecie wyjęła okulary i zaczęła czytać czekające na nią dokumenty. Patrzyłam niecierpliwie w jej stronę, chciałam wreszcie powiedzieć: „Witaj, Marío Dolores” albo przynajmniej „Jak się pani miewa, pani sędzio?”. Nie miałam jednak okazji. Sofía pociągnęła mnie dyskretnie za rękaw, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale ja nie chciałam przepuścić pierwszego kontaktu wzrokowego z Resano, nie chciałam, żeby mnie zaskoczyła, dlatego ruchem ręki wskazałam mojej pomocnicy, żeby zaczekała niezależnie od tego, co miała mi do powiedzenia. W sali zapanowała cisza, wszyscy obecni wydawali się doskonale wiedzieć, co

powinni robić; nie trzeba było głośno wydawać poleceń. Moją uwagę zwrócił fakt, że blondyn w garniturze usiadł przy stole prokuratury, dwa metry dalej. Kiedy zorientował się, że go obserwuję, skinął głową. Odebrałam to jako przyjazny gest. Teoretycznie staliśmy po tej samej stronie. Nie wiem dlaczego, ale zażyłość między tym mężczyzną i sędzią, jego nienaganna fryzura i szeroki uśmiech obudziły we mnie całkowicie bezpodstawny niepokój. Wysłuchanie stron było zwykłą formalnością, nie przewidywałam żadnych problemów, a już na pewno nie między mną a prokuratorem. Z drugiej strony przyznaję, że fakt, iż większość osób na sali stanowiły kobiety, dodał mi pewności siebie. Działo się coś dobrego, skoro system sądowy przechodził pomału w ręce płci żeńskiej. To uczucie zadowolenia miało się bardzo szybko ulotnić.

– Dzień dobry, pani Tramel, od naszego ostatniego spotkania minęło dużo czasu – wypaliła sędzia bez uprzedzenia, wciąż nie racząc na mnie spojrzeć. W dalszym ciągu przeglądała leżące przed nią dokumenty.

– Dzień dobry, Wysoki Sądzie – odpowiedziałam.

Miałam zamiar dodać coś jeszcze, chciałam być uprzejma, na przykład powiedzieć jej, że miło znowu ją spotkać, nawet w tak niefortunnych okolicznościach. Ale Resano mówiła dalej, nie podnosząc wzroku znad papierów.

– Chciałabym zwrócić pani uwagę na trzy rzeczy. Po pierwsze, wysłuchanie stron w trybie pilnym nie zwalnia pani z obowiązku noszenia togi. Jak pani widzi, wszyscy prawnicy w tej sali mają je na sobie. Nie chodzi nawet o obowiązujące przepisy. To dla mnie sprawa osobista. Chodzi o starą tradycję, którą bardzo cenimy w tym sądzie, i choć tryb pilny postępowania stanowi pod tym względem powszechny wyjątek, podczas moich rozpraw używanie togi jest obowiązkowe. Ponieważ wiem, że przez jakiś czas była pani odsunięta od pierwszej linii, a konkretnie od mojej jurysdykcji, załatwimy sprawę niewielką karą administracyjną, bez większego znaczenia. Mam jednak nadzieję, że to się nie powtórzy.

– Tak, Wysoki Sądzie – odparłam. – To znaczy nie, oczywiście, że się nie powtórzy.

Wszyscy wiedzą, że nie zakłada się togi na tego rodzaju wysłuchania; tak czy owak, urzędnicy sądowi nic mi nie powiedzieli.

Spojrzałam na Palmirę, na przystojniaka z prokuratury, na sędziego – wszyscy mieli na sobie czarne togi. Nie wiem, kiedy je włożyli. Poczułam się tak, jakbym stała naga. To nie był najlepszy początek. Uwielbiam togę, mogłabym ją nosić bez przerwy, do kolacji, w kinie i oczywiście podczas bzykania (co zresztą nieraz robiłam). Nie miałam jej na sobie tamtego dnia nie z powodu zaniedbania czy braku szacunku, ale dlatego, że chodziło o rozprawę wstępną i myślałam, że nie będzie potrzebna.

– Druga sprawa: byłabym wdzięczna, gdyby pani wreszcie usiadła – ciągnęła Resano. – Nie wiem, dlaczego pani stoi, czy czeka pani na oklaski z racji powrotu do sądu, czy też ma pani jakiś problem ze zdrowiem. W każdym razie proszę, niech pani będzie tak miła i zajmie swoje miejsce tak jak pozostali obecni na tej sali.

Dały się słyszeć śmiechy i szept. Mimo że na sali było zaledwie kilka osób, czułam, że robię z siebie widowisko i że María Dolores Resano ma ochotę zabawić się trochę moim kosztem. Żeby nie pogarszać sytuacji, postanowiłam usiąść w milczeniu, niczego nie komentując. Było jasne, że Resano chciała, żebym zapłaciła za grzechy młodości.

– Wreszcie trzecia rzecz, na którą chciałabym zwrócić pani uwagę. Otóż nie podoba mi się wniosek o wysłuchanie stron w trybie pilnym – powiedziała i wreszcie spojrzała mi prosto w oczy. – Powódka złożyła kilka godzin temu doniesienie o rzekomym maltretowaniu, do którego miało dojść ponad miesiąc temu. Zważywszy na to, że nie dzieli z pozwanym miejsca zamieszkania, nie rozumiem, skąd ten pośpiech. Będę z panią szczerą: niezwykle poważnie podchodzę do przemocy wobec kobiet. Codziennie rozstrzygam w bardzo trudnych sprawach i zapewniam, że doskonale wiem, kiedy chodzi o pilny przypadek, a kiedy można zaczekać do rozprawy w trybie zwykłym.

Wyglądało na to, że ten komentarz o wszystkim przesądzał, wolałam jednak zachować tę myśl dla siebie.

– Nie dzielę miejsca zamieszkania, ponieważ pozwany siłą wyrzucił moją klientkę na bruk – zaprotestowałam.

– Proszę mi nie przerywać, kiedy mówię – skarciła mnie. – Jak pani zauważyła, nie ma tu dziennikarzy, kamer telewizyjnych ani publiczności, przed którymi musiałaby się pani popisywać swoimi małym

konwencjonalnymi metodami. To mały, skromny sąd, gdzie fajerwerki nie są mile widziane. Ograniczamy się tutaj do prawa, dlatego ostrzegam, że wystarczy najmniejszy przejaw braku szacunku czy powagi, a wytoczę pani postępowanie dyscyplinarne. Czy to jest jasne?

Concha spojrzała na mnie spanikowana. Sofía nie wiedziała, gdzie oczy podziąć. Za to Palmira zdawała się nieźle bawić.

– Czy to jest jasne, pani Tramel? – zapytała ponownie Resano.

– Bardzo jasne – odparłam.

Ta kobieta nienawidziła mnie nie z powodu jakiejś starej sprawy, nie z powodu starcia w sądzie czy mojego zachowania. Przyczyna była całkiem inna. Powiem wprost i bez ogródek: kilka lat wcześniej przespałam się z jej mężem. Byłam przekonana, że ona o niczym nie wie, teraz zrozumiałam jednak, że się myliłam: wiedziała i chciała się zemścić. Co było, przepraszam za określenie, kretynstwem. Jediną osobą, która ją okłamywała i oszukiwała, był jej mąż. Nie ja. Jeśli ktoś miał za to zapłacić, to pocziwy Adolfo, też sędzia, który był trochę nudny, kiedy miał na sobie togę, ale znacznie zyskiwał przy bliższym kontakcie, kiedy ją zdejmował. Miałam z nim krótki romans trwający zaledwie miesiąc. Na swoją obronę powiem, że skłamał, zapewniając mnie na samym początku, że jest w trakcie załatwiania separacji, a ja postanowiłam mu uwierzyć (fakt, niezbyt gorliwie starałam się sprawdzić tę informację, nie oszukujmy się; po prostu poszłam na żywioł). Tamta sprawa wystarczyłaby, żeby uzasadnić wniosek o wykluczenie Resano. Ale to oznaczałoby dalsze opóźnienia i wybór nowego sędziego, niekoniecznie bardziej sprzyjającego moim interesom. Zresztą nie podejrzewałam, żeby chciała publicznie prać brudy związane ze swoim małżeństwem, i mogłam nawet na tym coś zyskać. A Adolfo, jeśli się dobrze nad tym zastanowić, dostał już za swoje, jeżeli nadal był jej mężem.

Concha stała w czasie całego swojego zeznania. Chwilami musiała przytrzymać się stojaka od mikrofonu, żeby zachować równowagę. Opowiedziała ze szczegółami, jak Felipe uderzył ją pięścią, jak ją skopał, kiedy upadła, jak zostawił ją nagą i zakrwawioną na podłodze. Czasami przerywała, żeby napić się wody.

Drugi raz słyszałam z jej ust tę opowieść, mimo to wywarła na mnie jeszcze większe wrażenie niż poprzednio. Może przyczynił się do tego fakt, że osoba odpowiedzialna za całe to szaleństwo wszystkiemu się przyglądała i przysłuchiwała, siedząc z obojętną miną kilka metrów od nas. Istoty ludzkie nie przestają mnie zadziwiać. Patrzyłam na tego wysokiego mężczyznę o pozornie łagodnym wyglądzie, którego znałam od lat, i choć trochę mnie to kosztowało, potrafiłam sobie wyobrazić, jak wściekle tłucze własną żonę. Zaniepokoiło mnie, że mój umysł jest zdolny konstruować bez większego problemu takie obrazy. Może nie byłam aż tak bardzo odporna na potencjalne zło, jak myślałam. Wywołało to we mnie głęboki smutek.

Zobaczyłam, że Resano spogląda ukradkiem na zegarek. Postanowiłam przejść od razu do sedna sprawy. Było jasne, że jest uodporniona na horrory; codziennie miała do czynienia ze strasznymi przypadkami i nie była skłonna do wzruszeń. Chodziło jedynie o to, żeby uwierzyła Conchy. Żeby uznała za prawdopodobną jej wersję wydarzeń. Na tym nam zależało.

– Przepraszam, że zapytam wprost, pani Andújar. – Staralam się, by mój głos zabrzmiał ostro. – Dlaczego od razu nie zgłosiła pani tego, co się wydarzyło?

Dokładnie przygotowaliśmy odpowiedź na to pytanie. Ponieważ było nieuniknione, wolałam zadać je sama, żeby nie zostawiać go Palmirze. Aby zneutralizować główny argument strony przeciwnej (przynajmniej częściowo), musiałam ją ubiec.

– Bałam się, co może mnie spotkać, kiedy na niego doniosę. Bałam się

zwłaszcza o córki. Byłam przerażona. Dlatego tak zwlekałam.

– Czy teraz też boi się pani o siebie i o swoje córki?

– Codziennie wstaję z łóżka wystraszona. Mój mąż jest porywczym człowiekiem. Pobił mnie. Boję się, że może to powtórzyć.

Zrobiłam długą przerwę, żeby słowa Conchy dotarły do wszystkich zebranych. Mogłam na tym poprzestać, ale postanowiłam zadać jeszcze jedno pytanie:

– Czy to był pierwszy raz, kiedy mąż panią pobił?

– Pięć lat temu doszło do kilku incydentów z użyciem siły.

Palmira wyskoczyła niczym pocisk.

– Wysoki Sądzie, proszę mi wybaczyć, ale wcześniejsze zdarzenia nie zostały nigdzie zgłoszone, zresztą i tak uległyby przedawnieniu, o czym mecenas Tramel doskonale wie. Mamy do czynienia z rozwodem, gdzie w grę wchodzi duży majątek, ale przede wszystkim są trzy osoby nieletnie, opiekę nad którymi chce się niesprawiedliwie wydrzeć mojemu klientowi. Jakimś tajemniczym sposobem, kiedy został już złożony pozew rozwodowy, wypłynęło doniesienie o przemocy domowej. Taka strategia jest niestety stosowana częściej, niżbyśmy chcieli. Wyciąganie podczas tego posiedzenia wydarzeń, do których doszło wiele lat temu i które nawet nie zostały zgłoszone, jest niestosowne, wręcz niedopuszczalne.

– Proszę wybaczyć, pani mecenas – zwróciłam się do Palmiry – ale to nie jest pani czas na zadawanie pytań, a tym bardziej na mowę obrończą.

– To prawda, pani Tramel – wtrąciła sędzia – teraz jest pani kolej na zadawanie pytań. Ale nie pozwolę, by odnoszono się w tym sądzie do nieudowodnionych zarzutów, w dodatku niezgłoszonych. Ma pani jeszcze jakieś pytanie w kwestii, którą dziś się tu zajmujemy?

Było oczywiste, że mi nie odpuści. Nie powinnam jej jeszcze bardziej do siebie uprzedzać. Miałam nadzieję, że przynajmniej zasiałam ziarno wątpliwości w umyśle tej zasadniczej kobiety. Bez względu na to, jak bardzo mnie nienawidziła, nie dopuści, żeby prześladowca wyszedł z tego obronną ręką. Przynajmniej chciałam w to wierzyć.

– Nie, Wysoki Sądzie, skończyłam. Bardzo dziękuję.

Potem przyszła kolej na prokuraturę. Blondyn o szerokim uśmiechu, który

szeptał coś do sędzi, kiedy wchodzili na salę, nazywał się Óscar Iturbe. Został odgórnie przydzielony do tej sprawy, miał trzydzieści siedem lat i spędzał całe dnie w sądzie – właściwie tu mieszkał. Gdybym miała się zająć promowaniem wizerunku hiszpańskiego wymiaru sprawiedliwości i musiałabym wyprodukować jakąś reklamę dla telewizji, wybrałabym go na głównego bohatera. Nadawał się doskonale: był miły, schludny i nieszkodliwy. Dokładnie taki typ mężczyzny, jaki w ogóle mnie nie pociągał. Na szczęście nigdy nie podjęłabym się promowania wymiaru sprawiedliwości ani w naszym kraju, ani nigdzie indziej.

Ledwo słyszalnym głosem Iturbe zadał Conchy kilka rutynowych pytań dotyczących zgłoszenia, zanotował coś w zeszycie, dając do zrozumienia, że poważnie podchodzi do swojej pracy, i szybko zakończył ku zadowoleniu Resano, która gorąco mu podziękowała. Przed oczami stanął mi niewyraźny obraz blondasa robiącego bardzo intymne rzeczy z sędzią, która krzyczała, jęczała i dawała mu klapsy w pośladki. Jak zwykle musiałam się wysilić, by oddalić od siebie tę wizję.

Nadeszła kolej Palmiry.

– Pani Andújar, czy pani mąż zachowywał się kiedykolwiek agresywnie wobec waszych córek albo czy kiedykolwiek którąś uderzył?

Concha wyglądała na zbitą z tropu tym pierwszym pytaniem.

– Hm... myślę, że nie.

– Czy widziała pani kiedykolwiek, żeby bił wasze córki albo zachowywał się wobec nich agresywnie?

– Nie.

– Czy córki mówiły pani kiedykolwiek, że ich ojciec był wobec nich agresywny?

– Nie.

– Czy uważa pani, że w ciągu wszystkich wspólnych lat pani mąż zaniedbał w którymkolwiek momencie swoje obowiązki jako ojciec?

– Nie.

Pytania Palmiry waliły w nią niczym młot; ledwie zdążyła odpowiedzieć na jedno, już pojawiało się następne.

– Czy krzyczała pani kiedykolwiek na swoje córki albo stosowała wobec nich jakąś inną formę przemocy, pani Andújar?

– Sprzeciw, jesteśmy tutaj po to, żeby osądzić akty przemocy pana Rivasa – powiedziałam. – Przypominam państwu, że to moja klientka jest ofiarą.

– Wysoki Sądzie, to istotne pytanie. Chodzi o ocenę relacji w środowisku rodzinnym. Pani Andújar jest żoną pozwanego od ponad piętnastu lat i aż do wczoraj nigdy nie złożyła przeciwko niemu żadnego doniesienia ani jakiegokolwiek innej skargi. Mamy prawo wiedzieć, jak wyglądały jej relacje z córkami.

– Proszę odpowiedzieć – zawyrokowała Resano.

Concha wzruszyła ramionami.

– Nie, jeśli dobrze pamiętam – odparła.

– Nigdy nie krzyczała pani na córki ani nie stosowała wobec nich przemocy? – zapytała ponownie Palmira.

– Sprzeciw. Moja klientka już odpowiedziała.

– Nie wydaje się, żeby zrobiła to z dużym przekonaniem – zauważyła Palmira.

– Dosyć tego – powiedziała Resano. – Zrobimy tak: proszę pozwolić adwokatowi drugiej strony zadawać pytania i nie przerywać. Pani kolej minęła. Teraz jest czas na pytania pani Jiménez. Proszę, niech powódka odpowie.

Concha się wahała. Widziałam w jej oczach, że nie chce kłamać, że nie wie, co ma odpowiedzieć. To nie był dobry znak.

– Nie wiem, może kiedyś podniosłam na nie głos – powiedziała. – To trzy cudowne dziewczynki, ale sama pani wie, że dzieci bywają psotne.

– Czy kiedykolwiek wymierzyła pani którejś klapsa albo uderzyła którąś w twarz?

Miałam zamiar znowu zaprotestować, ale Resano uprzedziła mój sprzeciw, rzucając mi surowe spojrzenie. Lepiej, żebym nie otwierała ust.

– Musiałabym się zastanowić – powiedziała Concha. – Nie jestem zwolenniczką bicia dzieci; są inne, dużo lepsze metody wychowywania.

– Rozumiem, pani Andújar. Czy może pani stwierdzić z całą

stanowczością, że nigdy nie podniosła pani na nie ręki? Żadnego klapsa? Nic?

Concha spojrzała na mnie, szukając pomocy. Ale ja miałam związane ręce.

– Myślę, że parę razy tak.

– Parę razy co?

– Właśnie to, parę razy wymierzyłam im klapsa, dałam lekko po głowie, żeby się uspokoiły, nic poważnego.

– Ach tak. Uważa pani, że dać małej dziewczynce po głowie to nic poważnego?

– Zależy od okoliczności – zachnęła się Concha. – Ma pani dzieci?

– Jestem dumną matką dwóch synów. I mogę pani zagwarantować, że nigdy, w żadnych okolicznościach, nie podniosłam na nich ręki. Matka musi być odpowiedzialna. Dlatego też nigdy nie zostawiłam ich samych w domu, dopóki nie ukończyli czternastu lat.

Palmira była w swoim żywiole. A Resano zamierzała pozwolić jej posunąć się dowolnie daleko. Jej strategia nie polegała na negowaniu agresywnych zachowań klienta, które zgłosiliśmy, ale na zakwestionowaniu predyspozycji Conchy jako matki. Chciała odebrać jej prawo do opieki nad dziećmi. Koniec końców, to nie była rozprawa, tylko zwykłe wysłuchanie stron, na którym miały zostać podjęte decyzje dotyczące opieki nad dziećmi, korzystania z domu, a może nawet sądowego zakazu zbliżania się. Jak widać, szło jej całkiem nieźle.

– Pani Andújar – kontynuowała Palmira, przeglądając notatki – czy pamięta pani, co robiła pani w sobotni rano trzeciego października tego roku?

– W tej chwili sobie nie przypominam.

– Odświeżę pani pamięć. W tamten weekend pani mąż, pan Felipe Rivas, przebywał służbowo poza miastem. Owej soboty, po śniadaniu, wyszła pani z domu i zostawiła córki, trzy małe dziewczynki, same na kilka godzin. Czy może nam pani powiedzieć, gdzie udała się pani tamtego ranka?

– Sprzeciw! – wybuchnęłam, nie mogąc się powstrzymać i narażając się na karę za obrazę sądu albo na coś jeszcze gorszego. – Jesteśmy tu po to,

żeby rozstrzygnąć, czy mężczyzna, który siedzi tam spokojnie, pobił brutalnie moją klientkę, a potem wyrzucił ją z jej własnego domu, jak zapisano w zgłoszeniu przestępstwa. Taka linia przesłuchania oddala nas od sedna sprawy.

– Myli się pani – odpowiedziała Resano, nawet nie mrugnawszy okiem. –

Jesteśmy tu po to, by rozstrzygnąć, kto z nich dwojga będzie sprawował opiekę prawną nad dziewczynkami do czasu rozprawy sądowej. Pytania pani mecenas są bardzo na miejscu. Powtórzę ostatni raz: jeśli znowu pani przerwie, wyproszę panią z sali. Proszę kontynuować.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – powiedziała Palmira. – Może pani Tramel po prostu wyszła z wprawy, jeśli chodzi o praktykę sądową. Wracając do pytania: czy powie nam pani wreszcie, gdzie była rankiem trzeciego października?

– Byłam z przyjacielem, to nie pani sprawa – odparła Concha.

– Obawiam się, że to jest moja sprawa. Zostawiła pani dziewczynki same na prawie pięć godzin, zaniebując podstawowe obowiązki matki. Cóż to za pilna sprawa skłoniła panią do takiej nieodpowiedzialności? Kim był przyjaciel, którego pani odwiedziła?

– Osobą, z którą chciałam się zobaczyć. Byłam zmęczona, może trochę przygnębiona, chciałam pobyc z dorosłym, który by mnie zrozumiał.

– Tym dorosłym był Alejandro Tramel, pani kochanek?

Resano podskoczyła, kiedy usłyszała to nazwisko. Rzuciła mi oskarżycielskie spojrzenie, jakbym to ja była winna wszystkiemu, co się wydarzyło. Wysłuchanie stron szło coraz gorzej. Poczułam się bezsilna, pragnęłam jedynie, żeby to się jak najszybciej skończyło. Concha zwlekała kilka sekund z odpowiedzią, poruszyła lekko stopami i w końcu przysunęła się do stojącego przed nią mikrofonu.

– Kochanek nie jest właściwym słowem dla określenia naszej relacji. Alejandro Tramel był starym przyjacielem, z którym parę razy się przespałam, to wszystko.

– Czy obcowała pani płciowo z Alejandro Tramelem rankiem trzeciego października, w czasie kiedy pani córki przebywały same w domu?

Było to kompletnie nieuzasadnione pytanie, ale czułam, że nie powinnam

już więcej protestować. Musiałam ugryźć się w język. Wymieniłam spojrzenia z Conchą, nie miała innego wyjścia, jak odpowiedzieć.

– Myślę, że tak.

– Zostawiła je pani same po to, by spotkać się z kochankiem i obcować z nim płciowo?

– Tak.

– Zostawiła pani dziewczynki same, żeby przespać się z kochankiem?

– Powiedziałam już, że tak. Najstarsza ma trzynaście lat, nic im się nie stało. Zrobiłam to tylko raz, nie można oceniać człowieka z powodu jednego błędu. Jednego!

Złapałam się za głowę. Concha powiedziała prawdopodobnie jedyną rzecz, której nie powinna była mówić. Strategia Palmiry polegała na wykazaniu, że Felipe to przykładowy ojciec i nawet jeśli dopuścił się przemocy wobec żony (na co zresztą nie mieliśmy dowodów), zrobił to tylko jeden raz, popełnił jeden błąd.

– Zgadzam się z panią, pani Andújar, nie można oceniać człowieka na podstawie jednego błędu, zwłaszcza kiedy ten rzekomy błąd nie został udowodniony – kontynuowała Palmira, sięgając po to, co dostała podane na tacy. – Powiedziała pani, że tamtego ranka była pani przygnębiona. Czy opieka nad córkami panią przygnębia?

– Moje córki są najważniejsze, najważniejsze, co mam w życiu; opieka nad nimi oczywiście mnie nie przygnębia. Byłam wtedy zmęczona i trochę przygnębiona nie z powodu córek, raczej dlatego, że moje małżeństwo się rozpadało, a mój mąż okazał się brutalem, którego się bałam i nadal boję.

Palmira pokręciła głową, jakby nie zgadzała się z jej odpowiedzią.

– Tak szczerze, pani Andújar, czy uważa się pani za przykładową matkę?

– Nie wiem... Nie ma chyba idealnych matek, każda robi, co może, ale...

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – przerwała jej Palmira. – Nie mam więcej pytań.

– Nie skończyłam – zaprotestowała Concha.

– Pani wybaczy, ale owszem, skończyła pani – powiedziała Palmira poważnym tonem. – Przed chwilą przyznała pani, że krzyczała na swoje

córki i że je biła, że zostawiła je pani same, by spotkać się z kochankiem, i że nie uważa pani siebie za przykładną matkę. Być może miała pani podstawy, by oskarżyć mojego klienta o stosowanie przemocy – szczerze w to wątpię, ale nie zamierzam się o to z panią spierać. Niemniej wydaje się oczywiste, że dziewczynkom lepiej będzie z ojcem i że właśnie z nim powinny zostać do czasu rozprawy. Z drugiej strony, z racji pani wysokich dochodów, wyższych niż dochody męża, nie ma powodu, by uchylać jego prawo do korzystania ze wspólnego domu, jako że bez problemów może sobie pani pozwolić na wynajęcie innego mieszkania. Poza tym wszyscy zgadzamy się, że będzie dużo lepiej dla tej rodziny, zwłaszcza dla nieletnich, jeśli nie będą państwo utrzymywali kontaktów. Nawet powódka przyznała, że mój klient jest dobrym ojcem, który nigdy nie stosował przemocy wobec dziewczynek i zawsze o nie dbał. W moim przekonaniu sytuacja jest jasna.

– Z tego, co widzę – powiedziałam, wskazując na stół po przeciwnej stronie – pani mecenas nie tylko zakończyła przesłuchanie, ale wydała już wyrok. To wstyd, Wysoki Sądzie, że przeinaczyła fakty, by bronić agresora, który pobił bezbronną kobietę. Bo to jest w tym wszystkim najważniejsze!

– Najważniejszy jest brak dowodów na jego rzekome agresywne zachowanie – odpowiedziała Palmira – a ponieważ chodzi o odosobniony incydent niepoparty dowodami, wydawanie wzorowemu ojcu zakazu zbliżania się do córek jest pozbawione sensu.

– To nie był odosobniony incydent, na miły Bóg! – krzyknęła Concha z wściekłością i odwróciła się w stronę Felipe, bliska płaczu. – Pobiłeś mnie pięć lat temu! Uderzyłeś mnie, upokorzyłeś, a potem znowu pobiłeś...! Błagałeś, żebym ci przebaczyła, obiecałeś, że tego więcej nie zrobisz! Dlaczego? Powiedz, dlaczego?

Felipe wyprostował się lekko, wydawało się, że wybuchnie, ale Palmira uprzedziła go, nie pozwalając, żeby cokolwiek zrobił albo powiedział.

– To niedopuszczalne, Wysoki Sądzie! – zaprotestowała z udawanym oburzeniem.

Wiem, że nie powinnam była tego robić. Ale na widok Conchy, rozbitej i zgnębionej pytaniami prawniczki, coś we mnie zawrzało. Głęboko i irracjonalnie, tak że nie mogłam ani nie chciałam nad tym zapanować. Coś mającego niewiele wspólnego z profesjonalizmem.

Wstałam, popatrzyłam na Felipe, najzimniej jak potrafiłam, i nie spuszczać z niego wzroku, wycedziłam:

– Przysięgam ci, że za to zapłacisz. Nie spocznię, dopóki nie zapłacisz za wszystko, co zrobiłeś, ty skurwielu.

Sędzia Resano była wściekła, nie mogła uwierzyć w to, co się działo na jej oczach. Pokazała mi palcem i powiedziała tylko jedno słowo:

– Tramel!

Głośno zabulgotała woda w automacie. Do kartonowego kubka spłynął strumyk parującego płynu. Mocne męskie palce włożyły do środka torebkę herbaty i lekko przycisnęły ją plastikową łyżeczką; woda zabarwiła się na czerwony kolor. Óscar Iturbe sprawiał wrażenie faceta metodycznego, cierpliwego, takiego, którego trudno wyprowadzić z równowagi. Stanowisko prokuratora w sądzie do spraw przemocy wobec kobiet nie było najlepszym początkiem błyskotliwej kariery. Może się mylę, ale miałam wrażenie, że blondyn nie jest typowym urzędnikiem zadowolającym się powolnym wspinaniem się po szczeblach kariery. Podniósł kubek do ust i upił mały, niemal niedostrzegalny łyk. Przyszedł dobry moment, żeby go zagadnąć, byliśmy sami przy automacie z napojami w kąciku na pierwszym piętrze. Zresztą nie miałam innego wyjścia. Sędzia wyrzuciła mnie, Conchę i Sofię z sali i zarządziła trzydziestominutową przerwę. Potem zeznania miał złożyć Felipe, ale już bez nas. Wszystko leżało zatem w rękach prokuratury, czyli tego człowieka.

– Bez cukru? – zapytałam.

Iturbe spojrział na mnie. Nie wyglądał na zdziwionego, że go zaczepiłam. Pewnie nawet się tego spodziewał.

– Wolę gorzką – odparł. – Chcesz?

– Nie, dziękuję. Ja przeciwnie, uwielbiam cukier, jestem bardzo słodka, chociaż na pierwszy rzut oka taka się nie wydaję.

Uśmiechnął się grzecznie. Popatrzyłam na jego perfekcyjną fryzurę, białe równe zęby, nienaganny garnitur i krawat, nieskazitelnie czyste buty, jakby dopiero co kupione. Potwierdziłam swoje pierwsze wrażenie: połączenie sprzedawcy z El Corte Inglés i księgowego z międzynarodowej korporacji. Bynajmniej nie odpowiadał wizerunkowi szarego urzędnika. Spróbowałam się pocieszyć, przekonując samą siebie, że może to jeden z tych optymistów, którzy naprawdę chcą dobrze wykonywać swoją pracę.

– Nie martw się zeznaniem – powiedział uprzejmie. – Zajmę się tym, mam wprawę.

– Oboje wiemy, że to nie przejdzie – odparłam. – Resano przyzna temu nędznikowi prawo do opieki nad dziećmi, jeśli czegoś nie zrobimy.

– Sprawa nie jest jednoznaczna – powiedział z powątpiewaniem, przyznając mi rację bez jej przyznawania. – Jeżeli pozwolisz, powiem ci, że obrażanie pozwanego i grożenie mu w sądzie niezbyt nam pomoże.

– Wiem o tym. Tu masz rację. Nie mogłam się powstrzymać.

– No nic, Resano jest sprawiedliwa, a ja zrobię, co będzie w mojej mocy.

– Uwzięła się na mnie – odparłam. Postanowiłam zdradzić mu mój mały sekret. – Nienawidzi mnie, od kiedy przespałam się z tym kretynem, jej mężem.

Iturbe uśmiechnął się. Teraz faktycznie zdołałam go zaskoczyć.

– Przespałaś się z... Adolfem? – zapytał, ścisząc głos, częściowo oszołomiony, częściowo rozbawiony moim wyznaniem.

– To było dawno temu i wcale nie jestem z tego dumna. Po prostu stało się. Takie rzeczy się zdarzają.

– Jasne, tyle że Adolfo... Nie mogę uwierzyć.

– Ja też nie, prawdę mówiąc.

– Niedobrze jest łączyć przyjemności z pracą, pani mecenas – powiedział z uśmiechem i puścił do mnie oko.

Daję słowo: blondas puścił do mnie oko. Może chciał się wydać sympatyczny, a może nawet ze mną poflirtować. Jestem pewna, że miał spustoszenie wśród urzędniczek z tego budynku. Pogratulować. Ale powiedziałam już i powtórzę jeszcze raz: ten lalusz nie był w moim typie. Nie chcę stwarzać fałszywego wrażenia ani udawać kogoś, kim nie jestem – przyznaję, że pociąga mnie wiele typów mężczyzn, ale ktoś taki jak on nie wystarczyłby mi nawet na przystawkę. I co ważniejsze, byłam tam po to, żeby pomóc Conchy, nie żeby romansować z tym czy innym prokuratorem.

– Musisz wezwać córkę do złożenia zeznań – wypaliłam znienacka.

– Słucham?

– Nasza jedyna szansa to przesłuchanie najstarszej córki. Nazywa się

Jimena, znam ją dobrze i gwarantuję ci, że powie to, co powinna powiedzieć. Ja nie mogę jej wezwać, bo zostałam wyrzucona z sali, zresztą Resano i tak odrzuciłaby mój wniosek, oboje dobrze o tym wiemy.

– Nieletnia na wysłuchaniu stron? Nie wiem, nie jestem przekonany. Lepiej zaczekać z tym do rozprawy.

– Posłuchaj, nie mamy czasu, Jimena nie jest małą dziewczynką, ma już trzynaście lat. Resano się zgodzi. Jeśli córka nie złoży dziś zeznań, ten skurwysyn dostanie prawo do opieki nad dziećmi, do domu, do wszystkiego. Proces może się odwlec. To niesprawiedliwe. A przede wszystkim to nieprzyzwoite, żeby agresor wyszedł z tego obronną ręką.

– Załóżmy, że bym cię posłuchał i postanowił wezwać córkę do sądu. Nie będzie na to czasu. Wysłuchanie stron już się zaczęło. Sędzia musi podjąć decyzję dziś przed południem.

– O to się nie martw – powiedziałam, wskazując na komórkę. – Moja współpracownica odbierze ją ze szkoły i przywiezie tu w niespełna dwadzieścia minut.

Poprzedniego dnia uprzedziłam Rondę, żeby czekała przygotowana. Nie uśmiechało mi się korzystanie z pomocy tej małej, ale przede wszystkim nie chciałam dopuścić, żeby przez najbliższe tygodnie czy miesiące to Felipe opiekował się dziećmi.

– Matka się zgadza? – zapytał Iturbe.

Zastanowiłam się nad odpowiedzią. Miałam wrażenie, że może wpłynąć na jego decyzję.

– Zgodzi się. Posłuchaj. Powiedzmy, że zdaniem prokuratury przesłuchanie dziewczynki jest niezbędne dla obiektywnego oglądu sytuacji. Sędzia by nie odmówiła, nawet gdyby adwokaci rodziców byli temu przeciwni.

– Sędzia może źle odebrać wniosek złożony w ostatniej chwili. A ja muszę codziennie się z nią spotykać.

– Czasami trzeba zaryzykować, nie sądzisz?

Przystojniak cmoknął. Nie podobało mu się takie rozwiązanie.

– Reasumując – powiedział – chcesz, żebym wnioskuje o zeznania nieletniej bez wyraźnej zgody rodziców. Choć wiem, że sędzia nie lubi

niespodzianek i opóźnień. Chcesz, żebym ci uwierzył, że dziewczynka ma właściwy pogląd na sprawę i rzuci światło na to, co naprawdę zaszło w tej rodzinie, że zeznawanie w sądzie nie odbije się na jej psychice, nie poczuje się winna z powodu opowiadania obcym, co dzieje się w jej domu. A na dodatek chcesz, żebym zrobił to wszystko natychmiast.

Wypowiedziany na głos, plan nie brzmiał tak dobrze, jak rysował się w mojej głowie.

– Z grubsza o to chodzi.

– A co ja na tym zyskam? Nadal nie widzę, jakie korzyści może przynieść ten wniosek prokuraturze, a konkretnie mnie samemu.

Pytanie mnie zaskoczyło, nie spodziewałam się go.

– Szansę na zadośćuczynienie sprawiedliwości. To zyskasz.

Iturbe znowu się uśmiechnął. Gdyby chciał, mógłby wygrać konkurs na najbardziej fotogenicznego pracownika wymiaru sprawiedliwości. Pociągnął kolejny łyk herbaty. Wydawało się, że celowo odwleka podjęcie decyzji. Nakłonienie Conchy, by złożyła doniesienie, kosztowało mnie wiele wysiłku. Nie chciałam wszystkiego zaprzepaścić, musiałam przynajmniej spróbować.

– Zrobię to pod jednym warunkiem – powiedział w końcu.

– Przypominam ci, że jesteśmy po tej samej stronie.

– Chcę tylko, żebyś w zamian wyświadczyła mi przysługę.

– Jakiego rodzaju przysługę?

– Tego jeszcze nie wiem. Wcześniej czy później zgłoszę się do ciebie z jakąś prośbą. Nie mam pojęcia z jaką, w każdym razie musisz się zobowiązać, że kiedy już nadejdzie ten moment, pomożesz mi, przedkładając moje interesy nad własne.

Okazało się, że blondas ma także ciemną stronę.

– Dobra, jestem ci winna przysługę – mruknęłam.

– Jesteś mi winna wielką przysługę. I kiedy cię o nią poproszę, nie będziesz mogła odmówić. Cokolwiek to będzie – podkreślił.

Nie uśmiechał mi się taki układ, ale nie miałam wyjścia.

– Cokolwiek to będzie – zapewniłam.

Podaliśmy sobie ręce, poczułam jego zimną, gładką skórę i pomyślałam, że prokurator nie jest tym, na kogo wyglądał na pierwszy rzut oka. Ten uścisk dłoni oznaczał, że jeszcze się spotkamy. Poczułam lekki niepokój na myśl o tym, o co mógłby mnie poprosić.

– Złożę wniosek o przesłuchanie dziewczynki – powiedział, dopijając herbatę. – Skończyła dwanaście lat, Resano nie powinna robić większych problemów. Ty załatw, żeby ktoś odebrał ją ze szkoły i jak najszybciej przywiózł do sądu. Dobrze by było, gdyby matka wyraziła zgodę albo przynajmniej nie zgłaszała sprzeciwu.

– Zajmę się tym – powiedziałam.

Iturbe wyrzucił kubek do kosza na śmieci i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę sali. Byłam pewna, że zdoła przekonać Resano.

Natychmiast wybrałam numer telefonu. Po kilku sekundach usłyszałam głos Rondy:

– Jak poszło? – zapytała.

– To jeszcze nie koniec. Musisz natychmiast pojechać po Jimenę i przywieźć ją do sądu. Kiedy się rozłączę, zadzwonię do szkoły, żeby nie robili ci problemów.

– Już tam jadę – odpowiedziała, nie zadając więcej pytań. – Wiem, że to nie jest właściwy moment, ale Gerardo jeszcze nie przyjechał i nie odbiera telefonu. Pomyślałam, że chciałabyś to wiedzieć.

– Dzięki, Rondo, zajmiemy się tym później. Teraz do dzieła.

Rozłączyłam się i ruszyłam w stronę sali, gdzie powinny czekać Sofía i Concha. Doskonale wiedziałam, że moja przyjaciółka nie będzie chciała, by jej córka zeznawała w sądzie. I że obiecałam jej, że w miarę możliwości postaram się tego uniknąć. Ale to była nasza ostatnia szansa. Szczerze mówiąc, wcale nie miałam pewności, co odpowie Jimena na pytania sędzi. Po prostu miałam nadzieję, że wyzna prawdę.

Po drodze wybrałam bezpośredni numer szkoły Santo Ángel. Na wszelki wypadek miałam go pod ręką. Po trzech sygnałach usłyszałam męski piskliwy głos. Przypuszczam, że odebrał recepcjonista.

– Santo Ángel, słucham.

– Dzień dobry – powiedziałam. – Chciałabym rozmawiać z panią dyrektorką

Romero.

– Pani dyrektor jest w tej chwili zajęta. Bardzo proszę zostawić swoje dane, przekażę jej wiadomość. Oddzwoni do pani, jak będzie mogła.

– To bardzo pilne. Jestem adwokatem Conchy Andújar i muszę natychmiast porozmawiać z dyrektorem Romero.

Po chwili krępującej ciszy mój rozmówca odpowiedział:

– Łączę.

Musiałam poczekać. Z telefonem przy uchu skręciłam za róg; były tam Concha i Sofía. Podeszłam zdecydowanym krokiem do przyjaciółki i gestem nakazałam im milczenie. W końcu usłyszałam głos w telefonie.

– Dzień dobry, tu Romero, powiedziano mi, że to jakaś pilna sprawa.

– Tak – odparłam donośnym głosem, żeby słyszała mnie także Concha. – Bardzo pani dziękuję, że znalazła pani dla mnie chwilę. Proszę sekundę poczekać, już daję do telefonu panią Andújar.

Zasłaniając mikrofon, wyciągnęłam rękę z komórką w stronę Conchy. Instynktownie cofnęła się o krok, jakby przeczuwała, że to, co powiem, nie spodoba się jej.

– Musisz z nią porozmawiać – szepnęłam. – To dyrektorka Santo Ángel. Musisz poważnić Rondę do odebrania i przywiezienia tu Jimeny.

Concha zmieniła się na twarzy.

– Powiedziałam ci, że nie...

– Posłuchaj mnie, zanim odmówisz – przerwałam jej stanowczo. – Za chwilę stracimy prawo do opieki nad dziećmi, Felipe dostanie dziewczynki, dom, wszystko. Jediną nadzieją jest zeznanie Jimeny. Miesiącami ukrywałeś przede mną swój związek z Alem, nawet po tym, kiedy zatrzymano go za morderstwo. Wiesz doskonale, że powinnaś była mi o wszystkim powiedzieć, mimo to nie usłyszałaś ode mnie żadnej wymówki. Teraz proszę cię, żebyś wykazała trochę rozsądku i posłuchała swojej adwokat. Jimena nie jest już małym dzieckiem, to rozsądna nastolatka, potrafi odróżnić dobro od zła, wie doskonale, co jest dla niej korzystne. Resano musi usłyszeć to z jej ust. Nie robisz tego dla siebie. Robisz to dla swoich córek. Mówię bardzo poważnie. Jeśli nie weźmiesz teraz telefonu, twój mąż, sukinsyn, który zatruł ci życie, dalej będzie robił to, co chce. Proszę.

– Obiecałaś mi, że nie będą zeznawać.

– Obiecałam ci, że się postaram. Tylko Jimena. Młodsze nawet się nie dowiedzą.

Concha z obawą wzięła ode mnie telefon. Nie była do końca przekonana. Musiałam zachęcić ją ruchem dłoni, żeby wreszcie wykrztusiła z siebie słowo.

– Mari Luz? – zapytała.

Dyrektorka musiała jej coś odpowiedzieć. Concha wyjaśniła, że za chwilę koleżanka z pracy przyjedzie po Jimenę. Kiedy kończyła rozmowę, wymieniałam spojrzenia z Sofią.

– Myślisz, że Resano zgodzi się przesłuchać małą? – zapytała.

– Jeśli poprosi o to prokuratura, myślę, że tak.

– Nie wiedziałam, że przyjaźnisz się z blondynem – powiedziała Sofía z odrobiną sarkazmu w głosie.

– Droga Sofío, dobra z ciebie adwokatka, ale jest dużo rzeczy, o których nie wiesz. Nieważne. Z czasem się nauczysz.

– Rzeczy takich jak wymyślanie w sądzie pozwanemu? Nie znałam takiej taktyki.

– Rezerwuję ją na poniedziałkowe poranki. Przestań wreszcie pleść bzdury i zrób coś pożytecznego. Podejź pod salę i sprawdź, co się dzieje, czy prokuratura złożyła już wniosek o wysłuchanie nieletniej, a przede wszystkim czy Resano się zgodziła. Nie traćmy czasu.

– Tak, lepiej, żebyś ty się tam nie pokazywała – odpowiedziała i ruszyła w stronę sali rozpraw.

Może pozwolą jej zajrzeć do środka. Ładna, słodka buzia bywa bardziej przekonująca niż rzeczowe argumenty.

Concha oddała mi komórkę, stałyśmy, jakby czekając, aż coś się wydarzy.

– Nic nie wychodzi tak, jak planowałam – pożaliła się przyjaciółka.

– Mogłabym powiedzieć to samo o ostatnich latach mojego życia – odparłam lakonicznie.

Drzwi otworzyły się bardzo wolno. Pierwsza wychynęła zza nich trzynastoletnia dziewczynka o smutnych oczach. Ze sposobu, w jaki patrzyła, wywnioskowałam, że to nie było dla niej przyjemne doświadczenie. Za nią pojawił się Iturbe, spokojny, nieporuszony. Wychodzili z małego gabinetu, w którym składała zeznania przed sędzią, w obecności tylko ich dwojga. Tak postanowiła Resano.

Jimena poszukała wzrokiem matkę i podbiegła do niej. Padły sobie w objęcia. Concha uniosła córkę i pocałowała ją.

– Wszystko dobrze, kochanie? – pytała raz po raz, bolejąc, że zostawiła ją samą w gabinecie.

Dziewczynka – wysoka, smukła, o ciele nabierającym powoli kobiecych kształtów, wkraczająca w młodzieńczy wiek – nie odpowiadała, w milczeniu rozpaczliwie czepiając się matki. Nie widziały się od wielu dni. Wydawało się, że bardzo się za sobą stęskniły. Odniosłam wrażenie, że Jimena jest w wieku, w którym zależnie od okoliczności można być albo małą dziewczynką, albo dorosłą kobietą. Teraz drżała, bezbronna.

Iturbe czym prędzej znalazł się przy nich, demonstrując udawane zaniepokojenie – ten człowiek był jedną wielką fasadą.

– Będziecie mogły widywać się raz w tygodniu do czasu zakończenia rozprawy – powiedział. – Tylko tyle udało mi się wywalczyć. Trzeba będzie wyznaczyć jakąś osobę trzecią, która będzie przewoziła nieletnie, żeby strony nie musiały się bez potrzeby kontaktować.

– O czym ty mówisz? – zapytałam, nie rozumiejąc, a raczej nie chcąc zrozumieć.

Stojąca pół metra dalej Concha pogładziła córkę po włosach.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – zapewniła.

– Przepraszam – powiedziała Jimena bliska płaczu. – Nie chcę, żeby

wsadzili tatę do więzienia.

– Nie przejmuj się, nie masz za co przepraszać – odparła matka, czując, że pęka jej serce.

Teraz zrozumiałam. Dziewczynka nic nie powiedziała, nie zdradziła tego, co wie, nie była zdolna tego zrobić, nie potrafiła albo nie chciała mówić źle o ojcu. W związku z tym Resano zdecydowała, że do czasu rozprawy wszystko zostanie tak jak dotąd.

– Cholera! – krzyknęłam.

– Nie mów brzydkich słów, Ano.

Spojrzałam na Jimenę uczeptioną matki, zamkniętą w jej objęciach; to ona zwróciła mi uwagę.

– Masz rację, przepraszam – powiedziałam. – Bardzo dobrze ci poszło, jesteśmy z ciebie bardzo dumne, byłeś bardzo dzielna.

Wzruszyła ramionami, nie miało to dla niej znaczenia. W tym momencie chyba w ogóle nic nie miało dla niej znaczenia; skupiła się wyłącznie na bliskości i oddechu matki. Iturbe zawołał mnie na bok, kilka metrów od Conchy i dziewczynki.

– Ponieważ chodzi o stawiennictwo w trybie pilnym, jak wiesz, nie możemy wnieść apelacji – powiedział. – Przynajmniej wydała zakaz zbliżania się i kontaktowania stron do czasu rozprawy, dla dobra nieletnich. Matka będzie mogła widywać się z córkami raz w tygodniu, w niedziele.

– Co z domem?

– Reszta zostaje bez zmian. Dopóki dzieci będą z ojcem, on ma prawo do korzystania z domu. Tak najczęściej bywa w podobnych przypadkach. Posłuchaj, wszystko wskazuje na to, że jest dobrym ojcem, nawet dziewczynka tak powiedziała, nie sądzę, żebyśmy mieli powody do zmartwienia.

– Przecież dopuścił się, kurwa, przemocy, złożono na niego skargę. Jak to nie mamy powodów do zmartwienia?

– To rzekomo jednorazowe zajście, a skarga została wniesiona po złożeniu pozwu rozwodowego, nie ma dowodów ani świadków, niczego. Wiem, że to twoja przyjaciółka, ale sama przyznaj, że coś tu śmierdzi. Nie ma podstaw, żeby przyznać jej prawo do opieki nad dziećmi, dopóki nie zapadnie

ostateczna decyzja. On latami bez zarzutu wypełniał rolę ojca, a ta cała sprawa z kochankiem i zostawieniem dziewczynek bez opieki... No cóż, powiedzmy, że Resano nie lubi frywolności.

– Nazywasz frywolnością to, że mężczyzna bije swoją żonę, bo ta ma romans z innym? Albo jeszcze lepiej: bije ją, bo jest sfrustrowany własnym życiem? Nazywasz frywolnością strach, w jakim od lat żyje ta kobieta? O czym my, kurwa, mówimy?

– Zrobiłem wszystko, co mogłem.

– Niewiele, jeśli mam być szczerą.

– Nie wyżywaj się na mnie. Zjawiasz się jak Feniks z popiołów, owiana legendą wybitnej prawniczki, i chcesz, żebyśmy wszyscy bili ci pokłony. Przypomnę, bo może zapomniałaś, że są zasady, są procedury, są prawa.

– Jesteś tchórzem. Gdybym ja tam była, nie odważyłaby się wydać takiego orzeczenia.

– Tu akurat masz rację: gdybyś ty tam była, pewnie nawet nie pozwoliłaby matce widywać córek raz w tygodniu ani nie wydałaby zakazu zbliżania się, a co najważniejsze, nie zgodziłaby się na przeniesienie sprawy rozwodowej do tego sądu. Resano wykazała rozwagę, a mnie udało się uzyskać znacznie więcej, niżbyś załatwiła ty. Dziewczynka nie chciała oskarżać ojca, ale dzięki mnie sędzia jej wysłuchała. Czy ci się to podoba, czy nie, nadstawiłem za ciebie karku. Mamy umowę. Wisisz mi przysługę. I zamierzam ją wyegzekwować.

Pokiwałam głową, przyjmując ciosy prokuratora, najchętniej jak potrafiłam. Na razie skończyłam z blondasem. Miałam na głowie ważniejsze sprawy. Prześladowało mnie wrażenie, że jestem w cyrku z kilkoma arenami i że na żadnej nie dzieje się to, co powinno.

W korytarzu pojawili się Palmira i Felipe. Jej obcasy i udawany spokój malujący się na jego twarzy sprawiły, że aż podskoczyłam. Podeszli do Conchy i Jimeny.

– Bardzo mi przykro, pani Andújar, ale córka musi wrócić z ojcem do szkoły – powiedziała Palmira.

– Oczywiście – odparła Concha.

Jimena jeszcze mocniej przywarła do matki, oplatając ją rękami i nogami,

nie pozwalając, by je rozdzielono.

– Daj już spokój, kochanie, musisz teraz wrócić do szkoły – powiedziała Concha łagodnie.

– Chcę, żebyś ty mnie zawiozła!

– Ale to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo... bo ja muszę wracać do pracy. Tata cię zawiezie.

– Powiedziałam nie!

Krzyki Jimeny odbiły się echem w całym budynku, przyciągając uwagę przechodzących w pobliżu osób. Pomyślałam, że tak naprawdę to ja ponoszę winę za tę scenę, za to, że Jimena musi się teraz rozstać z matką. Może byłam zbyt naiwna, wierząc, że mój plan się powiedzie, że prokurator dopilnuje, aby zostały podjęte właściwe środki zabezpieczające, że Resano przedłoży dobro nieletnich nad niechęć do mojej osoby, że trzynastoletnia dziewczyna będzie doskonale wiedziała, co odpowiedzieć na pytania sędzi. Powinnam była wyrazić się jaśniej, kiedy prosiłam Jimenę, żeby mówiła szczerze; w końcu miała już wystarczająco dużo lat, żeby zrozumieć pewne rzeczy. Powinnam była dokładnie jej wytłumaczyć, że musi opowiedzieć o krzykach i rękoczynach ojca, o wszystkim, co widziała i słyszała przez ostatnie lata. Ale nie chciałam na nią naciskać, żeby nie stresować jej jeszcze bardziej przed spotkaniem z sędzią. Teraz żałowałam. Należało wziąć ją w obroty. Nie jestem psychologiem dziecięcym, ale czułam przez skórę, że ta mała jest w pełni świadoma wszystkiego, co się dzieje, i że chroniła ojca wiedzona wyłącznie naturalnym instynktem, który każe nam, istotom ludzkim, nie przyjmować do wiadomości, że nasi rodzice mogą dopuszczać się karygodnych czynów.

– Nie chcę! – powtórzyła.

Sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna.

Concha nie mogła uwolnić się od córki, która płakała, krzyczała i czepiała się jej z całych sił. Reszta, łącznie z Felipe, przyglądała się scenie, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

– Dosyć już tych wygłupów, Jimeno – powiedział wreszcie Felipe władcym tonem. – Natychmiast puść matkę.

Spojrzeliśmy po sobie zdziwieni: do tej pory Felipe, pewnie za radą swojej adwokat, był nieobecny, milczący.

– Nie chcę! – krzyknęła Jimena.

– Daj jej jeszcze chwilę, Felipe, proszę – powiedziała Concha.

– Nie będziesz mi mówiła, co mam robić – rzucił groźnie.

– Lepiej będzie, jeżeli już pójdziemy – wtrąciła Palmira, starając się uspokoić nastroje.

– Nie ruszę się nigdzie bez córki – oświadczył Felipe.

– Co ci zależy – zaprotestowała Concha. – Zostaw mnie z nią na trochę.

– Powiedziałem ci już: nigdy więcej nie będziesz mi mówiła, co mam robić.

Atmosfera stawała się coraz gorętsza. Co, jeśli dobrze się nad tym zastanowić, wcale nie musiało być takie złe. Dostrzegłam dla nas mikroskopijną szansę i zdecydowałam, że ją wykorzystam. Postanowiłam wsunąć stopę w szparę w uchylonych przed chwilą drzwiach i zobaczyć, co jest za nimi. Pewnie nic z tego nie wyjdzie, ale musiałam spróbować.

– Bo jeśli nie, to co? – zapytałam prowokująco.

Felipe odwrócił się w moją stronę. Wcześniej ani razu na mnie nie spojrzał.

– Chodźmy stąd, nie odpowiadaj – przestrzegła go Palmira. – Później odbierzemy dziewczynkę.

– Właśnie, lepiej będzie, jak sobie pójdiesz. Dobrze wiemy, że jesteś odważny wobec kobiet tylko wtedy, kiedy zostajesz z nimi sam na sam – rzuciłam.

– Nie połknę przynęty, ty gnido – wybełkotał Felipe.

– Chodźmy, proszę – powtórzyła prawniczka.

– Nazwałś mnie gnidą? – zapytałam. – Z tego, co wiem, jedyną gnidą spośród obecnych tu osób jesteś ty. Tylko to potrafisz robić z kobietami? Grozić im i je bić?

Felipe wydmuchnął powietrze nozdrzami. Brakowało mu niewiele. Jeszcze tylko jedno małe szturchnięcie. Nie tylko ja zdałam sobie z tego sprawę. Concha zrobiła krok naprzód, wciąż obejmując córkę, i stanęła przed

nim twarzą w twarz. Palmira chwyciła swojego klienta za płaszcz, żeby go odciągnąć. Na próżno. Felipe kipiał.

– Co rozpowiadasz na prawo i lewo? – zapytał Conchę. – Ostrzegałem cię, żebyś niczego nie mówiła, bo pożałujesz. Ostrzegałem cię!

– Prawdę. To im powiedziałam. I nie waż się podnosić ręki na dziewczynki, bo cię zabiję.

– Nie mów tak przy Jimenie!

Concha podeszła jeszcze bliżej męża. Felipe zapewne czuł jej oddech na twarzy. Jego duma, jego chore wyobrażenie o hierarchii i relacjach w rodzinie nie mogły znieść takiego afrontu, a już zwłaszcza publicznie.

– A ty mnie nie dotykaj! Dziewczynki się ciebie boją, nie widzisz?

– Powiedziałem, żebyś się zamknęła. Nie opowiadaj takich rzeczy przy Jimenie!

– Będę mówić, co chcę! Ja i dziewczynki się ciebie boimy, ty tchórze!

Dalej wszystko potoczyło się jak na zwolnionym filmie. Felipe odepchnął Palmirę, uwalniając się od niej, i podniósł prawą rękę. Zaciśnął dłoń w pięść i uderzył nią żonę w sam środek twarzy. Concha przewróciła się do tyłu, pociągając za sobą córkę, którą wciąż trzymała w objęciach. Jej głowa uderzyła o marmur, wydając głuchy, głośny dźwięk.

Jimena krzyknęła, upadając na podłogę:

– Mamo!

Felipe krzyknął także:

– Zobacz, co narobiłaś! Możesz być z siebie zadowolona!

Stanęłam między nimi, na wypadek gdyby Felipe chciał ją jeszcze raz uderzyć. Wytrzymałam jego rozwścieczone spojrzenie.

– Mnie też będziesz bić, ty byku?

Chyba właśnie zamierzał. Na pewno miał na to ochotę. Podbiegło do nas dwóch policjantów. Złapali go od tyłu i unieruchomili. Budynek był pełen strażników, policjantów, sędziów i prawników. Trudno o gorsze miejsce na napaść.

Felipe nie spuszczał ze mnie przekrwionych oczu, żyły nabrzmiały mu na szyi, pulsowały mu skronie. Chociaż życzyłam temu łajdakowi jak najgorzej,

nagle przed oczami stanęły mi miłe chwile, które razem spędziliśmy, kolacje, obiady, grille, wycieczki, podróże, zabawy z dziewczynkami. Nie do wiary, w kogo się zamienił, albo raczej kim był przez cały ten czas, tyle że ja niczego się nie domyślałam. Nie wiemy nic o innych. Taka jest prawda.

Zanim go zabrano, wymieniłam spojrzenia z Palmirą, która nie mogła uwierzyć, że w niespełną minutę cała jej praca poszła na marne. W momencie, kiedy Felipe ją odepchnął, złamała sobie jeden z tych swoich niebotycznych obcasów. Utykając, podążyła za klientem, którego wywlekano z budynku.

Pochyliłam się, żeby sprawdzić, co z Conchą. Trudno uwierzyć, ale Jimena nadal ją ścisnęła, jakby nawet trzęsienie ziemi nie mogło ich rozdzielić. Iturbe kucał przy Conchy i ostrożnie unosił jej głowę. Jimenie nic się nie stało; matka zamortyzowała upadek. Conchy leciała krew z nosa, na głowie miała guza, ale nie straciła przytomności ani – jak wyczytałam z jej spojrzenia – ochoty, by stawić czoło każdemu, komu będzie trzeba.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam.

– Lepiej niż kiedykolwiek – odpowiedziała z uśmiechem, nie zważając na płynącą z nosa krew.

– Zniknął.

– Jak to zniknął? – zapytałam.

Ronda i Sofia wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Było oczywiste, że wiedzą coś, czego ja nie wiedziałam. Znajdowałyśmy się w głównym i jedynym gabinecie naszej nowej kancelarii. Po zejściu w sądzie Felipe trafił na dwadzieścia cztery godziny do aresztu za użycie przemocy wobec swojej żony (udowodnione niezbitcie przez świadków i kamery monitoringu). Okolicznością obciążającą była recydywa – skarga wniesiona w weekend wreszcie się na coś przydała.

Sędzia Resano wezwała nas na następny dzień o tej samej godzinie. Jeśli nie wydarzy się coś nieoczekiwanego, miała przyznać Conchy opiekę nad dziećmi do czasu rozprawy. Sytuacja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Jedno uderzenie, a konkretnie cios pięścią, okazało się bardziej rozstrzygające niż jakikolwiek prawny argument czy uzasadnienie. W zaistniałej sytuacji Concha poprosiła mnie o przenocowanie jej i dziewczynek. Oczywiście nie miałam nic przeciwko temu. Nigdy bym nie pomyślała – nawet w najdziwniejszych fantazjach – że to stare mieszkanie stanie się schronieniem dla wdowy, sieroty i ofiary przemocy domowej z trzema córkami. Zawsze wydawało mi się raczej miejscem bardziej odpowiednim na spotkania Anonimowych Alkoholików albo na imprezy dla ludzkich śmieci wszelkiej maści niż na kryjówkę porzuconych kobiet w najszerszym tego słowa znaczeniu. Generalnie nie przepadam za melodramatami, a jeszcze mniej za psychodramą. Już sama myśl, że kilka cierpiących kobiet spotyka się (a raczej siedzi sobie na głowie) w jakimś celu, choćby po to, żeby się nawzajem wspierać, budziła we mnie wstręt, nad którym nie potrafiłam zapanować. Za chwilę miała się zjawić Concha z potomstwem. Byłam gotowa zrobić wszystko, byle tylko jej pomóc. Chociaż nie powiedziała mi o swoim romansie z Alem, zawsze przy mnie była, wyciągała do mnie rękę za każdym razem, kiedy tego potrzebowałam,

nie musiałam jej nawet prosić. Najwyraźniej ona też dowiedziała się dopiero po śmierci Alego, że mój brat ma syna. Ukrywał to przed nią podczas ich potajemnych spotkań. A teraz wszystkie miałyśmy znaleźć się pod jednym dachem.

Zanim przyjedzie Concha z córkami, postanowiłam zająć się pozwem, który przygotowywaliśmy i który ponad wszelką wątpliwość utknął w martwym punkcie; zabrnęliśmy w ślepy zaułek. M. przyniósł w południe rzeczy Alego, poza tym musieliśmy jeszcze dokładnie przestudiować listę osób, które odwiedziły koszary w dniu jego zatrzymania. Czekaliśmy dużo pracy, a teraz doszło jeszcze kolejne zmartwienie: poczciwy Gerardo zniknął bez śladu.

Popatrzyłam na moje – nazwijmy to – współpracowniki.

– Ludzie nie znikają – zauważyłam.

Sofía wymieniła kolejne spojrzenie z Rondą i w końcu powiedziała:

– Wczoraj wieczorem miał partię pokera. Może nadal gra.

Spróbowałam wstrzymać oddech i policzyć do dziesięciu.

– Chcesz mi powiedzieć, że Gerardo od wczoraj wieczorem gra w karty?

– Nie wiem, to tylko jedna z możliwości. Nie mam pojęcia – odpowiedziała Sofía zakłopotana.

– Spodziewam się, że to żart, niesmaczny, ale żart. Wyraźnie mi powiedziałam, żeby więcej nie grał... Czy jesteście świadome tego, że wypowiedzieliśmy wojnę imperium hazardu? Że cała ta sprawa, cała ta kancelaria, kręci się wokół osoby, która została zniszczona przez hazard?

– Jesteśmy tego świadome, Ano – wtrąciła Ronda. – Gerardo ma swoje problemy, jak każdy, zdaje się, że był winien jakieś pieniądze. Obiecał nam, że to już ostatnia partia.

Ogarniał mnie coraz większy gniew.

– Wiedzieli o tym wszyscy poza mną? Myślicie, że to zabawa? Czy nikt nie rozumie, co przytrafiło się Alejandrowi?

– Chciał z tym zerwać – próbowała usprawiedliwiać go Sofía.

Ulubione zdanie każdego nałogowca. Chcę z tym zerwać. Musiałam pohamować wzbierającą we mnie wściekłość. Nie wiedziałam, czy bardziej

złościł mnie fakt, że to przede mną ukryli czy że Gerardo powtarzał błędy mojego brata, w dodatku pod moim nosem. Tego było za wiele. Kolejna udręczona dusza do odkupienia. Czy nie możemy po prostu skupić się na sprawie jak normalni prawnicy, którzy zwyczajnie wykonują swoją pracę? W porządku, wiedziałam doskonale, że nie jesteśmy normalnymi prawnikami, byliśmy raczej grupą straceńców chwytających się brzytwy, ja pierwsza.

Spróbowałam na chwilę się opanować, na zimno ocenić sytuację. Właściwie niemal nie znałam Gerarda. Wiedziałam, że pochodzi z Grenady, Kordoby czy innego miasta w tamtej okolicy, że sam opłacił sobie studia, że dzieli z kimś mieszkanie w centrum i że nosi okropne krawaty. Niewiele więcej. Przyznam, że byłam bliska tego, żeby przejść nad jego historią do porządku dziennego, umyć ręce. Jeżeli wpakował się w problemy z powodu hazardu, niech sam sobie radzi; mieliśmy pilniejsze sprawy na głowie. Spojrzałam na jego puste biurko i przebiegło mnie coś na kształt dreszczu. Gdzie może być teraz Gerardo, co się z nim dzieje, dlaczego nawet nie zadzwonił? No więc dobrze, spróbowałam, ale nie potrafiłam się na niego wypiąć, nie mogłam beczynnie patrzeć, jak idzie na dno. Jeszcze gdy byłam dzieckiem, ojciec zarzucał mi, że jestem zagorzałą obrończynią przegranych spraw. Nie pomylił się zbyttno. Nie mówił tego z dumą; kładł raczej nacisk na problemy, jakich miał mi przysporzyć w przyszłości taki charakter. No cóż, przyszłość nadeszła dawno temu. Choćby miało mnie to kosztować mnóstwo czasu, wysiłku, a może i pieniędzy, spróbuję wybawić z opresji mojego smarkatego, głupiego młodszego prawnika i niestety również współnika.

– Gdzie jest rozgrywana ta partia?

– Nie wiem – powiedziała Sofía.

– Nie mam pojęcia – dodała Ronda. – Gerardo mówił coś o jakiejś willi na obrzeżach miasta. Nigdy nie podał żadnego nazwiska ani adresu.

– Myślę, że to jest to samo miejsce, w którym czasami grywał twój brat – powiedziała Sofía zmieszana.

Pokręciłam głową. Jeszcze o czymś mi nie powiedzieli?

– Doskonale. Zadzwoń do M., opowiedz mu wszystko, co wiecie o tej partii. Niech sprawdzi, gdzie się odbywa – poleciłam Rondzie. – Aha, kiedy

tylko się dowie, niech po mnie przyjedzie.

– W porządku. Dzięki, Ano.

Nie chciałam, żeby mi za cokolwiek dziękowano. Wystarczy, jeśli wokół przestaną narastać problemy.

– Daj spokój. A w przyszłości nie ukrywajcie przede mną takich rzeczy.

Podczas gdy Ronda próbowała namierzyć M., poszłam z Sofią do kuchni przejrzeć rzeczy osobiste Alego. Poprosiłam sekretarkę, żeby nikt nam nie przeszkadzał, dopóki nie pojawi się nasz kochany detektyw z adresem miejsca, w którym rozgrywana jest partia pokera.

Zamknęłyśmy drzwi i spojrzałyśmy na leżący na stole worek z zapięciem strunowym. Na wierzchu przyklejona była kartka z nazwiskiem: „Alejandro Tramel”. I numerem identyfikacyjnym. Chociaż odkąd się to wszystko zaczęło, wielokrotnie powtarzałam sobie na głos, że jest inaczej, Ale nie był tylko klientem, był także moim bratem i kiedy to do mnie docierało, czułam ból. Z jakiegoś powodu na widok rzeczy, które miał przy sobie w chwili śmierci, zrobiło mi się słabo i poczułam, jak wywracają mi się wnętrzności.

Ruchem głowy wskazałam Sofii, żeby otworzyła. Od razu zrozumiała. Starannie układała wszystko na stole: zeszyt, długopisy: dwa niebieskie i jeden czerwony, banknot pięcioeurowy, kilka monet, dowód osobisty z odklejonym chipem, stary model nokii, jakiego pewnie już od dawna nie sprzedawano, zegarek marki Chronotech ze skórzanym paskiem, posrebrzany sygnet z wygrawerowanym krzyżem, metalowy złoty breloczek w kształcie tarczy, do którego przyczepione były cztery klucze, do połowy opróżnioną paczkę chusteczek i czarny żeton do kasyna o wartości stu euro. Można by powiedzieć, że te rozrzucone na blacie przedmioty streszczały jego życie.

– Dlaczego dowód jest bez chipu? – zapytałam.

– Nie wiem – odparła Sofia, podnosząc dokument z przesadną ostrożnością.

– Wiem, że nie wiesz – powiedziałam. – Pytam, bo chcę, żebyś poszukała odpowiedzi. Zacznij od koszar. Może z jakiegoś powodu tam został.

– Kiedy wymieniasz dowód, zatrzymują stary chip.

– Raczej nie o to chodzi, ale i tak zapytaj. I jeszcze jedno: nie musisz trzymać go dwoma palcami za róg, nie szukamy odcisków palców, pewnie

już zostały zdjęte. Możesz dotykać tych rzeczy bez obaw.

– Jak chcesz.

W ciągu kolejnych minut obejrzałyśmy dokładnie po kolei wszystkie przedmioty, choć na pierwszy rzut oka wydawało się, że niczego nam to nie wyjaśni. Żeton z kasyna ważył więcej, niż myślałam. Położyłam go na dłoni; był zimny. Uznałam, że skoro Ale nie wymienił go na pieniądze, musiał mieć dla niego wartość sentymentalną. Albo po prostu nie zdążył. Żeton był okrągły, niemal cały czarny, nie licząc małego srebrnego fragmentu. Bardzo mi się podobał. Oczyma wyobraźni zobaczyłam brata, jak wyklada ten albo inny, podobny, ryzykując utratę pieniędzy, których nie miał. Czytałam gdzieś, że w kasynach nie gra się bezpośrednio pieniędzmi, przede wszystkim po to, żeby gracze stracili świadomość rzeczywistej wartości tego, co ryzykują. Nie wiem, czy to prawda, ale faktycznie z punktu widzenia podświadomości (nie znoszę słowa „podświadomość”, nie przychodzi mi jednak do głowy żadne lepsze), czym innym jest postawienie stueurowego banknotu, a czym innym takiego ładnego plastikowego żetonu.

Odłożyłam go na bok i skupiłam się na zeszytce. Nie był to żaden dziennik ani nic w tym rodzaju, tylko gładki blok, w którym Ale nabazgrał kilka rysunków. Gdy tylko go otworzyłam, od razu rozpoznałam charakterystyczne szkice wykonane długopisem. Kiedy mieliśmy po kilkanaście lat, Ale spędzał całe dni na rysowaniu. Stało się to niemal jego obsesją. Wydawało się oczywiste, że w przyszłości zajmie się czymś związanym z malarstwem albo projektowaniem; zresztą, o ile dobrze pamiętam, dostał się na Akademię Sztuk Pięknych. Tyle że wszelkie prognozy dotyczące mojego brata były z góry chybione. Był nieprzewidywalny i niezdecydowany, a do tego zmieniał zdanie tak często, że nie dało się za nim nadążyć. Pewnego pięknego dnia przestał rysować, ot tak, po prostu, bez żadnych wyjaśnień. Kiedy go o to zapytałam, wzruszył ramionami i powiedział, że mu się znudziło. Cały Ale. Marnujący swój talent, swój czas, a na dłuższą metę także i swoje życie. Nie wiem, czy w ostatnich latach wrócił do rysowania, ale najwyraźniej temu właśnie oddawał się w godzinach poprzedzających samobójstwo. Na pierwszej stronie zeszytu widniał ociekający śliną, otwarty pysk psa szczerzącego kły, gotowego pożreć każdego, kto na niego spojrzy. Rysunek był niedokończony, schematyczny, a jednocześnie hipnotyzujący.

– Musimy sprawdzić, czy to rysunki Alejandra – powiedziała Sofía. – Może zapytajmy jakiegoś eksperta albo grafologa.

– Nie trzeba nikogo pytać. On je narysował.

Przerzuciłam stronę: niemal identyczny rysunek, ale tym razem nad pyskiem widniały oczy, a raczej dwa symetryczne, pocieniowane owale, które można było zinterpretować jako parę przymrużonych, groźnych ślepi, przynajmniej ja tak to odebrałam. Niewykluczone, że ponieważ wiedziałam, w jakim momencie zostały narysowane, automatycznie wydały mi się bardziej mroczne, ale nawet jeśli spojrzeć obiektywnie, miały w sobie coś złowieszczego.

Kolejne strony niewiele się różniły. Ale dodawał albo eliminował jakiś szczegół, nie wprowadzał jednak istotnych zmian. Nie wydawało się też, żeby rysunkami rządziła jakaś prawidłowość – kolejny niekoniecznie musiał być dokładniejszy niż poprzedni. Na żadnej z dwunastu kartek, które zabazgrał, nie było całej głowy psa. Poszczególne elementy po prostu pojawiały się i znikwały. Na niektórych stronach łeb przedstawiony został z boku albo pod kątem, na innych od przodu, czasami dochodziły szpiczaste uszy albo błysk na kle, ale zawsze, na każdym z rysunków, otwarty groźnie pysk stanowił epicentrum, z którego zdawało się wychodzić wszystko inne.

– Miał dobrą rękę – szepnęła Sofía. – To znaczy do rysowania.

– Gdybyś chciała odebrać sobie życie, po co miałabyś w kółko rysować jakiegoś psa? – zapytałam. – Mój brat nie przepadał za psami. O ile wiem, nigdy żadnego nie miał.

– To nie jest pies – powiedziała Sofía, wskazując przedostatni rysunek, może najdokładniejszy ze wszystkich dwunastu.

Ponownie mu się przyjrzałam. Pysk wyglądał tak, jakby pies miał zaraz wyskoczyć z bloku i odgryźć rękę temu, kto patrzył zbyt długo. Spojrzałam z zaciekawiona na Sofię.

– Co masz na myśli?

– Spójrz na te uszy i kły – powiedziała.

– I co?

– To wilk.

Powiedziała to tak, jakby różnica była nie tylko oczywista, ale też

kluczowa dla zrozumienia wymowy rysunku – oczywiście przy założeniu, że jakiś sens w nim tkwił. Przyjrzałam mu się jeszcze raz z tej nowej perspektywy. Sofia miała rację: Ale na krótko przed tym, jak powiesił się na własnym pasku, rysował wilka.

Wpatrzyłam się w szkice z jeszcze większą uwagą, o ile było to w ogóle możliwe. Na ostatniej stronie pozostały już tylko kły, reszta zniknęła – albo po prostu Ale nie zdążył dokończyć rysunku. W mojej pamięci ożyły obrazy: las, wilk, chowające się wystraszone dzieci. Zakręciło mi się w głowie. Od lat o tym nie myślałam, teraz też nie był najlepszy moment, żeby sobie wszystko przypominać. To nie miało żadnego związku ze sprawą, chodziło o bardzo dawne wspomnienia, z wczesnego dzieciństwa, już zapomnianego, kiedy żyli jeszcze oboje rodzice, a ja i mój młodszy brat zawsze trzymaliśmy się za ręce, niemal w dosłownym znaczeniu tego zwrotu. Wymazałam te obrazy i skupiałam się na tym, co miałam przed oczami.

Zamknęłam zeszyt. Nie lubię wilków, nie miałam ochoty dłużej patrzeć na tę groźną paszczę. Może moglibyśmy pokazać rysunki jakiemuś psychologowi albo znajomym Alego z ośrodka pomocy. Chciałam się jeszcze nad tym zastanowić.

Obejrzałam pobieżnie chronotecha (był to trzeci zegarek Alego, jaki widziałam w ciągu ostatnich kilku dni – obsesja na punkcie czasu albo zwykły przypadek) i breloczek, po czym przeszłam do rzeczy najważniejszej: komórki. Mój pierwszy były mąż – daruję sobie epitety – mawiał, że ludzie dzielą się na dwie kategorie: tych, którzy od razu zjadają żółtko jajka, i tych, którzy zostawiają je sobie na koniec, by mieć świadomość, że najlepsze jest dopiero przed nimi; robią sobie duże nadzieje, które czasami (aż nazbyt często) się nie spełniają. Z jakiegoś powodu to zdanie wryło mi się w pamięć i od czasu do czasu je sobie przypominam. Ja bezsprzecznie należę do drugiej grupy.

Sofia włączyła telefon Alejandra.

– Jeszcze działa – stwierdziła zaskoczona. – Widać, że niedawno był ładowany.

– W ciągu ostatniego miesiąca pewnie wielokrotnie go włączano i sprawdzano. Dziwi mnie, że w ogóle nam go oddali.

– Potrzebny jest PIN.

Pokazała mi wyświetlacz, na którym rzeczywiście widniała prośba o hasło. Pomyślałam, że zapytam Helenę; powinna je znać. Przypomniałam sobie jednak numer, którego używał Ale, kiedy byliśmy młodszy. Chociaż kiedyś nie było potrzeba tylu PIN-ów, mój brat zawsze wstukował te same cztery cyfry, w bankomatach czy gdzie indziej. Wpisałam je: 8448. Telefon się odblokował. Data urodzenia naszej matki. Może to i prawda, że pod pewnymi względami ludzie nigdy się nie zmieniają.

Weszłam do głównego menu: było w czym myszkować. Wysłane i odebrane wiadomości, zdjęcia, kontakty. To urządzenie mogło nam powiedzieć o Alem więcej niż jakikolwiek przedmiot czy jakakolwiek osoba. W pierwszej kolejności poszukałam zapisanych plików audio; liczyłam, że znajdę nagranie, które puścił mi Moncada. Istniały niewielkie szanse, mimo to poczułam lekkie rozczarowanie, kiedy okazało się, że folder jest pusty. Żadnego pliku. Nic. To byłoby zbyt proste. Jeżeli to nagranie kiedykolwiek tam było, ktoś się postarał, żeby zniknęło.

– Coś nie tak? – zapytała Sofía na widok mojej miny.

– Przegraj zdjęcia, i wszystkie wiadomości i kontakty – odpowiedziałam.
– Uporządkuj je według związku z hazardem i dat i przygotuj mi raport. Niech ci nie umknie żaden szczegół.

Telefon przeleżał ponad miesiąc w koszarach. Na pewno zbadali go już różni eksperci. Mogli skopiować albo wykasować, co tylko chcieli. Skoro go nam oddano, to znaczy, że niewiele było w nim do znalezienia, ale nie należało niczego z góry przesądzać. Powinniśmy sprawdzić wszystko raz i drugi. Zawsze istniała szansa, że natrafimy na jakiś na pozór niewinny szczegół, który oni przeoczyli albo który naprowadzi nas na nowy trop.

– Trochę mi to zajmie – powiedziała Sofía na widok licznych folderów.

– Masz coś lepszego do roboty?

Zanim zdążyła zaprotestować, drzwi kuchni otworzyły się i wyjrzały zza nich płochliwe oczy Heleny. Obok stał Martín. Oboje zdumieli się na mój widok. Ostatnio rzadko rozmawiałam z moimi gośćmi. Może to dziwne, ale myślę, że w miarę jak nasze śledztwo posuwało się naprzód, obecność wdowy coraz bardziej mnie krępowała, z coraz większym trudem przychodziło mi wtajemniczenie jej w postępy działań. Wiem, że to nielogiczne. Podejrzewam, że powodem było moje rosnące poczucie winy

wobec Alego, przede wszystkim jednak powstrzymywał mnie brak dobrych wiadomości. Skoro mogłam jej powiedzieć jedynie tyle, że utknęliśmy w ślepych zaułku, wolałam nie mówić nic. Nie oznacza to, że się nie widywałyśmy i nie odzywałyśmy do siebie. Mieszkałyśmy pod jednym dachem; absurdem byłoby jej unikać, chociaż może podświadomie (znów to słowo) tak robiłam. Kiedy stanęła w drzwiach kuchni, poczułam, że przyłapała nas na gorącym uczynku. Choć przecież to nonsens – nie robiłyśmy nic złego, nawet jeśli wszystkie te przedmioty należały do jej zmarłego męża, a my oglądałyśmy je obojętnie w poszukiwaniu jakiegoś tropu.

– Przysłano nam z koszar rzeczy Alejandra; przed chwilą je dostarczono – starałam się wytłumaczyć, patrząc na Helenę. – Jeżeli czujesz się na siłach, dobrze by było, gdybyś też je przejrzała i powiedziała nam, co wiesz o każdej z nich, żeby nam nic nie umknęło. Każdy szczegół może okazać się pomocny.

– Mama – powiedział zdumiony Martín, wskazując komórkę w ręku Sofii.

Chłopiec musiał rozpoznać telefon ojca i wydało mu się dziwne, że mamy go my. Helena powiedziała do niego coś po polsku i malec spuścił wzrok. Potem podeszła do stołu, gdzie leżała reszta rzeczy Alego. Nie musiała nic mówić, od razu było widać, że rozpoznała niektóre z nich. Ostrożnie wyciągnęła rękę i sięgnęła po sygnet, topornie wykonany, na pierwszy rzut oka niewiele wart. Dla niej był jednak ważny. Kiedy go dotykała, przesuwając opuszką palca po krzyżu, uznałam, że nie jestem gotowa na łzawą scenę pod tytułem „Wdowa ogląda rzeczy należące do zmarłego męża”. Wydawała się bliska płaczu. Tego było za dużo dla mojej wrażliwej duszy.

– Jeżeli przyjdzie ci do głowy coś, co mogłoby pomóc w sprawie, jakkolwiek drobiazg, daj znać Sofii – powiedziałam, zamierzając opuścić kuchnię.

Podeszłam do drzwi, nie czekając na odpowiedź: Helena nadal wpatrywała się w sygnet jak zahipnotyzowana. Już miałam wyjść do przedpokoju, kiedy coś mnie zatrzymało. Martín złapał mnie rączkami za spodnie i znów pokazał telefon w rękach mojej współpracownicy.

– Mama – powtórzył, nie odrywając wzroku od starej nokii.

– Tak, dobrze, tak – odparłam, nie wiedząc za bardzo, co mówię. Chciałam tylko uciec jak najdalej od tej rodzinnej sceny, dramatycznej, a przede wszystkim niezręcznej. – Sofío, daj chłopcu na chwilę komórkę.

Wykonałam biodrem ruch godny baletnicy z Teatru Bolszoi i delikatnie wyswobodziłam się z uścisku Martina, który nie spuszczał wzroku z telefonu. Wychodząc z kuchni, dostrzegłam jeszcze, że chłopiec bierze komórkę, i usłyszałam, jak powtarza trzeci raz:

– Mama.

Poza ograniczonym zasobem słownictwa mój bratanek (chyba pierwszy raz używam wobec niego tego określenia, nie czując się jak oszustka) posiadał godną pozazdroszczenia umiejętność dążenia do celu, kiedy się na coś uparł. To u nas rodzinne. Zostawiłam ich tam, zamknęłam drzwi i wzięłam głęboki oddech. Wykręciłam się od łzawej sceny. Wiem, że za moimi słowami, za moim pozornym sarkazmem czy nawet cynizmem kryło się również cierpienie, ale wolałam zachować je dla siebie, odłożyć do nieprzepuszczalnej przegródki, że tak to ujmę.

Spojrzałam w głąb przedpokoju: przez uchylone drzwi gabinetu padało słabe światło. Nie zdążyłam tam dojść, kiedy rozległ się dzwonek domofonu. Ostry, jakiego się już nigdzie nie słyszało. Znieruchomiałam niczym kłusownik. Ronda podniosła słuchawkę. Usłyszałam jej głos pytający, kto tam, potem zapadła cisza, w czasie której pewnie wcisnęła biały guzik i zaczęła, żeby upewnić się, że ci na dole zdążyli pchnąć drzwi i wejść do budynku.

– To Concha z dziewczynkami – powiedziała Ronda głośno, żebym mogła ją usłyszeć.

Stałam w przedpokoju, nie wiedząc, co zrobić. Moja sekretarka, kierowniczka biura, czy jak się teraz nazywała, mówiła do mnie przez drzwi. Nie zdziwiło mnie, że wie, że tam jestem, że ukrywam się przed niezwykłym wrażeniem, które ogarnęło mnie, kiedy zaczęłyśmy przeglądać rzeczy mojego brata: wrażeniem, że jestem dokładnie w centrum tego wszystkiego, podczas gdy tak naprawdę miałam ochotę zniknąć.

– Otworzysz im? – zapytała Ronda zza uchylonych drzwi.

Poczułam pokusę, żeby uciec, zamknąć się w łazience z kostkami mydła i uniknąć spotkania z dziewczynkami. Nie byłoby to jednak honorowe

rozwiązanie. Znalazłam się w pułapce. Zebrałam siły i postanowiłam dzielnie znieść wkroczenie Conchy i jej dzieci do mojego mieszkania. Byłam przygotowana – albo i nie – na kolejny wzruszający moment: zaraz zjawią się tu dziewczynki, które znam od ich narodzin, zdeorientowane, może wystraszone, zwłaszcza najstarsza, po tym jak była w sądzie świadkiem scysji między rodzicami, której nie zapomni do końca życia. Cios zadany Conchy przez Felipe był czymś znacznie więcej niż tylko gestem; na pewno stanie się częścią składową, zapewne centralną, edukacji emocjonalnej Jimeny. Nie wiem, w jakim stopniu miałabym ponosić winę za ten nieprzyjemny incydent, do którego doszło na jej oczach, ale zamierzałam wziąć to na siebie. Nadal uważałam, że doprowadzenie do tej sytuacji było jedynym sposobem na przywrócenie ładu, przynajmniej tymczasowo.

Usłyszałam kroki i głosy, otworzyłam drzwi, nie czekając, aż zadzwonią. Mała Aitana od razu rzuciła mi się na szyję.

– Ana, będziemy mieszkały razem i codziennie będziesz mnie zawoziła do szkoły, i będziemy robiły konkursy tańca przed pójściem spać! – zawołała.

– Cudownie – powiedziałam oniemiała.

– Aitano, mówiłam ci już, że zostaniemy tu tylko dwa, trzy dni – wtrąciła Concha.

Ja myślałam, że spędzą tu tylko tę jedną noc. Jutro sędzia miała zdecydować o wprowadzeniu środków zabezpieczających. Uznałam jednak, że lepiej będzie, jeśli nic nie powiem.

– Ja chcę mieszkać z ciocią Aną! – zaprotestowała najmłodsza dziewczynka.

– Ja też! – powiedziała Rosa, średnia z sióstr, skacząc po przedpokoju. – Ale fajny stary dom! Są tu tajemne przejścia? I strych?

– Tak, i lochy dla niegrzecznych dziewczynek – mruknęłam.

Aitana i Rosa wszczęły coś w rodzaju bójki, popychając się i krzycząc.

Jimena stała w drzwiach wejściowych. Nie odezwała się dotąd ani słowem. Prawdopodobnie nadal była pod wrażeniem tego, co wydarzyło się rano. Najwyraźniej wkroczyła już w przekłętą nastoletniość, cudowny wiek, w którym milczenie i wymówki stają się sposobem kontaktu ze światem. Concha spojrzała na mnie, dając mi do zrozumienia, żebym się nie

przejmowała.

Wszystkie cztery miały zamieszkać tu, w moim domu.

– Cudownie – powtórzyłam.

– Co cudownie? – zapytała Rosa.

– Wszystko, skarbie. Cudownie, że skaczecie, że ze mną zamieszkacie, że możemy być razem – odpowiedziałam, starając się, by w moich słowach nie było nawet cienia ironii, co, przyznam szczerze, sporo mnie kosztowało.

– Ana, zaczynamy od razu konkurs tańca? – zapytała Aitana.

Na szczęście Concha pospieszyła mi z pomocą.

– Żadnych tańców – powiedziała, wtaszczając do mieszkania dwie walizki. – Musimy rozpakować bagaże, odrobić lekcje, wykąpać się, zjeść kolację i iść spać. Jimeno, bądź łaskawa wejść wreszcie do środka.

– Tyle rzeczy do zrobienia! – zaprotestowała najmłodsza dziewczynka. – Ja wolę tańczyć.

– Ja też! – powiedziała jej siostra.

Znowu zaczęły się przepychać, nie wiem już, czy to była bójka, czy taniec, czy obie te rzeczy naraz. Wreszcie Rosa tak mocno złapała Aitanę za włosy, że ta wybuchnęła płaczem.

– Mamo! – krzyknęła.

Concha musiała je rozdzielić.

– Mówiłam wam, żadnego gryzienia i ciągnięcia za włosy!

Bądź co bądź, była to dobra rada. Podczas gdy moja przyjaciółka próbowała zapanować nad młodszymi dziewczynkami, ja podeszłam do Jimeny.

– Mam dla ciebie osobny pokój, z komputerem, telewizorem i ogromnym łóżkiem – powiedziałam. – Chcesz zobaczyć?

Wzruszyła ramionami, nie okazując bynajmniej entuzjazmu, i odpowiedziała lakonicznym:

– Okej.

Byłam gotowa oddać Jimenie własną sypialnię, żeby choć trochę poprawić jej humor, ale najwyraźniej i to nie na wiele się zdało.

– Co to, to nie – wtrąciła się Concha i spojrzała na mnie, nie puszczając młodszych dziewczynek. Domyśliła się, co zamierzam. – Ty śpisz w swoim łóżku, a my cztery jakoś pomieścimy się w salonie. Rozłożymy materace na podłodze, jak na biwaku, i przez dwie noce wszystko będzie wspólne.

– Ja nie chcę spać na podłodze! – zaprotestowała natychmiast Rosa.

– Ja też nie! – zawtórowała jej Aitana.

Zwabiony krzykami Martín otworzył drzwi kuchni i zajrzał do przedpokoju. Popatrzył na Rosę i Aitanę, jakby były kosmitkami. Zaskoczone dziewczynki na chwilę znieruchomiały. Zlustrowały go wzrokiem i znowu się zaczęło:

– Ten chłopiec to twój syn, Ana?

– Ile ma lat?

– Dlaczego ma takie jasne włosy, skoro ty masz ciemne?

– Umie już mówić?

– Jak ma na imię?

– Nie – wymamrotałam. – Jego matka ma na imię Helena, a ja jestem... no tak, ja jestem jego ciocią.

– Tak jak naszą! – powiedziała Rosa.

Drzwi otworzyły się teraz na oścież i pojawiła się w nich także matka chłopca.

– Jakie ma jasne włosy! – zauważyła natychmiast Aitana. – Masz na imię Helena? Jesteś mamą chłopca z jasnymi włosami? Też mieszkasz tu z nami?

Helena spróbowała się uśmiechnąć, oszołomiona tym niespodziewanym przesłuchaniem. Concha spojrzała w głąb kuchni ponad jej ramieniem. Z miejsca, w którym stałam, nie widziałam dokładnie, ale przypuszczam, że zobaczyła Sofię i rozłożone na stole rzeczy Alego. Wyraz jej twarzy uległ zmianie – jakby powoli się kurczyła. Pewnie ona także rozpoznała niektóre z przedmiotów należących do mojego brata; w końcu byli kochankami na krótko przed jego śmiercią. Zadałam sobie pytanie, czy poczciwa Helena wie coś o tym albo czy chociaż się domyśla. Dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, że przyjąłam pod swój dach żonę i kochankę mojego drogiego braciszka. Może to jednak nie był najlepszy pomysł.

Chciałam wyjaśnić, co robią tu te rzeczy, z jakich powodów wszyscy, a raczej wszystkie, znalazłyśmy się w tym przedpokoju tego grudniowego popołudnia (i prawdopodobnie będziemy się tu spotykać przez najbliższe dni). Nie wiedziałam dobrze, od czego zacząć, a właściwie nie miałam na to najmniejszej ochoty. Problem z wyjaśnieniami jest taki, że niezależnie od tego, jak dobrze zostaną przedstawione, w końcu zawsze brzmią jak usprawiedliwienia.

Na szczęście Ronda uwolniła mnie od tych krzyżujących się spojrzeń. Z gabinetu w głębi przedpokoju dobiegł jej donośny, wyraźny głos.

– Ano, dzwonił M.! Już dojeżdża, będzie za dwie minuty, możesz schodzić na dół!

Uczepiłam się jej słów, jakby chodziło o jakiś pilny rozkaz. W pewnym sensie rzeczywiście tak było.

– Wybaczcie, muszę iść... Same słyszałyście – powiedziałam. – Concha, czujcie się jak u siebie w domu. Heleno, zostaną u nas kilka dni, to wspaniała wiadomość, prawda?

Wiem, że dziewczynki znowu zaczęły krzyczeć, że Helena coś powiedziała, ale nie czekałam, aż skończy. Błyskawicznie znalazłam się przy drzwiach i wyszłam, najszybciej jak umiałam, tak żeby nikt ani nic nie mogło mnie zatrzymać.

Bluszcz piał się po starej fasadzie i wciskał w szczeliny, torując sobie drogę przez popękana miejscami białą farbę. Z ulicy dało się zobaczyć tylko pierwsze piętro, cztery duże okna zasłonięte żaluzjami; betonowy mur ogradzający teren zasłaniał cały parter. Wyglądało na to, że na posesję można się dostać jedynie przez zieloną metalową furtkę. Sądząc po wystającym zza ogrodzenia figowcu, musiał być tam też jakiś ogród albo podwórko. Zmierzchało, na ulicy zapaliły się latarnie.

– Alfredo Friman, pięćdziesiąt cztery lata, urodzony w Buenos Aires, ale całe życie mieszka w Hiszpanii, sto trzydzieści kilo chodzącego cholesterolu, alias Argentyńczyk. Trzykrotny rozwodnik. Czwórka dzieci. Obecnie żonaty z dwudziestoczteroletnią Dominikanką. Wielokrotnie aresztowany za pranie brudnych pieniędzy, nielegalny hazard i ustawianie wyników wyścigów.

– Wyścigów koni? – spytałam zaciekawiona.

– Chartów – uściślił M.

– Wciąż organizuje się wyścigi chartów?

– Każdy pretekst jest dobry, żeby postawić pieniądze.

Siedzieliśmy w chevrolecie M. trzydzieści metrów od starej, zaniedbanej willi stojącej niedaleko autostrady na Barcelonę, zaledwie trzy kilometry od zjazdu na La Pioverę. Z zewnątrz willa wyglądała jak dziesiątki innych domów na tym osiedlu. Nie odznaczała się niczym szczególnym, nie była ani większa, ani nowsza. Jeden tylko detal odróżniał ją od reszty. Drobnej budowy mężczyzna w okularach, ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy przeglądał gazetę przy furtce. Nic nadzwyczajnego, jeżeli ktoś nie wiedział, co dzieje się w środku.

– Parkuje samochody, pilnuje budynku i robi za chłopca na posyłki, jeśli zajdzie potrzeba – wyjaśnił M., wskazując gościa z gazetą. – Pracuje dla Frimana.

– Wprost marzę, żeby go poznać – powiedziałam.

– Nie zaprosiłbym go do siebie na Wigilię – odparł detektyw. – Trzy lata temu zetknąłem się z Alfredem Frimanem podczas sprawy o wymuszenie pieniędzy od pewnego przedsiębiorcy, dawnego klienta. Nie mogę podać ci szczegółów, ale uwierz mi: nie patyczkuje się z tymi, którzy są mu coś winni.

– Ja nie jestem mu nic winna.

– Całe szczęście. To jeden z najbardziej znanych „gospodarzy” w Madrycie, stary wyjadacz, wszyscy z tego świata odnoszą się do niego z szacunkiem, czy to szczerze, czy ze strachu. Wypala trzy paczki ducadosów dziennie, bez przerwy się opycha, ma bzika na punkcie młodych dziewczyn, podobno każdego ranka pije kawę z viagrą. Zarabia kupę kasy, ale ma jeden drobny problem: jest uzależniony od hazardu. Przegrywa wszystko, co zarobi.

– Friman jest nałogowym hazardzistą? – zapytałam zdziwiona. – Myślałam, że dla kogoś takiego to jedynie interes, że on sam nie gra, nie stawia, tak jak dilerzy nie zażywają tego, czym handlują.

– Ten gość jest większym hazardzistą niż wszyscy jego klienci razem wzięci. To worek nałogów. Jeżeli może cię oszukać, zrobi to bez mrugnięcia okiem. Sprzedałby rodzinę, żeby tylko móc dalej grać. Aha, jest też bukmacherem.

– Co to oznacza?

– Że jeśli chcesz obstawić zakłady w jakiegokolwiek dziedzinie sportu o jakiegokolwiek porze dnia z pominięciem fiskusa, to jest odpowiedni człowiek. Dużo ludzi obstawia u niego zakłady, oczywiście na czarno. Obraca przemysłową ilością pieniędzy.

– Myślałam, że takie rzeczy dzieją się tylko w filmach klasy B.

– Dzisiaj w Madrycie rozgrywanych jest ponad dwadzieścia nielegalnych partii pokera, i mówię tylko o tych, o których wiem. Podczas niemal wszystkich można też obstawić wyniki meczów piłki nożnej, tenisa, koszykówki... wyścigów chartów. Wszystkiego.

– Dlaczego reszta śmiertelników nic o tym nie wie?

M. wykrzywił twarz, jakby nie spodobało mu się moje pytanie.

– Cóż mam ci powiedzieć, Ano. Nie reklamują się w telewizji. W tym

świecie wiadomości przekazywane są pocztą pantoflową. Możesz zagrać tylko wtedy, kiedy kogoś znasz. Zauważ, że zazwyczaj gra się na kredyt, udzielany wyłącznie na słowo.

– To dość ryzykowne.

– Ryzykowne, nielegalne i niebezpieczne. Pewnie na tym polega cała zabawa, cholera wie.

Ponownie spojrzałam na fasadę willi. Nawet gdybym mijala ją tysiące razy, nie domyśliłabym się, że za tym ogrodzeniem rozgrywane są najwyżej obstawiane partie pokera w mieście. Z tego, co wiedziałam, Gerardo siedział tam od niemal dwudziestu czterech godzin. Prawdopodobnie nie był w najlepszym stanie.

– Powinnam wiedzieć coś jeszcze, zanim wejdę?

– Moim zdaniem w ogóle nie powinnaś przechodzić przez tę furtkę. Nie mogę iść z tobą. Nie wiem, czy cię wpuszczą, ale na pewno nie zrobią tego, jeżeli zjawisz się w obstawie ochroniarza. Zakładam, że nie zdołam cię przekonać, żebyś zrezygnowała.

– Muszę wyciągnąć stąd tego chłopaka.

M. skinął głową.

– Kiedy będziesz już w środku, przez cały czas pamiętaj, że wszystko, co dzieje się w tych czterech ścianach, jest nielegalne.

– Będę pamiętać.

– Nie wiem, czy na coś ci się to przyda, ale nawet jeżeli nie będziesz grała, nie zapominaj o dwóch podstawowych zasadach początkującego hazardzisty. Zasada numer jeden: nigdy nie proś nikogo o pieniądze. Zasada numer dwa: nigdy nie pożyczaj nikomu pieniędzy. Potraktuj to szerzej: nie zobowiązuj się, nawet słownie, do czegoś, czego nie będziesz mogła zrobić.

– Dzięki.

Wysiadłam z chevroleta i zanim podeszłam do willi Argentyńczyka, ostatni raz spojrzałam na M.

– Mój brat też tu grał?

– Podobno. Jeśli chcesz, mogę to sprawdzić.

Lekko skinęłam głową, zamknęłam drzwi samochodu i ruszyłam w stronę

domu. Zdążyłam zrobić trzy kroki, kiedy dziwaczny ochroniarz podniósł wzrok i spojrzał na mnie znad gazety. Szłam spokojnie w jego kierunku. Byłam ciekawa. I trochę zaniepokojona. I przyznam szczerze, że również lekko wystraszona. Rozejrzałam się na obie strony i przeszłam przez ulicę, starając się, żeby wyglądało to naturalnie – jakbym chodziła tędy codziennie. Rozważyłam różne scenariusze tego, co czeka mnie w willi. Najbardziej prawdopodobna była wersja, że Gerardo przegrał dużą sumę i że mimo to – a może właśnie dlatego – gra dalej. Najpierw będę musiała przekonać go w obecności nieznajomych, żeby przerwał grę i poszedł ze mną. Potem będę musiała przekonać Frimana, żeby pozwolił mu się wycofać, i obiecać, że zapłaci mu później. Czułam przez skórę, że żadna z tych dwóch rzeczy nie pójdzie łatwo.

– Dobry wieczór – powiedziałam, siląc się na najlepszy ze swoich uśmiechów.

Mężczyzna złożył gazetę i spojrzał na mnie nieufnie.

– Dobry wieczór – odpowiedział, nie ruszając się z miejsca. Miał trudny do zidentyfikowania akcent. Chyba z Europy Wschodniej, ale nie byłam pewna. Wpatrywał się we mnie zza swoich małych okularków; chyba nie zamierzał ot tak, po prostu otworzyć mi furtki.

– Przyszłam zobaczyć się z przyjacielem – powiedziałam. – Nazywa się Gerardo. Jest w środku.

– Gerardo, hę?

– Tak, jestem jego dziewczyną.

Facet nadal nie ruszał się z miejsca, nie miał najmniejszego zamiaru podejść do furtki.

– Nie ma go. Wszedł jakiś czas temu. Gerardo.

Powiedział to zupełnie naturalnie. W pierwszej chwili nawet mu uwierzyłam. Pomyślałam, że może się pomyliliśmy, że M. nie miał dokładnych informacji i że Gerardo rzeczywiście się zmył, kiedy już przegrał. W sumie byłoby to całkiem niezłe rozwiązanie. Jeśli naprawdę tak się stało.

– Szcupły, dwadzieścia parę lat, raczej niski – tłumaczyłam, prawą ręką wskazując, jakiego mniej więcej jest wzrostu. – Zawsze nosi okropne

krawaty.

– Ach, ten Gerardo. Smarkacz – powiedział niemal ze śmiechem, jakby wcześniej był przekonany, że rozmawiamy o kimś ważnym, i poczuł ulgę, kiedy dowiedział się, o kogo tak naprawdę pytam.

– Właśnie. Smarkacz – potwierdziłam, uznając, że ten przydomek idealnie pasuje do Gerarda. Również się roześmiałam, licząc na to, że śmiech połączy nas ponad słowami.

Mimo to gość wciąż nie ruszał się z miejsca.

– Proszę wybaczyć, że to powiem, ale jest pani trochę... jak na dziewczynę Smarkacza, dlatego nie skojarzyłem... No pięknie, wcale nam się nie pochwalił.

– No cóż. Zależy, jak na to spojrzeć – powiedziałam, starając się pohamować. Facet zaczynał mnie wkurzać.

Dlaczego przy wszystkich drzwiach, furtkach i tym podobnych zawsze trafiałam na największych tępaków? To jakiś międzynarodowy spisek, żeby wystawić mnie na próbę? Ten prostak się nudził i postanowił pogadać trochę z nową osobą, zanim wpuści ją do środka.

– Pani wybiera mu krawaty? – zapytał.

Tego było już za wiele. Basta!

– Otworzy mi pan wreszcie furtkę czy będziemy tu gawędzić przez całą noc?

W końcu się ruszył. Zrobił krok w tył i wskazał na chevroleta.

– Kim jest ten facet w samochodzie? – zapytał.

– To mój kierowca.

– Będzie tak czekał, dopóki pani nie wejdzie?

– Oni tak mają. Widzi pan, to pradawny rytuał. Kierowca prowadzi samochód, wiezie mnie, gdzie mu każę, czeka, ile trzeba, aż skończę robić to, po co przyjechałam, i odwozi mnie z powrotem. Klarowny, wygodny układ, oboje wiemy, czego się trzymać.

Przyjrzał mi się, jakby nie był pewien, czy się z niego nie nabijam.

– Powiedziała pani, że jak się pani nazywa?

– Nie powiedziałam tego. Nazywam się Ana Tramel.

Facet wytrzeszczył oczy.

– Tramel?

Było oczywiste, że nie pierwszy raz słyszy to nazwisko. Nawet ton głosu mu się zmienił. Poprawił okulary, jakby szukał czegoś w moim sposobie poruszania się, mówienia, może w moich rysach.

– Ana Tramel – powtórzyłam.

– Zadzwoń. Proszę tu zaczekać.

Odszedł na bok i wybrał numer w komórce. Może dzwonił do kogoś w willi, żeby spytać, czy może mnie wpuścić. Miał za zadanie pilnować wejścia. To nie był lokal otwarty dla publiczności. Jeżeli facet pełnił także funkcję ochroniarza, niewykluczone, że miał broń. Tak czy inaczej, nie był tylko parkingowym odprowadzającym samochody gości, na jakiego wyglądał na pierwszy rzut oka.

Wrócił do miejsca, w którym stałam, schował komórkę do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki, którą miał pod płaszczem przeciwdeszczowym (operacja zajęła mu ponad minutę), wreszcie powiedział:

– Musi pani chwilę zaczekać.

– Słucham?

– Teraz nie można wchodzić.

Kolejny raz jakiś mało ważny cieniem nie pozwala mi wejść do środka. Najpierw robiono mi problemy w koszarach, potem w sądzie, teraz w nielegalnej szulerni. Chciałam mu zagrozić, ale wewnętrzny głos podpowiedział mi, że to nie najlepszy pomysł. Wybrałam drogę dyplomatyczną.

– Muszę pilnie zobaczyć się z Gerardem, niech mi pan wierzy. Muszę z nim porozmawiać. Bardzo pana proszę.

– Tak, rozumiem, ale musimy zaczekać.

– Błagam pana, chcę z nim tylko porozmawiać.

– Naprawdę jest pani jego dziewczyną?

To była absolutna strata czasu.

– Nie wpuści mnie pan, prawda?

Facet wytrzymał moje spojrzenie i wzruszył ramionami. Teraz to ja wyciągnęłam komórkę z torebki i wybrałam numer. Upewniłam się, że tamten wszystko widzi i słyszy. W słuchawce rozległ się sygnał. Wreszcie odezwał się czyjś głos.

– Dobry wieczór – powiedziałam do telefonu, ale ze wzrokiem wbitym w ochroniarza. – Dzwonię, żeby złożyć skargę na sąsiadów; słyszałam jakieś dziwne dźwięki, walenie i krzyki. Mogliby państwo przysłać radiowóz?

To było tak, jakbyśmy oboje, ja i ochroniarz z willi, jechali na pełnym gazie z przeciwnych kierunków, jedno na drugie. Któreś z nas musiało ustąpić i zjechać na bok, w przeciwnym razie doszłoby do zderzenia. Ja nie zamierzałam usuwać się z drogi.

– Tak, podam panu adres, oczywiście, to osiedle w La Piovera... – ciągnęłam.

Facet przygryzł górną wargę, a ja zwlekałam tak długo, jak mogłam, z podaniem nazwy ulicy i dokładnego numeru.

– Otwórz tę przeklętą furtkę, Muveg.

Głos rozległ się zniecka za moimi plecami. Odwróciłam się i zobaczyłam Moncadę zmierzającego w naszą stronę między zaparkowanymi przed willą samochodami.

– No już, otwieraj – powtórzył.

– Ale... – próbował protestować tamten.

– Nie pierdol, kurwa, przecież tam wchodzi każdy, kto chce – powiedział, nie pozwalając mu dokończyć. – Otwieraj. Chcemy wejść.

Muveg, czy jak tam się facet nazywał, zamruczał coś pod nosem i odczepił od paska klucze. Spojrzałam porozumiewawczo na Moncadę, ale nie wydawał się uradowany moim widokiem.

– Przepraszam, zaszła pomyłka – powiedziałam do telefonu. – Już się wszystko wyjaśniło, niczego nie potrzebuję. Przepraszam za zamieszanie, dziękuję bardzo.

Rozłączyłam się. W tym czasie Muveg włożył klucz do zamka i zaczął przekręcać. Jeden obrót. Drugi. I jeszcze jeden. Potem wyjął kolejny klucz.

Furtka miała kilka zamków.

– Często tu zaglądasz, poruczniku? – zapytałam.

– Można powiedzieć, że jestem domownikiem. Uprzedzam cię, że nie warto tam wchodzić – odpowiedział. – Na pewno chcesz?

Przytaknęłam.

Ciemnozielona furtka wreszcie się otworzyła.

Koleś w okularach zapowiedział nas, krzycząc:

– Wchodzą Brodacz i dziewczyna Smarkacza!

Nie wiem, czy w środku ktokolwiek go usłyszał, w każdym razie nikt się nie poruszył, nie rozległ się żaden dźwięk.

Przeszliśmy przez podwórko. Poczułam rozczarowanie: dokoła zeschłe liście, zaniedbane drzewo figowe, dwa rowery oparte o ścianę, porzucone na ziemi grabie i tyle. Nie wiem, czego się spodziewałam. Willa przypominała normalny dom, w którym mieszka zwyczajna rodzina. W kącie zobaczyłam nawet pozostałości po grillowaniu. Może właśnie o to chodziło: nadać budynkowi jak najbardziej banalny wygląd. Usłyszałam za plecami hałas, obejrzałam się i zobaczyłam, że Muveg zamknął za nami furtkę. Sam został na zewnątrz. Dotarliśmy z Moncadą do głównych drzwi.

– Śledziłeś mnie? – spytałam cicho.

– Powiedzieli mi, że twój detektyw wypytuje o partię u Argentyńczyka, więc pomyślałem, że warto tu zajrzeć – odpowiedział.

Drzwi willi się otworzyły. Jeszcze zanim weszłam do środka, poczułam, że powietrze wewnątrz jest wypełnione dymem papierosowym. Światła były przygaszone, panował zaduch. Porucznik przepuścił mnie przodem i przekroczyłam próg.

Nie było tu ani jednej kobiety. Przynajmniej w zasięgu wzroku. Dziewięciu mężczyzn siedziało wokół okrągłego stołu, nad którym wisiała ogromna lampa. Dwa krzesła były puste. Przed każdym z dziewięciu graczy leżał stosik niebieskich i czerwonych żetonów, z wyjątkiem jednego, siedzącego najdalej od drzwi, który tasował talię kart pod czujnym spojrzeniem pozostałych.

Sześciu innych mężczyzn – większość z nich stała – z odległości kilku metrów przyglądało się rozgrywanej właśnie partii, a teraz także nowo przybyłym, czyli nam dwojgu. W pobliżu dużego okna, przy małym drewnianym stoliku, na którym leżały walizeczka i zeszyt, siedział starszy mężczyzna, na oko dobrze po siedemdziesiątce.

– Chcecie zostawić okrycia? – zapytał gość, który nam otworzył i który jako jedyny z obecnych miał na sobie garnitur.

Pod marynarką – jak na mój gust zbyt obcisłą – rysowały się wyrobione na siłowni mięśnie. Reszta była w dżinsach i koszulach, a kilku facetów w samych T-shirtach; nie tego oczekiwałam po podobnym miejscu.

– Dziękuję – powiedziałam, podając mięśniakowi płaszcz.

Na ścianach zawieszono były dwa ponadczterdziestocalowe telewizory Loewe – leciał mecz piłki nożnej – oba miały wyciszony dźwięk. Poza tym, że było nadymione, że prawie wszyscy palili jak smoki, że średnia wieku wynosiła pięćdziesiąt kilka lat i że kiedy weszłam, nieobecność innych kobiet stała się uderzająca, najbardziej zwrócił moją uwagę nieustający, cichy, monotonny dźwięk, którego na początku nie rozpoznałam. Dopiero po chwili odkryłam jego źródło: wydawały go uderzające o siebie żetony. Kilku graczy przesuwano je bezwiednie jedną dłonią lub obiema. Przebiegłam wzrokiem po ich rękach, kiedy wykonywali tę operację, pijąc, rozmawiając czy patrząc na mnie nieufnie. Nigdzie nie dostrzegłam Gerarda. Nie powiem, żeby mnie to uspokoiło.

Jakiś donośny, ochrypły głos zagłuszył inne dźwięki.

– Co jest, Brodacz, nie przedstawisz nas swojej koleżance?

Moncada podszedł do okrągłego stołu i opadł na jedno z wolnych krzeseł, obok tego, kto zadał pytanie: grubasa z tupecikiem na głowie, który może kiedyś miał szyję, ale teraz przypominał górę mięsa z dwiema galaretowatymi rękami, którymi wymachiwał przy mówieniu. Nie musieli mi go przedstawiać.

– To nie jest moja koleżanka; przyszła po Gerarda – powiedział Moncada, podając dłoń grubasowi. Wyglądało to jak siłowanie się na ręce. – Przedstawiam ci Anę Tramel, prawniczkę, siostrę zmarłego Alexa. O ile się nie mylę, pierwszy raz ogląda na żywo partię pokera. Ano, to Alfredo Friman. No to już was sobie przedstawiłem.

– Miło mi, Ano – powiedział Friman. – Czuj się jak u siebie w domu, pod każdym względem. Bardzo mi przykro z powodu twojego brata, był dobrym człowiekiem.

– Mnie również miło pana poznać – odpowiedziałam. – Muszę porozmawiać z Gerardem.

– Konkretna babka, nie Argentyńczyk? – rzucił jeden z graczy, wybuchając nieprzyjemnym śmiechem, jakby wciągał powietrze i dźwięk do środka.

– Smarkacz ucina sobie na górze drzemkę – powiedział Friman z powagą. – Niewiele spał ubiegłej nocy.

Po sali przeszedł szmer.

– Mogę się z nim zobaczyć? – nalegałam.

– Jak chcesz. Zaraz ktoś cię do niego zaprowadzi – odpowiedział Friman nieporuszony. – Ale mówię ci, że śpi jak zabity.

Zobaczyłam, że Moncada pokazuje dwa palce, wskazujący i środkowy.

– Dwa tysiące, Jovellanos – powiedział.

Stary z kąta natychmiast otworzył walizeczkę i odliczył żetony dla porucznika. „Dwa tysiące” okazały się dokładnie tym, co podejrzewałam: dwoma tysiącami euro w żetonach do gry.

– Długo jeszcze będziecie nadskakiwać nowej czy możemy grać dalej? –

zapytał jakiś młody chłopak o przekrwionych oczach, choć to nie one zwracały największą uwagę w jego wyglądzie, ale blizna na lewym policzku. Wskazał stojący na regale zegar. – Przypominam wam, że czas płynie, może dla was to nie problem, ale dla mnie owszem. Rozdawaj, kurwa.

– Robisz się nie do zniesienia, kiedy przegrywasz – odpowiedział Friman chłopakowi, po czym ponownie zwrócił się do mnie: – Wybacz im, nie przywykli do obcowania z damą. To stado baranów, myślą wyłącznie o pieniądzach. Rozdawaj, Sebas, klienci się niecierpliwą.

Sebas, który pełnił funkcję krupiera, ostatni raz przełożył karty i zaczął je rozdawać graczom. Nigdy nie interesowały mnie karty. Kojarzą mi się z niekończącymi się partiami brydża i remika, które moi dziadkowie, wujkowie i ciocie rozgrywali latem po obiedzie na werandzie domu w Oropesie, gdzie w dzieciństwie przez kilka wakacji z rzędu spędzaliśmy wakacje nad morzem. Zawsze wtedy starałam się ulotnić. Ilekroć widzę karty do gry, przed oczami staje mi ten obraz. Nie wątpię, że gdybym chciała, mogłabym się w to wciągnąć, ale od razu przychodzą mi do głowy przyjemniejsze nałogi.

– Napijesz się czegoś? – zapytał mnie Moncada, po czym znów zwrócił się do starego, który siedział przy drewnianym stoliku przyklejony do walizeczki. – Jovellanos, dla mnie piwo, i przynieś Anie, co będzie chciała.

Stary podniósł się niespiesznie i bez słowa poczłapał w stronę przymkniętych drzwi w głębi, które najwidoczniej prowadziły do kuchni.

– Biegnij, Jovellanos, biegnij! – ryknął chłopak z blizną, uderzając w stół, na co pozostali zareagowali wesołym rechotem.

To musiał być ich prywatny żart, którego nie zrozumiałam, ale przykro było patrzeć, jak popędzają biednego staruszka, żeby przyniósł jedno marne piwo.

Po kilku mocnych walnięciach w stół chór się znudził i zostawili starego w spokoju.

– Nic nie chcesz, Ano? – zapytał Friman. – Kawa, butelka wody, whisky?

– Nie, dziękuję. Przyszłam zobaczyć się z Gerardem – powtórzyłam, nie przestając bacznie się rozglądać; miałam wrażenie, że jestem na terytorium wroga.

– Uparta ta twoja koleżanka – orzekł grubas, spoglądając kątem oka na Moncadę.

– To panna Tramel – powiedział porucznik. – Czego się spodziewałeś?

Dziwiewięciu graczy siedzących przy stole, wśród nich Moncada, sięgnęło niemal jednocześnie po karty rozdane przez krupiera, po dwie dla każdego. Zaczął się rytuał zakładów i przesuwania z miejsca na miejsce żetonów, którego nie rozumiałam ani nie starałam się zrozumieć. Wiem tylko, że na moment stałam się dla nich niewidzialna i że wszyscy obecni (zarówno gracze, jak i ci, którzy kręcili się obok nich) skupili całą uwagę na stole.

Kiedy przyszła kolej Frimana, rzucił swoje dwie karty grzbietem do góry.

– Znowu śmieci. Wkurzasz mnie, Sebas – burknął głosem, który zdawał się wydobywać z samych trzewi. Kiedy spasował, powoli podniósł się od stołu. Wyglądał, jakby musiał zużyć całą swoją energię, żeby wstać. Nie chciałam nawet sobie wyobrazić, czego potrzebuje do wykonania jakiegokolwiek innej czynności. – Chodź ze mną, Ano, musimy porozmawiać.

Nie wiedziałam, co robić. Moncada nawet nie podniósł wzroku, żeby na mnie spojrzeć, chociaż czułam, że uważnie śledzi wszystko, co dzieje się wokół. Jeżeli faktycznie istnieje coś takiego jak mowa ciała, ramiona porucznika powiedziały mi, żebym poszła z Frimanem, że nie mam się czego obawiać. Przynajmniej tak postanowiłam to zinterpretować.

W środku willa wyglądała na jeszcze starszą niż z zewnątrz. Od dawna nie było malowania, nie wspominając o meblach, które musiały mieć ze dwieście lat. Było oczywiste, że klienci nie odwiedzają tego przybytku ze względu na jego wystrój i gustowne wnętrza. Kiedy przechodziłam przez salon, zobaczyłam na ścianie ogromną żółtą plamę wilgoci, na widok której ogarnęła mnie nagle melancholia. Nie mogłam uwolnić się od widoku Alego przechodzącego jeszcze nie tak dawno obok tej samej plamy, być może przekonanego, że wszystko jest pod kontrolą. Nie znam z własnego doświadczenia satysfakcji ani nagłego przyływu adrenaliny, jakie czują hazardziści, ale miewałam podobne urojenia. Nie mogłam cofnąć czasu, żeby pomóc bratu, ani zmienić tego, co się stało – ani może nawet uczynić zadość sprawiedliwości – ale nie zamierzałam pozwolić, żeby ludzie tacy jak Friman zniszczyli Gerarda na moich oczach. Przeszłam obok starego Jovellanosa i znalazłam się w kuchni. Białe, padające z góry światło utwierdziło mnie

w przekonaniu, że wystrój nie jest mocną stroną tej meliny. Nie czekając, aż ktoś mnie poprosi, zamknęłam drzwi: wiedziałam, że rozmowa, którą mieliśmy odbyć, powinna pozostać między nami.

– Pewnie już nieraz słyszałaś, że jesteś bardzo podobna do brata – wypalił Friman, zanim zdążyłam się odwrócić. Kiedy to zrobiłam, zobaczyłam, że bezczelnie wodzi wzrokiem po moim ciele. – Nie zrozum mnie źle, jesteś bardziej sexy, ale też masz w sobie ten smutek i ten sam gniew w oczach, pod tym względem jesteście jak dwie krople wody. Powiedziałem ci już, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało? Mówię szczerze, to był ogromny cios, pieprzone życie, jesteśmy marnościami i w ogóle.

– Przestań pierdolić, Friman. Przyszłam po Gerarda. Co zrobiłeś z chłopakiem?

– Śpi na górze, w każdej chwili możesz do niego pójść. Nic mu nie zrobiłem, jest już duży, wpada od czasu do czasu na partyjkę i tyle.

– Ile przegrał?

– Masz na myśli ostatni rok czy ostatnie dwadzieścia cztery godziny?

– Mam na myśli to, ile jest ci winien.

– Musiałbym zapytać Jovellanos, on prowadzi rachunki. Jakieś piętnaście tysięcy. Między innymi dlatego powiedziałem mu, żeby się chwilę przespał. Był roztrzęsiony, przerwa dobrze mu zrobi. Pewnie mi nie uwierzysz, ale dbamy tu o naszych klientów.

– Gerardo jest ci winien piętnaście tysięcy euro?

– Smarkacz gra ostro. Powtarzałem mu wielokrotnie, żeby trochę odpuścić.

– Żeby dobrze zrozumiała: kiedy musi ci zapłacić?

– Normalnie powinien przynieść pieniądze jutro, ale nie lubię nikogo przyduszać. Dam mu czas do końca tygodnia.

Friman opierał się o kuchenny blat, pewnie nie był zdolny utrzymać się na nogach bez żadnej podpory. Stał przy zlewie pełnym brudnych naczyń, które wyglądały tak, jakby leżały tam od wieków.

– Wiesz dobrze, że nie ma pieniędzy.

– To nie mój problem.

– Jak to działa? Co robisz, kiedy ktoś ci nie płaci?

– Ja nic nie robię. Nie jestem taki. Poza tym mnie wszyscy płacą. Nie idźmy dalej tą drogą, Ano, nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza nasza rozmowa. Robi mi się smutno.

– Tak, ja też się zaraz rozplączę – powiedziałam.

– Przez pamięć twojego brata i przez więź, jaka nas łączyła, złożę ci propozycję nie do odrzucenia: dziesięć tysięcy gotówką jutro i dług Smarkacza będzie uregulowany. W zamian za rabat pomożesz mi rozwiązać drobny problem prawny: właściciel willi chce mnie wyrzucić; sukinsyn twierdzi, że wygasła nam umowa. Na pewno coś wymyślisz, twój brat zawsze mówił, że jesteś zajebistą prawniczką, nie chcę się stąd wyprowadzać, przywiązałem się do tego miejsca, jestem sentymentalny. Co o tym sądzisz? To pierwszorzędna oferta.

Poczułam ukłucie w żołądku. Miałam ochotę komuś przywalić, zwłaszcza Gerardowi. Może nawet to zrobię, kiedy go zobaczę.

– Ja mam dla ciebie inną propozycję – powiedziałam, zastanawiając się nad konsekwencjami. – Gerardo nic ci nie zapłaci, ani centa. Ani w tym tygodniu, ani w żadnym innym. Nigdy. W zamian wyświadczę ci przysługę: nie doniosę na ciebie. Znalazłoby się kilka powodów: nielegalny hazard, brudne pieniądze, sprzedaż bez koncesji, sama nie wiem, co jeszcze, lista jest bardzo długa. Z przyjemnością bym to zrobiła, skończyła z taką gnidą jak ty, wykorzystywała wszystkie środki, jakimi dysponuje moja kancelaria. Ale się powstrzymam. Jakkolwiek na to spojrzymy, moja oferta przebija twoją. Aha, i nie tylko masz umorzyć dług Smarkacza. Musisz mi też obiecać, że nigdy więcej nie pozwolisz mu grać.

– Grozisz mi?

– Składałam ci kontrofertę, która bije na głowę twoją, nic poza tym.

– Nazwałaś mnie gnidą i groziłaś mi.

Chociaż wypowiedział te słowa na głos, wydawało się, że w rzeczywistości mówi sam do siebie, jakby nie mógł w nie uwierzyć. Pomyślałam, że może zaraz weźmie jedną z brudnych szklanek i rozbije mi ją na głowie. Oczyma wyobraźni widziałam wyraźnie, jak szkło uderza w moją czaszkę, rozpryskując się na tysiąc kawałków, jak tryska krew, która plami

wszystko wokół. Takie rzeczy się zdarzają. Wiem nie dlatego, że to widziałam albo że to mnie spotkało, po prostu prowadziłam wiele spraw: przemoc wybuchła w najbardziej nieoczekiwanym miejscu i momencie, a teraz sytuacja nie była bynajmniej pokojowa.

– Powiem ci jedno, Ano Tramel – ciągnął Friman, swobodnie poprawiając sobie tupecik. – Masz jaja. Widzisz, akurat pod tym względem różnisz się od brata. On był śmierdzącym tchórzem. Miał talent do pewnych rzeczy, ale był tchórzliwy jak zając. Niemniej myślę, że wiesz, z kim masz do czynienia.

– Z kimś, kto żyje z cudzego nieszczęścia i lichwy. Nie ma na świecie gorszego gatunku ludzi. Ty wiesz, gdzie mnie szukać, a ja wiem, gdzie szukać ciebie. Jeśli chcesz wojny, znajdziesz mnie. Jeżeli jednak chcesz, żeby wszystko zostało, jak jest, i natychmiast umorzysz dług Gerarda, zapomnę o całej sprawie. Oczywiście, jeśli kiedyś odkryję, że skrzywdziłeś mojego brata – a zapewniam cię, że jeżeli go skrzywdziłeś, to ja to odkryję – wtedy po ciebie wrócę.

– Uprzedzam, że powoli zaczynam mieć tego dosyć. Nie będziesz mnie uczyć moralności. Skoro już mowa o podłych gatunkach i czerpaniu korzyści z cudzego nieszczęścia, to wy, prawnicy, dźierzycie palmę pierwszeństwa. Przyszłaś do mojego domu, żeby mnie obrażać. Otóż powiem ci, że nie tylko jesteś źle wychowana, ale jeszcze gorzej: jesteś idiotką, która nie wie, w co się pakuje, i która zapłaci za swoją arogancję.

– Teraz to ty mi grozisz.

Negocjacje przybierały niepomyślny obrót. Wyzwiska, jawne groźby, brakowało już tylko, żebyśmy przeszli do rękoczynów. Jeżeli do nich dojdzie, będę skazana na porażkę. Nagle na ringu rozległ się dzwonek: otworzyły się drzwi i wszedł Moncada.

– Przeszkadzam?

– Kurwa, czego chcesz, Brodacz?

Zaskoczył mnie ton, jakim Friman zwracał się do porucznika, zbyt poufały, ale było w nim jeszcze coś, powiedziałabym: jakaś hierarchiczna wyższość, władza, nie bardzo do pogodzenia z moim obrazem Moncady. Albo gwardzista miał długi i prowadził jakieś nielegalne interesy (nie zdziwiłabym się, gdyby tak było, zważywszy na to, jak swobodnie usiadł przy stole i poprosił o dwa tysiące euro), albo Friman rozmawiał w ten

sposób z każdym, świadom swojej pozycji: wszyscy od niego zależeli. Ten gruby, odrażający Argentyńczyk wydał mi się jeszcze bardziej niebezpieczny, kiedy usłyszałam, jak warczy na Moncadę.

– Przyszedłem tylko po piwo – przeprosił porucznik. – To, które przyniósł Jovellanos, jest wstrętne, ciepłe jak siki. Powinieneś kogoś zatrudnić, kiedy nie ma kucharza. Stary się do niczego nie nadaje.

Moncada podszedł do lodówki i otworzył drzwi. Zobaczyłam go w padającym ze środka świetle, stał tuż za Frimanem. Jeżeli kiedyś przez moment pomyślałam, że porucznik wybawiłby mnie z ewentualnych kłopotów, teraz wiedziałam, że tak się nie stanie. Może nawet pracował dla Argentyńczyka. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby dorabiał sobie, wyświadczając mu jakieś przysługi.

Byłam sama, groziłam nędznemu mafiosowi i nie miałam pojęcia, jak z tego wybrnąć.

– A, właśnie – dodał Moncada, szperając w lodówce – obudził się Smarkacz. Przed chwilą zszedł na dół; pyta, czy dostanie kredyt, żeby grać dalej. Nie mówiłem mu, że przysłaś, na pewno ucieszy się na twój widok. Będzie miał chłopak niespodziankę. Już widzę, jaką zrobi minę.

– Wszystko w porządku?

Gerardo spoglądał na mnie oniemiały, jakby zobaczył zjawę. Miał lekko opuchniętą twarz, ogromne worki pod oczami i jednodniowy zarost.

– Co tu robisz, Ano?

– Nie odpowiadaj mi pytaniem na pytanie – uciełam. – Wszystko w porządku? Tak czy nie?

– Jestem wykończony i lekko skołowany, ale poza tym wszystko w najlepszym porządku.

– Cieszę się. Bo masz poważne problemy. Skłamałeś, zostawiłeś na lodzie swoich kolegów z pracy, kiedy najbardziej cię potrzebowali, i przegrałeś pieniądze, których nie masz. Jesteś tego świadom?

Powiedziałam to przy wszystkich. Nie tylko nie obchodziło mnie, że reszta usłyszy, jak łaję mojego młodszego prawnika, ale wręcz chciałam, żeby tak się stało. Liczyłam, że może w ten sposób moje słowa odniosą większy skutek. On jednak nie odpowiedział, rozejrzał się tylko, jakby nadal nie mógł uwierzyć, że tu jestem, a tym bardziej że przemawiam do niego w taki sposób.

– Powiedz, co masz do powiedzenia, nie zamierzam siedzieć tu całą noc – rzuciłam, podnosząc głos. – Jesteś świadom powagi tego, co zrobiłeś?

– Przyszłaś, żeby mnie ochrzanić?

– Oczywiście, że cię ochrzanię, ale nie po to tu przyszłam. Skoro już pytasz, przyszłam, żeby cię stąd wyciągnąć, zanim będzie za późno. Jeżeli ze mną wrócisz, da się to jeszcze załatwić. Ale jeżeli zostaniesz, nie będę mogła nic zrobić.

– Słuchaj, Argentyńczyk – odezwał się siedzący przy stole chłopak z blizną. – Jesteśmy w trakcie partii, a ci przeszkadzają nam swoją gadaniną. Możesz im powiedzieć, żeby z łaski swojej spierdalali?

Friman stał ze zmarszczonym czołem w drzwiach kuchni, jakby zastanawiał się, co zrobić ze mną i z Gerardem.

– Chłopak ma rację – powiedział Moncada pojednawczo. – To nie miejsce na takie rozmowy, wyjdźcie na zewnątrz załatwiać swoje sprawy.

– Nie zamierzam nigdzie wychodzić – warknął Gerardo. – Chcę grać.

– Nie słyszałeś, co powiedziałam? – spytałam rozwścieczona.

– Ano, ty nie rozumiesz, jak to działa – odpowiedział. – Partia pokera jest jak cykl, jak elipsa. Przeszedłem już przez dolną część cyklu, poświęciłem na to wiele godzin. Teraz pora, bym zaczął wygrywać. Odzyskiwać to, co straciłem.

– Czy ty w ogóle siebie słyszysz? Kompletnie straciłeś kontrolę. Rozkazuję ci, żebyś natychmiast stąd wyszedł!

– Nie!

Zrobiłam krok naprzód i niewiele myśląc, uderzyłam Gerarda w twarz. Był to jeden z takich policzków, które słyhać z daleka. Nieprzerwany stukot żetonów ucichł. Gerardo przyłożył dłoń do twarzy, zaskoczony tym, co się stało. Wykorzystałam jego chwilowe osłupienie i mocno go pchnęłam.

– Powiedziałam: idziemy! – krzyknęłam, bojąc się, że zareaguje, że się zbuntuje i jeszcze bardziej wszystko utrudni. – Przyjechałam tu specjalnie po ciebie i nigdzie się bez ciebie nie ruszę. Twój dług z Frimaniem jest wyrównany, nie musisz dalej grać, nie musisz niczego odzyskiwać. Wszystko załatwione. Idziemy!

– Anulowałaś mój dług?

– Przecież powiedziałam. – Ponownie go pchnęłam. – Niech ktoś otworzy drzwi. Smarkacz i ja wychodzimy!

Musiałam wyglądać na wariatkę, kiedy tak policzkowałam i popychałam Gerarda, krzycząc, żeby nas wypuszczono. Miałam nadzieję, że to nam trochę pomoże.

– A ty, wielkoludzie, oddaj mi mój płaszcz. Chyba nie zamierzasz go sobie zatrzymać!

Byłam gotowa popchnąć także mięśniaka, na szczęście w porę się opamiętałam. Friman obserwował z daleka całą scenę. Nie interweniował. Na

jego twarzy malowało się coś w rodzaju pełnego napięcia opanowania pod hasłem „jeszcze się policzymy”, które nie działało na mnie specjalnie kojąco, ale pozwalało oczekiwać, że przynajmniej na razie nie wydarzy się nic złego. Skinął dłonią. Koleś w garniturze podał mi płaszcz i otworzył drzwi. Wyglądało na to, że Gerardo dał za wygraną; ruszył w stronę wyjścia. Moncada pokiwał głową. Żałowałam, że nie posunęłam się jeszcze trochę dalej, żeby sprawdzić, jak zareaguje, kiedy sytuacja przybierze naprawdę zły obrót.

– Uważaj, Tramel – odezwał się Friman z głębi salonu swoim mocnym głosem. – W najmniej spodziewanym momencie wpakujesz się w tarapaty.

Ta willa, ten mężczyzna, nieprzyjemne uczucie w żołądku, odkąd przekroczyłam próg tego domu, nieustanne stukanie żetonów (które wróciło), pogarda dla pieniędzy, zapach wilgoci, potu, tytoniu, odgrzewanego jedzenia, pustka i ból po stracie Alego, wszystko to odbijało się w ostatnim geście Frimana, na pierwszy rzut oka trudnym do zinterpretowania: odwrócił głowę na bok i splunął w kąt. Ta chwila obrazowała to, czym był i co zamierzał. Napluć na podłogę w swoim własnym domu, jak sam się wyraził. Nic więcej.

– Muveg, wychodzą!

Okrzyk mięśniaka był ostatnim głosem, jaki usłyszałam, zanim opuściłam willę, podążając w ślad za Gerardem. Żadne z nas nie odezwało się słowem, kiedy szliśmy przez podwórko. Nie pożegnaliśmy się nawet z ochroniarzem, który licznymi kluczami otworzył nam ciemnozieloną furtkę. W milczeniu przecięliśmy ulicę, kierując się w stronę chevroleta. Po prostu z determinacją szliśmy naprzód, zostawiając za sobą ciężar, który malał – przynajmniej częściowo – w miarę jak się oddalaliśmy. Gerardo rozpoznał samochód M. Nie musiałam nic mówić. On usiadł z tyłu, ja obok kierowcy.

– Kurwa! – wykrzyknęłam.

Na wypadek gdybym nie wyraziła się jasno, powtórzyłam:

– Kurwa, kurwa, kurwa.

Gerardo spuścił głowę rozszłoszczony. Spojrzałam na niego w lusterku wstecznym.

– Co ty sobie wyobrażałeś? – spytałam.

Oczywiście nie uzyskałam odpowiedzi. M. uruchomił silnik i powoli

ruszył. W zasięgu wzroku nie było żadnego innego samochodu.

– Zdaje się, że zyskałaś paru dobrych przyjaciół – powiedział cicho stary detektyw.

– Musiałam się uciec do zawołanych pogroźek, żeby skurwieli zrozumiał, o co chodzi. Chcę, żebyś sprawdził, ile razy był tu mój brat. Ile przegrał. Co łączyło go z Frimanem. Chcę też wiedzieć, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Moncada.

– Alex należał do stałych klientów – wymamrotał Gerardo. – Kiedy nie grał w kasynie, przesiadywał tutaj. Wpadał na obiad i zostawał do nocy, zwłaszcza w tygodniu. Soboty i niedziele spędzał prawie zawsze w Robredo. Moncada rzadziej tu zagląda. Gra zrywami. Nagle przychodzi mu ochota na partyjkę i nie wychodzi stąd przez dwa tygodnie, potem znika z horyzontu. Pewnie w zależności od tego, czy ma pieniądze. Nie sądzę, żeby gwardziści zarabiali kokosy.

– Zaraz mi powiesz, że tak naprawdę przychodziłeś tu po to, żeby szukać dowodów w naszej sprawie – powiedziałam, próbując zapanować nad gigantyczną złością.

– Nie po to. Bywałem tutaj już wcześniej, ale od kiedy przyszedłeś do kancelarii ze sprawą brata, zacząłem zaglądać tu częściej. Myślę, że się oszukiwałem, wmawiając sobie, że próbuję jedynie znaleźć coś, co mogłoby nam pomóc.

– Jesteś kretynem.

– Może już wystarczy, przed chwilą przywaliłaś mi przy wszystkich. Przestań mnie obrażać z łaski swojej.

– Przestanę cię obrażać, kiedy na to zasłużysz. Powtórzę to tyle razy, ile będzie trzeba: jesteś kretynem. Miałeś szczęście, że trafiłeś na inną kretynkę, która doskonale wie, co to uzależnienie, i która była gotowa zaryzykować, żeby ci pomóc. Ale na tym koniec. Od tej chwili jest to wyłącznie twój problem. Zapisz się na jakąś pieprzoną terapię albo załatw to inaczej, wszystko mi jedno. Jeśli jeszcze raz zagrasz, wylatujesz. Po prostu.

– Ale...

– Ostatnie słowo należy do mnie. Jeśli zagrasz chociaż raz, nawet na automacie w barze, przestajesz dla mnie istnieć. Chyba nietrudno to

zrozumieć.

Dostrzegłam leciutki uśmiezek na twarzy siedzącego za kierownicą M.

– A ty, kurwa, z czego się śmiejesz? – wrzasnęłam.

– Widzę, że przez cały wieczór rzucasz na prawo i lewo pogróżkami.

– Na to wygląda. To źle?

– Najwyraźniej. Jestem wielkim specjalistą od pogróżek. Mówię to z podziwem. Do dzisiaj nie wiedziałem, że czujesz się w tym jak ryba w wodzie.

– Choć zwykło się mówić inaczej, prawda jest taka, M., że ludzie się zmieniają. Prawie zawsze na gorsze.

M. uśmiechał się dalej, prowadząc niemal wyludnionymi ulicami osiedla. Zobaczyłam, że Gerardo oparł głowę na tylnym siedzeniu. Nie wyglądał, jakby miał ochotę dalej mi się stawiać czy narzekać.

Wjechaliśmy na A-2 i skręciliśmy w stronę Madrytu. Fakt, że ta trasa szybkiego ruchu była wciąż na swoim miejscu – doskonale oświetlona, z trzema pasami w każdą stronę – podziałał na mnie uspokajająco. Czasami świadomość, że to, co zwyczajne, funkcjonuje, jak powinno, jest jedyną rzeczą, której można się uchwycić.

– Naprawdę dałaś mu w twarz? – zapytał M.

Wzruszyłam ramionami.

– Chyba tak.

– Ciągle mnie boli – mruknął Gerardo.

– Jeszcze bardziej boli mnie – powiedziałam.

M. roześmiał się głośno.

– Szkoda, że tego nie widziałem.

– Znika na dwadzieścia cztery godziny, po czym znajduję go w towarzystwie hołoty, jak gra na pieniądze, których nie ma. Co ty byś zrobił?

– Nie mam pojęcia. Ja nigdy nie poszedłbym ratować szczyla.

– Nie rozmawiajcie o mnie tak, jakby mnie tu nie było – zaprotestował Gerardo.

– Ale gdybym jednak poszedł – ciągnął M. – myślę, że na początek spuściłbym mu porządne lanie.

– Słyszałeś? – wtrąciłam. – Upiekło ci się, miałeś szczęście, że to ja po ciebie przyszedłam. Kurwa, nawet nie odbierałeś telefonów. Nie mogłeś sam zadzwonić albo wysłać esemesa? Ronda i Sofía bardzo się niepokoiły.

– Nie odpowiadałem, bo nie miałem przy sobie komórki.

– A dlaczego, jeśli można wiedzieć? To jakieś twoje postanowienie? Że wejdiesz do tej willi, do paszczy lwa, i odetniesz się od świata?

– Chcę powiedzieć, że nie miałem przy sobie swojej komórki, miałem inną. Zanim poszedłem grać, zamieniłem się ze współlokatorką. Mój telefon to przestarzały model, tak stary, że nie da się nim nagrywać ani robić dobrych zdjęć; poza tym ma za małą pamięć. Poprosiłem Mónicę, żeby pożyczyła mi na jeden dzień swojego nowiutkiego iPhone'a.

– A nie przyszedł ci do głowy błyskotliwy pomysł, żeby zamienić karty i zachować swój numer i kontakty? – zapytał M.

– Nie są kompatybilne – odparł obojętnie. – Pomyślałem, że to tylko kilka godzin, że nic się nie stanie. Zamierzałem wrócić do domu wcześniej rano, ale jak widzicie, wszystko się trochę przeciągnęło. Chciałem nagrać coś, co mogłoby pomóc w sprawie. Już to wam mówiłem, ale mi nie wierzycie.

– Popatrz, jaki z niego detektyw – rzucił M. sarkastycznym tonem. – A ta Mónica to tylko współlokatorka czy ktoś więcej?

– Jesteśmy przyjaciółmi – zaczął się bronić. – No wiesz, tam gdzie jest sympatia, bywają też i bonusy, ale to nic poważnego, bzykamy się, kiedy mamy ochotę, i tyle.

– Uwielbiam te nowe czasy: „Bzykamy się i tyle”. To jasne: urodziłem się o trzydzieści lat za wcześniej.

M. i Gerardo ciągnęli dalej rozmowę, ale ja wyłączyłam się kilka zdań wcześniej. W mojej głowie rozległo się kliknięcie. Jeżeli to się potwierdzi, może okazać się kluczowe. Poczułam mrowienie, które ogarnia cię, kiedy wiesz, że za chwilę zapali ci się jakieś światełko.

– Moment – przerwałam im raptownie i odwróciłam się do Gerarda. – Co dokładnie powiedziałaś? Powtórz, proszę.

– Że ja i Mónica jesteśmy tylko przyjaciółmi, nie mamy wobec siebie

żadnych zobowiązań, ale przysięgam ci, że jej to odpowiada, rozmawialiśmy o tym, nie ma problemu...

– Nie chodzi mi o twoje życie seksualne. Wcześniej. Co powiedziałeś wcześniej?

– O telefonie?

– Tak.

– Że zamieniłem się z Mónica, bo moja komórka to starość, a chciałem nagrać coś, co mogłoby się przydać, i...

– Kurwa, kurwa, kurwa.

Otwartą dłonią uderzyłam w schowek.

– Zrobiłem coś złego? – zapytał wystraszony Gerardo.

– Przez cały czas miałam go przed nosem i niczego nie zauważyłam.

– Można wiedzieć, o czym mówisz?

– Dodaj gazu, M. Muszę jak najszybciej dotrzeć do domu. Ja płacę mandaty.

Spali objęci, jakby bali się, że ktoś lub coś może rozdzielić ich w środku nocy. Podeszłam ostrożnie, starając się nie robić hałasu. Nie chciałam, żeby mały obudził się przeze mnie. Pochyliłam się nad łóżkiem i patrzyłam na nich przez kilka sekund. Kolejny raz, zapewne nie ostatni, poczułam ciężar odpowiedzialności za to, co może się przydarzyć temu dzieciakowi. Jako siostra przez długi czas większą wagę przykładam do własnych słabości i potrzeb niż do słabości i potrzeb Alego; nie miałam zamiaru powtórzyć tego samego w roli ciotki. Zdenerwowanie, które opanowało mnie w chevrolecie M., ulotniło się na widok Heleny i Martina śpiących w moim starym łóżku. Wiedziałam, że istnieje jeszcze szansa odkupienia mojej pychy i egoizmu, jeśli ta dwójka zdoła wyjść z tego cało. Słowa „sprawiedliwość” często używa się lekkomyślnie – sama kiedyś tak robiłam. Jednak w odniesieniu do ludzi, z winy których Ale powiesił się w celi, termin ten nabierał nowego znaczenia. Może nie miałam wystarczających środków, może oni byli więksi, potężniejsi i lepiej uzbrojeni, może traciłam siły, nie pierwszy i nie ostatni raz, ale miałam coś, czego oni nie będą mieć nigdy: rację. To nie wystarczy, żeby wygrać proces, wiedziałam o tym doskonale. Ale wystarczy absolutnie, żeby iść dalej, niezależnie od przeciwności.

Uważnie zlustrowałam szafkę nocną, bezskutecznie szukając tego, po co przyszłam. Oświetliłam telefonem lampkę, słoiczek kremu, chusteczkę i sygnet z krzyżykiem, przywieziony po południu z koszar. Ani śladu po tym, co spodziewałam się znaleźć. Znów odwróciłam głowę w stronę śpiącej dwójki. Poruszałam się niezwykle cicho, byłam przekonana, że mnie nie usłyszą. Myliłam się jednak. Nie zmieniając pozycji, nie wypuszczając z objęć syna, nawet nie otwierając oczu, Helena wyszeptała kilka słów. Jej głos brzmiał tak łagodnie, że chociaż mnie zaskoczyła, nie przestraszyłam się.

- Coś się dzieć, Ano? – zapytała ze swoim charakterystycznym akcentem.
- Tak – odpowiedziałam, starając się mówić równie cicho, a nawet

naśladować ton jej głosu, po czym zadałam Helenie najważniejsze pytanie, od kiedy ją poznałam: – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że przez cały ten czas miałaś komórkę Alejandra?

Jednym ruchem uwolniła rękę, którą obejmowała Martina, i powoli usiadła na łóżku. Chociaż w pokoju panował półmrok, widziałyśmy nasze twarze.

– Ty nigdy nie pytać – szepnęła.

– Dobry powód – odparłam.

Przypomniałam sobie słowa Martina, gdy po południu wszedł do kuchni i zobaczył starą nokię. Powtórzył trzy razy „mama”, pokazując komórkę, co znaczyło po prostu tyle, że telefon należał do jego matki. Teraz wydawało mi się to oczywiste – przedtem na to nie wpadłam.

– Czasami, Heleno, nie trzeba czekać z odpowiedzią, aż ktoś zapyta.

– Nie rozumiem. Ty odpowiadasz, zanim ktoś zapyta?

Helena była milcząca, raczej skryta. Myślę, że właśnie dlatego stanowili dobraną parę z moim bratem, który był jej przeciwieństwem; potrafił nawiązać rozmowę, a nawet zaprzyjaźnić się z pierwszą napotkaną osobą. Z tego, co wiem, w związkach przeciwne charaktery uzupełniają się wzajemnie w racjonalny sposób. Polka nie otwierała ust, jeśli nie musiała. Myślę, że w dużym stopniu wyniosła to ze szkoły przetrwania, którą przeszła. Była w posiadaniu telefonu Alego, ale nie powiedziała nic ani policji, ani mnie, swojej adwokat, chociaż stałam po jej stronie. Włożyła dłoń pod poduszkę i wyjęła samsunga galaxy z superpłaskim i superdużym ekranem. Widziałam u niej ten aparat kilka razy, ale do tej pory nie zwróciłam na niego uwagi.

– Ale dał mi ten wieczór, kiedy wszystko się stać. Zanim pójść grać, zamienił telefony, zamienił też karty, żeby każdy mieć swój numer.

– Dlaczego zamienił telefony?

– Powiedział, nie lubi nosić bardzo duży telefon na partia. Ty wiesz, kiedy grasz, nie możesz rozmawiać, jest zabroniona. Powiedział, że mój stary telefon przynieść szczęście, jak amulet.

Jeśli moje podejrzenia były słuszne, Ale ukrył przed żoną prawdziwy powód: nie chciał jej w to mieszać, nie chciał, żeby o czymkolwiek wiedziała

i musiała kłamać, kiedy będą ją przesłuchiwać, jak w tej chwili ja ją przesłuchiwałam.

– Co jeszcze ci powiedział?

– Powiedział, że bardzo mnie kochać. I że czuć, że tej nocy mieć szczęście. Aha, i powiedział, że w jego telefon najlepsze zdjęcia z całe życie, żebym pilnowała. To ostatnie, co powiedział, zanim go zatrzymali.

– O jakich zdjęciach mówił?

– O zdjęciach jego i mnie, kiedy poznaliśmy. I z pierwsza nasza podróż, na turniej w Wiedeń. Tam rozpocząć Martina. Byliśmy szczęśliwi na te zdjęcia.

Dziewczyna włączyła samsunga, wpisała PIN i przeszukawszy galerię zdjęć, pokazała mi kilka fotografii, na których śmiali się, obejmowali, w dwupiętrowym autobusie, nad talerzami spaghetti i tak dalej. Przypominało to walentynkowy katalog biura podróży, z jedną różnicą, która niemal od razu rzucała się w oczy: te zdjęcia były prawdziwe. I wyglądali na naprawdę szczęśliwych. Nie sądzę, żebym ja miała z kimkolwiek takie zdjęcia.

– Ty chcesz telefon? – zapytała mnie.

– Muszę coś sprawdzić. Oddam ci, jak skończę.

Helena wyciągnęła rękę i delikatnie podała mi komórkę, ostrożnie, jakby wręczała coś bardzo cennego.

– Może pomóc nasza sprawa?

– Mam taką nadzieję.

Opuściłam sypialnię. Dziewczyna została w łóżku ze swoim synem. Niecierpliwie przeszłam przez przedpokój. Z każdym krokiem ogarniał mnie coraz większy lęk, że przeżyję kolejne rozczarowanie, że w tej komórce nie znajdę nagrania, którego szukam. Weszłam do biura i zamknęłam drzwi. Musiało być nad ranem. Położyłam telefon na swoim biurku, pod starą lampką, którą zapomniałam wyłączyć. Tym razem nie miałam zamiaru zostawiać żółtka na koniec, nie było na to czasu.

Narzędzia. Moje pliki. Dźwięk. Niech będzie, co ma być. Stuknęłam palcem w ekran. Po kilku sekundach zaczął wypełniać się ikonami w rozmaitych kolorach, jakbym otworzyła tubkę zawierającą ściśnięte konfetti, które dzięki specjalnej sprężynie wystrzelują po otwarciu.

Nagrania były uporządkowane chronologicznie; oznaczenia zawierały również informację o objętości. Razem osiemdziesiąt trzy pliki. Zjechałam do ostatniego, czyli najnowszego. Data: 21 października. Dzień, w którym popełniono morderstwo. Otworzyłam, zniecierpliwiona jak mała dziewczynka siedząca przed długo oczekiwanym ciastkiem z kremem, wstrzymałam oddech i nacisnęłam *play*.

Tak...? Halo...? Halo...?

Nie przyszedłeś wczoraj.

Tak, to prawda, byłem zajęty.

Dziś udostępniamy dwa stoły pięć na dziesięć, może nawet jeden dziesięć na dwadzieścia, jeżeli zjawi się Portugalczyk.

Musiałam wcisnąć pauzę, żeby złapać oddech. Wstałam. Gdybym miała przed sobą Gerarda czy kogokolwiek innego, ucałowałabym go. To było nagranie rozmowy telefonicznej, którą mój brat przeprowadził z Menendezem Ponsem na krótko przed tym, zanim ten został zabity. Nagranie, którego Moncada pozwolił mi wysłuchać tylko raz, w tym samym pokoju. Oto ono. Nie mogłam w to uwierzyć. Wcisnęłam *fast forward*, żeby przewinąć do końca i sprawdzić, czy jest w całości.

Po prostu chcę wiedzieć, czy rozmawiam z przyjacielem, czy z dyrektorem kasyna w Robredo.

Ty draniu. Nagrywasz to?

Jesteś teraz w biurze kasyna? Bernardo? Słyszysz mnie?

Nie byłam zdolna zapanować nad uczuciem małej (no, nie do końca tak małej) euforii. To nagranie mogło stać się kamieniem węgielnym pozwu. A przynajmniej sprawić, że zostanie przyjęty. Nie wyobrażałam sobie, żeby jakikolwiek sędzia odmówił udzielenia wyjaśnień wdowie po człowieku, który z powodu karcianych długów odebrał sobie życie i do którego dyrektor kasyna dzwonił pod prywatny numer, zachęcając go do gry, naciskając na niego, wręcz mu grożąc. Mieliśmy mnóstwo do zrobienia. Trzeba było udowodnić, że Pons nie działał na własną rękę i własne ryzyko, tylko w imieniu firmy, za wiedzą i przyzwoleniem przełożonych. Należało również

dopilnować, by z powodu jakiegoś formalnego uchybienia nagranie nie zostało odrzucone jako dowód. Niezależnie od wszystkiego potwierdzało przynajmniej złamanie kilku przepisów, nie mówiąc już o aspektach etycznych przemawiających na niekorzyść firmy Gran Castilla. Uff. Musiałam uporządkować myśli, skonfrontować je z tym, co powiedzą Sofía i – nawet jeśli miałyby mnie to dużo kosztować – Gerardo. A także Concha, jeśli będzie w nastroju. To nie koniec drogi, wprost przeciwnie: obiecujący początek.

Już miałam zamiar odsłuchać całe nagranie, kiedy dopadły mnie wątpliwości. A raczej podejrzenia. Dwoma dotknięciami palca wskazującego wróciłam do folderu. Rzuciłam okiem na pozostałe pliki dźwiękowe. Po rozmowie z Heleną uznałam za pewnik, że dotyczą spraw osobistych. Ale teraz coś mi mówiło, że niekoniecznie tak jest. Serce biło mi szybciej, kiedy szukałam wcześniejszego chronologicznie pliku: 29 sierpnia. Urodziny Alego. Nagranie zaczynało się w środku rozmowy od wypowiedzi mojego brata.

Co za zaszczyt.

Nie opowiadaj głupot.

Dzwonisz, żeby mi złożyć życzenia urodzinowe?

Tak, właśnie po to dzwonię: wszystkiego najlepszego, Álex, chciałem ci to powiedzieć osobiście.

Dziękuję.

Rozmówcą Alego był ktoś, kogo nie znałam. Dzień urodzin. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz złożyłam mu życzenia – może sześć, siedem lat temu. Albo wcześniej. Powinnam skupić się na nagraniu. Jednego byłam pewna: skoro mój brat zadał sobie trud, żeby nagrać i zachować tę rozmowę, nie chodziło o banalną pogawędkę.

Dużo o tobie myślałem w tym tygodniu, Álex.

Zapłacę ci.

Jasne, to akurat wiem.

Kombinuję, przysięgam, że zapłacę.

Najwyższy czas.

Mówiliśmy, że zaczekamy.

To ty tak mówiłeś. Ułatwię ci to... Ja... Ponieważ świętujesz urodziny, nie chcę zabierać ci czasu, ja też jestem zajęty, sam wiesz... To mój prezent urodzinowy: nowe życie. Nowe życie, w którym nie będziesz nieudacznikiem ani balastem dla wszystkich, którzy cię znają, ani gnojkiem, ani miernotą, ani łajdakiem. Nowe życie, w którym po prostu usuwasz się z drogi. Znikasz. Na zawsze. Wiesz, co musisz zrobić.

Zapłacę.

Oczywiście, że to zrobisz, ale nie... Nie, kiedy przyjdzie ci na to ochota ani nie w sposób, o jakim myślisz. Czas się kończy. Mógłbym powiedzieć, że mi przykro, ale minąłbym się z prawdą.

W miarę jak słuchałam nagrania, w mojej głowie zaczęło nabierać kształtów pewne imię. To on. To musiał być on. A może tylko chciałam w to wierzyć.

Zapłacę.

Powtarzasz się... Zaczekaj...

Jestem z rodziną, mógłbyś chociaż to uszanować.

Wiesz, że jestem bardzo rodzinnym człowiekiem. Właśnie dlatego ci to mówię: chcę, żebyś zrobił to, co musisz zrobić.

Co będzie, jeśli tego nie zrobię?

Nic dobrego.

Możemy porozmawiać o tym na spokojnie?

Rozmawiamy od dwóch lat.

Nie pierdol... Zawsze się wywiązywałem...

Jasne... Właśnie dlatego. Miłego dnia.

Emiliano, kurwa... Posłuchaj...

Bingo!

Wielki szef, Emiliano Santonja. Właściciel imperium Gran Castilla, Czyngis-chan, osobiście dzwonił do Alego. Nie liczyłam na aż tak wiele. Kiedy mój brat zaczął nagrywać rozmowy? Czego obawiał się tak bardzo, że postanowił to robić? Nie rozumiałam znaczenia połowy z tego, o czym mówili, ale było dla mnie jasne, że Santonja dzwonił, by wywrzeć nacisk na klienta, któremu pożyczono dużą sumę pieniędzy i który został zdiagnozowany jako chory. Co do tego nie miałam żadnych wątpliwości. Dlaczego sam zadzwonił? Co miał na myśli, mówiąc, że Ale zapłaci i że wie, co ma zrobić? Nadszedł czas na co?

Pytań i myśli przybywało. Zaczęłam zapisywać je odręcznie na karteczkach samoprzylepnych, które znalazłam przy komputerze. Po zapisaniu pytania odrywałam żółtą karteczkę od bloczka i przyklejałam na ekran. Potwierdzić autentyczność nagrań. Były obrobione czy nie? To mogło się okazać decydujące dla przyjęcia ich jako dowodu w sprawie. Musiałam postępować bardzo ostrożnie. Jeden fałszywy krok, a sędzia odrzuci materiał. Musiałam jak najszybciej powiadomić policję i sąd; mogą nie uwierzyć, że nie wiedziałam, że nagrania cały czas były w posiadaniu mojej klientki. Żeby odeprzeć ten zarzut, najlepiej będzie opowiedzieć szczegółowo o wszystkim, o mojej rozmowie z Gerardem i całej reszcie. Nie wystarczyło znalezienie materiału wybuchowego, takiego jak ten. Ważniejsze było jego inteligentne wykorzystanie i zaprezentowanie. Gra toczyła się o dużą stawkę.

Nie ulegało wątpliwości, że Ale nagrywał swoich rozmówców, kiedy dzwoniли do niego prywatnie, i że robił to bez ich zgody. Możliwe jednak, że zarówno Pons, jak i Santonja dzwoniли do niego z biur Gran Castilli, co byłoby równoznaczne z telefonem służbowym wykonanym z przestrzeni publicznej. Pytanie zadane przez mojego brata podczas ostatniej rozmowy z dyrektorem do tego właśnie nawiązywało, dlatego Bernardo nabrał podejrzeń i rozłączył się. M. powinien dołożyć wszelkich starań, żeby udowodnić te wnioski. Mój mózg pracował na najwyższych obrotach.

Przeskakiwałam przez pliki w telefonie aż do najstarszego nagrania. Sprzed dwóch lat. Z 16 września.

Nie widziałem cię przy rozdaniu, zaczęli dwadzieścia minut temu...

Zaklep mi miejsce, jestem w drodze. Dziesięć na dwadzieścia?

Zaczęli od pięć na dziesięć, ale wiesz, jak jest, za dwie godziny podniesiemy, nie martw się... Szef mi powiedział, że znowu masz kredyt.

Na to wygląda.

Cieszę się. Pospiesz się, przy stole robi się gorąco.

Mam dobrą passę, Bernardo, czuję to.

To dobrze.

Znowu Menéndez Pons. Jego poufały ton wzbudził we mnie odrazę. Na samą myśl o bracie ochoczo pędzącym na partyjkę pokera poczułam, że wywracają mi się wnętrzności. O czym ty myślałeś, Ale? W dniu pierwszego nagrania Martín musiał być kilkumiesięcznym niemowlakiem. Zobaczyłam oczyma wyobraźni, jak mój brat wybiega z domu, zostawiając Helenę i dziecko, i udaje się do kasyna przekonany, że wygra i wszystko się ułoży.

Przypuszczam, że wspomnianym przez nich w rozmowie szefem był Santonja. Dlaczego mojemu bratu odnowiono kredyt w kasynie? Wstrzymywano mu pożyczki i po pewnym czasie przyznawano je na nowo, żeby trzymać go na krótkiej smyczy, czy wydarzyło się coś szczególnego? Ile był im winien dwa lata temu? Może Helena wie w przybliżeniu, o jakie sumy powiększał się jego dług. I znowu to pytanie: dlaczego Ale zaczął nagrywać rozmowy? To nie było takie proste, wymagało podjęcia świadomej decyzji i zajmowało trochę czasu; pewnie musiał ściągnąć w tym celu jakiś program. W każdym razie działał z rozmysłem, czy to ze strachu, czy z ostrożności, czy z jakiegoś innego powodu.

Spędziłam bezsenłą noc, odsłuchując osiemdziesiąt trzy nagrania. Po kolei. Niektóre po kilka razy. Trzydzieści sześć rozmów Ale odbył z Menendezem Pensem. Dwanaście z Morenillą, kierownikiem sali w kasynie, którego nazwisko pojawiała się w sprawozdaniu z morderstwa. Dziesięć z jakimś Hidalgiem, który, jak się później dowiedziałam, był kimś w rodzaju piarowca VIP-ów. Siedem z Aaronem Freire, szefem ochrony kasyna. Dziewięć z Sebastianem Kowalczykiem, krupierem i ukochanym braciszkiem Heleny (rozmowy z Sebastianem były najbardziej niejasne: nie wynikało z nich, czy ten dzwoni, by nakłonić Alego do gry, czy, by go ostrzec, żeby tego nie robił, czy w obu tych celach naraz). Pozostałe sześć

z Cimadevilla, wspólnikiem Santonjy, udziałowcem holdingu Gran Castilla, który najwyraźniej znał mojego brata od lat. Z nich wszystkich to chyba on utrzymywał najbliższe stosunki z Alem. I trzy, tylko trzy, z samym Santonją.

Mój brat doskonale wiedział, po co mu były te nagrania. Praktycznie we wszystkich rozmowach wymieniał imię rozmówcy, dzięki czemu nawet ja zdołałam ich zidentyfikować. Wszyscy byli jakoś powiązani z kasynem Gran Castilla. Miałam do dyspozycji kompletny rejestr zachęt, nacisków i gróźb, stosowanych na różnych szczeblach przez ponad dwa lata.

Euforia ulatniała się, w miarę jak słuchałam nagrań. Ogarnął mnie wielki smutek. Friman z pewnością miał rację, mówiąc o mojej skłonności do smutku, kiedy coś dotyczyło mnie osobiście. Nie wstydziłam się tego. Przede wszystkim jednak ogarnęła mnie wściekłość. Kradli mu życie po kawałku. Wykorzystując jego słabość. Miałam zamiar to udowodnić. Miałam zamiar pogrzebać tych ludzi za pomocą pozwu, w którym nie tylko zażądam astronomicznej sumy za straty i krzywdy, ale będę też wnioskować o najwyższe przewidziane prawem kary więzienia.

Byłam pewna, że takich przypadków jak Alego jest więcej. Liczby, które podano mi w stowarzyszeniu, porażały: tysiące osób uzależnionych od hazardu, w różnym wieku i z różnych warstw społecznych, przy czym liczba ta rosła w ostatnich latach. Ile pieniędzy zarabiał państwo dzięki całej tej hazardowej maszynerii? Jak można pozwalać, by w czasie największej oglądalności w najbardziej popularnym programie sportowym bezkarnie reklamowano salony gier i firmy bukmacherskie? Życie ilu ludzi trzeba zniszczyć, żeby ktoś zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje? W przypadku alkoholu i papierosów musieliśmy czekać całe wieki, aż rządy wprowadzą ograniczenia i zakażą niektórych rodzajów masowej reklamy. W przypadku hazardu jesteśmy jeszcze w powijakach. Do Skarbu Państwa wpływa tyle pieniędzy, że dużo wygodniej jest odwrócić wzrok i odwołać się do starego liberalnego aksjomatu: jesteśmy dorośli i wolni, sami możemy podejmować decyzje, nikt nas nie zmusza, byśmy się stali alkoholikami czy nałogowymi hazardzistami. Szefowie wszystkich instytucji publicznych, które przyjęły choćby jeden cent z dochodów przemysłu gier hazardowych, powinni zostać odwołani i pozwani do sądu za to, że pozwalają popełniać przestępstwa wielkim międzynarodowym spółkom bogacącym się kosztem uzależnionych (równie wolnych w chwili podejmowania decyzji jak mysz w klatce).

Mój umysł pracował intensywnie mimo wyrzutów sumienia i niewyspania. Widziałam siebie jako Joannę d'Arc, ścigającą i karzącą wielkie przedsiębiorstwa z branży hazardowej, rządu, wszystkich, którzy czerpią zyski z uzależnienia innych. Nie spałam tej nocy. Chyba czułam się winna. Stąd moja wściekłość. I moje oburzenie. Niełatwo było zapanować nad emocjami i myślami po wysłuchaniu wszystkich tych brudów. Jeszcze nie nadszedł świt. Podniosłam wzrok i zobaczyłam przez okno w głębi pokoju, że niebo dopiero nabiera niebieskawego koloru. Niedługo miało pojawić się słońce. Wtedy ktoś otworzył drzwi biura. Myślałam, że to Helena, Concha albo któraś z dziewczynek. Ale nie. To była Ronda.

– Co tu robisz o tej godzinie? – zapytałam sennie.

– M. powiedział mi, że po tym, jak wyciągnęłaś Gerarda z willi, miałaś coś w rodzaju objawienia i popędziłaś do biura. Pomyślałam, że przyda ci się pomoc.

Ucieszyłam się z obecności Rondy. Pozazdrościłam jej niedawno wziętego prysznic. Miała czyste, jeszcze wilgotne włosy.

– Która godzina?

– Siódma dziesięć – powiedziała, stawiając na moim biurku plastikowy kubek z parującą kawą. – Za parę minut zaczną się krzyki i biegania dziewczynki. Wypij i opowiedz, co się stało.

Wzięłam do ręki kubek i pociągnęłam łyk kawy. Uświadomiłam sobie, że mam przed sobą morze zabazgranych karteczek. Były przyklejone na komputerze, lampie, biurku, teczkach i segregatorach, w sumie ze sto papierków z pytaniami, zadaniami, notatkami. A w środku tego wszystkiego – samsung. Rozładowany. Będę musiała poprosić Helenę o ładowarkę.

– Stało się to, że napędzimy niezłego strachu tym skurwysynom z Gran Castilli.

– Czas najwyższy.

DO SĄDU ŚLEDZCZEGO W MADRYCIE
WEDŁUG WŁAŚCIWOŚCI

Ja, MIGUEL ÁNGEL TOLEDO, pełnomocnik procesowy przed sądem w Madrycie, z upoważnienia p. HELENY KOWALCZYK, co poświadczam osobnymi pełnomocnictwami procesowymi, należycie umocowany do wniesienia niniejszego pozwu w sprawie karnej prowadzonej przez adwokat ANĘ TRAMEL HIDALGO, numer wpisu do Izby Adwokackiej 08.446/03M, występującą z ramienia TRAMEL i WSPÓLNICY sp. partnerska sp. z o.o., stoję przed sądem i zgodnie z prawem

OŚWIADCZAM,

że na podstawie okazanego pełnomocnictwa i zgodnie z artykułem 277 i następnymi Kodeksu postępowania karnego niniejszym składam POZEW W SPRAWIE KARNEJ przeciwko GRAN CASTILLA S.A., adres doręczeniowy Paseo de los Olmos 191, 28049 Madryt, oraz imiennie przeciwko p. Emiliano SANTONJA PEREIRO, adres zamieszkania Avenida de Irún 23, 28023 Madryt, w przekonaniu, że wymienione poniżej czyny mogą stanowić PRZESTĘPSTWO W POSTACI GROŻBY KARALNEJ w rozumieniu artykułu 169 i następnym Kodeksu karnego, W POSTACI STOSOWANIA PRZYMUSU w rozumieniu artykułu 172 i następnym Kodeksu karnego, W POSTACI WYMUSZENIA ROZBÓJNICZEGO w rozumieniu artykułu 243 Kodeksu karnego, W POSTACI NAMOWY DO SAMOBÓJSTWA w rozumieniu artykułu 143 punkt 1 i następnym Kodeksu karnego, wraz z wnioskiem o przeprowadzenie postępowania dowodowego i zabezpieczającego oraz zapowiedzią przewidzianego prawem wniosku o wypłacenie stronie skarżącej sumy 1200000 EUR (MILION DWIEŚCIE TYSIĘCY EURO)

z tytułu odpowiedzialności cywilnej wynikającej z czynu niedozwolonego, co stanowi karę za następujące CZYNY...

Położyłam teczkę na ladzie i czekałam, aż dziewczyna po drugiej stronie okienka opieczętuje dwadzieścia cztery kartki składające się na pozew. Stałam tam razem z Miguelem Anzelem, pełnomocnikiem procesowym, którego znam od lat. Poprosiłam go, żeby pomógł mi skompletować całą dokumentację zgodnie z przepisami. Znajdowaliśmy się na pierwszym piętrze sądu śledczego numer jeden przy placu Castilla, w punkcie rejestracji ogólnej. Urzędniczka w okienku, niemająca zielonego pojęcia, co może oznaczać ten pozew, jeśli zostanie przyjęty do dalszego procedowania, żuła gumę, niespiesznie stemplując kolejne strony.

Nie wiem, czy sprawiło to słabe oświetlenie, czy też niepokój, który czułam od rana, ale dopadł mnie lekki, niewielki atak paniki, jakby ta dziewczyna albo jej kierowniczka mogły w każdej chwili nas zdemaskować, powiedzieć nam, że nie możemy złożyć takiego pisma, że jest czymś nie do pomyślenia, nielegalnym, a nawet niemoralnym, atakować gałąź gospodarki oferującą w naszym kraju największą liczbę miejsc pracy, spółkę, która od czterdziestu lat prowadzi wzorową działalność na terenie Wspólnoty Madrytu, człowieka szanowanego, lubianego i podziwianego w środowisku przedsiębiorców i w kręgach władzy. Tym podobne irracjonalne myśli zajmowały pewną część mojego umysłu; reszta skoncentrowana była na uważnym obserwowaniu pieczątki opadającej miarowo i mechanicznie na kolejne strony. Wpatrywałam się w żyły na dłoniach urzędniczki, w różowawą, niemal białą skórę wokół tych żył, w krótko obcięte, wyblakłe paznokcie (można się było domyślić, że wcześniej były fioletowe) i zbyt grube palce. W tych małych, grubych i zaniedbanych dłoniach w pewnym sensie spoczywała cała nasza praca, cały nasz wysiłek i cała nasza nadzieja, że sprawiedliwości stanie się zadość.

Dwadzieścia cztery strony zawierały szczegółowy opis dwóch lat nękania i grózb kierowanych pod adresem Alego, listę świadków, łącznie z Heleną, i oczywiście osiemdziesiąt trzy nagrania telefoniczne stanowiące najważniejszy dowód w sprawie (a w każdym razie przyciągający największą uwagę). Nie mogliśmy zataić ich istnienia, jeśli chcieliśmy wykorzystać je podczas procesu. Naszym obowiązkiem było udostępnienie plików sądowi,

skoro dowiedzieliśmy się o ich istnieniu. Dopilnowałam, aby dwóch biegłych dokładnie je przejrzało i schowało w bezpiecznym miejscu, tak by nie doszło do jakiegokolwiek manipulacji.

– To wszystko, tu jest kopia dla pani – powiedziała kobieta, nie przestając żuć gumy i nie podnosząc głowy.

Niemal podskoczyłam na dźwięk jej głosu. Cała operacja okazała się krótsza, niż myślałam. Wiedziałam, że nie będzie uścisków ani gratulacji; była to zwykła formalność sądowa, podobna do setek innych przeprowadzanych codziennie w tym okienku. Ale dla mnie znaczyła o wiele więcej. Nigdy nie złożyłam pozwu ani skargi, nie dysponując wystarczającymi argumentami, które pozwalałyby mi wierzyć, że posiadane przeze mnie dowody są wystarczająco solidne i zapewnią mi wygrany proces. W tym przypadku miałam wątpliwości, aż do wieczoru, kiedy wysłuchałam nagrań. Teraz, dwa tygodnie później, w czwartkowy rano 23 grudnia o 10.34 wreszcie mi się udało. Złożyłam pozew przeciwko jednemu z największych przedsiębiorstw hazardowych, co niosło za sobą poważne konsekwencje. Zapowiadało rozpętanie burzy na różnych płaszczyznach; nie byłam pewna, czy potrafię nad nią zapanować. Wiedziałam, że gdy tylko adwokaci z Barver & Ambrosia dostaną pismo, wytoczą ciężkie działa i uruchomią swoje niesłychanie szerokie wpływy, żeby pozew pod żadnym pozorem nie został przyjęty. Zaleją sąd pismami i odwołaniami, umówią się na spotkania z różnymi przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości, świata polityki i biznesu, żeby powstrzymać to szaleństwo podające w wątpliwość codzienne operacje olbrzymiego, dochodowego imperium legalnego hazardu w Hiszpanii. Absolutnie nie będą chcieli do tego dopuścić.

Po drugiej stronie staliśmy my. Nie mieliśmy wpływów, kontaktów politycznych ani środków, żeby przetrwać, jeżeli proces się przeciągnie. Nie było innej rady: musieliśmy postawić wszystko na jedną kartę: nasz sukces zależał od tego, czy pozew zostanie przyjęty. Jeśli sędzia – ktokolwiek to będzie – nie odrzuci pozwu, zyskamy przewagę przy ewentualnych negocjacjach, choć miałam przeczucie, że niezależnie od tego, co się wydarzy, nie zaakceptuję żadnego porozumienia z tymi łajdakami. Wiedziałam jednak doskonale, że w ostatecznym rozrachunku będę musiała na pierwszym miejscu postawić interes Heleny i Martina. Tymczasem nie należało uprzedzać wydarzeń.

Był pewien aspekt pozwu, co do którego miałam wiele wątpliwości: czy zapowiadać, że złożę wniosek o rekompensatę finansową dla skarżących z tytułu odpowiedzialności cywilnej. Mogłabym zachować tę kartę do czasu formalnego oskarżenia pozwanych. Nie chciałam, żeby wyszło na to, że moim głównym motywem są roszczenia finansowe. Ale po rozmowie z Sofią doszłam do wniosku, że to pieniądze, właśnie pieniądze, są jądrem całej sprawy, nękania i nacisków, którym poddawano mojego brata, i to one doprowadziły go do samobójstwa. Dlatego nie powinnam się wstydzić, że zamierzamy wystąpić o odszkodowanie. Przeciwnie, najszlachetniej było powiadomić o tym z góry zamiast czekać, aż zacznie się proces. Miałam nadzieję, że nie popełniam błędu. W rzeczywistości wszystko zależało od sędziego, który zostanie przydzielony do naszej sprawy. Chociaż my wszyscy (adwokaci, prokuratorzy, sędziowie i pozostali członkowie prawniczej rodziny) uwielbiamy dumnie wypinać pierś, mówiąc o obiektywizmie wymiaru sprawiedliwości, doskonale wiemy, że to tylko słowa. Kiedy konkretny mężczyzna albo konkretna kobieta muszą podjąć decyzję, a raczej dziesiątki decyzji dotyczących pewnych czynów, osób, a w rezultacie ludzkiej woli, wszystko staje się całkowicie subiektywne.

– Idziemy, Ano?

Stałam jak sparaliżowana, patrząc na urzędniczkę odkładającą pozew na stos innych dokumentów. Gdybym należała do osób, które się modlą, byłyby to doskonały moment, żeby uklęknąć i poprosić, by te papiery trafiły w dobre ręce, a przynajmniej w takie, które nie będą za bardzo zbrukane. Pożałowałam, że nie ma we mnie odrobiny wiary w cokolwiek albo w kogokolwiek; przeklełam swój sceptycyzm i rozejrzałam się dokoła, powracając do rzeczywistości: do zaduchu szarej klitki.

– Możemy już iść – powtórzył Miguel Ángel.

– Oczywiście.

Wzięłam naszą opieczętowaną kopię, schowałam do torby i przezornie zasunęłam suwak. Kiedy szliśmy korytarzami i schodami w stronę wyjścia, miałam wrażenie, że niemal wszyscy, których spotykamy po drodze, patrzą na nas i szepczą, jakby wiedzieli, co przed chwilą zrobiliśmy i czego zazdrośnie strzegę w torbie. Najważniejsze nie było pytanie, kiedy Santonja dowie się o pozwie. Wiedziałam, że macki Gran Castilli i kancelarii Barver &

Ambrosía sięgają bardzo daleko i że pewnie za parę godzin dyrektor kasyna odbierze telefon z informacją. Wiedziałam, że od tego momentu pozyskanie nowych świadków i dowodów stanie się o wiele trudniejsze. Kluczową sprawą było to, jak zareaguje. Wyobraziłam sobie różne reakcje – żadna nie była specjalnie miła. Emiliano Santonja bez wątpienia był zdolny odpłacić nam wielokrotnie potężniejszym ciosem i nie miałam wątpliwości, że podejmie takie próby. Nie bałam się, że pogrzebię swoją karierę, jeśli sprawy przyjmą niekorzystny obrót. Na szczęście, czy na nieszczęście, moje ambicje zawodowe sprzed lat już dawno utonęły w szklance ginu. Doskonale potrafiłam wyobrazić sobie, jak przez resztę swoich dni, jako przedwczesna emerytka, nie robię nic poza czytaniem, spacerowaniem i może jeszcze pisanem wspomnień. To nie stanowiło dla mnie najmniejszego problemu. Jednakże konsekwencje, jakie mogłaby ponieść Helena, a przede wszystkim Martín, wywoływały we mnie mieszaninę zniecierpliwienia i trwogi. Tak czy siak, Helena zgodziła się skwapliwie na przejście do ataku. Wytłumaczyłam jej, najlepiej jak potrafiłam, o co chodzi w naszym pozwie, uprzedziłam, że narazimy się nim kilku osobom i że czeka nas długi, skomplikowany proces.

Ledwie wyszliśmy, Miguel Ángel zapalił papierosa. Należał do prokuratorów starej szkoły: znał w sądach wszystkich, nigdy nie pakował się w kłopoty, nie zabiegał o wyższe stanowiska, nie zależało mu, żeby grać pierwsze skrzypce. Przeciwnie, jedną z podstawowych gwarancji jego skuteczności była niezauważalność, którą się chwalił. Wypuścił dym nosem i zerknął na zegarek.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? – zapytał, dając do zrozumienia, że jeśli zapłacę rachunek, który mi wystawił, mogę liczyć na niego przy każdej innej formalności, a także że chwilowo nie zamierza poświęcać mi więcej czasu.

– To wszystko – odparłam z odrobiną zazdrości, widząc obojętność, z jaką podchodzi do prowadzonych przez siebie spraw. – W razie potrzeby zadzwonię. Teraz przepraszam, muszę jeszcze wykonać jeden telefon.

– Cieszę się, że znowu cię widzę – mruknął z papierosem w kąciku ust i po kilku sekundach zniknął w hałaśliwym tłumie, który o tej porze dnia przelewał się przez plac.

Decyzję o wykonaniu tego telefonu podjęłam dwie sekundy wcześniej. Nie miała żadnego znaczenia strategicznego; mogła wręcz okazać się błędem.

Ale chciałam sprawić sobie małą prywatną satysfakcję. Ostatnio nie miałam zbyt wielu powodów do radości.

Przeszukałam listę kontaktów i w końcu wybrałam numer. Kiedy rozległ się sygnał, wzięłam głęboki oddech, szukając właściwych słów. Zamierzałam powstrzymać się przed jakimkolwiek osądem, w miarę możliwości nie używać żadnego przymiotnika, przedstawić jedynie gołe fakty. Na wskaźniku przy przystanku autobusowym zobaczyłam, że są trzy stopnie; zapowiadano, że w nocy temperatura spadnie poniżej zera. Sygnał w komórce rozległ się jeszcze przez kilka sekund. Po chwili odezwała się poczta głosowa. Oczywiście się rozłączyłam. Nie zamierzałam zostawiać wiadomości. Miałam do powiedzenia coś, co należało powiedzieć bezpośrednio – albo lepiej było wcale tego nie mówić. W głębi duszy niemal się ucieszyłam, że nie odebrał; ten telefon to chyba nie był jednak dobry pomysł.

Ruszyłam w stronę parkingu przy ulicy prostopadłej do Bravo Murillo, dwa skrzyżowania dalej. Nie zrobiłam nawet sześciu kroków, kiedy moja komórka się odezwała. Oddzwonił. Może należał do tych, którzy nie odpowiadają na telefony od nieznanymi numerów, a może po prostu nie zdążył odebrać.

– Słucham?

– Kto dzwoni? – zapytał męski głos po drugiej stronie. On też chyba był na ulicy; z oddali dobiegał hałas samochodów.

– Pan Santonja? – spytałam, choć doskonale wiedziałam, że to on.

– Tak, kto mówi?

– Nazywam się Ana Tramel. Jestem prawnikiem i jak panu wiadomo, reprezentuję Helenę Kowalczyk.

Nastąpiła krótka cisza. Może rozważał, czy się rozłączyć. Ale nie zrobił tego. Myślę, że zwyciężyła ciekawość.

– Jak pani zdobyła ten numer? Po co pani do mnie dzwoni?

– Dzwonię wyłącznie po to, żeby powiedzieć panu, że przed chwilą wyszłam z sądu przy placu Castilla.

Masz ci los, już wymknął mi się przysłówek, powinnam bardziej uważać. Chciałam, żeby moje słowa zabrzmiały jak najbardziej aseptycznie i bezosobowo.

– Jeżeli czegoś pani sobie życzy, proszę rozmawiać z moimi prawnikami. Do widzenia.

– Sądzę, że zainteresuje pana ta informacja – weszłam mu w słowo, żeby się nie rozłączył. – Wniosłam pozew karny przeciwko panu i pańskiej firmie za stosowanie przymusu, groźby karalne, wymuszenie rozbójnicze i namowę do samobójstwa. Złożyłam także wniosek o rekompensatę finansową w wysokości miliona dwustu tysięcy euro z tytułu odpowiedzialności cywilnej.

Milczenie, które teraz zapadło, było tym razem cięższe, a także dłuższe. Naprawdę delektowałam się tą chwilą.

– Czego pani ode mnie chce?

– Po prostu chciałam pana poinformować. Robię to z grzeczności, przez wzgląd na osobistą relację, jaka łączyła pana ze zmarłym mężem mojej klientki.

Wydało mi się, że słyszę jakiś szept. Zadałam sobie pytanie, z kim jest Santonja, co tej osobie szepcze, co rozważa.

– Proszę posłuchać, nie ma pani pojęcia, w co się pani pakuje. Jeżeli myśli pani, że cokolwiek tym pozwem osiągnie, to jest pani głupsza, niż przypuszczałam. Natomiast jeżeli robi to pani powodowana niesłuszną chęcią zemsty, pomyliła się pan co do adresata. Życzę miłego dnia.

– Aha, jeszcze jedno, panie Santonja.

– Nie mam czasu...

– Chciałam życzyć panu wesołych świąt.

Zaskoczyłam go tym ostatnim zdaniem. Rozłączył się dopiero po kilku sekundach, które wystarczyły, żebym mogła nacieszyć się niepokojem – a przynajmniej wahaniem – w tonie jego głosu i, rzecz jasna, w jego milczeniu.

Nieczęsto okazuję publicznie emocje – szczerze mówiąc, prywatnie też nie – ale nie mogłam powstrzymać cienia uśmiechu, przebiegającego po mojej twarzy, kiedy skręcałam w Conde de Serrallo, kierując się w stronę mojej starej ukochanej mazdy.

W przeddzień Wigilii Czerwona Pochodnia była przystrojona krzykliwymi dekoracjami w postaci świecących kabli i różnokolorowych lampek ledowych oraz paradnych złotych wstążek zwisających z sufitu, które miało się ochotę zerwać jednym ruchem zaraz po wejściu do lokalu. Znaczyło to mniej więcej tyle: „Wiemy, że są święta, ale jesteśmy Japończykami i nie będziemy stawiać choinek ani gwiazd betlejemskich”. Tak to w każdym razie zinterpretowałam.

Przy barze stali moi dobrzy znajomi. Zostaliśmy zaproszeni na coś w rodzaju kolacji wigilijnej. To był pomysł Conchy; ona wszystko zorganizowała. Byli: Ronda, Sofía, Gerardo, córki Conchy, Helena i Martín. Przyszedł nawet M. Nieoficjalnie świętowaliśmy także pozew, który wnieśliśmy tego ranka. Dla niemal każdego z nas – choć z różnych powodów – był on sprawą absolutnie najważniejszą.

Haruo serwował gościom miłe uśmiechy i chińskie bułeczki, podczas gdy Reiko ustawiała na stole w kącie różnorodne napoje. Miało to być chyba przyjęcie typu szwedzki stół: każdy nakłada sobie to, na co ma ochotę.

– Chciałbym ci przedstawić Mónicę, moją współlokatorkę. – Gerardo podszedł do mnie w towarzystwie długowłosej brunetki w obcisłej wełnianej sukience.

Była to dwudziestoparoletnia dziewczyna, śliczna, elegancka, z szerokim uśmiechem, którym mogła zawojować każdego. Przypomniałam sobie, co mówił o niej Gerardo tamtego wieczoru, kiedy wyciągnęłam go z willi Argentyńczyka; z jakiegoś powodu inaczej ją sobie wyobrażałam.

– Miło mi – powiedziała, całując mnie w oba policzki. – Gerardo bez przerwy o tobie opowiada. Bardzo chciałam cię poznać.

– O tobie też dużo mówi – skłamałam. – Mnie również bardzo miło. Też jesteś prawniczką?

– Nie, nie, kończę doktorat z biologii molekularnej – kwasy nukleinowe,

białka i te rzeczy.

Odniosłam wrażenie, że ci dwoje są dla siebie kimś więcej niż tylko współlokatorami i kimś więcej, niż się Gerardowi wydawało. Albo wkrótce będą, nawet jeśli sami się jeszcze nie zorientowali.

– Molekuły zawsze bardzo mnie interesowały – powiedziałam celowo dwuznacznie, wytrzymując jej spojrzenie, starając się odkryć na podstawie wyrazu twarzy, może jednego słowa za dużo lub za mało, czy stoi po stronie tych dobrych, czy tylko stwarza takie pozory.

– Moim zdaniem wy, prawnicy, jesteście swego rodzaju badaczami molekuł, tych ludzkich, których nie można dostrzec nawet pod mikroskopem – odpowiedziała mocnym, wyraźnym głosem, spontanicznie, nie starając się nikomu przypodobać, wyrażając tylko własne myśli. – Chodzi mi o dobro, zło, prawdę, brak pewności... Ja nie umiałabym pracować bez naukowej podstawy, nie wiem, jak wy to robicie, podziwiam was.

Przyjrzałam jej się szeroko otwartymi oczami. Nie tylko była młoda, elegancka, ładna i inteligentna, nie tylko miała przed sobą całe życie, ale chyba była też dobrym człowiekiem. Lepiej być nie może. Nie do uwierzenia: Gerardo trafił na prawdziwą i szczerą optymistkę, niewykluczone, że jedną z ostatnich. Kiwnęłam głową i spojrzałam na swojego młodszego prawnika.

– Posłuchaj mnie uważnie: nie obchodzi mnie, co masz w tym swoim ptasim mózdzku – powiedziałam. – Jeżeli pozwolisz uciec tej dziewczynie, obiecuję, że pójde za tobą do samego piekła i każę ci do niej wrócić. Mój Boże, dlaczego jesteś takim farciarzem?

Gerardo lekko się zaczerwienił, ona zaś wybuchnęła śmiechem. Postanowiłam radykalnie zmienić temat. Nie zamierzałam się roztkliwiać, a już zwłaszcza dzień przed Wigilią. Wystarczy, że wszystkie środki przekazu zasypują nas życzeniami i reklamami nawołującymi do tego, żebyśmy byli w tym czasie lepszymi ludźmi.

– Miałeś w ciągu ostatnich dwóch tygodni jakieś wieści od Frimana albo któregoś z jego kolegów? – zapytałam wprost.

Instynkt mówił mi, że Gerardo opowiedział Mónice o swojej przygodzie z hazardem. A jeśli nie, dzięki mnie będzie miał teraz okazję, by to zrobić.

– Żadnych – odpowiedział Gerardo, przełykając ślinę; spojrzał z ukosa na mnie i na dziewczynę, potwierdzając to, czego się domyślałam: to nazwisko nie było Mónica obce. – Nie dał znaku życia.

– Tym lepiej, może na tym się skończy.

– Co miałaś na myśli, kiedy powiedziałaś w willi, że mój dług jest wyrównany?

– Powiedziałam tak, żebyś ze mną poszedł. Za wszelką cenę musiałam cię stamtąd wyciągnąć – odparłam. – Tak naprawdę nie obiecał wprost, że daruje ci dług. Zresztą ja też nie zamierzałam czekać, aż to powie. Po prostu zagroziłam mu w przeciwnym wypadku represjami. I tyle.

– Groziłaś Argentyńczykowi? – zapytała z podziwem Mónica, która uważnie przysłuchiwała się naszej rozmowie, odkąd pojawił się w niej wątek hazardu.

– Chyba tak, nie wiem – rzuciłam, bagatelizując sprawę.

– Nie sądzę, żeby Friman tak to zostawił – powiedział Gerardo.

– Jeżeli się z tobą skontaktuje, masz mnie natychmiast zawiadomić – przykazałam i ponownie spojrzałam na Mónica. – Wiesz, mężczyźni czasami lubią zgrywać bohaterów.

– Wielkie dzięki, Ano – powiedziała. Nie było nic więcej do wyjaśniania.

Zgodnie z przewidywaniami reszta wieczoru upłynęła na toastach, życzeniach i uściskach, pośród rozgardiaszu panującego zwykle na tego rodzaju imprezach oraz nawoływań i harców córek Conchy. Martín nie spuszczał z nich oka, ale nie miał odwagi się przyłączyć, jakby powstrzymywała go jakaś niewidzialna, wzniesiona przez niego samego bariera.

Moja przyjaciółka odzyskała częściowo wewnętrzny spokój po ostatnich przejściach. Czekał nas jeszcze ciężki proces, podczas którego miały zostać wyciągnięte bolesne sprawy, takie jak przemoc stosowana wobec niej przez ostatnie lata. Tymczasem jednak środki zabezpieczające zabraniały Felipe zbliżać się do niej na odległość mniejszą niż dwieście metrów i nawiązywać z nią jakikolwiek kontakt. Poza tym odzyskała prawo do opieki nad córkami i dom. M. raz w tygodniu zawoził dziewczynki na krótkie spotkania z ojcem, żeby małżonkowie nie musieli się niepotrzebnie spotykać.

Mogę powiedzieć, że tamten dwudziesty trzeci grudnia był dla mnie najlepszym dniem od bardzo dawna. Mimo że dopiero co straciłam Alego – a może właśnie dlatego – powoli odzyskiwałam kontakt z rzeczywistością i z samą sobą. Nagle okazało się, że już nie jest mi wszystko jedno. Zaczynałam czuć, że znowu żyję – czuć wszystko, łącznie z cierpieniem i wściekłością. Oczywiście wyrzekłabym się tego wszystkiego, gdybym choć na chwilę mogła odzyskać brata. I chociaż wiedziałam, że żałoba potrwa jeszcze długo, przynajmniej tego wieczoru starałam się zbytnio nie zadrećzać i po prostu pozwolić, by życie toczyło się dalej. Pobawiłam się nawet z Rosą i Aitaną w chińską odmianę chowanego polegającą na ukrywaniu się w kuchni, w spiżarni albo w łazience restauracji i wyskakiwaniu z krzykiem, żeby przestraszyć tego, kto akurat przechodził obok, bez względu na to, czy należał do naszej grupy czy nie. Starsi państwo, których kojarzyłam z osiedla, porządnie się przestraszyli, kiedy pojawiłyśmy się znienacka we trzy, wrzeszcząc i skacząc, z pałeczkami w rękach i za uszami, ale zaraz oboje zaczęli się śmiać z własnej reakcji, jakby tego wieczoru każdy rozumiał, że można, a nawet trzeba podchodzić do wszystkiego na luzie. Co za słowo: luz. Przez ostatnie pięć lat luz był tym, czego w życiu nie miałam, ale dlatego właśnie tak bardzo go potrzebowałam. Myślę, że mogłabym bawić się z dziewczynkami przez całą noc.

Chociaż starałam się zachowywać tak, jakby alkohol był mi całkowicie obojętny, jakby nie miał ze mną nic wspólnego, mimowolnie zwróciłam uwagę na to, że niektórzy z obecnych, zwłaszcza Sofía i M., podlali kolację kilkoma kieliszkami wina. Mój wewnętrzny wykrywacz zagrożenia mówił mi, że tego wieczoru ze względu na uśpioną czujność powinnam zaostrzyć środki ostrożności, żeby nie oszukiwać samej siebie i nie pociągnąć łyżka czy dwóch pod pretekstem imprezy, świąt czy innych tego typu głupot. Musiałam to sobie powtarzać, jeśli nie chciałam wpaść we własne sidła. Przypuszczam, że między innymi dlatego bawiłam się dłużej z dziewczynkami, robiąc to, co proponowały. W rzeczywistości nie chodziło o prawdziwą zabawę – raczej o nieustanne pozbywanie się dziecięcej energii. To właśnie najbardziej mi się w tym wszystkim podobało: kompletna absurdalność naszych zachowań. Udało mi się nawet rozruszać Martina: przyłączył się do nas i wydał z siebie kilka okrzyków. Po jednej z takich gonitw pojawił się przed nami poważny brodaty mężczyzna. Wyglądał

znajomo.

– Porucznik – powiedziałam, starając się złapać oddech.

– Krzycz, krzycz, krzycz! – zawyła Rosa.

– Przestraszyliśmy cię! – zawołała Aitana, popychając Moncadę.

Martín oczywiście poszedł w jej ślady i także popchnął porucznika, który stanął jak wryty.

– Poddaję się – powiedział, podnosząc ręce.

Rosa spojrzała na niego zdziwiona i powiedziała do mnie:

– Nie umie się bawić. To chińska zabawa w chowanego. Nie trzeba się poddawać.

– Wiem, kochanie, masz całkowitą rację – mruknęłam. – Ale coś mi się wydaje, że on woli zabawę w policjantów i złodziei.

Obie dziewczynki i Martín zmierzyli porucznika wzrokiem, chcąc sprawdzić, czy nadawałby się do czegoś takiego.

– Jesteś przyjacielem cioci Any? – zagadnęła Aitana.

Moncada spojrzał na mnie z ukosa z pytaniem w oczach, czy może odpowiedzieć.

– Tak, jestem jej przyjacielem – stwierdził naturalnym tonem – chociaż ona jeszcze o tym nie wie.

– To bardzo dobrze – orzekła dziewczynka.

Nagle Rosa, Aitana i Martín wypadli z wrzaskiem, jakby ktoś jednocześnie wystrzelił ich z procy. Zostaliśmy z Moncadą sami i przez chwilę na siebie spoglądaliśmy.

– To prywatna uroczystość – powiedziałam życzliwie, acz stanowczo.

– Przykro mi, że przeszkadzam. Chciałem się tylko przywitać.

– Pilnujesz mnie? Czy po prostu znasz mnie tak dobrze, że zawsze wiesz, gdzie będę?

– Na tym polega między innymi moja praca: wiedzieć, gdzie są ludzie – odpowiedział jak zwykle uprzejmym tonem, przeciągając dłonią po brodzie.
– Słyszałem, że wniosłaś pozew karny przeciwko Gran Castilli.

– Widzę, że wiadomości szybko się rozchodzą.

– Coś takiego nie zdarza się codziennie.

– Ciekawi mnie jedna rzecz. Jesteś hazardzistą. Gdybyś miał wybierać, na kogo byś postawił?

– Jak zwykle na tych dobrych.

Zatrzymałam wzrok na szarych oczach porucznika. Choć jego niejednoznaczne zachowanie w willi Frimana trochę mnie rozczerowało, przyznaję, że nadal wydawał mi się mężczyzną atrakcyjnym, interesującym i do pewnego stopnia godnym zaufania.

– Myślisz, że wygramy proces? – zapytałam.

– Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia. Wybrałaś sobie potężnego przeciwnika. Santonja jest jak największy zabijaka w szkole.

– Tego właśnie chciałeś, prawda?

– Ja?

– Kiedy puściłeś mi to nagranie, chciałeś, żebym się za nich wzięła. Dlatego to zrobiłeś.

Moncada nie odwrócił wzroku. Ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy. Nawykł do przesłuchań, a także do długich partii pokera. Niełatwo było go zaskoczyć albo odczytać, co tak naprawdę kryje się w jego twarzy lub mniej czy bardziej znaczącym geście.

– Chcę jedynie, żeby sprawiedliwości stało się zadość i tak dalej – powiedział obojętnym tonem, na pozór nieporuszony moim stwierdzeniem.

Nie miałam ochoty prowadzić tego wieczoru dłuższego dochodzenia ani bawić się w kotka i myszkę. Nie byłam też zainteresowana odkrywaniem motywów, jakimi kierował się porucznik. Wystarczył mały przebłysk świadomości, bym zrozumiała, czego tak naprawdę potrzebują moje ciało i moja głowa tego dwudziestego trzeciego grudnia.

– Nie wiem, po co tu dziś przyszedłeś, Moncada – wyszeptałam, nieznacznie się do niego przysuwając. Chciałam, żeby moje słowa zabrzmiały tak, jakbym podjęła świadomą decyzję, i – czemu nie – również nieco przewrotnie. – Wszystko mi jedno. Po moim domu płacze się za dużo ludzi, jedźmy do ciebie. Zaraz.

– Świetny pomysł – odpowiedział z przekonaniem, które chciałam

usłyszeć w jego głosie.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Perspektywa seksu z prawdziwym mężczyzną – dla odmiany – sprawiła, że przeszedł mnie dreszcz. A nie jestem z tych, co często drżą.

Ruszyliśmy z porucznikiem jak gdyby nigdy nic w stronę wyjścia. Słyszałam dobiegające z głębi lokalu głosy Conchy i reszty. Wszyscy ci ludzie zebrani w japońskiej restauracji byli moją prawdziwą rodziną. Może nigdy im tego nie powiem, ale tak właśnie czułam.

Kiedy zdejmowałam płaszcz z wieszaka przy drzwiach, pojawił się Haruo.

– Pani Ana, teraz podać ulubiony deser, lody waniliowe w tempura.

– Dziękuję, Haruo, dziewczynki na pewno zjedzą moją porcję.

To, że wyjdę, nie spróbowawszy deseru, było dla niego równie niepojęte jak to, że ludzie Zachodu wydają setki milionów euro na produkcję widelców i noży: jedno wielkie marnotrawstwo, kompletnie bezsensowne.

– Mogę pakować tempura i ty zabrać.

– Nie trzeba, przyjdę kiedy indziej – odpowiedziałam w biegu, starając się spławić poczciwego Haruo, najgrzeczniej jak potrafiłam.

Nie chciałam go urazić, ale nie chciałam też tracić czasu. Nieraz lepiej jest potraktować nieco ostrzej ludzi, na których ci zależy i których darzysz szacunkiem.

Wyszliśmy z Moncadą na zewnątrz niemal jednocześnie. Z ust leciała mi para. O tej godzinie temperatura spadła już na pewno poniżej zera.

– Zaparkowałem tam, po drugiej stronie ulicy – powiedział porucznik.

– Wezmę swój samochód i pojedę za tobą – odpowiedziałam zdecydowanym tonem. – Nie wiem, jak długo u ciebie zostanę, może za godzinę będę z powrotem, a może spędzę z tobą dwa dni, nie mam pojęcia, ale nie chcę być od nikogo zależna, kiedy przyjdzie mi ochota, żeby wrócić.

– Jak wolisz.

Porucznik mieszkał niedaleko Robredo, jak zresztą przypuszczałam. Poprosiłam, żeby zaczekał na światłach na rogu placu, aż wyprowadzę samochód z garażu. Potem za nim pojedę.

Moje kroki zadudniły głośno, kiedy schodziłam po schodach do garażu.

Czułam się dobrze, żadnego ucisku w piersiach ani w żadnej innej części ciała, nie miałam ochoty nigdzie się zamykać ani uciekać, potrzeba, żeby się napić (która pewnie będzie mi towarzyszyć już przez resztę życia), nie paraliżowała mi zmysłów, nie uniemożliwiała kontaktu z rzeczywistością. Dla innych wszystko to jest prawdopodobnie najnormalniejszą rzeczą pod słońcem, ale dla mnie było prawie rajem.

Zeszłam na drugi poziom i ruszyłam w stronę miejsc parkingowych dla mieszkańców, usytuowanych z dala od schodów. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że przyspieszam kroku, jakbym chciała wreszcie znaleźć się w samochodzie, uruchomić silnik i pojechać za poręcznikiem do jego mieszkania, konkretnie do jego łóżka. Choć może lepiej będzie zrobić sobie przystanek na kanapie. Uwielbiam wygodne kanapy; doskonale nadają się do pewnych celów, mają w sobie coś tajemniczego, co zawsze mnie pociągało.

O tej porze w garażu nie było żywego ducha. Zobaczyłam mazdę wystającą pomiędzy dwóch innych samochodów i zatrzymałam się na chwilę, żeby poszukać kluczyków.

Panowała kompletna cisza. Słyszeć było tylko, jak grzebię w torbie, zawsze pełnej nieprzydatnych, bezwartościowych kłopotów. Wreszcie po kilku nieskończonej długich sekundach znalazłam kluczyki; leżały dokładnie pod całą resztą. Wyciągnęłam je zniecierpliwiona.

Wtedy to się stało.

Nie widziałam go. Nie wiem, skąd nadszedł. Nie wiem też, kim był, jak zdołał bezszelestnie zajść mnie od tyłu ani jak długo mnie śledził albo na mnie czekał.

Poczułam mocne uderzenie w głowę – tępy przedmiot walący z tyłu w górną część czaszki. Chyba wydałam zduszony krzyk. Upadłam na beton, poczułam straszliwy ucisk w skroni, ból, który sparaliżował resztę mojego ciała. Spróbowałam podnieść się na czworakach. Starłam się utrzymać równowagę, ale zaraz otrzymałam kolejny brutalny cios, tym razem niżej, w kręgosłup, mniej więcej na wysokości łopatk. Przewróciłam się.

Czyjaś wielka dłoń w ciemnej (o ile dobrze pamiętam) rękawiczce chwyciła mnie za włosy i pociągnęła. Poczułam, jak po twarzy ścieka mi powoli krew płynąca z czoła. Dłoń odchyliła do tyłu moją głowę i uderzyła nią o beton.

Raz, drugi. Nie wiem, jak długo to trwało. Czułam, jak mój prawy policzek wbija się w posadzkę, jak pękają mi kości w głowie, jak moje neurony eksplodują przy każdym uderzeniu.

Leżałam na brzuchu na zimnym betonie. Uniosłam się, zaczęłam coś bełkotać, chciałam prosić o litość, może błagać o darowanie życia. Nie zdążyłam. Odrzucił mnie brutalny kopniak w żebra, po nim przyszedł kolejny i jeszcze jeden. Nie próbowałam już więcej się ruszać ani nic mówić, właściwie przestałam czuć cokolwiek.

Wydaje mi się, że dostałam kilkanaście kopniaków w różne części ciała; niektóre były bolesne, po innych kurczyłam się tylko, niczego nie czując. Zapamiętałam olbrzymie wojskowe buty, ale może istniały jedynie w mojej wyobraźni.

Kilka sekund później, kiedy myślałam, że to już koniec, usłyszałam dźwięk, którego początkowo nie rozpoznałam.

Przypominał bzyczenie pszczoł. Ale to nie było bzyczenie. To było coś zupełnie innego. Jakby ktoś odkręcił kran z wodą. Nie mogłam się ruszać, byłam poobijana, połamana, bliska zemdenia. Pewnie dlatego nie od razu zorientowałam się, co zamierza mój napastnik. Poczułam ciepły płyn, na plecach, na głowie, na twarzy. Ten skurwiel na mnie sikał. Mocz spływał na moje ciało, na moją skórę, mieszał się z krwią. Nie miał zapachu, przynajmniej ja go nie czułam.

Kiedy skończył – on, który pojawił się znikąd – podniósł coś z ziemi i odszedł.

Słyszałam jego oddalające się kroki.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko – napastnik, ciosy – minęły pewno najwyżej dwie, trzy minuty, odkąd weszłam do garażu.

Leżałam na betonie.

Nie mogłam się ruszyć, zachowałam tylko resztkę świadomości.

Przypomniało mi się to, co zawsze słyszałam: że jeżeli ktoś cię mocno uderzy w głowę, musisz starać się zachować przytomność. Nie wiem, czy to prawda, ale postanowiłam spróbować. Uczepiłam się myśli, że jeżeli mi się uda, ujdę z życiem. Z największym wysiłkiem zdołałam skupić uwagę na krwi ściekającej mi między oczami do ust. Była słona. Lepka.

Staralam się nie myśleć, ale nie potrafiłam. Może Moncada uzna, że zmieniałam zdanie, odczeka chwilę i odjedzie. Może Helena, Concha i pozostali dojdą do wniosku, że wyszłam z porucznikiem, i nie będą mnie szukać ani się o mnie martwić. Może umrę tu sama, wykrwawię się w garażu przy placu Trinidad.

Poczułam pulsowanie w głowie, jakby zaraz miała mi pęknąć czaszka.

Po jakimś nieokreślonym czasie – nie wiem: po kilku godzinach albo minutach – straciłam przytomność.

CZEŚĆ TRZECIA
DUCHY PRZESZŁOŚCI

Uchwyciłam się podwójnej metalowej barierki, którą miałam przed sobą, i podniosłam się nadludzkim wysiłkiem. Mimo upływu czasu i ogromnej liczby zabiegów rehabilitacyjnych stanięcie na nogi nadal było dla mnie nie lada wyczynem. Tamtego słonecznego dnia, w przeddzień Wielkiego Czwartku, chciałam pojawić się u sędzi o własnych siłach, bez kul.

Od pobicia minęły trzy miesiące i dwa dni. Dobra wiadomość była taka, że żyłam. Zła, że oprócz czterech złamanych żeber – od szóstego do dziewiątego – poważnie uszkodzonej łękotki i pękniętej kości strzałkowej, co uniemożliwiało mi normalne chodzenie, miałam także złamany nos i kość policzkową (zgodnie z zaleceniem lekarza nosiłam coś w rodzaju półsztywnej przezroczystej maski, która tylko częściowo zasłaniała koszmarne rany na twarzy i w której wyglądałam jak upiór w operze). Do tego należy dodać dwa długotrwałe urazy: niemal całkowitą utratę słuchu z prawej strony, prawdopodobnie nieodwracalną, co od czasu do czasu przyprawiało mnie o zawroty głowy, oraz powracające bóle głowy będące wynikiem krwotoku podpajęczynówkowego (słyszałam tę nazwę tyle razy, że w końcu ją zapamiętałam; „podpajęczynówkowy” stało się dla mnie pospolitym słowem), doznanego wskutek uderzeń.

W sumie niezłe straszyciło.

Zdecydowanie najgorsze były bóle głowy, najstraszliwsze, na jakie kiedykolwiek cierpiałam. Pojawiały się i znikwały, ale nigdy do końca, nawet po silnych lekach, łagodziły je jedynie ciemność, zimna woda, własnej kompozycji koktajl ze środków przeciwbólowych i antydepresantów, a także pokrzepiający sen, jeśli udało mi się zasnąć.

Posuwałam się korytarzem, krok za krokiem. Mijani ludzie przyglądali mi się bez skrepowania, z ciekawością połączoną z rezerwą, jakby patrzyli na jakąś jarmarczną atrakcję. Taki widok był może na porządku dziennym w szpitalu czy w klinice rehabilitacyjnej, ale na pewno nie w sądzie

śledczym: powłócząca nogami czterdziestoparoletnia prawniczka w masce zasłaniającej część zmasakrowanej twarzy.

Za mną szli Sofía i Gerardo, moi wierni giermkowie, pełni obaw, że mogą runąć na podłogę.

Jak już mówiłam, chciałam pokonać korytarz o własnych siłach, bardzo mi na tym zależało. Sędzia przyjęłaby mnie tak samo, gdybym zjawiała się na wózku inwalidzkim. Nie znałam jej jednak i wolałam, żeby zarówno ona, jak i prokurator oraz reszta obecnych odnieśli wrażenie, że dobrze się trzymam. Chciałam wejść do jej gabinetu na własnych nogach.

Spojrzałam na świeżo wypolerowany gres na podłodze. Moje stopy sunęły po nim powoli, nadzwyczaj ostrożnie. Podłoga musiała zostać położona niedawno; była jedną z niewielu nowych, błyszczących rzeczy w tym budynku i od razu zwracała uwagę. Sąd w Robredo otwarto zaledwie kilka miesięcy wcześniej, w starym, olbrzymim kompleksie obiektów należącym do gminy. Mieściły się tu również inne instytucje, zarówno miejskie, jak i krajowe: centrum seniora, przychodnia, komisariat, basen, a nawet remiza strażacka. Chociaż sąd powstał niedawno, patrząc na stare ściany, sufity i wielkie okna, można było odnieść wrażenie, że znajdował się tu zawsze. Podobno to mikromiasto należało kiedyś do koszar, ze względów strategicznych przeniesionych teraz w okolice bazy wojskowej w Torrejónie.

Pozew karny przeciwko Gran Castilli i Emilianowi Santonja został wniesiony w najlepszym możliwym momencie. Sąd przy placu Castilla przyjął go i przekazał nowo powstałemu sądowi śledczemu w Robredo, jako że to w tej miejscowości popełniono większość wymienionych w piśmie przestępstw, w tym przestępstwo groźby karalnej. Trafił w ręce młodej, sumiennej sędzi. Kobieta nie była jeszcze zawałona setkami spraw, którymi nie miała czasu się zająć. Trzydziestotrzyletnia Paloma Huarte pierwszy raz piastowała stanowisko prezesa sądu i z entuzjazmem przystąpiła do pracy. Tu mieliśmy szczęście, przynajmniej częściowo, bo tempo, jakiego nabrało postępowanie sądowe, zaskoczyło nie tylko stronę przeciwną, ale i nas samych, zwłaszcza po tym, co mnie spotkało. Oczywiście nie protestowałam z powodu rytmu narzuconego przez Huarte. Zamierzałam z nią współpracować we wszystkim, o co poprosi. Pod wieloma względami wygraliśmy los na loterii; powinnam dziękować bogini Fortunie, że pozew nie wpadł w tryby rozpaczliwie powolnej maszyny biurokracji, co czekałoby

go niemal w każdym innym sądzie (na przykład w tym przy placu Castilla). Nieważne, że żadna z osób, które tamtego ranka patrzyły na mnie ze współczuciem, nie podzielała mojego zdania.

Szłam dalej, nie puszczając długiej metalowej barierki. Czułam na plecach uważne spojrzenia moich dwóch młodych prawników. To oni zajęli się kancelarią podczas mojej rekonwalescencji. I bardzo dobrze im poszło. Kiedy wypisano mnie ze szpitala, dwa tygodnie po incydencie (żebyśmy się dobrze zrozumieli, od tej pory będę nazywała dotkliwe pobicie w garażu „incydentem”), nadzorowałam przebieg postępowania sądowego z domu, który opuszczałam tylko raz dziennie, by udać się na rehabilitację. Na szczęście nasza kancelaria i moje mieszkanie znajdowały się w tym samym miejscu.

W głębi po prawej stronie dostrzegłam drzwi, w progu których czekała na nas kobieta o sympatycznym wyglądzie, lekko się uśmiechając. Miała duże okulary i kręcone włosy. Spojrzała zaniepokojona na zegarek; było oczywiste, że spóźniliśmy się kilka minut. Powstrzymała się jednak od komentarza na widok mojej oszpeconej twarzy i żalosnego chodu. Utykałam, kręciło mi się w głowie, nie słyszałam na jedno ucho i miałam poobijaną twarz, ale przynajmniej mogłam pozwolić sobie na to, by spóźnić się na spotkanie z sędzią bez narażania się na reprimendę ze strony jej asystentki.

– Dzień dobry, pani Tramel, nazywam się Julia Pérez de Pablos, ale wszyscy mówią na mnie Julita. Jestem asystentką sędzi prowadzącej pani sprawę. Oczekiwałyśmy pani przybycia – wyrecytowała jednym tchem; bez problemu mnie rozpoznała, choć nigdy się nie widziałyśmy. Zadałam sobie pytanie, ile komentarzy na mój temat musiało krążyć po incydencie w tym i w innych sądach. – Sędzia Huarte może państwa przyjąć.

– Świetnie – odpowiedziałam krótko. – O ile wcześniej nie runę na podłogę, za niecałe dwie minuty powinnam przejść przez te drzwi.

Kobieta nie zareagowała na moją uwagę, zachowując powściągliwe i surowe milczenie.

Zrobiłam kilka kroków, powolnych i niepewnych, ale czekał mnie jeszcze ten najtrudniejszy: puszczenie się barierki i wejście do gabinetu, podczas gdy miałam do dyspozycji jedynie moje nogi, moją słabą kostkę i mój upór.

Oderwałam palce od metalu, wzięłam głęboki oddech i ruszyłam w stronę

drzwi. Asystentka i moi pomocnicy patrzyli na mnie z napięciem, jakby przyglądali się początkującemu linoskoczkowi, pod którym nie rozciągnięto siatki asekuracyjnej i który wcześniej czy później straci równowagę. Poczułam, że wysiadają mi kostka i kolano, że kość strzałkowa tam na dole znów wykręca mi numer, że błaga o pomoc.

Jakimś cudem dotarłam do futryny i desperacko się jej uczepiłam. Asystentka odsunęła się na bok, powstrzymała odruch pospieszenia mi z pomocą; pewno Sofía wskazała jej gestem, żeby nie podchodziła. Możecie sobie myśleć, że jestem dumna, uparta, a nawet wyniosła. Ale kiedy już wbiję sobie coś do głowy – a dzieje się tak dość często – zazwyczaj się nie poddaję, niezależnie od tego, czy chodzi o proces dotyczący prania brudnych pieniędzy na światową skalę, w które zamieszane są rządy, czy o przejście o własnych siłach dziesięciu metrów w małym prowincjonalnym sądzie. Wiem, że duma to młodsza siostra egotyzmu i jeden z naszych największych wrogów, wiem to, bo nie jestem idiotką, a także dlatego, że wiele lat temu przeczytałam to zdanie w poradniku psychologicznym, który podarował mi mój ówczesny chłopak ze studiów, i wyryło mi się ono w pamięci. Wiem też jednak, że uczynienie naszych wrogów sojusznikami to najlepsza droga do zwycięstwa, a duma należy do nich dlatego, że czasem okazuje się przydatna, powiedziałabym, że wręcz niezbędna.

W końcu weszłam do gabinetu sędzi. Poczułam się tak, jakbym zdobyła najwyższy szczyt. Nikt jednak nie nagrodził brawami mojego wyczynu. Osiem osób (nie licząc asystentki i moich pomocników) natychmiast wstało i spojrzało na mnie w milczeniu, jakby w gabinecie pojawił się mutant z innej planety. Prawniczce towarzyszącej prokuratorowi wymknęło się nawet ciche westchnienie. Pewnie nie spodziewała się maski, blizny na policzku i nosie ani sztywnego chodu. Złapałam się krzesła, żeby nie upaść.

– Pozwolą państwo, że usiądę – powiedziałam i nie czekając na odpowiedź, osunęłam się po oparciu.

– Wygląda pani fatalnie, pani Tramel.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam siedzącą po drugiej stronie stołu, dokładnie na wprost mnie, urągająco młodą dziewczynę w ciemnych spodniach i białej koszuli z podwiniętymi rękawami, która uważnie mi się przyglądała.

– Sędzia Huarte, dzień dobry. Cieszę się, że mimo wszystko jest pani dzisiaj z nami – dodała.

Spodobała mi się ta dziewczyna – o ile wolno mi się tak wyrazić o sędzi. Lubię ludzi szczerych, którzy spontanicznie rzucają człowiekowi w twarz to, co myślą, nawet jeśli to nie jest nic przyjemnego.

– Bardzo mi miło, Wysoki Sądzie – powiedziałam, najzyczliwiej jak potrafiłam; musiałam zregenerować siły, byłam wyczerpana. – Proszę mi wierzyć, bardzo chciałabym móc zjawić się wcześniej.

Potem przedstawili się pozostali. Wiedziałam doskonale, kto jest kim, choć nigdy nie miałam do czynienia z żadną z tych osób: dzięki Sofii i informacjom od M. znałam usposobienie i szczegóły z życia każdego z tych mężczyzn i kobiet, którzy teraz nie odrywali ode mnie wzroku. Oczywiście oni na pewno również mieli wyczerpujące dossier na mój temat.

– Ginés Iglesias, przedstawiciel prokuratury – powiedział pospiesznie gość około siedemdziesiątki o białych włosach, który jak na swój wiek całkiem niezłe się trzymał. Malujące się na jego twarzy znużenie wskazywało, że nie siedzi tu z przyjemnością.

Zapewne kiedyś ten mężczyzna, w jakimś stopniu nadal atrakcyjny, chciał dochodzić sprawiedliwości, czynić ze świata lepsze miejsce do życia; teraz wydawało się, że zależy mu wyłącznie na cieplej, dostatniej emeryturze.

Stojąca obok niego kobieta – ta, która na mój widok wydała z siebie zduszone westchnienie – poruszyła się niespokojnie. Pod pewnymi względami przypominała swojego szefa – przez wyraz zgorzknienia na twarzy, smutny wzrok i tę jakby obecność i nieobecność zarazem, chęć wtopienia się w tło. Na pewno godnie zastąpi Ginesa, kiedy ten przejdzie na emeryturę. Powiedziała półgłosem:

– Adela Fernández, z prokuratury.

Bez słowa skinęłam głową, aby dać do zrozumienia, że całkowicie mi te informacje wystarczają.

W gabinecie znajdowała się także liczna reprezentacja obrońców Gran Castilli pod przewodnictwem kobiety, na widok której obleciał mnie strach. Cristina Tomé miała tyle samo lat co ja, była podobnego wzrostu i także nosiła krótko obcięte włosy. Numer dwa w kancelarii Barver & Ambrosía,

gruba ryba. Najbardziej przerażał mnie chyba fakt, że jestem jej odbiciem. Gdyby nie to, że sprawy się pogmatwały, pewnie mogłabym zajmować teraz jej stanowisko (albo identyczne w innej dużej kancelarii), zarabiać jej pieniądze, nosić jej ubrania, mieć jej makijaż, prowadzić jej samochód, mieszkać w jej domu... Mogłabym być nią.

– Przyłączam się do tego, co powiedziała pani sędzia. Ja także cieszę się, że pani z nami jest – powiedziała i spojrzała na mnie z ufnością, starając się okazać współczucie. – Jeżeli będzie pani czegokolwiek potrzebowała, wystarczy powiedzieć. Surowo potępiamy awanturę, w którą została pani wmieszana, naprawdę nam przykro, jesteśmy do pani dyspozycji we wszystkim, o co pani poprosi.

– To nie była awantura – odpowiedziałam. – Zostałam zaatakowana od tyłu, pobita, a następnie obsikana.

Cristina Tomé skinęła głową.

– Powtarzam: może pani liczyć na wszelką pomoc zarówno kancelarii, jak i obecnej tu Cristiny Tomé – powiedziała, podczas gdy jeden z asystentów wręczał mi wizytówkę szefowej. Jakbym nie miała jeszcze wszystkich jej danych.

Wiem, że ta wizytówka była jedynie przyjaznym gestem, ale wydało mi się nie na miejscu, że zamiast Tomé podał mi ją jej podwładny.

Poczułam ulgę, kiedy odkryłam, że jednak czymś się różnimy, choć były to tylko, że tak powiem, różnice gramatyczne. Nawet gdyby moja kariera potoczyła się zgodnie z przewidywaniami i zostałabym współniczką we wpływowej kancelarii, nigdy, przenigdy nie używałabym pierwszej osoby liczby mnogiej. A tym bardziej nie mówiłabym w taki sposób o sobie samej, jakbym była co najmniej papieżem.

Wizytówkę podał mi początkujący aplikant: banalna twarz, starannie ogolony, wory pod oczami charakterystyczne dla osób, które pracują więcej niż sześćdziesiąt godzin tygodniowo, duży zapał i dyspozycyjność. Prototyp dobrego studenta, absolwenta studiów podyplomowych na zagranicznej uczelni, których zatrudniały duże kancelarie, żeby wycisnąć ich jak cytrynę; tylko nielicznym udawało się wspiąć na wyższe stanowiska.

Za nim stał kolejny junior, Albert Barver. Najmłodszy syn Jordiego Barvera, współnika zarządzającego, założyciela i właściciela kancelarii.

Chłopak miał dwadzieścia cztery lata, był na stażu, niedawno skończył studia na Uniwersytecie Nawarry, u jezuitów. Z tego, co udało mi się sprawdzić, wynikało, że to niezłe ziółko, chłopiec z dobrej rodziny, który nie chciał iść w ślady ojca, a mimo to wylądował na prawie, przystawszy na nietypową propozycję: jeżeli pójdzie wytyczoną drogą, to kiedy skończy trzydzieści lat, otrzyma środki niezbędne do założenia własnej, niezależnej firmy. Albert był najmłodszym z czworga dzieci starego Jordiego i jego ostatnią nadzieją na to, że któraś z pociech zastąpi go na czele imperium. Na razie Jordi odniósł połowiczny sukces: chłopak pracował w kancelarii, ale tylko tymczasowo, dokładnie do dnia trzydziestych urodzin. Nie chciałabym znaleźć się w skórze tego dzieciaka; choćby nie wiem jak był czujny, nie domyśla się, jakim manipulacjom zostanie poddany w najbliższych latach po to, aby zmienić zdanie. Został wyznaczony do sprawy Gran Castilli, by nabrać doświadczenia i zahartować się we wszelkiego rodzaju bataliach. Albert miał talent i był inteligentny, na pewno przyda się obronie.

Trzecim prawnikiem pomagającym Tomé (akurat tego dnia, bo miała pod sobą całe zastępy adwokatów, detektywów, biegłych i wszelkiego rodzaju ekspertów) był mój stary znajomy: Francisco Arias, ten, który przyjął mnie w garażu Barver & Ambrosía.

– Witam, pani Tramel – powiedział urywanym głosem. – Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

Nie wiem, czy mała zasadzka, jaką zastawił na nas w dniu, kiedy zjawiliśmy się w kancelarii, wywoływała w nim teraz poczucie winy, czy też mój wygląd robił na nim większe wrażenie niż na pozostałych, jako że widział mnie również przed incydem, w każdym razie on jedyny z nich wszystkich mówił chyba szczerze.

– Dziękuję – odpowiedziałam.

Wreszcie przedstawił się osobisty adwokat Emiliana Santonjy, pięćdziesięcioletni Holender o długich, na pozór zaniedbanych włosach i gęstej brodzie. Ich kontrast z drogim szarym garniturem od Hugo Bossa oblekającym jego chude ciało od razu wzbudził moje zainteresowanie.

– Hans Andermatt – powiedział, ściskając mi mocno rękę. – Reprezentuje pana Santonję. Dużo o pani słyszałem.

– Mam nadzieję, że przynajmniej w Amsterdamie dobrze o mnie mówią –

odparłam, nie puszczając jego dłoni.

Gdyby ktoś przyłożył mi do skroni pistolet i kazał wybrać jedną osobę obecną w tym gabinecie, z którą chciałabym się znaleźć na bezludnej wyspie, bez wahania wskazałabym Holendra. Ten mężczyzna właściwie już wyglądał trochę jak luksusowy rozbitek. Od dziecka często bawię się w tego rodzaju intelektualne gry: kiedy jestem w liczniejszej grupie, ni stąd, ni zowąd zadaję sobie pytanie, kto mnie najbardziej ciekawi, z kim zrobiłabym tę czy inną rzecz, i na ogół muszę sobie na nie odpowiedzieć, żeby przestać o tym myśleć i skoncentrować się na tym, co robię. Zatem postanowione: moglibyśmy z Latającym Holendrem z rozkoszą swawolić na rajskiej plaży pod palmami kokosowymi; bylibyśmy filmową parą: on w swoich markowych, dopasowanych spodniach i z nagim torsem, ja w mojej modnej masce, pokryta świeżymi bliznami.

– Jeżeli państwo pozwolą, zaczynamy, czeka nas dużo pracy – poprosiła sędzia.

Julita zamknęła drzwi, podbiegła do dużej szafy z segregatorami i zaczęła w niej grzebać. Wszyscy usiedli, poza asystentką, która przez chwilę przeglądała jakieś teczki. Sofía i Gerardo zajęli miejsca tuż za mną. Gabinet nie był duży, siedzieliśmy ściśnięci, praktycznie krzesło przy krześle. Sędzia Huarte podeszła do małego okienka po lewej stronie i mówiąc coś, otworzyła je, świadoma, że za kilka minut atmosfera stanie się bardzo gorąca, jeśli już taka nie była.

– Po pierwsze, kwestia nagrań – powiedziała, przyciągając okno do samej ściany, żeby się nie uderzyć. – Jak wszyscy wiemy, rozmowy telefoniczne stanowią dzisiaj koronny dowód oskarżenia, jednak otrzymane przez nas raporty biegłych nie są zgodne co do jednoznacznej mocy dowodowej wspomnianych nagrań.

Julita pospiesznie wręczyła każdemu z nas kopie trzech raportów, o których mówiła Huarte. Wszyscy otrzymaliśmy je kilka dni wcześniej, mimo to większość obecnych spojrzała na kartki. Ja i Tomé nie spuściliśmy wzroku, nie poświęciliśmy ani sekundy na to, by potwierdzić, że są to rzeczywiście dokumenty, które już znamy. Wymieniłyśmy spojrzenia – przez chwilę żadna z nas nie odwracała głowy, jakbyśmy mówiły: obie wiemy, że to wszystko to tylko słowa, bez znaczenia, liczymy się tylko ja i ty, na końcu

staniemy twarzą w twarz, jedna przeciwko drugiej.

– Jak zapewne państwo zauważyli – podsumowała Huarte – tak się składa, że oba raporty przedstawione przez obronę zgadzają się co do jednego: nagrania mogły zostać sfalszowane, zmontowane albo zmienione, dlatego też nie sposób stuprocentowo potwierdzić ich autentyczności.

– Jeżeli mogę coś wtrącić – powiedział Andermatt; wymawiał wu, er i ce tak dźwięcznie, jakby zaraz miały one zjeść ewidentnie bezbronne samogłoski. – Biegły, do którego się zwróciłem, jest światowej sławy specjalistą; analizował podobne nagrania między innymi dla CIA, FBI czy Interpolu. Jeżeli jego wnioski zgadzają się z tymi przedstawionymi przez biegłego kancelarii Barver, warto mieć to na uwadze. To całkowicie niezależni technicy. Pracowali samodzielnie, bez żadnych wskazówek z naszej strony.

– Proszę pogratulować swojemu biegłemu znakomitego CV, panie mecenasie – odpowiedziała Huarte ze szczyptą sarkazmu, zachowując przy tym pełny profesjonalizm. – Ale do rzeczy: biegli obrony podają w wątpliwość nie tylko autentyczność nagrań, ale także ich wiarygodność, a tym samym ich moc dowodową. Z kolei biegły oskarżenia jednoznacznie stwierdza w swoim raporcie, że nagrania pochodzące z telefonu zmarłego są nienaruszone i że z technicznego punktu widzenia nie można im niczego zarzucić, mogą więc zostać dopuszczone jako dowód. Żeby zaoszczędzić nam czasu i rozstrzygnąć wątpliwości, poproszę o bezstronną opinię, dzięki temu podczas procesu nikt nie wyciągnie z rękawa wniosku o podważenie wiarygodności tego dowodu. Ta kwestia powinna zostać rozwiązana podczas postępowania przygotowawczego. Czyli teraz. Czy to jasne?

Tomé wykonała niemal niezauważalny ruch głową, na co Arias podskoczył jak na sprężynie.

– Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie. Na dzień dzisiejszy nie możemy dopuścić, aby te nagrania stanowiły podstawę pozwu karnego. Jak słusznie pani wskazała, dwóch z trzech biegłych podało w wątpliwość ich wiarygodność, zatem najprawdopodobniej zostały zmanipulowane...

– Najprawdopodobniej – przerwała mu Huarte. – Gdyby obrona przedstawiła sto raportów biegłych w tej sprawie, wszystkie twierdziłyby to samo. A gdyby oskarżenie przedstawiło kolejne sto, wszystkie

utrzymywałyby, że jest dokładnie na odwrót. Dlatego poprosimy o obiektywną opinię. Oboje z prokuratorem zgadzamy się co do tego, że jest to kluczowe dla dalszego przebiegu postępowania. Sąd losowo wyznaczy biegłego.

– W drodze losowania – potwierdził Iglesias, budząc się na dźwięk własnych słów.

Chodziło o to, że biegły sądowy zostanie wybrany losowo z listy będącej w posiadaniu sądu śledczego.

– Z drugiej strony – ciągnęła Huarte – nawet pańscy biegli nie stwierdzają, że nagrania zostały zmodyfikowane, uznają jedynie, że mogło się tak stać, a to zupełnie co innego. Tak więc proszę się mieć na baczności, jeśli nie chce pan, żebym odłożyła do akt pański wniosek o odrzucenie nagrań jako dowodu, nie czekając na nową opinię. Wystawia pan na próbę moją cierpliwość. Żeby było jasne: proszę o nowy raport biegłego na koszt sądu, żeby w przyszłości oszczędzić pracy mojemu koledze z sądu prowincji, a nie dlatego, żebym w obecnej sytuacji uważała pański wniosek za zasadny.

– Bardzo dziękuję, Wysoki Sądzie – powiedział Arias, dławiąc się własnymi słowami.

Byłam zachwycona Palomą Huarte. Gdybym mogła mieć znowu trzydzieści trzy lata, chciałabym być taka jak ona. Niestety, żeby tak się stało, musiałabym przygotować się do konkursu na stanowisko sędziego i przestrzegać diety, a to dwie z najuciążliwszych rzeczy, jakie potrafię sobie wyobrazić.

– Oskarżenie pochwała pani decyzję – odezwałam się, nie mogąc ukryć entuzjazmu. – Jestem przekonana, że ta bezstronna opinia potwierdzi naszą tezę odnośnie do nagrań.

Poczułam, że wszyscy patrzą na mnie tak, jakbym powiedziała coś, co może obrócić się przeciwko mnie.

– Nie wiem, co mówili pani współnicy, ale widać, że pierwszy raz zaszczyca nas pani swoją obecnością i nie zapoznała się pani jeszcze z zasadami obowiązującymi w tym sądzie – oświadczyła Huarte. – Nie ma najmniejszej potrzeby, żeby akceptowała pani, a tym bardziej pochwałała moje decyzje; będę wdzięczna, jeśli się pani od tego powstrzyma. Jeżeli zaś chodzi o pani uwagę co do nowego biegłego, który przeprowadzi dowód,

może pani oczywiście sprawdzić procedurę losowania, ale uprzedzam, że to znacznie wydłuży postępowanie, a mówiąc „znacznie”, mam na myśli kilka tygodni, a może i miesięcy. Jeżeli jednak nie złożą pani takiego wniosku, za niespełna dwadzieścia cztery godziny wyznaczony biegły zajmie się sprawą i będziemy mogli posunąć się naprzód. Decyzja należy do pani.

– Postanawiam nie składać żadnego wniosku, i ponieważ nie może być inaczej, zaufać w pełni sądowemu systemowi losowania – odpowiedziałam pospiesznie.

– Słuszny wybór – ucięła Huarte. – Aha, gdyby to obrona postanowiła wykorzystać sytuację, by opóźnić proces, przedstawiając wniosek dotyczący wyboru biegłego, rzecz miałaby się inaczej: państwa prośba została odrzucona ze względu na przyspieszoną procedurę postępowania i wszystko potoczyłoby się jeszcze szybciej, tak więc odradzam ten krok także i państwu. Dlaczego? Bo na tym polega wymierzanie sprawiedliwości, na przykładaniu innej miary do obu stron, choć mogłoby się to wydawać paradoksalne. To, co jest dobre dla jednych, jest złe dla drugich, i na odwrót. Nie wiem, czy mnie państwo rozumieją; zresztą to bez znaczenia. Wszyscy się zgadzają?

W sali rozległy się potakujące szepty, chyba nawet Julita wymamrotała „tak”.

W ten sposób załatwiała sprawy sędzia Huarte.

Potem omówiliśmy inne elementy postępowania: kolejność, w jakiej zostaną przesłuchani świadkowie i oskarżeni, rzekomy brak konkretnych dowodów na popełnienie czwartego przestępstwa zarzucanego pozwanym (namowa do samobójstwa) oraz wniosek ubezpieczyciela kasyna w Robredo, który chciał uczestniczyć w sprawie po stronie obrony: chociaż firma nie została pozwana do sądu, groziła jej wypłata odszkodowania z tytułu odpowiedzialności cywilnej, a żądana suma była wysoka. Zdziwiło mnie, że towarzystwo ubezpieczeniowe robi to dopiero teraz. W tej kwestii Huarte podjęła szybką decyzję: ubezpieczyciel natychmiast otrzyma całą dokumentację, a jego prawnik zostanie włączony do postępowania. Jeśli chodzi o pozostałe dwa tematy, padło wiele sprzecznych opinii: a to że z braku nowych dowodów nie ma potrzeby rozszerzania pierwszych zeznań oskarżonych, a to że przestępstwo namowy do samobójstwa musi zakładać

bezpośredni zamiar doprowadzenia do śmierci ofiary, który nie wynika z gróźb, niezależnie od ich częstotliwości...

Dwadzieścia minut później, widząc, że dyskusja do niczego nie prowadzi, sędzia poprosiła strony, żeby następnym razem odrobiły pracę domową, zanim zjawią się w jej gabinecie, i wezwała nas wszystkich na przyszły tydzień, po przerwie wielkanocnej.

– Pani może zostać, pani Tramel – powiedziała Huarte.

Pozostali spojrzeli na mnie zdumieni. Zostanę sama z sędzią? Nie ja o to prosiłam, nigdy bym się nie odważyła, prawdę mówiąc, byłam równie zaskoczona jak inni.

– Tak jest, Wysoki Sądzie.

Co innego mogłam powiedzieć?

– Jest pani gotowa do poprowadzenia tej sprawy?

Od razu zrozumiałam, że to pytanie nie jest czystą formalnością, że Huarte oczekuje ode mnie szczerzej, jednoznacznej odpowiedzi.

W pokoju byłyśmy już tylko my dwie.

– Jestem – odpowiedziałam.

– Mam taką nadzieję. Między nami mówiąc, sprawa jest niezwykle delikatna. W tym momencie wszystko zależy od nagrań, a nadal nie wiadomo, czy zostaną ostatecznie dopuszczone jako dowód. To, że przyjęto pozew, jeszcze o niczym nie świadczy, sama pani wie.

– Staramy się usilnie wzmocnić nasze argumenty, Wysoki Sądzie – zapewniłam.

– Naturalnie, nie mam co do tego wątpliwości. Ma pani przeciwko sobie kancelarię dysponującą nieograniczonymi środkami, a raczej dwie kancelarie dysponujące nieograniczonymi środkami, a teraz, kiedy włączy się towarzystwo ubezpieczeniowe, nawet trzy. Z tego, co się orientuję, pani własna, nowo otwarta kancelaria nie jest na razie w szczytowej formie.

Nie wiem, czy ta kobieta chciała mi pomóc, czy raczej mnie zniechęcić; nie do końca rozumiałam jej intencje. Z jednej strony Huarte jawiła mi się jako młoda, nieustraszona, zuchwała sędzia szykująca się na podbój świata. Z drugiej jednak, z jej słów przebijała złość, jakby miała do mnie pretensje, że odważyłam się zaangażować w taką sprawę.

– Dziękuję pani za troskę – powiedziałam – ale zapewniam, że dysponujemy wystarczającymi środkami, żeby prowadzić ją dalej.

– Tak, oczywiście, tego akurat jestem pewna. Niepokoi mnie natomiast, dokąd pani zmierza.

– Słucham?

– Pozwoli pani, że będę szczerą: cały ten pozew to był pomysł pani, nie

pani klientki, obie o tym wiemy. Fakt, że zmarły był pani bratem, może nieco zaciemniać obraz rzeczywistości. Pewnie już to pani słyszała i pewnie sama się nad tym zastanawiała. Wydaje mi się jednak, że moim obowiązkiem jest przypomnieć, że mieszanie procesu sądowego z osobistymi odczuciami może obrócić się przeciwko pani, obawiam się zaś, że nie sposób oddzielić tych dwóch rzeczy; żaden normalny człowiek by tego nie potrafił.

Chciałam jej przerwać, ale powstrzymała mnie ruchem dłoni.

– Proszę pozwolić mi dokończyć – powiedziała. – Wiem dobrze, czym jest utrata bliskiej osoby, może mi pani wierzyć, wiem też, że ja sama w okresie żałoby nie czułabym się na siłach poprowadzić bez emocji tak złożoną sprawę. Boję się, że nie dostrzega pani wszystkich konsekwencji. Ma pani świadomość, że pierwszy raz w historii tego kraju ktoś wytacza kasynu proces za to, że swoimi naciskami doprowadziło do śmierci jednego z klientów?

Słuchałam Huarte z największą uwagą. Chyba miała rację. Wyrzut, który słyszałam w jej głosie, budził we mnie obawy.

– Czego pani ode mnie chce? – zapytałam.

Sędzia pokręciła głową.

– Nie chodzi o to, czego ja chcę – odpowiedziała. – Pytanie jest sformułowane inaczej: czego chce pani? Żeby ktoś zapłacił za to, co przytrafiło się pani bratu? Chce pani pomóc biednej wdowie i sierocie? Zemścić się? Proszę, żeby się pani zastanowiła, zanim podejmie pani kolejne kroki. Niech pani na siebie spojrzy; najprawdopodobniej pozostaną pani trwałe ślady. Nie twierdzę, że pobicie miało cokolwiek wspólnego z pozwem, tego nie wiem, ale szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy będzie pani zdolna poprowadzić tę sprawę, i bardzo mnie to niepokoi. Daję fory pani zespołowi, ale proszę nie zapominać, że to wy musicie znaleźć niezbite dowody winy oskarżonych, nie na odwrót. Ich gigantyczna, potężna flota ograniczy się do torpedowania wszystkiego, co przedstawić. Mają o wiele prostsze zadanie. Prokurator pomoże pani tylko w najważniejszych kwestiach, całą pracę musi wykonać pani sama.

– Nie wiem, czy do końca rozumiem, Wysoki Sądzie – powiedziałam.

– Nie chcę, żeby sąd tracił niepotrzebnie czas. Nie chcę też trwonić pieniędzy podatników. Zapewniam panią, że robię wszystko, co w mojej

mocy, żeby rozwiązać tę sprawę. Ale nie lubię niespodzianek, nie chcę, żeby się pani poddała, kiedy będziemy zbliżać się do zakończenia postępowania przygotowawczego.

– Dlaczego miałabym się poddać?

Huarte zmierzyła mnie surowym spojrzeniem. Podała mi brązową kopertę formatu A4.

– Dostałam to dwa dni temu – szepnęła.

Koperta była cienka, zawierała zaledwie kilka kartek. Obmaciałam ją, nie miałam najmniejszej ochoty jej otwierać, było oczywiste, że w środku nie znajduje się nic dobrego. Poczułam lekkie ukłucie w piersi, zapragnęłam nagle znaleźć się gdzie indziej. Sędzia od razu się zorientowała, że nie mam zamiaru zaglądać do środka. Odchyliła się na oparcie i powiedziała:

– To pełna lista środków przeciwbólowych i antydepresyjnych, które brała pani w ciągu ostatnich trzech miesięcy, oraz kopie recept, w tym sfalszowanych, jak zapewne pani wiadomo. Jeżeli te liczby są prawdziwe, spokojnie wystarczą, żeby natychmiast nakazać umieszczenie pani w ośrodku odwykowym.

– Kto pani to dał? – spytałam, oglądając kopertę z obu stron. Nie było nadawcy, żadnego nazwiska, adresu, niczego.

– To anonimowa przesyłka – odpowiedziała, po czym umilkła. W gabinecie zapadła cisza.

Piłeczka była po mojej stronie. Należało się wytłumaczyć. Jednak do głowy przychodziły mi tylko banalne wymówki nie na poziomie. Spojrzenie sędzi nie było oskarżycielskie, nie malowało się w nim nawet potępienie. Rozbroił mnie ten brak cenzury z jej strony. Wolałabym wyrzuty, porządny ochrzan. Tymczasem Huarte patrzyła na mnie bez słowa, w żaden sposób nie okazując, że krytykuje moje postępowanie. O dziwo, obie założyłyśmy z góry, że informacje zawarte w kopercie są prawdziwe. Nie kwestionowałyśmy autentyczności oskarżeń. Co innego było przedmiotem rozmowy.

Nie wiem, jak długo tak siedziałyśmy.

Dłużej, niż należało.

Wreszcie w mojej głowie pojawiły się słowa. Wypowiedziałam je

nieświadomie, nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

– Jestem uzależniona.

Te dwa słowa zawisły między nami. Huarte mogła różnie postąpić. Mogła wyrzucić mnie z gabinetu. Mogła wezwać prokuratora i o wszystkim go poinformować. Mogła nawet donieść na mnie do Izby Adwokackiej. Zamiast tego zapytała:

– Pani klientka o tym wie?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem. Bez wahania skinęłam głową.

– Mieszkamy razem. Wie.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że Helena wie o moich najbardziej intymnych sprawach.

Ścisnęłam kopertę w dłoniach. Zalała mnie lawina nieprzyjemnych myśli. Może jestem śledzona przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Może sędzia ma rację i nie wiem, w co się pakuję. Może – choć ciężko mi się było przyznać – nie jestem gotowa na czekającą mnie konfrontację.

Jeśli chodzi o tabletki, w skrócie rzecz miała się następująco: po incydencie wróciłam do nałogu. Początkowo codziennie brałam tabletki przeciwbólowe, potem stopniowo zwiększałam dawki, zaczęłam łączyć je ze środkami uspokajającymi i antydepresantami. Wróciłam do punktu wyjścia, jeśli chodzi o nałóg. Albo może: byłam w gorszym stanie niż kiedykolwiek wcześniej, uwięziona w studni, z której nie chciałam wyjść. Złamałam obietnicę złożoną Conchy i sobie samej – kiedy ją składałam, nie przypuszczałam, że zostanę napadnięta w garażu pod domem.

Huarte wstała i podeszła do mojego fotela. Bez ceregieli wyjęła mi kopertę z rąk. Kiedy to robiła, czułam, jak szorstki papier przesuwa się między moimi palcami, ucieka, a ja nie mogę zrobić niczego, żeby temu zapobiec. Zniosła kopertę w kąt gabinetu. Wcisnęła guzik i włożyła ją do czarnej maszyny niemieckiej marki. Rozległ się warkot. W kilka sekund niszczarka pocięła dokumenty – jeżeli można tak nazwać zawartość koperty.

Z ruchów Huarte przebijały spokój i determinacja osoby, która wie, czego chce. Budziło to we mnie zazdrość, niepokój i wdzięczność jednocześnie, a także masę innych sprzecznych uczuć.

Musiałam coś powiedzieć. Ocknij się, Ano, potwierdź słowami, że Huarte

podjęła właściwą decyzję.

Gdzie się podziała moja słynna elokwencja? Mój sarkazm? Czyżby odebrało mi mowę w najmniej stosownym momencie?

Poprawiłam maskę, żeby zyskać kilka sekund.

– Wie pani, który film lubiłam najbardziej jako dziecko?

Może nie była to najwłaściwsza rzecz, jaką mogłam powiedzieć w tej sytuacji, ale zadałam takie właśnie pytanie.

Spojrzała na mnie i postanowiła podjąć grę.

– *Zabić drozda?* – strzeliła. – To ulubiony film dziewięćdziesięciu procent znanych mi prawników. Oczywiście wszyscy uważają, że ich wybór jest bardzo oryginalny.

Uśmiechnęłam się.

– Nie uważam moich wyborów za bardzo oryginalne – odpowiedziałam. – Generalnie lubię to samo co reszta śmiertelników: seks, wygodę, pieniądze. Rzecz jasna, kilkakrotnie wracałam do opowieści Harper Lee – i do książki, i do filmu, jak miliony innych ludzi. Ale nie o niego mi chodzi. Kiedy byłam mała, miałam obsesję na punkcie zupełnie innego filmu: *Rocky*. Zrobił na mnie tak wielkie wrażenie, że w ciągu jednego weekendu obejrzałam go osiem razy. Miałam wtedy może dwanaście lat. Znalazłam w domowym odtwarzaczu kasetę wideo. Początkowo nie zwróciłam uwagi na ten film, ale brat mnie namówił. Okazało się, że to nie tylko historia boksera, ale coś znacznie więcej. Opowiada o zwycięstwie biedaka nad systemem. Nieznany chłopak z przedmieścia staje do walki z mistrzem świata. Jego strategią jest wyłącznie przyjmować ciosy i utrzymywać się na nogach. Nie zadaje zwycięskiego ciosu. Nie wymierza zabójczego sierpowego. Nie jest ani najszybszy, ani najprzystojniejszy, ani najlepiej przygotowany. Ale wytrzymuje jak nikt. Mimo ataków, jakie przypuszcza Apollo Creed, mimo niszczycielskich ciosów, które każdego innego powaliłyby na deski, mimo że praktycznie traci wzrok i że po twarzy spływa mu krew, jakimś cudem do końca utrzymuje się na nogach. Udaje mu się coś, czego nie osiągnęli inni bokserzy, o znacznie lepszej technice i bardziej medialni – coś, czego tak naprawdę nikt przed nim nie osiągnął. Proszę wybaczyć mi to porównanie, Wysoki Sądzie. Oczywiście nie uważam się za Rocky'ego Balboę, niczego takiego nie twierdzę. Nie zamierzam zdobyć mistrzostwa świata w wadze

ciężkiej prawa. Nie postrzegam też siebie jako osoby, która pojawiła się znikąd, żeby stawić czoło systemowi. Ale zapewniam panią – o tym rzeczywiście mogę panią zapewnić – że jestem świetna w przyjmowaniu ciosów. Potrafię znosić je jak nikt inny. To nie jest wyidealizowany obraz mojej osoby, taka jest prawda, obiektywny, niezaprzeczalny fakt. Niełatwo mnie powalić.

Huarte przeciągnęła dłonią po karku. Pewnie nie spodziewała się rozmowy o kinie, a tym bardziej o Rockym Balboa.

– Proszę uważać, pani mecenas, nie jest pani niezwyciężona – odparła, siadając ponownie za biurkiem. Uznała spotkanie za zakończone.

Wstałam z wielkim trudem, kolejny raz zmuszając poszczególne części ciała do ogromnego wysiłku. Każdy ruch wiele mnie kosztował. Miałam wrażenie, że jestem jak zardzewiała maszyna, którą ktoś rozłożył na kawałki, a potem poskładał w niewłaściwej kolejności i niektóre części nie pasowały do siebie. Możliwe, że nie przebiegnę już nigdy maratonu (to tylko taka figura retoryczna, bo nigdy nie przebiegłam nawet pięćdziesięciu metrów; bieganie zawsze wydawało mi się stratą czasu, skoro tę samą odległość można było przejść spokojnie, albo jeszcze lepiej: pokonać dobrym samochodem), ale w najbliższych miesiącach musiałam wykrzesać z siebie dość sił, aby dotrzeć do Naczelnego Sądu Prowincji i stanąć przed sędzią, choćbym się miała doczołgać. Tak czy owak, zamierzałam tego dokonać, nawet gdybym musiała przyjąć kolejne ciosy.

Doszłam do drzwi i chwyciłam się futryny – potrzebowałam krótkiego odpoczynku.

– Jeszcze jedno – powiedziała Huarte. – O ile mnie pamięć nie myli, na końcu filmu Balboa przegrywa.

Spojrzałam na nią kątem oka. Na końcu Rocky przegrywał. Nie takie jednak było przesłanie tej opowieści, jeżeli w ogóle jakieś było.

– Wiem – odparłam. – Ale nie daje się powalić na deski. Przegrywa na punkty.

– Tak, tak – mruknęła i pochyliła głowę nad aktami.

Wyszłam, nie oglądając się za siebie. Kiedy zdołałam zamknąć drzwi, zderzyłam się ze spojrzeniem Julity, czekającej na mnie na korytarzu.

– Potrzebuje pani pomocy, pani Tramel? – zapytała usłużnie.

Pokręciłam głową i znów chwyciłam się metalowej barierki. Zobaczyłam, że niedaleko jest toaleta, i ruszyłam w tamtą stronę. Natychmiast pojawiła się Sofía.

– Co się stało? – zapytała.

Stawiając kolejne kroki, skoncentrowana na każdym stawie, odburknęłam:

– Nic, rozmawialiśmy o kinie.

Sofía wyglądała na bardziej zaniepokojoną niż zaskoczona. Chciała mnie podtrzymać. Pewnie niełatwo było przywyknąć do mojego widoku: chwiałam się i pociałam jak mysz, ilekroć wstawałam albo wykonywałam jakiś ruch. Zaraz jednak porzuciła ten zamiar. Nie życzyłam sobie, żeby ktokolwiek mnie dotykał. Wszystko mnie bolało – czułam przeszywający ból w kostce, w kolanie, w brzuchu, w piersiach, a zwłaszcza w głowie. Już na samą myśl o tym, że znowu grozi mi jedna z niekończących się migren, ubyło mi sił. Opanowałam pokusę poddania się bólowi i negatywnym emocjom. Przypomniałam sobie na moment zajęcia z jogi, na których uczono nas oddychać, oswajać własne słabości i lęki. Chętnie zobaczyłabym, jak zachowałyby się nasz nauczyciel, gdyby znalazł się na moim miejscu: co innego być tu i teraz, kiedy cieszysz się zdrowiem i dobrą formą, a co innego, kiedy masz połamane kości, a twoje główne organy działają na pół gwizdka. Miałam wrażenie, że maska na twarzy utrudnia nieco dopływ powietrza, uspokoiłam jednak samą siebie: coś takiego przytrafiało mi się już wcześniej. Był to tylko przejaw lęku, nic rzeczywistego.

– Chcesz, żebym weszła z tobą? – zapytała Sofía.

Nie zadałam sobie trudu, żeby jej odpowiedzieć.

Dwadzieścia sekund później byłam sama, z dala od spojrzeń ludzkich. Oparłam się o sedes, zamknąwszy toaletę. Sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam blister. Potem biały słoiczek z niebieską nalepką. I wreszcie małą butelkę wody gazowanej. Ustawiłam je na klapie sedesu.

Przed oczami stanęła mi Paloma Huarte wkładająca kopertę do niszcarki. Gdyby mnie teraz zobaczyła, raczej nie okazałaby mi zrozumienia, nawet współczucia. Poparła mnie, w pewnym sensie nawet nadstawiła za mnie karku, chociaż prawie mnie nie знаła. Nie prosiłam jej o to. Ani niczego jej

nie obiecywałam. Nie byłam nic winna tej kobiecie, jej ani nikomu innemu.

Przez moment chciałam wyrzucić pastylki do sedesu, jak zrobiłam kilka miesięcy wcześniej. Może gdyby nie incydent, nie wróciłabym do nałogu. Kto wie. Ale teraz byłam tu, w toalecie. Tworzyliśmy piękny, dający wiele możliwości trójkąt: mój dobry przyjaciel diazepam, który towarzyszył mi w najgorszych momentach, tramadol, opioidowy środek przeciwbólowy, który poznałam niedługo po powrocie ze szpitala, i oczywiście ja sama. Wyjęłam z blistra dwie kapsułki i włożyłam je naraz do ust. Popiłam wodą i połknęłam. Potem powtórzyłam ten sam rytuał z antydepresantem ze słoiczka. Nigdy nie rozumiałam dobrze, dlaczego nie powinno się łączyć leków. Moim skromnym zdaniem łączenie to jedna z najlepszych rzeczy w życiu.

Zamknęłam oczy i pozwoliłam tabletkom działać.

Z kuchni przez przedpokój docierały do moich uszu krzyki. Nie rozróżniałam słów – oba głosy nakładały się na siebie, rozlegały w całym mieszkaniu, a nawet poza nim. Zastanawiałam się, czy nie o to właśnie chodziło: żebyśmy wszyscy dowiedzieli się o kłótni. Skoro żadna z dwóch kobiet nie mogła wygrać – ich miejsce w hierarchii nie było do końca jasne – przynajmniej każda miała szansę przedstawić nam swój punkt widzenia i zamiar jego obrony.

Pierwsza pojawiła się w przedpokoju Ronda. Mamrotała coś pod nosem, idąc w stronę gabinetu.

– Nie proszę jej o pozwolenie! – zawołała, mówiąc sama do siebie albo raczej udając, że mówi sama do siebie. – Nawet nie pytam jej o zdanie. Za bardzo zadziera nosa... Za bardzo zadzierasza nosa!

Kilka sekund później trzasnęły drzwi kuchni. Jeszcze raz. I jeszcze. W sumie cztery razy.

Słodka Helena waliła drzwiami z ogromną siłą; dziw, że nie wyrwała ich z zawiasów i nie została z klamką w dłoni.

– Ty nie rozmawiać z moja rodzina! – krzyknęła, wychylając się z kuchni po ostatnim trzaśnięciu.

To była niecodzienna sytuacja, chyba nigdy nie słyszałam, żeby Helena mówiła podniesionym tonem. Przypuszczam, że i ona miała prawo od czasu do czasu się zdenerwować. Problem w tym, że wybrała sobie twardą przeciwniczkę. Ronda nie należała do osób, które dadzą sobie w kaszę dmuchać. Wycelowała palec w Helenę.

– Owszem, ja rozmawiam z twoją rodziną! – warknęła. – Wiesz dlaczego? Bo cała ta sprawa dotyczy twojej rodziny: twojego męża, twojego brata, twojego synka i oczywiście twojej szwagierki, która wpakowała nas w to bagno. To oczywiste, że jeśli tylko przyjdzie mi ochota, będę rozmawiać z twoją rodziną!

Helena odpowiedziała jej coś po polsku, czym dołała jeszcze oliwy do ognia.

– Żadnego polskiego, zrozumiano?! Jeśli chcesz, możesz mówić do mnie po angielsku albo po francusku, albo po chińsku, ale nie po polsku. Przypomina mi się Rumun, z którym się kiedyś spotykałam, i robi mi się niedobrze. Żadnego polskiego, bardzo cię proszę!

Już zamierzałam okiełznać Rondę, odniosłam jednak wrażenie, że Helena doskonale potrafi obronić się sama i nie potrzebuje pomocy przy tej wymianie opinii. Moja interwencja mogłaby wręcz sprawić, że straciłaby w oczach innych albo w swoich własnych. Postanowiłam się nie wtrącać.

– Polska i Rumunia różne kraje, różne języki i bardzo różne ludzie! Mój kraj mieć granica z Niemcy, Czechy, Słowacja, Ukraina, Białoruś i Litwa! Nie granica z Rumunia! Ty typowa nieuczona Hiszpanka.

– Jasne, jeszcze czego, ty za to masz Nobla z geografii – odgryzła się Ronda. – Striptizerka będzie udzielać mi lekcji.

– Ty obrażać ja i mój kraj, mnie wszystko jedno, wchodzić ucho i wychodzić drugie. Ale ty nie rozmawiać z moja rodzina! Ja ostrzegam!

– Nie będziesz mnie przed niczym ostrzegać. No nie, tego jeszcze brakowało.

Ronda parsknęła i weszła do gabinetu. M. spojrzał na nią pytająco, ale ona zwróciła się do mnie.

– Powiedz bratowej, żeby z łaski swojej trochę nam pomogła, że wszyscy tutaj dla niej pracujemy – rzuciła, jakbym wiedziała, o czym mówi.

– Wybacz, Rondo, nie wiem, o co ci chodzi – odpowiedziałam – ale przypominam ci, że jest naszą klientką, a czy nam się to podoba, czy nie, klient ma zawsze rację.

– Zabroniła mi rozmawiać z Sebastianem! – wykrzyknęła Ronda, chwytając się pod boki. – Co ty na to? Bo jest jej bratem! Przecież to ten skurczybyk rozdawał karty w noc zabójstwa! On dzwonił kilkakrotnie do Alejandra, grożąc mu w imieniu kasyna. Wszystko jest nagrane! On odmówił składania zeznań, powołując się na prawo do nieobciążania samego siebie! Kazaliście mi zająć się tą sprawą, to się zajęłam, aż tu nagle dzisiaj nasza droga klientka bez żadnego powodu zabrania mi z nim rozmawiać.

– Rozumiem – powiedziałam.

– To wszystko? Rozumiem? – wrzasnęła Ronda jeszcze bardziej rozwścieczona. – Posłuchaj, wiem, że wszyscy bardzo się starają, ale jeżeli będziemy mieszać sprawy prywatne z zawodowymi, ja rezygnuję, odchodzę, rzucam to, tak się nie da pracować, po prostu nie da. Ten cały Sebastian niedługo zmieni zdanie, czuję to, rozmawiałam z nim kilka razy, ma ochotę wypiąć się na kasyno, trzeba go tylko lekko popchnąć... A teraz jego siostra mówi, żebym z nim nie rozmawiała! Dlaczego? Bo się nie dogadują? Bo są zbyt dumni? To niepoważne, Ano, niepoważne! Przypominam ci, że jestem tu kierowniczką!

M. kiwnął, żeby do nas podeszła. Ronda nie lubiła, żeby ktokolwiek, nawet M., mówił jej, co ma robić. Wykonanie jego polecenia dużo by ją kosztowało. Były z niej godność i przekonanie o własnej racji i nie zamierzała się ukorzyć, nawet jeśli prosił ją o to nasz detektyw, którego darzyła szacunkiem.

M., widząc, że dziewczyna nie podejdzie, spojrzał na nią uważnie i powiedział, ścisząc głos:

– Widać, że klientka nie chce, żebyś mieszała do sprawy jej brata. Może ma swoje powody. Ty jednak już to zrobiłaś. Już go wciągnęłaś. Przeprowadziłaś z nim kilka rozmów, a na dodatek może się okazać, że ten cały Sebastian przechyli szalę zwycięstwa na naszą stronę.

– Właśnie – potwierdziła Ronda. – Byłby pierwszym pracownikiem kasyna, który zeznawałby na naszą korzyść.

– Jeżeli pozwolisz, udzielę ci dwóch rad – ciągnął M. – Po pierwsze, pracuj dalej nad świadkiem – klienci nie muszą aprobować każdego kroku swoich prawników – ale działaj dyskretnie i z nikim o tym nie rozmawiaj, nawet z nami, dopóki nie uzyskasz ostatecznego potwierdzenia. Wewnętrzne spory nikomu nie służą, nie jesteśmy tacy silni. A po drugie, miej się na baczności. Nie twierdzę, że ten człowiek zachowuje się podejrzanie, ale nie on pierwszy grałby na dwa fronty, oszukując obie strony, żeby coś na tym zyskać.

Wyglądało na to, że moja kierowniczka trochę wyluzowała. Zerknęła kątem oka na przedpokój. Ostatnie trzaśnięcie drzwiami wskazywało, że Helena jest w kuchni i nie może nas słyszeć. Mimo to Ronda także ściszyła

głos.

- Podoba mi się twój styl pracy, M.
- Często to słyszę – odpowiedział detektyw.

Ronda najwyraźniej już podjęła decyzję, usiadła bowiem za biurkiem raczej zadowolona, włączyła komputer i zaczęła szukać jakiegoś pliku, który być może nie miał nic wspólnego z tym, o czym przed chwilą rozmawialiśmy. Wszystko razem wskazywało jednak, jak bardzo jest zdeterminowana.

Tymczasem ja zastanawiałam się nad tym, czy zadania przydzielone członkom zespołu nie wykraczają poza zakres ich obowiązków. Na przykład praca ze świadkiem nie należała do kompetencji Rondy, ale nie mieliśmy innego wyjścia: było nas mało, a musieliśmy działać na wielu frontach. Dlatego ta kwestia nie podlegała dyskusji. Nie mogłam też narzekać na niczyją postawę czy umiejętności; wszyscy dawali z siebie wszystko – że nie wspomnę już o poświęcanym czasie. Uświadomiłam też sobie, że powinnam częściej rozmawiać z Heleną. Nieraz o tym myślałam, ale odkładałam to na później. Zawsze znajdowało się coś pilniejszego do załatwienia.

Wróciliśmy z M. do kwestii, która od wyjścia ze szpitala pochłaniała część mojego czasu, choć starałam się, żeby nie spędzała mi snu z powiek, czyli do incydentu. Minęły trzy miesiące, a śledztwo nie posunęło się zbyt daleko; policja nie miała żadnego wiarygodnego tropu. Napastnikiem mógł być każdy, kto nosił ciemne rękawiczki i miał ochotę zaatakować od tyłu bezbronną czterdziestolatkę. Chociaż nie chodziło o napaść na tle rabunkowym czy seksualnym, policjanci nadal sugerowali, że sprawcą mógł być ktoś obcy. Hipoteza, jakobym została wybrana na ofiarę przypadkowo, była nedorzeczna. Napastnik mnie znał, czekał na mnie i celowo się nade mną pastwił. Co więcej, starannie wybrał miejsce. Drzwi garażu były otwarte do północy, każdy mógł wejść bez karty i kluczy, nawet nie dzwoniąc, a tym samym zachowując anonimowość. Jedyne dwie kamery monitoringu znajdowały się przy wjeździe i wyjeździe. Firma najwyraźniej większą wagę przywiązywała do nagrywania samochodów niż ludzi. Niezależnie od tego, kim był napastnik, dostał się do garażu i opuścił go całkowicie bezkarnie. Tylko tyle wiedziałam.

Podczas czterech różnych przesłuchań pytano mnie, czy mam wrogów,

czy przychodzi mi do głowy ktoś, kto chciałby wyrządzić mi krzywdę. Za każdym razem udzielałam tej samej odpowiedzi: ludzie mnie uwielbiają, jestem sympatyczną, serdeczną osobą, nie znam nikogo, kto mógłby chcieć mnie zaatakować. Oczywiście przychodziło mi do głowy kilka nazwisk, ale nic bym nie zyskała, podając je policji – przeciwnie, mogłam w ten sposób zaalarmować napastnika i ściągnąć na siebie niepotrzebne problemy. Ufałam bardziej rozwadze M. niż śledczym – mieli na głowie zbyt wiele ważnych spraw, żeby tracić czas i siły na zwykłe pobicie. Może jeśli Moncada ich przyciśnie – a obiecał, że to zrobi – trafią na jakiś trop. Nie robiłam sobie jednak większych nadziei. Co nie oznaczało, że złożyłam broń, co to, to nie: chciałam wiedzieć, kim jest łajdak, który wyżył się na mnie tamtej nocy, chciałam spojrzeć mu w oczy i jeśli to możliwe, kazać za wszystko zapłacić.

M. miał pomysł. Nie był to nawet prawdziwy trop, raczej niedorzeczna myśl, niemniej szedł tą drogą, chcąc sprawdzić, dokąd go doprowadzi.

– Mała mogła widzieć napastnika – oznajmił.

– Jak to mogła go widzieć?

– Hipotetycznie.

– Nie chcę jej w to mieszać – powiedziałam – a już zwłaszcza hipotetycznie.

– Pomyślałem, że moglibyśmy spróbować przekonać napastnika, że go widziała – nalegał M.

– Nie ma mowy.

– Jesteś pewna?

– W całym swoim życiu nie byłam niczego tak pewna. Nie wiem, czy znajdziemy napastnika. Wiem za to, że nie będę w to mieszać dziecka. Nie zrobiłabym tego, nawet gdyby była naocznym świadkiem. Więc tym bardziej kiedy wiemy, że nim nie była.

M. próbował mnie przekonać. Jego plan miał doprowadzić do tego, że siepacz wykona jakiś fałszywy ruch. Hipotetycznym świadkiem miała być Aitana, najmłodsza córka Conchy.

Kiedy tamtej nocy wyszłam z Moncadą z Czerwonej Pochodni, dziewczynka nas zobaczyła i uznała, że to część naszej chińskiej zabawy w chowanego. Pomyślała, że szukam kryjówki na zewnątrz, żeby mnie nie

znalazły albo żeby je wystraszyć. Postanowiła mnie śledzić. Niezauważona opuściła restaurację, sama przeszła przez ulicę – miała siedem lat i nic nie było w stanie jej powstrzymać – i obserwowała mnie z bezpiecznej odległości. Później powiedziała, że wcale się nie bała. Zobaczyła, jak wchodzę do garażu, i pomyślała, że zaczeka na zewnątrz. To było w środku zabawy w chińskiego chowanego i Aitana nie porzuciła gry. Po dłuższej chwili oczekiwania – nie pamiętała, jak długiej, ale musiało minąć około dziesięciu minut – zrobiło jej się zimno i postanowiła wejść do garażu. Zeszła po schodach, ale nikogo nie zobaczyła, zaczęła mnie wołać, najpierw cicho, potem na cały głos. Już miała wrócić, ale na moje szczęście jest bardzo uparta, więc ostatecznie zeszła na drugi poziom i tam mnie znalazła: leżącą na betonie przy samochodzie, nieprzytomną, zalaną krwią. Dla tak małego dziecka musiał to być ogromny wstrząs. Płakała, wpatrując się we mnie, dopiero po jakimś czasie otrzeźwiała i z trudem wyszła na ulicę, gdzie natknęła się na kierowców śmieciarki. Powiedziała im, że jej ciocia Ana śpi na podłodze na parkingu.

Wolę sobie nie wyobrażać, co by się stało, gdyby Aitana nie czekała, tylko od razu ruszyła do garażu i wpadła na napastnika. Na szczęście się nie spotkali. Dziewczynka weszła i wyszła głównym wejściem, tym samym, którym dostałam się do środka ja, napastnik zaś skorzystał z bocznych drzwi wychodzących nie na plac, ale na sąsiednią ulicę. Mała ocaliła mi życie.

M. chciał niby to przypadkowo skonfrontować Aitanę z głównymi podejrzanymi, zdenerwować ich, dając im do zrozumienia, że jest świadek, który wszystko widział. Nie zamierzałam na to pozwolić. Co noc modliłam się (kolejna figura retoryczna), żeby dziewczynka wymazała z pamięci tamten przerażający, krwawy obraz. Nie wiedziała o napastniku nic. Nie zobaczyła nikogo oprócz mnie. Przede wszystkim jednak nigdy nie zgodziłabym się narazić ją choćby na minimalne niebezpieczeństwo po to, żeby złapać winnego. I koniec.

– Mężczyzna, który cię pobił, zrobił to świadomie, celowo i z premedytacją. Liczba podejrzanych jest ograniczona, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Już wcześniej doszliśmy do wniosku, że w grę wchodzi trzech głównych podejrzanych. Na czele listy znajdował się Felipe. Był agresywny, nienawidził mnie za to, że odebrałam mu córki, i oczywiście potrafił pobić

kogoś znacznie słabszego od siebie. Nie każdy może, i to z takim niewzruszonym spokojem. Trzeba nie tylko być całkowicie pozbawionym skrupułów, ale też mieć stalowe nerwy i niewrażliwe sumienie. Mąż Conchy łączył wszystkie te cechy. Gdyby ta hipoteza się potwierdziła, znaczyłoby to, że córka ocaliła mnie od niemal pewnej śmierci chwilę po tym, jak jej ojciec pogruchotał mi kości. Cóż za paradoks.

Drugie miejsce zajmował Argentyńczyk. Friman działał poza prawem, na pewno nieraz zlecił pobicie klienta, który nie spłacał długu. Zarabiał na szacunku i strachu, jakie wzbudzał w tych, którzy u niego grali. Gdyby rozeszła się wieść, że ktoś mu nie zapłacił, jego reputacja ległaby w gruzach. Postawiłam mu się w jego własnym domu, w żaden sposób się nie zabezpieczywszy. Jak twierdził M., Argentyńczyka otaczali zdesperowani faceci, którzy zrobiliby coś takiego za garść euro. Też był całkiem niezłym kandydatem. Coś mi jednak mówiło, że to zbyt oczywiste: bukmacher, który organizuje nielegalne partie pokera, katujący w garażach adwokatkę. Nie do końca mi to pasowało, ale nie mogłam wykluczyć i takiej możliwości.

Trzeci podejrzany był jeszcze bardziej oczywisty, jeśli to w ogóle możliwe. Emiliano Santonja. A raczej otoczenie Emiliana Santonjy i Gran Castilli. Podobnie jak w przypadku Frimana, jeśli to on był autorem całego pomysłu, najprawdopodobniej nie zrealizował go własnoręcznie. Miał miejsce szczególny zbieg okoliczności: zostałam pobita tego samego dnia, w którym złożyłam pozew przeciwko niemu i jego firmie. Jeżeli chciał mnie w ten sposób nakłonić, żebym się wycofała, osiągnął przeciwny skutek: teraz jeszcze bardziej mi zależało, by doprowadzić sprawę do końca. Jego kandydatura też nie bardzo mnie przekonywała. Tacy goście działali w dużo bardziej wyrafinowany i pokrętny sposób. Santonja miał do dyspozycji legalne środki, za pomocą których z łatwością zamieniłby moje życie w piekło. Dziwiłabym się, gdyby tak ryzykował, skoro mógł zaatakować inaczej. Perspektywa podwójnego procesu – karnego i cywilnego – musiała go rozwścieczyć. Usłyszałam to w jego głosie, kiedy zadzwoniłam tamtego ranka, by osobiście przekazać mu informację o pozwie, ale nie wyobrażałam sobie, że mógłby wynająć zbira, który mnie zaatakował.

– Jeżeli masz pewność, że to Felipe, mogę sobie z nim uciąć pogawędkę – zaproponował M. – Nie wspomnę nic o dziewczynce, obiecuję ci. Po prostu uderzę go w czuły punkt, powiedzmy, że okażę zdenerwowanie. Ten

sukinsyn jest strasznie drażliwy na punkcie przemocy w rodzinie; gwarantuję ci, że jeśli to on, to eksploduje, moja w tym głowa.

Wyobrażałam sobie, co oznacza „zdenerwowanie” w przypadku mojego przyjaciela M. Nie miałam nic przeciwko temu, żeby przycisnął trochę Felipe. Mąż Conchy zapracował sobie na to. Ale nie żyjemy w dżungli, już to mówiłam i powtórzę jeszcze raz: nigdy nie byłam fanką mścicieli działających na granicy prawa. Brzydzi mnie dążenie do celu drogą przemocy, chce mi się rzygać, kiedy słyszę stary aksjomat, że cel uświęca środki. Nie mieliśmy żadnych dowodów przeciwko Felipe, jedynie przeczucia, domysły i – jeśli mam być zupełnie szczerą – dużą ochotę, żeby dać mu nauczkę.

– Przyszedł mi do głowy czwarty podejrzany – mruknęłam.

Zobaczyłam kątem oka, że Ronda przestała stukać w klawiaturę. Była to zaleta i wada wykorzystywania tego samego pomieszczenia jako sekretariatu, gabinetu i sali konferencyjnej: prywatność przestawała istnieć. Długo zastanawiałam się nad tym, co zamierzałam teraz powiedzieć, przez cały czas nie dopuszczałam do siebie takiej możliwości, ale jego nazwisko wracało do mnie raz po raz, musiałam je z siebie wyrzucić, choć czułam się jak zdrajczynie.

– Moncada.

Ze wzroku M. wyczytałam, że jest zaskoczony. Chociaż oczywiście porucznik znalazł się na celowniku na początku śledztwa, z miejsca go wykluczyliśmy; nie miał wyraźnego motywu i nic nie świadczyło przeciwko niemu. Wręcz przeciwnie: pomógł mi i wydawało się, że coś do mnie czuł. Wskazywał na to fakt, że w dniu, w którym doszło do pobicia, szykowaliśmy się na noc dzikiego (taką przynajmniej miałam nadzieję) seksu. Ale to on odprowadził mnie do wejścia do garażu i – gdyby chciał – mógł mnie z łatwością zaatakować. Wiedział, że jestem sama i bezbronna. Podczas przesłuchania Moncada wyjaśnił, że kiedy się rozstaliśmy, poszedł do swojego samochodu i zgodnie z umową czekał, aż wyprowadzę auto i pojedę za nim do jego domu. W końcu dał spokój – doszedł do wniosku, że zmieniałam zdanie. Podobno nie zdziwiło go, że w ostatniej chwili zrezygnowałam. Przyznał, że poczuł się rozczarowany, ale nie pierwszy raz został wystawiony do wiatru; potrafił się wycofać w odpowiednim

momencie. Wysłał mi whatsapp z zamiarami i krótkim dopiskiem: „Tu masz adres”. Potem ruszył autostradą w stronę gór i dopiero następnego dnia rano dowiedział się, co mnie spotkało.

Pewne fakty zdawały się potwierdzać jego wersję: godzina otrzymania wiadomości na mojej komórce, sąsiad, który widział, jak porucznik spokojnym krokiem idzie w stronę domu – wymienili nawet kilka banalnych uwag na temat zapowiadanych na następny dzień opadów śniegu – oraz zeznanie Aitany, która widziała, jak brodaty przyjaciel Any przechodzi przez ulicę i oddala się od garażu. Ale jeśli przeanalizować wszystko na spokojnie, przypominało to jedynie korzystny zbieg okoliczności. Mógł przecież zawrócić i wejść do garażu innymi drzwiami, mógł celowo wysłać mi wiadomość, żeby się zabezpieczyć, mógł wrócić do domu po tym, jak mnie pobił, i przystanąć na chwilę, żeby porozmawiać z sąsiadem, a nawet wyjść mu na spotkanie. Ale to były wyłącznie hipotezy i przypuszczenia, przemawiające za i przeciw. Szalę na stronę podejrzeń przechyliło coś znacznie bardziej nieuchwytnego: w czasie wizyt składanych mi po incydencie okazywał serdeczność – moim zdaniem udawaną, przesadzoną. Od pierwszego dnia pociągało mnie w nim właśnie to, że nie starał się zyskać mojej sympatii, po prostu robił, co do niego należało, zachowując pozorny dystans, który dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Nigdy nie ufałam facetom, którzy za często się uśmiechają, okazują serdeczność zaraz po poznaniu, przytulają cię i dobierają się do ciebie, jakbyście się znali od zawsze, choć dopiero co was sobie przedstawiono. Tak naprawdę to wszystko mogło być konsekwencją mojej emocjonalnej ułomności, paranoi, podejrzliwości, niewiary w to, że ktoś może być wielkoduszny, czuły, dobry bezinteresownie, bez ukrytego powodu.

– Nie oskarżam Moncady – uściśliłam. – Mówię tylko, że nie wykluczałabym go jako podejrzanego. Musimy mieć oczy szeroko otwarte. I tyle.

– Wydarzyło się coś nowego, o czym powinienem wiedzieć? – zapytał M.

– Nie. Po prostu długo się zastanawiałam i doszłam do wniosku, że powinniśmy wpisać go na listę podejrzanych.

M. oparł na biurku lekko zgięte ręce, jakby napinając bicepsy, mógł lepiej zrozumieć sytuację.

– Dlaczego Moncada miałby zrobić coś takiego? – indagował.

– Przychodzi mi na myśl mnóstwo powodów. – Wzruszyłam ramionami. – Dla pieniędzy, na zlecenie Frimana, Santonjy, dla czystej rozrywki; może lubi bić kobiety, nie mam pojęcia. Powtarzam ci, że go nie oskarżam, mówię tylko, że powinniśmy mieć go na oku.

– Chcesz powiedzieć, że facet naprowadził cię na trop nagrań, potem zjawił się w willi Argentyńczyka, bo chciał się upewnić, że jesteś bezpieczna, kilka dni później przyszedł na bożonarodzeniową imprezę z udziałem twoich przyjaciół i ich dzieci, wypił z nimi toast, po czym dla zabawy pobił cię niemal na śmierć, a na koniec na ciebie nasikał – podsumował M.

Wypowiedziane na głos, brzmiało to jeszcze gorzej niż w moich myślach.

Ronda nie uroniła ani słowa z naszej rozmowy. Nie patrzyła na nas i nie wtrącała się – słuchała przyczajona, gromadząc informacje i może powstrzymując się, żeby czegoś nie dodać. Było wysoce prawdopodobne, że opowie później wszystko Sofii i Gerardowi; będzie miała o czym plotkować pod moją nieobecność.

– Mogło być tak, jak mówisz, M. – zgodziłam się. – Nie wiem.

– Przeraza mnie już sam fakt, że w ogóle bierzesz to pod uwagę – powiedział.

– Mnie też – odparłam. – Zostawmy to na razie, musimy zająć się pozwem. Trzeba jak najszybciej znaleźć więcej dowodów. Nie możemy opierać się na samych nagraniach. Jeśli sąd ich nie uzna, wszystko runie.

– Myślisz, że sędzia może je odrzucić?

– Nie wiem – powiedziałam z namysłem. – Eksperti wyznaczeni przez sąd od razu zabiorą się do roboty. Potrzebujemy korzystnej opinii, jeśli mamy mieć jakiegokolwiek szanse. I niezależnie od wszystkiego musimy w inny sposób potwierdzić, że Ale był nękanym.

Na odgłos otwierania drzwi wejściowych wszyscy podnieśliśmy wzrok. Usłyszałam Gerarda. Prawdopodobnie kogoś przyprowadził.

– Proszę, proszę dalej, tam, na końcu przedpokoju, na pewno się ucieszy, że pan przyszedł.

– Nie chcę przeszkadzać – powiedział męski głos, niski i zachrypnięty.

To niemożliwe.

Ten głos.

Należał do przeszłości.

Przeszłości dawnej, zamierzchłej, mrocznej, pogrzebanej głęboko w mojej pamięci. W miejscu, do którego nie chciałam wracać.

– Tutaj – wskazał Gerardo.

– Nawet pan nie wie, jak bardzo jestem wdzięczny – powiedział znowu głos, którego nie dało się pomylić z żadnym innym.

Gerardo i mężczyzna byli coraz bliżej, za kilka sekund wejdą do biura, zaraz ich zobaczą. Przyszło mi do głowy, żeby uciec, żeby schować się w ubikacji i zamknąć od środka na zasuwkę, żeby rzucić się w stronę drzwi i zablokować je krzesłem, czymkolwiek, co wpadnie mi w ręce, żeby zemdleć i uniknąć tego spotkania, żeby krzyczeć z całych sił, wzywając pomocy, żeby chwycić pistolet, który zawsze nosił przy sobie M. Przyszło mi do głowy mnóstwo rzeczy, których nie zrobiłam – nie byłam zdolna się poruszyć. Zesztywniałam, serce mi waliło, żołądek podchodził do gardła, maska uciskała zmasakrowany policzek i nos.

Gerardo przestąpił próg, a za nim pojawił się on.

Człowiek, któremu oddałam kiedyś duszę.

Teraz zaś bez uprzedzenia wyłaniał się z mroku, nawet nie zapukawszy do drzwi.

– Wyglądasz okropnie – powiedziałam.

– Ty też.

– Mnie pobito. A jakie ty masz wytłumaczenie?

– Umieram.

Rzucił to tak po prostu.

Bez uprzedzenia.

Już w drugim zdaniu.

Był tak wychudzony i miał takie worki pod oczami, że ledwo go poznałam. Skóra i kości. Ale to był on. Głos, gestykulacja nieskończenie długich rąk, stalowy kolor oczu, grube usta, wysoki, niedodający mu wdzięku, wręcz niestosowny wzrost. Jedyny mężczyzna, w którym byłam naprawdę zakochana. Nie powiedziałabym tego o byle kim.

– Przedstawiam wam Ramira Sare. Mojego pierwszego byłego męża.

Wokół mnie wybuchło małe zamieszanie. Ronda wstała, szukając jakiejś wymówki, żeby wyjść. Gerardo przełknął ślinę – nagle poczuł się winny, że bez pytania wpuścił do mieszkania obcego człowieka. M., który jako jedyny z obecnych znał Ramira z dawnych czasów, stanął w równej odległości od moich pomocników (razem tworzyli trójkąt równoramienny), gotów interweniować na mój znak.

– Lepiej będzie, jeśli zostawimy was samych – zaproponowała Ronda, odsuwając się na bok.

– Ani mi się waźcie – powiedziałam stanowczo. – Nie mamy z Ramirem najmniejszej potrzeby zostawania sam na sam. Właściwie nie mamy w ogóle o czym rozmawiać.

Mój eks wyglądał strasznie, potwornie wychudzony, zielonkawa twarz, plamy na skroniach, karku i rękach, łysa głowa; wyglądał jak zjawa. Ale

zachował magnetyczną siłę, ową zniewalającą, niemal hipnotyzującą osobowość – nie mówiąc już o głosie, głuchym, ochrypłym, tak głębokim, że kiedy się odzywał, wszystko wokół drżało. A mówiąc wszystko, mam na myśli najpierw samą siebie.

– Przykro mi, że tak się tu zjawiam – zaczął.

– Mnie też jest przykro, że tak się tu zjawiasz – przerwałam mu. – Zresztą byłoby mi przykro, gdybyś zjawił się w jakikolwiek inny sposób. Nie wiem, co tu robisz, i nie chcę wiedzieć.

– Nie jest mi łatwo. Od lat zżera mnie to od środka; czuję, że muszę spojrzeć ci w oczy i powiedzieć, jak bardzo żałuję wszystkiego, co się zdarzyło.

– Więc mi powiedz i skończmy z tym.

Dużo kosztowało mnie wytrzymanie jego wzroku. Zrobił mały, niemal niezauważalny krok w moją stronę.

– Bardzo żałuję wszystkiego, co się wydarzyło. Żałuję z powodu tego, co zrobiłem, i tego, czego nie zrobiłem. Żal nie opuszczał mnie przez cały ten czas, przez te pięć i pół roku. Wiem, że nie możesz mi wybaczyć, rozumiem. Ale jestem poharatany w środku, tamtego dnia coś we mnie umarło. Przysięgam ci, że żałuję. Bardzo żałuję.

Stałam nieporuszona. Nie drgnęłam. Myślę, że nawet nie mrugnęłam powieką.

– Coś jeszcze? – zapytałam.

Dokładnie w tym momencie rozległ się dzwonek komórki. Gerardo rzucił się niezdarnie, żeby ją wyciszyć.

Ramiro zrobił jeszcze jeden krok w moją stronę.

– Już mnie więcej nie zobaczysz – powiedział, nie odwracając wzroku. – Nie wiem, ile czasu mi zostało. Kilka miesięcy. Jak dobrze pójdzie, dociągnę do końca roku. To *carcinoma hepatocellulare* albo, jeśli wolisz, zwykły rak wątroby, w sam raz dla kogoś takiego jak ja. Rozpanoszył się po całym ciele, nawet w miejscach, których istnienia nie podejrzewałem. Przeszedłem mnóstwo paskudztw, radioterapię, chemioterapię i inne upokorzenia, daruję ci szczegóły. Nie pozostaje mi nic innego jak czekać.

Dostrzegłam spojrzenia trójki moich współpracowników, którzy nie

uronili ani słowa z naszej rozmowy. Poczułam klucie w piersi. Ten człowiek, to, co zostało z mojego byłego męża, cień mężczyzny, którym kiedyś był, zniszczył mi życie, skradł mi serce, pożarł je, a potem sprzedał za garść monet. Jeśli liczył na współczucie, jeśli szukał odkupienia, pomylił adres.

– Skończyłeś?

– Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że jestem świadom krzywdy, jaką ci wyrządziłem, i że ja również musiałem za to zapłacić. Wiem, że już niczego nie zmienię, ale gdybym mógł cofnąć czas, gdybym miał minimalną szansę, żeby wynagrodzić choćby małą, malutką część cierpień, których ci przysporzyłem... zrobiłbym wszystko, przysięgam, zrobiłbym wszystko.

– Nic nie możesz zrobić, Ramiro. – Wstałam, chwytając się stojącego obok taboretu. Pozwoliłam mu odstawić numer, ale już wystarczy. – Jeżeli myślałeś, że zjawisz się niespodziewanie i wzruszysz mnie, bo jesteś chory i umierasz, to znaczy, że niczego się nie nauczyłeś, kompletnie niczego nie rozumiesz. Nie cieszę mnie twoje problemy. Są mi zupełnie obojętne. W tym właśnie rzecz. Dla mnie już dawno umarłeś. Nie życzę ci źle, ale i nie życzę ci dobrze. Nie istniejesz. Niczego nie czuję, widząc cię i słuchając. Uodporniłam się. Dużo mnie to kosztowało, moje życie osobiste i zawodowe legło w gruzach, ale wreszcie zaszczepiłam się na Ramira Sare. Nic dla mnie nie znaczysz. Mniej niż nic. Jesteś niewyraźnym wspomnieniem, złym snem. Wysłuchałam cię, pozwoliłam ci wygłosić ckliwą gadkę, wystarczy. Teraz cię proszę, żądam, żebyś zrobił w tył zwrot i wrócił tam, skąd przyszedłeś. I nie próbuj się więcej kontaktować ze mną ani z nikim z mojego otoczenia. Nie mówię tego z nienawiścią ani urazą. Mogę przysiąc – i przysięgam – że to również robię całkowicie obojętnie. Jestem teraz bardzo zajęta, mam mnóstwo kłopotów, otaczają mnie prawdziwi ludzie, którzy mnie potrzebują, którzy mi pomagają, ludzie z krwi i kości, którzy są dla mnie ważni, którzy ze mną mieszkają i pracują, nie mogę tracić czasu na żywe trupy.

Wyrzuciłam to z siebie jednym tchem, niemal nie robiąc przerw, bez namysłu. Bałam się, że jeżeli zacznę się zastanawiać, jeżeli stworzę sobie okazję do dyskusji, z nim albo z samą sobą, nie będę zdolna wygłosić spójnej wypowiedzi. Utrzymanie się na nogach sporo mnie kosztowało. Do osłabienia ciała dołączał fakt, że stałam przed jedynym mężczyzną, który sprawił, że z miłości (tak, z miłości) straciłam wolną wolę.

Ramiro poruszył się; miałam wrażenie, że się na mnie rzuci, chwyci mnie w talii, podniesie i zakręci mną jak za dawnych lat, że kiedy będę w powietrzu, czas cofnie się w magiczny sposób i wylądujemy w innej przestrzeni, innym wymiarze, gdzie nie będzie przeszłości, gdzie wszystko będzie możliwe, gdzie znów będziemy tworzyć jedno, gdzie nie będziemy zadawać sobie bólu i nie wydarzą się te straszne rzeczy. Zamiast tego wyjął coś z kieszeni i położył na biurku Rondy.

– Nie będę cię więcej nękać – szepnął. – Nie jestem już tym samym człowiekiem, którego znałaś.

I tyle.

Koniec.

Odwrócił się i wyszedł z biura. Miał przynajmniej tyle przyzwoitości, że się nie pożegnał, nie szepnął lakonicznego „żegnaj” albo czegoś gorszego. Odszedł z podniesioną głową, jak zawsze, dumny i melancholijny.

Jakbyśmy się umówili, wszyscy czworo odczekaliśmy, aż drzwi wejściowe otworzą się i zamkną. Dopiero wtedy Ronda sięgnęła po to, co Ramiro położył przy jej komputerze. Była to stara fotografia. Podała mi ją, nie ukrywając, że zerka na nią kątem oka. Wzięłam zdjęcie i spojrzałam z udawaną obojętnością. Przedstawiało nas oboje, mnie i Ramira: staliśmy przy basenie w naszym pięknym domu za miastem. Tamte czasy wydawały mi się odległe i nierzeczywiste. Włosy miałam wtedy dłuższe, czarny kostium podkreślał moją figurę, właśnie wyszłam z wody, krople na moim ciele błyszcząły, odbijając słoneczne światło. Ramiro ubrany był w szary sprany T-shirt i szorty z białym rozwiązanym sznurkiem, w kąciuku ust trzymał papierosa. Uśmiechał się, wyciągając rękę w geście triumfu. Lewą, otwartą dłonią dotykał mojego brzucha, ostrożnie, czule, niemal nabożnie. Moja nadąsana, ale rozbawiona mina (jak u małej dziewczynki przyłapanej na psocie) wydała mi się obca, jakbym już nigdy potem nie potrafiła zdobyć się na podobny wyraz twarzy. Wiem, że moje słowa mogą zabrzmieć idiotycznie, nie mam zwyczaju mówić takich rzeczy i na pewno tego pożałuję, ale w tamtym momencie, w ułamku sekundy uchwyconym na fotografii, byłam (i najprawdopodobniej pozostanie to prawdą do końca życia) najbliższa szczęścia. Wiedziałam to wtedy i rozumiałam teraz, kiedy nie potrafiłam rozpoznać w tamtej kobiecie siebie. To nie byłam ja, ale ktoś

inny, kto miał marzenia, nadzieje i pragnienia, zupełnie mi obce. Chciałam odruchowo zacisnąć pięść, zgnieść tę nieszczęsną fotografię i wyrzucić ją do kosza. Ale nie odważyłam się, nie potrafiłam. Oddałam ją Rondzie; ona będzie wiedziała, gdzie ją schować.

Przełknęłam ślinę, popatrzyłam na M. i poprosiłam:

– Zrób coś dla mnie. Sprawdź, czy cokolwiek z tego, o czym mówił Ramiro, jest prawdą, czy faktycznie jest śmiertelnie chory.

– Oczywiście.

Potem z surową miną odwróciłam się do Gerarda, próbując się opanować.

– Na drugi raz, zanim kogoś wpuścisz, upewnij się, kto to – powiedziałam.
– Może zapomniałeś, ale to nie jest miejski park, tylko dom prywatny, gdzie mieszkają i pracują ludzie. Nie przychodzą tu nawet świadkowie.

– Wybacz – odparł Gerardo, speszony – powiedział, że jest z twojej rodziny... Pomyślałem, że...

– Pomyślałeś, że to dobry pomysł, by wpuścić tu nieznanego faceta, którego nawet nie poprosiłeś o dowód tylko dlatego, że powiedział ci, że jest Świętym Mikołajem – przerwałam mu. – Kurwa, Gerardo.

Kiedy się już wykrzyczałam, wróciliśmy do swoich zajęć. Straciłam humor. Ta wizyta poruszyła mnie bardziej, niż byłam gotowa przyznać. Nagłe, nieuzasadnione zmiany nastroju to moja specjalność, tym razem jednak miałam ku temu aż nazbyt wiele powodów.

Zażyłam codzienną dawkę środków uspokajających, cokolwiek by to znaczyło. Jako że sama ją ustaliłam, do mnie również należała decyzja, kiedy i w jakich proporcjach ją zmienić.

Poszłam do sypialni, gdzie trzymałam ciężkie działa na krytyczne sytuacje. Jeżeli pojawienie się byłego męża, którego nie widziałam od lat (po tym, jak zniszczył mi życie) i który obwieścił mi swoją rychłą śmierć, nie jest krytyczną sytuacją, to nie wiem, co innego mogłoby nią być. Szłam, żałośnie powłócząc nogami, myślałam tylko o tym, że za parę minut znów będę na haju. Nie martwił mnie zbyt stopień mojego uzależnienia. W kryzysowych chwilach mówiłam sobie nawet, że jest mi wszystko jedno, czy umrę wcześniej, czy później. Dopóki chodzę po ziemi, nie zrezygnuję z żadnej pociechy, niezależnie od tego, jak bardzo mogła mi ona zaszkodzić. Chemia

okazała się moją najlepszą przyjaciółką. W końcu cywilizacja po coś posuwała się naprzód; radowały mnie jej postępy i codziennie z nich korzystałam. Byłam pod sypialnią, kiedy drzwi do mieszkania nagle się otworzyły i stanęła w nich Sofía. Mój widok ją ucieszył. Jasne było, że nie ma pojęcia, w jakim stanie jest mój umysł.

– Cześć, Ano, co za dzień! – wyrzuciła z siebie. – Przed chwilą odbyłam ciekawą rozmowę o pewnych zwyczajach praktykowanych w kasynie w Robredo. Mam jedną dobrą wiadomość i jedną złą. Którą wolisz na początek?

Chciałam ją zignorować i pójść dalej. Tak byłoby najlepiej. Ale sprawę przesądził jej figlarny uśmiech. Zatrzymałam się i spojrzałam na nią z niedowierzaniem.

– Nie wiem, czy bardziej irytuje mnie to, że uciekasz się do takiego oklepanego frazesu, żeby udzielić mi informacji w związku ze sprawą, czy głupie zadowolenie, jakie najwyraźniej czujesz, zadając głośno pytanie wypowiedziane milion razy przez ludzi na całym świecie. I nie mam na myśli miliona razy w ostatnim tysiącleciu ani nawet w ostatnim roku, mówię o milionie razy w dniu dzisiejszym. Możesz być pewna, że kiedy otwierałaś usta, żeby powiedzieć mi o złej i dobrej wiadomości, setki tysięcy osób w różnych zakątkach planety mówiły dokładnie to samo. Teraz ja zadam ci pytanie: podoba ci się, że masz coś wspólnego z tysiącami, może milionami istot ludzkich, z którymi dzielisz frazes pozbawiony oryginalności i sensu? Nie musisz odpowiadać. Jeśli nie załapałaś, to jest to jedno z pytań, które zawierają w sobie odpowiedź, pytanie retoryczne.

Popatrzyła na mnie niepewnie.

– Coś nie tak?

Wydałam z siebie nieokreślony gardłowy dźwięk, weszłam do sypialni i trzasnęłam drzwiami, odwodząc ją tym samym od pomysłu, by przez nie porozmawiać albo zastukać i dalej wypytywać, czy wszystko w porządku.

Wyglądało na to, że to był dzień trzaskania drzwiami w tym domu.

Ponieważ nie potrafiłam zapanować nad wściekłością, która we mnie wrzała, chwilę później otworzyłam drzwi. Spodziewałam się, że zobaczę twarz mojej zdumionej współniczki stojącej z otwartymi ustami, ale ku mojemu zaskoczeniu Sofía szła już w stronę biura, co jeszcze bardziej mnie

zirytowało.

– Odwracasz się i odchodzisz, jak gdyby nigdy nic, nie mówiąc mi, jakie masz wiadomości? – zapytałam oburzona.

– Powiedziałaś przecież...

– Dobrze wiem, co powiedziałam!

Popatrzyła na mnie z drzwi gabinetu z wahaniem – pewnie najchętniej stałaby się niewidzialna. Nie doczekała się żadnego znaku, więc w końcu powiedziała niby to nieśmiało i niepewnie:

– Dobra wiadomość jest taka, że odezwał się mój przyjaciel z Brygady do Walki z Hazardem, no wiesz, Głębokie Gardło. Byłam z nim na kawie. Mówi, że wszyscy w kasynie wiedzieli, co dzieje się z Alejandrem, od właścicieli po pracownika najniższego szczebla, i że za kilka dni poda nam nazwiska, daty i dokładną treść rozmów.

– Dalej.

– Zła natomiast jest taka, że oprócz zachowania anonimowości domaga się także pieniędzy w zamian za informacje.

– Każdy chce coś na tym zyskać. Nie ostał się już nikt, kto miałby w sobie choć cień przyzwoitości?

Sofía pokiwała głową na znak, że się ze mną zgadza.

– Co mam zrobić? – zapytała.

– Nic. Wyciągnij z niego, ile się da, zwódź go, może powie ci coś konkretnego. Nie damy mu nawet złamanego euro, nie tylko dlatego że to nielegalne, że mogliby wytoczyć nam proces i zniweczyć całą naszą pracę z ostatnich miesięcy. Powód jest znacznie ważniejszy: bo nie mamy ani centa. Toniemy w długach, nasza kapitalistyczna współpracowniczka, kochana Concha, zakręciła kurek; będzie opłacać tylko najpilniejsze wydatki, a prawdę mówiąc, to nie jest pilny wydatek: jakiś gryzipiórek, który chce wyciągnąć od nas trochę kasy i najprawdopodobniej nie ma żadnych cennych informacji. Czy to jasne?

– Jak słońce.

– Jeszcze jedno.

– Słucham.

– Może chcesz wiedzieć: fakt, że rozmawiam z tobą w ten sposób, szorstkim, a nawet agresywnym tonem, nie znaczy wcale, że się na ciebie złościę. Po prostu jestem trochę skołowana i mam wszystkich po dziurki w nosie, a do tego boli mnie klatka piersiowa i kolano, boli mnie, kurwa, każda część ciała.

– Rozumiem.

– A wy nie podsłuchujcie pod drzwiami jak tchórze!

Z głębi przedpokoju natychmiast dały się słyszeć odgłosy kroków: Ronda i Gerardo odnieśli moje słowa do siebie.

– Ja nie słuchałam – zaperzyła się Ronda.

– Ja też nie – dodał Gerardo.

– Spieprzajcie.

To były moje ostatnie słowa tamtego dnia. Znowu trzasnęłam drzwiami, zamknęłam się z moimi pastylkami, moim złym humorem i moją nerwicą. Nie pokazałam się nikomu ani nie zamieniłam z nikim słowa aż do następnego dnia.

Pogłaskałam główkę z kości słoniowej. Przesunęłam palcami po drewnie oliwnym, czując słoje, szorstką powierzchnię. Ujęłam laskę prawą ręką i oparłam się na niej całym ciężarem.

Moncada zwykł przychodzić w najmniej spodziewanym momencie. Tego ranka, w Wielkim Tygodniu, pojawił się bez uprzedzenia w drzwiach sądu do spraw przemocy wobec kobiet przy ulicy Manuel Tovar. Przyniósł mi prezent.

– Ręczna robota – powiedział.

– Teraz już naprawdę wyglądam na staruszkę: kuleję, dokuczają mi rozmaite dolegliwości, a na dodatek będę jeszcze chodzić z laską.

– Jesteś najbardziej seksowną staruszką w promieniu wielu kilometrów – zapewnił obojętnym tonem, jakby dyktował oficjalny raport.

Generalnie nie toleruję pochlebców, ale jeśli nie są nachalni, a ja mam dobry dzień, potrafię ich znieść. Można powiedzieć, że w tej kwestii, podobnie jak w większości innych, jestem całkowicie arbitralna. Nie ufałam Moncadzie, ale jednocześnie mnie pociągał, obie te rzeczy dawało się pogodzić. Jego komentarz wydał mi się sympatyczny. Przyjrzałam mu się uważnie; jeśli to on na mnie napadł, to bardzo dobrze to ukrywał. Wzięłam laskę i wskazałam szary budynek przed nami.

– Dziękuję za komplement i za laskę – powiedziałam. – Muszę już iść, czeka na mnie obracające się nieustannie koło sprawiedliwości, że nie wspomnę o Resano i jej paskudnym charakterze. Brakuje tylko, żebym się spóźniła w dniu powrotu do pracy.

– Wyglądasz dużo lepiej, serio – powtórzył Moncada.

– Teraz przynajmniej mogę ustać na nogach i chodzić, mały krok dla ludzkości, ale wielki dla mnie, zapewniam cię. Rehabilitantka jest ze mnie bardzo dumna. To sadystka. Każe mi się ruszać i rozciągać kości i mięśnie,

które do niczego nie służą. Myślę, że tylko po to, żeby mi dokuczyć.

– Przychodzi mi do głowy kilka ćwiczeń fizycznych, które moglibyśmy wypróbować bez stawania.

Na mojej twarzy zarysował się uśmiech. Pomysł, żeby w tym stanie pójść do łóżka z Moncadą, wydał mi się równie dziwny, co niezdrowo ekscytujący. Wyobraziłam sobie swoje obolałe, pokryte bliznami, posiniaczone ciało w jego rękach, wyobraziłam sobie, jak trzymam go mocno za włosy i brodę, jak mu się poddam, jęcząc z bólu i rozkoszy; może wymierzyłabym mu mocny policzek albo dwa, może ściągnąłby mi maskę, może pozwoliłabym mu przesunąć palcami po ranach na mojej twarzy. Na pewno ciekawie byłoby spróbować.

– Jeśli prosisz mnie o randkę, ostrzegam, że nie jestem łatwą dziewczyną, taką, co to pójdzie do łóżka z pierwszym poznany porucznikiem o wyglądzie amanta. A może i jestem, sama nie wiem, czuję się trochę zdezorientowana, odkąd oberwałam po głowie.

– Przyznaję, że to oryginalna wymówka, nigdy nie odrzucono moich awansów pod takim pretekstem.

Stojący metr za mną Gerardo zakasłał dyskretnie, przypominając mi o swojej obecności, a przy okazji o spotkaniu w sądzie. Ponieważ nie mogłam jeszcze sama prowadzić, mój młody wspólnik od ohydnych krawatów został moim tymczasowym kierowcą.

– Nasze flirty wprawiają biednego Gerarda w zakłopotanie – powiedziałam. – No to chyba idę.

– Powodzenia, tam w środku – odparł Moncada.

– Powodzenie, jak każdy wie, choć często nie chce tego przyznać, nie istnieje. To tylko bliżej nieokreślony punkt powstały w miejscu przecięcia dwóch linii: sprzyjających okoliczności i dobrego przygotowania.

Może zabrzmiało to nieco pompatycznie, ale wydało mi się dobrym zdaniem na zakończenie naszej rozmowy.

Postawiłam laskę na pierwszym stopniu i zaczęłam wspinać się po schodach. Czuję, że spodoba mi się chodzenie o lasce. Nie dlatego, że nadawała mi dystyngowany wygląd, ale dlatego, że dotykanie jej sprawiało mi przyjemność. Poza tym myślę, że mam pod ręką coś, czym mogłabym

przyłożyć łajdakowi, który za blisko podszedł, wydała mi się kusząca.

Mimo że moje ostatnie słowa stanowiły odpowiednią formę pożegnania, jeszcze odwróciłam głowę. Zobaczyłam, że Moncada nadal stoi u stóp schodów, pozornie niefrasobliwy. To też mi się w nim podobało: nie był jednym z tych zagadkowych facetów, którzy za wszelką cenę chcą ci pokazać, jak bardzo są skomplikowani, zajęci, jak wielki ciężar dźwigają na swoich barkach. Przeciwnie, przy poruczniku miałam wrażenie, że wszystko jest w porządku; potrafiłam sobie wyobrazić, że cały świat stoi w płomieniach, a on wyciąga do mnie spokojnie rękę. Jak mawiał mój nauczyciel filozofii w ogólniaku, stan najbliższy szczęścia, jaki mogliśmy poznać, to zapomnieć, która jest godzina, nie czuć potrzeby patrzenia na zegarek. Z Moncadą tak właśnie było, przy nim nic nie wydawało się ani tak bardzo ważne, ani tak bardzo pilne.

– Jedno pytanie, poruczniku: pojawiaasz się nieoczekiwanie, żeby mnie zaskoczyć? Czy też w głębi duszy jesteś typem mężczyzny kontrolującego, takiego, który lubi trzymać kobiety krótko? Albo inaczej: chcesz mi zaimponować czy mieć mnie na oku?

– Nie uwierzę, że ktoś mógłby ci zaimponować czymś tak błahym – odparł. – Z przyjemnością będę miał cię na oku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wystarczy, że poprosisz: jedno słowo i zabieram się do roboty. Obawiam się jednak, że nie ma takiej potrzeby. Powiedzmy, że lubię cię spotykać.

– Rób to dalej, powiem ci, kiedy mi się znudzi.

Gerardo uniósł brwi. Zgoda, miał rację: zachowywaliśmy się jak para nastolatków. Pewnie jedynym sposobem na przerwanie głupich gier z Moncadą było wzięcie byka za rogi albo inaczej mówiąc, pójdzie z nim wreszcie do łóżka. Nie powstrzyma mnie fakt, że jestem inwalidką.

Poszliśmy korytarzem w stronę sali. Dzisiejsze przesłuchanie było niezwykle istotne. Szło nam nieźle, ale Palmira zatruwała Conchy życie, utrudniając jej sfinalizowanie rozwodu, zwłaszcza starań o prawo do wspólnej opieki nad córkami. Stosowała rozmaite kruczki prawne, poza tym przygotowała długą listę kobiet (wyłącznie kobiet), które miały potwierdzić nienaganne zachowanie Felipe jako ojca, począwszy od sąsiadek, przez obecne i były koleżanki z pracy, przyjaciółki i krewne, po nauczycielki,

pediatrę, a nawet pracownice sklepów, do których chadzał z dziewczynkami, takich jak supermarket, apteka czy osiedlowa perfumeria. Wszystkie one zapewniały (i były gotowe zeznać to pod przysięgą w czasie rozprawy), że Felipe jest przykładnym i opiekuńczym ojcem z oddaniem wychowującym trzy córki, które są dla niego ważniejsze niż praca i interesy osobiste. Palmira była agresywna, nigdy nie dawała za wygraną, umiała wyczytać, co tylko chciała, z przepisów prawnych i bardzo dobrze znała Resano. Pewnie pod maską oschłej, autorytarnej sędzi musiały się też kryć jakieś słabości.

Pod moją nieobecność sprawę prowadziła Sofía. Robiła to dobrze, pewnie, sprawnie, nie ulegała naciskom drugiej strony, nie zniechęcała się opieszałością prokuratury. Opierała się na faktach, nie na emocjach, konsultowała każde posunięcie z Conchą i co jakiś czas zwoływała w moim domu spotkania naszej trójki. Nie miałyśmy poważnych powodów do zmartwień. Byłam pewna, że sędzia, choć nie darzy mnie sympatią, wyda sprawiedliwy i adekwatny wyrok w sprawie o znęcanie. Resano mogła mieć swoje wady, ale trudno było sobie wyobrazić, żeby sympatyzowała z kimś takim jak Felipe, który dopuścił się przemocy praktycznie na jej oczach.

Gerardo przyniósł mi starą togę ze wspólnej szafy na pierwszym piętrze. Nie miałam zamiaru powtórzyć swojego błędu. Kiedy z trudem zakładałam ją na bluzkę, podeszła do mnie Concha. Może ja akurat nie powinnam wypowiadać takich opinii, ale wyglądała naprawdę źle, jakby w ciągu ostatnich dni nie zmrużyła oka. Po incydencie Concha wróciła z dziewczynkami do siebie; widywałyśmy się sporadycznie. Może tak mi się tylko wydawało, ale moja przyjaciółka, dawna szefowa i aktualna współpracowniczka sprawiała wrażenie bardziej zdenerwowanej niż zwykle. Myślę, że konieczność publicznego prania małżeńskich brudów, fizyczna i psychiczna przemoc, jakiej doświadczyła ze strony męża, kosztowały ją więcej, niż przypuszczałam.

Concha była staroświecka, pochodziła z rodziny, która od wczesnego dzieciństwa wpajała jej bezwzględne poszanowanie norm życia społecznego. Problemy rozwiązywano za zamkniętymi drzwiami – to była zasada numer jeden, z której wypływały wszystkie inne. Teraz Concha złamała tę zasadę i choć była kobietą inteligentną i niezależną, czuła się bezbronna. A może nawet winna, mimo że długo o tym rozmawiałyśmy i mimo że wewnętrznie była przekonana o własnej racji. Do tego dochodził konflikt w kwestii

finansów. Wspólne z mężem konto oraz zakupione do spółki udziały w funduszach inwestycyjnych zostały zamrożone do czasu wydania wyroku. Żadnemu z nich nie wolno było nimi dysponować. Nie sądzę, żeby miała problem z pokrywaniem bieżących wydatków, ale w grę wchodziły oszczędności całego życia, a – niezależnie od wszystkich korzystnych sygnałów – przed zapadnięciem ostatecznego wyroku nic nie było przesądzone. Rozumiałam ją, sytuacja stała się bardzo nieprzyjemna: zbyt dużo niewiadomych, konieczność ciągłego obnażania uczuć i raty do spłacenia, które dodatkowo wszystko komplikowały. Przypuszczałam, że nie odetchnie, póki nie nastąpi jakiś przełom. Felipe pozostanie ojcem jej córek do końca życia, ale kiedy zapadnie ostateczny wyrok, będzie mogła przynajmniej trochę się odprężyć.

– Skąd wzięłaś ten antyk? – zapytała, wskazując laskę.

– To prezent od wielbiciela – odparłam. – Pasuje do blizny na głowie i na policzku. Ostatni krzyk mody.

– Mężczyźni biją nas, a potem robią nam prezenty, żebyśmy im wybaczyły. Dzieje się tak od niepamiętnych czasów.

– O ile wiem, drań, który mnie zaatakował, nie dał mi żadnego prezentu – powiedziałam na swoją obronę, choć podejrzenia co do Moncady wracały do mnie w zależności od tego, skąd powiał wiatr; słowa Conchy bynajmniej nie pomogły ich rozwiązać.

– Mówię ogólnie o mężczyznach – wyjaśniła. – To nie musi być ten sam facet: jeden bije, drugi daje prezent. W rzeczywistości nawzajem się kryją. Tacy już są, nie potrafią inaczej.

Było jasne, że Concha ma zły dzień. Wyładowywała się na mojej lasce, ale równie dobrze mogło to być cokolwiek innego.

– Jeśli będziesz chciała rozwalić komuś łeb, mogę ci ją pożyczyć – powiedziałam. – Ma główkę z kości słoniowej.

– Nie wykluczam tego. Jakby co, dam ci znać – odparła, poprawiając mi togię. Taka była Concha: drażliwa, a jednocześnie nadopiekuńcza. – Jesteśmy dobrze przygotowane do dzisiejszego spotkania?

– Wszystko zapięte na ostatni guzik. Maszyna naoliwiona. Sofía wykonała dobrą robotę – powiedziałam i wskazałam naszą młodą prawniczkę

siedzącą na końcu stołu obok Gerarda.

Byli parą bojowników z pierwszej linii frontu, szybko się uczyli, mieli talent, a przede wszystkim pracowali bez wytchnienia. W krótkim czasie z dwóch zupełnie obcych dla mnie osób stali się dwiema istotami, bez których nie potrafiłam się obyć; nie wyobrażałam sobie, co bym bez nich zrobiła. Kilka dni wcześniej Sofía przekazała sędzi ostatnie dokumenty, wspierana przez prokuratora. Mimo że Iturbe nie wniósł prawie nic do sprawy i ograniczał się do udziału w spotkaniach, dobrze było trzymać wspólny front.

Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z przewidywaniami, sędzia powinna wyznaczyć termin rozprawy, zatwierdzić świadków (sześciu od nas, osiemdziesięciu dziewięciu ze strony przeciwnej) i przedłużyć obowiązywanie podjętych trzy miesiące wcześniej środków zabezpieczających dotyczących opieki nad dziećmi, korzystania z domu i zakazu kontaktowania się. Tak naprawdę najlepiej byłoby, gdyby nic się nie wydarzyło. W tego rodzaju postępowaniu rzadko trafiały się niespodzianki. Felipe nie zrobił więcej nic straszniejszego; wiedział, że grozi mu więzienie, jeżeli nie zastosuje się do zakazu zbliżania albo choćby minimalnie naruszy regulamin spotkań z dziewczynkami. Mógł je widywać raz na dwa tygodnie, zawsze pod okiem kogoś z zewnątrz, konkretnie M., który robił za niańkę, przywożąc i odwożąc dzieci.

Pomoc naszego detektywa była niezbędna na wszystkich frontach, na których walczyliśmy. Nie powinnam tak mówić, ja, obrończyni praw obywatelskich i zwolenniczka ruchów pacyfistycznych, ale prawda jest taka, że cieszyło mnie, że mam pod ręką kogoś, komu naprawdę ufam, zbrojne ramię sprawiedliwości i prawdy – że tak go nazwę. Nigdy nie należałam do żadnej partii czy związku zawodowego, nie udzielałam się w żadnej organizacji pozarządowej albo non profit – wolę niezależność. Czasem lubię tylko wspomnieć coś na temat pacyfizmu czy rzucić inne podobne hasło, żeby dokuczyć trochę dyżurnej konserwie. M. zachowywał się wobec nas jak prawdziwy dżentelmen: był nie tylko naszym detektywem, ale też naszym ochroniarzem, doradcą i kierowcą. Oczywiście piątego dnia każdego miesiąca wręczał mi stosowny rachunek; jedno nie przeszkadzało drugiemu.

– No, no, cóż za radość widzieć panią znowu pośród nas – rozległ się czyjś głos za naszymi plecami.

Pojawił się nieoceniony Óscar Iturbe, blondwłosy prokurator o bielusińskim uśmiechu. Zawsze wyglądał tak, jakby przed chwilą wyszedł spod prysznic, świeżo ogolony i odprasowany. Jego pedantyczność budziła we mnie obrzydzenie. Jestem pewna, że inne kobiety uważały go za przystojnego, może wręcz je pociągał. Ja nie tknęłabym go nawet kijem.

– Pytałem o ciebie codziennie – powiedział, udając przejęcie. – Chciałem odwiedzić cię w szpitalu, ale miałem masę roboty, poza tym w takich miejscach robię się chory, rozumiesz...

– Tak, mnóstwo tam umierających ludzi, to wstrętne – odparłam.

Trochę jakby się spieszył, ale natychmiast odzyskał rezon; nie należał do osób, które dają się łatwo wyprowadzić z równowagi, a już zwłaszcza popsuć sobie nastrój z powodu czyjegoś wisielczego humoru.

– Najważniejsze, że czujesz się dużo lepiej – ciągnął, jak gdyby nigdy nic. – Należałoby powiesić drania, który ci to zrobił.

Nieznacznym ruchem brody, jakby bał się czymś zarazić, wskazał moją oszpeconą twarz ukrytą pod maską. Nagle wyobraziłam go sobie, jak okłada mnie wściekle w garażu, wali pięściami, kopie, ciska mną o beton. Czas było z tym skończyć: nie mogłam podejrzewać o pobicie wszystkich znanych mi mężczyzn, to prowadziło donikąd, nie poprawiało mi samopoczucia i było niezdrowe. I tak miałam już zbyt wiele niezdrowych nawyków, żeby jeszcze dodawać do nich kolejny.

– Prokuratura mogłaby wystąpić o przywrócenie kary śmierci dla sprawców przemocy wobec kobiet – stwierdziła Concha w odpowiedzi na komentarz naszego złotowłosego.

– Obawiam się, że to wykracza poza nasze kompetencje. Jesteśmy tylko zwykłymi urzędnikami – odpowiedział, uśmiechając się grzecznie. – Na szczęście stanowienie praw należy do kogoś innego.

– Ma pan całkowitą rację, panie Iturbe – odrzekła Concha. – Podobnie jak wiele innych rzeczy, ta również wykracza poza pańskie kompetencje.

Odeszła w stronę swojego krzesła w rzędzie za nami, uznawszy rozmowę za zakończoną.

– Nie zwracaj na nią uwagi – usprawiedliwiłam przyjaciółkę. – Jest w złym humorze. Wiesz, bije ją mąż, a w nagrodę musi znosić publiczne

drwiny, bo kilku prawników podaje w wątpliwość każde jej słowo, nie wspominając już o takim drobiazgu jak to, że zamrożono jej konta.

Óscar Iturbe miał wiele zalet, ale refleks do nich nie należał. Za każdym razem, kiedy mówiłam coś, czego się nie spodziewał, czego sobie wcześniej dokładnie nie przemyślał, następowało u niego jakby zwarcie. Jeśli mam być szczerą, bardziej nadawał się do pozowania jako model niż do kierowania prokuraturą, a prawdopodobnie to właśnie go czekało, pod warunkiem że nie popełni poważnej gafy ani się w coś nie wplącze. Jak w przypadku wielu innych zawodów, nie chodziło o to, żeby robić coś dobrze, tylko o to, żeby nie robić tego źle, żeby się nie wychylać. W tej ostatniej kwestii Iturbe sprawiał wrażenie prawdziwego specjalisty.

Popatrzył na mnie z tym swoim niegasnącym uśmiechem na ustach i potwierdził, że jest kompletnym głupcem:

- Zgadza się z tobą.
- W czym?
- W zasadzie we wszystkim.

Spojrzałam skonsternowana; nie wierzyłam własnym uszom.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz, prawda?

Parsknął czymś w rodzaju śmiechu.

- Jesteś dla mnie niedobra – poskarżył się.

– Nie tylko dla ciebie – mruknęłam. – Mogę być niedobra dla wielu osób jednocześnie, zwłaszcza dla blondynów.

Mogłabym z nim tak rozmawiać przez cały ranek, a on przystałby na tę grę, ale droczenie się z nim było zbyt proste, poza tym przyszliśmy tu w ważniejszym celu.

W tym momencie otworzyły się jednocześnie drzwi z boku i w głębi sali, jakby były zsynchronizowane. Jednymi weszła Resano, a za nią woźny sądowy. Sędzia wpisywała coś na komórce i nawet nie podniosła wzroku, żeby sprawdzić, czy już jesteśmy. Drugimi drzwiami wkroczyła Palmira, zaanonsowana stukaniem obcasów, a pół metra za nią ruda gruba kobieta w niebieskim spodniu. Szeptła coś Felipe do ucha, jakby udzielała mu instrukcji.

Sofía mówiła mi o niej. Nazywała się Melody Larranz, pochodziła z Kraju Basków, była adwokatem i psychologiem. Zdobyła sławę, doradzając obronie w głośnej sprawie o molestowanie seksualne, w którą był zamieszany polityk z baskijskiego rządu. Wbrew przewidywaniom wyszedł z niej obronną ręką, uniknął kary, chociaż doniesienie złożyło na niego osiemnaście kobiet z jego gabinetu. Wygrała jeszcze kilka podobnych spraw, po czym przeniosła się do Madrytu i zaczęła pracować w kancelarii Prezeski. Była to jej pierwsza sprawa u boku Palmiry, więc pewnie chciała zapunktować. Jej specjalnością były „zachowania człowieka i wizerunek” – cokolwiek to oznacza – ale myślę, że jeśli ktoś ma na imię Melody i zajmuje się obroną typów spod ciemnej gwiazdy, może specjalizować się, w czym tylko zechce. Być może miała pilnować klienta albo poprawiać jego wizerunek przed sądem czy coś w tym rodzaju. Zmarszczone brwi, a także wyraz napięcia i złości na twarzy Felipe mówiły, że na razie jej wysiłki nie zostały uwieńczone sukcesem.

Wszyscy zajęliśmy miejsca i koło sprawiedliwości znów zaczęło się kręcić.

– Nie lubię niespodzianek ani improwizacji, a już najbardziej, kiedy ukrywa się przede mną dowody czy zeznania.

Resano przeglądała zawartość otrzymanej przed chwilą brązowej teczki i marszczyła przy tym nos, jakby obwąchiwała kartki.

Powtórzyła przez zaciśnięte zęby:

– Nie lubię.

Palmira zakasłała, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Proszę wybaczyć, Wysoki Sądzie, ale uzyskaliśmy to zeznanie dopiero wczoraj po południu, dlatego nie mogliśmy zgłosić go wcześniej. Dla nas również było dużym zaskoczeniem. Usilnie prosimy, żeby Wysoki Sąd zechciał je włączyć do postępowania. Mamy świadomość wynikających stąd konsekwencji, jednak uważamy dostarczone informacje za niezwykle istotne.

Nie wiedziałam, co kombinuje Prezeska, niemniej było oczywiste, że szykuje kolejną tanią sztuczkę. Na jej twarzy malowała się udawana konsternacja, jakby brudne zagranie, do którego się przymierzała, nie miało z nią nic wspólnego, a czytany przez sędziego dokument spadł prosto z nieba.

– Z uwagi na treść przedstawionego materiału – podjęła Palmira, nie czekając, aż Resano skończy czytać – wycofujemy wniosek o opiekę naprzemienną nad trzema małoletnimi...

Concha podskoczyła na krześle. O co tu chodziło?

– ...i formalnie wnioskujemy o wyłączne prawo do opieki nad dziećmi dla mojego klienta, pana Felipe Rivasa.

– Co, do cholery? – wymknęło się Conchy.

Gestem nakazałam jej spokój. Nie chciałam, żeby znowu wyrzucono nas z sali.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – powiedziałam zdecydowanym tonem. – To

bezprecedensowe żądanie w sprawie o znęcanie się; opieka nad małoletnimi zawsze przyznawana jest matce.

Resano nie raczyła zareagować. Czytała dalej. Palmira skorzystała z okazji, żeby sama udzielić mi odpowiedzi.

– Jak mecenas Tramel doskonale wie, nie doszło do żadnego znęcania się. Jedyne udowodnione przejawy agresji to jednorazowy wybuch złości w miejscu publicznym, kilka metrów stąd, będący wynikiem prowokacji przeprowadzonej przez drugą stronę. Pan Rivas bardzo żałuje; od trzech miesięcy pozostaje pod opieką psychologa. Cała reszta, proszę Wysokiego Sądu, to nieudowodnione oskarżenia, strategia, z którą niestety już wcześniej mieliśmy do czynienia.

– To, że mecenas Jiménez tak lekko podchodzi do tej sprawy, jest godne ubolewania – odpowiedziałam. – Oczywiście, że doszło do znęcania się, przecież właśnie o to w tym wszystkim chodzi, wyłącznie o to: mężczyzna zastraszał i bił żonę, nie zapominajmy o tym, Wysoki Sądzie. Cała reszta to kruczki prawne, wybiegi, fajerwerki, mające na celu odwrócenie naszej uwagi od tego, co jest naprawdę ważne.

– Opieka nad trzema dziewczynkami nie wydaje się pani mecenas ważna?
– Palmira zwróciła się bezpośrednio do mnie. – Jedyne, co dotychczas zostało udowodnione, to to, że matka opuściła córki, zostawiła je same, aby się spotkać z kochankiem. Oraz to, że mój klient jest wzorowym, przykładowym ojcem.

– Zostało już udowodnione, że wydarzenie, do którego mecenas Jiménez stale się odwołuje, było pojedynczym incydentem bez znaczenia – podsumowałam.

– Niepokoi mnie, Wysoki Sądzie, dezynwoltura, z jaką druga strona używa terminu „zostało udowodnione” – odpowiedziała Palmira. –

Z prawnego punktu widzenia nie udowodniono nic z tego, o czym pani mecenas mówi, zwłaszcza przemocy domowej, na której opierają się wszystkie argumenty drugiej strony. Nie ma pani świadków. Nie ma pani dowodów. Nie ma pani opinii psychologa, która by to potwierdzała. Nie ma pani nawet dokumentacji medycznej. Jedyne, jaką pani ma, jest wniosek o popełnieniu przestępstwa złożony w dogodnym momencie, zaraz po tym, jak pan Rivas odkrył niewierność żony. Wstyd, że spotykamy się

w tym sądzie, podczas gdy w głębi duszy wszyscy obecni na tej sali wiedzą, że chodzi o zwykłą sprawę cywilną.

– Na szczęście prawo przewiduje, że w przypadku przemocy domowej wystarczy wniosek o popełnieniu przestępstwa, by wszczęto postępowanie i podjęto wstępne środki – zaznaczyłam. – W tym przypadku, podobnie jak w wielu podobnych, powiedziałabym wręcz, że w większości przypadków tego typu, nie ma świadków. To jasne, że ich nie ma. Podłość tego mężczyzny jest porównywalna jedynie z jego tchórzostwem: nigdy nie podniósł ręki na żonę w miejscu publicznym, za każdym razem upewniał się, że nikt go nie widzi... Aż poczuł się na tyle bezpieczny, bezkarny, pewny siebie i nie wiem, jaki jeszcze, że przekroczył granicę i zrobił to przy wszystkich, w tym budynku. Chce pani, żebyśmy odtworzyli nagranie, na którym widać, jak wymierza cios pięścią żonie, która trzyma na rękach jego córkę?

– Dość tego – powiedziała Resano, zamknąwszy wreszcie teczkę.

– Wysoki Sądzie, to wszystko jest niezgodne z przepisami: prośba o dopuszczenie nowego zeznania na tym etapie, zwołanie spotkania bez poinformowania stron o jego przedmiocie... – próbowałam protestować.

– Powiedziałam: dość – przerwała mi stanowczo. – Dość już tego skakania sobie do oczu. Mam nadzieję, że dobrze się panie bawiły, bo uprzedzam, że to się więcej nie powtórzy, przynajmniej nie w moim sądzie. Jeżeli jeszcze raz odezwą się panie bez pozwolenia, usunę panie z sali. Nie wystarczy poprosić o głos; muszą panie poczekać, aż go udzielę. Czy to jasne?

Resano przerwała na chwilę. Może spodziewała się, że któraś z nas zaprotestuje; może nawet chciała, by tak się stało.

– Przeczytałam uważnie pismo, mecenas Jiménez – kontynuowała. – To rzeczywiście szczególny przypadek, dlatego chcę go spokojnie przestudiować. Na początek proszę o jak najszybsze przekazanie pełnej kopii drugiej stronie. Chcę, by moja decyzja była przemyślana i konsensualna. Zgodnie z artykułem sto pięćdziesiątym ósmym Kodeksu cywilnego, kierując się dobrem nieletnich, rozważę możliwość podjęcia szczególnych środków. Jeśli zaś chodzi o zmianę prawa do opieki, to po kolei. Jak panie wiedzą, fakt, że poprosiła o nią jedna z córek, nie wystarczy, żeby sąd rozważył taki wniosek. Jeżeli ostatecznie zgodzę się włączyć to zeznanie, wrócimy do

rozmowy. Środki zabezpieczające, o których zdecydowałam w grudniu, będą obowiązywały do czasu zakończenia rozprawy.

Woźny sądowy wziął teczkę i szepnął coś sędzi – pewnie miał zrobić kopie.

– Wysoki Sądzie, za pozwoleniem, czy mogłabym zabrać głos? – spytała Palmira tonem innym niż ten, jakim zwracała się do mnie.

– Proszę.

– Zważywszy na szczególny przypadek nieletniej Jimeny Rivas, najstarszej córki małżonków, wnioskujemy przede wszystkim, by sąd wezwał ją do złożenia zeznań i na tej podstawie podjął decyzję w sprawie ewentualnej zmiany prawa do opieki nad nią – powiedziała Palmira – oraz by odbyło się to w trybie pilnym.

– O czym pani mówi? – zapytała Concha wystraszona.

– Ostrzeżenie dotyczące usunięcia z sali odnosi się nie tylko do adwokatów – zauważyła sędzia.

– Wysoki Sądzie, czy mogę coś powiedzieć? – zapytałam grzecznie.

Resano skinęła na znak przyzwolenia.

– Mam wrażenie, że my wszyscy tu obecni jesteśmy nieco zdezorientowani, jako że nie mieliśmy okazji zapoznać się w całości ze wspomnianym wnioskiem. W całej swojej karierze nigdy nie uczestniczyłam w wysłuchaniu stron, nie poznawszy wcześniej kwestii, które będą omawiane w trakcie spotkania – wyłożyłam, najspokojniej jak potrafiłam. – Czy Wysoki Sąd zechciałby z łaski swojej rzucić trochę światła na to, co tu się dzieje?

Resano rozciągała maksymalnie granice tego, co dopuszczalne z punktu widzenia deontologii; nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z takim zachowaniem sędziego. Chciałam wierzyć, że nie ma to absolutnie nic wspólnego z naszymi relacjami.

– Krótko mówiąc, chodzi o to, że najstarsza córka podobno zgłosiła chęć zamieszkania z ojcem – poinformowała Resano. – Jak sama pani słyszała, mecenas Jiménez wnioskuje, by dziewczynka złożyła zeznanie i by jej klientowi niezwłocznie przyznano prawo do opieki nad dzieckiem.

Wymieniłyśmy z Sofią zdumione spojrzenia. Postanowiłam coś

powiedzieć, żeby uprzedzić ewentualną wypowiedź Conchy.

– Wysoki Sądzie, to... absolutnie niedopuszczalne, przecież to tylko dziecko, nieletnia! – wykrzyknęłam, hamując się, żeby nie dodać czegoś niestosownego, i rzuciłam Sofii spojrzenie mające zachęcić ją do zabrania głosu; koniec końców, to ona prowadziła sprawę i miała lepsze rozeznanie w tym, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach.

– Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie, czy mogę coś powiedzieć? – zapytała pospiesznie moja współpracownica, piorunując mnie wzrokiem.

– Proszę bardzo – odparła sędzia. – I niech pani uprzedzi koleżankę, że ostatni raz mówi coś bez mojego wyraźnego pozwolenia. Jeszcze jedno słowo, a zostanie pani nie tylko usunięta z sali, ale też ukarana grzywną za nadużycie prawa podmiotowego. Ponadto zwrócę się do szacownej Izby Adwokackiej z prośbą, żeby wszczęto przeciwko pani postępowanie dyscyplinarne i na długo zabroniono pani wykonywania zawodu w jakimkolwiek sądzie na terenie Hiszpanii. Dziś odbieram pani prawo głosu do końca spotkania, mecenas Tramel. Teraz słucham.

– Bardzo dziękuję, Wysoki Sądzie – odpowiedziała pospiesznie Sofía. – Za pozwoleniem, trudno nam uwierzyć, że najstarsza córka małżonków wyraziła chęć zamieszkania z ojcem. Jak mogliśmy się naocznie przekonać, w momencie, kiedy miała okazję dać wyraz swoim preferencjom, bez wahania wybrała matkę. Dosłownie przyłgnęła do niej i nie pozwalała, by je rozdzielono. Nie wiemy, do jakiego rodzaju podstępu czy manipulacji psychologicznej uciekła się strona przeciwna, w każdym razie absolutnie nie zgadzamy się, żeby w ogóle brać pod uwagę wezwanie dziewczynki do złożenia kolejnych zeznań. Poprzednie przesłuchanie wykazało, że jest to dla niej przeżycie traumatyczne i samo w sobie nie może wnieść niczego istotnego do sprawy.

Błąd. Sofía przyjęła za pewnik coś, czego nie wiedziała. Uczucia nastolatki są zmienne i nieodgadnione; nie sposób było wyobrazić sobie, co mogło wyjść z jej ust, ani co gorsza, przewidzieć, co by powiedziała, gdyby przyszło jej znów zeznawać. Może nienawidziła matki z jakiegoś głupiego powodu (jak dziewięćdziesiąt procent dziewczyn w jej wieku), nieświadoma, z czym się to wiąże, a może rzeczywiście chciała teraz mieszkać z ojcem. Nie wiedziałam, czy maczała w tym palce cała ta Melody; siedziała obok Felipe,

słuchając z uwagą, wyprostowana, jakby w ten sposób chciała tchnąć w tę kanałię opanowanie i prawość.

– Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie – wtrąciła się Palmira i odczekała, aż sędzia da jej znak. – Jeżeli pani mecenas jeszcze raz oskarży mojego klienta albo jego adwokat o manipulowanie nieletnią, natychmiast złożę przeciwko niej pozew. Rozumiemy, że jej słowa wynikają z bezsilności, której doświadczyła tego ranka, widząc, że sprawy nie układają się po jej myśli, dlatego też prosimy, aby je odwołała. Nawiasem mówiąc, to prokuratura otworzyła furtkę do przesłuchania nieletniej podczas tego procesu. Jesteśmy przekonani, że skoro wówczas Wysoki Sąd uznał za stosowne rozpatrzenie takiego wniosku, tym razem postąpi tak samo. Nalegamy, żeby Wysoki Sąd rozważył naszą prośbę, tylko i wyłącznie ze względu na dobro dziewczynki. Obecny podział prawa do opieki jest dla niej najwyraźniej szkodliwy, o czym Wysoki Sąd sam się przekona, kiedy ją o to zapyta. Wnoszę o wysłuchanie dziecka.

Mina Resano wskazywała, że prawdopodobnie przychyli się do wniosku, że słowa Prezeski przyniosły oczekiwany skutek; jeśli raz wyraziła zgodę, czemu nie miałyby zrobić tego i teraz, kiedy wydawało się, że dziewczynka rzeczywiście ma coś do powiedzenia. Palmira musiała być bardzo pewna siebie, skoro urządziła to żałosne przedstawienie.

W czasie gdy Sofía udzielała uprzejmej odpowiedzi, niczego, moim zdaniem, nie osiągając, nabazgrałam na karteczce samoprzylepnej: „Co jest z Jimeną?”. Podsunęłam kartkę do Conchy, która przeczytała moje pytanie i odpisała pod spodem, niechętnie, jakby nie była to sprawa warta uwagi: „Miałyśmy małą sprzeczkę”.

Przetłumaczyłam sobie, co oznacza „mała sprzeczką”: wrzaski, utratę kontroli, groźby, kary. Nic, co wcześniej nie przydarzyłoby się miliony razy innym matkom i ich nastoletnim córkom. Jednak w tej sytuacji wszystko nabierało zupełnie innego wymiaru i mogło pociągnąć za sobą utratę prawa do opieki – jak zdążyłam się już przekonać, Jimena odziedziczyła temperament po matce i była tak samo uparta jak ona. Pomyślałam, że powinno się wydać dekret zakazujący nastoletniości, z miejsca, bezwzględnie. Wytrzymałam spojrzenie przyjaciółki, nie musiałam nic mówić, żeby zrozumiała powagę sytuacji. To nie była mała sprzeczką, chodziło o coś znacznie poważniejszego.

Sofía dalej protestowała przeciwko temu, co w jej oczach było ewidentnym naruszeniem ustanowionych procedur postępowania i całego orzecznictwa tego sądu z ostatnich lat.

– Nie mówiąc już o tym, że rozdzielenie trzech nieletnich sióstr poprzez umieszczenie ich w różnych domach – zawyrokowała – jest nie tylko sprzeczne z logiką, ale odradzane przez wszystkich ekspertów, o czym pani mecenas doskonale wie. W żadnym wypadku i pod żadnym pozorem nie możemy dopuścić, żeby dziewczynki zostały rozdzielone, chyba że z jakichś niezależnych powodów.

Drugi błąd. Sofía otworzyła nieznaną sobie furtkę, której nie zbadaliśmy, przygotowując się do spotkania: była to możliwość rozdzielenia dziewczynek. W normalnych okolicznościach brak doświadczenia Sofii nie stanowiłby większego problemu, ale miałyśmy do czynienia z Prezeską: każdy jej krok, każdy ruch pionka był wymierzony co do milimetra. Zauważyłam, że Melody szepcze coś do ucha swojemu klientowi, który wysłuchuje jej nieporuszony. Będę musiała sprawdzić, jakim cudem Felipe mógł sobie pozwolić na taką obronę. Kancelaria Prezeski była jedną z najdroższych, a ona sama angażowała się tylko w te sprawy, z których mogła dużo wyciągnąć. Niewykluczone, że miał więcej, niż zgłosił w zeznaniu podatkowym, że zataił posiadanie jakichś dóbr, choć nie sądziłam, żeby tak ryzykował, teraz, kiedy znalazł się pod lupą. Coś mi się nie zgadzało. Może Palmira znajdowała się tu z pobudek osobistych. Czasami (niezbyt często) adwokaci tacy jak ona kierują się także prywatnymi względami zamiast myśleć wyłącznie o pieniądzu.

– Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie – powiedziała tym razem ruda. – Nazywam się Melody Larranz i wchodzę w skład zespołu prawników prowadzących sprawę pana Rivasa, co potwierdza dokumentacja będąca w posiadaniu Wysokiego Sądu. Chciałabym zabrać głos w związku z tym, co powiedziała adwokat strony przeciwnej.

Obrońcy oskarżonych o molestowanie seksualne, sprawców przemocy domowej i innych podobnych okazji wkraczała do akcji. Zastanawiałam się, czy po powrocie do domu myje ręce i co noc zasypia snem sprawiedliwego. Może była wręcz przekonana, że postępuje właściwie. Na samą myśl zadrżałam ze strachu: niewykluczone, że postrzegą siebie jako osobę

niezrozumianą, kogoś, kto walczy o sprawy przegrane, o tych, których nikt inny nie chce bronić, i że traktuje to nie jako pracę, ale jak krucjatę. Palmira dobrze wybrała sobie pomocnicę.

– Niech pani mówi – zgodziła się sędzia. – Proszę się streszczać, spotkanie trwa już dłużej, niż to zostało zaplanowane.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie, będę się streszczać – oświadczyła. – Chodzi o to, że miałam okazję porozmawiać z Jimeną, Rosą i Aitaną, trzema córkami małżonków, trzema uroczymi dziewczynkami, które czują się nieco zagubione i zdezorientowane, co w zaistniałych okolicznościach jest zupełnie naturalne. Nie mówię tego jako psycholog kliniczny ani specjalista od zachowań – oczywiście przyjdzie czas na raporty biegłych – ale jako adwokat, jako kobieta i jako matka. Rzecz jasna, nie poddałam małoletnich badaniom psychologicznym, nie odważyłabym się na coś takiego bez jednoznacznej zgody obojga rodziców. Uważam jednak, że nie potrzeba specjalistycznej wiedzy psychologicznej, by zrozumieć zdenerwowanie i dezorientację nieletnich, a także to, że wyraźnie skłaniają się one ku zamieszkaniu z ojcem. Pragnę zapewnić, że zeznanie wręczone przez nas tego ranka jest spontaniczną reakcją najstarszej córki, która odczuwa ze strony matki brak zrozumienia, troski oraz zagrożenie. Tak, również zagrożenie, przykro mi to mówić, bo wiem, jak bolesne muszą być te słowa dla pani Andújar. Dziewczynka w ciągu nielicznych godzin, jakie mogła spędzić z moim klientem, wykazała dojrzałość i trzeźwość osądu niezwykle u osoby w jej wieku. Zapewniam, że osobiście się o tym przekonałam, i gwarantuję, że nikt w najmniejszym stopniu nie nakłaniał jej do wniosku o zmianę prawa do opieki. Był to wyłącznie jej pomysł. Uważam więc, że Wysoki Sąd powinien jej wysłuchać; to niezwykle ważne. Bardzo proszę.

– Do rzeczy – ponagliła ją Resano.

Melody wskazała Sofię i powiedziała:

– Całkowicie zgadzam się z adwokat pani Andújar. Pod żadnym pozorem nie należy rozdzielać dziewczynek, byłby to błąd. Dlatego wnioskujemy o prawo do opieki nad trzema córkami dla naszego klienta. Jesteśmy głęboko przekonani, że będzie im z nim lepiej i że one same chcą z nim mieszkać. Wszystkie trzy mogą to potwierdzić, Wysoki Sądzie.

Concha wyglądała tak, jakby miała zaraz wybuchnąć. Spróbowałam uspokoić ją spojrzeniem, które mówiło: jeszcze się wszystko ułoży, przetrwaj burzę, chcą nas tylko zdenerwować. Jeden jej niewłaściwy krok mógł dodatkowo pogorszyć sytuację.

– Proponuje pani przesłuchiwanie siedmioletniej dziewczynki? – zapytała z niepokojem sędzieja.

– Wiem, że sąd nie ma w zwyczaju wzywać nieletnich poniżej dwunastu lat – zgodziła się Melody – istnieją jednak precedensy. Zapewniam, że jeżeli Wysoki Sąd i prokurator wysłuchają tego, co mają do powiedzenia dziewczynki, kwestia, którą próbuję wyjaśnić, stanie się w pełni zrozumiała. One chcą być z ojcem, tęsknią za nim. A on, Wysoki Sądzie, zawsze był...

– ...przykładnym ojcem, tak, wiem – przerwała jej Resano. – Jak powiedziałam na początku, nie lubię niespodzianek, bardzo nie lubię.

– Rozumiem, Wysoki Sądzie, i stokrotnie proszę o wybaczenie. Nie składalibyśmy tego wniosku, gdyby nie wymagało tego dobro małoletnich, zgodnie z artykułem sto pięćdziesiątym ósmym, na który słusznie Wysoki Sąd się powołał – zakończyła ruda, ujmując się za klapy marynarki, jakby wypełniła swoją powinność wbrew sobie.

Woźny sądowy położył na naszym stole kopie sześciokartkowego dokumentu przedstawionego przez Palmirę. Nie musiałam go przeglądać, żeby wiedzieć, co w nim jest. Najprawdopodobniej zawierał rzekomą wypowiedź Jimeny na temat nieznośnego zachowania matki w ciągu ostatnich trzech miesięcy oraz pisemną prośbę o możliwość zamieszkania z ojcem. Do tego dołączony był oficjalny wniosek o wezwanie do sądu trzech nieletnich w celu złożenia zeznań (wszystko zostało zaaranżowane od pierwszej minuty) oraz o cofnięcie środków zabezpieczających dotyczących opieki nad dziećmi.

Sofía i Gerardo razem ze zdumieniem przerzucali kartki jednej z kopii. Ja podałam swoją Conchy, żeby zająć ją czymś na kilka minut: jeżeli się pogрузy w lekturze, przynajmniej nie zaczną krzyczeć ani nie urządzi awantury.

– Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie – powiedziała Sofía. – Zgłaszamy kategoryczny sprzeciw. Ten wniosek nie został umieszczony w porządku rozprawy. Ponadto Wysoki Sąd potwierdził, że zarządzone środki

zabezpieczające pozostają w mocy, a gdyby tego było mało...

Sofía przerwała w połowie zdania. Pewnie poczuła w głowie pustkę. Coś takiego przytrafia się na sali sądowej wielu adwokatom – nagle w najmniej odpowiednim momencie tracą wątek argumentacji: z nerwów, dlatego że przerasta ich sytuacja, albo dlatego że – jak w tym przypadku – zabierając głos, nie bardzo wiedzą, co zamierzają powiedzieć.

– Gdyby tego było mało...? – powtórzyła Resano.

Biedna Sofía nabrała powietrza i spojrzała w moją stronę, ja jednak nie mogłam zabierać głosu – gdybym wypowiedziała choćby jedno słowo, sędzia wszczęłaby przeciwko mnie postępowanie dyscyplinarne. Potem odwróciła głowę w przeciwnym kierunku i zobaczyła Iturbego, oczywiście uśmiechniętego od ucha do ucha.

– ...gdyby tego było mało – dokończyła, potrząsając trzymanymi w prawej dłoni kartkami – zeznanie nieletniej zostało spisane bez uprzedniego poinformowania Wysokiego Sądu, strony skarżącej i prokuratury. Powinno zostać odrzucone.

Trzeci błąd – przypominanie Resano, że na sali jest prokurator.

Sędzia faktycznie odwróciła się w stronę Iturbego, zadowolona, że nadal jest on tak samo uśmiechnięty, tak samo jasnowłosy i tak samo dyspozycyjny jak zawsze. Nie odezwał się słowem podczas całego posiedzenia, przytakiwał każdemu stwierdzeniu sędzi, udając, że interesuje go to, co dzieje się na sali. To na pewno bardzo podobało się Resano.

– Panie Iturbe, chciałabym poznać zdanie prokuratury w tej problematycznej kwestii – powiedziała. – Niech pan będzie tak uprzejmy i rzuci nam trochę światła na sprawę.

Spojrzenia wszystkich obecnych skierowały się w stronę siedzącego na końcu stołu Iturbego. Ten skinął głową i udzielił odpowiedzi.

Oczywiście zrobił to, czego się spodziewałam: wystawił nas.

Concha mocno, niemal rozpaczliwie zacisnęła pięści – z wściekłością wbiła paznokcie w dłonie, tak że nabrzmiały jej żyły.

– Wszystko zapięte na ostatni guzik? – zapytała zdławionym głosem. Powoli obróciła głowę w moją stronę, utkwiała we mnie spojrzenie i powtórzyła: – Wszystko zapięte na ostatni guzik? Jesteśmy dobrze przygotowane? Co wydarzyło się przed chwilą tam w środku?

Stałyśmy na parkingu. Minęło nas kilku urzędników. Nie chciałam przeprowadzać z przyjaciółką tej rozmowy, ale nie było innej rady.

– Na razie nic się nie stało... – próbowałam ją uspokoić.

– Nic? – przerwała Concha. – Mają zeznanie Jimeny, które nie wiem, skąd wytrzasnęli. Zamierzają mi odebrać dziewczynki... Nic się nie stało?

– Nie uda im się – wtrąciła nieśmiało Sofía. – Chcą wyrzucić na nas presję.

– Chcą wyrzucić na nas presję? Po co? – zapytała Concha rozwścieczona.
– Posłuchaj, nieważne, czy zabiorą mi dom, czy zabiorą mi wszystko, nieważne nawet, czy znowu mnie stłucze, wszystko mi jedno... Ale nie pozwolę, żeby rozdzielił mnie z córkami, przysięgam, że na to nie pozwolę, zrozumiałyście?

– Doskonale – powiedziałam.

Najlepiej było pozwolić, żeby odreagowała. Miała pełne prawo. Już zamierzała kopnąć samochód, przy którym stałyśmy, ale się powstrzymała.

– Wezwą dziewczynki do złożenia zeznań? – zapytała.

– Powiedziała, że to rozważy – wtrąciła kolejny raz Sofía.

– Nie chrzań – powiedziała Concha. – Wezwą je czy nie?

– Czy nam się to podoba, czy nie, prokurator ma rację – stwierdziłam. – Sami otworzyliśmy tę ścieżkę, wzywając do sądu Jimenę. Trudno, żebyśmy

teraz protestowali.

– Łajdak! – wykrzyknęła moja przyjaciółka z wściekłością. – Milczy przez cały czas, a kiedy wreszcie się odzywa, zalewa nas gównem. Powinien być po naszej stronie. Jest po naszej stronie czy nie?

– Iturbe nie jest po niczyjej stronie – tłumaczyłam. – Chce przypodobać się sędzi, więc powie jej wszystko, co będzie chciała usłyszeć, i tyle. Gdyby sprawdził się najgorszy scenariusz i sędzia rzeczywiście postanowi porozmawiać z dziewczynkami, nie oznacza to wcale, że przyzna prawo do opieki Felipe. Nawet jeżeli małe będą zdezorientowane czy wręcz skłonne przystać na podobną niedorzeczność, ich zeznania nie będą wiążące. Dziewczynki są nieletnie i nie wiedzą, co dla nich dobre. A przede wszystkim: Resano jest w pełni świadoma, że przeciwko ich ojcu toczy się postępowanie karne o stosowanie przemocy domowej. Nie będzie ryzykować.

Concha zaczęła trzeźwo myśleć. Nie uspokoiła się całkiem, ale przynajmniej trochę się odprężyła. Obrzuciła spojrzeniem Gerarda, stojącego parę metrów dalej, tak żeby nie przeszkadzać, potem przeniosła wzrok na Sofię, młodą prawniczkę, która wychodziła ze skóry, żeby jej bronić, wreszcie zatrzymała się na mnie: wydawało się, że studiuje mój wygląd, który, rzecz jasna, nie był porywający.

– Może powinnam zmienić adwokatów – mruknęła. – Poszukać prawdziwego specjalisty.

– Twoje prawo – powiedziałam spokojnie, wiedząc, że tego nie zrobi; nie znajdzie nikogo, kto poprowadziłby jej sprawę z takim zaangażowaniem i oddaniem, z jakim prowadziliśmy i będziemy prowadzić ją my.

– Myślisz, że dziewczynki naprawdę chcą zamieszkać z ojcem? – zapytała słabym głosem.

W rzeczywistości to właśnie ją zabolalo. Nie machinacje Palmiry i Melody (wciąż wzdrygałam się, wypowiadając to imię), nie obojętność prokuratury, nie milcząca przemoc Felipe. Tym, co naprawdę dręczyło Conchę, była myśl, że jej córki mimo wszystko wolą ojca niż ją.

– Nie będę cię oszukiwać – odpowiedziałam. Chciałam być szczerą, nie upiększać prawdy. – Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Jimena to wszystko powiedziała. Pewnie jest na ciebie rozgniewana i obwinia cię o całe

zło świata, łącznie z separacją. Przypomnij sobie, jakie byliśmy w jej wieku. Jest tylko nastolatką, niepewną, pełną sprzeczności, z masą problemów. Nie wie i nie rozumie tego, przez co przeszłaś, i nie musi. Nie zdziwiłabym się, gdyby zdołała namówić młodsze siostry, żeby stanęły po stronie Felipe, a raczej przeciwko tobie. Nie mam co do tego pewności, ale musimy wziąć pod uwagę taką możliwość. Jestem przekonana, że to mądra dziewczynka i wcześniej czy później zrozumie, o co chodzi, na razie jednak ma potrzebę zrzucenia na kogoś winy, a ty jesteś pod ręką.

Moje słowa zapadły w Conchę głęboko. Teraz starała się je przetrwać.

– To co mam zrobić? – spytała.

– Nie jestem matką – odparłam – ale myślę, że nie powinnaś być dla niej zbyt surowa; to tylko pogorszy sprawę.

Wreszcie się załamała. Oczy jej poczerwieniały, musiała oprzeć się o maskę samochodu.

Nie byłam przygotowana na scenę pełną łez i uścisków – nigdy nie jestem. Nawet jeżeli tego właśnie potrzebowała moja przyjaciółka, doskonale wiedziała, że w tej kwestii nie może na mnie liczyć. Dałam znak Sofii, która podeszła i objęła Conchę.

– Ulżyj sobie – powiedziała serdecznie, ta zaś od razu wybuchnęła płaczem, zaczęła szlochać i czkać w bardzo nieprzyjemny dla ucha sposób. – Zobaczysz, że wszystko się ułoży.

Zostawiłam je, żeby dalej się ścisnęły, i ruszyłam w stronę samochodu w towarzystwie poczciwego Gerarda.

– Bardzo dużo się od ciebie ucę, szefowo – rzucił chłopak ni z gruszki, ni z pietruszki.

– Nie otworzyłeś ust przez cały dzień, a teraz wyskakujesz mi z tym idiotyzmem – powiedziałam, nawet na niego nie patrząc. – Idź włączyć silnik. Ja wlokę się jak kaleka, trochę mi to zajmie, ale wolę pokonać tę drogę w samotności, myśląc o własnych sprawach.

Gerardo poszedł szybciej i zczekał w samochodzie. Oparłam się całym ciężarem ciała na lasce, czując w zaciśniętej pięści kość słoniową, i pokuśtykałam ulicą Manuel Tovar. Myślałam o tym, jak wyglądałoby moje życie, gdybym została matką, gdybym wydała na świat dziewczynkę, która

byłaby równie uparta, głupia i zawzięta jak ja. Jak zwykle nie doszłam do żadnych wniosków.

Kolejne dni były jedną wielką, niekończącą się przerwą na wszystkich frontach. Z powodu świąt wielkanocnych wszyscy zniknęli, telefony umilkły, a w mojej komórce i mailu przestały się pojawiać wiadomości. Czas jakby się zatrzymał z powodu mistycznego jubileuszu zmartwychwstania sprzed dwóch tysięcy lat. Nie chcę nikogo urazić, nie jestem ani zwolenniczką, ani przeciwniczką świąt religijnych (ani żadnych innych), po prostu zastanawiam się, jak to możliwe, że z powodu świąt zostają wstrzymane najważniejsze sprawy w kraju: chirurdzy, politycy, przedsiębiorcy, nauczyciele i oczywiście notariusze, sędziowie i adwokaci zamykają drzwi swoich gabinetów i mówią: „Zamknięte”. Szanuję to, że ludzie fundują sobie kilka dni odpoczynku i świętują to, co uważają za stosowne, ale może dałoby się obchodzić te wszystkie święta w nieco bardziej ostrożny i uporządkowany sposób. Przyznaję, nie mam własnego życia, pewnie na tym polega mój problem, dlatego nie jestem zdolna zrozumieć niektórych rzeczy. Nie mnie decydować, kiedy ktoś powinien jechać nad morze.

W Wielki Czwartek po raz enty przejrzałam z Gerardem i Rondą wstępne zeznania głównych świadków z Gran Castilli, zaczynając od szefa ochrony, Aarona Freirego. Ciekawy typ. Wyglądało na to, że mimo pełnionej funkcji był z Alejandrem w dobrej komitywie. Uważał mojego brata za towarzyskiego – podobnie jak siebie. Wystarczyło jednak spędzić z nim pięć minut, by się zorientować, że to nieprawda: odpowiadał monosylabami lub skrzeczał coś pod nosem. Dosłownie. Podobnie jak inni pracownicy figurujący na liście nagrań (nagrań, które wciąż nie zostały przyjęte przez sędzię jako dowód w sprawie i które martwiły mnie bardziej niż którykolwiek wątek pozwu), zapewniał, że rozmowy są wyjęte z kontekstu, że rzekome grożenie i stosowanie przymusu, o które go oskarżamy, to tylko ironiczne, kumpelskie uwagi wymieniane przez osoby będące ze sobą w bliskich relacjach, łącznie ze zdaniem: „Jeżeli nie przyjdiesz grać dziś wieczorem, wydymam na twoich oczach tę pierdoloną Polkę, a potem rozwalę ci łeb”. Jego zdaniem mój brat uśmieł się serdecznie z tego żartu. Niestety, ani w tym, ani w innych przypadkach nie dysponowaliśmy zeznaniami osoby, która wówczas znajdowała się po drugiej stronie kabla telefonicznego.

Oprócz kwestii technicznych w grę wchodziła także interpretacja tego, co zostało powiedziane podczas nagranych rozmów. Cóż za paradoks, że wobec królowej sarkazmu i ironii (moim skromnym zdaniem zajęłabym wysokie miejsce, gdyby organizowano światowe mistrzostwa w jednej z tych dyscyplin) interlokutorzy Alego, chcąc wypaczyć znaczenie własnych słów, wysuwali takie akurat argumenty. W podobnym stylu wypowiadali się Hidalgo – ekspert do spraw etykiety, Morenilla – kierownik sali, a nawet Cimadevilla – mniejszościowy udziałowiec kasyna, który złożył zeznania na piśmie, powołując się na napięty grafik. Z oczywistych powodów wyłączeni zostali zmarły Menéndez Pons oraz Sebastian Kowalczyk, brat Heleny i miłośnik motocykli, który jak dotąd nie puścił pary z ust i nad którym pracowała Ronda (sekretarka i kierowniczka biura, idąc za radą M., nie chciała nam zdradzić, co ostatnio wskórała).

Wreszcie przeanalizowaliśmy dokładnie trzy rozmowy z udziałem głównego oskarżonego, wielkiego Czyngis-chana, z którym niedługo mieliśmy się spotkać twarzą w twarz – Huarte już go wezwała. Opracowaliśmy długą listę niewygodnych pytań dotyczących jego teraźniejszości, przeszłości, a także – i to była największa niespodzianka, jaką dla niego szykowaliśmy – jego przyszłości jako szefa holdingu. Należało przygotować się starannie do pierwszego przesłuchania Santonjy. Ważne było, aby sędzia śledcza zrozumiała, z jakiego rodzaju człowiekiem ma do czynienia.

Sofía poświęciła cały dzień sprawie Conchy. Trzeba było przygotować masę nowych papierów, żeby dokuczyć trochę Felipe, a przede wszystkim ułatwić zadanie Resano. Nie miałam wątpliwości, że sędzia chce orzec właściwie. Należało jej tylko trochę pomóc, wyrównując drogę i ukazując jasno sytuację, tak by mogła wydać nie tylko sprawiedliwy, ale i jednoznaczny wyrok. Przejrzałyśmy z Sofią wyroki, jakie zapadły w podobnych sprawach, gdy kobieta złożyła doniesienie na męża *a posteriori*, już po tym, jak rozpadł się ich związek, że tak to ujmę. Znalazłyśmy dużo takich przypadków. Ogromna większość wyroków odpowiadała naszym oczekiwaniom. Niestety kobiety przeważnie nie miały odwagi upubliczniać aktów przemocy, dopóki nie rozstały się z agresorem – czy to z własnej, czy z jego inicjatywy. Miałyśmy podstawy sądzić, że Felipe zostanie skazany niezależnie od zeznań dziewczynek; rozwiązałyby to

kluczową dla nas sprawę opieki.

Późnym popołudniem zjawił się M. i przyniósł nam kilka smakowitych informacji. Wyglądało na to, że Andermatt, Latający Holender, który bronił prywatnie Emiliana Santonjy, nie jest wcale niezależnym prawnikiem: jego niewielka kancelaria w Amsterdamie rok wcześniej połączyła się z bliźniaczą kancelarią z Rzymu, która wkrótce potem została przejęta przez inną, znacznie większą, z Monachium. Bingo! Niemiecka kancelaria była owym gigantem, który miał wejść w fuzję z Barver & Ambrosia. Zbyt duży zbieg okoliczności. Gdyby w którymś momencie okazało się, że interesy Santonjy i jego firmy są rozbieżne – a miałam nadzieję, że wcześniej czy później tak się stanie – ta informacja mogła nam się bardzo przydać. Było oczywiste, że może dojść do konfliktu interesów. Jeśli to Santonja stał za przekrętem z przejmowaniem i łączeniem kancelarii, miałam szansę zdobyć pewną przewagę i go prześcignąć. Mój detektyw był tak skuteczny, że czasami uprzedzał moje prośby.

Następnie M. opowiedział mi o moim pierwszym byłym mężu. Ramiro mówił prawdę: walczył ze śmiercią, zżerany przez raka, a do tego był kompletnie splukany. Nie miał oszczędności, nie miał pracy, nie miał nawet nędznego prywatnego ubezpieczenia, które ułatwiłoby mu leczenie. Ze swojej strony życzyłam mu, żeby jak najszybciej kopnął w kalendarz i przestał zatruwać życie bliźnim, jak latami zatruwał mnie.

Podziękowałam M. za informacje. Dzień był tak bardzo pracowity, że odesłałam wszystkich do domu i dałam im trzy dni wolnego. Mieliśmy się zobaczyć w poniedziałek.

Wielki Piątek był znacznie krótszy. Zjadłam śniadanie z Heleną i Martinem, który siedział na podłodze w kuchni pochłonięty jakąś absurdalną grą w kolory i dźwięki. Ucięłyśmy sobie długą pogawędkę na temat zwyczajów Alego, kiedy był nałogowym graczem, czyli przez cały czas, jaki tych dwoje przeżyło razem: mój brat niewiele sypiał, grał i obstawiał zakłady. Nic poza tym. Przez siedem dni w tygodniu nie wykazywał żadnej innej aktywności, jego życie sprowadzało się wyłącznie do tego. Kiedy tylko otwierał oczy około czternastej, od razu sprawdzał stawki w głównych zakładach sportowych, po czym przeważnie brał szybki prysznic i szedł na obiad w okolice kasyna albo do willi Argentyńczyka, w zależności od tego, w jakiej partii miał uczestniczyć tego wieczoru.

Helena mówiła, że znosiła to ze względu na dziecko, a przede wszystkim dlatego że Ale był chory, a chorego się nie zostawia. Tak często przytaczała argument o chorobie Alego, słyszałam go tyle razy, że w końcu wyrył mi się w mózgu. Rzecz jasna, doskonale znała krążące wokół niego sępy, łącznie z „telefoniczną siódemką”, jak ochrzciłam tego dnia siedmiu łajdaków, którzy nękali mojego brata przez komórkę. Wiedziałam dobrze, że nie tylko oni. Lista obejmowała na pewno o wiele więcej nazwisk, ale przeciwko tym siedmiu mieliśmy dowody, więc na nich zamierzaliśmy się skoncentrować. Helena nie oszczędzała żadnego z nich, jednak tego ranka wyjątkowo surowo skrytykowała Cimadeville, niewidzialnego udziałowca Gran Castilli, który nigdy nie pokazywał się publicznie, ale odwiedzał ich w hostelu pod pretekstem pomocy – choć jej zdaniem po prostu chciał ją przelecieć. Było to bardzo prozaiczne, ale też interesujące z punktu widzenia kolejnych przesłuchań. Miałam ochotę uważniej przyjrzeć się tej postaci. Im dłużej rozmawiałam z Heleną, tym więcej brudów wychodziło na jaw. Bałam się, że jest to studnia bez dna, mająca setki rozgałęzień. Choć nie było to łatwe, należało ją jakoś skanalizować, jeżeli mieliśmy cokolwiek osiągnąć.

Po rozmowie z Heleną pobuszowałam trochę w internecie, zbierając informacje korporacyjne i finansowe o holdingu, do którego należało kasyno. Były w zasięgu każdego, kto wiedział, gdzie ich szukać: znalazłam rozmaitego rodzaju dane liczbowe dotyczące klientów, dochodów, oprocentowania i wielu innych rzeczy. Musieliśmy wiedzieć, z kim mamy do czynienia, a przy okazji, ile pieniędzy mogą ci ludzie wyłożyć, jeżeli szala zwycięstwa przechyli się na naszą stronę. Wołałam nie liczyć na wielkie odszkodowanie, wiedziałam, że to raczej niemożliwe, ale moja strategia zakładała znaczne podniesienie żądanej sumy w ramach odpowiedzialności cywilnej, tym bardziej teraz, kiedy w postępowanie włączył się ubezpieczyciel. Uwielbiam liczby, pewnie dlatego że są mi obce, i dlatego że takiej humanistce jak ja ich niewymowność wydaje się majestatyczna.

Zjadłam sama przy biurku w gabinecie kawałek przyrządzonego przez Helenę łososa z warzywami. Weszłam na stronę banku, zakładka klienci indywidualni, i zapoznałam się z opłakanym stanem naszego konta: mieliśmy dokładnie czterysta dwadzieścia osiem euro przed zbliżającym się długim procesem. Na nasze nieszczęście Concha przykręciła kurek, przynajmniej do czasu, dopóki nie będzie mogła odblokować części swoich aktywów.

Zdołował mnie ten widok, a kiedy popadam w depresję, to już porządnie – jestem zdolna zejść na poziom czarnych myśli, który zaskoczyłby niejednego specjalistę. Do tego w rekordowym czasie, mówię to jak najpoważniej.

Zrobiłam sobie wolne popołudnie i znów ogarnęło mnie poczucie, że życie przecieka mi między palcami, że przez czterdzieści trzy lata nie potrafiłam zrobić niczego naprawdę dobrego. Nie mówię o wielkich czynach czy o odciskaniu piętna, nie o to chodzi. Mam na myśli coś, co robimy z sercem, dokładając swoją cegiełkę, by uczynić świat trochę lepszym miejscem do życia. Może byłam już blisko, ale wtedy wydarzyła się katastrofa i od tamtej pory wszystko, także śmierć mojego brata, ciągnęło mnie w dół.

Naszła mnie ochota, żeby zadzwonić do Moncady. Może gdybym zjawiła się w jego domu i w końcu doprowadziła do seksualnego spotkania, do którego ciągle nie doszło, trochę by mi się poprawiło. Ale nie czułam się na siłach prowadzić samochód, a rozwiązania alternatywne – zaprosić go do mnie, gdzie usłyszeliby nas moja bratowa i jej synek (tak, jestem głośna, kiedy wkraczam do akcji, i to bardzo), albo poprosić, żeby po mnie przyjechał, i zdać się na jego łaskę, gdybym chciała wziąć nogi za pas, co w moim przypadku było wielce prawdopodobne – nie, takie ewentualności nie trafiały mi do przekonania. Poza tym nie byłam pewna, czy mój organizm jest gotowy na starcie z porucznikiem czy z kimkolwiek innym; nadal dokuczały mi najróżniejsze dolegliwości. Nie uległam więc impulsowi i zrobiłam to, co najlepiej mi wychodziło: nafaszerowałam się tabletkami. Do mojej sporej dziennej dawki tramadolu dodałam odrobinę fluoksetyny, dwie trzy pastylki, i kilka łyków ginu. Zamknęłam się w sypialni i odczekałam, aż zrobią swoje.

Następnego dnia była Wielka Sobota, w Hiszpanii nazywana także Sábado de Gloria, Sobotą Chwały. Mój ulubiony dzień w roku. Bez powodu. Po prostu podoba mi się ta nazwa: Sobota Chwały.

Jednak wydarzenia tej Wielkiej Soboty miały przejść moje najśmielsze oczekiwania.

Mała uderzyła o wodę z głośnym plaśnięciem, rozchlapując ją po brzegu.

Wyszła z basenu, parskając, oparła się dłońmi o beton i ponownie wskoczyła do wody, ledwo zdążyła złapać oddech.

Powtórzyła tę operację kilka razy, po czym wreszcie odwróciła się w moją stronę i zawołała:

– Twoja kolej!

Z nosa i uszu ciekła jej woda, oczy miała zaczerwienione od chloru, skórę na palcach pomarszczoną. Aitana potrafiła być niezwykle wytrwała.

– Skacz! – rozkazała, wskazując basen.

Spojrzałam na nią z mojego fotela stojącego jakieś trzy metry od brzegu i powiedziałam:

– Nie umiem pływać.

Zamilkła skonsternowana.

– Mówię poważnie: nie umiem pływać – powtórzyłam.

– Mogę cię nauczyć – powiedziała, składając dłonie na piersiach.

Drżała. Ciągle mieliśmy wiosnę, temperatura nie przekroczyła tego dnia dwudziestu stopni. Była ósma wieczorem, nic więc dziwnego, że po trzydziestu minutach spędzonych w wodzie trzęsła się z zimna.

– Bardzo ci dziękuję, ale może innym razem – stwierdziłam. – A teraz się wytrzymaj, bo się rozchorujesz.

Wskazałam laską olbrzymi niebieski ręcznik porzucony na leżaku. Ku mojemu zdziwieniu Aitana bez szemrania się nim owinęła. Zaczęła wydawać z siebie jakieś dźwięki.

– W ten sposób się rozgrzeję – wyjaśniła.

– Świetny pomysł.

Concha namówiła mnie, a raczej zmusiła, żebym pojechała z nimi do ich domu. Przepracowałam w samotności pół dnia, a po południu zjawiała się niespodziewanie z dziewczynkami. Porwały mnie, zapewniając, że na kolację będzie najlepsza pizza na świecie. Nie mogłam oprzeć się takiej propozycji; widziałam, że moja przyjaciółka potrzebuje towarzystwa. Rosa i Aitana zareagowały entuzjastycznie, kiedy wsiadłam do samochodu. Jimena miała w uszach słuchawki i przez całą drogę się nie odezwała.

Niektóre dziewczynki zaczynają dojrzewać wcześniej, inne później, proces ten przebiega z różną intensywnością i rozmaite są jego objawy. Było jednak oczywiste, że w przypadku Jimeny dojrzewanie nadeszło bardzo wcześnie i uderzyło z całym impetem. Kiedy zobaczyłam, jak siedzi ze słuchawkami w uszach i wygląda przez okno, poważna i zamyślona, przywołałam w myślach obraz gniewnej młodzieży z końca lat sześćdziesiątych, która wierzyła, że zmieni świat. Nie wiem, czy Jimena chciała zmieniać planetę, czy też wystarczyłoby jej, gdyby mogła uciec daleko stąd i stracić z oczu wszystkich dorosłych, którzy w jej mniemaniu czynili jej życie nieznośnym. Czowała się niezrozumiana. I choć wiedziałam, jak zamartwia się nią Concha, jej widok mnie rozczulił. Jednak gdy zaczęła przeciwko wszystkiemu protestować, wzruszenie znikło i zamieniło się w niepowstrzymaną chęć posłania jej do diabła.

Concha mieszkała w niewielkiej willi na strzeżonym osiedlu, z ogrodem i basenem. W przeszłości bywałam tu bardzo często na grillach i rozmaitych uroczystościach. Pamiętam nawet kilka imprez sprzed narodzin dziewczynek, podczas których nieźle się urzneliśmy. Teraz willa była dokładnie tym, na co wyglądała: przytulnym rodzinnym domem, w którym królują dzieci, urządzonym z myślą o nich.

– Długo będziesz nosić tę maskę?

Odwróciłam się w fotelu. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Przedemną stała Jimena; nawet do mnie mówiła. Raczyła wyjść ze swojego pokoju i zaszczyścić rozmową kogoś spośród reszty śmiertelników.

– Zastanawiam się, czy nie zostawić jej sobie na zawsze – odpowiedziałam. – Trochę niewygodna, ale podobno mi w niej do twarzy.

– Ja się jej boję – powiedziała Aitana.

Concha wychyliła się zza drzwi wychodzących na ogród i krzyknęła:

– Aitano, natychmiast chodź się przebrać!

Dziewczynka ściszyła głos i powiedziała:

– Zdejmę kostium, żeby mama się nie denerwowała.

Weszła do domu, zostawiając mnie sam na sam z Jimeną. Było oczywiste, że Concha chciała, żebym porozmawiała w cztery oczy z jej najstarszą córką. Podobno praktycznie się ze sobą nie komunikowały.

Jimena miała na sobie szorty i króciutką bluzeczkę na ramiączkach. Podeszła do basenu, usiadła na brzegu i zanurzyła w wodzie bose stopy.

Nie byłam przygotowana na pogaduszki z trzynastoletnią dziewczyną, która nie okazywała chęci rozmowy ze mną. Naszła mnie ochota, żeby wepchnąć ją do wody, złapać za włosy i powiedzieć: „Jeżeli dalej będziesz rozgłaszać, że moja przyjaciółka jest złą matką i że chcesz mieszkać z ojcem, utopię cię i zostawię twoje zwłoki na słońcu, żeby małe zobaczyły, co może je spotkać, jeżeli pójdą w twoje ślady, zrozumiałaś?”.

Pomyślałam jednak, że to nie jest najlepsze podejście. Spróbuję innej metody. W końcu wiem, co znaczy być naburmuszoną nastolatką; w pewnym sensie w przeszłości sama byłam taką Jimeną.

– Masz chłopaka? – zapytałam.

– No co ty! – wykrzyknęła spłoszona, jakbym powiedziała coś nieprzyzwoitego.

– Chłopaka, szczególnego przyjaciela czy jak wy tam teraz mówicie – spróbowałam zrobić z tego normalną rzecz. – Ja w twoim wieku spotykałam się z kolegą z klasy. Nazywał się José Luis Padilla, nigdy tego nie zapomnę. Nie był specjalnie bystry, ale za to strasznie przystojny. To on pierwszy mnie pocałował i on pierwszy się do mnie dobierał.

– Jak miałaś dwanaście lat?

– Prawdę mówiąc, nigdy nie czułam się skrępowana, jeśli chodzi o chłopców. Już kiedy byłam małą dziewczynką, bardzo mi się podobali, nic na to nie poradzę. Moje koleżanki chciały bawić się lalkami albo skakać na skakance, a ja miałam ochotę przelizać się z klasowym przystojniakiem. Nie myśl, że od tamtej pory wiele się zmieniło.

Jimena spojrzała na mnie z zainteresowaniem i uśmiechnęła się. Poczułam się tak, jakbym zdobyła ośmiotysięcznik: wywołałam jej uśmiech.

– Mnie podoba się trochę J. Jest w czwartej liceum i zawsze przyjeżdża do szkoły na motorze.

– No tak, jeżeli ma własny motor i nazywa się J., nic dziwnego, że ci się podoba.

– Tak naprawdę nazywa się Jesús. On też nazywa mnie J.

– Widzę, że z was bratnie dusze. A tak na poważnie, chodzicie ze sobą?

Wzruszyła ramionami zawstydzona.

– J. spotykał się wcześniej z dziewczyną ze swojej klasy, ale w zeszłym miesiącu ją rzucił i powiedział, że chciałby chodzić ze mną.

– Byłby idiotą, gdyby tego nie zrobił.

– Jeżeli powiesz o tym mamie, więcej się do ciebie nie odezwę.

– Nie powiem. Obiecuję.

Uznałam, że to dobry moment, by porozmawiać o Conchy – Jimena sama o niej wspomniała. Spojrzałam na jej drobne ciało, na stopy poruszające się w wodzie. Nieraz trzymałam tę dziewczynkę na rękach, kiedy była niemowlęciem, nie tak dawno temu, a teraz rozmawiałyśmy o J. i o lizaniu. Zalała mnie fala niespodziewanej nostalgii, a w takim stanie zwykle gadam głupoty.

– Masz przed sobą całe życie, nie rób niczego, czego będziesz żałować.

Spojrzała na mnie zdezorientowana.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– Mam na myśli twoją matkę. Kocha cię. Uwielbia. Wy trzy jesteście całym jej życiem. Cholera, twoja matka to najlepszy człowiek, jakiego znam.

– Ciągle krzyczy, nie można z nią wytrzymać.

– Przechodzi ciężki okres. Wszystko to jest dla niej bardzo trudne, dla twoich sióstr także, no i oczywiście dla ciebie. Dlatego powinnyście trzymać się razem, być bliżej niż kiedykolwiek wcześniej. To bardzo ważne.

Pokręciła głową. Utknęłyśmy w martwym punkcie.

– Wiem, że tata źle się zachował. Ale ona też nie jest święta. Oboje ponoszą winę za to, co się stało. Wydaje mi się niesprawiedliwe, żeby tylko on za to płacił.

Dojrzałość jej rozumowania zbiła mnie z tropu. Nie spodziewałam się po niej podobnych refleksji.

– Nie możesz stawiać ich na równi. W żadnym wypadku – powiedziałam z powagą.

– Ty stoisz po stronie mamy. Nie widzisz tego, co zrobiła.

– A co takiego straszego zrobiła, jeśli wolno spytać?

– Zdradziła tatę z innym mężczyzną. Ja o wszystkim wiedziałam, ale nic nie mówiłam.

Rozmowa wymykała mi się spod kontroli. Jeżeli trzynastoletnia dziewczynka może pokonać mnie w bitwie na słowa, to znaczy, że już do niczego się nie nadaję. Miałam ochotę krzyknąć. Nie zdziwiło mnie, że Concha miała innych kochanków przed Alem. Wstrząsnęło mną to, że Jimena o wszystkim wiedziała, a jeszcze bardziej, że mówiła o tym w taki sposób.

Postanowiłam posunąć się krok dalej i zwrócić się do niej jak do dorosłej osoby. Zamierzałam wyłuszczyć jej, co naprawdę myślę. Podjęłam tę decyzję w jednej chwili. Nie byłam do końca pewna, czy to zadziała, ale chciałam spróbować.

– Posłuchaj mnie, proszę – powiedziałam możliwie najspokojniej. – Jestem pewna, że twoja matka popełniła wiele błędów, ale nie można tego porównywać. Wiesz dobrze, o czym mówię.

Jimena spojrzała na mnie prowokująco, jakby chciała mnie ostrzec, żebym nie szła dalej tą drogą. Za późno, już nie było odwrotu. Zamierzałam skonfrontować ją z rzeczywistością. Powiedzieć jej głośno prawdę. Żeby ją usłyszała. Potem niech się obrazi, zaprzeczy, przestanie się do mnie odzywać. Ale powinna jasno usłyszeć prawdę. Dość już było niedomówień.

– Otóż twój ojciec jest człowiekiem bardzo agresywnym. Kilkakrotnie uderzył mamę. Kiedy coś mu nie wychodziło, wyzywał się na niej, bił ją. Niejeden raz. Doskonale o tym wiesz. A to, moja droga, wszystko zmienia.

Wyjęła nogi z wody i wstała. Zagotowało się w niej. Pomyślałam, że mnie uderzy – nie ona pierwsza.

– Nie będziesz mi tłumaczyła, co wiem, a czego nie wiem – powiedziała.
– Za kogo ty się, kurde, uważasz?

– Wybacz, masz rację – opowiedziałam szybko. – Tylko że... martwię się, że powiesz sędzi coś, co potem obróci się przeciwko tobie.

– Ostrzegali mnie, że tak będzie – szepnęła. – Mówili mi, że będziesz próbowała mną manipulować i nastawiać mnie przeciwko niemu. Pamiętaj: nie pozwolę sobą sterować ani tobie, ani im, ani nikomu innemu. Wiem dobrze, czego chcę, i powiem sędzi to, na co będę miała ochotę.

– Kto cię ostrzegał? Co za oni?

– Myślałam, że jesteś inna, ale jesteś taka jak wszyscy – rzuciła zawiedziona. – Zresztą wszystko jedno, co powiem. I tak w końcu postawicie na swoim, nie licząc się z moim zdaniem, jak zwykle. Zostaw mnie w spokoju.

Szybko przeszła przez ogród, nie zatrzymując się nawet, żeby podnieść porzucone przy leżaku klapki. Zirytowana i pewna własnych racji, w kilka sekund pokonała bosą odległość dzielącą nas od domu i zniknęła w środku.

Możliwe, że ją straciłam. Możliwe, że ta rozmowa tylko utwierdziła ją w zamiarze, żeby prosić o przyznanie prawa do opieki ojcu. Trudno było mi to stwierdzić ze stuprocentową pewnością. Wierzyłam jednak, że moje słowa wykiełkują w jej sercu i że ostatecznie podejmie właściwą decyzję. Może nie dostanę nagrody jako najlepszy psycholog dziecięcy, ale się starałam.

Reszta wieczoru była straszna, przynajmniej dla mnie.

Zjadłyśmy kolację przed telewizorem. Dwie młodsze córki Conchy, Rosa i Aitana, za nic w świecie nie mogły opuścić ostatniego odcinka serialu o przemyślanych dziewczynkach, które ubierały się jak księżniczki i wyły jak idiotki za każdym razem, kiedy mijał je jakiś przystojniak. Jeżeli teraz dzieci oglądają takie rzeczy, jesteśmy skończeni, nie ma dla nas nadziei, rasa ludzka jest nieuchronnie skazana na wymarcie. Jakby tego było mało, słynne pizze okazały się daniem bogatym w tłuszcze i węglowodany, przywożonym do domu w pudełkach z wydrukowanym dużymi literami hasłem: „Prawdopodobnie najlepsza pizza na świecie”. Co do tego dziewczynki mnie nie okłamały.

Jimena nie pojawiła się przez resztę wieczoru. Krzyknęła ze swojego pokoju, że nie jest głodna. Concha zapytała mnie, co wydarzyło się przy basenie. Najwyraźniej pomysł, żeby nie wychodzić z pokoju nawet na kolację, stanowił nowość. Powiedziałam przyjaciółce, żeby się za bardzo nie

przejmowała, że Jimena pewnie wymienia wiadomości ze swoim chłopakiem. Concha wymownie uniosła brwi i zmieniła temat.

Wykończona po długim dniu zaprowadziła dwie młodsze dziewczynki do swojej sypialni, żeby położyć je spać, i sama przy nich zasnęła. Z progu zobaczyłam, że leżą we trzy w małżeńskim łóżu, przytulone, córki po obu stronach matki. Postanowiłam zgasić światło i nie budzić Conchy, nie było po co.

Zdecydowałam się wrócić do salonu, powoli przeszłam przedpokojem, podpierając się laską, która stała się moją nieodłączną towarzyszką. Z za zamkniętych drzwi pokoju Jimeny dobiegały jakieś dźwięki. Chciałam jej coś powiedzieć, może to był dobry moment, jednak uznałam, że na dziś wystarczy.

Usiadłam na kanapie. Nie wiedziałam za bardzo, co tu robię. Czułam się jak gość widmo. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego właściwie przyjaciółka tak nalegała na mój przyjazd. Może chciała oderwać mnie od mojej samotności. To podejrzenie zepsuło mi humor. Musiałam przekonać samą siebie, że jeśli tak było, to Concha nie robiła tego powodowana litością, ale w imię tak zwanej przyjaźni. Poczułam, że ból głowy, ta ciągła męka, która nigdy do końca nie ustępowała, stopniowo zaczyna się wzmacniać.

Może mogłam zadzwonić po taksówkę i wrócić do domu. Byłam jednak zmęczona, nie miałam na nic ochoty, nawet na witanie się z nieznanym kierowcą. Pastylki, które czekały na mnie w mieszkaniu, przecież nie uciekną, nie było po co się spieszyć. W końcu była to Sobota Chwały; mogłam przełamać rutynę, zrobić coś innego, nieoczekiwanego. Przez przeszklone drzwi w salonie zobaczyłam basen – niebieską, błyszczącą, przejrzystą wodę, na pewno zimną w środku nocy.

Wiedziałam doskonale, co mam zrobić.

Wyszłam do ogrodu i oparłam się o drzewo, stary dąb, który rósł w tym miejscu, odkąd sięgnę pamięcią. Powoli się rozebrałam, zdejmując ceremonialnie wszystkie części garderoby, aż zostałam kompletnie naga. Trwało to całą wieczność; cud, że przy okazji niczego sobie nie zламаłam. Potem podeszłam na skraj basenu i usiadłam. Pomacałam świeże rany; miałam ich całkiem sporo. Pomyślałam, że niektóre blizny pewnie nigdy nie znikną. Pochyliłam się, odbiłam rękami i opadłam na wodę.

Kontakt mojej nagiej skóry z wodą sprawił, że po ciele przeszedł mi dreszcz. Od ostatniego takiego przeżycia minęło kilka lat. Kąpanie się nago w świetle księżyca jest jedną z najprzyjemniejszych rzeczy w życiu; przypomniałam sobie o tym, gdy tylko zanurzyłam się w basenie.

To było niezrównane uczucie.

Pomyślałam, że jeżeli kiedyś znowu będę miała pieniądze, jeżeli któregoś dnia odbuduję swoje życie i podreperuję opłakany budżet – choć były na to raczej małe szanse – przeprowadzę się do domu z basenem. Nie musiałabym mieć swojego prywatnego basenu; wystarczyłoby, żebym mogła się zakradać do niego w nocy, znów łamiąc zasady. W tamtym momencie był to jedyny luksus, o jakim marzyłam.

Nie okłamałam Aitany, nie jestem dobrą pływaczką, nie zamierzałam zaliczyć kilku basenów ani przepłynąć pod wodą z jednego końca na drugi. Chciałam po prostu unosić się w wodzie, nic więcej. Kilka razy zanurzyłam głowę, trochę się popluskałam, po czym rozłożyłam ręce i odepchnęłam się lekko do tyłu. Nie wiem, jakie prawa fizyki umożliwiają ciału unoszenie się na powierzchni. Chyba ma to coś wspólnego z gęstością i ciężarem, jakoś tak, zresztą, czy to ważne? Leżałam na plecach, na golasa, dryfując spokojnie w basenie mojej przyjaciółki Conchy. Nic więcej się nie liczyło. Czułam, że mogłabym tak spędzić całą noc.

Nagle usłyszałam metaliczny dźwięk, jakby coś spadło na betonowy chodnik otaczający dom. Stałam na dnie i spojrzałam w stronę bocznych drzwi, skąd dobiegł hałas. Nic nie widziałam – ta część ogrodu tonęła w ciemnościach. Mrok rozjaśniało jedynie zapalone w salonie światło i małe lampki ledowe przy basenie.

– Concha? – zapytałam.

Nikt nie odpowiedział.

– Halo? Jimena? – pytałam dalej.

Cisza. Może dźwięk dobiegł z ulicy, nie z terenu wokół willi. Nie miałam pewności – od incydentu nie słyszałam na prawe ucho, poza tym w tamtej chwili byłam częściowo zanurzona w wodzie. Rozejrzałam się, zadając sobie pytanie, dlaczego, u licha, Concha nie ma psa. Pamiętałam jak przez mgłę, że kilka lat temu w ogrodzie czekał ogromny bernardyn. Nagle wydało mi się straszną głupotą mieszkanie w takim domu bez wytresowanego psa, na

wypadek gdyby ktoś obcy miał ochotę się zakraść. Gdzie ty masz głowę, Concho? Jak tylko wyjdę z wody, obudzę przyjaciółkę i przekonam ją, żeby następnego dnia kupiła sobie jakieś psisko.

Dopłynęłam do brzegu basenu. Pomyślałam, że lepiej wyjdę już z wody. Może to nie był jednak dobry pomysł: rozbierać się do naga, zwłaszcza w moim stanie – w razie jakiegoś nieprzewidzianego wypadku nie mogłabym przecież puścić się biegiem. Uchwyciłam się betonowej krawędzi, wciąż zanurzona w wodzie. Kiedy już miałam sięgnąć drabinki, znowu usłyszałam hałas. Jakby ktoś pchał drzwi, które musiały znajdować się gdzieś z boku (nie mogłam ich sobie przypomnieć), i nie potrafił ich otworzyć. Tym razem nie miałam wątpliwości: dźwięk dobiegał od strony willi, nie z ulicy.

Przyznam bez wstydu: wystraszyłam się. W mojej głowie natychmiast pojawiły się czarne myśli. Wyobraziłam sobie, że to Felipe wchodzi do domu, korzystając z tego, że Concha i dziewczynki już śpią. Nie wie, że natknie się na mnie; może krążył w pobliżu, może tej nocy postanowił posunąć się o krok dalej. To było szaleństwo. Gdyby przyłapano go na czymś takim, byłby skończony, zaprzepaściłby swoje szanse, ale ten nędznik na pewno miał poczucie bezkarności. Nie przychodził mi do głowy nikt inny.

Mocno oburącz chwyciłam drabinkę; poczułam dotyk metalu, nagle woda stała się dużo zimniejsza.

Ktoś bez pozwolenia wszedł na teren posiadłości. Spojrzałam zrozpaczona w stronę drzewa, pod którym się rozebrałam. Była tam też moja laska. Miałam nadzieję, że jeżeli uda mi się po nią sięgnąć, zdołam stawić czoło intruzowi. O ile dobrze pamiętałam, telefon został na stoliku w salonie – zbyt daleko. Szanse, że uda mi się zadzwonić na policję, były niewielkie.

– Jest tu ktoś? – zapytałam, zbierając się na odwagę.

Hałasy przy drzwiach ucichły. Nie wiem, czy odzywianie się w tej sytuacji było inteligentnym posunięciem. Jeżeli drań nie wiedział, że jestem w basenie, teraz mnie namierzył. Może to nie był Felipe, tylko zwykły złodziej, włamywacz, który wykorzystuje ferie wielkanocne czy wakacje, żeby zakradać się do cudzych domów. A może wcale nie przyszedł tu z powodu domu czy Conchy. Właśnie. To był napastnik z garażu, wrócił, żeby mnie dobić. Nie ma co, wybrał doskonały moment.

– Skończmy z tym raz na zawsze – powiedziałam prowokująco. – Kto tam

jest, do cholery?

Intruz zrobił kilka kroków, stanął za rogiem domu. Zobaczyłam w mroku jego stopy odbijające się w przeszklonych drzwiach salonu.

Nie, nie miałam urojeń. Kilka metrów ode mnie stał jakiś typ, zakradł się do domu i mnie obserwował. Z miejsca, w którym się znajdowałam, widziałam tylko jego buty: wyglądały na stare brązowe mokasyny, częściowo zasłonięte szarymi nogawkami, chociaż nie miałam pewności. W takim razie nie mógł to być Felipe.

Spojrzałam w stronę salonu. Miałam nadzieję, że Jimena nie pojawi się akurat teraz. Jeżeli ten gość szukał ofiary, niechbym była nią ja. Mój mózg pracował na pełnych obrotach: krzyknąć, wezwać pomoc? Albo lepiej nie. Zaczekam, aż podejdzie, jeżeli miał taki zamiar. Otóż to: złapię go za szyję i wrzucę do wody, będę wrzeszczeć na całe gardło, wbiję w niego paznokcie, zęby, tym razem nie pójdzie mu tak łatwo jak wtedy w garażu. Cokolwiek się stanie, będę walczyć. Nie zamierzałam ułatwiać mu sprawy. Wyobraziłam sobie basen pełen wymieszanej krwi, jego i mojej, policję spisującą zeznania kilka godzin później i wyciągającą z wody nasze nieruchome ciała. Jeżeli będzie trzeba, skończę z nim tej nocy. Wczepię się w niego z taką desperacją, że nie zdoła się ode mnie uwolnić. Chociaż strach nie zniknął, kiedy podjęłam tę decyzję, poczułam się silniejsza.

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć – powiedział swoim charakterystycznym głosem, ukryty pośród nocnych cieni.

Podszedł do przeszklonych drzwi, żebym go mogła zobaczyć. Nie musiał tego robić. Kiedy tylko wypowiedział pierwsze słowo, od razu go poznałam.

– Mówiłam, żebyś więcej mnie nie szukał – odparłam rozwścieczona. Miałam ochotę rozwalić mu łeb, choć jednocześnie poczułam, że opada ze mnie napięcie.

– Ta dziewczyna, Polka, powiedziała, że pojechałaś do Conchy – usprawiedliwił się.

Ramiro zrobił kolejny krok w stronę basenu.

– Nie waż się podchodzić! Stój! – ostrzegłam. – Po co przyszedłeś do mnie do domu? Po co rozmawiałeś z Heleną? I po cholere wchodzisz w środku nocy do cudzego domu nieproszony? Wezwę policję.

– Przyszedłem do ciebie, bo chciałem ci coś przekazać. Rozmawiałem z Heleną – nie wiedziałem, że tak się nazywa – to ona odezwała się przez domofon i sama mi powiedziała, że pojechałaś do Conchy; o nic jej nie pytałem. A wszedłem bez dzwonienia, ponieważ furtka nie była zamknięta i ponieważ kiedyś tak często wchodziłem do tego domu bez dzwonienia, że uznałem to za naturalne – odpowiedział jednym tchem. – Jeśli chodzi o policję, oczywiście masz prawo ją wezwać; mogę podać ci nazwisko sierżanta, który ma dziś dyżur.

Zachowywał się jak nawiedzony. Chociaż zżerała go choroba, chociaż wyglądał jak żywy trup, nadal uważał, że ma prawo robić to, na co ma ochotę.

– Przeprosiłem cię – podkreślił. – Przysięgam, że nie chciałem nikogo wystraszyć. Nie to było moim zamiarem.

– A co było twoim zamiarem, jeśli można wiedzieć? – zapytałam.

Odetchnął głęboko i wyjął coś z tylnej kieszeni spodni. Rzeczywiście zostały z niego skóra i kości. Podał mi złożoną kartkę.

– Pomóc ci wygrać proces przeciwko Gran Castilli – powiedział. – To jest moim zamiarem.

Siedziałam owinięta kocem na kanapie w salonie i spoglądałam nieufnie na mojego pierwszego byłego męża. Rozłożyłam kartkę, którą mi podał. Było to ksero strony z gazety sprzed kilku lat. Nagłówek głosił: „Miguel Ortiz, znany przedsiębiorca, bohater madryckich nocy, ginie w wieku trzydziestu dwóch lat”. W życiu nie słyszałam o żadnym Ortizie.

– Skoczył z ósmego piętra – powiedział Ramiro.

– Bardzo mi przykro – odparłam, otulając się szczelniej kocem.

– Śledztwo prowadził mój kolega z wydziału – wyjaśnił. – Podobno brali pod uwagę kilka hipotez. Nieprzyjemna sprawa. Kiedy wyskoczył, w mieszkaniu były żona i dzieci. Rodzina spokojnie jadła obiad w salonie, a on wyszedł na taras i rzucił się w dół. Złamał kręgosłup i zginął na miejscu. Żona zorientowała się dopiero kilka minut później. Przy włączonym głośno telewizorze nic nie słyszeli, także krzyku sąsiadów. Nieszczęsna kobieta wołała go przez dłuższą chwilę; kto wie, może złościła się, że nie odpowiada. Nie podejrzewała, że mąż leży osiem pięter niżej, rozpląszczony na asfalcie. Śledztwo szybko wykluczyło inne możliwości: facet ewidentnie popełnił samobójstwo. Podobno cierpiał na depresję i był w trakcie terapii.

Moja cierpliwość się kończyła. Nie miałam powodów, żeby rozmawiać z Ramirem. Słuchałam go, ale myślałam tylko o tym, że mam przed sobą człowieka, który zniszczył mi życie, a raczej mam przed sobą to, co z niego zostało. Walczyły we mnie różne uczucia: złość, niepokój, żal, strach, rozdrażnienie, a wśród nich wyróżniało się jedno, najbliższe smutkowi. Jak to możliwe, że złożyłam w ręce tego podłego egoisty całe moje życie, jak to możliwe, że w taki sposób zdradził wszystko, co wspólnie zbudowaliśmy? Ale przede wszystkim wiedziałam jedno: już nigdy nikomu nie zaufam, nigdy w nic nie uwierzę, i ta świadomość sprawiała mi ból, który zbierał się gdzieś w mojej piersi i mógł zaraz zamienić się we łzy. Tego tylko brakowało, żebym się przy nim rozpląkała; nie zamierzałam do tego

dopuścić. W rzeczywistości jestem strasznie płaczliwa, tyle że duszę w sobie łązy, płacząc rzadko, niemniej kiedy już odkręcę kran, nie sposób mnie powstrzymać. Spróbowałam skierować emocje na inny tor. Skupiłam się na płynącej z ust Ramira dramatycznej historii Ortiza.

– Tym, co naprawdę zniszczyło życie tego człowieka – powiedział, kończąc swoją opowieść – był hazard. Siedział po uszy w długach, stracił wszystko w kasynie i dalej grał na kredyt, zwłaszcza w ruletkę i blackjacka.

Teraz, owszem, przyciągnął moją uwagę.

– Kasyno w Robredo groziło Ortizowi. W raporcie wspomniano o naciskach ze strony grupy Santonjy, ale ta linia śledztwa została porzucona wraz z wieloma innymi mętными kwestiami związanymi z życiem osobistym i zawodowym młodego przedsiębiorcy.

– Dlaczego nie sprawdzono dokładnie tych pogrózek?

– Nie wiem. Najwidoczniej nikt nie był zainteresowany zbadaniem tej ścieżki. Poza tym rodzina chciała jak najszybciej zamknąć sprawę. Jego rodzice zmarli kilka lat wcześniej, a teściowie to gorliwi katolicy, ludzie bardzo bogaci, właściciele kilku fabryk tytoniu na Teneryfie i w Las Palmas; nie chcieli wiedzieć nic więcej. Zabrali młodą wdowę i wnuki do siebie, daleko od Madrytu. Nikt nie zgłosił przestępstwa, policja pewnie umorzyła postępowanie: facet doprowadził się do ruiny hazardem, a potem wyskoczył z okna, koniec, kropka.

Zerknęłam na artykuł z gazety. Nie wspominał o samobójstwie; ograniczał się do wyliczenia sukcesów zawodowych Ortiza, wymieniał kultowe lokale i restauracje, w których udało mu się zgromadzić doborowe towarzystwo, od aktorów, piosenkarzy i piłkarzy po polityków i wielkich przedsiębiorców. Podawał też kilka szczegółów dotyczących jego miłosnych podbojów, zanim poślubił najmłodszą córkę znanej kanaryjskiej rodziny związanej z przemysłem tytoniowym. Obok widniało niewyraźne zdjęcie przedstawiające przystojnego chłopaka o długich włosach i wyrazistych oczach w białej koszuli z kilkoma rozpiętymi guzikami i z uśmiechem zdobywcy świata. Pod spodem można było przeczytać: „Miguel Ortiz podczas inauguracji sali bankietowej Romanella”.

– Co mam z tym zrobić? – zapytałam poirytowana. Nie w smak mi było, że to właśnie Ramiro dostarczył mi tę informację.

– Jeśli chcesz, mogę się trochę rozejrzeć. Jeżeli to rzeczywiście to, na co wygląda, może ci się przydać. Mogłabyś wykazać, że Gran Castilla łamała prawo, postępując według określonego wzorca, wykorzystać to jako dowód. Czy ja wiem, w końcu to ty jesteś prawniczką. No, a skoro istnieje precedens, najprawdopodobniej są też inne podobne przypadki. Mógłbym potrząsnąć trochę drzewem: a nuż spadnie więcej zgniłych owoców.

– Nie chcę, żebyś czymś potrzasał ani żebyś się rozglądał. Mam własny zespół. Przekażę tę sprawę M. Może uda mu się coś wyjaśnić.

– Z całym szacunkiem, twój zespół nie dorasta mi do pięt.

– Możliwe, ale ja widzę kilka dodatkowych problemów – powiedziałam, składając starannie kartkę. – Po pierwsze, nie pracujesz już w policji i o ile wiem, nie cieszysz się specjalną sympatią dawnych kolegów. Przypominam ci, że zdradziłeś nie tylko mnie; sprzedałeś masę ludzi. Po drugie, umierasz, ledwo się trzymasz na nogach, w każdej chwili możesz pójść do piachu. To nie są najlepsze warunki, żeby prowadzić śledztwo. W każdym razie trudno ci będzie pozostać niezauważonym. I wreszcie po trzecie, może mnie nie zrozumiałeś, ale ja nie chcę cię widzieć ani słyszeć, nie chcę nic o tobie wiedzieć. Teraz słucham cię wyłącznie z myślą o moich klientach, to wszystko.

Odniosłam wrażenie, że przez ostatnie dni worki pod oczami jeszcze mu się powiększyły, jakby zbliżająca się śmierć żłobiła mu na twarzy bruzdy. Pocił się, chociaż nie było gorąco, wręcz przeciwnie. Był to z pewnością efekt leków.

– Mogę ci pomóc – szepnął błagalnie.

– Dlaczego przynosisz mi to teraz, Ramiro? Skąd to wzięłeś? Kilka dni temu wyskoczyłeś z telenowelą o swojej chorobie, teraz zjawiasz się jako mój wybawca. Nie wierzę w przypadki, ty też nie. Co jest grane?

– Chociaż wyda ci się to dziwne, mam jeszcze kilku przyjaciół w policji, nie wszyscy mnie nienawidzą. Kiedy dowiedziałem się, że pozwałaś kasyno, wykonałem kilka telefonów i odgrzebałem sprawę Ortiza. Pamiętam, że swego czasu rozmawiano o niej na komisariacie. To wszystko. Powtarzam: jeżeli mi pozwolisz, mogę ci pomóc. Proszę.

– Ta rozmowa dobiegła końca – ucięłam, podnosząc się z wysiłkiem.

Koc opadł na kanapę, odsłaniając przyklejone do mojego ciała ubranie. Wyszłam już, ale sukienka przylgnęła do mnie niczym druga skóra.

Ramiro wstał także.

– Wcześniej patrzyłem – powiedział.

– O czym ty mówisz?

– Wcześniej, kiedy wyszłaś z basenu i kazałaś mi się odwrócić – wyjaśnił – nie zrobiłem tego tak do końca, musiałem na ciebie spojrzeć. Nagą. Byłem bliski zemdlenia. Z każdym dniem jesteś coraz piękniejsza. Kochałbym się z tobą tu i teraz, gdyby chemia nie zniszczyła mi wszystkiego tam na dole.

A to dobre. Ramiro pozostał podrywaczem, jakim był przed laty. Nie potrafił nad tym zapanować. W dobrych czasach nieraz widywał mnie nago. Jestem niemal pewna, że kiedy byliśmy razem, spędziliśmy więcej czasu nago niż ubrani. Nikt na świecie nie znał mnie tak dobrze, jeżeli chodzi o seks – i właściwie pod wieloma innymi względami. Sposób, w jaki mnie dotykał, to, co dzięki niemu czułam, utrata kontroli, jakiej doświadczałam w jego ramionach, kompulsywne, całkowite oddawanie się sobie nawzajem nie dadzą się porównać z niczym, co przeżyłam w innych związkach. Tak pozostanie na zawsze – nawet niszczycielskie zachowanie Ramira nie zdołało tego wymazać.

– Choćbyś był ostatnim mężczyzną na ziemi i choćby to było twoje ostatnie życzenie przed śmiercią, nigdy więcej mnie nie dotkniesz. Nigdy. Możesz być pewien. Ja już z tobą skończyłam. Znasz drogę do wyjścia.

Wskazałam mu drzwi laską. Przyznaję, że z przyjemnością wywijałam tym kawałkiem drewna oliwnego; służył mi nie tylko jako podpora, ale także jako swego rodzaju berło. Może i byłam kaleką, ale miałam swoją laskę.

– Bydlak Ramiro Sare w moim domu! – wykrzyknął z piętra czyjś głos.

Zobaczyliśmy zaspaną Conchę. Schodziła na dół, uśmiechając się sarkastycznie, zadowolona, że przyłapała nas w swoim salonie.

– Słyszałam, że wróciłeś – powiedziała moja przyjaciółka, podchodząc, żeby nas lepiej widzieć. – Szczerze mówiąc, wyglądasz paskudnie.

– Ramiro już wychodził – wtrąciłam.

– Przyszedłeś nacieszyć się, choćby tylko przez chwilę, tym, że jeszcze żyjemy? – zapytała go bez ceregieli.

– Ostrożnie z życzeniami, Concho Andújar, bo mogą się spełnić – odparł.
– Mógłbym zwalić się tu na podłogę i wyciągnąć kopyta. To kusząca perspektywa. Na ulicy nie czeka mnie nic ciekawego, nie tylko jestem jedną nogą w grobie, ale zostałem też bez grosza przy duszy.

– A to ci nowina. Zasłużyłeś sobie na coś znacznie gorszego – powiedziała, nie dając się speszyć. Potem zwróciła się do mnie: – Musi być z tobą gorzej, niż myślałam, skoro o północy zapraszasz do mojego domu tego typu.

– Sam się zaprosiłem – wtrącił Ramiro. – Powiedzmy, że wszedłem bez pukania. Swoją drogą powinniście bardziej uważać na furtkę: mógłby się tu dostać ktoś nieproszony.

– Właśnie widzę – mruknęła Concha, starając się ogarnąć sytuację. Spojrzała w stronę ogrodu i zobaczyła mokre ślady przy drzwiach. – Chyba nie pieprzyliście się w basenie...

– Gdybyśmy spróbowali, pewnie byśmy się utopili. Ramiro przyniósł mi prezent, przez wzgląd na dawne czasy. Dał mi go i czuje się teraz trochę lepiej, może nawet uważa, że zrekompensował częściowo wyrządzone mi kiedyś zło. Już wychodzi. Koniec historii – wyjaśniłam, obchodząc kanapę i wbijając łaskę w kosztowną drewnianą podłogę.

– Powiedz mi jedno – zwróciła się do mnie Concha. – Jak to możliwe, że ja i ty tak źle wybieramy mężczyzn? Cięży nad nami jakaś klątwa za to, co zrobiłyśmy w innym życiu? Czy po prostu kręcą nas łajdacy i dranie?

– Widzę, że jesteś w formie – stwierdził Ramiro. – Chyba rzeczywiście lepiej będzie, jak sobie pójdę.

– Najwyższa pora – uznała Concha. – Aha, i jeśli przyszyłoby ci do głowy wrócić, pamiętaj, że następnym razem, kiedy zobaczę cię w moim domu albo w domu mojej przyjaciółki, rozwalę ci głowę ciężkim przedmiotem. Nie żartuję.

– Będę miał to na uwadze – odparł Ramiro, po czym spojrzał na mnie. – Zmieniłem się, Ano. Nie jestem już tym samym człowiekiem.

Była to ostatnia rzecz, jaką powiedział. Wyszedł do ogrodu i zniknął w mroku, z którego wyłonił się wcześniej.

– Przyniósł mi informację o starej sprawie, w którą zamieszana była Gran

Castilla – wyjaśniłam Conchy. – Pewnie czuje, że ma wobec mnie dług. Sama nie wiem. Może zamierza znowu zastawić na mnie sieć albo po prostu chce umrzeć w spokoju – co mu się nie uda, niezależnie od tego, jak bardzo by się starał. Ciągnie się za nim taka zła karma, że nie wyczyści tego gówna, choćby poświęcił resztę życia na działalność charytatywną.

– Nie musisz mi się tłumaczyć – zapewniła, podchodząc do stojącego w kącie barku. – Napiłabym się czegoś. Chciałabyś też? Aha, i lepiej nie zaczynaj o swojej planowanej abstynencji. Obie wiemy, jak to wygląda.

– W kwestii obietnic dotyczących alkoholu i mężczyzn nie można mi ufać – powiedziałam. – Nalej mi to samo co sobie, wszystko jedno co.

Concha wyjęła butelkę rumu i napełniła dwie szerokie szklanki; płyn zbierał się powoli na podwójnym dnie. Znajomy dźwięk brzmiał pokrzepiająco.

– Mogłabyś pójść z Ramirem do łóżka po wszystkim, co się stało? – zapytała Concha. Nie spojrzała w moją stronę; nalewała rum.

– Mogłabym zrobić wiele rzeczy, które sprawiłyby mi ból i których natychmiast bym pożałowała, dobrze wiesz – odparłam. – Lepiej nie pytaj.

– Zmieńmy temat – powiedziała, odwracając się. – Co wydarzyło się między tobą a Jimeną? Od czasu waszej popołudniowej rozmowy stała się jeszcze bardziej zamknięta i mrukliwa niż zazwyczaj.

Sięgnęłam po szklankę i upiłam mały łyk. Poczułam w gardle intensywny, przyjemny smak.

– Pewnie wolałabyś tego nie usłyszeć – odparłam. – Powiedziałam twojej córce, że Felipe cię bił. Szczerze mówiąc, ona też wolałaby tego nie usłyszeć.

Concha w ułamku sekundy zmieniła się na twarzy.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Ktoś jej musiał powiedzieć. Nie jest już małą dziewczynką. Skoro zamierza wystąpić przeciwko tobie, musi wiedzieć, co się dzieje.

– Jesteś świetną prawniczką, nawet kiedy dajesz z siebie tylko trzydzieści procent – bo szacuję, że mniej więcej taka jest teraz twoja wydajność. Jesteś lepsza niż jakikolwiek inny prawnik, jakiego znam – powiedziała z powagą, odsuwając szklankę, której nawet nie podniosła do ust. – Ale nie masz pojęcia, jak wychowywać córkę. Nie igraj z Jimeną. Wiele wycierpiała

i cierpi nadal. Pod pewnymi względami jest już kobietą, pod innymi pozostała naiwną, bezbronną, podatną na wpływy dziewczynką. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje, jest znalezienie się w środku wojny między mną a ojcem. Chcę trzymać je z dala od tej sprawy, tego tylko pragnę. Od początku ci to powtarzam, ale widzę, że nie do końca mnie rozumiałaś.

– Wcale nie chcesz tylko tego. Chcesz znacznie więcej i masz do tego pełne prawo; po pierwsze, chcesz zatrzymać dziewczynki. Szanuję to i będę o to walczyć, już walczę. I nie mów mi, że powinnyśmy trzymać Jimenę z dala od sprawy, bo – bardzo mi przykro – ona siedzi już w niej po uszy. Może i nie rozumiem, co znaczy wychowywać córkę, ale wiem, że chcesz tego samego co olbrzymia większość matek: chronić ją, ukryć pod kloszem, żeby nie cierpiała. Obawiam się, że trochę na to za późno. Lepiej zacznij oswajać się z myślą, że ani teraz, ani w przyszłości nie uda ci się uchronić jej przed ciosami, jakie zada jej życie. Możesz najwyżej być przy niej i dać jej broń, żeby nauczyła się sama sobie radzić. Nie wypełniaj domu i tej rodziny milczeniem, kłamstwami, ukrywanym głęboko cierpieniem, o którym nikt nie ma odwagi wspominać. Zapewniam cię, że znam to doskonale. Nie rób tego.

Wahała się przez chwilę. Widać było, że bardzo dobrze mnie rozumiała. Mogłam nie mieć racji, ale wiedziałam, o czym mówię.

– Co mam zrobić?

– Opowiedz swojej najstarszej córce, co cię spotkało i co czujesz. Nie wyolbrzymiaj niczego, ale też nie ukrywaj. Nie widzisz, że Felipe liczy na twoje milczenie od dnia, kiedy pierwszy raz cię uderzył? Wiedział, że będzie ci wstyd, że na niego nie doniesiesz, a teraz wie, że nie powiesz o wszystkim Jimenie. Chociaż go tu nie ma, jego obecność, kurwa, wciąż jest nie do zniesienia. Nie pozwól mu postawić na swoim. Przysięgam ci, że nie będziesz sama.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Dasz – powiedziałam z przekonaniem. Znałam Conchę, wiedziałam, że znajdzie siły. – Widziałam, jak radzisz sobie ze znacznie trudniejszymi rzeczami. Może być ci ciężko, ale będziesz uczciwa wobec swojej córki, a przede wszystkim wobec siebie samej, nawet jeżeli będzie cię bolało, jeżeli nie będziesz umiała znaleźć słów.

– Niezłe szambo.

Wreszcie sięgnęła po szklankę i pociągnęła łyżeczek. Potem kolejny. I jeszcze jeden. Znowu te czerwone oczy, ta ponura mina. Dopiła rum i nalała sobie następną kolejkę.

– Cudownie byłoby się upić, ale to chyba nie jest najlepszy pomysł, skoro na gorze śpią dziewczynki – ostrzegłam. – Nigdy nie myślałam, że mogę powiedzieć coś takiego.

Zostawiłyśmy butelkę i wyszłyśmy na ganek. Przez ponad godzinę rozmawiałyśmy o Felipe i biciu. Concha powtórzyła mi to, co już wiedziałam o ich związku, dorzuciła też kilka nowych szczegółów. Była to swego rodzaju próba przed czekającą ją następnego dnia rozmową z Jimeną. Niemal cały czas czuła się nieswojo, opowiadając, ale pomogło jej to uporządkować myśli – w każdym razie tak mi powiedziała.

Rozmawiałyśmy też trochę o Alem, starając się odsunąć na bok rozgoryczenie, co oczywiście nie do końca nam się udało. Skupiłyśmy się na szczegółach ich spotkań, które wcześniej czy później mogły wyjść na jaw. Wszystko sprowadzało się do kilkunastu schadzek w różnych hotelach, niektórych nawet bez seksu. Concha twierdziła, że mój brat zachowywał się jak wariat, myślał wyłącznie o pieniądzach, które był winien. Potem opowiedziała mi o przygodzie z jednym z klientów (żonatym), z którym kilka lat temu miała przelotny romans. Skoro Jimena o nim wiedziała albo przynajmniej coś podejrzewała, fakt ten mógł dotrzeć do uszu Palmiry; należało być przygotowanym. Nie chciałam, żeby zaskoczono nas w sądzie.

O drugiej dwadzieścia pięć wsiadłam do taksówki, która podjechała pod bramę willi. Nie miałam ochoty zostawać na noc.

– Dokąd jedziemy, proszę pani? – zapytał kierowca z południowym akcentem.

Spojrzałam na niego przelotnie. Chłopak miał około trzydziestki: silny, starannie ogolony, duże ręce, długie baczki, zielone oczy, opalony. Przepadło. Wzięłam głęboki oddech, i dokonałam w myślach obliczeń: od niemal pół roku z nikim się nie bzykałam. Dzięki kąpieli w basenie i całej reszcie nawiązałam kontakt ze swoim ciałem, że się tak wyrażę.

Co mi tam, była Sobota Chwały, najlepszy dzień w roku.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu – odpowiedziałam – moglibyśmy zaparkować w jakimś ustronnym miejscu i trochę się pobzykać

w samochodzie.

Chłopak zaśmiał się nerwowo. Zmieszany spojrzał na mnie w lusterku.

– Mówię zupełnie poważnie.

Chociaż moje ciało nie było w stu procentach sprawne i wiedziałam, że trudno będzie mi zająć właściwą pozycję w samochodzie, byłam gotowa się poświęcić. Chłopak zmierzył mnie wzrokiem, najpierw zatrzymał się na przezroczystej masce przykrywającej mi twarz, potem zainteresował się moimi cyckami i nogami. W końcu wzruszył ramionami.

– Fajna maska – powiedział, przychyłając się do mojej propozycji.

Przysadzista kobieta pchnęła podwójne zielone drzwi i weszliśmy do sali o białych ścianach, z poduszkami na podłodze i wąskimi oknami, przez które wpadało wiosenne popołudniowe światło. Nigdy wcześniej nie byłam w takim miejscu.

– Zaraz przyjdzie reszta – powiedziała i zostawiła nas w środku, zamykając drzwi.

Ginés przeciągnął palcami po bujnych siwych włosach i spojrzał w moją stronę.

– Co teraz? – zapytał.

Spojrzałam na prokuratora: miał świetne włosy jak na faceta w jego wieku. Nie żebym miała coś przeciwko łysym – mówiłam już, że nie pociąga mnie żaden konkretny typ mężczyzn – ale przyznam, że gęsta czupryna, w której można zanurzyć palce, z miejsca budzi moje zainteresowanie. Ginés Iglesias musiał mieć około siedemdziesiątki i poza siwymi włosami nic mnie w nim nie kręciło. Był ślamazarny, mrukliwy, służalczy.

– Możemy poczekać – odpowiedziałam.

Podeszłam do ściany, oparłam się o nią plecami i osunęłam na dużą, miękką poduszkę w kolorze bordo. Moja noga podziękowała mi za tę chwilę wytchnienia; nie nadawała się do dreptania, a tym bardziej do stania w miejscu.

Ginés wyjrzał przez okno. Ze swojego miejsca widziałam duży zewnętrzny dziedziniec ograniczony horyzontem, nad którym zaczynało się błękitne niebo; w zasięgu wzroku nie było nawet jednej chmurki. Prokurator spojrzał na zegarek. Czuł się nieswojo. Z trudem namówiłam go, żeby mi towarzyszył. Próbowałam przeciągnąć go na swoją stronę i przekonać, że powinniśmy trzymać się razem, a przy okazji liczyłam na to, że wstrząsnę jego sumieniem, kiedy będziemy poznawać ten świat. Czytanie statystyk to co innego niż oglądanie na własne oczy, co hazard robi z normalnymi

ludźmi.

Postępowanie przygotowawcze toczyło się swoim rytmem. Tego ranka Huarte kazała nam zakasać rękawy i przyspieszyć przesłuchiwanie świadków. Włączyło się towarzystwo ubezpieczeniowe; jego adwokat okazał się czarującym gościem. Stwierdził, że sympatyzuje z nami, choć stoi po przeciwnej stronie. Powtórzył to kilka razy przy wszystkich, jakby nie chciał, żeby ktoś zakwestionował jego poziom moralności albo – co bardziej prawdopodobne – spodziewał się, że dzięki temu stracimy czujność i damy się zaskoczyć. Sprawą kluczową, trzymającą nas wciąż w niepewności, była ekspertyza nagrań zlecona przez sędziego niezależnemu ponoć specjalście; mieliśmy poznać jego nazwisko dopiero w momencie przedłożenia opinii. Przy tym wszystkim prokuratura – zarówno Ginés, jak i jego pomocnica, smutna Adela – trzymali się z boku, jakby byli widzami, a nie aktywną stroną postępowania.

Może nie dopisało mi szczęście podczas mojego powrotu do sądu. Doskonale pamiętałam, że w dawnych czasach w bataliach sądowych dużego kalibru pomagali mi znakomici prokuratorzy, którzy przejmowali inicjatywę i byli prawdziwym postrachem dla oskarżonych. Może to wymierający gatunek, może zostali już sami prawnicy bez polotu, aspirujący wyłącznie do tego, by zachować stanowisko albo powoli wspinać się po szczeblach urzędniczej kariery, bez wzlotów i upadków, a potem trzymać się jej kurczowo. Nie miałam ani uprawnień, ani realnych możliwości, by wnioskować o zmianę prokuratora. Gdybym poprosiła o to bez uzasadnionego powodu, tylko bym sobie zaszkodziła. Dlatego właśnie byłam tu, gdzie byłam, zabiegając o to, żeby Ginés Iglesias wreszcie zareagował, żeby dołożył swoją cegiełkę albo żeby przynajmniej jego serce – nie tylko głowa – zrozumiało, z czym i z kim się mierzymy.

Minęło kilka minut milczącego oczekiwania i podwójne drzwi znowu się otworzyły. Do sali weszło dwóch młodych chłopaków, na oko niespełna dwudziestoletnich. Jeden z nich, chudy i przyszczaty, powitał mnie skinieniem głowy, drugi ani na moment nie oderwał wzroku od podłogi. Usiedli na leżących pod ścianą poduszkach. Ginés zmierzył ich wzrokiem, jakby oglądał nieznanne sobie zwierzęta dziwnego gatunku. Chłopak, który mnie pozdrowił, siedział nieruchomo, oparty plecami o ścianę, z wyprostowaną głową i wzrokiem utkwionym w dali. Jego towarzysz sprawdzał coś w komórce,

świadom, że go obserwujemy. Wyglądał na skrępowanego, choć nic szczególnego nie powiedział ani nie zrobił.

Następnie do sali weszła kobieta w średnim wieku, która dopełniła tego samego rytuału: wydała z siebie niezrozumiały dźwięk, mający oznaczać powitanie, i usiadła na jednej z poduszek. Zaczęła szukać czegoś w torbie, czyniąc przy tym hałas, który przerwał krępującą ciszę. Prokurator zrozumiał, że to część obowiązującego protokołu, i również zajął miejsce. Oparł ręce na zgiętych kolanach, starając się, by jego nienaganny garnitur nie dotykał podłogi – było oczywiste, że nie wytrzyma długo w tej niewygodnej pozycji. Nie należał do ludzi, którzy siadają na podłodze.

Na honorowym miejscu wisiał biały zegar. Do tego stopnia zlewał się ze ścianą, że odkryłam go dopiero po dłuższej chwili, a potem już nie mogłam oderwać od niego oczu. Dokładnie za minutę siódma sala była wypełniona ludźmi w różnym wieku, przeważali młodzi mężczyźni w nieformalnych strojach, większość w dżinsach i T-shirtach. Razem czternaście osób, nie licząc naszej dwójki. Wszyscy siedzieli w milczeniu, oparci o ścianę, tworząc koło przerwane dokładnie pod zegarem, gdzie leżały dwie wolne czerwone poduszki, może nieco większe niż pozostałe. Nikt nie wydawał się zdziwiony czy zakłopotany z powodu obecności dwójki obcych, nikt nie rzucił żadnej uwagi ani o nic nas nie zapytał.

Wreszcie w drzwiach pojawił się Gabriel Brandariz ze swoim nieodłącznym kucykiem, a za nim starszy facet około pięćdziesiątki w szerokim, wygodnym ciemnym ubraniu i z dwiema skórzanymi bransoletkami na nadgarstku.

– Dobry wieczór – powiedział Gabriel, przechodząc przez salę.

Obecni odpowiedzieli na powitanie uprzejmie, choć niezbyt wylewnie, raczej monosylabami, w związku z czym ja i Ginés również się przywitaliśmy. Brandariz i jego towarzysz usiedli na dwóch czerwonych poduszkach, które najwidoczniej na nich czekały. Gabriel rozejrzał się po sali, po czym otworzył sesję – o ile można to tak nazwać.

– Jak wiecie – rozpoczął – towarzyszy nam dziś dwójka gości. Ana i Ginés poprosili o możliwość uczestniczenia w spotkaniu w charakterze słuchaczy; oczywiście nie będą zabierać głosu. Są prawnikami, prowadzą sprawę karną przeciwko dużemu operatorowi gier hazardowych, tylko tyle

mogę wam powiedzieć. Zaakceptowali fakt, że wszystko, co zostanie powiedziane na tym spotkaniu, jest całkowicie poufne, i w żadnym razie nie powtórzą ani nie wykorzystają niczego, co tu usłyszą.

– Po co tutaj są? – zapytała młodziutka dziewczyna, nerwowo dotykając zebranych w warkocz włosów.

– Może sami odpowiedzą na to pytanie – odparł Gabriel z właściwą dla siebie uprzejmością. – To, że są tu jako słuchacze, nie oznacza, że są niemi.

Wszystkie oczy wpatrywały się teraz na przemian w Ginesa i we mnie. Ponieważ przyszliśmy tutaj z mojej inicjatywy, uznałam, że to ja powinnam odpowiedzieć.

– Przede wszystkim dziękuję, że pozwoliliście nam na jeden dzień wtargnąć na wasz teren – zaczęłam, pilnując się, żeby nie pałać jakiegoś głupstwa. Byłam gościem, miałam tylko patrzeć, słuchać i milczeć. – Reprezentuję rodzinę człowieka, który popadł w ruinę z powodu hazardu i odebrał sobie życie. Pomyślałam, że może uda mi się trochę lepiej go zrozumieć, jeśli was posłucham. Jestem wam szczerze wdzięczna, naprawdę.

Wszystkie spojrzenia skupiły się na Ginesie; nie wyglądało na to, żeby miał ochotę cokolwiek wyjaśniać.

– Ja również bardzo dziękuję – powiedział.

– Pomyśleliśmy – wtrącił facet siedzący pod zegarem obok Gabriela i przyglądający się zebranym – że dziś moglibyśmy pominąć inne formy dynamiki grupowej i oddać to spotkanie wam, poświęcić czas na rozmowę o tym, jak się czujecie, jak wam szło w ciągu ostatniego tygodnia, co tylko chcecie.

Niektórzy z obecnych skinęli na znak zgody, ale nikt nie zabrał głosu. Kilka osób spuściło wzrok, inne zaczęły patrzeć w okna albo na ściany. Tylko Gabriel starał się nawiązać kontakt wzrokowy z pozostałymi. Jego twarz wyrażała zrozumienie i zachętę do dialogu.

– Ja też wam dziękuję za zainteresowanie, Ano i Ginesie – wtrącił się znów mężczyzna ze skórzanymi bransoletkami. – Witajcie, mam na imię Saúl.

Aby nie zakłócić chwiejnej harmonii, ani ja, ani prokurator więcej się nie odezwaliśmy. Uznałam, że przynajmniej raz powinnam stać się niewidzialna,

choć doskonale wiedziałam, że to niemożliwe (zwłaszcza z moją maską), że nasza obecność bardzo zebranych ciąży. Powróciły milczenie i uciekające, pełne skrępowania spojrzenia. Może było tak zawsze, może cisza była tu na porządku dziennym. Skąd mogłam wiedzieć. Brandariz poinformował mnie tylko, że spotykają się raz w tygodniu i że jest to zamknięta grupa: zawsze przychodzą te same osoby, czternastka, przez cały kurs – od września do czerwca – chyba że ktoś się wypisze.

Przez ostatnie tygodnie utrzymywałam kontakty z ludźmi z Almy. Nie zamierzali udostępnić mi jakichkolwiek informacji o Alejandrze i nie miało sensu na nich naciskać. Byli aroganccy i nieco napuszeni, ale należeli do nielicznych osób, które zrobiły coś, żeby pomóc mojemu bratu i wielu innym podopiecznym znajdującym się w podobnej sytuacji. Można powiedzieć, że stali po naszej stronie. Pod kilkoma rygorystycznymi warunkami (żadnego nagrywania ani notowania, żadnych nazwisk i oczywiście żadnego wykorzystywania tego, co zostanie powiedziane) Brandariz zgodził się, żebyśmy wzięli udział w jednej z prowadzonych przez niego terapii grupowych.

Cisza trwała jeszcze kilka minut. Spojrzałam na zegar. Dochodziła dziewiętnasta dziesiąta; długa cienka wskazówka sekundnika przesuwała się nieubłaganie, wydawało się, jakby była jedyną rzeczą, która się w tej sali porusza. Każda sekunda wydawała mi się wiecznością. Dyskretnie pomasaowałam sobie nogę; zaczęła mnie pobolewać. Pozycja, w której siedziałam, nie była dla mnie najwygodniejsza, nie wiedziałam, jak długo tak wytrzymam. Upewniłam się, że mam przy sobie laskę – chciałam mieć ją pod ręką, żeby nie musieć prosić o pomoc, kiedy postanowię się podnieść.

Rozejrzałam się. Nie wyglądało na to, żeby ktoś miał zabrać głos. Czyli co, nikt nic nie powie? Na tym polegają te spotkania? Przez dwie godziny siedzimy w milczeniu z ponurymi minami, a potem do domu? Przypomniałam sobie, że wśród obietnic, których nie dotrzymałam, była wizyta u terapeutki polecanej mi przez Conchę, ponoć wybitnej specjalistki. Pomyślałam, że gdybym się kiedyś zdecydowała, mówiłabym bez przerwy, miałabym do powiedzenia mnóstwo rzeczy, nie zapłaciłabym kupy forsy obcej osobie tylko po to, żeby siedzieć bez słowa z założonymi rękami. Wymieniłam spojrzenia z prokuratorem, który zdawał się niecierpliwie jeszcze bardziej niż ja. Jego mina wyraźnie wskazywała, że chciałby stąd

uciec. Nie mogłam mieć do niego pretensji. Na razie największym wydarzeniem spotkania było to, że kilku nieznanym podrapało się po karku, zaświadczyając tym samym o swoim bogatym życiu wewnętrznym. Nie dali natomiast żadnych oznak tego drugiego, zewnętrznego.

Podniosłam wzrok na zegar: dziewiętnasta dwanaście. Obiecałam sobie, że jeśli do dziewiętnastej piętnaście sytuacja nie ulegnie zmianie, zbiorę się na odwagę i wstanę. Może wtedy ktoś się obudzi.

Nie zaszła taka potrzeba. Chudzielec z krostami na twarzy, który wszedł pierwszy do sali, powiedział niespodziewanie:

– W niedzielę były moje urodziny. Skończyłem osiemnaście lat.

Z kilku stron odezwało się nieśmiałe, niezbyt entuzjastyczne „wszystkiego najlepszego”. Chłopak ciągnął dalej:

– Nie mogłem się doczekać, aż będę pełnoletni; skończyłem osiemnaście lat jako ostatni z grupy przyjaciół. Przygotowali dla mnie niespodziankę; wiedzieli, że zawsze lubiłem karty i inne gry... Zarezerwowali w kasynie stół na kolację. Oczywiście nie mając pojęcia o moich problemach z hazardem. Pomyślałem, że nie pójdę, że jakoś się wykręcę, ale chyba od dawna to planowali, nie chciałem psuć im zabawy, a poza tym ja już nie... Od pięciu miesięcy nie gram, więc powiedziałem sobie, że spokojnie mogę iść do tego czy innego kasyna. Umówiliśmy się na dziewiątą. Przez cały dzień byłem bardzo niespokojny... Możecie sobie wyobrazić, jak się poczułem, kiedy stanąłem przed drzwiami kasyna.

Chłopak przerwał, drżały mu dłonie. Powiedział, że nie gra od pięciu miesięcy, a przecież był jeszcze dzieckiem. Poczulał nieuniknione ukłucie w piersi: ile pieniędzy stracił, zanim przestał grać? Skąd je brał? Wyglądał na dziecko z dobrej rodziny. Miałam ochotę zadać mu mnóstwo pytań, ale byłam tu w charakterze słuchaczki.

– Co dokładnie poczułeś, kiedy stanąłeś pod drzwiami? – zapytał Saúl.

– Poczulałem się źle.

– Tak, ale nie chodzi o to, czy czułeś się źle czy dobrze, tylko co czułeś? Wściekłość, ból, smutek? Spróbuj opisać swoje uczucia, to ci pomoże.

Widać było, że chłopak stara się znaleźć właściwe słowa, a także że ma zaufanie do Saula i reszty.

– Najpierw byłem zły, wkurzyłem się, kiedy zobaczyłem te wszystkie powitalne neony na szosie. Miałem ochotę w coś walnąć, rzucić kamieniem w ten pieprzony szyld, przypomniałem sobie strony internetowe kasyn, na które tyle razy wchodziłem... Ale później złość zamieniła się w żal, zrobiło mi się żal wszystkiego.

– Czego?

– Nie wiem, ludzi, którzy wchodziłi do środka, moich przyjaciół, którzy nie mieli pojęcia, co się ze mną dzieje... Mnie samego, tego, że byłem w takim stanie, że przegrałem tyle pieniędzy, że okłamywałem osoby, które mnie kochają, że okradałem rodziców... Nagle zacząłem tego wszystkiego żałować... No właśnie, żałowałem samego siebie, nie innych... Poczulem też do siebie wstręt.

– Co zrobiłeś potem?

Chłopak podniósł wzrok, oblizał wargi. Zaszło mu w gardle.

– Mimo wszystko wszedłem. Nie miałem ochoty tłumaczyć się kolegom... Przy wejściu trzeba było pokazać dowód osobisty i zapłacić trzy euro za wstęp. Jakaś ładna dziewczyna powiedziała mi, że nie muszę płacić, bo to moje urodziny. Zajebicie.

Przypomniałam sobie fabrykę ginu, o której pewnego wieczoru opowiadał mi Moncada. Potrafiłam wejść w skórę tego chłopca, potrafiłam zrozumieć, co przeżywał.

– W środku zobaczyłem wielką salę z ruletkami i automatami, mnóstwo tłoczących się ludzi – ciągnął. – Podeszliśmy do baru, skąd widać było tablice informujące o nagrodach w gotówce. Moi przyjaciele zamówili kilka piw i zaproponowali, żebyśmy złożyli się po dwadzieścia euro każdy i przed kolacją trochę pograli. Powiedziałem, że nie mam specjalnej ochoty, wolę się napić i powygłupiać. Drwili ze mnie, że jestem dusigroszem, chciałem na nich nakrzyczeć, powiedzieć im prosto w twarz, że nie mam przy sobie nawet jednego euro, że biorę udział w pieprzonej terapii odwykowej, która zabrania mi noszenia przy sobie gotówki i karty czy jakichkolwiek pieniędzy...

Znowu przerwał. Gabriel i Saúl wymienili spojrzenia.

– Powiedziałaś im?

Chłopak dotknął twarzy i pokręcił głową. Wyglądał tak, jakby miał za

chwilę wybuchnąć, walić pięściami w podłogę, w ścianę, a może nawet w kogoś z obecnych.

– Nie powiedziałem im też, że przez półtora roku grałem codziennie, przez internet, w punktach zakładów bukmacherskich i w każdym miejscu, w którym przymykano oko na mój wiek albo w którym mogłem oszukać, że jestem starszy. Nie przyznałem się, że okradałem rodziców, siostrę i wszystkich naokoło, nawet ich samych, tak że się nie zorientowali... Kurwa, patrzyłem na nich i przez cały czas myślałem: jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi, a nic o mnie nie wiecie.

– W końcu zagraliście?

– Uparli się, były moje urodziny, więc za mnie zapłacili, wszystko mi zafundowali... Poszli od razu do ruletki. Szanse proste, czerwone – czarne. Nawet nie zbliżyłem się do stołu; posiedziałem dłuższą chwilę w toalecie, żeby zyskać na czasie, kręciłem się sam po lokalu, odszedłem na bok pod pretekstem rozmowy przez telefon... To było straszne, to było...

Urwał nagle, jakby niespodziewanie coś sobie uświadomił, jakby w głowie zapaliło mu się jakieś światełko.

– Strasznie się męczyłem, przez cały czas miałem ochotę wyrwać im zetony i sam zagrać, jestem w tym dużo lepszy niż oni. To frajerzy, amatorzy, nie wiedzieli, co robią... A jednocześnie chciało mi się rzygać, daję słowo, czułem mdłości, kręciło mi się w głowie, miałem ochotę stamtąd uciec, ale brakowało mi odwagi...

– Dlaczego nie wyszedłeś?

– Bo bałem się, co pomyślą o mnie inni, bałem się ich pytań...

– Dlaczego jeszcze?

– Nie wiem.

– Z jakiego jeszcze powodu nie wyszedłeś? – nalegał terapeuta. – Nikt cię nie zmuszał, żebyś tam poszedł, tym bardziej żebyś został. Sam mówisz, że nie było to dla ciebie dobre, mogłeś przecież odejść pod byle pretekstem, doskonale wiesz, że mogłeś, jesteś inteligentny, coś byś wymyślił.

– No dobrze: zostałem, bo chciałem tam być! – wybuchnął. – Bo w głębi duszy, mimo wszystko, mimo całego tego gówna, przez które przeszedłem, podobało mi się, że mogę w każdej chwili zagrać! Bo miałem, kurwa, taką

ochotę! Zadowolony? To chciałeś usłyszeć?

Chłopak zaczął spazmatycznie szlochać i bełkotać niezrozumiałe słowa. Jakby ktoś odkręcił kurek.

– Chciałem grać... chciałem obstawiać... – mamrotał pośród łez.

Widok tego płaczącego dzieciaka ścisnął mi serce. Nie należę do osób, które publicznie okazują emocje, przyznaję jednak, że kosztowało mnie sporo wysiłku, żeby utrzymać je na wodzy w tej przeklętej sali. Nawet Ginés patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, zmieniony na twarzy, oszołomiony. Gabriel wychylił się lekko i rzucił chłopcu pudełko chusteczek. Ten złapał je i bez skrępowania wydmuchał nos. Kiedy się wysmarkał, Saúl powiedział:

– Już o tym rozmawialiśmy, ale warto przypomnieć. To kamień węgielny terapii. Najprawdopodobniej ochota, żeby zagrać, będzie ci towarzyszyć do końca życia, nigdy nie zniknie. Nie chodzi o to, żebyś nie miał ochoty grać, tylko o to, żebyś tego nie robił. Nie możesz zapanować nad swoimi pragnieniami, ale nad swoim zachowaniem owszem. Na tym polega różnica.

Mogłabym opowiedzieć temu facetowi co nieco o swoim popędzie do alkoholu, tabletek, a nawet seksu, na pewno miałby materiał na doktorat.

Głos zabrała jakaś kobieta około trzydziestki, zwracając się do chłopaka tonem, z którego przebijała ostrożność, ale też ciekawość:

– W końcu zagrałeś?

To było dobre pytanie. Gabriel odezwał się pierwszy.

– Wiesz, że nie musisz odpowiadać. Od ciebie zależy, co powiesz albo czego nie powiesz.

Chłopak odczekał chwilę. Przetarł chusteczką oczy i jeszcze raz wysmarkał nos.

– Byłem bliski zadzwonienia na dyżur – powiedział.

Brandariz wytłumaczył mi wcześniej, że mają telefon alarmowy czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę, pod który mogą dzwonić nie tylko pacjenci stowarzyszenia, lecz każdy, kto miałby taką potrzebę. Zawsze dyżurował tu psycholog, gotów udzielić natychmiastowego wsparcia. Zasady terapii nakazywały, aby osoby biorące w niej udział dzwoniły, kiedy poczują nieodpartą chęć gry. Przed obstawieniem zakładu miały wybrać ten numer

i nie rozłączać się przez co najmniej trzy minuty. Oczywiście niektórzy łamali te zasady, ale, jak powiedział mi Brandariz, dla wielu była to skuteczna zaporę przeciwpożarowa. Zadałam sobie pytanie, czy Ale kiedykolwiek z niej korzystał. Jeśli tak, najwyraźniej nie bardzo mu posłużyła.

– W końcu nie zagrałem. Byłem blisko, ale tego nie zrobiłem – podsumował chłopak, drapiąc się po pryszczatej twarzy.

Przez salę przebiegło westchnienie ulgi. Niektórzy nawet uśmiechnęli się z zadowoleniem. Pewnie nadzieja każdego z nich była nadzieją wszystkich. Płynęli na jednej łódce, lichej i przeciekającej, która dryfowała otoczona rekinami; każdy dzień, jaki udało się przeżyć, był dla całej grupy wielkim sukcesem.

– Jak się teraz czujesz? – zapytał Saúl.

– Trochę lepiej, dziękuję – odparł chłopak bez większego przekonania.

Resztę sesji wypełniły wypowiedzi nawiązujące do tego, co wyznał. Większość uczestników powstrzymywała się od komentarzy czy wyrażenia opinii i podawała podobne przykłady z własnego życia, starając się zrozumieć na podstawie konkretnych sytuacji, co można zrobić, żeby ponownie nie wpaść w nałóg. Ich pozbawiona ozdobników szczerłość, ich brak uprzedzeń i ich odwaga sprawiały, że jeżyły mi się włosy na głowie.

Jedną z ostatnich osób, które zabrały głos, był mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna, najstarszy z grupy. Wylewnie pogratulował chłopakowi odwagi, po czym przyznał, że on sam zagrał w ostatnim tygodniu, wyczyścił konto żony i w ciągu niespełna dziesięciu minut wydał ponad dwa tysiące euro w punkcie bukmacherskim w swoim bloku. Poskarżył się, że w mieście jest coraz więcej takich lokali, ale nie obarczał winą nikogo poza samym sobą. Z głębokim, przejmującym smutkiem opowiedział, że dziś rano zostawiła go żona – nie mogła dłużej wytrzymać jego zmian nastroju, jego depresji, przede wszystkim jednak nie czuła się na siłach, żeby stawić czoło kolejnemu nawrotowi nałogu.

Szczegółowo przedstawił swoją sytuację finansową, opowiedział o długach, hipotekach i licznych kredytach. Uznałam, że to ze względu na mnie i Ginesa rozwodził się tak nad czymś, co dla innych nie było żadną tajemnicą. Nie wiedziałam, czy mam mu za to dziękować, czułam, że żołądek

mi się przewraca. Z jakiegoś powodu słuchanie człowieka w jego wieku opowiadającego o tym, jak hazard zrujnował mu życie, poruszyło mnie bardziej niż opowieść chłopka. Przyznał, że trzykrotnie doprowadzał się do całkowitego bankructwa, tracił wszystko, ale za każdym razem udawało mu się wyjść na prostą. Nie wiedział jednak, czy tym razem starczy mu sił. Nie rozumiał, jak mógł wrócić do nałogu, nie potrafił tego wytłumaczyć, przez cały czas zachowywał czujność, nakładał na siebie różnego rodzaju ograniczenia, mimo to w sposób niegodny zdobył pieniądze, które nie należały do niego i na które nie mógł sobie pozwolić, i postawił wszystkie online na wyścigach konnych. Opisał nawet ze szczegółami pstrokatego utykającego perszerona, którego typował na zwycięzcę i który dotarł do mety ostatni. Tłumaczył, że kurs był wysoki i że gdyby koń przybiegł w czołówce, on zgarnąłby wielką kasę, która zmieniłaby jego życie. Stracony przypadek. Jego dni były policzone. Uznałam, że jeśli nie zdarzy się cud, skończy na ulicy, w więzieniu albo w przydrożnym rowie.

Znowu zapadła cisza, ciężka, gęsta. Nie zazdrościłam Gabrielowi, Saulowi ani pozostałym terapeutom z ośrodka. Sama nie wytrzymałabym długo w takim miejscu.

Dziewczyna z warkoczem zapytała starszego mężczyznę, czy może do niego podejść. Zgodził się, długo trwali objęci – ja bym tyle nie wytrzymała. Te dwa sklezione ciała połączone nieszczęściem wzbudziły we mnie niepokój. Ból głowy, kłucie w piersiach i uczucie lęku pojawiły się jednocześnie z tak niszczycielską siłą, że musiałam przeprosić i wyjść do toalety.

Obmyłam twarz wodą i zażyłam tabletkę tramadolu. Tylko jedną – nie chciałam przedawkować, musiałam zachować koncentrację. Popatrzyłam w lustrze na swoje oczy. Sytuacja była paradoksalna: folgowałam nałogom w miejscu, w którym zajmowano się ich zwalczaniem. To złamanie zasad nie sprawiło mi satysfakcji. Przed wyjściem połknęłam jeszcze małą tabletkę paroksetyny, antydepresantu, który w połączeniu z opioidem mógł wywołać lekkie mdłości, nic takiego.

Nie wróciłam już do białej sali, miałam dosyć. Wysłałam Ginesowi wiadomość i wyszłam, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Zobaczyłam w telefonie trzy nieodebrane połączenia z nieznanego numeru. Już miałam oddzwonić, kiedy ekran znowu zamigał i pojawił się na nim ten sam numer.

– Tak? – odebrałam.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam. Mówi Alfredo Friman.

Przyswojenie tej informacji zajęło mi kilka sekund. Widziałam Argentyńczyka tylko raz i nasze spotkanie bynajmniej nie zakończyło się w przyjaznej atmosferze. Nie miałam pojęcia, czego ten człowiek może ode mnie chcieć.

– Pierwszy raz u nas?

Dziewczyna o wielkich oczach pomalowanych pod kolor malwowego kostiumu wpisała do komputera numer mojego dowodu osobistego i posłała mi uśmiech zza recepcyjnej lady. Jej spojrzenie nie zdradzało żadnej opinii na temat stojącej przed nią kobiety z posiniaczoną twarzą pokrytą różnego stopnia ranami, zasłoniętymi częściowo przez dziwną przezroczystą maskę – nawet cienia zainteresowania. Pewnie miała wprawę w powstrzymywaniu się od wydawania sądów. Ograniczała się do sprawdzania dowodów i wpuszczania tych, których wygląd świadczył o zasobnym portfelu.

– Tak, pierwszy.

– Dziękuję – powiedziała, podając mi wydruk z moim nazwiskiem, warunkami przetwarzania danych osobowych i innymi ogólnikami. – Proszę podpisać.

Podpisałam, nie przestając się jej przyglądać. Ginés Iglesias dopełnił tej samej procedury. Po czym każde z nas zapłaciło po trzy euro za wstęp.

Alfredo Friman niczego nie podpisał, nawet nie pokazał dowodu: wsunął kartę do czytnika i przeszedł przez wielkie złote drzwi z lustrami. Podążyliśmy za nim, nie zadając pytań.

Znaleźliśmy się w holu, w którym stały długie czerwone ławy i wisiało jeszcze więcej luster. Prowadził do dwóch olbrzymich sal wypełnionych ludźmi.

– Po lewej ruletka, bakarat i francuska restauracja – oznajmił Argentyńczyk. – Po prawej blackjack, automaty, zakłady sportowe i oczywiście klatka.

– Co to jest klatka? – zapytałam, rozglądając się z szeroko otwartymi oczami niczym dziewczynka w wesołym miasteczku.

Na twarzy naszego rozmówcy odmalowało się zniecierpliwienie. Podniósł

ręce do głowy i poprawił sobie tupecik. Korciło mnie, żeby mu powiedzieć, że powinien unikać tego gestu. Już samo noszenie kępki sztucznych włosów jest czymś anachronicznym, a dotykanie jej przy ludziach tylko pogarsza sprawę.

Friman zaproponował mi przez telefon, żebym towarzyszyła mu podczas wizyty w kasynie w Robredo. Miał tam coś do załatwienia z graczem, który dobrze znał Alego, a którego ja mogłam przy tej okazji poznać. Kiedy ochłonęłam ze zdumienia, uznałam, że to niezły pomysł: nawet gdyby rzekomy kolega mojego brata nie udzielił mi żadnych informacji, taka wizyta mogła okazać się pożyteczna. Kasyno leżało trzydzieści parę kilometrów od strefy przemysłowej Valdesol. Byłam tam już kiedyś rano z policją, ale teraz miałam okazję odwiedzić je w nocy, kiedy panuje największy ruch, i znaleźć się w otoczeniu prawdziwych graczy. W dodatku namówiłam prokuratora, żeby przyłączył się do wycieczki; przypuszczam, że po tym, co usłyszeliśmy w czasie terapii, i on poczuł ciekawość.

– Dlaczego chcesz mi pomóc? – zapytałam Argentyńczyka przez telefon.

– Bo cenilem twojego brata, choć pewnie mi nie uwierzysz – odpowiedział. – I dlatego że pozory mylą: jestem dobrym człowiekiem.

Oczywiście, że mu nie uwierzyłam. Mimo to postanowiłam zaryzykować. Może pakował mnie w paszczę lwa. Jak już mówiłam, jedną z moich niezwykłych specjalności jest robienie rzeczy, które mogą obrócić się przeciwko mnie.

Szliśmy przez hol kasyna – trzy osoby, które nie mogły pozostać niezauważone: jeden z najbardziej doświadczonych prokuratorów w kraju, mężczyzna, który znał wszystkich w tym lokalu (zdaniem M. był nie tylko bukmacherem, gospodarzem partii pokera o najdłuższej tradycji i największych stawkach w mieście i zapamiętałym graczem, ale też największym znawcą hazardu w całej Hiszpanii) oraz była gwiazda palestry z obitą głową.

– Nazywane jest to klatką, bo pokerzystów otaczają jakby metalowe rury. Grają na oczach wszystkich, oglądani niczym małpy w zoo – wyjaśnił cicho Friman. – To słynny poker room w Robredo; na pewno o nim słyszeliście, jeden z najbardziej znanych w Europie. Jest tam, w głębi, potem pójdziemy.

– Myślałam, że w pokera gra się w prywatnej salce – powiedziałam.

– Ta sala jest przeznaczona dla specjalnych partii, czyli takich, gdzie wykłada się dużą kasę – wyjaśnił. – Nie otwiera się jej codziennie; i wpuszczają wyłącznie z zaproszeniem; może będziecie mieli akurat szczęście, nie wiem, zaraz zapytamy.

– Przed laty byłem w kasynie w Santander – wtrącił prokurator. – Wyglądało zupełnie inaczej niż to, było bardziej eleganckie, mieściło się w arystokratycznym pałacyku i miało tylko kilka stołów.

– No cóż – odparł Friman – to tutaj coraz bardziej przypomina nieformalny styl Las Vegas i tamte klimaty. Kiedyś, żeby zostać wpuszczonym, musiałeś spełniać ścisłe wymogi etykiety i inne bzdurne warunki. Teraz praktycznie możesz przyjść w klapkach; wystarczy, żebyś miał przy sobie gotówkę. Zależy im na twoich banknotach, nie na twoim wyglądzie. Oczywiście, jak widzicie, zdarzają się jeszcze stroje wieczorowe, ale jest ich coraz mniej.

Pokręciliśmy się chwilę po sali z ruletką, szukając gracza, który umówił się z Frimanem i który rzekomo dobrze znał Alego. Kilka osób, w tym pracownicy kasyna, przywitało się z Argentyńczykiem. Zachowywał się tak, jakby był u siebie. Zdziwiłam się, bo jego interes stanowił dla kasyna nielegalną konkurencję.

– Od czasu do czasu mnie postraszą. Można powiedzieć, że utrzymujemy chwiejną równowagę – wyjaśnił. – W zamian za to, że za bardzo mnie nie przyciskają, wpadam tu czasami wieczorem z jakąś grubą rybą, żeby trochę wyluzowali.

Gracze otaczali stoły, z przejęciem kładli na nich żetony różnej wielkości i koloru, cisnąc się, niemal popychając. Nie sprawiali wrażenia rozbawionych. Raczej takich, którzy wypełniają obowiązek. Moją uwagę zwróciła duża liczba osób o azjatyckich rysach.

– To głównie Chińczycy – powiedział Friman. – Obracają dużymi pieniędzmi i uwielbiają grać; grzeją, aż miło.

Przeszliśmy do bakarata, znanego również jako „punto banco”. Gracze siedzieli – inaczej niż przy ruletce – i zapisywali wartości wykładanych kart na czymś w rodzaju kartonu, tak mi się przynajmniej wydawało.

– Nie można grać bezpośrednio pieniędzmi? Trzeba je najpierw wymienić w kasie? – zapytałam.

– Gracze mogą kupić żetony w kasach albo przy stołach, jak im wygodniej, żaden problem, wszystko jest bardzo proste – odpowiedział i wskazał jednego z krupierów: przeliczał on dwustueurowe banknoty (tak, dwustueurowe) z olbrzymiego pliku, który wręczyła mu starsza pani, i wymieniał je na czarne żetony. – Na tym się to wszystko opiera. Jeśli ludzie mają w ręku żetony, a nie prawdziwe pieniądze, obstawiają bardziej lekkomyślnie; to jest pewno solidnie przebadane. Oczywiście dzięki temu kasyno ma także większą kontrolę nad wpływem i odpływem gotówki, zwłaszcza jeśli ktoś dużo wygrywa. Żeby zamienić żetony z powrotem na pieniądze, musisz wypełnić dokumenty, wszystko jest rejestrowane. W ten sposób Ministerstwo Finansów też zgarnia swoją dolę. Tutaj każdy coś dla siebie uszczknie: kasyno, Skarb Państwa, władze regionu, każdy, z wyjątkiem graczy, ma się rozumieć. Jediną niezaprzeczalną prawdą jest to, że firma wygrywa, a gracz przegrywa. Nie ma innej opcji.

– Ale czasami da się wygrać – wtrącił Ginés. – Możesz mieć swój szczęśliwy dzień i zainkasować sporą sumkę.

– Jasne, na tym to właśnie polega – przyznał Friman. – Na tym, żeby gracze wierzyli, że mogą wygrać. Mówi ci to ktoś, kto spędził w kasynie wiele bezsennych nocy, przy tych samych stołach. Kto nadal gra. Najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić nowicjuszowi, to wygrana. Wtedy już po nim. Uwierzy, że znowu mu się uda. Wspomnienie tamtego odczucia będzie prześladować go za każdym razem, kiedy przegra, czyli w dziewięćdziesięciu procentach przypadków. Przypomni sobie tamtą adrenalinę i nakręci niekończącą się spiralę: nie będzie już grał, żeby wygrać, będzie grał, żeby się odegrać, i tak bez końca. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane, żebyś oddał im swoje pieniądze, a do tego myślał, że masz tylko złą passę, że nie dopisuje ci szczęście. Tymczasem to nie tak. Kasyna i wszystkie inne firmy z branży gier hazardowych istnieją tylko i wyłącznie dlatego, że na dłuższą metę gracze nie wygrywają. Po prostu.

– Jak na kogoś, kto żyje z hazardu, nie masz najlepszego zdania o tym światku – rzuciłam. – Dziwi mnie...

– Nie myl dwóch rzeczy – przerwał mi Argentyńczyk. – Codziennie przypominam wszystkim, którzy obstawiają u mnie zakłady: nie graj, nie rób tego, jeśli nie musisz. Nie jestem siostrzyczką miłosierdzia, ale nie lubię

oszukiwać ludzi, nie mam potrzeby. Doszedłem w życiu do takiego momentu, że jest mi absolutnie wszystko jedno, co myślą inni. Chcę czuć się dobrze z tym, co robię. Pobieram od moich klientów uczciwe opłaty i składki i ostrzegam ich. Potem decyzja należy do nich samych. Szczerze mówiąc, prawda jest taka, że w większości przypadków postanawiają grać dalej, ale lepiej, żeby byli wtedy w moich rękach, niż mieliby trafić na przykład do tych bydlaków.

Brzmiało to przekonująco; wydawało się nawet, że Argentyńczyk faktycznie przejmuje się losem innych. Przypomniałam sobie słowa Brandariza, które wyryły mi się w pamięci: wszyscy gracze kłamią. Bez wyjątku. A Friman był najpierw graczem. Nie mogłam tracić czujności.

Spojrzałam na kobietę, która wymieniła dwusetki. Czarne żetony umieściła na jednym polu, jeden na drugim. Sądząc po liczbie wymienionych banknotów, postawiła ponad dziesięć tysięcy euro. Bałam się o nią, chciałam jej powiedzieć: „Kobieto, zabierz te pieniądze” albo odepchnąć ją i zabrać jej żetony. Krupier rozdał karty, wyjmując je z metalowego pojemnika, w którym leżała pełna talia i który, o ile się nie mylę, nosi nazwę but. Kobieta odwróciła je: szóstka i as.

– Punto, siedem! – zawołał krupier.

Chudziutki człowieczek z końca stołu odkrył drugą parę kart: dziewiątka i król.

– Banco, dziewięć – powiedział krupier; wśród obecnych przebiegł cichy szmer. – Banco wygrywa.

Jak gdyby nigdy nic zgarnął czarne żetony kobiety i wrzucił je do otworu w stole. I już. Dwadzieścia sekund i po wszystkim. Straciła ponad dziesięć tysięcy euro w jednym rozdaniu. Wykrzywiła usta, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Było jasne, że zdarza jej się to nie pierwszy i nie ostatni raz. Rozsunęła suwak torby, wyciągnęła kolejny plik banknotów i spokojnie położyła je na stole. Może miała maszynkę do robienia dwusetek, może tego wieczoru postanowiła zagrać *va banque*, może było to dla niej rutyną, nie mam pojęcia. W każdym razie scena wydała mi się tak niesmaczna, że wolałam się dłużej nie przyglądać. Nagle uświadomiłam sobie, ile pieniędzy ryzykują w tej właśnie sekundzie wszyscy otaczający nas ludzie, równocześnie, bez sensu, bez żadnego powodu, bez wstydu. Zrobiłam

w życiu wiele rzeczy, które trudno wytłumaczyć, nie jestem święta, ale daję słowo, że widok tej kobiety mną wstrząsnął, oszołomił mnie do tego stopnia, że musiałam odwrócić wzrok.

– Proszę wybaczyć, że zapytam – zwrócił się do Frimana Ginés. – Dlaczego pan gra, skoro pan wie, że przegra?

– Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć – odparł tamten z grymasem przypominającym obrzydzenie. – Myślę, że należałoby odwrócić pańskie pytanie: co mógłby robić taki facet jak ja, gdyby przestał grać?

Zostawiliśmy ruletki i weszliśmy do sali z blackjackiem. Tu było jeszcze więcej ludzi. Na środku stało około trzydziestu stołów z taboretami ustawionymi w półokręgi. Przy każdym było miejsce dla siedmiu graczy. Dobierali karty, by jak najbardziej zbliżyć się do dwudziestu jeden punktów, ale ich nie przekroczyć, jak w popularnej grze w oczko. Dla takiej dyletantki jak ja wszystkie gry są podobne, nieważne, czy jest to kulka przeskakująca z jednego numeru na drugi, czy karty wychodzące z mechanicznego urządzenia. Cel jest jeden: wygrać pieniądze.

Nieco dalej, w pobliżu głównej kasy, znajdowały się rzędy automatów. Dobiegały stamtąd charakterystyczne dźwięki i dokuczliwe, powtarzane bez końca melodyjki. Maszyny wyglądały tak samo jak te w barach, może tylko były trochę większe. Główną różnicę stanowiły wielkie podświetlane panele, na których pokazywano możliwe do wygrania nagrody, na przykład ekstrajackpot w wysokości pięciu tysięcy i tym podobne. A wszystko to za przystępną cenę jednego euro. Gracze siedzący przy automatach mieli przy sobie plastikowe pojemniki wypełnione małymi żetonami; bez zastanowienia wrzucali je do otworów, jeden po drugim.

– Nawet automaty mają własne kody – powiedział Friman. – Niektórych kręci ich studiowanie. Ja osobiście uważam, że gry pozbawione czynnika ludzkiego tracą swój urok. Widziałem, jak ludzie biją się o te maszyny, kiedy są ciepłe, to znaczy tuż przed tym, zanim wyrzucą główną wygraną.

– Zdarzają się kłótnie między graczami? – zapytał Ginés. – Wcześniej przy ruletce widziałem, jak ludzie kładą identyczne żetony na te same numery. Skąd można wiedzieć, który do kogo należy?

– Sprzeczki są na porządku dziennym – odparł nasz osobliwy cicerone – ale zwykle na tym się kończy. Nie widzimy tego, ale co kilka metrów stoją

pośród graczy kontrolerzy i pracownicy ochrony. Nie mówiąc już o setkach kamer; są wszędzie, skierowane zwłaszcza na stoły, nagrywają każdy nasz ruch. Klienci często chcą obejrzeć to czy inne rozdanie, żeby upewnić się, do kogo należy żeton albo czy wynik został obstawiony zgodnie z przepisami. Bez kamer nie dałoby się kontrolować tego wszystkiego.

Odruchowo podnieśliśmy z prokuratorem głowy. W zasięgu wzroku znajdowało się kilka kamer, jednak ze słów Frimana wynikało, że jest ich dużo więcej. Musiały być ukryte za lampami albo lustrami.

– Cześć, Friman – rozległ się czyjś głos.

Opuściliśmy głowy i zobaczyliśmy ubranego na czarno, grubego mężczyznę w średnim wieku o azjatyckich rysach. Uśmiechał się życzliwie do Argentyńczyka i kiwał do niego. Za nim podążyły dwie piękne dziewczyny o orientalnej urodzie, znacznie młodsze od niego. Podeszli do nas.

– Cześć – odpowiedział Friman, spoglądając na Azjatę. – Widziałeś Perelló? Byliśmy umówieni. Jest mi winien sporą sumę.

– Perelló wyjechać i nigdy więcej nie grać.

W Argentyńczyka jakby piorun strzelił. Zmienił się na twarzy. Odszedł z Azjatą na bok, rozmawiali z ożywieniem, nie podnosząc głosu, ale ewidentnie zdenerwowani. Ja i Ginés staliśmy w milczeniu przed dwiema dziewczynami, które bez przerwy się uśmiechały. Krępująca sytuacja.

Po krótkiej wymianie zdań Friman wskazał palcem na Azjatę, który najwyraźniej nie przyjął dobrze tego oskarżycielskiego gestu. Wykrzyknął coś, czego nie zrozumiałam, i oddalił się małymi, szybkimi krokami. Dziewczyny natychmiast pobiegiły za nim.

Popatrzyliśmy z prokuratorem po sobie. Friman stał przez chwilę nieruchomo, próbował dojść do siebie, mruzczał coś pod nosem, czułam jednak, że niezależnie od tego, o co chodzi, nie pierwszy raz znajduje się w podobnej sytuacji. Widząc nasze zaciekawione spojrzenia, parsknął i powiedział wprost:

– Perelló się ulotnił.

– Kim jest Perelló? – zapytałam.

– To ten skurwiol, który znał twojego brata i który jest mi winien ponad

dwadzieścia tysięcy – odpowiedział ze złością. – Dziś wieczorem miał tu być z pieniędzmi, ale, jak widać, się wycofał.

– Co to oznacza?

– To oznacza, że nie będzie już grał, przynajmniej tak powiedział Chińczykowi. Że będzie cholernie trudno odzyskać kasę, o ile w ogóle się uda. Niepisane prawo mówi, że jeśli gracz się wycofuje, spłata jego długów zostaje odroczone, dopóki nie wróci do stołu. Ten palant na pewno wróci, ale do tego czasu, kurwa, mogę zapomnieć o pieniądzach.

– Udziela pan pożyczek? – zapytał Ginés zdumiony. – Obawiam się, że to nielegalne.

Teraz to Friman popatrzył na niego tak, jakby nie wierzył własnym uszom.

– Proszę mnie nie obrażać, panie prokuratorze. Nie jestem lichwiarzem, tylko odpowiedzialnym biznesmenem, który od czasu do czasu pożycza pieniądze dobrym znajomym, nic więcej – odparł z wymownym grymasem. –

O ile mi wiadomo, w tym kasynie przebywają w tej chwili co najmniej cztery osoby oficjalnie udzielające pożyczek, łącznie z Chińczykiem Yuanem, którego właśnie poznaliście. Właściciele przymykają na to oko; to przecież im najbardziej zależy na tym, żeby goście obracali pieniędzmi. Kasyno udziela kredytu wyłącznie specjalnym klientom, potrzebuje więc ludzi, którzy odwalą za nie brudną robotę. Yuan na przykład działa od ponad dwudziestu lat, to weteran. Ale proszę nie mylić mnie z żadnym z tych gagatków, nie mam z nimi nic wspólnego.

– Gdybym potrzebowała kilku tysięcy euro, żeby zagrać – zapytałam, próbując zrozumieć, jak to działa – powinnam po prostu podejść do Yuana i o nie poprosić?

– To nie takie łatwe. Jeśli cię nie zna, nie da ci pieniędzy. Chyba że poręczy za ciebie ktoś, do kogo będzie miał zaufanie. Niczego nie podpisujecie. Podajecie sobie ręce i w ustalonym terminie zwracasz mu dług z odsetkami. Wydaje mi się, że Yuan bierze dziesięć procent za każde dwa tygodnie zwłoki, ale są gorsi niż on.

– To barbarzyństwo – oburzył się prokurator. – I wszystko na czarno?

– Oczywiście – odparł Friman. – Powiedziałem już: żadnych papierów.

Tylko uścisk dłoni.

– A jeśli nie zwrócę pieniędzy? – dociekałam.

– Klient zawsze zwraca, nie licząc odosobnionych przypadków – stwierdził krótko Argentyńczyk. – Jak właśnie Perelló. Yuanowi też był winien kilka tysięcy, dużo mniej niż mnie. Dlatego się pokłóciliśmy. Podobno spłacił wczoraj jego część długu, za to mnie nie zwrócił nawet złamanego centa. Dziś miał mi przynieść prawie całą sumę.

– Co teraz zrobisz? – zapytałam przejęta.

Alfredo Friman zorientował się, że z napięciem czekamy na jego odpowiedź.

– Nic nie zrobię. Wy nie poznacie Perelló. Ja nie dostanę pieniędzy. Pech. Wybaczcie, ale chętnie bym zagrał. Chcecie zobaczyć słynny poker room?

Miałam wrażenie, że Friman nie mówi nam wszystkiego. Może wcale nie zamierzał czekać z założonymi rękami na spłatę długu. Może przedstawienie mi kolegi Alego stanowiło tylko pretekst, a tak naprawdę chciał mieć świadka (albo dwóch) w czasie spodziewanej konfrontacji z tym Perelló. Trudno było odgadnąć jego intencje. Niemniej zwiedzanie kasyna z przewodnikiem okazało się bardzo pouczające.

Wreszcie weszliśmy do poker roomu. Kiedy tylko przekroczyłam próg, odniosłam wrażenie, że to swoisty mikrokosmos w obrębie kasyna. Pomieszczenie różniło się oświetleniem, bardziej niebieskawym, oraz muzyką, która jakby otulała graczy. Była to owalna sala z gigantycznymi czarno-białymi fotografiami na ścianach, przedstawiającymi ponoć największych graczy wszech czasów: Phila Iveya, Daniela Negreanu, Johnny'ego Chana, Carlosa Mortensena, Phila Hellmutha, geniuszy pokera, których nazwiska nic mi nie mówiły. Małutkie światełka umieszczone pod szklaną podłogą nadawały pomieszczeniu widmowy charakter. Od razu zrozumiałam, skąd skojarzenie z klatką. Poziome i pionowe połączane pręty wokół stołów tworzyły sięgający niemal sufitu metalowy szkielet, który oddzielał graczy od gapiów.

– Alfredo, kopę lat! Stęskniliśmy się za tobą – powitał go jeden z pracowników kasyna, w garniturze i pod krawatem, starannie ostrzyżony, o imponujących wąsach.

Od razu go rozpoznałam. Jego nazwisko figurowało w dossier pozwu karnego. Złożył już pierwsze zeznania w sądzie, kiedy byłam w szpitalu.

– Morenilla – odpowiedział Friman, ściskając mu rękę. – Mówi się, że niedługo zostaniesz wielkim szefem, samym dyrektorem kasyna w Robredo.

Od śmierci Menendeza Ponsa stanowisko to pozostało nieobsadzone. Nie zdziwiło mnie, że miał je objąć ktoś ze swoich, ktoś taki jak Morenilla. Było to naturalne rozwiązanie.

– Ludzie opowiadają różne rzeczy – odparł – nie zwracaj na to uwagi. Czym mogę wam służyć? Chcecie może drinka?

Friman spojrzał na nas; staliśmy z boku. Nie przedstawiliśmy się. Morenilla był jednym z głównych świadków, oboje z prokuratorem mieliśmy tego świadomość, i chociaż znajdowaliśmy się w miejscu publicznym, należało uważać na to, co mówimy. Uznałam, że najlepiej będzie zachować milczenie.

– Szykuje się dziś jakaś dobra partia w prywatnej sali? – zapytał go Argentyńczyk.

Morenilla zawahał się chwilę, przyjrzał nam się uważnie, jakby skądś nas znał, ale nie bardzo pamiętał skąd. Może kiedy składał zeznania, Ginesa też nie było. Prokurator zwykle zostawiał formalności swojej asystentce, skutecznej i milczącej Adeli – czekała ją świetlana przyszłość w prokuraturze, zważywszy na to, z jaką łatwością przychodziło jej pozostawanie niezauważoną.

– Zapowiada się ciekawe rozdanie – odpowiedział. – Przyszło dwóch piłkarzy. Za moment cię zawołam. Tymczasem zamówcie sobie coś do picia na mój rachunek.

– Bardzo dziękujemy.

Morenilla wskazał kelnerowi, żeby nas obsłużył, po czym zniknął w tłumie graczy, rozmawiając z kimś przez odpiętą od paska ogromną komórkę.

– Z waszych spojrzeń wnioskuję, że wiecie, kto to jest – rzucił Friman.

– Nie będę się wypowiadać – powiedziałam tylko.

Friman zrozumiał i nie zadawał więcej pytań.

Goście z tej sali należeli do innej kategorii graczy. Ogromną większość stanowili mężczyźni (zdołałam namierzyć ze trzy czy cztery kobiety), nieco młodszy od tych, których widzieliśmy przy ruletce i blackjacku. Ubrani byli jeszcze mniej formalnie. Niektórzy mieli słuchawki w uszach, czapki z daszkiem, a nawet okulary przeciwsłoneczne.

– Wydaje im się, że dzięki temu nikt ich nie nakryje, kiedy będą blefować – powiedział Friman. – Na widok tych smarkaczy w ciemnych okularach puszających się jak pawie robi mi się niedobrze.

– W jakich godzinach otwarte są stoły do gry? – zapytałam.

– Od trzeciej po południu do szóstej rano, piętnaście godzin na granie, dziewięć na sen, niektórzy praktycznie tu mieszkają. Nie szukając daleko, ja sam przychodziłem kiedyś codziennie.

– Są tacy, którzy przychodzą codziennie? – zapytał Ginés ze zdziwieniem. Argentyńczyk przytaknął znużony.

– Mówiąc w skrócie, istnieją dwa rodzaje graczy: rozrywkowicze i zawodowcy. Rozrywkowicze to ci, którzy mają pracę i grają rzekomo dla zabawy; oczywiście dzielą się na różne kategorie. Są wśród nich gracze okazjonalni, przychodzący od czasu do czasu, ale są też nałogowcy, którzy nie mogą wytrzymać choćby dnia bez pokera. Łączy ich jedno: wszyscy bez wyjątku przegrywają. Zawodowcy natomiast uczynili z gry swoją pracę, to ona zapewnia im utrzymanie albo doprowadza ich do ruiny. Nie prowadzą żadnej innej działalności. To kombinatorzy najgorszej maści. Znają wszystkie sztuczki, chodzą od stołu do stołu, szukając naiwniaków, od których mogliby wyciągnąć kasę, kłamcy, blefiarze, swołocz, która za jeden żeton sprzedalaby własną matkę. Rzecz jasna, ja sam należę do drugiej grupy.

– Niezła panorama – stwierdził Ginés.

Pierwszy raz słyszałam, żeby prokurator wyraził swoje zdanie – co prawda dość oszczędnie – w jakiegokolwiek sprawie. Może oznaczało to postęp; może mimo wszystko ten dzień na coś się przydał.

– Niektórzy rozrywkowicze poświęcają grze tyle czasu, że postanawiają zostać zawodowcami, nawet przekonują samych siebie, że nimi są. Banialuki. Nie mogą zostać niczym innym; to gołąbki, które są tu wyłącznie po to, żeby zawodowcom obskubał je z piór. Mamy łańcuch pokarmowy. Coś zupełnie

naturalnego, a nawet pięknego, jeśli dobrze się nad tym zastanowić. Jedni żerują na drugich, duża ryba zjada małą i tak dalej. W moim długim życiu widziałem wiele rzeczy, ale tylko raz poznałem rozrywkowicza, który został zawodowcem. Był nim Alejandro Tramel.

Wzmianka o moim bracie postawiła mnie w stan najwyższej gotowości – odgłos żetonów przesuwanych po suknie, kart wysuwanych z podajnika, szepty, muzyka, wszystko zniknęło.

– Miał niezwykły talent – powiedział. – W miesiąc opanował zasady, które innym udaje się zrozumieć po wielu latach. Jak nikt umiał odczytywać, co dzieje się przy stole do gry. Był szybki, kierował się instynktem, szacował w myślach własne możliwości, rozmawiając w tym czasie o czymkolwiek innym, żeby wyciągnąć informacje od przeciwników. Potrafił czarować. Umiał przegrywać. Nie należał do tchórzy, którzy próbują wykorzystać słabszych; lubił mierzyć się z grubymi rybami.

– Czegoś tu nie rozumiem – wtrącił prokurator. – Skoro był zawodowcem, a do tego tak dobrym, jak pan mówi, dlaczego więc doprowadził się do ruiny?

– Nie mówiłem, że wszyscy zawodowcy wygrywają – odparł z głębokim przekonaniem. – Wręcz przeciwnie, powiedziałbym, że tylko jakieś dziesięć procent odnosi sukces, ci najbardziej zimni i zdyscyplinowani. To dwie cechy, których brakowało Alejandro. Macie przed sobą zawodowca, który stracił miliony, nie przesadzam. Ratuje mnie tylko to, że jestem hochsztaplerem i zarabiam lewą ręką to, co przegram prawą. Taka jest prawda.

Podobał mi się sposób, w jaki mówił o sobie ten człowiek. Nie zdradziłabym mu żadnej tajemnicy, a tym bardziej numeru swojego konta, ale wyczuwałam w nim dobre wibracje, mimo tupeciku i jego przeszłości. Podejrzenia, że to on stoi za incydentem, rozwiewały się, w miarę jak go słuchałam.

– Poza tym Alejandro był chory, toczył go robak, podobnie jak mnie – przyznał Friman.

Ginés uniósł brwi niepewny.

– Masz chyba na myśli nałogowy hazard – przetłumaczyłam.

– Jesteśmy nałogowcami, taka jest smutna prawda. Czasami tego po nas nie widać, potrafimy bardzo dobrze udawać, możemy nawet przez jakiś czas dzielić życie z drugą osobą, być w związku i z niczym się nie zdradzić. Ale w końcu, wcześniej czy później, w ten czy inny sposób, robak daje o sobie znać. Siedzi tu w środku głęboko schowany i tylko w nielicznych przypadkach udaje się go zwalczyć.

Porównanie było bardzo obrazowe i zatrważające. Pomyślałam, że jeśli udałoby mi się namówić Argentyńczyka, żeby zeznawał przed ławą przysięgłych (jeżeli sprawa trafi przed ławę przysięgłych), mogłabym zdobyć sporo punktów.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem – podsumował Ginés. – Tak zwani rozrywkowicze przegrywają wszyscy bez wyjątku. I przegrywa także dziewięćdziesiąt procent zawodowców.

– Dokładnie tak.

– W takim razie, kto wygrywa?

Odpowiedź była oczywista.

– Kasyno, punkty przyjmowania zakładów, salony gry bingo, wielcy wydawcy gier online i, rzecz jasna, państwo.

– Proszę mi wybaczyć, ale muszą państwo natychmiast opuścić budynek.

Goryl wbity w ciemny garnitur, pod krawatem, ze słuchawką w lewym uchu i z włosami ostrzyżonymi na milimetr, spoglądał na nas srogi i niewzruszony.

– Natychmiast – dodał z naciskiem.

Ginés i ja popatrzyliśmy na siebie zaskoczeni.

– Z jakiego powodu? – zapytałam.

– Bo nie spełniają państwo wymogów wstępu do lokalu – odpowiedział. – Przykro mi, ale muszą państwo skierować się ze mną do wyjścia.

– Mnie jest jeszcze bardziej przykro, ale musiała zajść jakaś pomyłka – odparłam. – Spełniamy wszelkie wymogi, można wręcz powiedzieć – i proszę to zapamiętać – że jesteśmy wyspecjalizowani w spełnianiu wymogów. Jak pan widzi, zostaliśmy wpuszczeni i znajdujemy się wewnątrz lokalu.

Friman nie mógł powstrzymać uśmiechu. Pewno bawiło go, że rozmawiam w ten sposób z osiłkiem.

– Ja też muszę wyjść? – zapytał.

– Nie otrzymałem żadnego polecenia odnośnie do pańskiej osoby – odpowiedział goryl. – Pani Tramel i pan Iglesias nie spełniają wymogów wstępu, wiem tylko tyle.

Prawdopodobnie Morenilla natychmiast przejrzał listę gości, żeby dowiedzieć się, kim są tajemniczy towarzysze Argentyńczyka.

– Czuję, że ma pan nade mną przewagę – powiedziałam do faceta. – Widzę, że zna pan moje nazwisko, ja natomiast nie znam pańskiego, byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan mi je podać.

– Moje nazwisko nie ma znaczenia – odparł – ja tylko wykonuję rozkazy.

Jak już mówiłem, zasady wstępu są bardzo surowe, niech będą państwo uprzejmi pójść ze mną.

– Ja widzę to inaczej – ciągnęłam. – Pańskie nazwisko będzie miało ogromne znaczenie, kiedy oskarżę lokal i osobiście pana o praktyki dyskryminacyjne. Czy mógłby się pan z łaski swojej wylegitymować, a następnie wezwać swojego przełożonego, kogoś odpowiedzialnego, kto nie wykonuje tylko rozkazów?

Olbrzym sapnął cicho. Widać było, że miałby ochotę mnie sprać. Bez słowa wcisnął guzik w swojej słuchawce. Spoglądaliśmy na siebie wyzywająco, nie wyglądało na to, żeby któreś z nas miało ustąpić. Przyznaję, z zasady nie toleruję takich zbirów; wszelkiego rodzaju nadużycia władzy wywołują u mnie wysypkę. Nie mogli siłą wyrzucić nas z kasyna.

Poza tym stworzył mi możliwość zwarcia szyków z prokuratorem, choćby tylko na potrzeby tej małej bitwy. Co prawda, na razie Ginés trzymał się z boku i nie protestował, ale też nie zrobił kroku w stronę wyjścia, a to już coś.

Goryl nawet nie drgnął. Blokował nam drogę; wydawał się ostrzegać swoją obecnością, że wprawdzie możemy go nie posłuchać i nie udać się do wyjścia, ale jeżeli przyjdzie nam do głowy oddalić się gdzieś bez jego pozwolenia, napytamy sobie biedy. Staliśmy w kącie poker roomu, przy drzwiach do toalety. Kilku ciekawskich przyglądało się nam, szepcząc coś między sobą.

Minutę później pojawił się kolejny z głównych świadków w naszej sprawie, Aarón Freire, szef ochrony i – między innymi – facet, który zakuł w kajdanki i zatrzymał (bezprawnie) mojego brata w noc morderstwa, zanim przyjechała policja. Jego też nie miałam jeszcze okazji poznać osobiście. Za nim szło dwóch typów równie potężnych jak goryl albo jeszcze potężniejszych, jeśli to w ogóle możliwe. Może zatrudniono ich w kasynie, a potem zaczęto karmić sterydami; moim zdaniem byli nienaturalnie mocnej budowy, wydawało się, że koszule i marynarki lada chwila na nich pękną.

– Dobry wieczór, Alfredo – Freire w pierwszej kolejności pozdrowił Frimana, który odpowiedział skinieniem głowy. Następnie spojrział na mnie i na prokuratora. – Proszę wybaczyć nieporozumienie, ale muszą państwo opuścić budynek. Jak już państwu wyjaśniono, nasze zasady wstępu są

bardzo surowe. Oczywiście przy wyjściu zostaną państwu zwrócone trzy euro.

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha.

– Bardzo mi miło – powiedziałam. – Otóż wydaje mi się, że w głębi duszy lubi pan takie sytuacje, można to wyczytać z pana twarzy. Chętnie wykopałby nas pan za drzwi, bo tak, bo takie jest pańskie widzimisię, bez żadnego powodu. Rozumiem, to częste zaburzenie osobowości u dawnych policjantów; przez wiele lat byłam żoną gliniarza. Oni uważają, że mogą robić, co im się żywnie podoba. Może zechce nas pan również zakuć w kajdanki.

Nikt się nie poruszył. Ludzie Freirego byli wytresowani, żeby udawać spokój w obecności klientów, a staliśmy w zatłoczonym miejscu. Szef ochrony cmoknął; nie spodobały mu się moje słowa ani moja postawa. Pod tym względem przynajmniej szliśmy łąb w łąb. Jego wyniosłość, wygląd osiedlowego szpanera w markowym garniturze z włosami uczesanymi z przedziałką na boku były żałosne.

– Nie może się tu pani zjawiać incognito i węszyć – odparł Freire. – Jeżeli chce pani dokonać rewizji albo przesłuchać naszych klientów, musi pani zwrócić się do sędzi o nakaz. Szczerze wątpię, żeby ta wizyta była zgodna z prawem.

– A więc o to chodzi: przysyłają pana z góry, żeby nas pan wyrzucił, bo jeszcze odkrylibyśmy przypadkiem coś, co mogłoby zaszkodzić interesom kasyna – powiedziałam z udawanym oburzeniem. – Otóż musi pan wiedzieć, że nie dokonaliśmy żadnej rewizji ani nikogo nie przesłuchiwaaliśmy, nie robiliśmy żadnej z tych absurdalnych rzeczy, które nam pan zarzuca, po prostu odwiedziliśmy publiczny lokal i tyle. Więc niech pan nie będzie taki cwany, bo oskarżę pana o praktyki dyskryminacyjne albo o cokolwiek innego. Chociaż w zasadzie już to zrobiłam – omal bym zapomniała, że został pan oskarżony, wkrótce zobaczymy się w sądzie i wtedy przykręcę panu śrubę. A teraz, jeśli pan pozwoli...

Zamierzałam skierować się w stronę środka sali, ale Freire zagroził mi drogę, choć mnie nie dotknął.

– Jest pani taką samą kretynką jak pani brat – rzucił. – Proszę uważać, bo skończy pani tak jak on.

– Co pan powiedział? – zapytałam, nie wierząc własnym uszom. – Grozi mi pan? Powiedział pan to, co – o ile się nie mylę – pan powiedział? Zagroził mi pan śmiercią w obecności siedmiu świadków?

Ginés zdecydował się w końcu interweniować:

– Już dobrze – uciał. – Na dziś wystarczy. Wyjdziemy teraz z panią Tramel, ale nie dlatego że ktoś nam każe, a już na pewno nie dlatego że każe nam pan. Wyjdziemy, bo jesteśmy zmęczeni; w moim wieku człowiek nie zarywa nocy. Przede wszystkim jednak zrobimy to, bo tak będzie najrozsądniej. Wyjdziemy sami; nikt nie musi nas odprowadzać. Jeżeli będzie pan nalegał, żebyśmy wyszli otoczeni przez tych osiłków, będę zmuszony wezwać Gwardię Cywilną. Jeśli zaś chodzi o rzucone przez pana groźby, panie Freire, jako że jest pan jednym z oskarżonych w sprawie o stosowanie gróźb i przymusu, nie wydaje się to najinteligentniejszym posunięciem. Myślę, że kto jak kto, ale akurat pan powinien uważać.

Prokurator podał mi ramię; mocno się go uchwyciłam. To, co właśnie zrobiliśmy, nie do końca było bitwą, ale bitwę przypominało. Nikt za nami nie poszedł. Przeszliśmy przez kasyno, ja uczepiona ramienia Ginesa, podpierając się laską i kuśtykając, on z wysoko podniesioną głową. Żadne z nas nie odezwało się słowem. Poczułam, że ten wspólnie spędzony wieczór połączył nas mocniej niż toczące się od trzech i pół miesiąca postępowanie.

W holu pożegnaliśmy się z Frimanem. Przeanalizowawszy sytuację, postanowił jeszcze chwilę zostać i rzucić okiem na partię, która miała się wkrótce rozpocząć.

– Mam dobre przeczucie – usprawiedliwił się.

– Nie przegraj za dużo – powiedziałam. – Dziękuję za wszystko.

– Nie ma za co – odparł. – Mam nadzieję, że ta wizyta na coś ci się przyda. Jestem po twojej stronie. Aha, i pozdrów ode mnie Smarkacza, polubiłem go. Może mi nie uwierzysz, ale jestem sentymentalny.

Nie odpowiedziałam. Raz jeszcze spojrzeliśmy na siebie i odeszłam.

– Dobranoc, panie Friman – powiedział Ginés.

Podaliśmy parkingowemu numerkę otrzymany od niego po przyjeździe i stanęliśmy przy rondzie naprzeciw wejścia. Prokurator podwiózł mnie swoim samochodem zarówno do siedziby stowarzyszenia, jak i do Robredo.

Poczułam na twarzy powiew zimnego wiatru od gór i pomyślałam, że mój brat wiele razy czekał w tym samym miejscu, może dokładnie tu, gdzie teraz stałam ja, oparty o ten sam filar, patrząc na migoczący neon kasyna widoczny z odległości kilku kilometrów. Ruch samochodowy był duży, jak w godzinie szczytu.

Przede mną zatrzymało się ciemne volvo. Od razu je poznałam. Opuściła się szyba, wychynęła zza niej częściowo zasłonięta szpakowatą brodą twarz Moncady. Pojawianie się znienacka należało do jego *modus operandi*. Gdyby któregoś dnia po prostu zadzwonił do mnie i zaprosił mnie na randkę, na pewno poczułabym się rozczarowana.

– Podwieźć cię gdzieś? – zapytał.

Przez kilka sekund wpatrywałam się w twarz porucznika i wreszcie przytaknęłam. Oboje wiedzieliśmy, że wsiądę do jego samochodu, wiedzieliśmy też, z czym to się wiąże: zbyt wiele razy odkładaliśmy to na później.

Popatrzyłam na prokuratora. Widok jego siwych włosów i zmarszczek obudził we mnie serdeczność: może od tej pory będziemy się lepiej dogadywać.

– Jednak nie musisz mnie podwozić – powiedziałam, wskazując stojący przed nami samochód.

Nie wiem, czy rozpoznał porucznika, w każdym razie powstrzymał się od komentarza, jak przystało na powściągliwego, dyskretnego mężczyznę.

– To był niezwykle pouczający wieczór – powiedział na pożegnanie. – Widzimy się w sądzie.

Otworzyłam drzwi volvo i z trudem usadowiłam się w fotelu pasażera. Kiedy zginałam kolano, poczułam ukłucie; może wzięłam za mało tramadolu albo raczej nie przedawkowałam go jak zazwyczaj – umiar nigdy mi nie służył.

– Widzę, że nie rozstajesz się z laską – mruknął Moncada, włączając silnik.

– Przywiązałam się do niej.

W radiu leciały chóralne śpiewy, wydawało mi się, że rozpoznaję ścieżkę dźwiękową z jakiegoś filmu, ale nie byłam pewna. Podkręciłam dźwięk

i przez resztę drogi nie odezwałam się ani słowem. Nie było trzeba. Jechaliśmy w milczeniu prosto do domu Moncady. Droga trwała nie więcej niż dziesięć minut, w tym czasie wyobrażałam sobie, co będę robić z porucznikiem na kanapie w jego mieszkaniu – przy założeniu, że ma jakąś przyzwoitą kanapę, może starą, skórzaną. Czułam już dotyk garbowanej skóry na kolanach, pośladkach, dłoniach.

Porucznik mnie nie rozczarował. Pod żadnym względem. Jego mieszkanie było dokładnie takie, jak sobie wyobrażałam: surowe wnętrze, nagie ściany, skąpe meblowanie, mikroskopijna kuchnia, która nie wyglądała na zbyt często używaną, sypialnia z olbrzymim łóżem i salon pełen porozrzucanych papierów. A pośrodku wspaniała kanapa w kształcie litery L z ruchomymi oparciami i mnóstwem poduszek. Jakby wydał wszystkie pieniądze na dwa meble: łóżko i kanapę. Tej nocy zrobimy użytek z obu. Po szybkim numerku z taksówkarzem zasługiwałam na coś bardziej wyszukanego.

– Napijesz się czegoś? – zapytał uprzejmie.

– Zawsze – powiedziałam.

Wrzucił lód do dwóch koniakówek i zalał go burbonem. Zadałam sobie pytanie, ile razy i przy ilu kobietach wykonywał te same czynności. Oczywiście było mi to absolutnie obojętne; natychmiast zwalczyłam w sobie niezdrową ciekawość. Przebiegłam wzrokiem po jego dłoniach, jego klatce piersiowej, jego brązowych oczach. Przez drzwi balkonu wpadało światło księżycy. Wszystko było idealne, aż za bardzo.

– Niech ci nie przychodzi do głowy, żeby się zakochać, poruczniku – powiedziałam. – Jakby co, uprzedzałam.

– To akurat, moja droga, jest wyłącznie moją sprawą – odpowiedział, podając mi kieliszek.

Rozpalał mnie do czerwoności.

– Ciekawa była wizyta w kasynie? – zapytał.

– Za dużo gadasz – odpowiedziałam, pociągając łyk burbona.

Posłuchał mnie. Nie odezwał się już więcej ani słowem. Objął mnie od tyłu w talii i pocałował w kark, w szyję. Odwróciłam głowę i nasze wargi wreszcie się złączyły. Poczułam jego język w moich ustach; spodobało mi się to, ten mocny smak, mieszanina alkoholu i jego własnego zapachu. Ujęłam

jego ręce i położyłam je sobie na piersiach. Ścisnął je lekko. Pozwoliłam, by prawa dłoń powoli zsunęła się po mojej piersi, brzuchu, łonie, udach. Tam się zatrzymała, delikatnie, a jednocześnie zdecydowanie. Uniósł moją spódnicę i jednym stanowczym ruchem ściągnął mi majtki – wiedział, jak to zrobić.

Pierwszy raz – choć nie należy traktować tego jako precedensu – pozwoliłam mu przejść inicjatywę. Zatraciłam się pośród jego pieszczot i pocałunków, dałam się ponieść, myślę, że nawet na chwilę o wszystkim zapomniałam, albo prawie o wszystkim, co w moim przypadku było niemalże cudem.

Odgłos naszych kroków niósł się echem po ulicy i wracał do nas z wielokrotnością. Zegar na placu Trinidad wskazywał 5.40 rano. Ulice były niemal wyludnione. Dostrzegłam tylko kilku niereformowalnych balangowiczów (których, niestety, coraz rzadziej spotyka się w Madrycie) i jakiegoś rannego ptaszka wychodzącego z bramy; w oddali zobaczyłam nawet dwie dziewczyny w legginsach i adidasach wybierające się na jogging. Asfalt był mokry, pewnie kilka minut wcześniej przejechała polewaczka. Dobięły nas daleki odgłos syreny i szczekanie psa.

Przeszliśmy z porucznikiem przez ulicę, kierując się w stronę mojego domu. Poprosiłam go, żeby mnie odwiózł; nie chciałam u niego nocować, następnego dnia czekało mnie dużo pracy. Nadal czułam w ciele ślad Moncady. Nie lubię się przechwalać, ale jeśli mam być szczerą, ustawiliśmy poprzeczkę bardzo wysoko: to była pełna sesja dobrego seksu, takiego, który zaskakuje i hipnotyzuje, który sprawia, że zaczynasz się zastanawiać, dlaczego tracisz czas na robienie czegośkolwiek innego. Porucznik zachował się najpierw jak wieprz, a potem jak dżentelmen – co jest wspaniałym połączeniem – dbając, byśmy oboje doznali rozkoszy. Nie spieszyliśmy się. Kiedy skończyliśmy, szybko odwiózł mnie do Madrytu, a nawet zaparkował w pobliżu mojego domu, żeby odprowadzić mnie pod drzwi.

Odgłos mojej laski stukającej o chodnik rozchodził się po całym placu. Nie przystając, Moncada powiedział:

– Ktoś nas śledzi.

Odruchowo zacisnęłam dłoń na rączce laski. Zamierzałam się odwrócić, ale natychmiast mnie powstrzymał:

– Nie oglądaj się. Odkąd wysiedliśmy z samochodu, ktoś za nami idzie. Niewykluczone, że na ciebie czekał.

– Kurwa.

Nie wystarczyło im to w garażu? Będą mnie dalej tłuc, aż zrozumie,

o ile w ogóle było coś do zrozumienia? Pierwszą osobą, o której pomyślałam, był Felipe. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak krąży w środku nocy wokół mojego bloku; teraz mieszkał sam, nie musiał się nikomu tłumaczyć. Przyznaję, że obecność Moncady podniosła mnie na duchu. Nie byłam gotowa na kolejne pobicie, jak to w Boże Narodzenie.

– Co robimy? – zapytałam.

– Zwolnij kroku i idź dalej, jak gdyby nigdy nic.

– Nie powinniśmy przyspieszyć?

– Chcę, żeby ten skurwiol podszedł bliżej. Kiedy skręcimy za róg, spróbuję go przyskrzyńić.

Kontynuowaliśmy tę – nazwijmy to – przechadzkę. Na naszych twarzach malowało się napięcie. Bezskutecznie próbowałam wyłapać jakiś dźwięk za plecami. Słyszałam jedynie odgłos naszych kroków i stukot laski, której zamierzałam użyć, jeżeliby zaszła taka potrzeba. Dochodziliśmy już do mojego bloku; jeszcze kilka metrów i skręcimy za róg.

– Nie zatrzymuj się za zakretem – szepnął porucznik. – Niech myśli, że idziemy dalej. Ja się nim zajmę.

– Coś mu zrobisz?

– Niewykluczone.

Moncada szedł od strony bloku. Gdy tylko skręciliśmy za róg, zatrzymał się i przywarł do ściany, częściowo ukryty za metalową roletą perfumerii, która mieściła się w tym budynku, odkąd sięgałam pamięcią. Zaczaił się na tego, kto nas śledził, ja zaś poszłam dalej, starając się stukać jak najgłośniejszymi obcasami. Nie podobała mi się rola przynęty, ale nie widziałam innego wyjścia. Postanowiłam uwierzyć, że za kilka sekund wszystko się wyjaśni i może złapiemy łajdaka, który mnie pobił. Zaczęło mi walić serce, mięśnie miałam napięte. Kolejny krok ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Jeszcze jeden. Czas płynął bardzo wolno. Nie wiedziałam, czy powinnam się odwrócić, czy iść dalej, nie wiedziałam, co w ogóle mam robić. Może napastnik się połapał i dał nogę, może to on zaskoczył porucznika, może jest uzbrojony. Jeszcze jeden krok.

Rozległo się łupnięcie, a zaraz potem krzyk. Odwróciłam się szybko i zobaczyłam, że Moncada z całej siły uderza kimś o roletę. Trzymał go za

szyję i walił jego głową o metal. Tamten nawet nie próbował się bronić, starał się jedynie złapać oddech i wydawał z siebie zduszone płaczliwe krzyki.

– Co robiłeś, skurwielu? Lubisz śledzić kobiety? Lubisz je bić? – pytał Moncada, raz po raz uderzając głową mężczyzny o roletę, zaciskając palce wokół jego szyi, która wyglądała na coraz bardziej spuchniętą, jakby miały w niej pęknąć żyły.

Nie byłam pewna, czy powinnam się wtrącać. Kiedy ochłonęłam, podeszłam bliżej i zobaczyłam, że twarz mężczyzny zalana jest krwią.

– Przestań, wystarczy – powiedziałam.

Porucznik mnie nie posłuchał, był jak w transie, przewrócił tamtego na ziemię i z całej siły kopnął go w twarz. Chodnikiem spłynął strumyczek krwi.

– Moncada, przestań, zabijesz go! – krzyknęłam.

Tym razem na mnie spojrzał i znieruchomiał. Potem odwrócił się w stronę mężczyzny, który leżał na chodniku i zasłaniał twarz rękami, drżąc i jęcząc. Popatrzyłam na niego. To na pewno nie Felipe. To był ktoś znacznie młodszy i znacznie chudszy. Miał na sobie dżinsy, T-shirt i kurtkę. Wydało mi się, że płacze.

– Będziesz musiał wyjaśnić parę rzeczy na komisariacie, młody – powiedział porucznik. – Trzeba być skurwielem, żeby...

Bez ceregieli wymierzył mu kopniaka w brzuch. Złapałam go za rękę.

– Wystarczy – szepnęłam.

– Nie, nie wystarczy – odpowiedział. – Kurwa, to ty mogłaś teraz leżeć i wykrwawiać się na ziemi.

Wystraszyła mnie wściekłość, z jaką pobił chłopaka i jaka przebijała z jego słów. Dobrze znałam tego rodzaju wybuchy, doświadczyłam ich wiele lat wcześniej ze strony Ramira. Rozumiem, że z racji wykonywanej pracy policjanci na co dzień obcują z przemocą, a poza tym Moncada działał w obronie własnej (a ściśle mówiąc – w mojej), mimo to odrzucało mnie jego irracjonalne, prymitywne zachowanie. Kiedy kopał leżącego na ziemi chłopaka, dostrzegłam wystający spod kurtki pistolet. Gdyby sprawy się skomplikowały, na pewno bez wahania by go wyciągnął; jego spojrzenie mówiło, że nie zamierzał się certolić. Zaczęłam się zastanawiać, ile razy użył

broni, czy kiedykolwiek do kogoś strzelał, czy zabił człowieka, co wtedy czuł.

– Jakiś problem? – zapytał kierowca taksówki, który zatrzymał się kilka metrów od nas na światłach i z niepokojem obserwował całą scenę, nie mając jednak odwagi wysiąść z samochodu ani nawet wyłączyć silnika.

– Wszystko w porządku, dziękuję – powiedział Moncada, pokazując odznakę. – Gwardia Cywilna.

Taksówkarz skinął dłonią i odjechał. Chłopak poruszył się na ziemi, wydając kolejny jęk.

– Kojarzysz go skądś? – zapytał porucznik.

– Chyba nie – odpowiedziałam, starając się go sobie przypomnieć.

Przyjrzałam mu się ze smutkiem. To był jeszcze dzieciak, cherlawy, wystraszony, na pierwszy rzut oka nieszkodliwy.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

Chłopak podniósł wzrok, z trudem wsparł się na ręce i usiadł, odsłaniając wreszcie twarz. Splunął krwią zmieszaną z żółcią. W tym momencie go rozpoznałam. Cofnęłam się.

– Co ty tu robisz, do cholery? – zapytałam.

– Znasz go? – zdziwił się Moncada.

– Poznałam go wczoraj po południu na terapii dla hazardzistów; nawet nie wiem, jak się nazywa – odpowiedziałam.

To był chudy, przyszczaty chłopak, który na spotkaniu w Almie opowiadał o swoich urodzinach.

– Ten skurwysyn złamał mi nos – powiedział bliski płaczu.

– Uważaj na słowa, jeśli nie chcesz, żebym złamał ci go jeszcze raz – odparł porucznik.

Chłopak miał spuchnięty nos, zakrwawioną twarz i czerwoną, wręcz fioletową szyję. Moncada podał mu chustkę.

– Zataj krew – rozkazał. – I powiedz, dlaczego nas śledziłeś.

– Nie śledziłem was, do kurwy nędzy – zaprotestował, z niechęcią sięgając po chustkę porucznika i przykładając ją sobie do nosa. Spojrzał na

mnie, jakbym ja mogła zrozumieć, co mu się przytrafiło. – Po wczorajszej sesji poszukałem twojego nazwiska w książce telefonicznej i czekałem, aż wrócisz, żeby porozmawiać o twoim bracie.

– Znałeś Alego? – zapytałam.

– Jasne, że go znałem – odpowiedział, jakby to było oczywiste. – Bardzo mi pomógł w zeszłym roku, często rozmawialiśmy, raz pożyczył mi nawet sześćset euro, żeby rodzice nie zorientowali się, że ich okradłem. Był jedną z niewielu osób, które naprawdę się mną przejmowały. Dużo mi o tobie opowiadał, był bardzo dumny z siostry, ale miał też deprechę, mówił, że wszystko spieprzył i dlatego już z nim nie rozmawiasz.

Taki właśnie był mój brat: zaciągnął gigantyczny dług, którego nigdy nie dałby rady spłacić, ale pożyczał komuś pieniądze. Nie wiedziałam, czy mam się wzruszyć, czy wściec. Zawsze kierował swoją energią nie tam, gdzie trzeba, zawsze podejmował błędne decyzje, jedna za drugą, a mimo to ludzie go uwielbiali.

– Co chciałeś mi powiedzieć? – zapytałam.

– W stowarzyszeniu mówi się, że potrzebujesz świadków, którzy zeznawaliby przeciwko kasynu – wyszeptał z przekonaniem, przyciskając do nosa chustkę. – Ja mogę zeznawać, wiem dużo, mogę opowiedzieć wszystko, co mu robili, jak na niego naciskali, rozmawiałem z nim niemal codziennie, słyszałem o wielu rzeczach.

Nie wiedziałam, czy będę mogła wykorzystać tego chłopaka jako świadka, ale, tak czy siak, miło, że dla odmiany ktoś był gotów z nami współpracować.

– Wszystko to brzmi bardzo rzewnie i bardzo ciekawie – wtrącił Moncada – ale nadal nie rozumiem, co robisz o tej porze na ulicy, śledząc nas jak zwykły przestępca. Nie mogłeś zaczekać do rana?

– Właśnie że nie mogłem, cwaniaczku – powiedział chłopak. – To przez to całe głędzenie o poufności. W zasadzie nie możemy opowiadać o niczym, co dzieje się w stowarzyszeniu, ani o tym, o czym rozmawiamy między sobą. Mnie jest wszystko jedno, jestem gotów złamać zasady, ale nie chciałem, żeby ktoś mnie widział, dlatego przyszedłem w nocy, czekałem na tamtej ławce. Zobaczyłem, że przyjechaliście, wystraszyłem się, nie wiedziałem, kim jesteś, nie spodobała mi się twoja gęba, nie miałem pojęcia, co robić.

– Chujkowi nie podoba się moja gęba – wycedził porucznik.

– A na dodatek uciekłem z domu i nie miałem dokąd pójść – powiedział chłopak.

– Jak to, uciekłeś z domu? – zapytałam.

– To znaczy nie uciekłem; po prostu wyszedłem i nie wróciłem – powiedział zdenerwowany. – Pokłóciłem się ze starymi, zwłaszcza z ojcem, on nic nie rozumie.

– Kiedy to się stało?

– Po sesji, podczas kolacji – ciągnął. – Powiedziałem im, że byłem w kasynie, ale nie grałem, i ojciec się wkurzył. Chyba się mnie wstydzi. Mówi, że to moje granie to nie żadna choroba, po prostu jestem idiotą i dlatego przegrałem tyle kasy, i że dalej będę przegrywał, ale on nie zamierza więcej za mnie płacić, czas, żebym oprzytomniał, jestem już pełnoletni. Może i ma rację, ale nie lubię, kiedy na mnie krzyczy, więc trzasnąłem drzwiami i wyszedłem, i nie zamierzam wracać.

– Co było potem?

– Zadzwoiłem do mojego kumpla Josete. Powiedział, że nie mogę u niego zostać, że to nie jest najlepszy moment. Więc zadzwoniłem do Almy. Długo rozmawialiśmy, dyżurny psycholog poradził mi wreszcie, żebym wrócił do domu i spróbował na spokojnie pogadać z rodzicami. Prawdę mówiąc, zastanawiałem się nawet, czy go nie posłuchać, przede wszystkim ze względu na matkę. Miałem od niej milion esemesów i nieodebranych połączeń, ale nie byłem do końca przekonany, więc poszwendalem się trochę po mieście i pomyślałem, że porozmawiam z tobą. Dlatego czekałem na placu. Skoro mam być świadkiem koronnym i tak dalej, to może znalazłabyś mi jakieś lokum; twój brat mówił, że pomagasz ludziom.

A to dobre, chłopak był nieźle popapwany, kłębek sprzeczności. Pełen dobrych intencji – przynajmniej tak mi się wydawało – ale kompletnie zagubiony.

– Jak się nazywasz? – zapytałam.

– Andrés – odparł. – Admira.

– Posłuchaj mnie uważnie, Andresie Admiro – powiedziałam stanowczym tonem. – Nie jesteś już dzieckiem, skończyłeś osiemnaście lat i jak

widziałam, wychodzisz z piekła. Nie uważam, żeby zeznawanie w procesie przeciwko kasynu było dla ciebie najlepszym pomysłem. Przemyślę to i zadzwonię do ciebie, jeżeli będę miała jakieś pytania. To wszystko. Teraz porucznik zabierze cię na oddział ratunkowy, żeby zbadali ci nos; nie wygląda dobrze. Potem odwiezie cię do domu i wyjaśni rodzicom, że zaszło nieporozumienie. Jestem pewna, że kiedy matka zobaczy cię w takim stanie, porządnie się wystraszy.

– Ja?! – wykrzyknął zaskoczony Moncada. – Nie jestem niańką, no i nie podoba mi się ten gówniarz.

– Ty też mi się nie podobasz – odpowiedział Andrés. – I mówiłem już, że nie chcę wracać do domu.

– Pójdiesz, gdzie ci każą – odparł porucznik.

– Tylko spróbuj mi kazać – postawił się czupurnie chłopak.

– Dostyc tych wygłupów – ucięłam dyskusję, podnosząc rękę. – Pojedziecie teraz obaj grzecznie do szpitala Doce de Octubre, tu niedaleko. A potem, kiedy już dobrzy lekarze z naszej kochanej publicznej służby zdrowia zrobią swoje, porucznik odwiezie cię do domu. Przynajmniej w ten sposób będzie się mógł zrehabilitować za to, że skopał ci tyłek i zrobił z gęby jesień średniowiecza. Jeżeli dowiem się, że któryś z was zachował się, nie tak jak powinien, przysięgam, że będę grzmocić tą laską w wasze łby tak długo, aż wam popękają. Macie to jak w banku.

Obaj zamilkli. Mimo że ledwo go znałam, polubiłam Andresa, nie miałam jednak czasu ani siły, żeby wziąć pod swoje skrzydła kolejną zbłąkaną duszę.

– Zgoda, zawiozę cię na oddział ratunkowy – ustąpił Moncada. – Przy okazji pogadamy. Nie jestem do końca przekonany, nie kupuję tej gadki, że niby czałeś się tylko po to, żeby zaoferować pomoc.

– Odpuść trochę, proszę – powiedziałam.

– Spróbuję, ale nie mogę obiecać, że znowu mu nie przywalę – stwierdził.

– Ja też nie mogę tego obiecać – odparł Andrés.

Odwróciłam się plecami i ruszyłam w stronę wejścia do bloku. Ci dwaj mężczyźni, na pozór tak różni, w rzeczywistości byli siebie warci – uparci, przekonani o własnej racji, zmagający się ze sobą i z resztą świata, agresywni, a na domiar złego obaj zapałali do mnie sympatią, z różnych

powodów i na różne sposoby. Ogarnęło mnie przeczucie, że obydwaj – każdy inaczej – odegrają decydującą rolę w sprawie przeciwko kasynu. Oczywiście niektórzy nie wierzą w przeczucia, ale to już ich problem.

Było tak duszno, że ledwo dało się oddychać. Mężczyzna, na którym skupiła się uwaga wszystkich, spływał potem. Przetarł czoło chusteczką i sapnął parę razy.

– Nie jestem zdenerwowany, Wysoki Sądzie – usprawiedliwił się – po prostu mam mały problem z nadmierną potliwością. To częste w naszej rodzinie; chodzi o to, że mój organizm w niekontrolowany sposób produkuje nadmiar potu, żeby uregulować temperaturę ciała.

– W tym sądzie nie zajmujemy się potliwością, panie Santonja – odpowiedziała spokojnie sędzia. – Proszę przysunąć się bliżej mikrofonu.

– Tak, Wysoki Sądzie.

Emiliano Santonja, słynny Czyngis-chan, wielki szef, od ponad godziny składał zeznania. Do perfekcji opanował sztukę wyrzucania z siebie potoku słów bez treści. Na widok jego opalenizny z solarium i naželowanych włosów przeszły mnie ciarki: wyglądał na kogoś pomiędzy wyniszczonym imprezami sześćdziesięcioletnim playboyem a zbrojeńcem, którego właśnie zwinięto spod bramy szkoły.

Znów znajdowaliśmy się w gabinecie Huarte. Najwidoczniej sędzia była bardzo przywiązana do tych czterech ścian. Uważała, że wykorzystywanie sali sądowej do tego rodzaju przesłuchań byłoby marnotrawstwem. Panował jeszcze większy ścisk niż zwykle. W pokoju zgromadziło się trzynaścioro prawników i Santonja – siedział pośrodku przed małym dyktafonem, który położyła przed nim Julita. Nowością było to, że tym razem pojawił się sam Jordi Barver, który zajął miejsce obok Cristiny Tomé.

Barver już jakiś czas temu zrezygnował z praktyki sądowej i ograniczył się do roli guru podczas wielkich fuzji i milionowych transakcji. Jego obecność jednoznacznie świadczyła o tym, jak ważna jest dla niego ta sprawa. Przypuszczam, że chciał też uspokoić Gran Castillę, pokazać, że jego kancelaria daje z siebie wszystko. Ubrany był w ciemnoszary włoski garnitur

z kamizelką, a jego krawat i czarne buty wyglądały tak, jakby kupił je tego ranka. Miał krótko ostrzyżone włosy, siwe na skroniach. Mogłabym się założyć, że wydaje na garderobę i wygląd więcej niż reszta obecnych razem wzięta; może dorównywał mu tylko Santonja. Byli w zbliżonym wieku i obaj posiadali olbrzymie fortuny, ale na tym kończyły się podobieństwa. Właściciel kasyna wyglądał jak przeciwieństwo własnego adwokata, byli dwiema stronami tego samego medalu, któremu dotąd nikt jeszcze się nie przyjrzał, w każdym razie nie w taki sposób.

Prokuratura w osobie Adeli Fernández kontynuowała przesłuchanie:

– Rozpoznaje pan swój głos na trzech nagraniach rozmów telefonicznych, których przed chwilą wysłuchaliśmy?

Emiliano wymienił spojrzenia z Tomé i Andermattem, po czym odpowiedział:

– Brzmi to jak mój głos, ale nie mam pewności. Niestety nie przypominam sobie tych rozmów.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – powiedziałam. – Pytanie nie dotyczyło tego, czy pan Santonja przypomina sobie te rozmowy, tylko czy rozpoznaje swój głos.

– Dziękuję, mecenas Tramel – odparła Huarte – ale proszę pozwolić, żeby prokuratura prowadziła przesłuchanie, tak jak uzna za stosowne. Zaraz przyjdzie pani kolej. Nie jesteśmy na sali rozpraw ani przed ławą przysięgłych, nie musi pani robić na nikim wrażenia. A pana, panie Santonja, proszę, żeby ograniczył się pan do odpowiedzi na zadawane pytania.

Gerardo i Sofía spojrzeli na mnie, prosząc, żebym zachowała spokój. Ale ja nie zamierzałam siedzieć cicho, słuchając, jak Santonja plecie, co mu ślina na język przyniesie. Prokurator przeszła do następnego pytania, nie upominając się o odpowiedź na poprzednie. Jej monotony głos i ospałość doprowadzały mnie do szału.

– Gdzie się pan znajdował, kiedy przeprowadzano z Alejandrem Tramelem każdą z tych trzech rozmów telefonicznych?

Nawet jeśli pytanie nie zostało sformułowane z jakąś konkretną intencją, mogło okazać się kluczowe. Gdyby wyszło na jaw, że dzwono w imieniu Gran Castilli, w godzinach pracy, z kasyna, sprawa nabrałaby zupełnie

innego wymiaru.

– Mówiłem już, że nie przypominam sobie tych rozmów – odpowiedział Santonja – więc zrozumie pani zapewne, że nie wiem, gdzie przebywałem, kiedy do nich doszło, jeżeli doszło. Codziennie rozmawiam z mnóstwem ludzi.

Gerardo podał mi złożoną kartkę, na której napisał: „Pierwsze nagranie: Gdybyś widział w tym momencie moje biuro”. Chodziło mu o drugą z trzech nagranych rozmów, w czasie której Santonja powiedział do mojego brata: „Gdybyś widział w tym momencie moje biuro; otaczają mnie patałachy, które nie wiedzą, co jest grane, sam muszę się wszystkim zajmować”. Było oczywiste, skąd dzwoni; głośno to przyznawał. Pomyślałam, że będę musiała później zwrócić na to uwagę – nie miałam złudzeń, że robi to prokuratura. Adela Fernández była prawdopodobnie najgorszą przesłuchującą, z jaką kiedykolwiek się zetknęłam, nie tylko ze względu na sposób, w jaki zadawała pytania, ale przede wszystkim dlatego że ściśle trzymała się przygotowanego kwestionariusza, nie modyfikując pytań w zależności od przebiegu przesłuchania. Liczyłam, że Ginés się włączy, ale on tylko uważnie się przysłuchiwał.

Jakby nie dość było potknięć, prokurator bez powodu zapytała Santonję wprost, czy w jakikolwiek sposób groził albo ubliżał Alemu, czemu ten oczywiście spokojnie zaprzeczył – i takim tonem, jakby pierwszy raz słyszał o czymś podobnym. Oświadczył, że ledwo znał pana Tramela. Na tym prokuratura zakończyła swoją rundę pytań.

Sędzia skinęła na mnie; przyszła moja kolej. Wyprostowałam się na krześle i poprawiłam maskę. Ja także rzuciłam okiem na pytania, które starannie przygotowałam razem ze współnikami. Przebiegłam je wzrokiem, zgmiotłam kartkę i wyrzuciłam ją do stojącego obok kosza.

– Panie Santonja – zaczęłam – na jakich zasadach kasyno w Robredo udziela klientom kredytów? Istnieje jakiś protokół postępowania, zgodnie z którym jedni gracze je dostają, inni zaś nie?

Moje pytanie najwyraźniej go zaskoczyło; spojrzeniem poprosił Barvera o pomoc.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – powiedziała pospiesznie Cristina Tomé.

– Z jakiego powodu, jeśli można wiedzieć? – zapytała sędzia.

Prawniczka poruszyła się niespokojnie na krześle. Zgłosiła sprzeciw, bo nie przećwiczyli z klientem odpowiedzi na to pytanie i było im ono nie na rękę, ale nie mogła się do tego przyznać.

– Dlatego, że pan Santonja – wymamrotała, próbując wymyślić coś na poczekaniu – nie zajmuje się takimi rzeczami, to nie leży w jego kompetencjach, i dlatego, że pytanie zostało zadane w celu zmanipulowania mojego klienta, przede wszystkim jednak nie ma ono związku ze sprawą, którą się tutaj zajmujemy. Kasyno ma prawo do udzielania kontrolowanych, bezpiecznych pożyczek klientom, odkąd weszły w życie dyrektywy Wspólnoty Madrytu, i nie jest to żadne przestępstwo.

– Nikt nie powiedział, że jest to przestępstwo czy wykroczenie – odpowiedziałam – chociaż było tak jeszcze do niedawna i nadal jest na terenie niektórych wspólnot autonomicznych, gdzie taką działalność traktuje się jako nakłanianie do hazardu. Pożyczanie pieniędzy klientom, żeby grali o stawki przekraczające ich możliwości finansowe, jest karalne w wielu miejscach w naszym kraju.

– Ani Gran Castilla, ani żaden z jej pracowników nie łamie obowiązujących przepisów – podkreśliła Tomé.

– A są to przepisy odrażające – wtrąciłam – które zachęcają do gry i które zostały wprowadzone przez władze autonomiczne po to, żeby ściągnąć do naszego kraju międzynarodowe kasyna. Nic innego się dla nich nie liczyło.

Kiedy kilka lat temu wybuchło zamieszanie z Eurovegas, Wspólnota Madrytu wyciągnęła z rękawa specjalne przepisy dla ośrodków gier, zezwalające między innymi na wydzielanie stref dla palących oraz na grę na kredyt, rzeczy do tej pory nie do pomyślenia.

– Mecenas Tramel, proszę, by na przyszłość powstrzymała się pani od tego rodzaju uwag, w przeciwnym razie będę zmuszona panią ukarać – zabrała wreszcie głos Huarte. – Jeśli zaś chodzi o panią, mecenas Tomé, nie wiem, czy dobrze zrozumiałam. Naprawdę uważa pani, że zasady, według których kasyno w Robredo udziela pożyczek, nie mają związku z tą sprawą? Wprawia mnie pani w osłupienie; nawet nie potraktuję poważnie pani sprzeciwu. Trochę więcej dyscypliny. Proszę odpowiedzieć na pytanie, panie Santonja.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie, ale już nie pamiętam – wymówił się.

W gabinecie rozległy się szepty i śmiechy.

– Mecenas Tramel, niech pani sformułuje pytanie w taki sposób, żeby nie zakładało z góry czegoś, co nie zostało udowodnione.

– Oczywiście, Wysoki Sądzie, bardzo dziękuję – powiedziałam. Spojrzałam na świadka, a zarazem głównego oskarżonego, który patrzył przed siebie, jakbym nawet nie zasługiwała na jego uwagę. – Panie Santonja, pytanie brzmi: według jakiego protokołu kasyno w Robredo udziela pożyczek swoim klientom?

– Nic mi nie wiadomo o żadnym protokole – odpowiedział.

– Czy to, że nic panu o nim nie wiadomo, oznacza, że nie istnieje?

– Nic mi nie wiadomo oznacza ni mniej, ni więcej, tylko to, co powiedziałem, czyli że jeśli istnieje, ja nic o tym nie wiem.

– Jest pan głównym udziałowcem firmy, a także prezesem zarządu, a mimo to nie zna pan protokołu postępowania w tak podstawowej kwestii?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Santonja się zaparł i nie było szans, że go ruszę. Oczywiście sukces pozwu nie zależał od jego zeznań; nikt nie oczekiwał, że do wszystkiego się przyzna. Warto było jednak zadać mu kilka niewygodnych pytań i pokazać sędzi, że coś ukrywa.

– Jakimi kryteriami kierowało się kasyno w Robredo, przyznając Alejandrowi Tramelowi kolejne pożyczki, o których firma sama poinformowała w pozwie z żądaniem spłaty długu, wniesionym przeciwko jego spadkobiercom?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Poprosił go pan o jakieś poręczenie? O zaświadczenie o dochodach?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Czy były to nieograniczone pożyczki, przyznawane osobie nieposiadającej środków ze świadomością, że nie będzie ona zdolna ich spłacić?

– Może mnie pani o to pytać tyle razy, ile będzie pani chciała, i w sposób, jaki uzna pani za stosowny – powiedział Santonja i wreszcie rzucił mi wyzywające spojrzenie – ale prawda jest taka, że nie wiem nic o kredytach,

jakich udzieliło Alejandrowi Tramelowi kasyno w Robredo, ani o protokole, jakim się kierowało, o ile jakimś się kierowało.

– Kto udziela pożyczek w kasynie w Robredo?

Nastąpiła kolejna pauza, w czasie której Santonja spojrział na swoich licznych prawników. Chyba Tomé dała mu znak, żeby odpowiedział.

– Teoretycznie dyrektor kasyna.

To było dla niego doskonałe rozwiązanie: zrzucić całą odpowiedzialność na nieżyjącego Menendezza Ponsa.

– Nigdy nie udzielił pan osobiście kredytu żadnemu graczowi?

– Może raz czy dwa, nie jestem pewien. W zasadzie nie wchodzi to w zakres moich kompetencji, ponadto jestem człowiekiem niezwykle zajęтым, nie pamiętam.

– Czy dzwoni pan osobiście do zadłużonych graczy, żeby żądać od nich spłaty zaległych długów?

– Dzwonienie do klientów jest niezgodne z polityką kasyna.

– To, że jest niezgodne z polityką, oznacza, że nigdy tego państwo nie robią?

– Nie mogę wiedzieć, co robi każdy z moich pracowników.

– A czy pan dzwoni bezpośrednio do graczy?

– Nie przypominam sobie. Może kiedyś zadzwoniłem, między ludźmi nawiązują się relacje, wie pani.

– Nie, nie wiem, panie Santonja. Może pan mi to wyjaśni. Dlaczego dzwonił pan do Alejandra Tramela i groził mu, żądając spłaty długu?

– Sprzeciw! – wyrwała się natychmiast Tomé, jak było do przewidzenia.

– Mecenas Tramel, wie pani doskonale, że nie wolno pani tego robić – skarciła mnie Huarte.

– Proszę wybaczyć, Wysoki Sądzie – uśmiechnęłam się. – Zapytam inaczej: w jakim celu co najmniej trzykrotnie dzwonił pan do pana Tramela, jak słyszeliśmy na nagraniach?

– Nie pamiętam.

– Nie pamięta pan, że do niego dzwonił, czy nie pamięta pan, po co to

robił?

– Żadnej z tych rzeczy.

– Kiedy, jak słyszeliśmy na nagraniach, przypomina pan panu Tramelowi, że musi zapłacić to, co jest winien, co pan ma na myśli?

– Nie pamiętam. Mówiłem już, że ten głos brzmi jak mój, ale jeżeli to faktycznie ja przeprowadziłem te rozmowy, to nie pamiętam ich treści.

– Przecież wysłuchał ich pan kilka minut temu, nie każę panu wysilać pamięci, proszę jedynie, żeby wyjaśnił nam pan, dlaczego Alejandro Tramel powtarza panu wielokrotnie, cytując: „Przysięgam ci, że zapłacę”.

– Nie wiem, dlaczego miałyby powiedzieć coś takiego, nie pamiętam kontekstu tej rozmowy, zakładając, że rzeczywiście...

– Wiem, wiem, zakładając, że rzeczywiście do niej doszło – przerwałam mu. Spojrzałam na kartkę, którą podał mi Gerardo. – Inna sprawa. Co miał pan na myśli, mówiąc: „Gdybyś widział w tym momencie moje biuro; otaczają mnie patałachy, które nie wiedzą, co jest grane, sam muszę się wszystkim zajmować”?

– Nie pamiętam.

– Dlaczego musiał się pan sam wszystkim zajmować?

– To tylko taki sposób wyrażania się, nie pamiętam, dlaczego miałbym coś takiego powiedzieć, jeśli powiedziałem.

– Co działo się w biurze „w tym momencie”?

– Czy ja wiem, pewnie to samo, co zawsze, ludzie pracowali, jak zwykle o tej porze.

– O jakiej porze?

Zapadła cisza. Santonja popełnił błąd, przyznając pośrednio, że prowadził rozmowę z biura. Spojrzał na Tomé i na Andermatta. Barver wbił w niego wzrok. Zapędził się w ślepią uliczkę. Nagrania nie zostały jeszcze dopuszczone jako dowód, nie nadszedł raport biegłych, na który tak czekaliśmy, ale jeżeli oskarżony przyznałby wprost albo nie wprost, że rozmowy rzeczywiście miały miejsce, a co więcej, że dzwoniło z pomieszczeń Gran Castilli, zrobilibyśmy gigantyczny krok naprzód.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – postanowiła interweniować Tomé – mój

klient powiedział już wyraźnie, że nie przypomina sobie, żeby prowadził te rozmowy, więc tym bardziej nie pamięta, o której godzinie ani skąd miałby dzwonić.

– A jednak przed chwilą powiedział „jak zwykle o tej porze” – zauważyłam – jakby był doskonale świadom tego, o której godzinie miała miejsce rozmowa z Alejandrem Tramelem, i jakby dawał nam do zrozumienia, że dzwonił ze swojego biura.

– Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan współpracować z sądem i odpowiadał na zadawane pytania – oznajmiła Huarte. – Bardzo by to nam wszystkim pomogło, gdyby podał pan szczegóły dotyczące przybliżonej godziny i miejsca, z którego prowadził pan rozmowy z panem Tramelem.

– Mój klient oczywiście z radością i ochotą współpracuje z sądem – odparła Tomé – ale mimo gierek słownych i nacisków mecenas Tramel pan Santonja jasno stwierdził, że nie pamięta absolutnie niczego, co miałyby związek z rzekomymi rozmowami, nawet tego, że je przeprowadził.

– Na razie tylko składa pan zeznania, to jeszcze nie jest przesłuchanie ani proces, panie Santonja – wyjaśniła sędzia. – Może pan nie odpowiadać, jeżeli takie jest pańskie życzenie. Jeśli jednak decyduje się pan udzielać odpowiedzi, prosiłabym, żeby był pan trochę bardziej precyzyjny. Nie pamięta pan nic, co dotyczyłoby tych nagrań?

– Nie, Wysoki Sądzie – odpowiedział Santonja ponuro. – Nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu rozmawiałem przez telefon z Alejandrem Tramelem, a jeżeli tak, to tego nie pamiętam.

Huarte skinęła głową, jakby odnotowywała w pamięci jakiś szczegół, który kiedyś mógłby okazać się sprzeczny z zeznaniami.

– W porządku – powiedziała. – Będę wdzięczna, jeżeli mecenas Tramel zamknie ten wątek przesłuchania i przejdzie do kolejnych pytań, o ile takowe ma.

– Jak Wysoki Sąd sobie życzy – odparłam. Po chwili namysłu doszłam jednak do wniosku, że mogłabym osiągnąć ten sam cel, przyjmując inną taktykę. – Panie Santonja, ponieważ wygląda na to, że nie pamięta pan niczego z przeszłości, zapytam pana, czy obecna polityka kasyna w Robredo zakłada pożyczanie pieniędzy klientom, żeby mogli grać, a jeśli tak, na jakich zasadach się to odbywa.

– Nie wiem.

– Nie wie pan, czy polityka pańskiej firmy zakłada pożyczanie pieniędzy klientom?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – włączyła się znowu Tomé – mój klient już odpowiedział na to pytanie.

– Wydaje mi się, że „nie wiem” nie jest odpowiedzią – odparłam.

– Obawiam się, że to, co się pani wydaje, nie ma najmniejszego znaczenia – powiedziała Tomé.

– Wystarczy, drogie panie – przerwała nam Huarte. – Postawmy sprawę jasno, pani Tramel. Nie może pani domagać się, aby oskarżony opowiadał o tym, czego – jak twierdzi – nie wie, nawet jeśli wszystkich nas dziwi taka postawa. Jeżeli nie ma pani dowodów na to, że jest inaczej, bardzo proszę, żeby przeszła pani do kolejnego pytania.

Uznałam, że później będę miała jeszcze na to czas. Postanowiłam zmienić strategię.

– Kiedy Alejandro Tramel powiedział panu, że chodzi na terapię, żeby zerwać z hazardem?

– Sprzeciw, domniemanie – wyrwał się tym razem Andermatt. Latający Holender też musiał zarobić na swoje honorarium. – Nie zostaliśmy poinformowani, że pan Tramel uczęszczał na terapię, a tym bardziej że podzielił się tą wiadomością z oskarżonym.

Zgodnie z tym, co wcześniej przygotowaliśmy, Gerardo czym prędzej wyciągnął z teczki dokumenty i szybko odpowiedział:

– Wysoki Sądzie, proszę dopuścić jako dowód dokumenty sto trzydzieści osiem A, B, sto trzydzieści dziewięć A, B i sto czterdzieści A, B, których kopie zostały dostarczone stronom dziś rano i które poświadczają, że pan Tramel uczęszczał na terapię w ośrodku leczenia osób uzależnionych od hazardu Alma mieszczącym się na terenie strefy przemysłowej Valdesol.

Chociaż kierownictwo Almy nie było skłonne udostępnić mi jakichkolwiek informacji o tym, co mój brat opowiedział podczas spotkań, Gabriel Brandariz zgodził się w końcu podpisać zaświadczenie, potwierdzające, że Ale poddawał się terapii. Dzięki temu mogłam podtrzymać tezę o chorobie Alejandra, ważne było też wrażenie, jakie ta

wiadomość wyrze na prezesie i spółce. Mogli stracić nerwy i zacząć snuć domysły na temat rzekomych sekretów kasyna, jakie Ale wyjawiał licznym świadkom. Zamierzałam trzymać ich w niepewności i zobaczyć, dokąd mnie ten trop zaprowadzi.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Autentyczność tych dokumentów nie została potwierdzona w obecności notariusza przez osoby, które je wydały – powiedział Andermatt. – Mecenias Tramel nie może opierać pytań na tych nowych dowodach.

– Podtrzymuję – ustąpiła Huarte. – Mecenias Tramel, dopóki te świadectwa nie zostaną potwierdzone przez sąd, nie może się pani do nich odwoływać podczas przesłuchania. Przypominam, że to jest tylko wysłuchanie stron na potrzeby śledztwa. Zważywszy na wybiegi, do których się państwo uciekacie, mam wrażenie, że zarówno jedna, jak i druga strona stale o tym zapominają, chyba że jest to próba sił przed zawarciem ugody pozasądowej. Jeśli tak, byłabym wdzięczna, gdyby jak najszybciej doszli państwo do porozumienia, zaoszczędzając nam czasu i pieniędzy. Tak czy inaczej, jeżeli mamy ruszyć z miejsca, proszę, żeby zostawili państwo podchwytliwe pytania i wodolejstwo na czas procesu.

Jedną z osób obecnych w gabinecie widziałam wcześniej tylko raz. Był to niezwykle szczupły, wyelegantowany mężczyzna z cienkim wąsikiem i pieprzykiem na czole. Adwokat towarzystwa ubezpieczeniowego, Esteban Pardo. Siedział cicho w kącie przy drzwiach i uważnie się przysłuchiwał jakby nieobecny duchem, z miną człowieka, który nie skrzywdziłby nawet muchy – wilk w owczej skórze. Kiedy sędzia wypowiedziała słowa „ugoda pozasądowa”, wyraźnie się ożywił. Porozumienie pozwalające uniknąć procesu musiało być dla niego doskonałym rozwiązaniem – jego misją było zaoszczędzić pieniądze firmy. My mieliśmy dokładnie przeciwny cel. Mogli zapomnieć o ugodzie. Nie chcieliśmy ich pieniędzy (a raczej chcieliśmy nie tylko ich): ze wszystkich sił pragnęliśmy, by stało się zadość sprawiedliwości, by Emiliano Santonja trafił za kratki i zapłacił za wszystkie wyrządzone krzywdy.

Teraz chciałam go jeszcze trochę przycisnąć, bynajmniej nie odsłaniając wszystkich kart. Jak słusznie zauważyła Huarte, należało je zostawić na czas procesu.

– Utrzymywał pan osobiste relacje z Alejandrem Tramelem? – zapytałam.
– Znałem go z kasyna, był jednym z klientów.
– Ma pan prywatne numery telefonów wszystkich swoich klientów?
– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – powiedziała Tomé. – To jest pytanie podchwytliwe.

– Zapytam inaczej. Panie Santonja, do ilu klientów ma pan prywatny numer?

– Do niektórych może mam, nie jestem pewien.

– Czy mógłby pan z łaski swojej uściślić? Do ilu klientów kasyna w Robredo ma pan prywatny numer? Do jednego, do dziesięciu, do stu?

Zdezorientowany Santonja ponownie spojrzął na swoich prawników, którzy tym razem nie zaprotestowali, co oznaczało, że ma wolną rękę i może udzielić odpowiedzi.

– Jakichś dziesięciu – powiedział. – Nie liczyłem.

– Ilu klientów odwiedza rocznie kasyno w Robredo?

– Około pół miliona. Może więcej.

– Załóżmy, że – jak sam pan powiedział – ma pan numery telefonu do dziesięciu klientów, a nawet dwudziestu czy trzydziestu, może pięćdziesięciu. Jeżeli dobrze policzyłam, to jakaś jedna setna procent wszystkich. Można by więc powiedzieć, że Alejandro Tramel był bardzo szczególnym klientem, należącym do tej jednej setnej procent.

– Zakładając, że miałbym jego prywatny numer.

– A nie miał go pan? Jak w takim razie mógł pan do niego dzwonić?

– Jak już wielokrotnie powtarzałem, nie przypominam sobie, żebym do niego dzwonił.

– Czy na liście kontaktów telefonu komórkowego, który ma pan teraz przy sobie, znajduje się prywatny numer Alejandra Tramela?

Zapadła cisza. Prawnicy otaczający Santonję poruszyli się niespokojnie.

– Znajduje się, panie Santonja?

– Nie wiem, ja nie...

– Mógłby pan z łaski swojej wyjąć telefon z kieszeni i sprawdzić?

– Sprzeciw! – zaprotestowali jednocześnie Cristina Tomé i Hans Andermatt.

– To niedopuszczalne – powiedziała Tomé oburzona. – Mecenas Tramel wywiera nacisk na pana Santonję.

– Nęka go – dodał Andermatt.

– Tak się składa, że świadek jest też głównym oskarżonym, doskonale zna fakty, mimo to nie pamięta, że dzwonił do Alejandra Tramela, nie wie nawet, czy ma jego numer telefonu, który byłby niezbędny, żeby mu grozić i stosować wobec niego przymus, a na tym właśnie opiera się ten pozew. Możemy od razu w prosty sposób wyjaśnić tę kwestię, Wysoki Sądzie. –

Zwróciłam się do Santonji, najoschlej jak potrafiłam: – Ma pan numer Alejandra Tramela na liście swoich kontaktów czy nie?

Wszyscy wiedzieliśmy, co się stanie, jeżeli tamten wyjmie telefon i przeszuka listę kontaktów: pojawią się na niej nazwisko i numer mojego brata. Chyba nikt nie miał co do tego wątpliwości.

Huarte, jak zwykle opanowana, spojrzała na oskarżonego i powiedziała:

– Nie musi pan odpowiadać ani pokazywać swojego telefonu komórkowego. Nie ma pan takiego obowiązku. Jeżeli wyjmie pan telefon i udostępni nam wszystkim listę kontaktów, będzie to pana dobrowolna decyzja. Jeśli nie zechce pan tego zrobić, odnotujemy ten szczegół w aktach sprawy, co nie pociągnie za sobą większych konsekwencji, i przejdziemy do kolejnego pytania.

– Wysoki Sądzie, czy mogę skonsultować się z prawnikami, zanim udzielię odpowiedzi?

– Bardzo proszę – zgodziła się sędzia – niech pan się jednak pośpieszy.

Santonja szybko podszedł do Tomé i Andermatta. Zaczęli coś szeptać między sobą. Zdziwiło mnie, że Barver nie bierze udziału w podejmowaniu decyzji, a jedynie przysłuchuje się rozmowie. Sytuacja była absurdalna, w gabinecie nie mogło być mowy o jakiegokolwiek prywatności, siedzieliśmy sobie na głowie; mimo to Tomé szeptała w taki sposób, że reszta właściwie nic nie słyszała.

Szkoda, że nie zachowałam tego ciężkiego działka na proces. Postawienie Santonji przed takim dylematem w obecności ławy przysięgłych byłoby

bardzo efektowne, ale sprawy potoczyły się inaczej. Lubiłam starannie przygotowywać przesłuchania, potem jednak improwizować, opierając się na solidnych podstawach, zdawać się na instynkt, który tego ranka doprowadził mnie do telefonu Santonji. Patrzyłam, jak próbuje podjąć decyzję najbardziej dla siebie korzystną. Pokazać gotowość współpracy z sądem i udostępnić listę kontaktów, choćby miał się potem tłumaczyć z faktu posiadania prywatnego numeru Alego? Czy lepiej było odmówić i przez to pomóc mi podsycić u sędzi podejrzania, że ukrywa jakieś informacje? Cokolwiek by postanowił, miał to być mój mały sukces.

Przez kilka ciągnących się w nieskończoność minut Santonja ustalał odpowiedź z prawnikami, zwłaszcza z Tomé, która grała pierwsze skrzypce. Domyśliłam się, co powie, i wpadłam na pewien pomysł. Szepnęłam coś na ucho Gerardowi. Mój wspólnik pospiesznie opuścił gabinet. Z uwagi na panujące w nim warunki zrobiło się małe zamieszanie. Barver syn i Arias musieli wstać, żeby go przepuścić.

Huarte ponagliła Santonję.

– Przykro mi, Wysoki Sądzie, ale nie mogę pokazać mojej prywatnej listy kontaktów – odpowiedział wreszcie. – Nie mam nic do ukrycia, lista zawiera jednak poufne informacje, służbowe i osobiste. Z drugiej strony, by odpowiedzieć jak najprecyzyjniej na zadane mi pytanie, oznajmiam, że nie wiem, czy posiadam obecnie prywatny numer Alejandra Tramela. Absolutnie nie mogę tego stwierdzić. Moja książka telefoniczna jest bardzo obszerna.

Tak jak podejrzewałam, nie zamierzał ułatwiać mi zadania. Mimo to zrobiliśmy ciekawy krok naprzód, a jeśli Gerardo wypełniłby swoją misję, Santonja poczułby się bardzo zaskoczony.

Od tej pory żadne z nas nie mogło już przestać myśleć o komórcie najnowszej generacji, którą przesłuchiwany trzymał w kieszeni marynarki czy gdziekolwiek indziej i której nie chciał nam pokazać. Miałam nadzieję, że zwłaszcza Huarte o tym nie zapomni.

Tak naprawdę nie miałam więcej pytań. Próbowałam wyciągnąć z niego coś na temat spotkań między nim a Alejandrem w kasynie, ale niczego nie pamiętał. Wspomniałam też o jego wizycie w koszarach Gwardii Cywilnej wieczorem w dniu zabójstwa Menendezza Ponsa, kilka godzin przed tym, jak mój brat popełnił samobójstwo. Wyszedł z tego obronną ręką: powiedział, że

przyszedł złożyć zeznania w sprawie śmierci dyrektora kasyna na prośbę funkcjonariuszy, co ci – zdaje się – potwierdzili. Zanim zadałam kolejne pytanie, spojrzałam na komórkę. Czekałam na ważną wiadomość; musiałam grać na zwłokę. Chciałam, by jeszcze raz odtworzono trzy nagrane rozmowy, które Santonja przeprowadził z Alem, jednak Huarte odrzuciła mój wniosek jako bezzasadny.

– Może pan Santonja coś sobie przypomni, jeżeli ponownie ich wysłucha – nie dawałam za wygraną.

– Wystarczy, mecenas Tramel – ucięła sędzia.

Poprosiłam Sofię o przeczytanie kilku urywków nagranych rozmów, zwłaszcza najbardziej smakowitych fragmentów, gdzie Santonja mocniej naciska na mojego brata i jednoznacznie mu grozi. Od czasu do czasu pytałam go, czy przypomina sobie jakieś konkretne zdanie albo czy może mi wyjaśnić, dlaczego powiedział to czy tamto, ale nie uzyskałam w odpowiedzi nic poza „nie pamiętam” i „nie jestem pewien”. Dobiały mnie westchnienia świadczące o znużeniu obecnych. Zyskałam trochę czasu, a ponadto wycisnęłam z Santonjy jeszcze trochę potu. Było to nie bez znaczenia – wyglądał strasznie z kroplami na czole. W końcu poczułam wibrowanie komórki w kieszeni. Spojrzałam na wyświetlacz, przyszedł whatsapp od Gerarda: „Ok”. W tym momencie niczego więcej nie potrzebowałam.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań – powiedziałam.

Nadeszła kolej Tomé jako adwokata Gran Castilli. Odchrząknęła, rozejrzała się dookoła i powiedziała:

– Nie zajmę wiele czasu, Wysoki Sądzie. Panie Santonja, czy kiedykolwiek bezpośrednio lub pośrednio groził pan Alejandro Tramelowi, stosował wobec niego przymus, żądał od niego pieniędzy, nakłaniał go do samobójstwa albo też prosił kogokolwiek, żeby to zrobił?

Emiliano Santonja wreszcie odzyskał pewność siebie.

– Zdecydowanie nie.

– Zdecydowanie nie – powtórzyła Tomé. – Z naszej strony to wszystko, Wysoki Sądzie, dziękuję.

Faktycznie nie zajęła nam wiele czasu. Jej wystąpienie było zwięzłe i klarowne. Przyjęła bardzo prostą strategię: nie muszą udowadniać

niewinności klienta; to my musimy udowodnić jego winę. A wszyscy wiedzieliśmy, że bez dowodu w postaci nagrań będzie to praktycznie niemożliwe.

Andermatt i Pardo zrezygnowali ze swojej rundy. Uznali, że wystarczy im pytania i odpowiedzi, które przed chwilą usłyszeli. Tak zakończyły się zeznania wielkiego Czyngis-chana, który owego dnia nie wydawał się taki znowu wielki – był zwykłym zarozumialcem, który nie przywykł się przed kimkolwiek tłumaczyć i nie robił tego chętnie. Chociaż wyszedł cało z przesłuchania, uznałam, że jeszcze zdołam potrząsnąć nim podczas procesu. Z utęsknieniem czekałam na ten moment.

Huarte zakończyła wysłuchanie stron i poprosiła Julitę, żeby otworzyła okienko w głębi. Podparłam się laską i powoli wstałam, szacując, ile zajmie pozostałym opuszczenie gabinetu; chciałam zostać na chwilę sam na sam z sędzią. Podeszłam do Huarte, układającej na biurku jakieś papiery.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczęłam. – Jeżeli otworzy pani maila, zobaczy pani wniosek Gwardii Cywilnej z Robredo o zabezpieczenie i sprawdzenie telefonu Emiliana Santonjy.

Sędzia spojrzała na mnie zaskoczona.

– Jeżeli uzna go pani za zasadny i zechce od razu podpisać, funkcjonariusze mogliby przejąć telefon, zanim pan Santonja opuści budynek i zdąży skasować numer Alejandra albo inne dane. Mój współnik czeka przed sądem z Gwardią Cywilną.

– Dość śmiało sobie pani poczyna – powiedziała. – Nie sądzę, żeby jakikolwiek inny sędzia przystał na taką propozycję.

– Pani nie jest zwykłym sędzią. Jeżeli uda się popchnąć naprzód tę sprawę, to właśnie dzięki takim drobiazgom. Ten telefon może zawierać cenne dla nas informacje. Teraz albo nigdy.

W niespełną minutę Huarte przeczytała maila, wydrukowała nakaz i złożyła na nim swój podpis.

– Chce pani, żebym zniosła nakaz gwardzistom, którzy czekają przed budynkiem? – zapytała pośpiesznie Julita.

– Bardzo proszę – odpowiedziała Huarte, podając jej kartkę.

Asystentka wybiegła z nakazem w ręce.

– Bardzo pani dziękuję, to naprawdę ważne – powiedziałam. – Są już jakieś wiadomości od biegłego?

– Wszystko w swoim czasie, pani mecenas. Proszę nie kusić losu, dziś miała pani wystarczająco dużo szczęścia.

Uznałam, że lepiej zostawić Huarte w spokoju. Odwróciłam się i pod bacznym spojrzeniem Sofii, która czekała za drzwiami, utykając, opuściłam gabinet. Czułam, jak ból emanujący z kości strzałkowej rozlewa się po całej nodze.

Ku mojemu zdziwieniu, kiedy kuśtykałam korytarzem drugiego piętra, podszedł do mnie Pardo. Na jego twarzy malowało się zatroskanie.

– Szkoda, że musiało do tego dojść – powiedział zdenerwowany. – Liczyłem na polubowne rozwiązanie. Moim zdaniem najważniejsze w tej sprawie jest dobro biednej wdowy i dziecka.

– Nie wiedziałam, że towarzystwo ubezpieczeniowe tak bardzo troszczy się o spadkobierców – odpowiedziałam, nie zwracając na niego większej uwagi.

Znacznie bardziej interesowało mnie okno, które miałam przed sobą, wychodzące na schody i ogród przed budynkiem sądu. Zobaczyłam Jordiego Barvera i Emiliana Santonję, jak pokonują kolejne stopnie, rozprawiając o czymś z ożywieniem. Za nimi podążała chmara prawników i asystentów. Widziani z góry nie wyglądali na ludzi potężnych, wszechmocnych – jak zwykle wszystko jest kwestią perspektywy.

– Moim zdaniem powinniśmy usiąść i porozmawiać – ciągnął Pardo. – Szkoda by było, gdyby nie udało nam się tego załatwić w cywilizowany sposób. Musi pani wiedzieć, że osobiście darzę panią wielką sympatią. Jeżeli każde z nas da coś z siebie, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby Gran Castilla wycofała ten śmieszny pozew z żądaniem spłaty długu.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytałam wprost. Nie miałam ochoty dłużej słuchać tych bredni.

– Jest pani taka... szczerza, że aż miło, jeżeli pozwoli mi pani na taki komentarz – powiedział. – Moim zdaniem powinniśmy usiąść wszyscy przy stole, zastanowić się, co jest najlepsze dla tego chłopca, i zapomnieć o całej reszcie.

– Moim zdaniem, panie Pardo, zależy panu na tym, żebyśmy doszli do ugody pozasądowej, obawiam się jednak, że to niemożliwe, ponieważ pańscy przyjaciele z Gran Castilli popełnili nie jedno, ale kilka przestępstw, i będą musieli za nie zapłacić...

– Oczywiście, my nie ingerujemy w postępowanie karne – odpowiedział pospiesznie. – Jeśli jednak chodzi o proces cywilny, jestem przekonany, że udałoby nam się dojść do porozumienia. Interesy wszystkich stron mogą okazać się zbieżne, nie ma powodu, by ktokolwiek płacił za cudze błędy, ani biedna wdowa, ani ten chłopiec, ani towarzystwo ubezpieczeniowe, które reprezentuję.

Jednym słowem, temu nędznikowi było wszystko jedno, czy Santonja i reszta kierownictwa kasyna wylądują w więzieniu. Zależało mu tylko na tym, żeby nie wydać złamanego centa; był chyba jeszcze gorszy od nich. Chciałam mu odpowiedzieć, że wybrał niewłaściwego rozmówcę, że nie usiądę przy żadnym stole z tymi pijawkami i nie będę niczego z nimi negocjować, ale nie zdążyłam, bo Sofía, która nie odstępowała mnie ani na krok, lekko szturchnęła mnie w ramię. Wszyscy troje spojrzeliśmy na widoczne przez okno schody.

Z boku pojawił się porucznik Moncada w asyście dwóch umundurowanych kolegów. Podeszli do Santonji i prawdopodobnie poprosili, żeby im towarzyszył. Po chwili napięcia i niezbyt przyjaznej wymianie zdań jeden z gwardzistów wyjął nakaz, który przed chwilą podpisała Huarte. Funkcjonariusze ujęli Santonję pod ręce i oddalili się, odprowadzani przez tabun zgłaszających sprzeciw prawników. Gruba szyba nie przepuszczała dźwięków, mogłam się jednak domyślić, co mówią jedni i drudzy. Chwilę później zjawił się Gerardo. Stanął tuż pod oknem i posłał mi uśmiech, po czym podążył za orszakiem.

Najprawdopodobniej telefon, który mieli zabezpieczyć gwardziści, nie zawierał żadnych kluczowych informacji, a może nawet wykasowano już z niego niektóre istotne dane, łącznie z numerem mojego brata. Mogło się jednak okazać, że człowiek tak przyzwyczajony do bezkarności jak właściciel kasyna nie zadał sobie trudu, żeby cokolwiek usunąć. Wydawał rozkazy i szedł naprzód, nie robiąc żadnych uników. Podczas przesłuchania czułam, że tak naprawdę gryzie się w język, że chciałby odpowiadać ostrzej, może nawet wydać własny werdykt: Alejandro był nieszczęśnikiem, który

wszystko przegrał, nikt go do tego nie zmuszał, on, Santonja, tylko wykonywał swoją pracę, prowadził legalny interes i odprowadzał podatki, nie musi udzielać żadnych wyjaśnień, to inni powinni się tłumaczyć. Był wielkim Czyngis-chanem, prawo stało po jego stronie, a jeśli mu nie pasowało, mógł je dowolnie zmieniać. Kto wie, ta pewność siebie i zarozumialstwo, wręcz buta, mogły mu w końcu nie wyjść na dobre. To się jeszcze miało okazać.

Ze schodów pod nami zniknęli wszyscy poza jednym mężczyzną, który wyjął telefon i wybrał czyjś numer. W trakcie rozmowy podniósł wzrok w stronę okna na drugim piętrze. Rozpoznał mnie. Jordi Barver przyjrzał mi się uważnie z daleka, trzymając przy uchu komórkę. Stał z twarzą pozbawioną wyrazu. Wytrzymałam jego spojrzenie. W końcu odwrócił się i zniknął na stopniach schodzących serpentyną w głąb ogrodu.

– Chcę mieszkać z ojcem – powiedziała i jakby na wszelki wypadek uściśliła: – I ja, i moje siostry chcemy mieszkać z ojcem.

Resano obwarowała zeznania Jimeny surowymi warunkami: tylko ona będzie zadawać pytania nieletniej, ewentualnie prokurator, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Oczywiście nie będzie przy tym rodziców, to przyjazna pogawędka, nie przesłuchanie. Wyjątkowo zezwoliła na obecność adwokatów obu stron w roli obserwatorów. Ponieważ dziewczynka miała już trzynaście lat i wykazała pełną gotowość współpracy, spotkanie odbyło się w sali sądowej. Przygotowano dla Jimeny specjalny fotel z poduszkami, żeby mogła dosięgnąć do mikrofonu. Dziewczynka wyglądała na spokojną, udzielała odpowiedzi bez wahania, zrezygnowała z zuchwałego tonu i zachowywała się grzecznie; wydawała się przekonana co do słuszności własnych słów.

– Rozmawiałś o tej sprawie z siostrami?

– Tak, pani sędzio – powiedziała – wielokrotnie o tym rozmawiałyśmy, wszystkie trzy jesteśmy zgodne co do tego, że wolimy mieszkać z tatą.

– Z jakiego powodu?

– Bo mama wiecznie się złości, bez przerwy na nas krzyczy, jakbyśmy to my były winne tego, że się rozstali. Tata podczas rzadkich chwil, jakie z nim spędzamy, traktuje nas wspaniale, jak zwykle. Tęsknimy za nim. Chcemy mieszkać z nim.

Wyuczyła się lekcji na pamięć. Jeżeli to Melody, to odwaliła kawał dobrej roboty. Całe szczęście, że nie było przy tym Conchy. Nie chciałam sobie nawet wyobrazić, co by poczuła, gdyby usłyszała, że córka mówi o niej w ten sposób.

– Wasz ojciec się nie złości? – indagowała Resano.

– Czasami się trochę złości, jak każdy – odpowiedziała Jimena zaskakująco naturalnie – ale nigdy, przenigdy na nas.

– Nigdy na was nie nakrzyczał ani nie zezłościł się na was przez te wszystkie lata?

– Nigdy.

Z powodu tej nastolatki o wyglądzie grzecznej dziewczynki cała nasza praca mogła zostać zaprzepaszczona, a co gorsza, doniesienie o znęcaniu, którego złożenie tyle kosztowało jej matkę, zmarnowane.

– I nigdy was nie uderzył? – zapytała Resano ściszym głosem, starając się nie uwypuklać wagi tego pytania.

Jimena wybuchnęła śmiechem, jakby już sam pomysł wydał jej się niedorzeczny.

– Mama dawała nam czasami klapsa, kiedy byliśmy małe, i traciła cierpliwość, ale tata zawsze mówił, że bicie dzieci jest przeciwnie skuteczne. Nigdy nie podniósł na nas ręki, nie dał nam nawet klapsa.

Przysięgam, że powiedziała „przeciwnie skuteczne”. Trzynastoletnia dziewczynka użyła słowa „przeciwnie skuteczne” podczas przesłuchania w sądzie i zrobiła to tak, jakby posługiwała się nim na co dzień. Nie miałam nawet odwagi na nią spojrzeć, ledwo się opanowałam, wiedziałam, że kategorycznie zabroniono nam się wtrącać, a mimo to musiałam poprosić Sofię, żeby dała mi jakiś znak, który pomógłby mi to wszystko znieść. Ona też była w szoku; popatrzyła na mnie zdumiona. Palmira i niezrównana Melody Larranz siedzące po przeciwnej stronie sali wyglądały na zadowolone. Natomiast szykowny blondas Iturbe wydawał się bardziej zainteresowany własną fryzurą niż przesłuchaniem.

– To bardzo delikatna sprawa, moje dziecko – powiedziała sędzia – ale ponieważ byłaś świadkiem tamtego zajścia, jestem zmuszona cię o to spytać. Ojciec zaatakował twoją matkę. Na twoich oczach uderzył ją, tu, w tym budynku. Mimo to potwierdzasz, że wolisz mieszkać z nim?

– Tamtego dnia wszyscy byliśmy bardzo zdenerwowani. Przytuliłam się do mamy, bo dawno jej nie widziałam i też się za nią stęskniłam, i zaczęłam krzyczeć bez powodu. A potem Ana i mama sprowokowały tatę i wybuchnął, ale wiem, że bardzo żałuje i że już więcej nic podobnego nie zrobi. To było wyjątkowe zajście.

– Mówiąc Ana, masz na myśli panią Tramel, adwokat twojej matki?

– Tak, znam Anę od zawsze, bardzo przyjaźni się z mamą i nigdy nie lubiła mojego taty. Kiedyś powiedziała mamie, że zniszczył jej życie. Dosłownie: „Felipe spieprzył ci życie”. To było w dniu moich siódmych urodzin; pamiętam dobrze, bo zdziwiłam się, że używa takich słów przy mnie i przy moich koleżankach ze szkoły; byliśmy w basenie z piłeczkami.

– Ja też jestem zaskoczona – powiedziała Resano.

Miałam ochotę wstać i wykrzyknąć, że ten mały potworek w skórze czarującej nastolatki przekręca fakty, że jej problem polega na tym, że jest obrażona na cały świat, na chłopców, a przede wszystkim na własną matkę. Aha, i jeszcze że jeśli powiedziałam coś takiego przy małych dziewczynkach (prawdę mówiąc, nie mogę zaprzeczyć), to na pewno żartobliwie, z przymrużeniem oka, a nawet jeśli nie, to nie ma to żadnego związku ze sprawą. Nie mogłam zrobić nic, żeby skierować rozmowę na inny tor, miałam związane ręce, patrzyłam na najstarszą córkę mojej przyjaciółki, słuchałam jej i wydawało mi się, że to ktoś obcy. Przecież dorastała przy mnie; jak to możliwe, że znalazłyśmy się w takiej sytuacji?

– Twoje siostry są tego samego zdania? – ciągnęła sędzia.

– Jak najbardziej – potwierdziła. – Może je pani zapytać.

– Raczej tego nie zrobię. Są za małe, żeby być wzywane do sądu – powiedziała cicho Resano. – Dlatego tak ważne jest to, co nam dziś powiesz. Chcę, żebyś miała tego świadomość. Zdajesz sobie sprawę, że twoje zeznania mogą przechylić szalę w kwestii prawa do opieki nad tobą i twoimi siostrami?

– Doskonale to rozumiem, dlatego właśnie proszę, żeby pozwolono mi zamieszkać z ojcem.

Była nieugięta, mówiła z takim przekonaniem, że aż strach było słuchać.

– Ostatnia kwestia, moje dziecko. Nie chcę cię tu za długo trzymać – powiedziała sędzia. – Twoja matka cię kocha i chciałaby, żebyście były z nią. Uważa, że to dla was najlepsze. Sądzisz, że się myli?

– Myślę, że to najlepsze dla niej, nie dla nas – odpowiedziała. – Rozwodzi się i zamknęła swoją firmę. Nie ma pracy, jest smutna, a przede wszystkim czuje się samotna.

Teraz przegięła. Najgorsze było jednak dopiero przed nami.

– Ja bym chciała, żeby się pogodzili – ciągnęła Jimena – ale wiem, że to niemożliwe i że tak się nie stanie. Nie wiem, co między nimi zaszło, może już się nie kochają. Wiem tylko, że kazali nam wybierać wbrew naszej woli. Wolałabym nie musieć tego robić, ale skoro już muszę, zdecydowanie jestem za tatą.

Resano podjęła ostatnią próbę.

– A co byś powiedziała na opiekę naprzemienną? – zapytała. – Na przykład połowa czasu z jednym, połowa z drugim rodzicem.

Dziewczynka zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

– Chcę mieszkać z ojcem. Ona go zdradziła i poszła do innego mężczyzny, potem ten mężczyzna popełnił samobójstwo i teraz moja matka jest smutna i przygnębiona i krzyczy na nas z byle powodu.

Sędzia otworzyła szeroko oczy; nie mogła uwierzyć własnym uszom. Oczywiście Resano wiedziała o Alejandrze, ale usłyszenie tego z ust dziecka to było dla nas wszystkich za dużo.

– Kto ci o tym wszystkim opowiedział? – zapytała.

– Wszyscy o tym wiedzą – powiedziała Jimena, wruszając ramionami, po czym wskazała mnie palcem. – Kochanek mojej matki był bratem Any.

Resano spojrzała na mnie z hamowaną złością. Pewnie gdyby miała jeden z tych młotków, jakich używają sędziowie w krajach anglosaskich, cisnęłaby mi nim w głowę. Skuliłam się na krześle, oniemiała i wściekła zarazem.

– Wystarczy, dziękuję ci bardzo za szczerość – podsumowała Resano. – Proszę o wyprowadzenie świadka z sali. Adwokaci obu stron niech zostaną na swoich miejscach; chciałabym zamienić z państwem kilka słów. Teraz.

Jimena poszła w stronę wyjścia z urągającą wszystkim swobodą. Woźny sądowy wyprowadził ją z sali, przed którą czekała Concha w towarzystwie Rondy. Poprosiłam sekretarkę, żeby przyjechała – nie chciałam, żeby moja przyjaciółka była sama na korytarzu, podczas gdy jej córka składa zeznania, tym bardziej że pewnie pojawił się też Felipe i mogła na niego wpaść. Zakaz zbliżania się nie obowiązywał, kiedy oboje stawiali się w sądzie. Miałam nadzieję, że dziewczynka nie powie matce, co wydarzyło się w środku. Wolałam streścić jej wszystko po swojemu.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, Resano wybuchnęła:

– Nie zamierzam czegoś takiego tolerować, proszę potraktować to jako poważne ostrzeżenie. Ta dziewczynka nie powinna była zostać narażona na taką presję. Stan psychiczny Conchy Andújar w oczywisty sposób wpłynie – i to znacząco – na moją decyzję w kwestii opieki. A także na pozostałe sprawy z tym związane. Jutro rano chcę mieć na biurku szczegółową, wyczerpującą, pisemną informację dotyczącą jej relacji z pani bratem, przed zgłoszonymi incydentami, podczas nich i po nich. Wyczerpującą, ze wszystkim, łącznie z okolicznościami śmierci i tak dalej. Jeżeli to dla pani zbyt bolesne, trzeba było się zastanowić, zanim zgodziła się pani poprowadzić sprawę, w którą, jak widać, zamieszane są bliskie pani osoby.

– My nie wiedzieliśmy nic o charakterze tej relacji, Wysoki Sądzie – pospiesznie wtrąciła Palmira.

– Nie udzieliłam pani głosu, pani mecenas – ucięła sędzia. – Z państwa też nie jestem specjalnie zadowolona. To oczywiste, że część zeznań złożonych dziś przez nieletnią była starannie przygotowana, żeby nie powiedzieć sterowana. Nie jestem zwolenniczką wzywania do sądu dzieci ani zmuszania ich do składania zeznań. Nie myślcie państwo, że dopięliście swego. Odłóżę na bok wszystko, co powiedziała dziewczynka, dopóki nie będę w posiadaniu informacji niezbędnych do podjęcia decyzji. Zabraniam wszystkim osobom obecnym w tej sali, wszystkim bez wyjątku, rozmawiać z dziewczynkami do czasu, aż podejmę decyzję. Trzy nieletnie zostaną zbadane przez naszego psychologa, który ustali, co naprawdę jest dla nich najlepsze. Panie Iturbe, może raz pan by się czymś zajął?

– Oczywiście, Wysoki Sądzie – zgodził się uprzejmie prokurator, zaskoczony tonem, jakim zwróciła się do niego sędzia – wszystkiego dopilnuję.

Resano rzuciła wściekłe spojrzenie Melody.

– Nie podobają mi się pani posunięcia – powiedziała.

Potem spojrzała na mnie.

– A pani jeszcze bardziej – wypaliła.

Zakończyła spotkanie, nie pozwalając nam odpowiedzieć ani udzielić wyjaśnień. Tego dnia nie mieliśmy prawa głosu.

Kiedy wyszłam, Concha i Jimena opuściły już gmach sądu. Zdaniem

Rondy dziewczynka nie była zbyt wylewna, ale ze sposobu, w jaki odzywała się do matki, a raczej, w jaki się do niej nie odzywała, wynikało jasno, że sytuacja nie przedstawia się najlepiej.

– Wygląda fatalnie – powiedziałam.

Stałyśmy we trzy na korytarzu w sądzie. Poczułam, że temperatura podskoczyła mi o kilka stopni; nie chciałam jak zwykle szprycować się tabletkami i alkoholem. Tym razem ciało domagało się ode mnie, żebym rąbnęła w ścianę, parę razy w nią kopnęła, a potem zaczęła krzyczeć – dokładnie w tej kolejności – na Jimenę, na Prezeskę, a zwłaszcza na Melody. Chciałam, żeby ta kobieta udławiła się własnymi słowami, swoim „zachowaniem i wizerunkiem”, manipulacją emocjonalną, jakiej poddała nastolatkę, swoim brakiem skrupułów, swoim śmiesznym, pretensjonalnym imieniem. Gdybym ją teraz spotkała, byłabym gotowa się na nią wydrzeć, powiedzieć jej parę słów do słuchu.

– Sofío, zajmij się proszę przygotowaniem informacji, o którą prosiła Resano – powiedziałam, starając się uporządkować myśli. – Masz wszystkie niezbędne dane. Jeśli chcesz, zapytaj Conchę. Nie przejmuj się tym, że nie jest w nastroju.

– Możesz być spokojna – odparła dziewczyna. – Dopilnuję, żeby z samego rana pismo trafiło w ręce sędzi.

Pożegnałyśmy się i umówiłyśmy w biurze – przyjechałyśmy do sądu własnymi samochodami. Siedziałam pierwszy raz za kółkiem od czasu incydentu – stopniowo odzyskiwałam mobilność. Nieważne, co mówili lekarze: skoro mogłam się bzykać, równie dobrze mogłam prowadzić swoją mazdę. Stęskniłam się za nią. Mijały dni, tygodnie, chciałam znowu stać się niezależna. Nie przejmowałam się tym, że nie odzyskałam jeszcze w stu procentach refleksu ani że moje uszkodzone ucho nie wszystko wyłapywało.

Ruszyłam w stronę podziemnego parkingu znajdującego się dwie ulice dalej, dokładnie za Madrycką Federacją Koszykówki. Postanowiłam porozmawiać po drodze z M.

– Wiadomo już, co znaleziono w telefonie Santonjy? – zapytałam, kiedy odebrał. – Nikt nie puszcza pary z ust.

– Na razie to opancerzona informacja – odpowiedział. – Zarówno ta kwestia, jak i raport biegłego dotyczący nagrań są otoczone ścisłą tajemnicą.

Może zapytaj swojego przyjaciela Moncadę.

– Wolałabym tego nie robić – odparłam lakonicznie.

– Jak sobie chcesz. Zrobiłem znaczne postępy w sprawie tego przedsiębiorcy. Miguel Ortiz był winien duże pieniądze kasynu w Robredo, miał specjalną linię kredytową, zadłużył się na ponad dwa miliony.

– Hm – mruknęłam. – Kolejny nieszczęśnik, który zanim wyskoczył z balkonu, doprowadził się do ruiny.

– Na tym podobieństwa się nie kończą – powiedział detektyw. – Grał głównie w pokera i z tego, co mi powiedziano, wynika, że – może usiądź – po jego śmierci Gran Castilla wezwała spadkobierców, czyli żonę i dzieci, do spłacenia długu.

– Widać lubią ograbiać swoje ofiary nawet po ich śmierci; nie mogą wytrzymać, skurwiele – powiedziałam cicho. – To mogłoby nam pomóc, nawet bardzo. Ramiro podsunął nam ciekawy trop. Co stało się z tym wezwaniem?

– Jeszcze nie wiem, ślad ginie w stosach papierów. Pracuję nad tym – odparł M. – Jeśli chcesz, mogę się jeszcze rozejrzeć. Zobaczymy, dokąd ten ślad prowadzi.

– Chcę, sprawdzaj dalej. Dzięki – powiedziałam. – Zmieniając temat: mamy poważne problemy ze sprawą Conchy, prawdę mówiąc, trochę się pogubiliśmy. Wiem, że już próbowałeś, ale przydałby się jakiś świadek, sąsiad albo przyjaciel rodziny, który widział albo słyszał, jak Felipe znęca się nad żoną. Sama nie wiem, może to jest szukanie igły w stogu siana, ale potrzebuję czegoś więcej niż jej słowo. Oni próbują ją zdyskredytować.

– Mogę popytać, ale już się rozpytywałem wśród sąsiadów i w szkole i niczego nie ustaliłem, nikt nic nie wie, a przynajmniej nic, czym chciałby się z nami podzielić. Felipe jest lubiany. Nie wspomnę już o tym, że jeżeli Concha odkryje, że wypytujemy ludzi z jej otoczenia, nie będzie zachwycona. Nie sądzę, żeby łatwo nam było znaleźć teraz świadka.

– Gdyby miało być łatwo, nie prosiłabym cię o pomoc, M. I nie płaciłabym ci tyle forsy. Liczę na ciebie.

– Skoro już wspomniałaś, ostatnia wpłata nie wpłynęła na moje konto. Nie chcę być małostkowy, ale wiesz, że mam dużo wydatków.

– Wiem, M. Tym razem proszę cię, żebyś się uzbroił w cierpliwość.

– Mam mnóstwo zalet, jednak cierpliwość do nich nie należy. Czekam do poniedziałku. Przykro mi, ale tak to działa.

– Rozumiem.

Rozłączyłam się. Ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebowaliśmy, było odejście detektywa. Nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Musiałam znaleźć jakieś rozwiązanie. Problem w tym, że nam się nie przelewało. Concha była tak zdołowana, że nie chciała słuchać o finansach kancelarii, dopóki nie wyjaśni się sprawa opieki nad dziewczynkami. Liczyłam, że coś wymyślę.

Schodziłam po pochylni parkingu, podpierając się laską. Ogarnęło mnie dziwne wrażenie. Może podziemne parkingi zaczęły budzić we mnie lęk. Po tym, co przeżyłam, chyba trudno się dziwić. Zapłaciłam w automatycznej kasie na parterze i zjechałam windą na poziom minus dwa. Normalnie zeszłabym schodami, ale chociaż bardzo nie chciałam się do tego przyznać, nie wróciłam jeszcze do pełni sił. Była to jedna z tych starych, wielkich wind, które hałasują, jakby miały za chwilę runąć w dół. Nie mam i nigdy nie miałam klaustrofobii, jednak w czasie trwającej kilkanaście sekund jazdy drżałam z niepokoju. Kiedy tylko otworzyły się drzwi, pospiesznie wyszłam z windy.

Z wiszących pod sufitem głośników leciała jakaś melodia, gdzieś w oddali rozległ się odgłos silnika. Na poziomie minus dwa nie było zbyt wielu samochodów. Skręciłam w lewo w stronę mazdy i już miałam nacisnąć przycisk pilota, kiedy go usłyszałam. Stał kilka metrów od miejsca, w którym się zatrzymałam. Do moich uszu dobiegł jego pospolity, nieco piskliwy głos – obojętnym tonem rozmawiał z kimś o jakiejś transakcji finansowej. Nie mogłam uwierzyć, że los igra ze mną w ten sposób. Wstrzymałam oddech. To był on, nie miałam żadnych wątpliwości. Zdenerwowana przywarłam do betonowego słupa, nie wiedząc, co zrobić. Spojrzałam przez ramię na zaparkowany dziesięć metrów dalej zielony samochód, o który opierał się tęgi mężczyzna. Stał do mnie plecami, rozmawiał przez komórkę.

Zgadza się: to był Felipe. Omawiał z kimś jakąś służbową sprawę, nieświadom mojej obecności. Ścisnęłam rączkę z kości słoniowej; oczyma wyobraźni zobaczyłam laskę roztrzaskującą się na czaszce tego nędznika.

Może udałoby mi się walnąć go od tyłu, jak on walnął mnie; na nic innego nie zasługiwał. Ale to nie miało żadnego sensu. Tylko narobiłabym sobie kłopotów i niepotrzebnie skomplikowałabym życie Conchy. Poza tym Felipe był ode mnie dwa razy cięższy. Najprawdopodobniej by się uchylił i znowu by mi się oberwało. Do tego nie miałam stuprocentowej pewności, że to on na mnie napadł. Najrozsądniej było nie ruszać się z miejsca, stać spokojnie i pozwolić mu odjechać. Tak właśnie postąpiłaby każda inna kobieta, ale ja nie zamierzałam działać zgodnie z logiką, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, ten drań budził we mnie strach, a ja już w podstawówce miałam irracjonalną skłonność do stawiania się podwórkowym zabijakom; bałam się ich, ale nie potrafiłam siedzieć cicho. Po drugie, robienie rzeczy bez sensu to kolejna z moich specjalności, zwłaszcza kiedy trzeba dać nauczkę komuś, kto chce siłą osiągnąć swój cel.

Staralam się wsłuchać w to, co mówił. Używał takich słów jak: „aktywa”, „mienie”, „księgowość”, „rynek”, „amortyzacja”; pewnie wszystkie znaczyły coś dla niego i dla jego rozmówcy – dla mnie były jedynie przewodnikiem. Idąc za ich dźwiękiem, niepostrzeżenie się zbliżyłam. Musiałam się pospieszyć: w każdej chwili mógł wsiąść do samochodu i zniknąć. Uważając, żeby nie narobić hałasu, przemknęłam do następnej kolumny. Zobaczyłam, że się ubrudziłam wapnem – spodnie z tyłu i po bokach i zakiet były białe – nie miałam jednak czasu na otrzepywanie, nie mogłam się rozpraszać takimi głupstwami, musiałam stanąć za nim, tak żeby się nie zorientował, żeby mnie nie usłyszał. Dotarłam do filaru grubszego niż inne – może był to jeden ze słupów nośnych czy jak to się tam nazywa. W mojej kieszeni rozległ się cichy gwizd: wiadomość na komórce. Zdenerwowana wsunęłam rękę i wyłączyłam dźwięk. „1 nowa wiadomość”. Kurwa. Potem przeczytam. Napięłam wszystkie mięśnie, wstrzymałam oddech i przywarłam do ściany. Udało się. Felipe chyba niczego nie usłyszał albo nie zwrócił na to uwagi.

Próbowałam znowu wychwycić jego głos, na próżno. Cisza. Może skończył rozmowę i wsiadł do samochodu, ale w takim razie powinien włączyć silnik, a chyba niczego takiego nie zrobił. Dobiegały mnie jedynie melodia z głośników i dalekie odgłosy ulicy. Nie widziałam Felipe, nie słyszałam go, zniknął. Próbowałam zachować spokój. Mógł mnie nie zauważyć; może siedział już w samochodzie, byłam więc bezpieczna. Ale, prawdę mówiąc, nagła cisza nie zwiastowała niczego dobrego. Nie mogłam

uwierzyć, że się w to wpakowałam, że znowu znalazłam się na parkingu najprawdopodobniej z tym samym agresywnym typem, który pobił mnie brutalnie kilka miesięcy wcześniej. Niepokój powoli ustępował miejsca przerażeniu. Starłam się nie ruszać, nie robić hałasu, czekałam, aż wszystko minie. Nadal niczego nie widziałam i niczego nie słyszałam. Pomyślałam, że najlepiej będzie wyciągnąć telefon i zadzwonić po pomoc – ale nie bardzo wiedziałam do kogo. Może do M. albo lepiej na policję. Powiedziałabym, że zostałam napadnięta – co nie do końca było prawdą, ale mogło się nią stać. Przypomniałam sobie jedno z ćwiczeń wykonywanych na zajęciach z jogi: liczyć w pamięci od jednego, dodając do każdej następnej liczby trzy, coś w tym rodzaju, miało to oddalić myśli i oczyścić umysł, jeden, cztery, siedem, dziesięć, trzynaście, choć z drugiej strony może lepiej zachować czujność zamiast się wyłączać. Postanowiłam, że jeśli dojdę do stu, a Felipe nie uruchomi silnika i nie odjedzie, wybiorę numer alarmowy. Szesnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia dwa, dwadzieścia pięć, dwadzieścia osiem, trzydzieści dwa, nie, trzydzieści jeden. Zasada ustanowiona przez Danila mówiła, że jeśli się pomylisz w liczeniu albo zdekoncentrujesz, musisz zacząć od nowa. Nikt cię nie pilnuje, ale należy być uczciwym wobec samego siebie, bla, bla, bla. Wystarczy, obejdę słup, a jeśli on nadal tam jest, jeśli się na mnie rzuci, zwymyślam go i po sprawie. Nie mogłam się nad tym dłużej zastanawiać, cała sytuacja wytrąciła mnie z równowagi, co za słowo „wytrącić” – nagle wydało mi się ono pokrętne, pozbawione sensu. No dobra, do dzieła, wyjdę z ukrycia, co ma być, to będzie, nie boję się tego sukinsyna, to on powinien bać się mnie. Jestem ramieniem sprawiedliwości, przyszedłam po ciebie i...

Dokładnie w tym momencie wychynał nie wiadomo skąd. Poczułam pchnięcie w bok. Jedną ręką chwycił mnie za szyję, drugą wyrwał mi łaskę i podetknął mi ją pod nos.

– Co chciałaś tym zrobić? – zapytał wściekły, przypierając mnie z całej siły do słupa.

Wyraźnie czułam, że to się znowu wydarzy. Zacznie mnie bić i nie przestanie, dopóki nie pogruchoce mi kości i nie zwalę się nieprzytomna, a moje ciało nie rozpadnie się na kawałki. Wtedy się niczym nie przejął i teraz się nie przejmie. Nie pomyśli o konsekwencjach. Da mi tylko nauczkę – tak funkcjonował jego umysł. Spróbowałam uwolnić się z uścisku,

powiedzieć coś, bronić się, ale trzymał mnie mocno za gardło, nie mogłam się ruszyć. Miałam wrażenie, że źrenice ma rozszerzone, ale może to było tylko złudzenie. Na próżno wierzgałam nogami; nie zwalniał uścisku. Zaczęło mi brakować powietrza. Pomyślałam, że może będzie mnie tak trzymał, aż przestanę oddychać, i poczułam strach, czysty i namacalny, nie taki jak ten z nocnych koszmarów, które towarzyszyły mi w dzieciństwie. Tym razem realny.

Zamknęłam oczy i uświadomiłam sobie, że mimo wszystko nie chcę tu umierać. To było jak objawienie. Życie, które w jednej chwili mogło ze mnie ujść, znaczyło dla mnie więcej, niż sądziłam. Nie wiem, jak zabrzmiało to ujęte w słowa, wiem natomiast, jak zabrzmiało w mojej głowie: poczułam, jakbym roztrwonila mnóstwo czasu, mnóstwo lat, na głupoty, które do niczego nie prowadziły, które nie czyniły ze mnie lepszego człowieka i nie służyły ludziom z mojego otoczenia. Obiecałam sobie, że jeśli z tego wyjdę, zmienię parę rzeczy, nie wszystkie od razu, ale niektóre, te najważniejsze, poczynając od moich relacji z chemią. Poprosiłam kogoś, jakąś wyższą istotę, jakiś byt, przez niektórych nazywany Bogiem, żeby mi pomógł, jeżeli istnieje: wyciągnij mnie z tego, a będę dobrym człowiekiem, cokolwiek by to znaczyło, kurwa, przecież to niesprawiedliwe; mam jeszcze tyle do zrobienia.

Skończyło się tak, jak się zaczęło, całkiem nieoczekiwanie. Dłoń na moim gardle rozluźniła uścisk, haust powietrza wpadł mi do płuc. Pierwszą rzeczą, jaką sobie uświadomiłam, było to, że obietnica złożona pod przymusem – nawet istocie najwyższej – jest z prawnego punktu widzenia nieważna. Potem spróbowałam wyartykułować kilka słów, ale zdołałam jedynie wybełkotać coś niezrozumiałego, ciężko oddychając.

– Co ty, kurwa, mówisz? – pytał Felipe, stojąc wciąż przede mną w groźnej pozie.

– Że się posikałam – wymamrotałam, łapiąc powietrze.

Oboje spojrzeliśmy w dół, na moje spodnie; na wysokości kroku widać było plamę. Nie żebym się tym przejęła, ale jeśli miałabym wybierać, wolałam sama się obsikać, niż żeby ktoś miał to zrobić za mnie.

– Obrzydliwe – powiedział.

– Dusileś mnie – odparłam, jakbym chciała się przed nim usprawiedliwić.

– Co robiłaś tu ukryta? Szpiegowałaś mnie?

– Znowu mnie pobijesz? Z jakiegoś powodu lubisz to robić na parkingach?

– Nigdy nie pobitem cię na parkingu – odparł. – Ani na tym, ani na żadnym innym.

– Jasne, tak mówisz, ale w ustach kogoś, kto przed chwilą próbował mnie udusić, nie brzmi to zbyt przekonująco.

– Nie pobitem cię i nie próbowałem cię udusić – odparł Felipe – działałem wyłącznie w obronie własnej. To ty zamierzałaś mnie zaatakować od tyłu laską.

– Nie zamierzałam cię zaatakować – skłamałam.

– Słuchaj, znamy się od lat, zostawmy te gierki. Nigdy cię nie lubitem, ty nigdy nie lubiłaś mnie – powiedział, po czym zrobił długą przerwę, jakby wbrew jego woli ta rozmowa go poruszyła. – Popełniłem w małżeństwie wiele błędów, których nie mogę naprawić i których żałuję. Pewnie zasłużyłem na wszystko, co mi się przytrafiło.

– Jeśli spuszczenie manta żonie to dla ciebie błąd, to pozwól, że się z tobą nie zgodzę. Nie zasługujesz na to, co ci się przytrafiło: zasługujesz na coś znacznie gorszego, już ja się postaram, żeby cię to spotkało. Nie możesz zrobić ani powiedzieć niczego, co chociaż częściowo odkupiłoby twoje winy, rozumiesz? Absolutnie niczego. Rzygać mi się chce, jak z tobą rozmawiam, flaki mi się przewracają na twój widok. Niezależnie od tego, co się stanie, nigdy ci nie wybaczę, że pobiłeś moją przyjaciółkę. Nieprawda, że wszyscy mają prawo do drugiej szansy; ty nie masz. Oby cię zamknęli, obyś nie zobaczył już więcej swoich córek.

– Przestań mieszać w to dziewczynki – rzucił groźnym tonem.

– A ty przestań zachowywać się jak skurwiel – odparłam. – Manipulujesz nastolatką. Kiedy zrozumie, co robisz, znienawidzi cię, a co gorsza, pewnie znienawidzi też samą siebie. Zgódź się, żeby Jimena i jej siostry zostały z matką. Przynajmniej tyle możesz zrobić.

– Rozumiem twój punkt widzenia, chociaż się z tobą nie zgadzam i prawdę mówiąc, gównu mnie obchodzi, co myślisz – powiedział, wskazując mnie palcem i mierząc wzrokiem. – Żeby było jasne: nigdy nie podniosłem

na ciebie ręki i wszystko mi jedno, czy mi wierzysz. Ja ci tego nie zrobiłem, nie załatwiłem ci tak twarzy. Fakt, cieszę się, że ktoś ci to zrobił, ale to nie byłem ja. Koniec tematu.

Rzucił mi laskę i odszedł dużymi krokami. Szybko wsiadł do samochodu i nie zatrzymując się, wyjechał z parkingu.

Wreszcie opadła ze mnie część napięcia. Schyliłam się po laskę. Ostatnio nie służyły mi pobyty na parkingach. Tym razem stanęłam twarzą w twarz ze śmiercią, złożyłam Najwyższemu obietnicę, której nie miałam zamiaru dotrzymać, a jakby wszystkiego było mało, zsikałam się w spodnie.

Fałszowali i nie trzymali rytmu, każdy śpiewał po swojemu, co nawet ja zauważyłam. Może się to wydać dziwne, ale mimo pozornej prostoty, z racji swojej harmonicznego złożoności *Happy birthday* jest jedną z najtrudniejszych melodii, w każdym razie tak słyszałam. Dla kogoś takiego jak ja, komu słoń na ucho nadepnał, jej śpiewanie było doskonałą okazją, żeby sobie trochę bezkarnie poryczeć, a jednak tamtego dnia brak harmonii zwrócił moją uwagę. Może z powodu paroksetyny byłam wrażliwsza niż zwykle.

Helena uśmiechała się, kiedy śpiewaliśmy *Happy birthday* z Gerardem, Sofią i Rondą. Martín wyglądał na zachwyconego; obserwował wszystko szeroko otwartymi oczami.

– ...*to you* – skończyliśmy wreszcie, przeciągając „u”, by wyraźnie zaznaczyć, że chóralny występ dobiegł końca.

Staliśmy wokół kuchennego stołu, na którym leżało wspaniałe domowe ciasto marchewkowe z kremem, z wetkniętą w ostatniej chwili świeczką. Chłopiec zdmuchnął ją razem z matką, wszyscy zaczęliśmy bić brawo, moja bratowa wyglądała na wzruszoną.

– *Sto lat* (albo coś w tym rodzaju) – powiedziała po polsku. – To tradycyjnie życzyć w Poznaniu.

– *Stow lot* – powtórzył Martín za matką, sięgając po świeczkę.

– Uważaj, kawalerze, sparzysz się – wtrąciła Ronda; wzięła go delikatnie za rączkę, po czym zwróciła się do Heleny: – To ile lat kończysz, jeśli można wiedzieć?

– Dwadzieścia trzy – odparła speszona. – Ja bardzo stara teraz.

Tak, staruszka, rozmiar trzydzieści osiem, skóra gładka jak z reklamy kosmetyków. Ronda pomogła jej pokroić i podać ciasto, które sama upiekła. Najwyraźniej zawarły pokój. Choć niczego mi nie zdradziła, czułam, że nasza bystra i nieustraszona sekretarko-kierowniczka spotyka się

z Sebastianem, bratem Heleny. Zważywszy na to, jak się uśmiechała, musiało jej iść całkiem nieźle. Może oczyma duszy widziała już siebie jako członka szczęśliwej rodziny Kowalczyków, w otoczeniu rumianych, jasnowłosych dzieci biegających po domu i mówiących dziwne słowa po polsku.

– Nieziemskie – mruknął Gerardo z ustami pełnymi ciasta.

– Dla mnie nie, dziękuję – odmówiłam.

Wiadomo powszechnie, że jednym z częstych skutków zażywania antydepresantów i inhibitorów serotoniny jest tycie: możesz się zrobić jak beczka z powodu kwasu foliowego czy czegoś w tym rodzaju. U mnie było na odwrót: nie wiedzieć czemu, nieszczęsne pastylki powodowały brak apetytu. Nie przejmowałam się zbyt tymi czy innymi skutkami ubocznymi; nigdy nie miałam problemów z odżywianiem.

Pośród wrzawy towarzyszącej tej małej uroczystości urządzonej na koniec dnia z głębi mieszkania dobiegł do nas przytłumiony dźwięk domofonu. Było po dwudziestej. Nikogo się nie spodziewałam.

– Ja otworzę – zaproponowała Sofía i wyszła do przedpokoju.

Ktoś złapał mnie za spodnie i pociągnął. Martín, oczywiście.

– Ciociu Ano, nie jesz ciasta za karę? – zapytał.

– Powiedzmy, że nie mam ochoty – odparłam.

– Nie masz ochoty na ciasto?! – wykrzyknął zdumiony, jakby nie był pewien, czy dobrze zrozumiał. Rozejrzał się dokoła, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze usłyszał tę niedorzeczność.

Nie wydało mi się dobrym pomysłem tłumaczyć dziecku, że tego dnia odbyłam z asystentką sędzi nieprzyjemną rozmowę na temat przeciągającej się ekspertyzy nagrań, że później wzięłam dwie tabletki paroksetyny, żeby móc stawić czoło facetowi z banku, który twierdził, że jest moim osobistym doradcą (choć nigdy nie widziałam go na oczy), i który na koniec odmówił mi kolejnego kredytu pod zastaw mieszkania, powołując się na niestabilną sytuację na rynku i nie wiem, co tam jeszcze, po czym uprzejmie posłał mnie do diabła. To wszystko w połączeniu z efektami ubocznymi tabletek sprawiło, że byłam podenerwowana i zniechęcona.

Zamiast tego spojrzałam na Rondę i powiedziałam:

– Bądź tak miła i daj dziecku drugą porcję ciasta. Czy wszystko muszę

robić sama?

Gerardo i Ronda wymienili porozumiewawcze spojrzenia oznaczające: musimy uzbroić się w cierpliwość, szefowa ma kiepski dzień.

– Ja nałożyć Martín – wtrąciła Helena, rozlewając taniego szampana do szerokich szklanek, każdej innej. Pewnie wszystkie były moje, nie miałam nawet dwóch jednakowych, nazbierałam ich przez ostatnie lata, nie zwracając uwagi na kształt.

Jubilatka i Ronda pośród śmiechów nałożyły Martinowi na talerz wielki kawał ciasta, prowadząc z nim coś w rodzaju wojny na łyżeczki.

– Jak tam? W porządku? – zapytał Gerardo, podchodząc do mnie. Stałam przy zlewie oparta o szafkę, oburącz ściskając kurczowo łaskę.

Dyskretnie odeszłam na bok: kiedy wszystko zaczyna mi przeszkadzać, problemem są nie inni, tylko ja sama. Parsknęłam, powstrzymując się, żeby nie powiedzieć mojemu wspólnikowi, jak głupie pytanie mi zadaje. Doskonale wiedział, że nic nie jest w porządku, że sprawa Conchy toczy się po równi pochyłej, że pozew utknął w miejscu, mimo że Huarte rzekomo była nam przychylna, i że nie mamy pieniędzy nawet na to, żeby w przyszłym miesiącu zapłacić za prąd.

Kiedy skończyły się pieniądze wyłożone przez nas na początku i wyparował wkład Conchy, sięgnęłam po własne oszczędności, znacznie uszczuplone z powodu rachunku wystawionego przez prywatną klinikę, w której przechodziłam rehabilitację (postanowiłam ją przyspieszyć i zrezygnować z miejsca na liście oczekujących w państwowej służbie zdrowia), ostatnich wypłat dla M., skandalicznych cen moich opiatów i antydepresantów i mnóstwa dodatkowych wydatków, które musiałam ponieść – od wyżywienia wszystkich obecnych w tej kuchni po niebotyczne honorarium eksperta i tak dalej, i tak dalej.

Gerardo nie wiedział o nieudanej rozmowie w banku sprzed kilku godzin. Mogłam mu ją zrelacjonować ze wszystkimi szczegółami, żebyśmy oboje stracili dobry humor, albo bez słowa wyjaśnienia posłać go do diabła. Rozważyłam obie możliwości i doszłam do wniosku, że dobrze byłoby znaleźć coś pośrodku, coś w rodzaju: „Wiesz doskonale, jak wygląda sytuacja, a jakby tego było mało, bank, który od ponad dwudziestu lat bierze ode mnie prowizje, teraz nie chce mieć ze mną nic wspólnego, więc przestań

pierdolić”, ale w tym momencie drzwi się uchyliły i do kuchni zajrzała Sofía.

– Przyszła policja – obwieściła stroskana.

Drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich umundurowany, gładko ogolony policjant, najwyraźniej w złym nastroju. Próbowałam odgadnąć, co sprowadza stróżów porządku publicznego do mojego domu. Na pewno nie przynosili dobrych wiadomości. Miałam tylko nadzieję, że nic złego nie przytrafiło się Conchy i dziewczynkom.

– Przykro nam, że musimy zakłócić świętowanie – powiedział policjant na widok ciasta i świeczki. – Dostarczamy pani przesyłkę, którą znaleźliśmy na ulicy. Ten człowiek twierdzi, że tu mieszka; musimy to sprawdzić.

Nie spodobał mi się ironiczny i pogardliwy ton, jakim wymówił słowo „przesyłka”. Wyjrzałam na korytarz i zobaczyłam, o co, a raczej, o kogo chodzi. Na podeście schodów stał inny policjant, podtrzymując ślaniającego się faceta, rannego w głowę i rękę. To znowu był on: Ramiro, mój były mąż, który wziął się, żeby mnie nachodzić. Choć trudno to sobie wyobrazić, wyglądał jeszcze gorzej niż ostatnio.

– Spał w bramie przy placu Vázquez de Mella – wyjaśnił policjant. – Wczorajem pobił się z kilkoma bezdomnymi. Kiedy chcieliśmy go wylegitymować, stawiał czynny opór. Sam się poranił.

Wyobraziłam sobie, jak policjanci, we dwóch albo wspomagani przez kolegów, unieruchamiają na bruku Ramira, który krzyczy i się szarpie.

– Normalnie już by siedział w areszcie, ale kiedy go wylegitymowaliśmy i zobaczyliśmy, kto to, uznaliśmy, że z uwagi na długie lata służby możemy dać mu szansę.

– Poważnie struł się alkoholem – zauważył drugi policjant, młodziutki chłopak. – Zbadał go lekarz z pogotowia, dostał kroplówkę i tlen, opatrzono mu zadrapania; to nic poważnego.

Ramiro był nawalony, mogłabym się założyć, że nie tylko z powodu alkoholu. Na szyi, twarzy, ramionach i rękach miał ślady zaschniętej krwi. Podniósł powieki i powiedział szeptem:

– Plac Trinidad cztery. Trzecie piętro, drzwi na lewo.

– Powtarza to cały czas, od kiedy wsadziliśmy go do radiowozu – mruknął policjant z brodą. – Czy to jest mieszkanie Ramira Sare?

Wszyscy obecni, czyli dwaj policjanci, moi młodzi współnicy, Helena, Martín, a nawet sam Ramiro, wbili we mnie wzrok w oczekiwaniu na odpowiedź. Ten nędznik już raz zrujnował mi życie i wyglądało na to, że jest gotów zrobić to ponownie. Ewidentnie był chodzącym trupem. Są ludzie, którzy nawet po śmierci kombinują, jak by tu przysporzyć ci kłopotów. Oczywiście to twoja wina, bo nie potrafisz uwolnić się od kogoś takiego, odciąć się raz na zawsze.

– Pewnie tak – odparłam, wzruszając ramionami.

Nie dał mi wyboru. Od środka zżerał go rak, zostało mu kilka tygodni życia i nie miał się kto nim zająć.

– Zostawiamy go, proszę pani – powiedział młodszy policjant, który nie spuszczał oczu z mojej maski. Widać było, że ma ochotę dorzucić jakiś komentarz, może o coś zapytać; jednak chyba przez szacunek się powstrzymał.

Oparł Ramira o framugę drzwi. Sofía musiała podtrzymać mojego eks, żeby nie upadł na podłogę.

– Proszę mu powiedzieć, że następnym razem, kiedy wywoła burdę, nie będzie miał tyle szczęścia – zaznaczył brodac.

Policjant mylił się co do jednej rzeczy: Ramiro Sare miał talent do pakowania się w kłopoty, ale zawsze spadał na cztery łapy. Popatrzyłam na niego, chudego jak szkielet, wymizerowanego, ze śmiercią i z nieszczęściem wypisanymi na każdej fałdce skóry. Nie odnalazłam w sobie żalu ani bólu, nawet współczucia. Ogarnął mnie jedynie (kolejny już raz) głęboki, zadawniony smutek.

– Zmieniłem się – wybełkotał – naprawdę.

Kiedy policjanci wyszli, poprosiłam Rondę i pozostałych, żeby go trochę obmyli i położyli na moim łóżku. Sama na razie nie byłam zdolna go dotknąć. Gerardo ujął Ramira pod pachy i zaciągnął do łazienki. Ronda i Sofía poszły za nimi.

– Na pewno nie chcesz ciasta?

Martín podał mi kawałek placka. Może to nie był zły pomysł, żeby jednak coś przegryźć. Postanowiłam przyjąć poczęstunek. Wzięłam talerzyk i włożyłam do ust kawałek marchewkowego ciasta z kremem. Musiałam się

zmusić, żeby go przełknąć. Poczułam, że zalewa mnie fala melancholii. O mało nie wybuchnęłam płaczem przed tym dzieciakiem. Skąd wzięło się to przygnębienie, do diabła, dlaczego nie działał inhibitor, który zażyłam kilka godzin wcześniej?

– Dziękuję – zdołałam wykrztusić. – Pyszne.

– Nie ma za co.

Helena powiedziała coś w swoim języku i zabrała Martina z kuchni. Zamknęła za sobą drzwi. Zostałam sama, z talerzykiem w dłoniach. Ręce i nogi zaczęły mi dygotać, nie potrafiłam tego opanować. Poczułam się bardziej bezbronna niż zwykle. Nagle zapaliło się we mnie jakieś światełko, przed oczami stanął mi na chwilę pewien obraz. Wzięłam talerzyk i cisnęłam nim o ścianę przed sobą. Rozbił się w drobny mak. Zobaczyłam kawałki ciasta i porcelany porozrzucone po meblach i po podłodze.

Huk talerza uderzającego o ścianę rozległ się w moim wnętrzu niczym echo odległego wspomnienia. Schyliłam się, żeby pozbierać większe kawałki, skaleczyłam się w rękę, z ranki popłynął strumyczek krwi, krople spadły na podłogę, mieszając się z resztkami ciasta z kremem, leżącymi pośród skorup talerzyka. Wydało mi się, że widzę, jak jedna z kropeł wchłania się w porowatą masę i łączy z mąką, olejem, jajkiem, gotowaną marchwią i innymi składnikami, z których był zrobiony placek. Skaleczenie na mojej dłoni było nieznaczne, mimo to ciekła z niego krew. Miałam wrażenie, że jeśli jej nie zatamuję, będzie tak broczyć jeszcze bardzo długo.

Ten obraz i huk, pobrzmiewające wciąż w mojej głowie, przeniosły mnie w inne czasy. Zobaczyłam siebie i swojego brata: byliśmy jeszcze dziećmi, miałam wtedy może sześć lat, moja matka była obok; zbierała z podłogi kawałki potłuczonego talerza, podobnego do tego, którym cisnęłam. Wydawała się drzeć, tak, płakała, wrzucając do pojemnika skorupy jednego czy kilku roztrzaskanych talerzy, też miała na ręce skaleczenie, nawet niejedno, i liczne rany, tyle że w odróżnieniu ode mnie nie zdawała sobie z nich sprawy. Może łzy albo strach nie pozwalały jej ich zobaczyć. Klęczała niemal w takiej samej pozycji jak ja teraz; brat trzymał mnie za rękę przestraszony, ja byłam starsza, chciałam mu dodać odwagi, której sama nie miałam, nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego ojciec cisnął talerzami o ścianę, dlaczego dostał niespodziewanego napadu furii, dlaczego matka nie

postawiła mu się, tylko w milczeniu zaczęła sprzątać, próbując zatrzeć ślady. Ojca już nie było. Wyszedł, trzaskając drzwiami, bez słowa wyjaśnienia, zostawił nas wszystkich drżących ze strachu. Nie byłam zdolna się poruszyć, trzymałam brata za rękę, żeby się nie rozryczał, a matka dalej sprzątała to, co zostało po wybuchu gniewu męża. To nie był jego pierwszy nieuzasadniony napad szału i oczywiście nie ostatni. Ojciec nie podnosił ręki na nią ani na nas; stosował przemoc w milczeniu, despotycznie. Nieustannie wisiała nad nami ukryta, dławiąca groźba, wypowiedana bez słów, niezostawiająca śladów na ciele, wyrażana stale spojrzeniem, gestami i wrogim tonem.

W pewnym sensie tamten wybuch był niczym podmuch huraganu, który przyniósł ze sobą wszystkie moje późniejsze biedy, obawy i lęki. Może dlatego że był pierwszym, jaki wyraźnie zapamiętałam, że te wyciągane do mnie przez brata ręce naznaczyły nasze późniejsze relacje, a może dlatego, że odziedziczona po matce melancholia zaczęła przesączać się na mnie właśnie w tamtym momencie, poprzez tamte potłuczone porcelanowe talerze, tamte rany, tamtą, broczącą z jej ręki, niezatamowaną krew. Biedne znieruchomiałe, wystraszone dzieci, których nie miał kto stamtąd zabrać, niezdolne wyrazić własnych emocji z obawy, że pogorszą sytuację. Wciąż jeszcze czułam tamtą wściekłość, tamtą ochotę, żeby wyc.

Przez całe dzieciństwo matka nie potrafiła położyć kresu ukrytej przemocy, którą permanentnie stosował ojciec, nie zdobyła się też na to, by go zostawić, zabrać nas i uciec. Strach przed pustką, przed tym, że nie uda jej się przetrwać, że straci wsparcie finansowe, utrwalane w niej od najmłodszych lat poczucie winy, a także niepewność co do prawdziwego charakteru tych scen (w końcu ojciec nigdy jej nie uderzył) sprawiły, że znosiła wiele sytuacji podobnych do tamtej, że wychowywaliśmy się z Alem w dusznej atmosferze, że nauczyliśmy się chodzić na palcach, nie wynurzając się z cienia i nie robiąc hałasu, tak by nie budzić potwora, którego miał w sobie ojciec, albo by nie wywoływać głębokiego smutku w mamie.

Od tamtej chwili nieświadomie, nie podejmując żadnej decyzji, przejęłam rolę mediatorki między rodzicami oraz opiekunki brata. Oba te obowiązki, przytłaczające dla małej dziewczynki, ciążyły mi do dziś. Nawet teraz dźwięk rozbijanych talerzy niemal codziennie rozbrzmiewał mi w głowie. Wiem, że czasem z mojego zachowania przebijała złość podobna do złości ojca. Budziło to we mnie lęk i odrazę, za wszelką cenę starałam się do tego nie

dopuścić. Kiedy indziej ujawniała się odziedziczona po matce depresja i to niepokoiło mnie jeszcze bardziej. Próbowałam zrzucić ją z siebie niczym drugą skórę utrudniającą mi oddychanie. Myślę, że ta genetyczna i emocjonalna dialektyka uformowała mój szkaradny charakter, który tylko nieliczni potrafili docenić.

– Co to był za hałas?

Głos stojącej w drzwiach Sofii wystraszył mnie i przywrócił do kuchennej rzeczywistości. Przyłożyłam dłoń do ust i wessałam skapujące krople krwi.

– Nic, spadł mi talerz – odpowiedziałam.

Dziewczyna weszła do środka i ostrożnie zamknęła drzwi. Widząc walające się po podłodze skorupy, zrozumiała, że to było coś znacznie więcej niż zwykły wypadek.

– Skaleczyłaś się?

– Troszeczkę.

Otworzyłam kosz na śmieci i wyrzuciłam kilka porcelanowych odłamków. Sofia wciąż na mnie patrzyła, zastanawiając się, co powinna zrobić. Podeszłam do szafy w głębi kuchni, wyjęłam szczotkę i szufelkę i zaczęłam zamiatać podłogę.

– Myją twójego byłego pod prysznicem – powiedziała. – Okropnie śmierdział.

– Dziękuję – odparłam, nie podnosząc wzroku. Zamiatałam szczotką podłogę, do której przykleiło się domowe ciasto, zamienione teraz w lepki maź. – Powiedz im, że mogą iść. Zajmę się nim, kiedy skończę sprzątać.

– Nie martw się, Gerardo i Ronda wzięli sobie twoją prośbę do serca. Nie spoczną, dopóki nie ułożą go na łóżku czystego i ogarniętego.

Dalej stała w kuchni, patrząc, jak zmiatam. Takie rzeczy nigdy dobrze mi nie wychodziły. Wolę mieć do czynienia z niebezpiecznymi przestępcami niż z mopem. Zawsze wiedziałam, że moją działką jest gmatwanie rzeczy, nie ich porządkowanie.

– Co się wydarzyło? Z Ramirem. Co dokładnie się stało?

Na pewno Sofia zastanawiała się nad tym od dłuższego czasu, podobnie jak pozostali. Od dnia, kiedy mój pierwszy były mąż zjawił się

niespodziewanie w naszym biurze, szeptali za moimi plecami, snuli domysły, ale do tej pory nie mieli odwagi zapytać o to wprost.

– Co takiego strasznego zrobił? – sprecyzowała.

Spojrzałam na nią nieufnie.

– M. wam nie powiedział? Albo Concha?

– Nie, milczą jak grób – odparła Sofía. – Obiło mi się o uszy to i owo, pracowaliście razem nad jakąś sprawą i coś poszło nie tak, ale nie wiem nic więcej.

Sapnęłam wykończona. Od lat nie rozmawiałam z nikim o Ramirze. Widocznie był to dzień grzebania w przeszłości i rozdrapywania ukrytych, niezasklepionych ran.

– To nie jest przyjemna historia – mruknęłam. – Może kiedyś, kiedy będę czuła się trochę lepiej, przede wszystkim jednak, kiedy będę miała do ciebie pełne zaufanie, opowiem ci szczegółowo, co się stało.

– Chciałabym to usłyszeć. Teraz. Zapewniam cię, że jestem przygotowana. Proszę.

Rozbroiły mnie jej upór i pewność siebie. Myślę, że w jakimś mrocznym zakamarku duszy czułam potrzebę, żeby to z siebie wyrzucić. Nikt nie jest do końca niewinny ani nie daje się zaprowadzić tam, dokąd nie chce iść. Upłynęło już prawie sześć lat. Pomyślałam, że właściwie nadszedł dobry moment, żeby opisać zdarzenie, które wszystko zmieniło.

Odstawiłam szcztokę do kąta i spojrzałam na Sofię.

– Dobra – zgodziłam się. – Powiem ci.

– Do tamtego dnia o rtęci wiedziałam tylko to, że wykorzystuje się ją w termometrach i innych narzędziach pomiarowych. Nie znałam innych zastosowań tego pierwiastka chemicznego, który kojarzył mi się wyłącznie z zamierzchłymi czasami liceum, kiedy uczyliśmy się o układzie okresowym. Tamtego dnia zostałam specjalistką od rtęci.

Miałam trzydzieści osiem lat, byłam po uszy zakochana w swoim mężu (samo wypowiedzenie tego na głos przyprawia mnie o mdłości) i raz w życiu dałam się ponieść: odpuściłam sobie i zaufałam człowiekowi, z którym byłam. Ramiro i ja mieliśmy wszystko, o czym można zamarzyć: cudowne życie przed sobą, mnóstwo planów, wspaniały dom, zgadzaliśmy się nawet w sprawach moralności i etyki pracy. Gdybyś go wtedy znała, zrozumiałabyś, co mam na myśli – zero podobieństwa z tym ponurym szkieletem, w jaki się zamienił. Był facetem pełnym życia, otwartym, czarującym, silnym, szarmanckim, opiekuńczym i niezależnym jednocześnie, emanował zaraźliwym spokojem, który sprawiał, że czuło się przy nim dobrze. Poza tym, jak powiedziałaś, współpracowaliśmy przy skomplikowanej sprawie, która nas całkowicie pochłonęła. A przede wszystkim – i nie wolno o tym zapominać – byłam w ciąży. Dokładnie w dwudziestym ósmym tygodniu. Byłam dumna z mojego brzucha, gotowa na zmianę, o której tyle się mówi – że dziecko czyni człowieka mniej egoistycznym, może nawet lepszym.

Sprawa, nad którą pracowaliśmy, dotyczyła międzynarodowego handlu narkotykami i obejmowała kilka krajów. Reprezentowałam oskarżenie prywatne – potężne, wpływowe lobby występujące przeciwko hiszpańsko-kolumbijskiemu gangowi, który przez Półwysep Iberyjski wwoził do Europy tony narkotyków. Na ławie oskarżonych zasiadło dwudziestu trzech mafijnych bossów, zatrzymanych po latach śledztwa prowadzonego przez różne służby. Ramiro należał do olbrzymiej siatki policjantów z różnych krajów, którzy brali udział w operacji.

Szkoda, że nie widziałaś tych dwudziestu trzech gości: na sam ich widok

włos się jeżył na głowie. Byli tak groźni i mieli tyle kontaktów, że w czasie postępowania przygotowawczego trzymano ich w izolacji, rozdzielonych po różnych zakładach karnych, i obserwowano w dzień i w nocy.

Pozew opierał się na delikatnym materiale, na który składały się raporty tajnych agentów i służb wywiadowczych, zeznania świadków koronnych, donosicieli, kretów, dilerów, klientów detalicznych, którzy kupowali od nich towar, oraz długiej, niekończącej się listy współpracowników.

Wiedzieliśmy z Ramirem, że stąpamy po niepewnym gruncie. Wiedzieliśmy również, że jesteśmy po stronie dobrych, że się tak wyrażę. A to dodawało nam sił. Myślę, że chociaż nie mówiliśmy tego głośno, mieliśmy pewność, że dzięki nam świat, w którym miała dorastać nasza jeszcze nienarodzona córka, będzie trochę lepszy, i ta pewność – chociaż może zabrzmie to naiwnie – kazała nam robić wszystko, żeby zamknąć tę bandę łotrów, zaakceptować związane z tym ryzyko. I – nie będę ukrywać – dostawałam za swoją pracę kupę pieniędzy, co też pomagało.

Ósmego maja – nigdy nie zapomnę tej daty – w procesie doszło do nieoczekiwanego, ważnego zwrotu. Jeden z dwudziestu trzech oskarżonych postanowił zdradzić towarzyszy w zamian za obniżenie kary i gwarancję uniknięcia ekstradycji. Nie wiem, co nim kierowało: wyrzuty sumienia, obawa przed spędzeniem reszty życia za kratkami czy brak zaufania do systemu sądowego i penitencjarnego w jego kraju, dość że podjął decyzję, a my zamierzaliśmy ją wykorzystać. Wiedział wszystko o gangu, a mówiąc wszystko, mam na myśli to, że znał działalność finansową, trasy przerzutów, kontakty, wiedział, jakie trupy mieli na sumieniu, co, gdzie i kiedy się wydarzyło. Był niczym twardy dysk wypełniony informacjami, które należało tylko stopniowo odzyskiwać. Oczywiście podzieliłam się swoim entuzjazmem z Ramirem. Przyznanie się przez tego jednego oznaczało, że reszta zostanie na bank skazana i że uda się ostatecznie rozbić siatkę, która pomimo aresztowań dalej funkcjonowała.

Przyznam szczerze, że nie znałam słabych stron Ramira, a może po prostu wolałam się nad nimi nie zastanawiać. Wiedziałam, że kiedyś był oskarżony o korupcję, ale sprawa nigdy nie trafiła do sądu i uznałam, że to dawne dzieje. Dla mnie był uczciwym człowiekiem, któremu przytrafiło się jedno potknięcie, to wszystko. Postanowiłam przecież zaplanować z nim przyszłość, mieć dziecko, dzielić całe życie.

Skruszony przestępca miał zostać potajemnie przewieziony do hotelu na obrzeżach miasta, gdzie zarezerwowano dla niego całe piętro, i pozostać tam do czasu, aż złoży zeznania przed sędzią. Zastosowano nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. Tylko ja i prokurator mieliśmy do niego dostęp.

Przypadek i pech, w połączeniu z szeregiem nieszczęśliwych, niespodziewanych zdarzeń, sprawiły, że tamtego popołudnia, ósmego maja, ja, Arrellano – prokurator zajmujący się sprawą, oraz Galván – skruszony donosiciel, jechaliśmy do hotelu ósmioosobowym vanem – volkswagenem caravelle z przyciemnianymi szybami. Nie było czasu do stracenia. Musieliśmy jak najszybciej uzyskać informacje; baliśmy się, że Galván zrezygnuje ze składania zeznań, że wydarzy się coś, co skłoni go do zmiany zdania, albo że ktoś go uciszy. Oprócz kierowcy towarzyszyli nam dwaj policjanci blisko współpracujący z sądem. Im mniej osób wiedziało, dokąd się wybieramy, tym lepiej. Dobrze wiedzieliśmy, jak towarzysze Galvana rozprawiają się z tymi, którzy zawiedli ich zaufanie. Nie byłby pierwszym ani ostatnim świadkiem, który dostał kulkę w łeb, żeby nie móc przeciwko nim zeznawać.

Pamiętam zapach nowej skóry we wnętrzu vana wymieszany z mocnym zapachem wody kolońskiej oskarżonego, który teraz stał się świadkiem. Miał na sobie kilka warstw ubrań i był bez kajdanek, pewnie żeby nie wzbudzać podejrzeń. To był dla mnie proces życia: robiłam dokładnie to, co zawsze chciałam robić, w najszerszym i najgłębszym znaczeniu. Być może znajdowałam się w szczytowym punkcie kariery i życia osobistego. Byłam jednym z głównych udziałowców dużej, znanej kancelarii prawnej, z której usług chcieli korzystać wszyscy. Pomagałam w ostatecznym rozbiciu jednej z największych siatek handlarzy narkotyków na świecie. A mój związek z Ramirem opierał się na partnerstwie i autentycznej bliskości, jakie nigdy nie łączyły mnie z żadnym innym człowiekiem. Tym dotkliwiej – o ile to w ogóle możliwe – zraniło mnie to, co się wydarzyło.

Zanim van ruszył, Galván spojrzał na mnie i z kolumbijskim akcentem wyszeptał zaledwie trzy słowa: „Chłopiec czy dziewczynka?”.

Poczułam irracjonalny strach przed dzieleniem się tak osobistą informacją z groźnym przestępcą, który najprawdopodobniej własnymi rękami pozbawił życia wiele osób. Pomyślałam jednak, że skoro chcę, żeby z nami

współpracował, nic się nie stanie, jeżeli zdradzę mu tak zwykłą sprawę. „Dziewczynka”, odpowiedziałam, przykładając rękę do brzucha.

I tyle, to było jedyne słowo, jakie z nim zamieniłam. Arrellano dał znak strażnikowi i van ruszył.

Przysięgam ci, że kilka sekund po tym, jak zaczął pracować silnik caravelle, poczułam, że coś jest nie tak. Nie wiedziałam co; w samochodzie zapanowało ponure milczenie przerywane jedynie metalicznym dźwiękiem, którego nie potrafiłam zidentyfikować.

Tysiąc razy odtwarzałam w pamięci tę scenę. Pod samochodem, dokładnie dwa metry od miejsca, w którym się znajdowałam, na wysokości przednich siedzeń, umieszczona była szklana ampułka z niewielką ilością rtęci, którą ruch pojazdu wprowadził w lekkie drgania. Doprowadziło to do zamknięcia obwodu elektrycznego w plastikowym pojemniku wypełnionym titadynem, materiałem wybuchowym podobnym do tego, którego używają niektóre ugrupowania terrorystyczne. Przytwierdzony do podwozia ładunek eksplodował, kiedy van ruszył z miejsca.

Usłyszałam wybuch, straszliwy huk, którego źródła nie potrafiłam zidentyfikować. Wierz mi, niełatwo jest się domyślić, że to bomba, kiedy coś wybucha ci pod nogami. W moich wspomnieniach, mglistych i zmieniających się, wszystko dzieje się w zwolnionym tempie: pamiętam bijący od dołu nieznośny żar, ogłuszający hałas, krzyki moje i moich towarzyszy, uczucie pustki, rozerwane ciała, krew pośród płomieni, wbitą w ciało kierowcy stal, która wygina się i topnieje na moich oczach. Wszystko zdarzyło się niespodziewanie. Bomba domowej produkcji, którą płatny zabójca umocował chwilę wcześniej pod podwoziem vana, wyrzuciła samochód niemal pół metra w górę.

Była to potężna eksplozja w miejscu publicznym w samym środku dnia. Służbowy volkswagen caravelle wyleciał w powietrze na oczach kilku przechodniów. Dwóch pasażerów zginęło na miejscu, a czwórka pozostałych, wśród nich ja, została przewieziona na sygnale do pobliskiego szpitala imienia Gregoria Marañoa.

W karetce krzyczałam rozpaczliwie, żeby ratowano dziecko, że wszystko inne jest nieważne. Miałam kilka złamań, których się tylko domyślałam, rany i oparzenia różnego stopnia, byłam w takim szoku, że nie wiem, jak zdołałam

wykrztusić z siebie słowo. Jak się później dowiedziałam, mojemu życiu nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo. Potwierdziły się jednak najgorsze obawy. W szpitalu powiedziano mi, że doznałam poważnych obrażeń brzucha oraz kręgosłupa na odcinku lędźwiowym. Spowodowały one między innymi pęknięcie śledziony, uszkodzenie wątroby, złamanie miednicy... i odklejenie łożyska. Serce płodu przestało bić krótko po wybuchu. Nic nie dało się zrobić.

I tyle. To był koniec wszystkiego.

Zrobiono mi łyżeczkowanie macicy, zoperowano, sama nie wiem, ile części ciała, opatrzone oparzenia, pozszywano mnie i przeniesiono do najzimniejszego i najciemniejszego pokoju, w jakim kiedykolwiek przebywałam, choć przypuszczam, że wtedy wydałoby mi się takim każde miejsce. W tamtym momencie, ósmego maja, skończyło się moje życie, wszystko, co miało dla mnie znaczenie. Tego dnia czekał mnie jednak jeszcze jeden cios, nie wiem, czy najmocniejszy, wiem tylko, że na pewno nadał on nowe znaczenie temu, co się wydarzyło.

Dziwiłam się, że Ramiro tak długo się nie pojawia. Przyszedł w środku nocy, jak duch. Między jednym a drugim koszmarem sennym. Nagle zobaczyłam, że siedzi przy moim szpitalnym łóżku i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, niemal nie oddychając. To chyba tamtego dnia stał się tym, kim jest dzisiaj. Powiedziałabym, że wyglądał jeszcze gorzej niż ja. Był zdruzgotany. Tłumaczyłam to oczywiście stratą dziecka i tym, co zrobili nam ci łajdacy. Ale było coś więcej. „To ja”, wybełkotał.

Wielokrotnie powtórzył te słowa. „To ja”.

Początkowo myślałam, że to tylko taka przerośnięta, że bierze na siebie część odpowiedzialności: nie przewidział, że baronowie narkotykowi mogą posunąć się tak daleko. Ale nie. Niestety, chodziło o coś znacznie więcej niż zwykłą przerośnię.

Ramiro nas zdradził. Poinformował Kolumbijczyków o zamiarach Galvana, o wszystkim, co miało się wydarzyć, o zmianie zeznań, o przewiezieniu do hotelu, absolutnie o wszystkim.

Przy szpitalnym łóżku zaklinał się na wszystkie świętości, że nie przewidział konsekwencji swojej zdrady, że gdyby się domyślał, nigdy by tego nie zrobił. Nie przypuszczał, że będą chcieli wyeliminować Galvana

w taki sposób, a tym bardziej że ja będę z nim, kiedy to się stanie. Płakał, prosił o wybaczenie, przysięgał, że jeżeli kiedyś zdołam mu wybaczyć – nie teraz, ale może kiedyś – zrobi wszystko, cokolwiek zechcę, żeby mi to wynagrodzić. Powtarzał w kółko, że zawsze przy mnie będzie. Powiedział jeszcze wiele innych rzeczy, ale przestałam go słuchać w chwili, gdy przyznał, że to on nas wydał.

Zapytałam jedynie, dlaczego to zrobił. „Bo mieli mnie w garści – odpowiedział. – Wiedzieli o moich problemach z Biurem Spraw Wewnętrznych, o wszystkim, co zrobiłem i co nadal robię. Jeślibym im nie pomógł, zniszczyliby mnie, moja kariera byłaby pogrzebana i ty też byś to odczuła. Zresztą gdybym ja tego nie zrobił, znalazłby się ktoś inny, możesz być pewna. Chociaż wyda ci się to dziwne, zrobiłem to dla nas. Nie miałem innego wyjścia, grożono mi, szantażowano mnie, przyparto do muru. Nie wiedziałem, nie mogłem przewidzieć, że posuną się do czegoś takiego, że ty tam będziesz, że stracimy nasze dziecko”.

Posypały się przeprosiny i usprawiedliwienia. Bardzo przekonujące. Ze sposobu, w jaki je przedstawiał, wynikało, że sam w nie wierzy. Ale jedyną prawdą było to, że zdradził wszystkich, łącznie ze mną, i co gorsza, ze strachu, że wyjdą na światło dzienne jego brudy, zdradził samego siebie – za śmieszoną kwotę, która wpłynęła na jego konto. Na pewno uznał ją za ogromną, ale mogę cię zapewnić, że była śmiesznie niska. Każda by była.

Nie musiałam na niego donosić, sam zniszczył sobie życie, karierę.

Więcej go nie zobaczyłam. Kontaktowaliśmy się tylko przez prawników. Do dnia, kiedy się tu pojawił.

Tamtej nocy w szpitalu kazałam mu zniknąć. Zniszczył wszystko: nasze zaufanie do siebie, nasze życie, naszą przyszłość. Poprosiłam, jeśli pozostała mu choć odrobina przyzwoitości, żeby był tak uprzejmy i zniknął na zawsze. Tak też zrobił.

Zrezygnowałam z prowadzenia sprawy i zamknęłam się w możliwie najciemniejszej studni – że ujmę to obrazowo. Mijały miesiące rozdarcia, bólu, pozornej obojętności, pełne luk w pamięci. Przyznaję, że byłam bliska, żeby odpuścić i ze sobą skończyć, ale zabrakło mi odwagi; naprawdę to tylko mnie powstrzymało. Potem zjawiła się Concha i ocaliła mnie wbrew mojej woli. Kazała mi stanąć na nogi i zacząć iść do przodu.

Resztę już znasz – zakończyłam, spoglądając na Sofię, która przez cały czas zachowała pełne szacunku milczenie.

Nagle kuchnia wydała mi się znacznie ciasniejsza. Odniosłam wrażenie, że jestem zamknięta w jakimś miejscu i muszę się z niego wydostać. Sofia wciąż się nie odzywała. Pewnie niełatwo było cokolwiek powiedzieć po wysłuchaniu takiej historii.

– Przykro mi – szepnęła tylko.

– Jesteś trzecią osobą, która się o tym dowiaduje – oznajmiłam. – I pierwszą, której sama o tym opowiedziałam.

– Nie rozumiem, jak możesz z nim rozmawiać i patrzeć mu w oczy po tym, co zrobił. Co z tego, że upłynęło tyle lat.

– Otóż to – odparłam. – Jest wiele rzeczy, których nie rozumiesz. Nie mam do ciebie pretensji, ja sama też ich do końca nie rozumiem.

– Nie wiem, co powiedzieć – przyznała.

– Nie musisz niczego mówić. A tym bardziej uważać się nade mną czy używać wyświechtanych słów. Nie potrzeba. Naprawdę nie musisz niczego robić ani mówić. I jeszcze jedno: nie będziesz mnie nigdy pytać o nic, co ma związek z tą historią. To kończy się tu i teraz. Nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiały. Nigdy więcej o tym nie wspomnisz.

– Jak sobie życzysz – obiecała.

– Nie jestem jedyną osobą, która przeżyła coś podobnego, i mam na myśli nie tylko wybuch bomby, ale też utratę ciąży, zdradę ze strony najbliższej osoby i w ogóle wszystko, co się z tą sprawą wiąże. Robiłam, co mogłam. Nie jestem specjalnie dumna z mojego postępowania w ciągu ostatnich sześciu lat, ale też niczego nie żałuję.

Nie uznałam za stosowne poinformować o tym Sofię, ale kiedy wyszłam ze szpitala, zaczęła się moja przygoda ze środkami uspokajającymi i z alkoholem, które z czasem stały się kluczowym elementem mojej codzienności. Moim sposobem na życie.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytała.

Pokręciłam głową.

– Za dużo już powiedziałam – ucięłam. – Mam nadzieję, że mnie

rozumiesz i że będziesz miała na względzie to, o co cię prosiłam.

Sofía spojrzała na mnie. Wyczytałam z jej oczu, że nie zawiedzie mojego zaufania.

Przerwałyśmy rozmowę, nie miałam siły jej ciągnąć. Jeszcze uroniłabym kilka łez na ramieniu mojej młodej współpracownicy, a już na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze. Poprosiłam ją, żeby wyszła, chciałam zostać sama.

Zaraz potem, roztrzęsiona, weszłam do łazienki w głębi przedpokoju i zażyłam tabletkę tramadolu oraz niewielką dawkę paroksetyny. Nic specjalnego. Popiłam zimną wodą z kranu. Stopniowo zaczęłam odzyskiwać poczucie względnej równowagi.

Zamknęłam się w gabinecie, odcięta od reszty świata, i czekałam, aż Ronda i spółka skończą myć Ramira. Postanowiłam, że spróbuję skupić myśli na czymś innym. Przedtem przez kilka godzin z marnym skutkiem starałam się skoncentrować na nowym raporcie dotyczącym struktury finansowej Gran Castilli, zostawionym mi przez Gerarda. Po tym, co opowiedziałam Sofii, nie było mowy o pracy.

Ze wszystkich sił próbowałam przebrnąć przez dokumenty. Nie wiem, czy to wpływ tabletek, w każdym razie miałam dziwne wrażenie, że im więcej wiemy o Gran Castilli, tym jesteśmy dalsi od prawdy: wyniki finansowe firmy były nie do rozszyfrowania. Nie tylko prowadzili interesy w całym kraju, ale mieli też salony gier na Dominikanie, w Chile i w Argentynie. W sumie podlegały im trzydzieści dwa dochodowe kasyna, do których należało dodać rosnącą ofertę gier online. Na nich skupili się w ostatnich latach, inwestując w marketing i reklamę. Tym olbrzymim wielogłowym potworem Emiliano Santonja kierował według własnego uznania. Chociaż musiał składać sprawozdania przed zarządem, decyzje podejmował sam. Suma, której chciałam zażądać w ramach odszkodowania w akcie oskarżenia, miała być proporcjonalna nie tylko do popełnionego przestępstwa, ale także do zysków tej ogromnej spółki.

Kiedy robiłam notatki – niektóre raczej pozbawione sensu – w głowie kołatały mi się nazwiska dwóch osób. Pierwszą był Ignacio Cimadevilla, wspólnik kasyna, który na sześciu nagraniach groził mojemu bratu i poddawał go naciskom. Interesował się również Heleną – powiedzmy, że nie tylko z powodów czysto finansowych. W ciągu ostatnich lat sprawował

różne funkcje w zarządzie Gran Castilli: wicedyrektora do spraw operacyjnych, zastępcy prezesa, głównego menedżera, dyrektora zarządzającego. Jednym słowem, czerpał spore zyski i cieszył się zaufaniem wielkiego szefa. Miał mniejsze udziały w spółce niż Santonja, mimo to jego wpływy były bardzo silne, że nie wspomnę już o swobodzie, z jaką wypowiadał się na nagraniach. Zdaniem Gerarda był jak piskorz. Ciągłe nam się wymykał; do tej pory nie udało się ściągnąć go do sądu. Adwokaci odraczali terminy jego zeznań, powołując się na rozliczne podróże służbowe i przedkładając odpowiednie usprawiedliwienia. Miałam nadzieję, że za tą zwłoką kryje się coś więcej; może chciał nam coś powiedzieć, a prawnicy próbowali go od tego odwieść. Nie mogłam się doczekać, kiedy poznam go osobiście i utniemy sobie pogawędkę.

Drugą osobą był Miguel Ortiz. Z tego, co udało nam się odkryć, wynikało, że miał podobny do Alejandra styl bycia i profil psychologiczny: szybko się do czegoś zapalał i popadał w nałogi, łatwo nawiązywał kontakty, był uzdolniony artystycznie, sympatyczny, nie był pierwszym lepszym frajerem, który dawał się systematycznie oskubywać. Wszystko okazywało się o wiele bardziej skomplikowane. Zarówno on, jak i mój brat wygrali sporo podczas różnych partii, po czym wszystko zostało im odebrane, powoli, tak że nikt się nie zorientował, nawet oni sami. Nie twierdzę, że stanowiło to część jakiegoś zawczasu obmyślonego planu – stało się, i tyle. Wydarto im wszystko, a potem naciskano ich coraz mocniej, aż pękli. Na pewno było więcej takich osób jak Alejandro Tramel i Miguel Ortiz, a ja musiałam je odnaleźć.

Okolo pierwszej zmęczenie i ucisk w skroniach stały się nie do zniesienia. Oczy same mi się zamykały; miałam za sobą bardzo długi dzień. Odbylam daleką podróż do przeszłości, z której jeszcze nie do końca wróciłam. I wzięłam sporo tabletek. Chociaż czułam opory przed wejściem do swojego pokoju, świadoma, co w nim zastanę, postanowiłam stawić temu czoło. Nie mogłam spędzić nocy w fotelu. Po incydencie moje ciało by tego nie zniosło – następnego dnia pożałowałabym swojej decyzji: czułabym zeszywniałe mięśnie i nie wiadomo co jeszcze. Kusiło mnie, żeby wsiąść do samochodu i pojechać do Moncady. W ostatnich dniach kilkakrotnie dochodziło między nami do satysfakcjonujących, pełnych zbliżeń. Można powiedzieć, że dobrze się rozumieliśmy. Wszystko przebiegało w naturalny sposób, niewymuszenie. Nasze spotkania były dla mnie niczym mała oaza: niewiele

rozmawialiśmy, ale dużo robiliśmy, pozwalając naszym ciałom przejąć inicjatywę. To nie był żaden poważny związek, nie zamierzałam do tego dopuścić. Po prostu dwoje dorosłych ludzi dotrzymywało sobie towarzystwa i razem lizało swoje rany – niemal dosłownie – w takim momencie życia, w którym żadne z nich nie podejrzewało, że coś podobnego może się im przytrafić. Ale to nie miała być jedna z tych nocy. Czułam się tak wyczerpana, że marzyłam tylko o tym, by zamknąć na kilka godzin oczy i by nikt mi nie przeszkadzał. Zebrałam siły i powiedziałam sobie, że dam radę, do diabła, w końcu to moja sypialnia.

Powłócząc nogami, minęłam przedpokój i uchyliłam drzwi. Dostrzegłam w mroku ciało Ramira z wystającymi z łóżka stopami. Jego wzrost zawsze był niekompatybilny ze standardowymi wymiarami materaców. Położyłam się ostrożnie obok, nie zdejmując ubrania – nie chciałam poczuć choćby na moment jego skóry, gdyby w nocy któreś z nas się poruszyło. Próbowałam wyrównać oddech – brzuch, piersi, gardło – powoli, powietrze wchodziło mi do nosa i z niego wychodziło, nie otwierałam ust, jeszcze raz, każdy kolejny wdech odrobinę dłuższy. Nie potrafiłam się odprężyć, to było ponad moje możliwości. Ramiro wymamrotał coś przez sen, obrócił się w moją stronę, nie budząc się właściwie, poprawił sobie pod głową poduszkę i przełożył mi swoją długą chudą rękę przez pierś. Pomyślałam, że może tylko udaje sen, ale nie, cicho pochrapywał, a z kącika ust sączyła mu się cienka strużka śliny. Nie odsunęłam jego ręki wyłącznie z obawy, że mógłby się obudzić, a to nieuchronnie doprowadziłoby do wymiany słów.

Tak więc leżeliśmy obok siebie, mój pierwszy były mąż Ramiro Sare, drań, który mnie zdradził, mężczyzna, przez którego wszystko straciłam, i ja. On trawiony nieuleczalną chorobą, ja w krytycznym momencie nałogu, kiedy wciąż powtarzałam sobie, że wreszcie z tego wyjdę. Po wielu latach znów dzieliliśmy łóżko. Znów łapał mnie za pierś.

Widzieliśmy się już trzykrotnie od jego powrotu i za każdym razem powtarzał to samo: przysięgam ci, że się zmieniłem. Oczywiście nie wierzyłam mu, nie zamierzałam dawać mu drugiej szansy, nic z tych rzeczy. Ale już przez samo to, że nie podjęłam żadnej decyzji, puszczając wszystko na żywioł, znaleźliśmy się znowu w punkcie wyjścia: ja go holuję, on jest mnie uczepony.

Zrobiłam coś, czego nie planowałam. Ostrożnie zdjęłam maskę z twarzy

i położyłam na nocnej szafce. Wystarczy. Byłam gotowa na to, żeby świat zobaczył moje rany, głębokie, brzydkie, niezagojone. Nie musiałam konsultować się ze specjalistą. Uznałam, że już koniec z maską. Poczułam lekką ulgę.

Spojrzałam kątem oka na Ramira i szepnęłam:

– Jeżeli jeszcze raz mnie wystawisz, nie pozwolę ci ot tak po prostu umrzeć. Najpierw zamrozę cię za życia, a potem będę odcinać od twojego ciała małe kawałeczki, po jednym każdego dnia, aż nie zostanie z ciebie nic poza dalekim, odrażającym wspomnieniem.

– Kamień, papier, nożyce! – zawołał skupiony.

Martín zawahał się przez chwilę, trzymając rękę za plecami.

– Raz, dwa... trzy!

Obaj jednocześnie wyciągnęli dłonie: Ramiro miał wyprostowany palec wskazujący i środkowy, Martín – zaciśniętą piąstkę.

– Kamień tępi nożyce – powiedział mały – ja wygrywam.

– Na to wygląda. Szybko się uczysz.

– Martín bardzo mądry, brawo – powiedziała Helena, która też była w kuchni.

Mój eks i chłopiec siedzieli przy stole, bratowa stała za synem. Ten dzieciak uczepiłby się kurczowo pierwszego lepszego mężczyzny uosabiającego ojca, by już go więcej nie puścić. Potrzebował wzorca, którego w moim domu raczej brakowało, dlatego nie zdziwiło mnie, że jest zachwycony obecnością Ramira. Mój pierwszy były mąż nadal wyglądał fatalnie, choć już nieco lepiej niż dzień wcześniej: trzymał się na nogach bez niczyjej pomocy i nie krwawił z żadnej części ciała, przynajmniej z żadnej widocznej gołym okiem. Cicho wstał z łóżka przede mną. Spojrzałam na ścienny zegar, była 7.48. Zasnęłam.

– Dzień dobry – powiedziałam, stając w otwartych drzwiach.

Wszyscy troje odwrócili głowy, w ich oczach odmalowało się zdumienie, kiedy zobaczyli mnie bez maski, z poharataną twarzą, z odsłoniętymi ranami na nosie i policzku.

– Zgubiłaś maskę, Ana? – zapytał Martín zmartwiony.

– Martín, ty nie pytać – skarciła go Helena i podeszła do mnie z parującą filiżanką. – Chcesz kawa? Zrobił Ramiro.

Wzięłam od niej filiżankę i podniosłam do ust. Czarna, mocna, bez cukru

– jedyne, co w normalnych warunkach tolerował o tej porze mój organizm.

– Jeszcze raz – powiedział rozochocony Martín i wyciągnął rękę na znak, że zaczyna nową rundę.

– W Poznaniu nie znać kamień, nożyce – powiedziała z uśmiechem moja bratowa. Było jej chyba miło, że Ramiro i jej syn zapałali do siebie taką sympatią.

Chciałam ją ostrzec, żeby ani przez moment nie żywiła choćby najmniejszej nadziei, że ze strony tego człowieka może spotkać ją cokolwiek dobrego, ale uznałam, że to nie jest odpowiedni moment. Postanowiłam odłożyć rozmowę na później. I oczywiście miałam też zamiar porozmawiać z umierającym zaklinaczem węży; absolutnie nie chciałam pozwolić, żeby u mnie został, co z tego, że robił najlepszą kawę w mieście i że został nowym towarzyszem zabaw Martina.

– Kamień, papier, nożyce! – zawołał chłopiec.

Zadzwęczała moja komórka, na ekranie pojawiła się wiadomość od Gerarda: „Huarte wezwała wszystkie strony na 9”. Musiałam się zbierać – może był już raport biegłego. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dostałam kolejną wiadomość, tym razem od M.: „Mam śniadanie z wdową po Ortizie, później ci opowiem”. Ranek zapowiadał się pracowicie.

Ramiro wyciągnął otwartą dłoń i znowu przegrał – Martín triumfalnie pokazał dwa palce.

– Nożyce tną papier! – wykrzyknął, po czym powiedział coś po polsku i wybuchnął śmiechem, jakby odniósł zwycięstwo dostępne nielicznym. Dla uczczenia go przytulił się do matki.

Nie patrząc nawet w moją stronę, Ramiro powiedział:

– Nie bardzo pamiętam, co się wczoraj stało, ale dziękuję. Naprawdę.

Kiedy tak siedział w kuchni, wśród zapachu świeżo zaparzonej kawy, bawiąc się z chłopcem, z tymi swoimi gigantycznymi worami po oczach, wyglądał na bezbronno biedaczyne, może nawet miłego, czułego, cierpliwego. Ale nie kupowałam tego – nie miał najmniejszego prawa tu być, guzik mnie obchodziło, że nie ma gdzie umrzeć ani że naprowadził mnie na trop Ortiza, który mógł nam pomóc w sprawie. Nie obchodziła mnie nawet jego rzekoma nowa karma, zapewnienia, że się zmienił, że jest innym

człowiekiem. Nie zamierzałam do niego wracać, żeby się o tym przekonać.

Podeszłam i szepnęłam mu na ucho:

– Kiedy wrócę z sądu, ma cię tu nie być. Nie będę ci tego więcej powtarzać: won z mojego życia. Mówię poważnie. Ostatni raz cię ostrzegam.

Nie dając mu czasu na odpowiedź, wyszłam z kuchni, żeby przygotować się do czekającego mnie dnia.

Godzinę później szłam korytarzem sądu w Robredo, na parterze, w towarzystwie Gerarda i Sofii. Ponieważ żadne z nich nie wspomniało o masce, sama poruszyłam ten temat:

– Jak wam się podoba mój nowy *look*? Dobrze wyglądam?

– Już przyzwyczaiałem się do maski – odpowiedział pospiesznie chłopak, starając się właściwie dobrać słowa. – Czuję się tak, jakbym pracował z superbohaterką, w masce, z laską i w ogóle. Ale bez niej też wyglądasz świetnie, bardziej naturalnie.

– Czyli że w masce wyglądałam jak oryginał – przetłumaczyłam jego słowa – a bez niej jestem tylko obitą nieboraczką.

– Nie, nie, nie – próbował prostować – niczego takiego nie powiedziałem.

– Ale tak pomyślałeś.

– Wcale nie. No, może trochę, ale tylko przez sekundę albo przez dwie, kurde, nie wiem, co powiedzieć, zaplątałem się.

– Nie zwracaj na niego uwagi – wtrąciła Sofia. – Ktoś, kto nosi takie krawaty, powinien powstrzymać się od komentarzy na temat estetyki.

– Masz coś do moich krawatów?

– Ja nie – odpowiedziała dziewczyna – to one mają coś do mnie, codziennie rano mnie atakują.

– Mónica je uwielbia – oznajmił z dumą.

– Pod wieloma względami to bardzo fajna dziewczyna, ale biedaczka jest trochę ślepa – zadrwiła Sofia.

Wjechaliśmy windą i przygotowaliśmy się na spotkanie z Huarte. Mieliśmy ze sobą własne raporty, na wypadek gdyby biegły wydał niekorzystną dla nas opinię. Jeżeli zaszłaby potrzeba, zamierzaliśmy złożyć apelację i zażądać kolejnej międzynarodowej weryfikacji. Przynieśliśmy

także zaktualizowaną listę świadków, zarówno obrony, jak i oskarżenia; w ciągu ostatnich dni dokładnie ją przestudiowaliśmy, każdy najdrobniejszy szczegół. Mieliśmy również potwierdzenia od dwojga ekspertów, których ostatecznie postanowiliśmy powołać na poparcie naszych tez: psychiatry i informatyczki – specjalistki od oprogramowania urządzeń mobilnych. Z obojgiem skontaktowała się Sofía za pośrednictwem M. Psychiatra miał przedstawić w jak najbardziej naukowej formie uzależnienie Alejandra, a także jego reakcje na nieustanne presje i groźby; chcieliśmy, aby lekarz potwierdził, że miały one związek z samobójstwem. Od informatyczki oczekiwaliśmy poświadczenia autentyczności nagrań – których zwykły użytkownik nie byłby zdolny zmanipulować ani zmontować. W każdym razie spodziewaliśmy się, że kobieta zarzuci sąd wystarczającą liczbą technicznych pojęć, żeby ten nabrał głębokiego przeświadczenia, że nagrania są autentyczne, wiarygodne i niepodważalne.

Jednak mimo wielu zabiegów nie byliśmy przygotowani na to, co miało wydarzyć się kilka minut później w gabinecie sędzi.

Kiedy weszłam do środka, zdziwiłam się, że Huarte jeszcze nie ma; zazwyczaj siedziała przy komputerze albo nad papierami i czekała, aż wszyscy zajmiemy miejsca, żeby zacząć spotkanie. Jednak tego ranka usiedliśmy, ponaglani przez Julitę, podczas gdy krzesło sędzi pozostawało puste. Jeśli chodzi o obronę, zjawili się tylko Arias i Andermatt. Nie było Tomé ani Barvera. Albo nie przywiązywali większej wagi do tego spotkania, albo byli zajęci utrudnianiem życia komuś innemu. Pardo pozdrowił mnie z wyszukaną grzecznością. Nikt nie podszedł, żeby zamienić kilka słów ze mną czy którymś z moich współników, nawet prokurator Iglesias i nieodstępująca go na krok Adela, którzy zjawili się ostatni i czym prędzej zajęli miejsca pod ścianą. Odniosłam wrażenie, że żadne z nich nie chce mieć z nami do czynienia, jakbyśmy byli zainfekowani jakimś zaraźliwym wirusem. Początkowo pomyślałam, że sprawia to mój nowy wygląd – może ich odrzucał, może, choć sami nie zdawali sobie z tego sprawy, moja obnażona, lekko zdeformowana twarz budziła ich najskrytsze lęki. Ale to nie było to. Chodziło o coś innego. O coś trudnego do uchwycenia, bardzo ludzkiego, coś w rodzaju instynktu samozachowawczego: odsuwali się od tego, kto miał oberwać. Wszyscy robimy tak od najwcześniejszego dzieciństwa; nie trzeba nas tego uczyć.

– Dzień dobry, niech państwo nie wstają.

Huarte wkroczyła do gabinetu energicznym krokiem. Pod pachą niosła kilka niebieskich teczek. Za nią szła mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta z upiętymi w kok włosami i taką miną, jakby połknęła ropuchę. Należała do osób, których twarze wyrażają wieczne obrzydzenie, i prawdopodobnie nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie przedstawiła się ani nie została przedstawiona. Zajęła miejsce za sędzią i siedziała w milczeniu, nie okazując najmniejszego zainteresowania tym, co dzieje się w gabinecie, jakby nie miało to z nią nic wspólnego.

Julita cicho zamknęła drzwi. Rozpoczął się lincz.

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedziała Huarte, rozpierając się w krześle. Widać było wyraźnie, że z trudem powstrzymuje się, żeby nie wybuchnąć; aż kipiała ze złości. Spojrzała na niebieskie teczki, które położyła na biurku, i po chwili namysłu stwierdziła: – Otóż to, wybiorę na chybił trafił.

Sięgnęła po jedną z teczek, obserwowana uważnie przez zdezorientowanych prawników. Kiedy ją otworzyła, podniosła brwi, a na jej twarzy odmalowało się wyraźne niezadowolenie.

– Mam tutaj formalną pisemną skargę złożoną przez jednego z głównych świadków w tej sprawie – oznajmiła. – Pan Sebastian Kowalczyk twierdzi, że był nękanym przez kancelarię Tramel i Wspólnicy. Konkretnie przez kierowniczkę biura, niejaką Rondę Cortázar, która wydzwaniała do niego i wielokrotnie go odwiedzała, usiłując wpłynąć na treść jego zeznań. Do skargi dołączone są trzy nagrania rozmów telefonicznych, podczas których pani Cortázar wraca do tematu pozwu przeciwko Gran Castilli, a pan Kowalczyk mimo nalegań rozmówczyni odmawia komentarzy na ten temat. Wygląda na to, mecenas Tramel, że nie tylko pani zmarły brat nagrywał niewygodne rozmowy. Powoli staje się to przykrym, uciążliwym zwyczajem. Ma pani coś do powiedzenia w tej kwestii?

Nie mogłam uwierzyć. Z tego, co wiedziałam, ostatnio Sebastian i Ronda znacznie się do siebie zbliżyli, a mówiąc „zbliżyli”, mam na myśli to, że pieprzyli się jak króliki i podobno braciszek był gotów opowiedzieć w sądzie wszystko, co wie. Może od początku działał z premedytacją, żeby przelecieć ognistą Rondę, a potem wbić jej nóż w plecy, a przy okazji nam wszystkim,

łącznie ze swoją słodką siostrą.

– Wysoki Sądzie, należałoby przeanalizować te nagrania – powiedziałam.
– Jeżeli rzeczywiście coś takiego miało miejsce, mogę zapewnić, że pani Cortázar, która nie jest prawnikiem i być może nie zna standardowego protokołu postępowania ze świadkami podczas procesu sądowego, nie działała w imieniu naszej kancelarii. Nigdy nie dopuścilibyśmy się czegoś takiego, pod żadnym pozorem...

– Może myśli pani, że ma do czynienia z początkującą naiwną sędzią, która będzie przymykać oczy na wszystkie pani nadużycia – przerwała mi Huarte surowym tonem. – To prawda, przyspieszyłam postępowanie śledcze, bo leży to w interesie tego sądu, który dopiero niedawno rozpoczął pracę, i nie chcę, żeby popadł w żalosną ślamazarność charakterystyczną dla innych urzędów. To zaś niezaprzeczalnie działa na pani korzyść. Nie zamierzam jednak pozwolić, żeby łamała pani najbardziej podstawowe zasady, byle tylko dopiąć swego. Obie wiemy, że mimo jednoznacznego zakazu w praktyce często dochodzi do nieformalnych kontaktów między adwokatem a świadkiem, ale to, co zrobiliście, przekracza wszelkie granice. – Sędzia przerwała na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza i spojrzeć na leżące przed nią pismo. – Pan Kowalczyk złożył wniosek o zakaz zbliżania się dla Rondy Cortázar, Any Tramel i Heleny Kowalczyk. Zakaz ten zostanie wydany przez sąd jeszcze dzisiaj, a obejmę nim wszystkich członków i współpracowników kancelarii Tramel i Wspólnicy.

– Wysoki Sądzie – włączył się Arias – chcielibyśmy wnioskować o usunięcie pana Sebastiana Kowalczyka z listy świadków ze względu na bezprawne naciski, jakim był poddawany przez oskarżenie, a także na prawdopodobieństwo przejęcia opinii drugiej strony w kwestiach związanych z procesem.

– Ma pan pełne prawo do wystąpienia z takim wnioskiem – odparła natychmiast Huarte, jakby spodziewała się podobnego obrotu sprawy. – Choć zapewne zdaje pan sobie sprawę, że jeżeli świadek zna przebieg wydarzeń, jest zobowiązany złożyć zeznania, te zaś zostaną ocenione z uwzględnieniem nacisków, jakim był poddawany. W każdym razie proszę powiedzieć swojej szefowej, mecenas Tomé, żeby w ciągu siedmiu dni kalendarzowych przedstawiła prośbę na piśmie. Chętnie ją rozpatrzę i możliwie najszybciej podejmę decyzję.

Nie tylko straciliśmy świadka, z którym wiązaliśmy duże nadzieje, ale też zwróciliśmy przeciwko sobie sędzie; była na nas zła, powiedziałabym nawet: rozczarowana nami. Wymieniłam spojrzenia z Sofią; nie było wiele do powiedzenia. Czułam, że to dopiero początek. Huarte sięgnęła po kolejną niebieską teczkę i przejrzała jej zawartość. Zaczęłam się obawiać, że każda z nich kryje bombę głębinową skierowaną przeciwko nam. Policzyłam je w myślach; w sumie było ich pięć, znacznie więcej, niżbym sobie życzyła. Zaczęłam wątpić, czy to był najlepszy dzień na zdjęcie maski. Chwyciłam rączkę laski i przygotowałam się na kolejny zimny prysznic.

– Mam tutaj policyjny raport z analizy, jakiej poddano telefon pana Santonja – ciągnęła Huarte. – Zamierzałam wysłać go państwu pocztą, ale skoro już tu wszyscy jesteśmy, skorzystam z okazji, żeby poinformować, że nie znaleziono w nim żadnych informacji, które mogłyby okazać się istotne dla tej sprawy; aparat został zwrócony właścicielowi. Na liście kontaktów nie figurują nazwisko ani numer Alejandra Tramela. Funkcjonariusze, którzy zbadali komórkę, utrzymują, że nie natrafili także na żaden dokument, zdjęcie, plik audio, nic, co miałoby jakikolwiek, choćby luźny, związek z pozwem. Z uwagi na ogromną liczbę poufnych kontaktów i wiadomości znalezionych podczas szczegółowej ekspertyzy wszystkie kopie, jakie mogły zostać wykonane w koszarach Gwardii Cywilnej, uległy skasowaniu.

Właściciel kasyna rozmawiał z moim bratem, wszyscy to słyszeliśmy, nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. To, że nie zachował w swojej książce telefonicznej jego numeru, o niczym nie świadczyło. Choć faktem jest, że gdyby było na odwrót, zyskalibyśmy cenny dowód.

– Ze względu na okoliczności, w jakich został zarekwirowany telefon – powiedziała Huarte – na mocy natychmiastowego nakazu wydanego na wniosek strony skarżącej i podpisanego przez ten sąd, chciałabym w imieniu własnym przekazać panu Emilianowi Santonja krótki list z przeprosinami za ewentualne niedogodności. Bardzo proszę panów Andermatta i Ariasa, żeby dostarczyli go swojemu klientowi. Nie wiem, czy mecenas Tramel chciałaby się przyłączyć do tych przeprosin; to zależy od pani.

Nadarzyła się doskonała okazja, aby zawrzeć choćby częściowy pokój z Huarte, do tego w rekordowym tempie. Gerardo i Sofía poprosili mnie wzrokiem, żebym to zrobiła. Wystarczyłoby kilka miłych słów,

a przypodobałabym się sędzi, okazując dobrą wolę. W najbliższej przyszłości na pewno czekało nas sporo starć – lepiej było pozostać z nią w dobrych stosunkach. Próbowałam, przysięgam, że próbowałam, jak mogłam, wypowiedzieć słowo „przepraszam”, ale obraz Santonji, jego wyniosłość, jego próżność, jego wszechwładza wracały do mnie z całą siłą. Może to z powodu wychowania otrzymanego w szkole zakonnicy: wiedziałam, że przeprosiny i skrucha powinny iść ze sobą w parze, a ja ani trochę nie żałowałam, że zażądałam sprawdzenia telefonu – jeśli już, to tego, że nie zdecydowałam się na to wcześniej, zanim zdążył wszystko wykasować. A może była to kwestia dumy, która tak często płała mi figle.

– Zastanowię się, Wysoki Sądzie – powiedziałam. – Jeżeli dojdę do wniosku, że pan Santonja zasługuje na przeprosiny, przekażę mu je za pośrednictwem jego prawników. Dziękuję.

Huarte pokręciła głową, spisując mnie na straty. Otworzyła następną niebieską teczkę i przeszła do kolejnej sprawy.

– Co my tu mamy? – mruknęła, zerkając na dokumenty. – Ach tak, przyznaję, pani Tramel, że ta informacja zbiła mnie z tropu. Kim dokładnie jest Miguel Ortiz?

Poczułam się tak, jakby potrząsano mną jednocześnie ze wszystkich stron. Wiedziałam, że powinnam się mieć na baczności, uważać na każde słowo, jakie wypowiem, nie mogłam jednak zaprzeczać temu, co oczywiste. Zauważyłam, że skwaszona sześćdziesięciolatka siedząca za Huarte nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Jest... był przedsiębiorcą – powiedziałam, próbując nie dać się złapać. – Zginął kilka lat temu. Wydaje się, że odebrał sobie życie po tym, jak przegrał wszystko w kasynie. Niewykluczone, że był poddawany naciskom ze strony swoich wierzycieli. Chcieliśmy najpierw zbadać sprawę, zanim poinformujemy o niej Wysoki Sąd.

– Rozumiem, i tak się przypadkiem składa, że wierzycielem była grupa Gran Castilla – powiedziała Huarte, spoglądając na trzymane w prawej ręce pismo. – obrońca, pani Tomé, przesłała mi wczoraj prywatną, odpowiednio uwierzytelnioną umowę o zachowaniu poufności pomiędzy Gran Castillą a spadkobiercami zmarłego Miguela Ortiza. Umowa ta zabrania obu stronom ujawniania jakichkolwiek informacji o działaniach związanych z kasynem

w Robredo, a także o zawartym po jego śmierci porozumieniu w sprawie długu w wysokości dwóch milionów stu tysięcy euro, spłaconego przez wdowę na mocy decyzji sądu numer osiem przy placu Castilla. Reasumując: oskarżenie prywatne, nie poinformowawszy o tym sądu ani zainteresowanych stron, na własny rachunek i własne ryzyko wszczęło śledztwo mające na celu wykazanie podobieństw pomiędzy przypadkami panów Ortiza i Tramelą oraz – jak przypuszczam – udowodnienie, że istnieje swego rodzaju szablon łamania prawa przez oskarżonych.

– Wysoki Sądzie, nie poinformowaliśmy o niczym sądu ani prokuratury – odparłam, powstrzymując się z trudem, żeby nie wałnąć pięścią w stół – bo nie mamy jeszcze dowodów i nie chcieliśmy, żeby Wysoki Sąd tracił czas na zajmowanie się linią śledztwa, która nie wiadomo, dokąd nas doprowadzi.

– Obawiam się, że jedyną osobą, która straciła tu czas, jest pani – stwierdziła Huarte. – Kiedy na tak zaawansowanym etapie postępowania przygotowawczego pojawia się jakiś nowy dowód, nowy świadek czy nowa linia śledztwa, która mogłaby stanowić poważny przełom w sprawie, ma pani obowiązek poinformować o tym sąd, tak by mógł ją wnikliwie i sumiennie przeanalizować. Gdyby zrobiła to pani jak należy i w stosownym czasie, zaoszczędziłaby sobie pani wiele niepotrzebnego trudu, pan Ortiz zostawił bowiem podpisany dokument, uznając zaciągnięty w kasynie dług, który został spłacony przez rodzinę po jego śmierci. Jednym słowem, idąc dalej tym tropem, niczego pani nie znajdzie, do tego grozi pani pozew ze strony wdowy i sierot, jeżeli dalej będzie pani nalegać, żeby opowiadali o przeszłości. Zrozumiała pani? Pytam panią o to, bo samej trudno mi zrozumieć, co sprawia, że działa pani w tak zuchwały sposób, na własną rękę, nikogo nie informując, jakby nie umiała pani pracować w zespole.

– Doskonale zrozumiałam, Wysoki Sądzie, i kolejny raz dziękuję – odpowiedziałam. – Mogę jednak zapytać, skąd pewność, że firma Gran Castilla nie groziła panu Ortizowi, nie stosowała wobec niego przymusu i nie nakłaniała go do popełnienia samobójstwa, niezależnie od tego, że uznał on dług i że potem jego rodzina postanowiła pogrzebać sprawę?

– Wysoki Sądzie – wtrącił się Arias – prosimy mecenas Tramel, żeby nie wysuwała fałszywych, hipotetycznych i bardzo poważnych oskarżeń przeciwko mojemu klientowi...

– Pozwoli pan, że najpierw odpowiem mecenas Tramel – odparła sędzia, świdrując mnie wzrokiem. – Otóż sąd ma pewność, że Gran Castilla nie dopuściła się niczego takiego wobec pana Ortiza, ponieważ wykazały to policyjne i sądowe śledztwo oraz wyrok, który następnie zapadł, a ja traktuję wymiar sprawiedliwości w tym kraju poważnie, choć pewnie trudno pani w to uwierzyć. Nalegam, aby zostawiła pani w spokoju rodzinę pana Ortiza i nie zmuszała jej do składania niepotrzebnego pozwu. Rodzina zażądała zresztą wydania dla pani zakazu zbliżania się i kontaktowania. Jak tak dalej pójdzie, nie będzie pani mogła zbliżać się do nikogo. Ta linia śledztwa zostaje zamknięta, chyba że dysponuje pani jakimiś dowodami, którymi zechce się z nami podzielić. Czy to jasne?

– Jak słońce, Wysoki Sądzie – odpowiedziałam, pozbawiona argumentów. Dostawałam lanie wszech czasów.

Przypomniałam sobie, że M. jest w drodze na spotkanie z wdową. Może powinnam wysłać mu esemesa, żeby zawrócił. Nie zrobiłam tego wyłącznie dlatego, że nie jestem fanką pisania esemesów, o ile nie jest to absolutnie konieczne. Postanowiłam dać ostatnią szansę ścieżce Ortiza (jak nazwała ją sędzia). Obiecałam sobie, że jeśli ze śniadania z wdową nic nie wyniknie, zapomnimy o sprawie.

Huarte sięgnęła po dwie ostatnie teczki. Wydawało się, że waży je w dłoniach, żeby zdecydować, którą z nich wybrać. Wreszcie otworzyła trzymaną w lewej ręce.

– Moja asystentka, pani Pérez de Pablos, była tak miła i umieściła w tych nowych teczkach wszystkie sprawy, jakimi się dzisiaj zajmujemy – powiedziała, żeby zyskać na czasie i móc zerknąć na kolejny dokument. – Chciałabym jej podziękować; to niezwykle praktyczne rozwiązanie, a fakt, że wszystkie teczki są jednakowe, nadaje sprawom charakter przypadkowości, jeśli chodzi o kolejność. Muszę ją jednak poprosić, żeby na przyszłość podpisywała teczki; w ten sposób od razu będzie wiadomo, co jest w środku.

Julita w milczeniu skinęła głową.

– No dobrze – ciągnęła Huarte – ta sprawa mnie zdumiała, nie znałam pana od tej strony, panie Iglesias.

Ginés aż podskoczył na dźwięk swojego nazwiska.

– Proszę wybaczyć, Wysoki Sądzie, ale nie wiem, o czym pani mówi – powiedział, jak zwykle oszczędny w słowach.

– Mówię o tym, że dwaj inni główni świadkowie w sprawie, a przy okazji oskarżeni, panowie Freire i Morenilla, skierowali do sądu pisma, informując, że byli niepokojeni w miejscu pracy i w godzinach pracy przez prywatne oskarżenie i prokuraturę – powiedziała Huarte. – O tym, że najwyraźniej państwo, pan i pani Tramel, odwiedzili kasyno w Robredo i spacerowali po nim, rozmawiając ze świadkami, zadając im pytania, rzucając groźby, tym samym wykazując publicznie brak profesjonalizmu. Możliwe, że za jednym zamachem stracili państwo dwóch innych kluczowych świadków. Przeanalizuję tę sprawę szczegółowo.

Ginés szepnął coś Adeli, po czym zwrócił się do sędzi pokornym tonem.

– Wysoki Sąd ma całkowitą rację. To był poważny błąd. Nie wiem, jak dałem się przekonać do odwiedzenia kasyna bez stosownego nakazu. Zwykle tak nie postępuję, w ciągu mojej czterdziestoletniej kariery nigdy nic podobnego mi się nie przytrafiło. Proszę, żeby Wysoki Sąd mi wybaczył i uwierzył, że to odosobniony incydent, który oczywiście więcej się nie powtórzy.

– Wysoki Sądzie, biorę na siebie pełną odpowiedzialność za to, co się wydarzyło podczas wizyty w kasynie w Robredo – wtrąciłam się. – Jeśli chodzi o wspomnianych świadków, nie zadaliśmy im żadnego pytania mającego związek ze sprawą, nie groziliśmy im, a tym bardziej nie próbowaliśmy wpłynąć na ich oświadczenia. Nie widzę powodu, dla którego mieliby zostać zwolnieni ze składania zeznań.

– Nie widzi pani wielu rzeczy, pani Tramel. Sam fakt, że nawiązali państwo z nimi rozmowę, wystarczyłoby, żeby usunąć ich z listy świadków – stwierdziła Huarte.

– Podejrzewam, że taki był właśnie cel samych świadków albo ich prawników, błędnie informujących Wysoki Sąd o wydarzeniach i przeinaczających je na swoją korzyść – podsumowałam.

– Kolejny raz się pani myli – poprawiła mnie sędzia. – Informację przekazała mi policja sądowa, konkretnie Brygada do spraw Przestępstw Gospodarczych i Podatkowych, która prowadzi skomplikowane śledztwo przeciwko znanemu przestępcy Alejandrowi Frimanowi i śledzi go dzień

i noc. Jeśli się nie mylę, to właśnie on towarzyszył państwu tamtego wieczoru w kasynie w Robredo. Może to jakaś pani nowa strategia, ale nie mieści mi się w głowie, jak może się pani pokazywać z niebezpiecznym przestępcą o bogatej kartotece w miejscu popełnienia czynu zabronionego i na oczach świadków.

Ginés kipiał ze złości, ale nie odważył się nawet otworzyć ust.

– Nie jestem sympatykiem pana Frimana ani jego działalności – zaznaczyłam. – Powiedzmy, że jest on znawcą świata hazardu i posiadał informacje, które mogły się okazać przydatne. Jak Wysoki Sąd dobrze wie, biegli czy specjaliści nie muszą być wzorem postępowania; ważne jest dla nas nie ich zdanie czy moralny przykład, lecz ich wiedza.

– Pani argumenty nieustannie mnie zaskakują, mecenas Tramel. Teraz broni pani swojej znajomości z hochsztaplerem. Mam nadzieję, że wizyta w kasynie na coś się pani przydała, bo – jak już powiedziałam pani koledze z prokuratury – może ona kosztować panią utratę dwóch świadków. Nie muszę mówić, że do czasu zakończenia procesu powinna się pani powstrzymać od kolejnych wizyt w kasynie. Jeżeli będzie miała pani potrzebę udania się do tego lokalu, proszę złożyć pisemny wniosek.

– Tak zrobię, dziękuję.

Spojrzałam na Ginesa, on jednak uciekł przede mną wzrokiem. Nie zdziwiłabym się, gdyby po tym wszystkim przestał się do mnie odzywać. Z mojej winy na jego nieskalanej reputacji, na którą latami pracował, pojawiła się niewielka rysa.

– Przejdźmy dalej, to doprawdy kapitalne. – Huarte, która nie wydawała się bynajmniej zadowolona z wytykania mi kolejnych naruszeń przepisów, otworzyła piątą i ostatnią niebieską teczkę, po czym pokręciła głową z desperacją. – Prawnicy z Barver & Ambrosía przesłali mi natomiast kompletny raport na temat pani związku uczuciowego – nie wiem, czy mogę tak to nazwać – z porucznikiem prowadzącym śledztwo w sprawie, Santiagiem Moncadą. Związku ze wszech miar niestosownego – między prywatnym oskarżycielem a funkcjonariuszem Gwardii Cywilnej kierującym dochodzeniem. W raporcie stwierdzono, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy doszło między panią i panem Moncadą do co najmniej dziewięciu intymnych spotkań, dłuższych lub krótszych, w miejscu zamieszkania

porucznika. Nie muszę tego robić, mimo to zapytam: co, na Boga, pani sobie wyobrażała? Naprawdę myślała pani, że nikt się nie dowie?

Zaniemówiłam. Usłyszałam gwizd w lewym uchu i poczułam silny ucisk w piersiach. Zawsze myślałam, że umrę na zawał, do tego w dość młodym wieku. To był doskonały moment, żeby dostać ataku serca. Tutaj, przy wszystkich. Żałosny koniec, godny moich ostatnich lat życia. Zostawiłabym na łodzie nieliczne osoby, które mi zaufały, ale wreszcie mogłabym odpocząć. Uznałam, że to wcale nie takie złe rozwiązanie.

– Jak było do przewidzenia, kierownictwo Gwardii Cywilnej odsunęło tymczasem pana Moncadę od sprawy – ciągnęła sędzia, widząc, że nie zamierzam odpowiedzieć. – Wszystkie procedury wszczęte przez porucznika od momentu złożenia pozwu karnego zostaną szczegółowo sprawdzone.

To mogło opóźnić wszystko o kilka tygodni, nawet miesięcy. Popełniliśmy olbrzymi, niewybaczalny błąd, wykazaliśmy się dziecinną naiwnością, za którą oboje mogliśmy drogo zapłacić. Moncada był dobrym fachowcem, przydzielono mu to śledztwo, ponieważ najlepiej znał strukturę kasyna w Robredo; poza tym prowadził dochodzenie w sprawie zabójstwa Menendezza Ponsa. Najprawdopodobniej czekało go postępowanie dyscyplinarne.

– Może był to ostatni błąd w długim łańcuchu pomyłek, mecenas Tramel – rzuciła z gniewem sędzia. – I nie dlatego nazywam go ostatnim, że wierzę w zmianę pani zachowania w przyszłości, ale dlatego, że postępowanie może zostać umorzone, a wszystkie czynności policyjne przeprowadzone w ciągu ostatnich miesięcy – zakwestionowane albo wręcz unieważnione ze względu na stronniczość. Nawet jeżeli raport biegłego dotyczący nagrań, na który czekamy, będzie dla pani korzystny, niewykluczone, że postępowanie zostanie umorzone. Posunęła się pani za daleko.

– Wysoki Sądzie, zapewniam, że nie rozmawialiśmy o postępowaniu – powiedziała. – Od dnia, w którym złożyłam pozew, nie rozmawialiśmy z Santiagiem o postępowaniu.

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć – orzekła Huarte i odwróciła się w stronę kobiety, która, odkąd weszła do gabinetu, nie odezwała się ani słowem. Przysłuchiwała się, nie okazując żadnych emocji; cierpliwie czekała.

Sędzia zaczerpnęła powietrza i wskazała, że nadeszła jej kolej.

– Kiedyś, nie tak dawno temu, powiedziała mi pani, mecenas Tramel, że jest pani świetna w przyjmowaniu ciosów – ciągnęła. – Mam nadzieję, że to prawda, ponieważ dziś jeszcze kilka panią czeka. Przedstawiam pani Almudenę Osorio z prokuratury. Ma ona osobiście wręczyć pani zawiadomienie o pozwie, w którym oskarża się panią o fałszowanie oficjalnych dokumentów oraz o przestępstwo przeciwko zdrowiu publicznemu. Informacje te zostaną także podane do wiadomości Izby Adwokackiej, ponieważ mogła się pani dopuścić zaniedbania, ponieważ zażywanie środków odurzających i picie alkoholu podczas wykonywania czynności adwokackich mogło ograniczyć pani sprawność umysłową i ponieważ przyjmowała je pani w sądzie. W tym momencie na wniosek prokuratury brygada policji dokonuje rewizji w pani mieszkaniu w poszukiwaniu dowodów.

Nie widział na jedno oko, padał znokautowany, raz, drugi, otrzymywał przesadnie dużą, nieludzką karę, mocne, szybkie ciosy od najlepszego boksera na świecie. W twarz, w żebra, w szczękę. Zapędzony do rogu, osuwał się na sznury, sędzia odliczał, krzycząc i wymachując ręką, a kiedy wszyscy myśleli już, że to koniec, kiedy wydawał się ostatecznie pokonany, podnosił się i prosił, żeby tamten przywalił mu jeszcze raz, nadstawiał się: uderz mnie, osiłku.

Obejrzałam tę scenę milion razy, mogłam odtworzyć ją w myślach klatka po klatce. Nie potrafiłam jednak przypomnieć sobie jednego szczegółu: w którym momencie Balboa traci po ciosie przeciwnika ochraniacz na zęby? Jak to możliwe, że nie pamiętałam czegoś takiego. Kiedyś miałam to wyryte w pamięci: facet wypluwa ochraniacz, a mimo to walczy dalej, wytrzymuje, przyjmuje spadające na niego ciosy, jeden po drugim. Jakaś gęsta mgła nie pozwalała mi zobaczyć w myślach tej sceny; to było pod koniec walki, może w ostatniej rundzie. Oparłam się dłońmi o samochód, przy którym stałam, i spróbowałam zwizualizować sobie wypadający ochraniacz. Moi współnicy przyglądali mi się zaniepokojeni z odległości kilku metrów, szepcząc coś między sobą, Sofia trzymała przy uchu komórkę. Po chwili podeszli do mnie.

– Przewrócili wszystko do góry nogami i poszli – oznajmiła.

– Co zabrali? – zapytałam.

– Nie wiem, Helena mówi, że nie pozwolili patrzeć, kiedy przeszukiwali twój pokój.

– Z nią i z dzieciakiem wszystko w porządku?

– Są trochę zdenerwowani, ale na szczęście, kiedy przyszła policja z nakazem rewizji, w domu był Ramiro; ponoć ich przystopował.

– Jeszcze będę musiała mu podziękować, że wrócił – mruknęłam, starając się uporządkować myśli.

Staliśmy przed sądem. Od maski samochodu odbijało się słońce, byłam oszołomiona, niezdolna do jakiegokolwiek reakcji. Obsesyjnie myślałam o ochraniaczu. I jeśli mam być szczerą, o czymś jeszcze: jak zdobędę nowy zapas tabletek, jeżeli wszystkie mi zabrali. To było moje jedyne zmartwienie. Jestem lekomanką, nie można oczekiwać ode mnie niczego innego; sama sobie nie ufam.

– Izba Adwokacka na pewno nie będzie się tym zajmować – powiedział Gerardo, starając się wprowadzić trochę zdrowego rozsądku i dodać mi otuchy. – Wiesz, jacy oni są. Nie podejmą żadnych kroków, no chyba żebyś nie zjawiła się na rozprawie albo zataczała się przed sędzią. Wręcz przeciwnie, nie spodoba im się, że pozew został złożony przez Barver & Ambrosia; może nawet podejmą działania przeciwko nim.

– Jasne – mruknełam z niedowierzaniem – Barver i spółka mają teraz poważne problemy.

Gerardo i Sofía przekonywali mnie, że nie stało się nic nieodwracalnego, że zmiemy się z pozwem i staniemy na nogi, ponieważ nasze oskarżenia mają solidne podstawy: jeżeli biegły przyzna nam rację w kwestii nagrań, wszystko się ułoży, będziemy mogli działać dalej i znów uśmiechnie się do nas szczęście.

Otworzyłam drzwi mazdy i bez słowa wsiadłam do środka. Przez przednią szybę widziałam, że Sofía i Gerardo przyglądają mi się bezradni. Spojrzałam na swoje odbicie w lusterku wstecznym: oczy zaczerwienione, lekko zapadnięty, siny policzek, ślad po szwach, wyschnięte kąciki ust, twarz wymizerowana. Przestraszył mnie ten widok. Uwierzyłam, że będę zdolna zmierzyć się z gigantyczną korporacją, z największą i najbardziej wpływową kancelarią w kraju. Jak mogłam być tak naiwna? Nie spoczna, dopóki mnie nie zniszczą. Nie wystarczy im wygranie sprawy: zdepczą mnie, przez nich stracę prawo do wykonywania zawodu, nie wiem jak, ale mnie zdepczą.

Podskoczyłam na dźwięk komórki. Na wyświetlaczu pojawiło się M.

– Jak poszło? – zapytałam.

– To była pułapka – odpowiedział detektyw szorstko. – Wdowa nie przyszła na spotkanie. Wygląda na to, że od dawna nie ma jej w Madrycie; od lat mieszka z dziećmi na Kanarach, u rodziny ojca. Zamiast niej zjawiło się dwóch gości z masą papierów. Twierdzili, że reprezentują rodzinę

Ortizów, chcieli wiedzieć, kim jestem i skąd to moje nagłe zainteresowanie śmiercią przedsiębiorcy. Powiedzieli mi też, że nikt z rodziny nie jest upoważniony do udzielania informacji o tej sprawie i że jeśli jeszcze raz podejmę próbę nawiązania kontaktu z którymkolwiek z jej członków, złożą na mnie skargę o nękanie i nie wiem, z jakich tam jeszcze cholernych artykułów. Powiedziałem im, że mogą się pierdolić, temu, który się wymądrzał, omal nie zerwałem krawata, ale jeśli mam być szczery, raczej wiedzieli, o czym mówią.

Nie byłem specjalnie zaskoczona. Zdziwiłoby mnie raczej, gdyby M. zdobył jakieś informacje podczas tego spotkania.

– Wybacz, że spytam – powiedziałam – ale pamiętasz może, podczas której rundy Rocky traci ochraniacz na zęby? Oczywiście mam na myśli pierwszy film.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– Balboa kontra Creed, mistrz świata. Creed wali go w głowę i Rocky’emu wypada ochraniacz. To nielegalne, walka nie może być kontynuowana, jeżeli jeden z bokserów traci ochraniacz. Sędzia musi ją przerwać.

– Dobrze się czujesz?

– Szczerze mówiąc, nie najlepiej. Ale nie martw się, będzie okej.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

Zastanowiłam się chwilę, po czym powiedziałam pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

– Zdobądź dla mnie, proszę, po jednym opakowaniu tramadolu i diazepamu.

Słyszałam w słuchawce oddech M.

– Mówisz poważnie? – zapytał.

– Wiesz, że nie żartowałamby sobie z takich rzeczy.

Rozłączyłam się i wjechałam na szeroką aleję okrążającą sąd. Ponieważ znów sama prowadziłam samochód i nie byłam już uzależniona od pomocy innych, mogłam jechać, dokąd chciałam, i nie musiałam się nikomu tłumaczyć. Pomyślałam, że zanim stanę przed Heleną i poinformuję ją

o najnowszych postępach śledztwa (tak to ujmijmy), powinnam się trochę przewietrzyć, pojeździć bez celu, dać się poprowadzić kierownicy, nie myśląc o niczym. Wyjechałam na szosę w stronę M-50. Już sobie wyobrażałam, jak przemierzam kolejne kilometry, a po kilku godzinach docieram nad morze i spoglądam zamyślona na horyzont, z melancholią połączoną ze złością. Nagle zadzwoniła moja komórka. Widząc nazwisko, które pojawiło się na wyświetlaczu, zatrzymałam się na poboczu: „Palmira Jiménez”. Prezeska we własnej osobie.

Telefon był tak niespodziewany, że przygotowałam się na kolejną katastrofę. Postanowiłam nie odbierać: skoro znów miałam otrzymać cios, wolałam się wcześniej trochę pozbierać. Środkowym pasem śmignęło kilka samochodów. Włączyłam światła awaryjne i czekałam, aż telefon przestanie dzwonić – nie miałam odwagi go dotknąć ani wyciszyć, jakbym się obawiała, że zacznie się bronić, na przykład porazi mnie prądem. Kiedy zamilkł po dziesięciu dzwonekach, odetchnęłam. Co się dzieje? Zastanowiło mnie, dlaczego nie dostałam ataku paniki, zdziwiło mnie, że nie czuję ucisku w piersiach i nie zabrakło mi powietrza. Na co czekało moje ciało, dlaczego nie reagowało, dlaczego nie przeszywał mnie ból? Kilka sekund później telefon znowu zadzwonił. Palmira nie dawała za wygraną. Przed oczami stanęła mi Concha, więc odebrałam, przesuwając palcem po wyświetlaczu.

– Przepraszam, prowadzę samochód – powiedziałam.

– Nie przejmuj się, ja też nie lubię rozmawiać przez zestaw głośnomówiący, kiedy siedzę za kółkiem – odparła. – Pewnie nie spodziewałaś się telefonu ode mnie.

– Owszem, jestem bardzo ciekawa – mruknęłam bez entuzjazmu.

– Mamy dla was propozycję. Felipe chce się spotkać i negocjować.

Tego naprawdę się nie spodziewałam. Dzięki zeznaniom Jimeny zdobyli pewnie sporo punktów; może chcieli wykorzystać sytuację i pokazać nam, jacy są wielkoduszni, uzgodnić opiekę naprzemienną czy coś w tym rodzaju.

– Rozumiem, ale nie mamy czego negocjować. Powiem ci, co będzie: stoczmy zacieklą walkę w sądzie, w wyniku której Conchy zostanie przyznana opieka nad dziewczynkami, dom i cała reszta. A Felipe pójdzie siedzieć. Jeżeli zgodzicie się na taki układ, możemy negocjować. Jeśli nie, obawiam się, że to byłaby dla wszystkich strata czasu.

– Przypominam ci, że Resano skłania się ku przyznaniu opieki nam.

– To twoje zdanie, i pewnie też zdanie twojej przyjaciółki Melody, którego ja, rzecz jasna, nie podzielam. Skoro już o tym mowa, czy jej imię... jest prawdziwe? Czy to jakiś pseudonim artystyczny? Ta kwestia nie daje mi spokoju.

Usłyszałam, jak Palmira coś mamrocze, może próbując nad sobą zapanować.

– Nie zadzwoniłam do ciebie po to, żeby się kłócić, naprawdę – powiedziała wreszcie. – Chcemy negocjować w dobrej wierze, mamy propozycję, która na pewno was zainteresuje. Nie marnowałabym twojego czasu z powodu głupstw.

– Wal – powiedziałam. – Zamieniam się w słuch.

– Nie przez telefon. Spotkajmy się jutro rano. O której wam pasuje. Gdzie wam wygodnie. Powtarzam, że mamy propozycję, która na pewno was zainteresuje. Jedyne warunki to to, żeby Concha również wzięła udział w spotkaniu.

– Będzie Felipe?

– Oczywiście, ta propozycja to był jego pomysł. I zależy mu na tym, żeby sam mógł ją przedstawić. Powiedział, że przeprowadził z tobą niezwykle inspirującą rozmowę na jakimś parkingu.

– Tak, jasne, po rozmowie ze mną nagle błysnęło mu światło.

– Proszę, daj mu szansę. Nie straciecie nic na tym, że nas wysłuchacie.

– Nie kupuję tej bajki o propozycji, która na pewno nas zainteresuje. Jest gotów pójść do więzienia?

– Niezupełnie. Ale poświęćcie dziesięć minut na wysłuchanie nas. Nie będziesz żałować. Proszę.

– W porządku. O jedenastej trzydzieści. Jutro. Muszę wcześniej coś załatwić.

– W twoim biurze?

Moje biuro – wiedziała o tym równie dobrze jak ja – nie istniało. Miałam tylko zapuszczone mieszkanie, do którego wstawiliśmy biurka, komputery i kilka regałów.

– Lepiej w twoim – powiedziałam. – Ciekawa jestem, jak wygląda teraz ta designerska kanciapa. Przypuszczam, że w ciągu ostatnich sześciu lat zmieniłaś wystrój.

– Czekamy na was o jedenastej trzydzieści. Koniecznie musi przyjść Concha.

– Lubię mocną kawę.

– Załatwione.

Rozłączyłam się. Szczerze mówiąc, rozmowa z Palmirą dodała mi energii. Nagle przeszła mi ochota na pokonywanie czterystu kilometrów po to, żeby złorzecząc na swój los, popatrzeć na morze i bezkresny horyzont. Doszłam do siebie i poczułam, że jestem zdolna jeszcze trochę powalczyć. Cała ja. Zmienna. Cyklotymiczna. Nieobliczalna. Kłębowisko sprzeczności. Córka, wnuczka i pewnie prawnuczka wielopokoleniowego rodu kobiet pięknych, niezależnych, skłonnych do depresji i złości.

W mieszkaniu od razu wpadłam na Rondę. Była poważniejsza niż zwykle. Nic dziwnego.

– Przykro mi z powodu Sebastiana – powiedziała na mój widok. – Wyciął mi numer. Bardzo mi przykro.

– Mnie też jest przykro – odparłam.

– Chciał nam tylko zaszkodzić, M. mnie ostrzegął, ale go nie posłuchałam. Jestem głupia, myślałam, że trzyma naszą stronę.

– To częsty przypadek, dostajemy fioła na punkcie facetów na motorach, chociaż to straszne dupki. Mamy to chyba zakodowane w genach.

– Był beznadziejny w łóżku – przyznała.

Na mój głos pojawili się Gerardo i Sofía.

– Helena wie, co wydarzyło się dziś rano w sądzie – uprzedziła mnie Sofía. – Przynajmniej częściowo.

– Musiałem jej coś powiedzieć – zaczął się tłumaczyć Gerardo. – Była bardzo zdenerwowana z powodu rewizji. Podobno powyciągali nawet z szaf ubranka dziecka.

– Lubią pokazywać, co potrafią – powiedziałam.

Nie zatrzymując się dłużej w przedpokoju pełnym ludzi, weszłam do

kuchni – dźwięk telewizora nasunął mi przypuszczenie, że zastanę tam moją bratową.

– Ramiro też tam jest – próbowała mnie ostrzec Sofía.

Za późno. Pierwszą osobą, którą zobaczyłam, był mój eks. Trzymał Martina na rękach – pili na spółkę koktajl. Wyglądali jak z plakatu reklamującego ubezpieczenia na życie: jasnowłosey, szczęśliwy chłopczyk w ramionach ojca. Tylko trupi wygląd Ramira psuł nieco ten obrazek.

– Cześć – powiedział Ramiro na mój widok.

Helena siedziała przed telewizorem, krojąc drobno duży kawał cielęciny; pewnie przygotowywała swoją słynną pieczeń rzymską. Spojrzała na mnie z uwagą i od razu przeszła do rzeczy:

– Dlaczego rewizja w domu?

– To skomplikowane – powiedziałam.

– Santonja robi, co może, żeby uprzykrzyć nam życie – stwierdził stojący w drzwiach Gerardo.

– Nie rozumiem.

– Kasyno chce nam dowalić – przetłumaczyłam.

– Policjanci bardzo niemili – zaprotestowała. – Nic mi nie tłumaczyć, tylko wejść do domu i zabrać twoje tabletki i papiery do apteka. I dużo krzyczeć. Ramiro mówi im, żeby nie krzyczeć.

– Przykro mi, że musiałś przeżyć coś takiego – powiedziałam, starając się zachować spokój. – Nic złego się nie stanie, nikogo nie wsadzają do więzienia za sfalszowanie paru recept.

– No, nie wiem – wtrącił Ramiro – były takie przypadki.

Spiorunowałam go wzrokiem.

– Rzadkie – uściślił – bardzo rzadkie.

– Bardzo rzadkie – powtórzył Martín, najwyraźniej zadowolony, że ten tyczkowaty, niezgrabny mężczyzna nosi go na rękach.

Skupiłam się na Helenie: nie chciałam jej okłamywać ani też niepotrzebnie jej straszyć.

– Najważniejsze, że taka sytuacja już się nie powtórzy – powiedziałam.

– Wytłumaczyłam jej, że stanowi to część każdego procesu – dodała Sofía, wychylając się nieśmiało z przedpokoju.

– Sędzia bardzo zła na ciebie? – zapytała wprost bratowa.

– Oj tak, zła – przyznałam.

– Ty mówić, że sędzia dobra i że być z nami.

– To nie tak. Powiedziałam ci tylko, że jest bardzo wyrozumiała i że przyspieszyła postępowanie, co było nam na rękę – próbowałam wyjaśnić – ale ona nie stoi po niczyjej stronie, jest sędzią, musi być całkowicie bezstronna.

– Trele-morele – mruknął Ramiro.

– Niezbyt mi pomagasz – powiedziałam, hamując złość. – Jeżeli jeszcze raz się odezwiesz, pożałujesz.

– Ramiro bardzo pomagać, jest dobry dla Martín i ja, kiedy przychodzi policja – wtrąciła Helena.

– Wujek Ramiro zabierze mnie na wycieczkę helikopterem ze swoimi kolegami – dodał chłopiec.

– No, wiesz, z Wydziału Ruchu Drogowego – wyjaśnił przepraszającym tonem.

Dobrze usłyszałam? Wujek Ramiro? Ten padalec zasłużył sobie na takie samo traktowanie jak ja? Zadłużyłam się, byłam bliska ruiny, rzuciłam wszystko, żeby skoncentrować się na ich sprawie, przyjąłem ich pod swój dach i nadstawiałam dla nich karku. Natomiast jedyną rzeczą, jaką dotąd zrobił Ramiro, było poświęcenie kilku godzin na zabawę z chłopcem. Wydaje mi się, że nie da się tego porównać.

– Ty też polecisz helikopterem, ciociu Ano? – zapytał mnie Martín.

– Możliwe, kochanie – odpowiedziałam. – Niedługo.

– Gerardo mówi, że wszystko zależy od nagrań – ciągnęła zdenerwowana Helena. – Jeśli nie przyjął dowód, nie ma proces.

– Gerardo tak ci powiedział? Wspaniale.

– Nie sformułowałem tego w taki sposób – zaczął się znowu tłumaczyć.

– Bardzo chętnie usłyszę twoją wersję – stwierdziłam karcącym tonem.

Jakby go замуrowało. Sofía szturchnęła go łokciem, żeby wreszcie się odezwał.

– Wyjaśniłem Helenie, że jej zeznania będą miały wielką wagę – podsumował pełen obaw, że jeszcze bardziej się pogрузy. – Podobnie jak opinie biegłych, oświadczenia pozostałych świadków i wiele innych kwestii. Ale koniec końców, kluczem do całej sprawy, jak powiedziała dziś rano sama Huarte, są nagrania. Powtórzyłem tylko słowa sędzi.

– Bardzo ci dziękuję. Teraz możesz wrócić do biurka i przez kilka najbliższych godzin nic już nikomu nie wyjaśniać.

Gerardo zniknął w przedpokoju.

– Wygramy? – zapytała z lękiem Helena.

Jeśli nie chciałam kłamać, mogłam odpowiedzieć jej tylko jedno:

– Ja się nie poddam.

– Ja też nie – dodała Sofía.

– Dobrze, ale wygramy? – zapytała ponownie moja bratowa.

– Wygramy? – powtórzył Martín.

– Nie wiem – odparłam po chwili.

– Ty mówić, że my wygrać – zaprotestowała.

– Ja mówić, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy – odpowiedziałam. – Czego jeszcze ode mnie chcesz, Heleno? Dałam ci wszystko, co mam. Walczę z gigantem. To bardzo skomplikowane. Czego więcej chcesz?

– Ja chcę, żeby ty mnie nie kłamać – powiedziała.

Do diabła ze słodką wdówką. Chciała, żebym poskładała jej życie. Żebym zaopiekowała się jej dwuletnim synem, jeżeli sprawy potoczą się nie po naszej myśli. Żebym stanęła na czele krucjaty przeciwko złu. A jakby tego było mało, teraz żądała, żebym mówiła jej prawdę. Za wiele jak na moje siły.

Miałam ochotę odpowiedzieć, że zdaniem jej kochanego braciszka Sebastiana, przez którego mieliśmy teraz nieźle przesrane, prawda to przereklamowane pojęcie i że może nie jest to takie głupie. Postanowiłam jednak się nie odzywać, żeby nie pogarszać sytuacji.

Helena wzięła za rękę Martina, który nie chciał się rozstawać z Ramirem,

powiedziała mu coś po polsku i razem wyszli z kuchni – za nimi Sofía, próbując ją uspokoić. Spojrzałam na leżące na stole, częściowo pokrojone mięso.

Jeżeli Barver, Santonja i reszta chcieli podkopać nasze i tak już słabe morale, to byli na najlepszej drodze. Popatrzyłam, co ma na sobie mój eks: za krótkie spodnie i T-shirt, inne niż te, w których przyszedł z policją.

– Skąd to wzięłeś?

– Podobno są Alejandra. Helena mi pożyczyła. Jeżeli ci to przeszkadza, mogę je oddać.

– Wszystko mi jedno – powiedziałam, odwracając się na pięcie.

Całym ciężarem ciała oparłam się na lasce. Zrobiłam parę kroków w stronę gabinetu. Chociaż nie miałam na to ochoty, należało porozmawiać z Conchą i przygotować się do czekającego nas nazajutrz spotkania.

– Ano, posłuchaj, czy mógłbym zostać dziś na noc? – zapytał Ramiro. – Jeszcze tylko jeden dzień. Nie mam dokąd pójść.

Nie odwracając głowy, odpowiedziałam:

– Rób, co ci się, kurwa, podoba.

Dwudziesty ósmy kwietnia zapowiadał się pochmurny. Przewidywano przelotne opady przez cały dzień, zwłaszcza w godzinach rannych, i temperatury niższe niż zazwyczaj o tej porze roku w Madrycie, najwyżej dziesięć stopni, a nad ranem nawet około zera.

Nigdy mi nie przeszkadzało, że na moją głowę spadnie kilka kropel. Nie należę do osób, które uciekają ze strachu, że się roztopią, kiedy tylko zaczyna padać. Czasami – jak tamtego ranka – wręcz cieszyłam się z deszczu.

Weszłam do sądu do spraw przemocy wobec kobiet z mokrymi włosami i w przemokniętym ubraniu. Pracownica ochrony spojrzała na mnie porozumiewawczo i wskazała na niebo na zewnątrz; odpowiedziałam jej podobnym grymasem, nie zastanawiając się, co dokładnie miała na myśli. Poznała mnie, chociaż nie nosiłam już maski. Spodobało mi się, że w żaden sposób nie odniosła się do mojej oszpeconej twarzy – inaczej niż większość ludzi. To był mój drugi dzień bez maski. Miałam nadzieję, że okaże się trochę lepszy od pierwszego – nie powinno to być specjalnie trudne.

Lewą ręką poprawiłam mokre włosy i wsiadłam do windy, wciskając rączką laski trzecie piętro. Poprosiłam Resano o spotkanie. Chciałam spróbować naprawić kilka wcześniejszych potknięć, proponując jej zawieszenie broni. Zamierzałam poinformować ją, że obrona oferuje nam ugodę, i nie robić niczego bez jej wiedzy, tak na wszelki wypadek. Zaprosiłam też Iturbego. Chociaż raz chciałam zachować całkowitą transparentność, działać ramię w ramię z prokuratorem i sędzią, analizując z nimi sytuację – jeśli nie będą mieli nic przeciwko temu – tak żeby nikt nie mógł mi już zarzucić braku woli współpracy.

Drzwi gabinetu były uchylone. Zapukałam delikatnie i usłyszałam głos Resano:

– Proszę.

Weszłam niepewnie. Sędzia stała z naręczem teczek, przekładając je

z jednego regału na drugi. W gabinecie piętrzyły się papiery, na biurku, na krzesłach, na podłodze, na półkach.

– Zamknij, proszę, drzwi – powiedziała. – Zaproponowałabym ci, żebyś usiadła, ale chyba nie ma wolnego krzesła. Staram się zaprowadzić trochę porządku. Może kiedyś ktoś zada sobie trud i zeskanuje wszystkie te dokumenty.

Zdziwiło mnie, że zajmuje się tym sama, zamiast poprosić o pomoc asystenta. Zdumiał mnie także jej poufały, niemal przyjacielski ton. Co prawda się nie uśmiechała (chyba nigdy nie widziałam, żeby się uśmiechała), ale wyczuwałam w jej głosie pewną serdeczność – ani razu na mnie nie warknęła. Nie przerwała pracy, dalej przekładała teczki i papiery w skupieniu, bez pośpiechu, przeglądając wszystkie akta.

– Mogę postać, dziękuję – odpowiedziałam, nie tracąc czujności. – Poprosiłam o przybycie także prokuratora. Chciałam państwa poinformować o spotkaniu, na które umówiliśmy się na dziś ze stroną przeciwną.

– Mów do mnie po imieniu, Ano – powiedziała, odkładając na regał stos zadrukowanych kartek. – Nie jesteśmy na sali sądowej, zresztą znamy się od lat. Co o tym myślisz?

– Jasne, tak będzie lepiej – zgodziłam się. – Jak ci mówiłam, ja i moja klientka zamierzamy spotkać się z jej mężem i jego prawniczkami; mają dla nas jakąś propozycję.

– Świetnie – odpowiedziała, jakby niewiele ją to obeszło. – Ludzie powinni rozmawiać, starać się nawzajem zrozumieć i tak dalej, nie sądzisz?

– Tak, tak mi się wydaje. Chociaż z założenia nie jesteśmy skłonne do żadnej ugody. Chciałam cię tylko o tym poinformować, nie wiadomo, co wydarzy się w trakcie spotkania, nie chcę, żeby potem wynikły jakieś nieudomówienia.

– W takim razie już wiem. Coś jeszcze?

– Chyba nie. Prokurator pewnie zaraz przyjdzie.

– Pewnie tak.

Kiedy tak krzątała się pośród stosów papierów, sprawiała wrażenie silnej kobiety o żelaznym zdrowiu. Szczupła, drobna, mimo lat poruszała się zwinnie, bez niczyjej pomocy przenosiła dziesiątki teczek. Wyglądała na

osobę przywykłą do samodzielnego radzenia sobie ze wszystkim. Naturalnie stanął mi przed oczami Adolfo. Poczułam, że chętnie bym ją przeprosiła. Byłam wtedy innym człowiekiem, postąpiłam źle, doskonale wiedziałam, że jest żonaty, nie zachowałam się uczciwie, nieważne, że się zakochałam, nieważne, że zapewniał mnie od pierwszego dnia, że i tak miał się rozstać z żoną. Chciałam jej powiedzieć, że naprawdę jest mi przykro, że rozumiem, że może nie mieć o mnie dobrego zdania, ja sama zresztą też nie mam. Jednak nie odezwałam się. Tamta sprawa nie miała związku z naszą rozmową, poza tym grzebanie w przeszłości czasami do niczego nie prowadzi; niektóre rzeczy lepiej pozostawić głęboko zakopane.

– Przepraszam, zamierzasz tak tu stać przez cały dzień, jakbyś wrosła w ziemię? – zapytała.

– Nie, nie, przepraszam – powiedziałam z wahaniem. – Myślałam, że zaraz pojawi się Iturbe.

– Ten chłopak to straszny wymoczek, nie sądzisz?

Nigdy nie podejrzewałam, że usłyszę coś takiego z ust Resano. Poczułam ulgę na myśl, że za fasadą skrajnej poprawności kryje się ktoś zdolny do rzucania niestosownych uwag. Tak naprawdę nic nie wiedziałam o tej kobiecie, mimo że nasze drogi wielokrotnie się krzyżowały, na pewno częściej, niżbyśmy pragnęły.

– No, ale jaki blondyn – odpowiedziałam, starając się zachować kumplowski ton.

– Powiem ci prawdę, wysłałam Iturbemu wiadomość, że spotkanie się opóźni.

– Ach tak?

Skamieniałam ze zdumienia. Po co miałyby coś takiego robić? Zaczęłam się zastanawiać, co tak naprawdę dzieje się w tym gabinecie.

– Chciałam porozmawiać z tobą na osobności – dodała. – Zauważ, nigdy tego nie robiłyśmy, nie rozmawiałyśmy bez świadków, nie powiedziałyśmy sobie niczego wprost.

– Masz całkowitą rację.

Spoważniałam, przygotowana na reprimendę; zastawiła na mnie pułapkę. Wyrzuci teraz z siebie wszystko, co tłumiła przez te dziewięć lat, zwymyśla

mnie i będzie miała do tego pełne prawo – może nawet przysięgnie, że wcześniej czy później zapłacę za to, że przespałam się z jej mężem. Pierwszy raz, odkąd weszłam do gabinetu, zatrzymała się na chwilę i spojrzała na mnie uważnie; nie mogła mieć więcej niż metr pięćdziesiąt, a mimo to wyglądała na zdolną stawić czoło każdemu, kto stanąłby jej na drodze.

– Zawsze zachowywałaś się tak, jakbyś była lepsza od innych – zaczęła – jakbyś włożyła tyle wysiłku w osiągnięcie swoich celów, że powinnaś mieć więcej niż inni, jakbyś była tak wrażliwa, tak krucha i tak zdolna, że trzeba ci na wszystko pozwolić, na przekraczanie wszelkich granic, nawet wtedy, kiedy kogoś przy tym krzywdzisz. Ta mieszanka ego, niepewności i narcyzmu, ten koktajl, że się tak wyrażę, nie tylko nie czyni cię lepszą od innych, ale wręcz przeciwnie, zaślepia cię i nie pozwala ci dostrzec tych, których masz obok siebie. Uważasz, że twoje czyny nie pociągają za sobą konsekwencji, a jeśli pociągają, będziesz umiała się wywinąć. Zniszczyłaś mi życie, na zawsze wydarłaś z mojego małżeństwa zaufanie i chociaż po tym, jak zrównałaś wszystko z ziemią, odbudowaliśmy z mężem nasz związek, już nigdy mu nie zaufałam, nie odzyskaliśmy bliskości, która nas wcześniej łączyła, nasze małżeństwo umarło, nawet jeśli żadne z nas nie chce się z tym pogodzić. I to wszystko twoja zasługa, moja droga, oczywiście jego też, bynajmniej go nie rozgrzeszam i kazałam mu zapłacić za to z nawiązką. Chcę jedynie powiedzieć, że spodziewałam się czegoś innego po tobie jako kobiecie. Nie jako człowieku, ale właśnie jako kobiecie, rozumiesz, co mam na myśli. Żałujesz, że poszłaś z nim do łóżka, wiem. Ale to nie wystarczy. Nie możesz zniszczyć komuś życia, a potem po prostu żałować. Może myślałaś, że cię nienawidzę, że dlatego tak cię dręczę w sądzie. Jesteś w błędzie. Nie nienawidzę cię. To coś znacznie głębszego. Chcę, żeby wszystko szło ci źle. Z całego serca pragnę, żeby cokolwiek zrobisz, wszystko jedno co, jakiegokolwiek sfery życia by dotyczyło, obróciło się przeciwko tobie i sprawiło ci ból, przysporzyło cierpień, zniszczyło cię. Chcę, żebyś czuła się tak, jak ja się czułam, żebyś przeszła tę udrękę z wielokrotną tysiąc razy. Wiem, ile strasznych rzeczy cię spotkało. Ale powiem ci jedno: to nie wystarczy. Będziesz musiała zejść jeszcze do piekła milion razy, ty i ci, którzy są obok ciebie, żeby mogła się uspokoić choć trochę kipiąca we mnie wściekłość. To właśnie chciałam ci powiedzieć.

Z trudem trzymałam się na nogach. Nigdy nie widziałam z bliska tyle

nienawiści i tak wielkiego pragnienia zemsty. Ochota, żeby poprosić ją o wybaczenie, zamieniła się w strach – nie tylko przed nią: przede wszystkim przed samą sobą. Jeżeli potrafiłam obudzić w kimś takie uczucia, w drugiej kobiecie, jak sama się wyraziła, może powinnam zostać wrzucona do jakiejś głębokiej studni, gdzie nie będę się już mogła z nikim kontaktować. Poczułam, że znowu brakuje mi tchu.

– Jeśli chodzi o sprawę, którą się zajmujemy – ciągnęła – nie mam wiele do powiedzenia. Codziennie stykam się ze sprawcami przemocy, którym staram się jak najbardziej uprzykrzyć życie i których, jeżeli tylko mam możliwość, wsadzam za kratki. Jak sama się przekonałaś, czasami nie jest to łatwe; trudno uzyskać rozstrzygające dowody, trudno nawet skłonić ofiary, żeby jednoznacznie zeznawały przeciwko oprawcom. To nędznicy, wyrzutki społeczeństwa. Ilekroć udaje mi się posłać kogoś do więzienia, śpię odrobinę spokojniej. Jednak w sprawie twojej przyjaciółki Conchy – mówię ci szczerze, teraz, kiedy jesteśmy same – nie zaangażuję się całkowicie po jej stronie. Nie tylko dlatego, że nie darzę jej sympatią – to zrozumiała baba, przyjaciółka godna ciebie – ani dlatego, że dziewczynki zasługują na to, żeby mieć ojca, nawet jeśli jest nim taki łajdak, ale tylko i wyłącznie z powodu tego, co ci wcześniej powiedziałam. Bo wiem, że cię zaboli, jeżeli Felipe dopnie swego, jeżeli mimo tego, co zrobił, wyjdzie z procesu obronną ręką. Bardzo cię zaboli. A wszystko, co może zadać ci ból, jest dla mnie miłe.

– Nie pozwolę na to – odpowiedziałam.

– Jasne, możesz poprosić o wyłączenie mnie ze sprawy, świetnie, jeżeli to zrobisz, zwłaszcza teraz, kiedy, jak się dowiedziałam, zostałam oskarżona o fałszerstwo, przestępstwo przeciwko zdrowiu publicznemu i nie wiem, co tam jeszcze. Mam nadzieję, że Izba Adwokacka podejmie odpowiednie kroki, i o ile wiem, nie ja jedna tego wyczekuję. Nie masz dowodów, żeby wnioskować o wyłączenie mnie ze sprawy, możesz opierać się tylko na własnych słowach, a obawiam się, że nie są one wiele warte. Niemniej oczywiście możesz spróbować. Chętnie zobaczę, jak znowu ci dokładają.

– Byłabyś gotowa pozwolić, żeby facet, który bił żonę, wyszedł z tego bezkarnie? Tylko i wyłącznie po to, żeby mnie zranić?

– Wiem, co zrobił ten łajdak, chociaż nie ma dowodów. Wiem, że uderzył żonę. I to nie raz. Wszyscy, którzy pracują w tym sądzie, to wiedzą. Ale

oczywiście pozwolę mu, a nawet chętnie pomogę, wyjść z tego obronną ręką. Przekręcę i zmanipuluję, co będzie trzeba, żebyś tylko przegrała sprawę. Nie zrozumiałaś jeszcze. Biorę się za ciebie. To dopiero początek.

Szkoda, że nie nagrałam tej rozmowy. Resano miała rację: jeżeli złożyłabym wniosek o wyłączenie sędziego, tylko bym sobie zaszkodziła – a przy okazji również Conchy. Musiałam postępować rozważnie, znaleźć niezaprzeczalne dowody na to, że doszło do przemocy domowej, za wszelką cenę przeciągnąć na swoją stronę prokuraturę. Jak słusznie zauważyła sędzia, wszyscy wiedzieli, że Felipe bił żonę, i wszyscy mieli go ochotę ukarać, ja powinnam im to jedynie ułatwić.

Gniew Resano był przesadzony. Zgoda, poszłam do łóżka z jej mężem. W rzeczywistości, jak to u mnie, posunęłam się nawet o krok dalej i zakochałam się w nim; z tego, co pamiętam, on we mnie też. Przeżyliśmy gorący romans (przelotne romanse zwykle bywają gorące), który trwał kilka miesięcy, i uwierzyliśmy, że świat stanie w miejscu z powodu naszej miłości. W tym czasie spotkałam Resano kilka razy podczas spraw w sądzie; wiedziałam, że to tylko pogarszało sytuację: rano jak gdyby nigdy nic patrzyłam jej w oczy w obecności masy ludzi, a wieczorem łądowałam w łóżku z jej mężem. I to nie jeden raz. Mimo to jej reakcja dziewięć i pół roku później była mocno przesadzona.

Przede wszystkim jednak nie zamierzałam dopuścić, żeby Concha i dziewczynki płaciły za moje błędy. Za nic na świecie.

Przez kilka sekund patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Nagle na korytarzu rozległ się hałas, drzwi się otworzyły i ukazała się w nich jasnowłosa głowa Iturbego.

– Dzień dobry – powiedział. – Przeszkadzam?

– To nic ważnego – odparła Resano – dziwi mnie jednak, że wchodzi pan bez pukania. Pukanie to nie tylko pożyteczny zwyczaj, ale również podstawowa zasada dobrego wychowania, którą na pewno wpojono panu w dzieciństwie.

– Przepraszam, urzędniczka na korytarzu powiedziała mi, że mecenas Tramel jest już w środku, i dlatego...

– I dlatego uznał pan, że to dobra okazja, żeby złamać zasady – przerwała mu szorstko Resano. Następnie spojrzała na mnie i dodała: – Mecenas

Tramel przyszła nas poinformować, że strony umówiły się na spotkanie w celu zawarcia ugody i załatwienia tej sprawy poza sądem. Tak to pani ujęła, prawda?

Zrezygnowała z mówienia do mnie na ty. Wróciła do swoich teczek i przekładania papierów.

– To doskonała wiadomość – powiedział Iturbe. – Istnieje realna szansa na zawarcie ugody?

– Obawiam się, że jest jeszcze za wcześnie, żeby wyrokować w tej sprawie – odparłam. – Tak naprawdę przyszedłam tylko po to, żeby sędzia i prokurator wiedzieli, że zamierzamy nawiązać kontakt. Jest chyba moim obowiązkiem powiadamianie o każdym kroku w tym kierunku.

– Dziękuję bardzo – mruknął. – Jeżeli mogę w czymś pomóc, proszę tylko powiedzieć. Wie pani, że prokuratura jest do pani dyspozycji, gdyby czegoś pani potrzebowała.

Atmosfera panująca w gabinecie była tak napięta, że nawet głupek w typie Iturbego musiał to zauważyć.

– Jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć? – zapytał, spoglądając na mnie ze zdziwieniem.

– To wszystko – stwierdziła Resano i bezceremonialnie pokazała nam wyjście. – Proszę ostrożnie zamknąć za sobą drzwi.

Prokurator przepuścił mnie przodem z właściwą sobie staromodną galanterią. Poszliśmy korytarzem w stronę wind. Iturbe rozejrzał się na boki, sprawdzając, czy nikt nas nie słyszy.

– Co zaszło tam w środku? – zapytał.

Zawahałam się nad odpowiedzią. Mógł przyjść moment, kiedy będę zmuszona porozmawiać o tym z prokuratorem, ale wciąż czułam się lekko oszołomiona. Lepiej było przemyśleć i uporządkować to wszystko. Potem zobaczymy.

– Wymieniłyśmy poglądy na temat sprawy – odrzekłam. – Sam wiesz, że patrzemy na to nieco inaczej. Nic poważnego.

– Skoro tak twierdzisz.

Drzwi windy otworzyły się, dołączyliśmy do grupki prawników

i urzędników, którzy również zjeżdżali na dół.

– Nie napijesz się kawy? – zaproponował Iturbe.

Nie dawał za wygraną. Chciał wiedzieć więcej, chciał, żebym mu powiedziała, dlaczego obie miałyśmy takie miny, kiedy zjawił się w gabinecie, i dlaczego Resano niemal wytoczyła mu proces o to, że wszedł bez pukania.

– Wybacz, ale się spieszę. Może innym razem.

Wyszłam z budynku. Wsiadłam do swojej starej mazdy – tego dnia zaparkowałam naprzeciwko sądu – i pojechałam na kolejne spotkanie. Według GPS-u dotarcie do placu Manuela Becerry miało mi zająć szesnaście minut – o tej porze na ulicach prawie nie było samochodów. Nie chciałam myśleć ani podejmować decyzji, musiałam przełknąć słowa sędzi i opanować mdłości. Skupiłam się na wskazówkach GPS-u, który pokierował mnie M-30 do zjazdu numer 6B w ulicę Alcalá. Prowadziłam jak automat, uwalniając się od myśli, które zalewały mnie niczym lawina, uczepiona kierownicy, jakby to było koło ratunkowe, które się rzuca rozbitkom. Nie mogłam jej puścić, jeśli nie chciałam utonąć. Na przednią szybę spadło kilka kropel. Włączyłam wycieraczki; ich odgłos i ruch na moment mnie zahipnotyzowały. Utkwiłam wzrok w dwóch piórach, które poruszały się w górę i w dół, ściągając wodę. Wystraszył mnie klakson autobusu; skręciłam w lewo i nieświadomie wjechałam na jego pas. Wykonałam przeproszający gest, który bynajmniej nie uspokoił kierowcy; wyglądało na to, że klnie w swojej kabinie. W końcu minęłam Alcalá i zaparkowałam za placem, w zielonej strefie. Nie spodziewałam się, żeby spotkanie trwało długo; ustanowiony przez miasto dwugodzinny limit powinien spokojnie wystarczyć. Zapłaciłam przez komórkę i ruszyłam w stronę hamburgerowni, w której umówiłam się z Conchą i Sofią. Miałyśmy razem udać się na spotkanie.

Wzięłam głęboki oddech. Musiałam uwolnić się od nieprzyjemnego, przygnębiającego uczucia, jakie ogarnęło mnie po rozmowie z Resano.

Ustaliłam z przyjaciółką, że niezależnie od tego, co zaproponuje Felipe, jedynie go wysłuchamy. Nie urządzimy awantury ani, rzecz jasna, na nic się nie zgodzimy. Potem na spokojnie przeanalizujemy ofertę. Ku mojemu zdziwieniu Concha nie miała nic przeciwko jego obecności. Myślałam, że przebywanie w tym samym pomieszczeniu, niebędącym salą sądową,

z mężczyzną, który ją zaatakował, będzie dla niej nie do przyjęcia, ale napomknęła tylko, że nie mamy nic do stracenia. To akurat prawda: nic nie szło tak, jak zakładałyśmy. Całe szczęście, że nie słyszała tego, co powiedziała mi kilkanaście minut wcześniej Resano; gdyby była z nami w gabinecie, jeszcze by się na nią rzuciła, wiedziałam, że jest do tego zdolna. Ale mimo trudności, mimo sędzi, mimo zeznań Jimeny i mimo tego, że musiałyśmy zdobyć niepodważalne dowody pobicia, na naszą korzyść przemawiał atak Felipe w miejscu publicznym i jeszcze nic nie było przesądzone. Nie mogłyśmy przystać na pierwszą lepszą ugode, jaką by nam zaoferowano, co to, to nie. Skoro proponowali porozumienie, znaczy, że uważali swoje położenie za mniej korzystne. To oni wyciągnęli białą flagę. Nie podobało mi się tylko, że inicjatywę przejęła Palmira. W dawnych dobrych czasach to zawsze ja stawiałam na baczność stronę przeciwną, proponując nieoczekiwane ugody. Było oczywiste, że próbowali zyskać przewagę dzięki propozycji, którą starannie opracowali, a której my nie znałyśmy. Dlatego najważniejsze było, żebyśmy ograniczyły się do jej wysłuchania bez podejmowania w pośpiechu żadnej decyzji.

Na moją pozbawioną maski twarz spadło kilka kropel. Pomyślałam, że deszcz może pomóc zagoić się ranom, i nie tylko tym widocznym. To odczucie było dla mnie miłe. Spojrzałam przed siebie, na ruch uliczny i przechodniów na placu. Życie toczyło się dalej. Kilka metrów ode mnie zatrzymał się samochód. Doskonale mi znane czarne volvo metalik.

Moncada wychylił głowę zza szyby – miał swoje kolejne niezłe wejście.

– Wsiadaj, zmokniesz – powiedział.

– Nie możemy ze sobą rozmawiać. Zostałeś odsunięty od sprawy.

Porucznik przyjrzał mi się, oceniając sytuację. Był zmieniony na twarzy, coś musiało się stać. Otworzył usta i wycedził powoli, jakby każde słowo z trudem przechodziło mu przez gardło:

– Dokładnie w tym momencie Helena Kowalczyk siedzi przy biurku z Emilianem Santonją i zaraz podpisze ugode o wycofaniu pozwu karnego.

Stałam jak sparaliżowana. Deszcz przybrał na sile.

– Wsiadaj – powtórzył Moncada.

Podeszłam do samochodu. Ogarnął mnie popłoch połączony

z niedowierzaniem. Otworzyłam drzwi i wsiadłam do środka, starając się przyswoić sobie słowa, które przed chwilą usłyszałam.

Spojrzałam na porucznika, prosząc go wzrokiem, żeby potwierdził, że źle go zrozumiałam albo że nieprecyzyjnie się wyraził, błagając, żeby wszystko to było wynikiem semantycznej, fonetycznej czy jakiegokolwiek innej pomyłki, a jeśli nie, jeśli dobrze usłyszałam, żeby piorun uderzył w to miasto i wszystkich nas poraził, bo tylko to mogło przynieść mi jakieś pocieszenie.

– Są teraz w biurze Gran Castilli – powiedział Moncada świadom, że jest niepożądanym posłańcem, który przynosi druzgoczącą dla mnie wiadomość, a jednocześnie zdecydowany opowiedzieć wszystko do końca, jakby tylko on miał odwagę wyznać mi prawdę. – Ramiro pojechał z Heleną. Podpiszą umowę o wycofaniu pozwu w zamian za umorzenie długu, ona się zgadza.

– Ramiro? – zapytałam, czując pustkę w piersi.

Skinął głową.

– Dziewczyna jest wystraszona. Poradził jej, żeby raz na zawsze z tym skończyła. Po wczorajszej rewizji i tym, co wydarzyło się w sądzie, ona potwornie się boi. Nic dziwnego.

– Co ma z tym wspólnego Ramiro?

– Pewnie się domyślasz. Pracuje dla Santonjy. Od początku jego jedynym celem było nakłonienie Heleny do podpisania ugody za twoimi plecami.

Nie zdziwiło mnie to. To znaczy nie wydało mi się to nieprawdopodobne. Mogłam sobie doskonale wyobrazić Ramira kłamiącego i płaszczącego się przed Santonją. Jednak ku mojemu zdumieniu zabolalo mnie to. Wszystko, co wcześniej, jeszcze tego ranka, budziło we mnie złość, teraz mnie przygnębiało. Może z powodu wieku albo leków, a raczej ich braku.

– To niezgodne z prawem – szepnęłam.

– Co jest niezgodne?

– Proponowanie jej umowy za plecami adwokata. Nawet jeśli ją podpisze, będzie to tylko bezużyteczny świstek papieru. To całkowicie niezgodne

z prawem.

– Słyszałem, że ludzie Barvera szykują też dokumenty, żeby mogła im udzielić pełnomocnictwa.

– Skąd wiesz to wszystko? – zapytałam.

– Na tym polega moja praca.

Krople uderzały o szybę samochodu; to, co wyglądało na wiosenną mżawkę, zamieniało się w regularną burzę.

– Jedziemy – powiedziałam.

– Dokąd?

– Do biura Gran Castilli. Zawieź mnie tam.

– Będę miał kłopoty – odparł z wahaniem Moncada.

– Trzeba mi było tego nie mówić. Właściwie w ogóle nie powinieś był się ze mną kontaktować. Sam powiedziałaś, że jestem specjalistką od pakowania się w kłopoty. I od pociągania za sobą ludzi stojących obok.

Porucznik przez chwilę się zastanawiał. Jego oczy zdawały się mówić jedno, a ręce co innego. Zrozumiałabym go, gdyby ze mną nie pojechał. Skrzywił się i uruchomił silnik.

Kiedy jechaliśmy przez miasto, wybrałam numer Conchy, ale odezwała się poczta głosowa. Potem zadzwoniłam do Sofii. Po czterech sygnałach usłyszałam jej głos.

– Halo? Przepraszam, już jestem przy placu...

– Przyszła Concha?

– Jeszcze nie.

– Posłuchaj, nie mogę przyjść na spotkanie.

– Co? Concha bardzo źle to przyjmie...

– Wiem, ale wypadło mi coś pilnego, nie mogę ci teraz tłumaczyć. Musicie stawić się na spotkaniu, wysłuchać, co tamci mają do powiedzenia, i wyjść. Nic więcej.

– Ale Palmira umawiała spotkanie z tobą.

– Nie mogę przyjść, Sofio. Uspokój Conchę, niech czuje, że wszystko jest w porządku. Nie musisz niczego z nimi negocjować ani omawiać, absolutnie

niczego, po prostu patrz, słuchaj i się nie odzywaj.

– Jak chcesz.

– To się nie zdarzy, ale gdyby doszło do spięcia z Felipe, natychmiast dzwoń na policję. Zrozumiałaś?

– Tak.

Prawdopodobnie Sofía poczuła się zagubiona – i właściwie nic dziwnego.

– Nie będzie żadnych problemów. Najważniejsze, żebyś wytłumaczyła Conchy, że wszystko jest w porządku – próbowałam dodać jej otuchy.

– Co mam jej powiedzieć?

– Powiedz, że później z nią porozmawiam i że wszystkim się zajmę. Wierzę w ciebie.

Rozłączyłam się i wyciszyłam komórkę. Volvo jechało ulicą Alcalá w kierunku Recoletos. Biura Gran Castilli mieściły się przy końcu alei Castellana; to nie było daleko.

– Kto uczestniczy w tym spotkaniu? – zapytałam.

– Nie wiem, myślę, że przyszedł sam Santonja, ale nie jestem pewien.

– Mam nadzieję, że Helena nie podpisze niczego przed naszym przyjazdem.

– Nie mówiłaś przed chwilą, że to niezgodne z prawem?

– Przecież jej nie pozwę, to byłoby absurdalne; jaki jest sens walczyć z kimś, komu chce się pomóc.

Sytuacja wyglądała następująco: musiałam wejść do biura i zrobić awanturę, zacząć się wydzierać, oskarżyć ich w obecności Heleny o mnóstwo rzeczy, a potem przekonać Polkę, nawet gdyby się opierała, żebyśmy stamtąd wyszły i rozmawiały spokojnie bez świadków. Czułam straszną złość na moją rzekomo kruchą bratową. Z drugiej strony wiedziałam, że za rzadko z nią rozmawiałam: uznałam, że moje czyny i dobra wola wystarczą i nie muszę jej o wszystkim opowiadać. To tak, jakbym powiedziała: ja się tym zajmę, a ty ślepo mi zaufaj i nie zadawaj zbyt wiele pytań. Już wcześniej mi się to zdarzało: uważałam, że nie muszę się tłumaczyć, kiedy wiedziałam, że postępuję słusznie. Pewnie brałam ludzi pod swoje skrzydła, w zamian zaś, nie nazywając tego po imieniu, żądałam od nich bezwarunkowego,

irracjonalnego posłuszeństwa. Helena była bardzo młoda, miała małe dziecko, czuła się samotna, potrzebowała nade wszystko czyjejs opieki, tego, żeby ktoś poświęcił jej uwagę. Dlatego Ramirovi stosunkowo łatwo przyszło zdobyć jej zaufanie.

– Wciąż powtarzał mi, że się zmienił – powiedziałam cicho.

– Kto?

– Ramiro Sare. Przysięgał, że jest teraz innym człowiekiem. Mówiłam sobie, że to nieprawda, ale myślę, że w końcu częściowo mu uwierzyłam.

– Nie zadręczaj się. Umiera. To normalne, że dałaś mu szansę.

– Jeśli przyjmiemy, że nie zmyślił sobie tej całej choroby.

– Powiedziałaś, że M. go sprawdził.

Wzruszyłam ramionami. Nawet gdyby okłamał mnie co do swojego *carcinoma hepatocellulare*, nie miałyby to teraz najmniejszego znaczenia. Skoro po wszystkim, co się wydarzyło, mógł wrócić po latach i wystawić mnie w tak brudny, podły i haniebny sposób, mógł też wymyślić sobie raka wątroby. Dręczyło mnie natomiast to, że mu uwierzyłam, że wpuściłam go do swojego domu, że pozwoliłam mu węszyć wokół siebie i zbliżyć się do Heleny i Martina. Oczyma wyobraźni widziałam, jak we trójkę wychodzą z mieszkania zaraz po tym, jak odjechałam – może zaplanowali to już poprzedniego dnia. Na miłość boską, przecież znali się zaledwie od kilkunastu godzin; co myślała Helena, pozwalając tak sobą manipulować?

Zamrugła komórka, wyświetliło się imię Conchy.

– To tam – powiedział Moncada, pokazując fragment alei Castellana, przy której stały wysokie biurowce.

Postanowiłam nie odbierać na razie telefonu. Zmieniliśmy pas i zaparkowaliśmy w strefie załadunku towarów, wjeżdżając przodem na krawężnik. Wysiedliśmy jednocześnie. Poczułam na twarzy uderzenie zimnego powietrza i deszczu. Musiałam osłonić oczy dłonią, żeby widzieć, gdzie idę.

– Halo, proszę pana, nie może pan tu zostawić samochodu! – wykrzyknął tęgawy ochroniarz, schowany przed deszczem pod płócienną markizą restauracji.

Moncada jakby od niechcienia pokazał mu odznakę.

– Gwardia Cywilna – powiedział. – Proszę pilnować samochodu, chcę, żeby tu był, kiedy wrócę.

– Tak, oczywiście – odparł niepewnie mężczyzna.

W strugach deszczu pokonałam szybkim krokiem dwadzieścia metrów dzielących nas od drzwi przeszklonego budynku. Zostawiłam laskę w samochodzie; kolano bolało mnie przy każdym stąpieniu, ale, rzecz jasna, nie przystanęłam. Minęliśmy hol i zatrzymaliśmy się przed bramkami.

Władczym ruchem powtarzanym tysiące razy Moncada uniósł odznakę, którą nadal trzymał w dłoni. Podszedł do siedzącego przed komputerem młodego chłopaka w garniturze i pod krawatem, z przypiętą plakietką z nazwiskiem.

– Gwardia Cywilna. Proszę otworzyć. Natychmiast.

Wystraszony chłopak od razu usłuchał. Nacisnął ekran dotykowy na biurku i we wszystkich bramkach zapaliło się zielone światło.

– Czy coś się stało? – zapytał, kiedy przechodziliśmy. – Na które piętro państwo jadą? Mogę państwu jakoś pomóc?

Nie odpowiedzieliśmy. Wsiadliśmy do windy, z której wyszło trzech młodych ludzi o wyglądzie menedżerów. Popatrzyli na nas zdziwieni – nie wiem, czy z powodu mojego wyglądu (kulawa, z bliznami na twarzy), czy z powodu głośnych pytań chłopaka. Porucznik wcisnął guzik na dziewiąte piętro. Drzwi się zamknęły, wjeżdżaliśmy w milczeniu. Wiedzieliśmy, że nie zostaniemy powitani z otwartymi ramionami i nawet jeśli dotrzemy na czas, nie będzie łatwo przekonać Helenę, żeby dała się stamtąd wyciągnąć. Pewnie była półżywa ze strachu i straciła do mnie zaufanie. Skoro zgodziła się podpisać umowę z typami, których podobno nienawidziła, musiała być naprawdę zdesperowana i nie widziała innego wyjścia z sytuacji. Doskonale ją rozumiałam. Podniosłam głowę. Moncada patrzył na mnie uważnie. Był mokry od deszczu, jak ja. W brodzie przybyło mu chyba siwych włosów. Zapragnęłam go objąć, poprosić, żeby był dla mnie oparciem, teraz i, jeśli to możliwe, na zawsze. Zwykle to ja dawałam oparcie innym. Pragnienie, żeby ktoś wsparł mnie, wydało mi się jak najbardziej usprawiedliwione.

Drgnęłam na metaliczny odgłos otwierających się drzwi. Zdecydowanym krokiem wyszliśmy z windy i ruszyliśmy szerokim korytarzem. Na ścianie

widniał napis złożony dużymi złotymi literami: „Gran Castilla”. A poniżej: „Od 1978 roku do usług”. Nie byli specjalnie oryginalni i nie mieli zbyt dobrego gustu. W recepcji – która, sądząc z wystroju, też musiała pamiętać lata siedemdziesiąte – siedziała dziewczyna.

– Dzień dobry. Czym mogę służyć? – zapytała.

– Proszę się nie trudzić, znamy drogę – odparł Moncada.

– Ale czy był pan umówiony? Przepraszam...

Zza rogu wyłoniło się dwóch facetów ubranych w czarne uniformy. Szli w naszą stronę, najwyraźniej powiadomieni przez tych z dołu.

– Przykro mi, nie mogą państwo wejść – powiedział jeden z nich.

Moncada znów wyciągnął odznakę.

– Gwardia Cywilna. Proszę się odsunąć.

Nie wyglądało na to, żeby mieli zamiar go posłuchać. Przy ich szerokich pasach wisiały służbowe pistolety i pałki. Jeden z nich, o bujnym wąsie (chyba ważniejszy) zapytał:

– Czy ma pan umówione spotkanie albo nakaz rewizji? Jeśli nie, proszę stąd odejść. To prywatny budynek. Jak pan doskonale wie, nie wolno tu wchodzić bez zezwolenia.

Porucznik jakby zastanawiał się przez chwilę; widać było, że nie pierwszy raz znajduje się w podobnej sytuacji.

– Otóż jeżeli mam uzasadnione podejrzenia, że popełniane jest przestępstwo, niepotrzebny mi żaden nakaz. Powiem panu, co teraz będzie: w ciągu dwudziestu sekund znajdziemy się w sali konferencyjnej. Z pana pozwoleniem albo bez niego.

Popatrzyli po sobie, ale się nie ruszyli. Moncada przeszedł między nimi, roztrącając ich ramionami. Odsunęli się nieco.

– Chodźmy, Ano.

Poszłam za porucznikiem. Kiedy mijalam ochroniarzy, kątem oka dostrzegłam, że recepcjonistka do kogoś dzwoni. Skręciliśmy w korytarz, na który wychodziły przeszklone biura; zza szyb przyglądało nam się z zaciekawieniem kilku pracowników. Wyglądało na to, że wszyscy już wiedzą o naszym przybyciu. Czarno ubrani faceci szli za nami w bezpiecznej

odległości.

W końcu stanęliśmy przed dwuskrzydłowymi drzwiami z litego drewna.

– Od tego momentu wszystko jest w twoich rękach – powiedział Moncada.

I jednym pchnięciem otworzył drzwi.

Trzyście osób zajmujących miejsca wokół owalnego szklanego stołu skierowało wzrok w naszą stronę. Helena siedziała pośrodku, z Martinem na kolanach, przed nią leżał stos dokumentów. Nie miałam czasu przyjrzeć się pozostałym. Spojrzałam wprost na nią.

– Podpisałaś coś? – zapytałam.

Nie musiała odpowiadać. Opuściła wzrok na leżące przed nią kartki i trzymany w prawej ręce długopis. Nawet z miejsca, gdzie stałam, widać było jej podpis. A więc stało się.

– Pani Tramel, cóż za miła niespodzianka – zdziwił się Santonja, siedzący dwa krzesła dalej.

– Złożę skargę na pana i na wszystkich pańskich adwokatów – powiedziałam. – Nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu, nie spocznę, dopóki jakiś sędzia nie skaze was za korupcję i spiskowanie w celu popełnienia oszustwa, dopóki nie odsunie pana od sprawowanych funkcji i nie wrócimy do postępowania w miejscu, w którym zostało ono przerwane.

– To może być trudna i długa droga – odpowiedział z całkowitym spokojem.

Siedząca obok niego Cristina Tomé podniosła się z miejsca.

– Pani Kowalczyk poprosiła nas pisemnie o doradztwo prawne – wyrecytowała z pamięci przygotowywany od dawna tekst. – Czuła się zaniebawiana przez własnego adwokata, a my chętnie zgodziliśmy się jej pomóc. Właśnie podpisała formalny wniosek. Oczywiście w odpowiednim czasie otrzyma pani kopię; prześlemy ją do biura.

– To działanie podstępne – odpowiedziałam, starając się zachować spokój. – Sprzeczne z elementarnymi zasadami przyzwoitości. A przede wszystkim niezgodne z prawem.

– Niezgodne z prawem? – spytała Helena zaniepokojona.

– Wypowiada pani śmiałą opinię pozbawioną uzasadnienia – stwierdziła Tomé. – Z przyjemnością rozstrzygniemy sprawę przed sądem.

– Oni mówią mi, wszystko zgodne z prawem – powiedziała Helena. – Darują dług, jak ja wycofam pozew. Tak lepiej dla wszystkich. Dla ciebie też jest dobrze, Ana.

– Nie, dla mnie nie jest dobrze – odparłam. – I dla ciebie też nie. Wiesz dlaczego? Bo ty i ja zawarłyśmy układ. Nie mówię o pisemnej umowie, chociaż o nią też mi chodzi. Mam na myśli układ, na mocy którego ja, żeby uczynić zadość sprawiedliwości, ryzykuję wszystko, łącznie z karierą, pieniędzmi, a nawet życiem. Bo chcę zamknąć tych łajdaków, którzy wykończyli Alego i masę innych chorych ludzi. Którzy uważają, że są bezkarni i mogą robić, co chcą. Wiedziałyśmy, że nie będzie łatwo, ale postaramy się osiągnąć cel. Naprawdę myślisz, że Alejandro by się na to zgodził? Uważasz, że byłby zadowolony, że podpisałś ugodę? Ja i ty jesteśmy rodziną, powtarzałaś mi to mnóstwo razy. Rodziną. A kim są ci wszyscy ludzie? Obcymi, którzy zabili Alego i którzy teraz chcą nas zastraszyć. Jak, do cholery, mogłaś to podpisać, Heleno?

Wydawało się, że dziewczyna zaraz wybuchnie płaczem. Objęła Martina, który też wyglądał na wystraszonego.

– Ja się bać – powiedziała tonem usprawiedliwienia.

– Kurwa, ja też, dzień i noc umieram ze strachu! – wybuchnęłam. – Nie widzisz, jak wyglądam? Pytałam cię, czy jesteś pewna! Pytałam, zanim wszystko zaczęłam!

– Daj spokój, już podpisała – przerwał mi ktoś z końca sali.

Na dźwięk tego głuchego głosu odwróciłam się. W głębi, przy dużym oknie, stał Ramiro. Poczułam ukłucie w piersiach. Nie zważając na nikogo, podeszłam do mojego pierwszego byłego męża. Cofnął się o dwa kroki.

– Ile ci zapłacili? – zapytałam.

– Naprawdę jestem chory – odparł. – Zostało mi kilka miesięcy, nie miałem wyjścia.

– Ile? – powtórzyłam.

– Nie będę się tłumaczył. Tak będzie najlepiej dla dziewczyny, dobrze

o tym wiesz.

– Więcej niż poprzednio?

– Ano, cholera...

– Ile?

– Pięćdziesiąt tysięcy.

Wzięłam głęboki oddech. Cenę człowieka może ustalić tylko on sam. Jeżeli to prawda, że wszyscy jesteśmy na sprzedaż, Ramiro Sare był w promocji. Nie zastanawiałam się; po prostu to zrobiłam: podniosłam rękę i spoliczkowałam go otwartą dłonią. Głośne plaśnięcie odbiło się echem w całej sali. Ramiro przyłożył dłoń do twarzy.

– Zawsze uważałaś się za lepszą od innych – dodał.

Mówiła mi to już dziś jedna osoba. Co innego, kiedy powie ci to w twarz kobieta, którą oszukałaś i której zabrałaś męża. Ale żeby taki gad jak Ramiro miał czelność choćby o tym pomyśleć – tego już było za wiele.

Wymierzyłam mu kolejny policzek. Dokładnie w to samo miejsce. Włożyłam w ten gest całą siłę i cały ból, jaki gromadził się we mnie przez ostatnie lata. Całą duszę.

Cześć twarzy i szyi poczerwieniała mu od uderzeń. Zamierzałam dalej go policzkować; przynajmniej raz ktoś inny przyjmował ciosy. Coś jednak mnie powstrzymało. Usłyszałam, że Martín się rozplakał. Spojrzałam na niego i opuściłam rękę. Helena pogładziła synka po włosach i szepnęła mu coś, próbując go uspokoić. Popatrzyła na mnie udęczona, jakby żałowała, że przyszła na to spotkanie i podpisała papiery. Za późno.

– Ty wybaczyć mi – powiedziała.

Nie umiałam jej odpowiedzieć. Wiedziałam, że wina leży częściowo po mojej stronie: zamiast znieczulać się tabletkami, powinnam była zachować czujność, rozmawiać z nią co dzień, być przy niej naprawdę, nie tylko tak mówić. Wiedziałam również, że ci dranie wykorzystali jej lęk, żeby skłonić ją do podpisania ugody. Mimo to byłam na nią wściekła. Nie mogłam jej powiedzieć, że wszystko w porządku, bo to nie była prawda.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli uznamy to spotkanie za zakończone – oznajmiła Tomé. – Jutro z samego rana wyślemy dokumenty do sądu w Robredo. Oczywiście będzie się mogła pani odwołać, pani Tramel, ma

pani do tego prawo, choć sprzeciwianie się życzeniom własnej klientki nie jest dobrą praktyką, sama pani wie.

– Tak się dzieje, kiedy łączymy uczucia z pracą. To się zawsze źle kończy – powiedział Santonja, wstając. – Proszę wybaczyć, czekają na mnie. Nie muszą się państwo spieszyć. Jeśli mają państwo ochotę, mogą państwo zostać. I niech się pani nie obawia, pani Kowalczyk: postąpiła pani słusznie.

Popatrzyłam na jego drogi garnitur i złotą opalenizną w złym guście. Był tak przyzwyczajony do tego, że wszystkie jego plany są realizowane, że nawet nie uznał rezultatu spotkania za zwycięstwo: ot, jedna uciążliwa sprawa mniej w napiętym grafiku. Przeszedł za plecami Ariasa, Barvera juniora oraz pozostałych prawników i asystentów.

Przez cały czas porucznik stał niewidoczny przy drzwiach. Teraz zrobił dwa kroki w stronę stołu, chwycił leżące przed Heleną, podpisane parę minut wcześniej papiery i podarł je na strzępki ku zdumieniu wszystkich obecnych. Był to tuzin podpisanych i opieczętowanych kartek, może trochę więcej. Porwał je na małe kawałki.

Santonja wysunął się naprzód oniemiały.

– Możesz mi powiedzieć, co ty wyprawiasz? – zwrócił się do porucznika.

– To, co powinienem był zrobić dawno temu – odparł tamten.

Jakby to mu nie wystarczyło, pozbierał wszystkie kawałki, w każdym razie większość, przeszedł przez salę, jednym szarpnięciem otworzył okno i wyrzucił świstki, które natychmiast pofrunęły porwane przez wiatr i deszcz. Przyglądałam się tej scenie nieruchomo, nie mając odwagi się odezwać – bałam się nagle obudzić i stwierdzić, że to tylko sen. Widziałam, a raczej wyobrażałam sobie, jak malutkie skrawki papieru z logo Gran Castilli unoszą się w powietrzu ponad ulicami i opadają na mokry asfalt.

Wraz z podmuchem wiatru do wnętrza okazałej sali konferencyjnej wdarły się krople deszczu, mocząc meble. Przeciąg porwał inne dokumenty, nadając scenie jeszcze bardziej surrealistyczny charakter. Moncada odsunął się od okna, a jeden z czarno ubranych facetów pospieszył je zamknąć.

– To ze wszech miar niestosowne – powiedziała Tomé, szukając odpowiednich słów. – Niszczyć dokumenty w obecności świadków? Narobił pan sobie kłopotów, poruczniku.

– Jak pani wspomniała – wtrąciłam się – z przyjemnością rozstrzygniemy sprawę przed sądem.

Następnie zwróciłam się do Heleny, licząc, że zrozumie, co się dzieje i ile zależy od podjętej przez nią decyzji.

– Posłuchaj, chodźmy stąd – poprosiłam. – Porozmawiamy w domu. Jeśli nadal będziesz chciała podpisać ugode, jutro tu wrócimy, sama ci pomogę. Obiecuję.

– Dosyć już tych idiotyzmów – wybuchnął wielki Czyngis-chan, waląc pięścią w stół. – Nikt nic nie robi? Pierwszy lepszy palant z ulicy może tu przyjść, pokazać jakąś plakietkę i robić sobie ze mnie żarty? Natychmiast jeszcze raz podpiszemy tę ugode; zobaczymy, czy rzeczywiście masz jaja i znowu ją podrzesz!

Moncada zachował kamienną twarz, obrócił tylko nieznacznie głowę; wydawało się, że czeka, aż Santonja da mu pretekst, żeby mógł cisnąć nim o ścianę.

– Czyżby pan komuś groził, panie Santonja? – zapytałam.

Cristina przełknęła ślinę i ruchem ręki poprosiła swojego klienta, by się uspokoił. Potem spojrzała na Helenę, próbując zapanować nad sytuacją.

– Jeżeli wyjdzie pani teraz z tej sali, pani Kowalczyk, nie będzie żadnej ugody – powiedziała, hamując gniew. – Teraz albo nigdy. Jeśli pani podpisze, koniec z długami, zmartwieniami, procesami w sądzie. Jeśli pani nie podpisze, to w ciągu najbliższych miesięcy, lat będzie pani miała mnóstwo problemów, gwarantuję. Dajemy pani ostatnią szansę.

Widząc, że Helena nie rusza się z miejsca, Tomé skinęła ręką na pomocników; wybiegli z sali pewnie po to, żeby wydrukować nowy egzemplarz ugody.

Podeszłam do drzwi. Wyciągnęłam rękę w stronę Heleny, zapraszając ją, żeby wyszła ze mną. Nie miałam więcej argumentów. Jeśli po tym wszystkim nadal była gotowa podpisać porozumienie – cóż, miała do tego prawo.

– Chodźmy – powiedziałam.

Nikt nawet nie drgnął, jakby najdrobniejszy ruch albo jedno niepotrzebne słowo mogły zakłócić chwiejną równowagę: w Helenie zmagaly się teraz ze sobą rozum i serce, a raczej strach i lojalność, instynkt samozachowawczy

i zmysł moralny – że nazwę to górnolotnie. Jeden Martín miał odwagę przerwać pełną napięcia ciszę. Szepnął coś do matki po polsku, kilka niezrozumiałych słów w języku, który w tamtej chwili wydał mi się bliski.

Helena wzięła syna na ręce i powoli wstała. Ona też nic nie powiedziała, świadoma, że spoczywa na niej wzrok wszystkich obecnych, po prostu obeszła stół, czując wokół siebie zdenerwowanie i nieme wyrzuty. Stała przy mnie.

– Jesteśmy rodzina – powiedziała.

– Żebyś tylko następnym razem o tym nie zapomniała, kurwa – odparłam.

– Kurwa – powtórzył Martín.

Wyszliśmy we trójkę, za nami Moncada. Zobaczyłam, jak Martín, niesiony na rękach przez idącą przede mną Helenę, macha do kogoś rączką na pożegnanie. Mogłam się domyślić, do kogo.

Kiedy wychodziliśmy, dobiegły nas krzyki Santonjy: nie panował nad sobą, obwinał o wszystko Tomé i samego Barvera, przysięgał zemstę Moncadzie, wyzywał Ramira, Helenę i mnie, niczego ani nikogo nie oszczędzając. Pomyślałam, że jeśli nie przestanie walić pięścią w stół, złamię sobie rękę. Nas w każdym razie już przy tym nie będzie, i to było najważniejsze.

Dotarliśmy do windy eskortowani przez czarno ubranych facetów i zastępy urzędników, którzy co prawda nie mieli odwagi podejść bliżej, ale nie zamierzali przegapić widowiska. Nie wiem, czy chcieli nas oklaskiwać czy linczować, może jedno i drugie. Coś takiego na pewno nie zdarzało się w tych biurach codziennie.

Zjechaliśmy dziewięć pięter w dół. Bałam się, że w holu będzie czekać na nas oddział ochroniarzy albo policjantów; macki tych ludzi sięgały zapewne daleko. Moncada wysunął się przed nas, gotów stawić czoło niebezpieczeństwu, i kiedy otworzyły się drzwi windy, wyszedł pierwszy. Ale na dole nie było prawie nikogo, nie licząc chłopaka przy bramkach i kilku mężczyzn w garniturach. Droga wolna.

Na zewnątrz atmosfera wydawała się również naładowana. Przestało padać, ale odniosłam wrażenie, że cisza jest złudna i że za chwilę czarne chmury przyniosą prawdziwą burzę.

– Nikt nie dotknął samochodu, proszę pana – skwapliwie oznajmił ochroniarz, wskazując volvo, które stało tam, gdzie je zostawiliśmy, przednimi kołami na chodniku.

– Dobra robota – odparł Moncada, jakby wspólnie przeprowadzili jakąś akcję.

– Mogę jeszcze w czymś pomóc? – zapytał mężczyzna, uśmiechając się od ucha do ucha, kiedy wsiadaliśmy do samochodu.

– Nie trzeba – odburknął Moncada. – Spocznij.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, zanim odjechaliśmy, był ten grubawy mężczyzna wciśnięty w szary mundur firmy ochroniarskiej: stał dumny z siebie przed biurowcem, trzymając się pod boki.

– Co ci powiedział Martín? – zapytałam Helenę.

Popatrzyła na mnie, nie rozumiejąc, o co mi chodzi.

– Tam, na górze – wyjaśniłam – kiedy wszyscy czekaliśmy, aż podejmiesz decyzję, chłopiec powiedział ci coś po polsku.

Martín powtórzył w swoim języku słowa z sali konferencyjnej. Brzmiało to mniej więcej: „Boje sie ludzi” czy jakoś tak.

– Właśnie – oznajmiłam.

– Mówić w Poznaniu – odpowiedziała. – Znaczyć: „Boję się ludzi”.

Uniosłam brwi. Nie wiem dokładnie, co miała na myśli. Możliwe, że w jej języku to zdanie, poza dosłownym znaczeniem, zawierało w sobie coś, czego nie potrafiłam uchwycić, w każdym razie z jakiegoś powodu wydało mi się bardzo trafne.

– W takim razie jest nas dwoje – powiedziałam.

Wymieniłam spojrzenia z siedzącym za kierownicą Moncadą. Chciałam jak najszybciej znaleźć się u siebie, zamknąć w domu. Samochodem mogłam zająć się później. Pragnęłam się ukryć, zanim przeżyję kolejną tego dnia katastrofę, zanim ostatecznie rozpęta się burza i niebo zwali się nam na głowę.

– Dokąd panie jadą? – zapytał porucznik.

– Do domu, proszę – odparłam.

Volvo przyspieszyło. Szybko wchłonął nas uliczny ruch.

Wrzuciłam spodnie, T-shirt i sweter do wanny i polałam je wodą utlenioną, jedynym łatwopalnym płynem, jaki miałam pod ręką (o ile rzeczywiście był łatwopalny). Nie znalazłam w apteczce spirytusu, powinnam dokupić. Potem wyjęłam zapalniczkę, ostrożnie przysunęłam płomień do ubrania i odsunęłam się trochę, pewna, że natychmiast się zajmie; nie chciałam się poparzyć. Ale nic się nie stało. Widocznie ubrania były z jakiegoś niepalnego syntetyku albo, co bardziej prawdopodobne, woda utleniona nie jest najlepszym paliwem.

Odłożyłam zapalniczkę na umywalkę i poszłam do swojego pokoju. Odśloniłam tajną skrytkę za łóżkiem (tak naprawdę nie była bardzo tajna; wystarczyło odsunąć poduszkę, żeby ją zobaczyć) i wyciągnęłam butelkę beefeatera. Spojrzałam na nalepkę: czterdzieści pięć procent – powinno wystarczyć. Jak już znalazłam się w sypialni, ściągnęłam z łóżka pościel i kołdrę, pod którą przez dwie noce spał Ramiro, i wróciłam do łazienki.

Rzuciłam pościel na ubrania, przygniotłam je oburącz, po czym polałam wszystko ginem. Beefeater to klasyk, zawsze okazywał się skuteczny. Powtórzyłam całą operację: pstryknęłam zapalniczką i przysunęłam ją do rzeczy w wannie. Wystarczyło, że ogień dotknął prześcieradła, a natychmiast się zajęło. Wannę szybko wypełnił imponujący płomień. Rozniecony przeze mnie pożar bił takim gorącem, że musiałam się cofnąć. Patrzyłam, jak płomienie pochłaniają każdą z rzeczy, które przed paroma godzinami miały kontakt z ciałem mojego pierwszego byłego męża. Nie przewidziałam, że może ucierpieć wanna, a tak właśnie się stało. Złapałam słuchawkę prysznicową i odkręciłam kran, żeby ratować ukochaną, Bogu ducha winną wannę. Strumień wody wystrzelił do sufitu i zmoczył mi ubranie. Skierowałam go na ogień. Płomienie ożyły, osmalając mi dłoń, w której trzymałam prysznic. Wypuściłam go odruchowo, spadł na podłogę i wił się, tryskając wodą, która zalewała łazienkę, podczas gdy ogień nadal trawił emaliowaną stal wanny.

Uważając, żeby się nie poślizgnąć, chwyciłam dwa wielkie ręczniki

i rzuciłam je na płomień, które dopiero teraz zaczęły słabnąć. Mocno przydeptałam słuchawkę prysznicową i podniosłam ją z podłogi. Żeby mieć pewność, że ten mały pożar nie rozprzestrzeni się na całe mieszkanie, przez dłuższą chwilę polewałam wodą ręczniki, z których zaczął wydobywać się białawy dym i nieprzyjemny zapach – nie spalenizny, raczej trudnej do określenia stęchlizny. Oczekałam, aż woda pokryje pościel, i dopiero kiedy uznałam, że niebezpieczeństwo minęło, zakręciłam kran.

W lustrze nad umywalką zobaczyłam swoje niewyraźne odbicie. Byłam przemoczona, stałam na środku zalanej łazienki pełnej dymu i nieznośnej woni stęchlizny.

– Pomóc ci?

W drzwiach stała Concha: patrzyła na mnie osłupiała.

– Paliłam w wannie stare ubrania, nic takiego – odparłam – i trochę się osmaliłam.

Pokazałam jej dłoń – była lekko poparzona. Wzięłam z umywalki tubkę pasty do zębów i wycisnęłam odrobinę na podrażnione miejsce.

– Słyszałam, co się wydarzyło w Gran Castilli – powiedziała. – Wygląda na to, że ostatnio wszystko się nieco komplikuje.

– Tak naprawdę nic się nie stało. Przedstawili Helenie ofertę, a my ją odrzuciliśmy. Po drodze było trochę krzyków, poważnych oskarżeń, kłamstw i gróźb, ale właściwie nic takiego.

– Cieszę się, że tak to widzisz.

– Wiesz, że jestem niepoprawną optymistką – odparłam i przesunęłam opuszką palca wskazującego po oparzeniu, rozprowadzając pastę: była przyjemnie zimna i przyniosła mi lekką ulgę.

Concha patrzyła na mnie, jakby czekała na odpowiedni moment, żeby mi coś powiedzieć. Nie chciałam pytać o spotkanie z Palmirą; jej ponura mina i ochryply głos nie wróżyły niczego dobrego.

Cmoknęła. Robiła tak zawsze, ilekroć czuła się niezręcznie, było jej głupio. W końcu otworzyła usta i wyrzuciła to, co w sobie dusiła:

– Felipe zaproponował mi bardzo rozsądny układ. Przyjęłam go.

Nie od razu dotarły do mnie jej słowa.

– To rzeczywiście musi być jakiś zajebisty układ, skoro się zgodziłaś – powiedziałam. – Zwłaszcza że ustaliłaś ze mną, że na spotkaniu będziesz tylko słuchać, a potem razem przeanalizujemy sytuację.

– Przypominam, że nie było cię tam, że zostawiłaś mnie samą z niedoświadczoną adwokatką i że potraktowałaś priorytetowo drugą sprawę prowadzoną przez kancelarię.

– To była wyjątkowa sytuacja.

– Mówiąc delikatnie, ja od czterech miesięcy jestem w wyjątkowej sytuacji.

– Zastawili pułapkę na Helenę, musiałam tam pojechać.

– Na tym polega twój problem. Zawsze znajdziesz jakieś usprawiedliwienie, żeby robić to, co robisz. Pijesz i opychasz się tabletkami, bo źle potraktowało cię życie. Rzucasz pracę z dnia na dzień, zostawiając na lodzie masę ludzi, w tym mnie, bo straciłaś kogoś bliskiego i czujesz się winna – jakbyś była pierwszym człowiekiem, którego coś takiego spotyka. Nie zjawiasz się na decydującym spotkaniu z łajdakiem, który pobił mnie z dziesięć razy, bo ktoś potrzebował cię bardziej niż ja.

To była trzecia osoba, która tego dnia wyrzucała mi słabość charakteru, że tak to nazwę. Kochałam Conchę; kochałam ją bardziej niż jakąkolwiek inną przyjaciółkę w całym swoim życiu. Może dlatego miałam ochotę się na nią wydrzeć, powiedzieć jej, żeby zostawiła mnie w spokoju, miałam dość kazań i było mi absolutnie wszystko jedno, czy ma rację. Popatrzyłam na nią, wciągnęłam głęboko powietrze i ugryzłam się w język. Nie chciałam otwartej wojny.

– Jak widać, ty, Resano i Ramiro macie bardzo podobne zdanie na mój temat – powiedziałam. – Będę musiała to sobie przemyśleć.

– Daj spokój, za każdym razem, kiedy próbuję z tobą poważnie porozmawiać, wyskakujesz mi z jakimś idiotyzmem albo żartem.

– Ciekawe – odparłam. – Wiesz, co sobie myślę, Concho? Otóż jest ci głupio z powodu tej ugody z Felipe, i nie tylko dlatego, że zrobiłaś to za moimi plecami. Dobrze wiesz, że nie zasłużył sobie nawet na to, żebyśmy usiadły z nim przy stole i wysłuchały jego propozycji. Nieważne, co ci zaoferował. Każde rozwiązanie, które nie oznacza zabrania mu wszystkiego

i wsadzenia go do więzienia, będzie niesprawiedliwe. Myślę też, że nie ufasz mi już tak jak kiedyś, i nie chodzi o przyjaźń. Po prostu nie uważasz mnie już za błyskotliwą, zdolną adwokatkę, którą kiedyś tak podziwiałaś i którą chciałaś mieć za współpracowniczkę. Uważasz, że nie zdołałabym wygrać w sądzie z Palmirą i jej doradczynią od wizerunku. Dlatego zdecydowałaś się na tę chałową umowę. I dlatego tak ze mną rozmawiasz – bo jesteś na siebie zła.

– Jak miałabym ci ufać? – zapytała ze zdziwieniem. – Może nie wiesz, ale nikt ci nie ufa. Staniesz przed sądem albo, kto wie, nawet stracisz prawo wykonywania zawodu. Chyba tylko ty nie zdajesz sobie sprawy z tego, co się dzieje.

– Dzieje się to, że występuję przeciw armii prawników o nieograniczonych możliwościach, którzy atakują mnie na wszystkich frontach, prawnymi i bezprawnymi metodami. A jednocześnie bronie serdecznej przyjaciółki w być może najważniejszym dla niej procesie w życiu. Myślisz, że tego nie wiem? I powiem ci jeszcze jedno: tak, doskonale zdaję sobie ze wszystkiego sprawę, łącznie z tym, że jestem beznadziejna. Co noc, kiedy kładę się do łóżka, nawiedzają mnie demony i trzęsę się ze strachu, bojąc się, że nie podołam, że zawiodę te nieliczne osoby, które są dla mnie ważne i do których należysz ty – jeśli muszę ci to tłumaczyć.

Zamilkłyśmy, patrząc na siebie, wykończone. Spojrzałam na podłogę i zobaczyłam, że przemokły mi kapcie. Jeśli nie przyniosę mopa i jej nie wytrę, w całym domu będą brudne ślady. Powietrze przesiąkło stęchlizną z wanny, tak że trudno było oddychać. Concha wzruszyła ramionami i rozluźniła się trochę. Obie przeszłyśmy na „spocznij”, że się tak wyrażę.

– To nie jest zła ugoda – powiedziała cicho.

– Mów.

– Przede wszystkim dziewczynki zostają ze mną. Felipe będzie mógł je widywać tylko w co drugi weekend. To podstawa. W zamian za to dostanie całą resztę, fundusze, akcje, pieniądze ze wspólnego konta i dom. Będę mogła w nim mieszkać do czasu, aż najmłodsza córka osiągnie pełnoletniość, potem zobaczymy.

– A pozew o znęcanie? – zapytałam, obawiając się, że najgorsze dopiero mnie czeka.

- Wycofam go, tak będzie najlepiej dla dzieci.
 - Wiesz, że prokurator będzie to ciągnął z urzędu.
 - To już nie moja sprawa. Jeśli każą mi zeznawać, powiem prawdę. Felipe rozumie to i akceptuje. Ale wycofam oskarżenie, rezygnuję.
 - Cholera jasna. Zmanipulował Jimenę, posłużył się dziećmi, żeby dostać cały majątek. Od początku tylko na tym mu zależało.
 - Wiem, ale to nie ma dla mnie znaczenia. Chcę tylko być z córkami, zacząć nowe życie z dala od tego nędznika. Za kilka dni podpiszemy papiery: rozwód bez orzekania o winie.
 - Z czego będziesz żyła?
 - Będzie musiał płacić alimenty na dzieci, zostało mi też coś na prywatnym koncie, wystarczy na pierwsze miesiące. Potem będę musiała zarabiać na swoje utrzymanie jak reszta ludzi, co zresztą robię od dwudziestego roku życia.
- Było jasne, że podjęła świadomą decyzję, od której nie ma odwrotu.
- Mogłyśmy z nim wygrać – mruknęłam.
 - Nie wiem. Chcę o tym wszystkim zapomnieć i skoncentrować się na dzieciach.
 - Zazdroszczę ci tej determinacji i mówię bardzo poważnie. Jak się pewnie domyślasz, absolutnie nie pochwalam tej ugody, ale podziwiam cię za to, że dla córek jesteś zdolna zrezygnować ze wszystkiego.
 - Macierzyństwo to jedyne, czego nie żałuję. Nie uważam się za dobrego człowieka, ty też tak naprawdę nie jesteś dobra, jesteśmy zarozumiałymi egoistkami. Dzieci przypominają mi o tych niewielu rzeczach, jakie się liczą.
 - Pozwól, proszę, że skończę, co zaczęłam, i zajmę się papierami. Obiecuję, że nie będę robić problemów, będę posłuszna. Przynajmniej tyle mogę zrobić.
- Concha się uśmiechnęła.
- Dziękuję ci, ale nie. Wiem, że teraz mówisz szczerze, ale kiedy wymienisz z Palmirą projekt ugody, wściekniesz się, znowu poczujesz chęć zaprowadzenia porządku i porozumienie diabli wezmą. Obie to wiemy. Sama się tym zajmę, osobiście, tego właśnie chcę.

– Rozumiem.

Brzmiało to jak pożegnanie. Concha nie miała kasy, nie mogła dłużej utrzymywać mojej przynoszącej straty, donkiszotowskiej kancelarii. Nawet nie musiałam mówić; to rozumiało się samo przez się. Zresztą to by było w złym guście. Delikatnie mówiąc, zostawiała mnie. Odchodziła, by spróbować uporządkować własne życie. Wspomniałam już, że nie znoszę pożegnań, robi mi się od nich niedobrze. Odwróciłam się i jakby nigdy nic zaczęłam zbierać ręczniki.

– Powiedz, proszę, Rondzie, żeby przyszła mi z tym pomóc – powiedziałam, biorąc ostrożnie za róg jeden z ręczników. – Co za smród!

– Jasne, zaraz jej powiem.

Usłyszałam za plecami kroki Conchy w przedpokoju. Znałam ten narastający niepokój, to coraz mocniejsze poczucie żalu i opuszczenia.

Natychmiast pojawili się Ronda, Sofía i Gerardo, brygada strażaków w komplecie. Pomogli mi wszystko pozbierać i wyczyścić. Zaniepokoiła mnie ta ich gotowość do pomocy – może traktowali mnie jak niepełnosprawną staruszkę, która nie potrafi sama sobie poradzić. Ale za ich gestami i słowami coś się kryło. Dwudziesty ósmy kwietnia jeszcze się nie skończył.

Wyrzuciliśmy nadpaloną pościel i ubrania, włożyliśmy ręczniki do pralki i wymyliśmy łazienkę, po czym wróciliśmy do salonu – czyli do biura. Zaczęli się ze mnie nabijać, proponując spalenie również innych rzeczy, na przykład komputera ze starym edytorem tekstów, który trzymałam w kącie niczym relikwię i którego nie chciałam się pozbywać, choć wiedziałam, że prawdopodobnie już nigdy z niego nie skorzystam, albo odtwarzacza wideo zajmującego górną część szafy, ulubionego przedmiotu ich żartów.

Przejrzałam pocztę na laptopie, nie zajrzałam do niej przez cały dzień. Ronda odezwała się raptem poważnie:

– Musimy z tobą porozmawiać.

– Już późno, jestem bardzo zmęczona – mruknęłam. – Może przełożymy to na jutro.

Zauważyłam, że cała trójka wymieniła niespokojne spojrzenia.

– Wolelibyśmy porozmawiać teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu –

powiedział Gerardo.

– Jak chcecie – odparłam. – Tylko przejdźcie od razu do rzeczy, błagam.

Zjechałam kursorem w dół; miałam sto cztery nieprzeczytane wiadomości, w większości dotyczące pozwu i raczej nieistotne, jak na przykład zaktualizowana lista świadków obrony czy pełny zapis ostatnich zeznań, łącznie z tym Santonjy. Zobaczyłam również dwa maile, w których bank informował mnie ponownie – tym razem pisemnie – że musi z przykrością odrzucić moją prośbę o obciążenie mieszkania kolejną hipoteką, gdyż nie spełniam odpowiednich warunków. Nie wiem, dlaczego obwieszczano mi to dwukrotnie ani dlaczego wiadomości były zaznaczone na czerwono jako ważne – jakby dawano mi jasno do zrozumienia, że sprawa jest zamknięta. Rzuciłam również okiem na mail z prokuratury od Almudeny Osorio. Przypominała mi, że w następnym tygodniu muszę stawić się w sądzie w celu wysłuchania stawianych mi zarzutów.

– Powiecie coś w końcu czy nie? – zapytałam.

– Tak, tak – podjęła Ronda. – Otóż, jest taka sprawa.

– Nic złego – zaznaczył Gerardo.

– I zanim podejmiemy decyzję, chcemy oczywiście skonsultować się z tobą – ciągnęła Ronda.

Tylko Sofia milczała. Wpatrywałam się dalej w ekran laptopa, kasując nieważne maile, archiwizując inne, do których być może będę musiała zajrzeć później. Wreszcie doszłam do wiadomości, która przykuła moją uwagę. Mail z sądu w Robredo przyszedł dokładnie trzydzieści pięć minut wcześniej. W temacie wpisano po prostu: „Raport laboratorium”. Byłam jedynym adresatem, chyba że inni figurowali w „kopii ukrytej”. Tekst brzmiał następująco:

Szanowna Pani Tramel, na polecenie sędzi i prokuratury mam przyjemność przesłać Pani wyniki ekspertyzy dotyczącej nagrań telefonicznych zgłoszonych jako dowody rzeczowe przez oskarżenie, o numerach od A/00201 do A/00283. Mam nadzieję, że Panią zainteresują.

Z poważaniem, Julia Pérez de Pablos, asystentka sądowa

Poniżej nazwa sądu, adres, numer faksu i inne dane.

Poczułam duszność i mrowienie w całym ciele. Przeczytałam ponownie tekst, żeby upewnić się, że chodzi rzeczywiście o to, o czym myślałam: o wyniki, na które czekaliśmy od wielu tygodni i od których mógł zależeć cały proces. Pod rutynowymi ostrzeżeniami dotyczącymi prywatności i poufności przesłanej informacji znajdował się załącznik o nazwie „raport/37899/Robredo/laboratorium/Cahill”. Bałam się kliknąć. Na samą myśl o tym, co może zawierać dokument, mocno chwyciłam się biurka. Podniosłam wzrok, żeby upewnić się, że to wszystko jest realne.

– Dostaliśmy ofertę pracy – wtrąciła Ronda.

– Prawdę mówiąc, bardzo interesującą ofertę – dodał Gerardo.

– O czym wy mówicie? – zapytałam.

Cała moja uwaga była skupiona na raporcie/37899/Robredo/laboratorium/Cahill.

– To duża kancelaria – ciągnął Gerardo. – Dos Rius. Rozwijają się i potrzebują nowych prawników.

– I asystentów – uściśliła Ronda, mając na myśli siebie.

– Byliśmy na rozmowie i chyba szukają dokładnie kogoś takiego jak my – wtrącił znowu mój współlnik takim tonem, jakby próbował mnie do czegoś przekonać albo chciał mi sprzedać jeden ze swoich krawatów. – Proponują bardzo dobrą pensję i możliwość rozwoju w ramach firmy. Mónica uważa, że to ogromna szansa.

– O czym wy, do cholery, mówicie? – powtórzyłam.

– O jednej z najlepszych kancelarii adwokackich w kraju, Dos Rius – wyjaśniła Ronda. – Złożyli nam świetną ofertę pracy. Chcą, żebyśmy zaczęli jak najszybciej.

– Oczywiście powiedzieliśmy im, że najpierw musimy porozmawiać z tobą – dorzucił pospiesznie Gerardo. – Nie zostawimy cię na lodzie, będziemy pracować dla ciebie tak długo, jak będzie potrzeba.

– Jasne – powiedziałam, próbując przyswoić sobie to, co usłyszałam – nie zostawicie mnie na lodzie.

– Chcieliśmy cię zapytać – ciągnęła Ronda – jakie masz plany. To znaczy

teraz, kiedy nie ma już Conchy i kiedy złożono na ciebie doniesienie, i kiedy wydarzyło się to wszystko... Nie wiem, chcieliśmy po prostu zapytać, co zamierzasz.

– Myśleliśmy, że może rozważasz propozycję Gran Castilli – powiedział usprawiedliwiającym tonem Gerardo. – Nie mówię, że masz ją przyjąć. Chcielibyśmy jedynie wiedzieć, jakie masz plany na najbliższe miesiące. Głupio by było, gdybyśmy przepuścili taką świetną okazję, a potem ty zamknęłabyś kancelarię.

– Nie gniewaj się, ale musimy postanowić jak najszybciej – wtrąciła Ronda. Mówienie na przemian doskonale im wychodziło. – Tym z Dos Rius zależy, żebyśmy od razu zaczęli pracę. Chcielibyśmy podjąć decyzję po rozmowie z tobą. Jeśli to możliwe, jeszcze dzisiaj.

Sięgnęłam po laskę opartą o krzesło. Z laską w rękach czułam się trochę lepiej – ale tylko trochę, jeśli mam być szczerą. Ronda powiedziała między innymi „teraz, kiedy nie ma już Conchy”. Pewno zdążyli zaakceptować i omówić jej odejście w ciągu zaledwie kilku minut.

– Już podjęliście decyzję – stwierdziłam.

– To znaczy?

– To znaczy, że już powiedzieliście „tak” – odparłam – a jeśli nie, zrobicie to jutro. Już postanowiliście. Macie do tego prawo. Jesteśmy skończeni, każdy to wie. A Dos Rius to duża kancelaria. Nie zdziwiłabym się, gdyby za kilka miesięcy ogłosili fuzję z Barver & Ambrosía.

– To nie tak – zaproponował Gerardo. – Szukają prawników o naszej specjalności.

– Właśnie, a przy okazji asystentki. Cóż za wspaniały zbieg okoliczności. Mam nadzieję, że zaproponują wam dobry pakiet medyczny, bo nałykacie się sporo gówna. Kiedy planujecie odejść?

– Nic jeszcze nic zostało postanowione – powtórzyła Ronda.

– Gdybyśmy zdecydowali się odejść, chcąc, żebyśmy zaczęli najpóźniej za dwa tygodnie – wyjaśnił Gerardo. – Powiedzieliśmy już, że to niemożliwe. Dalibyśmy ci co najmniej miesiąc, żeby wszystko jakoś uporządkować.

– Nie – powiedziałam, podnosząc do góry laskę.

– Jak to nie?

– Nie odejdziecie za dwa tygodnie – podsumowałam – ani za miesiąc. Odejdziecie zaraz.

– Ale...

– Żadnego ale – przerwałam z powagą, celując w nich laską. – Dokładnie w tej chwili wstaniecie i opuście moje mieszkanie. Macie niczego nie ruszać, ani komputerów, ani papierów, niczego. Ostrzegam, że was obserwuję.

– Mówisz poważnie? – zapytał wystraszony Gerardo.

Skinęłam głową, po czym wstałam i ruszyłam w ich stronę.

– Jeżeli któreś z was przed wyjściem choćby dotknie jakiegoś dokumentu znajdującego się w tym biurze, przysięgam, że dostanie ode mnie laską – zagroziłam.

– Po co się tak denerwować – powiedziała Ronda, ostrożnie podnosząc się z krzesła. – Myślę, że możemy załatwić to jak cywilizowani ludzie.

– Nie możemy – zapewniłam. – A wiecie dlaczego? Bo odchodzicie, żeby pracować dla innych, bo was kupili, bo zostawiacie mnie na lodzie w najgorszym momencie, nazwijmy rzeczy po imieniu. Mogłabym powołać się na klauzule o konflikcie interesów czy o zakazie konkurencji; są w umowie, którą podpisaliśmy, kiedy postanowiliśmy razem się w to wpakować, ale tego nie zrobię, nie warto. Ci łajdacy grubo się mylą, jeżeli myślą, że zdołają mnie powstrzymać, kradnąc mi paru niedoświadczonych smarkaczy.

– To nie ma nic wspólnego z Barverem – zaprotestował Gerardo. – Ani z Gran Castillą.

– Ma bardzo wiele wspólnego, idioto – ucięłam. – No już, wynocha, spadajcie stąd. Tylko niczego mi nie dotykać.

Ronda i Gerardo zaczęli się cofać, odchodzili od biurka, spoglądając na swoje rzeczy, których nie mieli odwagi dotknąć.

– Za laptopa zapłaciłem ja – zaprotestował Gerardo.

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć – odpowiedziałam. – Zawiera poufne informacje Tramel i Wspólnicy. Zostaje.

– A mój skórzany notes? – zapytała Ronda, wskazując na swoje biurko.

- Też zostaje.
- A wieczne pióro? To prezent od Móniki...
- Wszystko zostaje!

Walnęłam laską w biurko, robiąc straszny hałas.

- Spadajcie stąd, już. Kurwa.

Wyszli we dwójkę do przedpokoju, nie oglądając się za siebie. Patrzyłam za nimi, żeby upewnić się, że niczego nie zabierają. Odchodzili, szepcząc coś między sobą. Głośno trzasnęły drzwiami. Może już więcej nie wrócą.

Mówi się, że najlepszym sposobem na rozstanie jest brutalne przecięcie więzów. To był chyba dobry przykład. Może postąpiłam zbyt radykalnie, ale w takich sytuacjach każdy radzi sobie tak, jak umie. W niespełna pięć minut przestali być moimi współnikami i podopiecznymi; stali się obcymi ludźmi, których nie chciałam więcej widzieć na oczy. Przypomniało mi się, jak wyciągnęłam Gerarda z willi Argentyńczyka, jak zgodziłam się mianować Rondę kierowniczką biura, a także wiele innych momentów, które przeżyliśmy razem w ostatnich miesiącach. Miałam nadzieję, że z czasem wspomnienia przestaną tak bardzo boleć.

Sofía siedziała przy swoim biurku, nie odzywając się.

- Ty nie odchodzisz? – zapytałam.

– Nie interesują mnie te snoby z Dos Rius – rzuciła. – Poza tym chyba nie zaprzeczysz, że jesteśmy w trakcie prowadzenia emocjonującej sprawy, która może ustanowić precedens w hiszpańskim orzecznictwie albo pogrzebać karierę najlepszego adwokata, jakiego kiedykolwiek znałam. Za nic w świecie nie chciałabym tego stracić.

– Jesteś pewna? – powtórzyłam. – Jeżeli chcesz odejść, zrób to teraz. Zapewniam cię, że sobie poradzę.

– Zostaję w swoim własnym interesie. W żadnej innej kancelarii nie powierzono by mi tak odpowiedzialnych zadań. Może pensja nie jest najlepsza, ale polubiłam kuchnię Heleny, wszystkie te kiełbaski, ciasta, bigosy, czy jak się to nazywa, są przepyszne.

Gdybym kilka dni wcześniej musiała postawić na jednego z moich trzech współników, najprawdopodobniej wybrałabym Gerarda i jego straszne krawaty. Jak zwykle bym przegrała. On pierwszy uciekł.

– Doskonale. Więc skoro zostajesz, zrób coś dla mnie.

– Co takiego?

– Zajrzyj do mojego komputera. Zobaczysz maila z załącznikiem. Otwórz go i powiedz, co w nim jest.

Sofía wstała zaciekawiona. Podeszła do mojego biurka i przeczytała zwięzłą wiadomość od Julity.

– Chcesz, żebym ja otworzyła? – zapytała po chwili zdenerwowana. – Jesteś pewna?

– Zrób to wreszcie.

Z obawą dotknęła myszki i przesunęła ją dłonią. Odwróciłam wzrok. Nie chciałam wyciągać wniosków na podstawie jej reakcji, wyrazu twarzy. Po kilku sekundach, które dłużyły mi się bardziej niż zima, w końcu powiedziała:

– To z tego angielskiego laboratorium Cahill, które zwykle pracuje dla sądów.

– Irlandzkiego.

– Wolisz, żebym od razu przeszła do rzeczy, czy mam mówić po kolei?

– Nie wkurwiał mnie.

Wreszcie spojrzałam na nią. Była podekscytowana jak gimnazjalistka, której właśnie wręczono świadectwo ukończenia szkoły.

– Werdykt jest pozytywny – powiedziała, przykładając dłoń do ust, żeby powstrzymać westchnięcie.

– Jak pozytywny?

– Raport podpisał niejaki Peter Walsh, inżynier informatyk. Jego zdaniem wszystkie osiemdziesiąt trzy nagrania są nienaruszone, nie zostały zmontowane ani zmienione. Szczegółowa analiza techniczna pozwala mu stwierdzić, że są autentyczne i mogą zostać wykorzystane jako dowód w procesie sądowym.

– Wszystkie osiemdziesiąt trzy? – zapytałam z niedowierzaniem.

Sofía skinęła głową poruszona.

W końcu jakaś dobra wiadomość. Podeszłam do dziewczyny i spojrzałam

na ekran. Pochyliłyśmy się nad biurkiem. To była prawda. Walsh przyznawał nam rację w kwestii osiemdziesięciu trzech nagrań. Warto było czekać. Mogłyśmy ruszyć naprzód. Pewnie dalej będą próbowali różnych sztuczek, ale nie powstrzymają nas przed dotarciem do Naczelnego Sądu Prowincji.

– Idę zawiadomić Helenę – postanowiłam. – Musi dowiedzieć się o wszystkim jak najszybciej.

– Gratulacje.

– Nie świętujmy zwycięstwa, to zaledwie jedna bitwa. Prawdziwa wojna jeszcze się nie zaczęła.

– Uwielbiam, kiedy uderzasz w taki podniosły ton.

– Kpisz sobie ze mnie? – zapytałam.

– Troszeczkę – odpowiedziała z przekorą, uśmiechając się. Była tak ucieszona tym, co nas spotkało, że pozwoliła sobie na żarty.

– A teraz poważnie – mruknęłam. – Powtarzam ci: chcę, żebyś do jutra spokojnie się zastanowiła. Nikt nie będzie cię osądzał, jeżeli postanowisz odejść.

– Nigdzie się nie wybieram.

– Posłuchaj, Sofío, ten raport to tylko mały krok naprzód. Nie oszukujmy się, oni są znacznie więksi, silniejsi, najprawdopodobniej nie uda nam się niczego osiągnąć. Ja nie mam nic lepszego do roboty, nic mi nie zostało. Ale ty masz szansę to zostawić i zająć się czymś nieco bardziej realistycznym, bardziej konstruktywnym. Proszę, obiecaj, że przynajmniej zastanowisz się przez jeden dzień, zanim podejmiesz decyzję.

– Nie chcę się z tobą spierać, ale nie przychodzi mi do głowy nic bardziej konstruktywnego niż proces przeciwko Gran Castilli przed Naczelnym Sądem Prowincji. Nawet jeżeli stanie się tak, jak mówisz, i przegramy, przynajmniej będę miała o czym opowiadać kiedyś wnukom. Przestań powtarzać, że bym to przemyślała. Już wystarczająco długo się zastanawiałam. Zostaję.

Jeszcze mogło się okazać, że ta dziewczyna jest bardziej uparta niż ja.

Idąc do Heleny i Martina, wybrałam numer M. Odezwał się po dwóch sygnałach.

– Dzwoniłem do ciebie – powiedział.

– Dopiero teraz zobaczyłam, że mam nieodebrane połączenia, przepraszam. Miałam dziś urwanie głowy.

– Słyszałem o Ramirze. Powinienem był to przewidzieć. Naprawdę ma raka; nie przypuszczałem, że zrobi coś takiego.

– Nikt nie przypuszczał, zapomnij o tym.

– Chyba nie potrafię.

– Ja też nie, jeśli mam być szczerą. Po co dzwoniłeś?

– Zdobyłem dla ciebie tabletki, o które wczoraj prosiłaś.

– Tramadol i diazepam – szepnęłam.

– Chcesz, żebym ci je podrzucił?

Usłyszałam głosy dobiegające z głównej sypialni, w której byli moja bratowa i mały. Nie widziałam ich, odkąd wróciliśmy z Moncadą z biura Gran Castilli. Powiedziałam Helenie, że jeśli naprawdę chce tej ugody, mogę ją załatwić, choćby Tomé twierdziła, że nie. Właściwie mogłabym wywalczyć nawet lepsze warunki. Jak mi później wyjaśniła, nie zaproponowali jej całkowitego umorzenia długu, ale coś w rodzaju corocznego skalowania. W ten sposób, jeśli siedziałyby cicho przez najbliższe trzydzieści lat, nie kazaliby jej nic płacić i o wszystkim by zapomnieli, jak przy odwróconej hipotece. Musiałaby tylko wycofać pozew i nie wnosić żadnego oskarżenia ani przeciwko firmie, ani któremuś z pracowników.

Teraz chciałam spojrzeć jej w oczy i wytłumaczyć, że sędzia przyjmie nagrania jako dowód, że zostanie wytoczony proces, że mimo wszystkich trudności możemy iść naprzód. Pod warunkiem że ona się na to zgodzi. Chciałam ją też jednak uprzedzić, że będzie musiała mnie słuchać we wszystkim bez wyjątku i że w żadnym wypadku nie może na przyszłość sama umawiać się na spotkania. Gdyby jej to nie odpowiadało, mogła się wycofać.

– Mogę być u ciebie za dwadzieścia minut – dodał M. w odpowiedzi na moje milczenie.

– Nie trzeba, dam ci znać, jeżeli będę ich potrzebowała – odparłam, starając się dłużej nad tym nie zastanawiać. – A teraz z innej beczki: myślę

o nowym świadku – osiemnastoletni chłopak, nazywa się Andrés Admira, bierze udział w terapii odwykowej prowadzonej przez stowarzyszenie Alma. Chciałabym, żebyś go sprawdził.

– Powołasz go na świadka?

– Nie wiem, rozważam taką możliwość. A właśnie: przyszedł już raport od niezależnego biegłego. Korzystny dla nas. Wszystkie osiemdziesiąt trzy nagrania mają moc dowodową.

Po drugiej stronie rozległ się gardłowy dźwięk, który uznałam za oznakę zadowolenia czy coś w tym rodzaju.

– Było to otoczone taką tajemnicą, że obawiałem się najgorszego.

– Szczerze mówiąc, ja też.

– Rozejrzę się trochę. Zobaczymy, czego się dowiem o tym Admirze.

– Zachowaj, proszę, dyskrecję. Nie chcę chłopakowi zaszkodzić.

– Nie martw się, już ja tego dopilnuję. Tyle że jeżeli nie masz pieniędzy, to bardzo mi przykro, ale to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię w związku z tą sprawą. Wisisz mi kilka niezapłaconych rachunków, a nie wydaje mi się, żeby sytuacja miała się poprawić. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Już parę razy cię ostrzegałem. Nic z tego nie wynikło, ale teraz mówię poważnie. Od jutra nie będę do twojej dyspozycji.

– Doskonale to rozumiem.

Przerwałam rozmowę. Czułam się rozgoryczona i bezradna. Widać jeszcze nie przywykłam do niepowodzeń, choć spotykały mnie nieustannie; nie sądzę, żebym miała kiedykolwiek przywyknąć. Utrata M. była najgorszą rzeczą, jaka mogła mi się przytrafić. Nie znałam lepszego detektywa, a przede wszystkim do nikogo nie miałam takiego zaufania, co w tej sprawie było cenniejsze niż zwykle.

Ponownie usłyszałam Helenę. Nuciała jakąś melodię. W przedpokoju słyhać było jej miły głos. Może śpiewała Martinowi piosenkę ze swojego kraju. Nie była profesjonalistką, ale wkładała w to serce i śpiewała czysto.

Za mną pojawiła się Sofía. Już miała wyjść, ale zatrzymała się na dźwięk piosenki. Chyba powtarzał się refren po polsku. Wyobraziłam sobie (pewnie pod wpływem tego, co nas spotkało), że to kołysanka opowiadająca o groźnych ludziach, którzy wszędzie na nas czyhają i których może pokonać

jedynie szczerą miłość matki.

Teraz śpiew dobiegł wyraźniej. Stałyśmy z Sofią, połączone z Heleną niewidzialną nicią harmonii, pragnąc (przynajmniej ja), żeby dziewczyna nigdy nie skończyła. To było coś najpewniejszego, czego mogliśmy się uchwycić. Nie miałyśmy niczego więcej. A przede wszystkim nikogo więcej. Byłyśmy tylko my trzy.

Słońce grzało mocniej niż zwykle. W parku Oeste pojawili się rolkarze, opiekunki z dziećmi w wózkach i wałęsający się bez celu bezrobotni.

– Te zmiany pogody mnie wykończą. Jednego dnia leje jak z cebra, a następnego jakby nadeszło cholerne lato – powiedział, ocierając chusteczką czoło. Tupecik lekko mu się przekrzywił.

Kiedy Alfredo Friman siedział tak w środku dnia na parkowej ławce, nie wyglądał na jedną z najbardziej wpływowych osób ze świata nielegalnego hazardu, raczej na człowieka, który za dużo je, za dużo pali i – sądząc po workach pod oczami – za mało sypia.

– Sfinansowałem wielu graczy, wiedziałaś o tym? – zapytał. – Jedni byli bardzo dobrzy, inni średni, jeszcze inni beznadziejni.

Siedziałam na ławce w pewnej odległości od niego, oparta plecami. Niewykluczone, że byliśmy obserwowani. Zauważyłam rowerzystę w zielonej koszulce; chyba już drugi raz przejeżdżał przed nami ścieżką, ale może tylko jeździł w kółko po parku. Moją uwagę zwróciła też kobieta z wózkiem na zakupy, która usiadła na ławce po drugiej stronie trawnika, dokładnie za naszymi plecami.

– Mówiłeś, że gardzisz ludźmi, którzy pożyczają innym pieniądze – zauważyłam kąśliwie.

– Ja nie mam nic wspólnego z tą hołotą – obruszył się. – W przeciwieństwie do nich prawie nigdy nie biorę odsetek, nie zarabiam na tym.

Zapalił papierosa, zaciągnął się i natychmiast zaniósł silnym, suchym, głębokim i bardzo nieprzyjemnym kaszlem, jakby miał zaraz wypluć płuca.

Zobaczyłam w oddali małe dzieci biegające dookoła drzewa. Chciałam stamtąd uciec, póki jeszcze mogłam. Nie musiałam tego robić, nikt mnie nie zmuszał, sama do niego zadzwoniłam, sama poprosiłam go o pomoc.

Mogłam próbować radzić sobie inaczej, bez zadawania się z ludźmi jego pokroju. Wystarczyłoby, żebym oparła się na lasce, wstała i odeszła bez tłumaczenia; nikt by mnie nie zatrzymywał.

– Dlaczego to robisz? – zapytałam. – Dlaczego dla mnie?

Wciągnął nosem dym, jakby potrzebował go do oddychania bardziej niż tlenu.

– Bo, jak wiesz, lubię zakłady. I stawiam na ciebie – powiedział, patrząc na mnie. – Tylko nie myśl sobie, że to jakakolwiek gwarancja. Zapewniam cię, że w ciągu całego życia przegrałem znacznie więcej zakładów, niż wygrałem.

– Jeżeli przegramy, nie będę mogła zwrócić ci pieniędzy.

– Wtedy już coś wymyślimy – powiedział beztrąsko. – Masz mieszkanie. Nawet jeśli jest obciążone hipoteką, zawsze można coś z niego wyciągnąć. Zresztą wolę o tym nie myśleć, to mnie męczy. Skup się na tym, żeby wygrać, jak sportowcy. Wyobraź sobie, że zwyciężasz, czy co tam pieprzą. Kurwa, Tramel, trochę więcej optymizmu.

– Spokojnie, codziennie rano patrzę na siebie w lustrze i powtarzam sobie: wygramy. Ale, prawdę mówiąc, kiedy wraz z upływem dnia raz po raz dostaję w tyłek, coraz bardziej spuszczam z tonu.

– Zapamiętaj: traktuję cię jako bezpieczną inwestycję – dodał, jakby nie dosłyszał tego, co powiedziałam. – Jeśli chcesz wiedzieć, bezpieczniejszą niż obligacje skarbowe. Wiesz dlaczego? Nie dlatego, że jesteś dobrym adwokatem. Wiem, że jesteś, sprawdziłem cię; podobno w czasie procesów byłeś prawdziwą bestią, przejeżdżałaś się po wszystkich równo. Ale nie dlatego.

– Więc dlaczego?

– Dlatego, że jesteś uzależniona.

– Traktujesz mnie jako bezpieczną inwestycję dlatego, że jestem uzależniona? – spytałam zdezorientowana.

– Wszyscy ci prawnicy, którym się stawiasz, na pewno mają masę dyplomów, są świetnie wyszkoleni i dysponują nieograniczonymi środkami, ale nie zeszli do piekła, żeby potem zacząć żyć na nowo jak ty. Nie wiedzą tyle co ty o cierpieniu. Nie stracili brata. Nie zakatowano ich prawie na

śmierć. Nie potrzebują drinka i mnóstwa tabletek, żeby utrzymać się w pionie. Nie mają w sobie całej tej ciemności. Robią to dla pieniędzy. Dla ciebie to sprawa osobista. Jesteś uzależniona. I chodzi mi nie tylko o środki uspokajające i całą resztę; mam na myśli twoją pracę jako adwokata: jesteś uzależniona od tego procesu, masz go w żyłach.

– To wcale nie musi być dobre – odparłam.

– Moim zdaniem jest – stwierdził Friman, kolejny raz głęboko się zaciągając. – To coś odjazdowego. W zasadzie to jedyne, co masz.

Poczułam lęk, słuchając, jak mówi o mnie w taki sposób. Jeżeli miał rację, nie stawiało mnie to w najlepszym świetle. Jakby opisywał potwora, a nie czterdziestotrzyletnią kobietę.

Pomyślałam, że w oczach osób spacerujących po parku musimy stanowić parę kuriozalną, wręcz groteskową. Ja z moimi bliźniami na twarzy, zaczerwienionymi oczami, kulejąca, podpierająca się laską z rączką z kości słoniowej. On ze swoimi pięćdziesięcioma kilogramami nadwagi, nażarty i rozdęty od cholesterolu, wyniszczony nikotyną, ze śmiesznym tupecikiem z innej epoki. Ludzie przyglądali się nam nie dlatego, że nas śledzili, ale dlatego, że przedstawialiśmy sobą obraz godny uwagi.

Kiedy tak siedzieliśmy w wiosennym słońcu w jednym z najstarszych i najświetniejszych parków stolicy, pomyślałam, że próżno by tam było szukać równie malowniczej pary.

– Nie wiem, czy dostrzegasz paradoks sytuacji – mruknęłam. –

Wykorzystam pieniądze pochodzące z hazardu po to, żeby spróbować przykręcić śrubę bossom hazardu.

– Ja daję kasę, ty słowa i paradoksy; każdy ma swój wkład – odpowiedział. – Stanowimy zgrany zespół.

– Nie jesteśmy żadnym zespołem – zaproponowałam. – Poprosiłam cię o pieniądze, bo nie mam się do kogo zwrócić. Ale kiedy zacznie się proces, nie chcę, żebyś pojawiał się w sądzie ani w mojej kancelarii, ani nigdzie indziej, rozumiesz?

– Nie obawiaj się, nie znajdę na to czasu.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić niczego gorszego niż Alfredo Friman obserwujący mnie podczas procesu z miejsc dla publiczności. Pod żadnym

pozorem nie mogłam dopuścić, żeby mnie z nim kojarzono. Zwłaszcza jeżeli o sprawie ostatecznie miałyby rozstrzygać ława przysięgłych, a wszystko na to wskazywało. Groźby karalne są jednym z niewielu przestępstw, które nasz archaiczny Kodeks karny pozwala sądzić z udziałem przysięgłych. Huarte chyba skłaniała się ku takiemu rozwiązaniu. Wszystko przyspieszyło, kiedy czterdzieści osiem godzin wcześniej nadszedł raport biegłego dotyczący nagrań. Sędzia dała nam trzy tygodnie na odebranie zeznań od ostatnich świadków, których chciałyby powołać strony, i kolejne trzy na złożenie na piśmie ostatecznych wersji aktów oskarżenia i obrony. Zależało jej, by jeszcze przed początkiem lata wysłać wszystko do Naczelnego Sądu Prowincji – co stanowiłoby rekord w tego rodzaju sprawach karnych. W rezultacie mieliśmy szczęście z nowo powstałym sądem w Robredo; w każdym innym formalności trwałyby co najmniej drugie tyle.

Ścieżką kolejny raz przejechał rowerzysta. Odkąd usiedliśmy na ławce, widziałam go już przynajmniej trzy razy. Friman pomachał do kogoś, kto mignął nam za kolarzem. To był ten drobny gość, Muveg, którego poznałam przy okazji wizyty w willi. Szedł prosto w naszą stronę. Wyglądał jak jeden z bezrobotnych, którzy o tej porze wałęsali się po parku. Niechlujny wygląd, staromodne okulary, znoszone ubranie i sam sposób chodzenia sprawiały, że bez trudu pozostawał niezauważonym – co z racji wykonywanej pracy prawdopodobnie było jego celem. W prawej ręce trzymał niewielką sportową torbę Pумы granatowego koloru, starą i zniszczoną.

– Spocilem się jak mysz – powiedział, kiedy znalazł się przy naszej ławce.
– To nie są normalne zmiany pogody.

– Wszystko przez globalne ocieplenie i inne takie tam. Chcą nas wykończyć – potwierdził Friman, rad, że w kwestii pogody Muveg jest podobnego zdania.

– W filmie dokumentalnym, który ostatnio widziałem, mówili, że niczego nieświadomi, pieczemy się na wolnym ogniu; nasza planeta przypomina szybkowar – ciągnął nowo przybyły.

– Też tak uważam, w każdej chwili możemy wybuchnąć. A wiesz, czyja to wina?

– Gazów cieplarnianych, międzynarodowych korporacji, rządów.

– Nic z tych rzeczy – zgasił go Friman. – Ekologów. Dobrze usłyszałeś.

To im najbardziej na tym zależy, bo chcą odstawić dalej te swoje szopki. Pomyśl tylko: partie zielonych i NGOsy na całym świecie mają miliony zwolenników. Ludzie głosują na nich i płacą składki z jednego tylko powodu: bo robią w gacie ze strachu.

Pasjonujący temat do rozmowy. Gdybym im pozwoliła, mogliby przez resztę popołudnia pleść głupoty o klimacie i snuć teorie spiskowe.

– Wybaczcie – wtrąciłam. – Nie mam zbyt wiele czasu.

Spojrzeli po sobie, jakbym z powodu jakiejś błahostki przerwała im rozmowę na ulubiony temat. Muveg pokręcił głową, poprawił okulary i delikatnie położył torbę na ławce, między mną a Frimanem. Ostrożnie rozpiął suwak. Pochyliłam się i zajrzałam do środka; moim oczom ukazało się mnóstwo plików banknotów o nominałach dwudziestu i pięćdziesięciu euro.

– Czterdzieści tysięcy – powiedział. – W małych nominałach.

– Zostawiłem samochód na parkingu przy ulicy Princesa – powiedział Friman, zerkając na mnie. – Jeśli chcesz, możemy policzyć w środku.

Uznałam, że to nie najlepszy pomysł: iść na parking w towarzystwie tych dwóch typów z torbą wypchaną pieniędzmi.

– Nie trzeba – odparłam. – Ufam ci.

– Ufa ci – powtórzył Muveg, jakby nieco rozbawiony.

– Jak sobie chcesz – przytaknął Friman. Zapiął suwak i przesunął torbę nieznacznie w moją stronę. – Są twoje.

– Nie muszę niczego podpisywać? – zapytałam, choć znałam odpowiedź. – Jakiegoś pokwitowania? Niczego?

Obaj się roześmiali. Uznali pewnie, że jestem naiwna, ale ja mówiłam na serio. Nadal nie mogłam uwierzyć, że odbywa się to w taki sposób.

– Dostajesz torbę pełną pieniędzy – odpowiedział. – Bierzesz ją i znikasz, tak to działa.

– Nie lubimy umów ani pokwitowań – dodał Muveg. – Zapodziejają się, gubią, znajduje je policja albo urząd skarbowy, zaczynają zadawać pytania. Strata czasu.

Jeszcze nie dotknęłam sportowej torby. Miałam świadomość, że kiedy to

zrobię, kiedy wezmę ją do ręki i wyjdę z nią z parku, nic nie będzie już takie jak dawniej. Zwiążę się z Argentyńczykiem, człowiekiem, o którym wiedziałam niewiele poza tym, że sędzia nazwała go gangsterem i że zdaniem M. był znacznie bardziej niebezpieczny, niż na pierwszy rzut oka się wydawało. Była to jedna z decyzji, od których nie ma odwrotu. Jeżeli chciałam dalej prowadzić sprawę, teraz, kiedy byłam bliżej celu niż kiedykolwiek wcześniej, potrzebowałam pieniędzy. I nie przychodził mi do głowy lepszy sposób, by je zdobyć.

– Zanim przyjmę pieniądze, chcę, żebyś zrozumiał dwie rzeczy – wykrztusiłam.

– Zamieniam się w słuch.

– Po pierwsze: żeby nie było żadnych niejasności co do charakteru naszej relacji. Ty pożyczasz mi czterdzieści tysięcy, ja zwracam ci je za rok, niezależnie od tego, jak potoczą się sprawy. Jeżeli wygram proces przeciwko Gran Castilli i wyrok uwzględni rekompensatę finansową, dostaniesz dodatkowo dziesięć procent kwoty ustalonej przez sędziego. Odbierzesz je, kiedy pieniądze znajdą się w moim posiadaniu, nie wcześniej, co, jak już ci wyjaśniłam, może trochę trwać. I tyle. Nie jesteśmy współnikami, nie stanowimy zespołu, nie będę ci się tłumaczyć z tego, co robię, jak robię ani dlaczego robię, a tym bardziej, na co przeznaczam pieniądze – to wyłącznie moja sprawa.

– Nie ma problemu – odpowiedział, zapalając kolejnego papierosa od peta poprzedniego. – Lubię jasne sytuacje, wiem, w co się pakuję.

– Druga kwestia jest nieco bardziej delikatna – ciągnęłam – i nie wykluczam, że się wycofasz, kiedy usłyszysz to, co ci zaraz powiem. Decyzja należy do ciebie. Chodzi o rzecz następującą: możliwe, że kiedy już skończę z Gran Castillą, zabiorę się za ciebie. Ci dranie wykorzystali mojego brata, wycisnęli go jak cytrynę, a na koniec odebrali mu życie, i drogo za to zapłacą. Jeżeli jednak dojdę do wniosku, że ty też to robiłeś, że wykorzystaleś chorobę Alego dla własnych zysków, że przyczyniłeś się do jego nieszczęścia, wezmę się za ciebie, angażując w to całe swoje siły. Chociaż chwilowo jestem w podbramkowej sytuacji i proszę cię o pieniądze, nie uważam cię za dobrego człowieka, nie podobasz mi się. Jeżeli znajdę dowody na to, że spieprzyłeś życie mojemu bratu, doniosę na ciebie i znajdę

sposób, żeby wsadzić cię za kratki. Potraktuj to jako ostrzeżenie. Jak sam słusznie zauważyłeś, jestem niebezpieczną lekomanką, ale lubię stawiać sprawy jasno.

Miałam wrażenie, że moje słowa zawisły w powietrzu. Muveg przełknął ślinę i spojrzał na mnie tak, jakby się zastanawiał, skąd wziął się ktoś taki jak ja.

– Masz jaja, Tramel, trudno temu zaprzeczyć – odpowiedział Friman. – Rozumiem wszystko, co powiedziałaś, i godzę się na twoje warunki. Zaryzykuję, w końcu codziennie to robię. Teraz ty wysłuchasz mnie. Ja też mam ci do powiedzenia dwie ważne rzeczy.

Dał znak Muwegowi, który zrozumiał, że nic tu po nim.

– Wracam do willi, jest dużo roboty, widzimy się później, szefie – powiedział, po czym spojrzał na mnie. – Proszę uważać na torbę, kręci się tu mnóstwo meneli.

Odwrócił się i oddalił tą samą ścieżką, którą przyszedł. Nieważne, co miał mi powiedzieć Friman – nie zamierzałam godzić się na żadne dodatkowe warunki pożyczki. Obiecałam sobie, że nie będę rozwiązywać dla niego żadnych problemów z prawem ani pomagać mu w jego przekrętach. Że jeżeli wysunie jakieś żądania, odejdę bez pieniędzy.

– Nie robię tego tylko dlatego, że jestem przekonany, że odzyskam z nawiązką moje czterdzieści tysięcy – powiedział. – Jest jeszcze coś. Zależy mi, żeby udupić Santonję i spółkę. Od lat uważają się za królów tego interesu, brużdżą mi, co chwila nasyłają na mnie brygadę, żeby rozwalić mi partię, podkradają mi klientów, patrzą na mnie z góry i traktują jak pariasa, który jest im potrzebny wyłącznie po to, żeby nie mnożyły się inne nielegalne rozgrywki. To doskonała okazja, żeby się z nimi rozprawić. Szczerze mówiąc, strasznie mnie to jara. Poza tym, jak już ci mówiłem, miałem dla Alejandra wiele sympatii. Kiedyś sporo nas łączyło, prosił mnie o radę, kiedy poznał Helenę i później, kiedy zaszła w ciążę, chociaż oczywiście potem zrobił, co chciał. Zapewniam cię, że go szanowałem. Taka jest prawda. Nie jest to najważniejsze, ale też nie bez znaczenia. Chcę tylko, żebyś o tym wiedziała i nie zapomniała.

Starałam się nie oceniać jego słów. Nie zadałam sobie nawet pytania, czy wierzę w rzekomo braterskie relacje łączące go kiedyś z Alem.

– Druga rzecz, którą ci powiem, może cię zabołec, ale myślę, że powinienem to zrobić – oznajmił. – Muszę dbać o własne interesy, teraz, kiedy w ciebie zainwestowałem. To ma związek z tamtym pobiciem w święta. Wiem, kto to zrobił.

Poczułam, że tężeję w środku. Nieświadomie wyprostowałam się i na moment skupiłam całą uwagę na twarzy Frimana. Wszystko inne przestało istnieć: torba z pieniędzmi, park pełen ludzi, którzy mogli nam się przyglądać. Był tylko Argentyńczyk, jego zapadnięte oczy, głowa bez szyi, wyrastająca jakby bezpośrednio z tułowia, kępa sztucznych włosów, papieros w kąciku ust.

– Kto?

– Osoba, której najłatwiej było to zrobić – powiedział. – Zastanów się.

Serce zaczęło mi walić, powietrze szybko przechodziło przez gardło, w którym skupiał się cały ogarniający mnie powoli niepokój. Przed oczami stanął mi pewien obraz.

– Moncada – szepnęłam, modląc się, żeby to nie była prawda.

– Porucznik Santiago Moncada – potwierdził Friman. – Bardzo mi przykro.

– Skąd wiesz?

– Sam mi powiedział. Którejś nocy zostaliśmy sami w willi po jednej z niekończących się partii. Przegrał dużo. Pewnie chciał się pochwalić. A może mnie nastraszyć, żebym otworzył mu nowy kredyt, albo i jedno, i drugie, nie wiem.

– Nie wierzę ci – powiedziałam.

– Podał mi szczegóły, o których nie mógłbym się inaczej dowiedzieć. Najpierw uderzył cię w głowę prętem, który zawsze wozi w bagażniku, może ciągle go tam ma; Moncada to arogancki bydlak, uważa, że jest nietykalny. Potem zdzielił cię w kręgosłup, złapał za włosy i kilkanaście razy walnął twoją twarzą o beton. Skopał ci żebra i czaszkę. A na koniec, kiedy przestałaś się ruszać, obszczał ci plecy i głowę. Aha, a po drodze były jeszcze twoje błagania. Powiedział, że cały czas jęczałaś i powtarzałaś, żeby przestał.

– Dlaczego to zrobił?

– Bo pracuje dla Santonjy, rzecz jasna. Jak wszyscy. Stary był wkurwiony.

Kiedy złożyłaś pozew, zadzwoniłaś do niego do domu, żeby zaśmiać mu się w twarz.

– To nie ma sensu. Moncada pomógł mi przy tej sprawie, to on naprowadził mnie na trop nagrań. On pomógł mi wyciągnąć Helenę z biura Gran Castilli.

– Cokolwiek zrobił, zrobił to dla własnych korzyści. Może pokłócił się z Santonją i dlatego ci pomógł. Albo chciał, żeby postępowanie się przedłużyło i żeby sam mógł coś na tym ugrać, nie wiem. Ale zapewniam cię, że pracuje dla starego. Skąd niby miałby wiedzieć, co zaszło?

W moim prawym uchu znów rozlegał się gwizd. Zrobiło mi się gorąco.

– To nie ma sensu – powtórzyłam.

– Znam go od lat. Potrafi być prawdziwym sadystą. Dopuszcza się bestialstwa, a potem żałuje, te typy zazwyczaj tak mają. Jest przekonany, że złe samopoczucie, katusze, które cierpi, i to, że najpierw cię posłał do szpitala, ale potem ci pomógł, oczyszcza go z winy. Wierzy w te swoje historie, że świat jest do szczętu zepsuty, a on po prostu stara się jakoś sobie radzić, wyrządzając jak najmniejszą krzywdę. Ale prawda jest taka, że wisi wszystkim pieniądze. Wcześniej czy później wybuchnie, daję mu rok, góra dwa lata, a kiedy to nastąpi, polecą wszyscy, którzy będą w pobliżu.

– Moncada mnie pobił? – szepnęłam.

Friman skinął głową.

– Wiem, że coś was łączyło. Kurwa, najpierw omal cię nie zabił, a potem odgrywa casanovę, trzeba być naprawdę nieźle pokręconym.

– Nie wierzę ci – powtórzyłam.

– Masz prawo. Mówię ci to tylko po to, żebyś uważała i nie traciła czujności. Nie chciałbym, żebyś przegrała proces dlatego, że zaufałaś komuś, komu nie powinnaś była zaufać. Zwłaszcza teraz, kiedy gra toczy się także o moje pieniądze.

– Dwa dni temu zadarł z Santonją. Otwarcie mu się postawił. Na moich oczach, na oczach wszystkich.

– Nie wątpię. Już ci mówiłem, dręczą go wyrzuty sumienia, poczucie winy. Jeżeli postawił się prezesowi, żeby ci pomóc, teraz będzie myślał, że masz wobec niego dług, chociaż niemal wyprawił cię na tamten świat.

I gwarantuję ci, że ten dług od ciebie wyegzekwuje, w tej czy innej formie. Emiliano znowu go przycisnie, ma wiele sposobów, przywoła go do porządku. A on wróci do punktu wyjścia.

Oddychałam z trudem, bezskutecznie usiłując kontrolować wciągane przez nozdrza powietrze. Byłam bliska omdlenia. Tutaj, w środku parku. Nie zdziwiłabym się, gdyby tak się stało. Jeżeli to rzeczywiście Moncada pobił mnie wtedy na parkingu – a z każdą mijającą sekundą ta możliwość wydawała mi się coraz bardziej prawdopodobna – rozwiłaby się definitywnie jedna z ostatnich pewnych dla mnie rzeczy. Nie chciałam uwierzyć; musiało istnieć jakieś wyjaśnienie, może Friman nie kłamał, po prostu się mylił, no właśnie, może było to tylko straszliwe nieporozumienie.

– Zrobisz z tym, co zechcesz – powiedział. – Ale jeśli pozwolisz, poradzę ci jedno: na twoim miejscu z nikim bym o tym nie rozmawiał, a już na pewno nie z samym Moncadą. Nic ci z tego nie przyjdzie. Teraz masz nad nim niewielką przewagę, nawet się nie domyśla, co wiesz. Zdaję sobie sprawę, że nie będzie ci łatwo. Jesteś taka jak twój brat, rusza was za dużo rzeczy.

Nie chciałam wiedzieć niczego więcej, pragnęłam jedynie, żeby zniknął narastający ucisk w piersiach, żeby ucichło brzęczenie w uchu, a przede wszystkim, żeby potężne trzęsienie ziemi zniszczyło planetę i zmiotło z jej powierzchni całą ludzkość.

Wstałam i dałam się ponieść impulsowi: złapałam laskę i zaczęłam nią walić w ławkę. Przy czwartym uderzeniu pękła, a rączka z kości słoniowej potoczyła się po trawie.

– Kurwa! – ryknęłam.

Opiekunki, dzieci i spacerowicze znajdujący się w pobliżu odwrócili głowy. Rzuciłam na ziemię złamany na pół kawałek drewna.

– Lepiej już pójde – powiedziałam.

Prawą ręką chwyciłam sportową torbę, ścisnąwszy ją tak mocno, że nikt nie potrafiłby mi jej wyrwać. Odwróciłam się plecami do Frimana, który siedział dalej na ławce, paląc papierosa – przypuszczałam, że długo tam nie zabawi – i ruszyłam ścieżką w stronę alei Rosales. Szłam pod drzewami, lekko utykając, z wyrazem determinacji i gniewu na twarzy, pośród nawoływań bawiących się dzieci i szumu wiatru w liściach, zlewającego się z odgłosami samochodów.

Wtedy nagle sobie przypomniałam. To było w czternastej rundzie. Creed wymierzył prawy sierpowy i pod wpływem ciosu Balboa wypluł ochraniacz na zęby. W przedostatniej rundzie. Sędzia się nie zorientował i nie przerwał walki. Mimo to Rocky wytrzymał. Teraz miało nadejść najlepsze, ostatnia runda; wystarczyło, że się utrzyma na nogach, i będzie dalej przyjmować ciosy.

CZEŚĆ CZWARTA
ŚCIEŻKA ZDRADY

– Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie – powiedziałam, starając się, żeby w moich słowach zabrzmiały jednocześnie szacunek, opanowanie i stanowczość, żeby każde z nich płynęło z głębi duszy. – Witam panie i panów przysięgłych. Jak samopoczucie?

Jedenaście par oczu spojrzało na mnie wymownie: jak mamy się czuć – jest lato, panuje straszliwy upał, a my musimy siedzieć tu zamknięci. Znajdowaliśmy się w sali rozpraw numer dwa Naczelnego Sądu Prowincji Madrytu. Akurat były jakieś problemy z kondensatorami i nie działała klimatyzacja, co stanowiło pewną niedogodność (delikatnie mówiąc) w takim mieście jak Madryt w środku sierpnia.

Wszyscy, którzy znajdowali się wewnątrz, łącznie z ubraną w togi piątką prawników i sędzią, oczekali potem, gdyż okna zostały szczelnie zamknięte ze względu na wymogi bezpieczeństwa. Wbrew rozpowszechnionym opiniom sierpień nie jest miesiącem kompletnego zastoju dla wymiaru sprawiedliwości w naszym kraju. W wyjątkowych przypadkach – takich jak ten – ze względów proceduralnych można przyspieszyć początek procesu o kilka dni. Na prośbę sędziego, po uzyskaniu zgody stron i upewnieniu się co do dyspozycyjności świadków, został wyznaczony termin pierwszej rozprawy na ów słoneczny, wykańczający poniedziałek dwudziestego pierwszego sierpnia. Był to, jak mówię, dzień szczególny – co czyniło tę sprawę jeszcze bardziej niezwykłą. Nowy minister upomniał właśnie sędziów i pozostałych pracowników wymiaru sprawiedliwości, żeby dali przykład i przestali trzymać się kurczowo starych zasad, jeśli chodzi o kalendarz, tempo procedur, scenariusz i przebieg przesłuchań. Leopoldo Barrios, sędzia prowadzący rozprawę, odrobił lekcję.

Spojrzałam na przysięgłych, prawdziwy i jedyny przedmiot mojego zainteresowania: usadzono ich w ściśle ustalonej kolejności, na losowo przypisanych miejscach. Siedmioro w pierwszym rzędzie (czterech mężczyzn i trzy kobiety), dwoje w drugim (mężczyzna i kobieta), a obok nich dwoje

rezerwowych (kobiety). Wszyscy mieli znudzone miny, choć rozpoczął się dopiero pierwszy dzień procesu. Niektórzy wachlowali się sądowymi teczkami, inni siedzieli na swoich miejscach sztywno, nieruchomo, patrząc bezmyślnie przed siebie. Wiedzieli, że spadła na nich ogromna odpowiedzialność – którą najchętniej by z siebie zrzucili – i że w końcu wykonają swoje zadanie, najlepiej jak będą umieli, angażując się bardziej, niż to sobie wyobrażali. Ogarnęło mnie współczucie. Przebiegłam wzrokiem po ich twarzach. Oczywiście nie liczyłam, że odpowiedzą na moje pytanie. Po prostu dałam im okazję, żeby mi się przyjrzeni i oswoili z moim widokiem; musiałam wzbudzić ich zaufanie, jeżeli chciałam, by wydali wyrok skazujący.

– Większość z państwa wolałaby się teraz znajdować w innym miejscu – ciągnęłam. – Siedzieć przy stole z rodziną i przyjaciółmi, albo – zważywszy na porę roku – leżeć na plaży, chodzić po górach czy zażywać poobiedniej sjeisty. Jak powiedzieli państwo dziś rano podczas selekcji, dla wielu spośród tu obecnych zostanie członkiem ławy przysięgłych w procesie karnym oznacza spory i nieoczekiwany kłopot, zwłaszcza dla tych, którzy stracą znaczną część zasłużonego urlopu, oraz osób pracujących na własny rachunek, które będą musiały na kilka dni odłożyć na bok zlecenia – nikt ich nie zastąpi i nikt nie pokryje im strat. Jednym słowem, jest w pełni zrozumiałe, że większość z państwa wolałaby być teraz daleko stąd, robić spokojnie swoje zamiast siedzieć w tej sali za trzydzieści cztery euro dziennie w otoczeniu nieznanomych mówiących o sprawie, która w zasadzie państwa nie dotyczy i która jeszcze kilka tygodni wcześniej była czymś kompletnie abstrakcyjnym. Na domiar złego mamy problem z klimatyzacją.

Spostrzegłam, że niektórzy kiwają głowami. Przysięgła numer cztery przyznała mi nawet rację głośnym westchnięciem. Była to starsza kobieta, która podczas porannej selekcji wyraziła zdziwienie, że znalazła się pośród kandydatów. „Jest tylu Hiszpanów; że też akurat na mnie musiało paść”, powiedziała z godną pozazdroszczenia spontanicznością. Miała sześćdziesiąt siedem lat i była jedyną emerytką z całej jedenastki, wliczając w to dwie rezerwowe. Wiązałam z nią duże nadzieje. Chociaż zapewniła, że nie gra w bingo ani tym bardziej w „te gry w internecie”, przyznała, że zdarzało jej się czasem wrzucić kilka monet do jednorękiego bandyty. Czułam, że ta poczciwa kobieta zna niejednego bar i że pod tym „zdarzało jej się czasem”

może kryć się coś więcej – może nie uzależnienie, ale w każdym razie niezła znajomość popularnych ulicznych gier, że tak to ujmę. Można było oczekiwać, że przysięgli, którzy grali w gry hazardowe albo mieli w najbliższym otoczeniu kogoś, kto to robił, teoretycznie staną po naszej stronie. Numer cztery przeszła selekcję wyłącznie dlatego, że obrona szybko wyczerpała weta i była zmuszona na nią przystać. Postanowiłam uczynić ją jedną ze swoich faworytek i często zwracać się bezpośrednio do niej.

– Będę z państwem szczerą – kontynuowałam. – Doskonale państwa rozumiem: ja także wolałabym znajdować się gdzie indziej. Wolałabym, żeby w Hiszpanii nie było ponad milion nałogowych hazardzistów o różnym stopniu uzależnienia, jak podają statystyki Ministerstwa Zdrowia. Wolałabym, żeby państwo nie zezwalało na otwarte reklamowanie salonów gier w porze największej oglądalności i żeby w tej branży stosowano podobne ograniczenia jak w przypadku alkoholu czy papierosów. Wolałabym, żeby pan Alejandro Tramel nie zapadł swego czasu na jedną z najpoważniejszych chorób związanych z uzależnieniami, które znalazły się na liście Światowej Organizacji Zdrowia. Wolałabym, żeby kasyno w Robredo nie wykorzystało świadomie człowieka chorego wyłącznie po to, żeby go zniszczyć. Wolałabym, żeby wielokrotnie w ciągu dwóch lat nie groziło mu i nie stosowało wobec niego nacisków. O ich istnieniu świadczą niezbite dowody, zbadane i dopuszczone przez niezależnych biegłych, które zostaną przedstawione podczas procesu. Wolałabym, żeby kasyno w Robredo i jego dyrektorzy po tym, jak odebrali mu wszystko, co posiadał, a nawet to, czego nie posiadał, nie nakłaniali go w sposób podły, podstępnie, z premedytacją do popełnienia samobójstwa. I wreszcie wolałabym, żeby Emiliano Santonja, którego widzą państwo za moimi plecami, idealnie opalonego i ubranego w drogi, szyty na miarę garnitur, oraz pozostali członkowie zarządu kasyna w Robredo, doprowadziwszy pana Tramela do ruiny i śmierci, nie dopuścili się podłości, żądając od wdowy i sieroty spłaty długu, który odebrali już wcześniej od zmarłego Alejandra Tramela z tysiąckrotną nawiązką w postaci pieniędzy, krwi i cierpienia.

Przerwałam, żeby te jedenaście osób mogło uzmysłwić sobie wagę moich słów i ewentualnie odwrócić się w stronę Santonjy i mu się przyjrzało. Chciałam, żeby znalazł się na ich celowniku. Przysięgłym numer jeden i tymczasowym rzecznikiem składu (do zakończenia przesłuchań

i samodzielnego wyboru przewodniczącego i rzecznika) był dawny wojskowy, czterdziestolatek pracujący obecnie jako ochroniarz w firmie rozprawdzającej sprzęt komputerowy. Facet nie spuszczał ze mnie wzroku. Miałam wrażenie, że nie przypadłam mu do gustu. Niewykluczone, że ze względu na wojskowe wykształcenie oraz poczucie obowiązku i dyscypliny nie darzył sympatią kobiety broniącej słabeusza, który nie tylko uzależnił się od hazardu, ale do tego jeszcze odebrał sobie życie, zostawiając na pastwę losu żonę i małe dziecko. Nie byłam pewna, ale tak mi się wydawało. Poza tym chyba przykry był dla niego widok blizn na mojej twarzy. Długo się nad tym zastanawiałam; nie mogłam się zdecydować, czy powinnam stanąć przed sądem z taką twarzą. Rozważałam nawet możliwość wysłania Sofii – dużo młodszej, o znacznie gładziej skórze (nie żartuję), bez tych wszystkich blizn po otrzymanych ostatnio ciosach fizycznych i psychicznych – żeby przemawiała w imieniu prywatnego oskarżenia, podczas gdy ja działałabym z ukrycia, niczym prawniczy Cyrano. Obie doszłyśmy jednak do wniosku, że to ja jestem siłą napędową sprawy i dlatego ja powinnam stanąć wobec ławy przysięgłych, nawet jeżeli któregoś z jej członków mój widok miałby zniesmaczyć. Zresztą, do diabła, za żadne skarby nie chciałam z tego zrezygnować.

Byłam gotowa. W pewnym sensie wszystko, co robiłam przez całe życie, stanowiło przygotowanie do tego dnia – mnóstwo godzin spędzonych na nauce, doświadczenie nabywane latami w sądach, późniejsze popadnięcie w niełaskę, rozmaite żalosne uzależnienia, kłamstwa, oszustwa, cierpienie, trudności, wszystko to bez wyjątku składało się na proces intensywnej, zaskakującej, a czasami wstrząsającej nauki przygotowującej mnie na tę chwilę.

– Teraz proszę wszystkich państwa, żeby przyjrzeni się przez moment staremu elektronicznemu kalendarzowi, który wisi na ścianie po lewej stronie. Niech państwo rzucą na niego okiem.

Na głównej ścianie, około półtora metra nad głową sędziego, znajdował się zegar z kalendarzem, wiszący tu pewnie od chwili oddania do użytku budynku gdzieś w latach pięćdziesiątych.

– Szesnasta czternaście, poniedziałek dwudziesty pierwszy sierpnia – przeczytałam. – Pierwszy dzień pracy po wakacjach, sala numer dwa szacownego Sądu Naczelnego Prowincji Madrytu. Proponuję, żeby

codziennie rano spoglądali państwo na ten zegar. Bo z każdą minutą, z każdą godziną, z każdym dniem spędzonym w tej sali w towarzystwie pana Emiliana Santonjy będą państwo coraz bardziej przekonani, że ponad wszelką wątpliwość jest on winny zarzucanych mu przestępstw: groźby karalnej, stosowania przymusu, wymuszenia rozbójniczego i namowy do samobójstwa. Zyskają państwo pewność, że jeżeli ten człowiek wyjdzie z procesu obronną ręką i nie zostanie skazany, nadal będzie bezkarnie niszczył niewinne ofiary. Nie spuszczać państwo oczu z tego starego kalendarza.

Kiedy udało mi się sprawić, że spojrzenia przysięgłych zwróciły się w stronę zegara, uznałam, że czas pójść na całość:

– Harmonogram posiedzeń przewiduje, że proces zakończy się trzydziestego pierwszego sierpnia, najpóźniej pierwszego września. Jestem gotowa rzucić na szalę całą swoją reputację prawniczki, całą swoją dotychczasową, obecną i przyszłą karierę, nawet werdykt w tej sprawie, i założyć się z państwem, że przed zakończeniem procesu, zanim ten stary kalendarz wskaże trzydziestego pierwszego sierpnia, pan Santonja i jego adwokaci zaproponują mi ugode, po to, żebym wycofała pozew. Zaproponują nam pieniądze, żebyśmy ustąpili. Założę się, o co tylko państwo zechcą, że tak się stanie. A zrobią to z jednego prostego powodu: ponieważ wiedzą, że są winni wszystkiego, o co zostali oskarżeni, ponieważ są na to dowody, są świadkowie, którzy znają prawdę i potwierdzą to z tego krzesła na środku sali, które teraz stoi puste. I co najważniejsze, ponieważ osoby te mają świadomość, że są państwo sprawiedliwymi, niezależnymi ludźmi, których nie można kupić, wiedzą, że zostaną przez państwa skazani. Nie będą mieli innego wyjścia niż spróbować zamknąć państwu usta ugodą finansową.

– Wnoszę stanowczy sprzeciw, Wysoki Sądzie – zaproponował sam Jordi Barver, który ostatecznie stanął na czele obrony, spychając Tomé na drugi plan. Zaprotestował grzecznie, nie podnosząc nawet głosu.

– Z jakiegoś konkretnego powodu, mecenasie? – zapytał sędzia. – Czy tylko dlatego że nie podoba się panu to, co mówi oskarżyciel?

Rozprawie odbywającej się w sali numer dwa Naczelnego Sądu Prowincji przewodniczył Leopoldo Barrios, z różnych powodów jeden z najbardziej znanych i szanowanych sędziów w mieście.

– Jak mecenas Tramel doskonale wie, nie powinno się wspominać o ewentualnych ugodach pomiędzy stronami – odparł Barver. – To zwykłe spekulacje mające na celu zmylenie przysięgłych.

– Jeżeli dobrze słyszałem, mecenas napomknęła jedynie o hipotetycznej ugodzie – odpowiedział Barrios. – Powiem państwu, co zrobimy. Wyjątkowo pozwoliłem, żeby wygłosili państwo swoje mowy wstępne zamiast przedstawić je na piśmie, ponieważ wszystkie strony wyraziły na to zgodę oraz dlatego, że jest to najlepszy sposób na zapoznanie przysięgłych ze sprawą, której dotyczy proces. Ale zaznaczam, że podczas tych wystąpień nie ma miejsca na sprzeciwy, repliki ani odpieranie zarzutów. Będzie po temu okazja, poczynawszy od jutra. Jeżeli któryś z adwokatów posunie się za daleko i przekroczy niedozwoloną granicę, wyłącznie ja będę miał prawo mu o tym przypomnieć. Proszę się nie obawiać, słucham wszystkiego uważnie. Dlatego bardzo proszę, żeby zachował pan całkowite milczenie, aż przyjdzie pana kolej. Pani zaś może kontynuować, chociaż zachęcam, żeby nie odbiegała pani zbyt od tematu. Proszę przejść do konkretów, pani czas się kończy. Niech pani nie nadużywa cierpliwości przysięgłych, wysuwając przypuszczenia, które nie mają związku ze sprawą, przede wszystkim jednak niech pani nie wystawia na próbę tolerancji sędziego już pierwszego dnia procesu.

– Bardzo dziękuję, Wysoki Sądzie – przytaknęłam – postaram się przejść do konkretów. Chcę tylko przypomnieć obrońcy, że nie wspomniałam o żadnej próbie zawarcia porozumienia mającego skłonić nas do wycofania pozwu, nie mówiłam o próbie spotkania się z moją klientką za plecami jej adwokata, o naciskach, jakim ją poddawano, ani o groźbach, którymi chciano ją skłonić do odstąpienia od procesu. Nie powiedziałam o nich ani nie powiem. Jeżeli coś takiego się zdarzyło – nie mówię, że tak – niech to zostanie między nami. Zgodnie ze wskazaniem kodeksu etycznego Izby Adwokackiej ugody pozasądowe pomiędzy stronami oraz próby ich zawarcia nie powinny być elementem debaty.

Przerwałam i znacząco spojrzałam na przysięgłą numer cztery, szukając u niej zrozumienia, jakbym sugerowała, że obie doskonale wiemy, o czym mowa. Ponieważ dała się wciągnąć w moją grę, postanowiłam nie nadużywać jej zaufania.

– Śmiało, pani mecenas – zachęcił mnie sędzia. – Proszę kontynuować.

Leopoldo Barrios był przystojnym pięćdziesięcioletnim, dowcipnym, prostoliniowym, pod wieloma względami bezpośrednim i na swój sposób surowym. Zyskał sławę dzięki dwóm posunięciom, które na pozór nie miały ze sobą związku, a na pierwszy rzut oka mogły wydawać się nawet sprzeczne. Jako jeden z pierwszych sędziów w naszym kraju dokonał coming outu – ujawnił, że jest gejem, biorąc ślub ze znanym architektem, i przez kilka miesięcy udzielał wywiadów ukazujących się w rozmaitych pismach. Jednocześnie poprosił o urlop i zaczął flirtować z polityką: wystartował w wyborach parlamentarnych z listy Partii Ludowej w Guadalajarze, swoim rodzinnym okręgu wyborczym. Zabrakło mu kilkuset głosów, więc po krótkiej przerwie wrócił do sądownictwa. Był jednym z najaktywniejszych członków konserwatywnego Stowarzyszenia Zawodowego Sędziów – z jego zdaniem liczyły się wszystkie grupy społeczne. Wymieniano go jako kandydata do Rady do spraw Wymiaru Sprawiedliwości. Robił błyskotliwą karierę, w ostatnich latach przewodniczył kilku głośnym procesom, mówiono, że czeka go świetlana przyszłość. *Rara avis* w mikrokosmosie prawa. Sędzia, konserwatysta i gej to pojęcia, które w naszym kraju rzadko się łączą.

Najchętniej wstałabym i podeszła do przysięgłych, zwracając się do nich szeptem. Niestety, nie było to możliwe. W przestarzałym hiszpańskim systemie sądownictwa wszyscy prawnicy musieli siedzieć stłoczeni obok siebie i przemawiać przez mikrofon – który nie tylko przenosił ich głos do najdalszych zakątków sali, ale też pozwalał wszystko nagrywać.

– Będziemy sędzić nie tylko serię wyszczególnionych dobitnie w Kodeksie karnym przestępstw, które przedstawił państwu prokurator – ciągnęłam, przysuwając się do mikrofonu. – Tu chodzi o coś znacznie poważniejszego. Pierwszy raz w historii tego kraju firma trudniąca się hazardem została posadzona na ławie oskarżonych pod zarzutem uciekania się do nielegalnych metod stosowanych po to, by upokorzyć człowieka, doprowadzić go do finansowej i moralnej ruiny, zniszczyć jego rodzinę, wpędzić go w długi, których nie miał możliwości spłacić, posłużyć się nim niecznie dla zwabienia i wykorzystania nowych klientów, a na końcu niezauważalnie, podstępnie popchnąć go do samobójstwa. Panie i panowie, żeby nie mieli państwo żadnych wątpliwości, pozwolę sobie jeszcze raz powoli powtórzyć: Gran Castilla i kasyno w Robredo żerowały na człowieku

chorym, uzależnionym, będącym w trakcie leczenia i wykorzystały jego słabość dla własnych zysków. To właśnie udowodnimy podczas tego procesu. Nie chcę zanudzać państwa artykułami Kodeksu karnego, na których opiera się pozew. Zostawię to obrońcom, którzy z całą pewnością będą próbowali zmylić państwa fachową terminologią, stosując różne kruczki. Będę z państwem szczerą: cieszę się, że ten proces odbywa się z udziałem ławy przysięgłych. Z jednego powodu: ponieważ są państwo ludźmi z krwi i kości, nieskażonymi prawniczym żargonem, przede wszystkim jednak dlatego, że wiem, iż uczynią państwo zadość sprawiedliwości.

– Wszyscy kochamy ławę przysięgłych, mecenas Tramel – zauważył sędzia, po czym spojrzał w stronę jedenastoosobowego zespołu. – Może państwo tego nie wiedzą, ale zazwyczaj tak bardzo nudzimy się podczas rozpraw, że kiedy trafia nam się proces z udziałem ławy przysięgłych, klaszczemy z radości, piszemy do rodziny, żeby ją o tym powiadomić, i przez kilka dni świętujemy. A teraz proszę, żeby wreszcie przeszła pani do wniosków.

Mimo sarkazmu – a może właśnie dzięki niemu – Barrios, w odróżnieniu od adwokatów, wydawał się absolutnie nie przejmować tym, co pomyśla o nim przysięgli, nie próbował ich sobie zjednać ani zdobyć ich sympatii. Paradoks polegał na tym, że właśnie przez to wydawał się bardziej szczerzy. Nie mogłam z nim konkurować.

Musiałam zaprezentować coś, czego nie mógł pokazać nikt inny.

– Chcę, żeby usłyszeli to państwo ode mnie: zmarły Alejandro Tramel, którego spadkobierców reprezentuję z mocy prawa, był moim bratem – powiedziałam. – Moim jedynym bratem. Wiem, że obrona będzie próbowała obrócić tę okoliczność przeciwko mnie podczas trwania procesu; usłyszą państwo, że z powodu osobistego zaangażowania nie mam jasności spojrzenia, że jedynie szukam zemsty, że doświadczyłam niepowetowanej straty i dlatego chcę oskarżonych pognębić. Będę z państwem szczerą: oczywiście, że czuję ból, ale nie szukam zemsty. Jediną rzeczą, o którą zabiegam, jest sprawiedliwość. Tylko i wyłącznie. Mogę państwa zapewnić, że mój brat był dobrym człowiekiem, może niestabilnym, kruchym i chorym, ale uczciwym; bardzo kochał żonę i synka. Gran Castilla, kasyno w Robredo i Emiliano Santonja odebrali mu wszystko, uciekając się do niemoralnych,

niegodziwych, bezprawnych machinacji. To właśnie wykażemy w tej sali. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w świetle naszego prawa oskarżeni są winni. I nie stwierdzę tego ja ani świadkowie, ani biegli; najbardziej niesamowite jest to, że dowiedzą się tego państwo z ust samego oskarżonego, pana Santonjy, jego współników i najbardziej zaufanych pracowników. Tak, panie i panowie, będziemy mieli okazję usłyszeć wyraźnie na kilkudziesięciu nagraniach, jak osoby te naciskały na Alejandra Tramela, jak mu groziły. Niestety sprawa jest tak oczywista i tak przerażająca, że kiedy skończy się proces, nie będą państwo potrzebowali więcej niż pięciu minut, aby podjąć decyzję. Bardzo dziękuję.

Przysięgła numer cztery jakby odetchnęła z ulgą – chciała tylko szybko zdecydować i wrócić do domu; może przytulić wnuki. Musiałam jej to ułatwić, i tyle.

Spojrzałam na ławki dla publiczności, gdzie siedziała Sofía, uważnie wszystkiego słuchając i robiąc notatki. Zadowolona, uśmiechnęła się lekko na potwierdzenie, że zrobiłam dobry początek. Uzgodniłyśmy, że podczas rozprawy nie będziemy porozumiewać się wzrokiem. Nie wyglądałoby to najlepiej przy ławie przysięgłych. Nie tylko wydawałoby się odruchem dziecinny i mało profesjonalnym, ale mogło wręcz zostać zinterpretowane jako wyraz niepewności. Spokojnie powiodłam wzrokiem po pozostałych obecnych. Za moją współniczką siedzieli Cristina Tomé i Arias – wyglądali na opanowanych, może nawet za bardzo. W trzecim i czwartym rzędzie zajęło miejsce kilku dziennikarzy zwykle relacjonujących rozprawy sądowe; z braku smakowitszych kąsków w sezonie ogórkowym przyszli zobaczyć początek procesu. Nie należało oczekiwać, że jeszcze się pojawią, chyba żeby wydarzyło się coś, co przyciągnęłoby uwagę mediów. Jeśli nie, mogli zajrzeć jeszcze ostatniego dnia, żeby wysłuchać wyroku. Poza tym na sali znajdowały się jeszcze ze trzy czy cztery osoby, których nie znałam – asystenci Andermatta lub Parda, urzędnicy sądowi albo zwykli gapie.

Poczesne miejsce w prostokątnej sali, pod ścianą na wprost wejścia, zajmowali sędzia i jego dwaj asystenci. Po ich lewej stronie siedziało pięciu prawników oskarżenia i obrony, w tym prokurator, po prawej – ława przysięgłych, na wprost publiczność, a przy stojącym obok drzwi biurku z komputerem woźna sądowa, która miała wpuszczać świadków. Oskarżony – Emiliano Santonja – siedział za nami, sam, spocony jak mysz. Dokładnie

pośrodku sali znajdowały się krzesło i niski pulpit z mikrofonem przeznaczone dla biegłych i świadków zgłoszonych przez strony.

Gdyby nie piekielny upał, można by powiedzieć, że sala przypominała średnich rozmiarów aulę uniwersytecką albo świetlicę, w której spotykają się mieszkańcy bloku. Może tylko była starsza i bardziej obskurna i zaniedbana. Krótko mówiąc, znajdowaliśmy się w przestrzeni bez wyrazu, gdzie egzekwowanie prawa nikogo nie onieśmiela ani na nikim nie robi wrażenia. Nie twierdzę, że należało zainwestować pieniądze z budżetu w przebudowę sądów, ale można je było chociaż odmalować i posprzątać; w końcu dochodziło się tu sprawiedliwości, przynajmniej w założeniu.

– Pańska kolej, mecenasie – powiedział sędzia Barrios, uznając, że skończyłam. – Wspaniali z państwa prawnicy, ale proszę mieć na względzie, że siedzimy w tym nieznośnym upale już dobrych kilka godzin. Zarówno ława przysięgłych, jak i ja będziemy państwu niezwykle zobowiązani, jeżeli zechcą państwo mówić krótko i zwięźle. Zapraszam.

Wybór przysięgłych trwał cały ranek, dłużej, niż zakładaliśmy, przesłuchania prowadzone przez obie strony przeciągały się, odrzucaliśmy kolejnych kandydatów, zanim w końcu ustaliliśmy ostateczny skład, który oczywiście nikogo w pełni nie satysfakcjonował, ani oskarżenia, ani obrony, ani tym bardziej wytypowanych członków ławy, ale na tym to właśnie polegało. Jeśli o mnie chodzi, byłam w miarę zadowolona nie tylko ze względu na numer cztery, ale też sześcioro innych przysięgłych o otwartych poglądach, którzy mogli stanąć po stronie oskarżenia. Jedynymi osobami niezbyt dla mnie miłymi był wspomniany już numer jeden, a także numer osiem – dwudziestodwuletnia studentka ostatniego roku inżynierii lotniczej z ufarbowanym na różowo kosmykiem włosów, która oznajmiła jasno – może aż nazbyt stanowczo – że nigdy nie wydała ani jednego euro na żadną grę losową, nawet na totolotka, i że ma czas wyłącznie na naukę.

Jeżeli obrona rozegrałaby dobrze swoje karty – czego można się było spodziewać – oznaczałoby to, że przysięgli nie tylko wyrobią sobie zdanie na temat Emiliana Santonjy, ale też osądzą Alego, jego charakter, jego życie, jego moralność, a w tej bitwie – w razie zbytnej surowości oceniających – mielibyśmy sporo do stracenia.

Jordi Barver wcisnął włącznik umieszczony w podstawie mikrofonu,

spojrzał uważnie na przysięgłych, przez chwilę teatralnie milczał, po czym wreszcie powiedział:

– Pieniądze.

Przerwał, jakby te sześć głosek zrobiło na nim tak duże wrażenie, że musiał zaczerpnąć powietrza, by móc kontynuować. Był mężczyzną eleganckim, starannie dobierał gesty i słowa. Wydawało się, że zahipnotyzował jedenastu członków ławy przysięgłych jednym słowem. Niedostrzegalnie poruszył ustami i powtórzył:

– Pieniądze.

Na wypadek gdybyśmy nie dosłyszeli, gdyby ktoś na sali jeszcze nie powtarzał w myślach tego nieszczęsnego słowa, wypowiedział je po raz trzeci:

– Pieniądze.

Pokręcił głową ze smutkiem, na jego twarzy odmalowało się przygnębienie, jakby cała sprawa głęboko go poruszyła.

– Panie i panowie, tego właśnie chce oskarżenie: olbrzymiej sumy pieniędzy. Nie zemsty, nie sprawiedliwości ani tym bardziej zadośćuczynienia prawu. Chce jedynie wyciągnąć jak największe pieniądze od jednej z najpoważniejszych, najbardziej odpowiedzialnych i zaangażowanych firm w naszym kraju. Nie dajcie się zwieść. Skarżącym zależy tylko i wyłącznie na pieniądzach. Cała reszta to puste słowa. Wiedzą państwo, kiedy został złożony pozew przeciwko Gran Castilli? Pewnie pomyślą państwo, że wówczas gdy zmarły Alejandro Tramel był rzekomo poddawany groźbom i naciskom. Otóż nie. Kiedy był do czegoś przymuszany? Też nie. Kiedy umarł? Nawet nie wtedy. Dziwnym trafem pozew złożono wtedy, kiedy uderzono tych ludzi po kieszeni, kiedy wdowa została wezwana do wypełnienia swojego obowiązku i spłacenia długów. Tylko to się dla nich liczy: pieniądze.

Zobaczyłam, że numer jeden z przekonaniem kiwa głową, jakby podpisywał się pod każdym stwierdzeniem Barvera. Co gorsza, reszta przysięgłych patrzyła na Barvera tak, jakby był on w posiadaniu sekretu, który wszyscy pragnęli poznać. Ciepły ton, jakim adwokat wygłosił swoją przemowę, jego nienaganny, schludny wygląd budziły zaufanie. Zdobywał nade mną przewagę już na starcie.

Upił łyk wody ze szklanki i kontynuował wystąpienie:

– Pozwolą państwo, że na koniec zadam jeszcze jedno pytanie: naprawdę sądzą państwo, że ktoś powinien zapłacić za błędy, które ktoś inny popełnił całkowicie dobrowolnie i w pełni świadomie? Proszę sobie szczerze odpowiedzieć. Bo właśnie do tego zmierza oskarżenie. Alejandro Tramel grał w ruletkę, pokera, blackjacka, obstawiał zakłady sportowe, robił to przez lata, w nierozważny sposób roztrwonił pieniądze swoje i swojej rodziny, zadłużając się ponad możliwość spłaty, a kiedy znalazł się w sytuacji podbramkowej, z zimną krwią zamordował dyrektora kasyna w Robredo tylko dlatego, że ten nie pozwolił mu grać dalej. Wszystko to jest straszne. Ale nikt nie zmuszał go do gry, zaciągania pożyczek, nikt nie kazał mu się zadłużać. Człowiek ten robił to z własnej woli – w sposób nieodpowiedzialny, ale z pełną niezależnością, samodzielnością i wolnością. Proszę odpowiedzieć sobie w duchu na pytanie: sądzą państwo, że firma, która spełnia wszystkie obowiązujące normy działania, która odprowadza milionowe podatki po to, aby naszemu społeczeństwu żyło się nieco lepiej, która daje pracę setkom uczciwych ludzi, która prowadzi Fundację na rzecz Odpowiedzialnej Gry i inwestuje w nią dużą część swoich zysków, ponosi winę za to, czego dopuścił się pan Tramel? Czy naprawdę ktoś rozsądnie myślący uwierzy w taką nedorzecznosc? Otóż to właśnie próbuje wmówić państwu oskarżenie. Jedynie na skutek niepomyślnego zbiegu okoliczności pozew ten trafił do sądu – do czegoś takiego nie powinno być w ogóle dojść. Przykro mi, że muszą państwo być uczestnikami tego aktu marnotrawienia czasu i państwowych pieniędzy. Proszę o wybaczenie wszystkich nedorzecznosci, jakie usłyszą państwo w najbliższych dniach z ust oskarżycielki, która już dziś zaczęła swoją osobliwą semantyczną żonglerkę, proponując państwu zakład. Nie wiem, jak waży się wspominać o możliwym porozumieniu finansowym, ona, której zależy wyłącznie na jednym. Na pieniądzech.

Zatrzymał się na słowie, które wypowiedział już z dziesięć razy. Zrobił głęboki wydech, jakby musiał dojść do siebie po przykrości wywołanej tą sytuacją, po czym zakończył zdaniem, które najwyraźniej zamierzał powtarzać jak litanie przez cały proces.

– Niech państwo o tym nie zapominają. Ile razy oskarżyciel wysunie jakąś hipotezę, ile razy pokaże państwu rzekomy dowód, ile razy będzie

przesłuchiwał świadka, za jego słowami będą się kryły pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze.

Skinął głową, znów zmęczony wypuścił powietrze i wyłączył mikrofon.

Zła i rozczarowana przeszłam przez restaurację, starając się nie cisnąć jakiegoś przekleństwa na widok rzucających mdłe światło, krzykliwych czerwonych lamp. Zbliżyłam się do stolika, przy którym siedziała Sofía, przezuwająca spokojnie chińskie bułeczki, podane nam na przystawkę. Nadal czułam ból w kolanie i wciąż lekko utykałam. Byłam tak zirytowana na samą siebie, że nie mogłam siedzieć spokojnie, zwłaszcza po całym dniu spędzonym na niewygodnym, okropnym sądowym krześle.

– Nie poszło tak źle – szepnęła Sofía bez przekonania.

Machnęłam ręką, żeby już nic nie mówiła, a przede wszystkim, żeby nie kłamała – czego bym nie zniosła.

– Lekcja pierwsza – powiedziałam – nigdy, przenigdy nie lekceważ przeciwnika, nawet jeżeli uważasz, że to ty masz rację, jeżeli grasz o wyższą stawkę niż on, jeżeli jesteś święcie przekonana, że stoi za tobą prawda i sprawiedliwość, jeżeli przygotowywałaś się dzień i noc przez kilka miesięcy i nawet jeżeli twoim przeciwnikiem jest dobrze ustawiony milioner, którym gardzisz i który rzekomo tak bardzo wyszedł już z wprawy, że nie pamięta, jak się zakłada togę. Nie lekceważ go, bo będziesz zbierać jeden cios za drugim.

Nie wtrąciła ani słowa, przełykając ugryziony właśnie kawałek bułki i patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Lekcja druga – ciągnęłam – ostrożnie z życzeniami, bo mogą się spełnić. Kiedy Huarte ostatecznie zarządziła proces z udziałem ławy przysięgłych, byłyśmy w siódmym niebie. Świetnie. Chciałyśmy ławy przysięgłych? No to ją mamy. Jedenaście osób wpatruje się w adwokata strony przeciwnej jak w obrazek. Brakowało tylko, żeby po zakończeniu wystąpienia zrobili na jego cześć meksykańską falę i zaczęli mu bić brawo.

Sofía przytaknęła; faktycznie tak to wyglądało.

– I lekcja trzecia – zakończyłam – jeden obraz jest wart więcej niż tysiąc

słów. Dziś w nocy ci mężczyźni i te kobiety będą mieli erotyczne sny z Barverem o srebrzystych skroniach w roli głównej, będą pragnęli, żeby był ich kochankiem, ojcem, przyjacielem, sąsiadem. Za to blizny à la Frankenstein z twarzy pani adwokat po czterdziestce, która ich dręczy i w sierpniu trzyma w sali bez klimatyzacji, wrócą do nich w koszmarach. Wyszło na to, że siedzą tam wyłącznie z mojej winy.

Zza zasłony wyjrzał dyskretny jak zwykle Haruo.

– Chcieć sake? – pytał.

– Wody – odparłam szorstko.

– Dla mnie też, poproszę – powiedziała Sofia.

– Sake dobre na demony duszy – wytłumaczył.

– Możliwe, ale mamy sierpień i po całym dniu spędzonym w piecu co jak co, ale gorący alkohol nie wydaje mi się najlepszy – odparowałam, uznając sprawę za rozstrzygniętą.

Chciałam mu też powiedzieć, że jestem alkoholiczką i że wychodzę z nałogu, ale uznałam, że to nie ma nic do rzeczy.

– Japońscy przodkowie pić sake w największy upał przed bitwą – dorzucił, starając się nas przekonać.

– Dzisiaj w sądzie poniosłam historyczną porażkę, Haruo – odpowiedziałam cierpliwie. – Przynieś dużą butelkę zimnej wody i proszę cię, nie kłóć się ze mną.

Popołudnie spędzone w sądzie odebrało mi siły do walki. Nie zamierzałam tak łatwo się poddać, ale musiałam przetrwać to, co się wydarzyło. Wiedziałam, że od początku będą próbowali mnie zniszczyć, i niemal im się to udało. Po krótkiej miazdzącej przemowie Barvera głos zabrał Latający Holender. Andermatt przedstawił w najjaśniejszych możliwie barwach karierę i życie rodzinne Emiliana Santonjy, człowieka, który doszedł do wszystkiego własnym wysiłkiem, stworzył z niczego prosperujący biznes, znał wszystkich swoich pracowników i troszczył się o nich, a jeżeli osobiście zainteresował się którymś z klientów, jak było w przypadku Alejandra Tramela, to tylko po to, żeby go powstrzymać przed podejmowaniem zbyt wielkiego ryzyka. Do tego był jeszcze ojcem piątki dzieci i dziadkiem trojga wnuków, wiernym mężem, głową rodu – człowiekiem hojnym, życzliwym,

serdecznym. Największą radość sprawiało mu spędzanie wolnego czasu z najbliższymi, a także przekazywanie dużych sum różnym organizacjom charytatywnym, które Andermatt skrupulatnie wymienił, po czym zachęcił wszystkich, żeby to sprawdzili. Jednym słowem, mężczyzna, którego ja oskarżałam o przestępstwo, był ni mniej, ni więcej, tylko męską, zaktualizowaną wersją matki Teresy z Kalkuty. Dobrze, nie ma co. Kiedy skończył opisywać nieskazitelną drogę życiową Santonji, dał wyraz oburzeniu z powodu tego, że ktoś chce wykorzystać luki w naszym systemie prawnym, by zaatakować i wykorzystać człowieka takiego jak jego klient, po czym zgodził się z przedmówcą, że oskarżenie, a ja w szczególności, jest tu tylko po to, żeby wydrzeć z rąk ludziom uczciwie zarobione pieniądze.

Na zakończenie rzeczowo i spokojnie wyjaśnił, na czym polega przestępstwo namowy do samobójstwa, najpoważniejszy zarzut, jaki stawiano jego klientowi. Stanowczo zaznaczył, że pragnienie śmierci drugiej osoby, grożenie jej, a nawet zatruwanie życia (czego Santonja nie robił, ale załóżmy) nie wystarczały, żeby kogoś skazać, i należało to zrozumieć. Kodeks karny jasno to tłumaczył, a w razie czego sędzia osobiście mógł rozwiać wszelkie wątpliwości. Żeby mówić o namawianiu do samobójstwa, trzeba było wykazać bezpośrednią chęć doprowadzenia ofiary do odebrania sobie życia – nie wystarczyła najpoważniejsza nawet i powtarzająca się agresja fizyczna czy słowna. Potem podziękował przysięgłym za poświęcony czas i oddał głos Estebanowi Pardo, który występował ostatni. Było oczywiste, że wszyscy trzej, choć reprezentowali różnych klientów (miałam nadzieję, że uda mi się to w odpowiednim momencie wykorzystać), skoordynowali przemowy, atakując w kolejnych wystąpieniach słabe punkty oskarżenia.

Adwokat towarzystwa ubezpieczeniowego skupił się na zasługach własnej firmy, będącej gwarantem bezpieczeństwa – w najszerszym rozumieniu tego słowa – setek tysięcy osób, po czym niezauważalnie przeszedł do wątku pomocy społecznej, pracowniczej, a nawet humanitarnej, w którą Gran Castilla była zaangażowana od niemal czterdziestu lat. Opowiadał z takim entuzjazmem, że miało się ochotę paść na kolana i dziękować wielkim holdingom, że ratują nasz kraj przed bankructwem i anarchią. Wreszcie przypomniał członkom ławy przysięgłych, że na szczęście nie będą musieli debatować nad żadaną przez oskarżenie sumą odszkodowania ani nad

wysokością wyroku za rzekomo popełnione przestępstwa; wystarczy, że udziela przemyślanych odpowiedzi na zadane przez sędziego pytania, stwierdzając, czy oskarżeni, wśród których niesłusznie znalazł się jego klient, są winni czy nie. A jeśli chodzi o to, proces miał wykazać jasno, że nie było ani jednego dowodu, który obciążałby jego firmę. „Proszę pamiętać, że to oskarżenie musi wykazać winę, nie na odwrót. Domniemanie niewinności jest fundamentem, na którym opiera się sądownictwo na całym świecie”. To efektowne, bezdyskusyjne stwierdzenie zakończyło pierwszy dzień procesu.

Barrios rozpuścił wszystkich do domu i kazał woźnej sądowej jak najszybciej rozwiązać problem klimatyzacji. Był to bez wątpienia jeden z najbardziej niefortunnych początków procesu, jaki przeżyłam. Większość przysięgłych miała tej nocy zasnąć, żałując, że mnie poznała. Musiałam teraz zdobyć się na nadludzki wysiłek, żeby to jakoś naprawić.

Z holu Czerwonej Pochodni dobiegły odgłosy kroków i rozmowy. Pierwszy pojawił się Martín.

– Ciocia Ana, ja będę jadł sajgonkę – rzucił na mój widok.

– Oczywiście. Zjesz, co będziesz chciał – odparła Sofía, widząc, że ledwo coś odburknęłam. – Jesteś już duży.

– Jestem już duży – powiedział z przekonaniem, pokazując trzy palce lewej ręki. – Mam trzy lata.

– Leworęczny jak Ale – mruknęłam. – Miejmy nadzieję, że w niczym więcej nie będzie przypominał ojca.

Za chłopcem do sali weszła Helena, a chwilę po niej – M.

– Masz kompletne akta Santonjy na biurko – powiedziała moja droga bratowa, patrząc na mnie. – Po południu dzwonić dwa razy chłopak, Andrés, musi cię spotkać przed zeznaniem, bardzo nalegać. Aha, i przyjsć wiadomość od psychiatry, szczegółowy raport. Wysłać na twój mail.

– Twój mail – powtórzył Martín.

Słodka wdówka stała się kimś więcej niż naszą klientką i kucharką – zajęła miejsce na pierwszej linii. Po utracie Rondy awansowałam ją na sekretarce. Potrzebowałam kogoś, kto zająłby się formalnościami. Poza tym, że oszczędzałam na pensji, miałam ją przy sobie, mogłam pracować z nią ramię w ramię, informować ją absolutnie o wszystkim, żeby już więcej nie

przyszło jej do głowy robić cokolwiek za naszymi plecami.

– Dziękuję, Heleno – powiedziałam. – Andrés wspomniał, czego właściwie chce?

– Mówić tylko, że bardzo ważne cię spotkać – odparła, siadając obok Martina, który zgarniał obiema rączkami okruchy bułki.

– Chyba się domyślam, o co chodzi – wtrącił M., lakoniczny jak zwykle. – Obawiam się, że młodemu Andresowi Admirze przydarzyło się coś, co specjaliści nazywają nawrotem.

– Znowu poszedł grać? – spytałam zaniepokojona.

– I to nie jeden raz, o ile mi wiadomo – potwierdził detektyw. – W zasadzie od sześciu tygodni nie pojawia się w Almie i raczej nie wyjechał na wakacje. W stowarzyszeniu jak zwykle nie chcieli mi nic powiedzieć, ale wiem, że kilkakrotnie do niego dzwoniło, żeby wrócił na terapię. Bez skutku.

– Mieszka wciąż z rodzicami? – zapytałam.

– Żadne z nich nie wie, co dzieje się z synem – ciągnął M. – Teraz, kiedy już ich nie okrada i zapisał się na studia, są chyba zadowoleni z syneczka. Nie podejrzewają, że wieczorami nie spotyka się z kumplami czy z dziewczyną, tylko przesiaduje w punktach przyjmowania zakładów bukmacherskich... i w kasynie.

– Gra w kasynie w Robredo? – zdumiałam się.

– Siedem dni w tygodniu. Nie wiem, skąd bierze pieniądze. Usiłuję to sprawdzić. Ale mogę się domyślić.

Popatrzyliśmy na siebie. To nie mogła być prawda; nawet oni nie zniżyliby się do takiej podłości.

– Zgubiłam się – powiedziała Sofía.

– Ja też się zgubiłem – powtórzył Martín z pełną buzią, jedząc chleb i udając, że czyta menu. – Chcę sajgonkę i krokiety.

– Nie ma krokiety – przypomniała mu matka.

Detektyw spojrział na Sofię i powiedział to, o czym oboje pomyśleliśmy:

– Santonja i spółka w jakiś sposób finansują Andresa. Może przez pośrednika, żeby nie zostawiać śladów. Niewykluczone, że próbują go kupić,

żeby nie zeznawał. Albo po prostu czekają, aż ugotuje się na wolnym ogniu własnego nałogu, by potem zdyskredytować go w sądzie.

– Nie chcę bagatelizować tego, co robią temu chłopakowi, to straszne – zauważyła Sofía. – Ale fakt, że w tym momencie jest uzależniony od hazardu, wcale nie musi być dla nas taki zły, może dodać dramatyzmu jego zeznaniom.

– Tak, spróbujemy pójść tą drogą – powiedziałam – ale fakt, że jest uzależniony, najprawdopodobniej odbierze mu wszelką wiarygodność. Już Barver się postara, żeby każde stwierdzenie wypowiedziane przez chłopaka zostało podważone. Albo, co gorsza, jeżeli Andrés zaciągnie duży dług, może chcieć się wycofać i w ogóle nie zeznawać.

– Co wieczór chodzi do kasyna? – zapytała Sofía z niedowierzaniem.

– Co wieczór chodzi grać – potwierdził M.

– Ja bardzo lubię grać.

Wzrok wszystkich spoczął na tym, kto to powiedział, Martinie – niedawno skończone trzy lata, mleczone zęby, naiwne, ciekawskie spojrzenie. Syn nałogowego hazardzisty. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, jakiego znaczenia nabierały jego słowa w tym kontekście. Podczas gdy on dalej przeżuwał swoją bułkę, my zastanawialiśmy się, czy uzależnienie od hazardu jest przekazywane w genach.

– Przyjmuję zamówienie – oznajmiła Reiko, która wyłoniła się znikąd i podeszła do naszego stolika z notesem i przygotowanym długopisem.

– Sajgonka! – zawołał Martín z radością.

– Zamówcie, co chcecie – powiedział detektyw – mnie wszystko smakuje. Ano, moglibyśmy chwilę porozmawiać?

– Dla mnie zestaw sushi i sashimi, resztę wybierzcie sami – zakomunikowałam, odchodząc na bok w towarzystwie M.

To, że chciał porozmawiać ze mną na osobności, nie wróżyło niczego dobrego. Zadrzałam, zastanawiając się, jaki jeszcze numer nam dziś wycięto. Pierwszy dzień procesu, teoretycznie najłatwiejszy, bez wątplenia miał się zapisać w mojej pamięci.

Odkąd odstawiłam alkohol, środki uspokajające, antydepresanty, opioidy i wszystko inne, co regularnie zażywałam, spodziewałam się jakiegoś

spektakularnego ataku albo zespołu abstynencyjnego; mogłam go oczekiwać. Tymczasem jedyne, co mi dokuczało, to większe niż zazwyczaj zmęczenie (równie dobrze można było je złożyć na karb upalnego lata, niewyspania i stresu), czasem mdłości oraz zwykłe napady lęku i paniki, niespecjalnie gwałtowniejsze w ostatnich miesiącach. Oczywiście od czasu do czasu wracały migreny, ból w nodze i przenikliwe gwizdy w uchu, ale nie miały one bezpośredniego związku z abstynencją. Liczyłam się (przynajmniej tak sobie mówiłam) ze znacznie gorszą fizyczną i psychiczną reakcją na odstawienie wszystkich tych substancji. Tym razem zamierzałam nie wrócić już do nałogu, złożyłam sobie solenną obietnicę, że cokolwiek się wydarzy, nie będę niczego zażywać, choćby mnie nie wiem jak ciągnęło i choćby wywoływało to gwałtowne skutki uboczne. Radzono mi, żebym zaczęła uprawiać sport, poszła na terapię, poprosiła o pomoc, ale, szczerze mówiąc, nie miałam na to ani czasu, ani ochoty. Uczepiłam się własnej woli i na razie mocno się jej trzymałam. Sporo czytałam o tak zwanym głodzie. Wszyscy eksperci zgodnie wymieniali szereg powszechnych objawów – które u mnie praktycznie nie wystąpiły. Bałam się, że pojawią się nagle, że w najmniej oczekiwanym miejscu i momencie zmiecie mnie emocjonalne tsunami. Kiedy wyszłam z restauracji w towarzystwie detektywa, pomyślałam, że właśnie nadeszła ta chwila. M. otworzy usta i przekaże mi złą wiadomość, która nie tylko mnie zaskoczy, lecz także otworzy puszkę Pandory.

– Lepiej jeść w środku – powiedział Haruo na nasz widok. – Ogródek bardzo gorąco.

Japończycy ustawili przed wejściem do lokalu trzy stoliki i kilka krzeseł – to właśnie był ów ogródek. Nie sądziłam, żeby mieli pozwolenie, ale oczywiście nie zamierzałam tego nigdzie zgłaszać. Dla mnie mogli obstawić stolikami całe osiedle.

– Dziękuję. My jeść w środku – odpowiedziałam. – Zaraz wracać.

Nie wiem, skąd się bierze taki mimetyzm gramatyczny, kiedy jakiś cudzoziemiec używa niewłaściwych form czasowników, zwłaszcza bezokoliczników. W każdym razie ze mną często tak się dzieje, a w dodatku nie zawsze zdaję sobie z tego sprawę; mogłabym tak mówić całymi dniami.

Odeszliśmy kilka kroków od wejścia do restauracji. O tej porze przechodziło tamtędy sporo ludzi, jakby wszyscy siedzieli ukryci w domu do

zachodu słońca, a potem jednocześnie wylęgali na ulicę złąknieni choćby lekkiego powiewu, odczuwalnego dopiero późnym wieczorem.

– Słyszałem, że w sądzie poszło dziś średnio – mruknął M.

– Mogło pójść gorzej – odparłam. – Barver mógł ściągnąć spodnie i narobić na mnie na oczach przysięgłych, chyba tylko tego zabrakło.

– Odpłać mu się jak najszybciej – powiedział M., jakby to było takie proste. – Nie czekaj, przyłóż mu jutro tam, gdzie go najbardziej zaboli.

– Dziękuję za radę, właśnie to zamierzam zrobić. Wyszliśmy, żeby omówić wydarzenia dzisiejszego dnia?

Detektyw pokręcił głową. Oboje dobrze wiedzieliśmy, że ma mi coś do powiedzenia.

– Ulotnili się.

– Kto?

– Praktycznie wszyscy, którzy pojawiają się w nagraniach. Morenilla, Freire, Hidalgo, nawet braciszek Sebastian.

– Wyrażaj się, proszę, jaśniej. Zaczynam się bać.

– W zeszłym tygodniu wszyscy przenieśli się na Dominikanę.

– Chcesz powiedzieć, że wsiedli w samolot i nie mają zamiaru stawić się na rozprawie?

– Zdziwiłbym się, gdyby wrócili na czas, żeby zeznawać jako świadkowie w Sądzie Prowincji.

– To przestępstwo – zaprotestowałam; ogarniało mnie coraz większe zdenerwowanie.

– Przepraszam, to ty jesteś prawnikiem, ale o ile się nie mylę, za pierwszym razem będzie to poważne wykroczenie, dopiero popełnione powtórnie, staje się przestępstwem. Nie zostali oskarżeni, są tylko świadkami.

Spojrzałam na niego zamyślona. To było aż takie proste? Wysłano ich na wakacje za granicę na czas trwania procesu i już? Po powrocie zapłacą grzywnę, karę administracyjną, ale pewnie wszystko zrekompensuje im Gran Castilla.

– Co gorsza – ciągnął M. – nie wyjechali na tydzień czy dwa.

– A na jak długo?

– Bezterminowo – odparł krótko. – Firma przeprowadza reorganizację zatrudnienia i redukcję personelu, transfer pracowników jest więc uzasadniony.

– Nie musisz dodawać nic więcej – powiedziałam. – Przeniesiono ich do kasyna Gran Castilli na Dominikanie.

– Dokładnie. Dzięki temu z prawnego punktu widzenia są kryci. Nie stawiają się na rozprawie, bo służbowo przebywają poza krajem. I na pewno będą mogli udowodnić, że zostali powiadomieni o przeniesieniu, jeszcze zanim wezwano ich na rozprawę. Nawet jeśli administracja publiczna mimo wszystko nałoży na nich jakieś kary, nie sądzę, żeby się nimi zbytnio przejęli.

Falszowanie dokumentów, zmiana dat, usuwanie głównych świadków – pomyślałam, że jak tak dalej pójdzie, pobiją rekord przestępstw popełnionych w związku z jednym procesem. Problem w tym, że nie mogłam tego udowodnić.

– Jedyne pozytywne wnioski są takie – argumentował M. – że skoro są gotowi wysłać cztery osoby do pracy za granicą, to znaczy, że proces ma dla nich duże znaczenie.

– Co ty powiesz. Jasne, że ma dla nich duże znaczenie. Wystarczy spojrzeć na ślady na mojej twarzy.

Za jednym zamachem usunęli czterech ważnych świadków. Pozostawały mi nagrania, ale puszczając przysięgłym głosy kilku nieznanymi osobami to nie samo, co posadzić te osoby na krzesła dla świadków, żeby można im było spojrzeć w oczy, słuchając ich gróźb. Mogłam się odwoływać, protestować, wnioskować o jak najszybszy ich powrót w celu złożenia zeznań, mogłam wykorzystać wszelkie dostępne środki, ale z góry wiedziałam, czym by się skończyło: maszyna Gran Castilli pracowałaby pełną parą, broniąc interesów firmy, niezależnie od tego, co i kogo trzeba by było poświęcić. Kwestionowali nasz główny dowód: nagrane rozmowy telefoniczne z pogroźkami pod adresem Alego. Myślę, że nietrudno im było przekonać Freirego i spółkę, żeby popracowali rok czy dwa na Karaibach. Jeśli pozwalało im to uniknąć składania zeznań, plan był niezły.

– Z telefonicznej siódemki czterech jest za granicą, a jeden w piachu –

podsumował M. – Zostają tylko Santonja i Cimadevilla.

Czyngis-chan nie mógł uciec z kraju w trakcie procesu karnego, w którym był głównym oskarżonym. Oznaczałoby to nie tylko utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości, jak w przypadku świadków, ale spowodowałoby wysłanie listu gończego. Nie był na tyle głupi, żeby stawiać wszystko na jedną kartę. Usunął chwasty, które mogły zepsuć mu zasiew. Po co miał ryzykować, pozwalając im zeznawać w sądzie, skoro mógł ich wysłać tysiące kilometrów od tego miejsca i oszczędzić sobie zmartwienia. Inaczej rzecz się miała z jego współnikiem: wykręcił się od składania zeznań podczas postępowania przygotowawczego, przedstawiając swoje świadectwo na piśmie.

– Piskorz Cimadevilla nie wyjechał? – zapytałam.

– Nie mam o nim żadnych wiadomości. Nie słyszałem, żeby wyjechał. Bardzo trudno go namierzyć. Nie ma rodziny. W jego oficjalnym miejscu zamieszkania, willi na obrzeżach Puerta de Hierro, przebywa tylko małżeństwo dozorców. On sam nigdy się tam nie pojawia. Ale wszystko wskazuje na to, że nadal przebywa w Hiszpanii.

– Musimy wiedzieć, dlaczego się ukrywa. Dlaczego nie złożył zeznań osobiście. Dlaczego nie wyjechał jak inni świadkowie. Czy jest zwaśniony z Santonją. Jakie są jego słabe punkty. Może się mylę, ale mam wrażenie, że to jeden z nielicznych frontów, który nie został w pełni zabezpieczony. Chcę z nim porozmawiać przed rozprawą, nawet jeśli miałoby mnie czekać postępowanie dyscyplinarne za próbę wpływania na świadka. Może dopisze nam szczęście i okaże się, że jest w tej firmie choć jeden przyzwoity człowiek.

– Pracuję nad tym, Ano, możesz mi wierzyć. Kiedy go znajdę albo czegoś się dowiem, dam ci znać.

Wiedziałałam doskonale, że jeśli istnieje jakakolwiek szansa na namierzenie mniejszościowego współnika Santonji, M. to zrobi. Miał też do wykonania inne zadania w związku ze sprawą, ale to było priorytetowe. Poprosiłam go między innymi, żeby sprawdził wdowę po Ortizie, mimo że nie mieszkała już w Madrycie i że podczas postępowania przygotowawczego Huarte odcięła mi drogę do tej linii śledztwa. Nadal grzebaliśmy w jej przeszłości, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Nie przyjmowałam do wiadomości, że kobieta,

która straciła męża z powodu hazardu, nie chce z nami współpracować, nawet jeśli było to dla niej bolesne. Choćby współpracować nieoficjalnie. Mówi się, że wytrwałość jest cnotą. To się wkrótce miało okazać.

– Wiadomo coś o wdowie? – zapytałam.

– Jest czysta – odparł M. – Od śmierci męża żyje odcięta od świata. Pracuje w administracji w Związku Architektów na Teneryfie, robotę załatwił jej ojciec. Szara myszka, matka oddana dzieciom, niewiele więcej. Namierzyliśmy ją, wiemy, gdzie jest, znamy jej rozkład dnia i tak dalej, ale wiesz, że nie możemy się z nią kontaktować bezpośrednio. Nie sądzę, żeby wykazała chęć współpracy, gdyby zjawił się u niej prywatny detektyw.

– Masz rację – zgodziłam się.

Znaczną część pieniędzy pożyczonych od Frimana wykorzystałam na opłacenie zaległych honorariów mojego bardzo drogiego detektywa i regulowanie jego bieżących rachunków. Był mi potrzebny; nie poradziłibyśmy sobie bez jego pomocy. Uzgodniliśmy zryczałtowaną stawkę za jego usługi do czasu zakończenia procesu. Jeżeli sprawa przeciągałaby się z powodu apelacji albo z jakiejś innej przyczyny, mieliśmy wrócić do tematu. Oczywiście ja, Sofía i Helena nie pobierałyśmy żadnej pensji. To, co zostało z czterdziestu tysięcy, przeznaczyłam na opłacenie kolejnych ekspertów, którzy mieli torpedować każdą zgłoszoną przez obronę obiekcję, na liczne wydatki bieżące, a część schowałam do szuflady jako „budżet awaryjny”.

Odwróciłam się w stronę restauracji. Pora wracać do tamtych.

– Muszę powiedzieć ci coś jeszcze – oznajmił M.

Otaczało nas gorące powietrze, nie czuło się nawet najłżejszego powiewu. Nie zapytałam, o co chodzi, byłam zbyt zmęczona. Wolałam, żeby po prostu powiedział mi to, co miał do powiedzenia. M. poinformował mnie wprost, nie owijając w bawełnę.

– Umarł Ramiro. Dziś w południe, kiedy byłeś w sądzie. Nie chciałem mówić ci tego wcześniej, bo i po co.

Poczułam lekki zawrót głowy. Wiedziałam, że ta wiadomość kiedyś nadejdzie – raczej wcześniej niż później – ale nie podejrzewałam, że aż tak mną wstrząśnie.

– Zmarł w szpitalu Ramona y Cajala – ciągnął M. – Zżarty rakiem. Kilka

godzin temu przewieziono zwłoki do domu pogrzebowego przy obwodnicy M-30. Nie znam szczegółów.

Nie miałam na to ani ochoty, ani nastroju, ani czasu, poza tym czuwanie przy zmarłych zawsze wydawało mi się bezsensowne, wiedziałam jednak, że będę musiała tam pojechać, chociażby po to, żeby się upewnić, że umarł na dobre. Pod warunkiem że nie ożyje i nie wstanie z trumny, byłam gotowa stanąć przed moim pierwszym byłym mężem bez obawy, że zostanę przez niego oszukana, a jednocześnie bez nadziei związanych z rzekomą zdolnością człowieka do przemiany.

Wzięłam głęboki oddech i ruszyłam w stronę samochodu. Liczyłam, że dojadę szybko do domu pogrzebowego.

- Chcesz, żebym pojechał z tobą? – zapytał jeszcze M.
- Wolę być sama, dzięki.
- Mam coś powiedzieć tamtym? Czekają na ciebie z kolacją.
- Powiedz im po prostu, że pojechałam pożegnać się ze starym przyjacielem. Zobaczą się z nimi jutro rano.

Na ekranie nad głównym wejściem zamrugał napis: „Ramiro Sare Bellavista”, a potem numer – czternaście. Poniżej znajdowała się lista sal i nazwisk, które dla kogoś musiały mieć jakieś znaczenie. Minęłam zimny hol domu pogrzebowego, widząc smutne twarze i zapłakane oczy. W krótkim czasie przeszłam od idealnie pociętych sashimi z ryby maślanej do konfrontacji ze śmiercią.

Kiedy chciałam otworzyć drzwi sali numer czternaście, podszedł do mnie jakiś pracownik w ciemnych spodniach, białej koszuli z krótkim rękawem i czarnym krawacie.

– Przyszła pani pierwsza – powiedział, wyjmując klucz. – Zamykamy ze względów bezpieczeństwa.

– Oczywiście – odparłam, jakbym rozumiała, co ma na myśli.

Chudy, niedokładnie ogolony, z podkrążonymi oczami, wyjaśnił, że kaplica jest otwarta przez całą noc, a sala wtedy, kiedy ktoś jest w środku. Poprosił, żebym potem wychodząc, zgłosiła to w recepcji. Dodał, że w razie potrzeby mogę skorzystać z usług dyżurującego księdza; on sam także był do mojej dyspozycji. Nie słuchałam go uważnie – weszłam do środka. Kiedy przekroczyłam próg, pod sufitem automatycznie zapaliły się ledowe lampki. W niewielkim przedpokoju, z toaletą, stało kilka foteli i niski stolik – wszystko sterylne, czyste, nagie, puste, nie licząc dwóch czasopism i kilku butelek wody. W głębi znajdowały się drugie drzwi. Podeszłam do nich powoli, świadoma, co za nimi zastanę. Z pomieszczenia sączyło się słabe światło. Przytrzymałam się framugi i niechcący nacisnęłam jakieś kółko na ścianie. Wystraszyłam się, kiedy z głośników popłynęła melodia. Wydało mi się, że rozpoznaję arię z trzeciej suity Bacha, ale nie byłam pewna. Wyłączyłam dźwięk w komórce, nie chciałam kolejny raz podskoczyć ze strachu, kiedy będę stała nad nieruchomym ciałem Ramira. Wreszcie, nie kombinując więcej, przeszłam dalej.

Była to niewielka salka ze szklaną ścianą, za którą stała trumna. Podeszłam bliżej. Moim oczom zaczęła się powoli ukazywać twarz mężczyzny, którego kiedyś bardzo kochałam, a który wyrządził mi tak wielką krzywdę. Miał zamknięte oczy, był starannie ogolony i umyty. Pomimo makijażu na skórze pozostały widoczne plamy, pęknięcia i wgłębienia, z powodu których ostatnio wyglądał coraz gorzej. Niczego specjalnego nie doświadczyłam. Może tylko zrobiło mi się trochę zimno i poczułam lekkie pieczenie w żołądku. Ku własnemu zdziwieniu odetchnęłam na myśl, że nie muszę robić mu już żadnych wymówek. Przez kilka minut patrzyłam w odrętwieniu, wodząc wzrokiem po wychudłym, skrajnie wyniszczonym ciele. Odruchowo, bez słowa, położyłam ręce na brzuchu.

– Przepraszam, pani jest rodziną? – zapytał czyjś drżący głos.

Zza drzwi wychyliła się młoda pulchniutka kobieta ubrana w granatowy kostium. Trzymała w rękach teczkę i przyglądała mi się małymi oczkami.

– Jest pani rodziną zmarłego? – powtórzyła nieśmiało.

– Byłą żoną – odparłam krótko.

– Wybacz mi pani śmiałość, proszę przyjąć moje wyrazy współczucia.

Ponieważ jej kondolencje nie spotkały się z żadnym odzewem, postanowiła mówić dalej.

– Otóż zaszło nieporozumienie w kwestii ubezpieczenia pana Sare – wyjaśniła. – Jego polisa wygasła, mimo to na skutek niefortunnej pomyłki zwłoki zostały przewiezione do domu pogrzebowego na koszt ubezpieczyciela.

– Nie rozumiem, co chce pani powiedzieć – odparłam, wychodząc z salki.

Przeszłam przez przedpokój, kierując się do wyjścia. Nie chciałam tam dłużej zostawać. Kobieta podążyła za mną. Zachowywała się uprzejmie i taktownie, ale nie odstępowała mnie na krok.

– Chodzi o to, że polisa zmarłego wygasła ponad trzy lata temu wskutek niepłacenia składek. Ma się rozumieć, w tej sytuacji nasza firma nie może zająć się formalnościami związanymi z pogrzebem.

– Reprezentuje pani ubezpieczyciela?

– Mercedes Rosell, do usług – odparła, podsuwając mi wizytówkę. Nawet

na nią nie spojrzałam. – Przykro mi, że przychodzę z tym problemem do pani, ale nie posiadamy żadnego numeru telefonu do rodziny czy bliskich, a ponieważ tylko pani się zjawiała...

– Widać Ramiro nie był zbyt popularny.

Poczuła się chyba trochę zakłopotana, niemniej powstrzymała się od jakiegokolwiek gestu, a tym bardziej komentarza. Doszliśmy do przestronnego wewnętrznego dziedzińca z drewnianymi ławkami oraz mnóstwem kwiatów i krzewów, z którego wchodziło się do innych sal.

– Otóż ktoś widocznie założył, że polisa jest nadal ważna, dlatego zmarły został przewieziony tutaj – nie ustępowała kobieta, mówiąc takim tonem, jakby rzeczywiście było jej przykro z powodu nieporozumienia. – Niestety tak nie jest. Jeśli ktoś nie pokryje kosztów, będziemy musieli odesłać zwłoki z powrotem do kostnicy.

– Proszę posłuchać, jestem zmęczona, jest późno i szczerze mówiąc, niezbyt mnie to obchodzi.

– Naprawdę bardzo panią przepraszam. Ale Ramirovi Sare nie przysługuje nawet transport na cmentarz Almudena i kremacja. Ktoś musi uregulować zaległe składki i karę za opóźnienie wpłat. Trzeba to załatwić teraz. W przeciwnym razie zwłoki zostaną zabrane i przewiezione do kostnicy, gdzie wdrożymy procedurę stosowaną w przypadku ciał, po które nikt się nie zgłosił.

Nie chciałam wiedzieć, co to za procedura. Przed oczami stanęły mi obrazy zbiorowych mogił i inne, jeszcze gorsze. Już miałam odpowiedzieć, kiedy kilka metrów od nas dostrzegłam znajomego mężczyznę. Na trzeciej ławce siedział porucznik Moncada. Miał brodę nieco krócej przystryżoną niż zwykle. Przesunął po niej dłonią. Może mnie śledził i postanowił tu poczekać, żeby dać mi się spokojnie pożegnać się z Ramirem. Nie widziałam go od ponad trzech miesięcy. Od kiedy został odsunięty od śledztwa i dokonaliśmy spektakularnego najścia na biura Gran Castilli. Potem zadzwonił do mnie i poinformował oględnie, że wysyłają go do Ceuty w związku ze sprawą o pranie brudnych pieniędzy – ktoś chciał się go pozbyć. Żadne z nas nie wspomniało, że moglibyśmy się spotkać, odwiedzać, nic z tych rzeczy. Przez te trzy miesiące sporadycznie wysyłaliśmy do siebie esemesy, z czasem coraz rzadsze. Nie mogłam przestać myśleć o tym, co

powiedział mi Friman. Nie chciałam tego sprawdzać, odkładałam to na później – trochę pod wpływem Argentyńczyka, a trochę dlatego, że nadal nie mogłam uwierzyć, że to porucznik zaatakował mnie w garażu. Pewno nie chciałam odrzucać ewentualności – niewielkiej i mało prawdopodobnej – że to nie był on, że Friman się mylił. Teraz Moncada wrócił.

– A więc jak? – zapytała kobieta z fałszywym uśmiechem. – Weźmie pani na siebie koszty?

– Chciałaby pani, żebym zapłaciła za pogrzeb Ramira?

– Nie ma nikogo innego – wyjaśniła. – To nieduża suma, po tylu latach opłacania składek firma pokrywa podstawową opłatę. Gdyby musiała pani ponieść wszystkie koszty, nie korzystając z usług naszej firmy, wyszłoby znacznie drożej.

– Nie mam najmniejszego zamiaru robić żadnej z tych rzeczy: ani ponosić wszystkich kosztów, ani regulować zaległych składek ubezpieczenia.

– Ale w takim wypadku pan Sare zostanie zabrany z sali i odesłany do kostnicy w skrzyni, nawet nie w prawdziwej trumnie – powiedziała kobieta niepewnie.

Spojrzałam na Moncadę. Siedział pochylony lekko do przodu i patrzył na mnie przyjaźnie. Poczułam motyle w brzuchu; w jakiś irracjonalny sposób ten mężczyzna mimo wszystko mnie pociągał. Wiedziałam, że trudno mi będzie zachowywać się przy nim normalnie. Nie lubię się nad nikim uzalać, a już najmniej nad sobą samą, ale trzeba przyznać, że nigdy nie dokonywałam trafnych wyborów, jeśli chodzi o mężczyzn. Jedyny, za którego wyszłam, zdradził mnie, zniszczył i nawet po śmierci przysparzał mi problemów. Na myśl, że zostanie wyjęty z trumny i przewieziony z powrotem do kostnicy niczym kłopotliwy balast, którego każdy chce się pozbyć, zrobiło mi się przykro. Oczywiście nie chciałam płacić, ale nie chciałam też, żeby ten obraz prześladował mnie przez najbliższe dni.

– Ile wynosi dług? – zapytałam, choć wolałabym nie wiedzieć.

– Rozumiem, że to delikatny moment, a ja zawracam pani głowę takimi sprawami, bardzo mi przykro – powiedziała kobieta, zaglądając w papiery. – Zobaczmy... Razem będzie tysiąc osiemset dwadzieścia euro plus VAT.

Suma wydała mi się tak nieproporcjonalnie wysoka, że nawet nie

warknęłam. Cała sytuacja była absurdalna. Jak niemal zawsze podjęłam decyzję, kierując się instynktem. Nie chciałam, żeby przerzucano ciało Ramira, żeby jego nazwisko zniknęło z ekranu przy wejściu, wiedziałam, że później by mi to ciążyło. Mój przeklęty były mąż nadal wisiał na mnie, nawet leżąc w grobie, a ściślej mówiąc, w chromowanej trumnie.

– Mogę zapłacić gotówką? – zapytałam.

– Zazwyczaj tak się nie robi, musiałabym zapytać, jednak myślę, że dałoby się to załatwić – wyjąkała. – Ale musi pani zapłacić od ręki. W przeciwnym razie zmarły natychmiast zostanie usunięty z systemu. To procedura automatyczna, nie mam na nią żadnego wpływu. Jeśli nie sfinalizujemy sprawy, za kilka minut ciało zostanie zabrane do kostnicy...

– Proszę mnie uważnie posłuchać, Mercedes Rosell – przerwałam, sprawdzwszy nazwisko na wizytówce. – Zrobimy tak: jutro o ósmej rano zjawi się u państwa w recepcji mężczyzna z kopertą zawierającą tysiąc osiemset dwadzieścia euro plus VAT i przekaże pieniądze. Łatwo go pani rozpozna, to duży facet, ma łysą głowę, brwi i całe ciało. Będzie też pani wiedziała, że to on, ponieważ łatwo się denerwuje i może rzucić jakimś przekleństwem. Niech pani zmienia, co trzeba, w systemie, w procedurze czy w czymkolwiek innym, ale pan Sare nie ruszy się z tej sali do momentu, kiedy zostanie przewieziony na cmentarz Almudena i skremowany. Nie istnieje żadna alternatywa, żadna inna możliwość, nie obchodzi mnie, czy będzie tu pani musiała dyżurować przez całą noc. Jeżeli dowiem się, że Ramira zabrano wcześniej, zrzucę na panią odpowiedzialność. Na pewno by pani tego nie chciała. Zapłacę. Pani weźmie pieniądze. I postara się, żeby wszystko poszło jak z płatka. Nie mogę tracić na to więcej czasu. Mam do załatwienia pilną sprawę.

Kobieta znieruchomiała, wymruczała kilka niezrozumiałych słów. Byłam przekonana, że zrobi dokładnie to, co jej powiedziałam, i że w momencie, kiedy we wtorek o ósmej rano M. przyniesie jej pieniądze, wszystko będzie już załatwione. Miała to być ostatnia rzecz, jaką robię dla Ramira. Nie chciałam już nigdy więcej słyszeć tego imienia.

Przeszłam obok Moncady, nie zatrzymując się.

– Nic nie jadłam przez cały dzień – powiedziałam. – Przegryzę coś w kafeterii domu pogrzebowego.

Bez słowa podniósł się z ławki i zrównał ze mną.

– Prawie zeszyły ci blizny z twarzy – zauważył.

To nieprawda, miałam je i mógł je zauważyć każdy, kto chciał. Może to miał być komplement, ale ja, rzecz jasna, byłam nastawiona obronnie, dlatego jego słowa zabrzmiały w moich uszach raczej jak ostrzeżenie.

– Tęsknisz za nimi? – zapytałam.

Uśmiechnąłem się, spojrzałem na jego siwe włosy, które jeszcze nie tak dawno dawały mi pocieszenie, w których wielokrotnie z przyjemnością zanurzałem dłonie. Niemal poczułem ich dotyk. Niestety, tamte czasy minęły. Zamówiłem u jedyne go kelnera zestaw obiadowy i butelkę wody mineralnej, porucznik poprosił o kawę. Chociaż nie było dużo gości, usiedliśmy przy stoliku oddalonym od baru.

– Tak naprawdę nigdy się nie rozwiodłam – powiedziałam.

– Co masz na myśli?

– Ja i Ramiro nigdy nie podpisaliśmy papierów rozwodowych. Proces był okropny, wzajemne oskarżenia, bardzo drodzy adwokaci, ale na koniec niczego nie podpisaliśmy. Powiedziałam wszystkim, że mamy rozwód po to, żeby nas więcej nie pytano, ale nadal byliśmy małżeństwem. Dziś oficjalnie zostałam wdową.

Moncada kiwnął głową obojętnie.

– Kiedy dowiedziałem się, że umarł, pomyślałem, że przyjdiesz się pożegnać – powiedział.

– Ciekawe, czy Santonja ostatecznie zapłacił mu za to, że mnie zdradził. Nie zdziwiłabym się, gdyby po tym, jak nie udało mu się z Heleną, nie dał mu złamanego grosza. Nie wygląda na kogoś, kto płaciłby za nic.

– Dał mu napiwek i go odprawił – oznajmił Moncada, jakby miał informacje z pierwszej ręki. – Ramiro upominał się, ale niczego nie wskórał. Ostatnie dni spędził między przytułkiem a szpitalem.

Może to dziwne, ale pomyślałam, że to nie fair, że Santonja nie wypłacił Ramirowi ustalonej sumy za przyprowadzenie Heleny i wbicie mi noża w plecy. W końcu tamten wywiązał się z zadania; dziewczyna nawet podpisała umowę.

– Powiedz mi prawdę – powiedziałam, patrząc mu w oczy. – Dlaczego zawiozłeś mnie wtedy do biura Gran Castilli? Dlaczego podarłeś mi przed nosem ugodę i wyrzuciłeś ją przez okno? Dużo o tym myślałam i nie mogę tego zrozumieć: jeśli naprawdę chciałeś mi pomóc, mogłeś zainteresować się tym dużo wcześniej, na różne sposoby nie dopuścić do pojawienia się Heleny w biurze. Dlaczego czekałeś do ostatniej chwili? Dlaczego przyjechałeś, żeby mi o tym powiedzieć?

– Zbyt wiele zakładasz z góry – odparł. – Sam dowiedziałem się w ostatniej chwili, kilka minut przed tym, jak cię zawiadomiłem. Informacje nie zawsze docierają do nas wtedy, kiedy byśmy chcieli. Ale przede wszystkim zrobiłem to, bo mi na tobie zależy. Pewno mi nie uwierzysz, nie widzieliśmy się od kilku tygodni, może zapomniałaś, co było między nami, a raczej co zaczynało kiełkować. Ja w każdym razie nie zapomniałem. Codziennie o tobie myślałem. Żaden sędzia mi tego nie zabroni.

Chciałam mu wierzyć. Ale nie potrafiłam. Ciało mówiło mi jedno, głowa coś przeciwnego. Dlaczego porucznik wrócił? Jeżeli prawdą było to, co mówił Argentyńczyk, może odpokutował za swoje winy wobec Santonjy i dlatego był przy mnie znowu. Tak czy inaczej, postanowiłam mieć się na baczności i nie odkrywać kart, nie ujawniać swojego oburzenia, strachu, gniewu. Ukroiłam kawałek pierożka i połknęłam go, w nadziei że kiedy skoncentruję się na jedzeniu, ustąpi niepokój, jaki budziło we mnie siedzenie przy jednym stole z mężczyzną, który był moim kochankiem, powiernikiem, a może także moim oprawcą. Nic to nie pomogło, niepokój mnie nie opuszczał – nie mogłam, nie umiałam albo nie chciałam przed nim udawać.

– Chciałbym, żebyśmy dali sobie szansę – powiedział cicho, jakby skrzepowany.

– Szansę na co?

– Na zbudowanie czegoś razem, już ci mówiłem. Nie musisz mi odpowiadać od razu.

– Chcesz ze mną chodzić, poruczniku? – spytałam, próbując to zbagatelizować. – Jesteśmy za starzy na takie rzeczy, Santiago.

– Nie ma jeszcze dnia, jak przyjechałem do Madrytu, a pierwsze, co zrobiłem, to znalazłem cię. Możesz się śmiać, ale zapewniam cię, że mówię bardzo poważnie.

– W innych okolicznościach może spodobałby mi się paradoks tej sytuacji – powiedziałam cicho. – Zwłoki mojego męża, byłego policjanta, jeszcze nie ostygły, a tu oficer Gwardii Cywilnej składa mi propozycję sformalizowania czegoś na kształt związku. A wszystko dzieje się w zakładzie pogrzebowym, o północy, w otoczeniu trupów i zestawów obiadowych.

Nabrałam na widelec sporo sałatki jarzynowej. Moncada nie zareagował. W milczeniu przyglądał się, jak jem.

– Przemyśl moje słowa, proszę – powiedział w końcu.

– Jestem w trakcie procesu, chwilowo nie mam czasu na nic innego.

Nadal udawałam, że jestem zajęta jedzeniem. Napiłam się wody ze szklanki i wytarłam talerz kawałkiem chleba. Moncada wstał.

– Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać. Wracam do czynnej służby w Robredo.

Popatrzyłam na niego, jak stał przy stole; nie wiedziałam, czego ode mnie oczekuje. Jeśli myślał, że pogratuluję mu powrotu i powitam go z bukietem kwiatów, mógł tak sobie sterczeć całą noc.

Nie podnosząc wzroku znad talerza, powiedziałam:

– Wielu ludzi myśli, że jestem kretynką, która nie ma o niczym zielonego pojęcia. Nie szukając daleko, dziś dostałam w sądzie niezły łomot. Potem dowiedziałam się, że w tajemniczy sposób wyparowała część najważniejszych zeznań w sprawie. I że jeden ze świadków oskarżenia jest nękany. Może myślą, że będę siedziała z założonymi rękami i patrzyła, jak ze mnie drwią.

– Nie sądzę, żeby zbyt wiele osób miało o tobie takie zdanie – odparł. – Przeciwnie, wydaje mi się, że na ogół się ciebie boją.

Miałam dosyć słuchania o tym, jaką cudowną jestem adwokatką, jaki mam talent, jakiego wspaniałego nosa do spraw karnych. Bzdury! Na razie niczego jeszcze w tej sprawie nie zrobiłam. Absolutnie niczego. Nawet nie zaczęłam. Ale zamierzałam to zmienić.

Porucznik wstał, zostawiając mnie samą z moją kolacją. Wychodząc, odwrócił się jeszcze i powiedział:

– Może kiedy skończy się rozprawa, zmienisz zdanie na nasz temat.

– Nie licz na to.

Tak?

Dlaczego, kurwa, nie odbierasz telefonów?

No, przecież odebrałem.

Czwarty raz do ciebie dzwonię dziś po południu. Już miałem się rozłączyć.

Przepraszam, miałem do załatwienia parę spraw.

Nie pierdol, Alejandro, jedyne, co masz do załatwienia, to to, co ja ci zlecę.

Coś się stało?

To się stało, że dziś wieczorem przychodzą Turcy z górą banknotów, zapowiada się naprawdę ciekawa partia, tylko za zaproszeniem, wiesz.

Mam kłopot, raczej nie dam rady przyjść wieczorem.

Jaki?

Dzieciak trochę chory.

Od tego ma, kurwa, matkę. Ona do dzieciaka, ty do roboty. Wszyscy mamy kłopoty, Alejandro. Kłopot, mówisz... Gdybyś w tym momencie widział moje biuro, otaczają mnie same patałachy, które nie wiedzą, co jest grane, sam muszę się wszystkim zajmować.

Chodzę na terapię, Emiliano.

Co to znaczy?

No wiesz, terapia... z psychologiem, żeby pomógł mi zrozumieć, co się ze mną dzieje...

Posłuchaj, powinieneś uważać na takie rzeczy. Dla mnie równie dobrze możesz praktykować wudu albo uprawiać czary, ale ostrożnie, ci ludzie zrobią ci wodę z mózgu.

Powiedział mi, że jestem bliski zerwania z tym.

Zerwania z czym?

Z graniem. Przygotowany do tego, żeby przestać grać. Na zawsze.

Partia zaczyna się o dziewiątej, ci ludzie lubią zjeść kolację wcześniej, a potem do kart.

Nie słyszałeś, co powiedziałem, Emiliano?

To ty nie słyszałeś. Jesteś mi winien tyle pieniędzy, że nigdy mi wszystkiego nie oddasz, obaj to wiemy. Jesteś mi winien tyle, że mogę zniszczyć ci życie jednym pstryknięciem. Nie chrzań mi tu o terapiach i innych głupotach, nie ze mną takie numery. Bądź przed dziewiątą, pouśmiej się trochę, żeby wszyscy byli zadowoleni i mieli ochotę szastać hajsem. I weź się w garść, do cholery, bo potem narzekasz, że nie masz szczęścia, że nie wygrywasz, Bernardo mówi, że ostatnio całymi dniami biadolisz jak dziecko...

Bernardo za mocno mnie ciśnie, ciągle wydzwania, nie daje mi spokoju.

To jego praca. Bernardo tylko wypełnia polecenia. Rób to samo, a pójdzie ci lepiej, sam zobaczysz.

Źle się czuję, nie mogę tak dłużej.

Jasne, że nie możesz, właśnie próbuję ci to wytłumaczyć. Musisz przestać kwękać i szukać wymówek, a przede wszystkim musisz zostawić tych zasranych manipulatorów, zniszczą ci życie.

Niech będzie, jak mówisz.

Chcę, żebyś dziś wieczorem był w formie. Może do was zajrzę.

O dziewiątej.

Dokładnie. Pozdrowienia dla rodziny.

Po odsłuchaniu pierwszej rozmowy Emiliana Santonjy z moim bratem niektórzy przysięgli zaczęli robić notatki. Wyglądali na bardziej zaskoczonych niż poruszonych. W każdym razie większość. Oprócz

przysięgłego numer jeden, byłego wojskowego. Ten nie robił notatek, siedział obojętny, jakby to, co przed chwilą usłyszał, nie robiło na nim wrażenia.

Ciągle nie mogłam się oswoić z ostrym, agresywnym tonem, jakim właściciel kasyna zwracał się do Alego, połączonym z nadmierną poufałością, z jaką przemawia do ciebie nie tyle ten, komu po prostu wisisz pieniądze, ile raczej ktoś, kogo potrzebujesz, żeby dalej żyć (byłam coraz bardziej przekonana, że właśnie dlatego mój brat pozwalał, by naciskano na niego w tak upokarzający sposób), albo inaczej mówiąc – żeby dalej grać.

Sędzia wyjaśnił przysięgłym, że wysłuchają kolejno trzech rozmów telefonicznych, jakie oskarżony, Emiliano Santonja, przeprowadził z ofiarą, zmarłym Alejandrem Tramelem. Nie chciałam zanudzić obecnych osiemdziesięcioma trzema nagraniami. Postanowiłam skupić się na trzech – z udziałem Santonji. Transkrypcje pozostałych dostali w teczkach wszyscy przysięgli, żeby w razie potrzeby móc do nich zajrzeć. Oczywiście zamierzałam odtworzyć kilka fragmentów w trakcie procesu, sędzia udzielił mi na to zgody.

Druga rozmowa była najkrótsza, najbardziej bezpośrednia i bez wątplenia najbardziej dosadna. Została nagrana dwunastego października, dokładnie dziewięć dni przed śmiercią Menendez Ponsa. Zaczynała się tak brutalnie, że mówiła sama za siebie. Nawet ja, choć wysłuchałam jej już wielokrotnie, musiałam powstrzymać wzdrygnięcie, kiedy w sali rozpraw rozległ się głuchy, groźny głos starego Czyngis-chana.

Zabiję cię.

Zatrzymałam nagranie. Cofnęłam pod baczny wzrokiem osób siedzących na sali. Żadnego powitania, pytania, nic. Zdaniem techników rozmowa nie została pocięta, zaczynała się dokładnie w tym miejscu. Ponieważ był to główny dowód oskarżenia, pozwolono mi samej odtworzyć nagranie w czasie rozprawy; mogłam je zatrzymać, kiedy będę chciała. Gdy uznałam, że upłynęło wystarczająco dużo czasu, nacisnęłam *play*.

Zabiję cię.

Kolejny raz zatrzymałam nagranie. Leciąło ze starego, podłączonego do komputera głośnika, dźwięk brzmiał metalicznie, głucho, pusto. Tym razem przerwa była dłuższa. Zamierzałam odpłacić Barverowi tą samą monetą. Głos Santonjy po raz trzeci odbił się od ścian sali.

Zabiję cię.

Nadal nieusatysfakcjonowana znowu zatrzymałam nagranie. Barrios zwrócił się do mnie surowym, ale spokojnym tonem, nie tracąc opanowania: nawet trzęsienie ziemi nie wyprowadziłoby tego człowieka z równowagi. W pewnym sensie mu zazdrościłam; mogłabym spróbować nauczyć się od niego paru rzeczy, na przykład mówienia przyjaznym, życzliwym tonem.

– Wystarczy, mecenas Tramel – zauważył. – Pozwoliłem pani przedstawić najpierw kilka dowodów wyłącznie po to, żeby zorientować przysięgłych w kwestiach związanych z czekającym nas przesłuchaniem. Proszę nie robić widowiska. Wszyscy doskonale usłyszeliśmy to zdanie. Bardzo proszę, aby pozwoliła nam pani wysłuchać całego nagrania, albo przejdźmy do następnego dowodu.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie – odpowiedziałam. – Uznałam, że warto wyeksponować to pierwsze zdanie pana Santonjy. Nie będę już zatrzymywać nagrania, dziękuję.

Pozwoliłam im wysłuchać całej rozmowy. Pięćdziesiąt osiem sekund. Nieocenionych.

Zabiję cię.

Emiliano...

Co ty sobie, kurwa, myślałeś?

Emiliano...

Dlaczego przerwałeś partię bez mojego pozwolenia? Za kogo ty się uważasz?

Emiliano...

Tylko nie wciskaj mi kitu, że przegrywałeś, że grałeś od dwudziestu godzin, co to ma być, kurde...? Przysięgam ci, że jeśli natychmiast nie wrócisz do kasyna, zabiję cię własnymi rękami.

Emiliano...

Nie odzywaj się. Chcę cię tu widzieć za dwadzieścia minut. I wyjdiesz dopiero wtedy, kiedy ci powiem. Jeśli z twojej winy trzeba będzie przerwać partię, łeb ci rozwalę. Co ci w ogóle do głowy przyszło, żeby wychodzić? Nie mogłem uwierzyć, kiedy Bernardo zadzwonił, żeby mi powiedzieć: Tramel przegrał dwanaście tysięcy i wyszedł. Bierz dupę w troki i wracaj, natychmiast! Kurwa. Myślisz, że możesz sobie robić, na co masz ochotę?

Ale Emiliano...

Mówię poważnie. Jeśli zaraz nie wrócisz, lepiej od razu strzel sobie w łeb. Wiesz, co powinienesz zrobić, ty nieudaczniku? Wskoczyć przez okno, skończyć z tym wszystkim raz na zawsze. Przysięgam, że jeśli tego nie zrobisz, zabiję cię.

Rozległo się kliknięcie. Koniec rozmowy.

Popatrzyłam w stronę przysięgłych. To nagranie było kluczowym dowodem w sprawie – i chyba spełniło swoje zadanie. Nawet numer jeden sięgnął do kołnierzyka, jakby go coś uwierało, i odetchnął głębiej. Niemożliwe, żeby nie ruszyły go te słowa albo – nawet jeśli z nami nie sympatyzował – żeby przynajmniej nie docenił wagi tego dowodu. Przysięgła numer cztery siedziała wystraszona, w jej oczach malowało się przerażenie. Ta kobieta mogła podjąć decyzję już w tym momencie, nie potrzebowała więcej dowodów ani zeznań. Niemal wszyscy przysięgli patrzyli na Santonję ze zgrozą. Robili notatki, żeby niczego nie zapomnieć, albo kręcili głową z dezaprobatą.

W sali nadal panował nieznośny upał; widać technicy nie zdołali naprawić klimatyzacji. Kolejny dzień siedzieliśmy zamknięci jak w saunie. Sędzia ostrzegł, że jeśli awaria potrwa jeszcze dzień dłużej, przeniesie rozprawę na ulicę i będziemy kontynuować na oczach wszystkich. Nikt nie miał ochoty uczestniczyć w procesie, jakby każda jego minuta, godzina stawała się wyrokiem dla ponad trzydziestu osób siedzących na sali. Musieliśmy jednak ciągnąć to dalej.

Odtworzyłam trzecie nagranie, to, którego wysłuchałam pewnej chłodnej

zimowej nocy z komórki Heleny i od którego wszystko się zaczęło. Tutaj Emiliano wypadał nie tylko na powieściowego mafiosa, ale na sukinsyna bez skrupułów. Padały perełki w rodzaju: „Ponieważ świętujesz urodziny, nie chcę zabierać ci czasu, ja też jestem zajęty, sam wiesz... To mój prezent urodzinowy: nowe życie. Nowe życie, w którym nie będziesz nieudacznikiem ani balastem dla wszystkich, którzy cię znają, ani gnojkiem, ani miernotą, ani łajdakiem. Nowe życie, w którym po prostu usuwasz się z drogi. Znikasz. Na zawsze. Wiesz, co musisz zrobić”. Albo: „Czas się kończy. Mógłbym powiedzieć, że mi przykro, ale to nieprawda”. Albo najlepsza ze wszystkich, bo zwięzła, odpowiedź na pytanie mojego brata, co będzie, jeśli nie zapłaci: „Nic dobrego”. Wszystko to przeplatane przeraźliwie rozpaczliwymi zapewnieniami Alego, że zapłaci.

Tą rozmową zamknęłam rozdział pod tytułem nagrania, przynajmniej na razie. Chciałam zrobić kolejny krok, dopóki ława przysięgłych miała wszystko świeżo w pamięci, zwłaszcza owo „zabiję cię”, usłyszane kilka razy i rozbrzmiewające jeszcze wszystkim w uszach.

Sędzia dał znak woźnej sądowej. Na stojącym pośrodku sali krzesle powoli, z opieszałością człowieka, który przywykł do tego, że to on wyznacza tempo, zasiadł Santonja. Zgodnie z procedurą oskarżony składał zeznanie pierwszy. Barrios zwrócił się do niego urzędową formułą.

– Zna pan akt oskarżenia; otrzymał go pan kilka miesięcy temu. Czy chce pan, żeby odczytano go jeszcze raz?

– Nie ma takiej potrzeby, Wysoki Sądzie – odparł tamten.

– Doskonale – ciągnął sędzia. – Wie pan, że jako oskarżony ma pan prawo odpowiadać na zadawane pytania tak, jak uzna pan za stosowne, albo w ogóle nie odpowiadać. Czy to jest jasne?

– Oczywiście, Wysoki Sądzie.

– W związku z tym, zanim zaczniemy, muszę pana zapytać: czy chce pan zeznawać?

– Tak, chcę, Wysoki Sądzie – odparł Santonja spokojnie, powiedziała bym nawet, że wyniośle.

– Pani mecenas, pani ma głos.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Wyprostowałam się na krześle, przysunęłam się do mikrofonu i przez kilka sekund patrzyłam na Santonję. Prokuratura reprezentowana przez Adelę Fernández (Ginesa Iglesiasa zatrzymały jakieś sprawy osobiste i nie mógł zjawić się w sądzie) odstąpiła mi pierwszeństwo w zadawaniu pytań, a ja chętnie na to przystałam. Widząc tego starego sukinsyna, jak siedzi rozparty na krześle z miną wyrażającą znudzenie, niezadowolenie i arogancję, jak chusteczką z monogramem ociera pot z czoła i karku, nie mogłam pozbyć się uczucia wstrętu. Jeżeli chciałam pokierować przesłuchaniem tak, żeby przysięgli mogli zobaczyć, co to za człowiek, musiałam w jakiś sposób zachować spokój. Nie byłoby nic złego w tym, że ława przysięgłych zauważyłaby moje poruszenie, ale otwarta wrogość i arogancja wobec oskarżonego mogły wywołać niepożądany skutek.

– Panie Santonja, czy jako główny udziałowiec kasyna w Robredo i jego dyrektor generalny uznałby pan, że grożenie śmiercią klientom jest powszechnie przyjętą praktyką?

– Sprzeciw – wyskoczył zgodnie z przewidywaniami Barver.

– Pani mecenas – upomniał mnie Barrios – proszę, żeby na mojej rozprawie nie zwracała się pani tym tonem do oskarżonego ani do któregośkolwiek ze świadków.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – odparłam i spuściłam głowę, jakbym zastanawiała się nad czymś ważnym, po czym ponownie przysunęłam twarz do mikrofonu. – Panie Santonja, czy uważa pan, że do pańskich obowiązków jako dyrektora generalnego należy grożenie śmiercią klientom kasyna w Robredo?

Barrios podniósł rękę, zanim Barver zdążył zgłosić sprzeciw.

– Mecenas Tramel, upominam panią, żeby nie szła pani tą drogą. Wie pani doskonale, że na to nie pozwolę.

Wymownie uniosłam brwi, jakby spotkała mnie straszliwa niesprawiedliwość.

– Wysoki Sądzie, za pozwoleniem – powiedziałam. – Uważam, że powinniśmy wiedzieć, czy grożenie śmiercią przez telefon, jak to, które słyszeliśmy przed chwilą na nagraniach, było odosobnionym przypadkiem czy raczej należało do codziennych praktyk. Jeżeli Wysoki Sąd pozwoli, zapytam o to inaczej.

– Proszę, ale niech pani bardzo uważa – zezwolił Barrios. – Czekamy.

– Panie Santonja! – Zatrzymałam się, tak by jego nazwisko na kilka sekund zawisło w powietrzu. – Ile razy groził pan śmiercią Alejandrowi Tramelowi?

– Sprzeciw! – wtrącił ponownie Barver, ledwo skończyłam mówić. – Pani mecenas z góry zakłada, że mój klient groził śmiercią panu Tramelowi, a nie zostało to udowodnione.

– Wszyscy słyszeliśmy przed chwilą wyraźnie na nagraniach – odparowałam.

– Mecenas Tramel, jest pani osobą inteligentną o dużym doświadczeniu – zwrócił się do mnie sędzia. – Proszę z łaski swojej zaoszczędzić nam tego żenującego przedstawienia i nie zadawać pytań, które trzeba odrzucać albo przeformułowywać. Proszę się ograniczyć do faktów. To już trzecie ostrzeżenie. Jeśli będzie pani nadal trzymać się tej linii przesłuchania, odbiorę pani głos.

Przytaknęłam bez przekonania, dając do zrozumienia, że nie podzielam jego zdania, jednak muszę się podporządkować.

– Panie Santonja – zwróciłam się do oskarżonego – czy znał pan Alejandra Tramela?

– Z widzenia. Spotykałem go czasami w kasynie. Wiedziałem, kim jest.

– Pamięta pan, kiedy go pan poznał?

– Jakieś cztery czy pięć lat temu, nie jestem pewien. Podobno często odwiedzał kasyno, ale nie mogę tego potwierdzić. Potem jego nazwisko wypłynęło w związku z zabójstwem Menendez Ponsa. A w ostatnich miesiącach wielokrotnie słyszałem o tym panu w kontekście tego nieszczęsnego pozwu. Wspomnienia mieszają mi się z tym, co o nim czytałem i co mi o nim opowiadano przy okazji tej sprawy.

– Czy byłby pan tak uprzejmy i zechciał podzielić się z nami informacją, co dokładnie opowiadano panu o panu Tramelu przy okazji tej sprawy i kto to robił?

Santonja wymienił spojrzenia z Barverem. Przynajmniej zdołałam zadać mu pytanie, którego się nie spodziewał. Widząc jego wahanie, Barver wtrącił się ponownie:

– Wysoki Sądzie, jak pani mecenas doskonale wie, rozmowy między adwokatem i klientem dotyczące sprawy są ściśle poufne, łącznie z tym, co pan Santonja i jego prawnicy mogli mówić o zmarłym Alejandrze Tramelu.

– Zgadza się – przyznał Barrios. – Nie musi pan, panie Santonja, ujawniać niczego z rozmów przeprowadzonych z prawnikami. Przypominam panu również, że jako oskarżony, jeśli pan sobie nie życzy, nie ma pan obowiązku odpowiadać na pytania.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – odpowiedział Santonja krótko. – Pragnę w miarę możliwości współpracować z sądem.

– Mecenas Tramel, proszę kontynuować.

Pomyślałam, że przysięgli wezmą moją stronę z powodu cenzury, której poddawano moje pytania, i że, tak czy inaczej, dobrze, że je usłyszeli. Uznałam jednak, że może sprawiam wrażenie osoby zbyt wojowniczej i że zabrnęłam w ślepy zaułek. Na wszelki wypadek postanowiłam złagodzić ton – choć nie treść pytań.

– Panie Santonja – powiedziałam, biorąc do ręki kartkę – na drugim nagraniu, które słyszeliśmy, mówi pan do Alejandra Tramela – cytuję – „zabiję cię”. Od tego zaczyna się panów rozmowa. Czy pierwszy raz groził mu pan śmiercią?

Pytanie pokonało dzielące nas trzy metry, niezatrzymywane ani przez adwokatów Santonjy, ani przez sędziego.

– Myślę, że każdy z nas w którymś momencie swojego życia powiedział „zabiję cię” albo „zabiłbym cię” do jakiejś bliskiej osoby podczas przyjacielskiej rozmowy. Uważam, że nie zawiera ono w sobie groźby, wręcz przeciwnie, może uchodzić za wyrażenie kolokwialne wskazujące na zażyłość, poufałość, a nawet sympatię.

Nie ma co, przygotował sobie starannie odpowiedź na to pytanie.

– Twierdzi pan, że mówiąc „zabiję cię” do klienta, który był panu winien ponad osiemset tysięcy euro, zrobił to pan dla okazania zaufania i sympatii?

– Twierdzę, że to wyrażenie samo w sobie nie stanowi żadnej groźby i że jego wymowa zależy od okoliczności, w jakich zostało wypowiedziane.

– Kiedy powiedział pan Alejandrowi Tramelowi: „Wiesz, co powinieneś zrobić, ty nieudaczniku? Wskoczyć przez okno, skończyć z tym wszystkim

raz na zawsze. Przysięgam, że jeśli tego nie zrobisz, zabiję cię” – przeczytałam zapis nagrania – także mu pan nie groził? Te słowa także miały być wyrazem szacunku?

Kilkoro przysięgłych uśmiechnęło się dyskretnie. Było oczywiste, że argumentacja Santonjy jest nie do obrony. Mimo to brnął dalej.

– Kilka dni temu słyszałem w parku, jak matka mówi do swojego pięcioletniego synka, który utyłł się błotem: „Chyba cię zabiję”. Nie jestem specjalistą od komunikacji społecznej, ale długo żyję na tym świecie i dużo widziałem. I mogę panią zapewnić, że niemal każde zdanie, każde wyrażenie wyjęte z kontekstu może mieć wiele różnych znaczeń.

– Tyle że nie mamy tu do czynienia ze zdaniem wyjętym z kontekstu, panie Santonja. Słyszeliśmy całą rozmowę między panem i Alejandrem Tramelem. Słyszeliśmy, jakim tonem zwracał się pan do ofiary. Jak go pan atakował, nie dając mu nawet dojść do głosu. Mając to wszystko na uwadze, prosiłabym, żeby odpowiedział pan wprost na pytanie, które pani zadałam: czy pierwszy raz mu pan groził, czy też robił pan to już wcześniej?

Santonja zastanawiał się nad odpowiedzią. Ponownie spojrzął na swoich adwokatów, najpierw na Barvera, sekundę później na Andermatta. Następnie poprawił krawat – prędeż by się udusił, niż stanął przed sądem w mniej formalnym stroju. Przeciągnął przerwę, ocierając czoło chusteczką. Wreszcie spojrzął na mnie wyzywająco i powiedział:

– Nigdy w życiu w żaden sposób, ani bezpośrednio, ani pośrednio, nie groziłem Alejandrowi Tramelowi.

Po sali przeszedł szmer. Santonja zagłuszył go, powtarzając podniesionym, pewnym głosem:

– Mówiłem to, ilekroć mnie pytano – co ostatnio zdarzało się często: nie groziłem panu Tramelowi, nie stosowałem wobec niego przymusu, a tym bardziej nie nakłaniałem go do samobójstwa. Może pani robić, co chce, może mnie pani dręczyć, jak podczas wstępnego przesłuchania, może mnie pani pozywać do sądu i procesować się ze mną tyle razy, ile się pani spodoba, ale nie sprawi pani, że zmienię zeznania: słabo znałem pani brata i nigdy mu nie groziłem. Taka jest prawda.

O mało nie poderwałam się z krzesła. Pośród ogólnego poruszenia, jakie zapanowało w sali, chwyciłam mikrofon i popełniłam największy możliwy

dla adwokata błąd. Do znudzenia przestrzegałam przed tym moich młodych wspólników, miałam to stale w pamięci – niemniej to zrobiłam: zadałam temu skurwielowi pytanie, na które nie znałam odpowiedzi. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Ani jego zaskakujące słowa, ani poruszenie, jakie one wywołały, ani jego bezczelność – nic nie tłumaczyło tego pytania.

– W takim razie, panie Santonja – powiedziałam – jak pan wyjaśni ewidentne groźby, wśród nich także groźenie śmiercią, które usłyszeliśmy na nagraniach rozmów telefonicznych?

Czekał na mnie. Tak pokierował przesłuchaniem, żebym zadała to pytanie. Jego odpowiedź mnie przygwoździła.

– Osobą, którą słycać na tych nagraniach, nie jestem ja.

To się czasami zdarza. Nagle. Ktoś mówi coś nieoczekiwanego i absolutnie wszystko ulega zmianie. Mój stary zawsze powtarzał: „Dużo myśl i mało mów, Ano”. Potem zostałam prawniczką i musiał sobie takie gadki schować do kieszeni. Przez całe dzieciństwo i wczesną młodość nie zdawałam sobie sprawy z masy porad, jakie bez przerwy płynęły z jego ust – jakby próbował zrekompensować swoją nieobecność dobitnymi sformułowaniami mającymi być dla nas glejtem.

Wystarczyło kilka słów, by wywołać lawinę nowych, niewyobrażalnych wydarzeń. Dwudziestego pierwszego października ubiegłego roku mój brat pojawił się znikąd i powiedział mi przez telefon: „Nie dzwoniłbym do ciebie, gdyby sprawa nie była poważna”. Od tamtej chwili moje życie zmieniło się tak bardzo, że gdybym wtedy o tym wiedziała, najprawdopodobniej uciekłabym gdzieś daleko i schowała się w zapadłej dziurze, gdzie nikt – nawet ekspedycja tropicieli z wytresowanymi ogarami – nie zdołałby mnie znaleźć. Ja jednak wdałam się z nim w rozmowę, pozwalając się w końcu wciągnąć w wir, z którego nie wiedziałam, jak się wydostać.

Emiliano Santonja, wielki Czyngis-chan, jedna z najbardziej odrażających istot, jakie kiedykolwiek spotkałam, powiedział, że to nie jego głos słychać na nagraniach rozmów telefonicznych, na których opierał się cały pozew. I jego dobitne i wyraźne stwierdzenie zmieniło, na dobre czy na złe, bieg procesu. Jeszcze nie zdążyłam się otrząsnąć, kiedy nieproszony, z absolutnym przekonaniem, rozwinął swoją odpowiedź.

– Już podczas wstępnego przesłuchania – kontynuował, rad, że może rozmontować wszystko, co zbudowaliśmy przez ostatnie miesiące – wyraziłem poważne wątpliwości co do tego, czy aby naprawdę jest to mój głos. Teraz, po tym jak wielokrotnie z uwagą wysłuchałem nagrań w towarzystwie osób z najbliższego otoczenia, które znają mój głos lepiej niż ja sam i których życzliwe rady w końcu mnie przekonały, mogę stwierdzić z pełnym przekonaniem, że to nie byłem ja. Bezsprzecznie głos jest podobny,

ale to nie mnie słycać na tych nagraniach.

– Wysoki Sądzie, to niedopuszczalne – powiedziałam, zwracając się do Barriosa. – Raporty niezależnych biegłych zgodnie potwierdzają autentyczność nagrań. Oskarżony nie może wypowiadać takiego mijającego się z prawdą stwierdzenia przed sądem, w oczywisty sposób przecząc temu, co sam mówił podczas postępowania przygotowawczego. obrońcy wiedzą doskonale, że jeśli chcieli zmienić zeznania, powinni byli to zrobić odpowiednio wcześniej i poinformować o tym strony. Nie mogę przyzwolić na ten prostacki manewr. Zgłaszam, że doszło do naruszenia procedur, i wnioskuję, by ekspertyza nagranych rozmów przypisanych oskarżonemu została uznana za obowiązującą. Ponadto pragnę zwrócić uwagę przysięgłych, że są oni w posiadaniu raportów biegłych – biegli złożą osobiście zeznania przed sądem – poświadczających, że rozmowy telefoniczne są autentyczne, nie zostały zmienione ani zmontowane i dlatego właśnie dopuszczono je jako dowód w postępowaniu.

– Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie, mój klient nie zmienił zeznań ani nie doszło do naruszenia procedur – zapewnił Barver. – Czy mogę zabrać głos, żeby krótko wyjaśnić tę kwestię?

– Wie pan doskonale, mecenasie, że nie może pan zaburzać porządku rozprawy wedle własnego uznania – powiedział Barrios. – Powinien pan poczekać na swoją kolej i wtedy wypowiedzieć się w sprawie dowodów rzeczowych, o których mowa. Tego rodzaju naruszenie procedury mogłoby nawet pociągnąć za sobą unieważnienie postępowania sądowego. Jednak mając na uwadze szczególne okoliczności towarzyszące przedstawieniu dowodów podczas procesu oraz to, że za zgodą stron zezwoliliśmy na ich upublicznienie, proszę – a w zasadzie żądam – by wyjaśnił pan, na czym polega rzekoma zmiana zeznań oskarżonego. Proszę udzielić precyzyjnej odpowiedzi i skupić się wyłącznie na tym, co nas obecnie interesuje. Ostrzegam, że pańska linia obrony wisi w tej chwili na włosku.

Zanim Jordi Barver zaczął składać wyjaśnienia, woźna dyskretnie otworzyła drzwi i wpuściła kogoś do sali. Ponieważ rozprawa była jawna, mógł w niej uczestniczyć każdy, kto chciał, pod warunkiem że spełniał formalne wymogi i nie zakłócał przebiegu procesu. Nieraz widywałam adwokatów, sędziów, studentów prawa, dziennikarzy i ciekawskich, którzy wchodzili do sali podczas rozprawy. Zdarzało się to często i nie istniały

żadne przepisy regulujące moment wejścia – chyba że sędzia chciał zadysponować coś szczególnego. Barrios był pod tym względem bardzo tolerancyjny; nie przeszkadzało mu, że ktoś wchodzi do sali w trakcie zeznań. Powiedziałabym, że wręcz przeciwnie: lubił, żeby rozprawie przysłuchiwało się jak najwięcej osób, nie ze względu na jakieś ciągoty ekshibicjonistyczne, ale dlatego, że frekwencja stanowiła dla niego swego rodzaju miernik zainteresowania sprawą poza murami sądu. Jeśli o mnie chodzi, każdy, kto nie musiał siedzieć w tamten sierpniowy wtorek w tym kotle, a jednak to robił, był bohaterem – albo miał skłonności masochistyczne.

Do sali weszło dwóch na oko mało zorientowanych dziennikarzy, a za nimi Sofía, która usiadła w ostatnim rzędzie. Gestem chciała mi dać do zrozumienia, że ktoś czeka na zewnątrz. Nie wiedziałam, o kogo chodzi, ale postanowiłam się tym teraz nie zajmować – miałam ważniejsze sprawy na głowie.

– Bardzo dziękuję, Wysoki Sądzie – ciągnął Barver. – To, co przed momentem usłyszeliśmy od oskarżenia, jest niezgodne z prawdą. Mój klient nie zmienił zeznań. Raporty biegłych stwierdzają jedynie, że nagrane rozmowy telefoniczne mogą zostać dopuszczone jako dowód z technicznego punktu widzenia, nie zostały bowiem zmienione ani pocięte, ale nic poza tym. Specjaliści od fonetyki i biometrii głosowej nie znaleźli „śladu” wskazującego ponad wszelką wątpliwość, że głos słyszany na nagraniach należy do pana Emiliana Santonjy. A to z bardzo prostego powodu: ponieważ jest to niemożliwe. Ponadto największy w naszym kraju autorytet w tej dziedzinie, laboratorium fonetyki Najwyższej Rady do spraw Badań Naukowych CSIC, twierdzi w swoim rocznym sprawozdaniu ze stycznia tego roku, załączonym jako dowód numer dwieście trzydzieści trzy łamane przez osiemnaście, łamane przez G, że – cytuję: „Doszliśmy do jednoznacznego wniosku, że nie sposób zidentyfikować rozmówców, da się jedynie porównać głosy, co – mając na uwadze nieudane próby z ostatnich lat – w żadnym wypadku nie może stanowić niezbitego dowodu świadczącego na niekorzyść oskarżonego. Tak zwany ślad głosowy nie jest niezawodny, nie ma tej samej mocy dowodowej co DNA czy odcisk palca”. Podsumowując, pan Santonja ma pełne prawo zaprzeczać, jakoby to on mówił na nagraniach, czego zresztą w żadnym momencie nie potwierdził podczas wstępnego

przesłuchania. Co więcej, na całym świecie nie ma technika czy eksperta, który mógłby udowodnić, że jest inaczej. Na żadnym z nagrań nie wymienia się oskarżonego z imienia i nazwiska, pada jedynie wieloznaczne „Emiliano”. Jak zapewne wszyscy rozumieją, podobieństwo głosu i zbieżność imienia nie wystarczą, żeby kogokolwiek skazać.

Rzeczywiście udzielił precyzyjnej odpowiedzi. Wszystkie osoby obecne w sali zrozumiały tok jego myślenia. Już nie tylko numer osiem kiwała głową, jakby chciała powiedzieć „wiedziałam”. Także z twarzy wielu innych przysięgłych dało się wyczytać, że w pełni zgadzają się z Barverem.

– Niestety – ciągnął tamten – nie posiadamy informacji, kim jest osobnik zidentyfikowany na nagraniach jako Emiliano. Niewykluczone, że ktoś podszył się pod pana Santonję. Może chodzić o mistyfikację, ale oczywiście nie zaryzykujemy wysunięcia takiej hipotezy. Poza tym nie do nas należy zbadanie, kto kryje się za tym głosem. To oskarżenie powinno przedstawić niezbite dowody na potwierdzenie swojej tezy.

– Zrozumieliśmy, o co panu chodziło, mecenasie – wszedł mu w słowo Barrios. – Proszę nie psuć swojego wystąpienia wysuwaniem niepopartych hipotez. Panie i panowie przysięgli, przypomnę, że podczas postępowania przygotowawczego poprzedzającego proces oskarżony miał możliwość zaprzeczenia, że to jego głos słychać na nagraniach, a jednak tego nie zrobił, choć prawdą jest, że również niczego nie potwierdził. Tak czy inaczej, to państwo – po przeanalizowaniu dowodów, raportów i zeznań świadków – powiedzą, czy uważają, że głos, który słyszeliśmy na nagraniach, należy do pana Santonji. Jeżeli mają państwo jakieś wątpliwości, jak postąpić w tej czy jakiegokolwiek innej kwestii, proszę bez wahania mnie o nich poinformować: odpowiem z chęcią na każde pytanie. Mecenas Tramel, może pani kontynuować przesłuchanie.

Santonja wyglądał na bardzo zadowolonego, kiedy tak siedział na krześle obserwowany przez wszystkich obecnych, łącznie z dziennikarzami, którzy przed chwilą weszli do sali, żeby sprawdzić, czy na dzisiejszej rozprawie wydarzy się coś godnego uwagi. Był zupełnie inny niż Barver; brakowało mu klasy, widać było, że ma kompleksy związane z pochodzeniem. Może nie czuł się do końca rozumiany i akceptowany, wiedział, że budzi strach i respekt (nieprzypadkowo zyskał przydomek: Czyngis-chan), ale chociaż był właścicielem jednej z najlepiej prosperujących firm w kraju, nie sądzę, aby

najbliższe otoczenie, poczynając od pracowników i współpracowników, darzyło go specjalnym podziwem czy uznaniem. Może właśnie o to chodziło. Wyglądał tak, jakby walczył z całym światem, niezrozumiany przez nikogo. Jakbyśmy nie potrafili dostrzec w nim wielkiego człowieka, jakim się stał, uznać potęgi imperium, które stworzył z niczego, własnymi rękami, własnym wysiłkiem, w pocie czoła (obfitym). I jak zdążyłam się już zorientować podczas przesłuchania przed kilkoma miesiącami, irytowało go, że ktoś taki jak ja próbuje to zakwestionować. Pragnął mnie zmiażdżyć, udowodnić, że nic nie znaczę, że ten proces, te wszystkie oszczerstwa, całe to przesłuchanie są nie do przyjęcia. Przyznaję, że kiedy chcę, potrafię być naprawdę irytująca, nie przeczę. Może była to ostatnia karta, jaka mi pozostała, po tym jak moi przeciwnicy mnie wypunktowali. Musiałam spróbować nią zagrać. Wiedziałam, że jeżeli nie otworzę ust i czegoś nie powiem, być może na zawsze i nieodwracalnie straci wiarygodność główny dowód w sprawie. Nie mogłam milczeć. To by znaczyło uznać jego zwycięstwo, zgodzić się, że prawda jest po jego stronie.

– Panie Santonja – powiedziałam – kieruje pan kasynem od tylu lat, że na pewno był pan świadkiem wielu makabrycznych wydarzeń. W przypadku Alejandra Tramela mówimy o człowieku, który przeznaczając wszystkie pieniądze na grę, który doprowadza się do ruiny, a mimo to gra dalej, który odbiera żonie i synowi możliwość zaspokojenia najbardziej podstawowych potrzeb. Jak określiłby pan kogoś, kto tak postępuje?

Barrios znów interweniował.

– Mecenas Tramel, wie pani doskonale, że pytania powinny dotyczyć faktów, a nie opinii przesłuchiwanego. Przypominam oskarżonemu, że może nie odpowiadać na pytanie, jeżeli sobie nie życzy.

Santonja wzruszył ramionami, jakby moje pytanie było jedynie drobną uciążliwością, którą w najmniejszym stopniu się nie przejął.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby odpowiedzieć, Wysoki Sądzie – odparł, po czym spojrział na mnie z ukosa. – Ktoś, kto zachowuje się w taki sposób, jest nieodpowiedzialny.

– Jak zostało ustalone podczas postępowania przygotowawczego – ciągnęłam – Alejandro Tramel zrujnowawszy się, grał dalej i zaciągał coraz większe długi. Uważa pan, że był chory, że potrzebował pomocy?

– To niedopuszczalne pytanie, Wysoki Sądzie – zaprotestował tym razem Andermatt. – Pan Santonja nie jest psychiatrą ani lekarzem, żeby stawiać diagnozę.

– Ma pan rację – odpowiedziałam. – Zajęli się tym specjaliści, którzy orzekli, że pan Tramel cierpiał na zdiagnozowaną chorobę: patologiczne uzależnienie od hazardu. Uważam jednak, że poznanie opinii oskarżonego o ofierze jest istotne dla ustalenia prawdopodobnego motywu przestępstwa.

– Niech oskarżony odpowie, jeżeli taka jest jego wola – zgodził się sędzia.

– Mogłaby pani powtórzyć pytanie? – poprosił Santonja. – Już go nie pamiętam.

– Pytanie jest bardzo proste – powiedziałam. – Czy uważa pan, że Alejandro Tramel, który grał dalej, mimo że doprowadził się do kompletnej ruiny, był chory, w sensie klinicznym, a tym samym potrzebował pomocy?

– Nie wiem. Każdy powinien odpowiadać za własne czyny i ponosić ich konsekwencje. Ja nikogo nie osądzam.

– Czy wiedział pan, że Alejandro Tramel zgłosił się do stowarzyszenia walczącego z patologicznym hazardem i próbował wyjść z uzależnienia?

– Mówiłem już, że słabo znałem pana Tramela. Nie wiedziałem nic o jego życiu prywatnym.

– A jednak w oficjalnym archiwum Gran Castilli znajduje się informacja, że pan Tramel odwiedził kasyno w Robredo dokładnie sześćset czterdzieści cztery razy w ciągu ostatnich dwóch lat. Co oznacza średnio sześć przecinek dwie wizyty tygodniowo. Mimo to słabo go pan znał?

– Nieraz widywałem go w kasynie.

– Nigdy nie rozmawiał pan z nim o jego problemach z hazardem?

– Nic mi nie wiadomo o tym, żeby miał jakieś problemy z hazardem.

– Nie rozmawiał pan z nim także o jego uczestnictwie w terapii?

– Z tego, co pamiętam, nie.

– Czy gdyby pan wiedział, że rzeczywiście ma poważne problemy z hazardem, zgodnie z tym, co twierdzi jego żona oraz specjaliści, którzy się nim zajmowali, doradziłby mu pan terapię?

– Nie wiem.

– Czy kiedykolwiek doradził pan komuś skorzystanie z pomocy psychologa?

– Nie przypominam sobie. Nie wiem.

– Czy uważa pan, że osoba mająca problemy z hazardem powinna skorzystać z terapii? – naciskałam dalej.

– Każdy ma prawo robić to, co uważa za słuszne.

– Czy pan sam odwiedził kiedykolwiek psychologa?

– Nie wierzę w tych manipulatorów. Chwila nieuwagi, a mogą ci zniszczyć życie.

Przerwałam. Nie mogłam uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałam. Poszło mi lepiej, niż przypuszczałam. Natychmiast spojrzałam na Barriosa.

– Wysoki Sądzie, wnioskuję, żeby protokolantka przeczytała na głos ostatnią odpowiedź pana Santonjy. Zważywszy na jej ogromne znaczenie, chcę, by wszyscy na sali wyraźnie ją usłyszeli – powiedziałam. –

Jednocześnie proszę o pozwolenie na odtworzenie fragmentu nagrania sklasyfikowanego jako dowód obciążający A łamane przez dwieście trzydzieści osiem.

– Wyrażam zgodę. Mam nadzieję, że wie pani, co robi.

Otworzyłam laptopa i szybko odszukałam plik audio. Włożyłam do ucha małą słuchawkę, żeby odnaleźć właściwe zdanie. Nie chciałam się pomylić. Wciskałam *fast forward*, aż dotarłam do gorączkowo szukanego fragmentu.

Protokolantka wzięła kartkę stenogramu, którą przed chwilą sama zapisała, i na znak sędziego przeczytała ostatnią odpowiedź oskarżonego:

„Nie wierzę w tych manipulatorów. Chwila nieuwagi, a mogą ci zniszczyć życie”.

Natychmiast wcisnęłam *play*. Rozległ się fragment nagrania pierwszej rozmowy pomiędzy Santonją (nawet jeśli on sam zaprzeczał, że to on) i Alem:

Musisz zostawić tych zasranych manipulatorów, zniszczą ci życie.

Santonja wbił we mnie pogardliwe spojrzenie. Nie odwracając wzroku,

przewinęłam do tego samego miejsca, po czym ponownie rozległo się zdanie:

Musisz zostawić tych zasranych manipulatorów, zniszczą ci życie.

Po sali przeszedł szmer. Dwa plus dwa dawało cztery – niezależnie od tego, jak usilnie by temu zaprzeczał.

– Panie Santonja – powiedziałam czym prędzej – czy nadal utrzymuje pan, że słów tych, niemal identycznych z wypowiedzianymi przez pana przed chwilą w tej sali, głosem takim samym jak pański, przez kogoś o imieniu Emiliano, nie wypowiedział pan? W odróżnieniu od pozostałych osób, które będą składać zeznania w trakcie tego procesu, jako główny oskarżony nie złożył pan przysięgi, mimo to wszyscy tu obecni mamy nadzieję, że powie pan prawdę.

– Nie złożyłem przysięgi wyłącznie dlatego, że mnie o to nie poproszono, ale nie stanowiłoby to dla mnie najmniejszego problemu – odpowiedział z wściekłością. – Nie musi mi pani tego przypominać, uczyć mnie moralności czy udzielać mi jakiegokolwiek innej lekcji. Oczywiście, że powiem prawdę. To nie ja przeprowadziłem te rozmowy telefoniczne z Alejandrem Tramelem. Jeżeli teraz użyłem podobnego sformułowania, to prawdopodobnie dlatego, że utkwilo mi w głowie po wielokrotnym wysłuchaniu nagrań.

– Nie chodzi jedynie o podobne sformułowanie. Wygląda też na to, że podziela pan zdanie Emiliana z nagrań. Nazywacie się panowie tak samo, mówicie tak samo, jesteście tego samego zdania, macie ten sam głos i wyrażacie się w ten sam sposób. Nadal pan utrzymuje, że to nie pan?

– Tak.

– To nie pan zadzwonił do Alejandra Tramele i zagroził mu śmiercią, kiedy odmówił przyścia do kasyna? – zapytałam ponownie.

– Nie – odparł krótko, poirytowany moim uporem i tym, co w jego oczach było bezczelnością.

Zobaczyłam to w jego spojrzeniu. Gardził mną tak samo, jak wcześniej gardził moim bratem. W jego przekonaniu to nie on powinien teraz siedzieć na ławie oskarżonych. Nie bacząc na strategię opracowaną z prawnikami, miał ochotę przyznać, że owszem, to on groził facetowi takiemu jak Ale, on

na niego krzyczał, wywierał presję, on się nad nim pastwił. Z jednego powodu: bo tamten na to zasługiwał.

– A może wstydzi się pan tego, co mówi na tych nagraniach? Czy o to chodzi? Z tego powodu zaprzecza pan temu, co oczywiste? – zapytałam prowokująco. – Wstydzi się pan, że groził choremu człowiekowi i go wykorzystywał? Wstydzi się pan własnego zachowania?

– To niedopuszczalne, Wysoki Sądzie – wyrwał się Barver. – Jawna wrogość i dręczenie oskarżonego. Mój klient już odpowiedział na pytanie.

– Mecenas Tramel – powiedział pospiesznie Barrios – powtarzam pani, że nie będę tolerował takiego tonu. To ostatnie ostrzeżenie.

Przynajmniej udało mi się ponownie zwrócić uwagę na to, co podpowiadał nam wszystkim zdrowy rozsądek: że mężczyzną z nagrań jest Emiliano Santonja. Spojrzałam na niego: był ewidentnie wściekły, że musi się tłumaczyć, i to jeszcze mnie, bezczelnej miernocie, siostrze innej miernoty, jednej z dwójki nieudaczników, niemających prawa nawet spojrzeć mu w twarz. Gdyby mógł, mnie także natychmiast by sprzątnął.

Postanowiłam pójść krok dalej. Przesunęłam laptopa pół metra w lewo, żeby zrobić miejsce na wyciągnięte z teczki dokumenty. Podniosłam rękę na znak oburzenia, wskazałam oskarżonego i powiedziałam:

– Panie Santonja, czy żałuje pan, że groził pan śmiercią Alejandrowi Tramelowi?

– Wysoki Sądzie! – zaprotestował Barver.

– Żałuje pan, że bogacił się za cenę choroby drugiego człowieka? – ciągnęłam, ignorując ostrzeżenia.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie, to pytanie jest niedopuszczalne! – wykrzyknął Barver.

– Mecenas Tramel, zaraz odbiorę pani prawo głosu – oznajmił sędzia.

– Żałuje pan, że działał z premedytacją i perfidią? – kontynuowałam mimo wszystko, przekraczając granicę, zza której nie było już powrotu. – Żałuje pan, że doprowadził niewinnego człowieka do ruiny i samobójstwa? Wstydzi się pan swoich czynów? Chce pan prosić o wybaczenie osoby obecne w tej sali? Chce pan prosić o wybaczenie mnie, za to, co zrobił pan z moim bratem? Żałuje pan, że wykorzystał chorego człowieka? Żałuje pan, że

codziennie czerpał korzyści z nieszczęścia dziesiątek osób?

Stary Czyngis-chan miał dość mojej bezczelności. Wstał rozjuszony i z całej siły rąbnął otwartą dłonią w stolik. Wycelował we mnie palec. Nabrzmiały mu żyły na skroniach, z czoła skapywały krople potu. Wyglądał jak wcielenie gniewu.

Głośno sapnął i zanim jego adwokaci czy ktokolwiek inny zdążył go powstrzymać, wykrzyknął przy wszystkich:

– Żebyś wiedziała, suko, że niczego nie żałuję! Przysięgam, że jeśli natychmiast się nie zamkniesz, pożałujesz!

Zapadła grobowa cisza.

– Grozi mi pan, panie Santonja? – zapytałam.

Nie odpowiedział. Nie było to potrzebne.

Sędzia odebrał mi głos. Zarządził dwudziestominutową przerwę. Nie mogłam kontynuować przesłuchania.

Nakazał, by wyprowadzono przysięgłych, publiczność i oskarżonego. Kiedy w sali zostali sami prawnicy, jego twarz przybrała poważny wyraz. Zwrócił się do mnie swoim charakterystycznym spokojnym i pojednawczym tonem, z którego przebijała jednak niecodzienna surowość.

– Gdybym mógł, mecenas Tramel, natychmiast wykluczyłbym panią z rozprawy. Oczywiście poinformuję Izbę Adwokacką o pani zachowaniu.

Była to najłagodniejsza kara, jaka mogła mnie spotkać. Wiedziałam doskonale, na co się narażałam.

– Nie wiem, co jest gorsze – ciągnął sędzia. – To, że próbowała pani sprowokować oskarżonego tonem, który nie przystoi osobie noszącej togę, czy że jawnie zignorowała pani moje ostrzeżenia.

– Przykro mi, Wysoki Sądzie – szepnęłam – dałam się ponieść chwilowemu wzburzeniu w obliczu niecnej strategii przyjętej przez obronę, która zaprzecza oczywistym...

– Jeszcze nie skończyłem – przerwał mi sędzia. – Nie może pani zabierać głosu, dopóki nie odwołam zakazu. Jak zapewne się pani domyśla, dla pani jest to koniec przesłuchania. Nie będzie pani mogła zadać oskarżonemu żadnego innego pytania. Dzieje się tak wyłącznie z pani winy. Ponadto kolejny raz panią ostrzegam: proszę sobie oszczędzić wartościujących przymiotników przy ocenie strategii strony przeciwnej. W tej sali jest tylko jeden przewodniczący i to ja będę decydował, czy dana strategia jest dopuszczalna z prawnego punktu widzenia czy nie, nikt inny. Zrozumiała pani?

– Doskonale zrozumiałam, Wysoki Sądzie – odpowiedziałam.

Barrios pokręcił głową i przez dobrą chwilę przyglądał mi się uważnie,

starając się zorientować, czy naprawdę zrozumiałam. Następnie zwrócił się do obrońcy.

– Jeśli zaś chodzi o pana, mecenasie, nie jestem zwolennikiem tego rodzaju praktyk: w ostatnim momencie wyciąga pan z rękawa nową strategię, popartą niejednoznacznymi argumentami. Podczas ciągnącego się miesiącami postępowania przygotowawczego ani razu nie zaprzeczył pan opinii, że nagrane rozmowy zostały przeprowadzone przez pańskiego klienta, choć miał pan ku temu wiele okazji. Nie, postanowił pan poczekać do ostatniej chwili, wysuwając ten argument w obecności przysięgłych. Nie pozwolę, aby zamienili państwo ten proces w cyrk. Nie mogę zakazać oskarżonemu, żeby bronił się zaciekle, nawet wydaje mi się to naturalne, ale proszę przyjąć do wiadomości, że stosując tego rodzaju wybiegi, nie zyskają państwo mojej sympatii. Zapewniam, że na dłuższą metę te fajerwerki obrócą się przeciwko państwu.

– Bardzo mi przykro, Wysoki Sądzie – powiedział Barver ze skrucą. – Obrona darzy przewodniczącego ogromnym szacunkiem, nie chcieliśmy zirytować Wysokiego Sądu, nie mieliśmy takiego zamiaru. Zapewniam, że dopiero wczoraj wieczorem pan Santonja doszedł do jednoznacznego wniosku, że to nie jego głos słyhać na nagraniach. Odtworzyliśmy je tysiąc razy, konsultowaliśmy się z najrozmaitszymi ekspertami, a w końcu to on sam, nie jego adwokaci, podjął decyzję w tej sprawie. Zresztą nie mogło być inaczej. Podczas postępowania przygotowawczego nie potwierdziliśmy faktu przeprowadzenia tych rozmów przez pana Santonję, ale też nie zaprzeczyliśmy, że do nich doszło, przyznając otwarcie.

Leopoldo Barrios nie wyglądał na zadowolonego. Można powiedzieć, że był nie tyle na nas zły, ile nami rozzarowany.

– To, że musiałem odebrać głos oskarżeniu, budzi we mnie głęboką frustrację – podsumował. – Jak również to, że byłem zmuszony przywołać do porządku obronę. Niech się państwo postarają, żeby taka sytuacja więcej się nie powtórzyła, gorąco proszę. Czy nie zdają sobie państwo sprawy, że niczego nie zyskają, szukając dróg na skróty? Najwyżej natkną się państwo na mur niezrozumienia i będą swej decyzji żałować. Ten stary budynek to Naczelny Sąd Prowincji, nie szkolne podwórko. Zaklinam państwa, zrobmy wszystko, byśmy mogli czuć się dumni z tego, że jesteśmy częścią systemu sądownictwa w tym kraju.

Wydawało się, że mówi szczerze. Przykre było dla niego to, że ktoś manipuluje systemem, próbując go nagiąć do własnych potrzeb.

Drzwi się otworzyły, chociaż sędzia wyraźnie przykazał, żeby nikt nie wchodził do sali. W progu stanął Ginés Iglesias z czarną aktówką w rękę; weteran prokuratury wyglądał na podenerwowanego.

– Proszę wybaczyć, Wysoki Sądzie, zatrzymały mnie sprawy osobiste – zaczął się tłumaczyć. – Spędziłem całą noc na oddziale ratunkowym. Moja żona trafiła do szpitala z poważnym problemem kardiologicznym, dwukrotnie doszło u niej do zatrzymania akcji serca, nadal jest na obserwacji.

– Bardzo mi przykro – powiedział Barrios. – Jeżeli będzie pan czegokolwiek potrzebował, może pan liczyć na mnie osobiście.

Wszyscy poczuliśmy się poruszeni. Ale było coś jeszcze – prokurator podszedł do krzesła dla świadków.

– Obawiam się, że rzeczywiście będę musiał sprawić kłopot Wysokiemu Sądowi – powiedział. Wyglądał na szczerze zmartwionego. – Kiedy tylko zakończy się proces, złożę rezygnację w trybie natychmiastowym. Zostało mi zaledwie kilka miesięcy pracy w prokuraturze, ale choć bardzo mi z tego powodu przykro, nie mogę dłużej prawidłowo wykonywać swoich obowiązków. Wiem, że ta sprawa nie dotyczy bezpośrednio Wysokiego Sądu, ale chciałem o tym osobiście poinformować. Niedługo skończę siedemdziesiąt jeden lat, poświęciłem całe życie służbie wymiarowi sprawiedliwości i niesieniu pomocy innym. Najwyższy czas, żebym poświęcił się żonie. Jej stan jest poważny, ona mnie potrzebuje. To właśnie zamierzam zrobić, na nikogo się nie oglądając: być z nią, dopóki całkowicie nie wydobrzeje. Poinformowałem o swojej sytuacji zwierzchników w prokuraturze. Okazali mi zrozumienie. Mam nadzieję, że ze strony Wysokiego Sądu mogę liczyć na to samo.

– Przyznam, że mnie pan zaskoczył – odparł z wahaniem Barrios. – Znamy się od lat i wie pan, że darzę pana wielkim szacunkiem. Oczywiście nie mam tu nic do powiedzenia, to pana osobista decyzja. Będzie nam brakowało pańskiego doświadczenia, pomocy i obycia.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – odpowiedział Iglesias i spojrział na swoją koleżankę z prokuratury, Adele, której jego słowa nie zdziwiły chyba tak bardzo jak pozostałych. – Oczywiście nie odejdę w trakcie procesu, choć

niestety czasami nie będę mógł stawiać się na rozprawie. Za zgodą moich przełożonych przez większość czasu – począwszy od dziś – prokuraturę będzie reprezentowała obecna tu prokurator Adela Fernández, która od początku prowadziła ze mną tę sprawę i która już dzisiaj występowała w moim imieniu. Mogę zapewnić, że pani Fernández wypełni swoje zadanie z całkowitym oddaniem i pełnym profesjonalizmem; nie tylko jest świetnie przygotowana, ale też zna szczegóły sprawy może nawet lepiej ode mnie. W dalszym ciągu będę jej pomagał. W odpowiednim czasie docenią państwo jej kompetencje.

Oby Bóg miał nas w swojej opiece, jeżeli od tej pory nasz pozew miał zależeć od tej sfrustrowanej, gnuśnej kobiety. Nie oczekiwałam wiele od prokuratury, ale Ginés przynajmniej wybrał się ze mną do kasyna, nie bacząc na sankcje, poparł wysokość większości kar, o które wnioskowałam w akcie oskarżenia, i miał w sobie jakąś powagę. Wydawało się, że jego siwe włosy wzbudzają w pozostałych respekt, którego Adela nie tylko sobie nie pozyskała, ale na którym najwyraźniej jej nie zależało.

– Jestem przekonany, że pani Fernández będzie godnie reprezentować prokuraturę – stwierdził ostrożnie Barver – i cieszymy się, że postanowił pan, jakżeby inaczej, pozostać z nami do końca procesu. To prawdziwy zaszczyt pracować z panem w jednej sali rozpraw; w ostatnich latach wielokrotnie miałem taką sposobność. Życzę pańskiej żonie wszystkiego, co najlepsze; i nie muszę mówić, że w każdej sprawie może pan liczyć na naszą kancelarię.

– Dziękuję – odpowiedział Ginés przygnębiony.

To już koniec? Prokurator wycofywał się w drugim dniu procesu – i pozamiatane? Oczywiście bardzo mi było przykro z powodu tego, co spotkało jego żonę. Ale decyzja rezygnacji wprowadziła mnie w osłupienie. Nie chciałam snuć podejrzeń. Byłam pewna, że jego żona naprawdę jest chora i że nie chodzi o żaden spisek. Tyle że napotykałam nową przeszkodę, kolejną, jakby cały świat sprzysiągł się, żeby z każdym dniem coraz bardziej utrudniać nam zadanie. Miałam nadzieję, że się mylę co do poczciwej Adeli. Skoro miała zostać głosem prokuratury, musiałam jak najszybciej umówić się z nią na spotkanie.

Sędzia poprosił stanowczo o kilka minut przerwy przed wznowieniem rozprawy. Pozostali prawnicy wstali i podeszli do Ginesa, żeby dodać mu

otuchy. Ja byłam zbyt zaszokowana – nie wiedziałam, co powiedzieć ani jak zareagować na taką wiadomość.

Korzystając z okazji, wyszłam z tego rozżarzonego pieca, żeby rozprostować nogi na korytarzu. Moje bolące kolano było mi za to wdzięczne. Podeszła do mnie Sofía.

– Iglesias zostawia sprawę? – zapytała zdumiona.

– Sama słyszałaś – odpowiedziałam. – Oficjalnie nie zostawia, ale w praktyce na to wychodzi. A za kilka tygodni na dobre odejdzie z prokuratury. Trzeba przyznać, że ma wyczucie czasu.

– Myślisz, że ktoś za tym stoi? – zapytała Sofía, ścisząc głos.

– Ja nic nie myślę – mruknęłam, podchodząc do automatu z napojami, który stał przy windach. – Jego żona jest w ciężkim stanie, i tyle.

To byłby doskonały moment, żeby sięgnąć po diazepam albo paroksetynę. Ale zerwałam z nałogiem. Podjęłam nieodwołalną decyzję. Nie zachowałam nawet opakowania na sytuację awaryjną. Dopóki nie zapadnie ostateczny wyrok, nie zamierzałam zażyć ani jednej tabletki, pociągnąć ani jednego łyku alkoholu. Nie mogłam tego zrobić – i nie chciałam. Co potem, zobaczymy.

Wyjęłam monetę i włożyłam ją do automatu. Nacisnęłam guzik, usłyszałam odgłos spadającej butelki. Wzięłam ją do ręki, rozkoszując się zimnym plastikiem, i przyłożyłam do policzka, skoncentrowana przez chwilę na lodowatym chłodzie na mojej stwardniałej od blizn twarzy.

– Przed wejściem do sali widziałam błakającego się po korytarzu świadka – powiedziała Sofía, zmieniając temat. – Dlatego dawałam ci znaki.

– Kogo? – zapytałam krótko.

Nie zdążyła odpowiedzieć.

W naszą stronę zmierzał korytarzem bardzo młody i bardzo chudy chłopak o przyszczatej twarzy. Nie odbierałam jego telefonów, więc postanowił przyjść tu, gdzie mógł być pewien, że mnie znajdzie. Andrés Admira. Stał pewnie przy nas, jakby był u siebie w domu.

– Nie wiedziałem, że wystarczy pokazać dowód, żeby wejść do takich przybytków – powiedział, jakby chodziło o zwiedzanie muzeum. – Myślałem, że wstęp to Naczelnego Sądu Prowincji jest bardziej ograniczony.

Patrzył na mnie naburmuszony. Odkąd Moncada złamał mu nos, jego twarz straciła naiwny wyraz, który miała, kiedy go poznałam. Rysy mu się wyostrzyły.

– Gdybym wiedział, przyszedłbym wcześniej – zaznaczył.

– Powinni pobierać opłatę za wejście – odburknęłam. – Co tu robisz?

– Chciałem trochę poznać miejsce, w którym będę zeznawać – odpowiedział beztrąsko. – Żeby być przygotowanym, kiedy przyjdzie mi zeznawać, rozumiesz.

– Świadkowie nie mogą wchodzić do sali rozpraw, zanim nie zostaną wezwani do złożenia zeznań – wtrąciła Sofía. – Pamiętaj o tym, to bardzo ważne.

– Wiem, wiem, nie martw się – powiedział, tak jakby przepisy go nużyły.

– Jestem lekko zdezorientowana, bo mam wrażenie, że już o tym rozmawialiśmy – powiedziałam, po czym spojrzałam na moją współpracowniczkę, która z uwagą mi się przysłuchiwała. – Sofío, czy nie rozmawiałyśmy o tym z Andresem? Czy nie wyjaśniłyśmy mu, że nie może kontaktować się z nikim, kto ma jakikolwiek związek ze sprawą? I że nie może zjawiać się w sądzie?

– Owszem, dokładnie mu to wyjaśniłyśmy – odpowiedziała.

Andrés spojrzał na mnie obrażony.

– Dlaczego nie odbierasz ode mnie telefonów? – zapytał.

– Bo trwa proces i mam na głowie masę problemów, znacznie więcej, niż potrafisz sobie wyobrazić – odparłam, starając się zachować spokój. – A także, jeśli mam być szczerą, bo powiedziano mi, że spędzasz teraz wieczory w kasynie, i nie chciałam ci przeszkadzać.

Malujący się na jego twarzy uśmiech przeszedł w grymas irytacji. Było oczywiste, że ten chłopak ma wielkie problemy. Odniosłam jednak wrażenie, że pomimo rozmaitych kłopotów wszystko w życiu przychodziło mu zbyt łatwo. Podtrzymywała go solidna rodzinna sieć: mógł spokojnie kokietować uzależnieniem, udawać buntownika, upadać raz po raz, wiedział bowiem, że rodzina go podniesie. Nie chciałam go osądzać, ale nie potrafiłam powstrzymać ukłucia bólu i gniewu na widok tej całej niefrasobliwości przebranej za współczucie dla samego siebie.

– A skoro już mowa o telefonach – ciągnęłam – podobno masz mnóstwo nieodebranych połączeń od opiekunów z Almy, do których nie zdążyłeś oddzwonić. Na pewno więc rozumiesz i nie masz mi za złe, że ja sama do ciebie nie zadzwoniłam i nie odpowiedziałam na parę wiadomości.

– Skończmy już z tymi głupstwami – powiedział zdenerwowany, przysuwając się do mnie i do Sofii. – Jestem bardzo ważnym świadkiem. W zasadzie jestem jedynym świadkiem, który zezna to, na czym wam zależy: że wiedziałem z pierwszej ręki o groźbach otrzymywanych przez Alejandra od kierownictwa kasyna. Musisz mnie traktować z większym szacunkiem, mówię poważnie. Mógłbym z dnia na dzień zmienić zeznania.

Tylko tego brakowało. Teraz groził mi też osiemnastoletni smarkacz, maminsynek, nałogowy hazardzista głupi jak but. Widocznie mógł sobie na mnie używać każdy, kto chciał.

– Udam, że tego nie słyszałam, i wyjaśnię ci, jak to działa – odparłam. – Punkt pierwszy: to ty zaproponowałeś, że będziesz zeznawał. Nie ja cię szukałam, nie ja czekałam na ciebie o świcie pod domem, nie ja chlipałam, że chcę uczynić zadość sprawiedliwości i że te świnię z kasyna za wszystko zapłacą. Przypominam ci, na wypadek gdybyś zapomniał, że ty to zrobiłeś i ty to powiedziałaś. Punkt drugi: jeżeli wejdiesz do tej sali i dopuścisz się krzywoprzysięstwa, wpakujesz się w tak poważne kłopoty, że nawet twoi kochani staruszkowie nie będą mogli ci pomóc. Popęlnisz przestępstwo wymienione w Kodeksie karnym, za które możesz trafić do więzienia, więc dobrze się zastanów i lepiej uważaj. I punkt trzeci: nie odbierałam, bo wiedziałam doskonale, co chcesz mi powiedzieć. Masz mnie za idiotkę? Zależy ci wyłącznie na pieniądzach, chcesz, żebym zapłaciła ci za to, że będziesz dla mnie zeznawał. Teraz, kiedy znów grasz, potrzebujesz gotówki, a ja mam być twoim bankomatem: wciskasz guzik i dostajesz forszę. Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? Naprawdę myślisz, że dam ci pieniądze, żebyś mógł dalej grać? Nie mówiąc już o tym, co by było, gdybym to zrobiła i o całej sprawie dowiedziałyby się policja, prokuratura czy ktokolwiek inny; miałabym poważne problemy. Płacić świadkowi, żeby zeznawał? Cholera jasna. Ty i ja w ogóle nie powinniśmy ze sobą rozmawiać, a już zwłaszcza w tym miejscu.

– Niektórzy świadkowie dostają pieniądze za swoją pracę – zaprotestował.

– Dotarło do ciebie cokolwiek z tego, co powiedziałam? – przerwałam mu, zbliżając twarz na parę centymetrów od jego twarzy.

Jego oddech praktycznie zsynchronizował się z moim, słyszałam szybkie bicie jego serca tuż obok mojego. Miałam ochotę dać mu porządnego klapsa i przywrócić go do pionu, ale nie do mnie to należało. Nie mogłam chodzić po świecie, ratując wszystkie zbłąkane dusze, jakie napotkam na swojej drodze. Sofía próbowała złagodzić napięcie.

– Daj spokój, Ano, patrz na nas – zwróciła mi uwagę pojednawczym tonem.

Zobaczyłam w głębi korytarza Estebana Pardo, adwokata firmy ubezpieczeniowej, wraz z grupką osób, które się nam przyglądały.

Rozluźniłam zaciśnięte szczęki i cofnęłam się o dwa kroki. Skoncentrowałam się na chłodzie trzymanej w ręku butelki. Na odchodnym rzuciłam Andresowi:

– Jeżeli chcesz, żebym odbierała twoje telefony, sam najpierw odbieraj. Porozmawiaj z ludźmi z Almy, spotkaj się z nimi. Potem ja porozmawiam z tobą.

Przespacerowałam się bez celu po drugim piętrze, próbując odzyskać spokój. Za kilka minut miałam wrócić do sali i chociaż nie mogłam kontynuować przesłuchania, musiałam być skoncentrowana. Barver, Tomé i Andermatt na pewno szykowali jakiś numer, żeby zatrzeć obraz okrutnego despoty, na jakiego wyszedł Santonja po swoim ostatnim wystąpieniu.

Minęłam szatnię, w której wisiały togi. Przez uchylone drzwi dostrzegłam Ginesa Iglesiasa rozmawiającego z Adelą i dwoma mężczyznami w średnim wieku, prawdopodobnie kolegami z prokuratury. Ot, zwykła pogawędka. Może chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o chorobie jego żony. Pewnie wypadałoby, żebym weszła do środka i zdobyła się na kilka słów pociechy. Ale jak już kilkakrotnie powtarzałam, pożegnania są nie dla mnie, wydobywają ze mnie to, co najgorsze. Nagle przyłapuję się na tym, że prawie komunały i klepię utarte formułki, więc zaczynam nienawidzić samej siebie za to, że to robię, a moich rozmówców za to, że mnie do tego zmusili. Niektórzy nie znoszą wind czy samolotów, ja panicznie boję się pożegnań; przed każdym podchodzi mi do gardła niepokój. A to właśnie było pożegnanie. Nie przerywając rozmowy, Ginés spojrzał w moją stronę.

Sytuacja była niezręczna. W gruncie rzeczy nie miałam nic do zarzucenia temu człowiekowi, zresztą niczego mu też nie zawdzięczałam, a mimo to czułam, że mnie porzuca – choć nie do końca tak było – że zostawia mnie samą w walce ze złem. A jak powszechnie wiadomo, nie ma bardziej niszczycielskiego uczucia niż poczucie samotności.

Poszłam więc dalej i zatrzymałam się dopiero przed drzwiami sali numer dwa, w której odbywała się rozprawa. Przekląłam niepisaną zasadę, że nikt nie może wejść do środka, dopóki sędzia nie zajmie miejsca. Czekałam zniecierpliwiona, nie spuszczać wzroku z klamki. Nawet Sofia powstrzymała się od komentarza. Zobaczyłam, że kilka metrów dalej stoi młody Barver, syn i dziedzic. Zadałam sobie pytanie, jakiego rodzaju moralne zasady wpaja mu ojciec, choć, jak już mówiłam, nie mam prawa nikogo osądzać, a tym bardziej kogoś, kto odważył się sprowadzić na ten świat nową ludzką istotę.

Na szczęście nie musiałam długo czekać. Woźna sądowa wpuściła nas do środka. Druga część rozprawy rozpoczęła się od krótkiej pogadanki wygłoszonej przez Barriosa do przysięgłych. Sędzia wezwał ich, by przy podejmowaniu decyzji starali oprzeć się na faktach i dowodach, a nie na emocjonalnych wybuchach – których notabene, nie powinno się tolerować. Zganił mnie publicznie za moje zachowanie. Przypomniawszy też głównemu oskarżonemu, że nie może wstawać podczas składania zeznań, a już zwłaszcza wyrażać się w agresywny sposób i ciskać pogrożek.

Santonja schował dumę do kieszeni i zapytał, czy może powiedzieć kilka słów do osób zebranych w sali. Widać było, że podczas przerwy adwokaci porządnie wytargali go za uszy. Chciał jak najszybciej naprawić swój błąd. Sędzia udzielił mu głosu, prosząc, żeby mówił krótko.

– Bardzo dziękuję, Wysoki Sądzie – zaczął, pochylając głowę niczym w geście pokuty. – Chciałbym przeprosić wszystkich obecnych za moje krzyki sprzed przerwy. Jest to zachowanie niedopuszczalne. Nigdy nie byłem człowiekiem porywczym, ale ten proces od miesiący szarpie mi nerwy i tylko to tłumaczy, dlaczego zareagowałem w tak niewłaściwy sposób. Proszę o wybaczenie Wysoki Sąd, członków ławy przysięgłych, wszystkich prawników, a zwłaszcza mecenas Tramel; gorąco proszę, żeby zechciała pani przyjąć moje przeprosiny.

Spojrzał na mnie z pokorą. Oddawał mi gorący kartofel. Wiedział doskonale, że przyjęcie jego przeprosin będzie mnie dużo kosztowało, ale jeśli ich nie przyjmę, wyjdę na osobę nietolerancyjną. Musiałam zareagować, udzielić mu jakiejś odpowiedzi.

– Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie. Rzecz jasna, rozumiem, że pan Santonja jest niezadowolony z powodu swojego wybuchu; tak, ja sama oniemiałam, widząc jego reakcję. Przyjmuję przeprosiny. Co więcej, ja także chcę go przeprosić, jeżeli poczuł się urażony moimi pytaniami podczas przesłuchania.

– To pani praca, nic się nie stało – odpowiedział natychmiast i zadowolony podniósł głowę: wszystko zostało naprawione i znów byliśmy przyjaciółmi. – Jak mówią sportowcy, to, co dzieje się na boisku, zostaje na boisku. Bez urazy.

W tym momencie zadałam sobie pytanie: do jakiej kategorii adwokatów należę?

Pytanie mogło się wydawać retoryczne, ale bynajmniej takie nie było. Dokładnie w tym momencie w moim wnętrzu przecinały się dwie linie, które wiele osób uznałoby za sprzeczne, ale według mnie idealnie się uzupełniały. Z jednej strony robiło mi się niedobrze od słuchania Santonji. Z drugiej, w mojej głowie zapaliło się światełko: potrzebowałam jakiegoś pretekstu pozwalającego mi opuścić tę salę na co najmniej dwadzieścia cztery godziny bez jakichkolwiek wyjaśnień. Teraz nadarzała się ku temu okazja.

Przysięgam, że obie rzeczy – ogromna złość na tego człowieka i potrzeba znalezienia sposobu na opuszczenie sądu bez wzbudzania niczyich podejrzeń – współistniały w mojej głowie, ścierały się z ogromną siłą.

Odpowiedź była oczywista: należę do adwokatów, którzy nie potrafią milczeć, kiedy na ich oczach dzieje się niesprawiedliwość. A jednocześnie do tych, którzy na poczekaniu potrafią wymyślić niespodziewaną strategię.

– Ma pan całkowitą rację, panie Santonja, to moja praca – zgodziłam się z nim. – Jednak w sprawie, którą się zajmujemy, dochodzi jeszcze element osobisty, przyznaję, nie sposób o tym zapomnieć. Choć bardzo tego żałuję i choć bardzo staram się o tym nie myśleć, fakt, że muszę stać twarzą w twarz wobec człowieka, który doprowadził do ruiny mojego brata, który mu groził, stosował wobec niego przymus i wymuszenie rozbójnicze i pchnął go do

samobójstwa, wykorzystując jego chorobę uzależnienia od hazardu, sprawia, że robi mi się niedobrze. Nic na to nie poradzę.

– Wysoki Sądzie! – wykrzyknęli jednocześnie Barver i Andermatt.

Santonja spojrział na mnie wytrzeszczonymi oczami. Zniżył się do tego, żeby prosić o wybaczenie, upokorzył się (we własnym mniemaniu), a ja odpowiadałam mu atakiem, obelgami i pogardą. Wyglądał, jakby skręcał się ze złości, walczył sam ze sobą, żeby nie skoczyć mi do gardła – jakby jedna niewidzialna siła mówiła mu „nie rób tego”, a inna, znacznie potężniejsza, popychała go, by rozwiązał to tak jak zawsze, w sposób godny despoty. Interesujący dylemat: postępować, tak jak wypada, czy pozwolić, by pokierował tobą instynkt.

– Pani mecenas! – zawołał sędzia podniesionym głosem.

Zignorowałam Barriosa, wiedząc doskonale, co się zaraz wydarzy, i nadal mierzyłam wzrokiem Santonję. Na moment stanął mi przed oczami wybuch Felipe w sądowym holu parę miesięcy wcześniej. Niewiele myśląc, zapytałam wprost:

– Panie Santonja, proszę nam powiedzieć, czy mojego brata także prosił pan o wybaczenie tego, że powoli wysysał pan z niego krew, kropla po kropli? Czy robił pan tę samą niewinną minę co przed chwilą, a zniszczywszy mu życie, powiedział: nic się nie stało, to moja praca?

– Przerывam posiedzenie! – obwieścił stanowczym tonem Barrios. – Mecenas Tramel, nie ma pani prawa głosu. Ostrzegam, proszę zachować milczenie.

– Czy po dwóch latach prześladowań, wyłudzenia pieniędzy i grózb Alejandrowi Tramelowi także powiedział pan: bez urazy, to, co dzieje się na boisku, zostaje na boisku? – pytałam, prąc dalej, niepowstrzymanie.

– Woźna, proszę wezwać policję! – krzyknął sędzia. – Natychmiast!

Nie zamierzałam przerwać. Nikt ani nic nie mogło zmusić mnie do milczenia. Ścisnęłam w dłoni butelkę – pękła, oblałam się lepłą cieczą. Na koniec wstałam i wskazałam na niego.

– Czy chce pan jeszcze za coś przeprosić, panie Santonja? Chce pan przeprosić za zrujnowanie życia jeszcze komuś? Za to, że szantażował pan i prześladował innych klientów kasyna? Ma pan teraz okazję, zamieniamy się

w słuch.

Do sali weszli dwaj policjanci, szukając wzrokiem mierzącego z pistoletu przestępcy czy kogoś w tym rodzaju. Widok rozsierdzonej adwokat po czterdziestce wyraźnie ich uspokoił.

– Panowie, proszę wyprowadzić mecenas Tramel z sali – powiedział Barrios tonem kogoś, kto na co dzień i bez wielkich ceremonii wydaje rozkazy. – Kilkakrotnie zostało jej odebrane prawo głosu, a mimo to odmawia podporządkowania się instrukcjom sędziego.

Policjanci ruszyli w moją stronę niezadowoleni (powiedziałabym raczej: rozczarowani), że gnali tu na złamanie karku z powodu takiego głupstwa.

Santonja nie zareagował, nie ruszył się z miejsca, nic nie powiedział. Zatkąło go, ale się pohamował. Spojrzał na mnie i w niemal niedostrzegalny sposób poruszył ustami, nie wydając żadnego dźwięku, który mógłby zostać wyłapany przez mikrofon. Wyartykułował jedno słowo, które odczytałam tylko ja: frajerka. Ku satysfakcji swoich adwokatów zdołał zachować spokój. Jednak nie wyglądał na szczególnie zadowolonego; wolałby mnie pewno spoliczkować, pokazać mi, gdzie moje miejsce.

Opuszczając w milczeniu salę, eskortowana przez dwóch policjantów, poszukałam wzrokiem przysięgłej numer cztery. Kobieta patrzyła na mnie oszołomiona. Pomyślałam z lękiem, że mogłam stracić i ją. Ale w ostatniej chwili, kiedy już ruszałam w stronę wyjścia, lekko skinęła głową – odczytałam ten drobny gest jako przejaw zrozumienia, może nawet aprobaty.

Kurczowo uczepliłam się tego gestu. Na razie w tej sali nie zostało mi nic więcej.

– Wiesz, co robisz, czy zupełnie ci się pomieszało?

Zdobyłam się na coś na kształt uśmiechu i przeciągnęłam szczotką po długich gęstych włosach dziewczynki. Dawno tego nie robiłam. To jedna z najbardziej relaksujących czynności, jakie znam; aż dziw, że terapeuci nie zalecają jej jako środka na depresję i zaburzenia lękowe – a może zalecają, tylko o tym nie wiem, jak zresztą o wielu innych rzeczach.

– Mamo, nie rozpraszaś Any – zaprotestowała dziewczynka.

Rozczesywałam długie jasne włosy Aitany na ganku ich domu, bacznie obserwowana przez Conchę. Było duszne popołudnie bez najłżejszego powiewu wiatru, przytłaczający upał z ostatnich dni jeszcze się wzmógł.

– Masz niesamowitą czuprynę – powiedziałam.

– Czupryna – uśmiechnęła się. Słowo najwyraźniej jej się spodobało.

– Pięknie – nie ustępowała Concha – ale byłoby świetnie, gdybyś zechciała mi wytłumaczyć swoje dzisiejsze zachowanie w sądzie. Oczywiście jeśli istnieje.

– Czasem robimy to, co musimy, nie bacząc na konsekwencje.

– Nie kupuję tego – ucięła Concha.

– Co to są konsekwencje? – zapytała Aitana. – Rozczesuj dalej.

– Rozczesuję, zrobił ci się mały kołtun – zauważyłam. – Konsekwencje to to, co cię spotyka, kiedy zrobisz coś złego.

– Na przykład, kiedy mama daje mi karę za to, że kłóczę się z Rosą – wywnioskowała mądrze dziewczynka.

– Właśnie – powiedziała Concha. – Otóż ciocia Ana jest bardzo inteligentną prawniczką i kiedy robi coś w pracy, zawsze wie, jakie będą tego konsekwencje. Dziś nie posłuchała sędziego, który rządzi na sali rozpraw, a do tego zaczęła bez powodu krzyczeć, chociaż wie, że poniesie z tego

powodu konsekwencje.

– Nie wolno krzyczeć – ostrzegła mnie Aitana. – Musisz uważać. Kiedyś na wuefie pani kazała mi biegać dookoła dziedzińca za to, że nakrzyczałam na Susanę Bodegas z trzeciej b, która zawsze się mądrzy i myśli, że jest lepsza od innych.

– Mnie też dzisiaj ukarano – przyznałam. – Zostałam wyrzucona z klasy.

– A należało ci się? – zapytała dziewczynka.

Concha rzuciła mi znaczące spojrzenie. Wzięłam szczotkę i pocałowałam Aitanę w czoło.

– No już, gotowe – oznajmiłam. – Wyglądasz prześlicznie.

– Ale należało ci się czy nie? – powtórzyła.

– Hm, prawdę mówiąc... chyba należało, byłam dość niegrzeczna – przyznałam.

Aitana podskoczyła, jakby moja odpowiedź sprawiła jej dużą radość, i wbiegła do domu, pokrzykując:

– Ciocia Ana była niegrzeczna i dostała karę! Ciocia Ana była niegrzeczna i dostała karę!

Usłyszałyśmy przez okno, że Rosa przyłącza się do siostry – obie zaczęły wołać, zanosząc się śmiechem:

– Ciocia Ana jest bardzo niegrzeczna!

I znowu śmiechy.

– Wyjaśnisz mi to wreszcie? – zapytała Concha.

Popatrzyłam na nią z uwagą. Moja stara przyjaciółka ze studiów, która ratowała mnie w najgorszych momentach życia, która ukryła przede mną tyle rzeczy, w tym swój romans z Alem i piekło, jakiego doświadczyła z Felipe, moja ukochana towarzyszka przygód, z którą dzieliłam tyle dobrych i złych chwil, stała przede mną, oczekując, że wytłumaczę się ze swojego zachowania. Jej nie mogłam oszukać; wiedziała doskonale, że nie ścirowałabym przed sędzią, gdyby to nie był element jakiejś strategii.

– Chcę, żebyś wróciła – powiedziałam.

– Gdzie?

– Do Tramel i Wspólnicy. Nadal jesteś główną wspólniczką, masz pięćdziesiąt procent udziałów. Kiedy podpisywałyśmy umowę, taki był twój wkład, a o ile wiem, na razie jej nie zmieniliśmy.

Concha wyglądała na zdziwioną.

– To tylko papier – mruknęła. – Obie wiemy, że umowa przestała obowiązywać, kiedy za twoimi plecami podpisałam ugodę z Felipe, przestałam dotrzymywać finansowych zobowiązań, a na domiar złego odsunęłam się od procesu.

– Nie zgadzam się z tobą. Umowa nadal obowiązuje. Po prostu wzięłaś sobie kilka miesięcy wolnego, żeby uporządkować sprawy osobiste. Ale teraz firma cię potrzebuje. Ciebie. Nie twoich pieniędzy.

– Dlaczego?

– Bo zostałam wyprowadzona przez policję z sali rozpraw. Odebrano mi prawo głosu aż do odwołania. Sofía będzie musiała wziąć to na siebie, przemawiać w imieniu oskarżenia prywatnego. Obie wiemy, że sama nie zdoła poprowadzić tej sprawy, nie jest jeszcze gotowa. Chciałabym, żebyś była przy niej i służyła jej radą. Masz aż nadto doświadczenia. Znałaś Alego i prawdopodobnie lepiej niż ktokolwiek wiesz, co się z nim działo. W dodatku jesteś jedyną osobą, której ufam... i która bez problemu włączy się do sprawy na tym etapie postępowania.

– Chcesz mi powiedzieć, że znowu mogę być twoją wspólniczką na tych samych warunkach co trzy i pół miesiąca temu? Bez wkładu finansowego? Bez przeproszenia? Mimo że zostawiłam cię na lodzie, kiedy mnie potrzebowałeś?

Zachodziło słońce, ostatnie promienie gasły za horyzontem wyznaczonym przez okalające willę ogrodzenie. Za nim rozciągało się olbrzymie osiedle białych niskich domków z basenami, otoczonych trawnikami w kolorze ochry; mieszkaly tam rodziny mające swoje sekrety, przeżywające swoje tragedie (jak wszyscy), próbujące sobie jakoś radzić w życiu.

Poczułam, że ogarniają mnie wzruszenie i melancholia. Zdarza mi się to nieraz o zmierzchu, niezbyt często, ale od czasu do czasu, zwłaszcza kiedy siedzę z najlepszą przyjaciółką i widzę, że wcale tego nie chcąc, oddaliłyśmy się od siebie – a winni byli inni ludzie, odległe wydarzenia albo po prostu samo życie.

– Moim zdaniem pieniądze i przeprosiny to dziś dwie najbardziej przereklamowane rzeczy – powiedziałam. – Jasne, że nie tylko możesz wrócić do kancelarii, jeżeli w ogóle tak ją można nazwać, nie tylko nie wymagam od ciebie żadnego wkładu ani przeprosin, ale błagam cię, żebyś wróciła. Mówiłam poważnie: potrzebuję cię. Jeśli chcesz, mogę sformułować to bardziej oficjalnie: kancelaria Tramel i Wspólnicy cię potrzebuje.

– Potrafisz cholernie dobrze manipulować ludźmi – stwierdziła z uśmiechem.

– To samo usłyszałam niedawno od Santonjy – odparłam.

Gdybym należała do osób, które rozdają uściski na prawo i lewo, byłby to doskonały moment, żeby Conchę przytulić. Zamiast tego wstałam i spojrzałam na ostatnie podrygi słońca, które rozmywało się nad ogrodzeniem.

– Sędzia Barrios odebrał mi głos na czas nieokreślony – powiedziałam.

– Co zamierzasz?

– Nie pojawiać się na sali rozpraw przez dwadzieścia cztery godziny, może dłużej, a potem, kiedy wszystko zacznie się walić w sposób na pozór nieodwołalny, poprosić, żeby pozwolił mi wrócić.

– Jeśli mam być szczerą, nie jest to jakiś świetny plan.

– Jutro zeznają biegli zgłoszeni przez oskarżenie – powiedziałam. – Sofía starannie się przygotowuje, ale musisz tam być i jej pomagać.

– A co ty w tym czasie będziesz robiła? Czekala pod salą?

– Dobrze wiesz, że nie lubię czekać. W związku ze sprawą muszę odbyć krótką podróż.

– Czułam, że coś knujesz.

– Znasz mnie – stwierdziłam obojętnie.

– Jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć, zanim się zgodzę?

Kiwnęłam głową. Szczerze mówiąc, przyszło mi na myśl wiele rzeczy.

– Powinnaś wiedzieć, że sytuacja nie przedstawia się najlepiej – odpowiedziałam. – Kradną nam świadków. Została poważnie podważona wiarygodność głównego dowodu w sprawie. Kilka godzin temu prokurator odszedł ze stanowiska z powodu problemów osobistych. A kilkoro członków

ławy przysięgłych jest przekonanych, że oskarżycielka to histeryczka, która kieruje się chęcią zemsty albo żądzą pieniędzy. Tak to wygląda w ogólnym zarysie.

– Widzę, że trafiła mi się niezła gratka.

– Jeżeli wygramy, to będzie cud – zapewniłam. – Mnie w każdym razie siostry od Najświętszego Serca uczyły, że cuda się zdarzają.

Ktoś wskoczył do basenu na tyłach domu. Przerwałam myśl.

– Jimena? – zapytałam.

Concha skinęła głową, nasłuchując.

– Co u niej? Nadal jesteście skłócone?

– Można powiedzieć, że zawarłyśmy rozejm – odparła. – Przez całe lato robię, co sobie zażyczy, gotowa na każde jej skinienie: wożę ją do koleżanek i przywożę z powrotem, powtarzam z nią trzy przedmioty, z których ma poprawki we wrześniu, nie narzucam jej się, ale zabieram ją na zakupy, do kina czy na lunch, kiedy ma ochotę. Trochę się uspokoiła.

– To musi być wyczerpujące.

– Owszem. Myślę, że obie chciałybyśmy przejść do następnego etapu. I dać mi szansę powrotu do pracy.

– A Felipe? – zapytałam.

– Odkąd podpisaliśmy ugodę, spędził z dziewczynkami tylko jeden weekend, mimo że ma prawo widywać je co dwa tygodnie. Dziwnym trafem wynikło mu w pracy mnóstwo problemów. Szczerze mówiąc, myślę, że czuje ulgę. Zwłaszcza kiedy okazało się, że został skazany na rok więzienia, ale nie musi odsiadywać kary. To go trzyma w ryzach: wie, że jeden głupi wybryk, a pójdzie za kratki.

– Nie dziwię się, że czuje ulgę. Spadł na cztery łapy i zgarnął niemal całą kasę – mruknęłam. – Przepraszam, to silniejsze ode mnie, wszystko się we mnie gotuje, kiedy o tym pomyślę.

– Rozumiem, ale musiałam zacząć nowy rozdział i dopilnować, żeby mnie przyznano opiekę nad dziewczynkami. Stało się.

Co do tego akurat miała rację: stało się, nie było odwrotu, a nawet gdyby był, Concha i tak na pewno postąpiłaby tak samo.

– Mamo, pouczę się trochę przed kolacją – powiedziała Jimena, która pojawiła się u stóp ganku z mokrymi włosami, owinięta ręcznikiem. – Cześć, Ana.

Nie widziałam jej, odkąd zeznawała w sądzie. Była śliczną dziewczyną o wyzywającym spojrzeniu, a w jej udręczonej duszy kłębiła się masa sprzecznych uczuć. Zadałam sobie pytanie, ile błędów popełni w najbliższych latach. Na pewno dużo, tyle samo co my w jej wieku, a może jeszcze więcej. Chętnie przestrzegłabym ją przed niektórymi, ale to nie był odpowiedni moment, zresztą lepiej było okazać jej gotowość wsparcia, w razie gdyby powinęła jej się noga, niż próbować powstrzymać ją przed wyjściem w świat i popełnieniem błędów.

– Cześć – powiedziałam. – Jeżeli będziesz potrzebowała pomocy przy analizie tekstu albo rozbiorze logicznym zdania, daj znać. Kiedyś byłam w tym całkiem niezła, coś jeszcze pamiętam.

– Dzięki – odparła obojętnie. – Będę w pokoju.

Odeszła tak, jak się pojawiła – idąc boso przez trawnik, bokiem – jakby ślubowała grzeczność, co do której nie była przekonana, ale którą w końcu zaakceptowała, w nadziei że wszyscy dadzą jej święty spokój. Doskonale zrozumiałam pojęcie „rozejmu”, o którym wspomniała Concha. W końcu Jimena nadal była tylko nastolatką, nie mogliśmy oczekiwać, że z dnia na dzień zacznie okazywać entuzjazm i otwartość.

– Przed tobą kilka ciekawych lat – powiedziałam, wzdychając.

– A potem przyjdzie kolej na dwie pozostałe – przytaknęła Concha.

Przyrzekłam sobie, że bez względu na to, co się między nami wydarzy – a wiedziałam, że wydarzy się wiele – nie zostawię jej samej z trzema dziewczynkami.

– Powiedz mi lepiej – zmieniła temat – co słyhać u twojego przyjaciela Santonjy.

– Nakrzyczał na mnie w sali sądowej i wygrażał mi w obecności wszystkich, a mimo to wyszedł z przesłuchania obronną ręką – odpowiedziałam. – Ma siedem żyć, jak kot.

– Prokuratura go nie docisnęła?

– Sofía powiedziała, że po tym, jak wyrzucono mnie z sali, rozpoczął się

festiwal Santonjy. Oczywiście Barver i pozostali obrońcy zdołali przedstawić go jako głowę rodziny, człowieka życzliwego, przejętego losami bliźnich, świętego niemal. A potem prokurator, bezbarwna Adela Fernández, która będzie tym kierować przez resztę procesu, zadała mu jedynie kilka rutynowych pytań, niczego nie osiągając. Nie możemy wiele się po niej spodziewać.

– Marnie to wygląda. Powiedz mi, że przynajmniej przysięgli cię lubią.

– Trudno stwierdzić. Wydaje mi się, że jest jedna starsza pani, numer cztery, która nie czuje do mnie nienawiści. Jeśli chodzi o resztę, nie dałabym sobie za nich ręki uciąć.

Przez chwilę obie wpatrywałyśmy się w horyzont i w zachodzące słońce. Od wczesnego dzieciństwa zmierzchy są dla mnie czymś hipnotyzującym, wyjątkowo godnym uwagi; wciąż reaguję na nie tak samo jak wtedy, kiedy miałam pięć lat.

– Zostawiłam ci przy drzwiach segregator. Ponad osiemset kartek – powiedziałam. – Wybór dowodów i zeznań oraz postępy w sprawie do dnia dzisiejszego.

– Widzę, że czeka mnie długa noc.

Concha doskonale się na tym znała. Analiza raportów i wyroków świetnie jej wychodziła, zawsze była kujonem. Na pewno odkryje coś nowego, co umknęło naszej uwadze.

– Musisz być o ósmej rano w kawiarni przy ulicy Santiago de Compostela, naprzeciwko sądu – mruknęłam. – Omówicie z Sofią szczegóły i przygotujecie strategię na ten dzień.

– Rozumiem, że ty się nie zjawisz.

– O tej porze powinnam już wsiadać do samolotu – odparłam.

– Zdradzisz mi, dokąd się wybierasz?

– Powiedzmy, że lecę szukać igły w stogu siana.

– Uwielbiasz być zagadkowa.

– Cóż, każdy ma jakiś styl.

– Jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć, zanim wrócę do sprawy? – zapytała.

– Tak, jedna rzecz: praca kancelarii finansowana jest z brudnych pieniędzy zarobionych przez działającego nielegalnie bukmachera. Ten człowiek nazywa się Friman. Pewnie go kojarzysz, bo Ale czasami chodził grać do niego w pokera. To on próbował przed świętami oskubać niefrasobliwego Gerarda – odpowiedziałam. – W końcu Hollywood zostało podobno zbudowane z pieniędzy mafii, więc dlaczego ja miałabym wybrzydzać nad takimi źródłami finansowania. Tyle że jesteśmy mu winne – w liczbie mnogiej – czterdzieści kafli, plus dziesięć procent zasądzonego odszkodowania, o ile takowe zostanie przyznane.

– Widzę, że sporo się działo – stwierdziła Concha. – Skąd miałaś pewność, że się zgodzę? Przecież ostatnim razem, kiedy się widziałyśmy, zostawiłam cię na lodzie. Skąd wiedziałaś, że znowu wsiądę na statek, który nabiera wody ze wszystkich stron?

– Nie wiedziałam. Ale nie miałam się do kogo zwrócić. Poza tym wydawało mi się, że wciąż bolejesz nad tym, co spotkało Alego.

Dwie stare przyjaciółki desperacko uczepione ideału sprawiedliwości. Tylko to nam zostało. To i dalsze przyjmowanie ciosów, do ostatniego tchnienia.

Na naszych oczach pomarańczowe światło przybrało odcień bladoniebieski. Zapadała noc.

W miarę jak się zniżaliśmy, mgła gęstniała. Pomyślałam, że może będziemy musieli zawrócić, ale lądowanie przebiegło zgodnie z planem. Wydałam zduszony okrzyk, czując turbulencje. Drobnym mężczyzną siedzący obok mnie był tak samo wystraszony – przełknął ślinę, zapał się mocno łokciami i przywarł głową do fotela. Postanowiłam zrobić to samo.

Dwadzieścia parę minut po turbulencjach, w czasie których mój żołądek raz po raz kurczył się niczym akordeon, gwałtownie pchnęłam drzwi toalety w sali przylotów lotniska w San Cristóbal de La Laguna na Teneryfie i zwymiotowałam resztki kolacji i śniadania. Czułam się koszmarnie. Na samą myśl o tym, że za kilka godzin mam ponownie wsiąść do samolotu, znów zrobiło mi się niedobrze. Musiałam skupić się na celu podróży. Jak żołnierze piechoty, którzy za chwilę mają zejść na ląd, by przystąpić do walki: nie przeżyję, a tym bardziej nie wygram tej bitwy, jeżeli będę zaprzętać sobie głowę strachliwymi myślami o niepewnej przyszłości. Liczyło się tylko tu i teraz.

– Do La Laguny – powiedziałam taksówkarzowi. – Związek Architektów pod wezwaniem Najświętszego Sakramentu.

– Jak pani każe, szefowo – odparł kierowca, młody chłopak około dwudziestki o ciemnej karnacji, ogolony na zero.

Postanowiłam nie wynajmować samochodu. Nie znałam tutejszych dróg, nie chciałam ryzykować. Uznałam, że taksówka będzie najlepszym rozwiązaniem. Kiedy wjeżdżaliśmy na wielopasmową autostradę, przeczytałam wiadomości w komórce. Sofía i Concha wysłały mi kilka przed wejściem na salę rozpraw – powtarzały, żebym się o nic nie martwiła. Zapewniały, że mają wszystko pod kontrolą – co właściwie nic nie znaczyło, ale przynajmniej wiedziałam, że są razem i że obie wezmą udział w rozprawie. Dostałam też trzy wiadomości od Heleny; pytała, czy bezpiecznie doleciałam, i inne takie.

– Wypoczynek czy praca, szefowo? – zapytał taksówkarz.

Spojrzałam na jego odbicie w lusterku wstecznym. Wyglądał na sympatycznego, nieszkodliwego chłopaka, który próbował być miły.

– Potrzebuję kierowcy do dziewiętnastej – powiedziałam. – Jesteś wolny?

Moja propozycja go zaskoczyła.

– Musiałbym zapytać, proszę pani – odparł z wahaniem. – To nie zależy ode mnie, samochód nie jest mój.

– W takim razie pytaj, śmiało.

– Musiałbym policzyć pani od godziny, to będzie kosztowało majątek – uprzedził.

– Ile?

– Hm... Myślę, że... Lepiej będzie, jak o to też zapytam – uznał.

– Tak, tak będzie najlepiej – zgodziłam się. – Dzwoń, do kogo masz dzwonić.

– Zaraz staniemy i zadzwonię do wujka – wyjaśnił. – Niebezpiecznie jest rozmawiać, prowadząc. Ostatnio dostałem mandat za to, że rozmawiałem, czekając na światłach, uwierzy pani? To głupota. Po prostu rozmawiałem przez kilka chwil na czerwonym świetle, a wlepiono mi sześćdziesiąt euro, wyobraża pani sobie...?

– Mam bujną wyobraźnię.

Teraz to on spojrzał na moje odbicie w lusterku wstecznym. Widać było, że ma ochotę spytać, po co przyleciałam, o co w tym wszystkim chodzi, dlaczego chcę go wynająć na kilka godzin, kim jestem, skąd mam te blizny na twarzy. Ale się pohamował.

– Jeżeli pani chce, mogę później zabrać panią na wycieczkę po La Lagunie – zaproponował. – Wie pani, że tutejszy uniwersytet ma ponad trzysta lat? Miasto zostało wpisane na listę światowego dziedzictwa ze względu na kolonialną zabudowę. Ludzie myślą, że Teneryfa to tylko plaże i słońce, ale proszę mi wierzyć, że jest tu dużo do obejrzenia.

– Pojedziemy do Związku Architektów, to wszystko.

– Oczywiście, proszę pani, za chwileczkę będziemy na miejscu. Ma pani rodzinę na wyspie? Jakichś krewnych?

– Jak masz na imię? – przerwałam mu.

– Toni, do usług. Kiedy tylko staniemy, zadzwonię do wujka i jeśli się zgodzi, chętnie pojeżdżę z panią do dziewiętnastej. Ale zrobimy sobie po drodze przerwę na obiad, prawda? Kiedy przez kilka godzin nie mam nic w ustach, robię się nie do wytrzymania... Pani tak nie ma? Na plaży tutaj niedaleko jest bar, gdzie podają świeżo złowione ryby z grilla, sargusy, pagrusy, smuklice, przepyszne.

– Toni, będę wdzięczna, jeżeli przez resztę drogi nie będziemy rozmawiać. Myślisz, że to możliwe?

– Oczywiście, matka też mi to mówi: Toni, buzia ci się nie zamyka, mógłbyś chociaż na chwilę przestać. Myślę, że to geny, mój wujek i dziadek są tacy sami: jak już się rozkręcą, nikt ich nie uciszy.

– Toni – powtórzyłam uprzejmie, przykładając palec do ust. – Nie rozmawiamy.

Skinął głową. Nie należał do osób, które łatwo się obrażają. Musiało go to sporo kosztować, jednak nie odezwał się słowem, dopóki nie dotarliśmy do zielonego ogrodzenia, za którym wznosił się budynek Związku Architektów pod wezwaniem Najświętszego Sakramentu. Stare kolonialne domiszcze pomalowane na różowo stało przy szerokiej alei. Toni zaparkował kilka metrów od wejścia. Kiedy szłam do bramy, otwartej, dzwonił do wujka. Poprosiłam, żeby na mnie zaczekał. Nie wiedziałam, ile mi to zajmie.

Zajrzałam przez kraty ogrodzenia: duży dziedziniec, trawnik, kilka drzew. Uznałam, że w stojącym za nimi budynku muszą mieścić się biura. Z informacji, które przekazał mi M., wynikało, że to prywatne stowarzyszenie, korzystające z niewielkiego wsparcia lokalnych władz, a dbające przede wszystkim o interesy członków – architektów płacących miesięczne składki. Zatrudniało na stałe około dwudziestu pracowników, ale w sierpniu zostawała mniej niż połowa, dokładnie osiem osób. Przed południem sześcioro z nich średnio dwa razy wychodziło na dziedziniec, żeby zapalić, pojedynczo albo w małych grupkach. Do tej szóstki należała też Paula Casañas, kobieta, z którą przyleciałam się zobaczyć i którą zamierzałam zagadnąć, gdy tylko się pojawi.

Gdybyśmy trafili na ten trop kilka tygodni wcześniej, nie musiałabym pokonywać w jeden dzień pięciu tysięcy kilometrów w obie strony, a przede

wszystkim nie musiałabym tego robić w środku procesu. Ale dopiero teraz udało nam się namierzyć tę kobietę, dopiero teraz współpracownik M. ustalił jej zwyczaje, a ja uznałam, że warto spróbować. Można wręcz powiedzieć, że mieliśmy szczęście – gdyby Paula jak większość pracowników wzięła urlop w sierpniu, nie miałabym takiej szansy. Nie wiedziałam, czy cokolwiek zwojuję, ale mój nos podpowiadał mi, że coś jest na rzeczy. Gdybym przysłała tu M. albo inną osobę, na pewno niczego bym nie wskórała. Musiałam zrobić to sama, choć oczywiście nie miałam gwarancji, że Paula zechce ze mną porozmawiać.

Podeszłam do budynku i kręciłam się przy wejściu pozornie bez celu. Ponownie obejrzałam na komórce trzy zrobione niedawno zdjęcia Pauli. Zgodnie z uzyskanymi informacjami miała teraz trzydzieści osiem lat, chociaż na fotkach wyglądała na trochę więcej, głównie z powodu worków pod oczami i zbyt zwiędłej jak na ten wiek cery (choć akurat ja nie powinnam wypowiadać się na temat niczyjej cery). Usłyszałam dobiegające ze środka głosy: chwilę później z budynku wyszli elegancko ubrani mężczyzna i kobieta i zapalili. Zerknęłam kątem oka: młoda dziewczyna o rudych włosach zebranych w kok w niczym nie przypominała Pauli.

– Mogę pani w czymś pomóc? – zapytał mężczyzna.

– Hm? – odpowiedziałam, udając zaskoczenie. – Nie, dziękuję, to znaczy... Chciałam tylko dowiedzieć się czegoś o stowarzyszeniu. Jestem tu od niedawna.

– Jest pani członkiem stowarzyszenia?

– Jeszcze nie. Jak mówię, jestem tu od niedawna.

– To widać – powiedziała z uśmiechem ruda. – Po ubraniu.

Zwróciłam uwagę na ich jasne stroje, z lnu czy podobnego materiału. Ja miałam na sobie ciemne ciuchy – z bardzo przewiewnej tkaniny, jak zapewniała sprzedawczyni, jednak moi rozmówcy poznali od razu, że jestem nietutejsza.

– Tak, jeszcze nie przywykłam do tej wilgotności – odpowiedziałam przyjaznym tonem.

Kiedy rozmawialiśmy, na dziedziniec wyszły kolejne trzy osoby, dwóch mężczyzn i starsza kobieta; poczęstowali się papierosami. Udając, że

sprawdzam coś w telefonie, przygotowywałam się na spotkanie z Paulą – z całej szóstki tylko ona nie wyszła jeszcze zapalić, na pewno miała to uczynić wkrótce. Poczułam skurcz w żołądku. Czułam na sobie spojrzenia obecnych. Moje bliźni wciąż zwracały uwagę. Nie mogłam mieć im tego za złe – starali się być dyskretni, ale nie co dzień widuje się taką twarz.

Sytuacja zaczynała stawać się trochę krępująca. Widać było, że nie mam tu nic do roboty. Początkowe zainteresowanie zaczynało ustępować miejsca podejrzliwości. Postanowiłam przetrzymać nawałnicę. Paula musiała przecież wkrótce wyjść. Zobaczyłam, że czekający za ogrodzeniem Toni nie rozmawia już przez telefon. Spojrzał na mnie z uśmiechem, pomachał mi ręką i podniósł w górę kciuk; pewnie rozmowa z wujkiem dobrze mu poszła. Szkoda tylko, że nie pomagał mi pozostać niezauważoną. Odpowiedziałam mu lekkim skinieniem głowy i odwróciłam wzrok.

Pierwszych dwoje, ci, z którymi zamieniłam kilka słów, mieli już chyba zamiar wrócić do biura. Pożegnali się z pozostałymi i weszli do budynku. Gdzie się podziała Paula? Dlaczego wyszli zapalić wszyscy oprócz niej? Spojrzałam na trójkę pracowników stojących przy drzwiach.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziałam. – Czekam na kogoś, żeby zasięgnąć informacji. W jakich godzinach przyjmują państwo latem?

– Do czternastej – odpowiedziała starsza kobieta.

– Jeżeli możemy pani w czymś pomóc... – zaproponował mężczyzna z gęstą siwą brodą.

Już miałam odpowiedzieć, że nie – wolałam zaskoczyć Paulę – kiedy zobaczyłam coś, co zmusiło mnie do zmiany planów. Przed bramą po drugiej stronie ogrodzenia na środku ulicy zatrzymał się peugeot 407 sedan w kolorze szary metalik. Z auta wysiadł mężczyzna w ciemnych okularach i zapytał o coś Toniego, który wyraźnie się zdenerwował. Chwilę się zawahał, zmarszczył czoło, aż wreszcie odwrócił się i wystraszony wskazał mnie z daleka palcem. Otworzyły się drzwi po stronie kierowcy i z samochodu wysiadł inny mężczyzna, przy kości, także w ciemnych okularach. Wszyscy trzej spojrzeli w moim kierunku. Dzieliło nas niewiele ponad sto metrów. Nie wiedziałam dokładnie, kim są (choć mogłam się domyślić) ani jak trafili na mój ślad, było jednak oczywiste, że nie mają zamiaru pozwolić, żebym porozmawiała z tym, z kim zamierzałam.

Odwrociłam się do mężczyzny z brodą, który chwilę wcześniej zaoferował mi pomoc, i zapytałam go wprost:

– Szukam Pauli Casañas, to bardzo ważna sprawa.

Mężczyzna jakby się namyślał. Spojrzał na bramę, za którą dwaj goście w ciemnych okularach szli w naszym kierunku, i nie odezwał się.

– Proszę – powiedziałam błagalnie.

Ale milczał nadal. Musiałam zaryzykować, poszukać jej sama. I to natychmiast. Wbiegłam do budynku, stanęłam w holu, nie wiedząc, dokąd iść. Zobaczyłam stare windy, kilka korytarzy prowadzących prawdopodobnie do sal i gabinetów, pustą recepcję, a pośrodku szerokie drewniane schody. W drzwiach pojawiła się starsza kobieta i powiedziała:

– Drugie piętro, pierwszy gabinet po lewej.

– Dziękuję – odpowiedziałam w pośpiechu.

– Niech pani wejdzie schodami, tak będzie szybciej.

Posłuchałam jej rady i wbiegłam na stare schody. Czułam, że zaraz wykręci mi się kolano, mimo to pokonywałam kolejne stopnie, starając się nie zwracać uwagi na ból stawów. Byłam kaleką, nie nadawałam się do takich wyczynów, ale jeżeli chciałam porozmawiać z Paulą, nie miałam innego wyjścia.

Sześćdziesiąt osiem stopni wydało mi się nieskończonością, jednak dotarłam na drugie piętro, jeszcze zanim tych dwóch weszło do budynku. Usłyszałam z dołu odgłos szybkich kroków. Nie zatrzymując się, skręciłam w lewo. W drzwiach pierwszego gabinetu była matowa szyba; pchnęłam je i wpadłam na Paulę – praktycznie ją staranowałam, tak że omal się nie przewróciła.

– Przepraszam – powiedziałam, łapiąc oddech.

Spojrzała na mnie wystraszona. W prawej ręce trzymała papierosa i zapalniczkę. Na twarzy, częściowo przesłoniętej ciemnymi włosami, miała ten sam co na zdjęciach wyraz smutku pomieszanego z rozczarowaniem. Błada i szczupła, ubrana w obcisłą koszulkę na ramiączkach, ciemną prześwitującą bluzkę i brązową spódnicę do kolan, może i sprawiała wrażenie przygaszonej, niemniej jej strój i maniery wyraźnie zdradzały dobre pochodzenie.

– Mój brat nazywał się Alejandro Tramel – szepnęłam drżącym głosem. Nie miałam czasu na wstępy. – Popełnił samobójstwo po tym, jak doprowadził się do ruiny w kasynie w Robredo.

Na moje słowa westchnęła, upuściła zapalniczkę i papierosa i instynktownie się cofnęła. Usłyszałam odgłos kroków, dwaj mężczyźni zbliżali się szybko.

– Pozwaliśmy kasyno, chcieli wyegzekwować dług mojego brata od jego żony i synka, oni nic nie mają, wylądowali na ulicy. Potrzebujemy pani pomocy. Pani posiada informacje... Nie musi pani milczeć; umowy, które kazano pani podpisać, są nielegalne...

Miałam wrażenie, że słuchając mnie, Paula cały czas się cofa. Odważyłam się podejść do niej bliżej i chwyciłam ją za rękę. Chciałam, żeby nie tylko mnie wysłuchała, ale też poczuła moją determinację.

– Nie mają prawa robić tego, co robią, pani mąż i mój brat byli chorzy, stali się ofiarami...

Nie zdołałam dokończyć zdania. Drzwi gabinetu gwałtownie się otworzyły.

– Pani Tramel – powiedział jeden z mężczyzn, nawet w środku nie zdejmując ciemnych okularów – łamie pani wydany przez sąd śledczy w Robredo zakaz kontaktowania się z panią Casañas. Pozwoli pani z nami.

Nie spuszczać wzroku z kobiety, powiedziałam:

– Proszę spojrzeć na moją twarz, to ich dzieło. Niech pani nie pozwoli, żeby dalej rujnowali ludziom życie.

– Wystarczy – rzucił mężczyzna, łapiąc mnie za ramiona i ciągnąc.

Dopiero teraz do gabinetu wszedł drugi, ten pękaty. Dyszał ze zmęczenia.

– Ale zapierdala ta kulaska.

Kulaska – to było pewnie o mnie. Nie odezwałam się, nie spuszczałam oczu z Pauli, kiedy ci dwaj wyprowadzali mnie z gabinetu. Starłam się utrzymać z nią kontakt, wytłumaczyć jej spojrzeniem, że naprawdę jest nam potrzebna i że zrobię wszystko, byle zgodziła się ze mną porozmawiać.

– Inspektor Enrique Zabala – przedstawił się pierwszy z mężczyzn. – Pojedzie pani z nami na komisariat.

– Pieprzone schody – dodał drugi; miał raczej ograniczony zasób słownictwa.

– A ten tu, który ledwie zipie, to mój kolega, sierżant Pimentel. Chociaż na to nie wygląda, duma teneryfskiej policji – przedstawił go Zabala.

– Przestań pierdolić i spadamy – odparł grubasek. – Tylko windą, jasne?

– Proszę wybaczyć, pani Casañas – powiedział Zabala. – Przyjechaliśmy natychmiast, jak tylko otrzymaliśmy wiadomość, że ktoś zamierza zakłócić pani spokój.

Paula stała nieruchomo, nie odzywając się. Była przejęta, nie wiem, czy z powodu mojej gwałtowności, wtargnięcia policji czy też wspomnień, które nagle ożyły w jej pamięci, w każdym razie widziałam, że wszystko to ją poruszyło.

Opuszczając gabinet, zobaczyłam jeszcze, że zaciska coś w dłoni: wizytówkę z moim numerem telefonu.

Dwaj policjanci poprowadzili mnie korytarzem do windy, obserwowani przez kilku pracowników Związku Architektów – niektórzy zdążyli mnie już zobaczyć na dworze. Przed oczami stanęły mi jednocześnie dwa obrazy: dwóch ubranych na czarno ochroniarzy eskortujących mnie w biurze Gran Castilli i dwóch umundurowanych policjantów, którzy dzień wcześniej wyprowadzali mnie z sali rozpraw. Widocznie jak magnes przyciągałam mężczyzn, którzy dwójkami czuwali nad przestrzeganiem prawa.

Wsiadając do windy, podniosłam wzrok ponad ramieniem inspektora. W drzwiach w głębi korytarza stała wystraszona Paula. Patrzyłyśmy na siebie do chwili, kiedy popchnięta lekko, straciłam ją z oczu – nie pozostało mi nic innego, jak wejść do windy.

Przez przeszkloną ścianę obserwowałam boeinga 787 norweskich linii lotniczych podjeżdżającego do rękawa. Ilekroć jestem na lotnisku, przypominają mi się niedzielne poranki z dzieciństwa. Kiedy ojciec był w dobrym humorze – co nie zdarzało się zbyt często – wyciągał mnie i mojego brata wcześniej z łóżek i zabierał nas na śniadanie na stare lotnisko Barajas. Piliśmy gorącą czekoladę i jedliśmy churros, przyglądając się startującym i lądującym samolotom. Wydawało mi się wtedy, że jestem kimś wyjątkowym, jedynym. O ile mi było wiadomo, żadna inna koleżanka ze szkoły nie robiła czegoś podobnego. To jedno z moich najlepszych – i nielicznych – wspomnień z tamtego okresu.

Siedzieliśmy z inspektorem Enrique Zabalą w jednym z długich rzędów niebieskich foteli w hali odlotów. Policjant popijał ze smakiem jakiś witaminizowany napój. Zawiózł mnie na główny komisariat w La Laguna, założył mi kartotekę, zadał kilka rutynowych pytań o moje zamiary wobec Casañas, po czym pojechał ze mną na lotnisko, by upewnić się, że wsiądę do samolotu lecącego do Madrytu. Jedynymi osobami, które wiedziały o mojej wycieczce na Teneryfę, byli Sofía, Helena i M. Dałabym sobie rękę uciąć, że żadne z nich nie powiadomiło policji. Mogłam zostać namierzona tylko w jeden sposób: byłam śledzona. Ktoś wynajęty przez Barvera albo Gran Castillę zbierał informacje o każdym moim ruchu. Nietrudno było mi wyobrazić sobie Santonję, jak pociąga za sznurki i za pomocą odpowiedniej zachęty motywuje do pracy zaufanych policjantów.

Tak więc siedzieliśmy z Zabalą na lotnisku, obserwując główny pas startowy. Inspektor, koło czterdziestki, sprawiał wrażenie człowieka pewnego siebie, gorliwie wypełniającego polecenia w stosunku do mojej osoby. Jego kolega Pimentel nie pojechał z nami; miał pewnie coś ważniejszego do roboty.

– Dostałeś jakąś premię za to zleconko? – zapytałam.

Spojrzał na mnie kątem oka i uśmiechnął się.

– Ostrzegali mnie – odparł lekceważąco. – Najwyraźniej należysz do adwokatów, którzy pakują się w kłopoty i szukają zaczepki. Ze mną ci się nie uda. Ja tylko wypełniam polecenia. Mówią mi: przystopuj tę spryciarę z Półwyspu. Więc to robię. I tyle.

Zabala wyglądał niczego sobie: męski, pewny siebie, z domieszką krwi Guanczów – na pewno podbił niejedno kobiecie serce tą pozą i tym akcentem. Prawdopodobnie w innych okolicznościach ze mną też by mu się udało. Ale akurat nie byłam w nastroju.

Już miałam mu odpowiedzieć, kiedy poczułam lekkie wibrowanie: komórka w kieszeni. Oderwałam wzrok od inspektora i spojrzałam na wyświetlacz. „1 nowa wiadomość”. „Numer nieznany”. Otworzyłam esemesa i rzuciłam okiem. „W damskiej toalecie za tobą. Teraz”.

Wstałam szybko.

– A ty gdzie się wybierasz? – zapytał Zabala, podnosząc się z miejsca.

– Do toalety – odparłam. – Mogę?

Spojrzał na mnie tak, jakby rozważał różne możliwości. Popatrzył na drzwi do toalety, kilka metrów dalej. Wzruszył ramionami.

– Pospiesz się – powiedział, pociągając kolejny łyk z butelki.

Czułam na plecach jego wzrok, kiedy szłam w stronę toalety, rzeczywiście tuż za naszymi plecami. Miałam nadzieję, że zostanie tam ze swoimi witaminami i da mi kilka minut spokoju.

Zobaczyłam ją zaraz po wejściu.

Stała w głębi, oparta o framugę drzwi jednej z kabin. Wyglądała na zdenerwowaną. Odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na mnie z niepokojem. W prawej ręce trzymała białą kopertę. Wskazała na wnętrze kabiny. Posłuchałam jej bez słowa. Weszła za mną.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Niech mi pani nie dziękuje – wyszeptała. – W ogóle się nie znamy, nie powinno mnie tu być, grzebanie w przeszłości mi nie służy. I mogę mieć z tego powodu kłopoty.

– Rozumiem, dlatego tym bardziej jestem pani wdzięczna –

odpowiedziałam pospiesznie. – Jeśli czegoś nie zrobimy, kasyno wygra proces i dalej będzie wykorzystywać chorych ludzi, zadawać im cierpienie.

– Niech mi pani nie mówi o cierpieniu. Mój mąż rzucił się z ósmego piętra na moich oczach i na oczach dzieci. Nie ma dnia, nie ma godziny, żebym nie zadawała sobie pytania, czy nie mogłam temu zapobiec. Czy nie odwracałam wzroku, wiedząc, że mnie potrzebuje – powiedziała łamiącym się głosem. –

Poczucie winy, ból i strach zżerają mnie od środka niczym robak i nie pozwalają normalnie żyć.

Musiałam zachować delikatność; ta kobieta żyła w ogromnym napięciu, jedno moje niewłaściwe słowo mogło spowodować, że odejdzie.

– Mój brat Alejandro doprowadził się do ruiny. Zatłukł dyrektora kasyna. A potem powiesił się w celi. Był utalentowany, miał śliczną żonę, dwuletniego synka, mimo to nie mógł przestać grać, aż w końcu odebrał sobie życie. Zapewniam panią, że ja też codziennie zadaję sobie pytanie, czy mogłam coś zrobić, żeby zapobiec temu, co się wydarzyło.

Stałyśmy blisko siebie w zamkniętej na zasuwkę kabinie. Przyglądała mi się badawczo.

– Mówiono mi o pani – powiedziała cicho. – Zależy pani wyłącznie na pieniądzach, chce pani zarobić na całej sprawie.

Pokręciłam głową, ale niezbyt gwałtownie – nie chciałam jej wystraszyć.

– Nie znamy się, nie musi mi pani wierzyć, ale przysięgam, że pieniądze są mi całkowicie obojętne. Chcę tylko, żeby ludzie, którzy wykorzystali niewinnego, chorego człowieka dla pomnożenia własnego bogactwa, którzy mu grozili, którzy zabrali mu wszystko, a na końcu doprowadzili do jego śmierci, zapłacili za swoje czyny. Spróbuję posłać ich do więzienia, spróbuję zamknąć ich interes i oczywiście spróbuję uderzyć tam, gdzie ich najbardziej zaboli: w ich konta. To jedyny język, jaki rozumieją. Nie wiem... czy mi się uda, ale ze wszystkich sił będę walczyć o sprawiedliwość. To jedyne, czego pragnę.

– Wierzę pani.

Przez chwilę stałyśmy w milczeniu. Chciałam, żeby to trwało dłużej, żebyśmy mogły po prostu przez chwilę побыć razem, ale niestety nie było czasu do stracenia.

– Proszę mi powiedzieć, czy ktokolwiek dzwonił do pani męża z kasyna w Robredo i prosił go, żeby przyszedł zagrać, albo mu groził?

– Oczywiście, że do niego dzwoniли – odparła z hamowaną wściekłością. – O różnych porach. Nigdy tego nie zapomnę. Rzecz jasna, próbował to przede mną zataić, ale przyłapałam go tyle razy, że w końcu przestał się z tym kryć. Grał w kasynie do ostatniej chwili, do dnia poprzedzającego śmierć.

– Dostał kredyt, żeby móc grać w kasynie?

– Podstępnie otworzyli mu bezterminową linię kredytową. W chwili śmierci był im winien ponad dwa miliony. Część zapłaciła moja rodzina, reszta długu została umorzona w zamian za nasze milczenie. W tej kwestii moi rodzice zgadzali się z tymi łajdakami z Gran Castilli: nie chcieli, żeby sprawa trafiła do mediów, chcieli przede wszystkim zachować pozory.

– Dlaczego podpisała pani ugode?

– Wtedy mogłam podpisać wszystko – odpowiedziała z żalem i wstydem. – Byłam pod wpływem środków uspokajających, nie mogłam utrzymać się na nogach, po prostu zrobiłam, co mi kazano. Chciałam tylko przytulić dzieci i płakać, nie byłam sobą. Zresztą już nigdy więcej nie stałam się sobą. Żyję wyłącznie dla nich, to cudowne dzieciaki, dużo wycierpiały. Po tym, co je spotkało, nie zasługują na to, żeby stracić również matkę.

– Czy pamięta pani jakieś nazwisko? Kogoś z tych ludzi, którzy dzwoniли do pani męża z kasyna?

– Pamiętam doskonale wszystkie nazwiska: Bernardo Menéndez Pons, Aarón Freire, Emiliano Santonja, Ignacio Cimadevilla... Mam je wyryte w pamięci. Te rozmowy, groźby, to, jak Miguel zniknął na całe dni, żeby grać. Był bardzo zapracowanym człowiekiem, prowadził nocny tryb życia, przywykłam do jego powrotów i wyjść w środku nocy, ale kiedy za dużo grał, było po nim widać, oczy zasnuwała mu jakby mgła. Pamiętam dobrze dzień, kiedy wrócił do domu nad ranem, kompletnie zdruzgotany, miał w oczach strach. Kupił tuzin świeżych croissantów na śniadanie, jakby chciał w ten sposób coś zataić; w jedną noc przegrał wtedy ponad sto tysięcy. To był chyba początek końca. Potem zaczęły się telefony i wizyty, regularne prześladowanie...

– Czy zeznałaby pani to wszystko w sądzie przed przysięgłymi? – zapytałam, obawiając się odmowy.

– Nie mogę – odparła stanowczo. – Nie zniszczę życia rodzinie i dzieciom, wyciągając na jaw te fakty. Podpisałam umowę o zachowaniu poufności i będę jej przestrzegać, nawet jeśli bardzo mi ona ciąży. Właściwie nie powinno mnie teraz tu być.

– Swoim zeznaniem mogłaby pani pomóc wsadzić za kratki osoby odpowiedzialne za śmierć pani męża – podkreśliłam.

– Mogłabym też niczego nie osiągnąć, a narobić sobie kłopotów – odparła, jakby się nad tym wcześniej zastanawiała. – Nie wahałabym się, gdybym była sama, gdyby moje życie należało do mnie, ale tak nie jest, dzieci są dla mnie najważniejsze. Nie zrobię niczego, czym mogłabym je skrzywdzić, nawet pośrednio. Proszę nie nalegać, błagam panią.

– Mogłabym wezwać panią oficjalnie do złożenia zeznań – powiedziałam bez przekonania.

– Proszę zrobić, co pani uważa, wierzę jednak, że nie zawiedzie pani zaufania, jakim panią obdarzyłam. Gdyby – w co wątpię – udało się pani ściągnąć mnie do sądu, żebym wbrew swojej woli złożyła zeznania, zapewniam, że nie będzie pani zadowolona. Jeśli zajdzie potrzeba, skłamię, przekręcę fakty, wszystko przeinaczę. Proszę tego nie robić, żadna z nas nic na tym nie zyska.

Czułam wielki szacunek dla tej kobiety. Oczywiście nie zamierzałam zmuszać jej do składania zeznań, nawet gdybym mogła. Spojrzałyśmy na siebie. Chyba wiedziała, że nie zrobię niczego, co jej zaszkodzi. Wyciągnęła rękę i podała mi ścisną w dłoni białą kopertę.

– Dla pani – powiedziała, jakby dopiero teraz postanowiła, że mi ją wręczy. – Nie wiem, czy to się pani do czegoś przyda, ale jeśli tak, nie może pani zdradzić, że to ode mnie. Proszę mi obiecać.

– Obiecuję – powiedziałam i wzięłam kopertę, nie wiedząc, czy to, co jest w środku, w jakikolwiek sposób mi się przyda. – Chciałabym pani zadać jeszcze kilka pytań o relacje pani męża z kierownictwem kasyna, zwłaszcza z Emilianem Santonją...

Przerwało mi głośne walenie w drzwi. Obie aż podskoczyłyśmy.

– Co z tobą, Tramel! – ryknął Zabala. – Wzywają pasażerów do wejścia na pokład.

Błyskawicznym ruchem spuściłam spodnie i usiadłam na sedesie, na wypadek gdyby inspektorowi przyszło do głowy zajrzeć przez otwór pod drzwiami. Paula przywarła do ściany i w komicznej pozie przycupnęła na spłuczce, obejmując rękami podkulone kolana, żeby nie było widać nóg.

– Zaraz wychodzę! – odparłam.

– No już, ruchy – rozkazał stanowczym tonem.

– Zaraz, jeszcze chwilę.

Złożyłam kopertę i schowałam ją do torby.

– Nie mogę cały dzień bawić się w niańkę, pospiesz się – rzucił, zgrywając twardziela.

Spuściłam wodę, wstałam i głośno zasunęłam suwak od spodni, żeby usłyszał z zewnątrz.

Wychodząc, posłałam Pauli Casañas pełne wdzięczności spojrzenie. Siedziała na spłuczce zwinięta w kłębek, skulona. Poczułam, że jesteśmy (na odległość) towarzyszkami bolesnej podróży, której zakończenia nie znamy: zostało nam jeszcze kilka przystanków, zanim w oddali zarysuje się cel. Wiedziałam, że może jej już nigdy nie zobaczę, niemniej zawsze miała nas już łączyć niewidzialna nić utkana ze strachu i z cierpienia.

Pchnęłam drzwi, tak żeby zamknęły się od razu po moim wyjściu, i zostawiłam za sobą białą toaletę. Inspektor czekał na mnie, w pozycji z rękami na biodrach, władczy i stanowczy. Dopił swój napój i wyrzucił do kosza butelkę.

– A mówią, że to my, faceci, jesteśmy fleje – oznajmił. – Popatrz, jak tu brudno.

– Wiadomo, kobiety... – odpowiedziałam, po czym odkręciłam kran nad umywalką, pozwalając mu dokończyć zdanie według własnego uznania.

Zimna woda na dłoniach przyniosła mi ogromną ulgę. Policjant coś jeszcze powiedział, ale już go nie słuchałam; myślami byłam daleko od tego miejsca.

KRAJOWA KOMISJA DO SPRAW HAZARDU

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych

WNIOSEK O SAMOZAKAZ WSTĘPU DO SALONÓW BINGO
I KASYN

Miguel Ortiz Aguado, dow. os./paszport/NIP: 34.508.399G (fotokopia w załączniku), zam. Avenida de los Robles 35/8, 28044 Madryt

ZWRACA SIĘ Z PROŚBĄ: o zakazanie mi wstępu do SALONÓW BINGO I KASYN na terytorium całego kraju na czas NIEOKREŚLONY.

Podpisano: Miguel Ortiz Aguado

Egzemplarz do przedłożenia w delegaturze rządu albo w komisariacie policji.

Poniżej znajdowała się data, półtora roku przed śmiercią Ortiza. Wniosek został podpisany i podstemplowany na komisariacie w Fuencarral. Nigdy nie miałam do czynienia z tego rodzaju dokumentami, musiałam go kilkakrotnie przeczytać, żeby zrozumieć, co właściwie oznacza.

– To są poufne informacje, ale w rejestrach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych mogą być dziesiątki takich dokumentów – powiedział M.

Siedzieliśmy przy zapalonym świetle w kancelarii, skupieni wokół mojego biurka: ja, Sofía, Concha i M. Patrzyliśmy na wniosek z rezerwą, oceniając związane z nim szanse. Okna były otwarte, wydawało się, że tej sierpniowej nocy na miasto spłynął spokój.

Chwilę wcześniej, zaraz po przyjeździe z lotniska, opowiedziałam swoim współpracownikom o spotkaniu z wdową. Sofía i Concha zdały mi relację z całego dnia w sądzie. Chyba nie było łatwo; obrona się postarała. Nie zamierzali dać nam odetchnąć. Biegli złożyli zeznania w sprawie nagrań; żadna ze stron nie zgłosiła poważniejszych zastrzeżeń. Najpoważniejsze

wysunął już poprzedniego dnia Santonja (jakoby to nie on był rozmówcą Alego), dlatego obrona nie czepiała się już technicznych szczegółów. Ekspert od fonetyki i analizy głosu podobno nie wyjaśnił wątpliwości, nie opowiedział się ani po jednej, ani po drugiej stronie, zanudził za to wszystkich mnóstwem nieistotnych informacji, a kiedy zapytano go wprost, na ile ocenia wiarygodność swojej analizy dotyczącej identyfikacji głosów, odpowiedział mętnie, że na jakieś pięćdziesiąt procent i że z jego doświadczeń wynika, że nie da się ostatecznie o czymś takim przesądzić. W rezultacie przysięgli mogli dowolnie zdecydować, czy wierzą, że głos, który słychać na nagraniach, jest głosem Emiliana Santonjy.

Potem przyszła kolej na naszego renomowanego psychiatrę, który przedstawił pełną diagnozę kompulsywnych zachowań Alego. Wyjaśnił ławie przysięgłych, że patologiczny hazard to choroba psychiczna, skomplikowane uzależnienie, które może doprowadzić do zatarcia osobowości, i że osoby cierpiące na tę chorobę, jeśli poddać je odpowiednim naciskom, łatwo padają ofiarą manipulacji. Ángel Salazar był wybitnym specjalistą o dużym doświadczeniu i z zacięciem dydaktycznym. Poznaliśmy się wiele lat wcześniej przy okazji sprawy o morderstwo. Jak przypuszczałam, zyskał sympatię przysięgłych. Przybliżył konkretne objawy i aspekty uzależnienia od hazardu, kładąc nacisk na to, co najważniejsze: Alejandro Tramel nie był panem własnej woli, lecz pacjentem w trakcie leczenia, a sądząc z okoliczności, również ofiarą nacisków wywieranych przez osoby trzecie, które próbowały go nakłonić do gry na pieniądze, których nie miał. Niestety siły się wyrównały, kiedy pod wpływem Barvera Salazar musiał zgodzić się co do dwóch rzeczy: po pierwsze, że nie znał osobiście Alego, więc jego diagnoza była czysto teoretyczna, oparta na świadectwach innych osób i własnym doświadczeniu, a po drugie – i tu pojawił się nowy wątek, który wcześniej czy później musiał i tak wypłynąć – że nie ma potwierdzenia klinicznego, jakoby uzależnienie od hazardu miało popychać chorego do zachowań agresywnych. Barver zatrzymał się nad tym, tłumacząc przysięgłym, że czym innym jest poważne uzależnienie (jeśli przyjmiemy, że Alejandro rzeczywiście był uzależniony), a czym innym zabicie człowieka przez zadanie mu uderzeń w głowę. Sofía zgłosiła sprzeciw. Stwierdziła stanowczo, że nie odbył się proces, podczas którego zostałyby udowodnione, że to Ale ponosi winę za śmierć dyrektora kasyna.

Na nic się to jednak nie zdało. Raport policyjny nie pozostawiał cienia wątpliwości i obrona zamierzała go wykorzystać, przedstawiając przysięgłym ofiarę jako człowieka agresywnego i jako bezlitosnego mordercę.

W skrócie tak właśnie przebiegła rozprawa. W porze obiadowej sędzia zarządził przerwę do czwartku rano. Ostatni raz uprzedził obsługę techniczną, że jeśli problem klimatyzacji nie zostanie rozwiązany, podejmie odpowiednie środki z uwagi na nieznośny upał panujący w sali.

Potem przeszliśmy do Miguela Ortiza i koperty, którą wręczyła mi wdowa.

– Hiszpańskie prawo przewiduje możliwość nałożenia na siebie zakazu wstępu do salonów bingo i kasyn – wyjaśniła Sofía, która przestudiowała już odpowiednie przepisy. – To taki środek odstrasżający, z którego korzysta wiele osób, żeby uniknąć pokusy w chwili słabości. Każdy może złożyć wniosek o samozakaz za pośrednictwem Krajowej Komisji do spraw Hazardu podlegającej Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Komisja informuje kasyna i salony bingo, a te muszą sumiennie przestrzegać tego ograniczenia.

– A co, jeśli ktoś, kto zakazał sobie wstępu, zmieni zdanie? – zapytała Concha.

– Wystarczy nowe pismo odwołujące zakaz – odparła Sofía. – To proste. Ale odwołanie wchodzi w życie dopiero po kilku dniach, tak więc środek ten okazuje się nader skuteczny. W innych wspólnotach autonomicznych można wzmocnić jego działanie, włączając do wniosku osobę trzecią, w związku z czym o odwołanie muszą wystąpić obie, ale w Madrycie nie ma takiej możliwości.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam – wtrąciłam. – Kompulsywny nałogowiec, taki jak Miguel Ortiz, który każdego tygodnia przegrywa w kasynie dziesiątki tysięcy euro, pewnego pięknego dnia wstaje z łóżka i mówi: koniec, zakażę sobie wstępu do ośrodków gier.

– Właśnie tak.

– Coś tu się jednak nie zgadza – ciągnęłam. – Ten dokument został wystawiony półtora roku przed samobójstwem. A z tego, co wiemy i co powiedziała mi jego żona, wynika, że Miguel Ortiz grał w kasynie jeszcze na dzień przed śmiercią.

Wymieniliśmy spojrzenia – wszyscy pomyśleliśmy o tym samym.

– To oznacza, że potem podpisał inny, odwołujący zakaz – powiedziała na głos Concha.

– Albo... – zaczęła Sofía.

– Albo przez półtora roku kasyno pozwalało mu grać pomimo wyraźnego zakazu – dokończyłam.

Jeśli faktycznie tak było, mieliśmy być może prawdziwą bombę. Oznaczało to nie tylko, że kasyno dopuściło się poważnego wykroczenia, ale też potwierdzało naszą tezę, że Gran Castilla naruszała etyczne, moralne, a nawet prawne normy, żeby osiągać zyski i doprowadzać swoich klientów do ruiny.

– Zajmę się tym – powiedział M.

– Ja też – zapewniła Sofía.

– Musimy przejrzeć rejestr Krajowej Komisji do spraw Hazardu i sprawdzić, czy istnieje jakieś pismo odwołujące samozakaz – podsumowałam. – Trzeba będzie też dostać się do archiwum kasyna w Robredo i poszukać, czy Ortiz figuruje na liście gości. To może być trudne. Pamiętajcie, ile nas kosztowało wyciągnięcie od nich listy wizyt Alego.

– Powołają się na ochronę danych klientów i inne takie kruczki – przepowiedziała Concha.

– A przy tym mogliby zacząć coś podejrzewać – dodałam. – M., myślisz, że dałoby się zajrzeć do tych archiwów jakoś dyskretniej?

– To nie są zaszyfrowane konta bankowe w Szwajcarii – mruknął detektyw – tylko lista z nazwiskami, imionami i numerami dowodów osobistych osób, które codziennie wchodzą do publicznego lokalu. Nie powinno być z tym problemu.

– Oczywiście mogło też być tak, że wpuszczano go do kasyna, nie rejestrując wejść w komputerze – stwierdziła Sofía. – Tylko głośno się zastanawiam, ale skoro łamali zakaz wydany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, chyba nie byłoby tak głupi, żeby zostawiać ślady.

– Nigdy nie wiadomo – odparłam. – Sama widziałaś, że czują się całkowicie bezkarni. Byliby do tego zdolni. Zresztą nawet jeżeli nie istnieje

oficjalny rejestr wizyt w kasynie, na pewno są świadkowie.

– Po kolei – powiedział M. – Najpierw sprawdzę archiwa i dam ci znać.

– Wiemy, że trudno nam będzie wprowadzić nowe dowody na tym etapie, ale może jednak moglibyśmy poprosić o to oficjalnie pod jakimś innym pretekstem – wymyśliła Sofía. – Na przykład takim, że musimy wiedzieć o wizytach Alejandra w kasynie w okresie poprzedzającym ten, z którego dane nam udostępniono, albo że mamy uzasadnione podejrzenia, że odwiedzał kasyno częściej, niż wynika z przekazanych informacji, i chcemy przejrzeć dokładnie pełen rejestr gości. Nie sądzę, żeby sędzia miał się sprzeciwiać.

– Nie są głupi – odparłam. – Po mojej wizycie na Teneryfie, jeżeli poprosimy ich oficjalnie o wgląd w archiwa, zaczną się czegoś domyślać i postarają się to odwlec, aż skończy się proces i będzie za późno. Skorzystamy z tego rozwiązania, tylko jeśli w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin M. nie trafi na żaden ślad.

– Uwielbiam terminy, których nie sposób dotrzymać – powiedział M. z sarkazmem. – Czuję się jak nowicjusz, którego się sprawdza.

– Jeśli nie ma innych pilnych spraw, ja już pójdę – oznajmiła Concha. – Zajmuję się tą sprawą raptem jeden dzień, a mam wrażenie, że postarzałam się nagle o kilka lat. Nie mówiąc już o kasie, jaką będę musiała wydać na opiekunkę.

– Nie przejmuj się, wracaj do domu – odpowiedziałam przyjaciółce. – Widzimy się jutro o ósmej przed Sądem Prowincji.

– Nie – rzuciła Sofía znad komputera.

Spojrzeliśmy na nią z zaciekawieniem.

– Nie? – zapytałam.

– Właśnie przyszedł mail z informacją o zmianie miejsca jutrzejszej rozprawy – wyjaśniła, czytając wiadomość na swoim laptopie. – Wy też macie go w skrzynkach. Proces będzie kontynuowany w ośrodku sportowym imienia Francisca Requeny, pięćset metrów od sądu.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Mogłam sobie wyobrazić, jak Barrios wydaje polecenie o przeniesieniu rozprawy do pobliskiej hali sportowej do czasu, aż zostanie naprawiona klimatyzacja.

– Widzimy się o ósmej przed ośrodkiem sportowym – oznajmiłam. – Przystudiujcie dokładnie jutrzejsze zeznania; jeśli wszystko pójdzie szybko, możliwe, że po południu zostanie wezwana Helena.

– Jutro oskarżeniem nadal kieruje Sofía czy wracasz na salę? – zapytała Concha zdezorientowana.

– Zrobię minę grzecznej dziewczynki i postaram się przekonać sędziego, żeby przyjął mnie z powrotem – obiecałam. – Zobaczymy.

Concha i Sofía zebrały rzeczy i wyszły z biura dokładnie dwadzieścia pięć minut po północy – akurat o odpowiedniej porze na zakończenie dnia pracy. Poczułam, że ogarnia mnie straszliwe zmęczenie. Nieźle jak na jedną sierpniową środę. Przebyłam pięć tysięcy kilometrów. Byłam przesłuchiwana na komisariacie. Zwymyślałam policjanta. Ukryłam się w toalecie na lotnisku z kobietą należącą do jednej z najbogatszych rodzin w kraju. A do tego zwymiotowałam w dwóch różnych miastach na dwóch różnych kontynentach. Naprawdę spory sukces, przynajmniej z geograficznego punktu widzenia.

– Zamierzasz tu nocować? – zapytałam M., który siedział dalej na taborecie, nie szykując się bynajmniej do wyjścia. Skoro chciał zostać ze mną sam, to na pewno po to, żeby porozmawiać o jakiejś delikatnej sprawie. –

O ile się nie mylę, jesteśmy na bieżąco z twoimi rachunkami, prawda? – Na jego twarzy odmalowało się znużenie – oboje wiedzieliśmy doskonale, że chodzi o coś innego.

– Od kilku tygodni unikasz rozmowy o tym, co się zdarzyło w garażu – powiedział.

Nie spodziewałam się, że poruszy temat w taki sposób. Faktycznie od czasu rozmowy z Frimanem przestałam drażnić sprawę, jakbym bała się potwierdzenia informacji, którą przekazał mi Argentyńczyk. Miałam nadzieję, że mylił się co do Moncady.

– Mamy teraz inne, pilniejsze sprawy na tapecie. Zajmiemy się garażem w odpowiednim momencie – odparłam.

– Nie zgadzam się z tobą. Dopóki ten, kto to zrobił, chodzi sobie spokojnie po ulicach, może w każdej chwili znowu zaatakować. Moim zdaniem to dość pilna sprawa.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego? – spytałam, ustępując.

Mój stary, kochany prywatny detektyw cmoknął.

– Ludzie gadają różne rzeczy. Opowiadają. Uczysz się tego po kilku latach przepracowanych w zawodzie. Jeśli wiesz, gdzie przyłożyć ucho, dowiadujesz się o wszystkim. Nie mam pojęcia, czy to ze strachu przed samotnością, czy z jakiegoś innego powodu, ale niczego nie da się utrzymać długo w tajemnicy. Wszyscy, bez wyjątku, chcą wyrzucić z siebie gówno, które w nich siedzi.

– Jesteś teraz psychologiem?

M. położył na biurku swój telefon. Otworzył jakieś zdjęcie i powiększył je tak, że zajęło cały wyświetlacz. Widniał na nim gruby metalowy pręt, obok kanistra z olejem i koła zapasowego.

– To bagażnik Moncady – powiedział krótko.

Nie chciałam go pytać o nic więcej, nie chciałam wymówić nawet jednego słowa z obawy, że wypowiedziane, stanie się rzeczywistością, której będę musiała w końcu stawić czoło.

– Mogę zabrać ten pręt i zawieźć do laboratorium, żeby poszukali jakichś śladów – dodał. – Czy ja wiem, krwi, włosów, skóry. Choć najprawdopodobniej zdążył go już wyczyścić. Nie mówiąc o tym, że stąpamy po grząskim gruncie: jest porucznikiem Gwardii Cywilnej. Prawdę mówiąc, nie wiem, co powinniśmy zrobić. Jeżeli doniesiesz na niego, nie mając żadnych dowodów, boję się, że będzie jeszcze gorzej.

Nie mogłam oderwać wzroku od zdjęcia. Czułam uderzenia pręta na plecach, głowie; był to niemal fizyczny ból.

– Jest wiele prętów takich jak ten – szepnęłam.

– Jasne, wszyscy chętnie wierzymy w Świętego Mikołaja – rzucił.

– Nie ma dowodów. Nie możemy mieć pewności.

– Znam się na ludziach, wiesz dobrze. Możemy dać nauczkę temu skurwielowi.

Spojrzałam na niego wystraszona. To nie był pomysł, który właśnie w tej chwili przyszedł mu do głowy. Musiał mieć wszystko przemyślane wcześniej i od początku rozmowy czekał na właściwy moment, żeby mi to

zapropnować. Poczułam mdłości na myśl, że mielibyśmy załatwić sprawę jak gangsterzy.

– W żadnym wypadku – powiedziałam. – To, że wozi pręt w bagażniku, nie oznacza, że mnie pobił. A nawet gdyby, nie będę sama wymierzać sprawiedliwości. Przecież jest porucznikiem Gwardii Cywilnej. W momencie, kiedy by się pozbierał, przystąpi do kontrataku, nie zostawi tego bez odpowiedzi.

– Jeśli skończy w piachu, nie będzie mógł do niczego przystąpić – powiedział M. bez zająknięcia, nie nadając swojej wypowiedzi żadnej ekspresji, jakby mówił o naprawie usterki hydraulicznej. – Pamiętaj, co ci zrobił. I co może ci zrobić znowu. Przemyśl to, proszę.

Mówiliśmy o zabiciu człowieka. Stróża prawa. Nie wiem, jakim cudem rozmowa zoczyła w tym kierunku, w każdym razie nie zamierzałam jej ciągnąć.

– Znajdź dowody – rzuciłam, wyłączając komórkę. – Daj ten pręt do analizy, zrób, co trzeba. To twoja praca. Nie chcę więcej słyszeć o rozwalaniu komuś głowy.

– Jak sobie życzysz. Ale bądź ostrożna, proszę.

– Będę.

Zaczęłam się pocić, poczułam, że ubranie klei mi się do ciała. Nagle opadło mnie zmęczenie. Zapraęnęłam wziąć prysznic, położyć się do łóżka i spróbować odegnąć czarne myśli. Zanim wyszłam, zapytałam jeszcze, zmieniając temat:

– Wiadomo coś o Cimadevilli?

– Pracuję nad nim. Jest naprawdę nieuchwytny. Może siedzi gdzieś na Karaibach albo w jednym ze swoich hoteli na Dominikanie i nie wyściubia nosa nawet po to, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

– Dostał wezwanie do złożenia zeznań w najbliższy poniedziałek – dodałam – ale w przeciwieństwie do pozostałych do tej pory nie przedstawił żadnego usprawiedliwienia. Coś mi mówi, że nigdzie nie wyjechał, że jest tutaj, blisko, i chce wyrzucić z siebie wszystko, co wie. Sam powiedziałeś, że leży to w ludzkiej naturze.

– Powiedziałem to tylko dlatego, żeby cię przekonać, że powinniśmy

rozwalić łeb temu łajdakowi.

Spojrzałam na niego kątem oka – chyba mówił poważnie. Zaczęłam się zastanawiać, co by było, gdybym dała mu zielone światło, gdybym powiedziała: zrób to, porozmawiaj z ludźmi, których znasz, niech się zajmą Moncadą, ale tak, żebym o niczym nie wiedziała. Może pozbyłabym się problemu, a przy okazji ostatnich (wątplych) resztek wiary w człowieka – o ile w ogóle ją miałam.

– Zachowamy jedynie czujność i będziemy szukać dalej, już ci to powiedziałam.

– Będziemy szukać, ale uważaj na siebie, Ano. Nie proszę chyba o zbyt wiele.

– Nie martw się – odparłam. – A raczej martw się, ale w miarę możliwości nie rozwalaj nikomu głowy. I znajdź do poniedziałku Cimadeville.

Pchnęłam drzwi od łazienki. Miałam ochotę odkręcić kran i wejść pod prysznic.

– A właśnie, kremacja Ramira wypadła pięknie – powiedział M. – Były muzyka Chopina i inne zwyczajowe bajery.

– Ktoś przyszedł?

– Nikt. Dwóch pracowników zakładu pogrzebowego, dziewczyna od ubezpieczeń i ja.

Westchnęłam. Byłam wykończona. Tej nocy nie pozostało już nic do powiedzenia. Weszłam do łazienki i zamknęłam za sobą drzwi. Zrzuciłam ubranie – beładnie opadło na podłogę. Zanim odkręciłam wodę, usłyszałam głośny trzask zamykanych drzwi.

Woda zaczęła spływać mi na głowę. Namydliłam się starannie mydłem dziegciowym, które leżało na półce kabiny prysznicowej (zostało mi jeszcze kilka opakowań). Próbowałam o niczym nie myśleć. Odkręcałam na przemian zimną i gorącą wodę. Gwałtowne zmiany temperatury przyniosły efekt: było to wyzwalające uczucie, zwyczajne, przyjemne, pozbawione komplikacji. Właśnie tego potrzebowałam. Mogłabym tam zostać przez całą noc.

Nagle wydało mi się, że słyszę jakiś hałas. Pewnie po rozmowie z M. (i po tym, co mi się ostatnio przydarzyło) byłam szczególnie przewrażliwiona.

Skuliłam się na samą myśl, że ktoś mógł wejść do mieszkania. Miałam wrażenie, że widzę przez ściankę kabiny prysznicowej, jak poruszyła się klamka w drzwiach. Nie zasunęłam zasuwki. Nie robiłam tego, odkąd przestałam brać tabletki, nie miałam już nic do ukrycia.

Przetarłam ręką zaparowane szkło, żeby lepiej widzieć drzwi. Gałka klamki zaczęła się obracać. To nie było złudzenie, to działa się naprawdę. Drzwi zaczęły się otwierać, tuż przede mną.

– M.? – spytałam zaniepokojona. – Helena?

Drzwi nadal się uchylały, rozpaczliwie powoli. Lewą ręką chwyciłam mocno prysznic, prawą oparłam się o ścianę kabiny, żeby zachować równowagę. Ktokolwiek to był, umyślnie trzymał mnie w niepewności. Pomyślałam, że powinnam wyskoczyć spod prysznica, pchnąć drzwi i zasunąć zasuwkę. Nawet jeśli bym się nie poślizgnęła i nie wylądowała na podłodze ze skrzyconym karkiem (prawdę mówiąc, zawsze byłam trochę niezdarna), najprawdopodobniej ten ktoś i tak zdążyłby wejść, zanim dopadłabym drzwi. Mój oddech przyspieszył, serce podeszło do gardła.

– Halo? – odezwała się znowu, mając nadzieję, że intruz wreszcie się pokaże i stanie się to, co ma się stać. – Jeśli to żart, nie widzę w nim nic śmiesznego.

Zakręciłam kurek, rozsunęłam drzwiczki kabiny i zdecydowanym ruchem chwyciłam ręcznik. Nie zamierzałam czekać niczym bezbronna owieczka. Owinęłam się i szarpnęłam drzwi, gotowa na wszystko.

– Boję się.

Aż podskoczyłam. Wyglądał jak postać z horroru klasy Z: jasnowłosego chłopczyk przyglądał mi się bacznie w środku nocy szeroko otwartymi oczami i powtarzał:

– Nie mogę spać. Boję się.

Odetchnęłam głęboko, próbując uspokoić oddech. Pochyliłam się i ostrożnie ujęłam Martina za ramiona.

– Wszystko jest w porządku. Ciocia Ana się tobą zaopiekuje.

Wiem, że nie zabrzmiało to najbardziej oryginalnie, ale tyle tylko zdołałam z siebie wykrztusić. A wobec dziecka, które dopiero co skończyło trzy lata, wydało mi się właściwą formą uspokojenia.

– Mama śpi – dodał. – Boję się.

– Chcesz, żeby ciocia Ana zniosła cię do mamy do łóżka?

Martín jakby rozważał moją propozycję, w końcu jednak pokręcił głową.

– Wolę przez całą noc oglądać z ciocią Aną kreskówki w telewizji.

– Znakomicie – odparłam i pocałowałam go w policzek. – Sama nie wymyśliłabym niczego lepszego.

Wzięłam go na ręce i poszliśmy do kuchni. Czułam się dobrze w towarzystwie tego dziecka; nabierałam przekonania, że razem jesteśmy bezpieczni. W telewizji leciały tylko prehistoryczne starocie, przygody Strusia Pędziwiatra, ale Martín najwyraźniej uznał je za najlepszą rzecz, jaką kiedykolwiek oglądał. Zaśmiewał się z perypetii kojota, przy każdym odcinku coraz bardziej uradowany.

Kiedy już się wytarłam i ubrałam, zagrzałam trochę mleka i wyjęłam herbatniki. W wybuchach śmiechu Martina było coś tak prawdziwego, że w końcu się poddałam i sama zaczęłam śmiać się z sadyzmu Strusia Pędziwiatra i cierpień jego wroga kojota. Przeżyłam naprawdę niezapomnianą noc, choć następnego dnia zapłaciłam za nią jeszcze większymi workami pod oczami i ośpiąłością mojego i tak już skonanego umysłu. Ale nie żałowałam. Bez wątplenia była to najlepsza od wielu lat noc, jaką spędziłam z przedstawicielem płci odmiennej.

– Wbrew pozorom, Wysoki Sądzie, nie jestem zarozumiała. Mam liczne wady: jestem uparta jak osioł, może pyszałkowata, wybuchowa, chełpliwa, niekiedy zuchwała, irytująca, cyniczna, zgoda: czasem mnie nawet ponosi, jak, nie szukając daleko, dwa dni temu, w czasie przesłuchania głównego oskarżonego. Ale powtarzam: nie uważam się za osobę, która ma monopol na prawdę, i duma nie przeszkadza mi publicznie przyznać się do błędu. Serdecznie proszę Wysoki Sąd i pozostałych prawników o wybaczenie. O przyjęcie moich przeprosin; są szczere, prawdziwe. Zapewniam, że to się więcej nie powtórzy. Dziękuję, że Wysoki Sąd zechciał mnie wysłuchać. Proszę również o pozytywne rozpatrzenie mojej prośby o przywrócenie mi prawa głosu podczas rozprawy, tak bym mogła wrócić na salę. Gwarantuję, że dobrze zrozumiałam tę lekcję.

Ławki w ośrodku sportowym imienia Francisca Requeny stały puste; w głębi widać było tylko pracownika zmywającego mopem podłogę pod dużymi oknami i dwóch policjantów pilnujących głównego wejścia (dwaj inni stali na zewnątrz). Barrios spełnił swoją groźbę i w ten czwartek rozprawa miała odbyć się w specjalnie przygotowanej na tę okoliczność hali sportowej. Zgodnie z instrukcjami sędziego przysięgli czekali w jednej z szatni, aż woźna sądowa da im znać, że mogą wejść na salę. Publiczność jeszcze nie została wpuszczona. W hali byli tylko prawnicy, Barrios i inni urzędnicy z sądu.

– Chciałbym pani wierzyć, pani mecenas – powiedział sędzia. – Mam zaufanie do systemu sądowego w naszym kraju, choć oczywiście czasami zdarzają się niedociągnięcia, czy to dotyczące klimatyzatorów, czy bardziej skomplikowanych mechanizmów. Zanim podejmę decyzję, muszę panią o coś zapytać. Jak wynika z posiadanych przeze mnie informacji, wczoraj wykorzystwała pani swoją nieobecność w sądzie, by udać się na Teneryfę i podjąć próbę nawiązania kontaktu z osobą, z którą kategorycznie zabroniono pani rozmawiać. Nie wydaje się, żeby to był najlepszy sposób na

okazanie skruchy. Chciałbym zadać pani pytanie, które nie daje mi spokoju i na które oczekuję całkowicie szczerzej odpowiedzi: otóż czy pani niestosowne zachowanie podczas wtorkowego przesłuchania było wybiegiem mającym doprowadzić do sprzeczki i umożliwić opuszczenie rozprawy bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń?

– Nie będę ubliżać inteligencji Wysokiego Sądu – odparłam, starając się wyeliminować z głosu najmniejszy ślad ironii; zacisnęłam usta i popatrzyłam Barriosowi prosto w oczy. – Linia śledztwa związana z osobą Miguela Ortiza została zablokowana na skutek fortelów obrony, niemniej w dalszym ciągu uważam tamtą sprawę za precedens tego, co zaszło pomiędzy Gran Castillą i Alejandrem Tramelem. Dlatego spróbowałam nawiązać kontakt z wdową wbrew zakazowi nawiązywania kontaktów, którego wyegzekwowaniem zajęła się policja. Początkowo zamierzałam wysłać jednego ze współpracowników, ale ponieważ wczoraj stwierdziłam, że nie będę potrzebna w sądzie, postanowiłam – dopiero wczoraj – że wsiądę do samolotu i sama spróbuję z nią porozmawiać. Zapewniam Wysoki Sąd, przysięgam, że we wtorek nie doszło do żadnej manipulacji z mojej strony, że moje nieuprzejme zachowanie, które skłoniło Wysoki Sąd do wezwania policji, nie wynikało z wyrachowania. Po prostu straciłam nad sobą panowanie. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, jeszcze raz proszę, by Wysoki Sąd przyjął moje szczerze, uczciwe przeprosiny.

Skończywszy, pomyślałam: jak to dobrze, że nie mówiłam tego pod przysięgą. Co prawda wtedy powiedziałabym pewnie dokładnie to samo, ale tak wydawało mi się lepiej. Wszyscy wiedzieliśmy, że każde wypowiedziane w sądzie zdanie stanowi część strategii. Nikt nie przyznawał tego wprost, ale rozumiało się to samo przez się. Pomyślałam również, że może trochę przesadziłam, używając przymiotnika „uczciwe” dla dodania pompatyczności przemowie. Barrios zanotował coś w niewielkim skoroszycie – nie wyglądał na przekonanego.

– Zaufam pani, mecenas Tramel – powiedział, nie patrząc w moją stronę.
– Uznam za nadrzędne interesy pani klientki i jej prawo do jak najlepszej reprezentacji w sądzie. Mimo pani zachowania, którego nie skomentuję.

– Dziękuję bardzo, Wysoki Sądzie.

– Proszę podziękować systemowi sądowemu... który stale pani naciąga do

granic wytrzymałości – zakończył Barrios. – Przejdźmy do następnego punktu.

Woźna sądowa dyskretnie położyła na stole sędziego kilka spiętych kartek. Barrios rzucił na nie okiem. Barver i Andermatt odchyliłi się do tyłu, wymieniając szeptem uwagi, a Pardo skorzystał z okazji, żeby przyjaźnie skinąć w moją stronę i obdarzyć mnie szerokim uśmiechem, który bynajmniej nie wzbudził mojego szczególnego zainteresowania.

– Zobaczmy, co tu mamy – kontynuował Barrios. – Po skierowaniu oficjalnej prośby do sądu numer jeden w Santo Domingo, w Republice Dominikańskiej, o przyjęcie zeznań od świadków, panów Freire, Hidalgo, Morenilla i Kowalczyk, postanawia się, że trzej pierwsi udzielą pisemnych odpowiedzi na pytania dostarczone sądowi przez wszystkie strony, zaś Sebastian Kowalczyk zrobi to w trakcie wideokonferencji w najbliższy wtorek, dwudziestego dziewiątego, o godzinie jedenastej czasu lokalnego. W ten sposób sąd uczyni zadość prośbom prokuratury, oskarżyciela prywatnego i obrony, uwzględniając różnicę czasu w stosunku do miejsca zamieszkania świadków, a także biorąc pod uwagę ich potwierdzone prywatne i zawodowe obowiązki. Wszyscy państwo otrzymacie przed południem kopie. Proszę o cierpliwość. Mimo że posiedzenie zostało przeniesione do tej hali, personel sądowy robi wszystko, co możliwe, żeby formalności i przygotowywanie oficjalnych pism odbywały się jak najsprawniej, co nie jest proste. Proszę również, żeby zaakceptowali państwo taką procedurę składania zeznań przez wspomnianych świadków. Nie będziemy tracić więcej czasu i pieniędzy z powodu czyichś obiekcji.

Liczyłam się z taką możliwością, choć nie było to rozwiązanie idealne. Wymieniłyśmy z Sofią i Conchą wymowne spojrzenia. Siedziały w jednej z długich ławek naprzeciwko miejsca zajmowanego przez Barriosa, na wzór układu w sali rozpraw. Wszystko zostało zaaranżowane na obraz i podobieństwo Naczelnego Sądu Prowincji: na środku za długim stołem (w tym wypadku za połączonymi ze sobą kilkoma krótkimi stołami) sędzia, po jego bokach sekretarka sądowa i urzędnik. Po lewej pięcioro prawników, po prawej przysięgli, a na wprost – ławki dla pozostałych uczestników i dla publiczności. Różnica polegała nie tylko na tym, że wokół nas było mnóstwo wolnej przestrzeni i że w sali panowała przyjemniejsza temperatura. Moją uwagę zwrócił pewien szczegół: kosz przymocowany do przezroczystej

tablicy na potężnej metalowej konstrukcji wyposażonej w bloki, wiszący jakieś trzy metry nad głową sędziego. Rozprawa miała się odbyć w połowie boiska. Bardzo spodobała mi się ta metafora. Miałam tylko nadzieję, że kosz nie spadnie nam na głowę.

– Trzecia i ostatnia kwestia, zanim wejdą przysięgli – oznajmił Barrios. – To ważna sprawa, w której jako sędzia nie mam nic do powiedzenia. Tak stanowi prawo. Wobec zeznań złożonych podczas procesu prokuratura przedstawiła dziś rano poprawkę do wstępnego aktu oskarżenia.

Z niedowierzaniem odwróciłam głowę w stronę Adeli Fernández, która siedziała nieporuszona tuż obok mnie. Powinna była mi o tym powiedzieć, czy to przez grzeczność, czy dla zwykłej przyzwoitości. Jeżeli chciała zmienić wysokość kary czy kwalifikację prawną czynów, powinna była to ze mną skonsultować, jako że (teoretycznie) razem stałyśmy po stronie oskarżenia. Ale najwyraźniej nie miała takiego zamiaru. Wyglądało na to, że nieobecność Ginesa Iglesiasa, którą na początku on sam określił jako sporadyczną i bez znaczenia, była tak naprawdę odwrotem na całej linii, a w dodatku oznaczała zmianę stanowiska prokuratury w sprawie pozwu.

– Przeczytałem i z uwagą przestudiowałem proponowane zmiany, poświadczone przez kierownictwo prokuratury – ciągnął sędzia. – Zanim przejdę dalej, chciałbym prosić, żeby prokurator poinformowała obecnych o wprowadzonych poprawkach. Jak potwierdziła sama pani Fernández, jeszcze dziś przed południem otrzymają państwo wersję na piśmie.

Nie wróżyło to nic dobrego. Jak przewidywałam, odejście Iglesiasa miało pociągnąć za sobą określone konsekwencje.

– Bardzo dziękuję, Wysoki Sądzie – powiedziała Adela, z nieodłącznym cierpkim wyrazem twarzy. – Zgodnie z artykułami siedemset trzydzieści dwa i siedemset trzydzieści trzy Kodeksu postępowania karnego, jak również z ostatnią nowelizacją wspomnianych artykułów, oraz po dokładnej analizie zmian w zeznaniach dotyczących głównego dowodu przedstawionego przez oskarżenie i wiarygodności opinii biegłych prokuratura postanowiła zmodyfikować wyciągnięte wcześniej wnioski, a tym samym wstępny akt oskarżenia. Podsumowując, jak będą mogli państwo przeczytać w oficjalnym dokumencie złożonym w sądzie, jeśli chodzi o przestępstwo groźby karalnej z artykułu sto sześćdziesiąt dziewięć i następnych Kodeksu karnego,

prokuratura zwalnia z wszelkich zarzutów pana Santonję oraz firmę Gran Castilla, wycofuje żądanie kary pięciu lat pozbawienia wolności i wnioskuję o uniewinnienie.

Ledwo się powstrzymałam, żeby jej nie skoczyć do gardła. Nie mogłam uwierzyć, że gnuśność tej kobiety zamieniła się w tchórzostwo albo w coś jeszcze gorszego. Przeszła od wniosku o pięć lat więzienia do darowania jakiegokolwiek kary. W niespełna dwa dni prokuratura zmieniła swoją postawę o sto osiemdziesiąt stopni, co nie tylko oznaczało, że odtąd będę sama, ale też stawiało mnie w niekorzystnym świetle wobec przysięgłych. Skoro nawet prokurator, która teoretycznie powinna ścigać przestępców, uważała, że nie należy ich karać, dlaczego oni mieliby to robić?

Ale najgorsze było dopiero przed nami.

– Jeśli chodzi o przestępstwo stosowania przymusu z artykułu sto siedemdziesiątego drugiego i następnych Kodeksu karnego, prokuratura zwalnia z wszelkich zarzutów pana Santonję oraz firmę Gran Castilla, a tym samym wycofuje żądanie kary trzech lat pozbawienia wolności.

W miarę jak Fernández odczytywała swoje notatki, czułam, że grunt usuwa mi się spod nóg. Nawet w najgorszych przypuszczeniach nie zakładałam, że ta kobieta może zrobić coś takiego.

– Jeśli chodzi o przestępstwo wymuszenia rozbójniczego z artykułu dwieście czterdziestego trzeciego i następnych Kodeksu karnego, prokuratura zwalnia z wszelkich zarzutów pana Santonję oraz firmę Gran Castilla, a tym samym wycofuje żądanie kary trzech lat pozbawienia wolności.

Nie była pierwszym ani ostatnim prokuratorem, który tak robił: ku ogólnemu zaskoczeniu stawała po stronie obrony. Wszyscy pamiętaliśmy głośne sprawy z ostatnich lat. Jednak z tego, co wiedziałam, pierwszy raz doszło do takiej sytuacji jeszcze przed przedstawieniem wszystkich dowodów. Surowe procedury obowiązujące w naszym kraju nie zezwalały na takie posunięcia i tylko uciekając się do wykrętu w postaci niedawno przyjętej nowelizacji Kodeksu postępowania karnego, prokuratura mogła wykonać taki manewr w środku procesu, nie bacząc na ewidentne poważne szkody. Moim zdaniem mieliśmy do czynienia z oczywistym działaniem na korzyść oskarżonego.

– Jeśli chodzi o przestępstwo namowy do samobójstwa – recytowała dalej

Fernández beznamiętnym, monotonnym tonem, który był jeszcze bardziej obelżywy niż to, co mówiła – z artykułu sto czterdzieści trzy paragraf pierwszy i następnych Kodeksu karnego, prokuratura zwalnia z wszelkich zarzutów pana Santonję oraz firmę Gran Castilla, a tym samym wycofuje żądanie kary pięciu lat pozbawienia wolności.

Dosłownie wbiła mi nóż w plecy. Znalazła sposób na wydanie z góry werdyktu, który mógł wpłynąć na przysięgłych i poprowadzić ich w określonym kierunku. Powołała się na artykuły siedemset trzydzieści dwa i siedemset trzydzieści trzy, żeby zmodyfikować treść aktu oskarżenia, co jakby dawało jej wolną rękę do zmiany wszystkich wcześniejszych uzgodnień. Sędzia nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia; nie leżało to w jego kompetencjach. Zastąpiła szesnaście lat więzienia, wnioskowanych łącznie dla Santonji, całkowitym oczyszczeniem z zarzutów. A jakby tego było mało, uniewinniła także firmę.

Ja zażądałam w akcie oskarżenia (oprócz odszkodowania z powództwa cywilnego) w sumie dwudziestu jeden lat pozbawienia wolności, po kilka za każde z popełnionych przestępstw. Miałam nadzieję, że jeżeli zapadnie wyrok skazujący, różnica w stosunku do wniosku Iglesiasa będzie dla sądu miarą przy ustalaniu kary. Teraz ta miara przestała istnieć.

Poruszyłam się na krzesła, nic nie powiedziałam, tylko spiorunowałam Adelę wzrokiem. Nawet tego nie zauważyła. Wydawała się tak nieświadoma swoich działań, że chyba nawet nie dotarło do niej, że przed chwilą wystawiła mnie do wiatru. W zakamuflowany sposób wypowiedziała mi wojnę. Musiałam sama zmierzyć się nie tylko z jedną z najpotężniejszych kancelarii świata, ale i z prokuraturą.

Następnie dziewięciu przysięgłych i dwóch rezerwowych zajęło swoje miejsca. Planowałam nawiązać kontakt wzrokowy z każdym z nich, gdy tylko wejdą do sali, pokazać im, że wróciłam, że mogą na mnie liczyć i że niezależnie od tego, co się będzie działo, więcej ich nie porzucę. Jednak zachowanie Adeli znokautowało mnie do tego stopnia – jeszcze nie do końca ogarniałam to, co przed chwilą się stało, desperacko szukając jakiegoś punktu zaczepienia – że przypominałam sobie o nich, dopiero kiedy już siedzieli na krzesłach. Spojrzałam najpierw na numer osiem: dziewczyna z różowym kosmykiem patrzyła na mnie z zaciekawieniem, choć w hali sportowej dzieliła nas nieco większa odległość niż w sali rozpraw. Nie wiedziałam, czy

Barrios wyjaśnił im powód mojej nieobecności ani czy rozmawiali o tym między sobą – mogłam się założyć, że tak. Poszukałam wsparcia w numerze cztery, emerytce, która w ciągu pierwszych dwóch dni nie zawiodła moich oczekiwań. Nie udało mi się jednak wymienić z nią spojrzeń: rozglądała się po hali, jakby dziwiło ją, że teraz rozprawa będzie odbywać się w tym miejscu. Miałam nadzieję, że brak kontaktu wzrokowego nie oznacza niczego złego.

Zgodnie z porządkiem rozprawy pierwsi mieli zeznawać – w tej kolejności – Gabriel Brandariz, Lorena Márquez i Saúl García, pracownicy Almy, którzy dobrze znali Alego i kilkakrotnie próbowali mu pomóc. W końcu doszłam z nimi do porozumienia: zapewniłam ich, że zeznania w sądzie nie będą przekraczały granic wytyczonych przez ich własny kodeks etyczny.

Wszyscy troje powiedzieli praktycznie to samo. Przedstawili okoliczności, w jakich poznali Alejandra, i potwierdzili, że w ich przekonaniu był dotknięty trwałym, postępującym zaburzeniem, potocznie zwanym uzależnieniem od hazardu. Sprawiało ono, że grał na pieniądze w kompulsywny, niekontrolowany sposób, choć nie miał na to wystarczających środków. Szeroko omówili szkodliwe następstwa, jakie wywołuje choroba, i w ogólnym zarysie przedstawili objawy występujące u pacjentów takich jak Alejandro Tramel. Były to: lękliwość, utrata samokontroli, zachwianie relacji osobistych i rodzinnych, patologiczna skłonność do kłamstwa oraz wiele innych zjawisk, o których powtórzenie każdego z nich poprosiłam, żeby nie było wątpliwości, z czym mamy do czynienia, i żeby przysięgli uwierzyli, że ofiara cierpiała na prawdziwą chorobę.

Wreszcie zwróciłam się do Gabriela, by jako dyrektor głównego madryckiego stowarzyszenia do walki z tą plagą przedstawił nam mroźące krew w żyłach statystyki wskazujące na lawinowy wzrost liczby osób uzależnionych od hazardu w ostatnich latach. Mroczny obraz państwa, które nie tylko zezwala na uprawianie hazardu, ale wręcz do niego zachęca (czerpiąc z tego krociowe zyski), oraz olbrzymich przedsiębiorstw bogacących się legalnie na chorobie innych był niezwykle pouczający i nie stawał w najlepszym świetle Gran Castilli ani Emiliana Santonjy, siedzącego trzy metry za Barverem, z taką miną, jakby to, co mówił Gabriel, w najmniejszym stopniu go nie dotyczyło.

Zarówno Andermatt, jak i Barver próbowali zdyskredytować świadków za pomocą dziwnej strategii: pytali o wynikające z uzależnienia szczegóły życia Alejandra i jego zachowania, których pracownicy Almy nie chcieli zdradzić z szacunku dla pacjentów, nawet nieżyjących, stawiając ponad wszystko ich prawo do prywatności i dobre imię. Lorena wyjaśniła, że po długim zastanowieniu zgodzili się opowiedzieć o chorobie Alejandra – bez wdawania się w detale – ponieważ, po pierwsze, doszli do wniosku, że ich diagnoza jest już powszechnie znana, po drugie, poprosiła ich o to wdowa, a po trzecie, ich zeznania mogły rzucić światło na sprawę.

Jordi Barver zakończył przesłuchanie każdego z trzech świadków w ten sam sposób, zadając proste, bezpośrednie i druzgocące pytanie:

– Czy wiadomo panu/pani, aby Emiliano Santonja albo inny udziałowiec czy pracownik firmy Gran Castilla groził Alejandrowi Tramelowi, stosował wobec niego przymus albo wymuszenie rozbójnicze bądź namawiał go do samobójstwa?

Na które każde z nich było zmuszone udzielić tej samej odpowiedzi:

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie ze względu na tajemnicę zawodową, która obowiązuje mnie wobec zmarłego Alejandra Tramela.

Jeśli dobrze się nad tym zastanowić, taka odpowiedź niekoniecznie musiała nam zaszkodzić. Celem Barvera było pokazanie przysięgłym, że żaden ze świadków nie może potwierdzić, a tym bardziej udowodnić przestępstw, o które oskarżono jego klienta. Ich odpowiedź wskazywała jednak, że jest coś, czego nie mogą ujawnić, i dlatego nie odpowiadają zwykłym „nie”. Miałam nadzieję, że bardziej konserwatywni członkowie ławy przysięgłych nie uprzedzili się z góry do świadków z powodu ich kucyków, skórzanych bransoletek i niedbałego wyglądu i że będą potrafili odczytać między wierszami, co tamci naprawdę mówili (albo czego nie mówili).

Na koniec Andermatt pytał każdego dla uściślenia, czy kiedykolwiek słyszał z ust Alejandra Tramela nazwisko Emiliana Santonjy, i uzyskiwał dokładnie tę samą odpowiedź:

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie ze względu na tajemnicę zawodową, która obowiązuje mnie wobec zmarłego Alejandra Tramela.

Zeznania Gabriela, Loreny i Saula nie okazały się decydujące, ale być

może przechyliły nieco szalę na naszą stronę choćby dlatego, że w odróżnieniu od specjalistów, których przysięgli wysłuchali dzień wcześniej, ta trójka znała osobiście – i to bardzo dobrze – Alejandra Tramela. Tylko na tyle zdała się ich obecność na rozprawie.

Kiedy trzech świadkowie skończyli składać zeznania, pomyślałam, że Barrios zarządzi przerwę na obiad – było wpół do drugiej. Jednak ku mojemu zdziwieniu kazał wprowadzić następnego świadka, prosząc, żebyśmy od razu przeszli do rzeczy i nie przedłużali niepotrzebnie przesłuchania. Niektórzy przysięgli zaczęli wiercić się na krzesłach; widać było, że najchętniej poszliby na lunch. Uważałam, że nie powinno się słuchać zeznań ważnego świadka z pustym brzuchem, marząc tylko o tym, żeby jak najszybciej opuścić salę. Jednak nie miałam w tej sprawie nic do powiedzenia.

Andrés Admira wszedł do sali z nadętą miną, spojrzął w sufit i zajął wskazane miejsce. Wydawał się zachwycony tym, że będzie miał swoje pięć minut. Bardzo różnił się od nieśmiałego, przewrażliwionego, niepewnego chłopaka, którego poznałam na terapii grupowej w Almie i który zjawił się o świcie przed moim domem.

– Dzień dobry, panie Admira – zaczął sędzia. – Czy przysięga pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę?

Andrés wzruszył ramionami. Rozejrzał się na boki. Przysunął się do mikrofonu i odchrząknął. Wreszcie odpowiedział:

– Przed wakacjami grałem tu, w tej hali, mecz koszykówki. To akurat mogę przysiąc – odparł z uśmiechem. – Jeśli chodzi o resztę, zobaczymy, zależy, o co zapytają mnie prawnicy.

W sali rozległy się szept i śmiechy. Chłopak zaczął swój prywatny show.

Sędzia Barrios chwilę odczekał, przyglądając się bacznie Andresowi i pozwalając mu oswoić się z sytuacją.

– Panie Admira, czy składanie zeznań na rozprawie to dla pana żart?

Pytanie zadane surowym, ale spokojnym tonem nie speszyło Andresa; toga i stół sędziowski nie robiły na nim wrażenia.

– W żadnym razie, po prostu nie przepadam za przysięganiem i składaniem obietnic.

– To jedynie formalność – ciągnął Barrios powściągliwie – która zagwarantuje nam, że wszystko, co pan powie, będzie prawdą. Nie zamierza pan przecież kłamać?

– Ja nigdy nie kłamię – odpowiedział – chyba że jest to absolutnie konieczne.

Tym razem w sali rozległy się jedynie szepty. Zabrakło śmiechów, na które Andrés pewnie czekał. Spojrzał na przysięgłych, szukając u nich zrozumienia, ale napotkał mur poważnych, wyczekujących twarzy.

– Jeżeli dalej będzie pan zachowywał taką postawę – kontynuował sędzia spokojnie – popełni pan wykroczenie podlegające karze grzywny do trzystu euro. Musi pan wiedzieć, że wykroczenie to może zamienić się w przestępstwo utrudniania pracy wymiaru sprawiedliwości. Ponieważ został pan wezwany na świadka, ma pan obowiązek stawienia się w sądzie i przyrzeczenia, że wszystko, co pan powie, jest zgodne z prawdą. Tylko w ten sposób obecne na sali osoby mogą wiedzieć, czego się mają trzymać, słuchając pańskich zeznań. Reasumując, musi pan nie tylko mówić prawdę, ale też obiecać, że będzie ją mówił, nawet jeśli ta formuła wyda się panu przestarzała. W tym wypadku jest to jednak absolutnie konieczne.

Andrés nie popisał się już na starcie. Przyjął niewłaściwą postawę. Nie spotykał się na partyjkę czy piwo z kumplami, nie był na swoim terenie, nie

znał obowiązujących zasad. Zgrywanie chojraka czy dowcipnisia mogło go drogo kosztować. Z jego miny wyczytałam, że poczuł się przyparty do muru.

– W porządku – zgodził się niechętnie. – Przysięgam.

– Pani prokurator, świadek jest do pani dyspozycji – powiedział Barrios.

Adela włączyła swój mikrofon.

– Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie. Panie Admirze, czy mógłby nam pan wyjaśnić, skąd znał pan Alejandra Tramela?

– Nie znałem go – odpowiedział.

Omam nie spadłam z krzesła. Gwałtownie się wyprostowałam i oburącz chwyciłam mikrofon.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – zareagowałam rozjuszona. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Mimo wszystko był gotów kłamać w żywe oczy, przeinaczać fakty; nie miałam pojęcia, co znów wymyślił ten chłopak. –

Wszyscy słyszeliśmy, jak podczas postępowania przygotowawczego pan Admirze oznajmił, że znał dobrze pana Tramela. Jeżeli Wysoki Sąd uzna, że istnieje taka potrzeba, możemy od razu sprawdzić jego wcześniejsze zeznania. Mogę również osobiście je poświadczyć, jako że wielokrotnie rozmawiałam o tym ze świadkiem.

– Mecenas Tramel, to świadek oskarżenia – powiedział Barrios – albo inaczej mówiąc, to pani świadek. Nie uprzedzajmy faktów. Proszę wysłuchać, co ma do powiedzenia, potem będzie pani kolej na zadawanie pytań. Panu zaś, panie Admirze, jeszcze raz przypominam, że zeznaje pan pod przysięgą i że na wszystkie zadane pytania musi pan udzielać odpowiedzi zgodnych z prawdą; w przeciwnym razie dopuści się pan przestępstwa.

– Dziękuję za przypomnienie, panie sędzio – odparł Andrés ze szczyptą ironii w głosie.

Z każdym słowem, które wychodziło z ust chłopaka, moje chęci, żeby mu pomóc, zamieniały się w nieprzewartą ochotę, żeby go udusić. Wybrał tak złą taktykę, że nie sądzę, aby udało mu się wyswobodzić z własnych sideł. Wpakował się w poważne kłopoty, a na dodatek okazywał arogancję, która szkodziła mu bardziej niż jego słowa.

– Żeby było jasne, panie Admirze – wróciła do pytania prokurator. – Znał pan czy nie znał Alejandra Tramela?

– To nie jest tak, że go w ogóle nie znałem. Widziałem go parę razy w stowarzyszeniu, „cześć”, „na razie”, ale niewiele więcej.

Adela przejrzała zawartość leżącej przed nią teczki. Wyglądała na niezadowoloną – pewnie dlatego, że odpowiedzi świadka zmuszały ją do improwizacji i odejścia od przygotowanego scenariusza. Nie należała do osób, które szybko podejmują ważne, ryzykowne decyzje, a musiała się przestawić.

Spojrzałam na Sofię z rozpaczą. Pokręciła głową. Ona także nie rozumiała, co się dzieje. Po naszym spotkaniu (a raczej starciu) w sądzie, do którego doszło dwa dni wcześniej, rozmawiała z Andresem przez telefon. Sprawiał wrażenie spokojniejszego i bardziej skorego do współpracy, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Chyba jednak kolejny raz zmienił zdanie.

– O jakim konkretnie stowarzyszeniu pan mówi? – zapytała Adela.

– O Almie, wie pani, to jak Anonimowi Alkoholicy, tyle że dla nałogowych graczy. Wszyscy, którzy tam przychodzili, mieli problemy z hazardem.

Świadkowie, którzy składali dziś zeznania, wyjaśnili już dokładnie, czym jest i na jakich zasadach funkcjonuje Alma. Nie było potrzeby tego powtarzać.

– Może nam pan dokładnie opisać, o czym rozmawiał z Alejandrem Tramelem te parę razy, kiedy widział go pan w stowarzyszeniu?

– Nie pamiętam dobrze. O niczym szczególnym. Spotkaliśmy się na sesji grupowej. Wychodząc, zaczepił mnie i powiedział, że jestem za młody, żeby uzależniać się od hazardu. Nic specjalnego.

– Ile miał pan wtedy lat?

– Szesnaście, prawie siedemnaście.

– Czy Alejandro Tramel mówił panu coś o swoich związkach z hazardem?

– Niewiele. Ostrzegł mnie, żebym przestał grać, jeśli nie chcę skończyć tak jak on. Powiedział, że całymi dniami gra w karty, czuł się winny.

– Proszę wybaczyć, Wysoki Sądzie – wtrąciłam – pan Admira nie ma odpowiednich kwalifikacji do stawiania diagnozy psychologicznej ofiary.

– To prawda, pani mecenas – przyznał sędzia, po czym spojrzał na Andresa. – Panie Admira, żebyśmy mogli to dobrze zrozumieć: proszę uściślić, czy Alejandro Tramel powiedział panu dosłownie, że czuje się winny z powodu swoich związków z hazardem, czy też pan sam wyciągnął taki wniosek?

Trwało to zaledwie ułamek sekundy, nie miałam więc stuprocentowej pewności, ale wydało mi się, że Andrés przed udzieleniem odpowiedzi rzucił szybkie spojrzenie Barverowi. Teza, że wyłącznie sam Ale ponosił winę za swoje czyny, stanowiła podstawę argumentacji obrony i pojawiała się od początku postępowania. Było oczywiste, że te słowa nie wyszły od chłopaka. Kolejny raz miałam ochotę wstać i wytargać go za uszy, powiedzieć mu, że za jakiś czas, być może już niedługo, pożałuje tego, co zrobił. Kłamstwa, zaprzecanie się Emilianowi Santonja i spółce w zamian za kilka żetonów do kasyna było najpodlejszą rzeczą, jakiej się kiedykolwiek dopuścił, podlejszą niż to, że okradał i oszukiwał rodziców, żeby móc dalej grać. Wcześniej czy później miał za to zapłacić.

– On tak powiedział – odparł bez zażenowania, jakby nagle wróciła mu pamięć. – Tak, na pewno, mówił, że za dużo gra i że tylko on ponosi winę za to, co się z nim dzieje, że nikt nie może mu pomóc, jeżeli sam poważnie się za siebie nie weźmie.

– Jestem zmuszony zapytać o to ponownie – nalegał Barrios – jako że podczas postępowania przygotowawczego z pana ust nie padło tak kategoryczne stwierdzenie. Czy jest pan pewien, że użył on dokładnie takich słów?

– Całkowicie. To była bardzo krótka wymiana zdań. Wychodziliśmy z terapii grupowej i żaden z nas nie miał raczej ochoty na rozmowę.

– Alejandro Tramel powiedział panu dosłownie, że tylko on ponosi winę za to, co się z nim dzieje, jeśli chodzi o hazard? – zapytał sędzia trzeci raz.

– Tak, proszę pana, właśnie tak mi powiedział. Nie wspomniałem o tym podczas postępowania przygotowawczego, bo nikt mnie nie pytał. To wcale nie przeczy moim obecnym zeznaniom.

– Ma pan rację, bezpośrednio im nie przeczy – powiedział Barrios, przyglądając się chłopakowi. – Widzę, że dobrze się pan przygotował. Proszę uważać, panie Admira. Po raz trzeci panu powtórzę, że składanie zeznań

w procesie to bardzo poważna sprawa.

Zniknął gdzieś prześmiewczy ton, którym Andrés zaczął swoje wystąpienie. Przypuszczam, że niełatwo mu było wygłosić ten stek kłamstw na temat kogoś, kto przejął się jego losem, kto wyciągnął do niego rękę. Ja w każdym razie słuchałam go ze wstrętem. Nie powinnam była wzywać go na świadka, nie powinnam była go słuchać ani wtedy, kiedy zjawił się o świcie pod moim domem, a Moncada złamał mu nos, ani potem, kiedy zapewniał, że chce z nami współpracować. Sędzia dał znak prokurator, że może kontynuować przesłuchanie.

– Panie Admira – ciągnęła Adela – czy pamięta pan, żeby Alejandro Tramel te parę razy, kiedy spotkaliście się w stowarzyszeniu, mówił panu jeszcze coś, co miało związek z hazardem albo z jego osobistą sytuacją?

– Drugi raz rozmawialiśmy kilka miesięcy później przy automatach z napojami. Piłem kawę, podszedł do mnie i zapytał, co u mnie słychać, czy już czuję się lepiej, czy dalej gram, takie rzeczy.

– Pan Tramel podszedł do pana?

– Wydaje mi się, że tak. Nie spotkaliśmy się już na terapii grupowej. Ja chodziłem po południu, on rano, nie mieliśmy okazji więcej rozmawiać. Przywitał się i zapytał, co u mnie. To wszystko, taka luźna pogawędka.

– Czy podczas drugiego spotkania Alejandro Tramel powiedział panu coś istotnego o swoich związkach z hazardem?

– Powiedział, że jest zdesperowany, że oszukuje żonę, żeby móc codziennie grać. Doskonale wiedziałem, o czym mówi, bo ja też oszukiwałem rodziców, żeby móc grać.

– Powiedział panu, że oszukuje żonę?

– Nie ma w tym nic dziwnego – odpowiedział. – Wszyscy hazardziści oszukują ludzi z najbliższego otoczenia. To jedna z pierwszych rzeczy, jaką sobie uświadamiasz, kiedy zaczynasz uczestniczyć w terapii.

Zgadzało się to z diagnozą Frimana. Zdumiewało mnie, że obaj opowiadają o tym tak otwarcie.

– Czy udzielił panu jeszcze jakichś informacji albo mówił coś więcej o swojej sytuacji?

– To była krótka, luźna pogawędka. Wyglądał na zawstydzonego,

smutnego. Cały czas powtarzał, że tylko on ponosi winę za wszystko, co go spotyka.

– Czy wspomniał panu, że ktoś mu w jakiś sposób grozi albo poddaje go naciskom?

– Z tego, co pamiętam, to nie.

– Bardzo dziękuję, panie Admira. Nie mam więcej pytań.

Prokurator jak zwykle przesłuchiwała świadka pobieżnie, nie starając się pogłębić żadnej z poruszanych kwestii, a tym razem jeszcze podała świadkowi na tacy gotowe odpowiedzi.

Wyprostowałam się na krześle, nie tylko po to, żeby być bliżej mikrofonu, ale też by móc wyraźniej artykułować pytania. Powiedziałam sobie, że nie mogę przejawiać agresji ani tracić opanowania. Jedynym sposobem na podważenie zeznań Andresa było spokojne zadawanie pytań, tak żeby przysięgli nie zauważyli, w jak trudnym położeniu się znalazłam.

– Czy dalej pan gra, panie Admira? – zapytałam.

– Co to ma do rzeczy? Nie przyszedłem tu, żeby mówić o sobie – odpowiedział zirytowany. Pamiętałam nasze rozmowy, kiedy uzgadnialiśmy, że będzie zeznawał. Powtarzał, że nie chce opowiadać publicznie o swoich problemach z hazardem, że zamierza mówić wyłącznie o Alem, o tym, co od niego usłyszał. Zgodziłam się, żeby pominął własne doświadczenia, jeżeli dzięki temu miał czuć się bardziej komfortowo, uprzedziłam go jednak, że obrona na pewno wyciągnie jakieś brudy. Jednak skoro on w rażący sposób złamał obietnicę, nie widziałam powodu, dla którego ja miałabym dotrzymać słowa.

– Ja pytam, a pan odpowiada – wyjaśniłam łagodnym tonem. – Tak to działa. Czy dalej pan gra?

Poszukał wzrokiem pomocy u sędziego i pozostałych prawników, ale nikt niczego nie zrobił ani nie powiedział. Zrozumiał, że jest sam.

– Nie za często.

– Co znaczy nie za często?

– To, że gram tylko od czasu do czasu.

– Ile razy grał pan w ciągu ostatniego miesiąca?

- Nie pamiętam.
- Więcej niż raz?
- Tak.
- Więcej niż pięć razy?
- Niewykluczone.
- Więcej niż dziesięć?
- Nie jestem pewien.
- Więcej niż dwadzieścia?
- Nie sędzę, nie wiem.

Sędzia postanowił interweniować, widząc, w jaką stronę zmierza moje przesłuchanie.

– Mecenas Tramel, nie osądzamy tu zachowania pana Admiry i jego stosunku do hazardu – przypomniał mi. – Proszę, żeby wykazała pani bezpośredni związek tych pytań ze sprawą, którą się tu zajmujemy, albo zarzuciła tę linię przesłuchania.

– Bardzo dziękuję, Wysoki Sądzie, taki właśnie miałam zamiar – odparłam, udając, że szukam czegoś w jednej z teczek. – Panie Admiry, zgodnie z komputerowym rejestrem gości kasyna w Robredo należącego do firmy Gran Castilla w ciągu ostatniego miesiąca spędził pan tam dwadzieścia pięć wieczorów. Czy pańskim zdaniem to „nie za często”?

Nie dysponowałam żadnym rejestrem, miałam te informacje od M., ale uznałam, że to wystarczy.

- Nie wiem.
- Czego pan nie wie?
- Czy to często.

– Panie Admiry, ile pieniędzy wydał pan w ciągu ostatniego miesiąca na grę w kasynie w Robredo?

W tym momencie Barver poczuł się zmuszony zgłosić sprzeciw, żeby wybawić chłopaka z opresji. Właśnie na tym mi zależało, na pokazaniu, że Andrés jest świadkiem obrony, a nie oskarżenia.

- Proszę wybaczyć, Wysoki Sądzie – powiedział – ale świadek nie ma

obowiązku dzielić się z sądem informacją o sumie pieniędzy, jaką wydał w ciągu ostatniego miesiąca w kasynie, ani o tym, jak często je odwiedzał. Nie tego dotyczy proces.

– Panie Admira, nie musi pan odpowiadać – zgodził się Barrios.

– I tak tego nie wiem – stwierdził tamten spokojnie.

– Jak to możliwe, że pan nie wie? Ma pan tyle pieniędzy, że stracił pan rachubę?

– Nie, to nie tak, po prostu nie pamiętam – odparł Andrés obrażony. – Poza tym sędzia powiedział, że nie muszę odpowiadać.

– Czy w ciągu ostatniego miesiąca grał pan za własne pieniądze czy też na kredyt, którego łaskawie udzieliło panu kasyno? – zapytałam.

– Wysoki Sądzie, jestem zmuszony ponownie zaprotestować – wtrącił Barver. – Raz jeszcze wnoszę sprzeciw przeciwko takiej linii przesłuchania. Proces nie dotyczy związków pana Admiry z hazardem, a już zwłaszcza wydarzeń z ostatniego miesiąca.

– W porządku, wycofuję pytanie – powiedziałam nadzwyczaj spokojnie. – Panie Admira, czy kasyno w Robredo pożyczyło panu kiedykolwiek pieniądze, żeby mógł pan w nim grać?

– Sprzeciw – zaprotestował natychmiast Barver. – To jest to samo pytanie, tyle że ubrane w inne słowa. Nie ma ono związku ze sprawą.

– Wysoki Sądzie, staram się udowodnić relację łączącą pana Admirę z kasynem w Robredo, a tym samym z firmą Gran Castilla – wyjaśniłam. – Uważam, że przysięgli powinni poznać zasady, na jakich opiera się ta relacja, żeby potrafili osądzić, czy mogła mieć wpływ na treść jego zeznań. Poza tym to, jak kasyno w Robredo traktuje stałych klientów, ma ścisły związek ze sprawą.

– Udało się pani sprawić, pani mecenas, że ja sam zainteresowałem się odpowiedzią świadka. Jeżeli pani pozwoli, zadam mu kilka pytań – powiedział Barrios. – Panie Admira, czy kasyno w Robredo pożyczyło panu pieniądze na grę? Raz jeszcze przypominam, że zeznaje pan pod przysięgą.

Andrés poruszył się niespokojnie. Nie podobał mu się taki obrót sprawy, ale sam był sobie winien.

– Tak – wyszeptał.

– Nie słyszę, panie Admira – skarcił go sędzia. – Proszę mówić bliżej mikrofonu.

Cała ława przysięgłych z uwagą patrzyła, jak chłopak przysuwa się do mikrofonu, żeby odpowiedzieć:

– Tak.

– Co tak?

– Tak, pożyczyło mi pieniądze na grę.

– Ile pieniędzy jest pan winien kasynu w Robredo? Tylko proszę nie mówić, że pan nie wie. Niech pan udzieli możliwie najbardziej precyzyjnej odpowiedzi.

– Jakieś piętnaście tysięcy.

– Na dzień dzisiejszy jest pan winien kasynu w Robredo piętnaście tysięcy euro?

– Tak.

– Czy zażądano od pana jakiegoś poręczenia albo gwarancji, zanim udzielono panu kredytu?

– To tak nie działa, wystarczy podpisać pokwitowanie.

– Pan podpisuje pokwitowanie, a kasyno wydaje panu żetony do gry?

– Czasami.

– Od kiedy ma pan otwarty kredyt w kasynie w Robredo?

– Nie wiem dokładnie.

– Od kiedy?

– Wydaje mi się, że od miesiąca z kawałkiem.

– Ile ma pan lat, panie Admira?

– Osiemnaście.

Barrios ze smutkiem pokręcił głową. Myśl, że osiemnastoletni chłopak spędza wieczory w kasynie i gra na kredyt tysiącami euro, nie była specjalnie budująca. Odniosłam wrażenie, że pierwszy raz, odkąd zaczął się proces, jedenaścioro przysięgłych zaczęło odczuwać niechęć wobec kasyna. Sędziemu udało się to, do czego zmierzałam od pierwszej minuty.

– Świadek jest do pani dyspozycji.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. Zapytam wprost, panie Admira. Czy uważa pan, że pieniądze, które kasyno pożycza panu na grę, miały jakikolwiek wpływ na pańskie dzisiejsze zeznania?

– Nie sędzę.

– Nie sędzi pan czy jest pan pewien?

– Jestem pewien.

– Dług w wysokości piętnastu tysięcy euro, który ma pan obecnie wobec firmy Gran Castilla, w najmniejszym stopniu nie wpłynął na pańskie zeznania?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – powiedział Barver, niespecjalnie zadowolony. – Świadek już odpowiedział.

– Pani mecenas, proszę przejść do następnego pytania – przerwał Barrios, który ciągle nie mógł się chyba otrząsnąć po odpowiedzi chłopaka.

Zrobiłam krótką przerwę. Uznałam, że przysięgli zasłużyli sobie na chwilę oddechu. Wszyscy byliśmy już trochę zniechęceni i zmęczeni. Andrés podrapał się po przyszczatej twarzy. Wyglądało to tak, jakby rzucono go lwom na pożarcie, a on nawet się nie zorientował. Mimo że było mi go żal, nie mogłam mu odpuścić; sam zabrnął w ten labirynt.

– Powiedział pan, że wszyscy hazardziści to kłamcy. Jest pan kłamcą?

– Nie.

– Wszyscy hazardziści to kłamcy, z wyjątkiem pana?

– Nie wiem, tak mi się tylko powiedziało.

– Skłamał pan, przytaczając powtarzane rzekomo wielokrotnie słowa Alejandra Tramela o tym, że tylko on ponosi winę za to, co go spotyka?

– Nie.

– Skłamał pan, mówiąc, że widział pan Alejandra Tramela tylko dwukrotnie i że niemal go pan nie znał?

– Nie.

– Powiedział pan, że po waszym pierwszym spotkaniu długo się nie widzieliście, bo on chodził na sesje rano, a pan po południu. Jak to możliwe,

że posiada pan takie informacje o kimś, kogo pan nie znał?

– Nie wiem, pewnie ktoś mi powiedział, nie jestem pewien.

– Kto panu powiedział, panie Admira? Czyżby rozpytywał pan o zwyczaje Alejandra Tramela?

– Oczywiście, że nie.

– Skąd pan wiedział, że chodzi na poranne sesje?

– Już mówiłem, że nie wiem.

– Czy Alejandro Tramel pomógł panu, kiedy był pan w trakcie leczenia?

Andrés znieruchomiał. To wszystko mu się nie podobało. Mnie też nie. Było oczywiste, że dla tego chłopaka nie ma już ratunku, a kiedy widzę taki beznadziejny przypadek, kiedy spotykam kogoś, kto zaczyna tonąć w problemach, mój instynkt krzyczy, żebym rzuciła mu koło ratunkowe, żebym pomogła, choćbym sama miała pozbawić się w ten sposób ostatniej deski ratunku i utopić we własnej głupiej arogancji. Zamiast odpowiedzieć Andrés tylko wzruszył ramionami.

– Czy Alejandro Tramel okazał panu wsparcie, kiedy był pan w trudnej sytuacji? – ciągnęłam.

Spojrzał na mnie ze złością, jakbym nie miała prawa go o to pytać, jakby mnie ostrzegął, że bardzo mu przykro, ale nie zmieni zeznań.

– Czy kiedy wszyscy odwrócili się do pana plecami, Alejandro Tramel, mimo że sam był zrujnowany, pożyczył panu pieniądze, żeby uniknął pan kłopotów?

– Wysoki Sądzie – powiedział energicznym tonem Barver – widzimy tu wyłącznie domysły i spekulacje. Oskarżenie nie pyta o żadne konkretne zdarzenia. To niedopuszczalne.

– Mecenas Tramel, proszę kończyć przesłuchanie – oznajmił Barrios. – Jeżeli ma pani jeszcze jakieś pytanie dotyczące kwestii związanej ze sprawą, proszę sformułować je jak najkrócej i jak najzwięźle, w przeciwnym razie uznam, że pani skończyła.

Popatrzyliśmy na siebie z Andresem. Na moment zapomniałam nawet o przysięgłych. Był tylko głupim dzieciakiem, zdezorientowanym i wystraszonego. Postanowiłam, że nie będę się nad nim dłużej znęcać.

Wystarczy.

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

– Myślisz, że coś wiesz, ale nie masz zielonego pojęcia – napadł na mnie przy wszystkich Andrés. – Co ty o mnie wiesz? Co wiesz o tym, jak to jest, kiedy wszyscy odwracają się do ciebie plecami, bo jesteś zrujnowany, bo spierdoliłeś sobie życie, ale nie możesz przestać grać i nikt, nawet twoja rodzina, nie rozumie, co się z tobą dzieje? Co ty o tym wszystkim wiesz?

– Wysoki Sądzie – przerwał Barver – świadek nie odpowiada na żadne pytanie, bardzo proszę, żeby Wysoki Sąd przypomniiał mu, że został wezwany po to, by rozjaśnić nam kilka konkretnych kwestii, a nie po to, żeby wygłaszać przemowę.

Andrés odwrócił się w stronę Jordiego Barvera jeszcze bardziej rozeźlony. Wyglądał, jakby miał ochotę się na niego rzucić. Rozważył jednak konsekwencje, jakie przyszłoby mu ponieść, gdyby posłuchał instynktu.

– Panie Admira – powiedział sędzia – będę wdzięczny, jeżeli ograniczy się pan do udzielania odpowiedzi na zadane pytania. Niemniej zapamiętam pana słowa i po zakończeniu rozprawy zwrócę się do prokuratury o ustalenie, czy zmiana pańskich zeznań w kilku punktach powinna zostać uznana za wykroczenie, czy dopuścił się pan krzywoprzysięstwa i utrudniał działania wymiaru sprawiedliwości. Tymczasem kontynuujmy. Świadek jest do pańskiej dyspozycji, mecenasie.

Barver postanowił uspokoić Andresa, powstrzymać go albo przynajmniej skierować jego gniew w inną stronę. Zastosował swoją miazdzącą, ale niewątpliwie skuteczną strategię i zadał tylko jedno pytanie:

– Czy wiadomo panu, panie Admira, aby firma Gran Castilla za pośrednictwem któregośkolwiek ze swoich pracowników, kierowników albo jakiegokolwiek innej osoby groziła Alejandrowi Tramelowi, stosowała wobec niego przemoc albo wymuszenie rozbójnicze bądź namawiała go do samobójstwa?

Andrés odczekał chwilę, świadom wagi swojej odpowiedzi. Zobaczyłam w jego oczach, że się poddał i nie miał już siły na nic innego.

– Nie.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Rozumiałam go, oczywiście jego odpowiedź nie była nam na rękę, ale chociaż nad nią ubolewałam, potrafiłam postawić się w jego sytuacji. Posiedzenie dobiegło właściwie końca. Barrios zapytał Andermatta i Parda, czy przesłuchanie zabierze im dużo czasu: jeżeli tak, przed udzieleniem im głosu zarządzi przerwę na obiad. Ponieważ Latający Holender zapewnił, że ma tylko jedno pytanie, a Pardo uznał, że wystarczy mu to, co usłyszał, i rezygnuje ze swojej tury, sędzia pozwolił zakończyć przesłuchiwanie świadka przed przerwą.

– Panie Admira – zaczął z naciskiem Hans Andermatt – czy wiadomo panu, aby Emiliano Santonja groził Alejandrowi Tramelowi, stosował wobec niego przemoc lub wymuszenie rozbójnicze bądź namawiał go do samobójstwa?

– Nie – odpowiedział chłopak ze smutkiem.

Na tym zakończyło się przesłuchanie. Przysięgli i większość obecnych chcieli coś przekąsić. Sędzia wezwał nas z powrotem na szesnastą. Kiedy inni opuszczali halę, podeszłam do Andresa, który wyglądał, jakby był w szoku. Mimo wszystko zrobiło mi się go żal. Skojarzyłam jego cierpienie z cierpieniem Alego. Skłamał i będzie kłamał jeszcze nieraz, jeżeli ktoś nie wyciągnie go siłą z tej studni. Powiedziałam mu, tak żeby nikt inny nie słyszał:

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym z tobą porozmawiać, kiedy skończy się proces.

Spojrzał na mnie zaczerwienionymi oczami, zmaltretowany. Z trudem wyszeptał:

– Najbardziej żałuję, że nawet nie potrafiłem porządnie kłamać. Nikt nie kupił ani jednego mojego słowa. Ci łajdacy nie będą zadowoleni, nie pożyczą mi już więcej pieniędzy na grę.

Ten dzieciak nie wiedział, że miałby ogromne szczęście, gdyby rzeczywiście tak się stało i gdyby teraz, kiedy już złożył zeznania, kasyno nie chciało udzielać mu więcej kredytu. Z drugiej strony miałam nadzieję, że przysięgli rzeczywiście mu nie uwierzyli.

– Nie zeznawać.

Podniosłyśmy z Sofią i Conchą wzrok znad talerzy i spojrzałyśmy na nią zdumione. Próbowaliśmy nie wyciągać pochopnych wniosków; może źle ją zrozumialiśmy, może to kwestia bariery językowej, na pewno tak. Żeby nie było żadnych wątpliwości, Helena powtórzyła kategorycznym tonem:

– Ja nie zeznawać.

Następnie odcięła nożem duży kawał sznycła, włożyła go do ust i jak gdyby nigdy nic zaczęła jeść.

– Ale... Dlaczego? – chciałam wiedzieć.

Przeżuwała energicznie, podczas gdy nasza trójka bacznie się jej przyglądała. Zamówiłyśmy po zestawie dnia w tanim barze na tyłach hali sportowej. W sierpniu lokal nie miał zbyt wielu klientów, mimo to wybrałyśmy stolik na uboczu, żeby móc ostatni raz spokojnie powtórzyć zeznania Heleny. Tymczasem ona pół godziny przed rozprawą wyskakiwała nam z czymś takim. Nie odrywałyśmy od niej wzroku, z obawy że umknie nam jakieś słowo, jakiś gest, który tłumaczyłby, co tu jest grane. Po kilku ciągnących się w nieskończoność chwilach słodka polska wdówka wreszcie przełknęła sznycel.

– Mówić z pełne usta złe wychowanie – wyjaśniła przepaszająco.

– Wiemy, wiemy – zniecierpliwiłam się. – Co to ma znaczyć, że ty nie zeznawać?

– Hiszpanie nienawidzić mnie – wypaliła.

– Kto cię nienawidzi? – wtrąciła się Sofia.

– Hiszpanie nienawidzić Rumuni, Polacy, Rosjanie – oświadczyła. – Nie lubić, że my tu przyjeżdżać, zawsze mówić: wy złodzieje, wy kraść praca, ja dużo razy słyszeć.

– I co, kurwa, teraz nagle zdałaś sobie z tego sprawę? – rzuciłam niezbyt

subtelnie.

– Ana chce powiedzieć, że powinnaś była pomyśleć o tym wcześniej – weszła mi w słowo Sofía, karcąc mnie wzrokiem za ostry ton. – Poza tym to nie jest tak, naprawdę. Tylko nieliczni myślą w ten sposób o cudzoziemcach, wierz mi, bardzo nieliczni. W większości nie jesteśmy rasistami. To udowodnione, tak mówią statystyki.

– W sądzie nikt nie będzie na ciebie krzywo patrzył, Heleno – dodała Concha. – Nie wiem, co słyszałaś. Przykro mi, jeżeli spotkała cię jakaś nieprzyjemność, ale nie można uogólniać. Olbrzymia większość ludzi w tym kraju jest bardzo tolerancyjna.

– Przysięgli nienawidzić mnie, kiedy oni słuchać – upierała się moja bratowa. – Im nie podobać. Oni nienawidzić. Nie być dobre, że ja zeznawać.

– Nikt nie będzie osądzał cię za to, że jesteś Polką czy że mówisz z akcentem – zawyrokowała Concha, starając się, by jej słowa zabrzmiały uspokajająco, a zarazem serdecznie. – W tym procesie jesteś ofiarą, masz małe dziecko, twój mąż nie żyje. Nie będą na ciebie krzywo patrzeć, zapewniam cię.

– Nieprawda – przerwała jej Helena, odkładając sztucę na talerz. – Oni nie widzieć matka i wdowa. Oni widzieć polska blondynka, która robić striptiz i szukać praca w Hiszpanii, i im nie podobać. Jeśli ja mówić, nie być dobre. Ja nie zeznawać.

– Twoje zeznania są kluczowe – powiedziała Sofía. – Rozmawialiśmy o tym setki razy. Nie możesz teraz zmienić zdania, pomyślą, że coś ukrywamy. Nie masz cię czego obawiać, po prostu wejdiesz tam i powiesz prawdę. Obiecuję ci, że nikt nie będzie na ciebie krzywo patrzył.

Pokręciła głową. Wydawało się, że nie zamierza zmienić decyzji. Mogła dojść do tego wniosku kilka tygodni wcześniej – zaoszczędziłaby nam sporo zmartwień – ale pomyślała o tym właśnie teraz (kilka minut przed wejściem na salę). Instykt ostrzegł ją mądrze przed gniazdem os, w które miała zaraz wdepnąć.

– Helena ma rację – stwierdziłam posępnie.

Wszystkie trzy spojrzały na mnie zdumione. Nie spodziewały się, że powiem coś takiego. Ja też nie, ale nie było czasu na ceregiele. Jeżeli

kłamstwami przekonamybyśmy Helenę do składania zeznań, posypałaby się przy pierwszej okazji.

– Przysięgli cię nie polubią – ciągnęłam. – Po pierwsze dlatego, że jak sama słusznie zauważyłaś, w ich oczach jesteś cwaniarą ze Wschodu, która przyjechała, żeby kraść im pracę. Założę się, że kiedy tylko zaczniesz mówić, taka myśl zaświta w głowach ponad połowy z nich. A po drugie, jakby tego było mało, jesteś prześliczną dwudziestolatką bez środków do życia, która pracowała, tańcząc na rurze w klubie, a teraz ma czelność pozywać uczciwego hiszpańskiego przedsiębiorcę, żeby wyciągnąć od niego pieniądze. Od pierwszej chwili im się nie spodobasz, nawet wzbudzisz w nich nienawiść.

– Nie ułatwiasz nam, kurwa, sprawy – rzuciła Concha.

Helena patrzyła na mnie, starając się zrozumieć, co chcę jej powiedzieć. Wydawała się urażona moimi słowami. Ona miała prawo tak o sobie mówić, ale ja to co innego. Siedziała na tandetnym krześle w barze na obrzeżach Madrytu, sama, daleko od swoich rodzinnych stron, tysiące kilometrów od miejsca, w którym się wychowała, w towarzystwie trzech cudzoziemek, które nie rozumiały jej prawdziwych marzeń i obaw i które choć starały się okazywać jej zainteresowanie, a nawet szacunek, tak naprawdę jej nie kochały – nie mogły jej kochać, bo jej nie znały. Jedyne człowiek w tym kraju, który naprawdę ją kochał, nie żył.

– Coś ci zaproponuję – oznajmiłam. – Powiedz to przysięgłym. Powiedz im, co naprawdę myślisz. Powiedz im, że w Hiszpanii ludzie z reguły próbowali cię wykorzystać, że proponowali ci pieniądze za seks, że ci, których tu poznałaś, zwykle nie byli wobec ciebie uczciwi, że nie wierzysz, aby mogli cię zrozumieć. Że boisz się, że znienawidzą cię z powodu twojego akcentu. Powiedz im, że byłaś zakochana w człowieku, który odebrał sobie życie i który nie był zdolny dotrzymać obietnicy i być przy tobie, żeby opiekować się waszym synem. Nie staraj się im przypodobać. Powiedz, że jesteś tym wszystkim bardzo zmęczona, tym, że każdy, kogo spotykasz w supermarkecie czy w kolejce po zasiłek, patrzy na ciebie z pogardą. I oczywiście powiedz im wszystko, co wiesz o kasynie, Emilianie i reszcie, niczego nie zatajaj. Rzuć im prawdę prosto w twarz, a jeśli będziesz chciała, możesz potem na nich splunąć i powiedzieć, że to ty nimi gardzisz, że to ty ich nienawidzisz.

– Tylko żebyśmy nie przegięły – zauważyła Sofía.

Helena patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Ależ tak, przegnijmy – odparłam, odwzajemniając jej spojrzenie. – Proponuję ci, żebyś weszła na salę i opowiedziała, co czujesz. Nieważne, czy im się spodobaś, czy nie, nieważne, czy wygramy proces. Przysięgam ci, że jest mi wszystko jedno. Musisz złożyć zeznania, bo jeśli nie, będziesz miała kolejny problem z prawem, a zapewniam cię, że masz ich już dosyć. Ale zapomnij o roli udręczonej, smutnej wdowy, którą miałaś odegrać na rozprawie. Wejdź na salę i okaż im gniew, nienawiść, wściekłość. Mówię poważnie. Zrób to dla Alego. Przede wszystkim jednak zrób to dla siebie samej. Wyrzuć wszystko, co tłumisz w środku. Wykrzycz im to w twarz.

Spojrzała na mnie w taki sposób, że przez chwilę myślałam, że to na mnie rzuci się z pięściami. Wstała i szepnęła coś w swoim ojczystym języku.

– Idę do łazienki – powiedziała.

Czekałyśmy w milczeniu, aż się oddali. Concha powiedziała ściszym głosem:

– Uważam, że jest zdolna potraktować to dosłownie i rzeczywiście napluć im w twarz.

– Skąd ci to wszystko przyszło do głowy, Ano? – zapytała mnie Sofía.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Po prostu nagle na to wpadłam. Odkąd odstawiłam alkohol i tabletki, czasem tak mam, jakby olśnienie.

– To na pewno dlatego – stwierdziła Concha. – Bo tylko to, że jesteś na głodzie, tłumaczy, dlaczego poradziłaś swojej klientce, żeby zwymyślała przysięgłych.

– Uznałam, że to dobry sposób, żeby odwieść ją od zamiaru wycofania się z zeznań – usprawiedliwiłam się, nie do końca przekonana.

– Chyba ktoś panią woła – powiedział kelner, który podszedł do naszego stolika, żeby zebrać talerze, i wskazał okno wychodzące na ulicę.

Po drugiej stronie stał blondyn pod krawatem, w idealnie skrojonym garniturze, uśmiechał się od ucha do ucha i machał do mnie zza częściowo zakrywającej szybę zasłony.

– Iturbe – powiedziała Concha równie zaskoczona jak ja.

Prokurator z sądu do spraw przemocy wobec kobiet dał mi znak, żebym wyszła. Od dawna nie miałam o nim żadnych wiadomości.

– Co on tu robi? – zapytałam. Kiwnęłam do niego i niechętnie wstałam z krzesła.

– Może chce cię zaprosić na randkę – mruknęła Sofia.

– Nie czekajcie na mnie, widzimy się na rozprawie – powiedziałam, ignorując jej komentarz. – Zapłaćcie i zaciągnijcie Helenę do hali, choćby siłą.

– Dla pani deser czy kawa? – zapytał kelner, kiedy odchodziłam od stolika.

– Nic, dziękuję. Proszę przynieść rachunek, koleżanki zapłacą.

Idąc przez bar, myślałam, że ten gość nie pofatygowałby się tutaj osobiście, gdyby nie chodziło o coś ważnego, tym bardziej że zamiast wejść do środka, wołał porozmawiać na zewnątrz, tak żeby nikt nas nie słyszał. Otworzyłam drzwi i poczułam na twarzy uderzenie gorąca; musiało być ponad czterdzieści stopni.

– Miło cię widzieć – przywitał się, podchodząc.

– Możemy pójść w kierunku sądu? – zapytałam, gasząc jego wybuch radości. – Nie mam czasu, a czuję, że chcesz porozmawiać na osobności.

Wydał z siebie coś w rodzaju urywanego śmiechu. Należał do osób, które potrafią śmiać się swobodnie ze wszystkiego tylko dlatego, że tak wypada, albo po to, żeby wybrnąć z krępującej sytuacji, choćby wcale nie było im wesoło. Bez słowa ruszyliśmy lekko pochyłą ulicą Francisca Requeny w stronę ośrodka sportowego jego imienia. Przy chodniku rosło kilka drzew, ale większość drogi musieliśmy pokonać w pełnym słońcu. Wokół nie było żywego ducha; o tej porze wszyscy siedzieli w domach, a szczęśliwcy – w basenach.

– Wyglądasz znacznie lepiej... Blizny i w ogóle – powiedział uprzejmie. – I już prawie nie utykasz.

– Tak, zamierzam startować w wyborach Miss Sądownictwa – zgasiłam go. – Do rzeczy, Iturbe, zaraz mam rozprawę.

– Chciałem omówić z tobą pewną delikatną kwestię – przyznał – i wolałem zrobić to w cztery oczy. Ostatnio nie można ufać telefonom,

wiesz, co chcę powiedzieć.

Zapowiadało się ciekawie.

– Nie nagrywasz przypadkiem tej rozmowy? – zapytałam.

– Jak mogłaś coś takiego pomyśleć? – odpowiedział, kolejny raz wybuchając śmiechem. – A powinienem?

– Wyduś to z siebie wreszcie.

Odchrząknął. Rozejrzał się, jakby chciał mieć pewność, że nikt nas nie podsłuchuje. Wreszcie powiedział:

– Zamierzam wnieść pozew przeciwko Marii Dolores Resano.

Musiałam się na chwilę zatrzymać. Przyznaję, że blondas mnie zastrzelił. Czegoś takiego się nie spodziewałam. Nie wyglądał na kogoś, kto może wyskoczyć z taką bombą. Spojrzałam na jego perfekcyjny uśmiech, na opaloną twarz bez worków pod oczami, wesołe oczy.

– O czym ty mówisz?

– Sędzia latami uchybiała swoim obowiązkom.

– Resano?

– W pełni świadomie zmanipulowała, spreparowała i zafałszowała kilkanaście procesów sądowych.

– Dlaczego miałyby coś takiego zrobić?

– Wyjaśnienie jej pobudek nie leży w moich kompetencjach. Zostanie oskarżona o nadużycia. Prawdopodobnie to oznacza koniec jej kariery.

– Myślałam, że się przyjaźnicie.

– Bynajmniej. Zresztą i tak nie mógłbym przedkładać osobistych sympatii nad obowiązek dochodzenia sprawiedliwości.

– Co konkretnie zrobiła Resano?

– Świadomie manipulowała dowodami i zeznaniami, żeby skazać domniemanych sprawców przemocy. Mam dowody na to, że zrobiła tak w co najmniej jedenastu przypadkach, ale badamy inne sprawy.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam: Resano, sędzia Resano, ta drobna kobieta, surowa i rygorystyczna, jeśli chodzi o przestrzeganie zasad... podczas postępowania fałszowała dowody przeciwko sprawcom przemocy? –

spytałam, podsumowując.

– Domniemanym sprawcom przemocy – poprawił. – Dopuściła się nadużyć. To bardzo poważne przestępstwo.

– Jeżeli zrobiła to, żeby przymknąć tych drani, ma moje pełne poparcie.

– Kiedy sprawa wyjdzie na jaw i zostanie udowodnione, co robiła, wszystkie wyroki zostaną poddane rewizji i ci dranie, jak ich nazywasz, nie tylko zostaną oczyszczeni z zarzutów, lecz też będą mogli zażądać od państwa odszkodowań.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie i że twoja próba pozwania Resano spełźnie na niczym.

– To nie próba, to fakt – zapewnił Iturbe stanowczo. – Wiem doskonale, że Resano zatruwała ci życie w sądzie i że za nią nie przepadasz. Myślałem, że ucieszy cię wiadomość, że ją przyłapaliśmy.

– Chyba spadłeś z księżycy, jeśli tak myślisz. Miałaby mnie ucieszyć wiadomość, że pozwiesz ją za posłanie za kratki kilku łajdaków? Nieważne, że za sobą nie przepadamy.

– Sędzia dopuściła się poważnego przestępstwa. Które nie tylko może obrócić się przeciwko niej, ale przynieść też skutek odwrotny do zamierzonego: ci goście wyjdą na ofiary systemu, zakwestionowane zostanie postępowanie sądowe w sprawach o przemoc domową, media zaczną na nas napadać i jeszcze ogłoszą publicznie, że odebrano im możliwość obrony. Już widzę nagłówki: „Sądzeni bez domniemania niewinności”, „Podeptane podstawowe prawa obywatelskie”, „Sądowy lincz” i tak dalej, i tak dalej. To może być najgorsza rzecz, jaka nam się przytrafi, odkąd powołano specjalne sądy do spraw przemocy wobec kobiet. Nawet nie chcę o tym myśleć.

– Więc dlaczego to robisz? Dlaczego ścigasz Resano?

Spojrzał na mnie, jakby odpowiedź była oczywista.

– Bo to mój obowiązek.

Był tak przekonany o słuszności swojego postępowania i tak zdecydowany doprowadzić sprawę do końca, że niemal zatęskniłam za starym Iturbe, uśmiechniętym konformistą, którego poznałam w sądzie.

– Nie wiem, może to i popchnie naprzód twoją karierę – powiedziałam. – Tak czy inaczej, nie cieszę się. Rzeczywiście nie przepadam za Resano, ale

cała ta sprawa śmierdzi i, jak słusznie zauważyłeś, może mieć poważne reperkusje. Już widzę, jak politycy wykorzystują ją w demagogicznych celach.

– Nie ja będę ponosił za to winę, tylko ten, kto złamał prawo.

– Oczywiście, ty możesz spać spokojnie, masz czyste sumienie – mruknęłam. – Na szczęście ta sprawa mnie nie dotyczy.

Ruszyłam pod górę w stronę hali. Na skrzyżowaniu zatrzymał się jakiś samochód z ryczącym silnikiem; była to jedyna poruszająca się rzecz, jaką zobaczyłam tego upalnego popołudnia. Prokurator poszedł za mną. Czułam, że nie zjawił się wyłącznie po to, żeby przekazać mi informację i chwilę ze mną pogawędzić.

– Tu się mylisz, oczywiście, że cię dotyczy – powiedział.

– Nie rozumiem. W jaki sposób?

– To bardzo proste. Wiem, co zaszło między tobą a Resano, kiedy zastałem was razem w jej gabinecie. Twoja mina mówiła wszystko.

– Nie wydaje mi się, żebyś wiedział, co naprawdę się stało. Powiedziała, że jesteś wymoczkim. Przysięgam.

– Na pewno nie tylko to. Musisz mi wszystko opowiedzieć. A co ważniejsze, musisz opowiedzieć wszystko w sądzie.

– Nie mam żadnego związku ze sprawami, o których wspomniałeś. W moim przypadku było dokładnie na odwrót. Nieoficjalnie powiem ci, że sędzia wolała nie posyłać Felipe za kratki, żeby utrzyć mi nosa. Nie zamierzała wymyślać sobie żadnego dowodu pozwalającego zamknąć faceta, wręcz przeciwnie.

– Tak właśnie się dzieje, kiedy ktoś sądzi, że może według własnego widzimisię czynić i odczyniać sprawiedliwość. Nie wątpię, że może i na początku kierowała się jakimś szlachetnym celem, ale w miarę jak zaczynała czuć się bezkarna, poczynała sobie coraz śmieiej. Teraz skazuję jednego gościa bez dowodów. A dla tego innego postaram się o nieuzasadnione zwolnienie z zarzutów. To niedopuszczalne. Musisz zeznawać. Musisz opowiedzieć ze szczegółami o wszystkim, co ci mówiła.

Doskonale pamiętałam każde słowo Resano, jej otwarte groźby, zapewnienia, że jest gotowa na wszystko, byle tylko mnie skrzywdzić, że

pokieruje procesem w taki sposób, żeby Felipe dopiął swego. Iturbe miał rację: w gabinecie padło wiele słów niegodnych sędzi.

– Przykro mi, ale niewiele pamiętam – powiedziałam. – Po prostu pobieżnie omówiliśmy sprawę. Moje zeznania na nic ci się nie przydadzą.

– Musisz zeznawać – powtórzył.

Nie prosił mnie o to.

– Wiszę ci przysługę, prawda?

– Ty to powiedziałaś, nie ja. Pomogłem ci, kiedy mnie poprosiłaś, chociaż nie podzielałem twojego zdania i mogłem sobie zaszkodzić. Teraz twoja kolej. Dostaniesz wezwanie do sądu jako świadek w procesie przeciwko Resano. Chcę, żebyś powiedziała, że ci groziła, że sprawa osobista wpłynęła na jej zachowanie w sądzie. Masz nie pominąć żadnego szczegółu.

– Wolałabym tego nie robić – odparłam.

– To nieistotne, co byś wolała.

Dotarliśmy do rogu hali. Od głównego wejścia dzieliło nas niecałe pięćdziesiąt metrów. Iturbe był gotów na wszystko, żeby tylko postawić na swoim i wytoczyć proces jednej z najbardziej doświadczonych weteranek sądownictwa.

– Zawarliśmy umowę – powiedział.

– Wiem.

Odwróciłam się do niego plecami – skończyłam z nim, przynajmniej na dzisiaj. W palącym słońcu ruszyłam w stronę drzwi ośrodka sportowego imienia Francisca Requeny. Zrobiłam zaledwie kilka kroków, kiedy zaparkował przy mnie olbrzymi wóz Conchy, choć na ulicy było mnóstwo wolnych miejsc. Z samochodu wysiadły Helena, Sofía i jego właścicielka. Zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy widzę Helenę bez dziecka. Była tak dobrą matką, że nigdy nie zostawiła Martina. Teraz był u Conchy z dziewczynkami i niańką.

Obserwowane z daleka przez prokuratora, który nadal stał na rogu ulicy, bez słowa szłyśmy w stronę wejścia, tak jakbyśmy były jedną osobą, choć w rzeczywistości byłyśmy czterema zupełnie różnymi kobietami, pod wieloma względami całkiem odmiennymi. Prężnym krokiem przeszłyśmy przez łukowatą bramę prowadzącą do hali, w której miał rozpocząć się

kolejny odcinek skomplikowanej i często zagmatwanej procedury sądowej.

Chciałam zacząć od mocnego ciosu, który rozproszyłby wszelkie wątpliwości. Podczas swojego przesłuchania prokurator Fernández ograniczyła się do przeczytania rutynowych pytań, które niczego nie wyjaśniły. Wszyscy wiedzieliśmy, że teraz, kiedy otwarcie stanęła po stronie obrony, ja byłam jedyną osobą, która podczas procesu będzie podtrzymywać tłący się żar oskarżenia. Przybrałam wyraz powagi, popatrzyłam jeszcze raz na przysięgłych i zapytałam surowo:

– Czy wiadomo pani, pani Kowalczyk, aby pan Santonja bądź inni pracownicy kasyna w Robredo grozili pani nieżyjącemu mężowi, Alejandrowi Tramelowi?

– Tak. Groźby od Santonja i Cimadevilla, i Menéndez Pons, i inni.

– Czy wiadomo pani, aby pan Santonja bądź inni pracownicy kasyna w Robredo stosowali przymus wobec Alejandra Tramela?

– Tak.

Przynajmniej osiągnę tyle, że wszyscy usłyszą z ust naocznego świadka, że oskarżony popełnił zarzucane mu przestępstwa. Niewątpliwie oznaczało to dla nas duży krok naprzód. Świadkiem była, co prawda, powódka, ale zarazem i pośrednia ofiara. Sprawiała wrażenie kobiety wiarygodnej, silnej, szczerzej, która straciła męża i szuka sprawiedliwości. Obiecujący początek. Ścisnęłam podstawkę mikrofonu. I zapytałam:

– Czy wiadomo pani, aby pan Santonja bądź inni pracownicy kasyna w Robredo stosowali wobec Alejandra Tramela wymuszenie rozbójnicze?

– Tak.

Odczekałam chwilę, jakbym musiała zastanowić się nad kolejnym pytaniem, chociaż wszyscy wiedzieliśmy, jak będzie ono brzmiało.

– Czy pan Santonja bądź inni pracownicy kasyna w Robredo namawiali Alejandra Tramela do samobójstwa?

– Tak.

Oczywiście nie mogłam pozwolić sobie na efekciarski chwyt, który bezwstydnie zastosowała obrona wobec innych świadków. Nie mogłam zakończyć przesłuchania na tym pytaniu. Potrzebowałam czegoś więcej. To był zaledwie przedsmak tego, co miało nastąpić.

– Pani Kowalczyk – powiedziałam, kładąc szczególny nacisk na słowo „pani”. Helena miała na sobie dżinsy i skromną bluzkę; młodość i uroda nie pomagały, ale nie mogła tego w żaden sposób ukryć. – Wiem, że to dla pani bolesne i że przywołuje wiele wspomnień, przepraszam, że każę pani o tym publicznie mówić. Czy mogłaby nam pani wyjaśnić, gdzie i jak poznała pani męża?

Wolałam sama poruszyć ten temat, żeby osłabić manipulacje, do których na pewno zamierzał uciec się Barver.

– Poznać Alejandro w klub blisko kasyno w Robredo – odpowiedziała zgodnie ze scenariuszem, który przygotowałyśmy.

– Mówiąc klub, ma pani na myśli nocny klub z dziewczętami?

– Tak, ja być kelnerka, pracować dużo godzin, on bardzo miły i bardzo serdeczny. Przedstawić nas Sebastian.

– Kto to jest Sebastian?

– Mój brat, on krupier w kasyno, Alejandro dobry klient.

– Czy po pierwszym spotkaniu widywali się państwo regularnie?

Uśmiechnęła się, lekko zawstydzona, jakby wspomnienie owego dnia sprawiło, że przed oczami stanęły jej bardzo intymne, przyjemne obrazy.

– Nigdy nie rozstać.

– Co dokładnie chce pani przez to powiedzieć?

– Alejandro i ja idziemy razem do jego dom pierwsza noc i nigdy nie rozstać, on bardzo czuły, on rozumie, bardzo mi się podoba, też bardzo przystojny i mówi miłe słowa.

Rozległy się szepty. Nie musiał to być dla nas zły znak. A zatem przysięgli z zainteresowaniem śledzili opowieść Heleny.

– Chce nam pani powiedzieć, że pani i Alejandro Tramel zamieszkali razem w dniu, w którym się poznali?

– Tak.

– Co najbardziej pociągało panią w Alejandrze Tramelu? Oczywiście poza tym, że był bardzo przystojny.

Jakby się zawahała. Powtarzałam jej tysiąc razy, żeby nie spieszyła się z odpowiedziami i żeby była szczerą.

– On bardzo dobry osoba i też bardzo smutny. Ja myśleć: on mnie potrzebować.

– Smutny i dobra osoba – powtórzyłam dla podkreślenia, zanim przeszłam do właściwego tematu. – Czy kiedy go pani poznała, wiedziała pani, że jest chory, silnie uzależniony od hazardu?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – wtrącił Andermatt. – To spekulacje. Nawet nie pytanie, tylko hipoteza.

Zdziwiło mnie, że to nie Barver zgłosił sprzeciw. Może postanowili przerywać mi na przemian, żeby nie wypaść źle w oczach przysięgłych i sędziego.

– Mecenas Tramel, proszę z łaski swojej przeformułować pytanie – potwierdził Barrios – tak żeby nie wyglądało na to, że próbuje pani włożyć w usta świadka własne słowa.

– Zapytam inaczej, Wysoki Sądzie. – Popatrzyłam spokojnie na Helenę. – Czy to prawda, że pierwszego spędzonego wspólnie wieczoru Alejandro Tramel opowiedział pani o swoich problemach z hazardem?

– Alejandro zawsze mi mówić on hazardzista. Ja wiem od pierwszy dzień. On grać codziennie w poker, nigdy nie odpoczywać. Kiedy ja poznać, on winien kasyno pieniądze i wyjaśniać.

– Nie bała się pani wiązać z kimś, kto codziennie gra?

– On bardzo dobry osoba – powtórzyła. – Ja zakochana od pierwsza minuta. Nieważne, że on grać i mieć długi.

– Chodziła z nim pani do kasyna w Robredo?

– Kilka razy chodzić na początek, ale potem ja ciąży i mieć małe dziecko, i nie chodzić.

– Poznała pani Emiliana Santonję?

– Jedna niedziela my jeść kolacja w kasyno, dyrektor Menéndez Pons

zapraszać dużo razy...

– Chwileczkę. Kasyno wielokrotnie zapraszało państwa na kolację? Z jakiego powodu?

– Kasyno zapraszać dużo razy, my kolacja, a potem Alejandro grać, to być lepsze dla nich, on nie iść w inne miejsce.

Kolejny raz pomyślałam o fabryce ginu, o której tak obrazowo opowiedział mi któregoś wieczoru Moncada, o ciągłych zaproszeniach i specjalnym traktowaniu.

– Czy to wtedy poznała pani Santonję?

– Niedziela wieczorem mniej ludzi w kasyno, pan Santonja przyjsć i usiąść przy nasz stolik, bardzo poważny mówi: Alejandro musi kończyć kolacja i iść na partia do prywatna sala. Ja mówię: jeszcze nie skończyć. On mówi: nieważne. Ja mówię: najpierw jeść, potem grać. On mówi: Alejandro grać teraz. Ja mówię: to źle. On mówi: koniec rozmowa, ja mogę robić, co chcę, ale Alejandro idzie zaraz na partia. Potem wstać. Nie podoba, on jak szef wszystkich, a inni niewolnicy.

Postanowiłam wcisnąć trochę pedał gazu. Lepiej było przejść do rzeczy i nie rozpraszać uwagi przysięgłych.

– Kiedy dokładnie słyszała pani, jak kierownictwo kasyna grozi pani mężowi?

– Dużo razy. Pierwszy dzień ja zdziwić, Menéndez Pons krzyczeć na Alejandro, kiedy tylko wejść do kasyno, mówić: ty nie wolno zostawiać partia bez moje pozwolenie. Dużo kłócić. Mówi: jak ty zostawiać jeszcze raz, ja bardzo zły, mówi też: ty winny dużo pieniędzy. Alejandro złości i oni kłócić przy mnie. Pons krzyczeć i krzyczeć, i mówić: ty grać albo ty żałować, i mówi też: ty nigdy nie zostawiać bez moje pozwolenie. Ja wystraszyć. Aż przyjsć Cimadevilla, ja poznać w tamten dzień. Ignacio bardzo miły dla mnie, mówić Alejandro dużo szczęścia, ja bardzo ładna żona, wszyscy się uspokoić i koniec kłótnia.

– Dodam, żeby zostało to zapisane w protokole i żeby przysięgli zrozumieli wypowiedź mojej klientki, że Ignacio Cimadevilla, wezwany do złożenia zeznań w procesie, jest mniejszościowym udziałowcem Gran Castilli. Proszę kontynuować, pani Kowalczyk.

Helena otworzyła puszkę Pandory. Przez ponad dwie godziny niezmordowanie i wyczerpująco opowiadała o licznych kłótniach, których była naocznym świadkiem i w czasie których Emiliano Santonja, Bernardo Menéndez Pons i inni prominentni pracownicy kasyna w Robredo grozili Alemu, zastraszcali go i poddawali naciskom. Jak również o nagminnych telefonach od tych osób. Kazali mu grać i przypominali, ile pieniędzy jest im winien. Jego dług rósł z każdym dniem, przygniatał ich oboje z Heleną niczym ogromna płyta nagrobna. Wiedzieli, że nigdy się spod niej nie wydostaną, choć żadne nie mówiło tego na głos. Helena ze szczegółami opowiedziała o co najmniej sześciu spotkaniach, w czasie których słyszała, jak Santonja nie tylko grozi jej mężowi, szantażuje go i zmusza, żeby grał w kasynie – na jego warunkach – ale także sugeruje głośno, że Alejandro powinien odebrać sobie życie: wyskoczyć z okna albo strzelić sobie w łeb. Poświęciła też sporo uwagi Ignaciowi Cimadevilli, tajemniczemu wspólnikowi, którego – o ile to w ogóle było możliwe – nienawidziła chyba bardziej niż Santonjy. Zgodnie z jej świadectwem uczynił on z życia Alejandra piekło, a jednocześnie naprzykrzał się jej, obiecywał, że jeśli pójdzie z nim do łóżka, wstawi się za jej mężem w kasynie, żeby zmniejszono mu dług. Oczywiście za każdym razem mu odmawiała.

Jej zeznania były bardzo obrazowe i w pełni zrozumiałe. Na pewno zrobiły wrażenie na przysięgłych. Ujrzałam Helenę pełną zapiekłej urazy, może zbyt wielkiej, ale miała powody. Czułam jednak, że zabrakło jakiegoś emocjonalnego akcentu, który ostatecznie poruszyłby serca tych mężczyzn i kobiet. Czy to ze względu na odebrane wychowanie, czy swój charakter, Helena opowiadała o tych straszliwych rzeczach chłodnym tonem, który nie pozwalał do końca wczuć się w jej sytuację. Było oczywiste, że nie próbuje stawiać się w roli ofiary ani manipulować słuchaczami. W miarę wiarygodny sposób relacjonowała nagie fakty. Ani akcent, ani składnia nie stanowiły bariery uniemożliwiającej zrozumienie jej słów. Wreszcie zadałam jej dwa pytania, które zachowałam na koniec.

– Pani Kowalczyk, adwokat firmy Gran Castilla powiedział na początku procesu, że za tym pozwem stoją tylko i wyłącznie pieniądze. Chciałabym, żeby powiedziała pani sądowi, co zrobiłaby pani z pieniędzmi, gdyby zostało pani przyznane żądane odszkodowanie.

– Płacić kasyno.

– Jakiemu kasynu?

– Ja i mój syn spadkobiercy mój zmarły mąż. On być winien osiemset szesnaście tysięcy euro kasyno w Robredo. Oni pozwać mi. Chcę pieniądze, tylko żeby płacić dług kasyno.

– Chce pani powiedzieć, że wykorzystalaby pani pieniądze Gran Castilli... żeby zwrócić je Gran Castilli?

– Ja nie dotykać ani jeden ich banknot. Ja brzydzić ludzie, którzy zrujnować mój mąż, oni go zabić. Ja chceć oni idą do więzienie. Nie pieniądze.

– Rozumiem, pani Kowalczyk. Jednak z tego, co mi wiadomo, nie pracuje pani i ma pani na utrzymaniu trzyletnie dziecko. Z czego zamierza pani żyć, jeśli wolno zapytać?

– Nie wiem. Ja szukać praca.

– Ale czy ma pani jakiś konkretny plan, jak nakarmić swojego syna?

Helena przez chwilę się wahała. Nagle jakby doznała olśnienia.

– Pan Santonja proponować praca, jeśli ja wycofać pozew – odpowiedziała – ale ja nie zgodzić.

Barver w okamgnieniu rzucił się do mikrofonu, tym razem nie czekając na Andermatta.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – powiedział. – Powódka ujawnia jeden z punktów obszernej umowy, którą próbowały podpisać strony, a tym samym narusza poufność negocjacji. Ponadto nie jest zdolna udokumentować swoich słów. Ponieważ sam brałem udział w pertraktacjach, mogę zagwarantować, że nie wyglądało to dokładnie tak, jak mówi.

– Pani Kowalczyk, proszę, żeby nie odnosiła się pani do rzekomej umowy, która nie została w żaden sposób udokumentowana – przyjął sprzeciw Barrios.

– Wysoki Sądzie – obruszyłam się – próba zawarcia porozumienia podjęta przez obronę ma kluczowe znaczenie w tym procesie, podobnie jak warunki zaproponowane mojej klientce. Niestety nie mogę udzielić informacji z pierwszej ręki, jako że umowa została zaproponowana pani Kowalczyk bez udziału jej adwokata, czyli mnie.

– To niedopuszczalne, Wysoki Sądzie – odpowiedział Barver. – Zamienia pani przesłuchanie w wywód argumentacyjny oskarżenia, pełen kłamstw, a w każdym razie niepodparty dowodami. Nie jesteśmy tu po to, żeby osądzić, czy któraś ze stron – a w tym przypadku obie – chciała zawrzeć porozumienie dla oszczędzenia sobie kosztów procesu. Jesteśmy tu po to, żeby osądzić wyszczególnione w Kodeksie karnym przestępstwa, na popełnienie których nadal nie ma jednoznacznych, niepodważalnych i obiektywnie niezbitych dowodów.

– Skoro tak, skoro nie ma żadnego dowodu, dlaczego próbowali państwo przekonać panią Kowalczyk, żeby podpisała ugode? – zapytałam. – Dlaczego bali się państwo stanąć przed sądem?

– Wystarczy – przerwał Barrios. – Mecenas Tramel, dobrze pani wie, że nie wolno pani przesłuchiwać obrońcy. Nie mogą państwo żądać od siebie nawzajem wyjaśnień, to nie jest dialektyczna bitwa. Proszę przysięgłych, by nie brali pod uwagę tej ostatniej wymiany zdań. Koniec tematu. Jeżeli oskarżenie ma jeszcze jakieś pytanie, zapraszam. Jeżeli nie, zrobimy przerwę.

Wszyscy na sali – a raczej na boisku – doskonale zrozumieli, co się stało. Wszyscy wiedzieli teraz, że Gran Castilla zaproponowała Helenie pieniądze i pracę w zamian za milczenie i wycofanie pozwu.

Przysięgła numer cztery, starsza pani o ekspresyjnej twarzy, spoglądała to na Helenę, to na siedzącego za moimi plecami Santonję: wydawała się badać go wzrokiem z niesmakiem. Może ich ze sobą porównywała – kobietę bez pracy z małym dzieckiem i wielkiego przedsiębiorcę z sektora gier hazardowych. Domyślałam się, po czyjej stronie by stanęła, gdyby przyszło jej wybierać.

– Nie planowałam kolejnych pytań, ale mając na uwadze rozwój wypadków, muszę zapytać panią o jeszcze jedno – powiedziałam, udając, że dopiero teraz przyszło mi to do głowy, podczas gdy w rzeczywistości przez całe popołudnie (a w zasadzie przez cały proces) czekałam na moment, kiedy będę mogła wypuścić tę strzałę. Zerknęłam na Conchę i na Sofię, po raz enty przejrzałam notatki i lekko odchrząknęłam, żeby zwiększyć dramatyzm. –

Może wyda się to pani dziwne, ale korzystając z tego, że zeznaje pani pod przysięgą, muszę zadać pani bardzo ważne pytanie. Proszę mi powiedzieć z ręką na sercu, szczerze, czy gdyby druga strona zaproponowała pani ugode,

pod warunkiem że wycofa pani pozew, przyjęłaby pani ofertę?

Helena wyglądała na równie zdziwioną jak pozostali. Nie uzgodniłyśmy tego pytania, nie była na nie przygotowana. Barver i Andermatt wymienili pytające spojrzenia, nie wiedząc, czy powinni zgłaszać sprzeciw. Niezdecydowana mina świadka mogła oznaczać, że odpowiedź okaże się dla nich korzystna. Barrios zmarszczył brwi i wyprostował się na krześle, próbując zorientować się w sytuacji. Ale nawet moja klientka i moje współpracownicy tego nie potrafiły. Nie żebym była sprytniejsza od nich wszystkich, po prostu to pytanie stanowiło część alternatywnego planu (tak zwanego planu B), który ułożyłam sobie w głowie. Przyznaję, że były raczej małe szanse, żeby ten plan się powiódł, chyba żeby zaistniały jednocześnie szczególne okoliczności.

Helena przysunęła się do mikrofonu. Informacja, że zeznaje pod przysięgą, najwyraźniej zrobiła na niej wrażenie. Nie chciała odpowiedzieć lekkomyślnie. Półszepem, bez pewności wykazywanej podczas całego przesłuchania przyznała:

– Nie wiem.

– O co tu chodziło?

Concha spoglądała na mnie z powagą, kiedy kupowałam czarną kawę (o odrażającym wyglądzie) w automacie hali sportowej. Barrios zarządził piętnastominutową przerwę. Posiedzenie trwało dłużej, niż zaplanowano, ale, jak powiedział, chciał się skrupulatnie trzymać ustalonego porządku.

– Wyłumacz mi – powtórzyła Concha. – Nie zrozumiałam ostatniego pytania.

– W przemowie wstępnej powiedziałam przysięgłym, że Gran Castilla przed ukończeniem procesu zaproponuje nam ugodę.

– I co?

– I właśnie do tego zmierzam.

– Dlatego pytasz Helenę, czy przystałaby na ugodę? Zgubiłam się.

– Odpowiedź na to pytanie nie była skierowana do przysięgłych.

– Mogłabyś wyrażać się trochę precyzyjniej?

– Była skierowana do Santonjy i Barvera.

Concha zaczęła kojarzyć fakty, ale nadal nie wyglądała na specjalnie przekonaną.

– Chciałaś, żeby usłyszeli, że Helena się waha – powiedziała.

– Więcej, niż waha. Moim zdaniem wyraźnie było widać, że Helena pragnie tej ugody.

– Chcesz, żeby po tym wszystkim, co się stało, zaproponowali nową ugodę?

– Chcę, żeby wiedzieli, że ona byłaby gotowa wysłuchać ich propozycji i prawdopodobnie ją przyjąć. Oczywiście nie dopuszczę do zawarcia żadnej ugody, ale dla nas dobrze by było, gdyby jeszcze raz złożyli jej ofertę.

– Helena wie, że nią manipulujesz?

– Gdyby wiedziała, nie odpowiedziałaby tak spontanicznie. Zaletą Heleny jest jej szczerść. Nie chciałam, żeby ją utraciła.

– Skąd wiedziałaś, że się zawaha, słysząc o możliwości ugody?

– Ponieważ już kiedyś mnie wystawiła, negocjując za moimi plecami. Ponieważ w głębi duszy bardziej niż na sprawiedliwości czy zemście zależy jej na tym, żeby rozpocząć nowy rozdział, zapomnieć o całej tej sprawie i wieść spokojne życie z synem. I ponieważ kiedy pytasz ją o coś wprost, patrząc jej w oczy, nie potrafi kłamać, co swoją drogą w dzisiejszych czasach jest godne podziwu.

Napiłam się kawy – była taka, jak się spodziewałam: gorzka i słaba, ohyda. Concha, niespokojna, nie wyglądała na do końca przekonaną.

– Dlaczego mieliby zaproponować ugodę? – zapytała. – Na razie proces toczy się po ich myśli, nawet prokuratura stanęła po ich stronie.

– Może się zdenerwują, kiedy ich trochę przyciśniemy. Mamy jeszcze bombę w postaci Ortiza. Jeżeli nie będą w stu procentach pewni, nie zaryzykują. Wszyscy wiemy, że nastroje ławy przysięgłych są niezgłębioną tajemnicą.

– Skoro i tak nie zamierzamy przyjmować ugody, nadal nie rozumiem, co zyskamy na ewentualnej ofercie z ich strony – mruknęła.

– Coś bardzo ważnego – odpowiedziałam. – Jeżeli dobrze pójdzie, będziemy mogli ją wykorzystać przeciwko nim na ostatniej prostej procesu.

– Pokazujesz im przynętę, żeby zaproponowali nam ugodę, podczas gdy twoim jedynym celem jest cisnąć im nią w twarz i wykorzystać ją jako argument... – ujęła w słowa swoje myśli.

– Coś w tym stylu.

– A jeżeli będziemy miały naprawdę pod górkę? Nie dopuszczasz możliwości, żeby przystać na ugodę, nawet jeśli będzie dla nas bardzo korzystna? – zapytała.

Dopiłam kawę i wyrzuciłam kubek do śmieci. Concha o tym nie wiedziała i na razie nie mogłam jej tego wytłumaczyć, ale pytanie, które mi zadała, stanowiło kluczowy element mojego planu B. Przeciągnęłam dłonią po bliźnie na twarzy i dobierając starannie słowa, powiedziałam powoli:

– Nigdy nie przystanę na ugodę z tymi łajdakami.

– Nawet jeżeli byłaby korzystna dla twojej klientki?

– Pojęcie korzyści jest dyskusyjne, jeżeli decyduje o niej Gran Castilla. Powtarzam ci: nie zamierzam się z nimi dogadywać.

– Helena podziela twoje zdanie?

– Helena potrzebuje kogoś, kto zadba o jej interesy, w najszerszym znaczeniu tego słowa. Nawet jeśli sobie tego nie uświadamia, zgadza się ze mną.

Mój żołądek zaprotestował, wydając podejrzaną dźwięki, które nie zwiastowały niczego dobrego. Z pewnością odzywała się kawa. Albo wyrzuty sumienia z powodu tego, co robiłam. Poczułam, że wróciła dawna Ana Tramel, adwokat, która uprzedza ruchy swoich przeciwników, a nawet wspólników i klientów. Nieprzejednana prawniczka stawiająca zawsze na swoim. To jak jazda na rowerze, wcześniej czy później budzi się w tobie instynkt i chociaż myślisz, że wszystko zapomniałeś, ani się obejrzyysz, jak pedałujesz. Nie byłam z tego dumna. Ale coś mi podpowiadało, że tym razem przyjmowanie ciosów nie wystarczy.

Ostatnia część dnia rozpoczęła się od ciosu poniżej pasa. Jordi Barver odstąpił przesłuchanie Heleny Cristinie Tomé. Od razu zrozumiałam dlaczego: woleli, żeby to kobieta wywlekała na światło dzienne brudy Polki, żeby w żadnym razie sytuacja nie nabrała zabarwienia seksistowskiego. Już pierwsze z pytań jasno wskazywało, jakie są ich zamiary.

– Pani Kowalczyk, czy kiedy pracowała pani w klubie Szalony Kapelusznik, do pani obowiązków należało tańczenie nago na rurze?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – powiedziałam, nie łudząc się, że cokolwiek tym wskóram, ale chciałam przynajmniej podkreślić, że nie zgadzam się z tą linią przesłuchania. – Działalność zawodowa świadka nie jest istotna i nie ma związku ze sprawą.

– Skoro to tam świadek poznała Alejandra Tramela, jak zresztą sama zeznała – uzasadniła Tomé – uważamy zrozumienie okoliczności spotkania za niebywale istotne.

– Proszę odpowiedzieć, pani Kowalczyk – odrzucił mój sprzeciw sędzia.

Helena wyglądała na skrępowaną. Gestem dałam jej do zrozumienia, że nie powinna się wstydzić. Właściciele klubu i klienci, którzy płacili za to,

żeby oglądać nagie dziewczyny i chodzić z nimi do łóżka, mieli znacznie więcej powodów do wstydu.

– Ja tańczyć niektóre noce na rura – przyznała wreszcie.

– Mówiąc, że pani tańczyła, ma pani na myśli to, że się pani rozbierała. Czy tak?

– Ja nie rozbierać cała jak inne dziewczyny. Kiedy ja tańczy, zawsze mam stringi – odpowiedziała z wahaniem.

Prawdopodobnie w nieunikniony sposób wszyscy obecni, mężczyźni i kobiety, zwizualizowali sobie półnągą Helenę tańczącą na rurze. Ten obraz nie odpowiadał bynajmniej wizerunkowi oddanej matki, który starałam się wykreować podczas swojej rundy pytań.

– Teraz mamy jasność – powiedziała Tomé, która osiągnęła cel już na samym początku. – Czy w zakres pani obowiązków wchodziło także uprawianie seksu z klientami klubu? – ciągnęła nieubłaganie.

– Ja nie iść do łóżka z klienci nigdy.

– Nigdy nie przyjęła pani od klienta pieniędzy w zamian za seks?

– Ja kelnerka i tańczyć, nigdy seks.

– Jest pani pewna? Nigdy nie wzięła pani pieniędzy za stosunek płciowy?

– Nigdy.

Coś tu śmierdziało, Tomé za bardzo naciskała, na pewno coś knuła. Cokolwiek to było, wkrótce mieliśmy się o tym przekonać.

– Jednak kiedy poznała pani Alejandra Tramela, już od pierwszego dnia utrzymywała z nim pani stosunki seksualne. Czy płacił pani za nie?

– On nie płacić. Ja i on zakochać od pierwszy dzień.

– Miłość pojawia się w najmniej oczekiwanym momencie – ciągnęła Tomé, nie dając Helenie odsapnąć. – Wieczorem tańczy pani w stringach w Szalonym Kapeluszniku, a nazajutrz okazuje się, że związała się pani z klientem, którego wcale pani nie znała. Czy to prawda, pani Kowalczyk?

– Ja zakochać naprawdę – powiedziała speszona, prosząc mnie spojrzeniem o pomoc.

Wykonałam gest uspokajający. Bardzo dobrze jej szło, nie ulegała presji.

– Kiedy dokładnie porzuciła pani pracę w klubie?

– Ja zostawić w noc, kiedy poznać Alejandro. On mówi nie chce ja pracować w klub.

– To zrozumiałe – przyznała Tomé. – Znalazła pani jakąś inną pracę, żeby móc się utrzymać?

– Alejandro bardzo dobry osoba, on mówi ja nie martwić.

– Czy to znaczy, że Alejandro Tramel pokrywał wszystkie pani wydatki?

– On płaci wszystko, bardzo dobry...

– Tak, tak, bardzo dobra osoba – przerwała Tomé. – Ile mniej więcej wynosiły pani miesięczne wydatki?

– Ja zostawić mieszkanie z dziewczyna koleżanka i mieszkać z Alejandro...

– Rozumiem, ale według pani szacunków, po uwzględnieniu czynszu, jedzenia, ubrań i pozostałych wydatków, jaka miesięczna kwota wchodzi w grę?

– Ja nie wiem, Alejandro płacić wszystko, my nie mieszkać mieszkanie, mieszkać w Florida Suites.

– Czy mogłaby pani wyjaśnić sądowi, co to jest Florida Suites?

– Hostel blisko kasyno.

– Ściślej mówiąc, trzygwiazdkowy hotel, czy nie tak?

– Nie wiem gwiazdki.

Tomé wyciągnęła z teczki fakturę.

– Dwuosobowy pokój w hotelu Florida Suites w Robredo kosztuje ze zniżką osiemdziesiąt cztery euro za noc, razy trzydzieści, wychodzi dwa tysiące sześćset euro miesięcznie. Do tego należy doliczyć stołowanie się w restauracjach od poniedziałku do niedzieli, ubrania dla państwa i dla dziecka, benzynę, koszty utrzymania samochodu i inne wydatki, co daje w sumie minimum pięć tysięcy euro miesięcznie. Spora suma jak na bezrobotną parę siedzącą po uszy w długach. Niewiele osób może sobie pozwolić na taki styl życia. Czy właśnie tyle państwo wydawali, Alejandro Tramel i pani?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – interweniowałam. – Spekulacje, brak

potwierdzonych dokumentów poświadczających wydatki ofiary i jego żony.

– Mecenas Tomé, proszę nie snuć domysłów na temat kwot, które nie figurują w żadnych dokumentach – powiedział Barrios.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie, nie będę – poprawiła się Tomé. – Pani Kowalczyk, czy pani zdaniem z finansowego punktu widzenia pani sytuacja uległa poprawie, odkąd zamieszkała pani z Alejandrem Tramelem?

– Ja zakochać w Alejandro.

– Na pewno tak było, ale nie pytam pani o uczucia. Chciałabym wiedzieć, czy zyskała pani finansowo, zamieszkawszy z panem Tramelem.

– On bardzo dobry osoba, Alejandro zajmować się wszystkie wydatki, ja nie wiem, ile pieniędzy wydawać.

– No tak, nie wie pani, ile pieniędzy wydawała, a wcześniej zeznała pani, że wiedziała doskonale, jaki dług zaciągnął pani mąż w kasynie, o jakie grał stawki, ile pieniędzy tracił co wieczór i które osoby wywierały na niego nacisk – stwierdziła Tomé z oburzeniem. – Jak to możliwe, że nie wie pani, ile wynosiły państwa miesięczne wydatki, za to ma pani absolutną pewność co do sum, jakie pani mąż przegrywał w kasynie?

– Alejandro opowiadać wszystko, ja bardzo martwić.

– Była pani całkowicie pewna, że wszystkie pieniądze, jakie przegrywał, przegrywał w kasynie w Robredo?

– On iść do kasyno codziennie...

– Już to pani mówiła, ale Alejandro Tramel grywał też gdzie indziej. Wiemy, że odwiedzał kasyno w Aranjuez oraz co najmniej dwa prywatne kluby pokerowe – powiedziała Tomé, przeglądając notatki. – Wie pani dokładnie, ile tracił w każdym z tych miejsc?

– Nie wiem, Alejandro grać prawie zawsze kasyno w Robredo.

– Czy wiadomo pani, jakoby pani mąż miał długi w jakimś innym ośrodku gier?

– Nie wiem.

– Czy wiadomo pani, jakoby otrzymywał groźby i naciski ze strony kierownictwa jakiegoś innego ośrodka gier?

– Nie wiem.

– Nie wie pani także, że kiedy byli już państwo małżeństwem, Alejandro Tramel w jeden wieczór przegrał ponad dziesięć tysięcy euro w kasynie w Aranjuez? – zapytała, pokazując kopię dokumentu przypominającego zaświadczenie wystawione przez kasyno. Widziałam ją chyba pośród setek papierów dotyczących hazardowej działalności Alego zgromadzonych podczas postępowania.

– Nie wiem.

– Wygląda na to – powiedziała Tomé – że dziwnym trafem wie pani jedynie, że grał i zaciągnął długi w kasynie w Robredo. Czy pani zdaniem jest możliwe, aby telefony, o których nam pani opowiedziała – kiedy to grożono pani mężowi i naciskano na niego, żeby spłacił długi i grał dalej – w rzeczywistości zostały wykonane przez kierowników innych ośrodków gier?

– To Pons i Santonja, i Cimadevilla, i...

– Zastanawia mnie, skąd taka pewność – przerwała jej prawniczka. – Pani mąż grał codziennie, w różnych miejscach, w tym także w nielegalnych lokalach, zaciągając wszędzie różnej wysokości długi. Mimo to jest pani absolutnie przekonana, że wszystkie telefony z pogrózkami i naciskami, które otrzymał – jeżeli rzeczywiście je otrzymał – zostały wykonane z kasyna w Robredo?

Pytanie dotarło do uszu przysięgłych. Numer jeden wyprostował się na krześle, w skupieniu czekając na odpowiedź. Helena może i nie mówiła dobrze po hiszpańsku, ale doskonale rozumiała język. Popatrzyła na Cristinę Tomé z gniewem, świadoma, że cokolwiek powie, i tak jej nie uwierzą. Poczula się osaczona.

– Pons i Santonja, i Cimadevilla, i Freire dzwonić do Alejandro, żeby grozić. Ja słyszeć. Ja wiem.

– Nikt spoza kasyna w Robredo nie dzwonił nigdy z groźbami do pani męża?

Nastąpiła przerwa, która nie wróżyła nic dobrego. Kiedy Helena zastanawiała się nad odpowiedzią, Tomé przypuściła kolejny atak.

– Czy może pani zapewnić, że Alejandro Tramel nie odebrał ani jednego telefonu z pogrózkami albo naciskami od kogoś, kto nie miałby żadnych

powiązań z kasynem w Robredo ani z grupą Gran Castilla?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – powiedziałam w końcu, żeby dać Helenie choć kilka sekund wytchnienia. – To domysły. Nie ma informacji o jakichkolwiek telefonach odpowiadających charakterystyce przedstawionej w pytaniu przez panią mecenas.

– A jednak – odparowała Tomé – istnieje obszerna dokumentacja z innych miejsc, w których zwykł grywać Tramel i w których zaciągnął różnej wysokości długi. Trudno uwierzyć, że nie miał ani jednego telefonu od kierownictwa tych lokali. A jeszcze trudniej w to, że pani Kowalczyk jest absolutnie pewna, skąd i przez kogo zostały wykonane te wszystkie telefony do jej męża.

– Zważywszy na fakt, że mecenas Tomé reprezentuje spółkę Gran Castilla – wtrąciłam, korzystając z okazji – może trudno jej uwierzyć, że inne instytucje działają zgodnie z prawem.

– Wystarczy – wtrącił się Barrios. – Jak widać, mecenas Tramel, lubi pani wypuszczać w kierunku strony przeciwnej zatrute strzały niemające żadnych prawnych podstaw, w nadziei że przysięgli je zauważą. Ostrzegam po raz ostatni, żeby przestała pani to robić. To już kolejne upomnienie. Proszę pamiętać, że pani obecność w sali rozpraw jest zagrożona. Od pani zależy, czy zmieni pani swoją postawę. Jeśli chodzi o panią, mecenas Tomé, proszę zadawać pytania dotyczące faktów, nie hipotez. Nie każcie mi państwo codziennie o tym przypominać; mają państwo wystarczająco duże doświadczenie. Proszę kontynuować.

Tomé wymieniła spojrzenia z Barverem. Skinął chyba lekko niepostrzeżenie, jakby chciał powiedzieć: nadszedł właściwy moment. Chwycałam się stołu w oczekiwaniu na cios.

– Pani Kowalczyk – zaczęła Tomé – czy utrzymywała pani stosunki płciowe z Ignaciem Cimadevillą w zamian za pieniądze?

– To niedopuszczalne, Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw! – wybuchnęłam, niemal nie dając jej dokończyć pytania.

– Z jakiegoś szczególnego powodu? – zapytał mnie Barrios.

– Obrona próbuje splamić wizerunek świadka, opierając się na nieudowodnionych tezach – wymyśliłam na poczekaniu.

– Pan Cimadevilla został wezwany na najbliższy poniedziałek – odparła spokojnie Tomé. – Gwarantuję, że potwierdzi fakt uprawiania z Heleną Kowalczyk seksu za pieniądze.

– W trakcie postępowania przygotowawczego nie pojawiła się taka informacja – powiedział Barrios, uprzedzając mój argument. – Nie widzę powodu, żeby zadawać tego typu pytania.

– Jak wszystkim uczestnikom procesu wiadomo, podczas postępowania przygotowawczego Ignacio Cimadevilla złożył zeznania na piśmie – oznajmiła Tomé, wyciągając grubą teczkę. – Na stronie siedemset dwudziestej drugiej akt procesowych, w akapicie drugim, możemy przeczytać, że na pytanie obrony o jego relacje z panią Kowalczyk świadek odpowiedział, cytując: „To były konfliktowe relacje, dochodziło między nami do różnego rodzaju transakcji wymiennych”. Stąd możliwość interpretacji, do której nawiązałam: seks za pieniądze.

– Wysoki Sądzie, to zdanie wyrwane z kontekstu – odpowiedziałam. Nie musiałam nigdzie zaglądać, żeby wiedzieć, co ma na myśli Tomé. – Cimadevilla mówi o wymianie ogólnie, nie podaje żadnych szczegółów.

– Pani mecenas – zamknął sprawę sędzia, patrząc na Tomé – ufam, że pani wie, co robi. Jeżeli podczas zeznań świadka odkryję, że przekręca pani odpowiedź udzieloną przez świadka podczas postępowania przygotowawczego, pragnąc skierować rozmowę na poruszony przez panią temat i zadać nieuzasadnione pytanie, gwarantuję, że zostanie pani surowo ukarana.

– Wysoki Sądzie – odpowiedziała Tomé – pytanie jest jak najbardziej zasadne, oparte na konkretnych, udokumentowanych faktach.

– Wierzę pani, tak jak wierzę wszystkim prawnikom reprezentującym wymiar sprawiedliwości – rozstrzygnął Barrios. – Może pani kontynuować przesłuchanie, byle z rozwagą.

Nie warto było dalej protestować. Wiedziałam, że jeżeli to sobie wymyślili, i tak niczego nie osiągną. Z kolei jeśli była to prawda, którą Helena ukryła, wcześniej czy później musiała wyjść na jaw. Poważnie podkopałoby to jej wiarygodność jako świadka i jako powódki, lepiej jednak, żeby nastąpiło teraz niż ostatniego dnia procesu. Zamknęłam oczy i usłyszałam głos Tomé powtarzającej pytanie:

– Pani Kowalczyk, czy utrzymywała pani stosunki płciowe z Ignaciem Cimadevillą w zamian za pieniądze?

I odpowiedź Heleny, jeszcze gorszą niż zwykle „tak”:

– Ignacio mówić nikomu nie opowiadać.

– Nie rozumiem – Tomé udała zdziwienie. – Z pani odpowiedzi wnoszę o kilku rzeczach: że owszem, uprawiała pani seks za pieniądze, że wcześniej skłamała pani przed sądem, mówiąc, że nigdy tego nie robiła, oraz że oboje postanowiliście utrzymać to w tajemnicy.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – powiedziałam, otwierając oczy, świadoma, że mój protest na nic się nie zda. – Pytanie mecenas Tomé nie nawiązuje do faktów. Jak sama mecenas wspomniała, opiera się na domysłach i przypuszczeniach.

– Wycofuję pytanie – zgodziła się natychmiast Tomé. – Pani Kowalczyk, czy utrzymywała pani stosunki płciowe z Ignaciem Cimadevillą w zamian za pieniądze? Tak czy nie?

– Tak – wymamrotała Helena.

– Czy pani i pan Cimadevilla umówili się, że nigdy nikomu o tym nie powiedzą, ponieważ była pani mężatką?

– Tak.

– Czy kilka minut wcześniej skłamała pani, kiedy powiedziała, że nigdy czegoś takiego nie robiła?

– Tak.

Helena odpowiedziała trzema monosylabami – spięta, z szeroko otwartymi oczyma utkwionymi w Tomé. Pomyślałam, że rzeczywiście na nią splunie. Przysięgli patrzyli na nią ze zdumieniem. Dlaczego mieliby wierzyć w to, co mówi, skoro zdradzała męża, skoro będąc mężatką, świadczyła usługi seksualne za pieniądze, a przede wszystkim skoro okłamała ich i wszystkich obecnych w sądzie.

Barrios ostrzegł Helenę, że popełniła poważne wykroczenie, że zgodnie z artykułem czterysta pięćdziesiąt osiem Kodeksu karnego za składanie fałszywych zeznań grozi kara od sześciu miesięcy do dwóch lat pozbawienia wolności i że będzie zmuszony sporządzić protokół i przesłać go odpowiednim władzom. Myślę, że Helena go nie słyszała, w każdym razie

nie zwróciła na niego uwagi. Nie odrywała wzroku od Tomé, jakby nie potrafiła zrozumieć, jak inna kobieta mogła zrobić jej coś takiego. Wyglądała, jakby poczuła się osobiście dotknięta, niezależnie od konsekwencji, jakie jej kłamstwo mogło mieć dla procesu.

Nad Heleną zdyskredytowaną jako świadkiem łatwo się było teraz pastwić. Tomé zrobiła z niej kłamcę, złą żonę, złą matkę, kobietę, której zależy wyłącznie na pieniądzach; ośmieliła się nawet zakwestionować jej uczucia do Alejandra, zasugerowała, że wyszła za niego, żeby zdobyć obywatelstwo. Po czym posunęła się jeszcze dalej: zaczęła dywagować, dlaczego Helena, jeżeli rzeczywiście wiedziała o groźbach i naciskach, jak przed chwilą zeznała, nigdzie tego nie zgłosiła, nie zrobiła nic, żeby pomóc mężowi. W takim razie albo to była nieprawda, albo nie obchodziło jej, co się dzieje z mężem. Na nic zdało się tłumaczenie Heleny, że się bała i czuła się bezsilna: straciła zaufanie przysięgłych, a chyba i Barriosa, i każde jej wyjaśnienie brzmiało jak usprawiedliwienie. Nic nie dały również moje ciągłe protesty, dotyczące zarówno treści, jak i formy pytań, a także wprowadzenia do przesłuchania nowych faktów, o których nie było mowy podczas postępowania przygotowawczego. Wszystko na próżno.

Podczas swojej rundy pytań Andermatt oczywiście również próbował zdyskredytować świadka. Skoncentrował się na relacjach, jakie łączyły ją i Alejandra z Santonją. W wyniku jego manewrów coraz bardziej zdezorientowana Helena przyznała w końcu, że kilkakrotnie przyjęła pomoc od Emiliana Santonji, kiedy brakowało im pieniędzy na jedzenie albo na opiekę nad niemowlakiem. Od czasu do czasu z udawanym zaangażowaniem zgłaszałam sprzeciw – sama nie bardzo wierzyłam, że cokolwiek wskóram. Santonja wyszedł na dobroczyńcę rodzaju ludzkiego, który nie tylko udzielał Alemu kredytu, żeby ten mógł się odegrać, i radził mu zerwać z hazardem, ale też troszczył się o niego, jego biedną żonę i ich małe dziecko.

Szło im tak dobrze, że nawet Pardo postanowił wyjątkowo zabrać głos. Zadał Helenie kilka technicznych pytań w związku z odpowiedzialnością cywilną, ale nie miała o niczym pojęcia. Próbowałam protestować – bezskutecznie, Barrios uznał, że towarzystwo ubezpieczeniowe ma prawo zadawać powódce pytania o jej intencje w kwestii, która bezpośrednio dotyczy firmy, a z kolei świadek ma pełne prawo nie wypowiadać się na tematy, których nie zna. Pomyślałam, że Pardo zamierza nawiązać do

pobudek finansowych, z jakich rzekomo działała Helena. Kiedy przebrnęła przez labirynt układowych pytań, które prowadziły donikąd, zaczął maglować ją o sumę odszkodowania żadaną w pozwie, Helena zaś udzielała wymijających odpowiedzi, twierdząc, że nic nie wie, że zostawia tę kwestię swoim adwokatom. Tym samym otworzyła Pardowi drogę do postawienia pytania, które ten chciał jej zadać od samego początku:

– Pani Kowalczyk – powiedział, krzywiąc się, jakby pytanie o taką kwestię sprawiało mu przykrość – kto wpadł na pomysł, żeby złożyć pozew przeciwko Gran Castilli, pani czy pani adwokat?

Nie muszę mówić, jak stanowczo zaprotestowałam ani jak dobrze przygotowaną argumentacją adwokat firmy ubezpieczeniowej odparł mój sprzeciw, powołując się na odpowiednie artykuły i orzecznictwo. W końcu Helena kolejny raz – nie wiem już który – musiała odpowiedzieć na pytanie, które z całą pewnością w oczach przysięgłych nie stawiało nas w dobrym świetle. Oczywiście zrobiła to z rozbijającą szczerością:

– Pomysł pozwu od mojej adwokatki.

Stałam w środku nocy oparta o metalową kratę apteki, niecierpliwie czekając na farmaceutkę, która zabrała moją (sfalszowaną) receptę. Próbowałam oczyścić umysł z negatywnych myśli, co zważywszy na okoliczności, wcale nie było takie proste.

– Trzydzieści osiem euro – powiedziała dziewczyna przez otwarte okienko, kładąc przede mną opakowanie diazepam.

Jej słowa przywróciły mnie do rzeczywistości. Była północ, upalny sierpniowy czwartek, a ja właśnie zamierzałam przerwać ponadtrzymiesięczną abstynencję, częściowo z powodu ciosów otrzymanych podczas rozprawy, a częściowo dlatego, że (nie będę się oszukiwać) byłam uzależniona, a niełatwo jest odstawić z dnia na dzień środki uspokajające, antydepresanty i opiaty.

Czekając na resztę z pięćdziesięcioeurowego banknotu, pomyślałam, że to nie jest najmądrzejsza rzecz, jaką może zrobić ktoś, kogo oskarżono o fałszowanie recept. Oczywiście wspomnienie cudownego samopoczucia po tabletkach było silniejsze niż obawa przed ewentualnymi konsekwencjami. Każdy dzień procesu stawał się torturą. Czułam, że nie zaszkodzi, jeśli tej nocy dam sobie chwilę wytchnienia i o wszystkim zapomnę. Nazajutrz czekała nas kolejna ciężka przeprawa: zeznania zaczęli składać świadkowie obrony i zapowiadała się mordercza bitwa. Dziś kolejny raz dostaliśmy w skórę i w zasadzie wszyscy się do takiego układu przyzwyczaili. Nie dziwiło mnie, że prokurator stanęła po przeciwnej stronie – gdybym mogła, prawdopodobnie też bym tak zrobiła.

– Dwa euro – powiedziała farmaceutka, kładąc na tacce pod okienkiem dwie monety – i dziesięć. Dziękuję.

Kiedy zebrałam resztę, gwałtownym ruchem zamknęła okienko. Wzięłam plastikową torebkę z opakowaniem diazepam i ruszyłam pieszo w stronę domu. Byłam od niego jakieś pół kilometra. Wiedziałam, że niedługo będę

leżeć spokojnie w łóżku. Tej nocy nie zamierzałam studiować akt. Musiałam rozjaśnić umysł, zasnąć.

Kiedy skręcałam w ulicę San Perpetuo, która dochodziła do placu Trinidad, odniosłam wrażenie, że ktoś idzie za mną, blisko jezdni. Wiedziałam, że Gran Castilla śledzi moje kroki; wypad na Teneryfę rozwiązał wszelkie wątpliwości, ale powoli zaczynałam mieć tego dosyć: ile razy skręcałam za róg, zwłaszcza nocą, albo kiedy byłam w jakimś odludnym miejscu, na przykład na parkingu albo słabo oświetlonej ulicy, czułam, że ktoś czai się w mroku. Oczywiście pomyślałam o Moncadzie. Może to był on. Następnego dnia miał zeznawać na rozprawie; nie zdziwiłabym się, gdyby kręcił się w pobliżu, próbując mnie czy to zastraszyć, czy przeciwnie, pozyskać. Mogło być tak, że naprawdę mu się podobałam, a mimo to zdecydował się brutalnie mnie pobić. Nie wykluczałam, że te dwa odczucia, na pierwszy rzut oka sprzeczne, naprawdę mogły się spotkać w jego pokreconym umyśle przywykłym do kontaktu z ludźmi stosującymi przemoc. Nie byłby pierwszym człowiekiem w historii, który zrobiłby coś takiego.

Gwałtownie odwróciłam głowę, żeby zaskoczyć tego, kto mnie śledził, ale zobaczyłam tylko parę dwudziestolatków, którzy śmiali się i obejmowali kilka metrów za mną. Zdumieli się, że jakaś szkaradna kobieta z pokancerowaną twarzą patrzy na nich w ten sposób. Uśmiechnęłam się, próbując rozładować napięcie; mało brakowało, a rzuciłabym jakąś banalną uwagę na temat pogody albo czegoś w tym rodzaju. Ale akurat w mojej kieszeni zaczęła wibrować komórka, ratując mnie przed wypowiedzeniem jakiejś bzdury. Na wyświetlaczu zamrugało M.

- Odsłuchałam twoje wiadomości, właśnie miałam do ciebie oddzwonić – powiedziałam.
- Mam listę wizyt Ortiza w kasynie – zakomunikował bez wstępów.
- Po złożonym przez niego samozakazie? – zapytałam dla pewności.
- Pięćdziesiąt dwa zarejestrowane wejścia do kasyna w Robredo po tym, jak złożył wniosek do Krajowej Komisji do spraw Hazardu – potwierdził M.

To by oznaczało, że mamy ich w garści. Co prawda nie mogliśmy tego nigdzie zgłosić, a prokuratura nie mogła wszcząć postępowania z urzędu, ponieważ niestety zgodnie z ustawą hazardową tak poważne wykroczenia jak to ulegały przedawnieniu po dwóch latach. Ale jeżeli udałoby mi się

przekonać Barriosa, mogliśmy wykorzystać tę informację w czasie procesu, żeby przycisnąć obronę, pokazując, jak postępowała Gran Castilla ze słabszymi klientami: kierownictwo zezwalało na wstęp do kasyna osobie, która oficjalnie poprosiła, żeby nie wpuszczano jej do żadnego salonu gier, i którą uzależnienie od hazardu doprowadziło do samobójstwa. Nie stawiało to firmy w najlepszym świetle.

– Mamy tylko jeden problem – dodał M. – Powiedzmy, że nie zdobyłem tej listy w absolutnie legalny sposób.

– Nie możemy jej wykorzystać, jeżeli nie wystosujemy do firmy oficjalnego wniosku – podsumowałam. – To może ciągnąć się w nieskończoność, proces dawno się skończy. Poza tym obudzimy ich czujność.

– Chcesz, żebym mimo wszystko ci ją wysłał?

– Oczywiście – odparłam. – Zastanowię się, jak najlepiej ją wykorzystać. Dobra robota, gratulacje.

– Dobrze się czujesz? – zapytał zdziwiony. – Gratulujesz mi chyba pierwszy raz od lat.

– Nie przyzwyczajaj się. A skoro pytasz, czy dobrze się czuję, sytuacja przedstawia się następująco: właśnie kupiłam w dyżurnej aptece opakowanie diazepamu na sfałszowaną receptę, idę sama ulicą i wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi.

– Gdzie dokładnie jesteś?

– Niedaleko domu. Przed chwilą dopuściłam się przestępstwa, być może przy świadkach. Jeżeli rzeczywiście ktoś mnie śledzi, uspokoję się dopiero wtedy, kiedy wejdę do domu i zamknę drzwi na zasuwkę.

– Jak chcesz, przyjadę.

– Nie warto, naprawdę.

Szłam dalej w stronę placu Trinidad może nieco szybszym krokiem. Para zniknęła; pewnie obściskiwali się w jakiejś bramie. Nikogo nie widziałam ani nie słyszałam, pomimo to nadal miałam wrażenie, że nie jestem sama.

– Jak tam chcesz, ale jeśli zobaczysz coś niepokojącego, daj mi znać niezależnie od pory, zjawię się w ciągu dziesięciu minut.

– Będę o tym pamiętać.

– I jeszcze jedno. Myślę, że zlokalizowałem Ignacia Cimadeville.

– Wystawił głowę z dziury, w której się schował? Może usłyszał, że na rozprawie padło jego nazwisko, i postanowił wkroczyć na scenę.

– Chyba nie o to chodzi.

Słyszając ponury ton M., już wyobraziłam sobie, jak mnie informuje, że znaleziono zwłoki Cimadevilli porzucone na jakimś pustkowiu i że leżą one właśnie w kostnicy.

– Namierzyłeś go czy nie? – zapytałam.

– Jutro wieczorem, czyli w piątek, podobno ma wziąć udział w ważnej partii pokera.

– Cimadevilla też gra?

– Z tego, czego zdołałem się dowiedzieć, wynika, że kiedyś grał. Ostatnio nie pojawia się często w szulerniach.

– Twoim zdaniem, jakie są szanse, że przyjdzie na tę partię?

– Znasz mnie, nie lubię spekulować. Mówię ci to, co wiem. Podobno ma wziąć w niej udział, tak słyszało kilku znanych w mieście graczy. Nie mam pojęcia, czy rzeczywiście się pojawi.

– Nawet jeżeli prawdopodobieństwo jest minimalne, na wszelki wypadek powinniśmy się tam pokazać. Może to ostatnia szansa, żeby porozmawiać z nim, zanim złoży zeznania. Wiemy, gdzie dokładnie odbywa się partia?

– Nie jest oficjalna – wyjaśnił M. – Odbędzie się w domu Gonzala Arrate, znanego baskijskiego przedsiębiorcy z branży komunikacji lotniczej, siedemdziesięciolatka, który lubi sobie poszaleć pod nieobecność żony. Mieszka w willi w La Finca, w Pozuelo.

La Finca to ekskluzywne osiedle domów jednorodzinnych położone kilka kilometrów od Madrytu, które w ostatnich latach awansowało w rankingu ulubionych lokalizacji najbogatszych mieszkańców stolicy, zostawiając w tyle inne, takie jak La Moraleja czy Puerta de Hierro. Osiedle absolutnie zamknięte, z taką liczbą prywatnych ochroniarzy na metr kwadratowy, że podobno domy nie mają nawet alarmów – po prostu ich nie potrzeba.

– Jak możemy się tam dostać?

– Mogłabyś zapytać twojego kumpla Frimana, zna wszystkich. Zresztą z tego, co słyszałem, prawdopodobnie też tam będzie. Zbierze się kilkanaście grubych ryb gotowych na duże ryzyko. Przedsiębiorcy, piłkarze, piosenkarze. Do tego rodzaju partii nie dopuszcza się zawodowców. Organizatorzy może i są nałogowymi hazardzistami, ale nie są idiotami: nie chcą, żeby oskubano ich przy pierwszym rozdaniu.

– W takim razie Friman nie ma tam czego szukać.

– Niekoniecznie. Alfredo Friman słynie z tego, że szasta pieniędzmi. To utracjusz, gra bez troski i maksymalnie ryzykuje. Poza tym, jak wiesz, jest także bukmacherem, a ci goście lubią grać jednocześnie na kilku frontach.

– Czyli chociaż to zawodowiec, dyżurni bogacze lubią jego towarzystwo.

– Tak słyszałem, ale nie mogę ci zagwarantować, że zostanie wpuszczony na partię, a tym bardziej że będziesz mogła mu towarzyszyć.

– Porozmawiam z nim. Przekonamy się, co o tym myśli.

W końcu dotarłam na plac. Zobaczyłam w oddali wejście do bloku. Poczułam, że kolano daje o sobie znać; może zbyt długo je przeciążyłam. Na chwilę zwolniłam i wtedy usłyszałam za plecami jakiś dźwięk.

– Poczekaj – powiedziałam do M. – Może popadam w paranoję, ale znowu mam wrażenie, że ktoś za mną idzie. Nie rozłączaj się. Jeśli usłyszysz krzyki, dzwoń na policję i przyjeżdżaj tu piorunem.

Przystanęłam, udając, że szukam czegoś w torebce, i włożyłam do środka nierozłączoną komórkę. Nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. Należało dawno kupić sobie spray do obrony przed gwałcicielami albo wyrobić pozwolenie na broń, na co swego czasu usilnie nalegał Ramiro. Ścisnęłam mocno rączkę torby. Nie dlatego, żebym walenie napastnika torbą uważała za najlepszy sposób obrony – po prostu nie miałam zamiaru stać bezczynnie. Wyostrzyłam wszystkie zmysły; nie wiedziałam, czy puścić się biegiem – zakładając, że byłabym zdolna to zrobić – czy znowu zniecka się odwrócić. Wydało mi się, że ktoś czai się między zaparkowanymi za mną samochodami. Albo ta osoba była straszną oferą, albo to nie miało ze mną nic wspólnego. Oszacowałam odległość dzielącą mnie od wejścia do bloku: nawet jeśli udałoby mi się tam dotrzeć przed napastnikiem, musiałabym jeszcze wyjąć klucze, przekręcić je w zamku, wejść do środka i zamknąć drzwi. Niewykonalne.

Jestem prawnikiem, nie policjantem. Spięłam się cała, przygotowana na to, co może mnie spotkać. Kątem oka spojrzałam w stronę samochodów i zobaczyłam, że w bocznym lusterku starego seata odbija się czyjaś postać ukryta między dwoma zaparkowanymi autami. Natychmiast ją rozpoznałam. Mięśnie same mi się rozluźniły.

Wyjęłam komórkę i głośno powiedziałam do M.:

– Nic takiego, fałszywy alarm.

– Jesteś pewna?

– Bezdomny pies, wiesz, jeden z kundli, które włóczą się po ulicach, aż w końcu wpadają pod samochód i ich szczątki leżą potem na asfalcie. Nieprzyjemny widok.

Chłopak, który kuczał za samochodami, wyprostował się, żebym mogła go zobaczyć.

– Dobra, w porządku – powiedział M. – Załapałem.

To był Andrés Admira. Trzymał ręce w górze, jakby się poddawał – wcielenie niewinności. W godzinie prawdy, jak dzisiaj podczas przesłuchania, jego twarz się zmieniła.

– Pogadamy jutro, M.

– Jasne. Jakby co, jestem pod telefonem.

Teraz naprawdę się rozłączyłam i spojrzałam na chłopaka.

– Nie możesz podejść jak normalny człowiek? – zapytałam.

– Myślałem, że nie będziesz miała ochoty mnie widzieć po tym, co się stało.

– Dobrze myślałeś. Powiedziałam ci, że jeśli będziesz chciał, możemy porozmawiać, jak skończy się proces. Jeżeli jesteś gotowy raz na zawsze pożegnać się z hazardem, możesz liczyć na moją pomoc. Ale dopiero kiedy to wszystko się skończy, nie teraz.

– Gniewasz się na mnie?

– Jasne, że się gniewam, a co myślałeś? – rzuciłam i powstrzymałam go ręką, żeby nie podchodził bliżej. – Nie wiem, kiedy to wreszcie zrozumiesz. Może to najważniejsza lekcja w życiu, tak naprawdę sama jeszcze się tego uczę: każdy czyn pociąga za sobą konsekwencje.

– Rozumiem...

– Nie, nie rozumiesz – przerwałam mu. – Gdybyś rozumiał, nie odważyłbyś się przychodzić tutaj w nocy. Dziś na rozprawie nas sprzedałeś. Zgoda, masz swoje powody, jesteś nałogowcem, te skurwysyny nie pozwalają ci wyjść z uzależnienia, ale co z tego? Inni też mają problemy, nie jesteś, kurwa, pępkiem świata.

– Co mogę zrobić?

– Jak to, co możesz zrobić? – powtórzyłam, jakby już samo zadanie tego pytania było nonsensem. – A skąd mam wiedzieć? Na początek byłoby dobrze, gdybyś przeprosił, jeśli w ogóle jesteś do tego zdolny.

– Przepraszam.

– Przynajmniej powiedz to tak, żeby wyglądało, że ma to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie.

– Przepraszam – mruknął – jestem już tak skołowany... Naprawdę mi przykro.

– Po drugie, nie skradaj się za mną. Dostanę zawału, mam już swoje lata.

– Bałem się, że nie będziesz chciała ze mną rozmawiać, nie wiedziałem, jak podejść.

– Wcale się nie dziwię. Czego chcesz?

– Chcę przestać grać, poważnie. Chcę zrozumieć, co się ze mną dzieje. Zamiast pójść do kasyna dziś wieczorem przyszedłem tutaj, żeby z tobą porozmawiać.

– Nie kłam. Jestem specjalistką od kłamania, więc możesz sobie darować. Poszedłeś do kasyna, ale zakręcili ci kurek, dlatego tu jesteś.

– To też – przyznał.

Kiedy tak stał między dwoma samochodami w słabym świetle latarni na placu, miałam ochotę go spoliczkować, żeby się wreszcie ogarnął. Musiałam przypomnieć sama sobie, że nie ja jestem odpowiedzialna za tego chłopaka.

– Jeśli naprawdę chcesz rzucić hazard, pomyliłeś drzwi. Wiesz, dokąd masz pójść.

– Wrócę na terapię, obiecuję.

– Przestań obiecywać i zacznij działać. My, nałogowcy, obiecujemy wiele rzeczy, doskonale wiem, co mówię.

– Mogę już wejść na chodnik? – poprosił. – To trochę śmieszne rozmawiać z tobą z tego miejsca.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zacząłeś mnie śledzić – odparłam. – Nie ruszysz się stamtąd, dopóki mi nie powiesz, po co przyszedłeś. Nie kupuję tego, że przygnały cię wyrzuty sumienia, że zjawileś się, żeby mi powiedzieć, jak bardzo ci przykro. Jesteś tu z innego powodu. Nie zamierzam tracić na to całej nocy, żebyś wiedział.

– Przyszedłem, żeby cię zatrudnić.

Ujął to dokładnie tymi słowami, przekonany, że mówi absolutnie sensownie. Spojrzałam na niego, zastanawiając się, czy upośledzony słuch nie splątał mi figła i czy w rzeczywistości Andrés nie powiedział czegoś innego. Ponieważ milczałam, powtórzył jeszcze raz; teraz nie miałam już najmniejszych wątpliwości.

– Jestem tu dlatego, że chciałbym cię zatrudnić. Potrzebuję adwokata.

Gdybym nie czuła się tak zmalretowana, nie miała za sobą fatalnego dnia, nie była w trakcie procesu, który zaczynał wyglądać na przegrany, uznałabym jego słowa za do tego stopnia absurdalne, że może nawet śmieszne.

– Pozwę kasyno – dodał.

– Jasne – odparłam, najspokojniej jak potrafiłam. – Nawet ci nie odpowiem. Wróć do domu. Weź zimny prysznic, może trochę ochłoniesz. A jutro z samego rana zjawisz się w Almie, grzecznutki i gotowy do współpracy.

Odwrociłam się i ruszyłam w stronę domu.

– Mówię bardzo poważnie – zaczął, idąc za mną. – Dali mi kredyt w kasynie w zamian za to, że złożę fałszywe zeznania. To nielegalne, prawda? Przekupili świadka. Nie mówiąc o tym, że namawiali mnie do grania, chociaż wiedzą, że jestem uzależniony.

– Matko święta, Andrés – powiedziałam. – Nadal myślisz, że zawsze uda ci się wykręcić kota ogonem, prawda? Że możesz kłamać, oszukiwać, kraść, łamać wszelkie zasady, a potem skarżyć się, jaki to świat jest dla ciebie

niesprawiedliwy. Ocknij się, do cholery. To, o czym mi przed chwilą powiedziałeś, nie wystarczy, żeby kogokolwiek pozwać. Masz dowody? Gdybym ci ufała, mogłabym najwyżej wezwać cię jeszcze raz do sądu, żebyś opowiedział o wszystkim przysięgłym, ale nie zrobię tego, bo najprawdopodobniej znowu byś mnie zdradził. Nie mówiąc o tym, że dopuściłeś się krzywoprzysięstwa, poważnego przestępstwa, za które możesz wylądować w więzieniu. Wygląda na to, że wszyscy moi świadkowie są specjalistami od składania fałszywych zeznań, mam oko, nie ma co.

– Jeśli ty nie weźmiesz tej sprawy, zatrudnię innego adwokata – powiedział z godnością.

– Powodzenia.

Przetrząsnęłam wnętrze torby w poszukiwaniu kluczy do mieszkania, odwróciłam się do niego plecami i podeszłam do drzwi wejściowych. Oczywiście nie odczepił się.

– Mogę też porozmawiać z tą prokuratorką i zawrzeć ugodę – powiedział. – Nietykalność w zamian za moje zeznanie przeciwko Czyngis-CHANOWI.

– Nie wiem, skąd wytrzasnąłeś taki pomysł, w każdym razie to tak nie działa – odparłam. – Poza tym prokurator jest po jego stronie, nie zauważyłeś?

– To co mam zrobić? – zapytał z desperacją w głosie.

– Już ci powiedziałam: idź spać, a jutro zaczniesz od nowa terapię. To wkurwiające, ale problem z nami, uzależnionymi, jest taki, że raz po raz wracamy do nałogu. Mogę cię jednak zapewnić, że robota, jaką wykonałeś w ciągu ostatnich miesięcy, nie poszła na marne; psychologowie ci to wytłumaczą.

Włożyłam klucz i przekręciłam go w zamku. Miałam nadzieję, że za chwilę uwolnię się od Andresa – co będzie najlepsze dla mojego zdrowia. I dla sprawy.

– W dalszym ciągu proponuję ci, żebyśmy rozmawiali, kiedy skończy się proces – powiedziałam.

Popatrzył na mnie zaczerwienionymi oczami. Tylko tego brakowało.

– Słuchaj no, niech ci tylko nie przyjdzie do głowy rozpłakać się! – krzyknęłam.

– Uderzyłem ojca – wykrztusił, krzywiąc twarz.

– Co?

– Znowu się pokłóciliśmy, z powodu tego, co zeznałem dziś rano w sądzie. Ktoś mu powiedział, że wróciłem do grania. Wściekł się. Zaczęliśmy się szarpać i w końcu go uderzyłem.

– Mocno?

– Raczej nie. Krzyczał, powiedział, że nie chce mnie więcej widzieć. Że dla niego umarłem.

– Tak się tylko mówi – mruknęłam, żeby coś powiedzieć.

Sprawa przybierała coraz gorszy obrót. Zaczęłam się zastanawiać, co jeszcze kryje w sobie ten chłopak. W rzeczywistości przyszedł dlatego, że nie miał dokąd pójść. Wyglądało na to, że tym razem to prawda. Pomyślałam, żeby tylko nie zadał mi pytania, którego tak się obawiałam. Ale chyba było ono nieuniknione.

– Możesz mnie przenocować? – Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dodał: – Tylko dzisiaj.

Wiedziałam, że tego pożałuję, jednak nie potrafiłam mu odmówić. Duch Tramelów w czystej postaci. Może to przez zakonnice albo dlatego że przypominał mi mojego młodszego brata i czułam się winna. A może kręciło mnie zbieranie zagubionych dusz i udzielanie im schronienia we własnym domu. Albo dlatego – i to było najbardziej prawdopodobne – że ja też uważałam, że zawsze uda mi się ze wszystkiego wywinąć; byłam podobna do tego chłopaka bardziej, niż chciałam przyznać. W każdym razie otworzyłam drzwi wejściowe i z progu skinęłam na niego.

– Będziesz musiał spać na kanapie.

– Uwielbiam kanapy – powiedział, idąc za mną do windy. – Co tak tam kurczowo ściskasz? Nie wypuściłaś tego z ręki nawet wtedy, kiedy myślałaś, że śledzi cię ktoś niebezpieczny.

Przez cały czas trzymałam w ręce opakowanie diazepam.

– Śmieci – odparłam.

Zgniotłam pudełko i wyrzuciłam do stojącego przy wejściu kosza, w którym leżało mnóstwo ulotek reklamujących chińskie restauracje, pranie

z dostawą do domu i inne tego rodzaju rzeczy. Nie chcę prawić morałów ani zwać niczego na los, ale może nie wszystko jest takie, na jakie wygląda, i tak naprawdę tamtej nocy to ten dzieciak uratował mnie, a nie ja jego.

– Jutro się wyniosę, obiecuję – powiedział, kiedy zamykały się drzwi windy.

– Nie obiecuj.

Helena patrzyła na mnie, stojąc w drzwiach. Światło słoneczne podkreślało jej figurę. Miała na sobie tylko włożony na bieliznę T-shirt. Z twarzy widać było, że przed chwilą się obudziła.

– Chłopak chrapać na kanapie – powiedziała.

– Tak, to przyjaciel – odparłam, przeciągając się. – Która godzina?

– Siedem i dziesięć.

Usiadłam. Przynajmniej tej nocy przespałam kilka godzin. Popatrzyłam na Helenę, która nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Ja tłumaczyć, co z Cimadevilla – powiedziała cicho.

– Lepiej, żeby to było dobre wytłumaczenie – odparłam, zerkając na komórkę, żeby sprawdzić, czy nie dostałam jakiejś ważnej wiadomości.

– On przychodzić do mnie często, kiedy Alejandro być w kasyno, grozić, ja bać, a potem proponować pieniądze...

– Posłuchaj, zrobimy tak – przerwałam. – Przemysł to dobrze, kiedy będę brała prysznic, a potem na spokojnie mi wszystko opowiesz. Proszę cię tylko o jedno: powiedz mi prawdę. Jeżeli nie wyjaśnisz mi wszystkiego od początku, nic mi po tym. Znamy się już wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że obie zrobiłyśmy wiele rzeczy, których się wstydzimy.

– Cała prawda? – zapytała, jakbym oczekiwała od niej zbyt wiele.

– Cała – powtórzyłam – nawet jeśli będzie bolesna. To jedyny sposób, żebym mogła odkręcić to, co zdarzyło się wczoraj na rozprawie.

Helena skinęła głową. Nie wyglądała na przekonaną.

– Ja kawa – powiedziała, odwracając się.

– Aha, jeszcze jedno: włóż coś na siebie. Nie chcę, żeby chłopak się zdenerwował, kiedy się obudzi. Ma osiemnaście lat. Jeśli po przebudzeniu zobaczy blondynkę taką jak ty w białym, może dostać zawału albo zacnie

sobie wyobrażać nie wiadomo co, albo, co gorsza, nigdy nie uda mi się go stąd wyrzucić.

– Dużo chrapać.

– Tak, chrapie i jest uzależniony od hazardu, więc ubierz się i nie bądź dla niego zbyt miła. Chcemy, żeby sobie poszedł.

Uśmiechnęła się i wyszła do przedpokoju. Chociaż miała bardziej poukładane w głowie niż Andrés, wystraszyłam się, że tych dwoje mogłoby zacząć ze sobą kręcić.

Przed dziewiątą byłam już wykąpana, ubrana, po śniadaniu i ciekawej rozmowie w cztery oczy z Heleną, zdążyłam przejrzeć notatki na dzisiejszą rozprawę i poprosić Sofię, żeby przygotowała oficjalny wniosek z prośbą o wypis z rejestru gości kasyna w Robredo dotyczący wizyt Miguela Ortiza. Nie wiedziałam, kiedy i jak go wykorzystam, jeśli w ogóle to zrobię, ale wolałam na wszelki wypadek mieć go pod ręką. Jako że poprzedniego dnia zeznania Heleny przeciągnęły się prawie do dziesiątej, sędzia zdecydował, że piątkowe posiedzenie rozpocznie się dopiero o jedenastej. Pomyślałam, że zanim udam się do ośrodka sportowego, zdążę jeszcze złożyć jedną wizytę.

Kiedy wychodziłam, Helena zapytała mnie, co ma zrobić z chłopakiem, kiedy się obudzi.

– Poczęstuj go kawą i przekaż mu ode mnie, żeby sobie poszedł. To wszystko – odparłam. – Nie zaprzyjaźniajcie się, nie opowiadaj mu swojego życia, niczego. Zrozumiano?

– Ja rozumiem.

Wyszłam z domu. Na zewnątrz zaatakował mnie duszny upał. O tej porze termometry wskazywały już około trzydziestu stopni. Był upalny koniec lata. Jadąc autostradą A-6, usłyszałam w radiu, że w poniedziałek lub wtorek znad Afryki nadejdzie jeszcze gorętszy front, obejmując podobno większość Półwyspu Iberyjskiego, zwłaszcza region centralny. Kalima – saharyjski piasek w postaci drobnych cząsteczek pyłu – miał przynieść skwar i pył. Zdaniem spikera zapowiadało się zjawisko meteorologiczne na skalę rzadko spotykaną w Europie. Zalecano zachowanie nadzwyczajnych środków ostrożności i unikanie przebywania na słońcu. Potem radiowa dyskusja zboczyła na skutki zmiany klimatu i globalnego ocieplenia; jeden z rozmówców szczególnie ekscytował się tym tematem. Perspektywa końca

całej planety, która spłonie, tak że nic na niej nie zostanie, nie wydała mi się w tym momencie straszna. Mogła stanowić nieco radykalne, ale skuteczne rozwiązanie wszystkich nękających nas problemów.

Skręciłam w znajomy zjazd do Robredo, skierowałam się w stronę osiedli mieszkaniowych, minęłam tunel i wyjechałam na obrzeża miasteczka. Szybko znalazłam miejsce do parkowania naprzeciwko opuszczonego – sądząc na oko – magazynu firmy kurierskiej. Przed skrzyżowaniem z główną aleją było kilka uliczek, przy których stały niskie domy. Niektóre z nich przebudowano na nowoczesne wille, inne zachowały pierwotny wygląd – między innymi ten, na który patrzyłam: jednopiętrowy, pomalowany na szaroniebiesko, ogrodzony cementowym murkiem tego samego koloru z czymś w rodzaju palisady z plecionych gałęzi, mającej zapewnić prywatność. Osiedle było spokojne, zachowało pewien urok w odróżnieniu od innych w okolicy, zbyt gęsto zabudowanych.

Podeszłam pod dom, na próżno starając się zobaczyć cokolwiek przez płot, kompletnie zasłaniający ogród. Widać było tylko okna z opuszczonymi żaluzjami na piętrze. Sprawdziłam numer posesji w wiadomości wysłanej mi przez M., żeby nie było, że się pomyliłam. Zdaniem detektywa osoba, której szukałam, wróciła z wakacji w zeszły weekend i zostało jej jeszcze kilka dni urlopu. Mogłam spodziewać się, że o wpół do dziesiątej rano zastanę ją w domu. Nie chciałam dzwonić, wolałam porozmawiać twarzą w twarz. Nie miałam zbyt wiele czasu.

Obeszłam ogrodzenie. Przy furtce odkryłam niewielki prześwit. Przyłożyłam twarz do szczeliny, w nadziei że coś zobaczę. Po drugiej stronie znienacka pojawiły się kły; usłyszałam groźne warczenie. Czarny rottweiler zaczął wściekle ujadać i skakać na ogrodzenie, tak że musiałam cofnąć się o kilka kroków. Choć nie mógł mnie dosięgnąć, nieźle się wystraszyłam.

– Lubisz zaglądać do cudzych domów? – zapytał kobiecy głos za moimi plecami.

Odwróciłam się i wpadłam na sędzię Palomę Huarte. Była ubrana w legginsy, T-shirt i buty do biegania, na głowie miała opaskę i ociekała potem.

– Skrzywienie zawodowe: wtykać nos tam, gdzie nie trzeba.

– Zwykle chodzi ze mną biegać – powiedziała, łapiąc oddech i wskazując

rottweilera – ale skaleczył się w łapę i postanowił odpocząć.

– Mądra decyzja – mruknęłam. – Zrobiłabym to samo na jego miejscu.

– To spokojna dzielnica – dodała, wyciągając z paska niewielkiego pilota.

– Jeśli szukasz domu, polecam.

– Nie stać mnie. Ale nigdy nie wiadomo.

– Zrobię kawę – powiedziała, nie pytając o powód wizyty.

– Dziękuję.

Poszłam za nią. Okazało się, że pilot służy do otwierania furtki. Przeszłyśmy przez nieco zaniedbany ogród, uważnie obserwowane przez psa, który podszedł do sędzi i zwiesił głowę do pogłaskania. Kiedy przesuwając dłoń po łbie, z otwartego pyska wychyły ostre kły, które przed chwilą widziałam z bliska. Zwróciłam uwagę na biały bandaż na przedniej łapie.

– Pozory myślą – zaznaczyła. – Jest bardzo łagodny.

– Nigdy bym nie powiedziała.

– Niektórzy nadal tego nie rozumieją. Niezależna kobieta robiąca karierę w swoim zawodzie mieszka sama z psem. Żeby obrazek był kompletny, brakuje im siedzącego na kanapie mężczyzny.

– Ludzie lubią gadać. Gdybym ja miała taki dom, perspektywę olśniewającej kariery, trochę oszczędności, twoją figurę i kilka lat mniej... prawdopodobnie też bym sobie kupiła psa.

Weszłyśmy po kilku schodkach, po czym Huarte otworzyła dom, po prostu popychając drzwi.

– Nigdy nie zamykam na klucz – wyjaśniła. – Kiedy Gary się tu kręci, nie ma potrzeby.

– Gary?

– Nazwałam go tak na cześć byłego chłopaka, Irlandczyka. Poznałam go w Londynie, kiedy miałam szesnaście lat i byłam rok na wymianie.

– Pierwsza miłość, której nigdy się nie zapomina – skomentowałam, żeby cokolwiek powiedzieć. Minęłyśmy salon, duży i zagracony; wszędzie piętrzyły się stosy książek i czasopism, na kanapie i w innych miejscach leżały porzucane ubrania. Moją uwagę zwrócił długi drewniany przesuwany regał wypełniony książkami, zajmujący całe dwie ściany, od

podłogi po sufit. Sędzia weszła do kuchni, oddzielonej od salonu blatem, przy którym stały wysokie taborety. Wzięła stojącą na lodówce kawiarkę i postawiła ją na płycie.

– Straszny był z niego dupek, ale cudownie całował. Gary – powiedziała, jakby smakowała to imię. – Czarna czy z mlekiem?

– Czarna bez cukru.

Dom wydał mi się przyjemny. W jakiś sposób stanowił wierne odbicie Huarte: solidny, przytulny, umeblowany bez zadęcia, zabałaganiony, ale czysty, jakby chciał powiedzieć: nie obchodzi mnie, co sobie o mnie pomyślisz. Ale może tak sobie jedynie wyobraziłam, a w rzeczywistości niczego takiego nie mówił.

Zdziwiłam się, widząc, że Gary nie został w ogrodzie, tylko wszedł za nami do salonu i ułożył się u stóp starego skórzanego fotela.

– Latem lubi się kłaść dokładnie pod wiatrakiem – wyjaśniła Huarte, wskazując olbrzymi wentylator na suficie. Śmigła zaczęły się obracać, kiedy nacisnęła włącznik na ścianie. – Nienawidzę klimatyzacji. Boli mnie od niej głowa.

– Mogłabym opowiadać ci długo i rozwlekle o bólach głowy – odparłam, wdzięczna za jej niewymuszoną gościnność.

Usiadłyśmy na stołkach, Huarte postawiła na blacie dwie filiżanki i nalała kawy.

– Słyszałam, że proces idzie tak sobie.

– Dobrze słyszałaś – odparłam, pociągając łyk. Kawa była gorzka i mocna, taka, jaka powinna być zawsze.

– To prawda, że rozprawy przeniesiono do hali sportowej?

– Barrios zabrał nas tam, żebyśmy się nie rozpuścili. Miał do wyboru albo to, albo kontynuowanie procesu w strojach kąpielowych.

– Powiesz mi, po co przyszedłaś? – zapytała nagle. – Mnie się nie spieszy, możemy przegadać cały ranek. Chodzi mi o ciebie, poczujesz się lepiej, jak to z siebie wyrzucisz. Nie mówiąc już o tym, że to wielce niestosowne: oskarżycielka odwiedza podczas trwania procesu sędzię, która prowadziła postępowanie przygotowawcze. Zakładam, że masz powód, by się tu zjawiać. I że nie postawisz mnie w niezręcznej sytuacji.

Sędzia zdecydowanie miała dar robienia i mówienia najważniejszych rzeczy. Gdyby podobały mi się kobiety (niestety nigdy mi się nie podobały), na pewno byłaby w moim typie. Miała absolutną rację: dość już gruchania, należało przejść do sedna sprawy.

– Proszę cię, żeby ta rozmowa pozostała między nami.

– Nie mogę ci tego zagwarantować – odparła uprzejmie. – Zależy, co mi powiesz.

Nie oczekiwałam niczego innego. Skinęłam głową, zastanawiając się, co by się stało, gdyby postanowiła upublicznić rozmowę, którą miałyśmy przeprowadzić.

– Zaryzykuję – zgodziłam się. – Chyba wiem, kto pobił mnie wtedy w garażu, tyle że nie mam dowodów ani świadków. Niechętnie to przyznaję, ale się boję. Pastwił się nade mną. Może zaatakować ponownie.

Huarte odchyliła się na stołku, zastanawiając się nad moimi słowami. To, że sobie ufałyśmy, wynikało ze wzajemnego uznania, jakim obdarzyłyśmy się na samym początku, w każdym razie tak założyłam. To prawda, że się bałam i czułam się zagrożona. I to prawda, że szukanie pomocy u Huarte było niekonwencjonalnym rozwiązaniem, ale nie widziałam innego.

– Kimkolwiek jest, jeżeli na niego doniesiesz, znajdzie się w centrum uwagi – powiedziała. – Na ogół to wystarcza, żeby ktoś taki siedział cicho. Nawet jeśli go nie zamkną, będzie miał się na baczności; zwykle to najlepszy sposób na powstrzymanie tego typu drani.

– Tym razem jest inaczej. To policjant. Jeżeli na niego doniosę, nie mając żadnych dowodów, zapewniam cię, że tylko sobie zaszkodzę.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Chcę, żeby sędzia prowadzący sprawę pozwolił mi go nagrać. Muszę też przeszukać jego samochód, tak żeby o tym nie wiedział. To jedyny sposób, żeby go przyskrzynić.

– Co ja mam z tym wspólnego?

– Sprawdziłam, sędzia śledczy jest z twojego rocznika. Niejaki Alfonso Heredia. Jeżeli porozmawiałabyś z nim nieoficjalnie, może pomogłabyś mi go przekonać, by wydał nakaz rewizji i utajnił postępowanie.

– Bez niezbitych dowodów?

– Mam postronnego świadka, któremu tamten się ze wszystkiego zwierzył. Jeżeli ty zadzwonisz do sędziego...

– Heredia nie jest moim przyjacielem. Słabo go znam. To nadęty, ambitny typ, który nie zaryzykuje kariery, żeby ci pomóc.

– Rozumiem. Musiałam spróbować. Boję się pomyśleć, co będzie, jeżeli postąpię zgodnie z oficjalną procedurą i ten ktoś dowie się, że go oskarżam, nie mając dowodów. Nie przyszedłabym do ciebie, gdybym nie znalazła się w potrzasku.

– Sędzia potrzebuje konkretów, żeby wydać pozwolenie na nagranie rozmowy i rewizję, przecież wiesz. Nawet gdybym się za tobą wstawiła, nic by to nie zmieniło. Nie znam szczegółów sprawy, nie wiedziałabym, co powiedzieć Heredii, dzwoniąc do niego.

– Znasz podejrzanego, o którym mówię – szepnęłam. – Porucznik Santiago Moncada.

Huarte na moment pogрузyła się w myślach. Może zastanawiała się, czy jednak mimo wszystko nie powinna mi pomóc.

– Powiedzmy, że przekonam prokuratora do poparcia wniosku – upierałam się. – Poprosiłabyś wtedy Heredię, żeby rozważył moją prośbę? Mnie nie zna, ale jeżeli koleżanka coś by mu szepnęła...

– Trzeba by to na spokojnie przeanalizować – przerwała mi. – Nie wiem, w jakim punkcie znajduje się śledztwo, jeżeli chcesz, mogę się dyskretnie dowiedzieć. Sędzia będzie potrzebował solidnych podstaw, żeby dać ci zielone światło. Myślę jednak, że przekonanie prokuratora może pomóc.

– Naprawdę bardzo ci dziękuję. Chcę to najpierw dobrze przemyśleć, zanim porozmawiam z prokuratorem. Będę mogła mu powiedzieć, że omówiłam to z tobą *off the record*?

Zrozumiała, do czego zmierzam.

– Chcesz przekonać prokuratora, powołując się na mnie? A potem przekonać mnie, powołując się na prokuratora? A na końcu przekonać Heredię za moim wstawiennictwem? Przyznam, że to dość pokrętne.

– Dlatego ci o wszystkim powiedziałam. I proszę cię, żeby nasza rozmowa nie wyszła poza te cztery ściany.

Huarte nie wyglądała na zadowoloną, nie podobała jej się ta sytuacja.

– Jesteś pewna, że to on? – zapytała otwarcie.

Na samą myśl o tym moim ciałem wstrząsnął lekki dreszcz.

– Próbuję przekonać samą siebie, że nie on. Ale wszystko świadczy przeciwko niemu. Chciałabym się mylić.

– Stawiasz mnie w trudnej sytuacji.

– Wiem. Ale nawet gdyby udało mi się go nagrać i przeszukać jego samochód i bagażnik, nic mi po dowodach, jeżeli zdobędę je bez nakazu sądowego. A wiem, że jeśli złożę doniesienie tradycyjną drogą, znowu mnie dopadnie, gdy tylko się dowie. Muszę go uprzedzić, działać dyskretnie i szybko. To moja jedyna szansa, jeżeli w ogóle jakąś mam.

– Muszę to przemyśleć. Nie chcę podejmować zobowiązań, których nie będę mogła dotrzymać. Popytam o przebieg postępowania, starając się nie budzić podejrzeń.

– Jeżeli przyjdzie ci do głowy jakieś alternatywne rozwiązanie, chętnie z niego skorzystam. Sama długo łamałam sobie nad tym głowę i nie widzę innego wyjścia, ale jestem otwarta na propozycje.

– Dlaczego to zrobił? – zapytała ponuro.

– Najprawdopodobniej dostał zlecenie. A potem chyba potraktował je jako sprawę osobistą.

– Jeżeli to prawda, mówimy o pracowniku służb mundurowych, który dopuszcza się czynu zabronionego na zlecenie osoby trzeciej. Sprawa jest bardzo poważna.

– Zgadzam się. Zaatakował mnie od tyłu w garażu i tylko cudem przeżyłam.

Huarte westchnęła, jakby już na samą myśl o tym, co mnie spotkało, robiło jej się niedobrze. Napiła się kawy. Nie musiała mówić, jak wielką to w niej budzi odrazę.

– Czy to prawda, że po tym wszystkim byłeś z nim w związku? – zapytała z przerażeniem w głosie.

– Nie nazwałabym tego związkiem – sprostowałam. – Powiedzmy, że dzieliliśmy łóżko podczas kilku nocy, kiedy doskwierała nam samotność, i że

w pewnym momencie mogło się wydawać, że coś z tego wyjdzie.

– Jak udało ci się to przerwać, żeby nie domyślił się, że go zdemaskowałam?

– Podałam mi rozwiązanie na tacy, kiedy ujawniłam, że spotykamy się w trakcie postępowania. Odesłali go daleko, emocje ostygły i nie musiałam się zbytnio tłumaczyć.

– Chciałabym ci pomóc – podsumowała. – Mimo twojej przeszłości, mimo że obie wiemy, że postrzegasz prawo w dość specyficzny sposób, i nawet mimo twojego uzależnienia nie mogę siedzieć z założonymi rękami. Porozmawiaj z prokuratorem. Zobaczmy, co da się zrobić. Chociaż ostrzegam cię, że Heredia to twarda sztuka.

– Bardzo ci dziękuję.

– Jeszcze nie masz za co. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, nawet po zdobyciu dowodów czeka cię mnóstwo problemów.

– Niewykluczone – powiedziałam, wstając. Przypomniałam sobie o alternatywnym, szybszym rozwiązaniu, które zaproponował mi M. – Może czasami na to nie wygląda, ale zapewniam cię, że darzę prawo dużym szacunkiem.

– Informuj mnie na bieżąco. Ja będę informować ciebie. Tymczasem możesz liczyć na moją całkowitą dyskrecję.

Zebrała filiżanki i włożyła je do zlewu. Rozejrzałam się, szukając brakującego szczegółu.

– Wybacz, że się naprzykrzam – powiedziałam. – Potrzebna mi będzie jakaś przepustka, żeby stąd wyjść.

– Co masz na myśli?

– Odkąd zaczął się proces, ktoś mnie śledzi. Nie wykluczam, że robiono to już wcześniej. Teraz zastanawiają się pewnie, po co do ciebie przyszłam. Chcę, żeby myśleli, że przyjechałam skonsultować jakieś dokumenty. Nie powinnam tego robić, ale lepsze to, niż gdyby mieli się domyślić prawdziwych powodów mojej wizyty. Czy ja wiem? Może to być jakaś formalność związana z dokumentami przedłożonymi przez Gran Castillę. Mogłabyś dać mi jakąś teczkę albo kartkę? Nie chcę stąd wyjść z pustymi rękami.

– Mówisz poważnie?

– Obawiam się, że tak.

Huarte pokręciła głową, jednak przyłączyła się do gry: podała mi dużą kopertę, do której włożyła wcześniej kilka leżących na kanapie kserówek.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Jeszcze dziś niby wykorzystam je podczas rozprawy – powiedziałam, wskazując kopertę.

Gary podniósł łeb i patrzył, jak kierujemy się w stronę wyjścia, gotów podążyć za Palomą, gdziekolwiek pójdzie.

Kiedy wyszłam na zewnątrz, na moment oślepiło mnie słońce. Wzięłam głęboki oddech i pomyślałam o Moncadzie: dzisiaj miałam zmierzyć się z nim w sądzie. Wcale mnie to nie cieszyło. Dyplomacja i fałszywe uśmiechy nie były moją mocną stroną. Miałam nadzieję, że po rozmowie z Huarte będę zdolna stawić mu czoło z większym opanowaniem, nie dam się ponieść kipiącej we mnie złości. Świadomość, że wprowadziłam w życie plan uniemożliwiający porucznikowi realizację zamiarów – nawet jeśli nie miałabym uzyskać natychmiastowych efektów – mogła mi pomóc zapanować nad nerwami. Chciałam zadawać mu pytania chłodno, odnosząc się wyłącznie do faktów mających związek ze sprawą, odsuwając na bok emocje. Zamierzałam spróbować. Choć nie mogłam ręczyć za rezultaty.

Podczas przesłuchania prowadzonego przez prokurator i obrońców Moncada zachowywał się swobodnie; wyglądał wręcz na zrelaksowanego, powiedziałabym, że czuł się jak ryba w wodzie. Opowiedział ze szczegółami, w jakich okolicznościach poznał Alejandra Tramela, jak go osobiście aresztował, kiedy Ale został oskarżony o zamordowanie dyrektora kasyna, i jak kilka godzin po samobójstwie popełnionym przez mojego brata w celi podwładni przekazali mu przykrą wiadomość.

Chociaż Barver i Andermatt nie powiedzieli tego wprost, ich strategia polegała na wykazaniu zależności między tymi dwiema śmierciami, związku przyczynowo-skutkowego, którego nie mogli udowodnić, ale który wydawał się logiczny: zadłużony, uzależniony od hazardu mężczyzna pewnego dnia eksploduje i zabija człowieka, ponieważ ten nie chciał mu udzielić kredytu na dalszą grę; potem uświadamia sobie, co zrobił, i odbiera sobie życie. Każdy, kto wysłuchał tej teorii i nie czuł potrzeby zagłębiania się w szczegóły, łatwo mógł uwierzyć w taką wersję wydarzeń. Obrona chciała, żeby wszystko inne, w tym, rzecz jasna, pozew, który dał początek procesowi, wydało się wyłącznie dymem, dodatkiem, którego czepiają się bliscy zmarłego, szukając dla siebie korzyści.

Taka właśnie teza zyskiwała tamtego piątku coraz wyraźniejsze kontury, w miarę jak na krześle dla świadków zmieniali się kolejni funkcjonariusze Gwardii Cywilnej, zeznając (przed Moncadą), w jakim stanie znajdował się Ale, kiedy został przez nich zatrzymany. Do sformułowania tezy przyczynił się także lekarz sądowy, który z najdrobniejszymi szczegółami opisał ciosy w głowę, zadane przez mojego brata Menendezowi Ponsowi, wskazujące rzekomo na zaciętość i furję. Mój brat jawił się jako człowiek oderwany od rzeczywistości, podlegający częstym zmianom nastroju, który potrafił być czarujący, a chwilę później popadał w przygnębienie i zamykał się w sobie, by zaraz dać upust wściekłości i agresji. Oczywiście podczas mojej rundy pytań starałam się odpierać ciosy, dyskredytować pozbawione naukowych

podstaw diagnozy psychologiczne, a zwłaszcza podkreślać brak związku pomiędzy śmiercią dyrektora kasyna, o której uparcie przypominała obrona, i sprawą, w której toczył się proces.

Mimo że próbowałam temu zapobiec na wszelkie możliwe sposoby, nie udało mi się powstrzymać obrony przed pokazaniem przysięgłym nagrania z kamer monitoringu, na którym widać wyraźnie, jak Alejandro wali Ponsa w głowę. Adwokaci wymyślili rzekomo techniczne pytania, przez co musieliśmy zobaczyć je dwukrotnie. Kiedy chcieli je puścić trzeci raz, zbuntowałam się, zgłosiłam sprzeciw, a nawet wyraziłam oburzenie, dzięki czemu udało mi się pokrzyżować ich plany i pokazać przysięgłym, że mają do czynienia z manipulacją emocjonalną pierwszego stopnia – jeżeli w ogóle coś takiego istnieje. Chociaż już kilkakrotnie widziałam to nagranie, widok mojego brata zabijającego innego człowieka zranił mnie, zabolął, poczułam się źle, ten nieludzki wybuch agresji nie pasował do Alejandra, którego znałam, i to właśnie ta przemiana najbardziej mnie przerażała i przyprawiała o mdłości. W żadnym momencie nie próbowałam zaprzeczać – obrażałoby to czyjaś inteligencję – że to on popełnił zbrodnię, ani przeinaczać faktów, uciekając się do fachowej terminologii, jak stwierdził wcześniej sędzia. Po prostu powiedziałam szczerze, co naprawdę myślę, opierając się na słowach psycholog, która składała zeznania poprzedniego dnia: zniszczono go, odebrano mu wiarę w siebie, pewność, a na koniec także i życie. Popchnięto go do czynów, których nigdy by się nie dopuścił, gdyby nie był chory, gdyby nie poddawano go presji, nie grożono mu. Osiągnęłam to za pomocą pytań, które zadawałam funkcjonariuszom i lekarzowi przez cały ranek.

Tuż przed przerwą obiadową wręczono nam pisemne zeznania trzech pracowników Gran Castilli przebywających na Dominikanie: Hidalgo, Freirego i Morenilli. Nie tego chciałam, ale nie było innego wyjścia. Gran Castilla zyskała kolejny punkt dzięki relokacji personelu, zarządzanej w najdogodniejszym dla siebie momencie. Sędzia przypomniał przysięgłym, że jeżeli któraś odpowiedź wyda im się niepełna albo niejasna, z chęcią ją z nimi przedyskutuje i rozwieje ich wątpliwości.

Następnie przyszła kolej na gwiazdę dnia, przystojnego porucznika Gwardii Cywilnej, Santiaga Moncadę. Jak już wspomniałam, obrońcy i prokurator z przyjemnością słuchali jego zeznań, jego pewnego tonu, jego szczegółowej relacji z wydarzeń, które doprowadziły do aresztowania Alego.

Brakowało tylko, żeby oklaskiwali każdą jego odpowiedź. Mimo atrakcji w postaci nagrania z monitoringu dzień strasznie się dłużył; wszyscy mieliśmy wrażenie, że w ostatnich godzinach praktycznie nie posunęliśmy się naprzód. Zbliżaliśmy się do finiszu. Barrios oddał w moje ręce ostatniego świadka tego dnia, jak to ujął. Postanowiłam, że przynajmniej spróbuję dać przysięgłym coś, nad czym będą mogli się zastanowić przez weekend. Te ostatnie piątkowe godziny były niezwykle ważne: jedyny raz podczas całego procesu przysięgli mieli spędzić dwa pełne dni z bliskimi i choć poinstruowano ich, żeby nie rozmawiali z nikim o sprawie, wszyscy wiedzieliśmy, że jest to nieuniknione, że w zależności od charakteru w większym czy mniejszym stopniu podzielą się z przyjaciółmi i rodziną swoimi troskami, wątpliwościami, opiniami i spostrzeżeniami. Miało to być coś w rodzaju wstępnych, indywidualnych obrad, podczas których prawdopodobnie wielu dojdzie do wniosków decydujących o ostatecznym stanowisku. To ja miałam zakończyć ten dzień, chyba że strona przeciwna postanowiłaby zadać świadkowi dodatkowe pytania. Zamierzałam wykorzystać tę okazję, choć wiązało się to z pewnym ryzykiem. Popatrzyłam z uwagą na Moncadę – żarty się skończyły.

– Poruczniku, kiedy dowiedział się pan o istnieniu nagrań rozmów telefonicznych, podczas których grożono Alejandrowi Tramelowi?

Santiago Moncada spojrział na mnie z krzesła dla świadków – jakby szukając u mnie zrozumienia albo solidarności. Pytanie, które mu zadałam, mogło wskazywać na zamiar ujawnienia naszej prywatnej rozmowy poprzedzającej złożenie pozwu, wtedy, wieczorem, kiedy puścił mi pierwsze nagranie. Patrzyłam na niego, zastanawiając się, czy to rzeczywiście on pobił mnie w garażu. Nie dawała mi spokoju myśl, że może zaszła pomyłka. Przecież od początku mi pomagał. Poczulałam się skołowana, kiedy tak siedział przede mną i patrzył, jakby oczekiwał, że odbudujemy dawne zaufanie. Oparł się wygodnie na krześle, jego zielony mundur Gwardii Cywilnej, chyba świeżo wyprasowany, zgniótł się nieco na wysokości pasa. Porucznik wyglądał w nim dobrze, wydawał się jeszcze bardziej opanowany.

– Nie pamiętam – powiedział ostrożnie.

– Nie pamięta pan, kiedy po raz pierwszy wysłuchał pan tych nagrań?

– Dokładnie nie.

– Nawet jeżeli nie pamięta pan dokładnie, mógłby pan określić ten moment w przybliżeniu?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – wyrwał się Barver. – Świadek już dwukrotnie odpowiedział na pytanie.

– Mecenas Tramel – wtrącił sędzia – czy informacja dotycząca momentu, kiedy świadek pierwszy raz wysłuchał tych nagrań, ma jakiegokolwiek znaczenie?

– Wycofuję pytanie, Wysoki Sądzie, chciałam jedynie dać porucznikowi okazję, by odświeżył sobie w pamięci okoliczności poznania jednego z kluczowych dowodów w tej sprawie. Panie Moncada, co oficer o tak dużym doświadczeniu jak pańskie pomyślał po wysłuchaniu rozmów telefonicznych przedstawionych jako dowody ponumerowane od A łamane przez zero, zero, dwieście jeden do A łamane przez zero, zero, dwieście osiemdziesiąt trzy łącznie?

– Nic szczególnego.

W sali rozległy się szepty. Spotkałyśmy się wzrokiem z przysięgłą numer cztery. Starsza pani wyglądała na wyczerpaną po całym tygodniu przesłuchań. Na pewno miała ochotę wyjść stąd i się odprężyć. Skinęłam głową, jakbym się z nią zgadzała, czegokolwiek dotyczyły jej myśli. Potem odwróciłam się powoli w stronę Moncady, który siedział z obojętną miną, nieskłonny pomóc mi w czymkolwiek.

– Panie poruczniku, czy rozpoznał pan rozmówców, kiedy usłyszał pan nagrania?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – zaprotestował natychmiast Barver. – Świadek nie jest ekspertem od śladów głosowych ani analizy głosu. Wysłuchaliśmy już biegłych.

– Nie pytam świadka jako eksperta – odpowiedziałam – ani nawet jako porucznika Gwardii Cywilnej, który nieraz miał do czynienia z podobnymi przypadkami, ale jako stałego klienta kasyna w Robredo znającego osobiście wszystkie osoby rozpoznane na nagraniach.

Wyglądało na to, że cała sala wreszcie się ocknęła. Z ławek dla publiczności dobiegły szepty. Nawet Concha i Sofía popatrzyły na mnie ze zdziwieniem, próbując odgadnąć, do czego zmierzam. Barver zareagował

dopiero po kilku sekundach. To, że ujawniłam upodobanie Moncady do hazardu, na pewno go nie zaskoczyło, jednak nie był zachwycony, że zrobiłam to w taki sposób.

– Pan Moncada nie jest tu po to, żeby opowiadać o swoim prywatnym życiu – powiedział wreszcie.

– Ani ja nie próbuję go do tego nakłonić, Wysoki Sądzie – zapewniłam. – Chodzi mi wyłącznie o ustalenie, czy ktoś, kto zna rozmówców osobiście, rozpoznał ich głosy na nagraniach, o nic więcej.

– Nawet gdyby tak było, ten ktoś mógłby się pomylić i wprowadzić nas w błąd – nie dawał za wygraną Barver. – Jak już zostało wyjaśnione, ślad głosowy nie jest w stu procentach wiarygodny nawet dla eksperta, więc tym bardziej dla kogoś, kto nim nie jest. Cała argumentacja oskarżenia krąży wokół nagranych rozmów. Niech Wysoki Sąd nie pozwoli mącić przysięgłym w głowach kolejną opinią.

– Panie mecenasie, przysięgli doskonale potrafią odróżnić fakt od opinii. Pytanie ma związek ze sprawą, a tym samym jest zasadne – uciął dyskusję Barrios. – Proszę odpowiedzieć, poruczniku.

Moncada nie wyglądał na zdenerwowanego, jakby zadawane przeze mnie pytania nie miały dla niego większego znaczenia. Jediną rzeczą, która wydawała się go niepokoić, był sposób, w jaki na niego patrzyłam.

– Żeby moje zeznania były bardziej zrozumiałe, chciałbym odnieść się do tego, co powiedziała mecenas Tramel – oznajmił, przesuwając dłonią po brodzie. – Muszę przyznać, że owszem, znam osobiście wiele osób spośród kierownictwa i pracowników kasyna w Robredo. Ponieważ znajduje się ono niedaleko koszar, odwiedzałem je służbowo przy licznych okazjach, interweniując w najróżniejszych sprawach, od drobnych sprzeczek po poważniejsze zajścia, jak choćby wspomniane zabójstwo pana Menendez Ponsa. Ponadto poza służbą czasem zaglądałem do kasyna jako klient, po to, żeby wypić drinka albo zagrać w pokera, ale to chyba nie przestępstwo. Wreszcie, odpowiadając na pani pytanie, nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy usłyszałem rzeczony nagrania, najprawdopodobniej trafiły do mnie po tym, jak złożono pozew przeciwko Gran Castilli. Pamiętam natomiast, że natychmiast rozpoznałem osobę, którą słychać na każdym z nich, Alejandra Tramela. Jeśli zaś chodzi o pozostałe głosy, dwa z nich mogłyby należeć do

Aarona Freirego i pana Morenilli, natomiast reszty nie jestem pewien. Zanim usłyszałem nagrania, przeczytałem nazwiska domniemanych rozmówców w pozwie karnym, mogłem się więc zasugerować. Nie potrafię tego ustalić.

Udzielił wyczerpującej, rzeczowej odpowiedzi, jakby ją sobie wcześniej przygotował. Spróbowałam zmienić krok, żeby nie mógł już stąpać tak pewnie.

– Znał pan dobrze Alejandra Tramela? – zapytałam.

– Widziałem go kilkakrotnie. Sympatyczny człowiek, miło się z nim gawędziło. Za to kiedy przegrywał, lepiej było trzymać się od niego z daleka.

– Czy wiadomo panu, aby Alejandro Tramel otrzymywał jakiegokolwiek pogróżki?

– Trudno powiedzieć. Przy stole do gry ludzie często tracą nerwy i mówią niestosowne rzeczy.

– Nie chodzi mi o innych graczy, mówię o kierownictwie Gran Castilli, a zwłaszcza o Emilianie Santonja. Czy wiadomo panu, aby którakolwiek z tych osób groziła Alejandrowi Tramelowi albo stosowała wobec niego przymus?

– Osobiście nie słyszałem, żeby coś takiego miało miejsce.

– Czy Alejandro Tramel mówił panu kiedykolwiek, że czuje się zagrożony albo że ktoś nakłania go do zrobienia czegoś, czego nie chce zrobić?

– Nie.

– Nigdy?

– Jeżeli mówił, to tego nie pamiętam.

– Czy wspomniał panu kiedykolwiek, że zamierza zerwać z hazardem?

– To akurat mówią wszyscy.

– Wspomniał panu czy nie?

– Możliwe. Wydaje mi się, że kiedyś o tym napomknął.

– I co mu w tym przeszkadzało, poza własnym uzależnieniem?

– Nie mam pojęcia.

– Czy Alejandro Tramel powiedział panu, że Emiliano Santonja nie daje mu żyć i że on sam znalazł się jakby w pułapce?

Barver i Andermatt już mieli zaprotestować, ale uprzedziłam ich, podnosząc rękę.

– Wycofuję pytanie. – Zajrzałam do notatek: podgrzałam już odpowiednio atmosferę, nadszedł czas na ostatnią serię. – Zmieniając temat: czy kiedykolwiek otrzymał pan jakieś wynagrodzenie od Gran Castilli? Albo spodziewa się pan otrzymać je w przyszłości?

Porucznik nieznacznie wyprostował się na krześle; rozległo się trzeszczenie. Jordi Barver natychmiast interweniował.

– Spekulacje, pytanie bezpodstawne, taka informacja nie figuruje w żadnym dokumencie ani zeznaniu. Wysoki Sąd wybaczy, ale to niedopuszczalne, żeby rzucać tego rodzaju pytanie, nie mając solidnych podstaw, i próbować wprowadzić nowy wątek, o którym nie wspomniano od początku trwania procesu.

– Mecenas Tramel – zwrócił się do mnie Barrios – z niecierpliwością czekam na jakieś przekonujące wyjaśnienie.

– Wysoki Sądzie – powiedziałam, wyciągając grubą teczkę, jaką w ciągu dnia wręczono każdemu z prawników – Aarón Freire, który niestety nie będzie towarzyszył nam osobiście podczas tego procesu, zeznał na piśmie, że zanim objął stanowisko szefa ochrony w kasynie w Robredo, przez kilka lat służył w Gwardii Cywilnej i przez co najmniej dwadzieścia dwa miesiące pracował na tym samym posterunku co porucznik Moncada. Nieuchronnie pojawia się pytanie dotyczące relacji między obu panami, a tym samym związków porucznika Moncady z firmą Gran Castilla oraz tego, w jakim stopniu jego zawodowe aspiracje, w pełni uzasadnione, mogły mieć wpływ na zeznania, jeśli tak było.

– Dzisiejsze zeznania porucznika nie dają podstaw do niczego takiego – zaprotestował Barver zirytowany. – Pani mecenas doskonale to wie. Nie mówiąc już o tym, że jej pytanie może stanowić poważne przestępstwo pomówienia w stosunku do Gran Castilli oraz stróża prawa mającego za sobą lata nieposzlakowanej służby.

– Nie takiej znowu nieposzlakowanej – sprostowałam. – Kilka miesięcy temu porucznik został odsunięty od służby z powodu relacji z jedną ze stron w tym procesie.

Rzecz jasna, miałam na myśli relację ze mną.

– Nieprawda, Wysoki Sądzie – zapewnił Barver. – Pan Moncada nie został odsunięty od czynnej służby. Po prostu oddelegowano go w inne miejsce, jak to się często zdarza w przypadku mundurowych. Jediną osobą, która otrzymała od sądu ustną nagana, była mecenas Tramel, za nawiązanie związku uczuciowego ze świadkiem.

– Ani sądu, ani przysięgłych – przerwał mu Barrios – naprawdę nie interesuje prywatne życie świadka, pani mecenas czy jakiegokolwiek innej obecnej na tej sali osoby, jeżeli nie ma ono bezpośredniego związku ze sprawą. Nie pozwolę, aby w ramach strategii mającej na celu zdyskredytowanie zeznań świadka podawano w wątpliwość jego uczciwość. A tym bardziej, żeby zadawano bezpodstawne pytania w kwestiach, z którymi nie zostały wcześniej zapoznane strony. Tego już wystarczy, przebieg służby pana Freirego opisany w jego zeznaniach to bardzo słaby argument za tym, by dalej podążać tą drogą. Zaoszczędzimy sobie fajerwerków. Mecenas Tramel, pani runda pytań dobiegła końca, od tej chwili nie ma pani prawa głosu, sam dokończę przesłuchanie świadka.

Uznałam, że nie warto protestować. Już nieźle podpadłam sędziemu, a czekały nas jeszcze dwa intensywne dni procesu, więc lepiej było siedzieć cicho. Miałam nadzieję, że przysięgli dostrzegli przynajmniej związek między Santonją i Moncadą. To by mi wystarczyło.

– Proszę powiedzieć, poruczniku – zaczął Barrios – czy utrzymuje pan, utrzymywał albo zamierza utrzymywać osobiste bądź służbowe relacje z jedną ze stron uczestniczących w procesie, mogące mieć wpływ na pańskie zeznania?

– Nie, Wysoki Sądzie – odparł Moncada.

– Czy uważa pan, że poza tym, co zeznał pan już podczas wcześniejszych przesłuchań, jest jeszcze jakaś inna istotna kwestia, o której powinien pan poinformować sąd?

– Nie, Wysoki Sądzie, chociaż... Może i jest. Nie wiem, czy powinienem o tym wspominać, prawdopodobnie nie ma to większego znaczenia, ale czuję się w obowiązku powiadomić sąd o pewnej sprawie.

O czym mówił Moncada? Miałam nadzieję, że jeżeli zamierza wyciągnąć jakiegoś królika z kapelusza, nie będzie to na tyle spektakularne, żeby zaprzętało myśli przysięgłych przez cały weekend. Spojrzeliśmy na siebie.

Odniosłam wrażenie, że przeprasza mnie wzrokiem, jakby nie miał wyboru i musiał to wyznać.

– Śmiało – zachęcił go sędzia.

– Jak już wspomniałem, moja baza operacyjna mieści się w Robredo, dziesięciotysięcznej miejscowości oddalonej trzydzieści parę kilometrów od Madrytu. Otóż dzisiaj rano, około dziesiątej, kiedy jechałem z koszar w stronę M-40, zauważyłem ze zdziwieniem pewną znajomą osobę wychodzącą z domu sędzi, która prowadziła postępowanie przygotowawcze w tej sprawie. Pani Huarte również mieszka w Robredo.

Odwróciłam wzrok i przygotowałam się na kolejny cios. Tak naprawdę przyznawał pośrednio, że mnie śledził i że jest mu obojętne, że się o tym dowiem. Może było to wręcz ostrzeżenie. Nie przejmowałam się zbytnio tym, co pomyślą przysięgli o mojej wizycie w domu sędzi. Ani tym, co powie Barrios. Choć miałam świadomość, że będę musiała udzielić mu wyjaśnień.

– Nie od razu ją poznałem – ciągnął Moncada – ale potem nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to obecna tu mecenas Tramel. Jak mówię, zdziwiło mnie, że wychodzi z domu sędzi sama, z jakimiś dokumentami pod pachą, skoro wiadomo, że podczas trwania procesu takie indywidualne kontakty bez powiadomienia wszystkich stron nie są czymś najbardziej poprawnym.

Barrios, całkowicie opanowany, słuchał uważnie każdego słowa z szeroko otwartymi oczami.

– Proszę wybaczyć, jeżeli wyszedłem poza zeznania albo jeżeli były one nie na miejscu – zakończył Moncada.

– Ale skądże, panie poruczniku – powiedział sędzia, nie komentując więcej. – Pańskie świadectwo wiele wyjaśnia. Może pan odejść. Salę mogą opuścić także przysięgli. To już koniec państwa pracy w tym tygodniu. Przypominam, że nie mogą państwo komentować z nikim szczegółów procesu, a tym bardziej treści otrzymanych dokumentów. Są one ściśle poufne i nie mogą zabrać ich państwo ze sobą do domu. Kolejna rozprawa odbędzie się w poniedziałek o dziesiątej rano. Państwu bardzo dziękuję, prawników zaś proszę o pozostanie na miejscach.

Przygotowałam się na reprimendę. Patrzyłam, jak jedenaścioro

przysięgłych opuszcza salę: rozmawiali spokojnie, jakby nie czuli ciężkiej odpowiedzialności, co na tym etapie procesu było pozytywnym znakiem. Moncada wstał i przez chwilę manipulował komórką, czekając, aż na niego spojrzę. Wtedy wymamrotał przez zęby:

– Bardzo mi przykro.

Pewnie miał na myśli ostatnią część swoich zeznań, odniosłam jednak wrażenie, że w rzeczywistości jego słowa mają szerszy kontekst, że prosi mnie o wybaczenie wielu innych rzeczy. Nie wiedziałam, ale wyglądało na to, że naprawdę zależy mu na odbudowaniu łączącej nas kiedyś więzi mimo wszystkiego, co nas dzieliło. Kiedy patrzyłam, jak wychodzi, kolejny raz pomyślałam, że może Friman, M. i ja sama jesteśmy w błędzie i to nie on mnie napadł. Gdy tylko przysięgli, świadek, oskarżony i dwóch guzdrzących się dziennikarzy opuściło salę, sędzia zwrócił się do mnie.

– Wie pani doskonale, pani Tramel, że jestem człowiekiem cierpliwym – oznajmił. – Niech nam pani oszczędzi czasu, którego nie mamy, i powie, co robiła dziś w domu sędzi Huarte.

Na wypadek gdyby w jakiś tajemniczy sposób pojawiło się zdjęcie, na którym widać, jak wychodzę od Huarte, a przede wszystkim dlatego, że byłam przekonana, że Barver zna wszystkie szczegóły, pokazałam kopertę, którą dała mi rano Paloma, i wyjęłam z niej przezornie włożone przez nią kserówki. Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że lepiej nie łączyć wizyty u sędzi z procesem; było to niezgodne z przepisami i mogło mi przysporzyć kłopotów.

– Wysoki Sądzie – powiedziałam skruszonym tonem – ja także proszę o wybaczenie, ale nie chciałam niepokoić sądu w sprawie, która nie ma żadnego związku z procesem. Nie łączą mnie z sędzią śledczą żadne relacje, ani osobiste, ani innego rodzaju. Korzystając z tego, że dzisiejsza rozprawa zaczęła się później niż zwykle, postanowiłam odwiedzić panią Huarte i poprosić ją o pomoc w związku z procesem, który czeka mnie w przyszłym miesiącu i w którym wystąpię w roli oskarżonej. Postawiono mi niesłuszny zarzut fałszowania oficjalnych dokumentów, o czym dowiedziałam się w jej obecności. Chciałam zapytać, czy mogłabym poznać nazwisko osoby, która złożyła na mnie doniesienie, ale oczywiście sędzia odesłała mnie do sądu i wręczyła mi te oto fotokopie Kodeksu karnego. Chyba chciała dać mi tym

samym do zrozumienia, że nie mamy o czym rozmawiać. To, że doszło do tego spotkania akurat teraz, może budzić podejrzenia, zapewniam jednak, że nie miało ono absolutnie żadnego związku z tym procesem. Postąpiłam niewłaściwie, jeszcze raz proszę Wysoki Sąd o wybaczenie.

Barrios nie wyglądał na przekonanego, ale nie miał ochoty drążyć tematu. Uznał sprawę za zamkniętą. Powtórzył to, co mówił nam już wielokrotnie: że wierzy wszystkim prawnikom reprezentującym sądownictwo i że nie ma powodów wątpić w moje słowa, nawet jeśli logika podpowiada mu, że to zbyt duży zbieg okoliczności. Można było pozazdrościć mu spokoju – sędzia i jego sumienie zasypiali na pewno co wieczór snem sprawiedliwego.

– Ostatnia sprawa, zanim będę mógł życzyć państwu miłego weekendu – oznajmił. – Obrona złożyła wniosek o powołanie nowego świadka, który nie figuruje w aktach. Mecenasiu, proszę wyjaśnić nam powody takiej decyzji.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – powiedział Jordi Barver pokornym tonem i pokazał kartkę z pieczętką swojej kancelarii. – Wnioskujemy o powołanie na świadka pani Conchy Andújar.

Aż podskoczyłam i odruchowo odwróciłam głowę w stronę Conchy, która siedziała nieporuszona na ławce w głębi sali. Obie liczyłyśmy się z taką możliwością. Należało się teraz zastanowić, jak złagodzić wrażenie, które ta wiadomość miała zapewne zrobić na przysięgłych. I oczywiście na Helenie.

– Dzięki uprzejmości prokuratury – ciągnął Barver – uzyskaliśmy dostęp do akt sprawy o znęcanie, wniesionej przez panią Andújar, i ku naszemu zdumieniu odkryliśmy w jej zeznaniach informację o pozamałżeńskich stosunkach, jakie utrzymywała z Alejandrem Tramelem. Chcemy ustalić, jaki wpływ mogły mieć te relacje i spotkania na stan ducha ofiary, a tym samym na jego decyzje dotyczące gry, a nawet odebrania sobie życia. Uważamy, że jest to kluczowe odkrycie, które pomoże nam rzucić światło na nieznaną dotąd aspekty charakteru pana Tramela, takie jak jego stosunek do rodziny, wierności czy zobowiązań. Dziwi nas, że oskarżenie nie poinformowało sądu o tym fakcie. Obecna na sali pani Andújar jest współpracowniczką kancelarii, która prowadzi sprawę, i na pewno ma świadomość konsekwencji, jakie to może za sobą pociągnąć.

– Rozumiem – powiedział po chwili namysłu Barrios. – Mam nadzieję, że żadne z państwa nie ma nic przeciwko powołaniu nowego świadka.

Wszyscy – ze mną włącznie – odpowiedzieli milczeniem. Nie miało sensu się sprzeciwiać. Było oczywiste, że Concha musi złożyć zeznania.

Piąty dzień procesu dobiegł końca. Gdy tylko opuściliśmy halę, Sofía pierwsza zaproponowała coś, co równie dobrze mogło wyjść ode mnie albo od Conchy:

– Trzeba porozmawiać z Heleną.

– Ja to zrobię – oznajmiła Concha.

– Jesteś pewna? – zapytałam. – Może lepiej będzie, jeśli najpierw załagodzę trochę sprawę.

– Ma prawo być na mnie obrażona – odparła. – Nie będę się ukrywać. To tylko pogorszyłoby sytuację.

– Może przynajmniej będę obecna przy waszej rozmowie? – zaproponowałam.

Concha przez chwilę się wahała.

– Gdybym przespała się z twoim mężem – powiedziała, patrząc mi prosto w oczy – co byś wolała: dowiedzieć się tego ode mnie czy od kogoś innego?

– Gdybyś to zrobiła – odrzekłam – a potem mój mąż powiesiłby się w celi, po prostu wolałabym nie wiedzieć.

Zagiął rogi obu kart i delikatnie je odchylił, przyglądając im się uważnie i jednocześnie zakrywając je drugą ręką, tak żeby nikt nie mógł ich zobaczyć. Jego twarz nie zdradzała najmniejszego zadowolenia ani rozczarowania; skupiony był całkowicie na tych dwóch kartach. Nie rozpraszało go ani halogenowe oświetlenie, ani powietrze wypełnione dymem, ani wypowiedane gdzieś w głębi komentarze, ani spojrzenia osób czy to siedzących przy stole, czy przechodzących w pobliżu.

– Zwróć uwagę: ma niebieską twarz – szepnął Muveg, który, jak mi powiedział, tego wieczoru pełnił funkcję kasjera. – To nie efekt światła. Stary jest pusty w środku. Przeszedł tyle operacji, że nie ma już żadnego własnego organu. Dlatego jest taki niebieski. Przysięgam.

Skórę miał jak nie z tego świata, niemal przezroczystą. Gonzalo Arrate przypominał raczej ducha, który wyszedł z upiornych mokradeł, niż posiadacza jednej z największych fortun w Hiszpanii. Ścisnął karty, jakby ktoś miał mu je zaraz wyrwać. Jak dowiedziałam się od M., tego wieczoru w willi w La Fince zebrali się kilku największych hiszpańskich bogaczy – co najmniej sześciu z nich było właścicielami potężnych spółek działających w sektorach takich, jak energetyka, turystyka, bankowość czy rozrywka. Wcale jednak na takich nie wyglądali. Czułam się raczej tak, jakbym trafiła na zjazd absolwentów albo spotkanie weteranów wojennych. Średnia wieku przekraczała sześćdziesiątkę. Żadnego zbytku i luksusu, których można się było spodziewać po partii pokera rozgrywanej w takiej posiadłości. Wszyscy tłoczyliśmy się w olbrzymiej kuchni. Mieliśmy surowy zakaz wchodzenia do innych pomieszczeń, nie licząc znajdującej się za rogiem toalety i tarasu, na który prowadziły przeszklone, przesuwne drzwi.

Arrate powtórzył ze sto razy, że jego młoda żona zamorduje go, jeśli się dowie, że pod jej nieobecność zorganizował w domu kolejną partię. Prawdopodobnie bardzo liczył się ze zdaniem tej kobiety, o której mówił jednocześnie ze strachem i z uwielbieniem. Gracze siedzieli przy owalnym

stole. Po przeciwnej stronie gigantycznej kuchni (zmieściłoby się w niej całe moje mieszkanie) znajdowały się blat i piekarnik. W partii uczestniczyło ośmiu mężczyzn – przed każdym leżał pokaźny stos żetonów – wśród nich Friman, który mnie tu przyprowadził. Przedtem ostrzegł mnie, żebym nie dała się zwieść pozorom, że nie będzie to zwykłe spotkanie zgnuśniałych krezusów, którzy jedzą, piją i dla zabicia czasu rozgrywają niewinną partyjkę. Najprawdopodobniej tej nocy wielu z obecnych miało wygrać lub stracić po kilkadziesiąt tysięcy euro. Muveg siedział przy blacie na wysokim taborecie, mając przed sobą zamkniętą walizeczkę wypełnioną różnokolorowymi nieponumerowanymi żetonami. Wystarczyło, że któryś z mężczyzn podniósł rękę i rzucił „pięć tysięcy” albo „dziesięć tysięcy”, a kasjer pospiesznie wyciągał z walizeczki odpowiednią liczbę żetonów, zanosił ją graczowi i zapisywał w notesie nazwisko. Wszystko działało w bardzo prymitywny sposób. Prawdopodobnie nie chcieli zostawiać żadnych elektronicznych śladów.

W tym samym czasie potężny brodacz przepasany fartuchem gotował coś na kuchni. Jego twarz wydała mi się znajoma, ale skojarzyłam go dopiero, kiedy jakiś gość w ciemnozielonym garniturze zawołał:

– Obregón, do cholery, zostaw już te pieprzone pulpety i wracaj do stołu.

To on występował w telewizji publicznej, gotując zdrowe dania, które każdy mógł przyrządzić sobie w domu. Sławny kucharz z Murcji, właściciel sieci restauracji, a nawet czasopisma ze swoim nazwiskiem w tytule i własną twarzą na okładce.

– To nie są pulpety. Że też zawsze trzeba wam wszystko tłumaczyć – zaprotestował brodacz, mieszając sos w ogromnym garnku. – W życiu nie próbowaliście takiego mięsa. Zobaczycie, skurczybyki, jak będziecie się nim potem zajadać.

– Zostaw to dzieciakowi i chodź poszastać trochę gotówką – ciągnął mężczyzna. – Bez ciebie jest strasznie nudno.

– Już, już – odpowiedział Obregón, który zdawał się traktować swoją misję przy garach jak sprawę życia i śmierci.

Obok niego stał młody chłopak i pomagał mu kroić cebulę.

Brakowało tylko Ignacia Cimadevilli. Posłuchałam Frimana i trzymałam się na uboczu. Usiadłam przy Muvegu, który tego wieczoru był moim

jedynym rozmówcą. Kto by pomyślał. Miał na nosie nieodłączne okulary i mówił z lekkim wschodnim akcentem, który pojawiał się i znikał w zależności od potrzeb. W zasadzie nie był to akcent, raczej ton głosu.

Trudno było pozostać niezauważoną w tej kuchni. Jako jedyna kobieta, której na dodatek nikt nie znał, budziłam zainteresowanie. Blizny na twarzy też nie pomagały mi wtopić się w tło. Nikt mnie jednak o nic nie pytał, weszłam z Argentyńczykiem i koniec. Pewnie każdy miał na mój temat własną teorię. Partia rozpoczęła się o dwudziestej trzeciej i, jak wyjaśnił mi Friman, nie miała się skończyć o żadnej konkretnej godzinie. Przewidywano, że w zależności od przebiegu potrawa pewnie do świtu. Friman dodał, że żona miała wrócić w poniedziałek po południu, a do tego czasu nie pozostanie nawet śladu po tym, co działo się w willi. Ponoć nieraz siedzieli tu zamknięci przez trzy dni, w ogóle nie wychodząc, ale ostatnio gospodarz nie sprzyjał takim pomysłom, chyba że dużo stracił, wtedy kazał większości grać dalej, żeby się odkuć. Zazwyczaj jednak działo się dokładnie na odwrót: przepuszczał jeszcze więcej pieniędzy. Według Frimana podczas takiej kilkudniowej partii rozgrywanej w poprzednią Wielkanoc Arrate przegrał ponad trzysta tysięcy. Mimo kolosalnych strat gość nadal traktował te partie jak spotkania starych znajomych. Dlatego w grze nie mogli uczestniczyć zawodowcy, choć oczywiście dopuszczano wyjątki.

Spojrzałam na duży zegar w kształcie mapy świata, wiszący na ścianie w kuchni: pierwsza dwadzieścia. Jeżeli Friman miał rację, partia dopiero się rozkręcała. Arrate przesunął kilka żetonów na środek stołu. Facet po jego lewej stronie zrobił to samo. Pewnie miało to jakieś znaczenie – dla mnie niejasne. Argentyńczyk czekał na swoją kolej i podniósł stawkę, wykładając na środek sukna więcej krążków.

– W co dokładnie grają? – zapytałam ściszym głosem.

Muveg spojrzał na mnie zdziwiony.

– Texas Hold'em no limit – odpowiedział. – Rolls-royce pokera. Podczas mistrzostw świata gra się właśnie ten wariant.

– Nie wiedziałam, że są jakieś mistrzostwa świata.

– Odbywają się co roku w lipcu w Las Vegas. Zwycięzca może zgarnąć nawet dziesięć milionów dolarów.

Popatrzyłam na niego, próbując odgadnąć, czy się ze mnie nie nabija.

Suma wydała mi się przesadzona. Odpowiedział mi obojętnym spojrzeniem: jeśli mu nie wierzyłam, to moja sprawa.

– Dość już tych pogaduszek, daj mi lepiej osiem tysięcy – przerwał nam Friman swoim niskim głosem, ze złością rzucając na stół odwrócone karty; przegrał rozdanie i nie wyglądał na zbyt zadowolonego. – Zawsze to samo, Gonzalo. Jesteś w czepku urodzony.

Arrate zgarniał wygrane żetony, dzielił je według kolorów i układał przed sobą w stosiki, mlaskając niemal ze szczęścia.

– Kto nie ryzykuje, nie pije szampana – odpowiedział chełpliwie. – Obregón, przygotuj dodatkową porcję dla Argentyńczyka, wiesz, że kiedy przegrywa, potrafi wszamać dwa kilo pulpetów.

Rozległy się donośne śmiechy. Dziwnie było słyszeć takie teksty z ust wielkich przedsiębiorców, którzy co roku podejmowali decyzje dotyczące setek milionów albo miliardów euro. Zachowywali się jak banda nastolatków, którzy spotkali się na partyjce pokera, korzystając z tego, że rodzice wyjechali na weekend. Wyglądali groteskowo. I używali słownictwa poniżej wszelkiego poziomu.

– Takie szczęście może oznaczać tylko jedno, Arrate: twoja żona robi cię ostro w chuja – rzucił kucharz, który nadal stał przy kuchni.

Arrate zamiast się obrazić, wybuchnął śmiechem.

– Daj mi się nacieszyć – powiedział z sarkazmem. – Jeżeli miałbym wygrywać przez całą noc, co do mnie, może przelecieć ją cały pułk, nie jestem zazdrosny.

Kolejne gromkie śmiechy, kolejne docinki i kolejne seksistowskie komentarze. Kiedy zaspokoiliam już czysto antropologiczną ciekawość, poczułam mdłości. Musiałam ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć czegoś do słuchu tym wodzom narodu. Wstałam i poszłam w stronę przeciwległego krańca kuchni.

– Przewietrzę się trochę – powiedziałam, nie zatrzymując się.

Otworzyłam drzwi prowadzące na taras i wyszłam odetchnąć. Wolałam nieznośny upał od zadymionego powietrza w kuchni.

– Zamknij za sobą – rzucił Obregón. – Mamy włączoną klimę.

Za mną pojawiła się chmura dymu, która wydostała się z kuchni i uniosła

w stronę ołowianego nieba nad moją głową. Sprawdziłam, czy dokładnie zamknęłam drzwi. Znalazłam się na trzydziestometrowym mniej więcej podejściu z dwoma fotelami i marmurowym stołem, z którego wchodziło się szerokimi schodami na taras. Drogę wskazywały lampki między roślinami po obu stronach. Weszłam po dwudziestu dwóch stopniach, potem przeszłam pod starym drewnianym łukiem obrośniętym bluszczem, za którym rozciągał się olbrzymi teren – pewno główny taras rezydencji. Z góry nie padało żadne światło. Dyskretne lampki oświetlały całość z różnych zakątków.

To nie był zwykły taras. Nad nim rozciągał się gigantyczny rozsuwany dach, o tej porze otwarty. Pod gołym niebem stały dziesiątki klasycznych rzeźb szarawego koloru, przedstawiających naturalnej wielkości postacie mężczyzn i kobiet w różnych pozach: spoglądających w niebo, z wyciągniętymi rękami, powykręcanych, wyprostowanych. Wszystkie postacie były raczej atletyczne, wszystkie miały też jakieś niewykończone detale, kończyny czy rysy twarzy, jakby celowo zostały wyrzeźbione topornie. Nie stały chyba w jakimś określonym porządku i nie istniał między nimi żaden związek. Przechodząc, musnęłam kilka z nich; kamień nie był zimny, a jego twarda, szorstka powierzchnia okazała się przyjemna w dotyku. Uznałam kolekcję za przejaw ekscentryczności właściciela. Był to rodzaj prywatnego muzeum o szczególnej wymowie estetycznej, nie do końca oddającej charakterystyczny dla Arrate zły gust. Spacerowałam dalej w labiryncie tego mrocznego lasu kamiennych posągów.

– Co się stało z laską?

Zza jednej z figur wychynął Moncada. Nie wiedziałam, jak się tu znalazł: śledził mnie, czekał na tarasie już od jakiegoś czasu czy też dostał się tu inną drogą. Nie zdziwiłam się na jego widok; poczułam raczej coś w rodzaju smutku. W innych okolicznościach – a może w innym życiu – mógłby być dla mnie kimś ważnym, a nie jedynie groźną zjawą.

– Dodawała ci dystynkcji – podkreślił. – Dawno cię z nią nie widziałem.

– Już jej nie potrzebuję – odpowiedziałam. – Radzę sobie bez niej.

– Cieszę się.

Moncada podszedł do mnie powoli. Był ubrany po cywilnemu. Jeżeli przyszedł grać, niestosowne byłoby pokazywanie się w mundurze.

– Przykro mi z powodu tego, co działo się w sądzie – oświadczył. –

Musiałem powiedzieć, że widziałem, jak wychodzisz z domu sędzi. Jechałem z kolegą z koszar. Gdybym to zataił, mógłbym mieć problemy.

– Rozumiem.

Za każdym słowem, które wychodziło z naszych ust, kryło się kłamstwo. Wszystko, co mówiliśmy, znaczyło tak naprawdę coś innego, nasze relacje zamieniły się w pole minowe, po którym należało stąpać ostrożnie, żeby nie wylecieć w powietrze. Jeżeli się nad tym zastanowić, może od początku tak było, tylko ja odkryłam to za późno.

– Partia zaczęła się już jakiś czas temu – zauważyłam.

– Wiem – odparł. – Nie po to tu przyszedłem. Skromna pensja funkcjonariusza nie pozwala mi rywalizować z tymi krezusami.

Przed oczami stanął mi obraz porucznika siedzącego z innymi przy stole w willi Argentyńczyka. Może tym razem stawki rzeczywiście były wyższe, mimo to zdziwiłam się, że nie zamierza rozegrać kilku rozdań.

– Każdy zna swoje ograniczenia – powiedziałam cicho.

– Tęsknię za tobą – rzucił znenacka.

Cofnęłam się instynktownie – zaledwie o kilka centymetrów, ale wystarczyło, żeby zauważył. Moje ciało odpowiedziało w moim imieniu.

– Nie wierzę, że przyszedłeś, żeby mi to oznajmić – odparłam, próbując się jakoś wyplątać.

– Oboje wiemy, że nie. Podobnie jak ty, jestem tu z innego powodu. Co nie znaczy, że wciąż czegoś do ciebie nie czuję.

Przez chwilę wytrzymałam jego spojrzenie. Miałam ochotę zapytać go wprost, czy to on. Czy to on pobił mnie tamtej nocy w garażu. Nie chciałam pewności ani dowodów, chciałam usłyszeć, jak to mówi, a raczej jak temu zaprzecza, jak mnie zapewnia, że to pomyłka, że tamci – Friman i M. – są w błędzie. Chciałam, żeby objął mnie w talii i pocałował, żeby wszystko inne przestało się liczyć.

Instynkt przetrwania kazał mi milczeć. Nie zapytałam go o incydent. Ani oczywiście nie podeszłam do niego bliżej.

– Będziemy tak tu stali przez całą noc? – zapytałam wreszcie, podnosząc wzrok.

– Oczywiście, że nie – powiedział. – Czekają na ciebie.

Odwrócił się i ruszył przed siebie pewnym krokiem, jakby bywał tu już wcześniej nieraz. Postanowiłam pójść za nim. Nie miałam nic do stracenia, uznałam, że w domu Arrate nic mi nie zrobi.

Weszliśmy po schodach jeszcze wyżej i znaleźliśmy się w czymś w rodzaju altanki ze szklanym sklepieniem. Na okrągłej ławce siedział jakiś mężczyzna w ciemnym ubraniu. Rozmawiał przez telefon. Moncada zatrzymał się i gestem poprosił, żebym podeszła. Zrobiłam tak, o nic nie pytając. Mężczyzna nadal trzymał komórkę przy uchu. Nie przerywając rozmowy, spojrzał na mnie oczami ledwie widocznymi wśród zmarszczek na twarzy naznaczonej upływem czasu, a także – choć nie mogłam stwierdzić tego na pewno, może tak mi się tylko zdawało – melancholią.

Moncada nie musiał nas sobie przedstawiać. Każde z nas doskonale wiedziało, kim jest to drugie.

Usiadłam naprzeciwko i przez kilka chwil oboje milczeliśmy. Czarna koszula od Etra, złoty zegarek, idealnie ostrzyżone włosy, niemal białe, a zwłaszcza pokryta zmarszczkami twarz, nie pozwalały określić wieku. Uznałam, że musi być po czterdziestce i mieć wiele za sobą. Był chudy, ale nie wyglądał na człowieka wyniszczonego. Powiedział do słuchawki coś, czego nie zrozumiałam, po czym się rozłączył.

– Myślałem, że będę musiał siedzieć tu przez całą noc – bąknął pod nosem.

Mówił dość cicho; musiałam wytężyć słuch, żeby łowić słowa. W pewnym sensie, jeśli chodzi o głos, był przeciwieństwem Frimana. Można było powiedzieć, że Ignacio Cimadevilla nie tyle mówi, co szepcze.

– Nie wiedziałam, że pan tu jest – odezwałam się naturalnym tonem.

– Gonzalo to mój dobry przyjaciel. Z powodu całego zamieszania, jakie wybuchło wokół procesu, wolałem zatrzymać się na kilka dni w jego domu.

– Szukałam pana.

– Wiem.

Rozejrzałam się – Moncada zniknął. Siedząc pod tym sklepieniem, przez które widać było rozgwieżdżone niebo, miałam wrażenie, że jesteśmy sami na świecie. Do moich uszu docierał jedynie odległy szum samochodów na autostradzie.

– Przed rozmową z panią musiałem się spokojnie zastanowić i podjąć pewne decyzje – wytłumaczył. – Teraz jestem do pani dyspozycji. Od czego chce pani zacząć? Czego pani ode mnie oczekuje?

Tego się nie spodziewałam. Myślałam, że będę musiała użyć całej swojej siły perswazji, żeby nakłonić go do rozmowy, że będzie się opierał; liczyłam się nawet z tym, że wyrzucą mnie stąd na zbity pysk. Ale nie, wydawało się, jakby na mnie czekał, chciał, żebyśmy go odnalazła. I chyba tak właśnie było.

Pomyślałam, że to zbyt nieprawdopodobny zbieg okoliczności, że M. trafił na jego trop akurat kilka dni przed terminem składania przez niego zeznań.

– Może powinniśmy odwrócić pytanie – odpowiedziałam. – Czego pan oczekuje ode mnie? Zarzucił pan przynętę, a ja ją mocno złapałam, nie sądzi pan?

Przesunął językiem po zębach – albo nie spodobała mu się moja odpowiedź, albo poważnie się zastanawiał, czy nie dać mi jakiejś nauczki. Jeżeli kiedykolwiek się uśmiechał, musiało to być bardzo dawno temu – jego twarz wydawała się wyrzeźbiona w kamieniu, spojrzenie było skryte, podejrzliwe, poważne. Nie chciałam sobie nawet wyobrazić, jak wyglądały spotkania współników z udziałem jego i Santonjy; musiało to być zabawne.

– Zrobimy tak – odpowiedział swoim bezbarwnym tonem. – Pani zapyta, o co zechce. Ja odpowiem na każde pytanie. Oczywiście nieoficjalnie, później zaprzeczę, jakobym cokolwiek wyznał. Ale tej nocy ma pani swoją szansę. Wierzę, że nie przyszło pani do głowy nagrywać naszą rozmowę. Taki brak zaufania zerwałby więź, która się między nami wytworzyła.

– Cóż to za więź?

– Taka, na której oboje skorzystamy. Jak już mówiłem, odpowiem szczerze na wszystkie pani pytania, bez zastrzeżeń.

– A w zamian?

– A w zamian pani pomoże mi w pewnej delikatnej sprawie. Obiecuję, że oboje dobrze na tym wyjdziemy.

– Nie będę panu w niczym pomagać. Przeciwnie, postaram się wyciągnąć od pańskiej firmy milionowe odszkodowanie i uzyskać wysokie kary, żeby powstrzymać wasze nieuczciwe praktyki.

– Świetnie.

– Co świetnie?

– To, co powiedziała pani o odszkodowaniu i karze.

Spojrzałam na niego podejrzliwie: najwyraźniej ze mną igrał. Ciekawa byłam, do czego zmierza.

– W jakiej delikatnej sprawie potrzebuje pan mojej pomocy?

– Otóż, choć pewnie mi pani nie uwierzy, jestem po pani stronie.

W kasynie w Robredo działy się złe rzeczy, mam tego pełną świadomość. I ktoś musi za to zapłacić.

– Oczywiście tym kimś nie będzie pan.

– Powiedzmy, że reprezentuję grupę wspólników Gran Castilli, którzy chcą oczyścić wizerunek firmy i zacząć od zera. Jesteśmy tymi dobrymi, proszę mi wierzyć.

W mojej głowie powoli klarował się obraz sytuacji. Ignacio Cimadevilla chciał przejąć władzę w firmie. Ukrywał się przez cały ten czas nie dlatego, że miał wyrzuty sumienia, ale dlatego, że starał się zyskać poparcie innych udziałowców i obmyślał strategię mającą na celu przejęcie sterów. Dopiero kiedy zapiął wszystko na ostatni guzik, kiedy znalazł się na wygranej pozycji, wyszedł z ukrycia, gotów udzielić mi informacji.

– Bardzo wam daleko do tych dobrych – powiedziałam. – Nawet jeżeli nie aprobujecie wszystkiego, co robią osoby zajmujące obecnie kierownicze stanowiska, mówimy przecież o firmie, która bogaci się kosztem choroby i słabości innych.

– Gracze na ogół nie są chorzy. To zupełnie zdrowi ludzie, którzy doskonale wiedzą, co robią, i dobrowolnie decydują się wydawać pieniądze na grę. Równie dobrze mogliby je przepuścić na coś innego, na podróż czy jakiś nocny *show*. Przyznaję, powinniśmy szczególnie uważać na osoby mające problemy z hazardem. Zlikwidujemy kredyty w naszych lokalach, zabronimy dzwonienia i wysyłania prywatnych wiadomości do klientów i za pośrednictwem fundacji wesprzemy programy bezpiecznej gry i zapobiegania uzależnieniu od hazardu. My jesteśmy inni. Powtarzam, jesteśmy tymi dobrymi.

– Gdybyście rzeczywiście chcieli być inni, zamknęlibyście kasyno i wszystkie strony internetowe oferujące zakłady bukmacherskie.

– Nie zamierzam pani oszukiwać – odpowiedział. – Chcemy zarabiać pieniądze. Mówię tylko, że nie będziemy robić tego za wszelką cenę. Na tym właśnie polega różnica między obecnym kierownictwem a grupą, którą reprezentuję.

– Szykuje się pan do zamachu stanu w firmie.

– To zbyt wielkie słowo. Szykuje się do przejęcia kontroli nad spółką,

która pod wieloma względami zbczyła z kursu i została pozwana. To się stanie, z pani pomocą czy bez niej.

– Do czego jestem panu potrzebna?

– Choć kierują mną inne pobudki, chcę tego samego, co pani: głowy Emiliana Santonjy.

Wyglądało na to, że ukryty wspólnik wreszcie pokazał prawdziwą twarz. Może nadszedł moment, żeby wykorzystać szansę, którą mi stwarzał.

– Skoro jest pan tak pewien swoich racji, nie rozumiem, do czego potrzebuje pan mojej pomocy.

– Po prostu razem moglibyśmy wszystko przyspieszyć.

– Mnie się nie spieszy.

– Owszem, spieszy. Do zakończenia procesu pozostało kilka dni. A ława przysięgłych nie jest po pani stronie. Nawet sędzia nie jest. Dużo pani zrobiła. Walczyła pani zaciekle. Pokazała pani pazur i szczere oburzenie. Ale żeby wygrać, potrzebuje pani czegoś więcej.

– Byłby pan gotów zeznawać w sądzie przeciwko Emilianowi Santonja?

– Nie mogę. Gdybym to zrobił, straciłbym zaufanie reszty wspólników. Muszą postrzegać mnie jako jednego ze swoich. Proszę pamiętać, że oficjalnie nadal będę po ich stronie.

– W takim razie co?

– Powtarzam, powiem pani całą prawdę. Absolutnie wszystko. Ale tutaj, nie w sądzie. Potem zastanowi się pani, jak tę wiedzę wykorzystać.

– Nie uwierzy pan, jaka byłem naiwna: myślałam, że nie daje pan znaku życia, bo ma pan wyrzuty sumienia, bo chce pan uwolnić duszę od ciężaru, jakim jest świadomość tego, co zrobiła pańska firma.

– Jeżeli pani woli, może tak pani nadal myśleć, różnica jest w gruncie rzeczy niewielka.

– Skoro pan tak twierdzi.

Zaczęłam podejrzewać, że prawdziwa partia rozgrywa się tu, w tej altanie, a nie na dole w kuchni. Byłam przekonana, że Arrate ma świadomość, co dzieje się w jego rezydencji, i doskonale wie, kim jestem. A skoro pozwolił mi na spotkanie z Cimadevillą z dala od niedyskretnych spojrzeń, to może

sam miał jakiś udział albo interes w tym, co stanie się z firmą. Wszystko to wyglądało na część jakiejś wielkiej biznesowej układanki. Gra toczyła się o duże pieniądze. Mieli nade mną ogromną przewagę; może mimo wszystko nie przygotowałam się do tej rozmowy tak dobrze, jak sądziłam.

– Postawmy sprawę jasno – powiedziałam. – Pan odpowie szczerze na wszystkie moje pytania. A w zamian za to ja...

– W zamian za to pani wykończy Santonję, nie pastwiąc się nad Gran Castillą. Nie proszę, żeby firma wyszła z procesu bezkarna, ale zrzuci pani największą odpowiedzialność na człowieka, nie na spółkę.

– W ten sposób pan pozbędzie się Santonjy i stanie na czele firmy.

– Niech pani się tylko zastanowi: zawsze będą istniały ośrodki gier, nie zmieni pani świata sama.

– Mamy go zmieniać razem? – zapytałam z ironią.

– Rozumiem, że może to dla pani zabrzmieć dziwnie, ale ma pani szansę sprawić, że ten kraj stanie się nieco lepszym miejscem, może nie bardzo, ale przynajmniej trochę. I choćby wydawało się to paradoksem, ja pani w tym pomogę.

– Mogę to przemyśleć?

– Może pani robić, co chce. Ale czas nagli. Albo załatwimy to teraz, albo nic to pani nie da.

– Nie lubię działać pod presją.

– Nie wywieram na panią presji. Daję szansę na wygranie procesu, który praktycznie pani przegrała. Zwracam tylko uwagę na coś oczywistego: nie ma czasu do stracenia.

Mogłam się założyć, że ten gość jest zdolny osiągnąć każdy cel, jaki sobie postawi. Niemal przekonał mnie, żebym oszczędziła Gran Castillę. W końcu wiedział, że desperacko szukam czegoś, czym mogłabym rozwalić łeb obecnemu prezesowi. Najprawdopodobniej chciał mnie wykorzystać, a potem w ten czy inny sposób wystawić do wiatru. Pomyślałam, że może świadomość tej zależności pozwoli mi uniknąć problemów. Stałam po grząskim gruncie – w ogóle nie znałam tego człowieka. On na pewno zdobył na mój temat wszelkie możliwe informacje, znał moje słabości, łącznie z uzależnieniem od tabletek i alkoholu.

Było jednak coś, czego o mnie nie wiedział, co siedziało głęboko w mojej głowie i czym z nikim się nie dzieliłam. Facet nie miał zielonego pojęcia, że podjęłam nieodwołalną decyzję: to miał być mój ostatni proces, zamierzałam nie poprowadzić już nigdy żadnej sprawy. Ostatnie miesiące uświadomiły mi, że jestem lekomanką, że nawet sama nie mogę sobie ufać. Postanowiłam, że kiedy to się skończy, już więcej nie założę togi. A skoro to miało być moje pożegnanie, byłam gotowa na wszystko. Mogłam bez zmrużenia oka okłamać, wykiwać, zniszczyć, kogo będzie trzeba – nawet osoby darzone przeze mnie szacunkiem – żeby tylko sprawiedliwości stało się zadość. A cóż dopiero zniszczyć takiego pozbawionego skrupułów łajdaka jak on.

– Zgoda, zaczynajmy.

– Jestem gotowy – odpowiedział.

– Ja też – mruknęłam. – Do dzieła. Porucznik Moncada pracuje dla pana?

Wyglądał na zaskoczony pytaniem. Pewnie się nie spodziewał, że zacznę akurat od tego.

– O ile wiem, porucznik Moncada pracuje dla wielu osób: dla państwa, dla Gwardii Cywilnej, czasami wykonuje też zlecenia dla Gran Castilli i jej pracowników, zwłaszcza dla Emilian Santonjy. Powiedzmy, że ostatnio pomaga również i mnie, w kwestiach dotyczących bezpieczeństwa i zdobywania informacji. Można powiedzieć, że jest podwójnym agentem. A raczej potrójnym.

– Czy kazał mu pan mnie śledzić i przekazywać sobie informacje o moich ruchach?

– Ależ skąd, mam inne sprawy na głowie. Jeżeli panią śledził, to na polecenie Santonjy. Albo sam z siebie.

Z jakiegoś powodu mu uwierzyłam.

– Jakie relacje łączą pana na dzień dzisiejszy z Heleną Kowalczyk?

– To skomplikowane.

– Ona zeznała, że płacił jej pan za seks. Nie wygląda to na zbyt skomplikowane.

– Można powiedzieć, że to niepełny opis tego, co nas łączyło – szepnął zmienionym głosem, jakby rzeczywiście trudno mu było o tym mówić. – Jeżeli chcemy trzymać się wyłącznie faktów, to prawda. Dawałem jej

pieniądze, a potem szliśmy do łóżka, jeszcze na krótko przed śmiercią Alejandra. Ale nie płaciłem jej za seks. Te dwie rzeczy nie były ze sobą bezpośrednio związane, chociaż mogło się tak wydawać.

– A jeżeli nie będziemy trzymać się faktów?

– Wtedy musiałbym powiedzieć, że byłem zakochany w Helenie.

Miałam wrażenie, że to słowo od dawna w nim pobrzmiwało, a teraz wydostało się na zewnątrz.

– Proszę posłuchać, nie lubię podniosłych deklaracji – ciągnął. – Uczucia często wprowadzają nas w błąd, każą nam wierzyć w coś, co nie istnieje. Jednak to, co było między mną a Heleną, to coś znacznie więcej niż wymiana płynów i banknotów. Zakochałem się w niej już na samym początku. To była miłość nieodwzajemniona; ona w irracjonalny sposób kochała Alejandra. Mnie traktowała jak azyl.

– Mój brat o tym wiedział?

– Alejandro nie miał o niczym pojęcia, Helena pilnowała, żeby się nie dowiedział. To by go zabiło. Obiecałem, że powiem pani wszystko. Zaproponowałem Helenie, żebyśmy uciekli razem. A ona się zgodziła.

– Kiedy to było?

– Jakies trzy miesiące przed śmiercią Alejandra.

– Ale przecież mówił pan, że kochała swojego męża. Mimo to chciała odejść z panem?

– Nie dawała już rady. Jej sytuacja była rozpaczliwa. Nie mieli z czego żyć. Małe dziecko. Mąż, który żyje tylko po to, żeby grać. Helena się bała.

– A pan?

– Byłem gotów zaopiekować się nią i chłopcem. Długo się zastanawialiśmy. Oboje mieliśmy wątpliwości, każde z innych powodów, ale myślę, że prawdopodobnie byśmy się zdecydowali.

– Dlaczego nie uciekliście?

– Zabójstwo Ponsa i samobójstwo Alejandra wszystko zmieniły. Po tym, co się stało, nie chciała ze mną więcej rozmawiać. Nie chciała o niczym słyszeć. Nie wiem na pewno, ale myślę, że czuła się winna. Postanowiłem uszanować jej żalobę i nie nalegałem. Szczerze mówiąc, wystraszyłem się

też, że mogą mnie powiązać z ofiarami. Kiedy złożyła pani pozew, ostatecznie się wycofałem. Więcej się nie kontaktowaliśmy.

Nadawało to nowy sens rozmowie, którą miała przeprowadzić z Heleną Concha (a może już przeprowadziła). Helena miała prawo czuć się urażona i skrzywdzona, ale ona też zdradzała.

– Groził pan Alejandrowi?

– Ma pani nagrania trzech rozmów telefonicznych, na których słychać, jak mu grozę.

– Dlaczego pan to robił?

– Przysięgam pani, że nigdy nie byłem zwolennikiem tych prywatnych telefonów. Ani do Alejandra, ani do żadnego innego gracza. Powiedziałem to, co powiedziałem, ze względu na Helenę.

– Nie jesteśmy w sądzie.

– Właśnie dlatego nie mam powodów, żeby kłamać.

– W porządku, załóżmy, że i w tej kwestii panu uwierzę. Wiedział pan, że Santonja i reszta wywierali naciski na Alejandra, że nie dawali mu spokoju?

– Oczywiście, że wiedziałem. Diabelska kombinacja. Z jednej strony bez przerwy mu grozili, bo nie chcieli, żeby przestał grać. A z drugiej naciskali na niego, żeby oddał im dług. Obie te rzeczy razem wzięte mogły doprowadzić tylko do jednego.

– Zrobił pan coś, żeby temu zapobiec?

– Nie.

– Dlaczego?

– To nie była moja sprawa. Wielu innych graczy jest w podobnej sytuacji.

– Poza tym było to panu na rękę. Planował pan przecież ucieczkę z Heleną – podsumowałam.

– Nie będę zaprzeczał.

– Zeznałby to pan na rozprawie?

– Już pani powiedziałem, że nie.

– W takim razie po co mi to wszystko?

– To już pani sprawa. Proszę zadawać właściwe pytania.

Powietrze stało nieruchomo. Było tak duszno, że ledwo się dało oddychać. Mężczyzna splótł dłonie, czekał. Musiałam trafić we właściwą strunę.

– Znał pan Miguela Ortiza?

– Wszyscy go znaliśmy. Był człowiekiem niezwykle gościnnym. Poczciwy facet, nigdy nie sprawiał problemów, wręcz przeciwnie, dla każdego miał jakieś miłe słowo. Wszyscy go lubili. Gdyby się nie poddał, dziś w nocy na pewno grałby na dole z resztą.

Nasze definicje słowa „podać się” znacznie się różniły – wolałam nie drażnić tego tematu.

– Wszyscy wiedzieli, że zabronił sobie wstępu do kasyna?

– Może nie wszyscy – opowiedział Cimadevilla z westchnieniem. Nie wyglądał na zaskoczonego, jakby nie zdziwiło go, że dysponuję tą informacją. – Ale zarząd, rzecz jasna, tak.

– W takim razie jak to możliwe, że jego nazwisko tyle razy pojawia się w rejestrze wizyt? Nikt nie obawiał się, że to się może tak skończyć?

– Błąd w systemie.

– Błąd, który może ich drogo kosztować.

– Na szczęście uległ przedawnieniu.

– Dadzą mi rejestr gości, jeśli o niego wystąpię?

– Będą musieli, ale nie dostanie go pani przed zakończeniem procesu. Jeśli chce pani poznać moje zdanie, nic pani na tym nie zyska. Najwyżej pokaże pani, jak bardzo jest uprzedzona do kasyna, ale z prawnego punktu widzenia to nie jest dowód, który miałby bezpośredni związek ze sprawą.

– Santonja też wie, że posiadam tę informację?

– Wszyscy przyjmują za pewnik, że nie wróciła pani z Teneryfy z pustymi rękami. Jest pani bardzo wytrwała. Barver w kółko powtarza, że nie wolno lekceważyć pani tylko dlatego, że nie stoi za panią duża kancelaria. Wzbudziła pani jego szacunek, a przynajmniej strach.

– Nie mogę powiedzieć, że nawzajem.

– Rozumiem.

Posługiwaliśmy się dziwnym kodem. Pojęcie prawdy nabrało nowego znaczenia – miałam wrażenie, że wystarczy odkręcić kurek, a prawda

popłynie strumieniem. Spróbowałam posunąć się krok dalej, nie miałam nic do stracenia.

– Gdyby był pan na moim miejscu, na czym by się pan skupił na tej ostatniej prostej?

– Nie jestem na pani miejscu. Chociaż niechętnie się pani do tego przyznaje, jest pani idealistką, ja zaś człowiekiem praktycznym. Przykro mi, nie potrafię pani odpowiedzieć.

– Jak mogę uzyskać dla nich wyrok skazujący?

– Nie będę pani uczył prawa, to pani jest ekspertką – mruknął. Niemniej zrobił dokładnie na odwrót. – Wszystko kręci się wokół nagrań: gdyby nie istniały, sąd nawet nie przyjąłby pozwu. To był dla pani dobry początek. Ale moim skromnym zdaniem to nie wystarczy. Nie wydaje mi się, żeby z tego powodu przysięgli stanęli po pani stronie, w każdym razie nie zdobędzie pani siedmiu głosów niezbędnych do uzyskania wyroku skazującego.

– Czego potrzebuję, żeby zdobyć te siedem głosów?

– Jak to się potocznie mówi, asa w rękawie.

– Będę z panem szczerą. Nie mam go.

– Wiem. Dlatego tu pani siedzi.

– Da mi pan tego asa?

– Dotrzyma pani swojej części umowy?

Zawieranie ustnych umów z mężczyznami, których ledwo znałam, stawało się dla mnie niebezpiecznym zwyczajem. Najpierw Iturbe. Potem Friman. A teraz Ignacio Cimadevilla.

– Do jakiego stopnia mam oszczędzić Gran Castillę? – zapytałam.

– Zostawiam to pani. Niech pani zaszkodzi firmie, ale tak, żeby mogła się podnieść i działać dalej.

– Tak potężny jest ten as?

– Proszę posłuchać, zaszła pani bardzo daleko. Dalej niż ktokolwiek inny. O ile mi wiadomo, przed panią jeszcze nikt nie stawił czoła przemysłowi hazardowemu w naszym kraju. I zrobiła to pani z zatrwającą przekonaniem. Mnóstwo ludzi czeka na wynik tego procesu, więcej, niż potrafi sobie pani wyobrazić. Nadszedł czas, by zebrała pani owoce swojej

pracy.

Gdyby diabeł we własnej osobie stanął przede mną i zaproponował mi pomoc w posłaniu Santonjy za kratki, bez wahania uścisnęłabym mu rękę. Może nie było to etyczne, ale nie pozostawili mi wyboru, przekraczając wszelkie moralne granice.

– Skoncentruję się na Emilianie Santonja – zgodziłam się. – Mam nadzieję, że będzie warto.

– Zapewniam panią, że to słuszna decyzja.

Ilekcio Cimadevilla otwierał usta, musiałam się bardzo wysilać, żeby usłyszeć, co mówi.

– Teraz pana kolej – powiedziałam.

– Przede wszystkim musi pani zrozumieć, że nie mogę wręczyć pani żadnego dokumentu; sama będzie musiała go pani zdobyć. Ale powiem pani, gdzie go szukać. Wie pani, kiedy są urodziny pani bratanka?

Pytanie zbiło mnie z tropu.

– Mam tę datę zapisaną gdzieś w pamięci, to było chyba jakoś na początku lata...

– Osiemnastego czerwca – przerwał mi. – Pewnie to prawda, co mówią, że dziecko zmienia całe życie i może sprawia, że człowiek staje się mniej egoistyczny.

– Zaraz się wzruszę.

– W dniu, w którym Martín skończył dwa lata, Alejandro Tramel zapisał się na terapię odwykową w Almie. Chciał porzucić dawne życie, wstydził się, że nie ma nic do zaoferowania swojemu synowi.

– Dokąd nas to prowadzi?

– Trzeba przyznać, że pod niektórymi względami stowarzyszenie jest zbyt rygorystyczne. W odróżnieniu od innych ośrodków prowadzących podobne terapie oferują pacjentom całodobową pomoc w wielu kwestiach, ale też stawiają szereg warunków pełnoletnim uczestnikom, którzy dobrowolnie zapisują się do programu. Jeżeli chętni ich nie spełnią, nie mogą kontynuować terapii.

– Znam je.

– Najważniejszym z nich jest pisemne zobowiązanie do unikania kasyna. Nagle wszystko zrozumiałam. Alejandro to zrobił. Oficjalnie.

– Osiemnasty czerwca – powtórzyłam na głos, dopasowując elementy układanki.

Przypomniałam sobie, jak Gabriel Brandariz podkreślił tę datę podczas naszego pierwszego spotkania w stowarzyszeniu. Miała znaczenie, które wtedy mi umknęło, dopiero teraz wyraźnie to zrozumiałam. Podał mi ją nie bez powodu. Była czymś znacznie więcej niż tropem: była kluczem, który mógł otworzyć ostatnie drzwi. Od dawna miałam go przed nosem, przynajmniej od pierwszej wizyty w Almie.

Ujęłam swoje myśli w słowa. Musiałam powiedzieć to na głos, chciałam to usłyszeć, chciałam, żeby twarz mojego rozmówcy potwierdziła, że właśnie o to chodzi.

– Na polecenie opiekunów z terapii odwykowej Alejandro zakazał sobie wstępu do ośrodków gier. Złożył wniosek do Krajowej Komisji do spraw Hazardu. Ktoś jeszcze o tym wie?

– Santonja wiedział od pierwszej chwili.

– Barver? Andermatt?

Skinął głową, potwierdzając moje przypuszczenia.

– Jest tylko jeden problem – powiedział, prostując lekko plecy, pierwszy raz od początku naszej rozmowy. – Tym razem nie było błędu w systemie. Usunięto wszystkie ślady.

– Wszystkie? – zapytałam zaniepokojona.

– Jak już mówiłem, odszukanie dokumentów i dowodów należy do pani.

Należało natychmiast wziąć się do roboty, o ile to możliwe, tej samej nocy. Spojrzałam na Ignacia Cimadeville. Jego oczy wydały mi się jeszcze mniejsze; nie sposób było stwierdzić, jaki mają kolor ani tym bardziej, co się w nich kryje.

– Dotrzymam mojej części umowy – powiedziałam na koniec. – Ale nie wykluczam, że jeżeli mi się uda i zostanie mi jeszcze trochę siły, któregoś dnia, może za kilka lat, wezmę się za pana.

– Będę na panią czekał.

M. pokręcił głową.

– Nic.

– Jesteś pewien? – zapytałam z niedowierzaniem.

Może Ignacio Cimadevilla mnie wykiwał, może się pomylił, może nie zgadzała się data. Dziwne, przecież nic by nie zyskiwał, podając mi fałszywe dane.

– Sprawdziliśmy po nazwiskach i po datach – powiedział M. – Nie ma mowy o błędzie.

Była sobota, godzina piętnasta, przez okna wpadało popołudniowe słońce. Siedzieliśmy sami w zamkniętym gabinecie. Sofía wróciła do siebie przejrzyć poniedziałkowe i wtorkowe zeznania. Concha pracowała z domu, chciała spędzić z dziewczynkami przynajmniej weekend. Helena i Martín byli na drugim końcu mieszkania. Westchnęłam, starając się dociec, o co w tym wszystkim chodzi.

– Może trzeba poczekać do poniedziałku, kiedy zostanie oficjalnie otwarte biuro rejestracji – zastanowiłam się na głos.

– Jak sobie chcesz – powiedział M., nie kwestionując mojej decyzji. – Ale musisz wiedzieć, że moje źródło jest całkowicie godne zaufania i że w poniedziałek usłyszysz dokładnie tę samą odpowiedź: w bazie Krajowej Komisji do spraw Hazardu nie istnieje żaden wniosek zakazujący samemu sobie wstępu do kasyna, złożony przez Alejandra Tramela.

– Nie mogę tego zrozumieć.

– Chętnie powiedziałbym ci co innego, ale tak jest.

– Po co Cimadevilla miałby mi mówić o czymś takim, skoro to nieprawda? – zapytałam. – Tylko niepotrzebnie tracił czas.

– Dałaś mu coś w zamian? Zdradziłaś mu jakąś ważną informację?

– Nie – powiedziałam, wzruszając ramionami. – Obiecałam, że pomogę mu w pewnej sprawie, ale skoro jego informacja jest nieprawdziwa, nasza umowa nie obowiązuje. Nic na tym nie zyska.

– Może chciał cię tylko sprawdzić, zobaczyć, jak daleko jesteś gotowa się posunąć.

– Nie, na pewno nie o to chodziło.

Wyjrzałam na plac. Nawet przy hermetycznie zamkniętym oknie czuć było panujący na zewnątrz upał, rosnącą temperaturę, która według wszelkich prognoz po weekendzie miała osiągnąć maksymalne wartości.

– Chcesz, żebyśmy zadzwonili po Conchę i Sofię? – zapytał. – Możemy też zawołać Helenę. A nuż wspólnie uda nam się dojść do jakichś wniosków.

– Zawsze miałeś alergię na spotkania w grupie, wymianę zdań, burze mózgów – rzuciłam. – Skąd nagle ten pomysł?

Popatrzył na mnie z ukosa.

– Starzeję się. Może dlatego nie podoba mi się to, co widzę. Ukrywasz przed swoją klientką i przed współpracownikami informację, która może oznaczać przełom w sprawie. Myślę, że branie na siebie całego ciężaru nie jest najlepszą strategią.

– Nie chodzi o to, że chcę wziąć na siebie całą odpowiedzialność czy że lubię mieć kontrolę nad sytuacją. Nie w tym rzecz. – Na chwilę zamknęłam oczy i wreszcie zdołałam wykrztusić: – Nie ufam im.

Te trzy słowa wydały się jeszcze ostrzejsze, kiedy wypowiedziałam je na głos. Nieprzyjemne uczucie, które mnie dręczyło, zamiast zniknąć, tylko się wzmoгло. M. zareagował ze spokojem, co jeszcze bardziej pogłębiło moją frustrację.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział. – Tego, kto nikomu nie ufa, na koniec inni zdradzają.

– Ufam tobie. Płacę ci, wykonujesz swoją robotę i znikasz. Z nimi jestem za bardzo związana emocjonalnie. Wołę na razie ich nie wtajemniczać. Poza tym ty i ja zawsze byliśmy samotnymi jeźdźcami, że tak powiem.

Detektyw pokręcił głową, jasno pokazując, że nie podziela mojego zdania. To prawda, że przez większość czasu walczyliśmy samotnie, ale też wcześniej nie musieliśmy mierzyć się z potężnym wojskiem.

– Czasy się zmieniają – powiedział.

Poprzeczną ulicą przejechał wóz strażacki na sygnale. Nie był to rzadki widok, jako że niedaleko mojego domu znajdowała się remiza. Pomyślałam, że przy tym upale syreny muszą wyć częściej niż zwykle.

– Jesteś pewna? – zapytał. – Jeżeli im o wszystkim opowiesz, może uda nam się coś wyjaśnić. I może sama poczujesz ulgę.

– To ma zostać między nami.

– Ty tu rządzisz. Usunę wszystkie wiadomości z komórki. Skoro to tajemnica państwowa, lepiej, żeby nie było śladów.

Na te słowa odwróciłam się i spojrzałam na M.

– Otóż to – powiedziałam.

– Co?

– Usunąć ślady – ciągnęłam. – Tak naprawdę usunąć wszystko.

– Nie rozumiem.

– Rejestr Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Usunęli wniosek Alego.

– Kto? Jak?

– Nie znam wszystkich odpowiedzi. Dodaj coś od siebie – powiedziałam.

– Przynajmniej zgadzasz się co do tego, że taki krok byłby możliwy?

– Modyfikacja oficjalnego państwowego rejestru czy usuwanie z niego informacji to poważna sprawa.

– Tak jak pozwalanie, żeby hazardzista, który formalnie zabronił sobie wstępu do kasyna, grał w kółko w twoim lokalu. Cimadevilla mnie uprzedzał: usunięto wszystkie ślady. Myślałam, że chodzi mu o wizyty Alego w kasynie, ale on mówił o Komisji. Dotarli do źródła.

– Jeżeli tak, mamy do czynienia z sytuacją odwrotną niż w przypadku Ortiza – podsumował M. – Są rejestry i masa świadków, którzy potwierdzą, że był stałym klientem, brakuje natomiast oficjalnego dokumentu poświadczającego, że zakazał sobie wstępu do kasyna.

– Tyle razy łamali prawo, że pewnie nawet nie zadrżała im ręka, kiedy usuwali dowody z elektronicznego archiwum ministerstwa.

Ogarniało mnie zdenerwowanie. Oczyma wyobraźni widziałam, jak mój

brat podpisuje wniosek zabraniający mu wstępu do kasyna. Widziałam też, jak Gran Castilla i może Barver kombinują, żeby pozbyć się tego dokumentu.

– To tylko domysły. Nie masz dowodów. Ani świadków.

– Mówisz jak sędzia.

– Mogę spróbować sprawdzić, kto ma dostęp do tych archiwów, jakie są zabezpieczenia i tak dalej, ale to oficjalne rejestry, trochę mi zajdzie...

Nagle usłyszeliśmy hałas dobiegający z małej łazienki przy gabinecie. Obydwoje ze zdziwieniem odwróciliśmy głowy.

– Kto tam jest? – wykrzyknęłam niepewnie.

Drzwi powoli się otworzyły i naszym oczom ukazał się nie do końca przytomny osiemnastolatek, drapiący się po pryszczatej twarzy.

– Przepraszam – powiedział Andrés. – Nie przeszkadzam?

– Co tam robiłeś? – zapytałam, hamując gniew. – A raczej, co robisz w moim mieszkaniu? Jest sobota. O ile dobrze pamiętam, wczoraj miałeś się wynieść. Co ja jestem, magnes, który przyciąga wszystkich nieszczęśników świata?

– Bo ja... – zaczął się tłumaczyć. – Chciałem wrócić do domu, ale nie czułem się dobrze, nie dałbym rady stanąć oko w oko z ojcem. Helena namawiała, żebym został, powiedziała, że jeżeli miałbym iść grać, to lepiej, żebym stąd nie wychodził, i że ty nie będziesz miała nic przeciwko temu.

– Tu ma chłopak rację – wtrącił M.

– Kurwa – mruknęłam. – I siedzisz tu zamknięty od wczoraj?

– Nie, przepraszam, przyszedłem wcześniej, nikogo nie było, nie czułem się dobrze i wtedy...

– Powtarzasz się – przerwałam mu. – Zadam ci dwa proste pytania. Pierwsze: przespałeś się z Heleną?

Odpowiedział dopiero po kilku przeciągających się sekundach.

– Nie.

– Dlaczego się wahasz?

– Powiem ci prawdę. Może i próbowałem, ale odprawiła mnie z kwitkiem. Westchnęłam, wyobrażając sobie tę scenę.

– Drugie pytanie: słyszałeś wszystko, o czym rozmawialiśmy?

Tym razem przerwa wydawała mi się nieskończenie długa.

– Słyszał – zawyrokował M.

– Tylko trochę – próbował się bronić Andrés. – Nie szpiegowałem, po prostu byłem w środku, a potem przyszliście i zaczęliście rozmawiać o Alejandrze i o tym samozakazie, no i chcąc nie chcąc, coś tam usłyszałem. Ale przysięgam, że będę milczał jak grób.

Popatrzyliśmy na siebie z M. Detektyw podniósł rękę do marynarki.

– Chcesz, żebym wpakował mu kulkę? – zapytał.

Chociaż nie mówił poważnie, takie zdanie usłyszane z ust M. wystraszyłoby największego chojraka.

– Nie wkręcajcie mnie – zaprotestował Andrés, lekko spocony.

– Myślisz, że ktoś cię wkręca? – zapytałam z powagą. – Poświęciliśmy tej sprawie wiele miesięcy, o mały włos nie przypłaciłam jej życiem, a ty uważasz, że trzymają się nas żarty?

– Przepraszam. Nic nie powiem.

– Jeżeli kulka w łeb to zbyt radykalne rozwiązanie – zasugerował M. swoim sardonycznym, niemożliwym do odczytania tonem – to przynajmniej moglibyśmy go związać i zakneblować, a potem zostawić tu na parę dni, aż wszystko się wyjaśni. Jak chcesz, będę przynosił mu wodę, żeby nie wykorkował. Robiłem to tyle razy.

Gdybym pozwoliła mu odejść, mógłby narobić nam kłopotów. Nie tylko opowiedziałby o wszystkim Helenie, ale też niewykluczone, że poleciałby z jęzorem do Santonjy, żądając, żeby ten z powrotem odkręcił mu kurek z pieniędzmi. Nie potrafił trzymać gęby na kłódkę. Chyba że udałoby nam się go naprawdę wystraszyć. Dobraliśmy się z M., jeśli chodzi o grożenie.

– Dlaczego miałabym ci uwierzyć, że niczego nie powiesz? – zapytałam, mierząc go wzrokiem.

– Bo daję słowo.

– Może coś wiarygodniejszego?

Udał, że się obraża, ale widząc, że nic to nie daje, powiedział:

– Bo wiem, gdzie jest wniosek Alejandra.

Trzeba przyznać, że przyciągnął naszą uwagę, nawet jeżeli tylko blefował.

– O czym ty mówisz? – zapytałam z niedowierzaniem.

– O samozakazie wstępu do kasyna, który Alejandro Tramel złożył w ministerstwie. Gadacie o nim od pół godziny. Wiem, gdzie może być.

Popatrzyliśmy na siebie wszyscy troje.

– Daruj sobie teatralne pauzy i wykrztuś to z siebie wreszcie – powiedział M.

– To znaczy, nie żebym go widział – zaczął się tłumaczyć – ale jestem prawie pewien. Alma ma duże archiwum z dokumentacją wszystkich uczestników terapii. Wnioski o samozakaz wstępu do salonów bingo i kasyn są trzymane w teczkach pacjentów.

– Wiesz, gdzie znajduje się to archiwum?

– Jasne, jestem bardzo wścibski – odparł z uśmiechem.

– Gdzie? – zapytałam niecierpliwie.

– W magazynie w piwnicy. Zamknięte na klucz i tak dalej.

– Idziemy – powiedziałam, sięgając po torbę.

– Zaczekaj, Ano – poprosił M. – Moim zdaniem to nie jest dobry pomysł, żebyś zakradała się na teren prywatny bez nakazu rewizji. Jeżeli naprawdę cię śledzą, ucieszą się, widząc, jak na ich oczach dokonujesz włamania. A jeśli nakryje cię policja, możesz mieć całą masę problemów, a nawet stracić prawo do wykonywania zawodu.

– Co proponujesz?

– Pojadę z chłopakiem po ten dokument, a ty zostaniesz tutaj i będziesz spokojnie studiować papiery czy co tam masz do zrobienia.

– W porządku – powiedział Andrés. – Stary i ja zajmiemy się tym.

– Jeżeli jeszcze raz nazwiesz mnie starym, istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że cię zastrzelę – odpowiedział detektyw. – I teraz mówię poważnie.

– Naprawdę nosisz pistolet? – zapytał chłopak z zaciekawieniem. –

Myślałem, że traci się pozwolenie na broń w momencie przejścia na emeryturę czy jakoś tak.

– Zaraz sam się przekonasz – odparł M. – Jeszcze jedno słowo, a wsadzę ci lufę do pyska.

Mogliby tak rozmawiać przez cały wieczór, pleść bzdury i sprzeczać się, który ma dłuższego. Podczas gdy oni oddawali się ulubionej rozrywce dziewięćdziesięciu procent mężczyzn, ja postanowiłam, że nie powierzę im szukania kluczowego dokumentu. Nie zamierzałam siedzieć z założonymi rękami, kiedy oni będą się dobrze bawić. To nigdy nie było w moim stylu. Czasy – jak powiedział M. – może i się zmieniły. Ja nie.

Spojrzałam we wsteczne lusterko, żeby sprawdzić, czy jedzie za mną jakiś podejrzany samochód, ale nawet jeśli ktoś mnie śledził, nikogo nie zauważyłam. Na ulicach panował niewielki ruch, był sobotni wieczór ostatniego sierpniowego weekendu w Madrycie, wiele osób przebywało jeszcze na wakacjach, inni wyjechali na parę dni za miasto. Nie licząc gwarne centrum – gdzie ruch był jak zawsze, w restauracjach, barach i na imprezach kulturalnych – wszędzie wyczuwało się spokój. Minęłam ulicę O'Donnella, zostawiając za sobą olbrzymi neon z reklamą sieci pizzerii, a potem duży parking na rogu. Nie włączając kierunkowskazu, skręciłam w prawo w wąską jednokierunkową ulicę. Spodziewałam się, że usłyszę klakson albo zobaczę gwałtownie skręcający za mną samochód. Nic takiego się nie stało. Rozejrzałam się na boki, ale nie dostrzegłam żadnego podejrzanego ruchu. Postanowiłam kontynuować plan. Objechałam niespiesznie cały kwartał, uważnie obserwując okolicę, i wróciłam w to samo miejsce, tuż za pizzerią, tyle że tym razem zamiast skręcić w uliczkę, wjechałam na parking.

Odebrałam bilet i zjechałam rampą na trzeci poziom, gdzie prawie nie było samochodów. Wsiadłam z auta i przeszłam dwadzieścia metrów, cały czas mając niewytłumaczalne wrażenie, że mimo wszystko ktoś mnie obserwuje. Zająłem miejsce w chevroletcie, który czekał z włączonym silnikiem przy wjeździe na wyższy poziom. Za kierownicą siedział M., a obok niego kłamiący wiecznie, uzależniony od hazardu młodzik. Bez słowa położyłam się na fotelu, tak żeby nie było mnie widać z zewnątrz. Detektyw wrzucił tylny bieg, wykręcił i ruszył w stronę drugiego wyjazdu od strony alei Bellerín. Milczeliśmy, dopóki po kilku minutach jazdy nie zaczęła mnie męczyć moja pozycja.

– Chyba usiądę – powiedziałam.

– Niedługo dojedziemy – mruknął M.

– Wejdziemy do budynku bez pozwolenia? – zapytał chłopak podniecony taką perspektywą.

– Nie ciesz się tak – odparłam. Opuściłam podłokietnik i usadowiłam się wygodnie. – Nie będziemy się nigdzie włamywać ani nie pobijemy żadnego stróża.

– Nie? – zapytał detektyw.

– Chyba nie ma stróża – powiedział Andrés.

– Tym lepiej – odparłam.

– Nie wiedziałem, że adwokatkę robią takie rzeczy – ciągnął rozemocjonowany chłopak.

– Nie robią – ucięłam.

Kiedy dotarliśmy pod siedzibę Almy, niedaleko stacji metra Campo de las Naciones, zegar w samochodzie wskazywał trzydzieści pięć minut po północy. Hala tonęła w ciemnościach, zewnętrzny parking był o tej porze kompletnie pusty. Zniknęły nawet wszystkie rowery. Nigdzie żywego ducha. M. zaparkował przodem pod samą ścianą – pewnie chciał ukryć samochód, co w przypadku gigantycznego wozu z napędem na cztery koła było raczej niemożliwe. Niczego nie słyszeliśmy ani nie widzieliśmy, mieliśmy przed sobą tylko zamknięte drzwi hali. Faktycznie wyglądało na to, że nie ma żadnego ochroniarza.

– Nie widzę kamer monitoringu, ale nie zdziwiłbym się, gdyby były – powiedział M. – skoro przechowują tyle poufnych dokumentów.

– Nigdy nie widziałem kamer – wtrącił Andrés.

– Co nie znaczy, że ich nie ma – zaznaczył detektyw. – Alarmem się nie przejmuję, myślę, że bez problemu go wyłączę. Ale kamery to inna sprawa.

– To tylko ośrodek terapii – powiedziałam. – Te dokumenty to nie żadne tajne archiwa ani nic takiego. Z tego, co wiemy, w środku nie ma wartościowych przedmiotów, więc nie widzę powodu, dla którego mieliby wydawać pieniądze na monitoring. Tak czy inaczej, zaryzykujemy.

– Zgoda – powiedział M., przejmując kierownictwo. – Zrobimy tak: wy zostaniecie w samochodzie, ja otworzę drzwi i wyłączę alarm, a kiedy się upewnię, że droga wolna, dam wam znać i wejdziecie.

– Jak dasz znać? – spytał zaciekawiony Andrés. – Jakimś zaszyfrowanym sygnałem?

– Widzisz te boczne drzwi?

– Tak.

– Wyrzuję stamtąd i kiwnę na was. To będzie oznaczało, że możecie wchodzić.

– Myślałem, że to będzie coś bardziej skomplikowanego – powiedział Andrés rozczarowany.

– A ja myślałem, że nie będę musiał dokonywać włamania razem z jakimś dzieciakiem – odparł M. – Przypominam wam, że to nielegalne. Czyli że ma nie wyjść poza krąg osób siedzących w tym samochodzie. Pod żadnym pozorem. Wszystko mi jedno, czy będą was torturować. Jeśli któreś z was się wygada i opowie komuś, co tu zrobiliśmy, przysięgam: pożałuje. Jasne?

Było oczywiste, że próbuje utrzymać w ryzach młodego Admirę, niemniej użył liczby mnogiej.

– Całkowicie – odparł Andrés.

– Jak słońce – dodałam.

– Nie róbcie hałasu – dorzucił na zakończenie, po czym otworzył drzwi i poszedł w kierunku hali.

Na pierwszy rzut oka M. sprawiał wrażenie faceta twardego, nieokrzesanego, szorstkiego, wręcz wybuchowego, i niewątpliwie taki właśnie był. Ale miał również inne cechy. Potrafił na przykład skradać się w sposób, który nie pasował do jego gabarytów i wyglądu, ani nawet do jego charakteru, skoro już przy tym jesteśmy. Przeszedł przez parking i zatrzymał się przy bocznym wejściu. Wyjął coś z kieszeni, obcęgi czy inne podobne narzędzie. Rozejrzał się i zaczął majstrować przy zamku. Użył jeszcze jakiegoś przedmiotu przypominającego giętką kartę. Widok M. włamującego się do hali przywołał we mnie wspomnienia z dawnych czasów, kiedy byliśmy mniej ostrożni, a musieliśmy pokonywać liczne drzwi i mury, żeby dotrzeć do prawdy.

Chwilę później detektyw pchnął drzwi ramieniem i zniknął w środku. Zgodnie z jego wskazówkami siedzieliśmy z Andresem w starym chevrolecie. Nie pozostawało nam nic innego, jak trzymać nerwy na wodzy

i liczyć na to, że nie rozlegnie się alarm i nikt się nagle nie pojawi. No i oczywiście czekać, aż M. wyjdzie i da nam znak. Parking był oświetlony kilkoma latarniami rozmieszczonymi co cztery, pięć metrów. Niektóre miejsca tonęły w ciemnościach. W żółtawym, słabym świetle asfalt wokół budynku wydawał się wyblakły. Nie dochodził żaden odgłos, nic się nie poruszało, nawet liście nielicznych drzew. Siedzieliśmy tak nie wiadomo jak długo.

– Co robimy? – zapytał Andrés po kilku minutach.

– Nic.

– Długo go nie ma, nie sądzisz?

– Nawet jeśli nie będzie go miesiąc, nigdzie się nie ruszymy.

– Jak chcesz.

Smarkacz miał rację: to trwało zbyt długo. M. miał odłączyć alarm i wyjść, operacja była stosunkowo prosta, zwłaszcza dla kogoś z jego doświadczeniem. Może pojawiły się jakieś komplikacje i nie udało się wyłączyć alarmu? Powiedziałam sobie, że jeśli w ciągu trzech minut nie da znaku życia, pójdę po niego.

Kiedy znowu wyjrzałam na zewnątrz, coś zwróciło moją uwagę. W małym okienku znajdującym się na drugim końcu hali, po przeciwnej stronie drzwi, którymi wszedł M., paliło się światło. Może było to odbicie latarni w szybie. Przesunęłam się, żeby spojrzeć pod innym kątem, ale nic się nie zmieniło: wewnątrz budynku paliło się światło. Byłam pewna, że jeszcze przed chwilą go nie było. Andrés też je zauważył. Popatrzył na mnie zdumiony.

– Zapalili światło – powiedział ze strachem w głosie.

– Na to wygląda – odparłam, udając opanowanie.

Wzięłam do ręki telefon i szybko napisałam wiadomość: „Ktoś jest w budynku”. Wysłałam ją na numer M.

– Ktoś tu bywa o tej porze? – zapytałam.

– Nie mam pojęcia – odparł Andrés. – Nigdy nie byłem tu w nocy.

– A całodobowa pomoc telefoniczna? Nie wiesz, czy operatorzy odbierają stąd?

– Chyba nie. Poznałem jednego z psychologów, którzy się tym zajmują; w weekendy przekierowywano im rozmowy na komórkę. Ale nie jestem pewien. Nie wiem.

– Dziwne: nie widzieliśmy, żeby ktokolwiek wchodził, a tu nagle zapala się światło.

– Może to M.

Patrzyłam na wyświetlacz komórki, na próżno czekając na odpowiedź. Napisałam kolejną wiadomość: „Wychodź”. Patrzyłam to na boczne drzwi, to na oświetlone okienko.

– Co jest w tej części hali?

– Chyba biura.

– Chyba czy na pewno?

– Tak, prawie na pewno.

Nie mogłam pozwolić, żeby M. wziął na siebie całą odpowiedzialność, gdyby coś się stało. Jeżeliby został nakryty, ja też powinnam ponosić konsekwencje. Zaciskałam dłonie na oparciu przedniego fotela; czułam niepokój połączony z bezsilnością.

Nadal nie słyszeliśmy żadnych odgłosów, w ogóle niczego. Zarówno detektyw, jak i człowiek, który prawdopodobnie był wewnątrz (albo ludzie, którzy tam byli), zachowywali się bardzo cicho. Nie mogłam już dłużej wytrzymać. Czekanie doprowadzało mnie do szału.

– Nie ruszaj się stąd – powiedziałam.

– Co zamierzasz zrobić?

Otworzyłam drzwi samochodu i wysiadłam. Pomimo późnej pory poczułam mocne uderzenie suchego gorącego powietrza. Stałam przy aucie, wahając się, co będzie lepiej: podejść pod halę i sprawdzić, co się dzieje, zadzwonić po pomoc czy nie robić nic i podporządkować się poleceniom M. Otworzyły się drzwi od strony pasażera – Andrés także wysiadł.

– Nie mam zamiaru siedzieć w samochodzie – zaprotestował. – Spróbujmy podejść pod drzwi i go ostrzec.

– Powiedział wyraźnie, żebyśmy się stąd nie ruszali.

– Ale wtedy jeszcze nie wiedział, że w środku ktoś jest.

– Może nikogo nie ma. Może po prostu zostawiono zapalone światło.

– Kiedy tu przyjechaliśmy, wszędzie było ciemno – powiedział z naciskiem, pokazując, że moje rozumowanie nie trzyma się kupy. – Ktoś musiał je zapalić.

Miał rację. Nie było to specjalnie pocieszające, ale miał. Oboje wiedzieliśmy, że kiedy wjechaliśmy na parking, wokół panowała absolutna cisza, a budynek tonął w mroku.

– Co będzie, jeśli nas złapią? – zapytał chłopak.

– Nic dobrego.

Sforsowanie drzwi i wtargnięcie na teren prywatny to przestępstwo z artykułu dwieście trzy Kodeksu karnego, za które grozi więzienie. Dodatkowo obciążał mnie fakt, że uczestniczyłam jako strona w procesie: było oczywiste, że zamierzałam wykraść dokument, aby na siłę uzyskać dowody, co z pewnością nie spodobałoby się sędziemu ani obrońcom, a tym bardziej przysięgłym, jeżeliby się o tym dowiedzieli. Wciągnęłam głęboko powietrze. Istniała jeszcze możliwość, że M. wyjdzie niezauważony i odjedziemy tą samą drogą – co prawda z pustymi rękami, ale przynajmniej nikt na nas nie doniesie.

Spojrzałam na boczne drzwi, w nadziei że się otworzą. Z każdą mijającą sekundą coraz częściej powtarzałam sobie, że to będzie mój ostatni raz. Nie tylko ostatni raz, kiedy wejść bez pozwolenia na prywatny teren; miałam na myśli coś znacznie ważniejszego.

Andrés zrobił krok w kierunku hali.

– Jeśli chcesz, pobiegnę i go uprzedzę – zaproponował.

– Drzwi są zamknięte, nie wejdziesz – odparłam. – Jeszcze narobisz hałasu i tylko pogorszysz sprawę.

Znowu sprawdziłam komórkę. Nie było odpowiedzi na moje wiadomości ani potwierdzenia, że zostały przeczytane. Sytuacja nie wyglądała najlepiej. Nie wiedziałam, co, do diabła, działo się tam, w środku. Odruchowo przesunęłam dłonią po bliznach na twarzy. Zapewne każdy terapeuta doszukałby się związku między ranami a ogarniającym mnie lękiem.

Z wnętrza budynku dobiegł dźwięk. Jakby ktoś odczepiał jakąś metalową konstrukcję. Chwilę później otworzyły się boczne drzwi i wyjrzał z nich M.

Odetchnęłam na jego widok. Wydawało się, że nic mu nie jest. Nawet nie wyglądał na zdenerwowanego. Przytrzymał drzwi, żeby się nie zamknęły, i kiwnął na nas.

– Mamy podejść? – zapytał Andrés. – Może nie wie, że ktoś jest w środku. M. dalej machał do nas wyraźnie.

– Idziemy – zdecydowałam, wzruszając ramionami.

– Jesteś pewna?

Ruszyłam. Chłopak bez słowa poszedł za mną. Szybko przemierzyliśmy parking, starając się nie robić hałasu. M. podniósł palec do ust, gestem nakazującym milczenie.

– W biurze w głębi ktoś jest – szepnął.

– Widzieliśmy – powiedziałam ściszym głosem. – Nagle zapaliło się światło.

Detektyw popatrzył na Andresa i zapytał:

– Archiwum jest na dole?

Chłopak skinął głową.

– Można tam dojść schodami od tej strony – wyjaśnił.

– Zszedłem, żeby się upewnić – potwierdził M. – Będziemy musieli zachować ostrożność, ale to jest do zrobienia. Biuro jest na drugim końcu, nie muszą was zauważyć, to olbrzymi budynek.

– Chcesz, żebyśmy mimo wszystko zeszli? – zapytałam.

– Ja zostanę tu na górze, na wypadek gdyby się coś się zdarzyło – odparł spokojnie. – Wy możecie zejść we dwoje do magazynu. Andrés twierdzi, że zna to miejsce. Nie powinniście mieć problemów ze znalezieniem archiwum.

Nie byłam przekonana. Jeżeli zostalibyśmy złapani, mieliśmy zbyt dużo do stracenia.

– Jak chcesz, to wracajmy – zaproponował M., który cały czas mówił szeptem. – Przyjedziemy później albo jutro, w niedzielę w nocy. Musisz coś postanowić.

Spojrzałam na nich – ku mojemu zdziwieniu obaj wyglądali na zdecydowanych. Nie miałam zamiaru być tą, która się wycofuje. Gdybyśmy

znaleźli to, po co tu przyszliśmy, sprawa mogłaby się znacznie posunąć.
– Idziemy – westchnęłam.

Dziesiątki wielkich drewnianych regałów stały w rzędach ciągnących się przez całą długość pomieszczenia. Zwraçały uwagę porządek, pedantyczność i niezwykła czystość. Pudła, segregatory, teczki, wszystko było metodycznie i równo poustawiane na półkach. W odróżnieniu od dobrze znanych mi archiwów sądowych to nie wyglądało po prostu na zbieraninę stale dokładanych papierów. Przeciwnie: wydawało się rzucać wyzwanie logice cyfrowej, jakby nieufność, a nawet duma kazały przechowywać te dokumenty w piwnicy w oryginalnej papierowej wersji. Nie wiedziałam, czy istnieją kopie na jakimś twardym dysku – wtedy na pewno mielibyśmy prostsze zadanie. Tymczasem jednak myszkowaliśmy po magazynie w świetle komórek niczym dwaj włamywacze w starym stylu.

Przesunęłam ręką po dolnej półce, z której wystawały fiszki z nazwiskami: Tomeo, Tortosa, Tosar, Tovar, Trabado, Trabanco... Tramel. Jest. Wyjęłam teczkę – grube dossier pełne różnego rodzaju kartek. Poczułam lęk, a także zakłopotanie, nie chciałam tego oglądać; intuicja podpowiadała mi, że te papiery odzwierciedlają wiele z cierpień mojego brata. Przypomniał mi się mgliście epizod sprzed lat: jako nastolatka przeczytałam ukradkiem parę stron z pamiętnika Alego; rozpętała się straszliwa burza, nie odzywaliśmy się do siebie przez kilka miesięcy.

Większość kartek miała w nagłówku datę. Niektóre dokumenty spięto zszywaczem albo spinaczem, było też sporo luźnych papierów rozmaitego formatu, na ogół zapisanych odręcznie.

– Masz? – zapytał Andrés z niecierpliwością.

Poprosiłam, żeby stanął przy drzwiach i pilnował, na wypadek gdyby ktoś się pojawił. Dokumenty zostały uporządkowane według alfabetu; wydawały się łatwe do przeszukania. Chłopak zrobił już swoje, przyprowadzając mnie tutaj. M. sforsował zamek w drzwiach do magazynu, po czym zgodnie z planem wrócił na wyższe piętro. Teraz była moja kolej. Gdyby coś miało

pójść nie tak, chciałam być tą osobą, która wzięła do ręki wniosek.

– Nie ma go – odparłam, spoglądając na chłopaka kątem oka przez prześwit w regale. Zaczęłam ponownie przeglądać dokumenty, powoli, jeden po drugim, żeby niczego nie przeoczyć.

– Musi tam być – powiedział Andrés zdenerwowany. – Dużo mówiono o tych samozakazach.

Zatrzymałam się nad kartką, na której był rysunek wykonany grubą kreską. Przedstawiał otwarty groźnie pysk z ostrymi kłami i był podobny do szkiców Alego w zeszycie odebranych z koszar. Znowu wilk. Poruszyła mnie obsesja mojego brata na punkcie tego motywu. Szukałam dalej; nie miałam teraz czasu na oglądanie rysunków. Znajdowały się tam raporty medyczne, diagnozy, niedokończone notatki, mnóstwo rzeczy, ale ani śladu tego, czego szukaliśmy.

– Pomóc ci? – zapytał Andrés, wchodząc do magazynu.

– Nie trzeba.

– Spójrz – pokazał dwa rzędy czarnych szaf w rogu. – Te idą według dat. Poświeciłam komórką. Chłopak miał rację.

– Sprawdź okolice osiemnastego czerwca zeszłego roku – wyszeptałam.

Andrés zabrał się do roboty. Ja dalej przeglądałam teczkę, którą trzymałam w dłoniach. Było tam mnóstwo kartek włożonych luzem; mogłam którąś przeoczyć. Spojrzałam na komórkę: dwie minuty po pierwszej. Nie zwróciłam uwagi, o której dokładnie weszliśmy do hali. Zadałam sobie pytanie, co będzie, jeżeli człowiek przebywający w biurze zechce wyjść i zorientuje się, że ktoś majstrował przy alarmie. Oczywiście mógł to zauważyć także przy wejściu, jeżeli – jak wszystko wskazywało – zjawił się po M. Mimo to nic się nie wydarzyło. Odsunęłam od siebie te myśli. Uznałam, że w razie czego wszystkim zajmie się detektyw.

– Znalazłeś? – zapytałam.

– To recepty, wyniki badań i tym podobne – odparł Andrés, przeglądając kartotekę.

– Pozwól, że zerknę – powiedziałam. Zainteresowała mnie.

Pomyślałam, że mogły tam także trafić kopie oficjalnych dokumentów jak

ten, którego szukaliśmy. Podeszłam bliżej i zobaczyłam, że Andrés otworzył zapchaną szufladę podpisaną wielkimi literami: „Czerwiec”. Przerzuciliśmy razem jej zawartość, starając się nie narobić bałaganu. Wystarczyło odczytać nagłówek, by wiedzieć, czego dotyczył dokument. W odróżnieniu od teczek szuflada nie zawierała odręcznych zapisków, a informacje odnosiły się do różnych pacjentów. Były tam oryginały albo kopie przeróżnych dokumentów, żaden nie pochodził jednak z Krajowej Komisji do spraw Hazardu ani z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nie miałam czasu, żeby zastanawiać się, dlaczego jedne kartki umieszczono w teczkach z nazwiskami pacjentów, a inne w szufladach, posegregowane według dat – poza tym, że te ostatnie miały raczej charakter urzędowy. Ale w dossier mojego brata widziałam podobne dokumenty. Jak mówię, nie potrafiłam odkryć kryteriów porządkowania – i w zasadzie nie bardzo mnie to obchodziło. Tak czy siak, w żadnym z tych dwóch miejsc nie było nieszczęsnego samozakazu.

– Mówiłem ci, że sam go nie widziałem – przyznał Andrés. – Po prostu myślałem, że może tu być.

Nie zamierzałam dać za wygraną. Rozłożyłam zawartość czerwcowej szuflady na podłodze, dzieląc ją na kilka stosów.

– Przejrzyjmy to jeszcze raz od początku – powiedziałam.

Przykucnęliśmy i zaczęliśmy gorączkowo przeglądać kartki. Jeżeli mieliśmy zrobić to porządnie, trochę musiało to potrwać.

Nagle usłyszałam czyjś głos dobiegający od strony korytarza i z całą pewnością skierowany do nas.

– Nie ma tam tego.

Podnieśliśmy wzrok. Z ciemności wychynął mężczyzna z kilkudniowym zarostem i włosami zebranymi w kucyk, patrzył na nas surowo. Gabriel Brandariz.

– Tam nie ma tego, czego szukacie.

Podniosłam się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Dałam Andresowi znak, żeby się nie ruszał i nie odzywał. Brandariz nakrył nas, jak w środku nocy przeszukujemy jego archiwum. Nie była to komfortowa sytuacja.

– Ja wpadłam na ten pomysł – powiedziałam. – Andrés nie ma z tym nic wspólnego.

Gabriel bez słowa poszedł na drugi koniec magazynu. Nacisnął włącznik, pod sufitem zapaliły się jarzeniówki. Pomieszczenie zostało zalane białawym światłem. Odwrócony do mnie plecami pewnym ruchem otworzył inną szufladę.

– Przyjechałem tu w związku z pilnym telefonem – wyjaśnił od niechcienia, nie zadając nam żadnego oczywistego pytania, i zaczął grzebać w jakiejś teczce. – To się czasami zdarza, zwłaszcza w weekendy. Siedziałem w gabinecie, kiedy usłyszałem hałas na dole. Początkowo się zdziwiłem; nigdy nie mieliśmy żadnego włamania, przynajmniej odkąd ja tu pracuję. Natomiast nie wiem dlaczego, nie byłem zaskoczony, kiedy was nakryłem.

Andrés też się podniósł, pytając mnie wzrokiem, co robimy. Gabriel był wciąż odwrócony plecami. Pokręciłam głową, żeby nie przyszło mu do głowy uciekać ani nic w tym stylu; należało zachować spokój. Z miejsca, w którym stałam, dostrzegłam, że na zewnątrz, w ciemnościach w głębi korytarza, ktoś się ruszył, czekając na rozwój wydarzeń. Pomyślałam, że to M., choć nie miałam pewności.

– Wszystko, co dotyczy ministerstwa, znajduje się na tych regałach. – Brandariz dalej grzebał w wyjętej z szafy dużej brązowej teczce. – Oddzielone od reszty.

Ostrożnie podeszłam do Gabriela. Wyciągnął zalaminowany dokument i odwrócił się w moją stronę.

– Jest – powiedział, podając mi kartkę.

Wzięłam dokument, nie wiedząc, czego się spodziewać, i rzuciłam na niego okiem. Był to formularz niemal identyczny z wystawionym przez Miguela Ortiza: oficjalny wniosek o samozakaz na nazwisko Alejandra Tramela, podpisany i ostemplowany. Dreszcz przebiegł mi po plecach. To znaczyło, że mój brat niezliczoną liczbę razy wchodził do kasyna w Robredo i grał, mimo że sam zakazał sobie wstępu. Pozwalając mu na to, kierownictwo kasyna poważnie naruszyło ustawę hazardową. Mieliśmy oficjalne rejestry wejść. Mieliśmy świadków, którzy widzieli, jak gra i obstawia zakłady po dacie figurującej na dokumencie. A teraz mieliśmy też podpisany i ostemplowany oryginał wniosku.

I jakby tego było mało, ktoś usunął wniosek z rejestrów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Koło się zamknęło.

Spojrzałam na Gabriela; patrzył na mnie jakby zawiedziony.

– I co teraz? – zapytałam.

– Gdyby była pani moją pacjentką – oznajmił spokojnym tonem – a wiem dobrze, że pani nie jest, powiedziałbym pani, że omijanie prawa i szukanie drogi na skróty pociąga za sobą konsekwencje. Zawsze.

Z pewnością miał rację, ale to nie wystarczało (na tym etapie), żebym zaniechała tego, po co tu przyszedłam.

– Chce pan, żebym zignorowała istnienie tego dokumentu? – zapytałam. – Chce pan, żebym go tu zostawiła, jakbym go nigdy nie widziała?

– Zdobyła pani ten dokument, łamiąc prawo – zaznaczył. – Tylko to chcę powiedzieć.

– Oni też je złamali – odparowałam – i to w sposób znacznie poważniejszy. Przejechali się po nim. Nadużyli swojej pozycji. I dalej to robią.

– Nie wątpię.

– Ci ludzie wykorzystują cierpienie i chorobę innych dla własnych korzyści – mówiłam dalej rozgorączkowana, przywołując coraz to nowe argumenty.

– Mam tego pełną świadomość. Przypominam pani, na wypadek gdyby pani zapomniała, że jestem byłym nałogowcem. I codziennie widzę wokół siebie ludzi zniszczonych przez to samo uzależnienie. Ale to nie usprawiedliwia każdego zachowania.

Jego świętoszkowata postawa wyprowadzała mnie z równowagi.

– Nigdy pan nie szukał drogi na skróty, żeby zwyciężyło wyższe dobro? – zapytałam prowokująco.

– Wiele razy – odparł. – Dlatego właśnie wiem dobrze, o czym mówię.

Ścisnęłam mocno dokument. Ktoś musiałby do mnie strzelić, żeby mi go wyrwać. Popatrzyłam na Andresa, który stał bez ruchu, uważnie przysłuchując się rozmowie.

– Nie mogę go tu zostawić i udawać, że o niczym nie wiem – podsumowałam, wskazując wnioszek. – Wyniosę stąd ten papier. Ale to nie wszystko. Muszę jeszcze poprosić, żeby nie zgłaszał pan kradzieży. Żeby

udawał pan, że nie wie o zniknięciu tego pisma. Przynajmniej do zakończenia rozprawy.

– To uczyniłoby ze mnie współnika – stwierdził. – Nie obchodzą mnie prawne konsekwencje, w każdym razie nie przede wszystkim. Ale nie mogę sprzeniewierzyć się spoczywającemu na mnie moralnemu obowiązkowi czuwania nad poufnością tych wszystkich dokumentów, to dla mnie nie do zaakceptowania. Nie będę odbierał go pani siłą. Pani detektyw nie musi interweniować. Możecie w każdej chwili stąd wyjść. Ale nie może mnie pani prosić, żebym przymykał oko na pani postępowanie. Potrzebowałam wielu lat, żeby zrozumieć, że cel nie uświęca środków, że wszystko, co robimy, ma swój etyczny wymiar. Z wielkim trudem osiągnąłem względną równowagę. Nie zaprzepaszczę tego wszystkiego jednej nocy tylko dlatego, że pani uważa, iż jej pragnienie sprawiedliwości stoi ponad wszystkim i wszystkimi.

– Nie wiem, gdzie pan widzi tę równowagę – odparłam. – Słucham pana i daję słowo, że zazdroszczę panu tego przekonania, tej pewności, co jest dobre, a co złe. Nie wiem, czy kiedykolwiek sama będę ją miała, szczerze wątpię. Na razie mam jedynie zmarłego brata, którego zniszczyło kilku pozbawionych skrupułów łajdaków. I zrobię wszystko, absolutnie wszystko, co w mojej mocy, żeby za to zapłacili. Z pana aprobatą czy bez niej.

– Niech pani robi to, co do pani należy – przyznał. – Ja zrobię tak samo.

Facet miał rację w wielu kwestiach. W ten czy inny sposób musiałam zapłacić za swoje czyny. Kilka dni wcześniej powiedziałam to samo Andresowi. Wszystko, co zrobiłam w całym życiu, miało swoje konsekwencje, a liczyć na to, że uniknę kary tylko dlatego, że racja jest po mojej stronie, znaczyłoby oszukiwać samą siebie.

Byłam jednak gotowa zapłacić każdą cenę. Nie miałam pewności, czy postąpiłam słusznie (któż tak naprawdę może to wiedzieć), i nie oczekiwałam, że ktokolwiek pochwali moją decyzję, wiedziałam jednak, że zrobiłam jedyną rzecz, jaką mogłam. Wyszłam z piwnicy z dokumentem w dłoni.

Przeszłam obok Gabriela, zrobiłam jeden krok, potem drugi i kolejny i zanim się zorientowałam, już byłam w korytarzu, chwilę potem piętro wyżej, a dwie minuty później szłam w kierunku samochodu. Nie musiałam się odwracać, żeby wiedzieć, że Andrés i M. idą za mną.

Kiedy szliśmy przez parking, detektyw powiedział cicho:

– Jeśli mam być szczery, podoba mi się ten napuszony palant.

– Mnie też.

– Nie chcę tam wchodzić – zaprotestował.

– Wyobrażam sobie – odparłam.

Nacisnęłam dzwonek. Uznałam, że pomimo późnej pory to najlepsza decyzja. Mieszkanie mieściło się na trzecim piętrze, w bloku nie było windy. Na półpiętrze stał sztuczny kwiat; zwróciłam uwagę na intensywną zieleni plastiku. Lata świetności budynek miał już za sobą. Znajdował się w północnej części miasta niedaleko stadionu Bernabéu, w jednej z najlepszych dzielnic, jednak nie prezentował się najlepiej. Mieszkańcy nie wkładali zbyt wiele pieniędzy i wysiłku w utrzymanie wspólnej przestrzeni. Nieodmalowane ściany, podniszczone stare lampy na sufitach, rzucające rdzawe światło – nawet drzwi do mieszkań były stare i w większości odrapane. W milczeniu weszliśmy na trzecie piętro. Zamierzałam ponownie nacisnąć dzwonek, kiedy ze środka dobiegły nas jakieś hałasy.

– Matka codziennie do późna ogląda telewizję – wyjaśnił Andrés.

Obraz zamożnej rodziny z rozkapryszonym dzieciakiem, który powstał w mojej głowie, kiedy go poznałam, z każdą chwilą coraz bardziej się rozwiewał. Przed oczami wciąż miałam wielką szczelinę, którą zauważyłam na fasadzie budynku. Wiem, że w życiu każdego z nas pojawiają się pęknięcia, w naszych relacjach rodzinnych i uczuciowych. Czasami próbujemy je zakrywać albo przynajmniej tuszować, zachowujemy się na pozór beztrudnie, kierując wzrok w inną stronę, albo przeciwnie, przybieramy postawy szkodliwe dla siebie samych, odwracając uwagę od miejsc najbardziej dla nas bolesnych (jak zapewne było w przypadku Andresa). Tamtej nocy, kiedy stałam przed drzwiami jego mieszkania, czekając, aż ktoś nam otworzy, z jakiegoś powodu poczułam, że jest mi dużo bliżej do tego chłopaka niż do innych ludzi, których znałam (teoretycznie) o wiele lepiej. Miałam ochotę wziąć go za rękę, żeby dodać mu otuchy. Oczywiście tego nie zrobiłam.

– Kto tam? – zapytał czyjś głos.

Ktoś odsłonił wizjer i zza drzwi ponownie dobiegł nieufny kobiecy głos.

– Kto to?

– To ja, mamó.

– Andrés? Wszystko w porządku?

– Tak. Możesz otworzyć? Proszę.

Odsunęłam się, żeby matka mogła go lepiej zobaczyć.

– Co tu robisz o tej porze?

– Otwórz, mamó.

– Co to za kobieta?

– Zaraz ci wytłumaczę. Otwórz, proszę.

Zapadła cisza, kobieta po drugiej stronie pewnie próbowała się w tym wszystkim rozeznać. Czterdzieści osiem godzin wcześniej między jej synem i mężem doszło do ostrej sprzeczki. Teraz chłopak zjawiał się w nocy w towarzystwie obcej babki o podejrzanym wyglądzie, z mnóstwem szram na twarzy. Nikomu nie byłoby łatwo odnaleźć się w tej sytuacji.

W zamku obrócił się klucz i w końcu drzwi powoli się otworzyły. Przedpokój tonął w półmroku, mogłam jednak zobaczyć matkę Andresa: drobną, krótko ostrzyżoną pięćdziesięciokilkuletnią kobietę w okrągłych okularach, ubraną w coś w rodzaju grubej niebieskiej sukienki albo koszuli nocnej sięgającej prawie do kostek. Bynajmniej nie zamierzała nas wpuścić – stała w drzwiach oparta o framugę w postawie pełnej nieufności.

– Czego chcesz, Andrés? – zapytała zmęczonym głosem.

– Chcę wrócić do domu – wyjąkał chłopak. – Że wtedy... ja nie chciałem popchnąć taty, ale wiesz, jaki on jest, zaczął na mnie krzyczeć i poniosło mnie, kurde, przecież wiesz, że bardzo się staram.

– To nie jest takie proste – odparła kobieta. – Tyle razy nas okradłeś i okłamałeś, że straciliśmy rachubę. Zawsze powtarza się ta sama historia, mówisz, że się zmienisz, że to ostatni raz, a potem wszystko zaczyna się od nowa...

– Staram się – przerwał jej Andrés. – Przysięgam ci, że się staram.

Jak wspomniałam, nie cierpię dramatycznych przedstawień ani scen rodzinnych. Postanowiłam się wtrącić. Uznałam, że skoro już się tutaj znalazłam i kazałam mu wrócić do domu, przynajmniej powinnam otworzyć usta i spróbować wnieść coś do tej rozmowy.

– Tak naprawdę syn chciał przeprosić pani męża za to, że go popchnął, uderzył czy co tam mu zrobił – napomknęłam ostrożnie. – Wiem, że nie to powiedział, ale zapewniam panią, że tak właśnie jest, po prostu trudno mu się wysłować.

Spojrzała na mnie z pogardą: jak śmiałam wypowiadać się na temat problemów jej rodziny, nic o nich trojgu nie wiedząc. Miała całkowitą rację, w pełni się z nią zgadzałam: kto kazał mi się bawić w mediatora rodzinnego? Chciałam porządkować życie innych ludzi, podczas gdy w rzeczywistości nie potrafiłam wyprostować własnego.

– Proszę mi wybaczyć. Nazywam się Ana Tramel. Jestem adwokatem. Znam pani syna od kilku miesięcy, spotkaliśmy się w stowarzyszeniu Alma.

– Jest pani adwokatem mojego syna? – zapytała skonfundowana. Może bała się, że Andrés wpakował się w kolejne kłopoty.

– Nie, nie – pospiesznie ją poprawiłam. – Jestem przyjaciółką. Nic poza tym.

– Posłuchaj, Andrés – powiedziała – ojciec śpi, lepiej wróć jutro o przyzwoitej godzinie i wtedy spokojnie porozmawiamy. Jeżeli wpuszczę cię teraz, będzie tylko gorzej.

Chłopak kiwnął głową, powstrzymując rozżalenie i gniew: matka zamierzała zamknąć mu drzwi przed nosem. Uświadomił sobie, że rany, jakie zadał, są wciąż otwarte. Widać było, że go to zabolowało. Wzruszył ramionami; musiał pogodzić się z odmową. Spuścił głowę jak dziecko, które rozumie, że było niegrzeczne. Wiedział, że w tej chwili nic nie wskóra.

– Wiem doskonale, że Andrés przysporzył państwu wielu kłopotów – odważyłam się powiedzieć – ale on ma dopiero osiemnaście lat i bardzo wszystkiego żałuje. Gdyby pozwoliła mu pani spać tej nocy w jego pokoju, może wszyscy poczulibyście się trochę lepiej.

– Nie znam pani – odparła z goryczą. – Nie ma pani pojęcia, co przeszliśmy, więc proszę mi nie opowiadać o moim synu, jakby był kimś

obcym, a tym bardziej nie pouczać mnie, co powinnam z nim zrobić.

– Nie miałam takiego zamiaru – usprawiedliwiłam się.

– Oczywiście, że miała pani taki zamiar – wpadła mi w słowo kobieta. – Patrzy pani na mnie z udawaną pokorą, widzę to po pani oczach. Przygarnęła pani Andresa, może pomogła mu pani wyjść z kłopotów i teraz uważa, że daje to pani moralne prawo, by przychodzić tu i mówić mi, jak mam postępować z własnym synem. Powinna się pani wstydzić, nie wiem, czy sama jest pani matką, i nie obchodzi mnie to, ale zapewniam, że nie ma pani zielonego pojęcia o tym, co człowiek czuje, kiedy dwie osoby, które najbardziej kocha na tym świecie, obrzucają się obelgami, krzyczą na siebie, biją się przy nim. Nie chcę przeżywać tego po raz drugi. Od dawna żyjemy w piekle, znosząc to, co nie do zniesienia. Skończyło się. Andrés zawsze będzie moim synem i zawsze mu pomogę, ale musi zrozumieć, że wszystko ma swoje granice, a on je przekroczył.

– Przepraszam, jeśli odniosła pani wrażenie, że panią osądzam – powiedziałam, najszczerzej jak umiałam. – Myślę, że ma pani rację we wszystkim, co pani powiedziała, nie mam nic do dodania. Popełniłam błąd, przychodząc tu dziś w nocy. Chciałam tylko pomóc. To było z mojej strony aroganckie. Przykro mi, naprawdę.

Popatrzyła na mnie nieufnie, nie miała ochoty kontynuować tej rozmowy. Położyłam dłoń na ramieniu syna, żeby dodać mu trochę otuchy. Może jednak to, co powiedziała matka i co się wydarzyło, miało być dla niego nauką. Nie pozostawało mi nic innego, jak zabrać go do siebie na jeszcze jedną noc; cóż innego mogłam zrobić, nie zostawiłabym go samego na ulicy w środku nocy. Odzywało się szczególne poczucie odpowiedzialności, które z jakiegoś powodu wykształciło się we mnie w dzieciństwie, kiedy pod nieobecność rodziców wielokrotnie musiałam zajmować się młodszym bratem. Pewnie już zawsze miało tak być.

Z mieszkania dobiegł jakiś ostry, nieprzyjemny odgłos. Kobieta odwróciła się zaniepokojona, na jej twarzy odmalowały się zdenerwowanie i lęk. Chciała zamknąć drzwi, ale niski zachrypnięty głos uprzedził jej ruch.

– Co tam się dzieje?

– Nic takiego, wracaj do łóżka – odpowiedziała powoli, mając we wzroku nadzieję, że mąż nie wyjdzie na korytarz.

– Jak to, kurde, nic takiego? – Mężczyzna pojawił się w przedpokoju ubrany w krótkie sportowe spodenki i żółty T-shirt. Twarz miał lekko obrzmiałą od snu. – Jeżeli mamy gości o drugiej nad ranem, to musi to być coś cholernie ważnego.

Upředzenia mają tę wadę, że nie pozwalają dostrzec prawdziwej istoty rzeczy. Tak właśnie było na początku z Andresem. Nie chciałam, żeby tej nocy powtórzyło się to z jego rodzicami. Nie odpowiadali temu czy innemu archetypowi zachowania, byli ludźmi z krwi i kości, ze swoimi sprzecznościami, z lękami, demonami. Ten facet – sądząc ze sposobu wyrażania się i gestów, agresywny – musiał kryć w sobie mnóstwo innych cech, których nie znałam. Staralam się trzymać dyskretnie na drugim planie. Coś mi mówiło, że tak będzie najlepiej.

– Proszę, proszę, kogo to widzimy – powiedział, wyglądając przez drzwi.

– Wracaj lepiej do łóżka – powtórzyła matka. – Ja się tym zajmę, nie martw się.

– A to kto? – zapytał, wskazując na mnie i ignorując prośbę żony. – O co chodzi?

– Nikt – zbyła go kobieta. Nie chciała, żeby mąż przejął inicjatywę. – Powiedziałam Andresowi, że nie może tu przychodzić, kiedy najdzie go ochota. Niech wróci kiedy indziej. I tyle.

– Po tym, co zrobiłeś – powiedział ojciec, patrząc synowi w oczy – masz czelność pojawiać się tu w środku nocy, jak gdyby nigdy nic? Szukasz guza? Jeśli natychmiast nie odejdziesz, zadzwonię na policję, słyszysz? Złożę na ciebie doniesienie, za kradzież, za to, że mnie uderzyłeś. Uzbierało się tyle, że nie wiem, od czego zacząć. Nie masz ochoty powtarzać nam w kółko, że jesteś dorosły i że nie możemy ci mówić, co masz robić? Świetnie, zabieraj sobie te swoje osiemnaście lat i wynoś się, jeśli nie chcesz, żebym zadzwonił na policję. Jak śmiesz tu przychodzić? Za kogo ty się uważasz?

Dziwne, w miarę jak mówił, coraz bardziej uchodziło z niego powietrze, im więcej przytaczał argumentów, tym bardziej było widać, co chce naprawdę powiedzieć: daj mi jakiś powód, choćby najmniejszy, żebym ci wybaczył, tego właśnie pragnę. Miałam ochotę przetłumaczyć Andresowi mowę ciała jego ojca, wyraz jego oczu.

– No powiedz – powtórzył, na próżno starając się, by jego ton brzmiał

kategorycznie, zmuszając się do wypowiedzania słów, które z uwagi na swoją rolę społeczną i ostatecznie wydarzenia powinien był wypowiedzieć, mimo że nie płynęły one z głębi jego serca. – Za kogo ty się uważasz? Wynocha stąd!

Czułam, że ci ludzie nigdy nie podnieśli ręki na Andresa, chociaż na pewno wielokrotnie dał im powody do rozpacz, kiedy ich oszukiwał, okradał, a nawet bił. Wyglądali na prawdziwie przytłoczonych, byli wyczerpani, nie mieli siły, żeby dalej się opierać, udawać oburzenie, którego nie czuli, skrywając pod nim głęboki ból.

W rodzinnym trójkącie zapadło straszliwe milczenie. Chociaż głośno wszyscy twierdzili coś przeciwnego, tak naprawdę pragnęli paść sobie w ramiona, może się rozplakać, przysięgając, że razem stawiają czoło przeciwnościom. Duma, strach przed dalszym cierpieniem czy też ochronna maska, jaką każde z nich miało na twarzy – a może to wszystko razem – oddalały ich od siebie, podczas gdy w rzeczywistości chcieli powiedzieć, że potrzebują miłości i pomocy. Nie jestem psychologiem rodzinnym, Boże uchronaj, ale to się rzucało w oczy.

– Przepraszam – popchnęłam delikatnie Andresa – jeżeli nie chcesz, żebym ci przyłożyła.

Chłopak oblał się rumieńcem, w jego zaczerwienionych oczach zakręciły się łzy.

– Przepraszam – wymamrotał przez zęby, po czym podniósł głowę i spojrzał na ojca. Wytarł nos rękawem koszuli, ciekło mu z niego, był bliski płaczu. – Bardzo mi przykro, naprawdę. Nie wiem, jak mogłem to zrobić, wybacz mi, proszę. Błagam cię.

To było jak eksplozja.

Kiedy tylko skończył, ojciec wykrztusił z siebie kilka niezrozumiałych słów, coś jakby „chodź tu, do cholery” (choć brzmiało to raczej jak „chotulery”), złapał go oburącz za szyję i przyciągnął do siebie. Andrés wreszcie wybuchnął płaczem, nie potrafił dłużej powstrzymać łez, zaczął drżeć i pozwolił się ojcu przygarnąć.

Poczułam niezdrową zazdrość na widok tych dwóch dorosłych mężczyzn, którzy płakali i przytulali się niezdarnie (tak to przynajmniej wyglądało) na klatce schodowej. Nigdy nie przeżyłam niczego takiego z własnym ojcem i niestety nie miałam już przeżyć. Wyraźniej niż kiedykolwiek uzmysłowiłam

sobie brak fizycznej (i emocjonalnej) bliskości w mojej rodzinie. Ogarnęła mnie ogromna, nieznana mi wcześniej czułość wobec tych facetów odsłaniających przed sobą własną kruchość. Może nigdy wcześniej nie byli sobie tacy bliscy. Zrozumiałam, że nie mam tu już nic do roboty.

Oddaliłam się dyskretnie w kierunku schodów. Odchodząc, złowiłam jeszcze ostatnie spojrzenie matki Andresa; skinęła głową. Przypuszczam, że na znak podziękowania. To ja powinnam być wdzięczna Andresowi, a także im, za to, że pozwolili mi patrzeć na pokaleczoną rodzinę, która próbuje się pozbierać w sposób, na jaki ja sama nigdy nie potrafiłam się zdobyć.

Do moich uszu dobiegały przerywane szlochami słowa. Mieli nad czym płakać, tej nocy i w najbliższych dniach. Nie tylko z powodu tego, co przeszli, ale też tego, co, jak wiedzieli, jeszcze ich czekało. Choroba Andresa przysporzyła im ogromnych cierpień, było oczywiste, że będą musieli znieść jeszcze niejedną próbę, nim ich rodzina odzyska względną stabilność i spokój – jeżeli to w ogóle nastąpi. Życzyłam im z całego serca, żeby się udało albo żeby przynajmniej razem się dalej o to starali. Zemdliło mnie trochę od tych wszystkich płaczów i życzeń. Przypomniałam sobie zakonnice od Najświętszego Serca, które zawsze nam powtarzały, że mamy się modlić za naszych bliźnich i wstawiać za nimi u Boga. Gdybym nie zerwała z nałogiem, to byłby doskonały moment, żeby sięgnąć po butelkę ginu i opakowanie środków uspokajających i wyruszyć w jedną z niezapomnianych podróży.

Wsiadłam do stojącej przed ich blokiem mazdy, odebranej wcześniej z parkingu. Ruszyłam w stronę domu. Po drodze odsłuchiwałam trzy wiadomości głosowe, pewnie nagrane, kiedy byłam w Almie. Pierwszą zostawiła Concha. Nie miała do mnie żadnej konkretnej sprawy, pytała, jak mi idzie, i prosiła, żebym odezwała się w wolnej chwili. Na koniec wspominała jeszcze, że opowiedziała Helenie o swoim romansie z Alem i wszystko poszło dobrze.

Drugą, nieco chaotyczną wiadomość, nagrała Helena. Mówiła, że jest u Conchy, że przyjechała z Martinem i właśnie jedzą kolację z dziewczynkami. Wspominała o tym i owym, dodając na koniec, jaką dobrą kobietą jest Concha i jakie mam szczęście, że jest moją przyjaciółką. „Ty dużo szczęście, Concha wielka kobieta”, powtarzała. Było to co najmniej dziwne; raczej nie mówi się tak o kobiecie, która właśnie ci powiedziała, że

miała romans z twoim mężem. Wiedziałam, że kiedyś wszystko mi wyjaśnią. Nawet nie starałam się zrozumieć, jakie myśli pojawiały się w głowie mojej bratowej. Natura ludzka bezustannie mnie zaskakiwała: może teraz, kiedy już się przed sobą otworzyły, w jakiś intymny, pokręcony sposób poczuły, że są ze sobą związane bardziej niż kiedykolwiek, jakby to, że doświadczyły czegoś intensywnego z tym samym mężczyzną, czyniło je członkiniami ekskluzywnego klubu. Było to jedyne wytłumaczenie, na jakie wpadłam, jadąc opustoszałymi ulicami miasta. Zasunęłam szyby i włączyłam klimatyzację, żeby odizolować się od upału i hałasu.

Trzecia wiadomość także pochodziła od Heleny. Bratowa mówiła, żebym na nich nie czekała, że zostają u Conchy. Może planowały przez całą noc dzielić się wspomnieniami o Alem. Byłam pewna, że, tak czy inaczej, poruszą też temat procesu, rozważą możliwe opcje i niewykluczone, że dojdą do jedyne go możliwego wniosku: jak tak dalej pójdzie, przegramy. Poczułam się odrobinę winna, że zataiłam przed nimi odkrycie dokonane w archiwach Almy, nadal byłam jednak przekonana, że tak będzie najlepiej dla sprawy – dla mnie niekoniecznie. Jak mówił M., igrałam z ogniem i wiedziałam, że jeżeli nic z tym nie zrobię, zostanę sama, jeszcze bardziej samotna niż teraz.

Pomysł, który nagle zaświtał mi w głowie, odgonił czarne myśli. Pierwszy raz od wielu miesięcy, niemal od roku, miałam zostać sama na noc. Wiedziałam doskonale, co zrobię zaraz po powrocie do domu.

Zdjęłam z górnej półki szafy bawełniany dywanik i położyłam go przy wannie. Przez chwilę rozkoszowałam się myślą, że niedługo stanę na tym miękkim, nieskazitelnie czystym kawałku materiału bosymi stopami o pomarszczonej od wody skórze. Bez pośpiechu położyłam na półce bieliznę, którą zamierzałam włożyć po godzinnym moczeniu się w wannie – nie ma nic przyjemniejszego niż dotyk czystej tkaniny na ciele przesiąkniętym solami, mydłem, kremami i innymi kosmetykami. Rozpoczęcie rytuału od przygotowania jego zakończenia dobrze mi zrobiło, to była niezła lekcja dla kogoś takiego jak ja, wiecznie zżeranego niepokojem i pośpiechem.

Zanim nalałam wody, przepłukałam wannę, by oczyścić ją nieco z kurzu i brudu. Dawno nikt jej nie mył. Przetarłam ściereczką boki, sprawdzając, czy usunęłam wszelkie odporne drobinki. Zajął mi to trochę czasu. Potem zdjęłam ubranie i opłukałam się – nauczyłam się tego na studiach od mojego ówczesnego chłopaka, z którym założyłam tak zwany Klub Pysznica; spędzaliśmy więcej czasu w wannie niż poza nią. Przy okazji małymi nożyczkami obciąłam sobie paznokcie u rąk i nóg, niespiesznie, jakbym chciała się pozbyć wszelkich brudów, przydać jeszcze większego znaczenia kąpieli, którą zamierzałam wziąć.

Wreszcie podniosłam dźwignię, korek szczelnie zatkał wannę – nie przepuściłby ani kropli. Odkręciłam kran i wyregulowałam temperaturę, aż płynąca woda stała się przyjemnie letnia, idealna na tę porę roku. Znam kilka osób, które lubią zimne kąpiele, ale sama do nich nie należę. Nieważne, że było lato – potrzebuję dość ciepłej wody, żeby naprawdę się zrelaksować. Od czasu do czasu sprawdzałam temperaturę, wkładając do wody nadgarstki (to bardzo prosta sztuczka: dłonie przyzwyczajają się do wody i mogą ci splatać psikusa, łokcie i nadgarstki nigdy cię nie oszukają). Kiedy wanna była już napełniona powyżej połowy, wpuściłam pod strumień wody trochę płynu do kąpieli i sole, które od dawna trzymałam w szafce z lustrem Brickan. Niemal

wszystko było już gotowe. Na koniec wyregulowałam światło, zmniejszając natężenie, dopóki łazienka nie pogrzyżyła się w półmroku – nie ma co, ściemniacz był moją najlepszą inwestycją w to mieszkanie. Położyłam na klapie bidetu komórkę, z której leciały na cały regulator klasyczne przeboje. Ostatni raz zanurzyłam nadgarstek: temperatura była idealna, powinna się utrzymać wystarczająco długo. Zakręciłam kran i weszłam do wanny.

Moje nagie ciało ułożyło się, szukając najwygodniejszej pozycji. Nie brak mi było niczego ani nikogo. Byłam sama ze sobą, co nie zdarzało się często. Zamknęłam oczy i próbowałam oczyścić umysł. Przychodziło mi to z trudem, w głowie pojawiały się myśli i obrazy, które starałam się odpędzić: ustawa trzymaście łamane przez dwa tysiące jedenaście, artykuł czterdzieści, poważne wykroczenia, artykuł czterdzieści dwa, sankcje administracyjne, przysięgła numer cztery wpatrująca się we mnie szeroko otwartymi oczami, Concha i Helena przytulające się jak siostry, Ginés Iglesias przy łóżku swojej żony, ja sama na ławie oskarżonych, sądzona za fałszowanie oficjalnych dokumentów, świecąca nocą okazała siedziba Barver & Ambrosía, wilk szczerzący groźnie kły, sześćioletni chłopiec wołający o pomoc, ciało wypadające z ósmego piętra (dokładnie z ósmego), kulka ruletki krążąca wokół numerów, zimna, ciemna cela w podziemiach koszar, wypełniony dymem pokój, Argentyńczyk wymawiający swoim donośnym głosem jakieś niezrozumiałe słowa, Moncada otwierający okno w biurowcu Gran Castilli, drgająca ampulka z rtęcią, Ramiro rozszarpywany przez wybuch na tysiąc kawałków, moje dłonie głaszczące mój ogromny brzuch, Struś Pędziwiatr ścigający Kojota na łądzie, w wodzie i w powietrzu... Ten ciąg skojarzeń został przerwany przez nagły dźwięk.

Otworzyłam oczy. Wydało mi się, że w przedpokoju, za drzwiami, coś się poruszyło, ktoś cicho stąpnął albo otarł się o ścianę. Nie byłam pewna. Powiedziałam sobie, że to tylko moja wyobraźnia. Budynki, zwłaszcza tak stare jak ten, bez przerwy wydają jakieś odgłosy, ciągle trzeszczą w nich ściany, drzwi, okna. Kiedy byłam mała, budziło to mój niepokój; na każdy taki dźwięk podskakiwałam w łóżku. Zawsze byłam strachliwa. Wciąż jestem. Niewytłumaczalne nocne lęki to jeden z powodów, dla których nie lubię spać sama i dla których wielokrotnie szukałam nocą towarzystwa nieznanomych.

Ponownie usłyszałam trudny do określenia odgłos dobiegający jakby

z przedpokoju. Próbowałam się uspokoić: w domu nikogo nie było, czułam, że powinnam się uwolnić od manii prześladowczej, która po incydencie zamieniła się niemal w paranoję. Woda sięgała mi po szyję, zakrywając całe ciało z wyjątkiem kolan, które wystawały niczym dwie wyspy otoczone bąbelkami i resztkami piany. Skupiłam się na zapachu soli, ale najbardziej na muzyce. Akurat rozbrzmiała jedna z moich ulubionych piosenek z lat osiemdziesiątych, jedna z najsmutniejszych, jakie kiedykolwiek napisano i wykonano, *Take this waltz* Cohena. Zabrzmiały pierwsze dźwięki, łazienkę wypełnił melancholijny, ochrypły głos Kanadyjczyka śpiewającego o mieście, śmierci i oczywiście o braku miłości. Nigdy nie dawało mi spokoju zagadkowe wyrażenie z drugiej zwrotki, *the clamp on its jaws*, kłamra na jego szczękach. Co, do diabła, chciał przez to powiedzieć? Może po prostu dobrze mu brzmiało. Gdyby tylko życie zawsze było takie – rytmiczne i dźwięczne. Dałam się porwać biednemu Leonardowi i niemal udało mi się zapomnieć, gdzie jestem.

W pewnym momencie melodii zaczęło towarzyszyć gwizdanie. Przełknęłam ślinę i uniosłam się kilka centymetrów. Nie dobiegało z komórki, było nieregularne, urywane, z trudem nadażało za piosenką. Ktoś gwizdał, stojąc w przedpokoju, blisko łazienki. Szybko się rozejrzałam, ale nie mogłam mieć wątpliwości: to nie działo się w mojej głowie, to się działo naprawdę.

Drzwi, kopnięte, otworzyły się na oścież. Nietrudno było mi się domyślić, kto w nich stał.

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć – powiedział w progu. Przeciągnął dłonią po brodzie z wyrazem rezygnacji na twarzy, jakby nie było mu miło, że przyszedł i że musi zrobić to, co musi. Wskazał komórkę, z której dobiegała muzyka. – Możesz się wypierać, ale jesteś strasznie sentymentalna; powtarzam ci to od dnia, kiedy się poznaliśmy.

– Ot, słabość jak każda inna – odpowiedziałam, starając się zyskać na czasie i obmyślić jakiś plan działania. Sytuacja nie przedstawiała się różowo. – Kiedy chcę, potrafię być taka jak inni, wanna pełna wody, piosenka, nie potrzeba mi więcej do szczęścia.

Porucznik Santiago Moncada podszedł bliżej. Spoglądał na moje nagie ciało bez odrobiny emocji. Nie zamierzałam go pytać, jak dostał się do

mieszkania ani nic takiego.

– Wiesz, co oznacza ta wizyta – szepnął.

– Mogę się domyślić.

Na T-shirt miał włożoną marynarkę, pewnie po to, żeby ukryć pistolet. Przypomniałam sobie moment, kiedy pierwszy raz zobaczyłam go w Robredo, w dniu, w którym aresztował Alego. Nagle wydał mi się równie daleki jak zduszone żale Leonarda, odbijające się ciągle od ścian łazienki.

– Gdzie masz dokument? – zapytał bez nacisku, powiedziałabym nawet, że znużonym głosem. – Nie znalazłem go w gabinecie ani w sypialni. Nie mów mi, że zabrał go twój detektyw.

Wyciągnęłam rękę z wody i mocno złapałam się brzegu wanny. Skóra na palcach zaczęła mi się już marszczyć.

– Nie przyszedłeś tu po dokument – powiedziałam.

– Oczywiście, że nie – odparł natychmiast. – Po prostu chciałem wszystko uporządkować przed załatwieniem tej sprawy.

– Mówiąc „załatwienie”, masz na myśli połamanie mi kilku kości tak jak wtedy czy coś bardziej ostatecznego?

– Cieszę się, że tak do tego podchodzisz – westchnął. – Możemy to zrobić na dwa sposoby. Szybko. Albo powoli. Wybór należy do ciebie.

Usiadł na brzegu wanny, przy moich stopach. Zanurzył w wodzie palce i spojrzał na mnie. Wszystko, czego starałam się nie dopuszczać do siebie przez ostatnie miesiące – to, że porucznik jest płatnym zabójcą na usługach Santonjy prowadzącym dla własnych korzyści podwójną grę, przeświadczenie, że to on napadł na mnie w garażu w ubiegłe Boże Narodzenie – nabrało teraz kształtów.

– Sugeruję ci szybkie rozwiązanie – ciągnął. – Zaoszczędzimy sobie sporo czasu i niepotrzebnego cierpienia. Zwłaszcza ty, ma się rozumieć. Żeby móc pójść tą drogą, musisz mi tylko oddać dokument. Koniec końców, po tej nocy nie będzie ci już potrzebny.

Znów spojrzał przez wodę na moje nagie ciało, nie zadałam sobie nawet trudu, żeby złączyć nogi, chwilowo nie było to dla mnie najważniejsze.

– Dlaczego uprzedziłeś mnie wtedy, co się dzieje w biurowcu Gran

Castilli? – zapytałam. – Nie rozumiem. Podpisywali porozumienie, które było im na rękę. Dlaczego im w tym przeszkodziłeś? Dla kogo wtedy pracowałeś? Dla Cimadevilli?

– Powiedzmy, chciałem, żeby sprawa nie została zamknięta i żebym jeszcze coś na niej skorzystał. Trochę się poróżniłem z Santonją – odpowiedział lakonicznie. – Powiedzmy też, że miałem wobec ciebie dług. Potraktuj to, jak zechcesz.

– Nie wierzę ci.

– Masz prawo.

Zanurzył lewą dłoń głębiej w wodzie i złapał mnie mocno za kolano, starając się za bardzo nie ścisnąć.

– Powiedz mi wreszcie, gdzie jest dokument – powiedział cichym głosem – i skończmy z tym.

– W bagażniku w moim samochodzie – odparłam. – W brązowej kopercie, która jest w wypchanej teczce z innymi papierami. Możesz iść sprawdzić, jeśli mi nie wierzysz.

Uśmiechnął się lekko.

– Ja, dla odmiany, ci wierzę.

– Co teraz będzie? – odważyłam się zapytać, szukając desperacko jakiegoś rozwiązania, a jednocześnie próbując udawać, że się poddałam, w nadziei na utratę przez niego czujności.

– Teraz złapię cię mocno za szyję i zanurzę twoją głowę w wodzie. Za niecałe dwie minuty poczujesz skurcz w przeponie i mięśniach międzyżebrowych. Potem zaczniesz łapać ustami powietrze i nałykasz się wody, to będzie bardzo nieprzyjemne. Ale dość szybkie i skuteczne. Tylko tyle mogę ci zaoferować.

– Nie założysz rękawiczek? – zapytałam, wskazując jego dłonie. – No wiesz, odciski palców i te sprawy.

Spojrzał na swoje dłonie. Gdy tylko spuścił oczy, zrobiłam to. Wiedziona desperackim impulsem.

Rzuciłam się na niego, korzystając z chwili, gdy odwrócił wzrok. Nie wiem, skąd wzięło się we mnie tyle odwagi, to był czysty instynkt

przetrwania. Nie miałam pod ręką niczego, czym mogłabym go uderzyć, posłużyłam się więc własnym ciałem i wyrznęłam go głową w nos. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Usłyszałam trzaśnięcie i zobaczyłam krew. Chyba złamałam mu jakąś kość, ale nie jestem pewna. Nie czekając, aż zareaguje, ponownie rąbnęłam go głową w to samo miejsce, i znowu, i jeszcze raz, nie wiem, jak długo tak waliłam – włożyłam w uderzenia cały swój gniew, całą wściekłość i żal, chciałam mu wyrządzić jak największą krzywdę, przysięgam, że jeszcze nigdy w życiu nie zachowywałam się tak agresywnie, każde z tych uderzeń wyrażało nagromadzony ból i nienawiść; wiem doskonale, że gdybym to zaplanowała, nigdy by mi się nie udało.

Tak bardzo go zaskoczyłam, że na kilka sekund znieruchomiał ogłuszony, przyłożył dłoń do nosa, z którego spływał strumyk krwi, skapując do wody w wannie. Wydawał się bliski zemdlenia. Szybko wyciągnęłam rękę w kierunku jego pistoletu, pomyślałam, że jeżeli mu go wyrwę, może uda mi się ująć z życiem.

Mogłabym przysiąc, że uklękłam, żeby dosięgnąć broni, nie czułam żadnej części swojego ciała, kierował mną opór przed tym, co nieuniknione, nie zastanowiłam się, co zrobię z pistoletem, jeżeli uda mi się go wyjąć, chociaż wiedziałam, że nie zawaham się, jeśli będę musiała pociągnąć za spust, umiałam posługiwać się bronią palną. Wymacałam pistolet w kaburze, już po niego sięgałam, za chwilę mógł się znaleźć w moich rękach, próbowałam odpiąć pasek blokujący, ale zaciął się albo nie potrafiłam go otworzyć. Wszystko działo się bardzo szybko. Poczułam ręce Moncady chwytające mnie za dłonie – najwyraźniej doszedł do siebie.

– Co robisz? – wystękał z twarzą zalaną krwią.

W odpowiedzi walnęłam go głową w podstawę czaszki, wkładając w to jeszcze więcej siły – o ile to w ogóle możliwe – niż poprzednio. Zachwiał się, zobaczyłam, jak jego ciężkie ciało traci równowagę. Mimo to nie wypuścił moich rąk, nadal trzymał je mocno. Zakręciło mi się w głowie, pewnie zaszkodziły mi te wszystkie uderzenia, nie miałam wprawy w wymierzaniu ciosów własną czaszką.

W tym momencie wszystko się zmieniło. Zaczęłam widzieć niewyraźnie, uszła ze mnie energia, a zamiast tego spowiła mnie jakaś mgła, która nie pozwalała mi przytomnie działać. Moncada wykorzystał sposobność, żeby

przejąć inicjatywę. Splunął do wody krwią i powiedział:

– Teraz to już sprawa osobista.

Przyłożył mi do twarzy swoje ogromne łapsko i brutalnie pchnął mnie do tyłu. Jednocześnie wlaźł do wanny, zgniótł mi obcasem kostkę i wbił w brzuch kolano.

Drugą ręką wyciągnął pistolet, ale zamiast go odbezpieczyć, podniósł do góry, jakby to był po prostu ciężki przedmiot. Spuścił go na moją głowę. Uchyliłam się; trafił w skroń, a nie w czoło. Nie wiem, co byłoby gorsze. Przeszywający ból skupił się w tej części mojej głowy.

Chyba coś wyszeptał, ja naprawdę byłam zamroczona. Leżałam w wannie, naga, przerażona, obolała, zakrwawiona, przygnieciona wazącym ponad sto kilo mężczyzną, który zamierzał mnie zabić. Schował pistolet, jedną dłoń zacisnął mocno wokół mojej szyi i zaczął mnie dusić, drugą położył na mojej twarzy i wepchnął mnie pod wodę. Nie zamknęłam oczu. Szarpałam się, próbowałam wierzgać, starałam się stawiać opór, wbijałam w niego paznokcie, gdzie się dało, ale wydawał się teraz odporny na moje ataki. Trzymał mnie pod wodą z żelazną determinacją, obojętny na ciosy, kopniaki i drapanie.

Dziwne, ale poczułam smak soli wdzierający się przez nos i usta, chociaż trzymałam je zamknięte. Zostało mi niewiele czasu. Próbowałam – nie udało się. Przestałam go okładać, nie mogłam nic zrobić, przegrałam. Byłam świetna w przyjmowaniu ciosów, chyba nikt nie zaprzeczy, że walczyłam do upadłego, choć startowałam z gorszej pozycji. To był koniec. Nieoczekiwany epilog zrealizowany przez prostaka, skurwiela, którego jedyną zaletą była wytrwałość w stosowaniu przemocy, no i może jeszcze brak skrupułów. Nawet nie jakieś specjalne zdolności. Podałam mu się, próbując znaleźć w tym wszystkim jakiś sens: walczyłam o to, w co wierzyłam, do chwili, kiedy zabrakło mi tchu.

W pewnym momencie miałam przywidzenie: wydało mi się, że ktoś, może M., staje w drzwiach, powala porucznika strzałami z pistoletu i na rękach wynosi mnie z łazienki; w tej wizji wypluwałam wodę, której się nałykałam, odzyskiwałam oddech i oczywiście cudem wracałam do życia. Poczułam napierające na moją szyję dłonie Moncady, jak ze skały, nie do ruszenia, zwaliste cielsko przygniatające mnie – być może już dogorywającą.

Nie zobaczyłam żadnego białego światła ani tunelu, to był przykry, wstrętny koniec, pewnie taki, na jaki sobie zasłużyłam. Już po wszystkim. Nie mogłam wstrzymać oddechu ani sekundy dłużej. Musiałam otworzyć usta, a wtedy, wiedziałam, woda zaleje mi płuca i wszystko się skończy.

W tym momencie przez wodę, nad jej powierzchnią, zauważyłam w półmroku łazienki srebrzysty błysk, chyba na górnej półce, zaledwie trzydzieści czy czterdzieści centymetrów od mojej głowy. Uczepiłam się tego blasku, w mojej głowie kołatała tylko jedna myśl: nie poddam się. Nigdy. Nawet kiedy zabraknie mi tchu, będę zdolna dalej przyjmować ciosy.

Rozluźniłam mięśnie całego ciała i otworzyłam usta. Być może robiłam to ostatni raz. Do środka zaczęła mi wpływać woda, poczułam jakby skurcz, zrobiłam więc jedyne, co mogłam zrobić. Wbiłam zęby w przygniatającą mnie rękę z takim strachem i desperacją, że przecięłam skórę, porucznik krzyknął i puścił moją szyję, to był moment, ale wystarczyło, żebym wynurzyła głowę na powierzchnię i z trudem złapała oddech.

Kaszłąc, wstrząsana drgawkami, wyciągnęłam rękę w stronę błysku na półce, chwyciłam leżące tam małe nożyczki i jednym ruchem wbiłam je w szyję Moncady. Nie zdążył zareagować, stał przebiła mu gardło. Kiedy wyjęłam ostrze, z rany trysnął strumień krwi – pewnie przecięłam tętnicę. Ścisnęłam nożyczki w pięści i powtórzyłam cios, tym razem z większą siłą. Dźgałam z przodu w szyję, w pierś, w twarz, wyciągając je i wbijając.

Jak się później dowiedziałam, zadałam nożyczkami czterdzieści dwa ciosy, ostatnie zapewne wykrwawiającemu się trupowi. Robiłabym to dalej... Przerwałam dopiero wtedy, gdy zabrakło mi sił, nie wiedziałam nawet, czy on żyje, czy nie.

Przygniatało mnie ogromne nieruchome ciało, nasza krew mieszała się w wodzie, zabarwiając ją na ciemnoczerwono.

Z komórki ciągle leciała muzyka. „Klamra na jego szczękach” nabrała innego znaczenia niż to, które przypisywałam wyrażeniu do tej pory, bardziej dosłownego. Leżałam naga, ściskając w prawej dłoni nożyczki (podobno wypuściłam je dopiero po kilku godzinach), z rozbitą głową, krwawiąc, przywalona mężczyzną ważącym dwa razy tyle co ja. Woda przelewała się z wanny na podłogę łazienki. Próbowałam płakać, wyrzucić z siebie część bólu. Nie mogłam.

CZEŚĆ PIĄTA I OSTATNIA
MOWA KOŃCOWA

We wtorek dwudziestego dziewiątego sierpnia o siedemnastej termometry wskazały w Madrycie rekordowe prawie pięćdziesiąt stopni. Nigdy wcześniej w stolicy nie zanotowano tak wysokich temperatur. Pył z nad pustyni dotarł do miasta i siał spustoszenie; radzono nie opuszczać domów w ciągu dnia, jeżeli nie było to absolutnie konieczne. Oparłam się wygodnie i dotknęłam osłaniającego moją szyję kołnierza, by upewnić się, że rzepy nie puszczą w najmniej odpowiednim momencie.

Od straszliwej walki w wannie upłynęło niewiele ponad sześćdziesiąt godzin. Zostałam przesłuchana i zabrana do szpitala, moje mieszkanie zamieniono w miejsce zbrodni, wypełnili je inspektorzy policji, lekarze sądowi, biegli, pojawił się nawet sędzia śledczy Heredia: przechadzał się po moim przedpokoju, jakby oglądał jakąś jarmarczną atrakcję. Wszystko wydarzyło się szybko, pozostawiając we mnie uczucie pustki i nierealności. Dwa i pół dnia po całym zajściu wciąż trudno mi było wrócić do rzeczywistości, że się tak wyrażę.

Sędzia Barrios okazał wielką wyrozumiałość i serdeczność, kiedy dowiedział się, co mnie spotkało; nie tylko osobiście zainteresował się moim stanem zdrowia, ale też uprzejmie zaproponował, że odłoży wznowienie procesu na tak długo, jak będzie trzeba. Natychmiast odrzuciłam jego propozycję. Pojawiło się we mnie wspomnienie innego procesu przerwano z powodu zamachu, ożywiając we mnie ducha i determinację. Sześć lat wcześniej krwawy wybuch odsunął mnie od prowadzonej właśnie sprawy. Nie zamierzałam pozwolić, żeby to się powtórzyło. Za żadne skarby.

Bandaż na mojej głowie zasłaniał dziewięć szwów, miałam liczne stłuczenia, złamaną kostkę i nadgarstek, a na szyi nosiłam widoczny z odległości kilku kilometrów paradny kołnierz (który nie tylko trzymał w pionie moje kręgi, ale też zakrywał krwawe ślady i sińce). Poza tym byłam zdolna normalnie funkcjonować. Potrzebowałam tego. Nie chciałam wykorzystywać swojego wyglądu, żeby wzbudzać litość w przysięgłych –

jeśli coś takiego było w ogóle możliwe – ale nie zamierzałam się też ukrywać. Mogłam chodzić, mówić i myśleć. Nie chciałam odroczenia. Czułam wewnętrzną potrzebę kontynuowania mimo wszystko i jak najszybszego doprowadzenia sprawy do końca.

Tak więc w ten upalny wtorek znów spotkaliśmy się wszyscy na sali rozpraw. Fakt, że kluczowy świadek zaatakował mnie w moim własnym mieszkaniu, wbrew pozorom nie przechylił szali zwycięstwa na moją stronę. Proces toczył się dalej, a ja nadal nie byłam pewna, czy wygramy. Około piątej po południu prokurator Fernández kończyła przedstawiać swoje wnioski: puste, górnolotne słowa o dojrzałych decyzjach społeczeństwa i jego obywateli odbijały się od ścian i sufitu.

– ...nikt nie zmuszał Alejandra Tramela do tego, żeby grał, podobnie jak nikt nie zmuszał go do podjęcia innych niewłaściwych decyzji, jak zaciągnięcie kredytu przekraczającego jego finansowe możliwości, zdrada żony, śmiertelne pobicie dyrektora kasyna w Robredo, a wreszcie odebranie sobie życia. Były to błędne decyzje, które podjął sam, choć – co jest w pełni zrozumiałe – jego bliscy szukają kogoś, kogo mogliby obarczyć za nie winą.

Odwaliała brudną robotę za Barvera, Andermatta i spółkę. Nawet Pardo wydawał się zaskoczony tym pokazem pewności siebie ze strony dyskretnej Adeli, która do czasu odejścia Ginesa trzymała się na drugim planie. Niemniej tego popołudnia, kiedy przedstawiała końcowe wnioski, była znacznie bardziej elokwentna i pewna siebie. Może na ostatniej prostej postanowiła wreszcie zabrać się do roboty.

Pomimo fali upałów sala numer dwa Naczelnego Sądu Prowincji pękała w szwach. Kondensatory klimatyzacji zostały naprawione, opuściliśmy więc halę sportową i po weekendowej przerwie przenieśliśmy się z powrotem do właściwego budynku.

Przez cały poniedziałek i we wtorek rano zeznawali ostatni świadkowie obrony, wśród nich Sebastian Kowalczyk, który wzbudził największe zainteresowanie. Podczas krótkiej rozmowy przeprowadzonej przez Skype'a z Dominikany udało mu się wykazać, że nie ma nic wspólnego ze sprawą, którą się zajmujemy: zapewnił, że znał Alego bardzo słabo, chociaż był jego szwagrem, ponieważ praktycznie nie utrzymywał kontaktów z siostrą; zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek mu groził czy stosował wobec niego

przymus czy to we własnym imieniu, czy w imieniu firmy, dla której pracował; wyraził wątpliwość, czy to jego głos słyhać na nagraniach (choć otwarcie tego nie zanegował), i oczywiście potwierdził, że Gran Castilla to przykładowa instytucja, która zawsze postępowała we właściwy sposób. Jeśli zaś chodzi o jego przeniesienie na Karaiby, poprosił o nie dwa lata wcześniej i nie miało ono nic wspólnego z procesem. Z tego, co wiedział, oddelegowano go tam akurat teraz w związku z niedawną redukcją personelu, która dotknęła wielu pracowników i została podana do publicznej wiadomości.

Potem zeznawała Concha. Niechętnie – ale z podniesioną głową – opisała swoją relację z Alem, podając wszelkie szczegóły, o jakie ją proszono; odpowiadała na pytania adwokatów ostrożnie, może lekko spięta, ale nie zrobiła żadnego fałszywego kroku.

Jak było do przewidzenia, swoje pięć minut miał także Ignacio Cimadevilla. Udzielał dwuznacznych, niewnoszących niczego nowego odpowiedzi, uciekał się do ogólników na temat własnego zaangażowania na rzecz przestrzegania i zaostrażania międzynarodowych norm w przemyśle gier hazardowych. Swoim szorstkim, szepczącym głosem powtórzył jedynie to, co sobie przygotował, odpowiadając prawnikom krótkimi, nieprecyzyjnymi zdaniami i nie zdradzając tego, co naprawdę wiedział. Chciał mieć po prostu z głowy przesłuchanie. Opowiedział o swojej relacji z Heleną, wyjaśnił, że właśnie z tego powodu dzwonił do Alejandra, a nagrane rozmowy telefoniczne były rzekomo prywatnymi sprzeczkami bez związku z przedmiotem rozprawy. Chociaż widzieliśmy się wcześniej tylko raz, kiedy zadawałam mu pytania, patrzył na mnie tak, jakbyśmy byli parą starych znajomych, których łączy wiele wspólnych sekretów. Grubo się mylił, jeżeli naprawdę sądził, że zawarliśmy coś w rodzaju przymierza krwi. Jednym słowem, było to zupełnie nieistotne zeznanie.

Wreszcie w sali pojawiła się Consuelo, wdowa po Bernardzie Menendezie Ponsie, a wraz z nią duża dawka emocji i łez. Jej jedyne zadanie jako świadka polegało na zmiękczeniu przysięgłych, bowiem z prawnego punktu widzenia nie wniosła ani jednej nowej informacji.

Na zakończenie, kiedy przesłuchano już wszystkich świadków, przedstawiono przysięgłym dowody rzeczowe, które z tego czy innego powodu nie zostały zbadane przy okazji zeznań. Sędzia nalegał, żeby zrobić

to rzetelnie, zmarnowaliśmy więc kilka dobrych godzin.

Moim zdaniem od poniedziałkowego wznowienia procesu do momentu przedstawienia ostatecznych wniosków w sali rozpraw nie wydarzyło się nic istotnego, co zmieniłoby znacząco wcześniejsze ustalenia. Zadawaliśmy sobie z Barverem mocne ciosy, mierząc swoje siły, ale nikt nie wyszedł z tych potyczek z poważną raną.

– ...Gran Castilla to modelowa firma ze stuprocentowo hiszpańskim kapitałem, która tworzy miejsca pracy i bogaci nasz kraj, zawsze skrupulatnie przestrzegała prawa i przeznaczala znaczącą część zysków na Fundację na rzecz Odpowiedzialnej Gry. Nie można obarczać jej winą za odosobnione, nierozważne czyny dorosłego człowieka, niezależnie od tego, czy podoba nam się, czy nie działalność, którą prowadzi spółka i jej zarząd.

Prokurator gadała jak nawiedzona. Można było odnieść wrażenie, że nie tyle przedstawia swoje wnioski, ile pracuje na przyszłą posadę w radzie dyrektorów Gran Castilli. Czułam zażenowanie, kiedy jej słuchałam; miałam nadzieję, że nie ja jedna. Adela wykraczała poza swoje kompetencje, przedstawiała samą siebie jako gwaranta trwałości systemu sądowego, systemu, który część z nas próbuje obalić błahymi, interesownymi pozwami.

Wyłączyłam się na chwilę i spojrzałam na podłużne prostokątne okienko w głębi sali, za którym żarzyło się groźnie słońce. Podobno nocą miała się pojawić okazja zaobserwowania zjawiska atmosferycznego niespotykanego w mieście, powstałego w wyniku połączenia trzech elementów, które zwykle nie występują razem: pełni Księżyca, dużych ilości pyłu znad pustyni i wysokiego wskaźnika zanieczyszczenia powietrza, nietypowego o tej porze roku. Trąbiły o tym wszystkie środki przekazu, mówiono o pomarańczowej nocy, czymś w rodzaju pożaru na niebie. Fenomen nazwano berberem ze względu na afrykańskie pochodzenie. Nie wiedziałam, czy szykowało się apokaliptyczne widowisko warte obejrzenia, czy też lepiej było przeczekać je w jakimś bezpiecznym miejscu. Tak czy siak, miała to być wyjątkowa chwila, która na pewno nieprędko się powtórzy – może dopiero za kilka pokoleń.

– Na zakończenie – powiedziała Adela, podnosząc głos i kładąc szczególny nacisk na te ostatnie słowa – pragnę przypomnieć, że zmiana zdania prokuratury w kwestii wysokości kar ustalonych na początku

postępowania wiąże się tylko i wyłącznie z zeznaniami świadków oraz dowodami przedstawionymi przez strony podczas procesu. Z braku rozstrzygających, niezbitych argumentów, które świadczyłyby przeciwko oskarżonemu, wnioskujemy dla pana Emiliana Santonjy i Gran Castilli o całkowite uniewinnienie ze wszystkich postawionych w pozwie zarzutów, o co poprosiła również obrona. Bardzo dziękuję, Wysoki Sądzie.

Pomyślałam, że Fernández na pewno nie wygrała nigdy szkolnego konkursu debat. Nie musiała. To, co powiedziała, było bardzo proste i zrozumiałe dla każdego: oskarżeni to dobrzy ludzie, filary naszego społeczeństwa, ich jedyną zbrodnią jest posiadanie świetnie prosperującego interesu i oczywiście są niewinni. To wszystko. Nawet małe dziecko potrafiłoby to zrozumieć. Nie sądziłam, żeby przysięgli poczuli do niej szczególną sympatię, ale dotarło do nich jej przesłanie, które trzech obrońcy mieli za chwilę rozwinąć, pogłębić i ukazać w pełnym blasku.

– Pani kolej, pani mecenas – powiedział Barrios, wskazując w moją stronę.

Nadeszła długo wyczekiwana chwila. Okazja, żeby wystrzelić ostatni pocisk. Musiałam ją wykorzystać, w przeciwnym razie byłby to koniec. Odwróciłam się w stronę ławek dla publiczności: nie było gdzie szpilki wcisnąć, widocznie nikt nie chciał przegapić zakończenia procesu. Zobaczyłam wiele znajomych twarzy, zarówno z jednego obozu, jak i z drugiego, że się tak wyrażę. W trzecim rzędzie siedziała sędzia Huarte i zaciekawiona, wodziła wzrokiem po sali. Jej obecność dodała mi otuchy. W kącie w głębi dostrzegłam moich byłych współpracowników, Gerarda i Rondę. Wyglądali na nieco wystraszonych. Wydawało mi się, że chłopak chciał mi dyskretnie pomachać, kiedy zobaczył, że na nich patrzę. Nie widzieliśmy się, odkąd odeszli, by pracować dla Dos Rius. Szczerze mówiąc, na razie nie miałam specjalnej ochoty z nimi rozmawiać. Był także Andrés, kilku dziennikarzy, dalej prawnicy i asystenci obrony, Cristina Tomé, Barver junior, Francisco Arias i ich wspólnicy. Na skraju pierwszej ławki z lewej strony dostrzegłam charakterystyczne siwe włosy Ginesa Iglesiasa; jako że podczas procesu był praktycznie nieobecny, obowiązek przedstawienia końcowych wniosków przekazał Adeli. Podobno stan żony nadal był ciężki i nie zanosilo się na poprawę. Jego odejście było mi bardzo nie na rękę; ucieszyłam się, widząc go teraz na sali.

Oczywiście w pierwszym rzędzie siedziały Sofía, Concha i Helena, poważne, skupione, wyczekujące. Nie przejmowałam się, że je oszukałam (choć może trochę tak, zwłaszcza jeśli chodzi o Helenę), natomiast bałam się, że nie zdołam dobrać właściwych słów, które oddałyby sprawiedliwość Alemu. Nie chciałam wykorzystywać jego cierpienia, żeby kimkolwiek manipulować, pragnęłam opowiedzieć o nim w zwięzły, powściągliwy, a jednocześnie stanowczy sposób.

Poczułam, że ściska mnie w dołku. Miałam zrobić to ostatni raz, nie chciałam już nigdy więcej powtórzyć tego rytuału, postawić nogi w sądzie, przynajmniej jako adwokat. Poprawiłam togę przy kołnierzu ortopedycznym, posłałam poważne spojrzenie przysięgłej numer cztery, skinęłam głową i przysunęłam twarz do mikrofonu.

– Za pozwoleniem. Panie i panowie przysięgli, dziękuję państwu za uwagę podczas tych ostatnich dni i proszę o wybaczenie, jeżeli moje zachowanie albo słownictwo było dla państwa niezrozumiałe bądź nie na miejscu. Mam świadomość, że moje słowa nieraz mogły wydawać się zbyt porywcze i zapalczywe, przepraszam państwa za nie.

Przerwałam. Nie chciałam się spieszyć. Poza tym, jeśli mam być szczerą, wbrew temu, o czym zapewniałam sędziego, wcale nie byłam w dobrej formie fizycznej – zwłaszcza moja szyja protestowała przy każdym najmniejszym ruchu. Do tego powróciło gwizdanie w uchu; pewnie cios w głowę mi nie posłużył. Zwróciłam się do przysięgłego numer jeden i wytrzymałam jego spojrzenie. Nie był po mojej stronie, oboje o tym wiedzieliśmy, i właśnie dlatego postanowiłam skupić się na nim. Niezdecydowani mi nie wystarczali.

– Zamierzałam opowiedzieć państwu o dowodach – ciągnęłam ze wzrokiem utkwionym w byłego wojskowego – o ekspertach i biegłych, których państwo wysłuchali, o psychologach, o dewastujących skutkach uzależnienia od hazardu, o niemoralnych czynach, które tu osądzamy, o tym, jakie społeczeństwo chcemy zbudować i przekazać naszym dzieciom: czy takie, gdzie wielkie firmy z branży gier hazardowych robią, co im się żywnie podoba, czy inne, zdrowsze, gdzie nałożymy ograniczenia na ich pragnienie zysku. Jednak dziś rano, kiedy przeglądałam notatki do mojej końcowej mowy, zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę to wszystko jest znacznie prostsze.

Zrobiłam kolejną przerwę. Zamierzałam zrobić ich tyle, ile będzie trzeba, dla własnego zdrowia i po to, żeby uwypuklić tych kilka tez, które zamierzałam przedstawić podczas wystąpienia. Popiłam wody ze stojącej przede mną szklanki. Odwróciłam się. Przez chwilę spoglądałam na Emiliana Santonję. Tego popołudnia miał na sobie jasnoszary garnitur, białą koszulę i bladoniebieski krawat. Jak zwykle strasznie się pocił. Nawet ustawiona na maksa klimatyzacja nie powstrzymała wielkich kropel ściekających po jego czole, nosie, skapujących na drogi garnitur. Jego opalona (nadmiernie) skóra budziła we mnie niemal takie samo obrzydzenie jak jego wyniosłość. Nie okazał najmniejszej skruchy. Byłam przekonana, że adwokaci naciskali na niego w tej kwestii: miał się starać, żeby przysięgli zobaczyli w nim pełnego pokory człowieka. Ale jego duma i pewność siebie nie pozwalały mu udawać kogoś, kim nie był. Podniosłam rękę i wskazując na niego, odwróciłam się znów do mikrofonu.

– Wszystko sprowadza się, panie i panowie przysięgli, do bardzo prostego pytania. Czy głos z nagrań rozmów telefonicznych, których wysłuchaliśmy, jest czy nie jest głosem Emiliana Santonjy?

Znowu przerwałam, jakbym już skończyła. W zasadzie mogłabym tak zrobić, zadać to kluczowe pytanie i z rozważą się wycofać. Byłoby to efektowne posunięcie. Ale nie zamierzałam stosować dialektycznych sztuczek. Przeciwnie, przez kilka minut musiałam być sobą, zdobyć się na jak największą szczerłość wobec tych mężczyzn i kobiet.

– Jeżeli się nad tym dobrze zastanowić – kontynuowałam – w odpowiedzi na to pytanie zawierają się wszystkie niewiadome tej sprawy. Absolutnie wszystko zależy więc od tego, jak państwo na nie odpowiedzą. Jak zeznali świadkowie przesłuchiwanym podczas procesu, nauka nie może nieomylnie rozstrzygnąć tej kwestii. Ślad głosowy nie jest wskaźnikiem niezawodnym, co wielokrotnie podkreślała obrona. Żaden biegły na całym świecie nie może zidentyfikować głosu ze stuprocentową pewnością. Dlatego muszą to zrobić państwo. Kilka razy wysłuchali państwo osiemdziesięciu trzech nagrań, a podczas swoich obrad będą mogli ich wysłuchać jeszcze tyle razy, ile uznają za stosowne. Wysłuchali państwo w całości trzech rozmów, które oskarżenie przypisuje panu Emilianowi Santonja. Wysłuchali państwo także zeznań, które główny oskarżony złożył przed państwem tu, w tej sali. Prawdopodobnie będą mieli państwo okazję posłuchać go jeszcze raz, jeżeli

skorzysta z przysługującego mu prawa do ostatniego słowa na zakończenie procesu. Niech państwo mu się przyjrzą i zadadzą sobie tylko jedno pytanie: czy to ten sam człowiek, który na wysłuchanych przez nas nagraniach groził Alejandrowi Tramelowi, stosował wobec niego przymus lub wymuszenie rozbójnicze, albo namawiał go do popełnienia samobójstwa? Proszę nie oczekiwać, że którykolwiek z obecnych na tej sali prawników rozstrzygnie tę kwestię za was. Każdy powie co innego w zależności od tego, którą stronę reprezentuje. Państwo jednak nie potrzebują pomocy i tylko to się liczy. Jeżeli będą państwo ze sobą szczerzy, odpowiedź pojawi się sama – doskonale ją państwo znają. Czy to głos Emiliana Santonjy, prezesa grupy Gran Castilla, słyhać na nagraniach? Ja nie mam żadnych wątpliwości. Wiem, że państwo także ich nie mają.

Spojrzałam po kolei na przysięgłych – dziewięcioro oficjalnych członków ławy i dwie rezerwowe. Te ostatnie miały być na sali do momentu rozpoczęcia obrad; jeżeli nie wydarzyłoby się nic nieprzewidzianego, miały zostać zwolnione do domu. Na chwilę zatrzymywałam wzrok na każdym z członków, próbując go nakłonić, żeby naprawdę zadał sobie to pytanie. Krępująca cisza sprawiła, że Barver poruszył się na krześle. Nie odzywając się, usiłował wpłynąć na sędziego, żeby ten kazał mi kontynuować wystąpienie. Udałam, że tego nie widzę, i dalej bez pośpiechu lustrowałam przysięgłych, zatrzymując się na każdym z nich na tak długo, jak uznałam za stosowne, dopóki nie zyskałam pewności (na ile mogłam), że w jego głowie pojawia się znak zapytania.

Następnie wyciągnęłam z teczki kartkę i przebiegłam ją wzrokiem.

– Pozwolą państwo, że zacytuję dosłownie kilka zdań, które wypowiedział pan Santonja podczas rozmów telefonicznych przeprowadzonych z Alejandrem Tramelem: „Wiesz, co powinieneś zrobić, ty nieudaczniku? Wyskoczyć przez okno, skończyć z tym wszystkim raz na zawsze. Przysięgam, że jeśli tego nie zrobisz, zabiję cię”.

Na moment podniosłam wzrok, po czym przeczytałam kolejny fragment: „Przysięgam ci, że jeśli natychmiast nie wrócisz do kasyna, zabiję cię własnymi rękami”.

Zrobiłam kolejną przerwę i zacytowałam trzecie i (na razie) ostatnie zdanie: „Lepiej od razu strzel sobie w łeb”.

Uznałam, że tyle wystarczy. Nie chciałam ich zanudzać, powtarzając to, co słyszeli kilka dni wcześniej na nagraniach.

– Pytanie brzmi: czy to Emiliano Santonja powiedział to wszystko Alejandrowi Tramelowi? On czy nie on? Bo jeżeli odpowiedź jest twierdząca, nie ma żadnych wątpliwości: zarówno on prywatnie, jak i Gran Castilla są winni popełnienia przestępstw groźby karalnej, stosowania przymusu, wymuszenia rozbójniczego i namowy do samobójstwa, wszyscy to wyraźnie słyszeliśmy. Jeżeli odpowiedź jest twierdząca, człowiek, który za mną siedzi, powinien trafić do więzienia i zapłacić za to, co zrobił. Jeżeli odpowiedź jest twierdząca – a tylko państwo, panie i panowie przysięgli, możecie o tym zdecydować – nie ma tu nic więcej do dodania: odpowiedzialność karna jest jasna, jednoznaczna, bezsprzeczna. To oczywiste. Zaklinam państwa, żeby uczciwie odpowiedzieli sobie na kluczowe dla tego procesu pytanie, a znikną wszelkie wątpliwości. Wszyscy w tej sali doskonale wiemy, czyj głos słyhać na tych nagraniach. Wszyscy wiemy, że jeżeli człowiek, który cierpi na poważną chorobę zdiagnozowaną jako patologiczne uzależnienie od hazardu, który nawet szukał pomocy w specjalistycznym ośrodku, jest nieustannie poddawany presji, zastraszany i szantażowany przez tych samych ludzi, którzy pożyczają mu pieniądze po to, żeby dalej grał, to jest w tym coś głęboko perwersyjnego i niemoralnego. I rzecz jasna, jest to absolutnie bezprawne – o czym właśnie tutaj rozstrzygamy. Emiliano Santonja, kierując się własną korzyścią, przekroczył granice etyki i prawa i powinien za to zapłacić. To bardzo proste. Nikt nie ma co do tego wątpliwości. Ja to wiem. Państwo to wiedzą. I oczywiście on sam to wie, chociaż nigdy się do tego nie przyzna i chociaż w żadnym momencie nie powiedział, że jest mu przykro, nie okazał współczucia ani ofierze, ani wdowie i osieroconemu trzyletniemu dziecku. Wręcz przeciwnie, w swojej skrajnej bezczelności także wobec nich stosował nacisk. Widzieli państwo, jak bezkarnie groził mi na tej sali. Widzieli państwo, że przesiedział cały proces wygodnie rozparty, uśmiechnięty, jakby nieszczęście ofiary i bezradność jej bliskich były tylko drobną skazą na jego długiej karierze biznesmena, stratą uboczną. Bardzo proszę, by sami odpowiedzieli sobie państwo na to pytanie. A jeśli uznają państwo, że to jego głos słyhać na nagraniach, a w związku z tym że on sam jest winny stawianych mu zarzutów, niech go państwo powstrzymają, bardzo państwa proszę. Tylko

państwo mogą to zrobić. Proszę mi wybaczyć, że podchodzę do tego tak emocjonalnie, przepraszam, że nie potrafię ukryć swoich uczuć, zapewniam, że nie robię tego celowo... Stoją państwo przed historyczną szansą. Swoim werdyktem głośno i wyraźnie mogą państwo powiedzieć Emilianowi Santonja i całej branży gier hazardowych: dość już niszczenia bezbronnych ludzi, napełniania kieszeni kosztem cierpienia najsłabszych, koniec tego dobrego. Można to zmienić. Wszystko zależy od państwa. Proszę powiedzieć z ręką na sercu, czy naprawdę ktokolwiek z państwa ma wątpliwości co do tego, czyj głos słyhać na nagraniach?

Sędzia już chciał interweniować, ale się powstrzymał. Odczytałam to jako znak, że nie powinnam za bardzo się rozwodzić, że mój czas dobiegał końca. Przeszłam więc do dwóch ostatnich refleksji, którymi zamierzałam się podzielić.

– Jak doskonale państwu wiadomo, osiemdziesiąt trzy rozmowy telefoniczne, których wysłuchaliśmy w tej sali, zostały przeprowadzone przez pracowników kasyna w Robredo: szefa ochrony, dyrektora, kierownika sali i jednego z krupierów oraz szefów i wspólników firmy, Ignacia Cimadeville i Emiliana Santonję. To nie przypadek ani informacja bez znaczenia. Szefowie Gran Castilli systematycznie nękali Alejandra Tramela, myśląc wyłącznie o zyskach. Nie obchodziła ich ani jego choroba, ani astronomiczne długi, ani cierpienie jego i jego rodziny. Wycisnęli z niego wszystko, a kiedy nie mogli już wydrzeć nic więcej, odebrali mu ostatnią rzecz, jaka mu została: życie. Niezależnie od tego, jak zakończy się proces, mam nadzieję, że przynajmniej pozwoli on przypomnieć Gran Castilli i innym firmom z branży hazardowej, że są granice, że nawet jeśli firmy te zmiążdżą człowieka, ten ma prawo się bronić – i będzie to robić. Szefowie firmy nie przywykli, żeby ktokolwiek kwestionował ich hegemonistyczne i despotyczne postępowanie. My to uczyniliśmy w tym sądzie i nawet jeśli nie wygramy procesu, pokazaliśmy, jaką ścieżką należy podążać w sprawach takich jak ta, bo niestety nie jest to przypadek odosobniony. Coś takiego dzieje się nie pierwszy raz. I nie ostatni. Miejmy nadzieję, że chociaż po raz ostatni dzieje się bezkarnie.

Zbliżałam się do końca. Przynajmniej tu, w tej sali. Poza nią czekało mnie jeszcze w ciągu najbliższych godzin dużo roboty.

Przeglądając notatki, spostrzegłam leżącą na spodzie teczki kopię pisma,

którą wręczyła mi wdowa po Ortizie. W poniedziałek rano pokazałam ten dokument sędziemu i próbowałam go przekonać, żeby ostatniego dnia procesu pozwolił mi wspomnieć o sprawie Miguela Ortiza, powiedzieć przysięgłym o samozakazie, nagminnie łamanym przez kasyno. Przedstawiłam wszystkie niezbędne dokumenty, podpisany i opieczętowany wniosek złożony w Krajowej Komisji do spraw Hazardu oraz zestawienie późniejszych wizyt Ortiza w kasynie. Barrios stanowczo się sprzeciwił. Uznał, że ta sprawa nie ma bezpośredniego związku z pozwem, a przede wszystkim nie została poruszona podczas postępowania przygotowawczego. Oburzona wyjaśniłam, że te dokumenty trafiły w moje ręce dopiero niedawno, że przyniosłam je do sądu, gdy tylko potwierdziłam ich autentyczność. Sędzia pouczył mnie – jakbym była świeżo upieczoną studentką (i chyba nie bez satysfakcji) – że hiszpański system sądownictwa jest gwarantem nie tylko treści, ale też formy, że to niedopuszczalne i nie pozwoli, abym wykorzystała ten dokument podczas rozprawy, nie dając wcześniej obronie czasu na przygotowanie. Poza tym nie uważał, żeby miało to jakikolwiek związek ze sprawą. Zaprotestowałam, próbując wykazać wagę tych faktów. Stwierdziłam wyraźnie, że nie zamierzam składać nowego pozwu, przestępstwo uległo przedawnieniu, chciałam tylko, żeby przysięgli wiedzieli o nadużyciach, jakich kasyno w Robredo dopuściło się wobec klienta, który oficjalnie wnioskował o zakaz wstępu. Ustanawiało to precedens, świadczący o postawie moralnej jego kierownictwa, łamiącego prawo dla własnych korzyści. Sędzia zamknął temat stanowczym „nie”. Jeżeli w którymkolwiek momencie wspomniałabym o tym samozakazie, odebrałyby mi prawo głosu, a niewykluczone, że wyciągnąłby również poważniejsze konsekwencje. Mimo wszystko wahałam się, czy tego nie zrobić. Ze względu na wdowę po Miguelu Ortizie doszłam jednak do wniosku, że lepiej będzie to zostawić. Chociaż nie mogłam wykorzystać tej informacji podczas procesu, przynajmniej napędziłam strachu Gran Castilli, a co najważniejsze, zrozumiałam do końca, co działo się z moim bratem.

Dokument wykradzony w sobotę w nocy – zakaz, który nałożył na siebie Ale – trzymał w bezpiecznym miejscu M. Liczyłam na to, że jeżeli nie posłużę się nim podczas procesu, Gabriel nie zgłosi kradzieży. Ja nie pisnęłam ani słówka – miałam nadzieję, że dyrektor Almy zachowa się tak samo. Zamierzałam wykorzystać ten wniosek w inny, powiedzmy mniej

oficjalny sposób. Dlatego właśnie nie poinformowałam nikogo o jego istnieniu, nawet policji. A miałam taką możliwość w niedzielę podczas długich przesłuchań, jakim poddano mnie po drugim incydencie (dla jasności tak będę nazywać to, co mnie spotkało).

– Wysoki Sądzie, panie i panowie przysięgli – mówiłam dalej – doskonale pamiętam, jak pierwszego dnia powiedziałam państwu w tej oto sali, że zakładałam się o całą swoją reputację prawniczki, iż zanim skończy się proces, obrona będzie próbowała zawrzeć z nami ugodę. Nie chcę lekceważyć własnych słów, nie chcę też, by choć przez sekundę myśleli państwo, że o nich zapomniałam. Nawet jeśli miałam do tego pełne prawo, zważywszy na wydarzenia z ubiegłego tygodnia, w tym próbę zabójstwa podjętą przez jednego z głównych świadków, co, jak państwo doskonale rozumieją, nie było jedynie wypadkiem bez znaczenia. Mam pełną świadomość tego, co powiedziałam. W związku z tym kolejny raz muszę prosić państwa o wybaczenie. Myliłam się. Przegrałam zakład. Do dziś żaden z prawników obrony nie skontaktował się z nami, żeby zaproponować nam jakąkolwiek ugodę mającą na celu wycofanie pozwu. Taka jest prawda. Nie mam wyboru, przyznaję, że pomyliłam się w tej kwestii. I jestem gotowa zapłacić za to odpowiednią cenę. Przy okazji chciałam państwa poinformować, że w związku z tym, o czym przed chwilą wspomniałam, a także z innych powodów, w momencie, kiedy zapadnie wyrok i rozstrzygnięte zostaną ewentualne apelacje, wycofam się z praktyki adwokackiej. Na zawsze odwieszę togę. Skończyło się.

Po sali przeszedł szmer. Nie odwróciłam się w stronę Conchy i reszty, ale potrafiłam sobie doskonale wyobrazić ich zdumione miny.

– Jak pani zapewne wie, mecenas Tramel, to nie jest miejsce na takie deklaracje – ostrzegł mnie Barrios. – Proszę z łaski swojej powoli kończyć.

Skinęłam głowę. Miałam świadomość, że moje słowa nie spodobają się sędziemu; wykraczały poza protokół. Dlatego nie rozwodziłam się długo nad tą kwestią. Ale nie chciałam też pozostawiać żadnych niedomówień. Skoro pierwszego dnia złożyłam przysięgłym taką obietnicę, by w ten sposób skłonić tego i owego do pewnych przemyśleń (wciąż wierzyłam, że się one pojawiają), teraz nie mogłam pomijać jej milczeniem. Świetnie wiedziałam, że mają ją w pamięci.

– Mogą mi państwo wierzyć – mówiłam wciąż tym samym poważnym tonem – że długo zastanawiałam się nad tym, dlaczego oskarżeni nie podjęli tej próby porozumienia, według mnie pewnego. Co skłoniło ich do tego, żeby nie zaproponować nam żadnej ugody. Moim zdaniem powód jest tylko jeden: dzięki nieocenionej i niespodziewanej, w każdym razie dla mnie, pomocy prokuratury, oskarżony jest głęboko przekonany, że nie zostanie skazany, nie ma najmniejszych wątpliwości, że wyjdzie stąd oczyszczony z wszelkich zarzutów. Co nie powinno nas zaskakiwać, zważywszy na to, że mamy do czynienia z olbrzymią korporacją o niesplamionej kartotece, firmą, dla której pracują dziesiątki prawników. Tak, panie i panowie przysięgli, w ciągu czterdziestu lat działalności Gran Castilla otrzymała jedynie trzy grzywny za drobne wykroczenia, chociaż działa w tak delikatnej i grząskiej branży jak gry hazardowe. To nie do pomyślenia w sąsiednich krajach, fakt bez precedensu. Chcę im pogratulować: ani jednej kary, żadnego poważniejszego wykroczenia – to prawdziwy rekord. Czyż można się dziwić, że przy tak nieskazitelnej przeszłości zachowują absolutny spokój? Przywykli do tego, że mogą robić, co im się żywnie podoba, i nikt ich za to nie karze. Proszę przyjrzeć się panu Emilianowi Santonja, zwrócić uwagę na jego powściągliwość, flegmatyczność, jego wyluzowanie, że pozwolę sobie użyć kolokwialnego określenia. Jest spokojny, bo wie, że nic nie zagraża jego opaleniznie i jego drogim garniturom. Spójrzcie również na jego obrońcę siedzącego po mojej lewej stronie. Dlaczego mój kolega miałby proponować mi porozumienie, skoro pan Santonja jest pewny, że wyjdzie z tego procesu bez szwanku? Po co miałby za pomocą ugody próbować uchronić swojego klienta przed więzieniem, skoro wie, że on tam nie trafi? Nie zobaczymy na ich twarzach choćby cienia wątpliwości. Myliłam się: nie potrzebna im żadna ugoda z prywatnym oskarżeniem, nie muszą zasiadać do negocjacji. Otwarcie przyznaję się do błędu i jeszcze raz proszę wszystkich obecnych o wybaczenie. Przyjmijcie państwo moje przeprosiny.

Kiedy mogło się już wydawać, że skończyłam, kolejny raz z przykrością odwróciłam się w stronę oskarżonego.

– Nie ma pan żadnych wątpliwości co do werdyktu, panie Santonja? – zapytałam, po czym spojrzałam na Barvera i Andermatta. – Panowie także? Nie boją się panowie, że mimo wszelkich sztuczek mających na celu odwrócenie ich uwagi przysięgli wiedzą, czyj głos słyhać na tych

nagraniach oraz co tak naprawdę się wydarzyło?

W sali znowu rozległy się szepty dobiegające od strony ławek dla publiczności. Nie zmieniając pozycji, Barrios pośpiesznie włączył swój mikrofon.

– Pani mecenas – powiedział surowo – proszę nie zwracać się bezpośrednio do adwokatów. Proszę skończyć przedstawianie własnych wniosków. Daję pani dwie minuty, potem odbiorę pani głos. Bardzo dziękuję.

– Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie – odpowiedziałam natychmiast. – Tak, już kończę. Nie zrobię tego własnymi słowami. Nigdy nie wierzyłam w przypadki, ale one istnieją, co chwila się na nie natykamy, trzeba tylko uważnie się rozglądać. Dokładnie dziś mój zmarły brat Alejandro Tramel, główna – choć nie jedyna – ofiara w tym procesie, kończyłby czterdzieści jeden lat. Gdyby żył, dziś, dwudziestego dziewiątego sierpnia, obchodziłby urodziny. Wiemy już, że to nie jest możliwe. Chciałabym zakończyć swoje wystąpienie życzeniami, jakie złożył mu w taki dzień jak dziś właściciel firmy, której był winien ponad osiemset tysięcy euro. Kończę słowami pana Santonjy. Cytuję...

Ostrożnie wzięłam leżącą przede mną kartkę. Kolejny raz przebiegłam ją wzrokiem. Nieskończenie wiele razy czytałam i słyszałam te słowa. Mimo to nie musiałam niczego udawać. Ucisk w piersiach, oburzenie, wściekłość były całkowicie prawdziwe. Popiłam wody i postarałam się przeczytać głośno i wyraźnie, możliwie neutralnym tonem:

– „To mój prezent urodzinowy: nowe życie. Nowe życie, w którym nie będziesz nieudacznikiem ani balastem dla wszystkich, którzy cię znają, ani gnojkiem, ani miernotą, ani łajdakiem. Nowe życie, w którym po prostu usuwasz się z drogi. Znikasz. Na zawsze. Wiesz, co musisz zrobić”.

Wziął do ręki gruby marker i zaczął rysować diagram na olbrzymim, widocznym dla wszystkich arkuszu papieru przyczepionym do stojaka. Leopoldo Barrios niezwykle skrupulatnie przedstawił schemat pytań, na które mieli odpowiedzieć przysięgli. Było ich w sumie trzydzieści osiem: dwadzieścia sześć dotyczyło osobiście oskarżonego Emiliana Santonjy, dwanaście – firmy Gran Castilla. Z tych dwóch dużych działów sędzia wyodrębnił z kolei cztery grupy pytań, odpowiadające postawionym zarzutom.

– Bardzo ważne jest – napominał przysięgłych, rysując na papierze strzałki – żeby odpowiadali państwo na pytania po kolei, ponieważ jak sami państwo zobaczą, niektóre z nich wzajemnie się wykluczają.

Pytania zostały ułożone przez Barriosa, a następnie uzgodnione z obroną i oskarżeniem. Bez problemów osiągnęliśmy porozumienie. Pytania były proste, bezpośrednie i krótkie. Prawdopodobnie była to jedyna od początku procesu kwestia, przy której udało nam się praktycznie uniknąć rozbieżności. Pierwsze dotyczyło uczestników rozmów telefonicznych i brzmiało następująco:

Co się tyczy oskarżonego, pana Emiliana Santonjy Pereiry, w związku z przestępstwem groźby karalnej, „oskarżony co najmniej trzykrotnie dzwonił osobiście do pana Alejandra Tramela Hidalga” (okoliczność obciążająca). Udowodnione/Nieudowodnione. Jednogłośnie/Większością głosów.

Ten sam schemat powtarzał się przy reszcie pytań. W przypadku okoliczności obciążających dla oskarżonego – jak ta – wymagane było siedem lub więcej głosów, żeby uznać dany zarzut za „udowodniony”. „Nieudowodnienie” potrzebowało zaledwie pięciu głosów.

– W dyskusjach powinni uczestniczyć wszyscy – przypomniał Barrios przysięgłym, którzy z uwagą słuchali jego słów, wpatrując się w powstający

na ich oczach diagram. – Każdy z państwa musi odpowiedzieć na wszystkie pytania pod groźbą kary grzywny. Nie ma możliwości wstrzymania się od głosu. Odpowiedzi będą udzielane w kolejności alfabetycznej, każdą rundę zamyka przewodniczący. Do kolejnych zagadnień, oprócz odpowiedzi „udowodnione” lub „nieudowodnione”, powinni dołączyć państwo wykaz wskazówek i dowodów uzasadniających państwa decyzję, jak również wyjaśnienie, dlaczego wyciągnęli państwo takie, a nie inne wnioski. Będę bardzo wymagający, jeśli chodzi o argumentację. Proszę, by państwa odpowiedzi były wyczerpujące. Jeżeli uznam, że któraś z decyzji nie została podparta wystarczającymi argumentami, będę zmuszony poprosić państwa o ponowne jej przedyskutowanie i przedstawienie przekonującego uzasadnienia.

Wielu przysięgłych pilnie robiło notatki. Od początku wiedziałam, że w końcu poważnie potraktują swoje zadanie, a znużenie, jakie to wszystko mogło u niektórych wywoływać, z czasem przekształci się w pełne poczucie odpowiedzialności. Można to było wyczytać w ich oczach.

Prawnicy nie zabierali głosu podczas wystąpienia sędziego. Końcowe wnioski Barvera, Andermatta i Parda były krótkie i zwięzłe: wszyscy przywoływali względy finansowe, jakimi rzekomo kierowało się oskarżenie, oraz brak dostatecznych dowodów. Znowu rzucało się w oczy, że skoordynowali przemowy; każdy skupił się na innym z głównych filarów obrony, nie powtarzali argumentów, ale zręcznie się nimi wymieniali. A mianowicie: Gran Castilla i Santonja byli podporą kraju, tworzyli miejsca pracy i przyczyniali się do wzrostu bogactwa, płacili Skarbowi Państwa olbrzymie sumy, zasługiwali na wdzięczność, zawsze wypełniali swoje obowiązki. Alejandro Tramel podejmował decyzje samodzielnie, nikt go do niczego nie popychał, w dodatku był mordercą, który oszukał i porzucił swoją rodzinę. U podstaw pozwu leżało rozjątrenie i chęć wzbogacenia się na cudzym nieszczęściu, a żaden z postawionych zarzutów nie został oczywiście poparty podczas procesu niezbitymi dowodami; sprawa w ogóle nie powinna była trafić do sądu. Opinie takie – powtarzane z uporem, ubierane tylko w inne słowa i wypowiedzane innym tonem – stopniowo zapuszczały korzenie i w naturalny sposób stały się fundamentem argumentacji w końcowych wnioskach.

Nie dziwiło mnie też, że Emiliano Santonja zrezygnował z zabrania głosu

na zakończenie procesu. Oskarżonym przysługiwało takie prawo, jednak nie zawsze z niego korzystali. Zależało to od wielu czynników. W tym przypadku obrońcy byli w pełni świadomi, że Santonja nie budzi szczególnej sympatii – on sam także zdawał sobie z tego sprawę – lepiej więc, żeby pozostał na drugim planie. Oni mieli przemówić w jego imieniu.

– Kolejna ważna kwestia – ciągnął Barrios, patrząc wciąż na przysięgłych – dotyczy analizy dowodów i zeznań podczas obrad: niech państwo nie ufają własnej pamięci i wróć do nich. Mają państwo do dyspozycji wszystkie dowody i wszystkie zeznania. Proszę je wykorzystać.

Niektórzy, w tym przysięgła numer cztery, pokiwali głowami, potwierdzając, że tak właśnie zamierzali postąpić.

– Przypominam także, że nie są państwo ograniczeni czasem. Przy podejmowaniu decyzji proszę zachować cierpliwość i sumienność – podkreślił sędzia. – Zgodnie z prawem, jeżeli po upływie czterdziestu ośmiu godzin nie będą państwo mieli uzgodnionego werdyktu, zaproszę państwa do tej sali, żeby się dowiedzieć, co uniemożliwia osiągnięcie porozumienia. Nie oznacza to, że mają się państwo spieszyć. Proszę sumiennie wywiązać się z powierzonego zadania. Proszę zachować rozwagę, jednak na koniec podjąć ostateczną decyzję, a nie mnożyć coraz to nowe wątpliwości. Cięży na państwu wielka odpowiedzialność, ale jestem pewien, że jej państwo podołają. Z doświadczenia wiem, że często w momencie podejmowania decyzji pojawia się wahanie. Niech ono państwa nie paraliżuje. Jeżeli istnieją uzasadnione wątpliwości, zawsze należy je interpretować na korzyść oskarżonego. Żeby posunąć się naprzód, powinni państwo kierować się dokładnie tymi samymi zasadami, jakimi kierują się państwo w codziennym życiu. Skąd wiem, że mam pewność w tej czy innej kwestii? To bardzo proste, proszę oprzeć się na własnych kryteriach, nie na prawniczej argumentacji. Nie są państwo specjalistami i właśnie dlatego zostali państwo wybrani jako członkowie ławy przysięgłych. Proszę także pamiętać, że waga czynu nie ma nic wspólnego z winą czy niewinnością oskarżonego, to dwie różne sprawy.

Poczułam zazdrość, kiedy usłyszałam o czasie do namysłu, cierpliwości, nieopieraniu się na prawniczej argumentacji. Przypomniałam sobie dawne czasy, jeszcze sprzed studiów, kiedy marzyłam, żeby zostać członkiem ławy przysięgłych. Nie po to, żeby sędzić bliźnich, wręcz przeciwnie: chciałam

być jak Henry Fonda (niezapomniany przysięgły numer osiem) z *Dwunastu gniewnych ludzi* – sprawić, że reszta zmieni zdanie, że zobaczy światełko niewinności. Zmienić świat, ocalić ludzkość, pomóc uczynić naszą planetę lepszym miejscem do życia. Tylko tyle. Oddałabym wszystko, żeby odzyskać choćby cząstkę tamtych złudzeń, tamtej bojowości i – czemu nie – tamtej ambicji. Kiedy wyobraziłam sobie, że jestem na miejscu przysięgłych, poczułam nostalgię, ale także współczucie dla ludzi, których miałam przed sobą.

– Wreszcie dwie kwestie formalne – powiedział sędzia na zakończenie swojego wystąpienia. – Kiedy udadzą się państwo na obrady, przede wszystkim proszę wybrać przedstawiciela, który między innymi będzie udzielał głosu, kierował dyskusją, pilnował, żeby wszyscy brali w niej udział, a także odczyta werdykt. Zarówno w tej, jak i w innych kwestiach mogą państwo liczyć na pomoc sekretarz sądowej, która rozwiąże wszystkie państwa problemy. Po drugie, rzecz najważniejsza: po udzieleniu odpowiedzi na wszystkie pytania i należyтым ich uzasadnieniu na koniec muszą państwo zagłosować wspólnie nad tym, czy oskarżony jest winny postawionych mu zarzutów. Postąpią państwo według tych samych zasad co wcześniej, w związku z czym przypomnę o złożonej pierwszego dnia przysiędze. Zobowiązali się w niej państwo zachować bezstronność, przy podejmowaniu decyzji nie kierować się nienawiścią ani sympatią, opierać się na dowodach i zeznaniach, a po zakończeniu procesu trzymać w tajemnicy szczegóły obrad. Jak państwu wiadomo, nie będą mogli państwo zabrać ze sobą żadnego dokumentu. Muszą państwo wszystko zwrócić i zachować całkowitą dyskrecję.

Sędzia odchylił się na krześle, dając przysięgłym czas, by uświadomili sobie swoją odpowiedzialność, w świetle jego słów jeszcze wyraźniejszą.

– Dwie rezerwowe osoby mogą wrócić do domu; ich pomoc nie będzie nam już potrzebna – zaznaczył. – Dziewięcioro przysięgłych zostanie przewiezionych do hotelu, gdzie przygotowano specjalną salę na obrady i gdzie pozostaną państwo do momentu ustalenia werdyktu. Dopiero wówczas zostaną państwu zwrócone telefony komórkowe. W razie nagłego wypadku członek rodziny czy inna osoba, którą wskazali państwo jako kontakt, może dzwonić pod czynny całą dobę numer. Mogą państwo liczyć na wszelką pomoc. Z mojej strony to wszystko. Chciałbym podziękować

również za zaangażowanie i nienagane zachowanie podczas całego procesu. Obarczono państwa przykrym obowiązkiem, z którego doskonale się państwo wywiązali. Pragnę państwu pogratulować i życzyć, by na tym ostatnim etapie towarzyszyły państwu jasność umysłu i rozwaga. Bardzo dziękuję. Przysięgli mogą opuścić salę.

Dziewiątka wstała i wyszła w towarzystwie woźnej sądowej. Kiedy przechodzili między krzesłami, na próżno starałam się nawiązać kontakt wzrokowy z którymkolwiek z nich; nawet starsza pani nie odwróciła się w naszą stronę. Miałam wrażenie, że wolą uniknąć spoglądania na prawników; już wystarczająco się na nas napatrzyli. Teraz to oni grali pierwsze skrzypce. Chociaż byli dziewięciorgiem zupełnie różnych osób, wytworzyła się między nimi więź, widoczna w sposobie, w jaki na siebie patrzyli, w wymienianych na przerwach i świadczących o zażyłości uwagach. Stali się jakby jedną istotą o wielu głowach, połączoną jakąś niewidzialną nicią. W ciągu najbliższych dwóch dni ta więź miała się jeszcze bardziej zacieśnić. Udział w obradach był na ogół niepowtarzalnym przeżyciem, którego pamięć zachowywano do końca życia.

Kiedy przysięgła zamykająca pochód – młoda studentka inżynierii – opuściła salę, dyskretnie wyjęłam komórkę i włączyłam stoper. Był to dawny rytuał, przesąd niemal, z czasów, kiedy toczyłam wielkie batalie sądowe: sprawdzać, ile zajmą przysięgłym obrady. Kiedy występowałam w roli obrońcy, zakładałam, że im dłużej dyskutowali, tym perspektywy były lepsze. Zazwyczaj był to dobry znak, wskazujący na trudności z dojściem do porozumienia, a tym samym na większe szanse uniewinnienia. Choć oczywiście ta redukcjonistyczna teoria nie zawsze się sprawdzała. Tym razem stałam po drugiej stronie – po stronie oskarżenia, więc zgodnie z tą hipotezą mogłam się spodziewać, że im krócej im zejdzie, tym lepiej dla nas. Spojrzałam na stoper, na upływające na moich oczach sekundy, i z jakiegoś powodu ten prosty mechanizm dodał mi otuchy. Sędzia uprzedził nas, że mamy być pod telefonem, dyspozycyjni o każdej porze – bo kiedy przysięgli uzgodnią werdykt, zostaniemy natychmiast wezwani do sądu. To było wszystko. My także mogliśmy opuścić salę.

Wyszłam ostatnia. Nie miałam nastroju na pożegnania i wymuszone rozmowy, czułam, że dźwigam na barkach większe niż zwykle brzemie, ciężar związany nie (albo nie tylko) z uciskiem kołnierza i bólem po pobiciu.

Podjęłam wcześniej decyzję – być może błędną i dramatyczną – że nie zażyję żadnego środka uspokajającego, choć tym razem byłoby to uzasadnione. Wiedziałam, że jeśli zacznę, potem trudno mi będzie przerwać. Na moment zamknęłam oczy, przypomniały mi się ślady na szyi, szwy na głowie, złamana kostka. Ujrzałam w pamięci Moncadę, jak rzuca się na mnie, topi mnie w wannie, dusi, przyciska z całej siły. Poczułam zapach i smak krwi na nagim ciele. Drugi incydent był tak świeży, że jeszcze nie zdążyłam go przetrawić, utknął w pewnym punkcie między moim gardłem i żołądkiem i miał tam pozostać przez jakiś czas.

Kiedy w niedzielę rano, trzy, cztery godziny po zejściu Helena wróciła do domu i znalazła mnie w łazience, nadal leżałam uczipiona ciała porucznika. Przerazona zadzwoniła na policję i na pogotowie. Woda odpłynęła, podczas szarpaniny wypchnęliśmy korek. W wannie byliśmy tylko my dwoje, przesiąknięci krwią i innymi płynami. W pierwszej chwili Helena pomyślała, że ja też nie żyję. Można w to wierzyć lub nie, ale zasnęłam. Nie wiem, czy straciłam przytomność. Pamiętam tylko niekończącą się noc konwulsji i koszmarów, podczas której nie mogłam się ruszyć, aż poddałam się i po prostu zgasiałam wtedy światło w swojej głowie.

Otworzyłam oczy i wróciłam do rzeczywistości. Nadal siedziałam w sali rozpraw. Zostałam sama. Wyszli nawet urzędnicy. Miałam ochotę się położyć, tu, na tym długim stole, oderwać się od świata, zaczekać spokojnie, nieruchomo, aż za dwa dni wrócą przysięgli. Może to nie byłby wcale taki zły pomysł. Ale nie pozwoliłam sobie na to. Jeszcze tego dnia musiałam załatwić kilka ważnych spraw związanych z procesem; niektóre mogły mieć decydujące znaczenie. Nie żebym uważała się za niezastąpioną, ale akurat to musiałam zrobić sama.

Sięgnęłam po stojącą za moim krzesłem kulę i lekko utykając, opuściłam salę. Była to zwykła kula, jakie można zobaczyć w każdej przychodni, na pewno znacznie mniej pobudzająca wyobraźnię niż laska z główką z kości słoniowej, którą posługiwałam się kilka miesięcy wcześniej, za to bardziej praktyczna i pozbawiona emocjonalnych konotacji. Objuczona teczkami z mnóstwem rozmaitych dokumentów, powoli przeszłam korytarzem. Kiedy znalazłam się w szatni z togami, zobaczyłam, że – jak się spodziewałam – pozostali odwiesili już swoje i wyszli z sądu. W środku był tylko stary Jordi Barver. Wyglądał, jakby na mnie czekał. Szarmanckim gestem wyciągnął do

mnie rękę.

– Chciałbym pani pogratulować – powiedział. – Dobra robota.

– Pańska również – odpowiedziałam chłodno, krzywiąc się lekko. Nie mogłam uścisnąć mu dłoni z powodu kuli i teczek z papierami. Zrozumiał to i trochę speszony opuścił rękę.

– Mam nadzieję, że zmieni pani zdanie i nie zrezygnuje z występowania w sądzie – dodał fałszywie przyjaznym tonem. – Byłaby to dla wszystkich ogromna strata.

– Nie będę ukrywać, że generalnie rzecz biorąc, często zmieniam zdanie – przyznałam bez skrępowania. – Coś mi jednak mówi, że tym razem tak się nie stanie.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co zaszło w sobotę w pani mieszkaniu. Przesłałem pani list, ale nie miałem okazji powiedzieć tego osobiście.

– Dziękuję.

Może faktycznie nie chodziło mu o nic konkretnego i chciał jedynie zamienić ze mną kilka słów, zanim wbije mi nóż w plecy – który ukrywał, nieświadom, że wiem o jego istnieniu. Sprawiał wrażenie, jakby się rozkoszował wyczuwanym już rychłym zwycięstwem.

– Niezależnie od werdyktu – powiedział – zaszczytem było dla mnie móc stawić pani czoło. Mówię to zupełnie szczerze. Okazała się pani jednym z najtwardszych przeciwników, z jakim przyszło mi się zmierzyć.

Zrozumiałam, że w głębi duszy na swój sposób było mu mnie żal. Zwracał się do mnie tym paternalistycznym, pobłażliwym tonem z jednego tylko powodu: ponieważ się niczym nie denerwował.

– Jest pan pewien, że pan wygra – mruknęłam. – Prawda?

– Proszę mnie zrozumieć, nie chodzi specjalnie o panią. Wygrałem wszystkie sprawy, jakie kiedykolwiek prowadziłem. Bez wyjątku. W ciągu ponad trzydziestu lat nie przegrałem ani jednego procesu. Może powinienem był to pani od razu powiedzieć.

– Przyznam szczerze, że ja owszem, przegrywałam, i to niejednym razem. Moim zdaniem, żeby stać się dobrym prawnikiem, dobrym człowiekiem, skoro już przy tym jesteśmy, trzeba posmakować porażki. W przeciwnym

razie można zamienić się w zaślepionego dumą zarozumialca, który tylko przegląda się w lustrze. Aż któregoś dnia zda sobie nagle sprawę, że żyje w zamkniętym świecie, kompletnie oderwany od rzeczywistości, i że już jest za późno. Natomiast porażka osadza w rzeczywistości. Ale, jak mówię, to tylko moje skromne zdanie.

– Oboje wiemy, że skromność nie jest pani mocną stroną, pani Tramel.

Nie zamierzałam kontynuować tej absurdalnej dialektycznej potyczki, która do niczego nie prowadziła, na dodatek z gościem, którym gardziłam i którego miałam ochotę posłać do diabła. Odłożyłam teczki na ławkę i podeszłam do stojącego w kącie szatni wieszaka. Oparłam kulę o ścianę i zaczęłam zdejmować togę. Niezgrabny kołnierz nie ułatwiał mi zadania.

– Lepiej wyjdę, żeby mogła się pani spokojnie przebrać – powiedział Barver. – Powodzenia, pani mecenas.

Obserwowałam kątem oka, jak niespiesznie opuszcza pomieszczenie, może czekając na moje ostatnie słowo. Nie zamierzałam mu odpowiadać; mógł sobie iść, kiedy i dokąd chciał.

Usłyszałam jego oddalające się kroki. Powoli odpięłam kołnierz, starając się nie wykonać żadnego gwałtownego ruchu. Tego dnia wyjątkowo przypadła mi w udziale względnie nowa toga. Może z okazji ostatniego dnia procesu ktoś postanowił przydzielić mi jedną z tych, które Sąd Prowincji zakupił na nowy sezon. A może to tylko przez przypadek trafiła mi się jedna z nowszych. Nieważne, ucieszyłam się, że jest miła w dotyku i że nawet ładnie pachnie. Przeciągnęłam palcami po haftowanym obramowaniu, przez kilka sekund dotykałam cienkich nitek na materiale, pewnie odwlekałam moment wyjścia z sądu i zmierzenia się z czekającym mnie zadaniem. Stałam tak odwrócona plecami do drzwi, kiedy czyjś niski, donośny głos wyrwał mnie z rozmyślań.

– Ponoć przysięgli jedli ci z ręki.

Odwróciłam się powoli. W progu stała ostatnia osoba, jaką – z różnych względów – spodziewałabym się zobaczyć w sądzie. Był poważny, w ustach trzymał niezapalonego papierosa, oddychał ciężko. Może Alfredo Friman vel Argentyńczyk wszedł po schodach; przy jego nadwadze taki wyczyn równałby się przebiegnięciu maratonu. Dyszał, jakby miał zaraz dostać zawału.

– Podobno twoja końcowa przemowa, czy jak to się nazywa, była błyskotliwa. Zjednałaś sobie przysięgłych. To znaczy, że wygramy, prawda?
– dodał, z trudem łapiąc powietrze.

Wyglądało na to, że tego popołudnia w szatni z togami spotyka się sama śmietanka.

– Przysięgam ci, że nie mam zielonego pojęcia, co postanowią przysięgli – odpowiedziałam szczerze i wyrzesałam na korytarz, żeby sprawdzić, czy ktoś nas nie widzi. – Obawiam się, że zostałeś źle poinformowany. Jak prawie zawsze, walka była wyrównana do samego końca. Teraz losy procesu zależą od decyzji dziewięciu osób pełnych uprzedzeń, targanych sprzecznościami i wątpliwościami – które zresztą ma każdy z nas. Myślę, że w tej chwili nikt, nawet oni sami, nie wie, jaki będzie ostateczny werdykt.

Argentyńczyk zamknął za sobą drzwi i zaczął się rozglądać po pokoju jak dziecko.

– Nigdy nie byłem w takim miejscu – powiedział cicho. – Po co to całe ubieranie na czarno: żeby napędzić ludziom strachu?

– Chociaż niektórzy mają cię za pozbawionego skrupułów mafiosa, z niezrozumiałych powodów czuję do ciebie sympatię – przyznałam. – Niestety nie powinno cię tu być, nie możemy pokazywać się razem w sądzie. Poza tym, może się zdziwisz, ale żeby móc wejść do tej sali, trzeba wcześniej poświęcić kilka lat na naukę i skończyć studia.

– Ja tylko na chwilkę – odpowiedział, ignorując moje słowa.

Zdjęłam do końca togę i odwiesiłam ją na wieszak. Friman wyglądał na zaaferowanego. Spojrzał na mnie i zapytał wprost:

– Wiesz, kto to był?

Z trudem odwróciłam głowę, próbując zrozumieć, o co mu chodzi.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Dziś po południu do willi wpadła Brygada. Rozwalili mi partię. Zabrali wszystko. Pieniądze, żetony, sukna, karty. Inaczej niż przy poprzednich razach. Byli świetnie poinformowani. Wezwali mnie do złożenia zeznań i zabezpieczyli dom taśmą. Powiesili na drzwiach zawiadomienie z sądu. Przez wszystkie te lata nigdy nic takiego mnie nie spotkało.

Wyglądało na to, że Friman będzie musiał zapłacić za to, że mi pomógł.

– Domyślam się, że macki Gran Castilli sięgają bardzo daleko – odpowiedziałam.

– Wy, Tramelowie, macie talent do komplikowania wszystkiego, czego się tkniecie – stwierdził z westchnieniem. – Powinienem być wcześniej o tym pomyśleć. Chociaż żadne z nas nie pisało słówkiem o naszej umowie, w końcu ludzie się dowiedzieli. Już ci to kiedyś mówiłem: wcześniej czy później każdy się wygada.

Sprawiał wrażenie naprawdę przygnębitego. Przypominał mi zranione zwierzę. Sapnął i zamilkł.

– Nie mogę ci w żaden sposób pomóc – powiedziałam. – I żeby była jasność: nie będę płakać z powodu zamknięcia szulerni. Może to znak od losu, że powinieneś zmienić zawód.

– Nie potrafię robić nic innego – odparł. – I owszem, możesz mi pomóc. Musisz poprowadzić sprawę, żeby wszystkiego mi nie skonfiskowali.

– Chcesz, żebym była twoim adwokatem? – zapytałam, upewniając się, że dobrze zrozumiałam.

– Tak naprawdę proszę cię o to już drugi raz. A nie należę do osób, które skomlą o pomoc. Pomyśl sama: jesteśmy współnikami, musimy sobie nawzajem pomagać.

– Z całym szacunkiem, Alfredo, ale daleko nam do bycia współnikami.

Sytuacja była niezręczna dla nas obojga. Friman lamentował z powodu tego, co go spotkało, a ja nie zamierzałam ruszyć palcem, żeby rozwiązać jego problemy.

– Czegoś nie rozumiesz – nie dawał za wygraną. – Związałaś się ze mną w momencie, w którym wzięłaś torbę z pieniędzmi. Przekazałem ci cenną informację. Pożyczyłem ci kasę. Czy tego chcesz, czy nie, kiedy ja mam kłopoty, ty również je masz.

– Skoro mowa o kłopotach, nie wiem, czy się orientujesz, ale w ostatni weekend próbowano mnie zabić – rzuciłam. – Jeżeli rzeczywiście jesteśmy tak związani, jak mówisz, dziwi mnie, że nie zajrzałeś, żeby mi pomóc, kiedy twój przyjaciel porucznik mnie dusił.

– Ostrzegałem cię, że ten cały Moncada to drań.

– Nie daje mi spokoju jedno pytanie. Wiedziałeś o zamiarach porucznika? Wiedziałeś, że chce ze mną skończyć?

– Nie wiedziałem – odpowiedział natychmiast.

– Myślałam, że jesteś zawsze dobrze poinformowany.

– Najwyraźniej ostatnio nawalam. Nie wiedziałem, że ten skurwiel Santiago się na ciebie szykuje. Podobnie jak nie wiedziałem, że dziś po południu w willi zjawi się Brygada. Nie umiem tego udowodnić, ale chciałbym, żebyś mi uwierzyła.

Ten człowiek tak nawykł do oszukiwania, że nawet kiedy mówił prawdę, trudno było mu uwierzyć. Wolałam jednak mieć go po swojej stronie.

– Pomożesz mi w sądzie? – zapytał. – Proszę.

– Słyszałam, że pomogłeś mojemu bratu w najgorszych chwilach – powiedziałam. – I choć wydaje mi się to nieprawdopodobne, ponoć nawet nieraz próbowałeś go przekonać, żeby przestał grać. Masz mój szacunek. Ale nie mogę być twoim adwokatem. Z kilku powodów. Każdy wie, że zaangażowanie się w twoją sprawę, zanim sąd rozstrzygnie apelację w procesie przeciwko Gran Castilli, w którym zresztą jesteś świadkiem, wzbudziłoby poważne wątpliwości natury etycznej, a to wszystko może się jeszcze długo ciągnąć. Poza tym, chociaż cię rozumiem, nie przyłożę ręki do tego, żeby utrzymać nielegalny klub pokerowy, wybij to sobie z głowy. Ostatni, choć równie ważny argument jest taki, że się wycofuję. Kończę swoją działalność.

– Przykro mi z tego powodu.

– Na pewno znajdziesz kogoś, kto ci pomoże – podsumowałam. – Muszę już iść, czekają na mnie.

Pochyliłam się, żeby podnieść teczkę.

– Jeszcze jedno – dodał. – Nie lubię rozmawiać o pieniądzach. Ale po tym, co spotkało mnie dziś po południu, znalazłem się w trudnej sytuacji. Teraz to ja potrzebuję gotówki. Pomyślałem, że może mogłabyś spłacić mi wcześniej część pożyczki.

Tego się nie spodziewałam.

– Przykro mi, ale jestem spłukana – powiedziałam. – Nasza umowa nadal obowiązuje, możesz być pewien, że cokolwiek się stanie, za rok oddam ci

czterdzieści tysięcy. Jeżeli sędzia uwzględni w wyroku odszkodowanie, powiedzmy, że wpadnie ci jeszcze bonus, dziesięć procent zasądzonej kwoty. Dostaniesz pieniądze, kiedy tylko trafią w nasze ręce; niestety – i odnosi się to do nas wszystkich – może to trochę trwać. Na razie nie mogę ci powiedzieć nic innego.

Wydał z siebie gardłowy dźwięk, który powstał w jakimś miejscu jego udręczonej duszy, przeszedł przez krtań i wydobył się na zewnątrz przez na wpół przymknięte usta.

W żadnym razie nie żałowałam, że skorzystałam z jego pomocy, że ubiłam interes z kimś takim jak Argentyńczyk – facetem na pozór pozbawionym skrupułów. Wręcz przeciwnie, miałam wrażenie, że ja i Friman jeszcze się kiedyś spotkamy i że niekoniecznie będzie to przykre spotkanie. Byłam pewna, że chociaż nie mogę mu pomóc, jakoś da sobie radę.

– Posiedzę jeszcze chwilę w tej sali z togami, jeśli nikt mnie nie wyrzuci – oznajmił. – To wystarczająco dziwne miejsce, żeby móc się spokojnie zastanowić nad swoją sytuacją.

Usiadł na ławce i oparł się plecami o ścianę, przygnębiony, zamyślony.

– Może będę musiał otworzyć notes z nazwiskami dawnych dłużników – zamruczał. – W tym mieście jest mnóstwo ludzi, którzy wiszą mi pieniądze, jak choćby Perelló, nie wiem, czy go pamiętasz. Kilku innych też ulotniło się bez płacenia. Może czas wyegzekwować stare długi.

– Jeśli mogę ci coś radzić: uważaj z grzebaniem w przeszłości. To zwykle powoduje niepotrzebne komplikacje – wtrąciłam. – Dam ci znać, co z procesem.

Podpierając się kulą, przeszłam bardzo blisko niego. Jak to mam w zwyczaju, mocno pchnęłam drzwi i oddaliłam się bez pożegnania.

Wyrzałam przez szybę. Chevrolet wspinał się lokalną drogą na wzniesienie w okolicach El Pardo, kilka kilometrów za Madrytem. W pomarańczowawych ciemnościach rysowały się stuletnie drzewa oliwne. Prognoza pogody się sprawdziła: noc była niezwykła, spowijał nas pył znad pustyni. Nie jechałam tą trasą od lat, od czasu studiów. Wtedy znałam tu kilka bocznych dróg, w które skręcałam samochodem ze swoimi kolejnymi chłopakami. Do tej pory pamiętam tamte chwile, niezapomniany, nieudolny, zachłanny seks. W miarę jak posuwaliśmy się naprzód, wydawało mi się, że rozpoznaję niektóre z tych ustronnych miejsc, chociaż minęło tyle lat, że nie byłam już pewna.

– Dojeżdżamy – ogłosił M. zza kierownicy.

Siedziałam obok niego przypięta pasem bezpieczeństwa, głaszcząc dwie koperty na kolanach. Przed nami, na zakręcie szosy pod drzewami, znajdowało się coś w rodzaju punktu widokowego. Samochód zjechał z drogi i zatrzymał się przy dębie. Detektyw wyłączył silnik, zostawiając zapalone światła. To ja zaproponowałam to miejsce za miastem, z dala od oczu ciekawskich. Później M. uzgodnił warunki i dokładny termin spotkania. Jeśli pojawiłby się ktoś jeszcze, nie pozostałby niezauważony.

– Myślisz, że dobrze robię? – zapytałam.

Wydał z siebie jakiś niezrozumiały dźwięk.

– Nie wyskakuj mi z tym teraz – odparł.

Spojrzałam na zegar na desce rozdzielczej: za dwie dwunasta.

– Masz rację, przepraszam – powiedziałam. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Dzieje się to, że wykiwałaś swoją najlepszą przyjaciółkę, swoją współpracowniczkę i wdowę po swoim bracie. Jedyne osoby, które ci zaufały. Możesz udawać twardzielkę i powtarzać sobie, że zrobiłaś to w obronie

własnej i dla ich dobra, ale wiesz, że to zdrada na całej linii.

– Nie musisz być taki szczery – przerwałam mu.

– W takim razie nie pytaj, szefowo.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę – powiedziałam cicho – ale jesteś jedyną osobą, której nie okłamałam i przed którą niczego nie ukrywałam w całej tej historii.

– Byłbym zaszczycony, gdyby nie kilka drobiazków – odparował. – Wcale nie zrobiłaś tego przez lojalność, ale dlatego że nie musiałaś. Okłamałabyś mnie bez mrugnięcia okiem, gdyby wymagała tego sprawa. I dlatego że wiesz, że nasz układ jest jasny: ty płacisz, ja wykonuję swoją robotę. Nic więcej.

– Myślałam, że w głębi duszy jesteś we mnie bez pamięci zakochany. W największej głębi.

– Tak, a ja myślałem, że tej nocy nastąpi koniec świata.

Popatrzyliśmy na siebie. W ciągu tych wszystkich lat M. nigdy mnie nie zawiódł, czego nie mogłam powiedzieć o wielu ludziach. Miał rację: niczego przed nim nie ukrywałam, bo nie musiałam. Poczułam, że uwiera mnie kołnierz. Przesunęłam palcem po jego krawędzi i poruszyłam szyją, szukając ulgi. Byłam bardzo zmęczona. Miałam dość tajemnic, półprawd, świadomości, że nie jestem czysta, że nie ufam absolutnie nikomu, poczuwając od siebie samej. Obiecałam sobie, że kiedy to wszystko się skończy, będzie inaczej. Postanowiłam, że niezależnie od tego, co się stanie, zacznę nowe życie, przez które będę iść z sercem na dłoni, bez dwuznaczności, bez sekretów. Miałam tylko nadzieję, że nie skończy się tak jak z noworocznymi postanowieniami typu: chodzić na siłownię, uczyć się języków, odstawić alkohol i tabletki, zapomnieć o dwudziestoletnich chłopakach – obietnicami, które tyle razy sobie składałam i których zwykle nie dotrzymywałam.

– Rozejrzę się trochę – powiedziałam.

Kiedy otworzyłam drzwi samochodu, w twarz uderzył mnie upał, jakby cząsteczki powietrza zamieniły się w ciała stałe. Berberyjska aura w całej okazałości. Położyłam kulę na ziemi i z trudem wysiadłam. Zeszłam kilka metrów do krawędzi punktu widokowego. Pod stopami miałam strome

zbocze, dość głęboki parów. Podniosłam wzrok, a na horyzoncie ujrzałam kontury miasta. Rozmazane światła mrugały za niesamowitą szaropomarańczową zasłoną, która powstała z połączenia dużych ilości pustynnego piasku i zanieczyszczonego powietrza rozświetlonego blaskiem księżyca w pełni. Żarzył się jak kilka godzin wcześniej słońce. Widoczne po lewej stronie cztery wieżowce przy alei Castellana królowały nad resztą budynków. Pod nimi rozciągała się rozległa, poprzecinana ulicami i alejami przestrzeń, przechodząca w lasek El Pardo. Pomyślałam, że M. ma rację: ten gęsty upał, to ogniste nocne niebo, ten widok miasta, które zaraz zostanie pochłonięte przez własne trujące wyziewy, mogą oznaczać tylko zbliżający się koniec świata.

Czułam, że chętnie kontemplowałabym dłużej roztaczający się przede mną krajobraz. Nie należę do osób, które zbierają pamiątki – nigdy nie gromadziłam książek, zdjęć ani innych przedmiotów – ale przyznam, że miałam ochotę uwiecznić odbywające się na moich oczach widowisko. Było dostatecznie mętne, dekadentkie i niezwykle, żeby pobudzić mój osobliwy (przyznaję to) zmysł estetyczny. Nagle światła samochodu wyrwały mnie z zamyślenia i przywróciły do rzeczywistości.

Pistacjowozielony bentley z przyciemnionymi szybami pokonał dziesięć metrów dzielących boczną drogę od punktu widokowego. Luksusowy model Mulsanne ekskluzywnej brytyjskiej marki, z dwoma posrebrzаныmi skrzydełkami dumnie sterczącymi z maski, pretensjonalny i szpanerski, doskonale pasował do swojego właściciela. Zatrzymał się na wprost miejsca, w którym stał M. Uniosłam dłoń, żeby osłonić oczy przed światłem oślepiających mnie reflektorów. Domyśliłam się, że jestem obserwowana ze środka auta. Od strony pasażera wysiadł duży facet w czarnym garniturze i czarnym krawacie. Otworzył tylne drzwi. Czekał nieruchomo przez dobrą chwilę, nie zmieniając pozycji. W końcu z samochodu wyłoniła się charakterystyczna sylwetka Emiliana Santonjy. Na jego twarzy malował się nieprzyjemny grymas.

W ciągu ostatnich miesięcy musieliśmy wbrew naszej woli przestawać ze sobą w czasie przesłuchań, w sądach i urzędach, wymienialiśmy oskarżenia, ciosy, próbując przechylić szalę procesu na swoją stronę. Ale tej nocy było inaczej. Nie mogę powiedzieć, że z utęsknieniem czekałam na to spotkanie, ale nie zaprzeczę, że byłam ciekawa, jaki Santonja jest prywatnie, z dala od

towarzyszących procesowi reflektorów.

Rozejrzał się, jakby szacował ewentualne ryzyko, po czym szepnął coś towarzyszącemu mu mężczyźnie, który tylko skinął głową. Wreszcie ruszył niechętnie w moją stronę, powłócząc nogami. Bardziej niż kiedykolwiek przypominał mi wyglądem ponurego grabarza dla bogaczy.

– Jest za gorąco, a ja jestem za stary, żeby się umawiać na schadzki o północy – wymamrotał i otarł chusteczką kąciuki ust.

– Dziękuję, że pan przyszedł – powiedziałam.

– Pani człowiek skontaktował się z moim – podsumował – więc jestem. Pani detektyw był bardzo przekonujący, może powinienem go zatrudnić.

Spotkanie zorganizował M. Skontaktował się z jednym z ochroniarzy Santonjy i poprosił o spotkanie sam na sam, w całkowitej dyskrecji. Czasami najmniej spodziewane okazuje się to, co najprostsze. I nie był to jedyny udany zakulisowy ruch, jaki wykonał w ciągu ostatnich godzin mój drogi detektyw.

– Nie poinformowałem o tym spotkaniu moich adwokatów – ciągnął wielki Czyngis-chan. – Także w tej kwestii pani posłuchałem. Mam nadzieję, że było warto. Ma pani pięć minut, żeby wyjaśnić mi, co tutaj robię. Potem, niezależnie od pani słów, odjadę tą samą drogą, którą przyjechałem.

– Zamierzałam zaproponować panu, żebyśmy postali tu chwilę w milczeniu i popatrzyli na to widowisko – wskazałam rozciągające się przed nami miasto. – Proszę pomyśleć, cóż za paradoks: pan i ja stoimy na pagórku w ustronnym miejscu i napawamy się krajobrazem. Moglibyśmy nawet wziąć się za ręce.

Rzucił mi niezbyt przyjazne, powiedziałabym nawet: współczujące spojrzenie. Widać nie doceniał mojego poczucia humoru. Nie miałam do niego o to żalu.

– Pomińmy ten punkt – dodałam. – Przejdźmy do rzeczy.

– Będę wdzięczny.

– Spróbuję wytłumaczyć panu sytuację w możliwie najprostszy sposób. Dokładnie w tej chwili zdradzają nas osoby, do których mamy pełne zaufanie. Zarówno pana, jak i mnie. To przykre, że najbliżsi nam ludzie działają za naszymi plecami, choć niestety jest to zjawisko powszechne.

Mówię bardzo poważnie, bez sarkazmu.

– Nie wiem, co pani ma na myśli.

– Zaraz wytłumaczę. Proszę pozwolić, że dokończę, zanim wyciągnie pan pochopne wnioski. Będę się streszczać. Potem sam pan zdecyduje, czy chce pan, żebyśmy dalej rozmawiali i poszukali jakiegoś rozwiązania, czy też nie jest pan zainteresowany.

Kiwnął głową bez przekonania. Nie podobało mu się, że jest tu ze mną. W tej kwestii – i zapewne tylko w tej – byliśmy zgodni.

– Jutro o dziewiątej rano w biurze Barver & Ambrosía odbędzie się spotkanie, o którym nie zostaliśmy poinformowani ani pan, ani ja. Po jednej stronie stołu zasiądą moja współpracowniczka Concha Andújar, reprezentująca naszą kancelarię, i moja klientka Helena Kowalczyk. Po drugiej – pański wspólnik Ignacio Cimadevilla i kilku adwokatów, wśród nich oczywiście Jordi Barver. Doszli do porozumienia: wycofają pozew przeciwko Gran Castilli, powołując się na brak dowodów, jakoby ktokolwiek nękał Alejandra Tramela w imieniu firmy. Pozew przeciwko panu naturalnie zostaje.

Oczy Emiliana Santonjy, może dlatego że odbijało się w nich pomarańczowe światło, wydawały się zmieniać kolor, a oddech rytm.

– Nie wie pani, o czym mówi – odparł. – To niemożliwe.

– Cimadevilla uzyskał poparcie innych udziałowców, żeby pana wykosić; to dopiero pierwszy krok do odebrania panu firmy. A Barver uznał najwyraźniej, że powinien być lojalny wobec spółki, która opłaca jego wysokie honorarium, a nie wobec konkretnej osoby, nawet jeśli jest to ktoś, kogo zna od lat. Jak pan się domyśla, niewiele mnie to obchodzi. Ale ze mną również nikt nie konsultował tego porozumienia. Zawarto je za moimi plecami, ponieważ wiadomo było, że bym się na nie nie zgodziła.

– Jak się pani dowiedziała?

– Wykorzystuję swoje skąpe fundusze na opłacenie najlepszego detektywa, jakiego znam – odparłam. – Ten człowiek dobrze wykonał swoją robotę. Chociaż muszę przyznać, że nie wszystko jest jego zasługą. Powiedzmy, że w dużym stopniu sama sprowokowałam tę sytuację, dlatego nietrudno mi się było o wszystkim dowiedzieć, wytropić kontakty, a nawet dokładnie poznać warunki planowanej ugody. Jeżeli to pana interesuje,

pański drogi wspólnik zapłaci mojej klientce milion sześćset tysięcy euro w zamian za wycofanie pozwu przeciwko Gran Castilli, z czego połowę odzyska po spłaceniu długu mojego brata, który Helena uzna w umowie. Tak naprawdę nie płaci, żeby uwolnić się od procesu, choć pewnie między innymi po to. Jego celem jest przede wszystkim pokazać współudziałowcom, że on owszem, potrafi rozwiązywać problemy, a tym samym kierować firmą.

Zaczekałam, aż dotrą do niego moje słowa. Na pewno nie spodziewał się, że nasza rozmowa przybierze taki obrót.

– Myślałem, że na tym etapie procesu nie jest już możliwe żadne porozumienie – zaprotestował, próbując poskładać wszystko w całość.

– Faktycznie nie zdarza się to często – zgodziłam się – ale w wyjątkowych przypadkach jest możliwe. Po tym, jak zostaną przedstawione wszystkie dowody, strony mają prawo zmienić swoje wnioski, zażądać innej kary, a nawet zaniechać roszczeń. W tej sprawie dochodzi jeszcze fakt, że, jak panu doskonale wiadomo, prokuratura wycofała zarzuty, zostawiając wszystko w rękach oskarżenia prywatnego. Logicznie rzecz biorąc, sędzia powinien zaakceptować ugodę. Chociaż kiedy przysięgli wrócą na salę i zostanie odczytany werdykt, nie będzie już odwrotu.

Miałam wrażenie, że zaczyna do niego docierać, że może coś jest na rzeczy. Pocił się jeszcze bardziej niż zwykle, i to nie tylko z powodu spowijającej nas kalimy.

– Jeśli to, o czym pani mówi, jest prawdą, co za chwilę oczywiście sprawdzę – powiedział wzburzony – jeszcze tej nocy poleci kilka głów. Zanim wszędzie słońce, wszystko wróci do normy.

– Załatwi to pan w swoim stylu. Jeszcze raz powtórzę, że ta kwestia jest mi obojętna.

– Czego pani chce?

Doszliśmy do interesującego mnie punktu. Wyjęłam z kieszeni komórkę, dotknęłam ekranu i otworzyłam aplikację ze stoperem, który nadal odmierzał czas. Pokazałam mu go: spojrział z pogardą.

– Przysięgli wyszli na obrady dokładnie trzy godziny, czterdzieści trzy minuty i dwadzieścia sześć sekund temu, dwadzieścia siedem... dwadzieścia osiem... – powiedziałam, po czym wyłączyłam ekran. – Nie chcę pana

pouczać. Ta dziewiątka mężczyzn i kobiet pewnie zjadła razem kolację, może rozmawiali o nagraniach albo o innych szczegółach procesu. Proszę pamiętać, że siedzą zamknięci w hotelu i nie wyjdą stamtąd, dopóki nie podejmą decyzji. Są skupieni tylko na tym. Widział ich pan na sali, tak samo jak ja. Teraz nikt nas nie słucha i nie przemawiam, żeby zdobyć punkty, to nie jest część żadnej mojej strategii. Powiem panu otwarcie: nie mam pojęcia, co postanowią. I w tym właśnie problem. Nikt tego nie wie, zapewniam. Niezależnie od tego, co naopowiadali panu pańscy adwokaci, nie sposób przewidzieć ich werdyktu. Zwłaszcza w takiej sprawie jak ta. Szale są zrównoważone, że tak powiem. Na jednej leżą uczucia, emocje, wdowa z sierotą, nagrania rozmów – a wszyscy doskonale wiedzą, kto je przeprowadził – i odruchowa niechęć, jaką w przeciętnym obywatelu budzą wielkie korporacje, zwłaszcza z tak niesympatycznej branży jak hazard. Na drugiej zaś, przyznaję, starannie przygotowana, fachowa obrona poparta doskonałymi argumentami, która poważnie zakwestionowała dowody i autorstwo przestępstw i której udało się zasiać uzasadnione wątpliwości. Krótko mówiąc, żaden człowiek przebywający poza tym hotelem nie wie na pewno, jaki będzie końcowy werdykt w tej sprawie. Żaden.

– Założmy, że zgodzę się z tą hipotezą – potwierdził. – Do czego nas ona prowadzi?

– Do czegoś bardzo prostego. W interesie zarówno moim, jak i pana leży załatwienie tego między nami, a nie zdanie się na łaskę dziewięciu obcych ludzi.

Na jego twarzy pojawił się leciutki uśmiech. Pewnie po moich ostatnich słowach uznał, że wkroczyłam na jego teren, i to go uspokoiło.

– Chce pani, żebyśmy doszli do porozumienia? – zapytał z powagą, nie kryjąc zdziwienia ani radości.

Popatrzyłam w stronę samochodów. W chevroletcie nic się nie zmieniło: M. siedział z przodu i cierpliwie czekał – jak tyle razy wcześniej. Za to z bentleya wysiadł kierowca i razem z drugim facetem palili papierosy. Byli ubrani dokładnie tak samo, w szyte na miarę czarne garnitury. Przyglądali się nam z oddali, nie spuszczając z nas wzroku. Podniosłam rękę, próbując złagodzić ucisk kołnierza.

– Tak naprawdę od początku właśnie tego pani chciała. Ugody – wysunął

przypuszczenie Santonja. – Wiedziałem to, mnóstwo razy mówiłem o tym Barverowi. Ukrywała się pani pod maską świętoszki, krzyżowca walczącego o sprawiedliwość, ale chce pani tego, co wszyscy: pieniędzy.

– Niestety, muszę pana poprawić. Myli się pan co do jednego. Nie chcę pieniędzy.

– W takim razie czego?

– Chcę – i mam nadzieję, że pan to właściwie zrozumie – dużo pieniędzy – powiedziałam, kładąc nacisk na słowo „dużo”. – To wielka różnica.

Czułam, jak moje słowa wirują między cząsteczkami przywianymi znad pustyni, pokonują półtora metra dzielące mnie od Emiliana Santonjy i docierają do jego mózgu, który natychmiast zaczyna dokonywać rachunków. O jakiej sumie ona może mówić?

– Nieźle oszukała pani wszystkich w sądzie – mruknął. – Uważają panią za udęconą duszę, kogoś w rodzaju niezłomnego obrońcy prawa. A tak naprawdę po prostu nie dobiliśmy targu co do ceny.

– Niech pan to nazywa, jak chce, zapewniam pana, że nie mam moralnych rozterek. Przekazałam panu za darmo bardzo cenną informację o ugodzie przygotowywanej za pańskimi plecami, której celem jest odebranie panu firmy, a może także posłanie pana za kratki. Niech pan zrobi z tą informacją, co chce. To, co teraz powiem, nie będzie już za darmo. Po pierwsze, proponuję panu, że wycofam pozew w całości, nie tylko przeciwko Gran Castilli, ale także przeciwko panu prywatnie. Dzięki temu zapunktuje pan u wspólników, bo i firma, i jej szef zostaną oczyszczeni z zarzutów i unikną antyreklamy, jaką byłyby wyroki skazujące. Jeśli szybko się pan zakręci, jestem pewna, że w ciągu kilku godzin zdoła pan odzyskać kontrolę nad spółką, której chce pozbawić pana Cimadevilla. Poza tym uniknie pan więzienia, dokąd trafiłby pan, gdyby zapadł niekorzystny werdykt, a to też jest nie do pogardzenia. Wie pan, że jeśli skażą pana na więcej niż dwa lata, co, szczerze mówiąc, wcale by mnie nie zdziwiło, pójdzie pan siedzieć. Sędzia, jeżeli jutro rano otrzyma podpisaną przez nas ugodę, będzie zmuszony rozwiązać ławę przysięgłych i umorzyć postępowanie, choć pewnie nie będzie zachwycony. Oczywiście radzę nie rozmawiać o tym z Barverem do czasu, aż wszystko będzie przygotowane. Jestem pewna, że Latający Holender Andermatt zajmie się formalnościami, dopóki nie

zapanuje pan nad współnikami. Wtedy stary Jordi znowu stanie po pańskiej stronie. Wie pan, jak to jest z lojalnością, co ja będę panu opowiadać.

– Idźmy dalej – ponaglał mnie, jakby to, co mu do tej pory powiedziałam, już go przekonało i nie chciał tracić więcej czasu.

– Oprócz wycofania pozwu dodam w pakiecie coś jeszcze. Powiedziałabym, że coś bardzo istotnego.

Wręczyłam mu jedną z dwóch kopert, które miałam przy sobie. Otworzył ją pospiesznie. Zaczekałam chwilę, aż rzuci okiem na jej zawartość.

– Chodzi o oficjalny wniosek samozakazu wstępu do ośrodków gry. Zna go pan – wyjaśniłam. – Jak pan widzi, został podpisany przez Alejandra Tramela Hidalgo i ostemplowany przez Krajową Komisję do spraw Hazardu. Ale nie muszę niczego tłumaczyć, doskonale zna pan dokument. Był w posiadaniu kasyna w Robredo, a mimo to mój brat wielokrotnie tam grał. Zgodnie z artykułem trzydziestym dziewiątym i następnymi ustawy hazardowej to poważne wykroczenie podlegające karze grzywny do miliona euro plus zamknięcie lokalu na okres sześciu miesięcy. Nawet nie chcę myśleć, jak bardzo ucierpiałyby wizerunek kasyna, gdyby musiało stać zamknięte przez pół roku, nie wspominając o milionowych stratach. Aha, i jeszcze coś. Ten wniosek zniknął w tajemniczych okolicznościach z archiwów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nie wiem, dokąd zaprowadziłoby nas śledztwo w tej sprawie, w każdym razie ukrywanie dowodów i kradzież oficjalnego dokumentu wyglądają bardzo nieciekawie.

– Zrozumiałem.

– Oczywiście to, co trzyma pan w ręku, to kopia. Oryginał wręcę panu w odpowiednim czasie, rzecz jasna, jeżeli dojdziemy do porozumienia. Jestem gotowa zachować w dyskrekcji również tę sprawę i uwzględnić ją w naszej umowie.

– Jest pani pełna niespodzianek. Ma pani coś jeszcze w zanadrzu?

– Wszystko to jest z korzyścią dla pana. Reasumując, odzyskuje pan firmę, którą panu odbierają. Naprawia pan swój wizerunek w spółce i poza nią. Zaoszczędza pan sobie kilku lat więzienia. Ratuje kasyno przed zamknięciem i wysoką grzywną. Uchroni się przed śledztwem w sprawie oszustwa. I – wisienka na torcie – moja klientka uznaje pozew i spłaca należności, które był winien jej zmarły mąż, by wszyscy wiedzieli, że dług

zaciągnięty w kasynie to rzecz święta.

– Będę z panią szczerą: uważam, że jesteśmy na dobrej drodze do porozumienia.

– A teraz kolej na rekompensatę – powiedziałam cicho. – Ta część jest znacznie prostsza. Chodzi wyłącznie o wysokość kwoty. Nie żebym się wstydziła wypowiedzieć ją głośno, skądże znowu, ale dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach, dlatego jeśli pan pozwoli...

Wyciągnęłam rękę z drugą kopertą. W środku znajdowała się kartka z sumą i numerem konta bankowego. Popatrzył na nią w milczeniu. Nawet nie próbowałam odczytać mowy jego ciała. Było mi wszystko jedno. Skupiłam uwagę na widocznych w oddali światłach. Do moich uszu dobiegał teraz jakiś wyraźny hałas, coś w rodzaju dalekiego buczenia. Trudno powiedzieć, czy dochodziło ono z nieba, czy z ziemi. Pomyślałam, że to chyba miasto wydaje z siebie ten odgłos, jakby żyło i stawiało opór.

Santonja schował obie koperty do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Czy pani klientka zgadza się na to wszystko? – zapytał. – Powiedziała pani, że jutro zamierzała podpisać całkiem inną umowę.

– Jak już wyjaśniłam, Helena nic nie wie o mojej propozycji, ale zależy jej na tym, żeby jak najszybciej sprawę zakończyć – odparłam stanowczo. –

Mówimy o znacznie większej sumie dla niej i dla jej syna. Nie będzie robiła żadnych problemów, gwarantuję.

– Skąd mam wiedzieć, że nie wykorzysta pani w przyszłości tego samozakazu, żeby znowu mnie zaatakować? Mimo że stanowi on część ugody, chodzi o przestępstwo. Żadna prywatna umowa mnie nie ochroni.

– O tym też pomyślałam. Czułam, że moje słowo panu nie wystarczy. Ja oddam panu wszystkie dokumenty, które są w moim posiadaniu, pan zaś poprosi Andermatta, żeby zredagował szczegółową klauzulę zaznaczającą, że jeśli upublicznię jakiegokolwiek informacje dotyczące Gran Castilli i Alejandra Tramela albo w jakikolwiek sposób naruszę poufność umowy, będę musiała wypłacić niebotyczne odszkodowanie. Podpiszę ją, nie będę robić problemów. Powiedziałam panu i jeszcze raz powtórzę: chcę to zakończyć. Kiedy zawrzemy ugodę – jeżeli ją zawrzemy – nie zamierzam wracać do tej sprawy. Ale warunki finansowe nie podlegają negocjacjom. Niech pan sobie daruje kontrofertę, nie przyjmę jej. Zgadza się pan albo się pan nie zgadza, to

bardzo proste.

– Mówimy o olbrzymiej sumie.

– Właśnie dlatego, a także żeby uniknąć przyszłych nieporozumień, podpiszemy umowę dopiero wtedy, kiedy cała kwota trafi na konto, którego numer znajdzie pan w kopercie. Ani sekundy wcześniej. Nie dlatego, żebym panu nie ufała, po prostu łożenie za panem i dopominanie się o spłatę długu byłoby bardzo uciążliwe. Nawet nie chcę o tym myśleć.

– Ma pani wszystko dopięte na ostatni guzik.

– To moja praca. Wyprzedzać problemy.

– Jaki jest następny krok?

– Oboje wiemy, że pięć minut, które mi pan wyznaczył, już dawno minęło. Wróci pan teraz i sprawdzi, że wszystkie informacje, które właśnie przekazałam, są prawdziwe. Potem porozmawia pan ze swoim adwokatem. Niech jeszcze tej nocy zredaguje umowę na warunkach, które przed chwilą panu przedstawiłam. A jutro, możliwie jak najwcześniej, dopełnimy wszystkich formalności: podpisania umowy oraz przekazania dokumentów i pieniędzy. Żeby nie okazało się, że przysięgli są szybsi, niżbyśmy tego chcieli.

– A spotkanie Cimadevilli z pani klientką?

– Jeżeli dojdziemy do porozumienia już teraz, porozmawiam z Heleną i przekonam ją, żeby na nie nie szła. A pan zyska kilka cennych godzin, żeby odzyskać kontrolę nad firmą i poparcie wspólników. Zakładam, że się to panu uda.

– Proszę w to nie wątpić.

– Oczywiście liczę się z tym, że teraz zaakceptuje pan moją propozycję, a jutro, kiedy już zetnie pan kilka głów i poczuje się mocny, postanowi pan nie podpisywać umowy i nie płacić. Podejmę to ryzyko. Ale przypominam, że jeżeli coś takiego się zdarzy i nie dotrzyma pan słowa, werdykt i ewentualna kara będą w rękach przysięgłych. Poza tym – i to akurat jest rzecz pewna – będę musiała poinformować prokuraturę o samozakazie. W ciągu kilku godzin, niezależnie od aktualnego postępowania, zostanie panu wytoczony kolejny proces karny, w którym również wystąpię jako oskarżyciel. Zapewniam pana, że będzie to bardzo nieprzyjemne.

Ponownie wyjął chusteczkę i tym razem otarł nią czoło. Rozdęte nozdrza przypominały skrzela wyciągniętej z wody ryby. Nocne powietrze wydawało się gęstnieć coraz bardziej.

– Przypominam panu również – powiedziałam, ponownie spoglądając na stoper w telefonie – że w momencie, kiedy sędzia wezwie nas, żebyśmy wysłuchali werdyktu przysięgłych, wszystko będzie skończone. Nie będzie już możliwe żadne porozumienie ani żadne umorzenie. Wszyscy zaczniemy trząść się ze strachu, nasza przyszłość spocznie w rękach dziewięciu osób, które nie mają nic wspólnego z tą sprawą i które za kilka miesięcy – kiedy pan albo ja, w zależności od wyroku, będziemy opłakiwać swój nieszczęsny los – nie będą już o nas pamiętać. To byłoby dość tragiczne, nie sądzi pan? W każdym razie, czas ucieka, panie Santonja. Decyzja należy do pana.

Poruszył się, jakby zrozumienie tego wszystkiego kosztowało go wiele wysiłku.

– Skoro zależało pani wyłącznie na pieniądzach – powiedział zirytowany – dlaczego czekała pani do ostatniej chwili?

– Z bardzo prostego powodu. Ponieważ gigantyczna suma, której zapłacenie w tym momencie poważnie pan rozważa, nie mogła pojawić się wcześniej. Tylko fakt, że znaleźliśmy się w sytuacji podbramkowej, daje mi realną możliwość wyciągnięcia od pana nieprzyzwoicie wygórowanej kwoty. Kwoty, która pana naprawdę zaboli.

– Pozwoli pani, że o coś zapytam. Czy naprawdę wierzy pani w cokolwiek z tego, co mówiła w czasie procesu, czy była to po prostu strategia mająca doprowadzić nas do tego miejsca? Mam na myśli dywagacje o przemyśle gier hazardowych i całą resztę.

Rozejrzałam się dokoła, jakby na wzgórzu mógł się znajdować ktoś (nie licząc naszych osobistych goryli, że tak ich nazwę), kto mógłby mnie usłyszeć.

– Nie muszę tego robić, ale odpowiem panu – powiedziałam cicho. – Zgadzam się, że nikt nie zmusza nikogo do grania, to pewnie dobrowolna decyzja, nie mam tu nic do dodania. Ale powiem panu również, że skoro mnóstwo specjalistów, psychiatrów i lekarzy z całego świata potwierdza, że patologiczny hazard jest niebezpieczną chorobą, uzależnieniem, to coś w tym musi być. Państwo powinno nas przed tym chronić. Nie mówię oczywiście,

że miałyby wprowadzać zakazy, ale niechby nałożyło poważne ograniczenia związane z reklamowaniem hazardu, jego upowszechnianiem, wolnym dostępem do ośrodków gier, nie mówiąc już o kasynach online. Oczywiście kasyno nie ma prawa dzwonić do klienta pod jego prywatny numer i namawiać go, żeby przyszedł zagrać, ani udzielać mu kredytu, żeby stawiał pieniądze, których nie będzie mógł zwrócić. Uważam, że mechanizmy kontrolne zawodzą, że podatki stoją wyżej niż ludzkie zdrowie. Powiem uczciwie: przez cały ten czas, kiedy z bliska przyglądałam się hazardowi, widziałam tylko ból i cierpienie. Mam nadzieję, że już nigdy więcej nie będę miała z wami do czynienia. Nie wiem, czy odpowiedziałam na pańskie pytanie.

– Wyczerpująco – przyznał cicho. – Przez cały ten czas nie mogłem pani rozgryźć. Łączy pani w sobie śmiały idealizm, w który nie sposób nie wierzyć, z nieodpartą żądzą pieniędzy i władzy. To bardzo niebezpieczna kombinacja. Chyba nigdy wcześniej się z nią nie spotkałem. Dlatego się w tym wszystkim pogubiłem.

Cmoknął. Nie podobało mu się to, co przed chwilą usłyszał, nie uśmiechało mu się płacenie tylu pieniędzy w zamian za ugode, ale w głębi duszy uspokajała go myśl, że może załatwić wszystko za pomocą konkretnej sumy. Takie rozwiązanie pasowało do jego schematu myślenia i wizji funkcjonowania świata.

– Może będę tego żałował – dodał – ale przyjmę pani propozycję. W ciągu najbliższych godzin skontaktuję się z panią, żeby umówić się na podpisanie umowy i przelanie pieniędzy. Nie chcemy, żeby przysięgli nas zaskoczyli.

Popatrzył na mnie, jakby oczekiwał jakiegoś gestu wyrażającego aprobatę, a może nawet wdzięczność. Mógł tak sobie czekać całą noc.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu – powiedziałam – darujmy sobie uścisk dłoni. Niech pan załatwi, co ma do załatwienia, i zadzwoni do mnie, zanim będzie za późno. Z mojej strony to wszystko.

– Jeszcze trochę i przekona mnie pani do siebie.

– Nie mogę powiedzieć tego samego o panu.

Choć porozumienie, które właśnie zawarliśmy, było zapewne wieloznaczne i pełne niuansów, w pewnym sensie oboje postawiliśmy na swoim. Nie wiedziałam, czy stało się zadość sprawiedliwości. Szczerze

mówiąc, niewiele mnie to obchodziło. Wiedziałam, że Helena i Martín będą mieli szansę żyć spokojnie do końca swoich dni, a ja będę mogła zapomnieć o płaceniu czynszu i robić to, co mi najlepiej wychodziło: leżeć na kanapie, uważać się nad sobą, marzyć o przyszłym wcieleniu, w którym przy odrobinie szczęścia stanę się jedną ze spowijających nas teraz malutkich cząstek i odlecę z milionami innych drobinek z pustyni, poddając się kompletnie dla mnie niezrozumiałemu zjawisku atmosferycznemu.

Nadszedł moment, żeby wrócić do samochodów, a potem załatwić formalności niezbędne do podpisania umowy. Mnie czekała trudna rozmowa z Heleną, a może także z Conchą.

– Jeszcze jedno, zanim się rozstaniemy, panie Santonja – powiedziałam. – Zadał mi pan kilka osobistych pytań. Mnie również intryguje pewna sprawa.

– Słucham.

– Ile zapłacił pan Moncadzie, żeby mnie wykończył?

Santonja zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół, na chwilę zatrzymał spojrzenie na kuli. Może próbował wyobrazić sobie, jak porucznik mnie atakuje, zobaczyć tę scenę w myślach.

– Znacznie mniej, niż zapłacę teraz pani. Moncada był tani, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności.

– Kiedy porucznik zaatakował mnie pierwszy raz, na parkingu, to też była pańska sprawka?

Z jego ust wyszło tylko jedno słowo:

– Też.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, w końcu Santonja ruszył w stronę samochodu. Przystanął jeszcze, żeby mi powiedzieć:

– Gdybym wiedział, że możemy to załatwić za pomocą pieniędzy, oboje zaoszczędzilibyśmy sobie wielu problemów. Dobranoc, pani Tramel.

Mylił się w tej ostatniej kwestii. Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale aż do tamtej nocy Emiliano Santonja nie był gotowy zapłacić mi takiej sumy, a jednocześnie czuć satysfakcję w związku z takim rozwiązaniem.

Słyszałam za plecami, jak wsiada do nowiutkiego bentleya, jak zamykają się drzwi i samochód odjeżdża. Zostałam nad urwiskiem. Nigdzie się nie

spieszyłam. Do gardła zaczęło mi podchodzić pieczenie z żołądka, poczułam mdłości. Położyłam otwartą dłoń na guzikach bluzki w pobliżu serca, próbując przekonać samą siebie, że wszystko jest w porządku. Stałam tak przez chwilę, nieruchomo, wpatrzona w rozciągającą się pod moimi stopami ciemną pustkę. Nie wiem dlaczego, ale raptem wydało mi się, że to strome zbocze stwarza realną możliwość, żeby raz na zawsze ze wszystkim skończyć. Czułam krew płynącą w tętnicach i powietrze z trudem wchodzące do moich płuc. Podpierając się kulą, zrobiłam mały krok w stronę przepaści.

Obok mnie wyrósł niepostrzeżenie M. Ten potężny, małomówny mężczyzna zawsze pojawiał się w ten sposób.

– Masz wszystko, co potrzeba? – zapytał.

– Myślę, że tak – odparłam, nieznacznie kiwając głową.

Pomarańczowa poświata na horyzoncie ciemniała, bzyczenie stawało się coraz głośniejsze, miasto promieniowało teraz dziwnym, nieznanym mi dotąd blaskiem. Pochyliłam się i zwymiotowałam.

Wszystkie trzy spojrzały na mnie ze zdumieniem połączonym z nieufnością.

– Nie będę tracić na to czasu – powiedziałam. – Jestem wykończona.

– Ale... – zaczęła Helena.

– Żadne ale – przerwałam. – Skończyło się. Sprawa zamknięta.

– Powiedziałaś, że nie spoczniesz, dopóki ten skurwiol nie skończy w więzieniu – zaprotestowała Concha.

– Mówi się różne rzeczy – ucięłam. – Zważywszy na okoliczności, myślę, że nie powinnaś mieć mi nic do zarzucenia.

Sofia jedyna nie otworzyła jeszcze ust. Stała oparta o framugę okna, ranne słońce wychylało się zza jej pleców. Zanosiło się na to, że po nocy pełnej niespodzianek klimatycznych wróci w pogodzie pewna normalność. Pierwsze promienie poranka wydawały się jak zwykle bladożółte. Chociaż zapowiadało się duszne przedpołudnie, udało nam się przeżyć noc w szerokim znaczeniu tego słowa.

Wczesnym rankiem wezwałam je wszystkie trzy do kancelarii i zdałam im szczegółową relację z rozmowy z Emilianem Santonją.

Ciągle jeszcze nie potrafiły uwierzyć w to, co im powiedziałam.

– Skąd wiedziałaś, że doszliśmy do porozumienia z Barverem? – zapytała Concha, z obawą czekając na odpowiedź.

– M. was śledził – odpowiedziałam obojętnym tonem; postanowiłam nie robić im wymówek. – Założył też podsłuch w waszych telefonach. Nie mogę się nadziwić, jakie to proste.

– Ty szpiegować nas? – zapytała kompletnie zdezorientowana Helena.

Kiwnęłam głową. Nie byłam z tego dumna, ale nie zamierzałam też za nic przeproszać.

– Początkowo miałam nadzieję, że zgodzicie się na porozumienie, żeby potem je zbojkotować i wykorzystać na naszą korzyść przed przysięgłymi – wytłumaczyłam. – Ale później, kiedy do akcji wkroczył Cimadevilla, zrozumiałam, że mogę porządnie przycisnąć Santonję i zyskać dużo więcej.

– Tak czy inaczej, powinnaś była nam powiedzieć o swoich planach – podkreśliła Concha. – Gdybyśmy o nich wiedziały, mogłybyśmy zrobić to razem. Myślałam, że właśnie o to chodzi.

– Gdybyście wiedziały – zapewniłam – nic by z tego nie wyszło. W oczach innych, zwłaszcza Barvera, musiało to wyglądać naturalnie. Nieźle się bawił, widząc, jak wszystko przede mną ukrywacie.

– Ja nie rozumiem – wtrąciła znowu Helena. – Czyli ty wiedzieć, że my oszukiwać ciebie.

– Ana nie tylko wiedziała – wytłumaczyła Concha, skojarzywszy kilka faktów z ostatnich dni – ale tak naprawdę to ona podsunęła nam pomysł, żebyśmy negocjowały z Barverem. Już pierwszego dnia procesu. Potem przy różnych okazjach powtarzała, że tamci chcą ugody. Nawet ni stąd, ni zowąd zapytała cię w czasie przesłuchania: „Pani Kowalczyk, czy gdyby druga strona zaproponowała pani ugody, pod warunkiem że wycofa pani pozew, przyjęłaby pani ofertę?”. To wszystko było częścią jej strategii. Ze mną też poruszyła niespodziewanie ten temat w ośrodku sportowym. Robiła z nami, co chciała. Byłyśmy jej marionetkami.

– Nie mam zamiaru was przeproszać. Wszystko to przyszło mi do głowy, kiedy zobaczyłam, jak bardzo jesteście skłonne załatwiać sprawy poza sądem, bez konsultacji ze mną. Ty dogadałaś się z Palmirą. A Helena poszła do biura Gran Castilli, skąd musiałam ją wyciągać niemal siłą. Prosiłyście się o to. Poza tym to wy trzy mnie zdradziłyście. Byłyście gotowe podpisać umowę za moimi plecami.

– Bo jasno powiedziałaś, że cokolwiek się stanie, nigdy nie zgodzisz się na żadną ugody! – wykrzyknęła Concha.

– Wy za to wychodziłyście ze skóry, żeby zgarnąć trochę kasy i zwiąć – wybuchnęłam.

– Czyli zrobić dokładnie tak jak ty w tym momencie – wyrzuciła mi przyjaciółka.

Helena nadal nie do końca rozumiała, co się dzieje – albo raczej nie mogła w to uwierzyć.

– Ty szpiegować nas – powtórzyła, jakby doszło w niej do krótkiego śpięcia. – I ty... jak się mówi...? Ty manipulować, żeby my zrobić umowa z Barver.

– Można tak powiedzieć – potwierdziłam.

– Można tak powiedzieć? – spytała Concha, nie posiadając się z oburzenia. – Pchnęłaś nas w jego objęcia, żeby postawić na swoim. Jeśli się dobrze zastanowić, to ty nas zdradziłaś. Pomyśleć, iż czułam się winna, że podpisujemy tę ugodę z Barverem...

– Czyżby? – wściekłam się. – Czułaś się winna? Tak bardzo winna, że aż mi o niczym nie powiedziałaś? Że nie spałaś po nocach? Czułaś się tak podle, że nie podzieliłaś się tym ze starą przyjaciółką? Powiedz mi, co było w tym wszystkim najgorsze? To, że okłamałaś współpracownicę? Czy to, że bałaś się, że was nakryją i pokrzyżują wasze plany? Co wy sobie, cholera, wyobrażaliście?

– Wystarczy już! – przerwała Sofía.

Wszystkie trzy odwróciłyśmy się w jej stronę. Od kiedy opowiedziałam im o moim spotkaniu z Santonją w El Pardo, stała nieporuszona.

– Obie jesteście takimi egocentryczkami, że nie widzicie, co naprawdę się dzieje – stwierdziła rozgoryczona. – Oczywiście, że postąpiłyśmy źle, ukrywając przed tobą ugodę z Barverem, ale zapominasz o jednym drobiazgu: to Helena nas o to poprosiła. A o ile mi wiadomo, wszystko kręci się wokół niej i dziecka. Chcemy, żeby Gran Castilla nie nękała ich przez resztę życia, co właśnie zamierzałyśmy osiągnąć. I oczywiście chcemy dać tamtym nauczkę. Przy ugodzie, którą miałyśmy podpisać, Santonja mógł pójść do więzienia, w zależności od werdyktu i tego, co postanowi sędzia. To nie było złe porozumienie. Ale teraz okazuje się, że samowolnie i na własne ryzyko oraz bez konsultacji z Heleną postanowiłaś, że dużo lepiej będzie puścić go wolno i nawet nie zostawić sobie żadnej furtki na przyszłość, w zamian za większą czy mniejszą rekompensatę finansową. Nie pojmuję. Nie potrafię zrozumieć, co ci strzeliło do głowy, żeby tak nami manipulować. Żeby kierować się wyłącznie własnymi kryteriami, działać jednostronnie, jakby Helena nie mogła sama o sobie decydować. Jeżeli podejrzewałaś, że

ona chce ugody, albo, co gorsza, jeżeli manipulowałaś nią przez cały proces po to, żeby uwierzyła, że jej chce, to jesteś bardziej pokrecona, niż myślałam. Zawsze się ciebie trzymałam, nawet kiedy nie miałyśmy szans na wygraną, kiedy wszyscy inni cię zostawili i próbowali mnie przekonać, żebym odeszła z nimi. Zawsze byłam przy tobie. Ale przysięgam, że tym razem posunęłam się za daleko.

Nie przywykłam do widoku mojej młodej współpracownicy tak poruszonej: wylewała z siebie potok słów, przekonana o ich słuszności.

– Mogę coś powiedzieć czy to jest monolog? – zapytałam.

– Po co ten sarkazm – burknęła Concha. – Dziewczyna ma całkowitą rację.

– Nie zaprzeczam – przyznałam. – Wiem doskonale, że nie jestem święta, że popełniam błędy, jak zresztą każdy. Jestem specjalistką od brania na siebie odpowiedzialności, choć nikt mnie o to nie prosi, i dlatego wydaje mi się, że mam prawo decydować za innych. Chcę tylko doprecyzować trzy drobne kwestie, zanim Helena postanowi, co będzie dla niej najlepsze. Po pierwsze, przez cały ten rok zmagalam się i nadal się zmagam ze śmiercią mojego brata. W tym pokoju są trzy kobiety, które prawdopodobnie darzyły go największą miłością. W którymś momencie pomyślałam, że wcale nie popełnił samobójstwa, że powieszono go w celi, żeby zamknąć mu usta. Tak jednak nie było. Ale sam odebrał sobie życie. I zrobił to z winy łajdaków, którym proponuję teraz zawarcie ugody. Zapewniam was, daję wam słowo, że nie było mi łatwo podjąć tę decyzję.

Helena popatrzyła na mnie podejrzliwie.

– Po drugie – mówiłam dalej – przyznaję, że postąpiłam niewłaściwie, ale to dlatego że nikomu nie ufałam. Niestety także wam. Prawdę mówiąc, ciągle wam nie ufam. Nie widzicie tego? Bezczelnie mnie oszukałyście.

– Ale wiedziałaś, co robimy – odezwała się Concha. – Wystawiłaś nas na próbę.

– Masz rację, wiedziałam, i dlatego czuję się z tym jeszcze gorzej. Nie należę do osób, które zastawiają pułapki na innych. Coś takiego w oczywisty sposób musiało obrócić się przeciwko mnie. Zrobiłam to i nie wyszło mi. Wolałabym tysiąc razy bardziej, żeby nic z tego się nie wydarzyło, nawet gdybyśmy miały przegrać, ale żeby żadna z nas, łącznie ze mną, nie

okłamała, nie zmanipulowała i nie zdradziła pozostałych. Niestety, już na to za późno.

Na moment przerwałam, uświadomiłam sobie, że jestem wykończona. Trzy pary świdrujących mnie oczu były dla mnie bardziej przykre niż jakikolwiek werdykt.

– Jeszcze nie jest za późno – wtrąciła nieśmiało Sofía. – Wciąż możemy to zrobić. Nie podpisujemy żadnego porozumienia z Cimadevillą ani z Santonją. Zaufajmy, że przysięgli wywiążą się ze swojego zadania.

Brzmiało to całkiem nieźle. Ale tak nie miało się stać.

– Pozwól mi najpierw dokończyć – poprosiłam. – Trzecia kwestia ostatecznie przeważała szalę. Powiedziałaś, że wszystko to z powodu większej czy mniejszej rekompensaty finansowej. Przynajmniej tu się mylisz. Zaczynając, nie mogłyśmy nawet marzyć o tak dużym odszkodowaniu. Zgoda, to tylko pieniądze. Ale, kurwa, wielkie pieniądze. Tak wielkie, że Helena i Martín będą mieli spokój do końca życia, będą mogli zacząć od nowa, gdzie i jak będą chcieli. Tak wielkie, że wystarczy nawet dla nas, że Concha będzie mogła zająć się dziewczynkami i już nigdy nie być od nikogo zależna. Że ty, Sofío, będziesz mogła otworzyć własną kancelarię albo spełnić swoje marzenia, cokolwiek by to było. I że ja będę mogła o was zapomnieć i spędzić najbliższe trzydzieści lat na kanapie z dobrą książką.

Spoglądały na mnie wyczekująco. Żadna się nie poruszyła. Dopiero Helena zadała pytanie, które chodziło po głowie każdej z nich.

– Ile pieniędzy?

Przygotowałam się, żeby wypowiedzieć głośno kwotę. Musiałam złapać się biurka. Nie chciałam, żeby nie zabrzmiało to zbyt podniosłe. Wstrzymałam oddech i wreszcie z siebie wyrzuciłam:

– Szesnaście milionów – szepnęłam.

W starym gabinecie zapanowała cisza, jakby każde wypowiedziane słowo mogło zakłócić osiągniętą przez nas właśnie chwiejną równowagę. Mogłabym przysiąc, że każda z nich obliczała w myślach, jaki procent tej astronomicznej sumy przypadłby jej w udziale po odliczeniu wydatków kancelarii, kosztów procesu i całej reszty. Przyznaję, że ja też to zrobiłam.

– Santonja się zgodził? – zapytała Sofía.

– Na to wygląda – odpowiedziałam. – Musi robić w portki ze strachu.

Helena wydawała się bliska płaczu. Nigdy nie myślałam, że jakaś liczba może kogoś aż tak poruszyć.

– O kurde – powiedziała Concha, biorąc głęboki wdech. – Trzeba przyznać, że kiedy chcesz, potrafisz dyktować warunki.

– Kwota nie jest przypadkowa, po prostu pomnożyłam przez dziesięć to, co gotów był wam zapłacić Cimadevilla. Z mojej strony to wszystko, decyzja należy do was. A raczej do Heleny.

Słodka polska wdówka (już dawno przestałam ją tak nazywać) nie miała najmniejszych wątpliwości. Spojrzała na mnie zaczerwienionymi oczami i szepnęła drżącym głosem:

– Dużo pieniędzy.

– Bardzo dużo – potwierdziłam.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Ja, Concha i Helena straciłyśmy bliską osobę i nie łudziłam się, że jakakolwiek suma pieniędzy złagodzi nasz ból. Wiedziałam, że minie dużo czasu, nim zablizną się rany – jeżeli kiedykolwiek się zablizną. Ale odszkodowanie przynajmniej mogło nam pomóc zacząć nowy rozdział – nawet ja to rozumiałam. Pomyślałam o bracie, o naszym ostatnim spotkaniu w koszarach, o wszystkim, co musiał przejść, nim odebrał sobie życie w celi, i nie poczułam się specjalnie pocieszona.

Od strony drzwi dobiegł hałas. Odwróciłyśmy się w tamtym kierunku. W progu stał zaspany Martín. Miał na sobie olbrzymi T-shirt, sięgający do kolan.

– Dlaczego mama płacze? – zapytał, podchodząc do Heleny.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wzięła go na rękę i mocno przytuliła.

– Jesteś smutna? – dopytywał się chłopiec.

– Nie, kochanie – odparła.

Następnie zniknęła w przedpokoju, szepcząc do niego coś po polsku. To był chyba dobry moment, żeby zostawić ich na chwilę samych. Spojrzałam na Sofię.

– Do roboty – powiedziałam. Wyciągnęłam komórkę i weszłam do poczty.
– Chcę, żebyś przejrzała umowę, którą przysłał przed chwilą Andermatt. To

straszny galimatias, nie możemy przeoczyć żadnego szczegółu. Później porozmawiaj z M. Prawdopodobnie spotkamy się jeszcze przed obiadem. Kiedy pieniądze trafią na konto, podpiszemy ugode, a następnie poinformujemy o tym Barriosa. Zapowiada się ciekawy dzień.

– Sędzia nie będzie zadowolony, że wycofujemy pozew.

– Liczę się z tym.

Sofía podeszła do biurka, usiadła przed komputerem i zabrała się do pracy, jakby to był zwykły dzień.

Concha przysunęła się do mnie niepostrzeżenie.

– Zastanawiam się, czy po tym wszystkim jeszcze kiedykolwiek sobie zaufamy.

Chciałabym jej powiedzieć, że tak, że to przezwyciężymy, że za jakiś czas, niedługo, wszystko będzie jak dawniej, znowu staniemy się nierozłącznymi przyjaciółkami i współpracownikami. Chciałabym nawet ją mocno przytulić. Ale obie dobrze wiedziałyśmy, że nie jestem zbyt wylewna wobec ludzi, których darzę szacunkiem. Wiedziałyśmy też, że niestety, nawet jeśli sobie wybaczymy i zapomnimy wzajemne urazy, nic nie będzie już takie samo. Zaufanie to bardzo delikatna sprawa – raz stracone, jest właściwie nie do odzyskania.

– Kto wie – odparłam.

Było jeszcze coś, o czym im nie powiedziałam. Właśnie z tego powodu. Kochałam te trzy kobiety i zrobiłabym dla nich wszystko, co bynajmniej nie znaczyło, że miałam do nich zaufanie.

Spojrzałam na stary zegar wiszący na ścianie, do którego nawiązałam w dniu rozpoczęcia procesu. Pokazywał dokładnie godzinę szesnastą dwadzieścia dwie. Barrios czytał leżące przed nim dokumenty, bacznie obserwowany przez wszystkich prawników i przez Emiliana Santonję, który siedział za nami na swoim zwykłym miejscu. Bez przysięgłych i dziennikarzy sala rozpraw wydawała się tego popołudnia jeszcze brzydsza. Sędzia niespiesznie studiował pisma. Miałam wrażenie, że wręcz rozkoszuje się pełną wyczekiwania ciszą. Chciał nam pokazać, że to on wyznaczy rytm tego nieprzewidzianego posiedzenia.

Spojrzeliliśmy na siebie z Jordim Barverem. Pierwszy raz występowaliśmy do sędziego ze wspólną prośbą. Jak było do przewidzenia, po tym jak Santonja poprzesuwał kilka pionków w strukturze udziałowców Gran Castilli (nie interesowały mnie szczegóły), stary adwokat poparł podpisanie umowy. Nie miałam żadnych wiadomości o Cimadevilli, czułam jednak, że tamten wkrótce da o sobie znać. Pewnie był bardzo zajęty, próbując utrzymać się na powierzchni (w firmie, rzecz jasna, choć nie mogłam też ręczyć za jego nienaruszalność cielesną). Po intensywnym poranku spędzonym na przeciąganiu liny podpisaliśmy w znanej kancelarii notarialnej w dzielnicy Salamanca wyczerpującą, pięćdziesięciokilkustronicową umowę. I co najważniejsze, na podany numer konta zostały przelane pieniądze. Fakt, że tamci dysponowali taką sumą po upływie kilku zaledwie godzin, świadczył o tym, z jakiego rodzaju firmą się mierzyliśmy i o jaką stawkę toczyła się gra.

Teraz nasze losy były w rękach Barriosa: jeżeliby z jakichś formalnych powodów odrzucił wniosek, wszystkie nasze uzgodnienia rozsypałyby się jak domek z kart.

– Nie podoba mi się to – powiedział po ponad dwudziestu minutach milczenia. – To prawda, że proces jeszcze się nie skończył, ale mieli państwo kilka miesięcy na to, żeby zmienić zdanie i dojść do ugody, która

oszczędziłaby nam wiele niedogodności. I pracy, jaką sąd i przysięgli włożyli w tę sprawę. Muszę potępić państwa postępowanie. Jak państwu doskonale wiadomo, wymiar sprawiedliwości nie służy prywatnym interesom. Czasem zdają się państwo o tym zapominać.

Było oczywiste, że wymuszenie takiego zakończenia sprawy nie przypadnie do gustu sędziemu. Jeśli mam być szczerą, mnie też się to nie podobało. Ale nie czułam się specjalnie zadowolona ani tym bardziej dumna z niczego, absolutnie z niczego, co wydarzyło się w ciągu ostatniego roku, nawet z ugody, którą podpisaliśmy *in extremis*. Jak często mawiał mój stary na usprawiedliwienie wszystkich błędów, jakie popełnił w życiu: tak jakoś wyszło.

– Skoro znają już państwo moje zdanie – kontynuował Barrios – teraz przytoczę wyrok Trybunału Konstytucyjnego numer sto siedemdziesiąt dwa łamane przez dwa tysiące osiem: „Chociaż głównym gwarantem przestrzegania prawa do opieki ze strony wymiaru sprawiedliwości jest wyrok sądowy, który orzeknie i zadecyduje o roszczeniach stron biorących udział w procesie, nie ma przeszkód, aby proces mógł się zakończyć w wyniku innego rodzaju rozstrzygnięcia sądowego potwierdzonego w tym celu zgodnie z prawem”, zwłaszcza jeżeli obie strony zgadzają się na takie rozwiązanie i są nim usatysfakcjonowane.

Odchrząknął, zastanawiając się nad tym, co sam przed chwilą postanowił i co zamierzał nam zakomunikować.

– Nie będziemy tracić więcej czasu na tę sprawę – powiedział, jakby zmęczony. – Zgodnie z artykułem siedemset osiemdziesiątym drugim, paragraf pierwszy Kodeksu postępowania karnego, a także ze względu na wniosek złożony wspólnie przez oskarżenie o umorzenie postępowania, istnieje obowiązek przyjęcia go przez sąd i wydania odpowiedniego orzeczenia...

Koniec. Już po wszystkim. Tym razem naprawdę. Czekają nas jeszcze trochę prawniczego żargonu, ale ostatecznie proces miał zostać umorzony i sprawa miała trafić do akt. Sędzia mówił dalej, o różnicy pomiędzy drogą karną i cywilną w tym procesie, o rekompensacie finansowej i moralnej, która powinna w pełni satysfakcjonować powódkę i której on powinien być gwarantem, i o wielu innych kwestiach. Na pewno były bardzo istotne, ale ja

(przyznaję) przestałam go słuchać.

Jak to mi się czasem zdarza, wyłączyłam się, spoglądając na jedyne okienko w sali. Coś przykuło moją uwagę. Po drugiej stronie okna kilka metrów nad naszymi głowami przykleił się do szyby biały kawałek papieru – zwykła kartka. Nie wiem, jak długo tam tkwiła; nie zwróciłam na nią wcześniej uwagi. Z miejsca, w którym siedziałam, nie widziałam jej dokładnie, ale czcionka i podział na akapity wskazywały, że chodziło o jakiś dokument prawniczy (nie byłoby w tym nic dziwnego, zważywszy na to, gdzie się znajdowaliśmy). Nagle – i to właśnie wzbudziło moje zaciekawienie – kartka lekko się poruszyła. Najpierw uniósł się jeden z rogów, niemal niedostrzegalnie, jakby zbierał siły, żeby się oderwać. Potem zaczęła się odklejać środkowa część: walczyła sama ze sobą, a może też z siłą inercji papieru przywierającego do szyby. Po kilku nieudanych próbach wreszcie odfrunęła. To mogło oznaczać tylko jedno: zaczął wiać lekki wiaterek. Wbrew wszelkim prognozom o tej popołudniowej godzinie przedostatniego dnia sierpnia, po historycznej fali upałów przyszedł czas na wiatr. Widziałam, jak kartka unosi się nad budynkiem Sądu Prowincji i odlatuje w stronę ulicy Santiago de Compostela. Nie było wiadomo, ale miałam nadzieję, że ten sam wiatr zabierze ze sobą również pył znad pustyni i wszyscy będziemy mogli wreszcie odetchnąć.

– ...za moment sekretarz sądowa wezwie przysięgłych – ciągnął Barrios, informując nas o kolejnych krokach. – Podziękuję im za ich pracę, udziele stosownych wyjaśnień, po czym rozwiążę ławę przysięgłych ze skutkiem natychmiastowym.

Na tym wszystko się kończyło. Znów spojrzeliśmy na siebie z Barverem. Oboje myśleliśmy o tym samym. Jak brzmiałby werdykt? Jakich odpowiedzi udzieliłoby przysięgli na trzydzieści osiem pytań, gdybyśmy pozwolili im dokończyć obrady? Pomyślałam, że jeśli o mnie chodzi, przeżyję bez tej wiedzy. Z całą pewnością pytanie, na czyją stronę przechyliłaby się ostatecznie szala, nie będzie spędzać mi snu z powiek. To prawda, że Santonja mógłby trafić za kratki za zrujnowanie życia Alemu. Ale wyrok równie dobrze mógł być dla niego korzystny i mafioso nie tylko pozostałby na wolności, ale też miałby szansę jeszcze bardziej naciskać na Helenę. Jeśli się nad tym trochę zastanowić, niewykluczone, że kiedyś zadałabym sobie to pytanie, i nie tyle z potrzeby serca, ile z nienasyconej prawniczej ciekawości.

Tak naprawdę to nie była już moja sprawa. Wiedziałam, że minie trochę czasu i o niej zapomnę, na zawsze ją pogrzebię. Moje myśli zajmowało teraz coś innego. Coś, co jeżeli wszystko poszłoby zgodnie z planem, mogło wydarzyć się w każdej chwili.

Z niepokojem spojrzałam na drzwi. Na co oni czekali? Może na to, że Barrios zakończy spotkanie albo zarządzi przerwę. Nie żebym spodziewała się, że otworzą drzwi kopniakiem i wpadną do sali jak bomba – chociaż nie miałabym nic przeciwko temu – ale mogliby przynajmniej postarać się o jakieś spektakularne wejście, godne tego, co miało nastąpić.

– Zrobimy teraz czterdziestopięciominutową przerwę – oznajmił sędzia – dopóki przysięgli nie zostaną przewiezieni z hotelu do sądu, gdzie w obecności prawników o wszystkim ich poinformuję. Następnie ogłoszę wyrok. Mogą państwo opuścić salę, dziękuję.

Zamierzałam poprosić o głos pod byle pretekstem, po to, żeby zyskać na czasie. Ale nie było to konieczne. Nim sędzia zdążył wstać, otworzyły się drzwi i do środka weszła woźna sądowa – jak zwykle ledwo zauważalna – a za nią trzech mężczyzn: dwóch policjantów w mundurach i facet o niestarannie przyciętej brodzie, w dżinsach i wytartej marynarce, którego poznałam trzy dni wcześniej, zaraz po drugim incydencie. Sofía, Concha, Tomé, Arias i pozostali zaczęli szeptać między sobą. Ja skupiłam całą uwagę na tym, co się działo: za nic w świecie nie chciałam tego przegapić.

Woźna szepnęła coś sędziemu. Ten z powagą skinął głową, przejmując inicjatywę.

– Bardzo proszę, inspektorze – powiedział pewnym głosem.

Brodacz w marynarce minął nasz stół i stanął przed Santonją, który siedział na swoim krześle, założywszy nogę na nogę, z nieobecny spojrzeniem.

– Dzień dobry – powiedział uprzejmym, spokojnym tonem. – Czy pan Emiliano Santonja Pereiro?

– Tak, to ja... – odparł Santonja, jękając się.

– Inspektor Javier Moraleda z madryckiej policji sądowej – oznajmił. – Zgodnie z poleceniem sądu śledczego numer trzydzieści sześć przy placu Castilla jestem zmuszony pana aresztować.

Wyraz twarzy wielkiego Czyngis-chana zmienił się w kilka sekund. Wszyscy, poza mną oraz samym Santonją, wstali i stłoczyli się wokół oskarżonego. Moraleda podał mu kopię nakazu aresztowania podpisanego przez sędziego śledczego Alfonsa Heredię.

– Jest pan oskarżony o usiłowanie zabójstwa pani Any Tramel Hidalgo – ciągnął inspektor – jako sprawca kierowniczy, a tym samym winny przestępstwa, zgodnie z artykułem sto trzydzieści dziewięć Kodeksu karnego. Współdziałał pan z porucznikiem Gwardii Cywilnej, zmarłym Santiagiem Moncadą Rodriguezem, i zapłacił mu pan za popełnienie morderstwa, z nadużyciem władzy jako okolicznością obciążającą.

Barver wyjął kartkę z ręki swojego klienta.

– To niezgodne z przepisami – zaprotestował rozwścieczony.

– Proszę się odsunąć – powiedział surowym tonem Moraleda, najwyraźniej zdecydowany wypełnić zadanie niezależnie od wszystkiego. –

Panie Santonja, policjanci założą panu teraz kajdanki i zostanie pan przewieziony do sądu. Ma pan prawo zachować milczenie, nie musi pan składać zeznań, jeśli pan nie chce, ani odpowiadać na żadne pytania albo może pan złożyć zeznania wyłącznie przed sędzią. Ma pan także prawo odmówić zeznawania przeciwko sobie i nie przyznać się do winy. Jak również wyznaczyć swojego obrońcę i poprosić, by był obecny podczas wszystkich czynności sądowych i uczestniczył w każdym okazaniu. Jeżeli nie wybierze pan adwokata, zostanie on panu wyznaczony z urzędu.

– Co za bzdury – wtrącił się ponownie Barver. – Mój klient ma tu z tuzin prawników. Powtarzam, że to niezgodne z przepisami. Jeżeli chcą państwo, by pan Santonja złożył zeznania, wystarczy poprosić...

– A ja powtarzam, że ma się pan odsunąć – powiedział Moraleda z powagą, odwracając się w stronę Barvera i wskazując w jego stronę. –

Muszę odczytać zatrzymanemu jego prawa i założyć mu kajdanki. I zamierzam to uczynić.

Siedziałam wciąż na swoim miejscu, z jedną ręką na kołnierzu, a drugą na opartej o krzesło kuli. Bałam się, że stracę równowagę i upadnę. Dla tej jednej chwili warto było przejść przez wszystko, co wydarzyło się po śmierci Alego, absolutnie wszystko. Poczułam, że ogarnia mnie lęk. Jednocześnie zakreśliło mi się w głowie. To naprawdę się działo.

Na rozkaz inspektora podeszli do mnie dwaj policjanci. Barver i pozostali obrońcy tłoczyli się przy oskarżonym, nie ustępując. Pomiędzy zbitymi ciałami znalazłam przerwę, dziurę. Popatrzyłam przez nią na Santonję. Nasze spojrzenia spotkały się. Zmienił się na twarzy, jakby zniknął z niej cały pot – może go zmroziło i przestał się pocić. Ja i on wiedzieliśmy doskonale, co się dzieje, w przeciwieństwie do pozostałych, którzy mogli się tylko domyślać albo mieć niepełny obraz sytuacji. Dzieliły nas zaledwie trzy metry. Mimo że odgradzało nas od siebie – bardziej lub mniej skutecznie – kilkanaście osób, przez parę sekund nie spuszczałyśmy z siebie wzroku. Nie było w nim pretensji ani pogardy, gniewu, nienawiści czy jakiegokolwiek innego uczucia, którego można by się spodziewać. W moim wzroku malowała się jedynie milcząca satysfakcja, że mimo spadających na mnie ciosów udało mi się utrzymać na nogach i dotrzeć do tego momentu.

Zrobiło się zamieszanie. Na skutek przepychanek Santonja zniknął mi z oczu, zasłonięty przez innych. Moraledzie udało się przekrzyczeć wrzawę.

– Ma pan także prawo do powiadomienia członka rodziny albo innej osoby o tym, że został pan aresztowany – ciągnął głośno, jakby informowanie zatrzymanego o jego prawach było świętym obowiązkiem, którego zamierzał dopełnić wbrew wszelkim przeciwnościom – a także o miejscu pańskiego pobytu...

Inspektor miał głęboki, władczy głos i gęstą brodę, w którą można się było wczepić. Nieuchronnie przyszli mi na myśl inni mężczyźni, również stróże prawa, którzy nie tak dawno wdarli się do mojego życia. Natychmiast wymazałam te obrazy. Bez trudu potrafiłam wyobrazić sobie Moraledę ryczącego w łóżku. O ile mnie pamięć nie myliła (nie dałabym sobie ręki uciąć), nigdy nie poznałam – w sensie biblijnym – funkcjonariusza policji sądowej; będę musiała to zmienić, gdy tylko nadarzy się okazja, nawet jeżeli miałyby to oznaczać przewinienie dyscyplinarne.

Zobaczyłam, jak Barrios chyłkiem opuszcza salę, nie chcąc mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Concha i Sofía w pierwszej ławce stały, ze zdumieniem przyglądając się scenie i próbując się we wszystkim rozeznąć.

Była jeszcze jedna osoba, która siedziała, oprócz mnie i Santonjy. Oczywiście Helena. Wyglądała na spokojną. Rozumiała chyba wszystko, co się działo; nie potrzebowała niczych wyjaśnień. Może nawet rozumiała

lepiej niż inni. Mężczyzna, który odebrał jej męża, miał zapłacić za swoje czyny. Najpierw zapłacił pieniędzmi. Ogromną sumą pieniędzy. Ale to nie wystarczyło. Obie wiedziałyśmy dobrze, że żadna suma nie wynagrodzi tego, co zrobił Emiliano Santonja. Jeżeli wszystko poszłoby dobrze, miał zapłacić także swoją wolnością, nieważne, że z powodu innego przestępstwa. Czekał go proces, groziło mu nawet dwadzieścia lat. Wiadomo było, że będzie się bronił rękami i nogami, że wykorzysta wszelkie środki, prawne i bezprawne, aby uniknąć kary. I mogło mu się to udać, kto wie. Tak czy inaczej, tę batalię miał stoczyć ktoś inny. Ja już skończyłam. Wezwana do sądu zamierzałam złożyć zeznania. Nic poza tym. Reszta należała do sędziego i prokuratora.

– I na koniec: ma pan prawo zasięgnięcia opinii lekarza sądowego albo jego zastępcy, a w przypadku ich braku, lekarza wyznaczonego przez sąd – zakończył z zadowoleniem Moraleda.

Chociaż nie mogłam tego widzieć, hałasy i pokrzykiwania wskazywały, że policjanci podnoszą Santonję z krzesła i zakładają mu kajdanki.

– Zapewniam pana, że nie jest to konieczne – wstawił się za klientem Barver.

– Powtarzam to panu trzeci i ostatni raz: proszę się odsunąć – odpowiedział inspektor. – Czy pan chce, czy pan nie chce.

Chwilę później Emiliano Santonja, nie odzywając się, przeszedł przez salę z rękami skutymi na plecach, eskortowany przez trzech policjantów.

Za nim podążył hałaśliwy orszak adwokatów.

Wyszli wszyscy poza Estebanem Pardo, adwokatem towarzystwa ubezpieczeniowego, który najspokojniej w świecie chował dokumenty do teczki. Musnął mikroskopijny wąsik, poruszył ustami i spojrzał na mnie kątem oka.

– Nieźle pani namieszała – mruknął.

Było oczywiste, że zwraca się do mnie, ale nie zareagowałam. Ten bezbarwny, obłudny typ nie interesował mnie podczas procesu, a cóż dopiero teraz.

– Proszę posłuchać, jeśli nie ma pani nic przeciwko, zostawię pani jeszcze raz moje namiary – powiedział, kładąc na stole wizytówkę swojej kancelarii.
– Rozumiem pani decyzję o odejściu z sądu, zwłaszcza teraz, kiedy wpadła

pani okręła sumka. Ale może za kilka miesięcy zacznie się pani nudzić. Gwarantuję, że nasza firma potrafiłaby docenić kogoś takiego jak pani. Na szczęście przy ubezpieczeniach jest dużo pracy, która nie wymaga obecności w sądzie. Zdziwiłaby się pani. Wygląda to zupełnie inaczej, niż ludzie myślą.

– Składa mi pan ofertę pracy? – spytałam zaskoczona.

– Cóż – powiedział przeproszającym tonem. – Mówiłem już podczas postępowania przygotowawczego, że jestem po pani stronie; od początku z panią sympatyzowałem. Moim skromnym zdaniem poprowadziła pani tę sprawę z godnym pochwały opanowaniem. I oczywiście z ogromną śmiałością. Pani podejście do pracy byłoby odświeżające dla naszej firmy. Nie mówię teraz, ale może za parę miesięcy. Proszę się nie spieszyć z decyzją i zastanowić nad moją propozycją. Niekiedy dobrze jest wyjść ze strefy komfortu i podjąć ryzyko.

Gdyby nie to, że gość był marnym pochlebcą bez polotu, wybuchnąłbym śmiechem.

– Wydaje mi się, panie Pardo – odpowiedziałam – że zupełnie inaczej pojmujemy komfort i ryzyko. Mogę też pana zapewnić, że jeżeli któregoś dnia postanowię wrócić do prawa i praktyki adwokackiej, w co wątpię, to właśnie po to, żeby występować przeciwko firmom takim jak pańska. Uosabia pan wszystko, czego najbardziej nienawidzę, jest pan jeszcze gorszy niż towarzystwa ubezpieczeniowe, które pan reprezentuje. Mam szczerą nadzieję, że już nigdy więcej pana nie spotkam. Jeżeli któregoś dnia zobaczy mnie pan na ulicy, w restauracji czy w jakimkolwiek innym miejscu, proszę do mnie nie podchodzić, błagam, niech się pan ze mną nie wita.

– Rozumiem, że to odpowiedź odmowna – wyszeptał.

– Jest pan niezwykle bystry.

Zebrał resztę rzeczy i wyszedł bez pożegnania. Ale zostawił wizytówkę. Nie wiem, czy o niej zapomniał, czy mimo wszystko miał nadzieję, że jednak przyjmę jego propozycję. Nie zastanawiałam się nad tym ani sekundy dłużej.

Sięgnęłam po kulę, wzięłam teczkę z dokumentami i też zaczęłam szykować się do wyjścia. Helena, Sofía i Concha czekały na mnie przy ławkach dla publiczności. Nadal były oszołomione z powodu zatrzymania Santonjy. Nie musiałam im się tłumaczyć i nie miałam zamiaru. Po prostu zrobiłam to, co zamierzałam. Nikt nie mógł przewidzieć, co się stanie z tym

łajdakiem, ale przynajmniej w najbliższych miesiącach czekały go poważne kłopoty. Pomyślałam, że może system choć raz zadziała, tak jak powinien, i ktoś taki jak on wylądjuje w więzieniu. Czas miał pokazać.

Zatrzymałam się przy nich – bratowej, współpracownicy i przyjaciółce. Drzwi były zamknięte, wszyscy opuścili już salę. Uznałam, że to dobry moment, żeby im coś pokazać. Wyjęłam komórkę i weszłam do folderu z plikami dźwiękowymi. Chcąc nie chcąc, w ostatnich miesiącach zostałam prawdziwą ekspertką od tego rodzaju plików. Szybko znalazłam ten, którego szukałam. Figurował pod skrótową nazwą U-2908, nawiązującą do dnia, w którym został nagrany.

Spojrzałam na nie z ukosa i po prostu wcisnęłam *play*.

Rozległo się coś, co brzmiało jak zakłócenia, a w rzeczywistości było dobiegającymi z oddali odgłosami szosy i miasta. Potem jakiś dziwny dźwięk, jakby ktoś szybko oddychał. To byłam ja. Miałam mikrofon przyczepiony do ubrania, tuż przy piersi. Do piekielnego upału dochodziły nerwy – nie przywykłam do robienia takich rzeczy. Chwilę później wreszcie zaczęła się rozmowa. Pierwszą słyszeć było mnie. Mojego rozmówcę łatwo było rozpoznać.

Jeszcze jedno, zanim się rozstaniemy, panie Santonja. Zadał mi pan kilka osobistych pytań. Mnie również intryguje pewna sprawa.

Słucham.

Ile zapłacił pan Moncadzie, żeby mnie wykończył?

Znacznie mniej, niż zapłacę teraz pani. Moncada był tani, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności.

Kiedy porucznik zaatakował mnie pierwszy raz, na parkingu, to też była pańska sprawka?

Też.

Gdybym wiedział, że możemy to załatwić za pomocą pieniędzy, oboje zaoszczędzilibyśmy sobie wielu problemów. Dobranoc, pani Tramel.

Po tych ginących w oddali słowach Santonji wcisnęłam *stop*. Uznałam, że nie muszą słyszeć, jak wymiotuję żółcią. Wszystkie trzy patrzyły na mnie

w osłupieniu. Helena nagle złapała mnie za rękę. Opanowałam naturalną pokusę, żeby ją cofnąć. Jej gest miał chyba wyrażać serdeczność i uznanie.

– Nie cieszyłabym się przedwcześnie – powiedziałam, próbując odwrócić ich uwagę i rozluźnić nieco atmosferę. – Może ten fragment doprowadzi do wyroku. Może. Jeżeli biegli potwierdzą autentyczność nagrania, jeżeli sędzia przyjmie je jako dowód, jeżeli prokurator będzie potrafił je wykorzystać, jeżeli obrona nie obali go z powodu jakiegoś technicznego drobiazgu... Wiele musi się jeszcze wydarzyć. Wymiar sprawiedliwości daje oskarżonym duże gwarancje. Ale nie mnie na to narzekać.

– Ty bardzo poważna – powiedziała Helena, nie puszczając mojej dłoni.

Skrepowana spuściłam wzrok. Nie wiedziałam, jak zareagować. Jakby tego było mało, Helena położyła na mojej dłoni także drugą rękę. Poczułam się bezbronna. Sofía, a jeszcze bardziej Concha, która doskonale znała moją awersję do tego rodzaju wyrazów czułości, patrzyły z rozbawieniem.

– Gdybyś się nie zorientowała, o co chodzi – powiedziała Concha – twoja bratowa ci dziękuje.

– Nie trzeba, naprawdę – mruknęłam, chcąc zakończyć wreszcie tę cukierkową i zupełnie niepotrzebną scenę.

– Wyszło na to, że, koniec końców, tworzymy niezły zespół – dodała Sofía z dumą.

– Mając na uwadze to, żeście mnie oszukały i próbowały w ostatniej chwili zawrzeć za moimi plecami ugodę, pozwól, że zakwestionuję słowo „zespół”.

– Ciiiiii... – powiedziała Helena.

– Czy Polka właśnie kazała mi się zamknąć? – zapytałam z niedowierzaniem.

Skinęła głową z lekkim uśmiechem.

– Ty mówić dużo zawsze – odpowiedziała.

– W tej kwestii nie zaprzeczę.

Nie wiem, ile czasu spędziłyśmy same w tej sali. We cztery. Ze słodką polską wdówką trzymającą moją rękę w swoich dłoniach. W milczeniu. Oddychając. Dla mnie wieczność.

– Zamykać restauracja.

– Jak to zamykać? – zapytałam zdumiona. – O czym ty mówisz? Nie możecie zamknąć. Przychodzę tu niemal co tydzień. Gdzie teraz będę jeść?

Haruo patrzył na mnie przybity. To na pewno nie była łatwa decyzja.

– Ta dzielnica nie lubi azjatycka kuchnia – oznajmił zrezygnowany.

– Dziwię się, że doszedłeś do tego dopiero po trzydziestu latach – palnęłam.

– My zamykać i wracać Japonia – zapewnił zdecydowanym tonem.

– Będę za wami tęsknić. Zważ, że w całym swoim życiu powiedziałam to niewielu osobom.

– Ja też bardzo tęsknić, pani Ana – rzucił. – Zawsze bardzo dobra dla nas...

– No już dobrze, nie popadajmy w sentymentalizm – przerwałam. – Przynieś nam jakiś deser na spólkę, na przykład lody w tempurze.

– Lody wanilia? – zapytał.

– Może być? – zapytałam swojego towarzysza, który nie odzywał się, kiedy poczciwy Haruo zbierał talerze i opowiadał o planowanym zamknięciu interesu.

Gabriel Brandariz był człowiekiem powściągliwym i miłym – w najgłębszym tego słowa znaczeniu – wydawał się nigdy nie spieszyć i nie pozwalał owładnąć sobą lękowi – w przeciwieństwie do reszty znanych mi osób.

– Doskonały wybór – odpowiedział.

Siedzieliśmy z dala od reszty gości, sami. Gabriel od razu przyjął moje zaproszenie, chociaż zadzwoniłam do niego z niewielkim wyprzedzeniem, zaledwie dwie godziny wcześniej, po wyjściu z Naczelnego Sądu Prowincji.

Podczas kolacji z ożywieniem komentowaliśmy proces. Chociaż mnie o to nie prosił, przedstawiłam mu z grubsza warunki umowy podpisanej z Santonją (pomijając szczegóły, które nie powinny go być interesować) i wyjaśniłam, w jakich okolicznościach została zawarta. Potem zapytał mnie, czy nie jestem ciekawa, jak brzmiałby werdykt przysięgłych – odpowiedziałam, że nie bardzo. Co oczywiście było kłamstwem. Chociaż nigdy bym się do tego nie przyznała, jak każdy, w czyich żyłach płynie choćby kropla krwi, nie wiem, co bym dała za tę informację.

To była bardzo miła i ciekawa rozmowa. Dyrektor Almy bez wątplenia zachowywał się jak dżentelmen – uprzejmie, życzliwie, taktownie.

Kiedy zobaczyłam, że talerz po sashimi jest pusty i że Gabriel zbiera włosy w kucyk, uznałam, że nadszedł dobry moment, żeby podziękować mu za to, że nie złożył na mnie doniesienia – bo taki właśnie był główny cel tej kolacji. Sforsowałam zamek w drzwiach siedziby jego stowarzyszenia, weszłam tam w środku nocy i wyniosłam poufny dokument. Miał więcej niż wystarczające powody, żeby zawiadomić policję. Jak mi wyjaśnił, nie zrobił tego, bo nie ujawniłam zawartości dokumentu podczas procesu. Nie wyglądał na zadowolonego, ale też nie na specjalnie rozgoryczonego. Miał w sobie jakąś naturalność, która zwróciła moją uwagę już podczas naszego pierwszego spotkania i która mnie odrzucała i pociągała jednocześnie.

Kiedy czekaliśmy na deser, zapytał, czy nigdy nie byłam na terapii.

– Myślę, że mogłaby ci pomóc – powiedział wprost.

– Moja przyjaciółka Concha jest tego samego zdania. Ja osobiście nie widzę siebie na czymś takim.

– Coś ci powiem, jeżeli mi pozwolisz: jestem przekonany, że pomogłaby ci trochę to wszystko uporządkować – wspomniał jakby od niechcienia. –

Straciłaś bliską osobę. Próbowano cię zabić. To są już dwa traumatyczne wydarzenia, które każdym by wstrząsnęły.

– Zastanowię się – obiecałam.

Zamilkł, po prostu patrząc na mnie. Potrafił siedzieć tak przez kilka minut, nie czując żadnego skrepowania. Nie to co ja. Zebrałam całe wzbierające we mnie zakłopotanie i zamieniłam je w słowa. Powiedziałam pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy, nie przepuszczając jej przez żaden filtr.

– Ostatnio dużo myślałam o rysunkach brata. Kiedy siedział w celi, szkicował. Wilka z otwartym pyskiem, szczerzącego kły. Podobne obrazki widziałam w jego teczce w stowarzyszeniu. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że te rysunki to ostatnia rzecz, jaką zrobił, nim odebrał sobie życie.

– Nie wiedziałem, że rysował też w celi.

– To złowrogie szkice. Groźny pysk, który zaraz kogoś pożre, może jego samego.

– Podczas terapii indywidualnej często rozmawialiśmy o wilku – powiedział.

Spojrzałam wyczekująco. Nie musiałam go o nic pytać, było oczywiste, że mi o tym opowie.

– Niełatwo wyjaśnić to komuś, kto nigdy nie grał – zaznaczył tonem usprawiedliwienia.

– Rozmawiasz z osobą uzależnioną. Myślę, że zrozumiem.

– W porządku – ustąpił. – Tak naprawdę to bardzo proste. Chodziło mi o znaczenie, jakie wilk może mieć dla kogoś, kto jest uzależniony od hazardu i nie potrafi go rzucić. Wilk żyje w graczach. Przez cały czas. Nigdy nie odchodzi. Cokolwiek by się działo, nawet jeśli człowiek nie gra od roku, od dziesięciu lat, od dwudziestu, czai się w nim. Nie sposób wyprosić go po dobroci. Ani tym bardziej zabić. Można jedynie spróbować żyć z nim w zgodzie. Jeżeli dasz mu jeść, zrobi się jeszcze bardziej głodny. Zignorowany, pojawi się w najmniej spodziewanym momencie i odgryzie ci rękę. Wilk towarzyszy hazardziście przez całe życie. Jedyne, co można zrobić, to pogodzić się z tym, nie bać się go, ale i nie zapominać, że on jest. Niełatwo się tego nauczyć.

Była to czytelna metafora, którą każdy potrafił zrozumieć.

– Wybacz, jeśli gadam jak terapeuta – dodał. – Pewnie nie potrafię inaczej.

– Chyba nie o to chodzi – odpowiedziałam.

– Jak to?

– Wilk z rysunków mojego brata nie jest tym z twojej opowieści – szepnęłam. – Nie wątpię, że ten wilk istnieje, doskonale wiem, o czym mówisz. Ale wydaje mi się, że szkice przedstawiają innego wilka.

Natychmiast pożałowałam swoich słów. Otworzyłam drzwi, które przez wiele lat pozostawały zamknięte.

– Chcesz o tym opowiedzieć? – spytał, okazując zainteresowanie.

Odetchnęłam głębiej. Ogarniało mnie coraz większe zdenerwowanie. Już na samą myśl, że miałabym wyrazić to słowami, czułam, że otwiera się przede mną przepaść, i nie wiedziałam, czy jestem gotowa w nią spojrzeć. Ucisk kołnierza i bandażu na kostce i nadgarstku stał się bardziej dokuczliwy. Spojrzałam na kulę opartą o stojący kilka metrów dalej fotel, potem popatrzyłam temu mężczyźnie w oczy i postanowiłam zrobić kolejny krok.

– Spróbuję. Nie jest to dla mnie łatwe. Właściwie opowiadam o tym pierwszy raz w życiu – uprzedziłam. – Byłabym wdzięczna, gdyby to zostało między nami. Chodzi o pewien epizod z mojego dzieciństwa. Zakopałam go w jakimś głębokim, ciemnym miejscu. Ale kiedy zobaczyłam rysunki Alego, wspomnienia wróciły, wyraźniejsze niż kiedykolwiek. W ciągu ostatnich miesięcy nie było dnia, żebym o tym nie pomyślała.

Przerwałam, żeby się zebrać w sobie. Nie chciałam upiększać opowieści, uatrakcyjnić jej szczegółami, które złagodziłyby to, co się stało, albo ukazały mnie w lepszym świetle. Zamierzałam powiedzieć prawdę, bez ozdobników.

– Miałam wtedy skończone dziewięć lat, byliśmy na wakacjach, rodzice wynajęli domek w dolinie Tiétaru w górach Gredos. Miejsce piękne, pustkowie, środek lasu, rzeka, olbrzymie drzewa, świeże powietrze. Nie wiem, dlaczego tam pojechaliśmy. Zazwyczaj latem jeździliśmy nad morze, ale ojciec powiedział, że matka musi odpocząć i że to doskonałe miejsce. W ciągu tygodnia byliśmy tylko we trójkę – ja, Ale i mama. Ojciec od poniedziałku do piątku pracował w Madrycie i przyjeżdżał na weekendy. Mama jak zwykle całymi dniami skarżyła się, była wiecznie smutna i zmęczona, nie wiem, czy z powodu nieudanego, przysparzającego jej cierpień małżeństwa, czy po prostu taki miała charakter. Był sierpień i ładna słoneczna pogoda zachęcała do spacerów po niewiarygodnie pięknym lesie, ale mama przez kilka dni praktycznie nie wychodziła z łóżka. Chociaż byliśmy z Alem bardzo mali, bawiliśmy się sami, w domu i na dworze, nie pilnował nas i nie czuwał nad nami nikt dorosły. W tamtym okresie często się to zdarzało, zresztą nie tylko tamtego lata – w moich wspomnieniach

najczęściej mama leży w swojej sypialni. Tamtego ranka wstała jednak wcześniej rano, wsiadła do samochodu i wróciła po dwóch godzinach, akurat w porze śniadania. Kiedy przyjechała, jedliśmy w kuchni płatki z mlekiem, chrupiące, czekoladowe, dokładnie to pamiętam, uwielbiałam odgłos, jaki wydawały przy gryzieniu. Przyzwyczailiśmy się radzić sobie sami w różnych sytuacjach: z nieobecnym ojcem i matką w chronicznej depresji pewnie nie mieliśmy innego wyjścia.

Przemknęła przez kuchnię niczym duch; zauważyłam, że w lewej ręce miała małą plastikową torebkę. Napomknęła coś o straszliwej duchocie (nie przypominam sobie, żeby było jakoś specjalnie gorąco, wręcz przeciwnie) i zamknęła się w swoim pokoju. Jakiś czas później mnie zawołała. Oczywiście wróciła do łóżka. Powiedziała, że jest bardzo zmęczona, że nie spała przez całą noc i że potrzebuje spokoju. Kazała mi się zająć bratem. I mieliśmy jej nie przeszkadzać. Mówiąc to, łykała tabletki z opakowania leżącego na szafce nocnej obok torebki z apteki. Zwróciłam na to uwagę, bo zazwyczaj brała tylko jedną, przynajmniej w mojej obecności. Ale tamtego ranka zażyła kilka zielonych pigułek. Podeszłam bliżej i zobaczyłam, że w torebce jest więcej opakowań. „Na co są te tabletki, mamó?”, zapytałam. „Na sen – odpowiedziała. – Jestem bardzo zdenerwowana i muszę odpocząć. Podaj mi je”.

Wzięłam z szafki opakowanie. Smutek mieszał się we mnie z niepokojem. „Chcesz więcej?” Spojrzała na mnie swoimi wiecznie podkrążonymi oczami i skinęła głową. Wydawała się taka krucha, taka bezbronna, miałam wrażenie, że lada chwila wybuchnie płaczem, jeżeli już nie płakała. Zachowywała się tak, jakby wcale mnie tam nie było. W jej oczach pokazały się łzy i to właśnie one przepełniły czarę. Pomyślałam, że liczy się tylko jedno: żeby zasnęła i przestała cierpieć, płakać, uskarżać się. Nie chciałam widzieć jej takiej, wiecznie zgorzkniałej, udręczonej, melancholijnej. Poczułam się przytłoczona, bezsilna, zagubiona i rozdarta wewnątrz. Miałam ochotę powiedzieć jej: ty jesteś matką, a ja córką, wstań, postaw się tacie, zajmij się wreszcie nami, przestań się uzalać; a jeśli nie potrafisz, przynajmniej raz na zawsze zostaw nas w spokoju. Oczywiście nie tymi słowami. Byłam dzieckiem, wiedziałam tylko, że ta sytuacja jest frustrująca i nie do zniesienia. „Muszę odpocząć”, powtórzyła.

Wyjęłam z blistra kolejną tabletkę i podsunęłam ją mamie do ust. „Weź –

powiedziałam – musisz dużo spać”. Rozchyliła wargi i połknęła pastylkę, popijając mały łyk z przyniesionej z kuchni szklanki. Spojrzałyśmy na siebie i chwilę później podałam jej kolejną tabletkę. I jeszcze jedną. Zażywała je zachłannie, jakby długo na to czekała. Przez cały czas cicho płakała. Myślę, że z moją pomocą połknęła posłusznie w sumie ze trzydzieści pastylek, jedna po drugiej, może nawet więcej, nie wiem, moje wspomnienia nieco się już zatarły.

Przez te kilka minut istniałyśmy tylko ja i ona, nic więcej. Nie wiem, do jakiego stopnia miałam świadomość tego, co robimy. „Dziękuję”, powiedziała. Pamiętam tylko jej usta, rozchylające się zaledwie na kilka milimetrów i przyjmujące podawane przeze mnie tabletki. Może zrobiłaby to sama, gdybym jej nie pomogła, nie wiem. Te wszystkie opakowania leżące na szafce nocnej mogły służyć tylko jednemu. Nie mam pojęcia, jak zdobyła taką liczbę tabletek ani kiedy podjęła decyzję, że je zażyje – czy tamtego ranka, czy innego dnia lata, czy może znacznie wcześniej, ale było oczywiste, że ją podjęła.

Kiedy chwilę później podeszłam do drzwi, chcąc wyjść z pokoju, leżała w łóżku, chyba ciągle płakała i chyba wciąż brała tabletki, teraz już sama. Nie pamiętam dobrze. Obie te czynności, połykanie tabletek i cichy płacz, bezpośrednio łączą się w moich wspomnieniach. „Bardzo cię kocham”. To było ostatnie, co od niej usłyszałam.

Spojrzałam na nią od progu i pomyślałam: śpij, proszę. Bez słowa wyszłam z pokoju. Zamknęłam za sobą drzwi i poszłam do salonu po Alego. „Chodź prędko, musimy się schować”. „Dlaczego? Co się stało?”, zapytał wystraszony. Popatrzyłam na niego. Przypomniałam sobie opowieści ojca: jakoby tu, w tych górach, żył bardzo niebezpieczny wilk z dużymi kłami i schodził do doliny po małe dzieci, które były niegrzeczne, żeby je zjeść. „Wilk – wykrztusiłam. – Jest blisko, musimy się ukryć”.

Złapałam Alego za rękę i wybiegliśmy na dwór. „Ale ja byłem grzeczny... – zaprotestował. – Poza tym jeżeli idzie wilk, to lepiej, żebyśmy zostali w domu”. Zdecydowanie pokręciłam głową. Za wszelką cenę musiałam zabrać go jak najdalej stąd. „Wilk będzie najpierw szukał w domu – wyjaśniłam, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie. – Szybko, musimy schować się gdzie indziej”.

Mój brat naprawdę wyglądał na wystraszzonego. Miał zaledwie sześć lat, a ja byłam jego starszą siostrą. „A mama?”, zapytał. „Wilk przychodzi tylko po dzieci”, odparłam. W tamtej chwili miałam odpowiedź na wszystko. Szybko oddalaliśmy się od domu, długo kluczyliśmy między drzewami, weszliśmy do lasu. Biegliśmy, szliśmy, znowu biegliśmy, cały czas trzymając się za ręce.

Wreszcie dotarliśmy zdyszani nad rzekę i ukryliśmy się w zaroślach. „Nie puszczaj mnie”, poprosił Ale, ściskając moją rękę i drżąc ze strachu. Spojrzałam na jego małą rączkę w mojej dłoni – ten obraz na zawsze wrył mi się w pamięci. „Zamknij oczy i policz do tysiąca”, powiedziałam.

Posłuchał mnie. Strach przed wilkiem, zaufanie do starszej siostry, przerażenie, które nim zawładnęło, sprawiły, że pozwolił mi się prowadzić, nie stawiając oporu, nie podając w wątpliwość moich słów.

Zamknął oczy i policzył szeptem do stu. Kiedy skończył, zaczął od nowa. Ciągłe słyszę, jak z wysiłkiem wymienia cyfry, których czepiał się z taką desperacją. Później, kiedy już się zmęczył albo po prostu nie chciał dłużej liczyć, siedzieliśmy w milczeniu, nieruchomo, trzymając się za ręce.

Długo ukrywaliśmy się w tych krzakach, pewno ze dwie czy trzy godziny. Dopóki nie znaleźli nas jacyś spacerowicze. Para, która przyjechała na całodzienną wycieczkę w góry. Nieźle się wystraszyli na widok dwójki małych dzieci przyczajonych w zaroślach. Kiedy zapytali, co tu robimy, Ale odpowiedział, że idzie wilk i musieliśmy się schować. Ja wyjaśniłam, że jesteśmy na wakacjach, mieszkamy w drewnianym domku niedaleko stąd.

Kobieta i mężczyzna byli mili, postanowili koniecznie odprowadzić nas do domu. Nieśli niemowlę w takim jakby koszyku. Złaziliśmy z nimi cały las, ale nie potrafiliśmy odnaleźć drogi powrotnej. To był prawdziwy labirynt. Mężczyzna postanowił zabrać nas do najbliższego miasteczka. Wtedy nie istniały jeszcze komórki, komunikacja nie była taka prosta i szybka. Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do koszar Gwardii Cywilnej w Candeledzie. Zajęli się nami funkcjonariusze, zadali nam mnóstwo pytań i wreszcie, kiedy udało im się wyciągnąć z nas jakieś sensowne informacje, namierzali ojca w biurze w Madrycie.

Reszty pewnie się domyślasz. Gwardziści odwieźli nas do domku. Potem dowiedziałam się, że minęło ponad siedem godzin, odkąd mama zażyła

tabletki. Zapadła w głęboki sen i gwałtownie spadło jej ciśnienie, doprowadzając do nagłego zatrzymania akcji serca. Kiedy ją znaleziono, już nie żyła.

Tamtego sierpniowego dnia w tamtym drewnianym domku na pustkowiu moja matka na zawsze przestała płakać. Sekcja zwłok wykazała, że doszło do samobójstwa przez zażycie prawie pięciuset miligramów benzodiazepiny. To ona prawdopodobnie spowodowała spadek ciśnienia, który doprowadził do śmierci. Ponieważ mama cierpiała na depresję, przyjęto, że odebrała sobie życie, połykając ogromną liczbę tabletek. I tak rzeczywiście było. Chociaż prawda, cała prawda jest taka, że ja jej w tym pomogłam.

Mogłabym powiedzieć, że byłam jedynie małą dziewczynką i że nie wiedziałam, co robię. Mogłabym nawet powiedzieć, że moja matka kupiła te wszystkie opakowania lorazepamu z oczywistym zamiarem popełnienia samobójstwa i że to był wyłącznie jej pomysł. Ale wątpliwość – choćby najmniejsza – że może nie zdobyłaby się na odwagę, gdybym nie pomogła jej zażyć tabletek, będzie mnie prześladować do końca życia i obawiam się, że nikt jej nie rozwieje. Byłam zmęczona jej smutkiem, jej łzami, jej biadoleniem, jej słabością. Już dłużej tak nie mogłam. I chociaż nigdy dotąd nie powiedziałam tego głośno, to kiedy miałam dziewięć lat, chciałam, żeby zasnęła.

Nie wiem dokładnie, jak to ocenić. Nie jestem pewna, ale myślę, że jej smutek wyrządził mi większą krzywdę niż skrywana przemoc mojego ojca. Pewnie jedno napędzało drugie. Nic nie usprawiedliwia skrajnej szorstkości i wybuchów gniewu ojca, nie chcę niczego takiego powiedzieć. Ale udręka mamy była dla mnie rozdzierająca. Rzecz jasna, przez resztę dzieciństwa i wczesnej młodości bardzo za nią tęskniłam, ale tamtego dnia w domku chciałam, żeby zamknęła oczy, taka jest prawda. I tamto uczucie, jak rozumiesz, tylko przelotne, tak bardzo mi ciąży, budzi we mnie takie poczucie winy, że czasami mnie paraliżuje.

Oczywiście tamtej nocy nie spaliśmy w domku. Ojciec (którego ku mojemu zdziwieniu śmierć matki poruszyła znacznie bardziej, niżbym podejrzewała) po kilku niekończących się godzinach pytań i płaczu zabrał nas z powrotem do Madrytu. To był gorzki powrót, pełen bólu i niewypowiedzianych słów – przez ponad półtorej godziny żadne z nas nie odezwało się, jakbyśmy zawarli na tej szosie coś w rodzaju paktu milczenia

na temat faktu, który na zawsze miał naznaczyć życie każdego z nas.

Wreszcie znalazłam się w pokoju, który dzieliłam z młodszym bratem, położyliśmy się do łóżek. Mieliśmy za sobą długi, straszny dzień. Zapytał mnie w ciemnościach: „Myślisz, że wilk ciągle nas szuka?”.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Podeszłam do niego i po prostu wzięłam go za rączkę. Sądzę, że to samo robiłam przez następnych trzydzieści lat: mocno chwytałam go za rękę i ciągnęłam. Do czasu, aż nie mogłam już tego robić i wypuściłam jego dłoń. Może to była zbyt duża odpowiedzialność dla dziewczynki, nawet dla dorosłej kobiety.

To jest ten wilk z rysunków – zakończyłam, spoglądając na Gabriela. – Oto cała historia.

Odetchnęłam i zobaczyłam, że Gabriel wciąż przygląda mi się uważnie, nie tracąc wątku i towarzysząc mi podczas mojej opowieści. Myślę, że chciał się upewnić, że skończyłam, zanim cokolwiek powie albo choćby się poruszy. Jego pełne szacunku, czujne spojrzenie pomogło mi ubrać to wszystko w słowa.

Wykonał dłonią przyjazny gest, lekko ją otwierając.

– Dobrze się czujesz? – spytał delikatnie.

– Tak sobie.

– To rozumiałe – przyznał. – Wiem, że nie ma takiej potrzeby, ale na wszelki wypadek ci powiem: to oczywiste, że nie ty zabiłaś matkę ani nawet nie pomogłaś jej w odebraniu sobie życia. Sama to zrobiła. Jakakolwiek inna interpretacja tego wydarzenia byłaby po prostu błędna. To normalne, że ta historia nie daje ci spokoju, zwłaszcza że przez tyle czasu ją ukrywałaś. Ale byłaś tylko wystraszoną dziewczynką. To ty byłaś ofiarą.

Wzruszyłam ramionami. Niczego już nie byłam pewna.

– I mój brat – zgodziłam się bez przekonania.

– I twój brat – powtórzył.

Chociaż byłam zdolna zrozumieć, że Gabriel ma rację, nie wystarczało to, żeby pozbyć się głębokiego bólu.

– Pozwól, że ci coś powiem: są rzeczy, które wyraźniej widzi się z zewnątrz – przekonywał. – Nie znam dokładnie twojej przeszłości, ale z tej

opowieści wynika, że odkąd sięgasz pamięcią, matka, apatyczna, tułała się po zakątkach twojego życia, skarżąc się i płacząc. To całkiem logiczne, że tamta dziewczynka chciała, żeby jej matka zasnęła.

Poczułam się zmęczona, wyczerpana.

– Jeżeli będziesz chciała o tym porozmawiać, z chęcią cię wysłucham – zapewnił Gabriel. – Ale jeśli wolisz, żebyśmy zachowywali się tak, jakbyś mi tego nie opowiedziała, też będzie w porządku.

Nie byłam przyzwyczajona do osób okazujących takie zrozumienie, zwłaszcza mężczyźni.

– Zawsze potrafisz znaleźć właściwe słowa? – zapytałam z czymś na kształt uśmiechu.

Nie zdążył odpowiedzieć.

Słyszac zbliżające się kroki Haruo i Reiko, oparliśmy się na krzesłach.

– Tempura wanilia – oznajmiła Reiko, rozstawiając na stole różne miseczki – i tempura czekolada i truskawka.

– Prezent restauracja – wyjaśnił Haruo.

– Dziękuję – powiedział Gabriel.

– Prezent pożegnalny – uściśliła Reiko. – My wyjechać zamknąć.

Spojrzałam na trzy ceramiczne miseczki z orientalnymi wzorkami, w których leżały jednakowe na pozór kulki smażonych lodów, i nagle zalała mnie niepoohamowana fala melancholii. To było coś w rodzaju wyostrzonego poczucia rzeczywistości, jakby wszystkie przedmioty i sytuacje nabrały nagle zbyt wielkiego znaczenia. Rozlegająca się w tle muzyka, przygaszone światło, stare materiałowe serwetki, haftowane kimono, pomarszczony papier na ścianach, wszystko to wydało mi się nieznośnie smutne. Zadałam sobie pytanie, jak mogłam przez tyle lat stołować się w tym miejscu i nie wybuchac płaczem za każdym razem, kiedy przekraczałam próg lokalu.

– My wracać dom – ciągnęła Reiko – tęsknić za kraj i za rodzina po tyle latach...

– Nie będziemy chyba robić scen – poprosiłam błagalnym tonem. – Przecież codziennie zamyka się restauracje. Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, oszczędźmy sobie łez. Będzie jeszcze czas na pożegnania i całą resztę.

Chyba nie wsiadacie do samolotu już dziś wieczorem.

Reiko i Haruo spojrzeli na mnie, próbując zrozumieć te słowa; po tylu latach nie przywykli jeszcze do moich zmian nastroju ani do mojej alergii na okazywanie uczuć. Nie mam im tego za złe. Nawet ja nie mogłam do tych stanów przywyknąć.

– Przepraszam – mruknęłam. – To przez leki. Jestem strasznie poirytowana.

– Ty chora? – zapytał Haruo.

– Tak, ja bardzo chora – podsumowałam z nadzieją, że dadzą mi spokój.

Popatrzyli na siebie i skinęli głowami.

– Jeżeli Ana coś potrzebować, zawiadomi – powiedział Haruo, obejmując swoją żonę w talii.

Małżonkowie zrozumieli, że najlepsze, co mogą zrobić w tej sytuacji, to odejść od stolika. Ceniłam tę parę, byłam im wdzięczna, że zawsze, tak jak tego wieczoru, szanowali moją prywatność. Ale nie mogłam ścierpieć uzewnętrzniania uczuć. Poczułam, że gwałtownie rośnie mi temperatura; kiedy spotykało mnie coś takiego, zaczynałam się poprawiać i obwiniać za swoje zachowanie, dając się wciągnąć w spiralę, z której trudno mi było wyjść bez chemii.

Gabriel przyglądał się scenie, powstrzymując się od komentarzy. Odczekał cierpliwie, aż Haruo i Reiko odejdą. Jak gdyby nigdy nic, wziął łyżeczkę i powoli zanurzył w waniliowej kulce.

– Smażenie lodów zawsze było dla mnie zagadką – powiedział, starając się rozluźnić atmosferę.

– Wiem, że już ci dziękowałam – odparłam – ale chcę to zrobić jeszcze raz. Dziękuję ci z całego serca, że na mnie nie doniosłeś. I że teraz mnie wysłuchałeś.

Skinął głową i odwrócił się w stronę swojej brązowej torby, leżącej na krześle obok. Powoli – jak to on – wyciągnął z niej kopertę A4. Położył ją na stole, przykrywając ręką, czym dodatkowo wzmógł moje zaciekawienie.

– Nie wiem, czy to dobry moment – powiedział – ale już dawno przestałem przejmować się konwenansami. Korzystając z tego, że byłaś tak miła i zaprosiłaś mnie na kolację, pozwoliłem sobie przynieść parę rzeczy.

Pomyślałem, że może chciałabyś rzucić na nie okiem. Może dobrze ci zrobi, jeśli zajmiesz myśli czymś innym. Nie chcę być niegrzeczny. To tylko kilka dokumentów. Możesz je zabrać i przeczytać spokojnie w domu.

Nie mogłam ukryć, że mnie zaintrygował.

– Czego dotyczą? – zapytałam.

– Lepiej sama zobacz. I zdecyduj, czy warto.

Dłoń Gabriela nadal spoczywała na kopercie, jakby ją chroniąc.

– Zanim przeczytasz, chcę ci jeszcze coś uświadomić – ciągnął. – To wszystko zdarzyło się tylko i wyłącznie ze względu na ciebie. Na reakcję, jaką wywołałaś w ludziach. Wiem, że niechętnie tego słuchasz, ale zainspirowałaś wiele osób.

Instynktownie odchyliłam się do tyłu.

– Powinnam się bać? – zapytałam. – Mam wrażenie, że w ciągu ostatniego roku rozczarowałam wielu ludzi.

– Moim zdaniem było odwrotnie – stwierdził Gabriel bez patosu.

Przesunął kopertę w moją stronę.

– Pójdę teraz do łazienki i może zostawię cię samą z kopertą. Zaraz wracam.

Wstał z tajemniczą miną. Oddalił się od stolika razem ze swoimi obcisłymi spodniami, swoim ciemnym T-shirtem, swoją gumką do włosów i swoją wyrozumiałością niezależną od wstrząsów emocjonalnych. Zostałam sama. Siedziałam w kącie Czerwonej Pochodni. Pomyślałam, że prawdopodobnie jestem tu ostatni raz. Wkrótce ktoś zburzy te stare mury i postawi na ich miejscu przyzwoity lokal, który wreszcie przypadnie do gustu okolicznym mieszkańcom. Na mnie nie mają co liczyć.

Spojrzałam na kopertę z ciekawością, ale i z obawą. Upewniłam się, że w pobliżu nie ma nikogo. Wreszcie ją otworzyłam. W środku było sześć spiętych zszywkami poufnych dokumentów. Wystarczył rzut oka, żebym zrozumiała, czego dotyczą.

Myślę, że gdyby ktoś zobaczył mnie w tamtej chwili, pomyślałby, że należę do kobiet, które wzruszają się z byle powodu. Jednak po prostu czegoś takiego się nie spodziewałam. Ta koperta była prawdziwą puszką Pandory –

otwarta, mogła rozpętać burzę o nieprzewidywalnych konsekwencjach.

Pospiesznie schowałam wszystkie dokumenty, może bojąc się, że ktoś je zobaczy, a raczej z powodu pełnej niepokoju świadomości, że nie będę już mogła odwrócić wzroku i o wszystkim zapomnieć, chociaż obiecałam (a nawet poręczyłam podpisem), że tak właśnie zrobię.

Przyznaję. Poczułam lęk, paniczny strach na myśl o tym, że kolejny raz będę musiała zajrzeć w mroczne zakątki, w których znajdę lęk, cierpienie, rozpacz. Bolesna prawda była taka, że zawsze czułam strach. Przed mnóstwem rzeczy. Dawny irracjonalny strach przed ciemnością, przed tym, że nie sprostam oczekiwaniom innych, że nie będę kochana, przed odkryciem, że moja matka tak naprawdę nie umarła, tylko nadal płacze w jakimś dalekim miejscu, przed tym, że odziedziczę po niej depresję, że będę tak samo władcza i agresywna jak mój ojciec, że nie zdołam wyzwolić się od uzależnień, że nie będę dobrym człowiekiem, a przede wszystkim strach przed samotnością. Wiedziałam, że od niego prawie na pewno nigdy się nie uwolnię.

Wzięłam kopertę i podziękowałam Gabrielowi Brandarizowi za jego absolutne, niezłomne i bezwzględne poczucie sprawiedliwości, jednocześnie je przeklinając. Na szczęście – albo na nieszczęście – to jeszcze nie był koniec.

EPILOG
30 LISTOPADA

Jestem humanistką, wiedziałam od dziecka. Mimo to – a może właśnie dlatego – mam upodobanie, powiedziałabym wręcz, że irracjonalną słabość, do cyfr, statystyk, sondaży, procentów, działań matematycznych, obliczeń. Sądzę, że musi mieć to związek z rzekomą naukową nieomylnością liczb.

– Woda gazowana dla pani – powiedział kelner z uprzejmym uśmiechem.

Podniosłam wzrok znad papierowej serwetki, na której namazałam kilka cyfr, i spojrzałam na chłopaka: miał dwadzieścia parę lat, włosy ostrzyżone na milimetr, dwudniowy zarost i srebrny łańcuszek na szyi; wyglądał, jakby miał za sobą nieprzespaną noc. Bordowy uniform kawiarni był na niego trochę przyciasny.

– Nie mam gotówki na napiwek – powiedziałam nieoczekiwanie, chociaż jeszcze nie poprosiłam o rachunek. – Ale możemy zrobić tak: zanim wyjdę, jeśli będziesz chciał, zapiszesz mi swój numer telefonu. W ten sposób będę mogła do ciebie zadzwonić i umówić się z tobą, żeby dać ci zasłużony napiwek. Nie musisz podejmować decyzji w tej chwili, jeszcze tu trochę posiedzę.

Chłopak pochylił się nad stolikiem, bardzo blisko, jego usta znalazły się zaledwie kilka centymetrów od mojej twarzy. Wziął mój długopis i zapisał dziewięć cyfr na leżącej przede mną serwetce. Miał duże spracowane ręce odpowiadające wzbudzonemu we mnie od pierwszej chwili nadziejom.

– Wyślij mi wiadomość – powiedział. – Zazwyczaj nie odbieram telefonów.

– Wyślę na pewno – odparłam.

Odszedł w stronę baru, zręcznie lawirując między stolikami zajętymi przez emerytów i panie z sąsiedztwa, sączących aperitif. Kawiarnia Roma była jednym z tych lokali powstałych w latach siedemdziesiątych, które przetrwały do dziś: żadnych papierowych kubków, aromatyzowanych mieszanek kawy, a już na pewno żadnego mleka sojowego. Tutaj nadal

serwowano kawałki tortilli, najzwyklejszą kawę z mlekiem i porządne porcje churros. Dodam, że wybrałam ten lokal ze względu na lokalizację, nie dlatego że lubię takie klimaty czy że jestem sentymentalna.

Spojrzałam na numer na serwetce: 699852702. Czy to rzeczywiście jego telefon? Nie miałam powodów wątpić – chłopak był prawie tak samo bezpośredni jak ja, nie dał mi czasu na jakikolwiek rekonesans.

Dopiero wtedy zwróciłam uwagę na pewną zbieżność. Przez cały ranek chodził mi po głowie inny ciąg cyfr, z których trzy ostatnie były dokładnie takie same jak w numerze telefonu, choć znaczyły zupełnie co innego. Zapisałam go z pamięci pod telefonem kelnera, 2233702. Rzuciłam okiem na oba ciągi, zapisane odręcznie i prawie tak samo długie. Nikt tego ode mnie nie zażąda, ale zaczęłam się zastanawiać, co bym zrobiła, gdybym musiała wybrać jeden z nich. Oczywiście było to pytanie retoryczne. Kelner zapowiadał się obiecująco, ale bez przesady.

Druga liczba była dokładną sumą, jaka przypadła mi w udziale na mocy ugody z Santonją, po odliczeniu stałych i zmiennych kosztów, długu Alego, olbrzymiej części należnej Helenie, bonusów dla Sofii i Frimana (którego miło zaskoczyły zarówno wysokość otrzymanej kwoty, jak i to, że tak szybko trafiła w jego ręce), sówitej premii dla M. i udziału Conchy jako współniczki kancelarii. Dwa miliony dwieście trzydzieści trzy tysiące siedemset dwa euro. Astronomiczna suma, która przytłoczyłaby każdego, nie wyłączając mnie.

Wyjrzałam przez duże okno kawiarni wychodzące na ruchliwą ulicę w centrum, którą przechodziły dziesiątki ludzi. Było zwykle przedpołudnie pod koniec listopada, jesień w pełnej krasie, liście na ziemi, asfalt mokry od porannego deszczu, stojące w korku samochody – jak zwykle o tej porze roku. Minęły prawie trzy miesiące od umorzenia sprawy, aresztowania Santonji, kolacji z Brandarizem i od otwarcia tamtej koperty. Czas płynął powoli. Miałam wrażenie, że dni posuwają się naprzód leniwie.

Helena i Martín polecili do Poznania odwiedzić rodzinę. Coś mi mówiło, że długo tam zabawią. Może tak byłoby najlepiej dla wszystkich? W tym mieście moja bratowa miałaby wsparcie rodziców, może znowu poczułaby się jak u siebie i jeżeliby jej nagle nie odbiło, mogliby oboje wieść wygodne życie do końca swoich dni. Pewnie za jakiś czas wybrałabym się do nich

w odwiedzin; nie każdy może się pochwalić polskim bratankiem.

Do Conchy i dziewczynek odezwał się Felipe. Jak było do przewidzenia, pojawił się, gdy tylko wyniuchał pieniądze. Podobno z własnej woli zapisał się na terapię i podczas wzruszającego spotkania z żoną i córkami przysiągł, że jest teraz innym człowiekiem, że się zmienił i że już nigdy więcej nie dopuści się przemocy. Przytoczę tu pewien aksjomat, z którym wiele osób pewnie się nie zgodzi, a który, moim zdaniem, Concha i mnóstwo innych kobiet powinno wytatuować sobie na powiekach. Jest bardzo prosty i brzmi mniej więcej tak: „Wszyscy mają prawo do drugiej szansy... oprócz sukinsynów znęcających się nad żonami”. Na razie moja przyjaciółka nie dała się jeszcze uwieść syrenim śpiewom swojego eks, ale jeżeli zobaczę, że się łamie i zaczyna zastanawiać, czy nie dać mu szansy, od razu zainterweniuję. Uczyniłam to jednym ze swoich nielicznych celów: pilnować, by Concha nie popełniała starych błędów.

Jeśli chodzi o Sofię, znalazła sobie całkiem przyzwoitego chłopaka, przystojnego i rozmownego, niepoprawnego optymistę, chociaż dotąd niezbyt mu się w życiu układało. Był jednym z wielu, którzy za kilka euro nabierali doświadczenia w zawodzie. Chłopak miał tę drobną wadę, że skończył prawo i był adwokatem. Ponoć planowali otworzyć w niedalekiej przyszłości małą kancelarię, chociaż Sofía od początku postawiła sprawę jasno: jeżeli ona wyłoży pieniądze, on będzie jej podwładnym, dopóki nie zapracuje sobie na udziały w spółce. Podobała mi się. Mimo że była bezczelnie młoda, wiedziałam, że sobie poradzi.

Sprawdziłam godzinę na komórce i znów wyrzałam przez okno na bulwar. Ludzi było chyba coraz więcej. Nie wiem dlaczego, zadałam sobie nagle pytanie, co byłąby gotowa zrobić większość z tych mijających mnie osób w zamian za dwa miliony euro, i szczerze mówiąc, przyszło mi do głowy kilka mało ciekawych pomysłów.

– Przepraszam za spóźnienie – usłyszałam dobrze mi znany kobiecy głos.
– To przez korki. Trudno się przyzwyczaić do tego miasta.

Usiadła naprzeciwko mnie. María Dolores Resano wyglądała na tak samo zgaszoną jak zawsze. I ta wiecznie skwaszona mina.

– Zdziwiłam się, że do mnie zadzwoniłaś – odpowiedziałam.

Dzień wcześniej sędzia poprosiła mnie o nieformalne spotkanie, więc

umówiłam się z nią w tym miejscu.

– Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać, zanim złożysz w sądzie zeznania – zaczęła. – Przyznaję, że trochę się denerwuję. Ten Iturbe nie żartuje; chce mojej głowy, żeby pokazać zwierzchnikom, do czego jest zdolny.

Resano od razu przeszła do rzeczy, jakby chciała nadrobić spóźnienie.

– Nie wygląda to najlepiej – powiedziałam. – Przykro mi. To bardzo nieprzyjemne, kiedy zwracają się przeciwko tobie koledzy.

– Tak, ale wiesz, jak to jest: nikt nikogo nie zna i tak dalej – powiedziała ze szczyptą cynizmu. – Z oczywistych względów niełatwo mi się było zdecydować, żeby do ciebie zadzwonić. Długo się zastanawiałam. Nie należę do osób, które podejmują decyzje pod wpływem impulsu.

– Pod tym względem nie jesteśmy do siebie zbyt podobne.

Popatrzyła na mnie, rozważając moje słowa, jakby chciała się upewnić, co naprawdę znaczą.

– Mam do ciebie dość szczególną prośbę – oznajmiła, pomijając milczeniem mój komentarz. – Nie chcę z tobą rozmawiać o zeznaniach, które masz złożyć w przyszłym tygodniu przed sędzią śledczym. Jestem główną oskarżoną i nie mogę ani nie powinnam tego robić. Jak doskonale wiesz, zarzuca mi się kłamstwa oraz manipulowanie dowodami i świadkami w celu doprowadzenia do skazania paru sprawców przemocy. Wszystko to jest bardzo smutne. Mówiąc „wszystko”, mam na myśli zwłaszcza drani przekonanych, że mają prawo używać przemocy w stosunku do swoich żon, które z kolei często reagują milczeniem ze strachu, wstydu czy z tysiąca innych nieistotnych teraz powodów. I niestety, wykorzystujących także bezsilność systemu.

Miałam wrażenie, że w zakamuflowany sposób usprawiedliwia to, co zrobiła, zamiast temu zaprzeczyć. Jeżeli Resano szczerze mówiła z takim gniewem o sprawcach przemocy (a mogłabym przysiąc, że tak było), jeżeli zaryzykowała karierę, żeby posłać za kratki kilku łajdaków, to rana, którą zadałam jej w przeszłości, musiała być tak straszna, że aż powiedziała mi te wszystkie rzeczy podczas naszego ostatniego spotkania u siebie w gabinecie. Znowu miałam ochotę przeprosić ją za to, co robiłam z jej mężem, ale w tej chwili byłoby to zupełnie nie na miejscu.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytałam wprost.

Poruszyła się w obitym skórą fotelu, lekko skrzepowana.

– Jeśli nie będziesz zeznawała przeciwko mnie – a nie wiem, co postanowisz – chciałabym cię prosić, żebyś rozważyła udzielenie mi pomocy w tej sprawie.

– Co masz na myśli? – zapytałam skonsternowana.

Westchnęła, złożyła ręce i spojrzała mi w oczy.

– Chcę, żebyś była moim adwokatem.

Nie od razu odpowiedziałam. Mówiła poważnie. Z jakiegoś powodu wszyscy ostatnio chcieli mnie zatrudnić. Opracowałam wcześniej na swój użytek kilka teorii na temat tego spotkania z Resano. Myślałam, że poprosi mnie, bym nie ujawniała treści naszej prywatnej rozmowy, żeby jej nie zaszkodzić. W takim przypadku, i niezależnie od umowy z prokuratorem, byłam gotowa rozważyć różne możliwości. Ale ta propozycja kompletnie mnie zaskoczyła.

– Z tego, co wiem, masz już adwokata – odparłam niepewnie. – Całkiem niezłego.

– Zrobiłam błąd. Tę sprawę powinna poprowadzić kobieta.

Wymownie uniosłam brwi. Resano mówiła poważnie.

– Schlebia mi, że o mnie pomyślałaś – odpowiedziałam. – Naprawdę. To, że ktoś taki jak ty zaproponował mi poprowadzenie najważniejszej sprawy w swoim życiu, daje mi dużo do myślenia. Niestety już z tym skończyłam. Odeszłam z zawodu. Oficjalnie.

– Bzdury! – wypaliła bez ogródek. – Słyszałam o twojej wielkiej przemowie przed Sądem Prowincji, że niby na zawsze odwieszasz togę. Obie doskonale wiemy, że to niemożliwe. Masz to we krwi, nie potrafisz robić niczego innego. Wcześniej czy później wrócisz. Proszę cię tylko, żebyś zrobiła to dla sprawy, która jest tego warta.

Ten argument brzmiał sensownie. Zobaczyłam siebie w roli jej obrońcy. Rzadko zbiegały się dwie okoliczności, które najbardziej mnie motywują. Po pierwsze, racja (nie prawo) była po naszej stronie. A po drugie, teoretycznie wszystko świadczyło przeciwko oskarżonej.

– Nawet jeżeli miałabym to rozważyć – a nie mówię, że tak zrobię – stanęłabym przed dylematem natury moralnej. W pewnym sensie mam dług wobec Oscara Iturbego. Obiecałam, że mu pomogę, kiedy mnie o to poprosi. I chociaż nie wydaje mi się, żeby zasługiwał na moją lojalność, chcę przynajmniej mieć prawo do gruntownego przemyślenia tej propozycji.

Spojrzała na mnie. Zrozumiała, o co mi chodzi.

– Powiedziałaś mu, o czym rozmawialiśmy wtedy w gabinecie? – zapytała.

– Nie musiałam. Wie, że coś się wydarzyło. I chce, żebym wyjawiała to sędziemu.

– Rozumiem. W takim razie już nic więcej nie powiem.

Rozejrzała się, oceniając swoją sytuację. Przyznaję, że kusila mnie perspektywa zostania jej adwokatem. Jej przypadek był jednym z tych nieoczekiwanych paradoksów, które rzadko się zdarzają.

– Rozstaliśmy się z Adolfem – rzuciła niespodziewanie. – Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, skorzystał, łajdak, z tego, że stoję na skraju przepaści, i odszedł. Pewnie nie chce, żeby go kojarzono ze skandalem. Za bardzo ceni swoją sądową karierę. No i dowiedziałam się, że podobno romansuje z jakąś niedawno mianowaną, obiecującą prokurator, oczywiście znacznie młodszą od ciebie i ode mnie.

Nie wiem, kiedy przestałam być potajemną kochanką i niszczycielką cudzych małżeństw i w jakiś tajemniczy sposób znalazłam się w obozie Resano. Chociaż bynajmniej tego nie pragnęłam i w pewnym sensie byłam tym zaskoczona, uznałam, że tak być musi. Pomijając fakt, że poczułam się lekko urażona aluzją do wieku, było mi o wiele lepiej w nowej roli.

Jeśli zaś chodzi o Adolfa, kolejny raz nie mogłam uwierzyć, że kiedyś, nie tak dawno, coś do niego czułam. Przecież było oczywiste, jakiej klasy ludzie postępują w ten sposób.

– Przykro mi – powiedziałam cicho. Nawet gdybym ją przeprosiła, i tak czułabym się winna. – Nie wiem, co powiedzieć.

Skwitowała to lekceważącym grymasem.

– Kiedyś musiało się to stać – powiedziała, zamykając temat, i wyciągnęła rękę w stronę stojącej przede mną na stoliku opróżnionej do połowy butelki

perriera. – Mogę?

– Oczywiście. Mam poprosić o szklanę?

– Nie trzeba.

Napiła się prosto z butelki, co absolutnie nie pasowało do sędzi takiej, jaką znałam. Może w niej także zachodziły zmiany. Znowu na mnie spojrzała.

– Rozwiąż te dylematy moralne – zachęciła mnie – i zastanów się poważnie nad możliwością zostania moim adwokatem. Nie będziesz żałować.

– Na pewno nie – odpowiedziałam. – Z reguły nie żałuję, nawet ewidentnych błędów. Poza tym przyznaję, że mam ochotę poznać bliżej kobietę, która była gotowa naruszyć wszelkie normy, żeby posłać do więzienia kilku łajdaków. Niczego nie obiecuję, ale rozważę twoją propozycję.

– Na razie tyle mi wystarczy – stwierdziła. – Później do tego wrócę.

Zauważyłam, że za barem zmieniają się kelnerzy. Może dlatego nikt nie podszedł przyjąć zamówienia od Resano. Spojrzałam na tego od serwetki: wchodził do kuchni z dwoma kolegami. O czymś mi to przypomniało. Jeżelibym tu zabawiła dłużej, mogłam się spóźnić. Wyjęłam pięcioletni banknot i położyłam na stoliku; wystarczyłoby z nawiązką.

– Jeżeli nie masz już do mnie nic więcej – powiedziałam – muszę tu coś obok załatwić.

– Jasne, jesteśmy w kontakcie – odpowiedziała, patrząc na komórkę. – Pozwolisz, że zostanę chwilę; muszę wykonać parę telefonów.

– Czuj się jak u siebie w domu.

Złożyłam serwetkę i schowałam ją do kieszeni spodni. Wstałam.

– Mam nadzieję, że wszystko się ułoży – zakończyłam szczerze.

– Ja też mam taką nadzieję. Miłego dnia, Ano.

– Nawzajem – mruknęłam.

Po czym wyszłam z kawiarni.

Było zimniej, niż się spodziewałam. Podniosłam kołnierz kurtki. Ruszyłam szybko bulwarem – nie chciałam się spóźnić. A po wizycie, którą właśnie zamierzałam złożyć, czekało mnie jeszcze ważniejsze spotkanie.

Przeszłam pasażem dla pieszych, przy którym mieściły się liczne sklepy i restauracje, o tej porze wypełnionym ludźmi. Kierowałam się w stronę biurowca stojącego na rogu zaledwie dwie przecznice dalej. Kiedy byłam już blisko, zobaczyłam grupkę mężczyzn: sześciu ochroniarzy w ciemnobrązowych uniformach wychodzących służbowym wyjściem. Zatrzymali się kilka metrów od budynku i zapalili. Natychmiast go rozpoznałam. Stałam pod drzewem i z daleka mu się przyglądałam. To był na pewno on, tyle że wyglądał teraz mniej wyniośle, że się tak wyrażę. Przysięgły numer jeden, były wojskowy, gawędził z kolegami. Pracował dla prywatnej firmy ochroniarskiej i o tej porze miał przerwę. Z posiadanych przeze mnie informacji wynikało, że zawsze wychodził na papierosa, a potem jadł lunch w barku dla pracowników. Nietrudno go było odszukać. Rozejrzałam się i już chciałam do niego podejść, kiedy coś mnie powstrzymało. Środkiem bulwaru w moją stronę szedł ktoś, kogo bardzo dobrze znałam – spokojnie, jakby to, że się spotykamy, było najnormalniejszą rzeczą na świecie. Mój stary prywatny detektyw.

On także zerknął w stronę grupki beztrąsko palących ochroniarzy. Potem podszedł do mnie i skinął mi na powitanie. Sytuacja mówiła sama za siebie: było oczywiste, co tu robimy.

Po chwili M. znowu spojrzał na przysięgłego numer jeden. Włożył ręce do kieszeni i zagadnął:

– Spytasz go?

– Po to przyszłam – odparłam.

– Muszę ci przypomnieć, że jest to niezgodne z prawem – ostrzegł. – Zresztą może pośle cię do diabła. Nie był po twojej stronie i jeszcze zepsułaś mu końcówkę imprezy, nie pozwoliłaś dokończyć tego, co zaczął. Poza tym przykro mi, że sama go śledziłaś, nie zwracając się do mnie. To znaczy, że już mnie nie potrzebujesz.

– To znaczy tylko tyle, że chciałam to zrobić sama i cię nie angażować. Właśnie dlatego że to niezgodne z prawem – odparowałam. – A że mi nie odpowie? Wątpię. Na pewno chce to z siebie wyrzucić, cisnąć mi w twarz. Poza tym wiesz, że potrafię się wykazać dużą siłą perswazji.

– Chyba nie chcesz mu zapłacić, żeby powiedział ci, jaki miał być werdykt! – wykrzyknął. – Dawniej nie pozwoliłabyś sobie na takie kaprysy.

Widać, że masz za dużo pieniędzy.

– Nie zamierzam dać mu złamanego centa. Wystarczy mój wrodzony upór, przecież mnie znasz. A jeśli chodzi o pieniądze, nie sądzę, żebyś miał powody do narzekań.

– W zasadzie mam – powiedział, nie spuszczać wzroku z przysięgłego numer jeden. Oboje patrzyliśmy na niego przez cały czas.

– Nie gadaj, wczoraj przelałam ci niczego sobie sumkę.

– Właśnie dlatego – mruknął. – Byliśmy kwita, nie musiałś mi niczego przelewać, niezależnie od tego, że dobrze nam poszło. Powiem ci, dlaczego mi się to nie podoba. Jeżeli sprezentujesz mi tę nieprzyzwoitą sumę, będę miał u ciebie dług, a tego bym nie chciał. Nikomu nie jestem nic winien, dzięki temu żyje mi się spokojniej.

– Nie zrobiłam ci prezentu, to uczciwe wynagrodzenie za pracę. Dokładnie tyle samo dostała Sofia. Omówiłam to z Conchą. Byliśmy jednomyślni.

Pokręcił głową.

– Posłuchaj, Ano, oboje wiemy, że pieniądze, które teraz masz, wyparują. Pod tym względem jesteś niepoprawna. Zainwestujesz je w jakiś przynoszący straty interes albo, co bardziej prawdopodobne, przeznaczysz na pierwszą lepszą przegraną sprawę. Nic mi do tego, ale oboje wiemy, że wcześniej czy później znowu będziesz spłukana. Znowu wpakujesz się w kłopoty. I oczywiście znowu zwrócisz się do mnie. Wtedy, jeżeli będę miał u ciebie dług, będę zmuszony wszystko rzucić i zaoferować ci pomoc, nawet jeśli będzie mi to nie na rękę. Nie chcę tego. Jeżeli jeszcze kiedyś będę dla ciebie pracował, chcę, żeby to była moja decyzja, nie obowiązek.

– Przekonałeś mnie – uznałam. – Bardzo łatwo temu zaradzić. Oddaj mi kasę.

Przez chwilę milczeliśmy. Przysięgły numer jeden dopalał papierosa. Czułam, że zaraz wejdzie do budynku.

– Mam inny pomysł – powiedział M.

– Zamieniam się w słuch.

– To trochę mniej radykalne rozwiązanie. Założmy, że przekonam cię teraz, żebyśmy zrobili w tył zwrot i odeszli. Założmy też, że w ten sposób

uchronię cię przed popełnieniem wykroczenia, zresztą odpowiedź i tak by cię nie usatysfakcjonowała, bo cokolwiek powie ten człowiek, jakaś część ciebie poczuje się rozczarowana. Gdybyś wygrała, byłabyś rozczarowana, bo mogłaś uzyskać oficjalny wyrok skazujący kasyno, który stanowiłby historyczny precedens. Gdybyś przegrała, bo twoja próżność nie jest kuloodporna, oboje wiemy, że by cię to zabolalo, poczułabyś się niezrozumiana. A gdyby, jak przypuszczam, facet kazał ci spadać i nie udzielił żadnej odpowiedzi – to złamałaś prawo niepotrzebnie. Załóżmy wreszcie, i to jest w tym wszystkim najważniejsze, że wdzięczna za to, że ocaliłem cię przed oczywistym błędem, który zamierzałaś popełnić, powiesz głośno, że nie jestem ci nic winien, że nie mam u ciebie długu. W ten sposób bylibyśmy kwita i mógłbym z czystym sumieniem zatrzymać pieniądze. Koniec końców, jeśli dobrze się nad tym zastanowić, kim ja jestem, żeby kwestionować decyzję, którą podjęłyście po głębokim zastanowieniu.

Przysięgły numer jeden wyrzucił niedopałek na ziemię i przydeptał go butem. Jeden z jego towarzyszy wskazał drzwi, którymi wyszli. Zamierzali wejść do środka.

– Idziemy? – zapytał M., sugerując przeciwny kierunek.

Wzruszyłam ramionami. Pewnie mój detektyw miał rację. W rezultacie niczego by to nie zmieniło.

– Jeszcze jedno pytanie, zanim zrobimy w tył zwrot – powiedziałam. – Często mnie śledzisz? Czy wyjątkowo dzisiaj?

– Tylko od czasu do czasu – odparł. – Zwłaszcza wtedy, kiedy niespodziewanie przelewasz mi nieprzyzwoicie wysokie sumy i kiedy zamierzasz popełnić przestępstwo.

Wreszcie odwróciliśmy się plecami do biurowca i nie oglądając się za siebie, ruszyliśmy w dół bulwaru.

Jesień zdecydowanie nie jest moją ulubioną porą roku. Te wszystkie pożółkłe liście, które kończą w kublach na śmieci, te otrzepane z kurzu płaszcze, to poczucie zagubienia. Owionęło mnie zimne powietrze i zrozumiałam, że najprawdopodobniej wrócę tu innego dnia, żeby uciąć sobie krótką pogawędkę z ochroniarzem, że nic mnie nie powstrzyma, teraz, kiedy już go namierzyłam. Mimo że M. miał rację i że wynik rozmowy najprawdopodobniej faktycznie tylko by mnie sfrustrował, przypuszczałam,

że w końcu zwyciężą moja ambicja i przekłeta ciekawość. Oficjalnie to była moja ostatnia sprawa w sądzie. Miałam prawo wiedzieć, za kim opowiedzieli się przysięgli. Na tym etapie życia nie dziwiła mnie już łatwość, z jaką potrafiłam przekonać samą siebie do jednego rozwiązania, a za chwilę wybrać inne. Spośród moich różnorodnych i często niedocenionych specjalności ta właśnie była dla mnie najważniejsza.

– Wiesz, jaki dziś dzień? – zapytałam.

– Środa, trzydziesty listopada – odpowiedział.

– Właśnie. Ale nie było jaka środa, trzydziesty listopada.

– Co masz na myśli?

Dokładnie w tym momencie podjęłam decyzję, żeby zdradzić mojemu detektywowi, czym zajmowałam się przez ostatnie miesiące.

– Po południu zapraszam cię na naprawdę interesujące widowisko – powiedziałam.

– Może być niebezpieczne?

– Wszystkie rzeczy warte zachodu, które w życiu zrobiłam, wiązały się z pewnym niebezpieczeństwem.

– Piszę się na to.

– Oczywiście, że się piszesz. Zawiozę cię. To za miastem.

– O której zaczyna się show?

Spojrzałam na zegarek, jakbym nie wiedziała, ile dokładnie zostało do rozpoczęcia.

– Jeszcze dwie godziny.

– Nie wiem, o co chodzi, i bynajmniej mnie to nie uspokaja. Mam tylko nadzieję, że nie będzie to znowu jedna z tych rzeczy, w które się angażujesz, a potem pociągasz za sobą wszystkich dookoła.

Poszliśmy przez plac w stronę parkingu. Poczułam ukłucie w piersi. Może M. miał rację, ale niezależnie od tego, co to wydarzenie będzie znaczyło dla nas, dla wielu innych osób na pewno miało być zwieńczeniem długiej drogi. Oby się jednak dokonało.

Z całej siły zacisnęłam palce, by upewnić się, że to się dzieje naprawdę. Zmrużyłam oczy. Po drugiej stronie ogrodzenia, około pięćdziesięciu metrów od miejsca, w którym stałam, jakiś człowiek rozwinął białą-zieloną taśmę i z pomocą funkcjonariusza Gwardii Cywilnej przymocował ją po obu stronach olbrzymich drzwi wejściowych. Potem wyciągnął rolkę taśmy i zaczął odgradzać cały front budynku.

Dokładnie o trzeciej po południu tego nieprzyjemnego trzydziestego listopada dokonała się jedna z niezwykłych rzeczy, które zdarzają się bardzo rzadko. Niemożliwe stało się faktem.

Prawie setka dziennikarzy z kamerami i mikrofonami cisnęła się za ogrodzeniem przy bramie pilnowanej przez prywatnych ochroniarzy. Po drugiej stronie płotu kilku funkcjonariuszy w dwóch samochodach Gwardii Cywilnej asystowało urzędnikowi z Krajowej Komisji do spraw Hazardu, który plombował lokal. Człowieczek w ciemnym garniturze był świadom, że wszyscy na niego patrzą. Stanowczość w ruchach świadczyła o tym, jak wielką wagę przypisywał swoim czynnościom. Odłożył taśmę na bok i podszedł do jednej z imponujących złotych kolumn. Kawałkiem niedbale uciętej taśmy przykleił na metalowej powierzchni kartkę opatrzoną pieczęcią Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Sądzę, że była to lista środków zabezpieczających zatwierdzona przez Komisję.

Tamtego dnia błyszczący budynek kasyna w Robredo jeszcze nie otworzył swoich podwojów i wyglądało na to, że już ich nie otworzy. Pierwszy raz w swojej trzydziestosiedmioletniej historii perła w koronie Gran Castilli miała pozostać zamknięta na cztery spusty. Jesienne słońce odbijające się w przesadnie wielkiej fasadzie podkreślało uroczysty wygląd budynku.

Przyglądaliśmy się temu wszystkiemu z M. z rozsądnej odległości, stojąc na obrzeżu otaczającego budynek pasa zieleni. Nie musieliśmy się odzywać. I tak nic by nie oddało naszego stanu. Może jednak nasze wysiłki na coś się

zdały.

Dziennikarze ruszyli nagle w stronę rogu ulicy, gdzie pojawiła się dobrze znana mi para, która zorganizowała tu spotkanie z prasą. Gabriel Brandariz i Lorena Márquez mieli poważne miny. Wydawali się nie tyle zadowoleni, ile czujni – jakby pilnowali, aby nie skończyło się na pustym geście. Bez wątpienia chodziło o coś znacznie więcej. Za nimi szło spokojnie sześć osób – podopiecznych Almy, których odwaga doprowadziła do zamknięcia kasyna. Ludzie tłoczyli się przed siatką otaczającą posesję, ponieważ ochroniarze wzbraniali doń wstępu. Gabriel wszedł na prowizoryczne podwyższenie – metalową skrzynkę użyczoną przez pracownika jednej ze stacji telewizyjnych. Zamachał ręką, prosząc wśród ogólnego zamieszania o chwilę spokoju, i podziękował obecnym za przybycie.

– Jeśli pozwolicie, zacznę od tego, że jesteśmy świadkami historycznego wydarzenia – zwrócił się do dziennikarzy, próbując ukryć wzruszenie. – Jak widać za moimi plecami, w ramach środków zapobiegawczych podjętych przez Krajową Komisję do spraw Hazardu, ze względu na powagę pewnych wydarzeń i wywołany nimi niepokój społeczny zamykane jest w tej chwili kasyno w Robredo. Zamknięcie to stanowi część rozpoczętej dokładnie trzy miesiące temu procedury administracyjnej, która ujawniła powtarzające się w ciągu ostatnich lat poważne naruszenia przepisów przez grupę Gran Castilla. Grupa zezwalała na dostęp do swoich placówek i na grę osobom, które same narzuciły sobie zakaz wstępu do salonów gier. Po wszczęciu odpowiedniej procedury najwyższy organ Komisji decydujący o sankcjach postanowił orzec te środki w odpowiedzi na wniosek stowarzyszenia Alma walczącego z uzależnieniem od hazardu, które mam honor reprezentować i które brało aktywny udział w całym tym procesie.

Rozpychający się kamerzyści, samochody przejeżdżające z dużą prędkością pobliską autostradą i niewygodne miejsce, w którym stanął – wszystko to utrudniało Gabrielowi komunikację. Starał się jednak mówić dostatecznie głośno, aby do wszystkich dotarło to, co od tak dawna pragnął powiedzieć.

– Obok mnie – kontynuował podniesionym tonem i z coraz większym zaangażowaniem – stoi sześć osób, które postanowiły zrezygnować z anonimowości i dzięki swoim odważnym doniesieniom o przestępstwie uruchomiły tę procedurę. Będziecie mogli z nimi porozmawiać, ale wcześniej

chcę wspomnieć jeszcze o dwóch innych osobach, które nie mogły złożyć takich doniesień, gdyż dosłownie wykończył je hazard. Te osoby to Alejandro Tramel i Miguel Ortiz. Obaj nie żyją, zostali unicestwieni przez hazard. Wspominam dziś o nich w tym miejscu, bo historyczne zamknięcie kasyna, które ich pożarło, stanowi również formę hołdu dla nich.

Dyrektor Almy przerwał na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu. Posłał mi z daleka przelotne, jakże wymowne spojrzenie. Nie mógł wspomnieć o mnie publicznie, bo oficjalnie nie miałam z tym nic wspólnego. Z powodu rygorystycznej umowy podpisanej z Gran Castillą nie mogłam się angażować w działania przeciwko firmie w żadnej sprawie sprzed umowy. To była kluczowa klauzula, musiałam jej przestrzegać. Nie przeszkodziło mi to w doradzaniu Gabrielowi po kryjomu w ciągu tych trzech miesięcy. Owego wieczoru, kiedy jedliśmy kolację w Czerwonej Pochodni, Gabriel zaznaczył, że sześć doniesień o przestępstwie znajdujących się w kopercie złożono dzięki mnie, że to ja zainspirowałam te osoby, ja im poniekąd udowodniłam, że warto powalczyć, wychylić się i stawić czoło wszechpotężnej instytucji, która je zrujnowała. Ja byłam dla nich wzorem, tak dosłownie powiedział Gabriel, patrząc mi w oczy. Oczywiście wydało mi się to przesadą. Przyjęłam jego słowa z niedowierzaniem, ale i z obawą. Nie chciałam tego, nie zgadzałam się na bycie dla kogokolwiek inspiracją. Nigdy nie uważałam się za wzór do naśladowania. Nie starałam się nim być, nie zabiegałam o to, nie przyjmowałam tego do wiadomości. Wykonałam jedynie swoją pracę najlepiej, jak potrafiłam. Nic więcej. On jednak powiedział mi tym swoim grzecznym, lecz zdecydowanym tonem, że nie mam wyboru, nie ma już odwrotu i choćbym czuła się nie wiem jak skrępowana, zrobiłam coś naprawdę dobrego.

Ten człowiek potrafił wyjątkowo skutecznie wyprowadzać mnie z równowagi. Może wypadało się zastanowić poważnie nad tym, dlaczego tak było, choć i tak się domyślałam. Przywykłam, że od dzieciństwa otaczali mnie silni mężczyźni, porywcy, o mocnym charakterze. Począwszy oczywiście od mojego ojca, przez Ramira, mojego pierwszego byłego męża, a skończywszy na Moncadzie, czy, pomijając wszystkie różnice, na M. Budzili we mnie lęk, a jednocześnie dawali mi poczucie bezpieczeństwa. Delikatność, wręcz kruchość Brandariza była dla mnie czymś zupełnie nowym. Pomyślałam, że być może – i naprawdę tego nie planowałam, nic

z tych rzeczy – nie zaszkodziłoby zbliżyć się trochę do niego, stworzyć choć raz w życiu więź innego rodzaju. Kto wie...

Popatrzyłam na stojących przy siatce sześciu autorów doniesień, onieśmiałych obecnością dziennikarzy, na ich twarze i oczy, w których można było wyczytać burzliwą przeszłość. Znowu przyszło mi na myśl słowo „inspiracja”, ale postanowiłam zrezygnować z autocenzury, zachować spokój, jakoś się z tym pogodzić. W każdym razie poczułam wielką serdeczność dla tej szóstki. Byli mi bardzo bliscy. Stał wśród nich Andrés Admira, jakżeby inaczej – jeden z tych, którzy się zdecydowali. W czasie gdy urzędnik kończył opieczętowywać kasyno, Gabriel dalej przemawiał do dziennikarzy:

– ...O ile mi wiadomo, coś takiego dzieje się pierwszy raz w naszym kraju: kasyno zostaje zamknięte, nieważne, że czasowo, w związku z poważnymi wykroczeniami przeciwko klientom. Mam nadzieję, że to dopiero początek kolejnych, licznych postępowań i procedur administracyjnych i karnych przeciwko przemysłowi hazardowemu. Liczba chorych z powodu hazardu rośnie w naszym kraju. Według szacunków Ministerstwa Zdrowia mamy prawie milion osób z różnymi zaburzeniami na tle uzależnienia różnego stopnia od gier i – co bardziej zatrważające – wiek, w którym zaczynają się kontakty ze światem hazardu, stale się obniża, nawet poniżej osiemnastego roku życia. Tymczasem władze nie robią nic. Wolą odwrócić wzrok i zajmować się ściąganiem podatków.

Setki tysięcy mężczyzn i kobiet, w różnym wieku i ze wszystkich warstw społecznych, padły ofiarą grabieżczego systemu, zaszczepiającego naszej młodzieży groźne nawyki, których wcześniej w naszym społeczeństwie nie było, a które, niestety, stają się teraz czymś powszechnym. Wydaje się, że nie można już nawet obejrzeć meczu piłki nożnej, żeby ktoś nam nie wmawiał, że musimy postawić na jedną z drużyn, jeśli chcemy doświadczyć prawdziwych emocji, żeby nam nie tłumaczył, jak łatwo jest wygrać pieniądze. To wstyd, że stacje telewizyjne, wielkie portale internetowe, rozgłośnie radiowe, wszystkie media są demoralizowane w dzień i w nocy przez przemysł hazardowy, że zachęcają nas do obstawiania zakładów, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, że nie ma rygorystycznych regulacji prawnych w tej dziedzinie.

Za bardzo się cofnęliśmy w ostatnich latach. Jest coraz gorzej. Proszę mi

wybaczyć ton mojej wypowiedzi, ale zapewniam was, że to jeden z największych problemów, jakiemu przyjdzie nam stawić czoło w najbliższej przyszłości, a jakby nikt tego nie dostrzegał. Zrobmy coś, żeby to zahamować, jeśli nie chcemy, żeby ta bomba kiedyś wybuchła. Dzisiejsze zamknięcie kasyna ma dużo większe znaczenie, niż mogłoby się w pierwszej chwili wydawać. Stanowi niezwykle precedens, ale to dopiero początek kampanii, do której – mam nadzieję – przyłączą się licznie inne ofiary i organizacje. Żaden przemysł, nawet najpotężniejszy, nie jest ważniejszy od ludzi. Przepraszam za nieporadny język. Mam wrażenie, że słowami nie zdołam w pełni oddać sprawiedliwości tym sześciu osobom, które potrafiły przezwyciężyć obawy i zrobić krok naprzód, oskarżając wielką korporację, ani setkom tysięcy innych ofiar, które – dobrze wiem – łączą się dziś z nami z wielu różnych miejsc. Dzięki nim i dzięki wam możemy nagłośnić ten problem, a tylko w ten sposób zdołamy naprawdę czegoś dokonać.

Ledwo skończył wypowiadać ostatnie słowa, został zasypany pytaniami przez dziennikarzy. Jak długo kasyno będzie zamknięte? Czy rozważa się również wszczęcie postępowań karnych? Ile pieniędzy może tracić kasyno każdego dnia w związku z zamknięciem? Jakie dokładnie przepisy zostały złamane? Kto pierwszy złożył doniesienie o przestępstwie? Czy stowarzyszenie Alma występowało w imieniu swoich pacjentów czy prywatnie, jako instytucja posiadająca osobowość prawną? Padło też mnóstwo innych pytań. Nakładały się na siebie, tak że niemożliwością było je zrozumieć.

– Oddaję głos Lorenie Márquez – powiedział Gabriel, ogłuszony tą lawiną – wicedyrektorce Almy. Będzie mogła podać niektóre fakty, z pewnością państwa zainteresują.

Kiedy schodził ze skrzynki, ustępując miejsca koleżance, stracił równowagę i o mały włos nie upadł. Dziennikarze popychali się, piekielnie trudno było się poruszać w tym tłumie.

W kieszeni zaczął mi wibrować telefon. Wyjęłam go i spojrzałam na wyświetlacz, na którym mrugało imię Sofii. Odebrałam, obserwowana z uwagą przez M.

– Czy ty to widzisz? – zapytała bez wstępów.

– Bezpośrednio i na żywo – odpowiedziałam.

– O kurwa.

– Dokładnie. O kurwa.

W słuchawce słyszałam rozlegający się w tle głos Loreny – Sofía pewnie oglądała transmisję na jakimś kanale online.

– To twoja sprawka? – rzuciła zaniepokojona. Zdziwiłam się, że zadała mi to pytanie, ot tak, przez telefon, zwłaszcza po wszystkich problemach z nagraniami w trakcie procesu. Nie twierdzę, że zrobiła to celowo, ale zachowała się co najmniej nierozważnie: żadna z nas nie mogła być pewna, czy ktoś nie podsłuchuje.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziałam neutralnym tonem, jakbym przemawiała przed sądem. – Doskonale wiesz, że po umowie podpisanej z Gran Castillą nie mogę mieć nic wspólnego z takimi rzeczami.

– No tak, jasne, przepraszam – wyjąkała.

M. popatrzył na mnie, rozumiejąc, o co chodzi.

– A tak w ogóle – powiedziałam – mówią, że sprawa kasyna w Robredo może stać się przedmiotem postępowania sądowego. Prawdopodobnie prokurator dopatruje się w nieprawidłowościach znamion przestępstwa, a to znaczy, że poszkodowani będą potrzebowali dobrego adwokata. Wiem – ja nie mam z tym nic wspólnego, żeby była jasność – że zadzwonią do ciebie z Almy i zaproponują ci wzięcie tej sprawy.

Milczała przez dobrą chwilę.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Powiedz, że potraktujesz propozycję i sprawę jak należy. Masz aż nadto kompetencji, żeby się tym zająć.

– Ale... A ty?

– Ja, droga Sofía, się wycofałam. I chociaż wydaje się, że nikt mi nie wierzy, już nigdy więcej nie założę togi. To decyzja ostateczna i nieodwołalna.

Zaniemówiła. Wyobraziłam sobie jej minę, kiedy trawi informację i zastanawia się, czy jest gotowa zaangażować się w kolejną taką sprawę, ze wszystkimi konsekwencjami.

– Nie musisz się decydować w tej chwili. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że

dasz sobie znakomicie radę.

– I ja w to wierzę – powiedziała, pewnie się szeroko uśmiechając.

– Rozłączam się. Więc żebyś się nie spieszyła. Wiesz, że nie cierpię pożegnań.

– Wiem. Widok opieczętowanych drzwi kasyna robi niesamowite wrażenie. Nie mogę uwierzyć. Helena już wie?

Nie znałam odpowiedzi na to pytanie. Wcześniej czy później, niezależnie od tego, jak daleko się znajdowała, musiało to do niej dotrzeć. Poczułam wewnętrzną satysfakcję.

– Może ty jej o tym powiesz.

To były moje ostatnie słowa. Oczekałam, aż Sofía się z tą propozycją oswoi. Uznałam, że nadszedł dobry moment, by zakończyć rozmowę. Rozłączyłam się i podniosłam wzrok. Zobaczyłam, że Lorena czyta jakiś dokument przed kamerami. Przedstawiała chyba każdą z sześciu osób, które złożyły doniesienie, coś w rodzaju ich krótkich życiorysów, oraz szczegóły sławetnej, naruszonej przez kasyno, ustawy numer trzynaście łamane przez dwa tysiące jedenaście o grach hazardowych, zwracając szczególną uwagę na artykuły bezpośrednio związane ze sprawą.

Urzędnik po drugiej stronie ogrodzenia skończył już chyba pracę. Z rulonem taśmy w dłoni sprawdził, czy wszystko zostało dokładnie opieczętowane. Do oficjalnego powiadomienia, które Gran Castilla otrzymała kilka godzin wcześniej, dodano ten publiczny akt. Nie miałam pojęcia, jak długo kasyno pozostanie zamknięte – nikt nie miał. Z tego, co wiedziałam, cała gromada adwokatów składała już odwołania i zabiegała o uchylenie środków zabezpieczających, nie mówiąc o rozmowach telefonicznych przeprowadzanych pewno na różnych szczeblach w celu wywarcia nacisków na ministerstwo. Może kasyno miało pozostać zamknięte przez jeden dzień, przez jeden miesiąc albo przez jeden rok. Nikt nie wiedział. Ważniejszy od olbrzymich pieniędzy, jakie miała stracić firma, był obrazek, który pojawił się we wszystkich mediach. Zdjęcie opieczętowanego kasyna miało większą wartość niż wszystko, co można było zrobić lub powiedzieć.

– Miałaś rację – szepnął M. – Warto było to zobaczyć.

Detektyw podniósł rękę do ust.

Moją uwagę przyciągnęła postać oddalająca się dyskretnie od grupy dziennikarzy. Dyrektor Almy chciał, by w roli głównej wystąpiła szóstka, która złożyła skargę. Wszyscy byli przygotowani, by odpowiedzieć na każde możliwe pytanie. Najwyraźniej występ przed kamerami nie sprawiał Gabrielowi przyjemności. Może mieliśmy więcej wspólnego, niż się w pierwszej chwili wydawało. W końcu oboje byliśmy nałogowcami (albo byłymi nałogowcami, jeżeli coś takiego w ogóle jest możliwe). Zamyślony szedł powoli poboczem.

Odwróciłam wzrok w stronę M.

– Wydaje mi się, że po drodze do miasteczka jest przystanek autobusowy.

Od razu zrozumiał.

– Zostanę jeszcze chwilę – rzucił niezobowiązująco. – Jeżeli dopisze mi szczęście, może ktoś z kierownictwa Gran Castilli odezwie się i zaczniesz lamentować. Nie chciałbym tego przegapić.

– Ja mam dosyć. Wróciłam do samochodu. Przechodząc obok kosza na śmieci, wyciągnęłam z tylnej kieszeni serwetkę, zmiałam ją w kulkę i wyrzuciłam. Wsiadłam do swojej starej mazdy 6 w kolorze jesiennej czerwieni (zaryzykowałabym stwierdzenie, że bardziej jesiennej niż zwykle). Może pewnego dnia w dalekiej przyszłości będę wspominać z nostalgią ten wieczór, przepychanki dziennikarzy, załęczoną twarz urzędnika, obojętne albo wystraszone spojrzenia ochroniarzy, zawiadomienie przyklejone do połączanej kolumny, biało-zieloną taśmę zagradzającą wejście do kasyna, zwycięską minę Andresa i jego kolegów, odbłask wieczornego słońca na fasadzie kasyna w Robredo.

Przekręciłam kluczyk, włączył się silnik. Zwolniłam hamulec ręczny i samochód zaczął się toczyć; nawet nie musiałam wrzucać biegu. Zrównałam się z idącym poboczem mężczyzną w obcisłych spodniach. Szyba zjechała w dół dokładnie w momencie, kiedy przejeżdżałam obok niego. Wychyliłam się nieco.

– Chcesz, żebym cię gdzieś podwiozła? – zapytałam.

Gabriel nachylił się lekko i popatrzył w moją stronę.

– Miałem zamiar się przejść – odparł. – Nacieszyć się tym przyjemnym popołudniem.

Westchnęłam. Wyglądało na to, że będę się musiała nieźle natrudzić.

– Posłuchaj, popołudnie jest do dupy, wieje tak zimny wiatr, że aż zatyka. Spacerowanie bez celu albo jeżdżenie rowerem, które tak bardzo lubisz, są okej, pod warunkiem że jakaś dama nie złoży ci ciekawszej propozycji. Tak więc zapytam raz jeszcze. Tylko zastanów się, zanim odpowiesz. Wsiadasz do mojej bryki?

Twarcz rozjaśniła mu się uśmiechem, który mnie rozbroił. Zebrał włosy w swój nieodłączny kucyk i otworzył drzwi. W samochodzie zapiął pas i rozsiadł się w fotelu, jakby był u siebie. Wcisnęłam pedał gazu i powoli, ale zdecydowanie, wjechałam w drogę równoległą do autostrady.

– Czy mogę zadać ci jedno pytanie, Gabrielu?

– Zamieniam się w słuch.

– Mam nadzieję, że mnie źle nie zrozumiesz. Lorena jest tylko koleżanką z pracy czy łączy was coś więcej?

Zauważyłam, że zanim odpowiedział, obrzucił mnie spojrzeniem. Poczułam lekki niepokój – może powinnam była siedzieć cicho.

– Lorena jest szczęśliwą żoną... swojego męża – odpowiedział w końcu. – Mamy za sobą wiele spędzonych razem godzin pracy i wiele bitew. To wszystko.

– Myślę, że to znakomita odpowiedź.

– Ja też tak sędzę.

Kątem oka widziałam, że bezczelnie mi się przygląda, nie odzywając się ani słowem. Nie miałam mu tego za złe, nie czułam się skrępowana. Przeciwnie, wydawało mi się, że moglibyśmy tak siedzieć długo: ja za kierownicą, mknąc po asfalcie, on uważnie się we mnie wpatrując. Półtora kilometra dalej wjechałam na autostradę A-6 prowadzącą do Madrytu i mazda zniknęła pośród innych samochodów.

Pomyślałam, że będę się musiała zastanowić, co z tym zrobić. Brandariz nie był dwudziestolatkiem ani też brutalnym i porywczym czterdziestolatkiem. To była dla mnie prawdziwa nowość. Wiedziałam, że coś wykombinuję.

Przynajmniej miałam nadzieję.

PODZIĘKOWANIA

Niech je przyjmą: Zulima Almira i Javier Gaspar, dwójka wspaniałych prawników, za swój olbrzymi, bezinteresowny wkład w tę historię; Daniel Ramírez, za mądre medyczne uwagi; Paloma García, za pomoc przy stawianiu pierwszych kroków; María Zabala, za to, że zawsze czyta pierwsza – i za wiele innych rzeczy; Palmira Márquez, za to, że przez całą drogę z niezwykłą ufnością trzymała mnie za rękę. I oczywiście Raquel Gisbert i Emilio Albi, za otwarcie niesamowitych drzwi.

Odpowiedzialność za wszelkie błędy dotyczące prawa i procedur sądowych ponosi autor.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz